

# Dawid Copperfield



CHARLES DICKENS

# *Dawid Copperfield*

TŁUM. WILHELMINA ZYNDRAM-KOŚCIAŁKOWSKA

# *Dawid Copperfield*

DZIEJE, PRZYGODY, DOŚWIADCZENIA I ZAPISKI DAWIDA COPPERFIELDA JUNIORA, RODEM Z BLUNDERSTONE (KTÓRYCH NIGDY OGŁASZAĆ DRUKIEM NIE ZAMIERZAŁ)

# TOM I

## ROZDZIAŁ I. PRZYCHODZĘ NA ŚWIAT

Czy sam zostanę bohaterem niniejszej powieści czy miejsce to zajmie kto inny, następane rozstrzygną stronice. W każdym razie zaczynam od początku, to jest od chwili mego urodzenia. Zgodnie z tym, co słyszałem i w co wierzę, wypadek ten miał miejsce w piątek o północy. Zegar bił właśnie dwunastą godzinę i jednocześnie ozwało się kwilenie nowo narodzonego, co właśnie, przez mamkę<sup>1</sup> i pewną mądrą matronę z sąsiedztwa, od miesięcy już kilku i zanim osobiście poznać mię<sup>2</sup> mogła, wielce w istnieniu moim zainteresowaną, zgodnie uznane zostało za zapowiedź po pierwsze nieosobliwej<sup>3</sup> doli w świat wchodzącego człowieka, po drugie uzdolnienia tegoż człowieka do widywania duchów i strachów, właściwości niechybnie wrodzonej, jak to utrzymywały obie doświadczone niewiasty, i zwykłej dzieciom obojga płci, zrodzonym w piątkowych nocnych godzinach.

Co do pierwszego wniosku, historia mego życia wykaże, o ile był prawdziwym. Co do drugiego zauważę, że dotąd nie zdarzyło mi się sprawdzić jego słuszności, na co się zresztą bynajmniej<sup>4</sup> nie uskarżam.

Urodziłem się, jak to mówią, w czepku<sup>5</sup>, którego sprzedaż ogłoszono w dziennikach za skromną cenę piętnastu gwinei. Czy to, że żeglarze w nieosobliwych w tym czasie znajdowali się interesach, czy że osłabła wiara w podobne praktyki i bardziej niż czepkom zaufano korkowym pasom, nie wiem, dość, że się zgłosił jeden tylko nabywca, pewien adwokat, ofiarujący za wystawiony na sprzedaż przedmiot dwa funty w gotówce i tyleż winem, lecz odmawiający stanowczo zabezpieczenia się od utonięcia w wyższej cenie. Że zaś nawet piwnica biednej mojej matki była do sprzedania, nie dobito targu i dopiero w dziesięć lat później czepkę puszczo w okolicy, którąśmy zamieszkiwali, na loterię, w pięćdziesięciu biletach, półkorony każdy, z dopłatą przez wygrywającego pięciu szylingów. Byłem obecny przy tym i pamiętam niemiłe uczucie, jakiegom doznał wobec podobnego rozporządzania się częścią mej osoby. Fant wygrany został przez starą damę z koszyczkiem w ręku. Pamiętam, jak niechętnie dostawała<sup>6</sup> z niego należną dopłatę drobnymi, co zabrało nieskończenie wiele czasu i było powodem wielu arytmetycznych zawikłań. Dama ta, co jest faktem niezwykłym i wartym pamięci, istotnie nie utonęła, lecz na własnym łóżku godnie umarła w dziewięćdziesiątym drugim roku życia. Wypada jednak dodać, że się trzymała stale łądu, a nawet wyklinała niezbożność żeglarzy i innych podobnych niegodziwców, usiłujących — jak mówiła — „wykrętami” naruszyć naturalny bieg rzeczy. Na próżno tłumaczono jej, że z tej to właśnie walki z naturalnym biegiem rzeczy osiągnano znaczne korzyści, a między innymi herbatę, którą szczególnie lubiła; na wszelkie dowodzenia odpowiadała ona nieodmiennie: „Wykręty to, ateuszowskie wykręty”.

A teraz bez wykrętów do rzeczy, to jest do mego przyjścia na świat.

Urodziłem się w Blunderstone, w hrabstwie Suffolck. Jestem pogrobowcem, gdyż ujrzałem światło dzienne w sześć miesięcy po zamknięciu na zawsze powiek mego ojca. Nie mogłem się nigdy pogodzić z myślą, że mój ojciec nie widział mnie nawet. Dotąd też pamiętam żal, który mnie zdejmował, ilekroć pomyślałem o samotnej jego mogile. Zwłaszcza w słotną i ciemną noc, gdy w jasnym i ciepłym naszym mieszkaniu płonął ogień na kominie, dostrzegałem coś bezlitosnego, jak mi się nieraz zdawało, w tych szczelnie zamkniętych naszych drzwiach i oknach.

<sup>1</sup>*mamka* — kobieta wynajmowana do wykarmienia piersią noworodka (niemowlęcia). [przypis edytorski]

<sup>2</sup>*mię* — daw. forma zaimka osobowego w pozycji nieakcentowanej w zdaniu; dziś jednolita forma: mnie. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>*nieosobliwy* (daw.) — nieszczególny, nie najlepszy. [przypis edytorski]

<sup>4</sup>*bynajmniej* — wcale; jak najmniej. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>*w czepku urodzony* — powiedzenie odnoszące się do rzadkich wypadków, kiedy dziecko rodzi się wraz z workiem owodniowym (lub tylko z fragmentem błony okrywającej głowę); w jęz. pol. przen. wyrażenie oznacza „urodzony pod szczęśliwą gwiazdą”, „od urodzenia mający wyjątkowe szczęście w życiu”; odpowiednikiem po ang. jest idiom „born with a silver spoon in one’s mouth”, w tekście oryg. jednak pojawia się dosł. „born with a caul”; cały akapit stanowi żartobliwą grę (w tl. pol. nabierającą dodatkowych znaczeń) z tym wyrażeniem: dziecko rodzi się w świecie, gdzie wszystko jest na sprzedaż i podlega ścisłej wycenie oraz mechanizmom rynkowym. [przypis edytorski]

<sup>6</sup>*dostawać* — tu: wydobywać, wyjmować. [przypis edytorski]

Najbogatszą osobą w naszej rodzinie była ciotka mego ojca, a tym samym moja cioczna babka, o której opowiem więcej w odpowiednim czasie — panna Trotwood albo też panna Betsey, jak ją nazywała biedna moja matka, gdy się zdobyła na odwagę, co zdarzało się niezmiernie rzadko, wzmiankowania tej imponującej osoby. Panna Betsey wyszła za mąż za człowieka młodszego od siebie i niezwyklej urody, na którym, niestety, nie sprawdziło się przysłowie o pięknej duszy w pięknym mieszkającej ciele. Utrzymywano, jakoby źle obchodził się z żoną, bił ją, a nawet przy drażliwej jakiejś pieniężnej kwestii chciał z drugiego piętra oknem wyrzucić. Taka niezgodność temperamentów skłoniła ciotkę mego ojca do rozstania się z mężem za wszelką cenę. Mąż, przyszedłszy w ten sposób do posiadania kapitału, wyjechał do Indii, gdzie, wedle przechowanego w rodzinie podania, widywano go jeżdżącego na słoniu, w towarzystwie księżniczki hinduskiej jakoby. Bądź co bądź, w dziesięć lat potem doszła wieść o jego zgonie. Jak wieść tę przyjęła ciotka, nikt nie wie. Wróciła po śmierci męża do panieńskiego swego nazwiska, nabyła mały na brzegu morza stojący domek i osiadłszy w nim z jedną tylko służącą, wiodła życie samotne i zamknięte.

Zrazu ojciec mój był jej ulubieńcem, lecz odkąd nie mogła mu wybaczyć ożenienia się z „woskową lalką”, jak nazywała moją matkę, tyle tylko o niej wiedząc, że nie ma jeszcze lat dwudziestu, przestał ją widywać. Ojciec mój, znacznie od żony starszy i słabego zdrowia, zmarł w rok po ożenieniu, a na sześć miesięcy, jak to już mówiłem, przed moim przyjściem na świat.

Tak się rzeczy miały w wieczór tego dnia, który pozwalam sobie nazwać pamiętnym. Nie roszcząc wszelako najmniejszej pretensji do oceniania na podstawie świadectwa własnych zmysłów istniejącego wówczas stanu rzeczy ani nawet do pamięci własnym nabytej doświadczeniem, powtarzam, co słyszałem.

Otóż matka moja, siedząc przed kominkiem, słaba i przygnębiona, przez lzy spoglądała na ogień, rozmyślając nad sobą i nad tym drobnym wyczekiwany gościem — sierotą, którego przyjscie na świat powitać miał płonący na kominku ogień. W pogodne, lecz wietrzne marcowe popołudnie siedziała tak cicha i wystraszona, wątpiąc, czy przeżyć zdoła zbliżającą się chwilę krytyczną. Podnosząc głowę, dla otarcia łez, spojrzała wypadkiem<sup>7</sup> w okno i dostrzegła przechodzącą przez ogród nieznaną kobietę.

Od razu zgadła, że był to nie kto inny, tylko panna Betsey. Słońce, przedzierając się przez ogrodzenie, oświecało idącą śmiało, wprost przed siebie postać kobiecą, która zbliżywszy się do domu, dała niezbity już dowód tożsamości. Ojciec mój mawiał nieraz, że jego ciotka nie stosuje się w niczym do utartych zwyczajów. Toteż i tym razem zamiast zadzwonić u drzwi domu, zbliżyła twarz do okna, aż nos jej, jak utrzymywała moja matka, splaszczyl się i pobielał zupełnie. Widok ów tak dalece przeraził biedaczkę, że zapewne temu to niezwyklemu zjawieniu się ciotki Betsey zawdzięczam przyjscie me na świat w fatalnym dniu piątkowym.

Matka moja porwała się z krzesła, szukając schronienia w głębi pokoju, gdzie ją panna Betsey, przewracając oczy, niby głowa Saracena<sup>8</sup> na starym holenderskim zegarze, spostrzegła i przywołała do drzwi ruchem przywykłej do rozkazywania osoby. Matka moja drzwi otworzyła.

— Zapewne pani Copperfield — zauważyła panna Betsey, wchodząc do pokoju i spoglądając na żalobne szaty i zmienioną kibić mojej matki.

— Tak jest — odrzekła cicho zagadnięta.

— Trotwood — przedstawiła się nowo przybyła. — Przypuszczam, żeś musiała<sup>9</sup> coś o mnie słyszeć?

Matka moja odpowiedziała twierdząco wprawdzie, lecz bez zbytniego entuzjazmu.

— Widzisz mnie przed sobą we własnej osobie — dorzuciła nowo przybyła.

Obie usiadły u kominka. Po kilku chwilach nieprzerwanego przez ciotkę Betsey milczenia matka moja wybuchnęła płaczem.

— Ts... ts... ts... — upominała ją ciotka — uspokój się, uspokój.

<sup>7</sup>wypadkiem (daw.) — przypadkowo. [przypis edytorski]

<sup>8</sup>Saracen — Maur; przen. też: poganin, niewierny; w europejskich sztukach wizualnych popularny motyw orientalny. [przypis edytorski]

<sup>9</sup>żeś musiała — inaczej: że musiałaś (przykład konstrukcji z ruchomą końcówką czasownika). [przypis edytorski]

Długo biedna kobieta nie mogła się uspokoić.

— A teraz zdejm<sup>10</sup> ten czepek — zdecydowała przybyła — niech ci się przypatrzę.

Matka moja tak była przerażona, że gdyby nawet i chciała, nie śmiałyby sprzeciwić się dziwnemu nieco żądaniu swego gościa.

Drżącą ręką sięgając po wdowi czepek, w pośpiechu rozrzuciła włosy, które spłynęły na jej twarz i ramiona.

— Ależ to dziecko! Istne dziecko! — zawołała panna Betsey.

Istotnie matka moja była młoda, a wyglądała jeszcze młodziej. Spuściła tedy głowę, przyznając się do tego mimowolnego grzechu, i łkając upewniała ciotkę, że na nieszczęście młoda jest, zbyt młoda na wdowę, na matkę... jeśli notabene<sup>11</sup> przeżyć zdoła to, co jej grozi... Zdawało się jej przy tym, że gdy tak skarżyła się, płacząc rzewnie, czuła przesuwaną się po swych włosach pieśczośliwą i miękką kobiecą rękę. Musiało to być jednak przywidzenie. Gdy podniosła załzawione oczy, ciotka siedziała na krześle prosta i sztywna, z założonymi na piersiach rękoma, z nogą wspartą o kratę kominka.

— Ha! — ozwała się po chwili — „Wroni Bór”, dlaczego mianowicie „Wroni Bór”?

— Pani ma zapewne na myśli nazwę tej miejscowości? — spytała moja matka.

— Dlaczego mianowicie „Wroni Bór” — powtarzała panna Betsey. — Przy waszej niepraktyczności, „Domów Wzór” brzmiałoby stosowniej.

— Nazwę tę — odrzekła moja matka — mąż mój wybrał jako odpowiednią.

Właśnie wiatr tak zachrzęścił w starych drzewach ogrodu, że mimo woli wzrok rozmawiających zwrócił się w tę stronę. Wiązy, pochylając się ku sobie na kształt borów szepczących zwierzenia, zatrzęśły się gwałtownie, jak gdyby odepchnąć chciały ciężką i straszną jakąś tajemnicę, na wiatr puszczając rozbijające<sup>12</sup> gałęzie. Z najwyższych strącone, a zawisłe tam stare wronie gniazdo spadło, podobne do szczątków rozbitego na burzliwym morzu okrętu.

— Gdzież są ptaki? — spytała panna Betsey.

— Ptaki? — powtórzyła, budząc się z zamyślenia, moja matka.

— Wrony, gdzież się podziały? — pytała ciotka.

— Nie widziałam ich, odkądśmy tu zamieszkali<sup>13</sup> — odrzekła moja matka i dodała — Myśleliśmy, to znaczy pan Copperfield sądził, że miejsce to jest dla nich stosowne. Widać jednak gniazda były stare i od dawna już puste.

— Mam go, mam Dawida, jak gdybym go widziała — zawołała ciotka — miejsce nazwać od gniazd i ufać, że ponieważ są gniazda, będą i ptaki. Liczyć na ptasią fantazję, to mi praktyczność!

— Pan Copperfield — przerwała matka moja — nie żyje i jeśli pani ośmiela się mówić o nim w podobny sposób, w mojej obecności...

Biedna kobieta próbowała stawić czoło naszej ciotce, zdolnej pokonać o wiele silniejszego od słabej tej istoty wroga! Matka moja padła osłabiona na krzesło, z którego usiłowała powstać, a gdy przysła do siebie czy też może została ocucona przez pannę Betsey, ta stała u okna. Wieczór zapadał coraz głębszy i gdyby nie płonący na kominku ogień, rozmawiające kobiety nie mogłyby siebie widzieć.

— Hm! — zaczęła ciotka Betsey, wracając obojętnie na uprzednio zajmowane przy kominku miejsce — a kiedyż to spodziewasz się?...

— Czuję się słaba — wyjęknęła moja matka — nie wiem, co mi jest, pewnie nie przeżyję tego...

— O! o! — uspokajała ciotka — napij się tylko herbaty.

— Gdyby mi to pomogło!

— Pomoże, niewątpliwie pomoże, wyobrażasz sobie więcej, niż jest. Jak na imię tej dziewczynie?

— Sama nie wiem jeszcze, czy to będzie dziewczynka — zauważyła naiwnie moja matka.

<sup>10</sup>zdejm — dziś: zdejmij. [przypis edytorski]

<sup>11</sup>notabene (z łac. *nota bene*: zwróć dobrze uwagę) — tu w znaczeniu: zresztą. [przypis edytorski]

<sup>12</sup>rozbijały — dziś: bujający się, rozbijany. [przypis edytorski]

<sup>13</sup>odkądśmy tu zamieszkali — inaczej: że odkąd tu zamieszkaliśmy (przykład konstrukcji z ruchomą końcówką czasownika). [przypis edytorski]

— Niech nieba mają w swej pieczy to dziecię — zawołała ciotka, bezwiednie potwarzając sentencję wypisaną na pewnej szufladzie szafy w pokoju mojej matki, w której złożono początek mego doczesnego dobytku — wcale nie to miałam na myśli. Myślałam o służącej.

— Peggotty — odrzekła moja matka.

— Peggotty — powtórzyła z pewnym oburzeniem ciotka — chcesz we mnie wmówić, mała, że chrześcijańska dusza została ochrzczona podobnym imieniem?

— To jest jej nazwisko — odrzekła słabnąc moja matka — po nazwisku nazywał ją mój mąż, gdyż Peggotty nosi moje imię.

— Peggotty! — zawołała panna Betsey otwierając drzwi — podawaj prędzej herbatę. Twoja pani zasłabła, nie marudźże<sup>14</sup>!

Wydawszy ten rozkaz tonem osoby przywykłej do rozkazów i rzuciwszy badawcze spojrzenie na wychodzącą z kuchni ze świecą w rękę, zdziwioną tym nieznanym i rozkazującym głosem służącą, ciotka Betsey wróciła na poprzednie miejsce, podniosła brzeg sukni, nogę położyła na kratce kominka, a obie ręce złożyła na kolanach.

— Mówiłaś dopiero — zaczęła — o dziewczynce. Nie wątpię też ani na chwilę, że będzie to dziewczynka. Otóż od chwili urodzenia tej dziewczynki...

— Może będzie to chłopczyk — wtrąciła nieśmiało moja matka.

— Nie zaprzeczaj mi — odparła ciotka — wiem, co mówię. Przeczucie mnie nie myli. Otóż od chwili urodzenia tej dziewczynki rozciągam nad nią opiekę, będę jej chrzestną matką i proszę, aby się nazywała Betsey Trotwood Copperfield. W życiu tej Betsey Trotwood nie powinno być omyłek i niech nikt się nie ośmieli zażartować z uczuć tej Betsey Trotwood. Wychowamy ją starannie, będziemy strzec, aby zaufania i serca nie trwonila na darmo. *Moja to już rzecz.*

Za każdym z powyższych zdań ciotka potrząsała głową, jak gdyby z myśli i pamięci zrzucić chciała ciężar dawnych cierpień. Tak się przynajmniej zdawało mojej matce, gdy patrzyła na nią przy niepewnym blasku ognia, zbyt słaba zresztą, zbyt wystraszona i niespokojna o siebie, aby zdawać sobie sprawę z tego, co widziała lub mówiła.

— Czy Dawid dobry był dla ciebie, moje dziecko? — spytała ciotka po krótkim milczeniu. — Czyście byli szczęśliwi?

— Bardzo szczęśliwi — odrzekła moja matka. — Był chyba zbyt dobry dla mnie.

— Pieścił cię, psuł zapewne.

— Teraz gdym została sama i opuszczona na tym świecie, teraz wiem, że w istocie tak było — załkała biedna kobieta.

— Ts... nie płacz, no nie płacz — pocieszała ją panna Betsey — nie byliście, widzisz, dobraną parą. Jak gdyby były dobrane pary! Dlatego pytałam. Sierotą byłaś, co?

— Sierotą.

— Nauczycielką, zdaje mi się.

— Nauczycielką dzieci w rodzinie, którą pan Copperfield odwiedzał czasem. Zauważył mnie i był zawsze bardzo dla mnie dobry... oświadczył się... przyjął oświadczyń i takeśmy się pobrali<sup>15</sup> — kończyła, ze zwykłą sobie prostotą, matka moja.

— Dzieci! Biedne dzieci! — mruczała panna Betsey, pochylając nad ogniem zmarszczone czoło. — Czy ty w ogóle coś umiesz?...

— Przepraszam panią — wyjęknęła znów moja matka.

— Jak dom prowadzić, na przykład? — kończyła ciotka Betsey.

— Słabo — odrzekła — o wiele mniej niż bym chciała. Dawid uczył mnie...

— Niby sam się znał na tym! No! — wtrąciła ciotka.

— Chciałam korzystać, chciałam z całego serca, a on był tak dobry, wyrozumiały, cierpliwy i gdyby nie...

Łkanie przerwało mowę mej matce.

— Prowadziłam rachunki starannie, co wieczór sprawdzaliśmy je razem — ciągnęła moja matka, łkając ciągle.

— Uspokój się, no, uspokój, nie płacz tak — mówiła ciotka.

<sup>14</sup>nie marudźże — konstrukcja z partykułą wzmacniającą -że. [przypis edytorski]

<sup>15</sup>takeśmy się pobrali — inaczej: tak się pobraliśmy (przykład konstrukcji z ruchomą końcówką czasownika). [przypis edytorski]

— I nigdy najmniejsze nie zaszło między nami nieporozumienie — kończyła płacząc matka moja. — Czasem tylko zarzucał mi, że moje trójki zbyt są podobne do piątek, że laseczki przy siódemkach i dziewiątkach zbyt kręte...

— Uspokój się, nie płacz tak — upominała ciotka. — Może ci to zaszkodzić i nie tylko tobie, lecz i mojej chrzestnej córce.

Ostatni ten wzgląd uspokoił nieco moją matkę. Czuła się zresztą coraz słabszą. Zapawało milczenie przerywane pochrząkiwaniem ciotki.

— Dawid — rzekła ona wreszcie — posiadał rentę. Czy zapewnił ci jaki fundusz?

— Był tak dobry, że pomyślał o mnie i część renty przelał na moje imię.

— Na jaką sumę?

— Sto pięć funtów rocznie.

— Mogło być gorzej — zauważyła ciotka.

Tymczasem z biedną moją matką tak źle już było, że wnosząca herbatę i świecę Peggotty przelekła się na dobre. Pomogła swej pani natychmiast przejść do sypialnego pokoju, wysyłając jednocześnie po doktora swego siostrzeńca, Hama Peggotty, którego od dni już kilku w przewidywaniu tej konieczności przechowywała w kuchni bez wiedzy mojej matki.

I doktor, i wezwana do pomocy niewiasta zdziwili się wielce niespodziewanym widokiem obcej damy, siedzącej u kominka z groźną miną, przewieszonym przez lewą rękę kapeluszem i uszami pełnymi waty. A że ani moja matka w tej chwili nie mogła udzielić żadnych objaśnień, ani też Peggotty nie umiała wytłumaczyć, zjawisko pozostało tajemniczym, do czego też przyczyniała się niemało wielka ilość wyciąganej z kieszeni i do uszu przez nieznaną pakowanej waty.

Doktor wróciwszy z pokoju chorej i przekonawszy się zapewne, że zmuszony będzie spędzić kilka godzin z nieznaną, usiłował być uprzejmy i towarzyski. Był to najspokojniejszy i najłagodniejszy pod słońcem człowieczek, starał się jak najmniej zabierać wszędzie miejsca, chód jego był cichy, jak stąpanie ducha w *Hamlecie*, głowę przechylał skromnie na ramię. Nie nazwałby złym słowem psa ani nawet na wściekłego psa nie potrafiłby burknąć, dałby mu choć jedno, choć pół, choć cząstkę dobrego słowa, a mowa jego, jak i kroki, była cicha i powolna. Nie, za nic w świecie, nawet dla wściekłego psa nie byłby on szorstki i ostry.

Toteż pan Chillip, spoglądając uprzejmie na moją ciotkę i zwracając pytanie do nieznamomej zatykającej uszy watą, spytał najuprzejmiej, dotykając przy tym swego lewego ucha:

— Miejscowe zapewne cierpienie?

— Co takiego? — odrzekła ciotka, wyciągając watę z ucha, niby korek.

Szorstkość pytania tak bardzo przeraziła łagodnego doktora, że o mało, jak zapewniał potem, nie stracił głowy. Niemniej jednak ze zdwojoną uprzejmością powtórzył pytanie:

— Miejscowe zapewne zapalenie?

— Głupstwo! — odrzekła ciotka, zatykając znów ucho.

Doktorowi nie pozostawało nic innego jak usiąść i przyglądać się wpatrzonyj w ogień nieznamomej, dopóki nie wezwano go znów do chorej. Po kwadransie wrócił do bawialnego pokoju.

— Co, a jakże tam? — spytała ciotka wyciągając watę.

— Pomyślnie, wcale pomyślnie — odrzekł — pomaleńku zbliżamy się do końca.

— Ba! — wstrząsnęła wzdorliwie głową i znów zakorkowała ucho.

Raziło to, strasznie raziło doktora, jak upewniał potem, lecz cóż miał począć? Siedział tedy cicho i spoglądał na nieznaną, która nie odwracała twarzy i oczu od ognia. I tak siedzieli naprzeciw siebie godzin parę, zanim znów nie wezwano doktora do chorej. Gdy wrócił:

— I jakże tam? — spytała ciotka wyjmując watę z jednego ucha.

— Nieźle, łaskawa pani! Postępujemy powoli, postępujemy.

— Ta-a-k! — warknęła, a doktor utrzymywał, że tak go przstraszyła tym mruknięciem, że wołał odtąd siedzieć na schodach po ciemku i nadto w strasznym przeciągu, niż dotrzymywać dalej towarzystwa nieznamomej.

Ham Peggotty, uczęszczający do szkółki i biegły w katechizmie, a co za tym idzie — wiarygodny świadek, opowiadał nazajutrz, że wszedłszy przypadkiem do pokoju, w któ-

rym znajdowała się panna Betsey, został natychmiast pochwycony w szpony przechadzającej się niespokojnym krokiem wzdłuż i wszerz pokoju damy. Dochodziły tu głosy i jęki, których zapewne wata zgłuszyć nie zdołała, i Ham padł ofiarą zdenerwowania panny Betsey. Porwała go za kołnierz, miotając nim, targając go za włosy i za uszy, szarpała, co zresztą potwierdzone zostało przez własną jego ciotkę, Peggotty, która widziała Hama po północy, wkrótce po wyjściu ze szpon panny Betsey, i zapewniała, że był niemal tak czerwony, jak moja, drobniutka wówczas, osóbką.

Dobry doktor Chillip niezdolny był do zemsty, toteż skoro mu czas na to pozwolił, wszedł do pokoju, w którym przebywała nieznajoma, i zbliżając się do niej z uprzejmym uśmiechem:

— Rad jestem — rzekł — że mogę powinszować pani...

— I cóż? — przerwała mu ciotka.

Przeraził się biedak i starał się ułagodzić nieznajomą ukłonami i uśmiechem.

— Zwariował czy co? — wrzasnęła niecierpliwie ciotka Betsey. — Nie możesz mi pan odpowiedzieć?

— Uspokój się, droga pani. Nie ma się już czego trwożyć — uspokajał ją z uśmiechem doktor.

I dziwił się długo potem, i za cud niemal poczytywał, że go nie odepchnęła i tylko wstrząsnęła głową, ale to tak, że umilkł na razie. Po chwili dopiero, przyszedłszy do słowa, począł ją znów uspokajać:

— Rad jestem, że mogę powinszować łaskawej pani. Wszystko odbyło się szczęśliwie, nader<sup>16</sup> szczęśliwie.

Ciotka Betsey nie spuszczała oka z mówiącego.

— Jakże się ona miewa? — spytała zakładając ręce na piersi.

— Nieźle, wcale nieźle, i spodziewam się, że niebawem wróci do sił — upewniał lekarz — zważywszy zwłaszcza okoliczności, w jakich się to odbyło... Dziwnie szczęśliwie wszystko poszło. Możesz ją pani odwiedzić choć zaraz, nie zaszkodzi to jej wcale.

— Ależ ja pytam o *nią* — zawołała niecierpliwą się panna Betsey.

Doktor przechylił głowę na ramię, uprzejmie uśmiechając się do nieznajomej.

— Jak się ma nowo narodzona? — objaśniła ciotka.

— Sądziłem... wiadomo już pani... jest to chłopiec — rzekł doktor.

Ciotka Betsey nie odrzekła na to ani słowa. Wziąwszy kapelusz za wstążki, uderzyła nim doktora po twarzy i odwróciwszy się, wyszła, aby już nie wrócić. Zniknęła, jak rozniewana wróżka lub jedna z tych nadprzyrodzonych istot, które, obdarzony szczególnym darem, miałem widywać. Nie wróciła. Spoczywałem w kołysce, a matka moja na łóżku, lecz Betsey Trotwood Copperfield rozplynęła się we mgłach, z których dopiero com zstąpił<sup>17</sup> w rzeczywistość. Wypływające z okien naszych światło rozświetlało mroczne szlaki podobnym mnie pielgrzymom. Oświetlało też wzgórze usypane nad popiołami tego, bez którego nie mógłbym istnieć.

## ROZDZIAŁ II. ZACZYNAM POJMOWAĆ

Pierwsze przedmioty, które się rysują wyraźnie na tle mego najwcześniejszego dzieciństwa, gdy się w nie cofam wspomnieniem, są: matka moja z pięknymi włosami i młodocianą postacią i Peggotty, o której kibici nie ma co mówić, a której czarne oczy zdawały się rzucać cień na całą twarz, a policzki tak były rumiane, ramiona okrągłe i jędrne, że mi się dziwnym zdawało, iż ptaszki nie dziobią ich chętniej niż jabłka na drzewie.

Zdaje mi się, że pamiętam je obie od chwili, gdy klękały albo przysiadły na ziemi, a ja próbowałem utrzymać się na nóżkach. Pozostało mi raczej wrażenie dotknięcia wskazującego palca Peggotty, za który chwytałem, gdy się chwiały, a który od ukłuć igły był szorstki niby tarka.

Może mi się tak zresztą tylko zdaje. Chociaż sądzę, że pamięć nasza sięga dalej, niż zwykliśmy przypuszczać, jak również spostrzeżenia dzieci uderzają niezwykłą trafnością.

<sup>16</sup>nader — nadzwyczaj; bardzo. [przypis edytorski]

<sup>17</sup>dopiero com zstąpił — inaczej: dopiero co zstąpiłem (przykład konstrukcji zdaniowej z ruchomą końcówką czasownika). [przypis edytorski]



Sądzę nawet, że dorośli ludzie, posiadający ów dar spostrzegawczości, nie nabyli go z biegiem czasu, lecz przechowali z dni dziecięcych. Ludzie podobnym obdarzeni darem zachowują dziwną świeżość i wrażliwość, łatwość cieszenia się, które są przeciw właściwościami wieku dziecięcego.

Zarzuca mi może niektórzy, że odbiegam od tematu, lecz przekonanie powyższe, własnym nabyte doświadczeniem, niech służy za poparcie niniejszej opowieści: czy jako dziecko posiadałem dar spostrzegawczości, czy też jedynie zachowałem wierne i świeże wspomnienie dni dawno ubiegłych — w opowiadaniu mym opierać się muszę bez względu na to na obu tych właściwościach.

Pierwszym tedy wrażeniem pozostałym z dni dziecięcych są, jakem to już rzekł: matka moja i Peggotty. Cóż pamiętam nad to? Zobaczmy.

Niby spoza mgły wylania się dom nasz. Stary mi się wydawał i znany, dokąd sięgam pamięcią. Na dole była kuchnia z wyjściem na tylne podwórze. Na środku podwórza gołębnik bez gołębi, w kąteczku psia buda bez psa, a wszędzie pełno ptactwa, które mnie przestraszało wojowniczym swym zachowaniem. Pamiętam zwłaszcza jednego koguta. Piejąc na pieńku, zdawał się nie spuszczać ze mnie oka. Drżałem spoglądając spoza drzwi kuchni, bo taki groźny mi się wydawał. O gęsi prześladowującej mnie sykaniem i wyciągniętą szyją śniłem po nocach, jak podróżny śni o dzikich bestiach.

Z kuchni do drzwi wejściowych wiódł nieskończenie długi, jak mi się zdawało, korytarz. Położona przy nim ciemna spizarenka mijana bywała przyśpieszonym krokiem, pod wieczór zwłaszcza, bo kto wie, co się kryć mogło w tych garnkach, słojach i pudłach od herbaty, gdy promień świecy nie rozpraszał mroków izdebki wydającej woń mydła, octu, pieprzu, świec i palonej kawy, wszystko razem, niby jedno tchnienie, za każdym uchYLENIEM drzwi. Były też w domu dwa bawialne pokoiki, ten, w którym przesiadywaliśmy zwykle wieczorami z matką moją i Peggotty, gdyż Peggotty po skończonej pracy dotrzymywała nam towarzystwa i wchodziła w skład rodziny, i drugi, obszerniejszy i wytworniejszy, w którym przesiadywaliśmy tylko w niedzielę. Pokój ten wydawał mi się ponury, dlatego może, że mi Peggotty opowiedziała raz, nie wiem już kiedy, bardzo dawno, o pogrzebie mego ojca i w żałobę ubranym zgromadzeniu. Pewnego niedzielnego wieczoru matka moja czytała nam o wskrzeszeniu Łazarza. Przeraziło to mnie okropnie. Musiano wyjąć mnie z łóżeczka i pokazać przez okno cmentarz w oddali, ze wszystkimi zmarłymi spoczywającymi spokojnie pod nienaruszonymi mogiłami i łagodnym światłem miesiąca.

Nie znam głębszej zieleni niż zielen trawy tego cmentarza, ani większego cienia niż cień rosnących tam drzew, ani spokoju większego niż spokój nagromadzonych w owym miejscu mogił. Z rana, klęcząc na moim posłaniu za parawanem, przy łóżku mojej matki, widziałem trzody pasące się opodal i różowy odbłask słońca na zegarze słonecznym i nieraz myślałem, że i ono cieszy się pewnie, że znów może pokazywać godzinę.

W kościele mieliśmy ławkę z wysokim oparciem, tuż przy oknie, skąd dojrzeć można było dom nasz; korzystała z tego Peggotty, aby zobaczyć, czy nie stał się on czasem pastwą płomieni lub złodziei. Lecz to, co wolno było Peggotty, mnie zabronione było surowo i gdy stawałem na ławce, ta sama Peggotty zwracała mnie twarzą do stojącego u ołtarza księdza. Znałem go dobrze, jego i białe pokrycie na ołtarzu, toteż nudziło mi się wciążyć na to patrzeć. A gdyby przerwał nabożeństwo i spytał, co robię?... Mrowie przechodziło mnie na samą tę myśl. Musiałem przecież czymś się zająć. Patrzyłem na moją matkę, lecz ta udawała zawsze, że nic nie widzi. Spoglądałem w stronę stojącego u ołtarza chłopaka, który robił do mnie wtedy miny. Spoglądałem na słup słoneczny wpadający przez otwarte na oścież drzwi kościoła i dostrzegałem owieczkę, nie zbłąkaną ludzką, lecz najzwyczajszą pod słońcem owieczkę, usiłującą wejść do świątyni. Czulem, że jeśli będę się jej dłużej przyglądał, ulegnę pokusie przemówienia głośno, a wówczas co będzie?... Prędko tedy odwracałem oczy i wpatrywałem się z kolei w tablice marmurowe pokrywające ściany kościoła. Myślałem przy tym o niedawno zmarłym panu Bodgers i o tym, jaki żal ścisnąć musiał serce pani Bodgers, i o tym, dlaczego nie zawezwano do chorego doktora Chillipa. A jeśli wzywano go, czemu mu nie pomógł i jak mu przykro być musi co tydzień przypominać to sobie? Spoglądałem wówczas na doktora siedzącego w odświętnym krawacie przed amboną i myślałem, że byłaby ona doskonałym miejscem do zabawy. Gdyby, na przykład, drugi chłopiec atakował ambonę jak twierdzę, aksamitne

poduszki służyć mogły za kartacze<sup>18</sup>, jakże wygodnie byłoby ciskać je z góry! Pomału, pomału kłoniłem senną główkę, powieki mi się kleiły, zdawało mi się, że słyszę księdza, jak śpiewa kołysankę, lecz wkrótce nie słyszałem już nic, spadałem z ławki i Peggotty wynosiła mnie przerażonego z kościoła.

Widzę nasz dom, ozdobione kratą okna sypialni, otwarte dla wpuśczenia świeżego powietrza, stare wiązy u bramy i kołyszące się na nich, powichrzzone wronie gniazda. Widzę na dziedzińcu, o parę stóp za pustym gołębnikiem, tuż obok psiej budy, owianej ćmą motyli, bramę zamkniętą na kłódkę, a tam dalej na gałęziach drzew owoce obfitsze i so- czystsze od wszystkich, jakie kiedykolwiek widziałem. Pamiętam, jak matka moja zbierała je do koszyka, a ja, udając niewzruszonego, zrywałem ukradkiem agrest po agrestie.

Wiatr rozwiał wiosenną i letnią pogodę i oto nastały długie zimowe wieczory. Bawimy się i tańczymy sobie dokoła kominka, a na kominku płonie wesoły ogień! Gdy matka moja zmęczona pada na fotel, widzę, jak naokoło delikatnych paluszków owija rozrzucone pasma włosów i poprawia stanik sukni. O! matka moja była bardzo ładna, wiedziała o tym i nikt też lepiej ode mnie nie wiedział, jak bardzo lubiła zawsze i wszędzie ładnie wyglądać. Pozostało w mojej pamięci i to, żeśmy oboje z matką bali się trochę Peggotty, która też nami kierowała dowolnie.

Wieczoru pewnego siedziałem z Peggotty przed kominkiem. Pamiętam, czytałem jej coś na głos o krokodylach. Musiałem czytać niezwykle wyraźnie lub też pocziwa Peggotty słuchać musiała z niezwykle natężeniem uwagi, gdyż pod koniec miała niejasne wyobrażenie, że krokodyle należą do świata roślinnego. Zmęczyło mnie to głośne czytanie, spać mi się chciało, lecz postanowiwszy doczekać się powrotu matki, będącej gdzieś w odwiedzinach, wołałem paść jak nieżywy na stanowisku, niż położyć się do łóżka. Powoli Peggotty zaczęła dziwnie jakoś nabrzmiewać i rosnać w moich snem klejących się oczach. Przetarłem powieki. Zacząłem przypatrywać się uważnie, jak szyla. Patrzyłem na kawałek wosku, o który ocierała nitki, jakże staro wyglądał, porysowany głęboko we wszystkich kierunkach! Patrzyłem na maleńką chatkę, pod której słomianą strzechą kryła się miarka, na skrzyneczkę do roboty z wymalowaną na niej katedrą świętego Pawła<sup>19</sup> o czerwonej kopule, na brązowy napastrzek błyszczący na palcu Peggotty i na nią samą, a wszystko to razem wzięte wydawało mi się nieskończenie piękne. Pomału, pomału wszystko to zacierало się, bladło, na chwilę znikło mi zupełnie z oczu.

— Peggotty — spytałem nagle, szeroko otwierając powieki — czy byłaś kiedyś zamężną?

Małżeństwo, Kobieta

— Jezus, Maria! — zawołała znienacka zagadnięta Peggotty — skąd się paniczowi przyśniło małżeństwo!

Głos jej i sposób, w jaki powyższe słowa wypowiedziała, zbudziły mnie zupełnie. Przestała szyc, opuściła igłę, wpatrzyła się we mnie.

— Pytam cię, Peggotty — powtórzyłem — czyś była kiedyś zamężną? Jesteś przecie bardzo przystojna, nieprawdaż?

Wydawała mi się ładna, tylko w inny sposób niż moja matka, w innym zupełnie rodzaju. W saloniku na podnóżku był wymalowany przez moją matkę na czerwonym aksamicie bukiet kwiatów. Otóż tło to zdawało mi się podobne do cery Peggotty. Podnóżek był wprawdzie miękki, a skóra Peggotty chropowata, lecz to nie stanowiło wielkiej różnicy.

— Ja przystojna! — zawołała Peggotty. — Patrzcie go! Wcale nie jestem ładna, kochanku! Skąd ci się wzięło to zamęście?

<sup>18</sup>kartacz (z niem. *Kartätsche*) — tu: pocisk; daw. pocisk artyleryjski o charakterystycznej budowie: w lekkiej obudowie kryjący do kilkuset tzw. lotek (początkowo były to niewielkie kamienie, później pociski ołowiane), co powodowało, że podczas strzału obudowa pękała, a lotki siały spustoszenie wśród piechoty przeciwnika na dość dużym obszarze; kartacze używano od połowy XV w. do XIX w.; w literaturze polskiej znajduje się opis wybuchu kartacza zapisany został m.in. w *Reducie Ordony* Mickiewicza. [przypis edytorski]

<sup>19</sup>katedra świętego Pawła (ang. *St Paul's Cathedral*) — trzecia co do wielkości największa katedra na świecie (po Bazylice św. Piotra w Rzymie i katedrze w Lourdes); jedna z najbardziej charakterystycznych budowli Londynu; w dzisiejszej swej postaci, świątyni w stylu barokowo-klasycystycznym, na planie krzyża, zwieńczonej monumentalną kopułą o średnicy 50 m. została wzniesiona w 1710 r. wg projektu Christophera Wrena na miejscu staroż. świątyni rzym. i normandzkiej katedry zniszczonej podczas pożaru miasta w 1666 r. [przypis edytorski]

— Sam nie wiem! Wszak nie można, Peggotty, żenić się na raz z kilku osobami, prawda?

— Oczywiście, że nie — brzmiała szybka odpowiedź.

— Ale jeśli jedna osoba umrze, to czy można znów się ożenić?

— Zapewne... jeśli ci się podoba. To zależy, czy kto chce.

— A co ty o tym myślisz? — spytałem, wpatrując się w nią ciekawie, dlatego tylko, że się bacznie wpatrywała we mnie.

— Jak widzisz — odrzekła po chwili wahania, odwracając ode mnie oczy i pochylając się nad robotą — nie wyszłam za mąż ani się też za mąż wybieram. Oto moje zdanie.

— Nie gniewaj się, Peggotty! — rzekłem po chwili milczenia, gdyż istotnie zdawało mi się, że ją rozgniewałem. Myliłem się widocznie. Odrzuciwszy bowiem robotę, porwała mnie w objęcia i przycisnęła z całej siły do piersi moją kędzierzawą główkę. Uścisk musiał być serdeczny, Peggotty, będąc bowiem otyłą, przy każdym gwałtownym ruchu zwykła była tracić<sup>20</sup> guziki od sukni, i tym razem aż dwa potoczyły się w najciemniejszy kąt pokoju.

— No, a teraz wróćmy do tych krokodyli — rzekła, nie mogąc sobie poradzić z tą niezwykłą nazwą. — Zaciekawileś mnie, paniczku.

Nie pojmowałem, dlaczego Peggotty wyglądała tak jakoś niezwykle ani dlaczego tak nagle zbudziło się w niej zainteresowanie krokodylami, niemniej wróciliśmy do tych potworów i z rozbudzoną uwagą z mej strony składaliśmy ich jaja w gorącym piasku, uciekaliśmy przed nimi, narażając ich nieobrotność na tysiące zwrotów, wchodziliśmy za nimi do wody jak rodowici Egipcjanie, rzucaliśmy na nich kłody drzewa i tak dalej, i tak dalej. Ja przynajmniej oddawałem się tym niebezpiecznym ćwiczeniom z zapalem, gdyż co do Peggotty, to zdawała się być roztargniona, bo kłula się ustawicznie igłą w rękę i twarz.

Skończyliśmy z krokodylami i zabraliśmy się właśnie do aligatorów, gdy zadzwoniono u drzwi. Otworzyliśmy. Matka moja wracała do domu, a wyglądała ładniej niż kiedykolwiek. Odprowadzał ją mężczyzna z pięknymi czarnymi włosami i bakami, który ostatniej niedzieli towarzyszył nam w drodze powrotnej z kościoła. Gdy matka moja wzięła mnie w objęcia i czule ucałowała, pan ten rzekł, że szczęśliwszy jestem od monarchy, czy coś podobnego. Pamięć nie dopisuje mi w tym względzie.

— Co pan mówi? — spytałem go poprzez ramię mojej matki.

Pogładził mnie<sup>21</sup> laskawie po włosach. A jednak było coś w jego twarzy czy głosie, co mi się nie podobało. Może zazdrościłem, że jego ręka, dotykając mnie, dotykała zarazem ręki mej matki; odepchnąłem ją.

— Och! Davy! — upomniała mnie matka.

— Kochany chłopiec — zaśmiał się nieznajomy. — Nie dziwi mnie wcale to jego przywiązanie do pani.

Nigdy przedtem nie widziałem na twarzy mej matki tak pięknego rumieńca! Łagodnie strofowała mnie za nieuprzejmość i przyciskając do piersi, zwróciła się do nieznajomego z podziękowaniem, że trudził się, towarzysząc jej. Wyciągnęła przy tym do niego dłoń, a gdy jej dotykał, spojrzęła, zdaje mi się, na mnie.

— Pożegnajmy się, mój ładny chłopczyku — rzekł nieznajomy, pochylając się (widziałem to!) nad ręką mej matki.

— Dobranoc — odrzekłem.

— Bądźmy przyjaciółmi — zaśmiał się nieznajomy. — Daj mi rączkę!

Prawa moja ręka była w ręku mej matki, wyciągnąłem lewą.

— Któż podaje lewą rączkę! — śmiał się nieznajomy.

Matka uwolniła moją prawą rączkę, lecz byłem zdecydowany nie podać jej temu panu. Podałem mu znów lewą, uściskał ją, powiedział, że jestem grzecznym i miłym dzieckiem, czy coś podobnego, i odszedł.

Widzę go odchodzącego! Widzę złowieszcze spojrzenie jego czarnych oczu, które padło na nas, zanim zniknął za drzwiami.

<sup>20</sup>zwykła była tracić — forma czasu zaprzeczonego dla czynności wielokrotnej, ponawianej; dziś tylko: traciła. [przypis edytorski]

<sup>21</sup>mnie — daw. forma zaimka osobowego w pozycji nieakcentowanej w zdaniu; dziś jednolita forma: mnie. [przypis edytorski]

Peggotty, która milczała przez cały ten czas, wwiiodła<sup>22</sup> nas do pokoju. Matka moja nie usiadła, jak zwykle, w fotelu, lecz pozostała w drugim końcu pokoju, nucąc coś z cicha.

— Spodziewam się, że pani przyjemnie spędziła wieczór — spytała Peggotty, stając nieruchomo jak beczka na środku pokoju, z lichtarzem w rękę.

— Dziękuję ci, duszko — odrzekła wesoło moja matka. — Bardzo przyjemnie.

— Nowe znajomości, lub coś podobnego, przynoszą zwykle rozrywkę...

— A tak, istotnie.

Peggotty nie ruszała się z miejsca, a matka moja nuciła dalej. Drzemiąc, słyszałem wprawdzie głosy, lecz nie rozumiałem znaczenia słów. Gdy się przebudziłem z tej drzemki, ujrzałem obie, matkę moją i Peggotty, zalane łzami i rozmawiające żywo.

— Nie takiego by życzył pan Copperfield — mówiła stanowczo Peggotty. — Nie takiego, ręczyć za to mogę.

— Boże mój — łkała moja matka. — Doprowadzasz mnie do rozpacz! Widział to kto, aby służąca tak traktowała swą panią, niby jakie dziewczątko! Wiesz przecie, że byłam mężatką.

— Wiem — odrzekła Peggotty.

— Jakże śmiesz tedy... to jest nie jak śmiesz, lecz jak masz serce mówić mi takie gorzkie słowa? Przecież wiesz, że nie mam na świecie nikogo, kto by się za mną ujął.

— Tym bardziej nie można dopuścić — twierdziła Peggotty — aby to nastąpiło. Nie, nie powinno to nastąpić za nic, za żadną cenę w świecie.

Mówiąc to, gestykulowała tak patetycznie, jak gdyby miała za chwilę cisnąć trzymany w rękę lichtarz.

— O! — wołała moja matka, coraz rzęsiściej zalewając się łzami — jakże jesteś okrutna, jak niesprawiedliwa! I mówisz o tym wszystkim, jak gdyby to było ułożone, skończone, gdy cię upewniam po raz setny może, że są to zwykłe grzeczności! Mówisz o uwielbieniu, Bóg wie o czym jeszcze! Cóżem temu winna, co poradzę, powiedz proszę: czy mogę zabronić ludziom, aby na mnie patrzyli, mam sobie twarz posypać popiołem, zeszpecić siebie, oparzyć, pokrajać lub coś podobnego? Chciałabyś tego, powiedz? Pewna jestem, że tego byś tylko chciała!

Peggotty zdawała się przyjmować słowa te do serca.

— A moje dziecko, mój ukochany synek — łkała moja matka, zbliżając się do fotela, na którym drzemałem, i okrywając mnie pocałunkami. — Czy zasłużyłam na to, aby mi zarzucano brak przywiązania do mego skarbu?

— Nikt nigdy nie śmiałyby zarzucić pani czegoś podobnego — rzekła Peggotty.

— Zarzucałaś, sama wiesz dobrze, że zarzucałaś! Jasno to wynika ze wszystkiego, coś dopiero mówiła. Wiesz przecie dobrze, że zeszłego miesiąca odmówiłam sobie nowego parasola i używam ten stary, zielony, cały w dziurach. Co? Może mi zaprzeczysz? Wszystko przez przywiązanie do dziecka!

Tu matka zwróciła się do mnie i, przykładając pieszczotliwie twarz do mej twarzy, mówiła z cicha:

— Davy, czy jestem złą, okrutną, samolubną matką? Powiedz, moje kochanie? Powiedz, że jestem zła, bez serca, okrutna, a Peggotty kochać cię będzie, bo to widzisz, kochanie Peggotty więcej warte od mego. Ja cię nie kocham... co? Prawda?

Wszyscyśmy płakali, a ja najgłośniej, lecz wszyscy jednakowo szczerze. Serce mi się krajało i boję się, czym pod wpływem żalu nie nazwał czasem Peggotty „zwierzęciem”.

Pocziwa Peggotty była tak rozżalona, że potraciła u sukni wszystkie guziki. Pękały jeden po drugim na jej wstrząsanych łkaniem piersiach, gdy klęcząc przy fotelu, usiłowała porwać mnie w objęcia.

Położyliśmy się tego wieczoru w wielkim strapieniu. Łkając, długo nie mogłem zasnąć, a przewracając się w łóżku, widziałem pochyloną nade mną matkę. Zasnęłam wreszcie w jej objęciach i spałam smacznie.

Nie pamiętam już, czy owego nieznanego ujrzałem następnej niedzieli, czy po dłuższym upływie czasu. Nie ręczę za ścisłość dat. Dość, żeśmy go spotkali w kościele i że znów towarzyszył nam w drodze powrotnej do domu. Wszedł wraz z nami, aby obejrzeć osobliwe jakieś geranium kwitnące w bawialnym pokoju. Nie zdaje mi się, aby zwrócił

<sup>22</sup>wwieść (daw.) — wprowadzić. [przypis edytorski]

Sluga

Kobieta, Uroda

Kwiaty, Flirt

nań szczególną uwagę, tylko przed odejściem prosił moją matkę o zerwanie i danie mu jednego kwiatka. Prosiła go, aby sam to uczynił, lecz nie wiem czemu, nie chciał tego zrobić i matka moja musiała sama mu podać zerwany kwiat. Zapewniał, że się z kwiatem tym nigdy już nie rozstanie! Pomyślałem, że chyba zwariował, bo czyż nie wiedział, że kwiaty więdną po dwóch albo trzech dniach?

W tym samym czasie Peggotty zaczęła jakoś mniej przesiadywać z nami wieczorem. Matka moja wprawdzie považala ją jak i przedtem, bardziej może niż przedtem i nic nie zakłócało panującej pomiędzy nami trojgiem harmonii, ale jednak istniało coś, co zdawało się kępować nas wzajemnie. Co to było? Sądziłem, że może Peggotty umyślnie robi na złość mojej matce, kładąc na co dzień najlepsze, w szafie dotąd zamykane suknie lub wychodząc często w odwiedziny do sąsiadów. W każdym razie, nie mogłem dojść, co to wszystko ma znaczyć.

Stopniowo przyzwyczaiłem się do widoku pana z czarnymi bakami. Nie lubiłem go, zazdrościłem mu czegoś, sam nie wiedziałem czego, i to bez żadnego powodu, bo gdybym nawet był starszy, przez myśl by mi nie przeszło, że ja i Peggotty powinniśmy wystarczyć mojej matce. Teraz jasno przypominam sobie tysiące drobiazgów, oderwanych wrażeń, które złożyły się na ową antypatię żywioną do niego.

Pewnego jesiennego poranku znajdowałem się wraz z moją matką przy wejściu do ogrodu, gdy pan Murdstone — znałem go już z nazwiska — przejeżdżał tamtędy konno. Na widok mojej matki wstrzymał konia, powitał ją, oznajmiając, że jedzie do Lowestoftu, żeby zobaczyć się z przybyłymi parowcem przyjaciółmi. Uprzejmie zaproponował, że weźmie mnie z sobą na konia.

Pogoda była prześliczna, koń wyglądał na tak zadowolonego i wesołego, że i mnie zdjęła nieopanowana chęćka do tej nieoczekiwanej przejażdżki. Pobiegłem na górę, do Peggotty, aby mię<sup>23</sup> ubrała, a tymczasem pan Murdstone zsiadł z konia i wiodąc go za uzdę przechadzał się powoli wzdłuż głogowego szpaleru, po drugiej zaś stronie przechadzała się moja matka. Pamiętam, jakieśmy się z Peggotty przypatrywali<sup>24</sup> im z okienka mego pokoiku, jak się zbliżali ku sobie i pochylali nad głogowym, dzielącym ich szpalerem, i jak nagle Peggotty, wzór łagodności, wpadła w straszliwą złość, targając moje włosy, które właśnie miała zaczesać.

Wkrótce potem dzielny koń unosił mnie wraz z jeźdźcem przez zielone błonia. Pan Murdstone podtrzymywał mnie prawą ręką, a ja zachowywałem się spokojnie, tylko że siedząc tak przed nim, nie mogłem oprzeć się chęci obrócenia głowy od czasu do czasu, aby spojrzeć mu w twarz. Miał on ten rodzaj czarnych, płtykich oczu — braknie mi dosadniejszego słowa dla opisanja oczu nieposiadających głębokości spojrzenia — które w zamyśleniu, przy pewnym świetle, wydają się chwilami, jakby były ze szkła. Kilkakrotnie zauważyłem to z pewnym przestachem, spoglądając na niego i gubiąc się w domysłach, nad czym mógł się tak głębooko zastanawiać? Widziane też z bliska włosy jego i baki wydały mi się jeszcze stokroć czarniejsze. Kwadratowy zarys dolnej części twarzy i ślady silnego, ale starannie ogolonego zarostu, przypominały mi woskowe figury widziane przed pół rokiem. Równa i gęsta brew, smagła cera (niechby przepadł z tą swoją cerą i niechby wspomnienie jego wraz z nim przepadło!) sprawiały, że pomimo wstrętu, jaki we mnie obudził, wydał mi się pięknym mężczyzną. Nie wątpiłem, że biedna moja matka uważa go za takiego.

Zatrzymaliśmy się w hotelu nad morzem, gdzie w osobnym pokoju zastaliśmy dwóch panów palących cygara. Każdy z nich leżał, zajmując najmniej cztery krzesła. Obaj mieli na sobie grube ubrania. W kącie, związane razem, leżały odzież i przybory wioślarskie wraz z chorągiewką.

Obaj, powstając na nasze powitanie, zatoczyli się na nogach w dziwaczny sposób i zawołali:

- Hallo! Murdstone! Myśleliśmy, żeś umarł.
- Nie tak prędko — odrzekł pan Murdstone.
- Któż to znów ten żółtodziób? — spytał jeden z nich, spoglądając na mnie.

<sup>23</sup>mię — daw. forma zaimka osobowego w pozycji nieakcentowanej w zdaniu; dziś jednolita forma: mnie. [przypis edytorski]

<sup>24</sup>jakeśmy się (...) przypatrywali — inaczej: jak się przypatrywaliśmy (konstrukcja zdaniowa z ruchomą końcówką czasownika). [przypis edytorski]

— Jest to Davy.  
— Davy? Jaki Davy? Jones, co?  
— Copperfield — odrzekł pan Murdstone.  
— Ach, tak — zawołał nieznajomy — jest to więc urocze uosobienie obowiązków pani Copperfield, owej ładnej wdówki, co?  
— Quinion — zauważył pan Murdstone — bądź uważniejszy z łaski swojej. Ktoś jest bardzo domyślny.  
— A kto mianowicie? — zaśmiał się nieznajomy.  
Słuchałem odpowiedzi z natężoną uwagą.  
— Nikt inny jak Brooks z Sheffield — rzekł pan Murdstone.

Ucieszyłem się, słysząc tę odpowiedź, sądziłem bowiem z początku, że to o mnie mowa. Było jednak widocznie coś bardzo zabawnego w owym wzmiankowanym panu Brooks z Sheffield, gdyż słysząc jego nazwisko, obaj nieznajomi roześmieli się serdecznie. Pan Murdstone wtórował im i przeszła dobra chwila czasu, zanim ten, którego nazwano Quinion, zapytał:

— A jakie jest zdanie Brooksa z Sheffield w wiadomej sprawie?  
— Sądzę — odrzekł pan Murdstone — że na razie nie domyśla się, o co chodzi. Jednak na ogół nie okazuje najmniejszej przychylności.

Znów się roześmieli, po czym pan Quinion zadzwonił na służbę i kazał podać wina, utrzymując, że wypada wypić zdrowie Brooksa. Gdy podano wino, nalał mi kieliszek, dał parę sucharków i zawołał:

— Niech diabli porwą Brooksa z Sheffield!

Toast wywołał ogólne zadowolenie. Śmiano się tak szczerze dokoła mnie i ja też się śmiałem, co zdawało się bawić nieskończenie obecnych panów. Słowem, było wesoło.

Poszliśmy na wybrzeże. Patrzyliśmy przez teleskop. Wprawdzie nic dojrzeć nie mogłem, zapewniałem jednak, że widzę doskonale, po czym wróciliśmy do hotelu na uroczysty obiad. Obaj nieznajomi nie wypuszczali cygar z ust, a sądząc z zapachu ich ubrań, musieli palić bezustannie od chwili, w której ubrania te wyszły z rąk krawców. Muszę dodać, że w czasie przechadzki wstąpiliśmy na parostatek, gdzie panowie ci weszli do kajuty po jakieś papiery. Wydali mi się bardzo zajęci; śledziłem ich przez okienko, gdyż pozostawili mnie na pokładzie z miłym jakimś chłopakiem, o dużej, rudymi włosami pokrytej głowie, ubranym w mały, błyszczący kapelusz i kamizelkę z napisem na piersiach „Skylark”. Sądziłem z początku, że było to nazwisko chłopaka i że mieszkając na pokładzie, z braku drzwi zmuszony był wywieszać na piersiach swą kartę. Gdy go nazwał: panem Skylark, zaśmiał się i objaśnił mi, że jest to nazwa okrętu.

Zauważyłem też w dniu tym, że pan Murdstone jest poważniejszy i powściągliwszy od swych towarzyszy. Tamci byli niesłychanie weseli i rozmowni. Ciągłe żartowali między sobą, rzadko kiedy z żarcikami zwracali się do pana Murdstone. Wydawał mi się inteligentniejszy i chłodniejszy od nich; musieli się go też bać trochę. A może przypisywałem im własne swe uczucia i wrażenia. Zdawało mi się jednak, że pan Quinion mówiąc spoglądał na niego spode łba, tak jak gdyby bał się powiedzieć czegoś, co by mu się mogło nie podobać, a raz nawet, gdy pan Passnidge nadto się rozpędził, trącił go nieznacznie w kolano, wskazując ostrzegawczo na pana Murdstone, siedzącego w ponurym zamyśleniu. Zresztą nie przypominam sobie, aby on śmiał się tego dnia, oprócz wypadku, gdy była mowa o Brooksie z Sheffield, co było zresztą własnym jego pomysłem.

Wreszcie przed wieczorem wróciłem do domu. Pogoda była prześliczna i znów matka moja przechadzała się długo wzdłuż glogowego szpaleru, mnie zaś wysłano na górę, bym wypił herbatę. Gdy pan Murdstone odjechał, matka wypytywała mnie długo i dokładnie o wycieczkę, o to, co tam robiono i co mówiono. Gdy powiedziałem, co powiedzieli o niej, roześmiała się, nazwała tych panów „wietrznikami”, lecz nie zdaje mi się, aby naprawdę była na nich rozgniewana. Spytałem ją, czy zna niejakiego Brooksa z Sheffield. Odpowiedziała, że nie zna, lecz przypuszcza, że musiała być mowa o jakimś fabrykancie noży i widelców.

Mamże<sup>25</sup> mówić o jej drogiej twarzy? Pamiętam ją tak zmienioną i wiem, że już nie istnieje. Ale czyż mogę powiedzieć, że jej nie ma, skoro mi staje w pamięci wyraźna,

<sup>25</sup>mamże — konstrukcja z partykułą pytającą; inaczej: czy mam, czyż mam. [przypis edytorski]

jak żadna inna twarz dojrzana w ulicznym tłumie? Mamże pisywać o blasku jej urody, że zgasł, że nie istnieje, skoro widzę go dotąd w pamięci, jak widziałem tego wieczoru? Mamże wyznać, że się zmieniła, jeśli we wspomnieniach moich pozostała taka, jaką była wówczas. Młodość jej i świeżość zachowałem w sercu i w pamięci niczym nienaruszoną wierność.

I dziś ją widzę taką, jaką była owego wieczoru, klęczącą obok mego łóżeczka, z pochyloną na dłoni głową, uśmiechniętą.

— Jak to oni mówili, Davy? Powtórz, proszę, nie mogę sobie przypomnieć...

— „Urocze” — zacząłem, lecz matka położyła mi palec na ustach.

— Nie, nie — zawołała śmiejąc się — nie tak, z pewnością nie tak mówili.

— Ale tak właśnie mówili, mamó, i dodawali: „tej ładnej pani Copperfield”.

— Nie, nie mówili „ładnej”.

— Mówili, naprawdę mówili, „tej ładnej wdówki”.

— Co za pustogłowy — śmiała się matka moja, kryjąc twarz w dłoniach. — Mówić takie rzeczy! Zabawne doprawdy! I co jeszcze, Davy?...

— Co, mamó?

— Nie wspominaj o tym Peggotty, gniewałaby się. Ja sama gniewam się na tych wietrzników. Nie trzeba, aby Peggotty wiedziała o tym.

Przyrzekłem, że nic nie powiem. Ucałowaliśmy się raz i drugi, i trzeci, i nie wiem już który... Słodko zasnąłem.

Teraz, po tak długim okresie czasu<sup>26</sup>, zdaje mi się, że propozycja Peggotty, o której właśnie mam mówić, uczyniona była nazajutrz po tym pamiętnym wieczorze, w rzeczywistości musiało to nastąpić w parę miesięcy później.

Było to znów wieczorem. Siedzieliśmy jak zwykle z Peggotty w bawialnym pokoju, w nieodstępnym towarzystwie pończochy, bawełny, kawałka wosku, skrzyneczki do robót, ozdobionej na wieczku wizerunkiem katedry świętego Pawła i książki z krokodylami. Peggotty, spoglądając na mnie, kilkakrotnie otwierała usta, żeby mi coś powiedzieć (myślałem, że się po prostu zamyśliła). W końcu rzekła:

— Paniczu! A gdyby panicz pojechał ze mną na parę tygodni w odwiedziny do mego brata, do Yarmouth? To by dopiero był bal!

— Czy brat twój to przyjemny człowiek? — spytałem.

— Ach! Jaki przyjemny! — zawołała, podnosząc ręce. — A poza tym jest morze, są statki, łodzie, są rybacy, zatoka, jest Am do zabawy.

Peggotty miała na myśli bratanka swego, Hama, o którym wspominałem na początku tej opowieści.

Zachwycony perspektywą wyżej wymienionych rozkoszy, odpowiedziałem jej, że odwiedziny w Yarmouth byłyby prawdziwym „balem”, tylko, co powie na to mama?

— Gotowa jestem iść o zakład, że pozwoli — potwierdziła Peggotty, przypatrując mi się bacznie. — Poproszę ją sama, gdy wróci do domu.

— Ale jakże ona poradzi tu sobie bez nas? — rzekłem, opierając łokcie na stole dla lepszego poparcia argumentu. — Nie może przecież pozostać tak sama.

Jeśli Peggotty łowiła wówczas opuszczone w pończosze oczko, oczko to musiało być niewidzialne doprawdy.

— Mówię ci, Peggotty, że nie może pozostać sama.

— Bóg z tobą, dziecię — rzekła wreszcie, podnosząc oczy. — Wiesz przecie, że ją na parę tygodni zaprasza pani Grayper, u której mają zebrać się goście.

O jeśli tak, to nie miałem nic już przeciw zamierzonej wycieczce i z niecierpliwością czekałem powrotu matki od pani Grayper (sąsiadki, u której bywała), aby pozyskać jej zezwolenie. Zgodziła się na propozycję Peggotty prędej, niż sądziłem, i tegoż jeszcze wieczoru omówione zostały wszystkie warunki zamierzonych odwiedzin.

Wkrótce też nadszedł dzień wyjazdu, nadszedł dziwnie szybko nawet dla mnie, trawionego gorączką wyczekiwania i bojącego się, czy trzęsienie ziemi, spadające skały lub tym podobne kataklizmy nie staną w poprzek mym projektom. Mieliśmy z Peggotty

<sup>26</sup>okres czasu — błąd logiczny i stylistyczny; dziś popr.: czas a. okres; „(...) po tak długim czasie”. [przypis edytorski]

odjechać po wczesnym śniadaniu, wynajętym wózkiem. Wiele bym dał za to, gdyby pozwolono mi spać w obuwiu i podróżnym ubraniu.

Dziś boleję, chociaż dotykam tego pobieżnie zaledwie, że z tak lekkim sercem opuszczałem dnia tego dom mój, nie domyślając się, że opuszczam go na zawsze. Miło mi wspomnieć, że gdy wózek stanął już u bramy, a matka uściskała mnie na drogę, wezbrana w mym sercu czułość spłynęła łzami... Miło mi wspomnieć, że matka moja rozplakała się także i długo, długo tuliła mię<sup>27</sup> w objęciach...

Miło mi wspomnieć, że gdyśmy odjeżdżali, wybiegła jeszcze za bramę i zawołała, aby wstrzymano konie, gdyż chciała pocałować mnie raz jeszcze. Myślę o przywiązaniu i czułości, z jaką spoglądała wówczas na mnie.

Gdy odjeżdżaliśmy, stała na drodze, a pan Murdstone zbliżył się do niej i zdawał się upominać ją, aby nie poddawała się wzruszeniu. Oglądając się za matką moją, dziwiłem się tylko, co mu do tego. W tę samą co ja stronę spoglądająca Peggotty nie wyglądała bynajmniej<sup>28</sup> na zadowoloną, jak to wnosić mogłem z wyrazu jej twarzy.

Jadąc patrzyłem czas jakiś na Peggotty i popadając w marzenie, pytałem siebie, czy czasem, jak to w bajce bywa, nie chce uwieść mnie gdzieś i zostawić. Wówczas odnalazłbym drogę za pomocą gubionych co chwila przez nią guzików jej stanika.

### ROZDZIAŁ III. ZMIANA

Koń nasz był najleniwszym ze wszystkich koni, jakie kiedykolwiek widziałem, i przez całą drogę włókł się ze spuszczoną w dół głową, jakby naumyślnie ociągając się z przybyciem na miejsce przeznaczenia. Wyobrażałem sobie nawet, że pozwala sobie parskając wyrażać jakieś w tym względzie uwagi, lecz woźnica upewnił mnie, że jest to tylko zwykły kaszel.

Woźnica kiwał się na siedzeniu z opuszczonymi na kolana rękami i podobnie jak koń spuszczał głowę. Chociaż powiadam, że „wiózł” nas, przekonany jestem, że koń dowłókłby się do Yarmouth i bez jego pomocy. Woźnica zresztą nie przemówił ani słowem; pogwizdywał tylko od czasu do czasu.

Peggotty miała na kolanach kosz z prowiantem, którego wystarczyłoby nam do samego Londynu chyba. Jedliśmy też dużo, a spali jeszcze więcej. Peggotty, śpiąc, opierała głowę na rączce od kosza, którego ani na chwilę nie wypuszczała z dłoni. Nie uwierzyłbym zaś nigdy, że słaba kobieta może tak głośno chrapać, gdybym na własne tego nie słyszał uszy.

Tyleśmy razy zbaczali<sup>29</sup> z drogi, tak długo u wrót jakiejś gospody wypakowywaliśmy mające tam pozostać łóżko, że zmęczony już byłem i szczerze zadowolony, gdyśmy ujrzeli Yarmouth. Zaspany i poziewający spoglądałem na rozległe wybrzeże, dziwiąc się, że jeśli istotnie, jak to uczy geografia, ziemia jest kulista, to jakim sposobem znaleźć się na niej mógł taki obszar płaszczyny? Myślałem, że Yarmouth znajduje się chyba na jednym z biegunów.

W miarę jak, zbliżając się, mogliśmy okiem objąć całą tę prostą linię na horyzoncie, ośmieliłem się zauważyć, że tu i ówdzie kilka wzgórków dodałoby krajobrazowi malowniczości, jako też, że ładniej byłoby, jeśliby ląd był czymkolwiek przedzielony od morza, a miasto i woda nie tak zmieszane razem niby grzanki z bulionem, na co Peggotty odrzekła z niezwykłym przejęciem, że trzeba rzeczy brać takimi, jakimi są, co zaś do niej, to się szczyci rodzinnym swym miastem.

Toteż, gdyśmy wjechali w ulicę (która mi się dziwną jakąś wydała) i poczuli zapach ryb, smoły, pakul, dziegciu i ujrzeli idących żeglarzy i turkocące po bruku wozy, poczułem, że nie docenił zrazu tak znakomitego miasta, i natychmiast wyznałem to Peggotty. Słuchała moich zachwyty z przyjemnością i zapewniła, iż jest rzeczą powszechnie wiadomą (zapewne miejscowym mieszkańcom), że Yarmouth jest najpiękniejszym miejscem pod słońcem.

— Otóż i Am! — zawołała. — Wyrósł do niepoznania!

<sup>27</sup>mię — daw. forma zaimka osobowego w pozycji nieakcentowanej w zdaniu; dziś jednolita forma: mnie. [przypis edytorski]

<sup>28</sup>bynajmniej — wcale (dosł.: jak najmniej). [przypis edytorski]

<sup>29</sup>tyleśmy razy zbaczali — inaczej: tyle razy zbaczaliśmy (konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika). [przypis edytorski]



Ham oczekiwał naszego przybycia przy gospodzie; powitał mnie jak starego znajomego. Zrazu nie poczuwałem się do tej znajomości, bo istotnie nie był on pod naszym dachem od nocy mych urodzin. Znajomość pomiędzy nami nawiązała się szybko, od chwili gdy mnie zdjął z wózka, aby zanieść do swego domu. Był z niego chłopak wysoki i barczysty, o dziecinnej, wesołej twarzy i wijących się, jasnych włosach, które czyniły go podobnym do baranka. Odziany był w surdut z żaglowego płótna i sztywne spodnie, które równie dobrze same stać by mogły. Trudno też właściwie powiedzieć, że miał na głowie kapelusz, było to raczej coś na kształt strzechy pokrywającej rudę.

Ham ze mną i naszym kuferkiem na barkach i Peggotty z drugim kuferkiem w rękę mijaliśmy ulice usłane wiórami, kupami piasku, mijaliśmy kuźnie, warsztaty powoźników i tym podobne miejsca, zanim doszliśmy do owej pustej równiny, która zdziwiła mnie, gdyśmy wjeżdżali do Yarmouth. Tu Ham zawołał:

— Oto i nasz dom.

Obejrzałem się dokoła. Jak okiem sięgnąć, wybrzeże, morze, łąd, woda, lecz ludzkiego mieszkania ani śladu. Nieopodal tylko czerniała łódź, wysoka i głęboka, z żelazną, sterczącą nad nią na kształt komina rurą, z której wychodził lekki kłąb dymu.

— Czyżby łódź miała być domem? — spytałem.

— A tak — odrzekł Ham.

Sam widok pałacu Aladyna nie mógłby mnie w większy zachwyt wprowadzić niż myśl zamieszkania we wnętrzu łodzi. Z boku wycięte były takie małe, ładne drzwiczki i okienka, a wszystko to pokryte dachem; najwycyzajniejsza pod słońcem łódź, która tysiąc razy pływała po morzu i nie służyła z początku za mieszkanie dla ludzi na łądzie. To mnie właśnie zachwycało. W innym razie pomieszczenie to wydałoby mi się ciasne, duszne, niewygodne; teraz robiło wrażenie doskonałego schronienia.

Wewnątrz było czysto i przytulnie. Stał stół, zegar drewniany, szafka. Na szafce podparta Biblią stała taca z wymalowaną na niej damą z parasolem, przechadzającą się z dzieckiem ubranym jak żołnierz i wywijającym biczem. Gdyby przypadkiem taca się przewróciła, stłukłaby niezliczoną ilość spodków i filiżanek ustawionych wokół Biblii.

Na ścianach wisiały kolorowe ryciny. Ilekroć oglądałem później podobne dzieła sztuki, zawsze stawał mi w pamięci dom brata Peggotty. Był tam Abraham<sup>30</sup> w czerwonym płaszczu i Izaak<sup>31</sup> w błękitnej chlamidzie, Daniel<sup>32</sup> żółto odziany pomiędzy lwami o zielonej sierści, a nad kominkiem wisiał wizerunek statku „Sarah Jane”, z prawdziwym malutkim drewnianym sterem przyklejonym z wierzchu, który wydał mi się ostatnim wyrazem sztuki, przedmiotem wzbudzającym zazdrość. Na suficie były haki, o niewiadomym mi przeznaczeniu, różne zaś pudła i pudełka zastępowały kanapy i krzesła.

Wszystko to objąłem jednym ciekawym rzutem oka; tymczasem Peggotty, otwierając małe drzwiczki, ukazała mi mój pokój sypialny. Było to rozkoszne schronienie w dziobie łodzi, z oknem zrobionym w otworze, przeznaczonym niegdyś na ster. Do ściany przybite wisiało wąskie, jak raz dla mnie odpowiednie lustro w ramach wyklejonych muszlami. Pod lustrem stało wąskie łóżeczko, a na stoliku, tuż obok, bukiet traw morskich. Ściany były bielutkie, kapa rozesłana na łóżku olśniła mnie prawie. Po całym domu rozchodził się tak silny zapach ryb, że kiedy wyjąłem z kieszeni chustkę do nosa, zdawało mi się, że ją dopiero co zdjął z morskiego raka. Gdy się zwierzyłem z tego odkrycia Peggotty, oznajmiła mi, że brat jej handluje rakami i podobnymi morskimi przysmakami, które też potem ujrzałem spoczywające w wielkim nagromadzeniu, w drewnianej skrzyni niedaleko łodzi.

<sup>30</sup>*Abraham* — biblijny patriarcha, ojciec narodu żydowskiego (hebr. znaczenie jego imienia to: „ojciec narodów”); swego długo wyczekiwanego syna Izaaka był gotów złożyć w ofierze Bogu na górze Moria (wg tradycji utożsamianej późn. ze wzgórzem świątynnym w Jerozolimie), lecz dawszy dowód swej wiary i bojaźni bożej (hebr. Akeda: „związanie”, „ofiarowanie”), został w ostatniej chwili powstrzymany od tego przez anioła, wysłannika Jahwe. [przypis edytorski]

<sup>31</sup>*Izaak* — postać biblijna, syn Abrahama, ojciec Ezawa i Jakuba. [przypis edytorski]

<sup>32</sup>*Daniel* — postać biblijna występująca w Ks. Daniela i Ks. Machabejskiej Starego Testamentu; prorok na dworze babilońskim (króla Nabuchodonozora) i perskim (królów Dariusz i Cyrus) w VII/VI w. p.n.e., słynący przede wszystkim z umiejętności tłumaczenia snów i wizji apokaliptycznych, cieszący się szczególną opieką Jahwe; w Księdze Daniela (6,2–29) znajduje się opowieść o tym, jak za czasów króla Dariusza Daniel został wrzucony do jaskini lwów za to, że nie zaprzestał swych zwykłych praktyk religijnych mimo 30-dniowego zakazu wszelkich modlitw, zwierzęta jednak cudownym zrządzeniem nie wyrządziły mu najmniejszej krzywdy. [przypis edytorski]

Przy wejściu do domu spotkała nas wielce uprzejma niewiasta, niemłoda, w białym fartuchu, z dala już witająca nas ukłonami, jako też prześliczna — prześliczną mi się przynajmniej wydała — dziewczeczka z błękitnymi na szyi paciorkami, która jednak zaraz uciekła i schowała się, gdy ją chciałem pocałować. Gdyśmy się już posilili gotowaną rybą polaną roztopionym masłem i kartofflami, a dla mnie przygotowano jeszcze kotlet — nadszedł niemłody, o przyjemnej twarzy mężczyzna. Ponieważ nazywał Peggotty „dzieweczką”, a na jej okrągłych i rumianych policzkach złożył głośny pocałunek, od razu domyśliłem się, że był jej bratem, i rzeczywiście przedstawiono mi go jako pana Peggotty, gospodarza domu.

— Miło mi poznać panicza — rzekł. — Prości jesteście ludzie, ale szczerzy.

Odpowiedziałem mu, że mnie tu wszystko nieskończenie zachwyca.

— Jak zdrowie mamy? — spytał. — Czy dobrze wygląda?

Odpowiedziałem, że matka moja wygląda doskonale i przesyła mu swe ukłony, co zresztą było moim wymysłem.

— Bardzo jestem wdzięczny, dziękuję!... — rzekł pan Peggotty. — I jeśli panicz zechce tu spędzić czas jakiś z nami — tu skinął głową w stronę siostry — z Hamem i Emilką, będzie to dla nas prawdziwy zaszczyt.

Po uprzejmym tym powitaniu pan Peggotty poszedł umyć się w miednicy pełnej gorącej wody, utrzymując, że zimna nie zdoła go oczyścić. Wrócił po chwili zmieniony na korzyść, lecz tak przy tym rumiany, że mimo woli pomyślałem, iż twarz jego posiada właściwość raków i homarów, a mianowicie pod wpływem gorącej wody z brunatnej w czerwoną się zmienia.

Po herbacie, przy zamkniętych drzwiach i oknach, bo na dworze zapadła noc zimna i mglista, mieszkanko w łodzi wydało mi się bardziej jeszcze przytulne i miłe. Słyszając, jak wiatr szaleje nad morzem, myśląc o mgłach, które zalegają bezbrzeżne równiny, oczarowany byłem płonącym na kominku ogniem, w chatce zrobionej z prostej łodzi, na bezludnym wybrzeżu. Mała Emilka, ośmielona, siedziała teraz tuż przy ogniu obok mnie na najniższym i najwyższym z kuferków. Po drugiej stronie kominka pani Peggotty w białym fartuszkach robiła pończochę, Peggotty szyła, mając przed sobą na stole swą nieodłączną skrzyneczkę do robót z wizerunkiem katedry świętego Pawła i również nieodłączny kawałek wosku. Ham, po udzieleniu mi pierwszej lekcji jakiejś gry, usiłował przypomnieć sobie wróżenie ze starych, zbrukanych<sup>33</sup> kart, zostawiając na nich odciski swego dużego palca. Pan Peggotty palił w milczeniu fajkę. Czulem, że nastąpiła chwila nawiązania rozmowy i bliższej znajomości.

— Panie Peggotty — rzekłem.

— Co, paniczu? — odrzekł.

— Czy dlatego pan syna swego nazwał Ham, że mieszkacie w domu podobnym do arki?

— Nie, paniczu, nie ja mu dawałem to imię.

— Któż go tak nazwał?

— Jego ojciec!

— To nie pan jesteś jego ojcem?

— Nie. Ojcem jego był brat mój, Joe.

— Umarł? — spytałem nieśmiało po chwili.

— Utonął.

Dziwiło mię to, że Ham nie był synem pana Peggotty, i gubiłem się w domysłach nad stopniem pokrewieństwa łączącego go z resztą obecnych. Zdecydowałem się na nowe pytanie.

— Ale mała Emilka — rzekłem, rzucając spojrzenie na dziewczynkę — jest pańską córką?

— Nie, paniczu, szwagier<sup>34</sup> mój, Tom, był jej ojcem.

Nie mogłem powstrzymać się znów od poprzedniego pytania:

— Umarł?

— Utonął.

<sup>33</sup>zbrukany — dziś raczej: pobrudzony, zabrudzony. [przypis edytorski]

<sup>34</sup>szwagier — mąż siostry. [przypis edytorski]

Nastąpiła chwila milczenia. Czułem pewne utrudnienie w nawiązaniu na nowo rozmowy, ale ciekawość przemogła.

— A pan ma dzieci? — spytałem.

— Nie mam — odrzekł śmiejąc się. — Jestem kawalerem.

— Kawalerem? — zawołałem zdziwiony i wskazując kobietę w białym fartuchu, robiącą pończochę, dodałem:

— A to, któż to taki?

— Pani Gummidge.

— Pani Gummidge?...

Tu Peggotty, moja własna Peggotty, skinęła na mnie tak wymownie, że zaprzestałem dalszych pytań i w milczeniu rozeszliśmy się na spoczynek. Za zamkniętymi szczelnie drzwiami mego pokoiku wyjaśniła mi, że Ham i Emilka są sierotami, które wuj przygarzył, zaś pani Gummidge jest wdową po jego towarzyszu i współniku, człowieku ubogim, ale uczciwym jak złoto, a pewnym jak stal — było to ulubione porównanie Peggotty.

— I brat mój — dodała — ubogi jest i uczciwy jak złoto, a jak stal pewny i wpada w gniew, gdy wspomina się przy nim o jego dobroczynności. Wówczas uderza pięścią tak, że mu się aż raz zdarzyło stół rozbić, i klnie straszliwie, nieużywanymi przez nikogo innego słowy<sup>35</sup>.

Wzruszyła mnie dobroć serca mego gospodarza. Zасыpiając slyszalem, jak pani Gummidge ukladała się do snu w sąsiedniej kajucie, a Ham i Emilka zawieszali hamaki na hakach dojrzanych przeze mnie u sufitu w głównej izbie. Zapadając w coraz głębszy sen, slyszalem niejasno wycie wiatru szalejącego nad równiną i zacząłem się trochę bać, że podnoszące się fale mogą nas zalać. Uspokoiła mnie myśl, że ostatecznie znajduję się na łodzi i pod opieką doświadczonego zapewne żeglarza, przygotowanego na wszelkie wypadki.

Nic się jednak nie wydarzyło poza tym, że nadszedł ranek. Skoro pierwsze promienie odbiły się w wiszącym nad mym posłaniem i w ramki z muszli oprawnym lusterku, porwałem się na nogi, a w chwilę potem zbierałem już z małą Emilką kamyki nad zatoką.

— Prawdziwy z siebie żeglarz chyba? — spytałem ją, nie myśląc wcale, co mówię, lecz chcąc powiedzieć coś niezwykle uprzejmego, zachwycony widokiem płynącego żagla, co się odbił w jej jasnym oku.

— O nie! — rzekła, kręcąc główką. — Boję się morza.

— Boisz się! — zawołałem zuchowato i patrząc z góry na potężny ocean, dodałem z przechwałką — Ja się wcale nie boję.

— Gdybyś wiedział, jakie ono bywa okrutne — ciągnęła dziewczynka. — Widziałam to nieraz! Widziałam łodzie o wiele większe od naszej, potrzaskane...

— Ale to nie w tej przecie łodzi...

— ...ojciec utonął — dokończyła dziewczynka. — Nie, tamtej nie widziałam nigdy.

— A swego ojca? — spytałem.

Wstrząsnęła główką:

— Nie pamiętam.

Uderzyło mnie to istniejące pomiędzy nami podobieństwo. Zacząłem opowiadać jej, że i ja nigdy nie widziałem mego ojca, że szczęśliwi żyliśmy we dwoje z moją matką i żyjemy, i żyć tak będziemy zawsze, zawsze... i o mogile ojca na pobliskim cmentarzu, ocienionej drzewami, pod których pełnymi śpiewających ptaków gałęzmi przechadzamy się często. Tu występowała stanowcza różnica między sierocą dolą małej Emilki i moją. Straciła ona matkę wcześniej jeszcze niż ojca i nie wiedziała, gdzie w głębokościach bezbrzeżnego morza leży jego mogiła.

— Zresztą — dodawała, szukając pilnie w piasku muszli i świecących kamyków — ojciec twój był zapewne panem, mama damą, mój ojciec zaś był rybakiem, moja mama córką rybaka i wuj Dan jest rybakiem.

— Czy panu Peggotty Dan na imię? — spytałem.

— Wuj Dan — odrzekła, skłaniając główkę w kierunku łodzi.

— Jest on zapewne bardzo dobry?

Morze, Dzieciństwo,  
Marzenie

<sup>35</sup>słowy (daw.) — forma N. Im; dziś: słowami. [przypis edytorski]

— Dobry! Gdybym była wielką damą, sprawiłabym mu kapotę ciepłą, z niebieskiego aksamitu z brylantowymi guzikami, nankinowe<sup>36</sup> spodnie, czerwoną aksamitną kamizelkę, kapelusz z piórem, złoty zegarek, srebrną fajkę i dałabym mu tyle, ot tyle pieniędzy.

Upewniłem ją, że wuj jej zasługuje na wszystkie wyżej wymienione skarby, chociaż w rzeczy samej nie mogłem go sobie przedstawić w wytwornym stroju wymyślonym dlań przez wdzięczną i kochającą sierotkę. Wyliczając te bajeczne skarby, Emilka podniosła główkę i wpatrzyła się w szafir niebios. Niebawem jednak wróciliśmy z tej krainy marzeń do rzeczywistości, to jest do muszelek i kamyków.

— Chciałabyś być wielką i bogatą damą? — spytałem.

Zaśmiała się wesoło.

— Czemu nie — odrzekła — i bardzo. Bylibyśmy panami, ja, wujcio, Ham i nawet pani Gummidge. Nie dbalibyśmy o słoty i burze... to jest nie dbalibyśmy dla siebie, lecz żałowalibyśmy zawsze bardzo biednych rybaków i pomagalibyśmy im w nieszczęściu, dawali pieniądze.

Przypuszczenie to było wielce przyjemne i wydało mi się dlatego bardzo prawdopodobne, szczerą napelniając mnie radością. Wyrażałem to tak gorąco Emilce, że się ośmieliła zapytać:

— A co, teraz boisz się morza?

Spokojne było w tej chwili i wcale niestraszne. Gdyby jednak nadpłynęła fala, uciekłbym prawdopodobnie co tchu, pomny na to, co mi dopiero opowiadała o losie rybaków. To mi nie przeszkadzało upewnić ją, że się wcale nie boję, i że ona sama mniej się lęka zapewne, jeśli, jak mówiła, zbliża się do drewnianego ogrodzenia u stromeego w tym miejscu wybrzeża.

— Tego się nie lękam — rzekła. — Boję się, gdy morze huczy i szumi. Wówczas oboje, ja i Ham, truchlejemy na myśl samą, na jakie niebezpieczeństwo wuj nasz jest narażony. Zdaje się nam czasem, że go słyszymy, jak woła o ratunek. Oto dlaczego wołałabym być wielką panią. Ale tak, to się wcale nie boję morza, ani trochę, spójrz tylko.

Pobiegła naprzód i wskoczyła na spróchniałą belkę sterczącą nad głęboką tonią. Widzę ją — i gdybym był malarzem, oddałbym wiernie spojrzenie, jakie zatopiła w oddali, a które mi na zawsze zostało w pamięci.

Po chwili jasna, rumiana, tryumfująca podbiegła do mnie i zapomniałem o strachu, jaki mnie zdjął przed chwilą, i o tym, że krzyknąłem, wołając o ratunek, chociaż nikogo nie było w pobliżu. W wiele lat później, myśląc o tym i o tajemniczych zagadnieniach istnienia, wobec tego objawu pociągu do niebezpieczeństwa, pytałem siebie nieraz, czy nie lepiej by wyszła na tym, jeśliby życie straciła w tej chwili? Pytałem siebie, czy gdyby wówczas odsłonione<sup>37</sup> przede mną zostały przyszłe koleje jej życia i gdybym dziecięcym rozumieniem obliczyć mógł ich rozciągłość, a ode mnie zależało ratować ją od niebezpieczeństwa, czy dobrze bym zrobił ratując? A był czas, w którym na pytanie, czy nie lepiej wyszłaby na tym, jeśliby ją morskie w tej chwili pochłonęły fale, zmuszony byłem odpowiedzieć we własnym sumieniu: tak, byłoby lepiej.

Lecz nie wyprzedzajmy wypadków. Odbiegłem od nich wspomnieniem, wróćmy zatem do rzeczy.

Biegaliśmy długo po wybrzeżu, zbierając i dźwigając tysiące przedmiotów, które się nam wydawały nieskończenie ciekawe, wrzucając nazad<sup>38</sup> do wody wyrzucone na brzeg rybki i inne żyjątka, pewien zresztą nie jestem, czy im w ten sposób wielką oddawaliśmy usługę. Po powrocie do domu, w cieniu, przy składzie lin, zamieniliśmy z Emilką niewinnego, ale serdecznego całusa i w najlepszych humorach stawiliśmy się na śniadanie!

— Niby dwie rodzone jagódki — zauważył pan Peggotty.

Kochałem się w małej Emilce, kochałem się w tej małej dziecinie tak tkliwie i czule, z takim zapomnieniem siebie, jak się może w dojrzałym wieku nie kochałem już nigdy. Dziś jeszcze marzy mi się ta drobna błękitnooka dziecina niby coś nadprzyrodzonego,

<sup>36</sup>nankin — rodzaj tkaniny bawełnianej o gęstym splocie płóciennym (tj. wątek i osnowa przeplatają się naprzemiennie, równomiernie, każda nić z każdą), z której od XIX w. wykonywano bieliznę i męskie spodnie (pierwotnie o barwie jasnożółtej); nazwa jest eponimem i pochodzi od chińskiego miasta Nankin. [przypis edytorski]

<sup>37</sup>odsłoniony — dziś raczej: odsłonięty. [przypis edytorski]

<sup>38</sup>nazad — z powrotem. [przypis edytorski]

anielskiego. Jeśliby jej kiedy w pogodny letni wieczór wystrzeliły nagle skrzydła z ramion, nie byłbym bynajmniej tym zdziwiony.

Przechadzaliśmy się po wybrzeżu dłoń w dłoń godzinami całymi. Dnie nam mijały tak, jak gdyby sam czas zmienił się był w dziecię, aby igrać z nami. Pani Gummidge i Peggotty wpadały w zachwyt nad nami i szeptały pomiędzy sobą co wieczór, spoglądając na nas: „Cudo! Istne cudo!”. Pan Peggotty uśmiechał się, patrząc na nas spoza kłębow dymu swej fajki, a Ham zżymał się<sup>39</sup> tylko lub wyszczerzał zęby. Byliśmy dla nich rodzajem rozkosznej zabawki, cackiem, widowiskiem, czymś w rodzaju Koloseum<sup>40</sup> w mikroskopijnych rozmiarach.

Spostrzegłem niebawem, że pani Gummidge nie zawsze bywała uprzejma i przyjemna. Owszem. Humor jej nie odznaczał się równością, a gderania jej i wyrzekania wypełniały ciasne mieszkanko. Współczułem jej szczerze, niemniej zdarzały się chwile, w których myślałem, że dobrze byłoby, aby pani Gummidge posiadała własne apartamenty dla schronienia się tam w chwilach złego humoru.

Pan Peggotty uczęszczał czasem do gospody zwanej „Chętna Dusza”. Dowiedziałem się o tym z ust pani Gummidge pewnego wieczoru, wkrótce po naszym przybyciu. Spojrzawszy na zegar pomiędzy ósmą a dziewiątą, oświadczyła nagle, że pan Peggotty udał się do gospody, a nadto, że od rana wiedziała, iż na tym się skończy.

Pani Gummidge była w złym humorze od rana, a przed obiadem, gdy piec zaczął dymić, wybuchła wielkim płaczem, wołając, że jest biedną, nieszczęśliwą, opuszczoną istotą.

— Przejdzie to zaraz — uspokajała ją Peggotty — zresztą przykre to jest zarówno i dla nas.

— Lecz ja bardziej na tym cierpię — odparła pani Gummidge.

Dzień był chłodny i wietrzny. Kąt, zwykle zajmowany przez wdowę u kominka, był najcieplejszy, fotel najwygodniejszy, ale tego dnia widocznie jej to nie zadowalało. Ciągle się uskarżała na zimno, na przebiegające po plecach dreszcze. Płakała nawet i wyrzekała na swą nieszczęsną dolę.

— Istotnie jest zimno, wszyscy to czujemy — zauważyła Peggotty.

— Lecz ja to czuję bardziej niż ktokolwiek inny — odrzekła pani Gummidge.

Podobnie było przy obiedzie. Zaraz po mnie, a uważano mnie za gościa, podawano półmiski pani Gummidge, lecz nic nie mogło jej zadowolić. Ryby były drobne i kościaste, ziemniaki przypalone. Wszyscyśmy to wprawdzie zauważyli<sup>41</sup>, lecz pani Gummidge upewniała nas, że ją to w szczególny sposób dotyka, co potwierdziła zresztą strumieniem gorzkich łez.

Toteż gdy około dziewiątej pan Peggotty wrócił do domu, zastał panią Gummidge z pończochą w ręku i na zwykłym swym miejscu, lecz posępną i rozżaloną. Peggotty szła wesoło, Ham łątał buty, ja zaś, siedząc obok małej Emilki, czytałem na głos. Od herbaty pani Gummidge nie odezwała się ani razu, tylko od czasu do czasu wdychała ciężko.

— Dobry wieczór — zawołał wchodząc gospodarz domu.

Wszyscyśmy, oprócz pani Gummidge, powitali go, ten słowem, ów spojrzeniem, ona sama tylko w ponurym milczeniu skłoniła głowę niżej nad pończochą.

— Cóż znowu! — rzekł pan Peggotty, podając jej rękę. — No, nie martw się, kobieto!

Pani Gummidge nie zdawała się bynajmniej<sup>42</sup> zdolna do rozstania się ze smutkami. Co więcej, wyciągniętą z kieszeni chustką zaczęła ocierać oczy.

— Co się stało? — pytał pan Peggotty.

— Nic się nie stało — odrzekła. — Wracasz przecie z gospody.

— Ano tak, wstąpiłem tam wieczorem.

<sup>39</sup>zżymać się — niecierpliwic się; denerwować, złościć się. [przypis edytorski]

<sup>40</sup>Koloseum — wybudowany w I w. n.e. w Rzymie amfiteatr (zw. Amfiteatrem Flawiuszów); wysoki na niemal 50 m, o obwodzie przekraczającym 500 m, stanowi jedną z najbardziej efektownych i reprezentatywnych budowli miasta, obiekt przyciągający turystów co najmniej od 2. poł. XVIII w. [przypis edytorski]

<sup>41</sup>wszyscyśmy (...) zauważyli — inaczej: wszyscy zauważyliśmy (konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika). [przypis edytorski]

<sup>42</sup>bynajmniej — wcale (dosł.: jak najmniej). [przypis edytorski]

— Żałuję, że cię wyprawiła.  
— Wyprawiła! — zaśmiał się gospodarz domu. — Nie potrzebuję być aż wyprawiany, sam tam idę chętnie.

— Chętnie, zbyt chętnie — mruczała, kiwając głową i ocierając oczy. — Otóż w tym bieda, że tym chęciom ja jestem winna.

— Ani myśl o tym<sup>43</sup> — uspokajał ją pan Peggotty.

— Tak, tak — wołała, łkając, pani Gummidge — wiem dobrze, jakie jest moje nie-  
szczęsne położenie, wiem, jak jestem opuszczona i że nie tylko mnie się nie wie, lecz  
że przynoszę z sobą nieszczęście. Tak, tak, czuję to, czuję wszystko żywiej niż ktokolwiek  
inny i okazuję to, i jest to właśnie moja niedola.

Nie mogłem, słuchając owej rozmowy, powstrzymać się od uwagi, że niedola w nie-  
małej mierze spada na tych, którzy z nią mieszkają. Dobry pan Peggotty, chociaż i był  
może podobnego co ja zdania, nie wyraził tego, owszem starał się uspokoić rozżaloną  
kobietę.

— Nie jestem tym, czym być pragnę — mówiła pani Gummidge — nie jestem  
tym, czym być powinnam, wiem o tym, niedola rozdrażniła mię, boleję nad mą niedo-  
łą, chciałabym nie czuć, lecz nie jest to w mocy mojej, chciałabym być mężniejsza, ale  
przechodzi to moje siły. Wiem, jestem nieznośna, zatruję każdemu życie, dokuczam  
siostrze twojej i małemu panu Davy.

Pospiesznie zaprzeczyłem.

— Ale tak, tak, wiem, co mówię — twierdziła rozżalona. — Lepiej będzie pójść precz  
stąd i umrzeć. Opuszczoną, nieszczęśliwą jestem istotą, powinnam ustąpić z drogi. Nic  
mi się nie wie, wszystko przeciw mnie się obraca... Danielu, pozwól mi wrócić do  
domu, pozbędziesz się mnie wreszcie...

Z tymi słowy udała się na spoczynek. Gdy odeszła, pan Peggotty, który słuchał wy-  
rkań jej ze współczuciem, spojrzął po nas obecnych i, wstrząsając głową, rzekł z cicha:

— Myśli o starym.

Nie wiedziałem, o jakim właściwie „starym” mogła myśleć pani Gummidge, i do-  
piero Peggotty, moja własna Peggotty, rozbierając mnie objaśniła, że tym „starym” był  
nieboszczyk mąż jej. Wiedział o tym brat Peggotty, współczując niedoli wdowy. Istotnie  
dosłyszałem, jak pan Peggotty, zawieszając na noc swój hamak, mówił jeszcze do Hama:  
„Biedaczka! Myślała o starym”. Powtarzał to, i zawsze z niezmiennym współczuciem, za  
każdym razem, gdy w czasie naszych odwiedzin pani Gummidge wpadała w swój żaloszny  
nastrój.

Tak minęły dwa tygodnie, nie przynosząc innych zmian, prócz przyływów i od-  
pływów morza i dostosowanych do nich odjazdów i powrotów pana Peggotty i Hama.  
Ham brał nas czasem z sobą dla pokazania nam statków i okrętów. Raz nawet przewiózł  
nas łodzią po morzu. Nie wiem doprawdy, dlaczego pewne wspomnienia tak szczegól-  
nie wiążą się z pewnymi miejscami, zwłaszcza gdy chodzi o wspomnienia z dzieciństwa,  
lecz sądzę, że tak być musi. Ile razy zdarzyło mi się słyszeć lub czytać nazwę Yarmouth,  
tyle razy w pamięci stawał mi pewien poranek niedzielny, spędzony na wybrzeżu. W po-  
wietrzu rozlegały się kościelne dzwony. Emilka stała oparta o moje ramię. Ham rzucał  
od niechcenia kamyki w morze, a za morzem słońce wylańało się spoza zwojów mgły,  
oświecając okręty, w mglistej dali do własnych swych podobne cieni.

Nadszedł dzień powrotu do domu. Dzielnie panując nad sobą, pożegnałem pana Peg-  
gotty i panią Gummidge, lecz boleść moja przy rozstaniu z małą Emilką nie miała granic.  
Szliśmy, dłoń w dłoni, do gospody, skąd mieliśmy wyjeżdżać. Obiecywałem pisywać do  
niej, czego też dotrzymałem, kreśląc z niezwykłą starannością olbrzymie litery. Byliśmy  
bardzo smutni, a tak wielkiej pustki, jak ta, którą miałem na odjeździe w sercu, nie  
zdarzyło mi się może nigdy odczuć równie głęboko.

Przez cały czas pobytu w Yarmouth zachowałem się niewdzięcznie względem własnego  
mego domu, gdyż rzadko i mało o nim myślałem. Lecz zaledwie wsiedliśmy na wózek,  
rozbudzone sumienie zaczęło czynić wyrzuty, a rozdarte serce uczuło żywiej niż kiedy  
bądź, że wracam do gniazda, że matka tylko zdoła mnie pocieszyć i żal mój ukoić! Uczucie  
to wzrastało, w miarę jak zbliżaliśmy się do domu, a niecierpliwe pragnienie ujżenia

<sup>43</sup>ani myśl o tym — nawet o tym nie myśl; nie myśl o tym wcale. [przypis edytorski]

domowych progów wznagało się na widok znanych mi miejsc i przedmiotów. Tylko Peggotty, zamiast dzielić me uczucia, powstrzymywała ich ciągle wybuchy, wyglądała przy tym jakby zmieszana i jakoś nieswoja. Tak dotarliśmy do Blunderstone... Widzę je, widzę w świetle pochmurnego popołudnia, wśród szarej i dżdżystej pogody.

Drzwi się otwarły, wbiegłem półśmiechnięty, półwzruszony, chcąc już rzucić się w objęcia mej matki, lecz zamiast niej spotkałem nieznaną służącą.

— Peggotty — zawołałem cofając się — czy mama nie wróciła jeszcze?

— Wróciła, wróciła — uspokajała mię Peggotty, a po chwili dodała — Niech się panicz zatrzyma chwilkę, powiem coś paniczowi.

Zmieszana i z wrodzoną niezręcznością wylaziła najniezgrabniej pod słońcem z wózka, lecz byłem zbyt przerażony, aby się śmiać z tego. Ujęła mnie za rękę i wprowadziła do kuchni, zamykając za sobą drzwi.

— Peggotty, co się stało? — pytałem wystraszony.

— Nic się, chwała Bogu, nie stało — odrzekła z udaną wesołością.

— Pewien jestem, że się coś stało. Gdzie mama?

— Gdzie mama? — powtórzyła, wahając się, Peggotty.

— Tak, gdzie mama? Czemu nie wyszła na nasze spotkanie, czemu jej tu nie ma?

Oczy moje pełne były łez gotowych popłynąć za chwilę, serce mi się ścisnęło okropnie, sianiałem się na nogach.

— O mój Boże! — zawołała, podtrzymując mnie, Peggotty. — Co ci jest, co, moje dziecko?

— Może umarła — wyszeptalem z trudnością.

Peggotty zaprzeczyła energicznie, usiadła, aby się wysapać, mówiąc, że ją przestraszył.

Wstrząsnąłem nią, aby się uspokoiła, i wpatrywałem się w nią pytająco.

— Widzisz, kochanie — zaczęła — miałam ci to już przedtem powiedzieć, tylko... nie było sposobności... mniejsza z tym, trzeba było powiedzieć raz stanowczo...

— Mów, mów, Peggotty — błagałem czując, że mnie coraz większy zdejmuję niepokój.

— Kochanie — rzekła, rozwiązując drżącą ręką wstążki kapelusza, po czym jednym tchem dorzuciła — A gdyby tak panicz dostał tatę?

Zadrzałem i zbladłem. Na wspomnienie tej tam mogiły na cmentarzu i na myśl o wskrzeszonym trupie coś owiało mnie na kształt trującego oddechu.

— Nowego tatę — dodała Peggotty.

— Nowego — powtórzyłem.

Peggotty zaczerpnęła powietrza, jak gdyby miała połknąć coś niezwykle wstrętnego, i wyciągając rękę, rzekła:

— Pójdź, zobacz go.

— Nie mam wcale ochoty go widzieć.

— A mamę? — spytała Peggotty.

Przestałem opierać się i dałem się wprowadzić do bawialnego pokoju. Po jednej stronie kominka siedziała matka moja, a po drugiej pan Murdstone. Matka moja wypuściła z rąk robotę i powstała śpiesznie, lecz, jak mi się zdawało, nieśmiało.

— Kochana Klaro — ozwał się pan Murdstone — pamiętaj, żebyś zawsze panowała nad sobą. Jak się masz, chłopcze!

Ujął mnie za rękę, po czym dopiero ucałował moją matkę. Uścisnęła mnie i wróciła do rzuconej przed chwilą roboty. Nie śmiałem oczu podnieść ani na nią, ani na niego, a że czułem wzrok jego na nas obojgu, więc się zbliżyłem do okna, przypatrując się krzakom, których liście zwarzył jesienny chłód.

Skorzystałem z pierwszej sposobności, by uciec na górę. Pokoik mój sypialny nie był już obok pokoju mojej matki, lecz gdzieś daleko. Wszystko było zmienione lub zmienionym mi się zdało. Wybiegłem na dziedziniec, lecz i stąd uciekłem wprędce, gdyż pustą dotąd psią budę zajmował brytan czarny, kudłaty, do niego podobny. Pies ten wyskoczył na mnie, wyszczerzając białe i potężne kły.

Przemiana, Matka,  
Małżeństwo, Dziecko

## ROZDZIAŁ IV. POPADAM W NIEŁASKĘ

Jeśliby pokój, gdzie przeniesiono moje łóżeczko, był istotą żyjącą, na której świadectwo można się powołać, zaświadczyłby dziś jeszcze (ciekawym<sup>44</sup>, kto tam dziś sypia?), z jak ciężkim sercem udałem się wieczoru tego na spoczynek. Wchodząc na schody, słyszałem bezustanne ujadanie psa na dziedzińcu, a wszedłszy do pokoju, usiadłem z założonymi na piersi rękoma, pogrążając się w zadumie.

Myślałem o najdziwniejszych rzeczach: o kształcie pokoju, o rysach na sklepieniu, o tapetach, o skazach na zwierciadle i dziwnym z tego powodu łamaniu się odbicia, o koślawej umywalni, co mi podeszłym swym wiekiem przypominała panią Gummidge. Myśląc o tym wszystkim, płakałem gorzko, sam nie wiedząc czemu, czując tylko chłód i osamotnienie. Wreszcie przypomniałem sobie, że się kocham na śmierć w małej Emilce. Oderwany od niej, znajduję się w miejscu, gdzie nikt o mnie nie dba ani w połowie tak, jak dbałoby to dziewczętko. Wprawilo to mnie w taką rozpacz, że lkałem, dopóki sen mnie nie zmorzył.

Zbudził mnie głos mówiący: „Mamy go!”. Jednocześnie uczułem, że mi ktoś odkrywa rozpaloną głowę. Nade mną stały matka moja i Peggotty.

— Davy — spytała moja matka — co ci jest?

Zdziwiło mnie to pytanie, toteż odpowiadając krótko „nic”, odwróciłem się, chcąc skryć zbyt wymowne drżenie ust.

— Davy! Dziecko moje — powtórzyła matka moja.

Sądzę, że nic mnie bardziej w tej chwili dotknąć nie mogło, jak ta nazwa „dziecko” w jej ustach. Skryłem zapłakaną twarz w poduszkach, odpychając prawie pochylającą się nade mną matkę, która zawołała:

— Twoje to dzieło, Peggotty! Niegodziwa Peggotty! Nie wątpię teraz o tym! Jakże to zdołasz pogodzić ze swym sumieniem! Zbuntować moje rodzone dziecko przeciw mnie lub przeciw komuś, kto mi jest drogi! Czy masz serce, czy masz sumienie?!

Biedna Peggotty wzniosła oczy i dłonie, mówiąc:

— Niech Pan Bóg pani wybaczy, pani Copperfield, i strzeże panią, abyś słów tych nie pożałowała.

— I to kiedy jeszcze! — ciągnęła ze łzami matka moja. — W miodowym miesiącu, wówczas gdy najsroższy nieprzyjaciel nie miałby serca trwożyć mnie i martwić. Davy! Niedobre dziecko! Zła, niegodziwa Peggotty! O, jakże ten świat jest przewrotny, i to wówczas właśnie, gdy mi się wszystko uśmiechać winno...

Uczułem dotknięcie ręki nie matki mojej i nie Peggotty. Od razu powstałem na nogi. Dłoń pana Murdstone spoczywała na moim ramieniu.

— Cóż to znowu? — mówił. — Klaro, duszko, zapominasz się. Więcej stanowczości!

— Przepraszam cię, Edwardzie — odrzekła matka moja — chciałam być odważna, lecz tak mi smutno...

— Doprawdy, Klaro, tak prędko.

— Przykro mi właśnie, że to nastąpiło teraz — tłumaczyła matka i dając się nieco, dodała — Ależ bo i jest czym się smucić...

Przygarnął ją do siebie, mówiąc jej coś z cicha, po czym ją pocałował. Widząc, jak tonęła w jego objęciu, zrozumiałem od razu, że nagnie on, jak zechce, słaby jej charakter.

— Odejdź, kochanie! — rzekł pan Murdstone. — Dawid zejdzie niebawem ze mną.

Zwracając się zaś po odejściu mej matki do Peggotty, spytał ją:

— Czy znane ci jest nazwisko twej pani?

— Zbyt dawno jej służę — odrzekła zagadnięta — abym nie wiedziała, jak się nazywa.

— Tak by się zdawało! A jednak wchodząc na schody, wyraźnie słyszałem, jak ją nazwałaś nienależącym do niej nazwiskiem. Nosi ona teraz moje. Pamiętaj o tym na przyszłość.

Peggotty wyszła, rzucając na mnie szybkie spojrzenie i mówiąc coś o tym, że na nią czekają. Pozostawszy sam ze mną, pan Murdstone zamknął drzwi i, siadając naprzeciw mnie, wpatrzył się we mnie. Nie spuszczałem i ja też z niego oka. Czuję, jak mi serce głośnie i szybko bije w piersiach.

Dziecko, Okrucieństwo,  
Rodzina, Dyscyplina

<sup>44</sup>ciekawym — forma skrócona; inaczej: ciekawy jestem. [przypis edytorski]



— Dawidzie — rzekł, zaciskając usta — jak ci się zdaje, co robię z krnąbrnym psem lub koniem?

— Nie wiem — odrzekłem.

— Smagam<sup>45</sup> go.

Upřednią odpowiedź wyszeptalem cicho, teraz tchu mi zabrakło w piersiach.

— Prowadzę go jak na pasku i mówię sobie: musi mi ulec, musi, chociażby życiem miał przypłacić. Pokaż, co masz na twarzy?

— Brud — odrzekłem.

Wiedział dobrze, że to są ślady łez, lecz jeśliby sto razy powtórzył pytanie, za każdym razem dodając sto uderzeń, to i tak za nic na świecie nie przyznałbym się, że płakałem.

— Dowcipny jesteś, nie ma co mówić — uśmiechnął się ze zwykłą sobie powagą. — Sprytny nad swój wiek. Zrozumiemy się doskonale. Otrzyj twarz i chodź ze mną.

Gestem nakazującym natychmiastowe posłuszeństwo wskazał umywalnię, która właśnie przypominała mi tak żywo panią Gummidge. Nie wątpię, że przy najłżejszym oporze zgiałby mnie we dwoje.

— Klaro, kochanie — rzekł, wprowadzając mnie za rękę do bawialnego pokoju — uspokój się, zażegnałem, spodziewam się, twe zmartwienie, możemy się wspólnie weselić.

Niech mnie nieba mają w swej opiece, lecz sądzę, że jedno ciepłe, serdeczne słowo, wyrzeczone w tym czasie, zmieniłoby mnie i całe moje życie. Słowo zachęty, objaśnienia, współczucia dla mej dziecinnej boleści, zapewnienia, że dom ten nie przestał być mi rodzinnym domem, mogło mu zjednać na zawsze moje dziecięce serce, uczynić mnie ufnym, a nie skrytym, natchnąć szacunkiem zamiast nienawiścią. Zapewne matka moja bolała, widząc mnie tak sztywnym i zamkniętym w sobie. Gdy brałem krzesło, spoglądała na mnie z niepokojem. Musiała zauważyć nagły brak naturalnej mej, dziecięcej swobody. Gdyby jedno słowo... ale nikt go nie wymówił.

Zasiedliśmy do stołu we troje. Zdawał się być czułym dla mej matki, co wszelako bynajmniej<sup>46</sup> nie powiększyło skali mych uczuć dla niego. Zrozumiałem z tego, co mówiono, że starsza jego siostra miała zamieszkać z nami i właśnie oczekiwano jej tego wieczoru. Nie wiem też, czy tego wieczoru, czy potem, dowiedziałem się, że on i jego siostra mieli jakieś interesy z właścicielem handlu win w Londynie, że spółka ta trwała od lat już wielu, związana jeszcze przez jego dziada. Bądź co bądź, notuję to obecnie tak, jak mi się nasuwa na pamięć.

Po obiedzie, gdyśmy siedzieli przy kominku, a ja myślałem tylko o tym, by się najprędzej, bez obrazy pana domu, wymknąć do Peggotty, usłyszeliśmy podjeżdżający do bramy ogrodu pojazd. Wyszedł na spotkanie przybywającej siostry, a za nim powstała i moja matka. Nieśmiało szedłem za nią. Już za drzwiami i w cieniu zwróciła się szybko do mnie, przycisnęła — jak to dawniej zwykła była czynić — do serca, mówiąc mi z cicha, że powinienem kochać i poważać mego nowego ojca. Uściskała mię tkliwie, lecz lękliwie jakoś, niby w tajemnicy, i zakładając rękę za plecy, trzymała mnie za rękę. Dopiero gdyśmy się z nim zrównali, wypuściła moją rękę ze swojej, aby się oprzeć na jego ramieniu.

Nowo przybyła panna Murdstone wyglądała złowrogo. Podobna z twarzy do brata, jak on brunetka o smagłej cerze, miała jak on dwoje gęstych brwi nad dużym nosem, a wyglądało to tak, jak gdyby ich obfitością nagrodzić sobie chciała brak bokobrodów. Miała z sobą dwa czarne kufry z wybitymi na nich świecącymi literami. Płacąc woźnicy dostawała<sup>47</sup> pieniądze ze stalowej sakiewki, którą wydobyła z większego worka zawieszzonego na rękę na stalowym łańcuchu. Nigdy nie zdarzyło mi się widzieć bardziej metalowej kobiety.

Wprowadzono ją do bawialnego pokoju z tysiącem uprzejmości. Tu zbliżyła się do mojej matki, jako do bliskiej krewnej, a spostrzegłszy mnie, spytała:

— Synek to twój, bratowo?

Matka moja skłoniła twierdząco głowę.

— Na ogół — zauważyła panna Murdstone — nie lubię chłopców. Jak się masz, chłopcze?

<sup>45</sup>smagać — bić różgą, biczem, szpicrutą, rzemieniem (przedmiotem długim i wiotkim). [przypis edytorski]

<sup>46</sup>bynajmniej — wcale (dosł.: jak najmniej). [przypis edytorski]

<sup>47</sup>dostawać (daw.) — tu: wyciągać, wydobywać. [przypis edytorski]

Na tę zachęcającą przemowę odpowiedziałem wprawdzie, że zdrow jestem i spodziewam się, że panna Murdstone w dobrym też pozostaje zdrowiu, lecz uczyniłem to tak nieuprzejmie, że przybyła zadecydowała:

— Brak mu manier.

Wypowiedziawszy wyrok ten dobitnie, prosiła, aby jej wskazano pokój, który miała zająć. Pokój ten, zapewniony dwoma zawsze na klucz zamkniętymi kuframi, rozwieszonymi dokoła niby broń lustrami oraz stalowymi łańcuszkami i szpilkami, w które się zwykle stroiła, stał się odtąd dla mnie przybytkiem strachu.

Zauważyłem wkrótce, że panna Murdstone nie ma wcale zamiaru opuścić nas kiedykolwiek. Zaraz nazajutrz zajęła się „pomaganiem” mojej matce w gospodarstwie: przez cały dzień robiła porządki w spiżarni. Niebawem przekonałem się, że posądzala ustawicznie służące o ukrywanie gdzieś, na strychu zapewne, mężczyzn. Pod tym pretekstem biegała ciągle po schodach i zaglądała we wszystkie kąty, a gdy otwierała szafy, czyniła to tak, jak gdyby już miała złapać złodzieja.

Chociaż żadnej w panie Murdstone lotności nie było, wstawiała równo ze skowronkami, wcześniej niż ktokolwiek w domu. Peggotty zapewniała nawet, że sypia jednym tylko oknem, co mi się jednak i po kilkakrotnych osobistych próbach nie wydało prawdopodobne.

Zaraz nazajutrz po przybyciu wstała z pianiem kogutów, a gdy matka moja zeszła na śniadanie, dziobnęła ją w policzek, co miało oznaczać pocałunek, mówiąc:

— Przybyłam tu, kochana Klaro, aby ci ulżyć i być we wszystkim pomocą. Jesteś zbyt ładna i roztrzepana — tu matka moja uśmiechnęła się uprzejmie — abyś mogła podolać przeróżnym swym obowiązkom. Oddaj mi z łaski swej klucze i pozwól, abym cię wyręczała.

Od chwili tej klucze przeszły wyłącznie w ręce panny Murdstone. We dnie nosiła je u paska, zawieszane na żelaznym łańcuszku, w nocy chowała pod poduszką, a matka moja nie miała do nich dostępu. Zrazu protestowała przeciw tak stanowczemu usunięciu siebie na bok. Pewnego wieczoru, gdy panna Murdstone przedstawiała bratu pewne plany gospodarskie, z zupełnym pominięciem pani domu, matka moja rozplakała się, utrzymując, że warto by może i o jej zdanie spytać.

— Klaro — zauważył surowo pan Murdstone — Klaro! Dziwię ci się, doprawdy!

— O! Dobrze ci dziwić się, Edwardzie! — zawołała, płacząc, moja matka. — Pewna jestem, że sam czegoś podobnego byś nie zniósł.

Stanowczość była największą cnotą w pojęciu pana Murdstone i jego siostry. W moim dziecięcym wyobrażeniu pozostała ona jednoznaczna z despotyzmem i z pewnym ponurym, chłodnym, zarozumiałym usposobieniem, jakim oboje, brat i siostra, się odznaczyli. Wierzyli oni święcie, że pan Murdstone niezłomny jest w swych postanowieniach i że nikt pod słońcem nie jest tak niezłomny i być nim nie może. Jedyny wyjątek stanowiła panna Murdstone. Wolno jej było być też stanowczą — jedynie dzięki pokrewieństwu — ale w niższym, niejako poddańczym, stopniu. Matka moja stanowiła także wyjątek. Ta powinna być niezłomna w postanowieniach, lecz w tym tylko znaczeniu, aby ślepo ulegać ich woli i ślepo wierzyć w ich nieomyślność.

— Trudno — zaczęła matka moja — we własnym domu...

— Własnym... — powtórzył pan Murdstone. — Klaro!

— W naszym domu — jękała się biedna, widocznie wystraszona kobieta — sądziłam, że mnie zrozumiesz, Edwardzie! Sądziłam, że w *twoim* domu będę miała głos chociażby doradcy. Dawniej umiałam prowadzić gospodarstwo... — tu matka moja rozplakała się na dobre — możecie spytać Peggotty...

— Edwardzie — przerwała panna Murdstone — trzeba raz temu położyć koniec, jutro wyjeżdżam.

— Jane Murdstone — ozwał się brat jej — milcz, proszę. Czy mnie nie znasz?

— Doprawdy — szlochała matka moja — doprawdy nie chciałabym narazić się nikomu i byłabym bardzo nieszczęśliwa, jeśliby ktokolwiek miał stąd odjechać. Nie wymagam wiele, nie jestem tak szalona, chciałabym tylko, aby czasem i o moje spytano zdanie. Wdzięczna jestem, doprawdy, za każdą dobrą radę i chciałabym tylko czasem, choć dla przyzwoitości, wyrazić swe zdanie. Sądziłam, Edwardzie, że ci się moje niedoświadczenie podobało niegdyś... Teraz wyrzucasz mi je tak surowo...

Żona, Kobieta,  
Małżeństwo, Mąż

— Edwardzie — powtórzyła panna Murdstone — trzeba raz temu położyć koniec. Pozwól, że odjadę jutro.

— Jane Murdstone — zagrzmiął głos brata — milcz, proszę, jak śmiesz!

Panna Murdstone wydobyła z torby chustkę i podniosła ją do oczu.

— Klaro! — zwrócił się do mojej matki mąż jej — zadziwiasz mnie, wprawiasz w zdumienie! Prawda, cieszyła mnie myśl poślubienia młodej, niedoświadczonej istoty, której charakter mógłbym wykształcić, zahartować wolę. Lecz kiedy siostra moja raczy przybyć mi z pomocą i z łaski swej chce zająć się gospodarstwem domowym, wyręczyć cię, to w zamian spotyka ją czarna niewdzięczność...

— O, Edwardzie! Edwardzie! — szlochała matka moja — nie oskarżaj mnie tylko o niewdzięczność. Wierz mi, nie jestem niewdzięczna... Nikt mi tego dotąd nie zarzucał. Wiele mam wad, ale niewdzięczna nie jestem, o, nie!

— Spotyka ją czarna niewdzięczność — ciągnął pan Murdstone — dlatego, wyznaję, czuję się obrażony, zraniony nawet.

— Edwardzie! Edwardzie! — błagała, zanosząc się od płaczu, moja matka — nie mogę znieść twych wyrzutów! Wdzięczne mam i kochające serce, zapewniam cię, że kochające, spytaj Peggotty.

— Słabość, choćby największa, nie ma dla mnie najmniejszego znaczenia — zauważył pan Murdstone. — Zadyszałaś się, kochanie!

— Nie gniewaj się, proszę, nie mogę, widzisz, żyć bez przywiązania, w chłodzie, w obojętności... Tak mi ciężko! Wiem o tym, że mam tysiące przeróżnych wad, lecz ty jesteś tak dobry, że chcesz zahartować mój słaby, niedołężny charakter. Jane, nie sprzeciwiam się już niczemu, zranisz mnie śmiertelnie, odjeżdżając...

Głosu zabrakło biednej mojej matce!

— Jane Murdstone — wtrącił się pan Murdstone — nigdy dotąd nie padły między nami drażliwe słowa. Jeśli to się obecnie zdarzyło, nie moja w tym, jak sama widzisz, wina. I nie twoja także. Ktoś inny popchnął nas do tego, wywołał wstrętą dla nas obojga scenę. Zapomnijmy o tym, co zaszło.

Tu spostrzegł mnie.

— Nie jest to scena odpowiednia dla dzieci — zauważył. — Idź spać, Dawidzie.

Oczy miałem pełne łez i z trudnością trafiłem do drzwi. Tak mi było żal biednej mojej matki! Po ciemku wszedłem na schody i do mego pokoju, nie mając nawet chęci prosić Peggotty o światło i uściskać jej na dobranoc. Gdy po godzinie przyszła do mego łóżka, powiedziała mi, że matka moja położyła się splakana i zmartwiona, a pan i panna Murdstone siedzą jeszcze razem w bawialnym pokoju.

Zszedłem nazajutrz wcześniej niż zwykle i zatrzymałem się chwilę u drzwi, słysząc głos mojej matki. Przepraszała ona bardzo serdecznie i pokornie pannę Murdstone, a gdy szanowna ta dama raczyła udzielić jej przebaczenia, pogodziły się z sobą na dobre. Odtąd nie słyszałem już nigdy matki mojej wypowiadającej w jakiej bądź sprawie swego zdania, bez uprzedniego przekonania się, czy takowe panna Murdstone podziela lub, co najmniej, czy nie jest temu przeciwna. Ta zaś, za każdym wybuchem złego humoru, a podlegała chronicznie tej słabości, potrząsała pękiem kluczy tak, jak gdyby chciała się ich pozbyć, co zawsze nieskończenie przerażało moją matkę.

Ponure rysy charakteru Murdstonów rzucały cień i na religijne ich uczucia: religia ich była surowa i mściwa. Przychodziło mi odtąd na myśl, że było to konsekwentnym wynikiem owej stanowczości, co nie znała dla nikogo i za nic przebaczenia. Pamiętam nasze surowe miny, gdyśmy szli do kościoła, który mi się innym niż przedtem zaczął wydawać. Niedziela mijała po niedzieli, siadywałem w ławce podobny do więźnia przywleczonego na ofiarę. Panna Murdstone w czarnej, aksamitnej, rzekłbyś, na kształt całunu zrobionej sukni siadała tuż obok mnie, za nią dopiero matka moja, pan Murdstone ostatni. Peggotty nie przychodziła już z nami, jak niegdyś bywało. Słyszę ostry głos panny Murdstone odpowiadającej księdzu, widzę jej czarne oczy, na każdą wzmiankę o „nędznych grzesznikach” obiegające całe zgromadzenie. Widzę łagodne i wystraszone spojrzenie mej matki i usta jej poruszające się cicho, pomiędzy tymi dwojgiem, których modły rozlegały się niby grom z nieba. Zdawało mi się czasem, że nie tylko kapłan u ołtarza, lecz i sami aniołowie w niebie są grzesznikami, a sprawiedliwymi — tylko pan i panna Murdstone

Pobożność

ne. A jeśli zdarzyło mi się poruszyć palcem lub rozciągnąć mięśnie twarzy, książka do nabożeństwa panny Murdstone pokrywała mi sińcami cały bok.

Tak, widzę po drodze do domu sąsiadów spoglądających z westchnieniem współczucia na mnie i na matkę moją. Idąc nieco za Murdstonami i matką, mogłem pochwycić znaczące spojrzenia sąsiadów i sam zacząłem się dziwić, że kroki mojej matki stały się mniej zwinne i coraz ciemniejsza chmura osiadała na jasnym jej czole. Pytałem siebie wówczas, czy sąsiedzi pamiętają jeszcze, jakżeśmy dawniej z nią we dwoje chodzili<sup>48</sup> do kościoła, i przez całą niedzielę pozostawałem smutny.

Zaczęto mówić o wysłaniu mnie do szkoły. Projekt ten wyszedł od pana i panny Murdstone i naturalnie został zatwierdzony przez moją matkę; tymczasem miałem się uczyć w domu.

Nie zapomnę nigdy owych lekcji. Wbiły mi się głęboko w pamięć. Pozornie udzielane mi były przez matkę, lecz w obecności pana Murdstone i jego siostry, którzy znajdowali tu gotową sposobność do wyrabiania w matce mojej owego hartu, będącego ich hasłem i ustawicznie wywieszonym sztandarem. Zdaje mi się nawet, że jedynie w tym celu ociągano się z wysłaniem mnie do szkoły. Zdolny byłem i chętny do nauk, dopóki sam byłem z matką. Zachowałem niejasne, lecz błogie wspomnienie pierwszej nauki alfabetu, odbytej u jej kolan, w jej objęciu. Po dziś dzień nie mogę spojrzeć na czarne kształty wielkich liter, na okrągłość O i Q, na wężykowatość S, bez powracania do odległych, bardzo odległych, lecz wcale nie wstrętnych wspomnień. Owszem, razem z ulubioną mą książką o krokodylach, cała nauka czytania wydaje mi się rozkoszną przechadzką wśród klombów różnorodnego kwiecia. Nie takie jednak były późniejsze, oficjalne, w obecności Murdstonów udzielane lekcje. Pełne nudy i smutku, długie, liczne, ciężkie, niezrozumiałe, nużące zarówno ucznia jak i nauczycielkę.

Niechże przypomnę sobie dokładnie, jak to wtedy bywało, niechże przeżyję wspomnieniem jeden z dni mego dzieciństwa.

Po śniadaniu, pamiętam, wszedłem do bawialnego pokoju z książkami, kajetami i tabliczką w rękę. Matka moja czekała na mnie już przy swoim biurku, pan Murdstone przy oknie, czytający niby książkę, panna Murdstone nawlekająca stalowe paciorki. Sam już widok tych dwojga nieodstępnych towarzyszy mego życia wywierał na mnie takie wrażenie, że zapomniałem lekcji wyuczonej dopiero z niemałym trudem. Bóg wie, gdzie się to wszystko podziwiał.

Podąłem książkę matce, nie pamiętam już, gramatykę, historię czy geografii. Spojrzałem raz jeszcze na rozłożoną stronicę i zacząłem powtarzać lekcję. Potknąłem się raz, widzę skierowane na siebie spoza książki spojrzenie pana Murdstone. Zająknąłem się raz, drugi, widzę spojrzenie rzucone mi przez pannę Murdstone. Zarumieniłem się po uszy, zabelkotałem coś i ani rusz dalej. Matka podpowiedziałyby mi może, lecz biedaczka nie śmiała i jęknęła tylko:

— Davy! O, Davy!

— Klaro! — wtrącił pan Murdstone — miejże więcej charakteru i nie psuj tak chłopca. Jedno z dwojga, umie czy nie umie lekcji?

— Nie umie — zdecydowała stanowczo panna Murdstone.

— Istotnie, zdaje się, że nie umie — przyznała moja matka.

— W takim razie — rzekła panna Murdstone — oddaj mu książkę, niech się douczy.

— Zapewne — podchwyciła matka moja — było to właśnie moim zamiarem. Davy, weź, powtórz, naucz się, moje dziecko. Nie bądźże głupi!

Starąłem się zastosować do rozkazu i powtarzałem zadaną lekcję, lecz widocznie byłem głupi i nie mogłem skupić uwagi. Myślałem, ile tasiemek wyjść mogło na siatkę pokrywającą czarne włosy panny Murdstone? Myślałem, ile kosztował szlafrok pana Murdstone i o tym podobnych rzeczach. Wtem pan Murdstone poruszył się, poruszyła się panna Murdstone, matka moja spojrzała na nich, zamknęła książkę i odłożyła ją na bok.

Odkładane książki gromadziły się w stosy, a im więcej się ich gromadziło, tym mniej stawałem się pojętny. Widząc, że nie poradzę sobie, zdałem się na łaskę i niełaskę mej doli. Spoglądaliśmy po sobie z matką w najżałośniejszy sposób, lecz i to nie pomagało. Korzy-

<sup>48</sup> *jakżeśmy (...) chodzili* — inaczej: jak chodziliśmy (konstrukcja zdaniowa z ruchomą końcówką czasownika). [przypis edytorski]

stając z odwróconej na chwilę od siebie uwagi, starała się ona ruchem ust naprowadzić mnie na daremnie szukaną drogę. Wtem panna Murdstone odezwała się ostrzegającym tonem:

— Klaro!

Matka moja drgnęła, zarumieniła się, próbując pokryć zafrasowanie uśmiechem, a pan Murdstone powstał z miejsca, wziął z rąk jej książkę, rzucił mi ją w twarz i targając mnie za uszy, wypchnął za drzwi bawialnego pokoju.

Ale jeśli nawet inne lekcje szły jako tako, czekała mnie zawsze istna niedola z arytmetyką, której uczył mnie sam pan Murdstone. Lekcja zaczynała się od zadania:

— Jeśli pójdę do kramu i kupię cztery tysiące podwójnych serków z Gloucester, po cztery i pół pensa sztuka, ile to wyniesie?

Odpowiedzieć trzeba było w lot. Widzę zadowoloną minę panny Murdstone i liczę, liczę, bez skutku niestety, aż do samego nieraz obiadu, a gdy ścieraniem brudnej tabliczki i przeciąganiem palców po twarzy zmienię, bywało, siebie w Mulata, to już co najwyżej kawał suchego chleba dopomaga mi do strawienia owych czterech tysięcy podwójnych serków z Gloucester i jestem w niełasce przez resztę wieczoru.

W oddaleniu, w jakim mnie bieg życia postawił od tych dni dziecięcych, zdaje mi się, że taki a nie inny był codzienny przebieg mych nauk. To pewne, że uczyłbym się lepiej, a nawet i wcale dobrze, gdyby nie Murdstonowie, wywierający na mnie wrażenie podobne do tego, jakie wywierają węże na niektóre ptaki. Wówczas nawet, gdy przedobiednie lekcje udawały mi się względnie, całą wygraną stanowił obiad, gdyż panna Murdstone nie pozwalała mi odetchnąć i zaledwie skończył jedno zadanie, zwracała na mnie uwagę brata, odzywając się do mojej matki:

— Kochana Klaro! Zajmij czym swego chłopca, zajęcie zdrowe jest dla dzieci.

Toteż chwil wytchnienia miałem mało, z towarzystwa zaś rówieśników moich nie korzystałem wcale. Pan Murdstone uważał wszystkie dzieci, zapominając o tym zapewne, *jakie* do dziecię zasiadało raz w świątyni pomiędzy doktorami<sup>49</sup>, za mrowisko małych żmij, wzajemnie najzgrabniej oddziaływających na siebie.

Nieuniknionym następstwem podobnego trybu wychowania było spaczenie mego charakteru i zdolności. Stawałem się z dniem każdym posepniejszy, tępszy, kwaśniejszy, a to tym bardziej, im bardziej czulem się oddalony od mej matki. Sądzę, że popadłbym w skończony idiotyzm, gdyby nie następująca okoliczność.

Po ojcu moim został zbiór książek, zamknięty w małej izdebce na poddaszu, do której wstęp miałem i dokąd nikt oprócz mnie nie wchodził. Z tej to kryjówki wyciągałem na światło dzienne liczne powieści. Bohaterowie ich: *Roderick Random*<sup>50</sup>, *Peregryn Pic-*

<sup>49</sup>jakie to dziecię zasiadało raz w świątyni pomiędzy doktorami — aluzja do ewangelicznej opowieści (Łk 2,41–50) o dwunastoletnim Jezusie, który zgubił się swoim ziemskim rodzicom, Marii i Józefowi, gdy po święcie Paschy wracali z Jerozolimy do domu, do Nazaretu i został odnaleziony dopiero po trzech dniach poszukiwań: z całkowitym spokojem, czując się na właściwym sobie miejscu, oddawał się dysputom religijnym w świątyni, zasiadając jak wśród uczonych w Piśmie (doktorów), „Wszyscy zaś, którzy Go słuchali, byli zdumieni bystrością Jego umysłu i odpowiedziami” (Łk 2,47). [przypis edytorski]

<sup>50</sup>*Roderick „Rory” Random* — tytułowy bohater i narrator powieści lotrzykowskiej (pikarejskiej) szkockiego pisarza Tobiasza Smolletta (1721–1771), *The Adventures of Roderick Random*, (publ. 1748; pol. tł. B. Zieliński *Niezwykłe przygody Roderyka Randoma*, 1955); Roderick był synem szlachcica i kobiety z niższych klas; matka zmarła przy porodzie, ojciec postradał zmysły z rozpacz po jej śmierci; z powodu uprzedzeń klasowych rodzina ze strony ojca nie była chętna, by udzielać wsparcia chłopcu, który zmuszony był radzić sobie sam; doświadczywszy prześladowań ze strony bezdusznego wychowawcy, został karnie wydalony ze szkoły i pozabawiony dalszej możliwości edukacji, jednak wcześniej zdołał opanować francuski, włoski, łacinę i klasycyzm grekę; z tym bagażem ruszył w świat, do Londynu, Francji, Indii, Afryki, a nawet Ameryki Płd., w towarzystwie nieodstępного, prostodusznego Hugh Strapa. [przypis edytorski]

kle<sup>51</sup>, *Humphrey Clinker*<sup>52</sup>, *Tom Jones*<sup>53</sup>, *Wikary Wakefieldzki*<sup>54</sup>, *Don Kichot*<sup>55</sup>, *Gil Blas*<sup>56</sup> i *Robinson Crusoe*<sup>57</sup> stali się ukochanymi mymi towarzyszami, rozbudzali mą wyobraźnię, utrzymywali nadzieję, odrywali od miejsc i chwil obecnych. Książki te wraz z *Bajkami z tysiąca i jednej nocy* nie wywierały na mnie złego wpływu, gdyż to, co było w nich złe, przechodziło moje pojęcie. Dziś dziwię się tylko, jak — obciążony niewdzięcznymi naukami — mogłem znaleźć czas na czytanie. To pewne, że czytanie zostało mi pociechą, że się wcielałem sam lub wcielałem tych, których kochałem, w bohaterów, w każdym czarnym charakterze dopatrując się rysów podobieństwa z panem i panną Murdstone. Przez całe tygodnie bywałem Tomem Jonesem, przez miesiące Roderickiem. Zajmowały mnie też niesłychanie opisy podróży, nie wiem już czyje, znalezione na półkach. Stawiałem siebie w położenie podróżników zdanych na pożarcie dzikich zwierząt i tym podobne niebezpieczeństwa i wówczas nawet, gdy za niedouczoną lekcję gramatyki targano mnie za uszy, bohaterowie moi nic a nic nie tracili na tym, pozostawali zawsze szczytnymi bohaterami.

Było to moje jedyne, lecz potężne poparcie. Gdy myślę dziś o tym, widzę siebie w podobne wieczory, z książką w ręku, gdy rówieśnicy moi igrali na cmentarzu. Każda sąsiednia stodoła, dach każdy, każdy cmentarny kamień wiąże się w wyobraźni mojej z jakąś czarodziejską historią: *Tom Pipes*<sup>58</sup> wlaził na kościelną dzwonnice, *Strap*<sup>59</sup> z torbą na ple-

<sup>51</sup>*Peregryn Pickle* — tytułowy bohater *The Adventures of Peregrine Pickle* (tl. na jęz. pol. T. Tatarkiewiczowa, wiersze tl. W. Lewik, *Peregryn Pickle*, t. 1–2, 1962), powieści lotrzykowskiej szkockiego pisarza Tobiasza Smolletta (1721–1771), opublikowanej w 1751 r. i opowiadającej historię wlotów i upadków pewnego egotysty, obracającego się w środowisku wyższych sfer społecznych osiemnastowiecznej Europy. [przypis edytorski]

<sup>52</sup>*Humphrey Clinker* — bohater ostatniej z powieści lotrzykowskich Tobiasza Smolletta (1721–1771), zatytułowanej *The Expedition of Humphry Clinker* i opublikowanej w 1771 r. (tl. pol. A. Gliniczanka, pt. *Wyprawa Onufrego Clinkera*, 1956); epistolarna forma powieści, daje możliwość przedstawienia tych samych zdarzeń z punktu widzenia różnych osób, co prowadzi do satyrycznych spiętrzeń i pozwala na ciekawe obyczajowe obserwacje; listy wymienia, przemierzając obszary Zjednoczonego Królestwa, sześcioro bohaterów: walijski ziemianin Matthew Bramble, jego siostra Tabitha, ich siostrzenica i siostrzeniec: Lydia i Jeremy Melford, pokojówka Tabithy Winifred Jenkins oraz konkurent do ręki Lydii, Wilson. [przypis edytorski]

<sup>53</sup>*Tom Jones* — tytułowy bohater klasycznej powieści *Historia życia Toma Jonesa, czyli dzieje podrzutka* (ang. *The History of Tom Jones, a Foundling*; wyd. 1749) Henry’ego Fieldinga (1707–1754); jest to opowieść o mędrzyckiej drodze Toma ku dorosłości i poślubieniu wybranki serca oraz jego walki z uprzedzeniami społecznymi (podrzucony na progu domu zamożnego pana Allworthy, był wychowywany przez niego jak syn, ale wśród służby uchodził za syna prostytutki); przy okazji przedstawiona została cała galeria postaci: rabusiów, Cyganów, żołnierzy, nieuczciwych prawników, a losy Toma wchodzą w dowcipne paralele z dziejami bohaterów mitologicznych. [przypis edytorski]

<sup>54</sup>*Wikary Wakefieldzki* — właśc. pleban z Wakefield, Charles Primrose, bohater powieści irlandzkiego pisarza Olivera Goldsmitha (1728–1774) *The Vicar of Wakefield* (1766; wyd. pol. pt. *Wikary wakefieldzki* 1825). [przypis edytorski]

<sup>55</sup>*Don Kichot* (hiszp. *Don Quijote*) — tytułowy bohater powieści Miguela de Cervantesa (1547–1616); niemłody już hidalgo (szlachcic, rycerz), który pod wpływem romansów o czynach rycerskich postanawia ruszyć w świat i wcielić w życie średniowieczny ideał rycerski; powieść w sposób humorystyczny, ale nie bez sympatii, a nawet rzetelności opisuje przygody Don Kichota jako błędnego rycerza (tj. rycerza błądzącego, podróżującego w poszukiwaniu okazji do rycerskich czynów), przemierzającego przestrzenie Hiszpanii na koniu Rosynancie, z otyłym, prostodusznym i przyziemnym giermkim Sancho Pansą u boku. [przypis edytorski]

<sup>56</sup>*Gil Blas* — tytułowy bohater powieści lotrzykowskiej (pikarejskiej) *Histoire de Gil Blas de Santillane* (publ. 1715–1735; tl. na jęz. pol. J. Rogoziński: *Przypadki Idziego Blasa*) autorstwa fr. pisarza i adaptatora literatury hiszp. Alaina Lesage’a (1668–1747); Gil Blas, choć pochodził z rodziny plebejskiej z małego miasteczka, został wysłany przez rodzinę na naukę na uniwersytet w Salamance; po drodze jednak kilkakrotnie padł ofiarą złodziei, zmuszony został przylączyć się do bandy rozbójników, a wydobywszy się z tych tarapatów, zdecydował się na karierę służącego zamiast akademickiej; ta okoliczność pozwala czytelnikowi towarzyszyć bohaterowi w antyszambach przedstawicieli wszelkich stanów i rozmaitych profesji, od kanonika i lekarza po arcybiskupa, a nawet ministra, co daje pole do obserwacji społeczno-obyczajowych. [przypis edytorski]

<sup>57</sup>*Robinson Crusoe* — tytułowy bohater powieści przygodowej Daniela Defoe (1660–1731), opublikowanej 25 kwietnia 1719 r. (do końca tego roku miała 4 wydania); powieść ma formę epistolarną i opowiada dzieje rozbitek, który spędził 27 lat na bezludnej, tropikalnej wyspie w okolicach Trynidadu, dając dowody dzielności, przemyślności, zaradności i woli przetrwania; jest to jedna z pierwszych powieści angielskich, źródło rodzaju fabuł powieściowych, filmowych, słuchowiskowych itp. zwanych *robinsonadami*. [przypis edytorski]

<sup>58</sup>*Tom Pipes* — służący Peregryna Pickle, tytułowego bohatera powieści Tobiasza Smolletta. [przypis edytorski]

<sup>59</sup>*Hugh Strap* — towarzyszy przygód Roderick „Rory’ego” Randoma, w powieści lotrzykowskiej Tobiasza Smolletta (1721–1771), *The Adventures of Roderick Random*, (publ. 1748; pol. tl. B. Zieliński *Niezwykłe przygody Rodericka Randoma*, 1955). [przypis edytorski]

cach mijał furtkę cmentarną, a *Commodore Trunnion*<sup>60</sup> i pan *Pickle*<sup>61</sup> wiedli swe narady w wiejskiej izdebce naszej karczmy.

Po tym wszystkim, co się powiedziało wyżej, czytelnik wyobrazi sobie łatwo, jaki byłem w chwili, do której dobiega moje opowiadanie.

Pewnego poranku, wchodząc z książkami do bawialnego pokoju, zastałem matkę moją zasmuconą i przerażoną, pannę Murdstone jak zawsze niezłomną, zaś pana Murdstone wiążącego coś koło kija — cienkiego i gibkiego — którym za moim zjawieniem się przetrząnął ze świstem powietrze.

— Zapewniam cię, Klaro — mówił — że nieraz byłem smagany.

— Niewątpliwie, naturalnie — potwierdziła panna Murdstone.

— Zapewne — ozwała się matka moja i dodała nieśmiało — Czy ci to na dobre wyszło, Edwardzie?

— Sądzisz, że mu to zaszkodziło? — spytała surowo panna Murdstone.

— W tym rzecz — dorzucił pan Murdstone.

— Zapewne — powtórzyła z cicha moja matka.

Przecucie ostrzegło mnie, że nie byłem obcy toczącej się rozmowie. Pochwyliłem nagle zwrócony na siebie wzrok Murdstone'a.

— Dawidzie — rzekł — ostrzegam cię, abys był dziś uważny.

Mówiąc to, przetrząnął znów batem powietrze, po czym odłożył kij na bok i, rzucając mi złowieszcze spojrzenie, wziął się do zwykłego przy mej lekcji czytania.

Słowa te wywarły pożądane wrażenie. Chociaż zdawało mi się przedtem, że umiem lekcję, zapomniałem od razu i najzupełniej. Panna Murdstone nie spuszczała ze mnie oka. Jąkałem się, myliłem, rumieniłem, a gdy doszło do owych pięciu tysięcy podwójnych serków — „pięciu tysięcy kijów”, jak stało w zadaniu dnia tego — matka moja rozpląkała się na głos.

— Klaro! — upomniała ją panna Murdstone.

— Czuję się słaba, kochana Jane — usprawiedliwiała się moja matka.

Widziałem, jak Murdstone mrugnął na siostrę, a powstając z miejsca i biorąc kij w rękę, rzekł obojętnie:

— Nie podobna<sup>62</sup>, Jane, aby Klara znosiła dłużej męki, jakie jej zadaje ten chłopiec. Na to potrzeba hartu, na jaki Klara zdobyć się jeszcze nie może. Pójdziemy z Dawidem na górę.

Matka moja porwała się, aby nas zatrzymać, lecz na upomnienie panny Murdstone: „Klaro! pomiarkuj się!” zatkała sobie uszy i rozpląkała się na głos.

Pan Murdstone powolnym i uroczystym krokiem wprowadził mnie do mego pokoju, pieszcząc wzrokiem przybory do wymiaru sprawiedliwości. Gdy zamknął za nami drzwi, złapał mnie za głowę.

— Panie Murdstone! Panie! — wołałem. — Nie bij mnie, proszę! Nie bij! Staram się uczyć, wierz mi! Tylko wobec pana i pańskiej siostry zapominam tego, czegom się wyuczył<sup>63</sup>.

— Czy tak? — wycodził przez zęby. — Zobaczymy.

Wiłem się jak wąż w żelaznych jego rękach, błagając, aby mnie nie bił. Mocowaliśmy się z sobą przez chwilę. Widząc, że mi zatyka ręką usta, ukąsiłem go — jeszcze dziś na myśl o tym zaciskają mi się zęby.

Zaczął mnie bić, jak gdyby miał zasiec na śmierć. W zgiełku, jaki powstał, słyszałem wyraźnie głos i płacz matki mojej i Peggotty. Odszedł wreszcie, zamykając drzwi na klucz i zostawiając mnie rozgorączkowanego, splakanego, rozszalałego, tarzającego się po podłodze.

<sup>60</sup>*Commodore Trunnion* — jeden z bohaterów powieści Tobiasa Smolleta *Peregryn Pickle*; tytułowy bohater, odrzucony przez matkę i znienawidzony przez brata o widocznie złych skłonnościach (ojciec zachowywał bezstronność dzięki całkowitemu braku zainteresowania synem) dostał się pod opiekę Commodore'a Hawsera Trunnion, starego wilka morskiego, zamieszkującego wraz z dawnymi towarzyszami swych morskich podróży; Trunnion wychował chłopca, stając się jego zastępczym ojcem. [przypis edytorski]

<sup>61</sup>*pan Pickle* — Peregryn Pickle, tytułowy bohater powieści Tobiasa Smolleta. [przypis edytorski]

<sup>62</sup>*nie podobna* (daw.) — nie (jest) możliwe; nie można. [przypis edytorski]

<sup>63</sup>*czegom się wyuczył* — inaczej: czego się wyuczyłem (konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika). [przypis edytorski]

Pamiętam, o, jakże wyraźnie pamiętam tę ciszę, która zaległa dom cały, gdym się uspokoił czy raczej wyczerpał. Czułem się nieskończenie nieszczęśliwy i... winny.

Wsluchiwałem się w tę dziwną ciszę. Nigdzie ani dźwięku. Podniosłem się z podłogi, w zwierciadle ujrzałem mą twarz rozognioną, nabrzmiałą, straszną. Członki moje zeszywniały bolały mnie i za każdym poruszeniem wywoływały nowe lzy. Wszystko to jednak było niczym w porównaniu z wyrzutami sumienia. Uważałem siebie za zbrodniarza.

Ściemniało się, zamknąłem okno, na którego krawędzi chłodziłem płonące czoło, wtem klucz we drzwiach zazgrzytał i panna Murdstone wniosła trochę chleba, mięsa i mleka. Nie rzekłszy słowa, patrząc na mnie z niezłomną surowością, postawiła jedzenie na stole, a odchodząc, znów zamknęła mnie na klucz.

Od dawna już ciemno było, a ja czekałem ciągle, czy też nikt więcej nie przyjdzie? Gdy się przekonałem, że nie, rozebrałem się i położyłem, a leżąc, gubiłem się w domysłach, co mnie dalej czeka. Może, myślałem, popełniłem zbrodnię, a w takim razie oddany zostanie policji, wtrącony do więzienia?! Kto wie, powieszony może?

Nigdy też nie zapomnę przebudzenia się nazajutrz. Obudziłem się zrazu wypoczęty i spokojny, ale wkrótce powróciły gorzkie wspomnienia, wyrzuty sumienia i niepokój. Zanim wstałem, zjawiała się panna Murdstone z oznajmieniem, że mogę zejść na pół godziny do ogrodu i zostawiła otwarte drzwi.

Zszedłem. Przez pięć dni (tyle bowiem czasu trwało moje uwięzienie) co dzień rano odbywałem tę przechadzkę. Gdybym dojrzał matkę moją, błagałbym na klęczkach o przebaczenie, lecz widywałem samą pannę Murdstone, a matkę tylko przy wieczornych pacierzach, na które mnie panna Murdstone sprowadzała z góry, a przy których trzymano mnie z dala, jak banitę, i zanim wszyscy obecni z klęczek powstali, odsyłało do mego więzienia pod straż nieodstępnej panny Murdstone. Zauważyłem, że mi wyznaczano miejsce najodleglejsze od miejsca zajmowanego przez moją matkę i że ta odwracała się ode mnie. Zauważyłem też, że ręka pana Murdstone była obwiązana.

Nie potrafię wyrazić, jak mi się te dni dłużyły w nieskończoność! Wydają mi się, gdy je wspominam, długie jak lata całe. Wsluchiwałem się w odgłosy i szmery przepelniające dom; głos dzwonka, odmykania i skrzypienia drzwi, szmer głosów, kroki na schodach, każdy wybuch śmiechu, pogwizdywanie, śpiew na dziedzińcu, uderzenia zegara bardziej były niesamowite w mej samotności i poniżeniu. Zwłaszcza z wieczora, gdym przebudziwszy się, sądził, że to już rano, a przekonywałem się, że nikt jeszcze w domu oprócz mnie nie kładł się spać i że mam przed sobą całą długą noc! Kto zliczy sny gorączkowe, przywidzenia, poranki, południa, wieczory, gdy z okna śledziłam zabawy moich rówieśników, drżąc, by mnie z dala nie dostrzegli. Przecież musieli słyszeć o tym, co zaszło, o mym haniebnym uwięzieniu. Dziwne mi się wydawało, że nie słyszę dźwięku własnego głosu. Jedząc i pijąc, czułem się nieco weselszy, lecz to mijało prędko! Pamiętam pewien wieczór, monotony plusk deszczu i rozlane w powietrzu wonie, które wzmagaly się w przestrzeni pomiędzy mną a kościołem i ogarniający mnie mrok i strach, który zdejmował, i nieustające wyrzuty sumienia... Zdaje mi się, że trwało to nie dni, lecz lata całe, a wszystko to tak żywo zachowałem w pamięci.

Ostatniej nocy mego uwięzienia zbudziło mnie z cicha wymówione moje imię. Podniosłem się na posłaniu i, wyciągając w ciemnościach ręce, zawołałem:

— Peggotty!

Nie było z początku odpowiedzi, usłyszałem tylko powtórnie moje imię, lecz wymówione głosem tak stłumionym i niezwykłym, że przeląkłbym się, gdybym się nie domyślił, że głos przechodzi przez dziurkę od klucza.

Podbiegłem do drzwi i, przytulając usta do klamki, spytałem z cicha:

— Tyś to, kochana Peggotty?

— Ja sama, drogi, złoty mój paniczu! Cicho, by nas nie podsłuchało to kocie ucho.

Domyśliłem się, że mowa o panie Murdstone, której pokój przylegał do mego.

— Jak się czuje mama? — pytałem. — Czy bardzo się na mnie gniewa?

Słyszałem poza drzwiami ciche łkanie poczuwej Peggotty; dobra minęła chwila, zanim odpowiedziała:

— Nie, nie bardzo.



— Co też zamierzają począć ze mną? — pytałem. — Możeś słyszała<sup>64</sup>, kochana moja Peggotty?

— Szkoła w pobliżu Londynu — odrzekła.

Nie słyszałem zrazu, gdyż zamiast ucha miałem przyłożone do dziurki od klucza usta i czułem tylko ciepły oddech Peggotty.

— Kiedy?

— Jutro.

— Dlatego panna Murdstone wyjęła dziś z szafy moje odzienie.

— Tak, i kuferek.

— A czy zobaczę mamę?

— Jutro rano.

Tu Peggotty, przytulając coraz bardziej usta do dziurki od klucza, mówiła urywanymi słowy, lecz pełnymi uczucia:

— Davy! Kochanie moje! Jeśli nie byłam w ostatnich czasach taką jak dawniej... to nie dlatego, abym cię mniej kochała... Owszem, moja rybeńko... Tylko sądziłam, że... z tym lepiej będzie. Tobie... i jeszcze komuś... Słyszysz mnie, Davy?

— Słyszę.

— Moje ty kochanie! Oto co chciałam powiedzieć... nie zapominaj o mnie, bo ja ciągle pamiętać będę o tobie, drogie moje dziecko!... Bądź spokojny, będę czuwać nad twą mamą... jak czuwałam nad tobą... nie opuszczę jej... bo może, widzisz, przyjdzie chwila, w której stara, zła, brzydka, niegodziwa Peggotty będzie jej potrzebna. Napiszę do ciebie, kochanku, napiszę, chociaż nie jestem uczona i... i...

Tu zdaje mi się, że Peggotty, nie mogąc mnie ucałować, ucałowała klamkę.

— Dziękuję ci, Peggotty, moja dobra, kochana Peggotty! Przyrzeknij mi coś jeszcze, przyrzeknij, że napiszesz do pana Peggotty, do Emilki, pani Gummidge i do Hama, że nie jestem tak zły, jak sądzą, i że kłaniam się im wszystkim, a najwięcej małej Emilce. Napiszesz?

Pocziwa Peggotty obiecała napisać i oboje całowaliśmy dzielące nas drzwi. Gładziłem je tak, jak gdybym gładził pocziwą, rumianą twarz mojej kochanej Peggotty. Tej nocy powstało w sercu mym dla niej uczucie, którego nie potrafię określić. Nie, nie mogła zastąpić mi matki, lecz zajęła w uczuciach moich jakieś puste miejsce i czułem, że ją kocham więcej i inaczej niż kogokolwiek. Nie wiem, co bym począł, gdybym ją stracił, i jak bym przeżył to nieszczęście.

Z rana zjawiała się jak zwykle panna Murdstone z oznajmieniem, że wyjeżdżam do szkół, co zresztą nie było już dla mnie, jak wiemy, nowością. Oznajmiła mi też, że mogę zejść. Na dole zastałem matkę moją bladą i z zaczerwienionymi oczyma. Rzuciwszy się jej na szyję, zacząłem ją przeproszać.

— O, Davy! — rzekła. — Jak mogłeś zranić kogoś, kogo kocham! Popraw się i proś Boga, abyś był lepszy. Przebaczam ci, lecz boleję nad twoimi złymi skłonnościami.

Wmówili w nią, że mam złe skłonności, i to martwiło ją bardziej niż rozstanie ze mną! Z trudnością przetykałem śniadanie, a łyży spływały do mej herbaty. Chwilami czułem, że matka spogląda na mnie, lecz czyniła to ukradkiem, śpiesznie przenosiła wzrok ze mnie na nieodstępną pannę Murdstone lub odwracała w drugą stronę.

— Znosić kufer panicza — zakomenderowała panna Murdstone, gdy usłyszeliśmy turkot kół przy bramie.

Obejrzałem się za Peggotty. Nie było jej nigdzie, nie zjawił się też pan Murdstone. W drzwiach stał wózek ze znanym mi woźnicą. Zniesiono mój kuferek do wózka i tam go umieszczono.

— Klaro! — upominała matkę moją panna Murdstone.

— Gotowa jestem, kochana Jane — odrzekła. — Do widzenia, Davy. Odjazd ten wyjdzie ci na dobre. Do widzenia, moje dziecię! Wrócisz do nas na wakacje, wrócisz lepszy, prawda?

— Klaro! — powtórzyła ostrzegająco panna Murdstone.

— Służę ci, kochana Jane — odrzekła, nie wypuszczając mnie z objęć. — Przebaczam ci, dziecko moje... kochanie... niech cię Bóg strzeże...

<sup>64</sup>możeś słyszała — inaczej: może słyszałaś (konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika). [przypis edytorski]

— Klaro! — powtórzyła panna Murdstone.

Panna Murdstone, z łaski swej, odprowadziła mnie do samego wózka, oświadczając, że sądzi, iż się poprawię, bo inaczej smutny mnie czeka koniec. Wsiadłem, woźnica popędził konia.

## ROZDZIAŁ V. WYSYŁAJĄ MNIE Z DOMU

Odjechaliśmy może z pół mili i chustka moja do nosa zmoczona była już łzami, gdy nagle woźnica powstrzymał konia.

Obejrzałem się. Z krzaków wyskoczyła Peggotty i rzuciła się ku mnie. Porwała mnie w objęcia, przyciskając do piersi tak silnie, że aż nos mi się spłaszczył, co zauważyłem jednak później dopiero, gdy poczułem, że mnie boli. Nie mówiąc ani słowa, dostała<sup>65</sup> z kieszeni kilka paczek ciastek, a do ręki dała mi woreczek z pieniędzmi. Uściskawszy mnie raz jeszcze, lecz nie mówiąc, jak już wspomniałem, ani słowa, zeskokczyła i odbiegła. Sądzę, że przy tej sposobności wszystkie guziki jej sukni popękały. Widziałem, jak się kilka toczyło po drodze, jeden zaś znalazłem w wózku i długo chowałem na pamiątkę.

Woźnica obejrzał się na mnie pytająco. Skłoniłem głowę.

— Jazda! — zawołał.

Wypłakawszy wszystkie łzy, zacząłem rozmyślać, że płacz nie na wiele się przyda, zwłaszcza że, o ile przypominam sobie, ani Roderick Random<sup>66</sup>, ani żaden z kapitanów marynarki angielskiej, o których przygodach tyle się nazytałem, nie zwykli byli płakać<sup>67</sup>, nawet w najtrudniejszych chwilach życia. Woźnica widząc, że ostatecznie łzy otarł, zaproponował mi powieszenie mokrej chustki do nosa, dla szybszego wyschnięcia, na grzbiecie konia. Podziękowałem mu i zgodziłem się, dziwiąc się tylko, że moja rozpostarta chustka jest tak niewielka.

Teraz miałem dość czasu i przytomności umysłu, aby się przypatrzeć woreczkowi. Był on sztywny, skórzany, z zameczkiem i zawierał trzy błyszczące szylingi, które Peggotty, ku wielkiemu memu zadowoleniu, wyczyściła zapewne do połysku. Były tam nadto dwie pół korony, zawinięte w papier, na którym matka moja skreśliła własnoręcznie: „Dla mego kochanego Davy”. Rozrzewniło to mnie tak dalece, że prosiłem woźnicę o zdjęcie mej chustki do nosa z grzbietu konia. Nie usłuchał mnie jednak, twierdząc, że zdrowiej będzie wytrzeć oczy rękawem i nie płakać więcej.

Łkałem gwałtownie czas jakiś na wspomnienie przeżytych wrażeń, w końcu, uspokoiwszy się, spytałem woźnicę, czy zawiezie mnie aż do celu podróży.

— Do celu: gdzie? — spytał.

— Tam! — odrzekłem.

— Gdzie „tam”?

— Pod Londyn.

— Koń by mi padł na połowie drogi.

— Więc zawieziesz mię tylko do Yarmouth?

— Coś na kształt tego, aż do dylizansu, a dylizans powiezie aż tam...

Jak na siebie, pan Barkis — tak się zwał woźnica — powiedział wiele, gdyż, jak już zauważyłem, był powolny i na ogół małomówny. Ofiarowałem mu uprzejmie ciastko, połknął je od razu niby słoń, bez najmniejszego wysiłku na twarzy.

— Czy to ona piekła?

— Pan ma zapewne na myśli Peggotty?

— Tak! — odrzekł mi na to.

— Tak, panie. To ona piecze nam ciasto i gotuje obiady.

— Piecze ciasto!

Wydął usta jak do gwizdania, nie zagwizdał jednak, tylko się wpatrzył w uszy swego konia, jak gdyby je po raz pierwszy widział. Po długim milczeniu mruknął:

<sup>65</sup>dostać (daw.) — tu: sięgnąć i wyjąć; wydobyć. [przypis edytorski]

<sup>66</sup>Roderick „Rory” Random — tytułowy bohater i narrator powieści przygodowej Tobiasza Smolletta (1721–1771), *The Adventures of Roderick Random*, (publ. 1748; pol. tl. B. Zieliński *Niezwykłe przygody Roderyka Randoma*, 1955); w burzliwym swym życiu Roderick m.in. kilkakrotnie zaciągał się do służby na statku. [przypis edytorski]

<sup>67</sup>nie zwykli byli płakać — daw. forma czasu zaprzeczonego dla czynności wielokrotnej, powtarzalnej; znaczenie: nie mieli w zwyczaju płakać niegdyś (tzn. przed czasami opisywanymi); dziś tylko: nie płakali. [przypis edytorski]

— Bez słodkich zalecanek, co?  
— Słodkich potraw — poprawilem, wyobrażając sobie, że mu ślinka ciecze do ust na wspomnienie przysmaków.

— Zalecanek — powtórzył — tak, kawalerów. Nikt z nią nie spaceruje? Co?

— Z Peggotty?

— A! Z nią!

— O, nie. Nie miała nigdy narzeczonego.

Znów wzdął usta jak do gwizdania, lecz nie gwizdał, tylko jak poprzednio zapatrzył się w swego konia.

— Piecze więc — ozwał się po długim namyśle — ciastka z jabłkami i zajmuje się gotowaniem?

Potwierdziłem.

— Dobrze! Powiem coś paniczowi. Czy panicz będzie do niej pisywał?

— Na pewno będę — odrzekłem.

— A! — rzekł, odwracając się powoli ku mnie. — Pisząc, niech panicz nie zapomni dodać, że Barkis gotów. Dobrze?

— Gotów — pytałem — i nic więcej?

— Tak — rzekł zamyślony — tak, Barkis gotów.

— Ale pan wróci przecież jutro do Blunderstone — zauważyłem z żalem, że sam się oddalam — i może lepiej sam jej to powie.

Wstrząsnął przecząco głową i powtórzył: „Barkis gotów, oto wszystko”.

Spełniłem dane mi zlecenie i tego jeszcze popołudnia, czekając w gospodzie w Yarmouth na odejście dylizansu, wystarałem się o atrament, pióro, ćwiartkę papieru i napisałem do Peggotty, co następuje:

Moja kochana Peggotty!

Dojechałem tu szczęśliwie. Barkis gotów. Ucałuj ode mnie mamę. Kochający cię

*Davy.*

P.S. Prosi, abym cię upewnił, że zawsze „gotów”.

Odkąd podjąłem się wypełnić jego zlecenie, woźnica zamilkł i ja też wkrótce usnąłem na wózk. Spałem smacznie aż do Yarmouth i obudziłem się na dziedzińcu gospody, zawiedziony w słabej nadziei ujżenia tam kogokolwiek z rodziny Peggotty, a zwłaszcza małej Emilki.

Dylizans stał niezaprężony. Rozmyślałem, co się stanie z moim kuferkiem zdjętym z wózka Barkisa, jako też co pocznę z sobą w obcym i nieznanym miejscu, gdy przez okno, w którym wisiało ptactwo i półcie mięsa, wyjrzała jakaś kobieta.

— Czy to panicz jedzie z Blunderstone?

— Tak, pani.

— Nazwisko?

— Copperfield.

— Nie to, nie mamy zamówionego pod tym nazwiskiem obiadu.

— Może jest pod nazwiskiem Murdstone? — spytałem nieśmiało.

— Ano tak. Czemu to, chłopcze, od razu nie mówisz swego nazwiska?

Wyjaśniłem rzecz tę kobiecie, która zadzwoniła na służącego, zalecając mu odprowadzić mnie do przeznaczonego mi pokoju.

Pokój ten był obszerny, podłużny, przybrany wiszącymi na ścianie mapami, wśród których czułem się, nie wiem, czy nie bardziej zblakany, niż gdybym był w tych odległych krainach, które przedstawiały. Trzymając przed sobą kapelusz, usiadłem na brzegu krzesła tuż przy drzwiach i zdawało mi się, że popełnił czyn bardzo zuchwały. Toteż musiałem zarumienić się po uszy, gdy służący rozesłał serwetę na stole, kładąc na niej parę sztucców. Po chwili przyniósł kotlety i nieco jarzyn i stawiał to na stole tak zamaszycie, że się bałem, czy go czymś nie obraziłem, i uspokoiłem się dopiero, gdy przemówił wesoło:

— Do stołu, panie wielkoludzie!

Dziecko, Karczma, Sługa,  
Podstęp, Jedzenie

Podziękowałem mu uprzejmie, lecz nie umiałem sobie poradzić z widelcem i nożem, gdyż stojący przede mną lokaj onieśmielał mnie wielce. Rumieniłem się pod zwróconym na mnie jego spojrzeniem. Zaledwiem połkną<sup>68</sup> kilka kąsków, odezwał się:

— Jest tu jeszcze piwo dla panicza, czy mam nalać?

— Proszę.

Nalał w sporą szklankę, a podnosząc naprzeciw światła, roześmiał się.

— A czy nie za wiele to będzie?

— Zdaje mi się, że za wiele — odrzekłem z uśmiechem, zachwycony konceptami lokaja, który mrużąc oczy, z wypryszczoną twarzą i sterczącymi włosami, wyprostowany, jedną ręką ujął się pod bok, drugą podnosił wysoko kufel i spoglądał tak życzliwie.

— Wczoraj mieliśmy tu pewnego gościa — począł — Topsawyer miał na nazwisko, może panicz go zna?

— Nie przypominam sobie.

— W spodniach, kamaszach, palto szare, kapelusz o szerokich brzegach, w pstrym krawacie.

— Nie mam przyjemności — wybełkotałem.

— Przyszedł, kazał sobie podać kufel tego piwa — ciągnął lokaj. — Nie ostrzegłem go, wypił i padł bez życia. Za mocne było dla niego.

Opowiadanie wywarło wrażenie. Poprosiłem o szklankę wody.

— Ale... to... — ciągnął lokaj — gospodarz nasz nie znosi, gdy mu odnoszą raz zamówione potrawy i trunki, obraża się. Wypiję tedy z pozwoleniem pańskim, mnie to nie zaszkodzi wcale, przyzwyczajony jestem, a przyzwyczajenie staje się drugą naturą, wychylę duszkiem, można?!

Upewniłem go, że bardzo będę wdzięczny, jeśli to uczyni, pod warunkiem, że mu ten trunek nie zaszkodzi. Zdjął mnie jednak strach niemały, gdy wychylał — duszkiem, jak mówił — kielich, a w wyobraźni mojej żywo zarysowała się scena padającego bez życia pana Topsawyera. Uspokoilem się dopiero widząc, że na lokaja trunek nie wywarł żadnych widocznych skutków. Owszem, zdawało się, że go pokrzepił.

— A co tu mamy? — zawołał, sięgając widelcem do półmiska — kotlety?

— Kotlety — rzekłem.

— Na Boga! — wykrzyknął. — Nie miałem pojęcia, że to kotlety. Wyśmienity środek zapobiegający złym skutkom tego trunku! — Porwał kotlet za kostkę jedną ręką, a drugą ziemniaka, powtarzając tę czynność kilkakrotnie, i jadł z apetytem. Podając mi potem pudding, zdawał dumać nad czymś.

— Czy smakuje pieczone? — spytał.

— To jest pudding — odrzekłem.

— Pudding? A prawda! — zawołał, przypatrując się z bliska — ale chyba nie z bitej śmietany.

— Owszem, z bitej.

— A to szczęście! Jest to właśnie ulubiona moja potrawa — zawołał, porywając łyżkę — zobaczymy, kto z nas zje więcej.

Oczywiście, że zjadł więcej ode mnie, chociaż zabawiał mnie ciągle rozmową i zachęcał do jedzenia, lecz czymże była moja łyżeczka w porównaniu z jego wielką łyżką, moje kęsy w porównaniu z jego kęsami. Jadł z szalonym apetytem, śmiejąc się przy tym ciągle.

Widząc go tak przyjacielskim, ośmieliłem się poprosić o pióro, atrament i papier, aby napisać do Peggotty. Nie tylko przyniósł mi to chętnie, ale czekał, nim list ów napiszę. Gdy skończyłem, spytał mnie, gdzie jadę do szkół.

— Gdzieś niedaleko Londynu — odpowiedziałem.

— Szkoda — rzekł zasmucony — szkoda.

— Czemu?

— Och! — westchnął, kręcąc głową. — To szkoła, gdzie łamią chłopcom żebra. Znałem jednego, co aż dwa miał zgruchotane, a małe to było dziecko. Nie przymierzając, ile lat paniczowi?

— Skończyłem osiem — odrzekłem.

<sup>68</sup>zaledwiem połknął — inaczej: zaledwie połknąłem (konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika). [przypis edytorski]

— Właśnie jak tamten. Gdy miał osiem lat i sześć miesięcy, zgruchotali mu jedno żebro, a w dwa miesiące później — drugie.

Nie mogłem skryć przed sobą ani też przed lokajem wrażenia, jakie na mnie opowiadanie to wywarło, ani wstrzymać się od pytania, jak mu te żebra zgruchotano?

— Batami — brzmiała straszliwa odpowiedź, która bynajmniej<sup>69</sup> nie podniosła mnie na duchu.

Odgłos dzwonka dylizansu przerwał dalszą rozmowę. Wstałem i, sięgając do kieszonki, nie bez pewnej chępliwości z powodu posiadanej sakiewki, spytałem, jākając się, za co i ile mam zapłacić?

— Za ćwiartkę papieru — odrzekł lokaj i spytał zaraz, czy mi się zdarzyło kiedy kupować papier.

Nie przypominałem sobie.

— Kosztowny to artykuł — twierdził — zwłaszcza w pewnych okolicznościach. U nas cena ćwiartki równie trzy pensy. Oto wszystko, nie licząc, oczywiście, fatygi. Atramentu, aha, atrament... no, niech moje przepadnie.

— Wiele mam... wiele się należy... za fatygę? — bełkotałem, rumieniąc się po uszy.

— Gdybym nie miał rodziny — zawołał — i gdyby rodzina moja nie chorowała na ospę, nie wziąłbym i trzech groszy. Gdybym nie miał starego ojca i młodej siostry, nie wziąłbym i grosza, a gdybym był dobrze opłacany i karmiony, zamiast brać, sam jeszcze coś bym mógł ofiarować, lecz jadam czarny chleb i sypiam na węglach.

Rozplakał się.

Współczułem jego niedoli, zdecydowałem, że nie mogę dać mu mniej niż dziewięć pensów. Podałem mu więc całego szylinga. Przyjął go z nieskończoną wdzięcznością i uniżonością, próbując przy tym jednak palcem dźwięku monety.

Wsiadając do dylizansu, czułem się upokorzony ciężącym na mnie posądzeniem, jakobym sam zjadł tak suty obiad. Ostrzegły mnie o tym słowa wyglądającej przez okno kobiety, która zleciła konduktorowi, by czuwał nad „chłopcem, żeby nie pękł”, jako też z żartów kuchennej dziewczki, która wybiegła przypatrzeć się mnie niby potworowi jakiemu. Lokaj nic a nic nie zawstydzony brał udział w ogólnym podziwianiu, co zachwiało nieco moje zaufanie, jakie żywiłem do dorosłych. Czułem całą niesprawiedliwość ciężącego na mnie posądzenia i bolesnych żartów, zamienianych pomiędzy konduktorem a woźnicą, gdy dylizans z trudem ruszył z miejsca. Wiadomość też o moim fenomenalnym apetycie rozeszła się w mgnieniu oka między podróżnymi, którzy, śmiejąc się, zapytywali mnie, ile za mnie płacić będą w szkole, podwójną czy potrójną cenę. Najgorsze jednak było to, że czułem się głodny po lekkim obiedzie, a wstydziłem się jeść, kiedy się nadarzyła sposobność. Toteż cierpieć musiałem głód przez całą noc. Na dobitkę, w pośpiechu zapomniałem w gospodzie dane mi na drogę przez poczciwą Peggotty ciastka. Gdy dylizans zatrzymał się na popasie<sup>70</sup>, nie śmiałem się do wieczery, chociaż głód mi dokuczał dobrze. Usiadłem przed ogniem smutny, a dookoła żartowano ze mnie w najlepsze. Pan jakiś, czerwony i otyły, jedzący przez całą drogę i popijający bezustannie, zauważył ochryplym głosem, że podobny do boa przeżuwanego jednorazową ucztę; powiedziawszy to, kazał podać sobie porcję wołowiny.

Wyjechaliśmy z Yarmouth o trzeciej po południu, a przybyliśmy do Londynu dopiero nazajutrz o ósmej rano. Było to pośród lata i wieczór był prześliczny. Przejeżdżając przez wioski, wyobrażałem sobie, jak wyglądają wnętrza domów i ich mieszkańcy, a gdy chłopcy biegli za nami, czepiając się kół dylizansu, gubiłem się w domysłach, czy mają żyjących ojców i czy im dobrze w domu. Dużo też rozmyślałem o miejscu, ku któremu zmierzaliśmy, i strach mnie zdejmował wielki. Wracałem też od czasu do czasu wspomnieniem do domu, do Peggotty, a nieuspokojone sumienie stawiało mi pytanie, jaki byłem przed ukąszeniem pana Murdstone, a jaki jestem teraz? Zdawało mi się zresztą, że wypadek ten zdarzył się już dawno, bardzo dawno temu.

Noc w dylizansie mniej była przyjemna od wieczoru. Siedziałem pomiędzy dwoma podróżnymi — jednym z nich był ów otyły jegomość — którzy śpiąc przygniatali mnie tak bardzo, że chwilami nie mogłem powstrzymać się od łez i cichego: „przepraszam”,

Dziecko, Grzeczność

<sup>69</sup>bynajmniej — wcale (dosł.: jak najmniej). [przypis edytorski]

<sup>70</sup>popas — przerwa w podróży; odpoczynek dla koni pociągowych lub wierzchowych, podczas którego dostawały paszę lub pasły się na jakimś dostępnym terenie zielonym. [przypis edytorski]

które, budząc sąsiadów moich, wprawiało ich w najgorszy humor. Naprzeciw mnie siedziała wiekowa dama otulona w futra, a w mroku podobna raczej do stogu siana niż do kobiety. Miała ona z sobą kosz, z którym nie mogła sobie poradzić, dopóki go nie ułokowała pod moimi, uznanymi przez nią za krótkie, nogami. Ugniał on mnie i sprawiał największą niewygodę, a za każdym moim poruszeniem pobrzękiwały w koszu szkła jakieś, na co wiekowa dama, szturchając mnie w nogi, nazwała „wiercipiętą” i broniła mi ruszać się.

Na koniec słońce wstało i sen moich towarzyszy stał się lżejszy. Przez noc całą sapali i chrapali na wszystkie tony. Teraz kolejno zaczęli się budzić, a uderzyło mnie mianowicie to, że każdy utrzymywał, iż nie spał wcale, i gniewał się, gdy twierdzono przeciwnie. Później zauważyłem niejednokrotnie, że wśród licznych słabości ludzkich jest i słabość (do której, nie wiem dlaczego, ludzie przyznają się niechętnie) — spania w podróży.

Czym mi się Londyn wydał widziany z daleka i jak wierzyłem, że wszelkie przygody moich bohaterów ulubionych nadal się tam odgrywają i powtarzają, o tym mówić nie będę. Zbliżyliśmy się doń stopniowo od strony dzielnicy Whitechapel<sup>71</sup>, gdzieśmy się zatrzymali.

Konduktor, wysiadając z dyliżansu, spojrzął na mnie i krzyknął głośno:

— Czy jest tu kto po małoletniego pasażera Murdstone, z miejscowości Blunderstone w Suffolk?

Nie było odpowiedzi.

— Spytaj pan: Copperfield — zauważyłem nieśmiało.

— Czy jest kto dla spotkania małoletniego zapisanego pod nazwiskiem Murdstone, z Blunderstone w Suffolk, który sam się mianuje Copperfieldem? — powtórzył donośnie konduktor.

Nie, nie było nikogo. Spoglądałem niespokojnie dokoła. Znalazł się tylko jakiś jednooki jegomość w kamaszach i ruszył conceptem, czy nie najstosowniej byłoby nałożyć mi naszyjnik z nazwiskiem i zaprowadzić do stajni. Przystawiono do dyliżansu drabinę, znalazłem się tuż za panią w futrach, podobną do kopy siana, oglądając się na jej kosz. Wkrótce dyliżans opustoszał, wyniesiono bagaże. Odprężnięto konie, odciągnięto dyliżans. Po zakurzonego pasażera z Blunderstone w Suffolk nikt się nie zgłaszał.

Bardziej osamotniony od Robinsona Crusoe, którego opuszczenie nie miało przynajmniej świadków, wszedłem do gospody i na zaproszenie urzędnika przysiadłem na wadze do ważenia bagaży. Tu, patrząc na paki, kosze, walizy, oddałem się niewesołym rozmyśleniom, a mianowicie, co pocznę, jeśli się nikt po mnie nie zgłosi? Jak mi tu długo pozwolą pozostać za siedem szylingów, które posiadam? Czy noc spędzę w składzie wraz z innymi bagażami, a z rana myć się będę na dziedzińcu pod pompą, czy też wyrzucą mnie stąd przed nocą i będę musiał czekać, aż z rana znowu otworzą stację dyliżansów. A kto wie, może to pan Murdstone ułożył tak dowcipnie plan pozbycia się mnie raz na zawsze. Jeśli pozwolą mi tu pozostać, dopóki istnieć będą moje pieniądze środki — myślałem — to może zatrzymają i dłużej, dopóki nie umrę z głodu. Narazi to wprawdzie urzędników dyliżansowej kompanii na kosztą pogrzebu, ale cóż robić. A gdybym tak spróbował wrócić pieszo do domu? Jak tu nie zabłądzić! A zwłaszcza czy mogę liczyć na czyjeś przyjazne przyjęcie... prócz Peggotty. Czy nie lepiej udać się wprost do władz i oświadczyć mą gotowość wstąpienia do służby wojskowej lub do marynarki? Tylko czy prośba tak drobnego chłopięcia zostanie uwzględniona?

Myśli te i tysiące innych, równie niewesołych, warem<sup>72</sup> zlewały mi czoło, serce w pierśiach drętwiało z niepokojem i nie wiem, jakby się to skończyło, gdyby nie wszedł jakiś

<sup>71</sup>Whitechapel — uboga dzielnica Londynu w płn.-wsch. części miasta (East End), centralna ulica Whitechapel (nazwa od kapliczki pod wezwaniem Marii z Nazaretu) jest przedłużeniem drogi pamiętającej jeszcze czasy rzymskie i prowadzącej z Londynu przez Aldgate na wschód; w XVI w. dzielnica słynęła z niewielkich zakładów rzemieślniczych i produkcyjnych (w jednej z tamtejszych odlewni powstał symbol stolicy, Big Ben), od XVII w. zaczął się upadek dzielnicy, która w wieku XVIII słynęła z licznych domów publicznych, przestępczości, nędzy, powszechnego alkoholizmu, przeludnienia i wielkiej liczby bezdomnych; w epoce wiktoriańskiej Whitechapel uważana była za najniebezpieczniejszy obszar metropolii, na tym terenie doszło w latach 1888–1891 do 11 morderstw uznanych za dzieło tajemniczego seryjnego mordercy nazwanego Kubą Rozpruwaczem. [przypis edytorski]

<sup>72</sup>war — wrzątek; por. *warzyć*: gotować. [przypis edytorski]

nieznany jegomość. Porozmawiał chwilę z urzędnikiem, który zaraz potem zdjął mnie z wagi i oddał nowo przybyłemu, jak gdybym był zwykłym pakunkiem.

Wychodząc, spojrzałem na mego przewodnika, który trzymał mnie za rękę. Był to chudy, wyblakły młodzieniec z zapadłymi policzkami i włosami niemal tak czarnymi, jak pana Murdstone. Do tego się jednak ograniczało podobieństwo, gdyż brodę miał starannie ogoloną, a włosy nie lśniące, lecz zrudziałe i suche. Ubrany był też w czarną odzież spelzną i wytartą, przykrótką i przyciasną, kołnierz zaś jego koszuli nie był pierwszorzędnej białości. Nie przypuszczałam wprawdzie, by się na tym kołnierzyku kończyła jego bielizna, był to wszelako jedyny widoczny ślad takowej.

— Jesteś naszym nowym uczniem? — spytał.

— Tak, panie — odrzekłem, chociaż nie byłem tego zupełnie pewny.

— Jestem jednym z nauczycieli z Salem House — rzekł.

Ukloniłem się mu z uszanowaniem i tak dalece wydało mi się niestosownym wspominać o mym kufereku przed uczonym nauczycielem z Salem House, żeśmy odeszli spory kawał drogi, zanim ośmieliłem się napomknąć coś o tym. Na mą nieśmiałą uwagę, że kuferek może mi być potrzebny, wróciliśmy z powrotem. Pan nauczyciel oświadczył urzędnikowi, że po kuferek przyjdą w południe.

— Proszę pana — rzekłem, gdyśmy znów uszli spory kawał drogi — czy Salem House daleko?

— Tam za Blackheath — odrzekł.

— Czy to daleko? — spytałem raz jeszcze.

— Kawał drogi, będzie mil ze sześć, pojedziemy dylizansem.

Byłem tak zmęczony i osłabiony, że sama myśl zrobienia jeszcze sześciu mil drogi przerażała mnie. Ośmieliłem się wyznać, że nie miałem nic w ustach od dnia wczorajszego i że bardzo byłbym wdzięczny, jeśliby mi pozwolił coś gdzieś przekąsić. Propozycja moja zdziwiła go widocznie, gdyż przystanąwszy wpatrzył się we mnie bacznie i dopiero po chwili powiedział, że zna pewną staruszkę mieszkającą w pobliżu i że najlepiej będzie wstąpić do niej na szklankę mleka i kupić trochę chleba lub coś podobnego, byle coś zdrowego.

Zaszliśmy do kramu piekarza, gdzie mnie nęciły różne przysmaki, na kupno których nauczyciel nie chciał pozwolić. Skończyło się na porcji czarnego chleba, za którą zapłaciłem trzy pensy. W drugim sklepiku kupiliśmy jajko i kawał żylastej szynki, wyciągnąłem drugiego z mych lśniących szylingów, a po otrzymaniu sporej reszty podziwiałem taniość życia w Londynie. Tymczasem weszliśmy w ulice pełne gwaru i hałasu i doszliśmy do wielkiego mostu, którego nazwę mi nauczyciel powiedział, lecz byłem odurzony i na wpół senny. Wreszcie stanęliśmy przed nędznym domostwem — przytułkiem dla ubogich, jak się o tym dowiedziałem z napisu umieszczonego nad bramą. Przytułek ów był założony dla dwudziestu pięciu ubogich kobiet, jak brzmiał napis.

Nauczyciel nacisnął klamkę drzwi pomalowanych na czarno i weszliśmy do izdebki jednej z owych dwudziestu pięciu ubogich kobiet, która właśnie rozniecała ogień na kominku. Na widok nauczyciela staruszka opuściła miech, mrużąc coś jak „mój Karolku”, lecz dostrzegłszy mnie, zamilkła i spiesznie pochyliła się w ukłonie.

— Prosiłbym o ugotowanie śniadania temu młodzieńcowi — ozwał się nauczyciel.

— Zapewne, natychmiast — odrzekła staruszka.

— Jak zdrowie pani Fibbitson? — pytał nauczyciel, spoglądając na drugą kobietę, otuloną szalami i siedzącą w głębokim fotelu przy kominku.

— O! Żle, bardzo źle — utyskiwała staruszka. — Pewna jestem, że gdyby ogień zagaśł, zgaśłaby też niebawem.

Oboje patrzyli na nią i ja za nimi. Chociaż dzień był gorący, pani Fibbitson myślała widocznie tylko o ogniu i zdawała się zazdrościć stojącemu na nim rondelkowi. Zrozumiała zapewne, że jajko gotujące się w nim było moją własnością, gdyż korzystając z odwróconej uwagi nauczyciela i staruszki wyciągnęła ku mnie wskazujący palec. Słońce wpadało wprawdzie przez okno, lecz, odwrócona do niego plecami, wpatrywała się tylko w kominek i roześmiała się głośno, chociaż bynajmniej<sup>73</sup> nie melodyjnie, gdy podsycany ogień wybuchnął żywiej.

<sup>73</sup>bynajmniej — wcale (dosł.: jak najmniej). [przypis edytorski]

Usiadłem do mych jaj, chleba, szynki i mleka i zjadłem w najlepsze, a tymczasem staruszka ozwała się do nauczyciela:

— Czy flet przyniesiony?

— Przyniesiony — odrzekł.

— Warto by spróbować — zauważyła staruszka.

Nauczyciel sięgnął ręką za surdut i wydobył flet w trzech częściach, które natychmiast złożył. Teraz jeszcze myślę, że nikt chyba na świecie nie grał gorzej od niego. Z fletu wydobywał najostrejsze tony, jakie kiedykolwiek słyszałem. Nie wiem już, co grał, wiem tylko, że muzyka ta rozbudziła wszystkie moje żale i do łez pobudziła, odjęła mi apetyt i w końcu mnie uśpiła. Oczy mi się kleiły, kiwałem się tam i z powrotem na krzesło i pomału izdebka, komin, otwarta w kącie szafa, nieliczne twarde krzesła, schody wiodące do izdebki na poddaszu i trzy pawie pióra zatknięte nad kominkiem (podziwiałem je zrazu, pytając siebie, co paw myślałby, gdyby wiedział, do czego służyć będą jego ozdoby) — wszystko to znikło mi z oczu — zasnąłem. Nie słyszałem też fletu, a natomiast śniło mi się, że jestem w dylizansie, którego targnięcie zbudziło mnie nagle. Otworzyłem szeroko oczy. Nauczyciel siedział z założonymi jedna na drugą nogami i grał spokojnie, a obie staruszki słuchały jak w zachwyceniu. I to mi wkrótce znikło z oczu, flet, nauczyciel, staruszki, Salem House, sam nawet Dawid Copperfield, wszystko to zmazał głęboki sen.

Śniło mi się (myślałem, że to sen), że nauczyciel przygrywał na flecie, a staruszka w zachwycie zbliżała się do niego coraz bardziej, pochylała się nad nim coraz bliżej, aż ujęła go za szyję i ucałowała, co naturalnie przerwało grę. Musiałem pozostawać między snem a czuwaniem, gdyż istotnie nastąpiła przerwa w grze nauczyciela, a kiedy począł znów dąć w flet, słyszałem wyraźnie staruszkę mówiącą do pani Fibbitson: „A co? Przecudnie”, na co ta ostatnia odpowiedziała: „Oj, tak, tak”, kiwając zwróconą do ognia głową.

Z drzemki wyrwał mnie ostatecznie nauczyciel, który, złożywszy i schowawszy flet za surdut, wywiódł<sup>74</sup> mnie z izdebki. Wkrótce wsiedliśmy do omnibusu, gdzie zasnąłem znowu, mając niejasne pojęcie o drodze wśród pól zielonych, którąśmy jechali<sup>75</sup>. Zbudziłem się dopiero, gdy omnibus zatrzymał się w pobliżu, jak się domyślałem, celu naszej podróży. Po przejściu kilkuset kroków stanęliśmy przed zakładem Salem House. Ponury ten budynek otoczony był murem z cegły, a nad wejściem widniała tablica z napisem „Salem House”.

Za uderzeniem dzwonka ukazała się w zakratowanym okienku głowa, która przy otwarciu drzwi okazała się własnością silnego mężczyzny, z szyją buhaja, drewnianą nogą, obwiązanym czołem i krótko przystrzyżonymi włosami.

— Nowy uczeń — rzekł nauczyciel.

Mężczyzna na szcudle obejrzał mnie, co mu wiele czasu nie zabrało, wpuścił nas, po czym zamknął bramę i wyciągnął klucz. Szliśmy już pomiędzy drzewami, gdy krzyknął za nami:

— Stój!

Zatrzymaliśmy się. Stał z parą butów w rękę na progu zamieszkiwanej przezeń izdebki przy bramie.

— W czasie nieobecności pańskiej, panie Mell — wołał — przychodził tu ten partacz i kazał powiedzieć panu, że nie może już ich załatać. Nie ma tu już ani kawałka dawnej skóry.

Mówiąc to rzucił buty za panem Mell, który cofnął się o kilka kroków dla podjęcia obuwia, po czym zaczął bacznie przypatrywać się butom. Zauważyłem przy tym, że i te, które miał na nogach, wyglądały niewiele lepiej.

Salem House był to budynek ciężki, kwadratowy, ze skrzydłami, wygląd miał pusty i ogołocony. Panowała tu taka cisza, że spytałem pana Mell, czy uczniowie są w szkole. Odpowiedział mi ze zdziwieniem, że jest to czas wakacji i że uczniowie rozjechali się do swych domów. Pan Creakle zaś, właściciel i przełożony szkoły, bawi z żoną i córką nad morzem, mnie przysłano tu w czasie wakacji za karę. Wszystko to objaśnił mi, wiodąc do głównego budynku.

<sup>74</sup>wywieść (daw.) — wyprowadzić. [przypis edytorski]

<sup>75</sup>którąśmy jechali — inaczej: którą jechaliśmy (konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika). [przypis edytorski]



Klasa, do której weszliśmy, wydała mi się niezmiernie smutna i ponura. Była to wielka, długa sala z trzema rzędami ławek i pulpitów, z hakami do wieszania kapeluszy i tabliczek. Na brudnej podłodze wały się skrawki papieru, a na stołach papierowe domki dla jedwabników. Parę białych myszek, opuszczonych przez swych właścicieli, biegło w klatkach z drutu i tektury, próżno szukając pożywienia. Ptasek zamknięty w niewiele od siebie większej klatce trzepotał gwałtownie skrzydłami, wskakując i zeskakując z pręcika, nie śpiewał jednak wcale. W sali tej czuć było zapach stęchlizny, kurzu i zbutwiałych książek; tyle było zaś tu śladów po atramencie, jak gdyby sala nie posiadała sufitu i dachu, a niebiosa zamiast deszczu, gradu, śniegu zsyłały tu atramentowe ulewy.

Oglądałem to wszystko, pozostawiony w klasie przez pana Mell, który poszedł zanieść na górę swe niepołatane obuwie. Rozglądając się, dostrzegłem tekturową tabliczkę ozdobioną doskonałym kaligraficznym napisem: „Bacność, kąsa!”.

Odkoczyłem wyobrażając sobie, że pod stołem siedzi wściekle jakieś psisko. Nie mogąc jednak dojrzeć go, gubiłem się w domysłach, gdy nadszedł pan Mell, pytając mnie, co porabiam.

— Szukam tego psa — odrzekłem.

— Psa? Jakiego psa?

— A tego.

— Jakiego?

— Którego trzeba się strzec, bo kąsa.

— Mylisz się, Copperfieldzie — rzekł pan Mell z powagą — to nie jest pies, tylko chłopczyk. Zlecono mi właśnie zawiesić ci na plecach tę tabliczkę. Przykro mi jest ogromnie, lecz muszę zlecenia dokonać<sup>76</sup>.

Mówiąc to, zawiesił mi na plecach ową tabliczkę, którą odtąd wszędzie musiałem za sobą dźwigać. Jak upokorzony się czułem, ile cierpiałem, nie potrafię wyrazić. Czy byłem czy nie na oczach ludzkich, ciągle wyobrażałam sobie, że ktoś czyta ów napis, i próżno obracałem się niespokojny na wszystkie strony — uciec od prześladowającej mnie zmyry nie mogłem, ów pedel<sup>77</sup> czy stróż na szcudle powiększał jeszcze mą niedolę, gdyż jeśli tylko oparłem się o drzewo, o ścianę, wyskakiwał ze swej nory przy bramie, wołając:

— Panie! Hola! Copperfield, proszę się nie kryć, bo doniosę.

Ogród był zresztą otwarty, wychodziły nań tyły domu i budynki gospodarskie, wiedziałem, że służący, kucharka, piekarz, zgoła każdy, kto wchodził na teren szkoły, czytał wiszące na mym karku ostrzeżenie i dowiadywał się, że kąsam. Nabierałem wstrętu do samego siebie. Stawałem się istotnie na poły dzikim, zdolnym kąsać dzieckiem.

Na bramie ogrodowej uczniowie mieli widać zwyczaj wyrzynania i wypisywania swoich nazwisk. Czytając je, drżałem na samą myśl o powrocie z wakacji przyszłych moich kolegów, powtarzając sobie za każdym nowym nazwiskiem: „I ten przeczyta: Bacność, kąsa!”. Było zwłaszcza kilkakrotnie i głębiej od innych wyryte nazwisko niejakiego J. Steerfortha. Wyobrażałem sobie, jak grubym przeczyta to głosem i jak mnie potem wytarga za włosy. Znów niejaki Tom Traddles, pewien byłem, iż będzie się natrząsał, udając, że się mnie boi, a J. Demple wyśpiewa to na wszystkie tony. Widziałem siebie: biedną, drobną istotkę, chłostaną wzrokiem i śmiechem wszystkich tych chłopaków — pan Mell mówił mi, że było ich w szkole aż czterdziestu pięciu — gonioną precz do więzienia, z wrzaskiem jednobrzmiennym<sup>78</sup>: „Bacność, kąsa!”.

Podobne niepokoje i męki budził we mnie widok pustych ławek, pulpitów i pustych sypialni. We dnie i w nocy nie miałem spokoju. Śniło mi się czasem, że jestem z moją matką lub że się udaję do pana Peggotty, spotykam Emilkę, jadę dyliżansem, jem obiad w towarzystwie kelnera w gospodzie, lecz zawsze, zawsze kończyło się na tym, że każdy z nich cofał się, spostrzegłszy wywieszony na mych plecach napis.

Samotność, na jaką byłem skazany w pustej w czasie wakacyjnym szkole, zdwajała jeszcze te tortury. Codziennie przy tym miewałem lekcje z panem Mell. Szły mi dobrze, gdyż nie było przy mnie pana i panny Murdstone. Po lekcjach przechadzałem się po

<sup>76</sup>zlecenia dokonać — dziś raczej: wykonać zlecenie. [przypis edytorski]

<sup>77</sup>pedel (daw.; z niem. *Pedell*) — woźny (szczególnie w różnego rodzaju szkołach i zakładach naukowych). [przypis edytorski]

<sup>78</sup>jednobrzmienny (neol.) — mający jedno, to samo brzmienie; jednogłośny. [przypis edytorski]

ogrodzie, strzeżony przez stróża z drewnianą nogą. Jak dobrze pamiętam wilgoć pustego domostwa, zapleśniałe kamienie dziedzińca, studnię, bladą zielen rzadkich drzew tak wyblakłą, że zdawała się być skąpana w rześszych niż gdziekolwiek indziej dżdżach, nie dotkniętą żadnym, bodaj nikłym promieniem słońca. Punktualnie o pierwszej siadaliśmy we dwóch z panem Mell do stołu w ogromnej, pustej komnacie, przepojonej zapachem tłuszczu. Po obiedzie odbywaliśmy lekcje aż do herbaty, którą o szóstej pan Mell pijał w błękitnej fajansowej filiżance, ja zaś w kubku. Przez dzień cały pan Mell, siedząc za stołem, pracował nad rachunkami, jak się potem dowiedziałem, z minionego półrocza. Wieczorem grywał na flecie z zapalem i jak zwykle fałszywie.

We wspomnieniach widzę moją drobną postać siedzącą w mrocznej sali, z głową opartą na ręku, nad kajetem lub książką — zasluchaną w muzykę pana Mell. Po lekcjach widzę znów siebie jako cierpliwego słuchacza jego muzykalnych popisów, marzącego jednocześnie smętnie o domu, matce lub o łodzi pana Peggotty w Yarmouth. Widzę pustą sypialnię i drobną mą osobę płaczącą cicho w łóżku z tęsknoty za pieśczołą i ciepłym słówkiem Peggotty. Z rana, spoglądając przez otwarte okno na dzwon wiszący u bramy i na chorągiewkę na dachu kręcącą się w kierunku wiatru, drżałem na myśl, że wśród pustych ścian zjawi się J. Steerforth z towarzyszami i stróż na szczudle otworzy wrota samemu panu Creakle. Bałem się nie tych nieznajomych, lecz wiszącej na mych plecach tabliczki, którą nieznajomi ci zaraz na wstępie przeczytać mieli.

Pan Mell był małowówny, lecz łagodnie się ze mną obchodził. W milczeniu dostrzymywaliśmy sobie wzajemnie towarzystwa. Zapomniałem zanotować, że były chwile, w których ten małowówny człowiek mówił sam do siebie, mruczał, zaciskał pięści, zgrzytał zębami i targał się za włosy. Lękałem się tego z początku, wkrótce jednak przywykłem do jego dziwactw.

## ROZDZIAŁ VI. ROZSZERZAM KOŁO MYCH ZNAJOMOŚCI

Od miesiąca wiodłem mniej więcej podobną egzystencję, gdy stróż o szczudle zaczął się uwijać ze szczotką, ścierkami i wodą po całym domostwie, co niewątpliwie zwiastowało bliskie zjawienie się pana Creakle i uczniów. Mieściliśmy się z panem Mell, jak mogliśmy, po kątach, zmykając przed szczotką, wodą, dwoma czy trzema kobietami szorującymi podłogi, ławki, stoły i tumanami kurzu przepelniającymi Salem House.

Pewnego poranku pan Mell oznajmił mi, że pan Creakle oczekiwany jest tegoż dnia; istotnie przybył pod wieczór, a po podwieczorku stróż na szczudle zawezwał mnie do niego.

Część domu, którą wraz z rodziną swą zamieszkiwał, była o wiele wygodniejsza i wytworniejsza od przeznaczonej dla uczniów. Ogródek, na który wychodziły okna jego mieszkania, nie był tak pusty i opuszczony, jak nasz dziedzińiec, gdzie wielbłąd lub dromader w miniaturze czuliby się jak w domu. Dziwię się zresztą, żem przechodząc zdołał jednak zauważyć to wszystko, gdy sama myśl o stawieniu się przed obliczem pana Creakle napelniała mnie takim strachem, że wprowadzony do jego gabinetu nie spostrzegłem obecnych tam pani ani panny Creakle, tylko samego pana, tęgiego mężczyznę z niezliczoną ilością breloków przy łańcuchu od zegarka, siedzącego w fotelu przy stole, na którym stał kielich i butelka.

— Hm — mruknął — to jest ten młodzieniec, którego ząbki mają być przypilowane. Proszę go odwrócić.

Stróż obrócił mnie, a zostawiwszy panu Creakle dość czasu na przeczytanie gniotącego mi barki napisu, obrócił mnie znów twarzą do pana Creakle. Właściciel Salem House miał dumny wyraz twarzy, oczy małe i głęboko osadzone, czoło pomarszczone, nos nieduży, potężny kark, łysy był przy tym, jeśli nie liczyć pasma szpakowatych włosów szczesanych na skronie. Najbardziej jednak uderzyło mnie to, że zdawał się być pozbawionym głosu; mówił cicho, z widocznym wysiłkiem. Musiało go to gniewać, gdyż czoło mu się przy lada ust poruszeniu marszczyło jeszcze bardziej.

— Coście w nim zauważyli? — spytał stróża, wskazując na mnie.

Szkola, Obowiązek,  
Okrucieństwo, Dyscyplina

— Dotąd nic szczególnego — odrzekł zagadniony<sup>79</sup> — nie było sposobności. — Nie podobało się to widocznie panu Creakle, lecz natomiast musiało się podobać pani i pannie Creakle, obu szczupłym kobietom, na które ośmieliłem się podnieść swój wzrok.

— Bliżej, chłopcze — skinął na mnie pan Creakle.

— Bliżej — zakomenderował człowiek o drewnianej nodze.

— Mam zaszczyt — biorąc mię za ucho, mówił pan Creakle — znać twego ojczyzna. Człowiek to wielce zacny, obdarzony niepospolitym hartem duszy. Znamy się z sobą dobrze; a czy ty znasz mnie? — i uszczypnął mnie żartobliwie, lecz boleśnie w ucho.

— Jeszcze nie, panie — wyjąkałem.

— Jeszcze nie! Ha! Poznamy się prędko.

— Prędko — powtórzył pedel, który, jak się przekonałem potem, był pośrednikiem pomiędzy panem Creakle i uczniami.

Umierając ze strachu i czując, jak mię pali ustawicznie przez pana Creakle targane ucho, zapewniałem, że nie wątpię, iż się poznamy.

— Powiem ci od razu, kim jestem — ciągnął, puszczając wreszcie moje ucho. — Jestem Rzymianinem.

— Rzymianinem — potwierdził kulawy pedel.

— Słowa dotrzymuję, a kiedy raz coś powiem, to już musi być to co do joty<sup>80</sup> spełnione.

— Musi być wypełnione...

— Woli mojej nikt nie śmie się sprzeciwić. Obowiązek przede wszystkim, przede wszystkim. Wyrzeknę się — tu spojrział na żonę — własnej krwi, jeśli mi się śmiała sprzeciwiać.

Tu zwrócił się do pedla z pytaniem:

— Czy był z powrotem ten chłopak?

— Nie był.

— Nie był, wie, z kim ma do czynienia, przeczul. Niech mi się nie nawija pod rękę — tu spojrział znów na żonę — bo mu się dam we znaki. Teraz wiesz już, mój mały, z kim masz do czynienia, możesz odejść.

Ucieszyło mnie to pozwolenie, tym bardziej że pani i panna Creakle ocierały łzy, co budziło me współczucie. Miałem jednak pewną prośbę, toteż ośmieliłem się przemówić.

— Panie...

Odwrócił się, spojrział piorunująco.

— Panie — mówiłem, drżąc cały — gdyby tak można było i zanim uczniowie zjadą się, zdjąć mi z pleców ten... ten... zapewniam pana, że żałuję... że się poprawię... poprawilem...

Czy to w pośpiechu, czy po to, aby mnie przestraszyć, pan Creakle porwał się z fotela tak, że nie czekając skutku mej prośby i wyprzedziwszy pedla, drapnąłem aż do sypialni, gdzie, nie doczekawszy się pogoni, położyłem się, lecz minęło dobre dwie godziny, zanim się uspokoiłem i zdołałem zasnąć.

Nazajutrz rano zjawił się pan Sharp, starszy nauczyciel, którego tylko pomocnikiem był pan Mell. Ten ostatni jadał z uczniami, podczas gdy tamten dopuszczony był do stołu samego pryncypała. Pamiętam go jako małego, szczupłego człowieka, z wielkim nosem i przechyłoną na jedno ramię głową, co robiło wrażenie, jak gdyby mu ona ciążyła. Włosy miał miękkie i kędzierzawe. Z czasem dowiedziałem się od jednego z kolegów, że była to peruczka, licha zresztą, którą co niedziela kazał fryzować.

Informacji tych udzielił mi Tommy Traddles, który pierwszy powrócił z wakacji. Przedstawił mi się jako ten, którego imię wryte stoi na bramie ogrodu po prawej stronie, pierwsze z góry — na co powiedziałem mu: „Traddles!” i znajomość została zawiązana. Było to dla mnie prawdziwym szczęściem, że się pierwszy zjawił w szkole. Wywieszony na mych plecach napis zabawił go nieskończenie, toteż oszczędził mi wstydliwego krycia się uprzedzając każdego z przybywających towarzyszy, że jest nowy „figiel”. Wszyscy zresztą, wracając z wakacji do szkoły, byli bez humoru i o wiele mniej skłonni do natrząsania się ze mnie, niż się tego spodziewałem. Niektórzy wprawdzie otaczali mnie kołem, skacząc i wyjąc niby banda dzikich Indian, podczas gdy inni, nie mogąc się oprzeć pokusie

<sup>79</sup>zagadniony (daw. forma) — dziś: zagadnięty. [przypis edytorski]

<sup>80</sup>co do joty — z największą dokładnością, w najdrobniejszych szczegółach; jota to jedna z liter alfabetu gr., mająca w istocie postać niewielkiej kreszczki: *ı*. [przypis edytorski]

traktowania mnie jak psa, wołali: „Pójdź, Towzer<sup>81</sup>, do nogi”, co mnie bolało wprawdzie, ale na ogół jednak cała sprawa w rzeczywistości nie była tak straszna, jak przewidywałem. Jednakże aż do przyjazdu J. Steerfortha nie zostałem wtajemniczony i wciągnięty do bractwa koleżeńkiego. Gdy przybyła ta przystojna, zdolna, jak mówiono, i o pół tuzina lat starsza ode mnie osobistość, stawić się przed nim musiałem jak przed sędzią. Rozpytywał mnie o wszystkie szczegóły wypadku, którego widoczne następstwa dźwigałem na plecach, a wybadawszy mnie należycie raczył oświadczyć, że była to „dobra sztuka”, za co mu nieskończenie byłem wdzięczny.

— Wiele<sup>82</sup> masz pieniędzy? — zaczął, biorąc mnie pod swą opiekę i spacerując ze mną po dziedzińcu.

Powiedziałem mu, że mam aż siedem szylingów.

— Oddałbyś je mnie na schowanie — zdecydował — naturalnie, jeśli ci się podobają, jeśli nie, możesz sam je sobie schować.

Naturalnie przystałem na tę uprzejmą i przyjacielską propozycję, wręczając mu całą zawartość danego mi przez Peggotty woreczka.

— Czy chciałbyś kupić coś teraz? — spytał.

— Nie, dziękuję! — odpowiedziałem.

— Jeśli ci czego potrzeba, piśnij tylko słówko.

— Nie, dziękuję panu.

— Może byś chciał wydać parę szylingów na buteleczkę wina porzeczkowego, którą wysuszylibyśmy w sypialni — i dodał — Będziemy, słyszę, sypiać w tym samym pokoju.

Nie pomyślałem o tym przedtem, zgodziłem się więc chętnie na propozycję.

— Wybornie! A czy nie warto by kupić i nieco ciastek z migdałami?

Zgodziłem się i na to.

— Trochę sucharków i owoców także. Wyniesie to też parę szylingów. Co ty, mały, na to?

Uśmiechałem się, gdyż i Steerforth się uśmiechał. Czulem się jednak jakoś nieswojo.

— Wybornie! — zawołał. — Musimy cię naciągnąć, ile się da. Licz na mnie. Mogę wychodzić, ile mi się podoba, i podejmuję się dostarczyć żywność do fortecy.

Mówiąc to, schował moje pieniądze do własnej kieszeni, uspokajając, że wszystko dobrze pójdzie.

Dotrzymał słowa. Wyrzucałem sobie wprawdzie, że trwonię dane mi przez matkę pieniądze, ale pocieszałem się, że przynajmniej schował kawałek papieru, w który były zawinięte. Gdyśmy się wieczorem zeszli w sypialni, Steerforth rozłożył na mej kołdrze, w świetle księżycowych promieni, całą ucztę, którą nazwał „królewska”.

Nie czując się na siłach, by czynić honory, prosiłem go, aby uczynił to za mnie, na co raczył się łaskawie zgodzić i siedząc na moich poduszkach, rozdzielał żywność i wino małym, będącym jego własnością kieliszkiem. Co do mnie, siedziałem po lewej jego stronie, inni zaś chłopcy posiadali, jak mogli, na ziemi i pobliskich łózkach.

Jakże żywo pamiętam tę noc, ciche nasze szepty (prawdę mówiąc, inni mówili, ja słuchałem), promień księżycy wpadający przez okno i oświetlający część pokoju, gdy całość nurzała się w cieniu, od czasu do czasu rozświetlony fosforycznym światłem zapalki, kiedy Steerforth szukał czegoś dokoła siebie. Ogarnia mnie na powrót tajemniczy nastrój na wspomnienie owych ciemności, uczyt spożywanej ukradkiem, rozmów szeptem, których słuchałem, jakby to było coś uroczystego, i uczucia radości, że mam tuż obok siebie towarzyszy, lęku (choć wtórowałem ogólnemu śmiechowi), gdy Traddles utrzymywał, że dostrzegł w kącie stracha.

<sup>81</sup> *Towzer* — zwyczajowo imię dla psa o wyjątkowo zadziornej (a. dokuczliwej) naturze; przydomek ten zyskał sobie sir Roger L'Estrange (1616–1704), rojalista, dziennikarz i pamphletista zaangażowany po stronie torysów, nadzorca prasy i cenzor za rządów Karola II (1660–1685): jego kukłę 17 listopada 1680 r. spalili londyński tłum, nadając mu przezwisko „the Dog Towzer”, co anonimowa broszura *Strange's Case, Strang[e]ly Altered* wyjaśniała następująco: „zna tyśiac psich sztuczek, mianowicie jak aportować dla papistów, nosić dla protestantów, skomleć dla króla, tańczyć do skrzypiec Nolla [Cromwella], łasić się do dworzan, skakać do ich przysmaczków, machać ogonem na wszystkie suki, gubić trop prowadzący do spisku [papistów], wylizać do czysta dowody i skulić się przed krucyfiksem, ale nade wszystko zna cholernie stary trik jak wysliznąć się z postronka”; w spokojniejszych politycznie czasach i w innym obszarze geograficznym pies Towzer pojawiał się jako bohater powieści detektywistycznych Mary Heleny Fortune (1833–1911), np. *Towzer's Teeth*, 1891. [przypis edytorski]

<sup>82</sup> *wiele* (daw.) — ile. [przypis edytorski]

Dowiedziałem się przy tej sposobności tysiąca szczegółów dotyczących szkoły. Dowiedziałem się, że pan Creakle słusznie nazywa siebie „Rzymianinem”; był to najsroższy z przełożonych i na kształt kartacza rozbijał uczniów. Był zresztą nieukiem, umiejącym tylko bić (jak utrzymywał Steerforth); hodowcą chmielu, który dopiero po zbankrutowaniu na tym chmielowym interesie i po roztrwonieniu funduszu żony umyślił otworzyć szkołę. Nasłuchałem się wielu takich i tym podobnych rzeczy, dziwiąc się tylko, skąd o tym wszystkim towarzysze moi tak dokładnie mogli wiedzieć.

Dowiedziałem się, że pedel na szczudle, który nazywał się Tungay, był barbarzyńcą dopomagającym niegdyś panu Creakle w jego chmielowych sprawach, uważanym przez uczniów za zaprzędaną mu duszę. Nogę stracił, zapewne służąc przełożonemu w nieczystych jakichś sprawach, i znał tajemnice życia pana Creakle. Z wyjątkiem tego ostatniego Tungay uważał szkołę całą, uczniów i nauczycieli za naturalnych swych wrogów i najmilszą jego rozrywką było płatanie im figli. Dowiedziałem się, że pan Creakle ma syna jedynaka, który, że nie należał do liczby przyjaciół pedla, a ojcu odważył się stawić opór i robić uwagi z powodu zbyt srogiego obchodzenia się tak z uczniami, jak i z żoną, został wypędzony z rodzicielskiego domu, co było przyczyną ustawicznego smutku jego matki i siostry.

Lecz w tym wszystkim, co mi o przełożonym opowiadano, najbardziej zdziwiło mnie to, że był w szkole ktoś, nad kim nigdy nie zaciężyła jego prawica. Tym wyjątkiem był nikt inny tylko Steerforth. Ten ostatni potwierdził ów zdumiewający fakt, dodając, że tego by tylko brakowało. Gdy któryś z mniej dziarskich malców spytał go, co by jednak w danym razie począł, to oświadczył, zapalając, dla silniejszego zapewne efektu, zapalając, że położyłby przełożonego na miejscu uderzeniem wielkiego kałamarza stojącego w klasie na kominku. Wstrzymując dech w piersiach, siedzieliśmy czas jakiś w ciemnościach.

Dowiedziałem się, że tak pan Sharp, jak pan Mell nędznie byli wynagradzani, a pan Sharp u stołu pana domu dostawał same niedogryzki, że mu jego peruka wcale nie do twarzy i że nie powinien się nią chwalić, bo i tak dobrze widać z tyłu jego własne rude włosy.

Dowiedziałem się, że jeden z uczniów, syn handlarza węglem, uczył się w zamian za dostarczanie tego artykułu, czemu zawdzięczał przezwisko „handel zamienny”; że podle piwo było okradaniem rodziców, a pudding czczym słowem. Dowiedziałem się, że panna Creakle kocha się na zabój w Steerforcie, w co od razu uwierzyłem, przypominając sobie, gdy siedział w ciemnościach, jego piękną twarz, falujące włosy, wytworne manieri i wsłuchując się w jego melodyjny głos. Dowiedziałem się, że pan Mell to w gruncie rzeczy poczciwy chłopak, a goły jak święty turecki, syn żebraczki czy tam coś podobnego. Przypomniało mi się śniadanie w izdebce przytułku, staruszka, której się wyrwało: „mój Karolek”. Szczęściem, zatrzymałem tym razem język za zębami.

Na podobnych gawędkach czas zszedł nam szybko, a większa część zaproszonych gości usnęła zaraz po uczcie. Rozmawialiśmy po cichu, dopóki sen i nas nie przemógł.

— Dobranoc, Copperfieldzie — ozwał się Steerforth — licz na mnie.

— Dziękuję — odrzekłem z niekłamana wdzięcznością — zobowiązuje mnie to nieśkończenie.

— Czy masz siostrę? — spytał poziewając — co?

— Nie, nie mam siostry.

— Szkoda. Byłaby pewnie ładną, nieśmiałą, jasnooką dziewczyną, chciałbym ją znać. Dobranoc.

— Dobrej nocy! — odrzekłem.

Położywszy się, długo jeszcze myślałem o nim i podnosząc się na posłaniu przypartywałem mu się, jak leżał pod smugą księżycy, z piękną głową opartą na ramieniu. Wyobrażałem go sobie jako wyższą, potężną istotę, i to podziałać musiało na rozbudzenie mojej wyobraźni. Rąbka zasłony przyszłości nie uchylił żaden promień księżycy i cień jej nie padł na kwieciste łąny, po których noc całą w śnie stąpałem.

## ROZDZIAŁ VII. PIERWSZE SZKOLNE PÓŁROCZE

Lekcje rozpoczęły się dnia następnego. Silne, pamiętam, wrażenie wywarła na mnie nagła

Nauczyciel, Szkoła,  
Przemoc, Okrucieństwo,  
Rozkosz, Cierpienie,  
Dziecko, Strach, Pogarda

cisza, jaka zapanowała w klasie, gdy po śniadaniu drzwi się roztwarły i ukazała się w nich postać pana Creakle, podobna do ludożercy przyglądającego się swym więźniom.

Pedel Tungay stał tuż za nim. Nie miał sposobności, by wrzasnąć w tej chwili: „Cicho!”, gdyż panowała największa, jak to już mówiłem, cisza.

Usta pana Creakle poruszały się wprawdzie, lecz słyszeliśmy tylko głos pedla.

— Rozpoczynamy nowe półrocze, słyszeliście, nowe. Pamiętajcie, abyście się dobrze uczyli, bo zaczerpnąłem nowy zapas sił i nie cofnę się, o, nie! Próżno byście się szorowali, nie zetrzecie znaków, jakie wam wypiszę na plecach! A teraz do roboty!

Po tej przemowie i po wyjściu pedla pan Creakle, zbliżywszy się do mnie, oznajmił mi wygasłym głosem, że jeśli *ja* umiem kasać, to *on* umie smagać, a pokazując mi swój kij, pytał, czy chciałbym dostać się na taki ząb! „Zastąpić to z biedą może całe szeregi zębów, co? Może chciałbyś spróbować, co? Ząb za ząb?” — pytał.

Za każdym słowem uderzał mnie i wkrótce twarz moja zalana była łzami.

Nie stanowiłem zresztą wyjątku, tylko że ode mnie zaczęła się egzekucja, której podległa większość uczniów. Zanim pan Creakle obszedł dokoła klasę i lekcje się rozpoczęły, wszyscyśmy mniej więcej szlochali<sup>83</sup>; do jakich zaś to doszło rozmiarów pod koniec dnia, obliczać nie chcę, bojąc się, aby mnie nie posądzono o przesadę.

Wątpię, czy istniał kiedykolwiek człowiek, który spełniał zadanie swe z większym od pana Creakle zacięciem. Z zapalem zadowalającego apetyt smakosza rozdzielał razy pomiędzy powierzonych swej pieczy chłopców. Szczególniejszy zdawał się czuć pociąg do pucułowatych. Dopóty nie zaznał spokoju, dopóki ich nie ozdobił sińcami. Na moją niedolę byłem pucułowaty, lecz dziś, gdy myślę o tym wszystkim, oburzam się zupełnie bezinteresownie i tak, jak gdybym był świadkiem tylko, nie zaś ofiarą jego okrucieństw. Dziś wiem, że do zajmowanego przez się stanowiska wychowawcy nie więcej bydlę to miało prawa, jak do posady Lorda Admirala lub głównodowodzącego armii. Na obu zaś wyżej wymienionych stanowiskach byłby może mniej szkodliwy niż na przez się<sup>84</sup> zajmowanym.

Jakże gardził on i pomiatał zastępem małych, słabych swych niewolników! Bez śmiechu wspomnieć dziś nie mogę wrażenia, jakie osobistość ta wywierała na nas. Widzę samego siebie na szkolnej ławie, wpatzonego w bezsumienne<sup>85</sup> to bożyszcze znęcające się nad swymi ofiarami. Widzę stojącego przed nim ucznia, wycierającego chustką do nosa ręce obrzmiałe od jego razów. Oczu nie mogłem oderwać od tyrana, miotany ciągłym strachem i obliczaniem, kiedy na mnie przyjdzie kolej na nieuniknioną kaźń. Widzę drobnych moich towarzyszy, wpatrzonych w niego z podobnym wyrazem trwogi. Widzę okrutny grymas jego ust, gdy miał w ręku kajety, spojrzenie, pod którym pochylaliśmy głowy, drżąc nad książkami, aby po chwili znów śledzić go wystraszonym wzrokiem. Nieszczęsny ten spośród nas, co pochwycony na lada jakiej omyłce wywołany został z szeregów. Próżno w nieśmiało i pokorne uderzał zapewnienia, że się będzie starał poprawić. Pan Creakle, zanim go bić poczynał, naigrawał się i natrząsał z niego, a my jak złe psiaki śmieliśmy się nikczemnie, choć dusze mieliśmy w piętach i pobladle ze strachu twarze.

Pamiętam jedno ciężkie, gorące, letnie popołudnie. W klasie huczało tak, jak gdyby wszyscy uczniowie zmienili się w chrabąszcze; obiad, po którym pozostało mi wspomnienie ciepłego mięsnego tłuszczu, zjedliśmy przed godziną i głowa mi ciężyła, upadałem z senności; otwierając szeroko osowiałe oczy, wpatrywałem się w pana Creakle poprawiającego kajety, musiałem się zdrzemnąć i nie spostrzegłem, jak się zbliżył do mnie. Zbudziła mnie dopiero bolesna i czerwona pręga na mych plecach.

Nawet w godzinach wolnych od nauki, chociaż traciliśmy go z oczu, nie przestawał być obecny w naszych myślach. Okno, przy którym zwykł był obiadować, pozostawało otwarte i pociągało wzrok mój bezustannie. Gdy tylko ukazywała się w nim jego twarz, moja dziecinna twarzyczka nabierała pokornego i błagalnego wyrazu. Gdy się wychylił, najśmielszy nawet z uczniów (z wyjątkiem jednego chyba Steerfortha) przerywał zabawę, kamieniejąc ze strachu. Pewnego razu Traddles (najniezwyklejszy pod słońcem chłopiec)

<sup>83</sup>*wszyscyśmy (...) szlochali* — inaczej: wszyscy szlochaliśmy (konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika). [przypis edytorski]

<sup>84</sup>*się* — krótka forma zaimka stosowana w pozycji znaczeniowo nieakcentowanej w zdaniu; dziś raczej zarucona na rzecz formy długiej: *siebie* (podobne pary to: *mię* i *mnie*, *cię* i *ciebie*). [przypis edytorski]

<sup>85</sup>*bezsumienny* (neol.) — pozbawiony sumienia. [przypis edytorski]

rozbił piłką owo okno. Drzę na samo wspomnienie trwogi, jaka mnie wówczas ogarnęła na myśl, czy nieszczęsna piłka nie dosięgła nietykalnej głowy naszego nauczyciela.

Biedny Traddles! W obcisłym, jasnoniebieskim ubranku, z nogami i rękami podobnymi do salcesonów lub zwijanych naleśników był najnieszczęśliwszy, lecz zarazem najweselszy z nas wszystkich. Bito go codziennie, z wyjątkiem chyba jednego popołudnia w świąteczny poniedziałek, kiedy mu się tylko dostało parę uderzeń linią po rękę. Codziennie odgrażał się on, że się poskarży swemu wujowi, czego jednak nigdy nie czynił. Zwykle siedział czas jakiś z opartą o pulpit głową, po czym podnosił twarz już uśmiechniętą i zanim mu lzy oschły na rzęsach, rysował na tabliczce kościotrupy. Długo gubiłem się w domysłach nad owym szczególnie jego zamilowaniem w tym właśnie kierunku. Posądzałem go o skłonność do ascetyzmu, umyślnie przypominanie sobie o znikomości spraw doczesnych, sądząc jednak, że na wybór rodzaju wpłynąć raczej musiały praktyczniejsze względy: większa łatwość rysowania szkieletów niż ludzkich żywych postaci.

Uczciwy był Traddles i honorowy, dbały o solidarność koleżeńską, chociaż nieraz drogo to opłacał, na przykład wówczas, gdy za nieprzystojne śmiechy Steerfortha, jego to, Traddlesa, wyprowadzono z kościoła. Widzę go idącego za pedłem, zawstydzonego, odprowadzanego surowym i wzdurliwym spojrzeniem zgromadzonych w kościele wiernych. Nie wydał istotnego winowajcy, chociaż nazajutrz z kilkugodzinnej kozy wyszedł zboląły i z całą armią szkieletów czerniejącą na kartkach łacińskiego słownika. Otrzymał jednak pewne zadośćuczynienie. Steerforth powiedział o nim, że nie jest „skarżypytą”, a nam wydało się to zasłużoną i wielce zaszczytną pochwałą. Co do mnie przynajmniej, chociaż byłem znacznie młodszy od Traddlesa i o wiele mniej odważny, gotów byłem wycierpieć niejedno, by zdobyć sobie tylko uznanie kolegów.

Widok Steerfortha, postępującego w niedzielę na czele naszej grupy do kościoła pod rękę z panną Creakle, zachwycał mnie po prostu. Nie dlatego, żeby mi się panienka ta wydała tak ładna jak nie przymierzając Emilka lub żebym w niej był choć trochę zakochany, lecz dlatego, że uważałem ją za wyrocznie, jeśli chodzi o maniery, i gdy Steerforth, w białych spodenkach, rozpiął parasol, by ją osłonić przed słońcem, czułem się pochlebiony stosunkami z tym skończonym galantem i pewien byłem, że przedmiot jego uprzejmości nie może pozostawać dlań obojętny. Wprawdzie obaj nauczyciele, pan Sharp i pan Mell, wydawali mi się też skończonymi dżentelmenami, daleko im jednak było do Steerfortha, jak gwiazdom do słońca.

Otaczał mnie on zresztą ciągle swą troskliwą istotnie opieką. Nikt z kolegów nie śmiał dokuczać mi. Nie mógł tylko widocznie mnie bronić — w każdym razie nie bronił mnie — przed surowością pana Creakle, który znęcał się nade mną. Wprawdzie, gdy się ze mną obchodzono zbyt już srogo, przyjaciel mój zapewniał wtedy, że nie wytrzymałbym tego bez poparcia jego przyjaźni, co mnie zawsze nieskończenie rozczulało. Co zaś do znęcania się nade mną pana Creakle, miało ono tę dobrą przynajmniej stronę, że osłaniając mnie poniekąd od razów tabliczkę zdjęto bezpowrotnie z mych pleców.

Przypadkowa okoliczność zbliżyła mnie bardziej jeszcze do Steerfortha zdwajając przyjaźń, z której byłem dumny i zadowolony, chociaż nie zawsze wychodziłem na niej dobrze. Raz rozmawiając z nim w czasie rekreacji, nadmienilem — nie pamiętam już z jakiego powodu — o czymś czy o kimś podobnym do kogoś czy do czegoś z *Peregryna Pickle'a*<sup>86</sup>. Nie odrzekł nic na razie, lecz wieczorem spytał mnie, czy posiadam tę książkę?

Odpowiedziałem mu, że nie posiadam już jej, mówiąc przy tym, w jaki sposób zaznajomiłem się z tym oraz z innymi arcydziełami.

— A pamiętasz, coś czytał? — spytał.

— O, zapewne — odrzekłem. — Pamięć mam dobrą i pamiętam wszystko doskonale.

— Wiesz co — mówił — musisz mi to wszystko opowiedzieć. Z wieczora długo nie mogę zasnąć, a z rana budzę się wcześniej od innych. Opowiesz mi tedy wszystko po kolei, będzie to na kształt bajek z tysiąca i jednej nocy.

Pochlebilo mi to niezmiernie i tego jeszcze wieczora rozpoczęliśmy cykl opowieści. Jak na tych dowolnych przekładach wychodzili autorowie, nie wiem i niewiele mnie to

<sup>86</sup>*Peregryn Pickle* — powieść przygodowa szkockiego pisarza Tobiasza Smolletta *The Adventures of Peregrine Pickle* (publ. 1751; tł. na jęz. pol. T. Tatarkiewiczowa, wiersze tł. W. Lewik, *Peregryn Pickle*, t. 1–2, 1962), opowiadająca historię wlotów i upadków pewnego egotysty, obracającego się w środowisku wyższych sfer społecznych osiemnastowiecznej Europy. [przypis edytorski]

obchodzi. Opowiadałem z zamiłowaniem, posiadałem też pewien dar słowa, a z tym zająć można daleko.

Odwrotną stroną medalu było to, że nieraz byłem wieczorami senny i nie zawsze usposobiony do opowieści, jednakże uważałem je za święty obowiązek. Za nic zresztą nie zawiódłbym ufności i oczekiwania przyjaciela. Toteż rano oczy mi się nieraz kleiły, gdy mnie mój sułtan, niby Szeherazadę, budził godzinę przed dzwonkiem, niecierpliwym dalszego ciągu opowieści. Lecz że odrabiał za mnie trudniejsze zadania, nie mogłem ostatecznie uskarżać się na taki stan rzeczy, chociaż muszę tu oddać sobie sprawiedliwość, że nie powodował mną interes. Kochałem Steerfortha, uwielbiałem go i w zadowoleniu przyjaciela dostateczną widziałem nagrodę mych trudów. Dziś jeszcze wszystkie te drobne szczegóły wspominam z bijącym sercem.

Steerforth okazywał mi względy, które raz zwłaszcza nie wyszły na dobre Traddlesowi i innym. W kilka tygodni po przybyciu mym do szkoły nadszedł list — ach, jaki pocziwy list! — od Peggotty, a przy tym paczka: placek, pomarańcze i dwie butelki słodkiego wina. Naturalnie skarby me złożyłem u nóg przyjaciela, prosząc go, aby się nimi raczył rozporządzić.

— No — rzekł — schowamy wino, abys miał czym zwilżać w nocy wyschłe opowiadaniem gardło.

Zarumieniłem się, prosząc go skromnie, aby o tym nie myślał wcale. Zauważył, że bywam często ochrypli — „skrzypiący”, jak się wyraził — że zatem każda kropla wina poświęcona być musi na cel nam wiadomy. Stosownie do tego butelki zostały zamknięte w kuferku, a zawartość ich wydzielana mi była po trosze, w miarę potrzeby, przez mego przyjaciela. Czasem dla podwojenia działania wina wciskał doń sok pomarańczowy lub wlewał kroplę miętowego olejku i chociaż to nie dodawało smaku i wątpię, czy — zwłaszcza zażywane późno wieczorem i wcześniej rano — posiadało szczególnie lecznicze właściwości, wdzięczny mu byłem za okazywaną mi przyjacielską troskliwość.

Zdaje mi się, że przez miesiąc trwało opowiadanie *Peregrina*, dalsze miesiące poświęciłem innym historiom. Przedmiot był niewyczerpany, a i wino też starczyło na długo. Biedny Traddles — bez śmiechu i łez zarazem wspomnieć go sobie nie mogę — śmiał się przy komicznych epizodach opowieści, a umierał ze strachu przy strasznych tak dalece, że mnie często zbijał z tropu. Utrzymywał, że mu zęby pomimo woli dzwonią na samą wzmiankę o rozbójnikach, których tak wielu otaczało Gila Blasa<sup>87</sup>, i gdy przyszło do spotkania tego ostatniego ze zbójami w Madrycie, narobił tyle hałasu, że aż ściągnął uwagę pana Creakle, który nam drogo kazał opłacić nocne hałasy. Moje skłonności do marzycielstwa i romantyczności rozwijały się wśród tych nocnych, po ciemku opowiadanych historii, co mi też najpewniej nie wyszło na dobre, lecz że się sława moja rozchodziła, a towarzysze, wśród których najmłodszy byłem wiekiem, okazywali mi coraz więcej szacunku i z wzrastającą słuchali uwagę, nie brakło mi zachęty. Zresztą w szkole rządzonej przez bezmyślną tyranie — czy tyranem tym bywa nieuk czy uczonec — niewiele zwykle bywa nauki. Sądzę, że towarzysze moi byli najzupełniejszymi nieukami, zbyt wystraszonymi, bitymi, aby się mogli uczyć. Nic się dobrze nie wykonywa przy ciągłych troskach, umęczeniach i cierpieniach. Mnie podtrzymywała ambicja, pomagał mi czasem Steerforth, a chociaż ani jedno, ani drugie nie zdołało osłonić mnie przed zasłużonymi i niezasłużonymi razami, z czasem nawet w tej szkole udało mi się złapać jakie takie okruchy wiedzy.

Najsukuteczniej dopomagał mi w tym pan Mell, okazujący szczególną i mile dotąd przeze mnie wspominaną serdeczność. Nie bez pewnej przykrości dostrzegałem już wówczas wzgardę, z jaką go traktował mój przyjaciel, który nie zaniedbywał żadnej okazji, by upokorzyć biednego nauczyciela i podburzyć przeciw niemu nowych uczniów. Bolało to mnie tym bardziej, że, nie mając przed Steerforthem sekretów, opowiedziałem mu o tych dwóch ubogich kobietach, które odwiedziłem w towarzystwie nauczyciela, i drżałem, czy Steerforth nie użyje zwierzeń mych jako bronii przeciw panu Mell. Owego poranka, gdy

Szkola, Strach

<sup>87</sup> *Gil Blas* — tytułowy bohater powieści lotrzykowskiej (pikarejskiej) *Histoire de Gil Blas de Santillane* (publ. 1715–1735; tł. na jęz. pol. J. Rogoziński: *Przypadki Idziego Blasa*) autorstwa fr. pisarza i adaptatora literatury hiszp. Alaina Lesage'a (1668–1747); *Gil Blas*, choć pochodził z rodziny plebejskiej z małego miasteczka, został wysłany przez rodzinę na naukę na uniwersytet w Salamance; po drodze jednak kilkakrotnie padł ofiarą złodziei, zmuszony został w końcu przyłączyć się do bandy rozbójników; wydobyć się z tego położenia umożliwiła mu w końcu pewna dama, którą uchronił od napaści ze strony swych towarzyszy-zbójców. [przypis edytorski]



jadł śniadanie w przytulku i usypiał przy dźwiękach fletu w cieniu pawich piór, na myśl by mnie ani nauczycielowi nigdy nie przyszło, aby ta przypadkowa wizyta pociągnąć mogła następstwa poważnej, w swoim rodzaju, natury.

Dnia pewnego choroba zatrzymała pana Creakle w prywatnym jego mieszkaniu, co naturalnie było powodem wielkiej radości w szkole. Lekcje szły nieosobliwie. Wesołość wygnała z klasy dyscyplinę, co znów zwabiło po kilkakroć nienawistnego pedla, zapisującego imiona głównych przestępców. Lecz nawet i to nie wywierało dostatecznego wrażenia. Nadtośmy byli pewni razów i kar w dniach następnych, aby na myśl o nich temperować wybuchy wesołości swobodnej chwili.

Była to sobota, zatem popołudnie mieliśmy wolne. Ponieważ bawiąc się w ogrodzie, mogliśmy przeszkadzać choremu, a pogoda nie sprzyjała przechadźce, zamknięto nas w szkolnej izbie, dając jakieś łatwe do rozwiązania zadanie. Był to właśnie dzień, w którym pan Sharp udawał się do miasta dla ufryzowania peruki, a pan Mell, na którego barki spadały wtedy zwykle wszelkie obowiązki, pilnował chłopców.

Gdyby cicha, łagodna postać nauczyciela porównana być mogła do buhaja lub niedźwiedzia, porównałbym nas, chłopców, do zgrai psów osaczających to zwierzę, taka naraz zapanowała w szkolnej izbie wrzawa. Przypominam go sobie siedzącego za pulpitem wśród piekielnej iście wrzawy, z bołą głową, opartą na rękę, daremnie usiłującego wywiązać się z zadania. Chłopcy, powstawszy z ławek, biegali po całej izbie, baraszkując po kątach, śmiejąc się, skacząc, śpiewając, krzycząc, tupiąc nogami, wyjąc dokoła niego, pokazując za jego plecami miny, figle, języki, wydrwiwając go, jego ubóstwo, podarte buty, znożony surdut, jego matkę, zgoła wszystko i wszystkich, będących z nim w jakimkolwiek związku.

— Ciszej! — zawołał, powstając nagle, i uderzając książką o pulpit. — Co to znaczy? Wytrzymać już doprawdy nie podobna<sup>88</sup>! Oszałeć z tym można. Jak możecie być tak niesforni!

Moją to właśnie książką uderzał o pulpit. Stojąc przed nim spostrzegłem, jak się chłopcy uciszyli, jedni w pół przerażeni, drudzy w pół zawstyżeni, inni zdziwieni. Miejsce Steerforth'a było na samym końcu sali. Stał właśnie oparty o ścianę, z obu rękoma w kieszeniach, wpatrzony niedbale w nauczyciela, z ustami złożonymi jak do gwizdania.

— Ciszej, panie Steerforth! — zawołał nauczyciel, dojrzwawszy go.

— Sam mi bądź cicho! — odrzekł Steerforth, czerwieniejąc. — Czy wiesz, do kogo mówisz?

— Proszę usiąść na swoim miejscu — ciągnął nauczyciel.

— Sam siadaj i pilnuj, co do ciebie należy! — zawołał rozłoszczony uczeń.

Zachichotano. Tu i ówdzie przykłaśnięto, lecz bladłość nauczyciela powstrzymała dalsze wybuchy niesforności, a nawet jeden z chłopaków, który poza jego plecami robił miny, zawstydził się i udał, że przyszedł prosić go o naprawienie pióra.

— Jeśli sądzisz, Steerforth — zaczął pan Mell, opierając machinalnie rękę na mym ramieniu — że nie wiem, jakiej tu chcesz używać przewagi, lub że nie widziałem, jakęś podburzał przeciw mnie chłopców, mylisz się bardzo.

— Nie zadaję sobie wcale fatygi myśleć o panu — odrzekł wzgardliwie Steerforth.

— Co zaś do tego, aby pozycja uprzywilejowanego, jaką tu zajmujesz — ciągnął drżącymi ustami nauczyciel — dawała ci prawo obrażać dżentelmena...

— Kogo? — przerwał Steerforth. — Przepraszam, nie słyszałem, o jakim tu dżentelmenie mowa.

Z ławki ktoś zawołał: „Cicho, to już zbyt niegodziwie!”. Był to Traddles, któremu nauczyciel też zabronił mieszać się w nie swoje rzeczy i kazał trzymać język za zębami. Sam zaś tak mówił:

— Obrażać i wydrwiwać cudzą niedolę, kogoś, kto nigdy najmniejszej nam nie wyrządził krzywdy, to rzecz brzydka i nikczemna. Jesteś wystarczająco dorosły, żeby to zrozumieć. A teraz możesz stać lub usiąść, jak ci się podoba. Dalej, Copperfieldzie!

— Stój, mały! — zawołał, wychodząc z ławki, Steerforth. — Muszę raz panu powiedzieć, co o nim myślę. Nie dbam wcale o to, że mię jakiś tam żebrak nazywa nikczemnym.

<sup>88</sup>nie podobna (daw.) — nie (jest) możliwe; nie można. [przypis edytorski]

Że pan jest żebrakiem, wszystkim przecież wiadomo, lecz gdy ośmielasz się mnie ubliżać, sam jesteś nikczemny.

Nie wiem, jakby się to wszystko skończyło i czy Steerforth rzuciłby się na nauczyciela czy nauczyciel na Steerforth, gdyż wszyscyśmy skamienieli. W szkolnej izbie stał pan Creakle we własnej osobie, w towarzystwie nieodstępnego pedla, we drzwiach widać było głowy wystraszonych pani i panny Creakle. Pan Mell siedział nieruchomo na swym miejscu, oparty o pulpit, z twarzą ukrytą w dłoniach.

— Panie Mell — potrząsając go za ramię, zaczął Creakle szeptem tak wyraźnym, że tym razem Tangay nie czuł się obowiązany powtarzać jego słów — spodziewam się, panie Mell, że nie uniosłeś się zbyttnio?

— Nie panie, nie! — upewniał nauczyciel, odkrywając twarz, potrząsając głową i zacierając ręce w zmieszaniu. — Nie, panie, nie uniosłem się, nie zapomniałem się, nie... Byłbym jednak bardzo wdzięczny panu, panie Creakle, gdybyś mnie był ostrzegł przedtem, powstrzymał... Uchroniłoby to mnie od czegoś...

Pan Creakle, nie spuszczać oka z nauczyciela, oparł się na ramieniu pedla, usiadł na stole i z wysokości spoglądając na nauczyciela, który wciąż zacierał ręce, zwrócił się do Steerforth.

— A teraz niech mi pan powie, co to wszystko znaczy?

Zapytany milczał chwilę, spoglądając dumnie i z gniewem na swego przeciwnika. Widzę go jeszcze. Piękny był, dumny i jakże nędznie w porównaniu z nim wyglądał nauczyciel.

— Nie wiem — rzekł wreszcie — o jakich to przywilejach była mowa.

— Przywilejach — powtórzył, zwracając powoli głowę, pan Creakle — kto mówił o przywilejach?

— Ten, tam — rzekł Steerforth.

— Proszę pana, jak to pan rozumie? — spytał pan Creakle, zwracając się do nauczyciela z widocznym nieukontentowaniem.

— Rozumiem — odrzekł ów cicho — zupełnie tak, jak powiedziałem, a mianowicie: że uczeń nie powinien nadużywać wyjątkowego swego położenia, aby upokarzać i obrażać nauczyciela.

— Obrażać, no, proszę — zaczął pan Creakle, składając ręce na piersi i mrużąc oczy tak, że ich widać prawie nie było — no, proszę! A pan, panie tam jakiś, czy nie zapominasz czasem o należnym mnie, słyszysz, *mnie* uszanowaniu, ośmielając się nadmieniać o przywilejach! Zapominasz chyba, że jestem tu pierwszą osobą, twoim chlebodawcą.

— Zapewne, przyznając... — jękał się nauczyciel — powinienem być panować nad sobą.

— Tak — przerwał Steerforth — zarzucił mi, że jestem nikczemny, bom go nazwał żebrakiem. I ja także powstrzymałbym się, gdybym nie był zirytowany, ale teraz gotów jestem wszelkie następstwa tego, com powiedział, przyjąć.

Śmiałe przemówienie olśniło mnie. Wywarło też wrażenie na nas wszystkich. Parzyliśmy na Steerforth, chociaż żaden z nas nie śmiał ust otworzyć.

— Zdziwiony jestem — ciągnął pan Creakle — chociaż szczerze twoja, chłopcze, niewątpliwie przynosi ci zaszczyt, zdziwiony jestem, jak mogłeś podobnie nazwać kogoś, kto pobiera honoraria w Salem House.

Steerforth zaśmiał się.

— To nie jest odpowiedź na moje pytanie — powtórzył pan Creakle — spodziewałem się więcej po tobie, chłopcze.

Jeżeli w oczach naszych pan Mell wyglądał nędznie i pokornie przy Steerforcie, z którego byłem dumny, to cóż dopiero mówić o panu Creakle!

— Niech odwoła, co powiedział — domagał się Steerforth.

— Sam odwołaj, co powiedział — odrzekł pan Creakle. — Pierwszy zacząłeś.

— Jeśli sam nie jest żebrakiem — zaczął Steerforth — najbliżsi jego krewni żebrzą, a to na jedno wychodzi.

Mówiąc to, patrzył na mnie, gdy jednocześnie dłoń nauczyciela przesunęła się pieszczotliwie po moim ramieniu. Pełen wyrzutów sumienia wzniosłem oczy na pana Mell, który patrzył wprost na swego przeciwnika.

— Jeśli pan, panie Creakle — mówił Steerforth — żądasz objaśnień, obowiązkiem moim jest dodać, że matka tego pana żyje z jałmużny w przytułku.

Pan Mell, gładząc mnie po głowie i nie spuszczać oka z przeciwnika, szepnął tylko coś do siebie, zdawało mi się, że: „Tęgom się spodziewał”.

Marszcząc brwi, pan Creakle zwrócił się do nauczyciela z przesadną grzecznością:

— Słyszysz pan, co tu o panu mówią? Niechże pan zaprzeczy i zgromi chłopca, jak na to zasłużył, wobec wszystkich tu zebranych. Słuchamy!

— Prawdę powiedział, najzupełniejszą prawdę — wyrzekł nauczyciel wyraźnie wśród zaległej dokoła ciszy.

— Niechże pan z łaski swej — ozwał się, wspierając pod boki i wodząc po nas okiem, pan Creakle — zaświadczyć tu raczy, żem o tym nigdy przedtem nie słyszał.

— Sądzę, że nie bezpośrednio...

— Co, jak? Proszę powtórzyć.

— Przypuszczam, że smutne moje położenie wiadome było panu, że... że znane mu są warunki... w jakich...

— Boję się, jeśli już mamy mówić o tym — zasyczał pan Creakle — abyś pan i mojej szkoły nie brał za zakład dobroczynny. Możemy się rozstać, panie Mell, im prędzej to nastąpi, tym lepiej.

— Najstosowniej zatem byłoby natychmiast — odrzekł powstając nauczyciel.

— Żegnam pana.

— I ja pana, panie Creakle. Chłopcy, bywajcie mi zdrowi!

Mówiąc to, pan Mell, gładząc mnie ciągle po głowie, powiódł wzrokiem po całej szkolnej izbie i na widok Steerfortha dodał:

— Jamesie Steerforth, przyjmij ode mnie przy rozstaniu życzenie, abyś się rumienił za dzisiejszy postępek. Co do mnie wolę cię mieć za swego wroga i przyjaźni twej nie życzyłbym nikomu, kto by mnie bliżej obchodził.

Mówiąc to, raz jeszcze pogładził mnie pieszczotliwie, wyjął z szuflady swój flet, parę książek i zostawiając w niej klucz dla swego następcy, wyszedł ze szkolnej izby. Wówczas pan Creakle, tym razem już przez usta pedla, wygłosił szumną mowę, w której dziękował Steerforthowi za to, że wziął w obronę honor szkoły, po czym uściskał ręce mego przyjaciela, co wprawiło nas wszystkich w zachwyt, dlaczego, tego bym już wyjaśnić nie mógł. Ja także winszowałem Steerforthowi powodzenia, serce mi się jednak bardzo, bardzo ścisnęło. Tymczasem kij przelożonego spadł na plecy biednego Tommy'ego Traddlesa, który zamiast podzielać ogólną radość, odważył się popłakiwać w ukryciu, lecz rzewnie, z powodu wydalenia nauczyciela. Po dokonaniu tego ostatniego aktu najwyższej sprawiedliwości pan Creakle poszedł do łóżka czy tam, skąd był wyszedł<sup>89</sup>.

Pozostawieni sami sobie, wyglądaliśmy, pamiętam, jak nieswoi. Co do mnie przynajmniej, to dręczony najokropniejszymi wyrzutami sumienia i oskarżając siebie jako sprawcę całego tego zajścia, rozplakałbym się na dobre, gdyby nie wzgląd na przyjaciela, którego łzy moje mogłyby zdziwić, a może i obrazić. Przecież obraził się już na Traddlesa, wyrażając przy tym swe zadowolenie, że się to już raz wreszcie skończyło.

Traddles, który przez cały czas siedział z głową wspartą na stole i miał już cały kajet porysowany kościotrupami, podniósł twarz i zdecydował, że mu wprawdzie nic do tego, lecz z nauczycielem bez wątpienia postąpiono haniebnie.

— Kto temu winien, sam powiedz, płakso? — spytał główny winowajca.

— Tyś winien — odparł Traddles.

— I w czymże to zawiniłem?

— Obraziłeś go i pozbawiłeś miejsca.

— Obraziłem? — powtórzył wzdorliwie Steerforth. — Wyjdzie mu to najpewniej na dobre. Nie przypisuj mu własnych swych delikatnych uczuć. Co zaś do miejsca, piękne mi miejsce! Korzystne! Napiszę do domu, aby mu natychmiast posłali pieniężny zasiłek.

Wprawiło to nas w zachwyt. Wiedzieliśmy, że matka przyjaciela mego była wdową bogatą i niczego nie odmawiała synowi. Porażka Traddlesa była zupełna. Steerforth

<sup>89</sup>był wyszedł — daw. forma czasu zaprziesłego; znaczenie: wyszedł uprzednio (wcześniej, zanim miały miejsce zdarzenia i czynności wyrażone czasem przeszłym zwykłym). [przypis edytorski]

triumfował, a nadto wmawiał w nas, że to, co zrobił, zrobił w interesie ogółu, narażając własną osobę.

Gdy jednak wieczorem rozpocząłem codzienne opowiadanie, nieraz zdawało mi się, że słyszę flet byłego nauczyciela. Jęczał mi żałośnie w uszach, a gdy wreszcie Steerforth zasnął, długo jeszcze nie dawała mi zasnąć myśl, gdzie teraz się ten flet odzywać może.

Zapomniałem jednak o tym prędko wobec swobody, z jaką Steerforth, nawet bez pomocy książek (zdawało mi się, że wszystko umie na pamięć), wziął się do tymczasowego zastąpienia nauczyciela. Prawdziwy następca pana Mell przybył wreszcie i został przedstawiony memu przyjacielowi na obiedzie u samego pana Creakle. Podobał mu się. „Ten to co innego” — mówił. Wierzyłem Steerforthowi na słowo. Co się tyczy mnie, to nowy nauczyciel nie zadawał sobie w tym wypadku najmniejszego trudu.

W dalszym ciągu szkolnego półroczu jeden już tylko zaszedł wypadek, który dla wielu przyczyn utkwiał mi w pamięci.

Pewnego popołudnia, gdy, korzystając z drzemki pana Creakle, oddawaliśmy się swobodniejszej zabawie, pedel, wchodząc do klasy, zaanonsował grubym głosem:

— Goście do Copperfielda.

Zamienił już przedtem słów kilka z przełożonym co do osobistości przybyłych w odwiedziny i pokoju, do którego miały zostać wprowadzone, mnie zaś, zaskoczonemu niezmiernie, kazano iść na górę i włożyć świeże ubranie. Rozkaz ten wypełniłem z bijącym sercem, lecz wchodząc do bawialnego pokoju, cofnąłem się od progu na samą myśl, że odwiedzającymi mogą być chyba pan lub panna Murdstone, a jeśli to będzie moja matka...

W pierwszej chwili nie spostrzegłem nikogo. Przy samych drzwiach oparci stali Ham i pan Peggotty, wywijając kapeluszami na moje powitanie. Roześmiałem się nie tyle z istotnie zabawnego ich wyglądu, ile z prawdziwej radości, jaką mi sprawił ich widok. Długo nie mogłem się uspokoić, przechodząc od śmiechu do łez. Pan Peggotty, który zrazu nie otwierał ust, dawał znaki bratankowi, aby ten mówił:

— Niech się panicz uspokoi — wyszczerzał jak zwykle zęby Ham. — Ależ panicz urósł!

— Urosłem? Doprawdy? — mówiłem, ocierając łzy wywołane widokiem przyjaciół.

— Ależ panicz urósł! — dziwił się Ham.

— Ależ urósł! — powtarzał pan Peggotty.

Śmieliśmy się wszyscy trzej, chociaż nowe groziło mi rozrzewnienie.

— A mama czy zdrowa? — spytałem. — Mama i Peggotty?

— Najzupełniej — zapewniał pan Peggotty.

— Emilka, pani Gummidge?

— Najzupełniej.

Umilkliśmy. Skorzystał z tego pan Peggotty, aby dostać z kosza parę olbrzymich krabów i cały wór małych raczków. Wręczył wszystko to bratankowi, mówiąc:

— Paniczowi smakowało to kiedyś, pamięta panicz, w naszej rybackiej chacie! Ugotowała to sama stara, to jest pani Gummidge ugotowała własnoręcznie.

Podziękowałem, a pan Peggotty, spostrzegłszy, że mu bratanek nie pomaga wymową i tylko uśmiecha się nad morskimi przysmakami, dodał:

— Przybyliśmy na łodzi z Yarmouth do Gravesen. Wiatr mieliśmy pomyślny. Siostra, pisząc do mnie, wymieniła tę szkołę, żądając, abym będąc tu, odwiedził koniecznie panicza i kłaniał się od niej i od wszystkich. Zaraz po moim powrocie Emilka napisze do siostry, żeśmy panicza widzieli, i tak dalej, i tak dalej...

Przeszła chwila, zanim zrozumieć zdołałem, co znaczyło owo „i tak dalej, i tak dalej”. Zrozumiałwszy podziękowałem z wylaniem pocziwemu rybakowi, po czym zacząłem rozpytywać go o Emilkę. Musiała urósć, zmienić się, odkąd zbierałem z nią razem muszle i kamyki na wybrzeżu?

— Tak, tak, niedługo, a będzie to już mała kobieta — odrzekł pan Peggotty. — Niech go panicz spyta.

Wskazał na bratanek, skłaniającego w najwyższym zadowoleniu głowę nad workiem raków.

— A jaka ładna! — dorzucił.

— Jaka uczona! — twierdził Ham.

— Jak pisze! Litery czarne, wyraźne, ot, z tak daleka widne!

Pocziwy rybak z zapalem mówił o swej ulubienicy. Twarz jego wyrażała najwyższe zadowolenie, dumę i przywiązanie, oczy połyskiwały wewnętrznym ogniem, a szeroka pierś podnosiła się lekko, swobodnie. Silne ręce zaciskały się z mocą i przekonaniem, a każde swe słowo podkreślał ruchem ramienia, które wydało mi się podobne do kowalskiego młota.

Nie mniejszy był zapal bratanka i zajmujący temat rozmowy byłby zapewne niewyczerpany, gdyby nie nagłe zjawienie się Steerfortha. Wpadł do pokoju, nucąc coś wesołego i dopiero spostrzegłszy mnie w towarzystwie dwóch nieznanym, cofnął się, wołając:

— Przepraszam, nie wiedziałem, że cię tu zastanę.

Nie w tym to istotnie pokoju przyjmowano zwykle przybywających w odwiedzinach gości. Nie wiem sam doprawdy, czy to chęć pochwalenia się przed panem Peggotty takim jak Steerforth przyjacielem czy chęć wyjaśnienia przed tym ostatnim stosunków moich z rybakim i jego synowcem skłoniły mnie do odwołania cofającego się przyjaciela — jakże mi każdy szczegół głęboko wrył się w pamięć — mówiąc<sup>90</sup>:

— Nie uciekaj, Steerforth, proszę cię, nie uciekaj! Są to rybacy z Yarmouth, dobrzy, kochani ludzie, bliscy krewni mojej niani. Odwiedzili mnie.

— Dobrze, wybornie! — zawołał Steerforth, wracając. — Miło mi ich poznać! — Jak się macie, panowie!

Zachowanie jego było tak uprzejme, swobodne, bez cienia zbytecznej poufałości, że musiało wywierać czar nieopisany. Urok spoczywał w pięknej twarzy, wesołym, pogodnym uśmiechu, melodyjnym głosie, postawie zdrowej i energicznej i w czymś jeszcze nieokreślonym a nieprzepartym, w tej sile pociągającej, będącej własnością i tajemnicą niektórych wybranych. Urokowi temu mało kto mógł się oprzeć i nie dziw, że mu ulegli od razu moi goście. Na oścież otworzyli mu pocziwe serca.

— Niech pan, panie Peggotty — rzekłem — wysyłając do nas wiadomy list, poprosi, aby wspomniano w nim i o tym, że pan Steerforth niezrównanie dobry jest dla mnie. Nie wiem, co bym tu począł bez niego.

— Głupstwa! — zawołał, śmiejąc się, mój przyjaciel. — Zabawnie mówić o tym.

— A jeśli kiedy — ciągnąłem — pan Steerforth odwiedzi Norfolk lub Suffolk, przywiozę go najpewniej do Yarmouth w odwiedzinach do pana. Nie uwierzysz, Steerforth, jaki dziwny jest ich dom. Wyobraź sobie, cały się mieści w jednej łodzi.

— Jak to, zrobiony z łodzi? — zawołał wesoło mój przyjaciel. — Przybytek godny żeglarza!

— Tak, panie! Najzupełniej — potakiwał oczarowany Ham. — Masz pan słuszność, najzupełniejszą słuszność. Panicz Davy wie, że jestem nieodrodnym żeglarzem, tak jak i on — wskazał na wuja, który nie mniej od chłopaka oczarowany, z mniejszą tylko skwapliwością połknął komplement. Kłaniając się i mnaąc końce okalającej mu szyję chustki, dziękował skromnie:

— Wdzięczny, nieskończenie wdzięczny jestem... Każdy, panie, czyni, co może!... Spełniam po prostu swój obowiązek.

— Najlepsi to właśnie ludzie, którzy spełniają swój obowiązek, panie Peggotty — rzekł Steerforth, który od razu pochwycił i zapamiętał nazwisko rybaka.

— Tak sędzę, tak sędzę, istotnie — mówił ten ostatni. — Dziękuję panu, wdzięczny jestem za jego uprzejmość dla nas. Prości jesteśmy ludzie, lecz szczerzy... Mam nadzieję, że mnie pan zrozumie, zawsze gotowi do usług, chata moja szczupła, ale na usługi. Jeśliby istotnie zechciał pan odwiedzić nas kiedy z paniczem...

Mówiąc to, zabierał się do wyjścia i za każdym słowem wracał się od drzwi i kłaniał:

— Bądźcie zdrowi! Obu paniczom życzę wszelkiej, wszelkiej pomyślności!

Ham wtórował. Pożegnaliśmy ich serdecznie. Przez cały wieczór brała mnie chętka opowiedzenia przyjacielowi o Emilce. Zbyt jednak byłam nieśmiała, zresztą bałam się narazić na żarty. Pamiętam, że z pewną przykrością rozmyślałam nad udzieloną mi przez

<sup>90</sup>chęć pochwalenia się (...) czy chęć wyjaśnienia (...) skłoniły mnie (...) mówiąc — zdanie to zawiera błąd logiczny, a co za tym idzie stylistyczny: ma miejsce niezgodność podmiotów między zdaniem głównym a imiesłowem; należałoby np. zastąpić imiesłów „mówiąc” zdaniem: „powiedziałem więc”. [przypis edytorski]

pana Peggotty wiadomością, jakoby tak urosła, iż była już niemal kobietą. Wierzyć mi się w to nie chciało i wmawiałem w siebie, że to żarty.

Przyniesione przez gości mych przysmaki przenieśliśmy na górę i wieczorem dnia tego odbyła się prawdziwa uczta. Biednemu Traddesowi wyszło to na złe, rozchorował się bowiem w nocy. Lekarstwami, które by konia zabić mogły, opchany przez młodego Demple, posiadającego pomiędzy kolegami lekarską wziętość<sup>91</sup>, gdyż był synem lekarza, Traddles naraził się jeszcze nazajutrz za niewyjaśnienie przyczyny swej słabości na razy i dawkę sześciu rozdziałów greckiej biblii.

Reszta tego szkolnego półroczka pozostała mi w pamięci jako ustawiczna troska i walka z otaczającymi nas warunkami istnienia; zmiany pór roku, zimnych ranków, gdy trzeba było podnosić się z łóżek, i bardzo zimnych wieczorów, gdyśmy kładli się do łóżek, szkolnej sali słabo ogrzanej i zaledwie skąpym oświetlonej światłem, chłodu przejmującego nas dniami całymi jednym długim dreszczem, monotonii gotowanego i pieczonego na zmianę mięsa, skibek chleba skąpo pociąganych masłem, książek w porwanych okładkach, popękanych tablic, łzami oblanych zeszytów, razów, ponurych dni świątecznych, mdłych, tłustych puddingów... a wszystko to pogrążone w brudnej, atramentowej atmosferze.

Pamiętam też, jak odległa z początku, że się niedościgłą zdawała, perspektywa wakacji zbliżała się pomału, stając się coraz wyraźniejszą. Liczyliśmy najpierw dzielące nas od upragnionej chwili miesiące, potem tygodnie i dni. Pamiętam, jaki mnie strach ogarniał na samo przypuszczenie, że nie wezmą mnie może do domu, i radość, która mnie opanowała, gdy mnie Steerforth upewniał, że na pewno tam pojedę. Zapewnienie to wprawiło mnie w szal szczęścia i przyjaciel mój zmuszony był ostrzec mnie, że łamiąc sobie rękę lub nogę wszystko zepsuje. Dzień upragniony zbliżał się szybko. Pojutrze... Jutro... dziś... natychmiast, dyliżans odwiezie mnie do Yarmouth, a stamtąd tak już blisko do domu!

W dyliżansie sen miałem przerywany gorączkowymi, niejasnymi wizjami, lecz za każdym przebudzeniem, spoglądając przez okno, przekonywałem się ze wzrastającą radością, żeśmy opuścili Salem House, że wpadające mi w ucho dźwięki nie są razami wymierzonymi przez pana Creakle. Padaly tym razem nie na plecy nieszczęsnego Traddlesa, lecz na grzbiety popędzanych przez woźnicę szkap pocztowych.

## ROZDZIAŁ VIII. WAKACJE. ZWŁASZCZA JEDNO BŁOGIE POPOŁUDNIE

Kiedyśmy nad ranem przyjechali do gospody, nie do tej jednak, w której miałem przypadek ze służącym, wprowadzono mnie do milutkiego sypialnego pokoju z wymalowanym nad drzwiami wielorybem. Zziębnięty, pomimo gorącej herbaty, którą napojono mnie w sali przed płonącym na kominie ogniem, z przyjemnością położyłem się w łóżku Wieloryba, okryłem się kołdrą Wieloryba i zasnąłem czym prędzej.

Nazajutrz o dziewiątej miał zająchać po mnie pan Barkis. Wstałem o ósmej i choć bolała mnie głowa po zbyt krótkim spoczynku, gotów jednak byłem w porę do drogi. Woźnica powitał mnie tak, jak gdybyśmy się dopiero przed pięciu minutami rozstali, jak gdybym był dopiero wstąpił<sup>92</sup> do gospody dla wymienienia na drobne pieniędzy.

Skoro włożono do wózka mój kuferek i skorom usiadł<sup>93</sup>, spokojny koń ruszył zwykłym swym powolnym, leniwym krokiem.

— Pan doskonale wygląda, panie Barkis — zauważyłem sądząc, że mu to zrobi przyjemność.

Barkis potarł twarz rękawem, jak gdyby się spodziewał, że coś z tej twarzy zobaczy na rękawie, jednak nic na mój komplement nie odpowiedział.

— Spełniłem pańskie zlecenie — dodałem. — Napisałem do Peggotty to, co pan chciał.

— Aha! — odrzekł. Zdawał się być kwaśny i odpowiadał niechętnie.

<sup>91</sup>wziętość — popularność, sława; też: wzięcie. [przypis edytorski]

<sup>92</sup>jak gdybym był (...) wstąpił — konstrukcja daw. czasu zaprzeszczonego, wyrażającego czynności i zdarzenie wcześniejsze od opisywanych w czasie prostym przeszłym; inaczej: jak gdybym wcześniej wstąpił. [przypis edytorski]

<sup>93</sup>skorom usiadł — inaczej: skoro usiadłem; przykład konstrukcji z ruchomą końcówką czasownika. [przypis edytorski]

— Czym się źle wywiązał<sup>94</sup>? — spytałem po chwili wahania.  
 — Co, jak? — spytał.  
 — Ze zlecenia.  
 — Zlecenie dobrze spełnione — odmruknął — tylko że nic z tego... nie wyszło.  
 — Nie wyszło? — spytałem, nie rozumiejąc zupełnie, o co idzie.  
 — Nie wyszło — powtórzył, spoglądając na mnie z ukosa. — Nie było odpowiedzi.  
 — A czyż miała być odpowiedź? — spytałem, szeroko otwierając oczy, gdyż przyznaję, na myśl mi to nie przyszło.  
 — Gdy ktoś upewnia kogoś, że „gotów” — odrzekł, ciągle z ukosa spoglądając na mnie — to znaczy, co najmniej, że czeka odpowiedzi.  
 — Tak, panie Barkis!  
 — Tak. — I patrzył dalej na uszy konia. — Do tej pory nie doczekałem się odpowiedzi — dorzucił.  
 — Czy pan jej o tym mówił?  
 — Nie, nie mówiłem i nie powiem. Nigdy z nią trzech słów nie zamieniłem.  
 — To może ja pana wyręczę? — spytałem nieśmiało.  
 — Jeśli się podoba, może panicz powiedzieć jej — tu znów spojrzął na mnie spod łba — że Barkis czeka na odpowiedź. Jak jej na imię?  
 — Na imię?  
 — Aha! — skinął głową.  
 — Peggotty.  
 — To chrzestne imię czy nazwisko?  
 — Oczywiście nazwisko, na imię jej Klara.  
 — Tak!

Okoliczność ta zdawała się pogrążać go w głęboką zadumę. Jechaliśmy w milczeniu; woźnica pogwizdywał.

— Aha! — przemówił wreszcie. — Proszę powiedzieć jej, że Barkis gotów<sup>95</sup> i czeka odpowiedzi. A gdy spyta: „jakiej?”, „Na to, com napisał”. „A co tam było?”, spyta „Barkis gotów”, odpowiesz.

Słowa te woźnica poparł energicznym ruchem ramion, który mnie niemal wysadzał z siedzenia, po czym w zwykły sobie sposób zapatrzył się na konia i nie przemówił już słowa. Może w pół godziny potem wyjął z kieszeni kawał węgla i napisał na wewnętrznej stronie budy „Klara Peggotty”, widocznie jako prywatny zapisek.

Z dziwnym uczuciem wracałem do domu, co przestał mi być domem! Z budzącymi się na każdym kroku wspomnieniami błogiej, niepowrotnej przeszłości, która wydała mi się niepowtarzalnym snem, czas, w którym matka, Peggotty i ja wystarczaliśmy sobie najzupełniej, kiedy nikt nas nie dzielił, stawał w pamięci, takim bólem ściskając serce, żem żałował, iż jestem tak blisko tych miejsc i chętnie zawróciłbym z powrotem, aby mój żal i bolesne wspomnienia zatopić w przyjaźni Steerfortha. Za późno! Stanęliśmy przed domem. Stare wiązy wyciągały ku zimowemu niebu liczne gałęzie, a resztki starych wronich gniazd unosił wiatr.

Woźnica, zdjęwszy mój kuferek, pozostawił mnie przed bramą i odjechał. Przechodząc wiodącą do domu ścieżką, spoglądałem nieśmiało w okna, bojąc się, że dojrzę w którymś z nich pana albo pannę Murdstone. Żadna jednak nie ukazała się twarz i cichym, nieśmiałym krokiem szedłem do domu.

Bogu tylko wiadomo, jakie niemowlęce, niejasne wspomnienia obudził głos mojej matki, śpiewającej w bawialnym pokoju. Śpiewała tak cicho, słodko! Zdawało mi się, że spoczywam jako niemowlę na jej kolanach. Wrażenie to, chociaż zupełnie nowe, wypełniało mi serce niby powrót drogiego starego przyjaciela.

Z głosu i sposobu, w jaki matka moja nuciła tę kołysankę, wniosłem, że musi być sama. Cicho otworzyłem drzwi, na palcach wsunąłem się do pokoju. Siedziała przed ogniem, kołysząc na rękę niemowlę, którego drobne rączki tuliła do swej szyi. Śpiewała wpatrzona w drobną twarzyczkę dziecka. Nie pomyliłem się, była sama!

<sup>94</sup>*czym się źle wywiązał* — inaczej: czy się źle wywiązałem; przykład konstrukcji z ruchomą końcówką czasownika. [przypis edytorski]

<sup>95</sup>*Barkis gotów* — w oryg. *Barkis is willin'*, co można również tłumaczyć jako „ma zamiar”. [przypis edytorski]

Przemówiłem. Drgnęła. Poznając mnie, rozplakała się, nazwała swym Davy, synkiem jedynym, a biegnąc na spotkanie, uklękła na ziemi, aby mnie lepiej móc uściskać, i tuląc moją głowę do swych piersi, przytuliła jednocześnie do ust moich drobne niemowlęce rączkę.

Czemuż nie umarłem w tej chwili! Niebo miałem w sercu!

— Braciszek twój — mówiła tkliwie matka moja — Davy! Dobrze moje, kochane, biedne dziecię!

Całowała mnie, ścisnęła, znów całowała, aż nadbiegła Peggotty, przykucnęła przy nas na ziemi i nie wiedziała sama, co robić z radości, czy mnie czy brata mego pieścić i całować. Pół godziny co najmniej minęło, zanim zdążyliśmy ochłonąć.

Nie oczekiwano mnie jeszcze, gdyż woźnica przybył za wcześnie, a pan i panna Murdstone byli nieobecni i wrócić mieli dopiero wieczorem. Przechodziło to moje oczekiwanie. Nie śmiałem nawet przypuszczać, aby raz jeszcze w życiu pozostawiono nas troje samym sobie, jak bywaliśmy dawniej.

Siedliśmy razem do stołu, tuż przed kominkiem. Peggotty chciała nam usługiwać, ale matka moja kazała jej zająć miejsce obok mnie. Dano mi mój dawny talerz z wymalowanym na brązowo wojennym okrętem pod pełnymi żaglami, który Peggotty skrzętnie przechowywała w głębi szafy, skąd go obecnie wydestała. Dano mi mój stary kubek z wyrzytniętym na nim imieniem „Dawid”, nożyk, który nie krajał, i mały mój widelczyk.

Przy stole uważałem za stosowne wywiązać się z danego mi przez woźnicę zlecenia, lecz zaledwem rozpoczął<sup>96</sup>, Peggotty roześmiała się, kryjąc twarz w fartuchu.

— Cóż to znaczy, Peggotty? — pytała moja matka.

Peggotty nie odpowiadała i, nie odkrywając twarzy, śmiała się do rozpuku.

— Ale cóż ci się stało? — nalegała, śmiejąc się też, moja matka.

— Niech go! — rzekła wreszcie Peggotty — chce się ze mną żenić.

— To byłaby dla ciebie bardzo dobra partia — zauważyła moja matka.

— Może być, sama nie wiem — odparła Peggotty. — Ale choćby był złoty cały, ja nie chcę.

— Czemuż mu tego nie powiesz? Ty zabawne stworzenie!

— A co mam mówić — broniła się, uchylając fartucha, Peggotty — kiedy ani razu nie wspomniał o tym, ani w ogóle o niczym. Oho, nie śmiałyby! Wydrapałabym mu oczy!

Nigdy jeszcze nie widziałem Peggotty tak czerwonej jak wtedy. Kilka razy kryła twarz w fartuchu, wybuchając śmiechem. Matka moja, chociaż się też uśmiechała, była jednak zamyślona. Teraz dopiero dostrzegłem zmiany w jej twarzy. Ładna była jak zawsze, lecz schudła i posmutniała. Ręce też jej wyszczuplały, zbladły, wydawały się niemal przezroczyste. Nie na tym jednak polegała główna zmiana. Była wciąż wystraszona jakby i niepewna. Po jakimś czasie, kładąc rękę na ramieniu wiernej służki, rzekła:

— Peggotty! Nie wyjdiesz za męża?

— Ja, pani? — odrzekła Peggotty, wytrzeszczając oczy. — Nie, nigdy!

— Przynajmniej nie teraz, nie zaraz — prosiła tkliwie matka moja.

— Nigdy! — wołała Peggotty.

Matka moja ujęła jej rękę.

— Nie opuszczaj mnie, kochanie, pozostań ze mną... Nie na długo już może... Nie wiem, co bym poczęła bez ciebie.

— Porzucić panią! Ja bym miała porzucić! — wołała pocziwa Peggotty — kto w panią mógł takie rzeczy wmówić, oj głowa, ta głowa!

Traktowała często matkę moją jak małe dziecko. Lecz ona, nie zważając na to, dziękowała jej z wylaniem<sup>97</sup>, a pocziwa Peggotty gadała dalej po swojemu:

— Ja bym miała panią opuścić! To by było dopiero! Chciałabym to widzieć! Nie, nie, nie i jeszcze raz nie, to niemożliwe! Nie! Chociaż jest tu ktoś, komu byłoby na rękę, oj i bardzo na rękę. Niech się ludzą! Nic z tego nie będzie, zostaną na złość im, jak gdybym w ziemię tu wrosła, aż do grobowej deski. Gdy postarzęję, ogłuchnę, oślepnę, wszystkie już zęby stracę i będę do niczego, Davy da mi kątek i kęs chleba. Czy tak, Davy?

— A! Jak to będzie dobrze! — zawołałem. — Będziesz u mnie szczęśliwa jak królowa.

<sup>96</sup>zaledwem rozpoczął! — inaczej: zaledwie rozpocząłem; przykład konstrukcji z ruchomą końcówką czasownika. [przypis edytorski]

<sup>97</sup>z wylaniem (daw.) — wylewnie; serdecznie, dając wyraz uczuciom. [przypis edytorski]

Szczęście

Sługa, Dom, Dziecko

Sługa, Wierność,  
Małżeństwo, Opieka



— Niech cię Bóg ma w swej świętej opiece! Poczciwe serce! — wołała Peggotty, pokrywając mnie pocałunkami w przedwczesnej wdzięczności za obiecaną gościnność; potem zakryła ponownie twarz fartuchem, śmiejąc się znów, zapewne z Barkisa, po czym wyjęła niemowlę z kołyski i zaczęła nosić je dokoła pokoju. Po chwili położyła je w kołysce, sprzątnęła ze stołu i wreszcie usiadła naprzeciw nas z robotą w rękę, kawałkiem wosku i pudełkiem do robót, najzupełniej tak, jak bywało dawniej.

Siedząc tak, gwarzyliśmy wesoło. Opowiadałem, jak srogi i okrutny jest pan Creakle. Obie, matka i Peggotty, rozplywały się w żalu nad moim losem. Opowiadałem o Steerforcie i Peggotty dodała, że poszłaby chętnie piechotą do Londynu, aby go tylko zobaczyć. Gdy niemowlę obudziło się, wziąłem je delikatnie na ręce i zacząłem kołysać. Gdy usnęło, przytuliłem się do matki, jak dawniej bywało, zarzuciłem jej ręce na szyję, twarz oparłem o ramię i znów mnie na kształt skrzydeł anioła opłynęły miękkie jej włosy... I znów się czułem szczęśliwy...

Gdy siedziałem tak, zapatrzony w ogień i biegające nad rozżarzonym węglem iskierki, zdawało mi się, że nigdy nie wyjeżdżał z domu, że wszystko było snem — i pan, i panna Murdstone znikli jak te pogasłe płomyki... Prawdą żywą było to tylko, co mnie otaczało: matka moja i Peggotty.

Peggotty z pończochą w lewej, a igłą w prawej ręce cerowała. Nie pojmuję, skąd się jej brały te wieczne dziury w pończochach. Odkąd pamięcią sięgam, codziennie je cerowała.

— Ciekawa jestem — ozwała się nagle — co się stało z ciotką Davy?

— Boże mój! — matka moja ocknęła się z zamyślenia. — Skąd ci się to wzięło?

— Nie wiem, pani. Dość, że jestem ciekawa.

— Skąd ci na myśl przyszła ta dziwaczka? Czy nie masz już o czym myśleć?

— Nie wiem, pani, skąd mi to przyszło, ot tak sobie. Myślę to o tym, to o owym i poradzić już na to nie mogę. Ot, pomyślałam, co się też z nią stało?

— Jakże jesteś nieroztropna! Można by sądzić, że spragniona jesteś jej odwiedzin.

— A niechże Pan Bóg broni!

— Więc po co mówić o tak nieprzyjemnych rzeczach! Panna Betsey siedzi pewnie zamknięta w swym wiejskim domku nad morzem i pozostanie tam zawsze. W każdym razie na pewno nie odwiedzi już nas nigdy.

— Zapewne, zapewne! Tego się nie boję i tylko ciekawa jestem, czy umierając zapisze coś Dawidowi.

— Bój się Boga, Peggotty! Jakże jesteś nierozważna! Czyś zapomniała, że gniewa się na tego biedaka od jego urodzenia?

— Może mu przebaczy.

— Czemużby teraz właśnie miała przebaczyć? — spytała z pewnym niezadowoleniem matka moja.

— Bo teraz Davy ma braciszka — odrzekła Peggotty, a matka moja zaczęła płakać i wymawiać jej ostre słowa.

— Jak gdyby to maleństwo zrobiło jaką krzywdę tobie lub komukolwiek — mówiła łkając. — Niedobra, nieznośna zazdrośnico! Lepiej byś już raz wyszła za tego swego Barkisa. Czemu nie wychodzisz?

— Bobym tym zbyt dogodziła pannie Murdstone — żywo odrzekła Peggotty.

— Zabawna jesteś — ciągnęła matka moja — z tą wieczną zazdrością i niechęcią względem siostry mego męża. Można by cię posądzić, że ci tak bardzo chodzi o klucze, że chciałabyś wszystko mieć w swoich rękach, rządzić wszystkim... Jakbyś nie wiedziała, że wszystko, co panna Murdstone robi, czyni w najlepszej intencji, z łaski. Przecie wiesz o tym?

Peggotty pomrukiwała coś w rodzaju: „Niech ją licha porwie z jej łaską i dobrymi intencjami”.

— O! Wiem, wiem dobrze, co myślisz, niedobra! — mówiła z żalem matka moja. — Rozumiem cię doskonale... Dziwię się tylko, że nie rumienisz się ze wstydu. Panna Murdstone służy tu tylko za pretekst. Czyś nie słyszała, jak mówi i powtarza, że jestem zbyt bezmyślna i... i...

— Ładna — odpowiedziała służąca.

Sluga, Praca, Dom

— A jeśli i tak mówi — odparła już z uśmiechem matka moja — mamże<sup>98</sup> się obrażać o to?

— Nie, oczywiście...

— Przecież słyszałaś tysiąc razy, jak mówiła, że pragnie oszczędzić mi kłopotów i pracy, będącej, jak sądzi, nad moje siły. Może i ma słuszość... wstaje wcześniej, kładzie się późno, dzień cały biega tu i ówdzie, pełno jej w spiżarni, w kuchni, wszędzie... Niełatwa to rzecz i wcale nie przyjemna. A ty mówisz, że to nie jest poświęcenie. Co? Może nie mam racji?

— Nie przeczę.

— Przeczyśz, właśnie że przeczyśz. Poza swoją robotą nie widzisz niczego. Zawsze musisz coś wmawiać, zawsze. Taki to już twój zwyczaj i kiedy mówisz o zamiarach pana Murdstone...

— Wcale o nich nie mówię — przerwała z żywością Peggotty.

— Nie mówisz, lecz dajesz do zrozumienia, i w tym rzecz. Właśnie przed chwilą powiedziałam, że cię rozumiem i widzę, że tak jest. Otóż, gdy podajesz w wątpliwość dobre intencje pana Murdstone i udajesz, że je lekceważysz, przekonana jesteś tak, jak i ja, że są one najlepsze... powinnaś być przekonana... i jeśli był i jest zbyt surowy wobec pewnej, wiadomej nam osoby... Zresztą i ty, i ja, i nawet Davy wie, że nie może tu być mowy o nikim obecnym... to... to jedynie dla przyszłego dobra tejże osoby. Przez miłość dla mnie kocha on najpewniej ową osobę i działa dla jej dobra. W tym, jak i we wszystkim, musimy przyznać mu hart i wyższość. Sama wiem, jak słaba jestem, dziecinna, niedorzeczna, zwłaszcza wobec tak poważnego, stałego, pełnego charakteru i woli męża.

— Wiem też — ciągnęła, powstrzymując łzy — ile ma kłopotów ze mną. Wierzę mu ślepo, powinnam ulegać we wszystkim, we wszystkim... i być mu wdzięczna... Nieraz czynię sobie wyrzuty, trapią mnie wątpliwości i sama wówczas nie wiem, co począć.

Peggotty słuchała w milczeniu, trzymając w ręku pończochę i opierając na niej brodę, patrzyła w ogień.

— Peggotty — przerwała milczenie matka moja zmienionym już głosem — niech się raz skończy to nieporozumienie. Wiem, że jesteś najlepszą mą przyjaciółką i że na twoją tylko przyjaźń mogę liczyć, i kiedy mówię ci, że jesteś niedorzeczna, niecznośna, głupia, to dlatego tylko, że wiem, że jesteś moją najlepszą przyjaciółką, jesteś nią i byłaś od chwili, gdy mnie owego wieczoru, pamiętasz, spotkałaś na progu domu, do którego wprowadzał mnie pan Copperfield.

W odpowiedzi na te słowa Peggotty przycisnęła mnie z całej siły do piersi. Później dopiero pojąłem niezrozumiałe dla mnie wówczas znaczenie tej rozmowy i zdaje mi się, że poczciwa Peggotty zaczęła ją i podtrzymywała w celu dostarczenia matce mojej sposobności do wylania sprzecznych zresztą, lecz z pewnością trapiących ją srodze uczuć. Wybieg udał się. Przez resztę wieczoru matka moja była już w weselszym i swobodniejszym usposobieniu.

Po herbacie, kiedy ogień wygasł na kominku i zapalono świece, przeczytałem Peggotty na głos rozdział z książki o krokodylach, którą szczególniej lubiła i obecnie z własnej wydostała kieszeni. Nie wiem, czy się z nią nosiła tak ciągle od dnia mego wyjazdu do szkoły. Potem rozmawialiśmy znów o Salem House, o Steerforcie i tak minął pamiętny wieczór, zamykający raz na zawsze rozdział, którego czas i życie nie zdołały zetrzeć z mego serca i pamięci.

Około dziesiątej na dziedzińcu zaskrzypiały koła powozu. Porwaliśmy się z miejsca i matka moja widząc, że jest późno, a pan Murdstone jest zdania, że dzieci powinny wcześniej chodzić spać, zauważyła z gorączkowym pośpiechem, czy nie lepiej byłoby, żebym odszedł na górę natychmiast, nie czekając wejścia pana i panny Murdstone. Ucałowałem ją, wziąłem świecę i udałem się po schodach na górę, zanim oni weszli. Gdy kładłem się pośpiesznie tego wieczoru, dziecięca wyobraźnia moja uderzona była wrażeniem, jak gdyby przybyli wnieśli z sobą do domu chłodny powiew, zmiatający ciepłe rodzinne uczucia niby puch marny.

<sup>98</sup>*mamże* — konstrukcja z partykułą pytającą *-że* (nadającą charakter pytania retorycznego); inaczej: czy mam, czyż mam. [przypis edytorski]

Nazajutrz, schodząc na śniadanie, czułem się dziwnie zmieszany. Od owego ukąszenia nie spotkałem się jeszcze ze wzrokiem pana Murdstone. Po długim dopiero wahaniu wszedłem do stołowego pokoju.

Stał przed kominkiem, plecami odwrócony do ognia. Siostra jego nalewała herbatę. Patrzył na mnie z góry, lecz gdy wszedłem, nie uczynił najłżejszego ruchu.

Zbliżyłem się i przezwyciężając wahanie i nieśmiałość powiedziałem:

— Przepraszam bardzo pana! Żałuję mego postępu, chciałbym, aby mi pan przebaczył.

— Zadowolasz mnie swą skruchą — odrzekł.

Podał mi tę samą rękę, którą niegdyś ugryzłem. Nie mogłem powstrzymać się od spojrzenia na siną, z ukąszenia pozostałą bliznę. Chyba sam gorzej jeszcze się płoniłem pod surowym i ponurym jego wzrokiem.

— Jak się pani miewa? — spytałem pannę Murdstone.

— Dobrze — odparła, podając mi nie rękę, lecz łyżeczkę od herbaty — a czy długo trwać będą wakacje?

— Miesiąc.

— Licząc od kiedy?

— Od dnia dzisiejszego.

— Uf! To już o jeden dzień mniej.

W podobnie uprzejmy sposób zmieniła się w chodzący kalendarz. Co rano przypomniała mi dzień po dniu zbliżając się chwilę opuszczenia domu. Zanim doszliśmy do dziesięciu, czyniła to kwaśno, potem z coraz weselszym zacięciem i widocznym już zadowoleniem.

Tego też pierwszego dnia moich wakacji miałem nieszczęście wprowadzić ją, chociaż z pozoru była niewzruszona, w gwałtowne zdumienie. Wszedłem do bawialnego pokoju, w którym siedziała wraz z matką moją, i wziąłem tkliwie i uważnie na ręce leżącego na jej kolanach braciszka, który liczył zaledwie kilka tygodni. Panna Murdstone krzyknęła nagle tak, że o mało nie wypuścił z rąk dziecięcia.

— Co ci, Jane? — spytała przestraszona matka moja.

— Na Boga, Klaro! Widzisz?

— Co takiego?

— Wziął je! Chłopiec ten wziął na ręce dziecko!

Trzęsła się z oburzenia, wyrrywając mi go z rąk, po czym słabo się jej zrobiło i trzeba było ją poić winem. Naturalnie w następstwie tej sceny zakazano mi stanowczo dotykać się, nawet z lekka, do mego brata i chociaż matka moja zdawała się żywić wręcz przeciwne zdanie, że zwykłą swą łagodnością przystała na żądanie panny Murdstone.

— Masz oczywiście rację, Jane! — powiedziała.

Innym znów razem ten sam kochany braciszek (pokochałem go sercem całym, jako dziecko mej matki) stał się nieoczekiwanie powodem gniewu panny Murdstone. Matka moja, wpatrując się w oczęta spoczywającego w objęciu dziecka, zagadnęła nagle:

— Davy, chodź tu, bliżej — po czym zaczęła przypatrywać się uważnie moim oczom.

Panna Murdstone opuściła na kolana stalowe swe paciorki.

— Najzupełniej podobne — ozwała się z zadowoleniem matka — najzupełniej, po mnie wziąć je musieli, są tego samego co i moje koloru, dziwnie podobne!

— Co mówisz? Klaro! — surowo spytała Jane Murdstone.

— Kochana Jane — nieśmiało odrzekła z nagłą zagadnięta matka moja — znajduję podobieństwo pomiędzy oczyma Davy i małego.

— Zwariowałaś chyba, Klaro! — zdecydowała z niezadowoleniem panna Murdstone.

— Ależ, kochana Jane!...

— Zwariowałaś najzupełniej. Jakież podobieństwo, proszę cię, istnieć może między tym chłopcem a synem mego brata? Żadne! Pod każdym względem są i muszą być zupełnie różni. Nieprzyjemnie mi nawet słuchać podobnych bzdurstw — skończyła i wyszła, trzasnąwszy za sobą drzwiami.

Widocznie nie posiadałem łask panny Murdstone. Widocznie nikt mnie tam nie lubił, nawet ja siebie samego, gdyż ci, co mnie kochali, nie śmieli tego okazywać, a ci, którym nie miły byłem, okazywali to znów tak bez ceremonii, że mimo woli stawałem się

Dziecko, Miłość

nieśmiały, niezręczny, posępny. Czulem, że jak sobie, tak i dla wszystkich jestem ciężarem. Gdy wchodziłem do pokoju, w którym gwarzyli, natychmiast wesołość opuszczała matkę, chmura osiadała na jej czole, znikał dobry nastrój pana Murdstone, a podwajał się zawsze kwaśny humor jego siostry. W tym wszystkim czulem dobrze, że główną ofiarą była moja matka, czulem, że boi się swobodnie mówić ze mną, patrzyć na mnie, żeby się im nie narażać i nie znosić potem cierpkich *snadź*<sup>99</sup> wymówek. I nie o siebie samą lękała się biedaczka, lecz i o mnie, niespokojnie śledząc zwrócone na mnie oczy rodzeństwa Murdstone. Widziałem to, rozumiałem i, o ile mogłem, unikałem ich. Niejedna zimowa godzina wydzwoniła na kościelnej wieży, w czasie gdy ja smutny i samotny siedziałem w moim pokoiku. Wieczorami przebywałem czasem z Peggotty w kuchni. Tu czulem się swobodny, nie bałem się być sobą. Zdaje się jednak, że zarówno to, jak i wybrana przeze mnie samotność nie podobały się w bawialnym pokoju. Potrzebny był przesładowcom naszym dla dokończenia tego, co nazywali wychowaniem mojej biednej matki. Gniewała ich moja nieobecność.

— Dawidzie — zauważył raz po obiedzie, kiedy się już oddalał, pan Murdstone — z przykrością patrzę na nietowarzystwie twoje usposobienie.

— Ponury jak niedźwiedź — dodała panna Murdstone.

Zatrzymałem się na środku pokoju i zwiesiłem głowę.

— Czy wiesz, Dawidzie — ciągnął pan Murdstone — że ponurość i skrytość są to najniebezpieczniejsze cechy charakteru?

— Są one u chłopców nieomylną oznaką uporczywości — zauważyła panna Murdstone. — Musiałeś to zauważyć, Klaro?

— Przepraszam cię, kochana Jane — odrzekła zagadniona<sup>100</sup> — czy to, co mówisz... przepraszam cię, kochana Jane, odnosi się do mego syna?

— Naturalnie — odrzekła panna Murdstone — muszę przecieżyć, gdy mówię, mieć kogoś na myśli. Nie roszczę pretensji do szczególnej głębokości poglądów, lecz sądzę, że nie mijam się nigdy ze zdrowym rozsądkiem.

— Najpewniej, kochana Jane — podchwyciła matka moja — masz wiele, wiele przenikliwości.

— Och! proszę cię, nie mówmy o tym — odparła ze złością panna Murdstone.

— Ale tak, tak — twierdziła matka moja — wszystkim to wiadomo i ja sama korzystam... to jest powinna być korzystać ze światłych rad twych i wskazówek. Uznaję, wierz mi, uznaję więcej niż kto bądź...

— O! tak, nie możemy zrozumieć tego chłopca — mówiła z godnością panna Murdstone, poprawiając stalowy łańcuszek na ręku. — O! tak! nie jesteśmy zdolni zrozumieć i zgłębić tej studni wszelkich doskonałości. Zgadzam się z tym, zgadzam. Bratu memu przynajmniej może przyznana zostanie większa przenikliwość. Właśnie miał coś powiedzieć w tym względzie, gdyśmy mu przerwały... jak sądzę, niezbyt grzecznie.

— Istotnie, Klaro! — ozwał się cichym, głębokim głosem pan Murdstone — nie możesz być bezstronnym sędzią w pewnych kwestiach.

— Wiem, Edwardzie — odrzekła nieśmiało matka — że we wszelkich kwestiach i ty, i siostra twoja bieglejszymi ode mnie bywacie sędziami, i to tylko chciałam powiedzieć...

— Z pewnością coś niedorzecznego — odparł pan Murdstone — powinnaś bardziej panować nad sobą.

Usta matki mojej poruszyły się, jak gdyby szeptały: „Zapewne, drogi Edwardzie”, nie wydały jednak żadnego dźwięku.

— Z przykrością zauważyłem — ciągnął pan Murdstone, zwracając się do mnie — twoje ponure usposobienie i nie mogę zezwolić, aby się ono rozwijało pod moim okiem. Konieczne jest, abyś starał się zmienić lub... my się o to postaramy.

— Przepraszam pana — próbowałem się bronić — dawniej nie byłem ponury...

— Nie zasłaniaj się kłamstwem — huknął tak, że aż matka moja pobladła i mimo woli wyciągnęła ku nam ręce. — Wiem, co mówię. Chowasz się po kątach, przesiadujesz godzinami całymi w swoim pokoju. Wiedz, że chcę, wyraźnie chcę, abyś ciągle

<sup>99</sup>*snadź* (daw.) — widocznie, najwyraźniej; zapewne. [przypis edytorski]

<sup>100</sup>*zagadniony* (daw. forma) — dziś: zagadnięty. [przypis edytorski]

dotrzymywał nam towarzystwa, tu pod naszym okiem. Znasz mnie i wiesz, że umiem, gdy potrzeba, nakazać ci posłuszeństwo.

Panna Murdstone zaśmiała się ochryple.

— Wymagam — ciągnął — posłuszeństwa, zaufania i uprzejmości tak dla siebie, jak dla siostry mojej, Jane Murdstone, jak i dla twojej matki. Nie chcę, abyś uciekał od nas jak od zapowietrzonych dla dogodzenia swym kaprysom. Usiądź tam.

Mówił do mnie jak do psa i ja słuchałem go jak pies swego pana.

— Nie powiedziałem jeszcze wszystkiego — ciągnął — zauważyłem u ciebie zamiłowanie do złego towarzystwa, bratasz się ze służącymi, najchętniej przebywasz w kuchni, gdzie z pewnością niczego dobrego nauczyć się nie możesz. Baba, co cię rozpieszcza, nie o tobie to mówię, Klaro — wtrącił półgłosem, zwracając się do żony — ta baba, która dogadza wszelkim twym zachciankom, nie jest wcale odpowiednim dla ciebie towarzystwem...

— Najnieodpowiedniejszym<sup>101</sup> — potakiwała panna Murdstone.

— Jednym słowem — kończył — nie wymagam, abyś gardził panią Peggotty, mówię tylko, że to nie jest odpowiednie dla ciebie towarzystwo, że powinieneś zastosować się w zupełności do mojej woli i obliczyć następstwa, jakie krnąbrność twa pociągnie. Rozumiesz mnie?

Rozumiałem lepiej może, niż przypuszczał, jakie następstwa wyniknąć by mogły dla biednej mej matki, i nie próbowałem nawet stawić oporu. Zaprzestałem chronić się w samotności, zaprzestałem przesiadywać z kochaną mą piastunką i całe dni przesiadywałem beczynnie i milczący w bawialnym pokoju, niecierpliwie wyglądając nocy jak wybawienia.

Ile mnie ten przymus kosztował, jak nużył, nie potrafię wyrazić. Za najłżejszym mym poruszeniem panna Murdstone utyskiwała na ruchliwość chłopców w ogóle, a na moją w szczególności. Nie śmiałem podnieść oczu, wiedząc, że jestem przedmiotem ustawicznego i nieprzyjaznego badania. Wsłuchiwałem się w tykanie zegara, w dźwięk nawlekanych przez pannę Murdstone koralu i myślałem, jak nieszczęśliwy byłby ten, kto by się z nią ożenił. Liczyłem żłobienia kominka, kwiaty na obiciach, rysy na suficie... Ot, nudne to i ciężkie były godziny!

Podczas, krótkich nawet, zimowych przechadzek pod oknami domu nosiłem wszędzie ze sobą obraz rodzeństwa Murdstone — jarzmo za ciężkie na moje słabe barki, ugniatające mi umysł i męczące zmysły. A obiady! Śniadania! Spożywałem je onieśmielony, milcząc, czując zawsze, że u stołu było jedno nakrycie nadto, i to moje właśnie, jedno krzesło nadto, i to moje, jedna osoba zbyt czarna — moja.

A wieczory! Zapalano świece. Musiałem się przecie czymkolwiek zająć, a nie śmiejąc otworzyć zajmującej lub zabawnej książki drzemałem nad nudną książką od arytmetyki, której tablice miar i wag tańczyły mi przed oczyma na melodię pieśni *Władaj, Brytania*<sup>102</sup> albo *Precz, smutki*<sup>103</sup>, nie wrażając się w pamięć i umysł, na kształt prątków<sup>104</sup>, które wpychane w jedno oczko wylaziły drugim.

Ileż wymknęło mi się poziewań, ileż razy zdrzemnąłem się, aby się przebudzić w największym strachu! Jakże się czułem zbyt czarna, na nic nikomu niepotrzebny i ciągle strzeżony! Z jaką niecierpliwością czekałem uderzenia dziewiątej godziny i rozkazu panny Murdstone odsyłającego mię do łóżka!

Tak przeszły wakacje do dnia, w którym z rana panna Murdstone, podając mi filiżankę herbaty, zauważyła, że jest on ostatnim.

<sup>101</sup>najnieodpowiedniejszym — dziś popr. forma złożona: najbardziej nieodpowiedni. [przypis edytorski]

<sup>102</sup>*Władaj, Brytania* — w oryg. *Rule Britannia*, pieśń ze sławnym refrenem „*Rule, Britannia! Britannia, rule the waves: / Britons never will be slaves*” (tj. „władaj, Brytania, władaj nad falami: Brytyjczycy nigdy nie będą niewolnikami”); skomponowana przez Thomasa Augustina Arne (1710–1778) w 1740 r. do słów wiersza Jamesa Thomsona (1700–1748) z okazji przedstawienia *Alfred* z gatunku *masque* wystawianego na dworze księcia Walii; szybko zyskała popularność, szczególnie wśród marynarzy, stając się sztandarową pieśnią patriotyczną, drugim nieformalnym hymnem Wielkiej Brytanii. [przypis edytorski]

<sup>103</sup>*Precz, smutki* — w oryg. *Away with Melancholy*, drobny utwór w rytmie menueta, pierwotnie skomponowany przez Mozarta. [przypis edytorski]

<sup>104</sup>*prątki* (daw.) — pręciki; tu: druty do robót ręcznych (dziergania pończoch, swetrów, szali itp.). [przypis edytorski]

Odjeżdżałem bez żalu. Wpadłem w stan zupełnego oglupienia, ale pomimo jasno rysującego się w perspektywie pana Creakle nie bez pociechy myślałem o spotkaniu ze Steerforthem. Znowu pan Barkis podjechał z wózkiem pod bramę i znowu panna Murdstone, widząc, że mię matka chce uściskać na pożegnanie, nie omieszkała zawołać ostrym i ostrzegającym tonem:

— Klaro!

Ucałowałem matkę, braciszka, czułem, jak mi się serce ściska... nie z żalu jednak, że opuszczam mój dom. Widziałem przepaść dzielącą mnie od moich bliskich, wśród których czułem się przez cały ten czas obcy i zbyt czyny. Ostatni pocałunek matki mojej tkliwy, jak zawsze, nie tyle mi się wraził w pamięć, ile to, co po nim nastąpiło. Siedziałem już w wózku, gdy raz jeszcze głos jej usłyszał; wołała mię po imieniu. Odwróciłem się spieszenie. Stała we drzwiach sama, podnosząc braciszka, abym go mógł lepiej widzieć. Dzień był chłodny, lecz żaden powiew wiatru nie poruszył ani włosów jej, ani fałd sukni, gdy tak stała w drzwiach, odprowadzając mię długim, długim spojrzeniem, aż mi znikła z oczu.

Taką widywałem ją potem w moich snach, stojącą przy mym łóżku, cichą, milczącą, nieruchomą, z małym dzieckiem na ręku.

## ROZDZIAŁ IX. PAMIĘTNA ROCZNICA URODZIN

Pomijam wszystko, co zaszło w szkole aż do moich urodzin, przypadających w marcu. Nic szczególnego nie utkwilo mi w pamięci oprócz tego, że Steerforth budził we mnie coraz większe uwielbienie. Przy końcu półrocza, jeżeli nie wcześniej, miał opuścić szkołę, co mu nadawało w moich oczach więcej jeszcze niezależności i śmiałości. Inne drobne wrażenia giną w jednym wielkim pozostałym mi z tej epoki wspomnieniu. Trudno mi nawet przypuścić, że całe dwa miesiące upłynęły od mego powrotu z wakacji do rocznicy mych urodzin. Rozumiem tylko, że tak być musiało, chociaż wciąż mi się zdaje, że wypadki nastąpiły po sobie bez żadnej przerwy.

Jakże jasno pamiętam ów dzień! Czuję jeszcze mgłę wiszącą w powietrzu, widzę białe szron na gałęziach do widm podobnych drzew, czuję lepkie od wilgoci włosy spadające mi na czoło, patrzę w mroczne przestrzenie szkolnej izby, rozświecone w to mgliste i ciemne rano zapalonymi tu i ówdzie świecami, słyszę moich towarzyszy ogrzewających oddechem zziębnięte ręce, a tupaniem zlodowaciałe nogi.

Zjedliśmy właśnie śniadanie i mieliśmy wyjść na przechadzkę, gdy, ukazując się we drzwiach, pan Sharp zawołał:

— Dawid Copperfield proszony jest do bawialnego pokoju.

Spodziewałem się w skrytości ducha przesyłki z jakim przysmaczkiem od Peggotty. Porwałem się też z miejsca raźnie, słysząc goniące mię wołanie towarzyszy, abym nie zapomniał o nich przy uczcie.

— Nie śpiesz, Dawidzie — zauważył pan Sharp — nic pilnego, mój chłopcze, nic pilnego.

Ton pełen współczucia, jakim przemawiał, powinien był zastanowić mię, lecz nie zwróciłem na to wówczas uwagi, później dopiero przypomniałem sobie. Wchodząc pośpieszenie do bawialnego pokoju, zastałem pana Creakle spożywającego śniadanie i przerzucającego dzienniki. Pani Creakle trzymała w ręku rozpieczętowany list. Przesyłki nigdzie ani śladu.

— Dawidzie Copperfield — ozwała się pani Creakle, wiodąc mię ku kanapie i sadzając przy sobie — chciałabym pomówić z tobą... mam ci coś do powiedzenia, moje dziecko.

Pan Creakle, na którego spojrzałem, kiwnął tylko głową, zatrzymując się z polknięciem kawałka grzanki.

— Jesteś zbyt młody — ciągnęła pani Creakle — aby rozumieć rozciągłość zmian, jakie dzień każdy przynosi w rzeczach... i w ludziach. Wszyscy jednak wcześniej czy później doświadczyć musimy tej bolesnej prawdy. Jednych spotyka to w późniejszym, innych w bardzo młodym wieku.

Spojrzałem na nią zdziwiony.

— Kiedyś opuszczał dom po wakacjach, czyś wszystkich zostawił w dobrym zdrowiu? — spytała po chwili namysłu. — Czy matka twoja była jeszcze zdrowa?

Dreszcze mię jakieś przebiegły, sam nie wiem czemu. Zamiast odpowiedzieć, patrzałem na mówiącą.

— Bo to widzisz, moje dziecko — rzekła — doszła mnie właśnie wiadomość, że... jest ciężko chora.

Pomiędzy mną a mówiącą spadł niby obłok, zasłaniając mi jej twarz. Po chwili dwa strumienie piekących łez spłynęły mi z oczu.

— Bardzo, bardzo jest chora — dodała.

Zrozumiałem.

— Umarła.

Słowo to było zbyteczne. Płakałem, jak płaczą sieroty.

Pani Creakle dobra była i okazała mi wiele współczucia. Zatrzymała mnie przy sobie dzień cały, często pozostawiając samego. Płakałem, dopóki sen mnie nie zmorzył, a potem budziłem się, by znów płakać. Gdy mi już łez nie starczyło, zacząłem rozmyślać, co bynajmniej<sup>105</sup> boleści mej nie zmniejszało.

Puste jednak były myśli moje, błąkały się wokół mej niedoli, zahaczały o tysiące drobnotek. Myślałem o ciszy, jaka tam zapanować musiała, o zamkniętych oknach. Myślałem o braciszku, o którym pani Creakle mówiła mi, że jest chory od pewnego czasu i umrze też prawdopodobnie. Myślałem o mogile mego ojca na cmentarzu i o tej, którą wykopano zapewne dla mojej matki pod dobrze znanymi mi drzewami. Pozostawszy sam, włożyłem na krzesło, aby się przekonać w lustrze, czy mam zaczerwienione oczy i zasmuconą twarz. Pytałem siebie w duchu, dlaczego łzy płyną tak obficie i są takie ciężkie i czy mi się znów rzucą do oczu, gdy się zbliżę do domu, dokąd miałem udać się na pogrzeb. Czulem przy tym, że boleść moja wyróżnia mię spośród towarzyszy, dając mi pewną przewagę nad nimi.

Boleść jednak w mym dziecięcym sercu była głęboka i rozdzierająca. Mimo to z pewną dumą wszedłem po południu do szkolnej izby, gdzie pod zwróconymi na mnie spojrzeniami krok mój stawał się powolniejszy, twarz smutniejsza, a gdy towarzysze otoczyli mnie ze słowami współczucia, za zasługę nawet poczytywałem sobie, że ich traktuję serdecznie, że zwracam na nich uwagę tak, jak gdyby nic szczególnego w mym życiu nie zaszło.

Udać się miałem do domu nazajutrz rano już nie dyliżansem, lecz wozem służącym dla wieśniaków do wszystkich przejażdżek po niewielkich przestrzeniach. Wieczorem nie było naturalnie mowy o codziennych opowieściach, a poczciwy Traddles chciał mi koniecznie oddać swą poduszkę. Wątpię, czy istotnie była mi potrzebna, gdyż miałem własną; sądzę, że ofiarowywał mi ją jako jedyną rzecz, którą posiadał, oprócz znakomitego zbioru rysowanych w najrozmaitszy sposób kościotrupów. Zbiór ten też ofiarował mi na wyjeździe jako pociechę i najskuteczniejszy sposób przywrócenia zakłóconej równowagi.

Po południu wyjechałem z Salem House, nie przypuszczając, że wyjeżdżam bezpowrotnie. Dopiero nazajutrz o dziewiątej czy dziesiątej rano stanęliśmy w Yarmouth. Próżno szukałem znanego mi woźnicy Barkisa. Nie było go, zjawił się natomiast niski, pękaty człowieczek, wesoły, uśmiechnięty, ubrany na czarno, z kokardami u spodni i w czarnych pończochach.

— Czy pan Copperfield? — spytał.

— Jestem — odpowiedziałem.

— Proszę kawalera — rzekł, otwierając drzwiczki pojazdu. — Zlecono mi tu spotkać kawalera.

Wziął mnie za rękę; gubiłem się w domysłach, idąc z nieznanym do sklepu położonego przy wąskiej uliczce. Nad drzwiami czerniał napis:

*Omer, krawiec, dostawca galanterii, ubrań żałobnych, liberii itd.*

Sklep szczupły był i ciasny, przepelniony wykończonymi i w robocie będącymi przedmiotami, z oknem zasłoniętym do połowy piętrzącymi się na nim kapeluszkami, czapkami

Dziecko, Matka, Śmierć

Dziecko, Śmierć, Żaloba

<sup>105</sup>bynajmniej — wcale (dosł.: jak najmniej). [przypis edytorski]

i tym podobnie<sup>106</sup>. Przeszedłszy sklep, znaleźliśmy się w małej izdebce. Trzy młode kobiety zajęte były tu krajaniem i szyciem czarnego materiału, którego skrawki wały się na stołach i podłodze. Na kominie płonął duży ogień, a w pokoju rozchodziła się woń przypalonej czarnej krepy<sup>107</sup>. Woń tę, nieznaną mi przedtem, nauczyłem się odtąd doskonale odróżniać.

Trzy młode szwaczki, jak się zdawało, zadowolone i bardzo zajęte robotą, podniosły na chwilę wzrok, aby się mi przypatrzeć, i natychmiast wróciły do szycia i krajania: „Czyk, czyk, czyk”. Za oknem wtórowało im równomierne i jednostajne uderzenie młotka: „Rat-tat-tat, rat-tat-tat”.

— No! — zawołał towarzysz mój, zwracając się do jednej ze szwaczek — jak ci idzie robota, Minnie?

— Skończymy w porę — odrzekła wesoło zagadnięta, nie podnosząc głowy. — Bądź spokojny, ojczu.

Pan Omer zdjął kapelusz; usiadł, by się wysapać, co mu jego otyłość nakazywała po każdym zmęczeniu.

— Dobrze — rzekł wreszcie.

— Ojczu! — zawołała Minnie — czemuś taki smutny?

— Sam nie wiem doprawdy dlaczego, kochanie! — odpowiedział po chwili namysłu. — Ale tak jest.

— Zwykle bywasz wesoły, rozmowny. Nie bierzesz niczego do serca.

— Najlepsza to metoda.

— Zapewne! Toteż nikomu tu z nas nie brak wesołości — dorzuciło dziewczę.

— Dobrze, dobrze — potwierdził pan Omer. — A teraz, gdym się odsapał, wezmę miarę tego kawalera. Proszę kawalera do sklepu.

W sklepie krawiec pokazał mi sztukę sukna, którego gatunek zachwalał utrzymując, że najlepszy jest do ciężkiej żaloby, i zdjawszy ze mnie miarę, zapisał ją w książeczce, zwracając przy tym moją uwagę na przeróżne fasony, o których mówił, że albo dopiero co weszły lub też wyszły już z mody.

— Tracimy na tym wiele — mówił — ale na to nie ma rady. Moda jak ludzie. Przybędą nie wiadomo jak, skąd, dlaczego, by odejść nie wiadomo jak, dokąd i po co. Zdaniem moim to wszystko jest wiernym odbiciem życia.

Zbyt smutny byłem, aby się wdawać w te, w każdym razie rozumienie moje przechodzące, dyskusje. Po wzięciu miary zadyszany krawiec zaprowadził mnie znów w głąb domu. Otworzywszy drzwi, zażądał „herbaty, chleba i masła”, co też po jakimś czasie, spędzonym przeze mnie na przysłuchiwaniu się krojącym nożyczkom w izbie i uderzeniom młotka na dziedzińcu, wniesione zostało na tacy i jak się okazało, dla mnie.

— Od dawna już — począł pan Omer, wpatrując się we mnie — od dawna znam kawalera.

— Czy tak? — spytałem. Widok tych czarnych materii i krepy odejmował mi zupełnie apetyt.

— Znam go od dnia urodzenia, a nawet i przedtem. Znałem ojca. Miał pięć stóp i dziewięć i pół cala, teraz zaś wystarczy mu pięć stóp i dwadzieścia cali.

„Rat-tat-tat, rat-tat-tat” — dźwięczało za oknem.

— Pięć stóp, dwadzieścia — powtarzał krawiec.

— Czy mi pan nie może powiedzieć, jak się ma mój braciszek? — zagadnąłem.

Pan Omer wstrząsnął głową.

„Rat-tat-tat, rat-tat-tat”.

— Spoczywa na łonie swej matki — rzekł po chwili.

— Biedactwo! umarł!

— Niech kawaler nie bierze tego tak do serca. Tak, umarł.

Wiadomość ta rozdrażniła świeże moje rany, odepchnąłem filiżankę z herbatą i opierając głowę na drugim stole, przy którym Minnie szyła, zacząłem wylewać nowe i dla

<sup>106</sup>*i tym podobnie* — itp.; właściwie powinno być: i tym podobnymi. [przypis edytorski]

<sup>107</sup>*krepa* — matowa tkanina o lekko pomarszczonej powierzchni a. ogólnie materiał czarny: nazwa dotychczas noszonego jako oznaka żaloby czarnego ubrania (względnie czarnej opaski), jak też materiału, z którego się je wykonuje. [przypis edytorski]



roboty szwaczki groźne łez potoki; toteż Minnie szybko odsunęła robotę. Dobra to musiała być dziewczyna, gdyż odgarniała mi łagodnie i pieszczotliwie włosy z czoła. Wesołość jej zresztą nie cierpiała na tym, cieszyła się skończeniem w porę roboty.

Za oknem ucichło, a do pokoju wszedł przystojny chłopak z młotkiem w ręku i ustami pełnymi świeczków, które musiał z nich wyjąć, zanim przemówił.

— A co, Joram? — spytał krawiec.

— Wszystko gotowe — odrzekł.

Minnie zarumieniła się tymczasem, a towarzyszkę jej zamieniały uśmiechy.

— Byłeś tam wczoraj wieczorem, co? Przy świecach, gdy poszedł do klubu, co? — pytał pan Omer.

— Tak! — odrzekł Joram — pobiegliśmy razem z Minnie, by wziąć miarę. Może by pan zobaczył.

— A jakże! — rzekł, wstając z miejsca i zwracając się nagle do mnie, dodał:

— Może być też kawalerze...

Lecz córka przerwała mu żywo:

— Nie, nie, ojcze.

— Sądziłem, że mu to sprawi przyjemność — rzekł krawiec — lecz może i masz słuszość.

Zrozumiałem. Szło o trumnę mojej matki. Nigdy przedtem nie widziałem, jak to się robi, lecz przypomniałem sobie dopiero co słyszane uderzenie młotka i domyśliłem się, jaką to młodzieniec ten skończył pracę.

Skończywszy też robotę, dwie szwaczki, nieznane mi z imienia, oczyściły suknie ze skrawków i nitek i udały się do sklepu układać towary i obsługiwać klientów. Minnie zajęła się pakowaniem wykończonej roboty. Ciągle przy tym coś nucila z cicha. Joram, który zalecał się zapewne do niej, pocałował ją znienacka, korzystając z roztargnienia dziewczyny. Na mnie nie zwracano najmniejszej uwagi, mówił przy tym, że krawiec poszedł po wóz, więc że i on musi się spieszyć. Wybiegł. Ona też, skończywszy układanie, schowała napastrzek i nożyczki do kieszeni, wpięła w stanik igłę z długą, czarną nitką, oczyściła sukienkę, przejrzała się w lusterku, które odbiło uśmiechniętą twarzyczkę.

Przeglądałem się temu wszystkiemu, siedząc z głową wspartą o róg stołu i myśląc o tysiącu rzeczy. Wkrótce przed drzwiami sklepu zaturkotał wóz. Wstawiono doń pudło, dopiero co zapakowane; po czym wsiedliśmy my. Miejsca było sporo. Wóz to był bowiem długi, pomalowany na czarno, ciągnięty przez czarne, o długich grzywach i ogonach konie.

Nie pamiętam, abym drugi raz w życiu podobnego doświadczył wrażenia jak to, które sprawiła na mnie podróż odbyta w śmiejącym się i wesołym towarzystwie. Wesołość ta nie gniewała mnie, przeciwnie, przerażała raczej, jak gdybym znajdował się wśród istot, z którymi nie miałem nic wspólnego.

Stary siedział na przodzie i powoził. Minnie i Joram tuż za nim, tak że mówiąc do nich musiał się obracać. Gawędzili z sobą nieustannie, chcąc i mnie wciągnąć w gawędkę, lecz milczałem odwrócony, wystraszony ich śmieszkami i miłostkami, podziwiając ich brak serca. Gdyśmy się zatrzymali przy gospodzie, oni pili i jedli, lecz ja ani pić, ani jeść nie mogłem, a gdyśmy stanęli przed domem, wysliznąłem się czym prędzej, nie chcąc w towarzystwie tym stanąć przed zamkniętymi tak szczelnie oknami, jak powieki na niedawno jeszcze błyszczących źrenicach. Sam widok tych okien przejmował mnie boleścią.

Zanim uczyniłem parę kroków, znalazłem się w objęciach Peggotty. Na widok mój wybuchnęła płaczem, lecz opanowała się zaraz i mówiła szeptem, stąpała cicho, jak gdyby lękała się rozbudzić tę tam uśpioną. Spędziła wiele bezsennych nocy i teraz postanowiła nie odstąpić na krok swej kochanej pani. Wyrwać do końca.

Pan Murdstone nie zwrócił najmniejszej uwagi na mnie, gdy wszedł do bawialnego pokoju. Zagłębiony w fotelu, płakał. Panna Murdstone siedziała przy biurku zarzuconym papierami. Podała mi chłodno końce palców, pytając obojętnie szeptem, czy wzięto ze mnie miarę na żałobę.

— Tak — odpowiedziałem równie cicho.

— Przywiozłeś ze sobą koszulę? — dodała.

— Przywiozłem, mam z sobą całą moją odzież.

Żaloba, Dziecko

Na tym ograniczyły się słowa pociechy. Nie wątpię, że z pewną przyjemnością popisowała się swym hartem i tym podobnymi, szatańskimi w takich okolicznościach, zaletami swego charakteru. Dumna też była z praktyczności, jakiej i obecnie stale dawała dowody, pisząc, rachując, zajmując się wszystkim zgoła. Do samego wieczoru przesiadła przy biurku; pióro jej ustawicznie skrzypiało, do każdego przemawiała tym samym oschłym szeptem, na twarzy jej żaden nie drgnął mięsień, w głosie żadna serdeczniejsza nie zdźwięczała nuta, nawet fałdy jej sukni najlżejszej nie uległy zmianie.

Brat jej brał czasem książkę do ręki, ale jej nie czytał. Otwierał ją tylko i godzinami całymi wpatrywał się w tę samą stronicę. Czasem wstawał i przechadzał się po pokoju. Siedziałem z założonymi na piersiach rękoma i liczyłem jego kroki lub przypatrywałem się mu w milczeniu. Rzadko przemawiał do siostry, do mnie zaś ani razu. On jeden w ciszy zaległej dokoła zdawał się być miotany niepokojem.

W dniach poprzedzających pogrzeb mało widywałem Peggotty, która nie opuszczała pokoju, gdzie spoczywała matka moja z dzieciątkiem. Wieczorem tylko, gdym się położył, siadywała przy mnie, dopóki nie zasnąłem. W wigilię pogrzebu — sędzę, że musiało to być wigilią, lecz za pamięć moją w tych ciężkich chwilach nie ręczę — zaprowadziła mnie *tam*. Wszystko było tam białe, czyste, świeże, spokojne! Lecz gdy sięgnęła ręką po zakrywającą łóżko zasłonę, zatrzymałem ją, wołając:

— O, nie! Nie, nie!

Gdyby pogrzeb miał miejsce wczoraj dopiero, nie mógłbym pamiętać dokładnie; samo powietrze i gra barw w saloniku, ogień na kominie, kipienie wina w dzbanach i kiełichach, kształt talerzy i półmisek, słodki zapach ciasta, woń sukni panny Murdstone, czern naszej żaloby, wszystko to utkwilo mi w pamięci. Pan Chillip obecny zbliżył się do mnie.

— Jak się masz, Kochamy chłopcze?

Milcząc, podałem mu rękę.

— No proszę, proszę — zauważył z uśmiechem i z zachodzącą mu zarazem wzrok wilgocią — jak te dzieci szybko rosną! Dogonią nas, ani się obejrzymy<sup>108</sup>.

Ostatnie słowa zwrócone były do panny Murdstone.

— Nie zwracamy zwykle na to uwagi — ciągnął doktor, lecz zauważywszy, że go panna Murdstone zbywa chłodnym milczeniem, cofnął się wraz ze mną do kąta i nie otworzył już więcej ust.

Notuję to, jak i wszystko, co mi się wraziło w pamięć, nie dlatego abym myślał wówczas o sobie. Pamiętam, że zadzwoniono w kościele i że pan Omer i inni zaczęli nas popędzać. Peggotty mówiła mi kiedyś, że odprowadzający mego ojca do tego samego grobu także wyruszyli z owego pokoju.

Było nas kilku: pan Murdstone, sąsiad nasz pan Grayper, pan Chillip i ja. Gdyśmy wyszli z domu, żałobnicy stali już ze swym ciężarem w ogrodzie. Poszliśmy za nimi ścieżką, minęliśmy wiąz, bramę, weszliśmy na cmentarz, gdzie niegdyś w letnie poranki przysłuchiwałem się szczebiotowi ptasząt...

Stanęliśmy dokoła mogiły. Dzień wydawał się mi odmienny od dni innych i sama jego jasność trochę jakby przyćmiona i smętna. Panowała niewzruszona uroczysta cisza. Za chwilę mieliśmy ziemi oddać, co ziemskie. Nad odkrytymi głowami rozległ się czysty i wyraźny głos kapłana:

— „Jam jest zmartwychwstanie i życie, mówi Pan!”

Usłyszałem łkanie. Obejrzałem się. Opodal stała wierna służa, jedyne pozostałe mi na ziemi serce! Pewien jestem, że *Pan* mógłby powiedzieć do niej:

„Idź w pokój”.

W tłumie otaczającym mogiły spostrzegłem znane mi twarze, twarze widywane w kościele, gdzie zwykł był niegdyś szukać rozrywki dla mej dziecięcej wyobraźni, twarze znane matce mojej, które witały ją, gdy w kwiecie młodości osiadła w tej okolicy. Nie myślałem wówczas o tym, cały oddany boleści, wszystko to jednak musiałem widzieć dokładnie, jeśli zapamiętał tak wiernie nawet twarz Minnie i śmiejące się jej spojrzenia, szukające stojącego za mną kochanka.

Trup, Matka, Dziecko

Pogrzeb

<sup>108</sup> *obejrzym* (daw.) — niegdyś powszechnie używana skrócona forma 1 os. Im: obejrzymy. [przypis edytorski]

Skończyło się. Zasypano grób ziemią, wyszliśmy z cmentarza. Przed nami wznosił się nasz dom, w niczym niezmieniony, taki jaki był dawniej, co bardziej jeszcze żał mój powiększało. Wiedli mnie do tego domu, pan Chillip coś do mnie mówił, a kiedyśmy weszli<sup>109</sup>, podał mi szklankę wody; na moją prośbę, aby mi pozwolono odejść do mego pokoju, z kobietą zezwolił łagodnością.

Wszystko to ma dla mnie świeżość wczorajszych wspomnień. Późniejsze wypadki falują mi w pamięci jak zmienne morskie zwierciadło, te zaś stoją na kształt niewzruszonej skały.

Peggotty przysła niebawem do mego pokoju. W dniu tym panowała świąteczna jakaś atmosfera, odpowiednia naszym nastrojom. Peggotty usiadła na brzegu mego łóżeczka i ująwszy mnie za rękę, podnosiła ją od czasu do czasu do ust, to znów gładziła i pieściła w swych dłoniach zupełnie tak, jak gdyby koila płacz mego małego braciszka. Opowiedziała mi po swojemu, jak to wszystko się stało.

— Od dawna już — mówiła — była cierpiąca. Miotał nią niepokój, nie była szczęśliwa. Z początku po urodzeniu się dzieciątka sądziłam, że się wzmocni, ale wyglądała coraz, coraz gorzej, z dniem każdym traciła siły. Przed urodzeniem dziecka lubiła siedzieć samotnie i płakać w skrytości, potem zwykła była śpiewać nowo narodzonemu tak słodko, że czasem słuchając zdawało mi się, że głos ten spływa z wysoka i tuż, tuż się rozplynie... Sądzę — ciągnęła — że stawała się coraz bardziej nieśmiała, lękliwsza: każde ostre słowo raniło biedaczkę i dobijało. Dla mnie pozostała zawsze taka, jaką dawniej była, nie zmieniła się nigdy. Biedna moja! Kochana niebogo!

Zatrzymała się Peggotty i delikatnie gładziła mnie po rękę.

— Ostatni raz — mówiła dalej — widziałam ją taką, jaką dawniej bywała, tego wieczoru, coś przyjechał na wakacje. W dniu twego odjazdu, nieboraczka, powiedziała mi: „Nie zobaczę go już pewno więcej, przecucie nigdy mnie nie myli”. Starła się panować nad sobą, a gdy dowodzili, że jest dziecinna i bezmyślna, nie zaprzeczała im i uśmiechała się tylko łagodnie. Nigdy też nie wspominała o tym przy mężu, bała się mówić komukolwiek, ale mnie mówiła wszystko, wszystko. Raz tylko, tydzień temu, powiedziała wieczorem mężowi: „Mój drogi, sądzę, że już umieram”. Kiedym ją wieczoru tego rozbierała<sup>110</sup> do snu, mówiła mi: „Peggotty, uwierzy on temu, co mówię, bo to nastąpi i minie. Czuję się bardzo, bardzo chora. Jeśli to ma być snem, zostań przy mnie, zanim zasnę, nie odchodź ode mnie. Bogu polecam moje dzieci! Niech Pan ma w swej opiece biednego mego sierotę”. Od tego wieczoru nie odstępowałam jej ani na krok — ciągnęła Peggotty. — Często rozmawiała i z tamtymi, kochała ich nieboraczka, kochała każdego, co się do niej zbliżył, lecz gdy odchodzili od jej wezgłowia, zwracała się zawsze ku mnie, jak gdyby we mnie tylko znajdowała ukojenie i zasypiała na moich rękach. Ostatniego wieczoru ucałowała mnie, mówiąc: „Jeśli i moje małeństwo umrze, proszę cię, niech je położą przy mnie, niech nas razem pochowają”. Tak się też i stało. Biedactwo przeżyło matkę o jeden dzień zaledwie! „Proszę cię”, mówiła jeszcze, „niech mój Davy odprowadzi nas na miejsce wiecznego spoczynku i powiedz mu, że go matka na śmiertelnym łożu, nie raz, lecz tysiąc razy błogosławiła”.

Długie nastąpiło milczenie. Peggotty pogładziła moją rękę.

— Późno już w nocy — mówiła — zachciało jej się pić, a gdym podała napój, uśmiechnęła się do mnie tak słodko, prześlicznie... Droga moja! Nadszedł poranek i słońce już weszło, gdy, przyzwawszy mnie bliżej, zaczęła mówić mi, jak dobrym, cierpliwym był pan Copperfield, jak ją zawsze, gdy powątpiewała o sobie, upewniał, że kochające serce więcej znaczy od największej mądrości i że jest szczęśliwy, że posiadał jej miłość. „Podnieś mnie, zbliż do siebie”, mówiła, biedaczka, czując się coraz słabsza, „załóż mi ręce na szyję, nachyl się nade mną, nie mogę dojrzeć twojej twarzy, chcę ją mieć bliżej siebie”. Zrobiłam, jak chciała, i... O! Davy, pamiętasz? Mówiłam, że jej nie opuszczę aż do śmierci... zasnęła jak niewinne dziecko, tu, na rękę starej, gderliwej Peggotty...

Tak się skończyło opowiadanie wiernej służki i przyjaciółki. Od chwili, jakem się do-

Wspomnienia, Matka

<sup>109</sup>kiedyśmy weszli — inaczej: kiedy weszliśmy; przykład konstrukcji z ruchomą końcówką czasownika. [przypis edytorski]

<sup>110</sup>kiedym ją (...) rozbierała — inaczej: kiedy ją rozbierałam; przykład konstrukcji z ruchomą końcówką czasownika. [przypis edytorski]

wiedział<sup>111</sup> o śmierci matki, stał się w mojej pamięci jej obraz taki, jaką była w ostatnich czasach. Od tej chwili widziały ją wspomnienia moje młodą i szczęśliwą matką z najwczesniejszych mych wrażeń, nawijającą na białe palce długie sploty jasnych włosów, tańczącą ze mną o szarej godzinie w bawialnym naszym pokoju. To, co mi opowiedziała Peggotty, nie tylko nie przypominało mi bliższych ostatnich czasów, lecz, przeciwnie, wzmogło jeszcze wrażenie, utrwaliło głębiej w pamięci i sercu obraz dawniejszy, obraz z lepszych dni. Dziwne to, lecz prawdziwe. Śmierć snadz<sup>112</sup>, zmazując wspomnienie, zwróciła mi ją we wrażeniach mych beztroską i młodą. W grobie spoczywająca matka była mi matką mego dzieciństwa. Na łonie jej spoczywające dziecko to byłem ja sam, jak niegdyś bywało, uśpiony na zawsze w jej sercu.

## ROZDZIAŁ X. ZACZYNAM ZARABIAĆ NA ŻYCIE

Po pogrzebie i odsłonięciu okien panna Murdstone wypowiedziała służbę Peggotty. Choć obecne miejsce nie mogło jej zadowalać, sądzę, że przez wzgląd na mnie Peggotty nie zamieniłaby go dobrowolnie, nawet na najkorzystniejsze. Powiedziała mi, że mamy się wkrótce rozstać, wytłumaczyła dlaczego. Z całego serca ubolewaliśmy nad tym oboje.

O mnie i o planach dotyczących mojej przyszłości nie mówiono wcale, nie powzięto żadnych kroków. Z przyjemnością zapewne wypowiedziano by i mnie służbę, gdyby się to dało zrobić. Raz zdobyłem się na odwagę i spytałem pannę Murdstone, kiedy wrócę do szkół. Odpowiedziała mi oschle, że, o ile sądzi, nie wrócę wcale. Poza tym niczemom się nie dowiedział<sup>113</sup> i wraz z Peggotty gubiliśmy się w płonnych<sup>114</sup> domysłach, nie mogąc się niczego dowiedzieć.

W położeniu moim zaszła jednak pewna zmiana. Dodając mi swobody na razie, zatrzymała mnie co do swych przypuszczanych następstw, gdybym się był wówczas nad tym zastanawiał. Oto zniesiono ciężący przedtem nade mną dozór. Nie wymagano już, abym przesiadywał całymi godzinami w bawialnym pokoju, owszem, raz, gdym przysuwał do ogólnego stołu krzesło, panna Murdstone dała mi znak głową, abym się oddalił. Nie broniono mi przesiadywać w kuchni z Peggotty, nie zmuszano dotrzymywać towarzystwa panu Murdstone, jednym słowem, nie troszczono się o mnie zupełnie. Z początku drżałem na myśl, czy pan lub panna Murdstone nie mają czasem zamiaru zająć się sami wychowaniem mnie. Wkrótce się jednak przekonałem, że obawy były zbyteczne i jeżeli groziło mi cokolwiek, to zupełne zaniedbanie.

Na razie odkrycie to zbyt mało mnie nie zmartwiło. Ogłuszony śmiercią matki, zubożałem na inne względy. Pamiętam tylko, że od czasu do czasu przypuszczałem możliwość nieotrzymania wcale dalszego wychowania, wyrosnięcia na człowieka lichego, ciemnego, trawiącego lata w próżniactwie i gdzieś w wiejskiej głuszy. Czasem znów marzyło mi się, że jak bohaterowie w bajkach pójdę w świat szukać szczęścia... Czcze to były marzenia, snute w samotnych, bezczynnych godzinach, a wyglądały tak, jak gdybym czytał je lub widział kreślone na ścianach mojego pokoju. Znikały też bez śladu ze ścian tych białych, nagich.

— Peggotty — zauważyłem raz wieczorem, grzejąc ręce przy kominku — zdaje mi się, że mię pan Murdstone coraz mniej lubi. Nie przepadał za mną wprawdzie nigdy, lecz teraz już znieść mnie nie może.

— To tak... z żalu — rzekła Peggotty, głaszcząc mnie po czole.

— O nie, Peggotty! Wiem przecież, co to cierpienie, i gdyby to był tylko żal taki, nic bym nie mówił, ale to co innego, co innego...

— Skądże możesz wiedzieć? — spytała po chwili namysłu.

— Bo widzisz, jego żal inaczej się wyraża. Teraz, kiedy siedzi tam sam z siostrą u kominka jest smutny, lecz niechbym się tylko pokazał, byłby...

— Byłby? — powtórzyła Peggotty.

<sup>111</sup> *jakem się dowiedział* — inaczej: jak się dowiedziałem; przykład konstrukcji z ruchomą końcówką czasownika. [przypis edytorski]

<sup>112</sup> *snadz* (daw.) — widocznie, najwyraźniej. [przypis edytorski]

<sup>113</sup> *niczemom się nie dowiedział* — inaczej: niczego się nie dowiedziałem; przykład konstrukcji z ruchomą końcówką czasownika. [przypis edytorski]

<sup>114</sup> *płonny* — bezowocny. [przypis edytorski]

— Wściekły — odrzekłem, mimo woli naśladowując zmarszczenie jego brwi. — Gdyby to był, jak mówisz, żal tylko, nie tak by patrzył na mnie. Przecież i ja jestem smutny, a czuję się lepszy, niż przedtem byłem.

Peggotty milczała i ja milcząc grzałem się przy ogniu.

— Davy! — rzekła wreszcie.

— Słucham, Peggotty.

— Staralam się, o ile mogłam, znaleźć sobie miejsce tu, w tych stronach, w Blunderstone, lecz nie znalazłam nic odpowiedniego, moje dziecko.

— Więc cóż zamierzasz począć? — spytałem ją żywo. — Chcesz szukać szczęścia gdzieś po świecie?

— Sądzę — odrzekła — że będę zmuszona wrócić do Yarmouth i tam zamieszkać.

— O! To dobrze — zawołałem uspokojony nieco. — Jeślibyś odjechała daleko, to byłoby tak, jak gdybym ciebie stracił, moja ty Peggotty. Tak zaś będę cię czasem widywał, to nie koniec świata!

— I owszem! I owszem! — zawołała, ożywiając się — Dopóki tu będziesz, kochanie, będę przyjeżdżała co tydzień, regularnie co tydzień, do końca mego życia.

Obietnica ta strąciła mi kamień z serca, a Peggotty mówiła dalej:

— Teraz pojedę do brata w gościnę na parę tygodni. Chcę odpocząć i przyjść do siebie. Otóż, myślę, że może, ponieważ właściwie nie bardzo tu im teraz jesteś potrzebny, puszczą cię ze mną.

Jeśli cokolwiek mogłoby sprawić mi wówczas przyjemność, to na pewno ten projekt. Myśl znalezienia się znów wśród tych pocziwych, witających mnie z radością ludzi, odczucia na nowo błęgiego spokoju tych niedzielnych poranków, z rozśpiewanymi w powietrzu dzwonami, z pluskiem rzucanych w morze kamyków, z widokiem znikających we mgle żagli, perspektywa błąkania się po wybrzeżu z małą Emilką, opowiadania jej mej bolesti, zbierania muszelek i barwnych kamyków — wlewały mi już w serce pewne ukojenie. Po chwili jednak serce to znów ogarnęło zwątpienie, co na to powie panna Murdstone? Szczęściem, zwątpienie znikło niebawem, gdyż ta ostatnia weszła właśnie do kuchni, aby dokonać wieczornego przeglądu spiżarni. Peggotty prawie natychmiast, ze śmiałością, która mnie przeraziła, przeszła do sedna sprawy.

— Chłopiec będzie próżnował — powiedziała panna Murdstone, zaglądając do garnka z piklami — a próżniactwo jest źródłem wszelakiego zła. Zresztą i to prawda, że czy tu, czy tam, wszędzie się będzie oddawał próżniactwu. Takie już moje przekonanie.

Peggotty miała gotową na ustach odpowiedź, połknęła ją jednak przez wzgląd na mnie i zachowała milczenie.

— Ha! — ciągnęła panna Murdstone, nie odrywając oczu od dna garnka. — Główna rzecz, najgłówniejsza, aby bratu memu zapewnić spokój, toteż sądzą, że chyba mogę zezwolić na odjazd tego chłopca.

Podziękowałem, nie okazując jednak zbytnej radości z obawy, aby nie cofnęła pozwolenia, co było zresztą możliwe, wnosząc ze spojrzenia, jakie rzuciła na mnie. Rzekłbyś, że je skąpała we wszystkich wyssanych z dna garnka kwasach. Bądź co bądź otrzymałem upragnione pozwolenie i jeszcze przed upływem miesiąca byliśmy oboje z Peggotty gotowi do odjazdu.

Pan Barkis zjawił się po kuferek Peggotty. Pierwszy to raz, o ile mi było wiadomo, przekroczył próg naszego domu. Wynosząc kuferek, spojrzął na mnie, jak mi się wydało, znacząco, jeśli w ogóle umiał spoglądać znacząco.

Peggotty wyglądała na przybitą, opuszczając na zawsze dach, który od lat tyłu był jej dachem, pod którym nawiązały się najsilniejsze w jej sercu przywiązania: do mojej matki i do mnie. Wczesnym rankiem dnia tego poszła na cmentarz, a wsiadając do wózka, zakrywała oczy chustką do nosa.

Dopóki pozostawała w tym stanie żalu, pan Barkis nie dawał znaku życia. Siedział na koźle milczący i nieruchomy. Lecz gdy, uspokoiwszy się nieco, zaczęła oglądać się za wężelkami i mówić do mnie, woźnica począł kiwać głową i wykrzywiać usta. Nie domyślałem się w najmniejszej mierze, co chciał przez to wyrazić.

— Piękną mamy pogodę — zagadnąłem z grzecznością.

— A niezłą — odrzekł.

— Peggotty już się uspokoiła nieco — dorzuciłem, chcąc go upewnić.

Zaloty

— Doprawdy.

Dopiero po chwili namysłu, oglądając się na nią, dodał:

— Więc się na dobre uspokoiła?

Peggotty uśmiechnęła się, potakując.

— Na dobre, na dobre — mruczał, trącając ją ramieniem. — Naprawdę, na dobre? E! Co?

Za każdym pytaniem pochyłał się ku niej i trącał ją ramieniem tak, żeśmy się wkrótce wszyscy troje strasznie stłoczeni znaleźli po lewej stronie wózka. Dopiero wówczas Peggotty zwróciła uwagę woźnicy na to, co się ze mną dzieje, i pan Barkis odsunął się nieco. Zdawało mi się, że był bardzo zadowolony, iż znalazł był sposób na wyrażenie swych uczuć bez pomocy słów, chichotał bowiem czas jakiś, a potem znów przysuwając się do Peggotty tak, że aż mi w tym tłoku tchu brakowało, powtarzał:

— Naprawdę, na dobre?

Wpadłem na pomysł usunięcia się na sam brzeg wózka, udając, że przyglądam się okolicy. Woźnica zatrzymał konia przy gospodzie, częstował nas baraniną i piwem, a gdy Peggotty piła piwo, począł znów przysuwać się do niej i trącać ją w ramię. Dopiero gdy zaczęło się zmierzchać, potrzeba zwracania bacznego na drogę sprawiła, że nie miał czasu na zaloty. Wjeżdżając zaś na bruk w Yarmouth, byliśmy wszyscy i tak zbyt mocno szarpani i rzucani na wszystkie strony, aby móc o czym bądź myśleć.

Pan Peggotty i Ham czekali nas w zwykłym miejscu. Przyjęli tak mnie, jak Peggotty z oznakami niekłamanego zadowolenia. Ścisnęli też dłoń Barkisa, nieosobliwie wyglądającego w tej chwili; z kapeluszem zsuniętym na tył głowy, z zafrasowanym wyrazem twarzy prezentował się nie najlepiej. Pan Peggotty i Ham ujęli, każdy za jedno ucho, kufer Peggotty, gdy tymczasem woźnica odwołał mnie na stronę.

— Dobrze idzie — mruknął.

Spojrzałem pytająco i z głęboką domyślnością odrzekłem:

— Aha!

— Sprawa jeszcze nieskończona — ciągnął poufnie — ale na dobrej już drodze.

Powtórzyłem:

— Aha!

— Na dobrej drodze. Czy nie mówiłem, że gotów, że Barkis gotów?

Potrząsnąłem głową.

— Bądźmy przyjaciółmi — ciągnął, ściskając mi rękę. — Dopomogłeś mi znakomicie. He? Pamiętasz, paniczu?

Pomimo poufnej miny i tonu pan Barkis był tak tajemniczy, że gdybym wpatrywał się weń godzinami całymi, nie odgadłbym zapewne, o co mu właściwie idzie. Wtem zawołała mnie Peggotty. Idąc zapytała, co mi mówił.

— Że wszystko na dobrej drodze — odrzekłem.

— Patrzcie go, jaki bezczelny! — zawołała. — Mnie to ani w głowie.

Po chwili znów spytała:

— Davy, kochanie, a co byś powiedział, gdybym wyszła za mąż?

— Co? Myślę, Peggotty, że nie przestałaś mnie kochać — odrzekłem po chwili namysłu.

Ku niemałemu zapewne zdziwieniu przechodniów, a także zdążających za nami z kufierkiem krewniaków Peggotty, pocziwa ta dusza porwała mnie w objęcia, zapewniając o niezmienności swego przywiązania.

— Powiedz, kochanie, co byś na to powiedział? — znów zapytała, wyściskawszy mnie<sup>115</sup>, ile się dało.

— Jeślibyś chciała wyjść za pana Barkisa?

— Tak.

— Myślałbym, że to bardzo dobrze! Miałabyś konia, własny wózek. Droga by cię nie kosztowała i przyjeżdżałabyś częściej odwiedzać mię.

<sup>115</sup>mię — daw. forma zaimka osobowego w pozycji nieakcentowanej w zdaniu; dziś jednolita forma: mnie. [przypis edytorski]

— Jakie to dziecko dowcipne<sup>116</sup> — zawołała Peggotty. — Przez cały przeszły miesiąc o tym właśnie tylko myślałam. A i o tym, że będę mniej zależna. Bo widzisz, we własnym domu łżej jest pracować. Nie umiem sobie wyobrazić, jakbym się dziś zdała na służącą u obcych ludzi. Zresztą pozostałabym w pobliżu miejsca spoczynku mojej kochanej pani — ciągnęła ciszej — mogłabym odwiedzać je, dopóki sama żyć będę, a potem pochowałiby mnie gdzie blisko mojej najdroższej...

Przez dość długą chwilę milczeliśmy oboje.

— Nie myślałabym jednak wcale o tym — ozwała się już wesoło Peggotty — i gdyby mój Davy miał coś przeciw temu, rozmyślałabym się nawet u stopni ołtarza, nawet gdybym miała obrączkę w kieszeni.

— Spójrz na mnie, Peggotty — rzekłem — widzisz przecie, jak się cieszę, jak tego życzę sobie.

Istotnie życzyłem z całego serca.

— Dobrze, moje życie — rzekła Peggotty, ścisnąwszy mi rękę — myślałam o tym wszystkim tysiąc razy, we dnie i w nocy, i zdaje mi się, że mam słuszność, lecz poradzę się jeszcze brata, a tymczasem, Davy, niech to pozostanie między nami, tobie tylko i mnie wiadome. Barkis to pocziwe chłopisko i jeśli spełniając moje względem niego obowiązki, nie będę się czuć szczęśliwa, to będzie chyba moja własna wina... „naprawdę”, „na dobre” — skończyła, śmiejąc się na głos.

Przytoczenie własnych słów Barkisa i mnie rozbawiło, szliśmy więc dalej śmiejąc się i w wybornych humorach doszliśmy do mieszkania pana Peggotty.

Wyglądało ono tak samo jak dawniej, tylko może nieco skurczyło się w mych oczach. Jak dawniej, tak i teraz na progu powitała nas pani Gummidge. Wewnątrz nie zmieniło się nic, ani nawet muszelki koło lusterka w moim sypialnym pokoiku. Zewnątrz te same co dawniej homary, kraby, raki, kłębiące się w tym samym co i dawniej zakątku dziedzińca; zdawało się, że chcą zalać świat cały. Nie było tylko małej Emilki. Spytałem o nią pana Peggotty.

— W szkole — odrzekł, ocierając z czoła pot wywołany dźwiganiem kufra Peggotty, a spojrzawszy na stary holenderski zegar, dodał:

— Wróci za dwadzieścia minut lub najdalej za pół godziny. Wszystkim nam brakuje jej.

Pani Gummidge zaczęła wzdychać.

— Odwagi! Odwagi, niewiasto! — pocieszał ją pan Peggotty.

— Bo... ja więcej niż kto inny odczuwam... — skarżyła się pani Gummidge. — W moim opuszczeniu brak mi tej jedynej żywej duszy, która mi nie robi wszystkiego na przekór.

Wzdychając i trzęsąc głową, wdowa rozpałała ogień na kominie, a pan Peggotty, spoglądając na nas, potrząsał ze współczuciem głową, mrużąc: „Biedna stara”, z czego wniosłem, że w usposobieniu pani Gummidge od ostatniej mojej bytności w Yarmouth nie zaszła żadna zmiana.

Tak więc wszystko tu było jak dawniej, te same miłe mi miejsca! A jednak nie takie, jak kiedyś, wywierały na mnie teraz wrażenie. Czulem coś na kształt zawodu. Może dlatego, że nie zastałem Emilki w domu? Wiedząc, jaką będzie wracać drogą, wyszedłem na jej spotkanie.

Wkrótce ujrzałem w dali idącą postać. Poznałem ją od razu. Chociaż urosła, szczupła była nadal, a gdy zbliżyła się i dostrzegłem błękitne jej oczy, błękitniejsze niż dawniej, jej wdzięczną twarzyczkę, wdzięczniejszą, jaśniejszą, weselszą, dziwne ogarnęło mnie uczucie. Udałem, że jej nie poznaję, i minąłem, udając, że szukam czegoś. Postąpiłem tak samo raz jeszcze później w życiu, jeśli się nie mylę.

Małą Emilkę wcale to nie obeszło. Poznała mnie, lecz zamiast zawrócić i zawołać, śmiejąc się pobiegła naprzód. Musiałem ją doganiać, biegła tak szybko, że m ją dopiero przy samym domu dogonił.

— O! To ty? — zawołała.

— Niby nie widziałas — odrzekłem.

— A tyś nie widział, kogo spotykasz? — odrzekła.

<sup>116</sup>dowcipny — daw. również: inteligentny, bystry. [przypis edytorski]

Chciałem ją pocałować, lecz zakryła ręką śmiejące się usta, mówiąc, że przestała być małym dzieckiem i śmiejąc się ciągle, wbiegła do domu.

Odtąd zdawało się, że znajduje największą przyjemność w dokuczaniu mi, i nie mogłem się dość nadziwić zaszłej w niej zmianie. Herbata była już na stole, nakrycia nasze na dawnym miejscu, lecz Emilka, zamiast usiąść przy mnie, ofiarowała swe usługi pani Gummidge, a na zdziwione pytanie pana Peggotty odpowiedziała tylko śmiechem, kryjąc twarzyczkę we włosy, które na nią zgarnęła.

— Ach! Ty mała kotko! — zawołał pan Peggotty, gładząc ją po głowie szeroką swą dłonią.

— Kotka! Istna kotka! Prawda, panie Davy? — chichotał Ham, wpatrując się w nią z uwielbieniem, które mu rumieńcem zabarwiło policzki.

Wszyscy ją pieścili, a już najwięcej pan Peggotty, którego okręcić by mogła wokół małego palca, byleby tylko jasną główkę skłoniła na jego ramię. Takiego przynajmniej nabrałem przekonania, widząc, z jakim pieśzotliwym czyniła to wdziękiem. Nie dziwiłem się panu Peggotty. Była tak miła, słodka, przyjacielska, a zarazem tak figlarna i nieśmiała, że podbiła mię od razu zupełnie.

Dobre też miała serce! Gdy po herbacie zasiedliśmy przy kominku i pan Peggotty spoza kłębow dymu z fajeczki potracił o stratę, jaką poniosłem, łzy napłynęły jej do oczu i popatrzyła na mnie ze współczuciem, które mnie do głębi serca wzruszyło.

— Ha! — rzekł pan Peggotty, przeciągając dłoń po jej jedwabnych włosach. — Drugą tu mamy jeszcze sierotę. Jest jeden jeszcze — dodał, uderzając bratanka po ramieniu — lecz ten wcale nie wygląda na opuszczonego.

— Nie czulbym się też opuszczonym — rzekłem — gdybym miał takiego jak pan opiekuna.

— Prawda! Wybornie! — zawołał Ham. — Nie czułbyś, paniczku, sieroctwa! Hura! Hura!

Teraz on uderzył starego po ramieniu, a mała Emilka uściskała swego opiekuna.

— Co słyhać z panicza przyjacielem? — spytał mnie pan Peggotty.

— Ze Steerforthem? — spytałem.

— A co, widzisz, mówiłem, że się tak nazywa — rzekł, zwracając się do Hama.

— Utrzymywałeś, że Rudderford — odrzekł Ham.

— Tobie zawsze rudel<sup>117</sup> w głowie. Zresztą rudel czy ster na jedno wyjdzie. Jak się miewa?

— Był zdrow, gdym odjeżdżał ze szkoły — odrzekłem.

— To mi przyjaciel co się zowie! — twierdził rybak, strząsając popiół z fajeczki. — Miło spojrzeć na niego.

— Prawda, piękny! — zawołałem dumny z mego przyjaciela.

— Piękny! — rzekł pan Peggotty. — Wygląda jak... jak... no sam nie wiem, tak pysznie, jednym słowem, taki dzielny!

— O! Tak, dzielny! Odważny jak lew i nie wyobrazisz pan sobie, jaki przy tym otwarty i szczery.

— Sądzę też — mówił, otaczając się chmurą dymu, rybak — że z nauką idzie mu jak po maśle.

— Nie ma rzeczy, której by nie umiał — podchwyciłem ze wzrastającym zadowoleniem — zadziwiająco zdolny i inteligentny.

— To mi przyjaciel! — mruczał, kiwając głową, pan Peggotty.

— Nad niczym nie potrzebuje pracować — ciągnąłem — dość mu raz spojrzeć w książkę, aby umieć lekcję, a w krykcie pierwszy gracz, może wygrać dziesięć partii z rzędu.

Pan Peggotty kiwał potakująco głową.

— A jaki wymowny! Każdego przekona! Żałuję, że pan nie słyszał jego śpiewu.

Znów pan Peggotty kiwnął potakująco głową.

— Hojny, szlachetny, wytworny — ciągnąłem, zapalając się do przedmiotu — że się go dość nachwalić nie można. Do końca życia zachowam wdzięczność za troskliwą opiekę, jaką mnie, młodszego i słabszego, otaczał, kiedy się znalazł w szkole.

<sup>117</sup>rudel (daw.; z niem. *Ruder*) — ster w konstrukcji statku wodnego; także: wiosło. [przypis edytorski]



Z przyjemnością mówiłem o przyjacielu, nie spuszczać przy tym oka z małej Emilki. Słuchała z zajęciem, pochyłona naprzód z lekko otwartymi ustami, z błyszczącymi oczyma, z zarumienioną twarzą. Tak była ładna w tej chwili, że się nagle zatrzymał. Wszyscy spojrzeli na nią i roześmieli się.

— Ona, tak jak ja — zawołała moja Peggotty — też pewnie chciałaby go poznać.

Emilka zawstydziała się, spuściła zarumienioną twarzą, a dostrzegłszy przez zasłonę swych włosów, że patrzymy jeszcze na nią (co do mnie — patrzyłbym całymi godzinami!), uciekła i nie ukazała się aż<sup>118</sup> późno wieczorem.

Leżałem jak dawniej w małym łóżeczku, a wiatr jak dawniej szalał po nadbrzeżnej płaszczynie, lecz teraz zdawało mi się, że wyje tak i jęczy po tych, którzy odeszli na zawsze. I zamiast myśleć jak dawniej, że morze wystąpi z brzegów, zniesie z łodzi skleconą siedzibę rybaka, myślałem, że od czasu kiedy po raz ostatni słyszałem szum jego fali, powstało i zalało własny mój rodzinny dom. W miarę jak jęki wiatru i szum morza zaczynały przycichać, dodałem, pamiętam, do ostatniej przedsennej modlitwy gorącą do Niebios prośbę, abym wyrósł co prędzej i ożenił się z małą Emilką. Sen skleił mi powieki.

Dni mijają tak, jak mijają niegdyś, z tą jednak różnicą, że teraz rzadko kiedy błakaliśmy się z Emilką po wybrzeżu. Teraz ona musiała się uczyć, robiła ręczne robótki, była zresztą przez znaczną część dnia nieobecna. Czulem też, że gdyby i pozwalały na to okoliczności, nie byłyby to już te same, co dawniej, przechadzki. W małej, dziecinnej, figlarnej Emilce budziła się kobiecość i jeden rok czasu oddalił ją ode mnie. Wyprzedziła mnie, czulem to niejasno, chociaż tego nie rozumiałem. Lubiła mnie z pewnością, lecz żartowała ze mnie, dręczyła po trosze i gdy na przykład wychodził na jej spotkanie, wracała do domu inną ścieżką, a potem witała mnie z drwiącym śmiechem. Najlepszymi były chwile, gdyśmy spokojnie siadywali na progu domu, ona z robótką, ja u nóg jej z książką, którą głośno jej czytywałem. Dziś jeszcze zdaje mi się, że nie zaznał jaśniejszych i pogodniejszych od owych kwietniowych popołudni, że odtąd nie spotkał tak słonecznej istoty, jak ta, która siadywała na progu rybackiej chaty, i nigdy nie widział podobnego nieba, morza, okrętów i żagli, jak te, które niknęły w słonecznej gdzieś dali.

Zaraz nazajutrz po naszym przybyciu pan Barkis zjawił się w niezwykle marzycielskim usposobieniu, z chustką pełną pomarańcz, że zaś nic nie wspominał o ich pochodzeniu lub przeznaczeniu, sądzono, że je zostawił przez zapomnienie i dopiero Ham, wysłany na zwiady, przyniósł wiadomość, że były one przeznaczone dla Peggotty. Odtąd pan Barkis przychodził regularnie co wieczór o tej samej godzinie, zawsze z paczką, o której nie wspominał nigdy, zostawiając ją przy drzwiach. Dary bywały przeróżnego rodzaju: prosięta z cukru, olbrzymia poduszka do szpilek, ćwierć korca jabłek, para kolczyków, kilka hiszpańskich cebulek, pudełko z dominem, kanarek w klatce, wędzona szynka i tym podobne...

Zaloty

Zaloty, jak i dary pana Barkisa były niezwykle. Rzadko kiedy odzywał się, siadywał przy kominku nieruchomy, zupełnie tak, jak na koźle swego wózka, wpatrując się w siedzącą naprzeciw siebie Peggotty. Pewnego wieczoru, pod natchnieniem, jak sądzę, miłości, podjął upuszczony przez nią kawałek wosku, którego używała zwykle przy robocie, i schował do kieszonki swej kamizelki. Odtąd wyjmował go z widoczną przyjemnością na każde jej zapotrzebowanie, za każdym jednak razem odkładając w przeznaczone mu na swym sercu schronienie. Zresztą zdawał się być zawsze rozbawiony, choć wcale niepowołany do brania udziału w toczącej się rozmowie. Nawet gdy towarzyszył Peggotty na przechadzce, nie zadawał sobie w tym kierunku żadnego przymusu, poprzestając na pytaniu jej kilkakrotnym, czy się czuje zadowolona. Toteż po powrocie nieraz Peggotty kryła twarz w fartuch, śmiejąc się do rozpuku. Wszystkich nas to niezmiernie bawiło, oprócz pani Gummidge, w której zaloty Barkisa budziły zapewne dawne jakieś wspomnienia i nieukozone żale.

Wreszcie, i kiedy pobyt mój w Yarmouth miał się ku końcowi, postanowiono, że pan Barkis i Peggotty wybiorą się razem na majówkę, w której mieliśmy z Emilką też uczestniczyć. W przeddzień ciągleśmy o tym mówili<sup>119</sup>, a noc poprzedzającą ten dzień

<sup>118</sup>aż — tu: dopiero. [przypis edytorski]

<sup>119</sup>ciągleśmy (...) mówili — inaczej: ciągle mówiliśmy; przykład konstrukcji z ruchomą końcówką czasownika. [przypis edytorski]

uroczysty miałem niespokojną. Wszyscyśmy wstali wcześniej niż zwykle, a zanim skończyliśmy śniadanie, już pan Barkis z wózkiem zjawił się po przedmiot swych uczuć.

Peggotty ubrana była w codzienną swą skromną i czystą suknię żałobną, za to pan Barkis jaśniał w nowym granatowym surducie, szytym chyba przez krawca na wyrost, a czyniącym zbytecznymi, przy najchłodniejszym bodaj powietrzu, rękawiczki. Rękawy były długie, kołnierz włożył na same uszy. Stroju dopełniały piaskowe pantalony i także kamizelka. Pan Barkis wyglądał uroczyście.

Gdyśmy wsiedli do wózka, pan Peggotty wyniósł stary trzewik, prosząc panią Gummidge, aby go za nami wyrzuciła „na szczęście”.

— Nie, Danielu! niech to lepiej uczynią inne niż moje dłonie — broniła się wdowa. — Opuuszczona jestem, nieszczęsna i wszystko, co przypomina mi istoty szczęśliwsze ode mnie, drażni mnie i boli.

— Spróbuj! Spróbuj, niewiasto! — zachęcał pan Peggotty.

— Nie! Nie, Danielu! — opierała się wdowa. — Gdybym czuła to mniej boleśnie, mogłabym to zrobić. Ty, Danielu, nie możesz tak jak ja czuć. Los nie był wobec ciebie tak przekorny jak wobec mnie, nieszczęsnej. Rzuć sam.

Tu Peggotty, która z pośpiechem całowała wszystkich na pożegnanie, zawołała z wózka, że trzeba koniecznie, aby pani Gummidge, a nie kto inny, rzuciła trzewik, co też ta ostatnia wreszcie uczyniła, psując ogólną radość płaczem, którym nagle wybuchnęła. Opadła na ramię Hama, wołając, że wie dobrze o tym, że jest ciężarem tylko i że będzie lepiej, jeżeli wróci do domu, na co Ham zgodził się w zupełności.

Wyjechaliśmy na majówkę. Przede wszystkim zatrzymaliśmy się u wrót kościelnych, a pan Barkis, uwiązawszy konia do płota i zostawiwszy mnie z Emilką na wózku, udał się z Peggotty do świątyni. Skorzystałem z tej sposobności i, obejmując Emilkę, prosiłem ją, aby przez wzgląd, że już tak niedługo pozostać mam w ich domu, była dla mnie dobra i uprzejma przez cały ten dzień. Emilka zgodziła się i pozwoliła ucałować siebie, co mię tak rozentuzjazmowało, że oświadczyłem, iż nikogo więcej nigdy kochać nie będę i gotów jestem przelać krew każdego, kto stanie między nią a mną.

Jakże to ją nieskończenie ubawiło! Z jakim poczuciem nieskończonej wyższości mała kobietka oznajmiła mi, że jestem „niedorzecznym dzieckiem”. Mówiąc to, uśmiechała się jednak tak wdzięcznie, że patrząc na nią, zapomniałem o mym upokorzeniu.

Pan Barkis i Peggotty długo bawili w kościele, a gdy wyszli, pojechaliśmy dalej. Po drodze pan Barkis odwrócił się do mnie i mrugając (kto by przypuścił, że mrugać potrafi!) spytał:

— A czyje to imię napisałem wtedy na wózku?

— Klary Peggotty — odrzekłem.

— A teraz jakie trzeba napisać?

— Klary Peggotty — powtórzyłem.

— Klary Peggotty-Barkis — odrzekł, wybuchając śmiechem, który wstrząsnął całym wózkiem.

Jednym słowem, pobrali się i po to wstąpili do kościoła! Peggotty życzyła sobie, aby się to odbyło jak najciszej, bez świadków. Nagłe to oświadczenie pana Barkisa zmieszało ją nieco. Zaczęła upewniać mnie o swym niezmiennym do mnie przywiązaniu, wkrótce jednak uspokoiła się, oświadczając z zadowoleniem, że się to raz wreszcie skończyło.

Zajechaliśmy do gospody przy drodze, gdzie czekano nas ze smacznym obiadem, i tak zeszedł nam dzień cały spokojnie i wesoło. Gdyby Peggotty była zamężna od lat dziesięciu, nie mogłaby zachowywać się spokojniej i swobodniej. Była dnia tego najzupełniej taka, jaką bywała zwykle. Przed herbatą wyszła z Emilką i ze mną na przechadzkę, a pan Barkis zapalił tymczasem fajeczkę, oddając się zapewne rozmyślaniu o swym szczęściu, co tak zresztą podnieciło jego apetyt, że chociaż przy obiedzie zjadł był zadziwiająco wiele wieprzowiny i sałaty, urozmaicając to paru dzikimi kaczkami, poprosił jeszcze o podanie do herbaty szynki na zimno i spożył sporą jej ilość.

Nieraz myślałem później o tym dziwnym, spokojnym, niezwykłym dniu weselnym. Gdy zapadł wieczór, wsiedliśmy na wózek i, wracając do domu w noc gwiazdzistą, rozmawialiśmy o ciałach niebieskich. Byłem najwymowniejszy w tej dziedzinie, co wzbudziło podziw Barkisa.

Ślub

Opowiedziałem wszystko, com sam wiedział na ten temat, lecz mógłbym śmiało improwizować, tak bardzo i na ślepo ufał on moim wiadomościom i uzdolnieniu. Zapewniał nawet żonę przy tej sposobności, że jestem „niezwykłym zjawiskiem”.

Gdyśmy wyczerpali przedmiot astronomii, Emilka zrobiła ze starej okrywki płaszcz i otuliliśmy się nim oboje. Jakżem ją kochał. Co to byłoby za szczęście (myślałem sobie), gdybyśmy się pobrali i jechali tak w pole, w las, na koniec świata, nie starzejąc się nigdy, i nie zmieniając ani trochę, będąc zawsze dziećmi, błędząc, dłoń w dłoni, wśród słonecznej pogody po rozkwieconych łąkach, wieczorem skłaniając znużone głowy na mchy wilgotne, usypiając w czystości i spokoju serca, po śmierci pogrzebani przez bujające w powietrzu ptaki. Marzenia podobne, nieziemskie, jasne i nieuchwytnie jak te tam wysoko gwiazdy, roily mi się przez całą drogę. Teraz miło mi myśleć, że w dniu swego ślubu Peggotty miała przy sobie takie dwa dziecięce, niewinne serca, jak Emilki i moje. Miło mi myśleć o tych dwóch drobnych istotach, co w nielicznym jej weselnym orszaku były uosobieniem Wdzięku i Miłości.

Wróciliśmy do siedziby rybaka wcześniej przed nocą. Tam nas pożegnali pan i pani Barkis, udając się do swego domu. Wtedy uczulem dopiero, że utraciłem moją Peggotty. Zasnąłbym dnia tego ze ściśnionym<sup>120</sup> sercem, gdyby nie to, że się znajdowałem<sup>121</sup> pod dachem osłaniającym i Emilki głowę.

Pan Peggotty i Ham rozumieli doskonale, co się dziać musiało w moim sercu, i czekając nas z wieczerzą, próbowali mnie pocieszyć. Emilka usiadła blisko po raz pierwszy w czasie mej bytności w Yarmouth i tak się zakończył ów pamiętny dzień. Gdyśmy się mieli ku spoczynkowi, pan Peggotty z bratankiem, korzystając z przypiły morza, udali się na połów. Czulem się dumnym, gdyż spadał na mnie obowiązek czuwania nad Emilką i panią Gummidge w opustoszałym domu. Pragnąłem, aby lew, wąż lub inny potwór napadł nas, abym go mógł zabić i okryć się chwałą. W braku rzeczywistego niebezpieczeństwa śniły mi się tylko nocą smoki, lwy i potwory morskie.

Rankiem zjawiła się Peggotty. Zastukała do mego okienka, jak to zwykła była czynić, i zdawać by się mogło, że pan Barkis jest też snem tylko. Po śniadaniu wzięła mnie z sobą do własnego domu. Śliczny to był domek! Zachwyciło mnie szczególnie stare biurko z ciemnego drzewa, stojące w bawialnym pokoiku, a którego górna część podnosiła się i chroniła wielką *Księgę Męczenników*<sup>122</sup> Foxa<sup>123</sup>. Książkę tę (treści jej nie pamiętam ani słowa) odkryłem od razu i odtąd, ilekroć odwiedzałem Peggotty, przysuwałem do biurka krzesło, otwierałem skrytkę z drogocennym przedmiotem i tonałem w przeglądaniu książki, to jest mnogich obrazków przedstawiających najrozmaitsze męczeństwa. Dotąd w myśli mej dom Peggotty i *Księga Męczenników* pozostały nierozdzielne.

Rozstałem się dnia tego z panem Peggotty, Hamem, panią Gummidge i Emilką. Noc spędziłem u Peggotty w małym pokoiczku na poddaszu, gdzie zastałem na półeczce książkę o krokodylach, a o którym to pokoiczku Peggotty powiedziała, że pozostanie moim na zawsze.

— Teraz i zawsze, za młodu i w starości, Davy, dziecko moje — mówiła — dopóki dach ten będzie moim, możesz tu przyjeżdżać jak do własnego domu. Pokoik ten zawsze gotów będzie na twoje przyjęcie. Utrzymywać go będę tak, jak utrzymywałam twój pokoik tam, w Blunderstone. Choćbyś nawet kiedy do samych Chin wyjechał, to po powrocie żadnej tu nie zauważysz zmiany.

Czulem całą szczerłość i serdeczność słów mej starej piastunki. Dziękowałem jej z serca, ale niezbyt wymownie, gdyż mówiąc tuliła mnie mocno do piersi, a ranku tego wracać miałem do Murdstonów, gdzie mnie pan Barkis z żoną odwieźli sami. Nie bez żalu poze-

Dzieciństwo, Miłość

Dziecko, Obowiązek,  
Opieka, Dorosłość

<sup>120</sup>ściśniony (daw. forma) — dziś: ściśnięty. [przypis edytorski]

<sup>121</sup>żem się znajdowałem — inaczej: że się znajdowałem; przykład konstrukcji z ruchomą końcówką czasownika. [przypis edytorski]

<sup>122</sup>*Księga Męczenników* — monumentalne dzieło Johna Foxe'a (1516/17–1587) wyd. w 1563 r. pt. *Actes and Monuments*, popularnie zwane *Book of Martyrs*, zawierające żywoty męczenników chrześcijańskich w kulturze Zachodu ze szczególnym uwzględnieniem ang. protestantów lub proto-protestantów od XIV stulecia (prześladowania lollardów) do czasów panowania Marii I Stuart; księga była powszechnie znana wśród brytyjskich purytanów, stanowiła pokaźną pozycję wydawniczą, licząc sobie ok. 2000 stron i od ukazania się stanowiła rodzaj fundamentalnej pracy dla kościoła anglikańskiego. [przypis edytorski]

<sup>123</sup>Foxe, John (1516/17–1587) — ang. duchowny, zasłużony dla kościoła anglikańskiego jako historyk i autor *Księgi męczenników* (1563). [przypis edytorski]

gnali mnie przy bramie, z dziwnie też ściśniętym sercem stanąłem pod drzewami, przed tym domem, w którym nie było już nikogo, kto by mnie przyjaźnie powitał, i oczyma pełnymi łez spoglądałem za odjeżdżającą Peggotty.

Teraz popadłem w stan zaniedbania i litość nad samym sobą mnie ogarnia, ilekroć o tym wspominam; strącono mnie w samotność, bez dobrego słowa, bez towarzystwa, bez rówieśników, pozostawiono własnemu myślowi, których cień rozciąga się i dosięga aż stronice obecnie pisanych.

Cóż bym dał za to, aby być wysłanym do najsroźszej ze szkół, cóż bym dał, aby się uczyć, czego bądź, jak bądź, gdzie bądź! Nie zostawiono mi nawet tej nadziei. Nie lubili mnie, zaniedbywali uparcie, srogo i stale. Sądzę, że w tym czasie pan Murdstone sam był widocznie przybity, ale niewielki to miało wpływ na mój los. Nie znosił mnie po prostu i, odpychając mnie od siebie, chciał, jak sądzą, utrwalić się w przekonaniu, że mi nic nie jest winien, co mu się zresztą udało.

W istocie nie obchodzono się ze mną źle, w pospolitym tego słowa znaczeniu, nie bito, nie głodzono, lecz wyrządzano mi krzywdę nieustannie, systematycznie i z rozmysłem. Dzień po dniu, tydzień po tygodniu, miesiąc po miesiącu zaniedbywano mnie najzupełniej. Myślałem czasem, co by poczęli, gdybym zachorował. Czy leżałbym opuszczony w samotnym mym pokoiku, trawiony chorobą czy też przyszliby mi wówczas z pomocą?

Gdy pan i panna Murdstone byli w domu, jadałem z nimi, gdy ich nie było w domu — jadałem sam. Zresztą przez dzień cały błąkałem się po domu i okolicy bez opieki. Chyba że opieką nazwę zakaz przyjaźnienia się z kimkolwiek. Bali się może, abym się przed ludźmi nie skarżył. Dlatego to zapewne, chociaż pan Chillip (był wdowcem od lat kilku, utraciwszy drobną swą jasnowłosą żonę, której obraz w mych wspomnieniach łączył się z obrazem jasnej, o przegowatej sierści kotki) zapraszał mnie często do siebie, ale rzadko kiedy miałem przyjemność spędzić popołudnie w jego gabinecie na oglądaniu książek, z których wydzieliał się silny apteczny zapach, lub na rozcieraniu w moździerzu i pod jego kierunkiem jakichś niewinnych proszków.

Dla tychże samych zapewne powodów, popartych niechęcią do niej, rzadko pozwalano mi odwiedzać Peggotty. Wierna swej obietnicy, regularnie co tydzień odwiedzała mnie lub spotykała się gdzie bądź ze mną i nigdy nie przybywała z pustymi rękoma. Lecz ileż gorzkich odmów słyszałem, gdym prosił, by mi pozwolono pójść do Barkisów? Rzadko kiedy udawało mi się uzyskać ich zgodę.

Z czasem dowiedziałem się, że pan Barkis jest „niby”, jak Peggotty mówiła, „skąpcem”, że chowa pieniądze w stojącym pod łóżkiem kuferku, zapewniając, że napełniony jest samą starą odzieżą. W kuferku tym zamykał swe skarby tak szczelnie, że dla wydobycia najmniejszej ich części wypadło rozwijać prawdziwą dyplomatyczną akcję. Aby dostać to, co było niezbędnym na pokrycie tygodniowych wydatków, Peggotty musiała dosłownie spiskować.

Ciągle też odnosiłem wrażenie, że w zaniedbaniu, w jakie popadłem, marnieją moje zdolności, i byłbym bardzo nieszczęśliwy, gdyby nie moje stare książki. Stanowiły one jedyną mą pociechę i okazały się wiernymi przyjaciółmi, do których też ustawicznie wracałem, odczytując je kilkakrotnie.

Zbliżam się do epoki mego życia, której nie zapomnę nigdy, którą pamiętam w najdrobniejszych szczegółach i której wspomnienie, niewywoływane przeze mnie, nieraz, i to w najszcześniejszych dniach mego życia, wznosiło się na mojej drodze na kształt zagrobowej mary.

Pewnego dnia, gdym włóczył się bez celu, rozmarzony i beczynny, jak zwykle, na skrócie drogi przy naszym domu spotkałem pana Murdstone przechadzającego się z jakimś nieznanym. Zmieszany, chciałem się cofnąć, gdy nieznanomy, spostrzegłszy mnie, zawołał:

— Aha! Brooks!

— Nie, panie, Dawid Copperfield — odrzekłem.

— Co mi tam bzdurzysz, mały! Brooks jesteś, Brooks z Sheffield, znam cię przecie! Wpatrzyłem się uważnie w nieznanomego. Uderzył mnie jego śmiech.

Przypomniałem sobie pana Quinion, poznanego w czasie mej wycieczki z panem Murdstone do Lowestoft przed... mniejsza z tym, kiedy.

Dziecko, Opieka, Nauka,  
Samotność, Krzywda

Skąpiec, Małżeństwo, Mąż,  
Żona

— Jakże ci się powodzi, Brooks? Gdzie się uczysz? — pytał mnie pan Quinion, biorąc za ramiona i zawracając, abym szedł z nimi. Nie wiedząc, co odpowiedzieć na to pytanie, spoglądałem nieśmiało na pana Murdstone.

— Obecnie jest w domu — rzekł ten ostatni — i nie wiem doprawdy, co z nim począć. Nielatwy to charakter!

Przy tych słowach znane mi skośne spojrzenie spoczęło na mnie, by po chwili odwrócić się ze ściągnięciem brwi i widocznym wstrętem.

— Aha! — odchrząknął pan Quinion, wodząc okiem po nas. Po chwili dodał — Śliczna pogoda.

Zapanowało milczenie. Rozmyślałem, jak oswobodzić moje ramię od ciężącej na nim ręki nieznanego i wymknąć się czym prędzej, gdy ten ostatni znów mnie spytał:

— A czy nadal jesteś taki bystry, jak dawniej bywałeś, co, Brooks?

— O! dość bystry — zauważył z niecierpliwością pan Murdstone. — Puść go lepiej. Nie będzie ci wdzięczny, że się nim interesujesz.

Pan Quinion puścił mnie. Wbiegłem do domu, na skrócie drogi obejrzałem się; pan Murdstone stał oparty o furtkę cmentarną i rozmawiał z panem Quinion, a że obydwaj patrzyli za mną, pewien byłem, że o mnie mówią.

Pan Quinion nocował u nas. Nazajutrz po śniadaniu odstawiłem swe krzesło i zabierałem się właśnie do wyjścia, gdy mnie pan Murdstone zatrzymał. Zwrócił się z powagą do stołu, przy którym panna Murdstone przeglądała rachunki. Pan Quinion tymczasem z rękami w kieszeniach wyglądał obojętnie przez okno. Ja zaś przyglądałem się im.

— Dawidzie — zaczął pan Murdstone — młodość wymaga czynu, na nic się nie zda zbijanie bąków, mazgajstwo, lenistwo.

— W czym właśnie celujesz — zauważyła panna Murdstone.

— Pozostaw mi to, Jane. Otóż mówiłem ci, Dawidzie, że młodość wymaga życia czynnego, nie zaś mazgajstwa i próżniactwa! Zwłaszcza dla chłopca o takim jak ty usposobieniu największym dobrodziejstwem jest skierowanie go na drogę pracy, wykorzenie w nim zgubnych skłonności.

— Tu krnąbrność nie pomoże — wtrąciła siostra — trzeba ją przełamać i przełamaną zostanie.

Spojrzał na nią z wymówką, ale i z aprobatą zarazem, po czym mówił dalej, zwracając się do mnie:

— Wiadomo ci zapewne, Davy, że nie jestem bogaty. W każdym razie przyjm to od tej chwili do swej wiadomości. Wychowanie, jakie dotąd otrzymałeś, było staranne i pociągało znaczne koszty. Gdyby jednak wcale nie pociągało kosztów lub gdybym i był w możności podolania takowym, to jednak, zdaniem moim, szkoły nie przyniosą ci żadnej korzyści. Czeka cię ciężkie życie i im wcześniej w nie się wdrożysz, tym lepiej.

Zdawało mi się wtedy, że już kosztował goryczy ciężkiego życia, ale myliłem się jednak.

— Czy słyszałeś co kiedy o kantorze? — spytał pan Murdstone.

— O kantorze, panie?

— Tak, „Murdstone i Grinby”, handel winami.

Musiałem wyglądać na zdziwionego, bo dodał szybko:

— Aleś musiał słyszeć o kantorach, handlu, piwnicach, przystaniach?

— Istotnie słyszałem — rzekłem, przypominając sobie jego rozmowy z siostrą, na które nie zwracałem dotąd szczególnej uwagi — nie wiem tylko, co słyszałem.

— Mniejsza z tym — rzekł. — Oto pan Quinion zarządza tym interesem.

Spojrzałem z uszanowaniem na pana Quinion, wyglądającego ciągle oknem.

— Pan Quinion mówił mi właśnie, że potrzebuje kilku chłopaków i mógłby wziąć cię na tych samych co inni warunkach.

— Skoro — zauważył półgłosem i na wół odwracając się od okna pan Quinion — nie ma dlań innych widoków.

Pan Murdstone z niecierpliwym i rozgniewanym gestem mówił dalej, nie zważając na tę przerwę:

— Warunki są następujące: powinieneś sam zarobić na jedzenie, buty i drobne potrzeby, ja zaś opłacę twoje pomieszczenie, a co do oprania...

— Można tu odsyłać — zauważyła panna Murdstone.

— O ubraniu twym też pomyślmy — dodał pan Murdstone — tymczasem nie podałbyś temu. Jedziesz więc, Dawidzie, z panem Quinion do Londynu, aby rozpocząć życie na własną rękę.

— Krótko mówiąc, wystaraliśmy się o to dla ciebie. Staraj się i ty więc godnie spełniać swe obowiązki — dokończyła panna Murdstone.

Chociaż wiedziałem dobrze, że na dnie tych projektów leży jedynie chęć pozbycia się mnie, nie pamiętam już, jakie na mnie wiadomość ta wywarła wrażenie. Zdaje mi się, że byłem wszystkim oszołomiony. Nie pozostawiono mi zresztą czasu dla ochłonięcia z pierwszego wrażenia, zaraz następnego dnia mieliśmy wyjechać z panem Quinion.

I oto nazajutrz w starym, białym kapelusiku, opasanym krepą żałobną, w czarnym spencerku<sup>124</sup> i takichże sztywnych welwetowych spodenkach — panna Murdstone uznała wszystko to za dostateczną zbroję w walce z życiem, na którą mnie wyprawiano — z całym mym szczupłym mieniem zamkniętym w stojącej przede mną walizce, opuszczony (że użyję wyrażenia pani Gummidge), znalazłem się wraz z panem Quinion w dyliżansie mającym zawieźć nas do Londynu. Oto nikną już w oddali wieże naszego kościółka i cmentarne krzyże... i coś mi już zakryło znane mi... moje dwie mogiły... przede mną pusta droga, nade mną puste, głębokie niebiosa.

## ROZDZIAŁ XI. ZACZYNAM ŻYCIE NA WŁASNĄ RĘKĘ, CO MI NIE SMAKUJE

Dziś nawet, kiedy znam świat i ludzi w tym stopniu, że nic mnie już niemal nie dziwi, to dziwię się łatwości, z jaką pozbyto się mnie w tak wczesnym wieku. Dziwię się, że nikt nie stanął w obronie małego chłopca, zdolnego, rozważnego, serdecznego i delikatnego, łatwo mogącego spacyfikować się moralnie i fizycznie. Tak się jednak stało i w dziesiątym roku życia musiałem iść zarabiać na chleb w firmie „Murdstone i Grinby”.

Skład główny znajdował się nad brzegiem, poniżej dzielnicy Blackfriars<sup>125</sup>. Późniejsze przebudowy zmieniły tę część miasta; wówczas był to ostatni dom przy wąskiej uliczce zakończonej kilkoma stopniami, po których schodziło się do rzeki i łodzi. Domisko było stare, rudera prawie, posiadająca własną przystań, kąpiącą się podczas przyprływu w wodzie, podczas odpływu w szlamie i zapehioną dosłownie szczurami. Jej tynkowane ściany pokryte pleśnią i pyłem wielu lat, jej spróchniałe podłogi i schody, hece i szmery siwych szczurów po piwnicach i korytarzach, kurz i pajęczyny pokrywające wszystkie kąty — stoją mi w oczach tak, jak gdyby lata nie przeszły od przekłętej godziny, w której po raz pierwszy z ręką drżącą w dłoni pana Quinion przekroczyłem próg tej rudery.

Operacje handlowe firmy „Murdstone i Grinby” były wielce rozgałęzione, a znaczna ich część polegała na dostarczaniu okrętom win i napojów spirytusowych. Nie wiem już, gdzie je przewożono, lecz statki odpływały tak do Wschodnich, jak do Zachodnich Indii. Jednym z następstw tego handlu było wielkie nagromadzenie pustych butelek, których przeglądaniem, myciem i wycieraniem zajmowało się kilku mężczyzn i paru nieletnich chłopców. Gdy znowu butelki były napełnione, trzeba je było korkować, pieczętować, oklejając odpowiednimi etykietami i gotowe pakować w olbrzymie skrzynie. Zostałem właśnie jednym z pracujących w tym dziale chłopców. Licząc w to i mnie, było nas trzech. Miejsce do pracy wyznaczono mi w kącie dziedzińca, który pan Quinion mógł obserwować, podnosząc się z krzesła stojącego w oknie kantoru, gdzie dzień cały pracował. Zaraz pierwszego poranku, pod tak pomyślnymi wróżbami rozpoczynającego się mego wejścia w świat i czynne życie, najstarszy z pracujących w handlu chłopaków otrzymał polecenie wtajemniczenia mnie w obowiązki nowego zawodu. Chłopak nazywał się Mick Walker; nosił on podarty fartuch i tekturowy kapelusz. Oznajmił mi, że ojciec jego jest tragarzem, lecz w uroczyste święta chodzi w czarnej aksamitnej czapce w orszaku

Dziecko, Praca, Pozycja społeczna

<sup>124</sup>*spencerek* — zdrobn. od *spencer*; daw. krótka kurtka dwurzędowa; w stroju męskim: ubiór codzienny, sportowy a. roboczy (kurtka do jazdy konnej, łowiectwa itp.), rodzaj fraka z obciętymi połami; w stroju damskim: wygodny kaftanik noszony na suknię. [przypis edytorski]

<sup>125</sup>*Blackfriars* — nazwa stosowana w odniesieniu do wielu miejsc w Anglii, niegdysz związanych z obecnością zakonu dominikanów (ang. *friar*: brat zakonny); Blackfriars w Londynie to dzielnica w centrum miasta (City of London), w której usytuowany był kiedyś klasztor dominikanów. [przypis edytorski]

Lorda Mayora<sup>126</sup>. Oznajmił nadto, że głównym naszym towarzyszem będzie chłopak noszący dziwaczną nazwę: „Mączysty Kartofel”. Przekonałem się niebawem, że nie został ochrzczony tak dziwacznym mianem, lecz przezwany w handlu z powodu swej bladej i okrągłej twarzy. Tego znów ojciec był wozowodą, służył nadto w straży ogniowej i z tego powodu co wieczór bywał w jednym z wielkich teatrów, gdzie krewna — sądzę, rodzona siostra Kartofla — występowała w pantomimach w roli chochlika.

Któż wyrazi tajemne męki mej duszy, gdym ujrzał się otoczony podobnym towarzystwem, które porównywałem z tym otoczeniem, jakie miałem w dniach szczęśliwych mego dzieciństwa, że już nie wspomnę Steerfortha, Traddlesa i innych szkolnych towarzyszy! Gdzież się podziały nadzieje i marzenia moje o wyrośnięciu na wykształconego, światłego dżentelmena! Znikły bez śladu. Wspomnienie tego, co było, ostateczna utrata wszelkiej nadziei, wstyd i upokorzenie z powodu obecnego mego położenia, przeświadczenie, że właśnie czas, w którym powinienem był uczyć się i kształcić, dzień po dniu, miesiąc po miesiącu mijać będzie marnie, niepowrotnie — napełniały mnie rozpaczą. Za każdym oddaleniem się Micka Walkera mieszałem gorzkie łyż z wodą, którą płukałem butelki, wdychając tak głęboko, jak gdyby rozpacz rozsadała mi piersi.

Zegar w kantorze wskazywał wpół do pierwszej i zabierano się do pójścia na obiad, gdy pan Quinion skinął na mnie przez okno.

Wchodząc do kantoru, spostrzegłem tęgiego, niemłodego mężczyznę w ciemnym surducie, czarnych pantoflach i obcisłych spodniach, z głową szeroką i zupełnie łysą, z ogromną twarzą, którą zwrócił ku mnie. Odzież jego była zbrukana<sup>127</sup>, tylko kołnierz od koszuli wyglądał imponująco biało, w rękę trzymał laskę ozdobną sutymi kutasami<sup>128</sup>, na kamizelce połyskiwał monokl<sup>129</sup>, dla ozdoby, jakem się potem przekonał, przewieszony, gdyż używał go rzadko i nic wcale przez niego nie widział.

— Oto on — rzekł, wskazując mnie, pan Quinion.

— To jest więc — rzekł z napaśaniem i zarazem z uprzejmością wielką nieznajomy — młody Copperfield! Mam nadzieję, że zastaję pana w dobrym zdrowiu?

Odpowiedziałem mu, że zdrow jestem i tak dalej. Wprawdzie czułem się bardzo niedobrze, lecz nie było w zwyczaju moim uskarżać się na różne trapiące mnie tak srogo dolegliwości. Nawzajem spytałem nieznajomego o jego zdrowie.

— Zdrow jestem — odrzekł. — Chwała Bogu zdrow, zupełnie. Właśnie otrzymałem list od pana Murdstone. Życzy on sobie, abym salkę, którą mam właśnie niezajętą, wynajął młodzieńcowi — tu nieznajomy uprzejmie skłonił ręką, a brodę zagłębił w sztywnym kołnierzyku — którego mam przyjemność i zaszczyt poznać.

— Pan Micawber — objaśnił pan Quinion.

— Istotnie, tak, istotnie — potwierdził nieznajomy.

— Pan Murdstone — wtrącił pan Quinion — zna pana osobiście. Pośredniczy on w potrzebie w zdobywaniu dla nas obstalunków. Pan Murdstone prosił go w liście o wyszukanie dla ciebie mieszkania. Otóż będziesz mieszkał u niego.

— Mój adres: Windsor Terrace, City Road — rzekł pan Micawber i wyraził gotowość odwiedzenia mnie raz jeszcze, by wskazać najbliższą drogę.

Podziękowałem, przepraszając za ambaras, jakim się zechciał dla mnie obarczyć.

— O której godzinie — spytał — mógłbym...

— Około ósmej — odrzekł pan Quinion.

— Około ósmej tedy — kończył pan Micawber. — Nie zatrzymuję pana dłużej, żegnam.

Nałożył kapelusz, wyszedł z laską pod pachą, wyprostowany, pogwizdując jakąś piosenkę, gdy znalazł się za drzwiami kantoru.

Wówczas pan Quinion udzielił mi moralnej nauki, zlecił, abym się starał być użyteczny i sumiennie spełniał obowiązki za płacę sześciu szylingów tygodniowo. Nie pamiętam

<sup>126</sup>Lord Major — odpowiednik burmistrza w City of London (historyczne centrum miasta); urzędnik wybierany przez mieszczan na roczną kadencję od 1189 r. (sam tytuł funkcjonuje od 1354 r.). [przypis edytorski]

<sup>127</sup>zbrukany (daw.) — zabrudzony, brudny. [przypis edytorski]

<sup>128</sup>kutasy (daw.) — frędzle; ozdoba pasmanteryjna. [przypis edytorski]

<sup>129</sup>monokl — pojedyncze szkło korekcyjne, okulary na jedno oko; przyrządu używano, osadzając go ciasno w oczodole i przytrzymując od góry łukiem brwiowym i przyciskając do góry policzka; monokl stanowił też rodzaj ozdoby, element mody męskiej, noszono go na łańcuszku przymocowanym do specjalnej, górnej kieszonki ubrania. [przypis edytorski]

zresztą dokładnie, sześciu czy siedmiu. Zdaje mi się, że na początek sześciu, siedmiu dopiero później, gdy na to podwyższenie honorarium zasłużył. Zresztą (zdaje się, że z własnej kieszeni) wypłacił mi z góry pensję za cały tydzień, a nadto dał coś Kartofflowi, rozkazując, aby moją walizkę, zbyt ciężką na moje siły, przeniósł wieczorem na Windsor Terrace. Pierwszy mój obiad kosztował mnie sześć pensów. Składał się z kawałka pieroga z mięsem i wycieczki do najbliższej studni. Resztę czasu przeznaczonego na obiadowanie przewalałem po ulicy.

Pan Micawber zjawił się wieczorem o umówionej godzinie. Umyłem się starannie i poszliśmy razem do mego — zdaje mi się, że miał prawo tak je nazwać — mieszkania. Po drodze towarzysz mój starał się wpoić w młodocianą moją pamięć nazwy mijanych ulic i kształty rozliczne narożnych domów, abym nazajutrz nie zbłądził na którymś z zakrętów.

Gdyśmy przybyli do położonego przy Windsor Terrace domu, wydał mi się on, jak i przewodnik mój, liche, lecz pełne pretensji. Pan Micawber przedstawił mnie swej żonie, szczupłej, zwiędłej, wcale niemłodej kobiecie, siedzącej w bawialnym pokoju (całe pierwsze piętro stało puste i rolety dla omamiania zapewne sąsiadów były wszędzie spuszczone) z niemowlęciem na ręku. Było to jedno z dwojga bliźnięt. Notuję to, gdyż rzadko kiedy zdarzyło mi się nie widzieć choć jednego z nich u piersi matki. To jedno, to drugie na zmianę się posilało.

Oprócz tego było tam dwoje jeszcze starszych dzieci: młody Micawber w wieku lat czterech i trzyletnia panna Micawber. Młoda, śniada służąca, sapiąca i chrupiąca ustawicznie, która, zanim pół godziny upłynęło, oznajmiła mi, że jest „sierotą” wziętą z pobliskiego przytułku, dopełniała skład domu. Pokoik mój był na poddaszu, od dziedzińca, pomalowany w deseń, który bujnej mej wyobraźni przypominał bułeczki podawane do herbaty, umeblowany zresztą więcej niż skromnie.

— Nie przypuszczałam nigdy — rzekła pani Micawber, która z bliźniętami i starszymi dziećmi odprowadziła mnie na górę — wówczas gdy przed zamążpójściem mieszkałam z papą i z mamą, abym kiedy potrzebowała brać lokatora. Wszelkie jednak osobiste względy muszą być pominięte, skoro pan Micawber znajduje się w kłopotliwym położeniu...

— Zapewne, pani! — odrzekłem.

— Interesy mego męża są właśnie w opłakanym stanie — ciągnęła kobieta — i nie wiem doprawdy, jak się z tego wywinie. Kiedym mieszkała przed zamążpójściem z papą i z mamą, nie miałam pojęcia o tym, lecz „doświadczenie uczy wszystkiego”, jak mawiał papa...

Nie wiem już, czy mi to powiedziała, czym tylko wyobraził sobie, że pan Micawber był niegdyś oficerem i służył w marynarce. Dość, że mi się tak po dziś dzień zdaje. Potem przenosił się z domu do domu, nieosobliwie na tych spekulacjach wychodząc.

— Jeśli — ciągnęła pani Micawber — wierzyciele mego męża nie zostawią mu czasu dla uregulowania interesów, sami padną ofiarą swojej niecierpliwości. Co do mnie, wyznaję, chciałabym, aby się to już raz skończyło. Z kamienia krwi nie można wycisnąć, a z pana Micawbera żadnych zaliczek ani nawet na prawne koszty nikt nic nie wycisnie.

Nie wiem, czy to drobna moja osoba wzbudziła od razu tyle zaufania u mojej gospodyni, czy też potrzeba wylania wezbranych uczuć była tak wielka, że w braku innych powierników skarżyłaby się zawieszonym u jej piersi bliźniętom, dość że, raz zacząwszy, skarżyła się stale podczas prowadzonych ze mną rozmów. Biedna kobieta! Utrzymywała, że starała się, w czym mogła, dopomóc mężowi, w co zresztą najzupełniej wierzyłem. Nade drzwiami domu czerniał napis olbrzymi: „Pensjonat pani Micawber dla dziewcząt”. Nigdy też, co prawda, żadnej nie spotkałem w domu uczennicy i nie widziałem też żadnej dziewczynki, którą chciano by powierzyć opiece mojej gospodyni, ani w domu żadnego ku temu przygotowania. Jedynymi odwiedzającymi, których widywałem lub o których słyszałem, byli wierzyciele. Ci przybywali o każdej porze, a niektórzy z nich byli prawdziwie okrutni. Zwłaszcza pewien szewc, jak mi się zdaje, wczesnym już rankiem stawał na schodach, wołając:

— Co?! Jeszcześ nie wstał?! Zapłać, coś winien, nie kryj się, to nie pomoże! Na twoim miejscu wołałbym zapłacić dobrowolnie! Słyszysz!

Nie otrzymując odpowiedzi, używał mocniejszych wyrazów, jak „łotr” i „złodziej”, a gdy i to nie skutkowało, wychodził na ulicę i na głos wymyślał, grożąc pięścią oknom, za którymi znajdował się dłużnik. Przywodziło to tego ostatniego do rozpacz. Czasem

Pieniądz, Upadek, Pozycja społeczna, Bieda



uciekał się do ostateczności i raz, jak to zdradził wrzask jego żony, porwał brzytwę, chcąc położyć koniec torturom, co mu nie przeszkadzało w pół godziny potem czyścić starannie buty i wyjść z domu, pogwizdując tkliwą lub wesołą piosenkę. Żona jego była równie elastyczna, że tak powiem. Nieraz o trzeciej zanosila się od placzu z powodu jakiegoś pozwu, a o czwartej z najlepszym apetytem zjadła baranie kotlety i zapijała je grzany winem, opłaconym ostatnimi dwiema srebrnymi, do lombardu zaniesionymi łyżeczkami. Raz, pamiętam, wróciwszy wcześniej niż zwykle do domu, zastałem ją splakaną, z potarganymi włosami, na wpół omdlałą, trzymającą jednak zawsze na ręku jedno z bliźniąt, nie pamiętam, czym widział ją kiedy weselszą, niż była tegoż samego wieczoru, gdy, smażąc kotlety, opowiadała mi długo i szeroko o swym papie, swej mamie i wytwornym towarzyskim kole, w którym jej rodzice się obracali.

W domu tym spędzałem wśród Micawberów wolne godziny. Z rana trochę mleka i bułki stanowiło me śniadanie, które kosztowało mnie dwa pensy. Drugą bułkę i miniaturowy kawałek sera chowałem na wieczór w kącie półki jednej z szaf. Czyniło to znaczny uszczerbek w moich sześciu czy siedmiu szylingach. Wiedziałem o tym, wiedziałem też, że mi suma ta wystarczyć musi na tydzień. Zresztą dzień cały spędzałem w sklepie. Od poniedziałku rano do soboty wieczorem nie słyszałem słowa rady, zachęty, współczucia, nikt mną nie kierował, nikt się o mnie nie troszczył, nikt, zupełnie nikt, tak mi Boże dopomóż.

Byłem tak małym jeszcze dzieckiem, tak nieprzygotowanym (mogłoby być inaczej?) do podjęcia ciężaru życia, że często rano, dążąc do handlu „Murdstone i Grinby”, zatrzymywałem się przed cukiernią lub piekarnią i wobec silnej pokusy topniały nieraz przeznaczone na obiad pieniądze. Wówczas nie obiadowałem wcale lub żywiłem się porcją puddingu. Pamiętam dwie piekarnie, o wyborze pomiędzy którymi decydowały środki, jakie posiadałem. Jedną w głębi dziedzińca, w pobliżu kościoła św. Marcina (dom ten już nie istnieje), gdzie robiono specjalnie przysmak ten z rodzynkami, lecz gdzie porcje były mniejsze i znacznie droższe. Druga przy Strandzie (i ta część miasta uległa przebudowaniu), gdzie wyrabiano puddingi blade, ciężkie, zakalcowate, z rzadkimi gdzieniegdzie rodzynkami. Podawano je ciepłe jeszcze i nieraz na podobnym posiłku poprzestawałem dzień cały. Regularne i paradne moje obiady składały się na przemian z kawałka chleba i sera ze szklanką piwa lub z kawałka pieczonego mięsa kupowanego w traktierni tuż naprzeciw naszego handlu, zwanej „Pod Lwem” lub podobnie, jeśli mię pamięć nie myli. Raz, pamiętam, z owiniętym w papier a zaoszczędzonym na śniadanie kawałkiem chleba, który nosiłem pod pachą jak książkę, wszedłem do słynnej traktierni przy Drury Lane i kazałem podać sobie pół porcji pieczeni wołowej. Co sobie o tak małym i samotnym gościu myślał usługujący mi chłopak, nie wiem. Wiem tylko, że mi się ciekawie przypatrywał i pokazywał swym towarzyszom. Wychodząc, czułem się w obowiązku zostawić mu pół pensa, pragnąc w duszy, by go nie przyjął.

Pod wieczór uwalniano nas na pół godziny na herbatę. Gdy wystarczało mi pieniędzy, kupowałem w najbliższej kawiarni pół porcji gotowej kawy. Gdy ich nie miałem, przypatrywałem się wystawie wędlin na Fleetstreet lub przechadzałem się aż do rynku targowego Covent Garden i przyglądałem się ananasom. Lubilem zapuszczać się aż do Adelphi. Miejsce to pociągało mnie swoją tajemniczością. Widzę siebie raz pod wieczór pod tymi ciemnymi lukami, przy jakiejś gospodzie tuż nad rzeką, z otwartym przed nią placikiem, na którym tańczyło właśnie kilku węglarzy. Przypatrując się im, usiadłem na ławce.

Co też oni myśleć o mnie musieli!

Tak drobnym byłem jeszcze dzieckiem, że nieraz, gdym wchodził do szynku na szklankę piwa lub portera dla zapicia niedostatecznych obiadów, wahano się z podaniem mi żądanych trunków. Raz, pamiętam, w wieczór po dniu upalnym, wszedłem do jakiejś restauracji i spytałem gospodarza:

— Ile kosztuje u pana szklanka dobrego, ale to najlepszego piwa?

Był to dzień wyjątkowy, moje urodziny czy też coś podobnego.

— Dwa pensy i pół — odrzekł gospodarz.

— Proszę! — powiedziałem, kładąc pieniądze na stole. — Tylko po brzegi.

Gospodarz obejrzał mnie od stóp do głowy i zamiast nalać, wsadził głowę za franke, mówiąc coś do żony. Wyszła z robotą w ręku i zaczęła się też przypatrywać mi bacz-

Dziecko, Pieniądz, Praca,  
Jedzenie

nie. Staliśmy naprzeciw siebie, gospodarz w koszuli tylko, oparty o półkę, jego żona w drzwiczkach na poły przysłoniętych firanką, ja przed nimi, zmieszany nieco. Poczęli wypytywać, jak się zwę, ile mam lat, gdzie mieszkam, co robię, jakim sposobem trafiłem do piwiarni. Na wszystkie te pytania, ze strachu, by nie skompromitować nikogo, odpowiadałem wymijająco. Podano mi szklanekę piwa (ale nie najlepszego, jak mi się wydało), za to żona gospodarza nie tylko zwróciła mi za nie pieniądze, lecz nadto pocałowała mnie serdecznie, z czysto kobiecą tkliwością.

Nie, nie przesadzam, mówiąc o szczupłości mych środków czy o trudnościach życia. Każdy szyling, który mi wpadł w rękę, opłacał obiad lub herbatę. Od rana do nocy ja, drobne dziecię, pracowałem na równi z dorosłymi ludźmi. Wpół głodny, wałęsałem się po ulicach bez żadnej opieki i tylko łaska Najwyższego strzegła mnie, żem nie został włóczęgą lub złodziejem.

Wyrobiłem sobie, co ciekawsze, nawet pewne stanowisko w handlu „Murdstone i Grinby”. Pan Quinion, o ile mógł to czynić człowiek tak zajęty, traktował mnie nieco odmiennie. Nigdy nie powiedziałem nikomu z mego otoczenia, jak wszedłem do nieliczącego ze mną zawodu, nigdy się przed nikim na nic nie uskarżałem. Mnie samemu tylko wiadome było, com cierpiał, a wyrazić tego nawet nie zdołałem! Milcząc starałem się spełniać swój obowiązek, wiedząc z góry, że jeśli mu nie podołam, nie potrafię uniknąć wzgardy i poniewierki. Wkrótce też stałem się tak wprawny jak i moi towarzysze, z którymi żyłem w przyjaznych stosunkach, mimo że w obejściu różniłem się od nich, co wytwarzało pewien dystans między nami. Mówiąc o mnie, nazywali mnie „paniczem” lub „małym z Suffolk” i tylko jeden z tragarzy, zwany Grzegorzem, i drugi, nazwiskiem Tipp, wołali mnie czasem po imieniu, i to przez przychyłność raczej niż lekceważenie, gdyż przy robocie starałem się rozerwać ich opowiadaniem tego, com dawniej czytał i co się już stopniowo zacierało w mojej pamięci. Zrazu Mączysty Kartofel buntował się przeciw mojej „wytworności”, lecz go Mick Walker przywiódł do opamiętania.

Nie miałem żadnej nadziei wyjścia kiedykolwiek z tego oplakanego położenia. Ani na chwilę nie godziłem się z tym, wprawiało mnie ono w rozpacz, znosiłem je jednak i nawet w częstych listach do Peggotty, w części przez przywiązanie do niej, przez dumę w części, nie uroniłem najlżejszej skargi.

Niedola rodziny Micawberów powiększała jeszcze me troski. W opuszczeniu mym przywiązałem się niemal do tej rodziny i podzielałem niepokoje, z jakich mi się gospodyni moja codziennie zwierzała. Rozmyślałem o długach i o wierzycielach jej męża i o sposobie ratowania interesów bez wyjścia. Rzec by można, że i mnie przygniatał ciężar długów pana Micawbera. Najdłuższe zwierzenia miały miejsce zwykle w sobotę wieczorem. Dzień ten lubiłem szczególnie, po pierwsze, czułem dnia tego w kieszonce od kamizelki całe siedem moich szylingów, po wtóre, z pracy zwalniano nas wcześniej. Zwierzenia powtarzały się też w niedzielę rano, gdy odgrzewałem na kominku wczoraj przyniesioną kawę. Niejednokrotnie sobotnie te zwierzenia rozpoczynały się potokami łez, a kończyły wesołą jakąś piosenką. Nieraz też widziałem wieczorem pana Micawbera wracającego do domu w rozpacz; mówił wtedy, że mu nic nie pozostaje oprócz więzienia, a w godzinę potem obliczał, ile by kosztowały lustrzane szyby do okien. „A nuż wszystko się jeszcze zmieni”, było ulubionym jego powiedzeniem. Żona najzupełniej podobna była w tym do męża.

Ciekawe też stosunki — pomimo różnicy wieku, lecz dzięki zapewne wspólnym naszym nędzom — zawiązały się pomiędzy mną a mymi gospodarzami, stosunki najzupełniej przyjazne. Nie pozwalałem sobie wprawdzie nigdy korzystać z zaproszeń pani Micawber do jedzenia, odkąd przypuściła mnie do swych domowych tajemnic. Zdarzyło się to w następujący sposób:

— Panie Copperfield — rzekła pewnego wieczoru — nie uważam pana za obcego i muszę powiedzieć, że interesy nasze są oplakane.

Ze współczuciem patrzałem w zaczerwienione oczy mówiącej.

— W spiżarni — ciągnęła — nie mam nic oprócz kawałka szwajcarskiego sera, niemogącego służyć za posiłek tak małym, jak moje, dzieciom. Ach! W spiżarni! Mieszkając z mamą i papą, przywykłam tak mówić i teraz zapominam się... po prostu nie ma co jeść.

— Boże mój! — westchnąłem z głębi serca.

Miałem jeszcze parę szylingów tygodniowej pensji — rozmowa powyższa toczyła się, jak sądzę, w czwartek — wyostałem je więc spiesźnie, usilnie błagając panią Micaw-

ber, aby je przyjąć raczyła jako pożyczkę, lecz odmówiła stanowczo, ucałowała mnie tylko serdecznie.

— Nie, nie, kochany panie Copperfield! Daleka byłam od podobnej myśli, roztropny jednak jesteś nad wiek swój i inną mi możesz oddać usługę.

Byłem na rozkazy.

— Rozstałam się ze srebrem — mówiła — sześć łyżeczek do herbaty, dwie do soli, szczypczyki do cukru, wszystko zastawiłam sama. Bliźnięta nie miałym są ciężarem. Operacje te jednak nie zgadzają się z tym, do czego w rodzicielskim przywykłam domu. Przekonania mego męża bronią mu również mieszać się w podobne sprawy, a Clickett — (było to imię służącej) — zbyt jest ordynarna, abym ją do poufności dopuścić miała. Toteż, gdybyś pan zechciał...

Zrozumiałem, o co idzie, i ponownie ofiarowałem mu usługi. Odtąd rzadki był dzień, w którym by mnie nie obarczono podobnymi zleceniami. Wszystko, co dało się wynieść, zostało wyniesione z domu. Najpierw kilka książek z szafki, którą pan Micawber nazywał „biblioteką”, sprzedane zostały przeze mnie za byle co antykwariuszom gnieźdzącym się podówczas gęsto, tuż obok sklepów z ptakami, na City Road. Handlarz starych książek, z którym z tej okazji nawiązałem stosunki, upijał się zwykle co wieczór, a co rano dostawał porządne „kazanie” od żony. Nieraz, wczesnym rankiem, zastawałem go z rozbitą głową lub podbitym okiem — śladami nocnej bójki. Drżącą ręką szukał pieniędzy w kieszeniach leżącej jeszcze na ziemi, częstokroć porwanej odzieży, gdy tymczasem żona, ze spuszczoną pończochą i dzieckiem na rękę, nie przestawała czynić mu wyrzutów. Bywało, że pieniędzy wcale nie mógł znaleźć. Widocznie stracił je lub roztrwonił. Wówczas prosił, abym zaszedł później, lecz w takich razach zapłatę dostarczała żona. Posądzam ją nawet, że ona to wypróżnia kieszenie nietrzeźwego męża i znalezione w nich pieniądze chowa w ukrytym miejscu.

Równie często widziano mnie w lombardzie na rogu. Znano mnie tam i kupiec, załatwiający interes, nieraz kazał mi odmieniać jakieś łacińskie słowo. Po każdej podobnej transakcji zwykła była następować u moich gospodarzy sutsza<sup>130</sup> niż zwykle wieczera.

Nadszedł nareszcie dawno przewidywany kryzys w interesach pana Micawbera; poprowadzono go pewnego poranku do więzienia za długi, w dzielnicy Borough. Przed wyjściem z domu mówił, że palec Boży ciąży nad nimi, istotnie był przybity (a i ja także), słyszałem jednak, że już w południe zorganizował w więzieniu partię kregli. Zaraz w pierwszą niedzielę po jego uwięzieniu obiecałem odwiedzić go i zjeść nawet z nim obiad. Miałem trafić na pewien plac, minąć go, przejść ulicę, zawrócić w lewo, w prawo, minąć dziedziniec, stanąć u furty przed odźwiernym. Gdy się z tego wszystkiego wywiązałem, ujrawszy furte, rozmyślałem o odźwiernym pilnującym więzienia Rodericka Randoma, ten, którego dostrzegłem z daleka okrytego wełnianą kołdrą, znikł mi sprzed zasłoniętych mgłą oczu. Serce biło mi, nieborakowi, gwałtownie!

Pan Micawber czekał mnie u furty i poprowadził do swej celi, zalewając się gorzkimi łzami. Zaklinał mnie, pamiętam, aby mi smutny los jego pozostał na zawsze upomnieniem, że ten, co posiada rocznego dochodu dwadzieścia funtów, może wydać tylko dziewiętnaście funtów, dziewiętnaście szylingów i sześć pensów, lecz biada mu, jeśli wydaje dwadzieścia jeden. Po czym wręczył mi szylinga na portera, dał kartkę do żony, otarł łzy i oddał się wesołości.

Siedzieliśmy przed słabo płonącym i skąpo zasilanym ogniem. Współlokator pana Micawbera wszedł, niosąc kawał baraniny, mającej stanowić składkowy nasz obiad. Wysłano mnie na wyższe piętro do pana „kapitana Hopkinsa” z ukłonami i prośbą o łaskawe pożyczenie noża i widelca.

Kapitan wręczył mi żądane sztucce. Wzajemnie kazał kłaniać się panu Micawber. W pokoiku kapitana zastałem niedbale ubraną kobietę i dwie dziewczynki, jego córki, z potarganymi kudłatymi włosami, co mi nasunęło myśl, że lepiej już u kapitana pożyczyć noże i widelce niż grzebienie. Sam obdarty był i nędzny, w starym tabaczkowym surducie, pod którym nie mogłem dostrzec nawet rąbka koszuli, z parą olbrzymich bakenbardów na bladej twarzy. Pościel leżała zwinięta w kątku izdebki, na półkach stały talerze i kub-

<sup>130</sup>suty (daw.) — obfity. [przypis edytorski]

ki, którym prędko policzył<sup>131</sup>, domyślając się od razu, że chociaż kędzierzawe dziewczęta są córkami kapitana, brudna kobieta nie jest jego żoną. Wszystko to zbadałem jednym rzutem oka i wychodząc nie wątpilem o trafności mych spostrzeżeń.

Tchnący nieco cyganerią obiad był jednak zupełnie przyjemny i wesoły. Po obiedzie, odniósłszy sztucce właścicielowi, wróciłem do domu, by zdać pani Micawber sprawę z mych odwiedzin. Zemdląła na mój widok, a dla pocieszenia się usmażyła wieczoru tego jajecznicę.

Nie wiem, kto i kiedy zajął się wyprzedają mebli i sprzętów moich gospodarzy. Obešlo się tym razem bez mego pośrednictwa. Wyniesiono wszystko oprócz jednego łóżka, paru kulawych krzeseł i kuchennego stołu. Pani Micawber, dzieci, służąca sierota i ja mieściliśmy się w dwóch pokojach z resztą sprzętów. Nie wiem, jak długo to trwało, wdaje mi się, że bardzo długo. Wreszcie pani Micawber postanowiła przenieść się do więzienia, gdzie udało się jej mężowi pozyskać celę na wyłączny swój użytek. Odniosłem gospodarzowi domu, ku widocznemu jego zadowoleniu, klucz od opuszczonego przez nas mieszkania. Resztę ruchomości, wyjąwszy moje łóżko, przeniesiono do więzienia, w którego pobliżu znalazło się, ku wielkiemu memu zadowoleniu, schronienie i dla mnie. Dzieląc ich biedę, przywiązałem się do rodziny mych gospodarzy. „Sierota” ulokowała się gdzieś w sąsiedztwie. Moje mieszkanie znajdowało się na poddaszu, kształt miało tabakierki i widok na dachy, wydawało mi się jednak pałacem, gdym rozważał położenie mych przyjaciół.

Tymczasem pracowałem ciągle, jednostajnie, w handlu „Murdstone i Grinby”, wśród tych samych towarzyszy, na tych samych co i przedtem warunkach, z niezmiennym przeświadczeniem wyrządzonej mi niezasłużenie krzywdy i poczuciem wielkiego upokorzenia. Nigdy — na szczęście moje zapewne — nie nawiązywałem znajomości, a nawet unikałem rozmowy z licznymi chłopakami przybywającymi do handlu lub z tymi, których spotykałem na ulicy, idąc na obiad. Prowadziłem jak dawniej życie odosobnione, smutny, zamknięty w sobie. Te tylko chyba zaszły zmiany, że się odzież moja porwała, lecz z serca spadł mi ciężar ciągłej troski o los państwa Micawber, gdyż znaleźli się krewni czy przyjaciele, którzy zobowiązali się pomagać im w obecnym ciężkim przejściu, toteż dawni moi gospodarze wiedli w więzieniu o wiele wygodniejsze życie niż przedtem na swobodzie. Jadałem teraz z nimi śniadania na mocy jakichś układów i kombinacji, których szczegółów nie pamiętam. Nie pamiętam też, o której godzinie otwierały się przede mną drzwi więzienne, lecz pamiętam doskonale, że nieraz już o szóstej rano przechadzałem się po Londyńskim Moście<sup>132</sup> lub siadywałem na kamieniu, przypatrując się przechodniom, lub pochyłony nad poręczą patrzyłem w słońce odbite w wodzie, lub wznosząc głowę podziwiałem jego odbłyски na szczycie pomników. Tu spotkałem „sierotę”. Opowiadałem jej straszne i zadziwiające historie o Tower<sup>133</sup>, w które zresztą sam najzupełniej wierzyłem. Wieczorem po skończonej pracy wracałem znów do więzienia i przechadzałem się po dziedzińcu z panem Micawber lub grałem w *czekino*<sup>134</sup> z panią, słuchając po raz nie wiem już który o świetnościach i słodyczach życia, jakie wiodła w rodzicielskim domu.

<sup>131</sup>którem (...) policzył — inaczej: które policzyłem; przykład konstrukcji z ruchomą końcówką czasownika. [przypis edytorski]

<sup>132</sup>Londyński Most (ang. *London Bridge*) — most na Tamizie, łączący centrum dawnego Londynu (City) z przeciwległą dzielnicą Southwark; istniał od czasów średniowiecza i stanowił nie tylko przeprawę przez rzekę (jedyną do 1750 r.), ale także targ: stały na nim sklepy i kamieniczki, często podmywane przez wodę i wymagające remontów, co stało się tematem popularnej piosenki *London Bridge is falling down* (tj. Londyński Most się wali) ze znanym refrenem „*My fair lady*” (tj. moja pani kramarko); w czasach, kiedy została napisana powieść Dickensa (1849–1850) most ten już nie istniał, w 1832 r. został rozebrany, więc czas akcji *David Copperfielda* przypada na ostatnie lata jego istnienia; Most Londyński bywa mylony z mostem Tower Bridge, będącym jedną z wizytówek Londynu, wybudowanym w 1894 r. w bezpośrednim sąsiedztwie zamku Tower of London, charakteryzującym się dwoma wieżami w stylu neogotyckim i konstrukcją zwodzono-umożliwiającą przepływanie statków oceanicznych. [przypis edytorski]

<sup>133</sup>*Tower of London* — twierdza obronna i siedziba monarchów Anglii od czasów Wilhelma Zdobywcy do Jakuba I (1566–1625), pierwszego z dynastii Stuartów; Tower słynęła przez wieki jako pilnie strzeżone więzienie (i skarbiec), do którego dostęp był jedynie od strony rzeki; więźniów przywożono więc łodziami; Tower została wybudowana w 1078 r., jej pełna ang. nazwa brzmi *Her Majesty's Royal Palace and Fortress, The Tower of London* (Pałac i Twierdza Jej Królewskiej Mości); symbolem wieży są kruki. [przypis edytorski]

<sup>134</sup>*czekino* (z wł. *cinque*: pięć) — loteria, loteryjka; gra towarzyska, hazardowa (początkowo popularna wśród niższych klas społecznych), w której pięć numerów trafionych stanowi wygraną (stąd nazwa); potępienie tej gry zawierał utwór Leona Unickiego, *Czekino, czyli Łapka na grosze: komedia w pięciu aktach wierszem*, wyd.

Czy pan Murdstone wiedział, co się ze mną dzieje? Nie wiem zgoła. Nie wspominałem go i nie słyszałem nic o nim.

Tymczasem interesy pana Micawber, pomimo przejścia kryzysu, niezbyt się poprawiały. Szło o jakiś „skrypt”; mówiono o nim wiele, a który, rozumiem to teraz, musiał być zapewne jakąś umową z wierzycielami, ale umowa w myśli mojej zostawiła wrażenie diabelskiego kontraktu, z którym poradzić sobie nie umiano. Wreszcie pani Micawber oznajmiła mi, że się jej rodzina wdaje w tę zawiłą sprawę; mąż poda prośbę o uznanie niewypłacalności na podstawie prawa o niewypłacalnych dłużnikach i po sześciu czy siedmiu tygodniach zostanie uwolniony.

— Wówczas — dodał obecny przy tej rozmowie pan Micawber — rozpocznę życie na nowo, na inną, o, na inną skalę! Jeśli, ma się rozumieć, wszystko, jak się spodziewam, odmieni na lepsze.

W wyczekiwaniu tych błogich zmian pisał, zdaje mi się, prośbę do Izby Gmin o wprowadzenie wskazanych przezeń zmian prawnych, dotyczących więzienia za długi. Notuję ten szczegół i wiele innych celem przypomnienia samemu sobie wszystkiego, co mi pomogło wówczas stworzyć sobie własny świat wewnętrzny, obcy zewnętrznym otaczającym mnie warunkom.

W więzieniu, pamiętam, był klub, w którym pan Micawber, jako dżentelmen, cieszył się pewną powagą. Projekt prośby do Izby Gmin znalazł tam gorący poklask. Zagrzany tym poklaskiem, zawsze czynny, gdy szło o coś, co nie miało związku z jego własnymi interesami lub co było zupełnie zbędne i niepotrzebne, zasiadł do dzieła. Rozrastało się ono pod jego piórem do imponujących rozmiarów, wreszcie dnia pewnego wezwał wszystkich członków klubu i mieszkańców więziennych, by podpisali prośbę.

Chociaż prawie wszystkich ich znałem i wszyscy oni mnie znali, tak ciekaw byłem i przejęty ważnością gotującej się uroczystości, że zwolniłem się z handlu o godzinę wcześniej, by w korytarzu więziennym przypatrywać się wchodzącym do pana Micawber gościom. Tyłu wybitniejszych członków klubu, ilu mogło się pomieścić bez trudu w ciasnej izdebce, otoczyło pana Micawber stojącego obok, a kapitan Hopkins (umyty i ogolony na tę uroczystość) odczytywał na głos prośbę tym, którzy z nią dostatecznie obznajmieni nie byli. Nastąpiły podpisy. Podpisujący wchodzili jeden za drugim, a każdego z kolei kapitan pytał, czy zna treść prośby, i za każdym „nie” lub nawet najlżejszym wahaniem rozpoczynał na nowo czytanie głosem wyraźnym i dobitnym. Sądzę, że jeśli tam było dwadzieścia tysięcy podpisujących, czytałby każdemu z osobna, szczególnie podkreślając takie frazesy, jak na przykład:

„Przedstawicielom narodu w Parlamencie! Z pokorą przystępujący do przezacnej Izby, nieszczęśni poddani Jego Królewskiej Mości” i tym podobnie. Słowa te w ustach jego nabrzmiewały niezwykłą uroczystością, lubował się nimi, smakował je, a pan Micawber przysłuchiwał się im nie bez odrobiny autorskiej miłości własnej, wodząc skromnie okiem po niskim suficie izdebki.

Chodząc tak codziennie z dzielnicy Blackfriars do dzielnicy Southwork i nazad, włócząc się w godzinach obiadu po ciasnych uliczkach i zaułkach, których kamienie noszą ślady dziecinnych moich stóp, iluż spotykałem takich, których cienie powstają na odgłos słów kapitana Hopkinsa! Gdy myślą zwracam się w przeszłość, pytam siebie, ile z tych historii, w które stroiła przechodniów dziecinna rozigrana moja wyobraźnia, zmieniło się w dotykalmą rzeczywistość? I widzę przed sobą, budzące politowanie moje, małe, rozmarzone chłopię, rozwijające myśl i uczucie w tak niestosownym, oplakany otoczeniu nikczemnych ludzi i zdarzeń.

## ROZDZIAŁ XII. ZDOBYWAM SIĘ NA STANOWCZY KROK

Prośba pana Micawbera osiągnęła pożądany skutek. Ku wielkiemu memu zadowoleniu uwolniono go z więzienia. Wierzyciele okazali się zupełnie ludzkimi, a pan Micawber mówił mi, iż nawet okrutny szewc zeznał przed sądem, że mu nie życzy nic złego i lubi tylko, by mu płacono, jeżeli mu się pieniądze należą. Dodał przy tym, że zgodne jest to z naturą ludzką.

w Wilnie w 1809 r. w Drukarni Diecezjalnej Księży Misjonarzy; w oryg. użyto innej nazwy gry: *casino*. [przypis edytorski]

Po skończonej rozprawie wrócił jeszcze do więzienia dla dopełnienia potrzebnych formalności. W klubie przyjęto go z entuzjazmem. Podczas gdy ucztował on wieczorem w gronie członków klubu, my tymczasem w jego celi otoczeni śpiącą rodziną spożyliśmy wspólnie z panią Micawber barani mostek.

— Przy tej sposobności — zauważyła ta ostatnia, przygotowując napój z piwa, wina, cukru i gorącej wody — wnieśmy<sup>135</sup> z panem Copperfieldem toast pamięci mej mamy i papy.

— Zatem nie żyją? — spytałem, wychyliwszy do dna kieliszek.

— Mama moja pożegnała świat ten, zanim się jeszcze zaczęły kłopoty mego męża, a przynajmniej zanim się wzmogły nie do wytrzymania. Papa żył czas jakiś jeszcze, by nas ratować. Umarł ogólnie oplakiwany.

Pani Micawber uroniła łzę żalu, którą skropiła czoło jednego ze spoczywających na jej ręku bliźniąt.

Skorzystałem ze sposobności, aby zadać pytanie w żywo obchodzącej mnie kwestii.

— Chciałbym spytać — rzekłem — co państwo zamierzacie począć po załatwieniu interesów i wyjściu z więzienia, gdzie zamieszkać?

— Rodzina moja — odpowiedziała pani Micawber, a zwykła słowa wymawiać z wielką emfazą, chociaż właściwie mówiąc, nie dowiedziałem się nigdy, kto mianowicie mianem tym był objęty — rodzina moja życzy sobie, abyśmy opuścili Londyn i aby mąż mój próbował sił swych i zdolności na prowincjonalnej arenie. Znane są zresztą panu, panie Copperfield, wysokie uzdolnienia mego męża.

Skinąłem twierdząco głową.

— Wysokie uzdolnienia! Zdaniem mojej rodziny, przy jakimś staraniu człowiek tak uzdolniony z łatwością zajmie należne sobie stanowisko, chociażby w komorze celnej. Że zaś rodzina moja ma stosunki tam na miejscu, zamierzamy udać się do Plymouth. Zdaniem rodziny mojej krok ten będzie najstosowniejszy.

— Najłatwiej będzie tam działać — zauważyłem.

— Właśnie! Mąż mój powinien być pod ręką, w razie jeśliby się coś trafiło.

— A czy pani zamierza towarzyszyć mężowi?

Wzruszenia dnia tego, do spółki z bliźniętami, a może i wychylone toasty, tak dalece rozczuliły panią Micawber, że głośnym wybuchła płaczem.

— Nigdy nie opuszczę pana Micawbera — zawołała patetycznie. — Chociaż skrywał przede mną stan swych interesów, w nadziei, że się z nich wywikła, wie, jak kochającą, gotową do poświęceń ma we mnie towarzyszkę życia. Naszyjnik z pereł, bransolety odziedziczone po mojej matce poszły za pół ceny, także garnitur koralowy, ślubny podarek papy! Za nic niemal. Tak to, tak! A jednak nie opuszczę mego męża za nic, nigdy, i niech mnie nikt o to nie prosi.

Czułem się zmieszany i spoglądałem nieśmiało na mówiącą.

— Mąż mój ma zapewne wady, winy — ciągnęła, patrząc na ścianę — wiem, że skrywał przede mną istotny stan swych interesów, w innym przedstawiał światło, tym niemniej nie opuszczę go nigdy.

Tu łkania mówiącej wzmogły się do tego stopnia, że przerażony pobiegłem do klubu po biesiadującego tam małżonka. Siedział on przy długim stole, wtórując śpiewającym chórem:

Nalej Dobbin,  
Dalej Dobbin,  
Wychył Dobbin!  
Nalej Dobbin...

Na wieść o stanie, w jakim się znajdowała jego połowica, rozplakał się i wybiegł za mną z surdudem pokrytym odłamkami skorupki raków, które właśnie spożywał.

— Co ci jest, aniele mój! Emmo! — wołał, wpadając do celi.

— Nie opuszczę cię nigdy, nigdy! — wołała, rzucając mu się w objęcia żona.

— Święcie ci wierzę, aniele mój! Przekonany o tym jestem.

<sup>135</sup>wnieść toast — dziś: wznieść toast. [przypis edytorski]

— Jest on rodzicem dzieci moich, rodzicem bliźniąt, małżonkiem moim — wołała łkając kobieta — i nie opuszczę go nigdy, nigdy!

Pan Micawber zdawał się być tak wzruszony tym wybuchem małżeńskiej wierności (i mnie to do łez rozczuliło), że, ściskając żonę, błagał, aby się uspokoiła i spojrzała na niego. Głucha na te zaklęcia, wodziła błędnym okiem dokoła i wcale się uspokoić nie chciała. Prosił mnie tedy, abym wyszedł na korytarz, zanim rozbierze ją i położy. Chciałem pożegnać go, lecz nie zgodził się, abym odszedł przed ostatnim dzwonkiem więziennym. Po niejakiem czasie wyszedł do mnie na korytarz.

— Jak się ma pani Micawber? — spytałem.

— Słaba — rzekł, wstrząsając głową — słaba. Zwykle następstwa silnych wzruszeń. Dzień to był wyjątkowo ciężki. Pozostaliśmy sami, przez wszystkich opuszczeni...

Ścisnął mi ręce, wyrzekał, płakał. Dziwiło to mnie, gdyż, przeciwnie, spodziewałem się, że zobaczę go w tym dniu pocieszonym i rozweselonym. Widać, myślałem, tak przywykli do biedy, że się nie mogą pogodzić ze zmianą okoliczności. Dość, że mi się nigdy nie zdali bardziej przybici jak tego wieczoru. Doprawdy, odchodząc, żegnany tklawie i błogosławiony przez rozżalonego pana Micawbera, bałem się zostawiać go samego, tak się zdawał być zrozpaczony.

W tym wszystkim zasmucało mnie najbardziej to, że opuszczają Londyn, a zatem, że będę zmuszony rozstać się z nimi. Wieczoru tego, wracając do siebie, a potem leżąc bezsenne większą część nocy, powziąłem po raz pierwszy myśl, która się z czasem zmieniała w stałe postanowienie.

Tak przywykłem do tej rodziny, tak się w ich biedzie z nimi żyłem, tak zresztą byłem samotny i opuszczony, że lękałem się większego jeszcze osamotnienia, szukania nowego schronienia wśród obcych, nieznanymi ludźmi. Wszystkie zranione, tłumione moje uczucia i wstręty budziły się ze zdwojoną siłą. Nie, podobne życie było nie do wytrzymania!

I nie było nadziei zmiany. Chyba ucieczka wyrwać mnie mogła z tego piekła. Chyba! O panu i o panie Murdstone żadne nie dochodziły mnie wieści, oprócz paru zawiniątek z gotowym odzieniem, w którym na świstku papieru J. M. zlecała D. C., aby pilnował miejsca i spełniał sumiennie swe obowiązki. Nic nadto i poza tym. Byłem popychadłem i zostać nim miałem zawsze.

Nazajutrz, uspokoiwszy się nieco, spostrzegłem, że wyjazd z Londynu państwa Micawberów nie nastąpi, przynajmniej natychmiast. Najęli sobie w domu, w którym mieszkałem, pokój na cały tydzień i dopiero po tygodniu zamierzali wyjechać do Plymouth. Po południu pan Micawber udał się we własnej osobie do kantoru, aby uprzedzić pana Quinion o swym wyjeździe i udzielić mi przy tym jak najlepszego świadectwa, na które zresztą w zupełności zasłużyłem. Wskutek tego pan Quinion ułożył się z woźnicą Tipp, żonatym i posiadającym izdebkę do wynajęcia, o nowy dla mnie lokal ku obopólnemu naszemu, jak sądził, zadowoleniu, gdyż nie mówiłem mu nic, chociaż powziąłem już stanowczy zamiar.

Resztę wieczorów pozostałych nam do spędzenia pod wspólnym dachem spędziliśmy z państwem Micawber razem, przywiązując się wzajemnie do siebie coraz bardziej. Ostatniej niedzieli zaprosili mnie na obiad, złożony z wieprzowiny i puddingu. Jako podarek przy rozstaniu ofiarowałem drewnianego konika małemu Wilkinsowi, a lalkę małej Emmie, służącej zaś całego szylinga.

Pomimo rozrzewnienia wobec bliskiego rozstania dzień zszedł nam nader przyjemnie.

— Ile tylko razy — upewniała pani Micawber — wspomnę sobie ten okres czasu, w którym interesy mego męża w tak oplakany był stan, tyle razy myślę będę o panu, panie Copperfield. Postępowanie pańskie było nad wyraz szlachetne i delikatne. Nie lokatora, lecz prawdziwego mieliśmy w panu przyjaciela.

— Widzisz, duszko — rzekł pan Micawber — Copperfield — (od niejakiemu czasu zaprzestał już nazywać mnie „panem”) — posiada serce zdolne odczuć niedolę bliźnich, głowę do rady, ramię do... jednym słowem, umie robić stosowny użytek z przymiotów, jakimi natura go obdarzyła.

Podziękowałem za tak pochlebne o mnie mniemanie, wyrażając przy tym żal nad bliskim rozstaniem.

— Przyjacielu! — mówił pan Micawber — starszy jestem od ciebie i posiadam niejakie doświadczenie, zwłaszcza... Jakby to powiedzieć? Zwłaszcza w trudnych życiowych przejściach. Tymczasem i zanim coś się zmieni, a właśnie z godziny na godzinę wyczekuję pomyslniej zmiany losu, nie mogę niczym ci służyć, jeno dobrą radą. Rady moje mają to chociażby do siebie, że sam ich nie słuchałem i doszedłem do oplakanego stanu, w jakim właśnie mnie widzisz...

To mówiąc, dotąd wesół i uśmiechnięty, zaczął marszczyć się i krzywić.

— Mężu mój drogi! — upomniała żona.

— ...mówię tedy... — z uśmiechem już ciągnął pan Micawber — do oplakanego stanu, w jakim mię widzisz. Otóż dam ci radę: nigdy nie odkładaj na jutro tego, co dziś ma być zrobione. Każda zwłoka jest okradaniem czasu, który musimy trzymać za kołnierz, by nam nie umknął.

— Zasada mego ojca! — westchnęła pani Micawber.

— Duszko — odrzekł mąż — ojciec twój miał słuszość i zgadzam się z nim najzupełniej. Nie zdarzyło mi się spotkać człowieka, który by w jego wieku mógł pochwalić się takimi jak on łydkami i najdrobniejsze druki czytać bez okularów. Lecz co do powyższej maksymy, rozciągając takową do naszego małżeństwa, przyśpieszył je, narażając mnie na koszta, których dotąd pokryć nie zdołałem.

Spojrzał z ukosa na żonę i dodał:

— Nie uskarżam się jednak na to, kochanie, wcale, wcale się nie uskarżam i owszem.

Po chwili milczenia ciągnął:

— Dalsze moje rady znane już ci są, Copperfieldzie. Kto ma dochodu dwadzieścia liwrów, a wyda rocznie dwadzieścia jeden, ten jest na drodze do ruiny i bankructwa. Biada mu! Zatruty będzie miał spokój, zwiędnie jak liść miotany wichrem, w gorycz mu się zmieni wszelka radość.

Dla poparcia słów swych pan Micawber podnosił w górę z istotnym zadowoleniem kufel ponczu i zaczął wesółą pogwizdywać piosenkę.

Upewniałem go, że zachowam w pamięci słowa jego i rady, które, prawdę mówiąc, wraziły mi się stokroć lepiej w pamięć przykładem, który miałem przed sobą. Nazajutrz odprowadzałem odjeżdżających na pocztę, patrząc z bólem w sercu, jak zajmowali miejsca w dylizansie.

— Niech Bóg ma pana w swej opiece — mówiła pani Micawber. — Nigdy nie zapomnę pana!

— Copperfieldzie — wołał mąż jej — żegnaj mi, żegnaj! Życzę ci wszelkiego szczęścia i powodzenia. Z biegiem czasu spodziewam się dożyć tej pociechy, że los mój posłuży ci za naukę; będę szczęśliwy, jeśli się moje doświadczenie na coś przyda! A jeśli przekorne dotąd dla mnie losy zmienią się na lepsze, jak tego mam nieomylnie przeczucie, licz na mnie i na serdeczne z mej strony poparcie we wszystkich swych zamysłach.

Zdaje mi się, że dopiero siedząc w głębi dylizansu, z dziećmi dokoła siebie, pani Micawber, patrząc na mnie stojącego na drodze i smutnie w nią wpatzonego, dostrzegła po raz pierwszy, jak małym byłem dzieckiem. Pewien nawet tego jestem, gdyż spojrzała na mnie z nieznanym mi dotąd wyrazem macierzyńskiego jakby żalu, skinęła ręką, a gdy się wspiął na stopień, przycisnęła mnie po raz pierwszy do piersi, długo i gorąco, jak gdybym był własnym jej dzieckiem. Zaledwem zeskoczył, dylizans potoczył się. Chwilę jeszcze dostrzec mogłem powiewające u jego okien chustki. Po chwili wszystko znikło w oddali! Chwilę jeszcze staliśmy na drodze, w dal zapatrzeni, służąca i ja, po czym uścisnęliśmy się za ręce i rozeszli każde w swoją stronę, „sierota” zapewne do przytułku, z którego ją wzięto, ja do handlu „Murdstone i Grinby”.

Zdecydowany byłem niedługo już tam pozostać. Postanowiłem uciec. Uciec w ten lub inny sposób i trafić do jedynej pozostałej mi na świecie krewnej, do ciotki Betsey Trotwood.

Nie wiem już, jak to zauważyłem powyżej, kiedy myśl ta powstała mi w głowie, lecz raz powstawszy, w niezłomne zmieniła się postanowienie. Wątpię, czy mi się zdawała szczęśliwą lub czy budziła we mnie nadzieję lepszego losu; dość, że postanowiłem wprowadzić ją mimo wszystko w czyn.

Od owej nocy, kiedy mi się po raz pierwszy przedstawiła w sennym, gorączkowym marzeniu, nie wiem już, ile razy wspomnieniem przebiegałem wszystko, co mi matka



i Peggotty opowiadały o wypadkach towarzyszących memu urodzeniu. Niegdyś niesłychanie to mnie bawiło i głęboko wraziło się w pamięć. Na całą tę historię osoba ciotki Betsey, niby potężna i sroga wróżka, rzuciła cień ponury; był tam jednak szczegół, z którego dziecięce moje serce czerpało otuchę. Zdawało się matce mojej, że gdy płakała przed ciotką, uczuła na swych włosach pieszczotliwe dotknięcie jej ręki. Chociaż matka moja mogła się była mylić, chociaż nie mogło to mi w żadnej mierze służyć za podstawę, utkwilo głęboko jednak w dziecięcej mej wyobraźni. Słodką piękność mej matki, której żywe zachowałem wspomnienie, musiała rozbroić srogą ciotkę. Przekonanie to musiało, mimo mej wiedzy, wpłynąć na moje postanowienie.

Że jednak nie wiedziałem nawet, gdzie ciotka Betsey mieszka, spytałem o to w liście Peggotty, nadmieniając dla niepoznaki, że coś słyszał o damie mieszkającej — tu wymieniałem pierwszą lepszą miejscowość, która przyszła mi na myśl. Jednocześnie dodałem, że potrzebuję bardzo pół gwinei i wdzięczny będę Peggotty, jeśli mi pożyczą na czas jakiś; gdy się znowu zobaczymy, powiem, na co pieniądze te użyte zostały. Odpowiedź nadeszła szybko, pełna, jak zwykle, najserdeczniejszych zapewnień niezmiennego przywiązania. Peggotty przysyłała mi żądane pieniądze. Z trudnością musiała je kochana moja piastunka wydobyć ze skrytki, w której mąż jej gromadził swe oszczędności; pisała, że ciotka Betsey mieszka w pobliżu Dovru, nie umiała tylko objaśnić mi, gdzie sam Dover<sup>136</sup> leży, w Hythe, Sandgate czy Folkstone<sup>137</sup>. Ktoś, kogom zagadnął<sup>138</sup> o te miejscowości, powiedział mi, że leżą tuż przy sobie, co mi się wydało wystarczające dla moich zamysłów. Uskutecznienie ich odłożyłem do końca tygodnia.

Byłem bardzo uczciwy i nie chciałem niczym obarczać pamięci, jaką miałem po sobie zostawić w handlu „Murdstone i Grinby”; otrzymawszy zaś w sobotę tygodniową płacę, uważałem się związanym do dnia tegoż, a gdy wieczorem przyszła chwila nowej wypłaty i woźnica Tipp zjawił się po nią jak zwykle pierwszy, uścisnąłem dłoń mego towarzysza Micka Walkera, prosząc go, aby gdy przyjdzie kolej na mnie, oznajmił panu Quinion, że wyszedłem wcześniej w celu przeniesienia mej walizki do Tippów. Po czym, pożegnawszy się z Mączystym Kartoflem, wybiegłem ze sklepu.

Walizka moja znajdowała się jeszcze w uprzednim mieszkaniu. Na adresie sklepu, któryśmy zwykli byli przypinać do roznoszonych po mieście paczek, skreśliłem: „Pan Dawid. Zatrzymać do zgłoszenia się odbiorcy. Poczta w Dover”. Miałem to gotowe w kieszeni i udając się do mieszkania, oglądałem się, czy nie znajdę kogoś, kto mi pomoże wynieść walizkę. Pod obeliskiem, na Blackfriars Road, przed pustym wózkiem, stał młody dryblas, który wydał mi się odpowiedni.

Spytałem go, czy nie chciałby co zarobić.

— Co mianowicie? — spytał.

— Przewożąc walizkę.

— Czyją?

Powiedziałem mu, że moją i że trzeba ją odstawić do stacji pocztowej za opłatą sześciu pensów.

Zgodził się i toczył swój wózek tak szybko przed sobą, że go z trudnością mógł dogonić. Było coś nieprzyjemnego w wyrazie jego twarzy, mówiąc zaś, żuł kawałek słomy, lecz że umowa stanęła, nie było co robić. Postawiliśmy na wózku walizkę, wahałem się jednak powierzyć mu adres i przyszło mi na myśl zawezwać kogo z rodziny moich byłych gospodarzy. Prosiłem go tedy, aby zatrzymał się chwilkę przy furtce więziennej. Zaledwie to wymówił, wózek wraz z mą walizką potoczył się jak szalony. Zadzyszałem się, biegnąc i wołając. Zmęczony, rozgrzany, wyrzuciłem z kieszonki moje pół gwinei i, podjąwszy ją, dla większego bezpieczeństwa wzięłem w usta, drżącymi dłońmi usiłując uwiązać do wózka walizkę. Wtem poczułem silne pchnięcie i pieniądz mój z ust moich przeszedł do rąk dryblasa.

<sup>136</sup>Dover — nadmorskie miasto z przeprawą promową, położone w hrabstwie Kent, w Anglii, nad Cieśniną Kaletańską, w najwęższym miejscu kanału La Manche, na pld.-wsch. od Canterbury; wybrzeże w okolicy Dover słynie z białych, kredowych skał, dzięki którym Anglia nazywana była niegdyś Albionem (z łac. *albus*: biały). [przypis edytorski]

<sup>137</sup>Hythe, Sandgate, Folkstone — miejscowości położone wzdłuż wybrzeża przy drodze do Dover. [przypis edytorski]

<sup>138</sup>kogom zagadnął — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: kogo zagadnąłem. [przypis edytorski]

— Aha! — wołał ten ostatni, porywając mnie za kołnierz — Tak to, mały łotrze! Chodź do policji, do policji!

— Oddaj mi moje pieniądze i zostaw mnie w pokoju — jąkałem się wystraszony.

— Do policji, do policji — ciągnął napastnik.

— Oddaj mi moje pieniądze i moją walizkę — wołałem, wybuchając płaczem.

Odpowiedział mi tylko „do policji! do policji!”, wlokąc mnie za sobą w tak gwałtowny sposób, jak gdyby sędziowie znajdowali się tuż, zaraz. Po chwili jednak zmienił zamiar, wypuścił mnie ze swych szpon i z wózkami i walizką popędził szybko, wołając, że sam tak prędzej dobiegnie do policji.

Pędziłem za nim długo, nie mając już siły wołać i nie śmiejąc, gdybym ją miał. Chwilami traciłem go z oczu, to znów dostrzegałem, znów traciłem, czułem się w biegu smagany biczem, popychany, ślizgałem się w błocie, padałem, podnosiłem się, trącałem przechodniów. Zmęczony, zgrzany, wystraszony, z opuszczającymi mnie siłami, sądząc, że pół Londynu goni za mną, wyrzekłem się wreszcie pogoni, pieniędzy, walizki i płacząc, lecz nie zatrzymując się wcale, zawróciłem ku Greenwich, wyobrażając sobie, że tędy wiedzie droga do Dovru, do celu mej ucieczki.

### ROZDZIAŁ XIII. NASTĘPSTWA TEGO KROKU

Kiedy wyrzekłem się pogoni za złodziejem i zwróciłem się do Greenwich, zamiarem moim było zapewne dobiec do samego Dovru. Po długiej dopiero chwili ochłonąłem nieco i usiadłszy na kamieniu przy tarasie, koło którego był basen wody z jakąś olbrzymią, w suchą konchę dmiącą postacią, starałem się zebrać rozpierchłe myśli. Tchu mi brakowało w piersiach, nie miałem sił nawet, by oplakiwać stratę walizy i pół gwinei.

Ściemniało. Zegar gdzieś wybił dziesiątą. Szczęściem, wieczór był pogodny i ciepły. Wypocząwszy trochę, powstałem, lecz ani na chwilę nie zdjęła mnie chęć powrotu. Ręczę, nie przyszłoby mi to na myśl nawet wobec śnieżnej na drodze zamieci.

Niepokoiliła mnie jednak nieco ta okoliczność, że posiadał tylko w kieszeni, Bóg wie jakim cudem, z tygodniowego wydatku pozostałe trzy półpensy. Przypominając sobie różne czytane w dziennikach nowiny, wyobrażałem sobie, jak i mnie za parę dni znajdą nieżywego pod płotem. Rozmyślenia te nie wstrzymały mego kroku i właśnie miałem sklepik z napisem, że się tu kupuje męską i damską odzież, w najlepszej zaś cenie są szmaty, kości i kuchenne sprzęty. Właściciel sklepu, bez surduta, z fajką w ręku siedział na progu. W oknie wisiał surdut i para spodni, słabo oświetlone dwiema świeczkami, wszystko to wywarło na mnie ponure wrażenie. Wyobrażałem sobie, że człowiek ten mściwy być musi i że zapewne wieszka wszystkich swych wrogów.

Doświadczenie nabyte w obcowaniu z panem i panią Micawber nauczyło mnie, że nie ma takiej biedy, która by się jako tako zażegnać nie dała. Przeszedłem na drugą stronę ulicy, ściągnąłem z pleców kamizelkę i zwinąwszy ją starannie, zbliżyłem się do handlarza, mówiąc:

— Przepraszam pana, chciałbym to sprzedać za dobre pieniądze.

Pan Dolloby — nazwisko to było wypisane na szyldzie — wziął mi z rąk paczkę, postawił przy drzwiach fajkę, wszedł do sklepiku, a ja za nim. Palcami utarł nadpalone u świec knoty. Długo oglądał ze wszech stron kamizelkę, wreszcie spytał:

— I wieleż to się ceni?

— Pan to sam lepiej może wiedzieć — odrzekłem.

— Nie mogę być zarazem kupującym i sprzedającym — odrzekł — proszę o wymiennienie żądanej ceny.

— Osiemnaście pensów — wyjąkałem po długim wahaniu.

— Dając dziewięć okradłbym mą rodzinę — rzekł, zwijając kamizelkę i zwracając mi ją.

Było to wielce delikatne postawienie sprawy. Obcy i nieznany, nie mogłem przecież wymagać, aby pan Dolloby krzywdził i okradał dla mnie własną rodzinę. Pod naciskiem położenia zauważyłem nieśmiało, że zgodziłbym się na dziewięć, które też otrzymałem. Pożegnawszy handlarza, wyszedłem ze sklepiku bogatszy o całe dziewięć pensów, lecz bez kamizelki na plecach. Ściągnąłem, ile się dało, na piersiach surducik, przewidując, że się i z nim wkrótce będę musiał rozstać i dalszą drogę odbyć w spodenkach tylko, co byłoby

jeszcze nader szczęśliwie. Nie zastanawiałem się jednak nad tym dłużej. Wszystko bladło wobec przestrzeni, jaką miałem przebyć, i przygody z walizką.

Powziąłem plan spędzenia nocy i wykonaniem jego zająłem się niebawem. Otóż postanowiłem przespąć się pod murem mojej dawnej szkoły, w narożnej niszy, gdzie składano siano i słomę. Zdawało mi się, że śpiąc tak w pobliżu dawnych mych towarzyszy i sypialni, w której niegdyś długie opowiadałem im historie, mniej będę opuszczony, chociaż nic o mnie towarzysze wiedzieć nie będą, a sypialnia ich nie udzieli mi schronienia.

Zmęczony byłem i z trudnością dowlokłem się do Salem House. Dowlokłem się jednak i znalazłem pod murem stos siana. Obszedłszy dom dokoła i przekonawszy się, że światła nie było już w żadnym oknie, położyłem się. Nie zapomnę nigdy wrażenia pierwszej pod gołym niebem spędzonej nocy.

Sen objął mnie jak i wielu innych wyrzutków, przed którymi zamknęły się tej nocy drzwi domów i na których warczały psy stróżujące rządnych mieszkańców. Sen objął mnie i śniło mi się, że w szkolnej sypialni, otoczony towarzyszami, baję im, jak niegdyś bywało. Zbudziłem się nagle z imieniem Steerfortha na ustach, zdziwiony mruganiem gwiazd jasnych nade mną. Z poczuciem rzeczywistości zdjął mię strach, powstałem i począłem przechadzać się wzdłuż muru i dopiero świtanie uspokoiło mnie nieco, a że mi się oczy kleiły ze znużenia, wróciłem na posłanie i zasnąłem, czując jednak chłód poranku. Dopiero wschodzące słońce ogrzało mnie i zbudził dźwięk dzwonu w Salem House. Gdybym był pewien, że się tam Steerforth jeszcze znajduje, czekałbym, dopóki nie wyjdzie na dziedziniec. Ale Steerforth musiał już opuścić od dawna szkołę. Był tam może jeszcze Traddles, lecz nie byłem tego pewien, zresztą nie ufałem tak bezwzględnie jego rozsadze i dobrej gwieździe, chociaż ufałem najzupełniej sercu, by mu się zwierzyć w mej biedzie. Odszedłem tedy od Salem House w chwili, gdy uczniowie pana Creakle ze snu wstawali. Sam byłem na drodze, która, jakem się o tym niegdyś, w szkole będąc, dowiedział<sup>139</sup>, wiodła do Dover, i żadne znane dostrzec nie miało mnie oko.

Jakże się ten niedzielny poranek różnił od tamtego, spędzonego w Yarmouth! Wlokąc się powoli, słyszałem wprawdzie głos kościelnych dzwonów, spotykałem idących do kościoła ludzi, przechodząc koło otwartych drzwi świątyni, słyszałem pobożne pieśni wiernych, widziałem, jak stojący u drzwi lub chłodzący się pod drzewami cmentarza zakrystianie przyglądali się podejrzliwie, lecz nie udzielało mi się świąteczne wesele i świątecznego zażyć nie mogłem wypoczynku. W tym była rzecz. Sam sobie wydawałem się bezbożny w zbrukanej mej odzieży, z potarganymi włosami i wątpię, czyby mi sił starczyło do dalszej podróży, gdyby mnie nie zagrzewało wspomnienie matki mojej w całym blasku młodości i piękności, płaczącej w przeddzień mego urodzenia przed siedzącą u kominka ciotką. Obraz ten miałem ciągle w myśli, on to mnie wiodł i podtrzymywał.

Zrobiłem niedzieli tej coś około dwudziestu trzech mil<sup>140</sup> pieszo, co mnie, nieprzyzwyczajonego, zmęczyć bardzo musiało. Wieczorem, kulejąc i gryząc kawałek na wieczrę schowanego chleba, doszedłem do mostu w Rochester<sup>141</sup>. Widziałem wprawdzie nad bramą małego domku napis „Gospoda dla podróżnych”, bałem się jednak wydać ostatni pieniężny zapas, a jeszcze bardziej może przestraszały mię fizjonomie spotykanych podróżników. Wolałem więc pozostać znów przez noc całą pod gołym niebem, wlokąc się do Chatham<sup>142</sup>, które w nocnym mroku wydało mi się sennym widzeniem wapna, mostów zwodzonych, okrętów bez masztów, podobnych do arki Noego, uwięzłych w zamulonej wodzie. Wylazłem wreszcie na trawę porośniętą baterie, gdzie przechadzały się warty. Tu, pod działem, uszczęśliwiony z sąsiedztwa żołnierza, który nie wiedział o mnie więcej niż

Bezdomność, Błądzenie,  
Dziecko

<sup>139</sup>jakem się (...) dowiedział — inaczej: jak się dowiedziałem; przykład konstrukcji z ruchomą końcówką czasownika. [przypis edytorski]

<sup>140</sup>mila angielska — miara długości wynosząca ok. 1609 m; istniała też mila londyńska, licząca równo 5000 stóp, czyli ok. 1524 m. [przypis edytorski]

<sup>141</sup>Rochester — miasto w hrabstwie Kent w Anglii, położone u ujścia rzeki Medway, oddalone 30 mil (ok. 50 km) od Londynu; należało do ulubionych miast Charlesa Dickensa, który nieopodal, w Higham, wiosce położonej między Rochester a Gravesend, miał w latach 1856–1870 dom letni Gads Hill Place, gdzie zakończył życie. [przypis edytorski]

<sup>142</sup>Chatham — notowane już w 2. poł. IX w. miasto w hrabstwie Kent w Anglii, położone u ujścia rzeki Medway do Morza Północnego; znajduje się w odległości ok. 35 mil (tj. ponad 56 km) od centrum Londynu. [przypis edytorski]

poprzedniej nocy współtowarzysze moi z Salem House, położyłem się i snem twardym spałem do samego rana.

Z rana zbudziłem się zmęczony, zbity, ogłuszony biciem w bębny, pochodem wojsk, które napelniły wąską ulicę. Wiedziałem, że chcąc dotrzeć do celu mej podróży, muszę oszczędzać opuszczające mnie siły, postanowiłem przede wszystkim sprzedać tego dnia mój surducik. Zdjąłem go więc i trzymając pod pachą, ruszyłem naprzód w poszukiwaniu kupca.

Miejsce to zresztą było najzupełniej odpowiednie dla podobnych transakcji, w zaułkach roili się tandeciarze. W oknach sklepików wisiały same mundury, epolety i tym podobne przedmioty. Imponowały mi tak dalece, że długi czas nie śmiałem proponować mego towaru stojącym na progach kramarzom.

Nieśmiałość kazała mi szukać sklepów jeszcze mniejszych, podobnych do sklepu pana Dolloby. Znalazłem wreszcie coś podobnego na skrawku wąskiego i cuchnącego zaułka, przytykającego do zagrodzonego placu zarosłego pokrzywą, którego płot zawieszony był zardzewiałą bronią, ceratowymi kapeluszami i pękami zardzewiałych kluczy wszelkich rozmiarów, wystarczających, rzecz można, do otwarcia wszystkich pod słońcem istniejących zamków.

Do niskiego i ciasnego, rozświetlonego skąpą smugą światła wpadającą przez małe okienko sklepiku, do którego zstępowało się po kilku niepewnych stopniach, wszedłem z bijącym sercem, bynajmniej nie uspokojony widokiem starca, który wylazł z kąta i od razu porwał mnie za włosy. Straszny był, z długą, siwą brodą, w starym flanelowym kaptanie. Czuć go było wódką i rumem. W kącie pod oknem stało plugawe jego legowisko, pokryte zszywianą z gałganów koldrą, za oknem widać było same pokrzywy i wśród nich chudego, kulawego osła.

— Czego chcesz, mały?! — zawołał. — Po co tu włączysz? O goroo, goroo! Ach, oczy wy moje i członki, czego ty tu chcesz? Ach, płuca wy moje i wątroba, czego chcesz? Ach, goroo, goroo!

Tak mnie przeraził jego widok, a zwłaszcza niezrozumiałe, chrapliwym głosem wymawiane słowa, że nie mogłem zdobyć się na odpowiedź. Stary, nie puszczając mnie, wrzeszczał:

— Czego chcesz, mały?! Och, oczy wy moje i członki! Czego ty tu chcesz, czego? Och, goroo, goroo! — wykrzykiwał to z taką energią, aż mu oczy na wierzch wychodziły.

— Chciałbym wiedzieć — odrzekłem, drżąc cały — czy... czy nie sprzedałbym tego surduta.

— Pokaż, pokaż! — zawołał, wypuszczając włosy moje z drżących rąk, podobnych do szponów olbrzymiego ptaka, i nakładając okulary na zaczerwienione oczy. — Pokaż, o moje ty płomienne serce! Och! Oczy wy moje i członki! Pokaż! O! Goroo! A ile za to?

— Pół korony — odrzekłem, przychodząc pomału do siebie.

— Och! Oczy wy moje i członki! Co to, to nie! Goroo! Osiemnaście pensów, goroo!

Za każdym wykrzyknikiem oczy mu na wierzch wylaziły, każde słowo wymawiał na kształt wycia wiatru przechodzącego z minorowych<sup>143</sup> do majorowych<sup>144</sup> tonów.

— Dobrze — rzekłem — zgoda i na osiemnaście pensów.

— O życie ty moje! Życie! — zawrzeszczał, chowając surdut mój na półkę. — Czego ty chcesz ode mnie?! O moje wy członki! Czego chcesz?! Pieniędzy? Goroo, weź co na zamianę.

Nie pamiętam, abym był kiedy bądź przedtem czy potem tak przerażony, jak wówczas. Tłumaczyłem pokornie kramarzowi, że potrzebuję koniecznie pieniędzy, nie zaś czego innego w zamian za mój surdut, dodawałem, że gotów na pieniądze poczekać, nie w sklepie, ale na ulicy przed sklepem. Wyszedłem też czym prędzej i usiadłem w kątku, w cieniu jakiejś wystającej belki. Siedziałem długo, godziny całe. Słońce weszło wysoko i znów się skłoniło, a ja siedziałem ciągle, wyczekując pieniędzy.

Wątpię, aby się gdzie znajdował drugi podobny handlarz, pijak i wariat. Że go znano w okolicy całej, gdzie uchodził za sprzedaną diabłu duszę, dowiedziałem się od uliczn-

<sup>143</sup>minorowy — smutny, płaczący, od terminu muz. określającego tonację utworu: tonacja minor tj. tonacja molowa. [przypis edytorski]

<sup>144</sup>majorowy — radosny; od terminu muz. określającego tonację utworu: tonacja (skala) majorowa tj. durowa. [przypis edytorski]

Skąpiec, Szaleniec, Dziecko,  
Pieniędz

ków przedrzeźniających go ustawicznie przed drzwiami sklepiku i wołających nań, aby się opamiętał i oddał swoje złoto. „Ho! ho! — wołali — wiemy dobrze, co się święci! Wiemy, żeś bogaty, stary sknero, nie oszukasz nas swymi lamentami, oddaj złoto! Oddaj skarby, za które sprzedałeś się diabłu! Ho! ho! Podnieś no się ze swego legowiska, rozpruj swój materac, a pożywimy się jego wnętrznościami!”

Wołając tak, obiecywali pożyczyć mu nawet noża lub nożyczek do rozprucia materaców. Rozwścieczony wybiegał ze sklepiku, co było zwykle dla uliczników hasłem do rozpraszenia się, a wracali oni, skoro się drzwi zamknęły. Czasem brał mnie za jednego z nich i rzucał się na mnie tak, jak gdyby miał mnie rozszarpać, lecz opamiętawszy się, wracał do swej nory, gdzie mruczał coś niezrozumiałego, przerywanego ustawicznymi „och” i „goroo”. Na dobitkę, widząc spokojne i cierpliwe moje zachowanie się u drzwi tandeciarza, ulicznicy zwrócili ku mnie część swych drwinek i przedrzeźnień.

Tandeciarz tymczasem usiłował skłonić mnie do przyjęcia starych rupieci zamiast osiemnastu pensów, które był mi dłużny. Przynosił mi kolejno wędkę, skrzypce, kapelusz z kokardą, tornister, flecik. Trwałem w postanowieniu, zropaczony, lecz niezłomny i prosiłem go za każdym razem o pieniądze lub o zwrot mego surducika. Zdecydował się wreszcie zapłacić i przez parę godzin przynosił mi po pół pensa, za każdym wychyleniem się ze swej nory wołając:

— Och, oczy wy moje i członki, czy nie mógłbyś zająć innym razem po resztę?

— Nie — odpowiedziałem — umarłbym z głodu.

— Och! Goroo! Goroo! Poczekaj do jutra na trzy pensy.

— Za nic, nie mogę.

— Och! Goroo! No, to masz czternaście pensów i kwita! — wołał, wychylając poza drzwi głowę z wylazającymi na wierzch oczyma.

Tak byłem zmęczony i głodny, że zgodziłem się ostatecznie na tę zniżkę. Miało się już ku zachodowi. Wydatek trzech pensów pozwolił mi posilić się i ugasić trawiące mnie pragnienie. Przed nadejściem nocy uszedłem jeszcze siedem mil.

Nocowałem znów na stogu siana, obmywszy obrzękle nogi w potoku i owinąwszy je świeżymi liśćmi. Nazajutrz droga wiodła mię<sup>145</sup> wśród sadów i chmielem obsadzonych płotów. Ogrody rumieniły się dojrzałymi jabłkami, a liczni robotnicy pracowali w chmielu. Wszystko to zachwycało mnie. Postanowiłem przespać noc tym razem w chmielu pod strażą wysokich, giętkimi gałązkami oplecionych tyczek.

Spotykani dnia tego podróżni straszniejsi mi się jeszcze wydali. Niektórzy zaczepiali mnie, a gdym uciekał od nich, ile sił starczyło, rzucali za mną kamienie i kłatwy. Jeden, pamiętam, blacharz, wnosząc z jego sakwy i piecyka, który miał przewieszony przez plecy, idący w towarzystwie jakiejś kobiety, zaczepił mnie, a gdym szedł milcząc dalej, zaczął mi wymyślać:

— Wróć no się, gdy cię wołam, smarkaczu tam jakiś, bo ci połamię ręce i nogi!

Uznałem za stosowne usłuchać wezwania i zbliżyłem się do blacharza, starając się rozbroić go najtkliwszym spojrzeniem. Towarzysząca mu kobieta miała podbite oko.

— Gdzie idziesz? — pytał, chwytając mnie za koszulę.

— Do Dover — odrzekłem.

— A skąd cię diabli niosą?

— Idę z Londynu.

— Czym dowiedziesz? Zuch z ciebie! Co?

— Nie — wyjąknąłem.

— Niech cię diabli! Jeśli nie zechcesz zrobić mi grzeczności, roztrzaskam ci czaszkę.

Wypuścił mnie z rąk swoich, strasząc i grożąc pięścią, obrzucił wzrokiem od stóp do głowy.

— No, mały, jeśli masz na kufelek piwa, dawaj, bo odbiorę.

Oddałbym wszystko, gdyby mnie nie powstrzymało spojrzenie kobiety, która wstrząsnęła przecząco, choć nieznacznie głową.

— Ubogi jestem — tłumaczyłem się — nic nie mam.

— Co ty myślisz sobie! — wrzasnął blacharz.

<sup>145</sup>mię — daw. forma zaimka osobowego w pozycji nieakcentowanej w zdaniu; dziś jednolita forma: mnie. [przypis edytorski]

— Panie!

— Co myślisz! Niby to nie poznałem na twojej szyi jedwabnej chustki mego rodzonego brata? Oddawaj!

W mgnieniu oka chustka moja była w jego ręku. Zmiał ją i rzucił kobiecie. Ta roześmiała się jak z dobrego żartu, lecz odrzucając mi ją z powrotem, wzrokiem i nieznacznym poruszeniem ust mówiła wyraźnie: „zmykaj”. Zanim to jednak zdołałem uczynić, blacharz wyrwał mi znów z rąk chustkę, okręcił ją koło własnej szyi i zwracając się do swej towarzyszki, począł bić ją srodze. Nie zapomnę jej nigdy upadającej na drogę i leżącej w pyłe, z potarganymi włosami. Gdy odbiegłem, obejrzałem się jeszcze. Siedziała nad rowem ocierając z czoła i twarzy krew końcem chustki, którą była okryta. Blacharz poszedł dalej.

Wypadek ten przeraził mnie tak dalece, że odtąd, widząc zbliżających się ludzi, chowałem się za płoty i do rowów, wychodząc, gdy mnie minęli i dostrzec już nie mogli. Opóźniało to o wiele moją podróż. W tych, jak i innych trudnościach, podtrzymywał mnie ciągle w myśli obecny obraz pięknej, młodej mojej matki w przeddzień mego urodzenia. On to czuwał nade mną, gdy spałem wśród chmielów, on mnie prowadził, gdy ruszyłem rano w dalszą drogę. Widzę go też na tle słonecznego krajobrazu, ponad ulicami, starymi domami i malowniczymi bramami, ponad szarą katedrą w Canterbury i jej wieżycami pokrytymi wronimi gniazdami. On to złościł połyskiem nadziei nagie, smutne płaszczyzny Dover, on to dowiódł mnie dnia szóstego do celu mej podróży. I dziwnie, odbiegł mnie właśnie w chwili, gdy bosy, brudny, obdarty, słońcem i wiatrem spalony, na wpół nagi i na wpół zagłodzony stanąłem na bruku tego miasta.

Rozpytywałem z początku rybaków o moją ciotkę, otrzymując najsprzeczniejsze wskazówki. Jeden mówił, że mieszka przy gazowni, przez co osmalila swe faworyty. Drugi, że daleko za wodą, gdzie dojść tylko można przy odpływie. Trzeci, że ją zamknięto w więzieniu za kradzież dzieci. Czwarty, że odpłynęła właśnie wieczorem do Calais. Zwróciłem się do dorożkarzy, lecz i ci zbyli mnie podobnymi żarcikami. Kramarze, zanim usta otworzyłem, wołali, żebym odchodził, bo wcale nie mają tego, czego żądam. Czulem się ostatecznie znużony i nieszczęśliwy, bez grosza, głodny, sił nie miałem ustać na nogach i cel podróży, do którego dotarłem, zdawał mi się teraz o wiele dalszy niż kiedykolwiek.

Cały ranek przeszedł na próżnych poszukiwaniach. Usiadłem na progu niezajętego sklepu, w pobliżu rynku, rozmyślając, czy pójść we wskazywane tak sprzecznie miejsca, gdy przejeżdżający dorożkarz zgubił derę. Podjąłem ją i podając mu, ośmielony pocziwym jego wyglądem, po raz nie wiem już który powtórzyłem nieśmiałe pytanie.

— Trotwood — odrzekł, namyślając się — słyszałem coś. Staruszka?

— Zapewne — odrzekłem.

— Sztywna — ciągnął, prostując się.

— Zapewne — dodałem.

— Nosi zawsze torbę, ot taką dużą. Mrukliwa, kwaśna.

Serce mi biło, poznawałem ciotkę po tym wiernym opisie.

— Trzeba iść tędy — wskazał biczem — samym brzegiem morza. Jest tam, jak raz naprzeciw morza, domek, tak wprost. Musiałeś słyszeć o niej? Ręczę, że ci nie da feniga, masz oto za fatygę.

Przyjąłem z wdzięcznością pensa i zaraz kupiłem sobie chleba. Spożywając skromne to śniadanie, szedłem długo i daleko, nie mogąc znaleźć domku, o którym mówił woźnica. Wcale nawet w okolicy tej domów nie było. Dostrzegłem wreszcie parę i wszedłem do sklepiku, aby znów zapytać o pannę Trotwood. Pytanie zwróciłem do kramarza ważącego właśnie ryż na szalkach, ale odpowiedziała na nie stojąca przed kantorkiem młoda kobieta.

— Moja pani! Czego możesz chcieć od mojej pani?

— Chciałbym ją widzieć — odrzekłem bardziej jeszcze niż przedtem onieśmielony.

— O, chcesz jałmużny.

— Nie, wcale nie — odrzekłem, lecz zaczerwieniłem się na myśl, że istotnie po to chyba przyszedłem.

Służąca, wysypawszy do koszyka odważony ryż, wyszła ze sklepiku i powiedziała, że, idąc za nią, dowiem się, gdzie panna Trotwood mieszka. Nogi pode mną drżały, gdyśmy się zbliżyli do wiejskiego domku, przed którym bielił się piaskiem wysypany dziedziniec, a dokoła woń rozpuszczał starannie utrzymany, rozkwiecony ogród.

— Tu mieszka panna Trotwood — rzekła służąca — a teraz sam radź sobie — do-  
dała, wbiegając szybko do domu, jak gdyby chciała uniknąć wszelkiej odpowiedzialności  
za następstwa tak śmiałego kroku. Pozostałem u bramy drżący, spoglądając nieśmiało  
i zapewne błagając w okna.

Po niejakiś czasie w jednym z nich uchyliła się muślinowa firanka, ukazując zieloną  
zasłonkę, może wachlarz, w oknie stojący stoliczek i głęboki fotel. Nasunęło mi to myśl,  
że mogę ujrzeć natychmiast ciotkę we własnej osobie.

Obuwie moje było w oplakany stan. Brudne, porwane, ledwie się stóp moich  
trzymało. Kapelusz (służył mi też w drodze za poduszkę) utracił wszelkie kształty i wsty-  
dliwie opuścił brzegi. Pot, rosa, pył, siano, na którym spałem, pozostawiły tysiące śladów  
na koszuli i spodenkach. Zawieszane na kijku służyć by mogły do wystraszania wróbli  
z ogrodu, u którego wrót stałem. Włosów moich, od wyjścia mego z Londynu, nie dot-  
knął grzebień ani szczotka, twarz moja, ręce i szyja spalone były na brunatny kolor,  
a od stóp do głowy pokrywał mnie kurz gęsty, białawy. Pod taką to postacią i świadomy  
nędznego wyglądu miałem przedstawić się straszliwej ciotce.

Cisza w oknie uspokoiła mnie. Zapewne nie było tam ciotki. Podniosłem nieśmiało  
oczy. W oknie stał niemłody, rumiany, uśmiechnięty dobrotliwie mężczyzna. Włosy miał  
siwe, mrużył oko, kiwnął mi kilkakrotnie głową, potrząsnął nią kilkakrotnie i odszedł.

Tyle już doznałem zawodów, że tym razem zamyślałem na serio odejść, gdy z domu  
wyszła dama, w chustce do nosa zawiązanej na czepku, w rękawicach i z ogrodowymi no-  
życami w ręku, w ogromnym jak u malarzy fartuchu. Domyśliłem się od razu, że mam  
przed sobą ciotkę Betsey. Zjawiała się tak nagle i niespodzianie, jak niegdyś w Blunder-  
stone.

— Precz stąd! — zawołała, machając nożycami — nie tu miejsce dla uliczników.

Cofnąłem się mimo woli, przyglądając się jej. Weszła do ogrodu i zaczęła wycinać  
suche gałązki. Zdobyłem się na odwagę i stanąwszy za nią, dotknąłem z lekka jej ramienia.

— Proszę pani...

Odwróciła się, spojrzała mi prosto w oczy.

— Ciotko!...

— Co? — zawołała zdumiona.

— Proszę pani, ciociu... jestem twoim siostrzeńcem.

— Jezu?! Maria! — zawołała i usiadła na ścieżce.

— Jestem Dawidem Copperfieldem z Blunderstone w Suffolk, gdzie pani raz już by-  
ła, odwiedzając drogą moją mamę w chwili, kiedy się właśnie urodził. Bardzo jestem  
nieszczęśliwy od śmierci mamy. Poniewierano mną, niczego nie uczono, wyprawiono  
z domu, kazano zarabiać na życie, umieszczając w niestosownym dla mnie miejscu. Nie  
mogłem wytrzymać, uciekłem, okradli mnie, obdarli na drodze, szedłem pieszo, nie mia-  
łem gdzie spać ani co jeść...

Tu odwaga, w jaką się uzbroilem na początku, opuściła mnie, wyciągnąłem ręce, chcąc  
może tylko przekonać ciotkę o stanie mej odzieży, o prawdzie słów moich, i wybuchnąłem  
wielkim, od tygodnia w piersiach dławiącym mnie, a ciągle powstrzymywanym łkaniem.

Ciotka siedziała ciągle, nie mogąc przyjść ze zdziwienia do słowa, a gdy się rozplakał,  
porwała się z miejsca, pociągnęła mnie za sobą do domu. Pierwszą jej czynnością było  
otworzenie szafy; dostała stamtąd kilka butelek i zaczęła wlewać mi coś w usta. Czyniła to  
w pośpiechu, bez wyboru, toteż czułem kolejno smak anyżowej wody, sosu sardelowego  
i octu. Gdy to nie skutkowało i nie mogłem powstrzymać łkań, położyła mnie na sofie,  
zakryła głowę szalem, a zdjętą z własnej głowy chustkę podłożyła pod nogi, abym nie  
zbrukał pokrycia kanapy. Wówczas dopiero usiadła sapiąc, wachlując się wielkim zielonym  
wachlarzem i od czasu do czasu wołając:

— To mi historia!

Po niejakiś czasie zadzwoniła.

— Janet! — rzekła do służącej. — Pójdź na górę, poproś pana Dicka, chcę z nim  
pomówić.

Służąca spojrzała na mnie ze zdziwieniem, nie śmiałem poruszyć się, by nie rozgniewać  
ciotki, lecz odeszła, nie robiąc żadnej uwagi. Ciotka tymczasem chodziła wzdłuż i wszerz  
pokoju. Po chwili wszedł uśmiechnięty staruszek, ten sam, który mrugał i kiwał był na  
mnie przez okno.

— Panie Dick — poczęła ciotka — bądź, proszę, rozważny, umiesz nim być, gdy chcesz, wszyscy to wiedzą, bądź tedy rozważny.

Staruszek spoważniał w mgnieniu oka, spoglądając na mnie tak, jak gdyby zlecał mi milczenie o tym, co zaszło u okna.

— Panie Dick — ciągnęła ciotka — musiałeś nieraz słyszeć, jak mówiłam o Dawidzie Copperfieldzie. Nie udawaj, proszę, że nie pamiętasz, oboje wiemy, jak doskonałą masz pamięć!

— Dawid Copperfield — począł stary z roztargnieniem — Dawid Copperfield? A tak, pamiętam, właśnie Dawid.

— Dobrze — rzekła ciotka. — Masz oto przed sobą jego syna. Podobniuteńki byłby do ojca, gdyby nie to, że i matkę przypomina bardzo.

— Jego syna? Aha! Syna Dawida Copperfielda.

— W sam raz — potwierdziła ciotka — nie wyobrazisz sobie, co nadokazywał! Uciekł, uciekł! Jego siostra, Betsey Trootwood, pewnie by nie uciekała. — Mówiąc to, kiwała głową pełną zaufania w zalety dziewczęcia, które się nie narodziło.

— O! — zauważył pan Dick. — Tak sądzisz, pani!

— Patrzcie go — oburzyła się ciotka — jak on to mówi! Czy ja tak sądzę? Naturalnie. Mieszkałaby ze mną, swą chrzestną matką, wychowywałaby się u mnie, przepadałybyśmy jedna za drugą. Gdzieżby zresztą Betsey Trotwood mogła uciec?

— Nigdzie — potwierdził pan Dick.

— A widzisz, widzisz, jakiś dowcipny i domyślny! A teraz do rzeczy. Oto widzisz przed sobą małego Dawida Copperfielda i nasuwa się pytanie: co mam z nim począć?

— Co począć? — wyjąknął, kiwając głową, zapytany. — Co począć?

— Właśnie, w tym rzecz — mówiła ciotka, patrząc mu w oczy i podnosząc wskazujący palec. — Pomyśl i daj mi dobrą radę.

— Ha! Gdybym był na pani miejscu... — zaczął, patrząc z roztargnieniem na mnie. Nagle uderzyła go szczęśliwa myśl, bo zawołał żywo — Umyłbym go!

— Janet! — zawołała uradowana ciotka. — Wyborną radę daje nam pan Dick. Za-grzewaj wannę.

Chociaż rozmowa ta interesowała mnie niemało, przypatrywałem się ciekawie mówiącym. Ciotka była wysoką, o grubych rysach, lecz raczej przyjemnej powierzchowności kobietą. W twarzy jej, głosie, ruchach była stanowczość, która musiała niegdyś wystraszyć tak słodkie i nieśmiałe stworzenie jak moja matka, lecz twarz ta surowa piękną dotąd była. Przede wszystkim uderzyły mnie wielkie, błyszczące oczy. Pod czepkiem siwe włosy, rozdzielone nad czołem, układały się w dwa gładkie pasma. Suknię miała ciemną, wąską, coś w rodzaju amazonki. Przy boku nosiła męski zegarek z dewizką i sygnetem. Białe męski kołnierzyk i mankiety wykańczały jej ubranie.

Pan Dick, jak to już zauważyłem, siwy był i rumiany. Głowa mu się trzęsła, nie z wieku jednak, lecz w sposób przypominający mi jednego z moich szkolnych towarzyszy potrzęsającego podobnie głową po bolesnych napomnieniach pana Creakle; jego szeroko rozwarte, jasne źrenice o nieco błędnym spojrzeniu, wraz z dziecięcym poddaniem się ciotce, widocznej radości, gdy go chwaliła, nasuwały myśl, że jest obłąkany i dziwiło mnie tylko, jakim sposobem mogę go tu widzieć. Ubrany był najzwyczajniej w szary ranny surdut i białe spodnie, z zegarkiem u boku, z kieską w kieszeni, którą od czasu do czasu pobrząkiwał z widocznym zadowoleniem.

Janet była świeżą, dwudziestoletnią dziewczyną, ubraną czysto i starannie. Dodam tu, czego się z czasem dopiero dowiedział<sup>146</sup>, że była jedną z pupilek mojej ciotki, która miała ich kilka z kolei. Wszystkie wychowywała w pogardzie dla małżeństwa, a każda z kolei wyrzekała się pierwotnych, przez ciotkę wszczepionych zasad, wychodząc za piekarza.

Pokój, w którym znajdowaliśmy się, równie był czysty jak ciotka i jej służąca. Teraz jeszcze, gdy, przypominając go sobie, odkładam na bok pióro, czuję świeży powiew od strony morza, zapach kwiatów z ogrodu, widzę stare, skromne, od czystości lśniące sprzęty, w szerokiej framudze okna fotel ciotki, stół, zielony wachlarz, chodnik chroniący

<sup>146</sup>czegom się (...) dowiedział — inaczej: czego się dowiedziałem; przykład konstrukcji z ruchomą końcówką czasownika. [przypis edytorski]



dywan, kota, dwa kanarki, starą porcelanę, wazę do ponczu, pełną zasuszonych różanych liści, szafkę zastawioną jakimś czarkami i flakonikami — i wśród tego wszystkiego, wyciągniętą na kanapie, wszystkiemu temu przypatrującą się, brudem, kurzem pokrytą moją osobę.

Zaledwie Janet odeszła przygotowywać kąpiel, ciotka ku wielkiemu memu przestrawieniu porwała się nagle, spojrzawszy w okno, zawołała gwałtownie:

— Janet! Osły!

Słyszac to, służąca zbiegła ze schodów, jak gdyby dom się palił, i zaczęła odganiać od zielonej wąskiej smugi trawy dwie na osłach siedzące damy, a tymczasem ciotka, zbiegłszy na dół, własną ręką chwyciła cugle trzeciego, niosącego na swym grzbiecie małego chłopca, wyciągnęła go na ścieżkę, targając nadto za uszy nieszczęśliwego jeźdźca.

Po dziś dzień nie wiem, czy ciotka miała istotne prawo własności do tej smugi murywy, czy też wyobrażała sobie, że je posiada, co zresztą dla niej i w zastosowaniu wychodziło na jedno. Za największą, osobiście wyrządzoną jej obrazę poczytywała wtargnięcie osłów w nietykalne te granice. Chociażby nie wiem jak była zajęta, chociażby rozmawiała o najważniejszych kwestiach, widok osła na drodze zmieniał bieg jej myśli, pochłaniał całą jej uwagę. Konwie pełne wody były zawsze w pogotowiu dla ukarania nieuważnych jeźdźców, różgi leżały za bramą, baczność była nieustanna, nieustanne też zatargi i potyczki. Sądziłem nawet, że wynajmujący osły chłopcy umyślnie tam wjeżdżali lub że osły same, ze znaną swą przekorą, przekraczały zabronioną im granicę. Dość że zanim przygotowano kąpiel, zaszły aż trzy podobne wyżej opisanemu zatargi, a w jednym z nich, najognistszym, ujrzałem ciotkę moją walczącą z piętnastoletnim jasnowłosym chłopakiem, który w zaskoczeniu, zanim się obejrzał, na kształt piłki odskoczył od bramy. Wszystko to dziwiło mnie nieskończenie, tym bardziej że ciotka jednocześnie poila mnie rosółem za pomocą łyżeczki od kawy, w przekonaniu, że pokarm winien być udzielany zagłodzonym w minimalnych dozach, i pomiędzy jedną a drugą dawką, zanim czas miałem zamknąć usta, zrywała się wołając: „Janet! Osły!”

Kąpiel pomogła mi bardzo. Czulem ból w kościach i straszne znużenie, tak że z trudnością tylko podnosiłem oczy. Po kąpeli ciotka ze służącą odziały mnie w koszulę należącą do pana Dicka i okręciły dwoma czy trzema szalami.

Wyobrażam sobie, jak zabawnie musiałem tak spowity wyglądać. Ciepło mi było, słabo, oczy się do snu kleiły, niebawem też usnąłem na kanapie.

Śniły mi się, zapewne pod wpływem wspomnień i wrażeń dawnej opowieści mojej matki, wypadki poprzedzające moje przyjście na świat, lecz zdawało mi się, że przez sen czuję oddech pochylonej nade mną ciotki, miękką dłoń odgarniającą mi z czoła włosy. Zdaje mi się też, że słyszał coś na kształt: „biedne dziecię!” czy też może: „ładne dziecię”, nic jednak, gdy się przebudził, nie wskazywało na to, aby ciotka wyrzec miała te słowa. Siedziała wyprostowana w fotelu u okna, z zielonym wachlarzem w ręku, kręcąc gwałtownie kółko u jego rączki.

Kiedy się obudziłem, podano obiad składający się z pieczystego i puddingu. Siedziałem przy stole, podobny do skrępowanego ptaka, z trudnością poruszając rękami i ramionami, nie skarżyłem się jednak, będąc tak spowitym przez samą ciotkę. Niespokojny też byłem, rozmyślając, co pocznie ze mną. Jadła milcząc i tylko od czasu do czasu zatrzymywała wzrok na mnie, mrużąc: „to mi historia” — co mię bynajmniej nie uspokajało.

Gdy zdjęto obrus i postawiono na stole sherry<sup>147</sup> — i mnie dostał się kieliszek — ciotka posłała po pana Dicka. W jego obecności zaczęła mnie badać. Odpowiadałem na wszelkie jej pytania. Patrzyła przy tym ciągle na pana Dicka, który wyglądał tak, jak gdyby zasypiał. Marszczyła brew, gdy uśmiechał się nie w porę.

— Pojąć nie mogę, co skłoniło to dziecko nieszczęsne do powtórnego zameścia! — zawołała, gdy skończył.

— Może się zakochała — zauważył nieśmiało pan Dick.

<sup>147</sup>sherry — mocne wino hiszp. pochodzące z rejonu miasta Jerez de la Frontera, położonego w pld.-zach. części kraju, w prowincji Kadyks w Andaluzji; fenicka nazwa osady Xera oraz arab. Sherish stanowią źródłosłów dla nazwy alkoholu (sherry, jeres a. xeres), z którego słynie region; czerwone wino wzmocniane przez dolanie brandy (przez co uzyskuje 16–20% alkoholu) stało się niezwykle popularne w Anglii od czasu, gdy w r. 1587 Francis Drake, korsarz jej królewskiej mości Elżbiety I, ograł Kadyks i wśród innych łupów przywiózł do kraju 2900 beczek tego trunku. [przypis edytorski]

— Zakochała! Masz tobie! Potrzebne jej to było!

— Może — po chwili głębokiego namysłu zauważył pan Dick — to tak sobie dla przyjemności.

— Piękna mi przyjemność! Biedne dziecię! Zaufać psu, który ją tak czy owak zwieść musiał. Czegóż jeszcze chcieć mogła! Miała przecie jednego męża. Złapała sobie była Dawida Copperfielda uganiającego się zawsze za woskowymi lalkami. Miała nadto dziecko... o, owego piątkowego wieczoru dwoje ich tam było niebożąt, jedno wątle co do doświadczenia, tyle co i drugie. Pamiętam!

Pan Dick kiwał głową, patrząc na mnie tak, jak gdyby pojąć nie mógł najzupełniej ostatnich słów ciotki.

— Nie mogła nawet urodzić dziecka, jak wypadało — ciągnęła ta ostatnia — nie byłoby tego wszystkiego, gdybyśmy tu zamiast chłopca mieli przed sobą Betsey Trotwood. Nie zaprzeczaj mi, proszę.

Pan Dick wyglądał na wystraszonego.

— A ten tam człowiek, ten doktorek jakiś z przechyloną na ramię głową! Jellips czy jak go tam! Bardzo był potrzebny! Na to się chyba zdał, aby jak szpak powtarzać: „Chłopiec! Chłopiec się urodził”, osobliwość wielka, chłopiec! Głupcy!

Ostatnie słowa, wyznając, przeraziły nie tylko pana Dicka. I mnie się serce ścisnęło.

— Mało jej tego było — ciągnęła ciotka — jeszcze mało. Wychodzi powtórnie za męża, i to za kogo? Za jakiegoś Morderer<sup>148</sup> czy tam podobnie mianującego się zbója. Tak jak rodząc tego swego „chłopca” weszła w drogę Betsey, tak powtórnym tym zamęściem weszła w drogę znów temu. Zanim się urodził, był on już Kainem.

Pan Dick spojrział na mnie ciekawie. Chciał się zapewne przekonać, czym istotnie do Kaina podobny.

— Mieli tam jeszcze jakąś pogankę z imienia! A i ta ich Pelgolty, czy jak ją tam, nie miała nic pilniejszego jak wyjść też za męża! Przykład był zachęcający, bardzo zachęcający! No, nie ma co mówić! Mam nadzieję, że przynajmniej trafiła kosa na kamień, mężulek porządnie smagać ją będzie, tak jak na to zasługuje.

Oburzyłem się. Zapewniłem, że Peggotty jest najlepszą, najwierniejszą pod słońcem istotą, że kocha mnie całym sercem; przywiązana była, aż do poświęcenia, do matki mojej, nie opuściła jej do śmierci, przyjęła ostatni pocałunek umierającej. Mówiłem, że dom pani Barkis uważam za własny, ze wszystkim, co do niej należy, podzieliłaby się ze mną chętnie i obecnie prosiłbym ją o schronienie, tylko żem się bał narzucać ubogim ludziom. Wszystko to mówiłem prędko, z duszącym mię łkaniem. Rozpłakałem się wreszcie i skryłem twarz w dłoniach.

— Dobrze, dobrze! — zauważyła ciotka. — Dobrze, że bronisz tych, co dbali o ciebie. Janet! Osły!

Gdyby nie te nieszczęsne osły, nastąpiłoby może pomiędzy nami porozumienie, gdyż ciotka położyła już była rękę na mym ramieniu, a ja czułem chęć nieprzemogłą rzucić się jej na szyję i błagać o opiekę. Osły przerwały rozmowę. Nastąpiło zwykłe w podobnych razach zamieszanie i aż do herbaty ciotka rozprawiała z panem Dickiem o sposobach usunięcia podobnych przekroczeń. Stanowczo Stany<sup>149</sup> powinny były wydać przeciw osłom prawa.

Po herbacie siedzieliśmy przy oknie, pilnując, jak z zapuszczonych w dal oczu ciotki wносиłem, najścia wrogów jej, osłów i oślarzy. Gdy ściemniało, Janet spuściła rolety, zapaliła świece i rozłożyła stół do kart.

— A teraz, panie Dick — zaczęła ciotka z powagą i podniesionym do góry palcem — zadam ci znów pytanie, na które odpowiedzieć mi trzeba rozsądnie. Oboje wiemy, że potrafisz, gdy zechcesz, odpowiedzieć rozsądnie. Spójrz na to dziecię.

— Na syna Dawida? — spytał, zbierając myśli, pan Dick.

— Właśnie. Pomyśl tylko, co byś teraz z nim zrobił?

<sup>148</sup> *Morderer* — wym. jak ang. *murderer*: morderca. [przypis edytorski]

<sup>149</sup> *Stany* — chodzi tu zapewne o obie izby parlamentu (w rodzaju fr. Stanów Generalnych, *les états généraux*, zgromadzenia reprezentującego wszystkie stany społeczne); w oryg. mowa jest jedynie ogólnie o konieczności naprawy prawodawstwa krajowego w celu zapobieżenia przestępstwom popełnianym przez osły („*kept my aunt indignantly declaiming to Mr. Dick about her determination to appeal for redress to the laws of her country, and to bring actions for trespass against the whole donkey proprietorship of Dover*”). [przypis edytorski]

— Hm! Z synem Dawida?

— Właśnie, z Dawida synem.

— O, tak... co bym zrobił?... Ano, położyłbym spać.

— Janet! — zawołała ciotka z tym samym, com przedtem zauważył, zadowoleniem. — Pan Dick, jak zawsze, najlepszą daje nam radę i jeśli łóżko posłane, położymy to dziecię.

Na zapewnienie służącej, że łóżko posłane, zaprowadzono mnie łaskawie do sypialnego pokoju, lecz trzymając niby więźnia pomiędzy ciotką a służącą. Jedyną okolicznością pobudzającą nieco nadzieje moje było zatrzymanie się na schodach ciotki, która spytała, skąd pochodzi odór spalenizny? Janet odpowiedziała jej na to, że spaliła właśnie w kuchni moją starą koszulę. W przeznaczonym mi jednak na nocleg pokoiku nie było innej odzieży jak tylko bielizna, którą miałem na sobie. Zostawiono mnie z ogarkiem, który, jak ciotka upewniała, miał się w ciągu pięciu minut dopalić, i zamknięto na klucz. Co zważywszy, przyszedłem do przekonania, że ciotka, poznawszy mnie od kilku zaledwie godzin i w tak niezwykłych okolicznościach, musiała mnie posądzać o nałóg uciekania i dlatego wołała mieć pod kluczem.

Pokoik na poddaszu, w którym spałem, był przyjemny, z widokiem na morze osrebrzone księżycem. Po zmówieniu pacierzy i zgaśnięciu ogarka, długo, pamiętam, wpatrywałem się w blaski księżyca na falujących wodach, tak jak gdybym z jasnej tej księgi pragnął wyczytać moją przyszłość lub się spodziewał, że matka moja, z dzieciątkiem na ręku, taka właśnie, jaką widziałem ją po raz ostatni, odjeżdżając po wakacjach z domu do szkoły, zstąpi ku mnie po srebrnej smudze miesiąca. Pamiętam, z jaką wdzięcznością, z jakim ukojeniem, oderwawszy oczy od blasków tych, przenieśliem je na czyste, białe zasłane łóżeczko. Wdzięczność ta wzmogła się jeszcze, gdym wyciągnął zmęczone członki pod świeżymi prześcieradłami. Długo myślałem o tych samotnych, opuszczonych miejscach, gdzie przez kilka dni sypiał bez dachu, z przydrożnym kamieniem pod głową. I pamiętam, jak gorąco błagałem nieba, aby nadal nie pozbawiły nigdy już dachu biednej mej głowy, o, pamiętam, jakem spływał<sup>150</sup> po połyskujących bezbrzeżnych przestrzeniach morza, daleko, daleko... w świat sennych marzeń.

## ROZDZIAŁ XIV. CIOTKA MOJA CZYNI POSTANOWIENIE

Kiedym szedł nazajutrz, ciotka moja, siedząc przy śniadaniu z łokciami wpartymi w taćę, pogrążona była w takiej zadumie, że nie spostrzegła cieknącej z imbryka wody, która zdążyła już zalać cały stolik, i dopiero moje wejście zbudziło ciotkę z zamyślenia. Domyślałem się, że rozmyślała o mnie, i tym ciekawszy byłem powziętych względem mnie postanowień, lecz nie śmiałem o nic pytać.

Wzrok mój jednak, mniej od ust posłuszny, zwracał się ustawicznie na ciotkę. Za każdym razem dostrzegałem zamyślonę oczy utkwione we mnie, lecz tak jak gdybym był nie wiem jak oddalony, nie zaś siedział naprzeciw niej przy niewielkim okrągłym stoliku. Po spożyciu śniadania oparła się o poręcz fotela, złożyła na piersiach ramiona, ściągnęła brew, wpatrując się we mnie z większym jeszcze niż poprzednio natężeniem. Mieszało to mnie, a żem nie skończył jeszcze śniadania, starałem się pokryć zmieszanie jedzeniem, lecz sztucce dzwoniły po talerzu, chwytalem w powietrzu za duże kęski szynki, krztusiłem się w pośpiechu lykaną herbatą.

— Hum! — mruknęła wreszcie ciotka.

Spojrzałem na nią nieśmiało.

— Pisałam do niego — rzekła.

— Do...?

— Do twego ojczyma. Wezwałam go, aby się ze mną na czysto rozmówił.

— Czy wie, gdzie się znajduje? — pytałem przerażony.

— Właśnie, pisałam mu to.

— I... czy mam mu być oddany? — wyjąknąłem.

— Zobaczymy — odparła ciotka.

— O! — zawołałem. — Nie wiem, co pocznę, jeśli mnie pan Murdstone znów weźmie.

<sup>150</sup>jakem spływał — inaczej: jak spływałem; przykład konstrukcji z ruchomą końcówką czasownika. [przypis edytorski]

— Nie wiem jeszcze, jak to będzie, zobaczymy...

Mrowie mnie przechodziło na samą tę myśl. Spuściłem głowę. Ciotka nie zwracała na mnie uwagi, przepasała fartuch, własnoręcznie wymyła i wytarła filiżanki i gdy wszystko już było w należyтым porządku, zadzwoniła na służącą, aby wzięła tacę. Następnie, wdziawszy rękawiczki, starannie zmiotła kurz ze sprzętów, nawet z posadzki, ustawiając w porządku meble i graczki. Po starannym dokonaniu tych czynności, zrzuciła fartuch i rękawiczki, złożyła je, schowała w przeznaczonym na to miejscu i wzięwszy robotę, usiadła z nią w oknie, zasłaniając się wachlarzem przed słońcem.

— Chciałabym — ozwała się, nawlekając igłę — abyś poszedł na górę, pokłonił się ode mnie panu Dickowi i spytał, jak mu idzie jego praca.

Byłem gotów spełnić dane mi zlecenie.

— Sądzę — ciągnęła ciotka, spoglądając na mnie bacznie i nawlekając wciąż nitkę — że ci nazwisko pana Dicka wydaje się przykrótkie.

— Krótkie jest istotnie — odrzekłem.

— Wiedźże, proszę, że to zdrobniałe jego imię, a sąsiad nasz nazywa się w istocie panem Ryszardem Babley.

Chciałem właśnie powiedzieć, że stosowniej byłoby może tak go nazywać, gdy ciotka uprzedziła mnie:

— Nie nazywaj go tylko tak nigdy, on tego nie znosi. Jest to dziwactwo, chociaż, prawdę mówiąc, nie ma w tym nic dziwnego, jeśli nam ktoś noszący pewne nazwisko wielką wyrządzi krzywdę, i samo nazwisko mamy w obrzydzeniu. Pan Dick tak się nazywa teraz tu i wszędzie, gdziekolwiek by się udał, czego zresztą nie uczyni nigdy. Pamiętaj o tym i nazywaj go nie inaczej jak „panem Dickiem”.

Upewniłem ciotkę, że się najchętniej zastosuję do jej zleceń, i wchodząc na schody, rozmyślałem, nad czym pan Dick pracować może. Wnosząc z tego, com ujrzał wchodząc, pracować musiał ciężko. Siedział z ogromnym piórem w ręku i z głową prawie położoną na papierze, a tak był pochłonięty pisaniem, że miałem sporo czasu przypatrzeć się i papierowemu latawcowi zwieszonemu nad biurkiem, i zwojom rękopisów leżącym na biurku przy stosach piór, a przede wszystkim już niesłychanej ilości atramentu zapelniającego tuziny całe przeróżnych rozmiarów flaszek i flaszeczek.

— O, Febusie! — zawołał, odkładając na bok pióro. — Jak się to wszystko składa na świecie... Chciałbym coś o tym wtrącić, ale jak obrócić, ale jak obrócić... — dodał ciszej, a dostrzegłszy mnie, nachylił się i nad samym zawołał mi uchem:

— Na szalonym świecie. Co prawda, dom wariatów, chłopcze!

Zaśmiał się wesoło i ze stojącej na stole tabakierki wziął niuch tabaki.

Nie śmiejąc wyrazić zdania w tak zawilej kwestii, powtórzyłem zlecenie, jakie mi dano.

— Dobrze — odrzekł pan Dick — wzajemnie oświadcz jej me uszanowanie. Uważam, że się posunął... Byłeś w szkole?

Przy tym pytaniu spojrział na swój rękopis.

— Tak panie, niedługo.

— Czy pamiętasz — spytał, porywając pióro — datę ścięcia Karola I<sup>151</sup>?

Odpowiedziałem, że miało to miejsce w tysiąc sześćset czterdziestym dziewiątym roku.

— Aha — rzekł, kładąc pióro za ucho i patrząc na mnie z powątpiewaniem. — Tak stoi wprawdzie w historii, wątpię jednak, aby to było dokładne. Bo to widzisz, jeśliby to miało miejsce tak dawno, jakim sposobem tyle kłopotów spadłych z jego głowy mogłoby dziś leżeć na mojej?

Zdumiony nie umiałem na to odpowiedzieć.

— Dziwne! — mówił pan Dick ze wzrokiem utkwionym w papiery, z dłonią zatopioną w siwych włosach. — Nie mogę wybrnąć z tego... Mniejsza z tym, mniejsza — dodał

<sup>151</sup>Karol I Stuart (1600–1649) — król Anglii i Szkocji, (1625–1649), następca Jakuba I Stuarta; z powodu wieloletniego konfliktu z parlamentem, chybionej polityki podatkowej i religijnej (obawiano się rekatolizacji Anglii) oraz dążeń absolutystycznych doszło do powstania, a następnie wojny domowej, król został uwięziony, osądzony i ścięty; po jego śmierci władzę w państwie ogłoszonym republiką sprawował jako lord protektor Olivier Cromwell (do 1658 r.), a następnie została przywrócona władza królewska (od 1660 r.), jednak charakter rządów uległ przekształceniu do formy monarchii parlamentarnej; Karol I został uznany przez Kościół Anglii męczennikiem, a data jego egzekucji, 30 stycznia, stanowi święto w kalendarzu liturgicznym. [przypis edytorski]

wesoło, wstając z miejsca — czasu mamy sporo przed sobą dla rozstrzygnięcia wszelkich wątpliwości. Pokłoń się ode mnie pannie Trotwood i powiedz proszę, że mi idzie nieźle, wcale nieźle.

Miałem już wyjść, gdy zwrócił uwagę moją na latawca.

— Jak ci się podoba? — spytał.

Podobał mi się bardzo. Pewien byłem, że wzbija się wysoko.

— Sam go zrobiłem — upewniał. — Puścimy go razem, widzisz?

Pokazał mi, że zrobiony był z rękopisów. Wiersze były gęste, lecz nieregularne i nieczytelne. Tu i ówdzie jednak wpadało w oko imię Karola I.

— O, sznur długi — mówił — i rzeczy te, fakty idą w górę, wysoko, wysoko! Jest to mój system rozprzestrzeniania ich. Nie troszczę się wcale, gdzie spadną. Zależy to od okoliczności, prądów i tak dalej, moja to już rzecz; dość, że się wzbija wysoko, wysoko!...

Wyraz jego twarzy był tak łagodny i uprzejmy, tak w całej jego rumianej postawie było coś godnego, żem pomyślał, iż żartuje ze mnie, i zaśmiałem się, czemu też z całego wtórował mi serca. Gdyśmy się rozstawali, byliśmy już przyjaciółmi.

— I cóż tam porabia pan Dick? — spytała mnie ciotka, gdy wrócił.

Powiedziałem, że przesyła swe uszanowanie i że mu idzie nieźle, wcale nieźle.

— Co myślisz o nim? — spytała ciotka.

Miałem chętkę dać wymijającą odpowiedź, lecz niełatwe to było z ciotką. Opuściła robotę na kolana i zakładając ręce, a patrząc mi bystro w oczy, rzekła:

— Szczerze! Siostra twoja, Betsey Trotwood, powiedziała mi bez wahania każdą myśl swoją. Bądź, o ile się da, do niej podobnym i otwartym.

— Czy pan Dick — jąkałem się — pytam, ciotko, bo sam nie wiem doprawdy, czy jest... przy zdrowych zmysłach?

— Najzupełniej — stanowczo odrzekła.

— Doprawdy?

— Najzupełniej — powtórzyła z mocą. — Nikt bardziej od niego nie jest w pełnym posiadaniu swych zmysłów.

— Doprawdy? — powtórzyłem nieśmiało.

— Miano go za wariata. Z prawdziwym i osobistym zadowoleniem to zaznaczam, że miano go za wariata niegdyś. Od lat dziesięciu, to jest od chwili, w której mnie twoja siostra Betsey tak zawiodła, jest on moim stałym towarzyszem i doradcą.

— Od tak dawna! — wtrąciłem.

— Śliczni to byli ludzie ci, co go za wariata poczytywali — ciągnęła. — Pan Dick jest dalekim moim kuzynem. Mniejsza z tym, w jakim stopniu, to nie należy do rzeczy. Gdyby nim nie był, nie byłby go brat rodzony zamknął i obezwładnił. W tym rzecz!

Zdaje mi się, że byłem tym razem nieco obłudny, lecz widząc, jak przedmiot rozmowy zajmuje ciotkę, udawałem też wielkie zainteresowanie.

— Dobry mi wariat — ciągnęła. — Pod pretekstem, że był nieco ekscentryczny, chociaż nie więcej od wielu innych, brat rodzony nie mógł go ścierpieć pod własnym dachem i chociaż mu ojciec umierając zlecił nad nim opiekę, zamknął go gdzieś w szpitalu. Mądry! On to sam, bez wątpienia, jest wariatem.

Wyglądałem równie jak mówiąca na przekonanego.

— Ale ja się wmieszałam — ciągnęła — uczyniłam następną<sup>152</sup> propozycję. Brat twój, powiedziałam, jest zdrow, zdrowszy stokroć od ciebie, pozwól mu pobierać małą rentę i niech zamieszka ze mną. Ja się go wcale nie boję, nie jestem próżna ani słaba, otoczę go staraniem i nie będę znęcać się nad nim, jak to czynili niektórzy... i nie w szpitalu nawet. Po wielu targach stanęło na moim. Wzięłam go, mam go tu. Najlepszy to, najmilszy pod słońcem, człowiek! Jedyny do rady! Tylko nikt go oprócz mnie nie zbadał, nie poznał.

Ciotka poprawiła suknię i potrząsnęła głową, tak jak gdyby wyzywała świat cały.

— Miał on — mówiła — siostrę, dobre, zacne stworzenie. Dobra była dla niego, cóż, zrobiła to, co i one wszystkie, wyszła za męża i tak jak wszystkie, zawiodła się. Ta jej niedola, wraz z tym, co wycierpiał od brata, wstrząsnęła jego umysł (nie jest to jednak wcale pomieszanie zmysłów!) do tego stopnia, że aż dostał gorączki. Coś mu z tego zostało. Powiedz, czy ci wspominał o Karolu I?

<sup>152</sup>następna (daw.) — tu: następująca. [przypis edytorski]

— Tak, ciotko.

— A widzisz — rzekła, trąc nos tak, jak gdyby się jej coś nie podobało. — Widzisz, używa tego rodzaju przenośni. Osobę własną spaja z wielkimi niedolami i tego imienia używa chętniej niż innych. Wszak to nikomu nie szkodzi.

— O nie, ciotko!

— Nie jest to, wyznając, pospolity i dla wszystkich dostępny sposób mówienia. Jeśli zresztą wspominam o tym, to dlatego tylko, że to właśnie nie powinno mieć miejsca w jego memoriale.

— Píše zatem memoriał własnego życia?

— Właśnie — rzekła ciotka, znów nos pocierając — pisze go do Lorda Kanclerza czy tam do kogo innego, czyją jest rzeczą otrzymywać memoriały. Píše o całej swej sprawie. Mam nadzieję, że się pomyślnie wywiąże z zadania. Dotąd płacze mu się ustawicznie pióro. Mniejsza z tym, praca ta zajmuje go, to ważne.

W rzeczy samej, z czasem przekonałem się, że od lat dziesięciu pan Dick starał się, bezowocnie niestety, usunąć ze swego memoriału płaczącego mu się wciąż pod piórem Karola I.

— Powtarzam — mówiła ciotka — że nikt, oprócz mnie, ani się domyśla, co to za dusza. Najmilszy, najlepszy z przyjaciół. I cóż, że lubi puszczać od czasu do czasu latawce? Niby to Franklin<sup>153</sup> ich też nie puszczał? A tamten był przecie kwakrem<sup>154</sup> czy tam czymś podobnym, a kwakrowi mniej niż komu bądź przystoi puszczać latawce.

Gdybym przypuszczał, że ciotka szczerę te opowiada mi jako dowód zaufania, czułbym się niesłychanie pochlebiony. Uważałem jednak, że chociaż zwracała mowę do mnie, mówiła o rzeczach tych, raz na nie wpadłszy, własnym raczej odpowiadając myślom. Jednocześnie gorąca ta jej obrona biednego, bezbronного starca nie tylko napełniła mi serce żywą otuchą, lecz jednała je dla siebie. Zrozumiałem, że pomimo dziwactw swych i ekscentryczności było w niej to, co wzbudza szacunek i zaufanie. I chociaż dnia tego była równie jak wczoraj sztywna, równie często i ostro wypadła na osły i ich właścicieli, chociaż w prawdziwy atak wściekłości wprawił ją jakiś młodzieniec oglądający się na stojącą w oknie Janet — nic już bardziej nad to nie mogło jej rozgniewać — wydała mi się godną szacunku, chociaż pozostawała równie straszna i niedostępna.

Nie podobna<sup>155</sup> wyrazić niepokoję, z jakim wyczekiwałem odpowiedzi na list wysłany do pana Murdstone. Mimo to starałem się być przyjemnym i użytecznym tak ciotce, jak jej przyjacielowi. Puszczalibyśmy razem latawce, gdyby mnie brak odzieży nie zatrzymywał w domu. Wychodziłem tylko o zmroku na krótką przechadzkę dla zdrowia. Nie oddalałem się wówczas od domu i ciotka nie spuszczała mnie z oka. Nadeszła wreszcie wyczekiwana odpowiedź. Ciotka oznajmiła mi, że pan Murdstone we własnej osobie przyjdzie nazajutrz rozmówić się z nią o całej tej sprawie. Nazajutrz, nadal spowity w szale, liczyłem godziny i minuty, targany na przemian nadzieją i trwogą, drżąc na samą myśl ujrzenia tej ponurej twarzy.

Ciotka dnia tego była niecierpliwsza jeszcze i bardziej niż kiedykolwiek zaszępią. Siedziała jak zwykle z robotą u okna i ja siedziałem naprzeciw niej, myśląc ciągle o wszelkich przypuszczalnych następstwach wyczekiwanych odwiedzin. Późno już było po południu i chociaż obiad miał być dnia tego opóźniony, już go ciotka kazała podawać, gdy miało

<sup>153</sup> *Franklin, Benjamin* (1706–1790) — amer. polityk, jeden z ojców-założycieli Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej; urodził się w Bostonie, mając 17 lat wyemigrował do Filadelfii, gdzie pracował początkowo jako drukarz, włączając się w życie społeczne kraju, by wreszcie rozpocząć karierę polityczną; jednocześnie oddawał się badaniom naukowym, m.in. przeprowadzał doświadczenia z latawcami, badając działanie ładunków elektrycznych; jest uważany za wynalazcę piorunochronu. [przypis edytorski]

<sup>154</sup> *kwakier* — jeden z członków Religijnego Towarzystwa Przyjaciół, którzy siebie nazywali właśnie przyjaciółmi (*friends*), zaś popularnie byli określanii prześmiewczo jako kwakrzy (z ang. *quakers*: drżący), co miało się odnosić do fizycznych reakcji towarzyszących praktykom doświadczenia mistycznego; kwakrzy, będący odłamem ang. purytanizmu, podkreślali wagę bezpośredniego (niewymagającego osób duchownych ani sformalizowanych nabożeństw), osobistego, wewnętrznego objawienia, nie tylko wierności Biblii, jak wiele wspólnot protestanckich; początki tej grupy religijnej sięgają 1646 r. i działalności George'a Foxa (1621–1691), kwakrzy byli prześladowani (co spowodowało ich emigrację m.in. do Ameryki i Niemiec) i dopiero w 1689 r. na mocy dekretu tolerancyjnego uzyskali wolność wyznania w Anglii; wśród zasad, którymi kierują się kwakrzy, wylicza się pacyfizm, zakaz składania przysięg, zakaz służby wojskowej oraz powstrzymywanie się od hucznych zabaw; puszczenie latawców raczej nie należy do takich. [przypis edytorski]

<sup>155</sup> *nie podobna* (daw.) — nie (jest) możliwe; nie można. [przypis edytorski]

miejsce nowe wtargnięcie osłów na wzbronione grunty i ku wielkiemu memu zdziwieniu w zbliżającej się do domu amazonce<sup>156</sup> poznałem pannę Murdstone.

— Z drogi! Z drogi! Nie tędy! — wołała, przechylając się przez okno ciotka. — Nie masz tu żadnego interesu, jak śmiesz wtargnąć aż tu, jakaś tam...

Chłodne i dumne zachowanie się panny Murdstone tak zirytowało ciotkę, że onie miała na chwilę, wbrew zwyczajowi nie zbiegając ze schodów. Szepnąłem jej, że nowo przybyła jest właśnie panną Murdstone, w towarzystwie brata, który nieopodal zsiadł już był z osła.

— Co mi tam kto! — zawołała ciotka rozmachująca wcale nie uprzejmie rękoma. — Nie pozwolę nikomu tu wtargnąć, nikomu! Precz stąd! Janet, wyprowadź, zawróć osła!

Rozpoczęła się prawdziwa potyczka. Osioł wparł się czterema kopytami w ziemię. Janet targała go za uzdę w prawo, panna Murdstone w lewo, ostatnia podniosła wreszcie na służącą parasol. Ulicznicy, zwabieni widokiem, z czynną pośpieszyli pomocą. Wtem ciotka moja dostrzegłszy wśród nich jednego ze swych najzaciętszych wrogów — dziesięcioletniego malca — wypadła jak bomba, schwyciła go i wciągnęła na dziedziniec, wołając na Janet, aby przyzwała natychmiast policjanta. Udało się jednak malcowi wymknąć z żelaznych szponów ciotki. Pozostawiając głębokie ślady przejścia na klombach, dopadł swego osła i pogalopował na nim, ile im obu sił starczyło.

Tymczasem panna Murdstone zsiadła i stanąwszy obok brata u wnijscia do ogrodu ze zwykłą sobie godnością wyczekiwała, aż ciotka zechce przybyłych powitać, lecz ta ostatnia zdyszana i zirytowana minęła ich, jak gdyby nie dostrzegając nawet. Musieli się zaanonsować przez Janet.

— Czy mam odejść? — spytałem, drżąc cały.

— Nie — rzekła — wcale nie! — Mówiąc to wepchnęła mnie w kąt, obok siebie, i zastawiła niby więźnia krzesłem. Pozostałem tak aż do końca sceny, z kąta i spoza krzesła przypatrując się wejściu pana i panny Murdstone.

— Och! — ozwała się ciotka moja. — Nie wiedziałam, kogo gromię, lecz nikt nie ma prawa tratować mojej murawy i nikt nie może stanowić w tym względzie wyjątku.

— Jest to prawo nieco niedogodne dla przybyszów — zauważyła panna Murdstone.

— Czyżby? — odrzekła ciotka.

Pan Murdstone, zapobiegając zapewne nowej utarczce, odezwał się:

— Panno Trotwood.

— Przepraszam pana — zauważyła, zwracając nań bystre spojrzenie. — Mam przed sobą pana Murdstone, męża wdowy po moim siostrzeńcu Dawidzie Copperfield z Wroniego Boru koło Blunderstone? Dlaczego mianowicie Wroni Bór, tego nie rozumiałam nigdy.

— Jestem nim — odparł pan Murdstone.

— W takim razie, wybaczy mi pan, lecz powiem otwarcie, że lepiej byś zrobił pozostawiając to biedne dziecko samej sobie.

— Tak dalece podzielałam to zdanie — wtrąciła panna Murdstone — że uważam naszą nieodżałowaną Klarę pod każdym względem za prawdziwe dziecko...

— Wielka to pociecha dla nas obu — odcięła się ciotka — że w naszym wieku wdzięki nasze nie narażą już nas pewno na podobny zarzut.

— Zapewne — dość kwaśno potwierdziła panna Murdstone — i z pewnością też o wiele szczęśliwiej byłoby dla mego brata, gdyby się nie wiązał tym małżeństwem. Zawsze byłam tego zdania.

— Nie wątpię o tym — rzekła ciotka, a zadzwoniwszy na służącą, dodała — Janet, poproś tu pana Dicka.

Czekając na przyjście przyjaciela, siedziała sztywna, milcząca, patrząc wprost przed siebie. Gdy wszedł pan Dick, przedstawiła go gościom:

— Pan Dick, stary i serdeczny mój przyjaciel, na którego zdaniu — słowa te wymówiła z emfazą, spoglądając poważnie na roztargnionego starca — polegamy najzupełniej.

Pan Dick odjął od ust palec, stając się poważny i skupiony. Ciotka skłoniła głowę panu Murdstone, który tak zaczął:

<sup>156</sup>amazonka — tu: kobieta uprawiająca jazdę konną. [przypis edytorski]

— Po otrzymaniu listu pani uważałem za obowiązek i jako dowód uszanowania dla niej...

— Bardzom panu wdzięczna — przerwała, nie odwracając odeń bystrego wzroku — nie o mnie jednak tu chodzi.

— ...przybyć tu raczej osobiście — ciągnął pan Murdstone — pomimo dość trudnej podróży. Nieszczęsny ten chłopiec, który zbiegł od przyjaciół i zajęć...

— I którego sam wygląd — wtrąciła siostra, wskazując mój istotnie dziwaczny kostium — jest już skończonym skandalem.

— Jane Murdstone — ofuknął ją brat — nie przerywaj mi z łaski swojej. Nieszczęśliwy ten chłopiec, panno Trotwood, był powodem nieprzyjemnych domowych zajęć i niepokojów, tak za życia nieboszczki mej żony, jak i potem. Usposobienie ma ponure, buntownicze, jest porywczy, krnąbrny, niedający się nagiąć. Tak ja, jak siostra moja pracowaliśmy nad wykorzenieniem jego przywar, daremnie, niestety! Oboje też z siostrą jesteśmy tego przekonania, że obowiązkiem naszym było osobiście zrobić przed panią niewesołe to zeznanie.

— Nie potrzebuję potwierdzać słów mego brata — dodała panna Murdstone — powiem tylko, że gorszego i bardziej zepsutego chłopca jak ten nie ma pod słońcem.

— Silnie! — rzekła krótko ciotka.

— Lecz wszystko to jest niczym w porównaniu z faktami — równie ostro odrzekła panna Murdstone.

— Ha! — mruknęła ciotka, zwracając się do pana Murdstone. — I cóż dalej? — spytała.

— Miałem — ciągnął, a twarz mu się coraz bardziej chmurzyła pod baczynym okiem mej ciotki — miałem najsilniejsze przekonanie, że tylko taki, a nie inny system edukacji może mu być pożyteczny. Przekonanie to zasada się w części na dokładnej znajomości jego charakteru, w części na równie dokładnej znajomości moich własnych środków, za które odpowiedzialność na mnie samym ciąży. Tyle tylko powiem. Chłopca powierzyłem czujności przyjaciela, umieściłem go w miejscu pewnym, uczciwym, lecz to mu się nie podobało, nie wystarczyło mu, uciekł, stał się najpospolitszym włóczęgą, obdarty udał się do pani, panno Trotwood, o pomoc i opiekę. Oto, co chciałem przedstawić pani i zwrócić jej uwagę na następstwa popierania chłopca w jego złych nawykach.

— Dobrze — rzekła ciotka — zacznijmy od tego „pewnego” miejsca. Sądzę, że umieściłbyś tam pan i własnego syna? Co?

— Syn mego brata — wtrąciła panna Murdstone — nie mógłby mieć podobnych skłonności.

— O! A jeśliby to biedne dziecię, jego matka, żyła, czy umieszczono by go, jej syna, w tym „pewnym” miejscu?

— Sądzę — rzekł, pochylając głowę, pan Murdstone — że Klara zgodziłaby się na wszystko, co byśmy z siostrą uznali za stosowne.

Panna Murdstone mruknęła twierdząco.

— Biedne dziecię! — zauważyła ciotka.

Pan Dick, który właśnie pobrzękiwał pieniędzmi w kieszeni, wprawił je w ruch tak gwałtowny, że aż ciotka musiała powstrzymać go spojrzeniem.

— A jej dochody? — spytała.

— Ustały wraz z życiem.

— Aha! Więc ten Wroni Bór, gdzie nigdy żadnej nie było wrony, nie jest dziedzictwem tego chłopca?

— Zostawiony był jego matce całkowicie i bezwarunkowo przez pierwszego jej męża — odrzekł pan Murdstone, lecz mu ciotka przerwała gwałtownie:

— Bój się Boga, człowiecze, nie tu miejsce mówić o tym „całkowicie i bezwarunkowo”. Mógłże<sup>157</sup> Dawid przewidzieć następstwa, chociaż były one jasne jak dzień? Spodziewam się, że zostawiał „całkowicie i bezwarunkowo”, lecz czyż nie znalazł się nikt, kto by stanął w obronie praw chłopca, gdy to dziecię powzięło nieszczęsne postanowienie powtórnego wstąpienia w małżeńskie związki z panem?

<sup>157</sup>mógłże — konstrukcja z partykułą pytającą -że (nadającą charakter pytania retorycznego); inaczej: czy mógł. [przypis edytorski]



— Nieboszczka żona moja — ozwał się pan Murdstone — kochała drugiego swego męża i ufała mu.

— Nieboszczka — odrzekła, potrząsając głową, ciotka — była przy tym najniepraktyczniejszym<sup>158</sup> i najniezszczęśliwszym dzieckiem. Oto czym była! A teraz co dalej?

— To tylko, panno Trotwood — odrzekł — żem przybył tu po Dawida, aby go zabrać z sobą i postąpić z nim, jak to sam uznam za stosowne. Sprawy z tego nie będę zdawał przed nikim, żadnych nie przyjmę warunków, żadnymi się nie zwiążę obietnicami. Pani go podżegasz w jego krnąbrności, widzę to jasno z postępowania i słów pani i muszę również jej oświadczyć, że jeśli mu chcesz udzielać schronienia, to już chyba na zawsze; jeśli masz stawać między mną a nim, to go musisz wziąć raz na zawsze, na swą odpowiedzialność. Żartów nie lubię i stroić takowych z siebie nie pozwolę. Przybyłem tu po raz pierwszy i ostatni, aby go zabrać. Czy gotów do drogi? Jeśli nie, jak to pani, Trotwood, utrzymujesz, drzwi moje zamykają się przed nim raz na zawsze i odchodzę w przekonaniu, że mu chyba otworzysz na oścież swoje.

Słów tych ciotka moja słuchała z natężoną uwagą, siedząc sztywna, z założonymi na kolanach rękoma, nie spuszczać mówiącego z oka. Gdy skończył, nie ruszając się wcale z miejsca, wzrok zwróciła na pannę Murdstone, pytając oschle:

— A pani co masz jeszcze do powiedzenia?

— Doprawdy — odrzekła zagadnięta — wszystko, co bym miała do powiedzenia, tak jasno wypowiedziane zostało przez mego brata, tak treściwie wyluszczył on fakty i pobudki, że pozostaje mi chyba podziękować pani za jej uprzejme przyjęcie, nader uprzejme — dodała z ironią, która nie bardziej wzruszyła ciotkę, jak nocleg mój w Chatham wzruszył działo, pod którym spałem.

— Zobaczmy, co na to powie ten chłopak. Czy chcesz wrócić do ojczyma, Davy? — spytała mnie łagodnie.

Odpowiedziałem, że nie chcę, i błagałem ją, aby mnie do tego nie zmuszała. Mówiłem, że ani pan, ani panna Murdstone nie lubili mnie nigdy, że nigdy nie okazali mi żadnej dobroci, że dręczyli moją biedną mamę za to, że mnie kochała, że rozumiałem to doskonale i Peggotty zaświadczyć może. Mówiłem, że byłem najniezszczęśliwszym pod słońcem dzieckiem, i błagałem — nie wiem już, jakimi słowy, lecz wiem, jak gorąco — ciotkę, aby mnie przez pamięć na mego ojca nie opuszczała.

— Co począc z tym chłopcem, panie Dick? — spytała przyjaciela.

Zawahał się, zebrał rozpierzchnięte myśli, uśmiechnął się:

— Ależ naturalnie kazać mu zaraz zrobić odzienie.

Ciotka triumfowała.

— Podaj mi pan rękę, jedyny jesteś do dobrej rady.

Uściskawszy dłoń przyjaciela, postawiła mnie przed sobą i, zwracając się do pana Murdstone, rzekła:

— Możesz pan odejść, kiedy się panu podoba. Biorę na siebie odpowiedzialność za tego oto chłopca. Jesliby nawet był istotnie taki, jakim go opisujesz, dam z nim sobie radę, najzupełniej jednak w to nie wierzę.

— Panno Trotwood — oburzył się powstając pan Murdstone — gdybyś była mężczyną...

— Ba! Głupstwo! Skończyliśmy z sobą.

— Co za wytworna grzeczność! — zawołała, powstając z miejsca, panna Murdstone. — Naprawdę zdumiewająca!

— Sądzisz może, że się nie domyślam — rzekła ciotka, zwracając się do pana Murdstone, głucha zupełnie na słowa jego siostry. — Sądzisz, że się nie domyślam, jakie to musiało być życie tego biednego, wyzyskiwanego dziecięcia? Sądzisz, że nie wiem, jak nieszczęsny był dzień, w którym na wieczystą jej niedolę zacząłeś mizdrzyć się i zalecać do niej, i brać na wędkę gorących spojrzeń i słodkich słówek, wykrzywiając się do tej biednej gąski?

— Co za wytworność wyrażen! — zawołała panna Murdstone.

— Wiem o tym tak, jak gdybym przy tym była — ciągnęła ciotka. — Teraz, gdy patrzę na pana i słucham pana, co wyznaję, najmniejszej nie sprawia mi przyjemności, teraz

<sup>158</sup>najniepraktyczniejszy — dziś popr. forma złożona: najbardziej niepraktyczny. [przypis edytorski]

rozumiem doskonale. Któż na pozór może być bardziej gładki, miękki niż pan Murdstone! Biedaczka nie znała ludzi! Słodki był jak miód, wielbił ją, szalał za nią, pieścił nawet jej chłopca, same słodkie na ustach miał obietnice, że zastąpi mu ojca, pokieruje w życiu i tak im dobrze będzie żyć razem w tym różanym gniazdku... Pfe! Gadzina!

— Jak żyję nie spotkałam podobnej osoby — zawołała panna Murdstone.

— Co, może nie tak? — ciągnęła ciotka. — A gdyś odurzył, oplątał tę wariatkę... (niech mi nieba przebaczą, że ją tak nazywam!...) uważałeś, żeś nie dokonał jeszcze dzieła zniszczenia, nie nadrczywszy do woli biednych ofiar, zacząłeś więc wychowywać ją po swojemu, łamać skrzydła biednej uwięzionej ptaszynie, uczyć ją śpiewać na twą tylko nutę.

— Szalona czy pijana? — wołała panna Murdstone wściekła, że niczym nie może zwrócić na siebie uwagi ciotki. — Przekonana jestem, że się musiała upić!

Ciotka Betsey, nie zważając na te jej wykrzyki<sup>159</sup>, zwracała ciągle mowę do pana Murdstone.

— Panie Murdstone — mówiła, grożąc mu palcem — byłeś tyranem tego biednego dziecięcia, złamałeś jej serce. Kochające to było stworzenie, wiem to, wiedziałam o tym dużo wcześniej, nim ją poznałeś. Uderzyłeś w najszabsze jej struny, porwałeś je, umarła od zadanych przez ciebie jej kochaniu ran. Ciesz się pan swym dziełem, ciesz się wraz ze swymi współnikami.

— Czy mogę spytać panią, kogo to, z łaski swej, pani pod mianem współników rozumie? — wtrąciła rozwścieklona panna Murdstone.

Głucha na jej słowa panna Betsey ciągnęła dalej:

— Jasne to było jak dzień, na długo przedtem, zanim ją spotkałeś... (że też Nieba na podobne zezwoliły spotkanie!...), że nieboga wcześniej czy później da się uwieść słodkim słówkom, wyjdzie powtórnie za męża. Ale żeby tak źle trafić miała, tego ja nawet nie przypuszczałam. Że wyjdzie prędzej czy później powtórnie za męża, to wiedziałam od dnia urodzenia tego oto chłopca, nad którym znęcając się, dręcząc, zabiłeś ją niebogę, co właśnie czyni ci obecnie sam widok tego dziecka tak wstrętnym. Nie, nie masz co się pan tak wzdrygać. Wiem dobrze, co mówię.

Odkąd zaczęła mówić, stał we drzwiach, z lekceważącym zrazu uśmiechem, chociaż z groźnie zsuniętą brwią. Teraz zauważyłem, że przy ostatnich słowach zbladł; zdawało się, jak gdyby chciał uciec. Odetchnął głębiej.

— Żegnam pana — kończyła ciotka — żegnam! I panią także — dodała, zwracając się nagle do panny Murdstone. — Ostrzegam też, że jeśli raz jeszcze ujrzę cię na grzbiecie osła tratującego mą murawę, jak mnie tu widzisz, zerwę ci kapelusz z głowy i własnymi stratuję nogami.

Chciałbym, aby malarz, i to niepospolity, mógł widzieć moją ciotkę rzucającą te słowa najniespodziewaniej w twarz pannie Murdstone i tę ostatnią, przyjmującą cios niespodziewany. Głos towarzyszący słowom był taki, że panna Murdstone nawet nie zdobyła się na odpowiedź i wspierając się na ramieniu brata, wyszła wyniosłe z domu. Ciotka z okna przyglądała się odchodzącym. Byłem pewny, że za lada wykroczeniem osłów gotowa jest w czyn wprowadzić dopiero co wyrzeczoną groźbę.

Pomału i w miarę ich oddalania się twarz jej pogodniała jednak i taki wreszcie rozświecił ją uśmiech, że chętnie bym ją uściskał, toteż idąc za pierwszym popędem serca zarzuciłem jej ramiona na szyję. Zwróciłem się potem do pana Dicka i zamieniałem z nim niezliczone uściski dłoni, którym wtórowały wybuchy głośnego jego śmiechu.

— Uważaj, proszę, siebie na przyszłość, łącznie ze mną, za opiekuna tego dziecka — rzekła do niego ciotka.

— Z miłą chęcią będę opiekunem syna Dawida — odrzekł.

— Wybornie! Wiesz co, myślę nazwać go Trotwood?

— Doskonale! Nazwiemy go Trotwood. Syn Dawida zostanie Trotwoodem.

— Trotwoodem Copperfield, jakieś się domyślił<sup>160</sup>, kochany przyjacielu!

— Tak, o tak, zapewne, Trotwood Copperfield — powtarzał pan Dick.

Gotową, kupioną tegoż jeszcze wieczoru bieliznę ciotka własnoręcznie naznaczyła podwójnym tym imieniem, postanawiając, że je odtąd zawsze nosić będę.

<sup>159</sup>wykrzyki — dziś: okrzyki a. wykrzykiwanie. [przypis edytorski]

<sup>160</sup>jakeś się domyślił — inaczej: jak się domyśliłeś; przykład konstrukcji z ruchomą końcówką czasownika. [przypis edytorski]

Tak tedy pod nowym mianem i w nowym otoczeniu nowe rozpocząłem życie. Teraz, gdy minęła niepewność co do dalszych mych losów, zdawało mi się, że wszystko dokoła mnie jest snem tylko. Nie zastanawiałem się nigdy nad tym, jak dziwną znalazłem parę opiekunów w osobie ciotki i pana Dicka. Myślałem o tym tylko, że Blunderstone cofa się w dal niezglębioną, a na życie moje w handlu „Murdstone i Grinby” gęsta opuszcza się zasłona. Zasłona ta nie podniosła się odtąd ani razu. Niechętną dłonią, we wspomnieniach moich, uchyliłem jej rąbka. Wspomnienia te, tak pełne dla mnie upokorzeń, cichych, pozbawionych wszelkiej nadziei żalów, że się przed nimi cofam mimo woli i nie chcę nawet liczyć dni trwania tych katuszy. Czy trwały rok, czy mniej, czy więcej? Nie wiem, wiem tylko, że istniały i minęły, zapisuję je tu i żegnám na zawsze.

## ROZDZIAŁ XV. NOWY POCZĄTEK

Pan Dick i ja zostaliśmy w krótkim czasie najlepszymi przyjaciółmi i często, gdy skończył swą codzienną pracę nad memoriałem, puszczałem razem wielkiego latawca. Codzienna ta pilna praca nie posuwała się jednakże naprzód. Wcześniej czy później zjawiał się zawsze Karol I, płątał wątek myśli i zmuszał autora do rozpoczynania od początku. Silne wrażenie wywierała na mnie cierpliwość, z jaką znosił ustawiczne te przeciwności, zdając sobie sprawę z tego, że ów Karol I brudzi, słabe czyniąc starania otrząśnięcia się z tego, w przekonaniu zresztą, że się go nigdy nie pozbędzie. Co zaś sobie rokował<sup>161</sup> na przypadek skończenia swego memoriału, do czego miał mu służyć — tego sam pono<sup>162</sup> nie wiedział. Nie potrzebował zresztą zaprzętać sobie tym głowy, gdyż najpewniejszą było pod słońcem rzeczą, że ów memoriał nigdy skończony nie będzie.

Dziwne też czynił wrażenie, gdy puszczał latawce. To, co mi mówił w swym pokoju o najlepszym sposobie rozpowszechniania myśli, budując latawce ze stronic niedokończonych memoriału, musiało być istotnym jego przekonaniem, z nieskończoną bowiem pogodą spoglądał na swe dzieło puszczone w górę, z rozkoszą lubując się, że mu ciągnie i szarpie ramię. Gdy siadywał wówczas obok niego na zielonym wzgórzu, zdawało mi się, że się mu rozjaśniają wraz ze wzrokiem i latawcem aż w niebiosą wzbite myśli. W miarę jak latawiec opadał i coraz niżej, niżej spuszczał się w słonecznych blaskach, pan Dick również zdawał się budzić ze snu, smutniał. Podnosił zakurzonego latawca ze wzrokiem tak błędnym, jak gdyby z latawcem sam spadł był na ziemię. Budził wówczas prawdziwą litość.

Robiąc postępy w przyjaźni z panem Dickiem, nie traciłem też łask mej ciotki. Dobra była dla mnie i w przeciągu kilku tygodni spieściła nadaną mi nazwę Trotwood na Trot, pozwalając cieszyć się nadzieją, że może, z czasem, posiądę w jej sercu i względach miejsce przeznaczone ongi siostrze mojej nieurodzonej — Betsey Trotwood.

— Trot — rzekła pewnego wieczoru, rozpoczynając zwykłą partię tryktraka<sup>163</sup> z panem Dickiem — nie powinniśmy zapominać o twym wychowaniu.

Był to właśnie jedyny przedmiot mych niepokojów. Uszczęśliwiony więc byłem, że poruszyła tę kwestię.

— Czy chciałbyś pójść do szkół w Canterbury<sup>164</sup>? — spytała.

Odpowiedziałem, że bardzo, zwłaszcza że było to w pobliżu miejsc przez nią zamieszkałych.

— Dobrze — odrzekła. — Czy chcesz pójść od jutra?

Znałem szybkość postanowień ciotki i ta nagłość nie zdziwiła mnie bynajmniej<sup>165</sup>.

<sup>161</sup>rokować (daw.) — przewidywać, zapowiadać. [przypis edytorski]

<sup>162</sup>pono — podobno. [przypis edytorski]

<sup>163</sup>tryktrak (ang. *backgammon*) — gra planszowa dla dwóch osób, każda z nich stara się przeprowadzić swoich 15 pionków do domu, dbając o to, żeby nie pozostawiać ich samotnie na polu, co umożliwia przeciwnikowi zabicie pionka. [przypis edytorski]

<sup>164</sup>Canterbury — jedno z najważniejszych miast hrabstwa Kent w Anglii. Słynne z monumentalnej, późnogotyckiej katedry w stylu perpendykularnym (a. strzelistym), charakterystycznym dla ang. architektury od końca XIV do pocz. XVI w., którego cechami są: wertykalizm, podkreślenie liniowania (gł. pionowego), sklepienia sieciowe a. wachlarzowe oraz zastosowanie łuku ostrego obniżonego, czyli tzw. łuku Tudorów. Początki osady sięgają epoki brązu i neolitu, nazwa zaś stanowi pamiątkę ludu celtyckiego Kantów zamieszkującego sąsiednie tereny, a tu posiadającego warownię. Canterbury jest siedzibą głównego arcybiskupstwa w kraju: arcybiskup Canterbury jest prymasem Anglii, głową Kościoła Anglii i całej wspólnoty anglikańskiej. [przypis edytorski]

<sup>165</sup>bynajmniej — wcale (dosł.: jak najmniej). [przypis edytorski]

— Z przyjemnością — odrzekłem.

— Dobrze — zdecydowała. — Janet, najmiesz wózek z siwym koniem na godzinę dziesiątą jutro rano, a dziś wieczorem jeszcze spakujesz rzeczy panicza.

Uszczęśliwiony byłem, miałem jednak wyrzuty sumienia, dostrzegłszy wrażenie, jakie przygotowania te wywarły na panu Dicku. Posmutniał jakby i stał się tak roztargniony w grze, że ciotka złożyła karty, odkładając partię na później. Dopiero gdy się dowiedział, że będą przyjeżdżał na niedzielę, on zaś z ciotką odwiedzać mię będzie we środy, ożywił się nieco i oświadczył, że zrobi nowego, większego latawca. Nazajutrz z rana był znów przybity i chciał ulżyć żalowi, oddając mi wszystkie, jakie posiadał w woreczku, złote i srebrne monety. Po wdaniu się ciotki datek musiał się ograniczyć do pięciu szylingów i dopiero na usilne prośby wzrósł do dziesięciu. U bramy ogrodu pożegnaliśmy się jak najczulej. Pan Dick stał, patrząc na nas, dopóki mógł nas dojrzeć.

Ciotka, gardząc najzupełniej tym, co o niej powiedzą lub pomyślą, powoziła sama, siedząc wyprostowana, mając w ręku lejce i bacząc, by koń na krok nie zboczył z wytkniętej przez nią drogi. Dopiero za miastem dała mu nieco swobody i spoglądając na mnie, siedzącego obok niej niziutko, na poduszkach, spytała, czy się czuję zadowolony.

— Nadzwyczajnie — odrzekłem — i bardzo wdzięczny<sup>166</sup> cioci.

Zadowolona widać była z tego, gdyż, mając obie ręce zajęte, pogłaskała mnie po głowie biczem.

— Czy duża to i liczna szkoła? — pytałem ośmielony.

— Ha! Nie wiem. Udamy się najpierw do pana Wickfielda.

— Czy to on prowadzi szkołę?

— Wcale nie, jest mecenasem.

Nie pytałem więcej i rozmowa przeszła na inny przedmiot aż do wjazdu do Canterbury. Dzień był targowy i ciotka musiała wymijać nieskończoną ilość wozów, wózków, koszów z jarzynami, straganów, przekupniów różnego rodzaju. Zewsząd wołano na nas i krzyczano niezbyt uprzejmie, to wcale jednak nie działało na ciotkę. Torowała sobie drogę śmiało, niby przez zawojowaną krainę.

Zatrzymaliśmy się wreszcie przed bardzo starym domem wystającym na ulicę, z niskimi, choć szerokimi i okratowanymi oknami, z belkami u stropu rzeźbionymi i sterczącymi na zewnątrz tak, jak gdyby dom cały wychylał się naprzód, aby lepiej móc oglądać całą wąską ulicę wzdłuż. Dom ten, choć stary, był nadzwyczaj czysty. Staroświecka kołatka u sklepionej bramy, ozdobna w rzeźbione równianki kwiatów i owoców, połyskiwała na kształt gwiazdy; kamienne stopnie odznaczały się niepokalaną bielą, a wszystkie gzymsy, rzeźby, szkła w oknach, choć wiekowe, lśniły śnieżną białością.

Gdy się wózek zatrzymał przed domem, dojrzałem w oknie, po jednej stronie domu, trupioblada twarz, która znikła natychmiast i po chwili ukazała się pod sklepieniem, w otwartej bramie. Twarz ta, jak już mówiłem, trupioblada, widziana z bliska posiadała odcień różowawy, zwykły rudowłosym ludziom, należała też do rudowłosego piętnastoletniego, jakem się potem dowiedział<sup>167</sup>, gdyż wyglądał on o wiele starzej, chłopaka. Włosy na głowie miał zupełnie obcięte, nad oczyma zaledwie dostrzec można było ślad brwi, co zaś do rzęs, tych, zdaje mi się, wcale nie dostrzegłem u brzegu powiek nad brunatnymi oczyma, tak szeroko otwartymi i niczym nieprzysłoniętymi, żem wątpił niemal, czy i sen skleić je zdoła. Barczysty i kościsty, odziany był przyzwoicie, w czarny, szczerze pod szyję zapięty surdut z białą kokardą. Zauważyłem długie, chude, kościste ręce, którymi, stojąc na progu, gładził szyję konia, spoglądając przy tym na nas.

— Uriah Heep! — zawołała ciotka. — Czy pan Wickfield w domu?

— W domu, proszę panią<sup>168</sup> — odrzekł, wskazując długą ręką wnijście.

Wysiedliśmy i, zostawiając mu kuca, weszliśmy do komnaty, przez której okno ujrzałem go dmuchającego w nozdrza konia i natychmiast przykładającego do nich swe dłonie, jak gdyby spełniał jakieś zakłęcie. Naprzeciw wysokiego kominka wisiały dwa portrety:

<sup>166</sup>bardzo wdzięczny — forma skrócona; inaczej: bardzo jestem wdzięczny. [przypis edytorski]

<sup>167</sup>jakem się (...) dowiedział — inaczej: jak się dowiedziałem (konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika). [przypis edytorski]

<sup>168</sup>proszę panią — zwrot towarzyszący zaproszeniu do wnętrza domu; zwrot czysto grzecznościowy wymusza użycie rzeczownika w D., nie zaś w B. i brzmiałby: „proszę pani”. [przypis edytorski]

mężczyzny z siwymi włosami (choć bynajmniej<sup>169</sup> niestarego jeszcze) i z czarną brwią, spoglądającego na trzymane w ręku papiery przewiązane czerwoną wstążką, i kobiety o bardzo spokojnym i łagodnym wyrazie twarzy.

Oglądałem się, czy nie ujrzę gdzie czasem podobizny Uriaha, wtem otwarły się drzwi w głębi pokoju i ukazał się w nich mężczyzna tak podobny do wiszącego na ścianie portretu, że mimo woli obejrzałem, czy to nie portret wyszedł czasem z ram swoich. Dopiero gdy się zbliżył, zauważyłem, że starszym jest o lat kilka od malowidła.

— Panno Betsey Trotwood — rzekł uprzejmie — proszę, proszę dalej. Zajęty byłem przed chwilą! Niech mi pani to wybaczy, wszak znany pani cel mój.

Ciotka powitała go i weszliśmy do następnego pokoju, gabinetu raczej, napełnionego księgami, papierami, szafami, z oknem na ogród, z żelazną szafą stojącą tak blisko kominka, że się dziwiłem, którędy kominiarze przystępu do niego znajdują.

— Jakież tu panią sprowadzają interesy? — spytał pan Wickfield, gdy domyśliłem się, że on to był prawnikiem i rządcą obszernych dóbr bogatego w okolicy pana. — Czy aby pomyslnie?

— Nie po prawną przybywam tym razem poradę — odrzekła ciotka.

— Tym lepiej, pani, tym lepiej.

Włosy miał już zupełnie białe, brwi pozostały czarne. Twarz miał przyjemną i musiał być piękny kiedyś. Posiadał tę siną karnację, którą pod wrażeniem pana Peggotty, wraz z otyłością i brzmieniem głosu, przywykłem przypisywać użyciu spirytusowych trunków. Ubrany był starannie, w granatowy surduty, kamizelkę w prążki i nankinowe spodnie, miał kołnierz i gors od koszuli tak cienki, biały i miękki jak puch łabędzi.

— Oto mój wnuk, po bratanku — rzekła ciotka.

— Nie wiedziałem, że pani masz wnuka — zauważył.

— Adoptowałam go — odrzekła z obojętnym skinieniem dłoni, jakby obojętne jej było, co mu jest znane, a co nieznane — i oto przywiozłam go tu, chcąc umieścić w szkole, gdzie by się mógł dobrze uczyć i dobrze być traktowany. Niechże mi pan powie, gdzie się mam udać.

— Zanim udzielę pani stosownej rady — rzekł prawnik — pozwolę sobie postawić pytanie. O! Zwyczajne moje pytanie: jakie pobudki skłoniły panią do tego?

— Macie go! — zawołała ciotka. — Znów pobudki! Jak gdyby nie były one widoczne jak na dłoni. Idzie mi o dobro dziecka.

— Jest to zapewne pobudka złożonej natury — potrząsnął głową z niedowierzającym uśmiechem.

— Złożonej! Pleciesz pan banialuki! — odparła żywo ciotka. — Sądzisz, że tylko sam jeden posiadasz jakiś cel zupełny, jedyny, jak gdybyś pan był tylko jednym uczciwym na całym świecie człowiekiem.

— Aj — zauważył z uśmiechem — ja bo istotnie mam jeden tylko cel w życiu, inni mają ich po kilka, kilkanaście, nieraz po tysiąc najrozmaitszych. A ja mam jeden, jedyny, w tym rzecz. Nie wchodzi to jednak w tę sprawę. Najlepsza szkoła? Mniejsza o pobudki, żądasz pani najlepszej, co?

Ciotka skłoniła twierdząco głowę.

— W najlepszej, jaką posiadamy — rzekł rozważnie prawnik — wnuk pani mieszkania nie znajdzie.

— Trzeba przecie, aby gdziekolwiek mieszkał — wtrąciła ciotka.

Prawniki zgodził się z tym, a po długich naradach ofiarował się towarzyszyć jej do szkoły i do paru domów, gdzie można byłoby mnie umieścić. Ciotka przyjęła propozycję i mieliśmy już właśnie wychodzić, gdy nagle zatrzymał się, mówiąc:

— Mały nasz przyjaciel mógłby nam przeszkadzać. Czy nie byłoby więc lepiej zostawić go tutaj?

Już ciotka miała się temu oprzeć, gdy dla ułatwienia rzeczy oświadczyłem, że z miłą chęcią zostanie. Zostałem i, wróciwszy do gabinetu prawnika, usiadłem na zajmowanym przedtem krzeselku, czekając cierpliwie ich powrotu.

Krzesło to stało jak raz naprzeciw wąskiego przejścia zakończonego wpół okrągłą komnatą i zobaczyłem wyglądającą z niej przez okno twarz Uriaha. Teraz, odwiódlszy

<sup>169</sup>bynajmniej — wcale (dosł.: jak najmniej). [przypis edytorski]

kuca do stajni, siedział naprzeciw mnie za stołem, na którym piętrzyły się papiery. Przepisywał coś właśnie, a chociaż twarzą zwrócony był do mnie, sądziłem, że jest zajęty pisaniem i nie zważa na mnie wcale, dopiero po jakimś czasie dostrzegłem jego zaczerwienione, do słońc zarumienionych podobne oczy podnoszące się na mnie co chwila znad papierów. Próżno starałem się uchylić, przestawiałem krzesło i wpatrywałem się w wiszącą na ścianie mapę, przeglądałem dzienniki, spojrzenie oczu tych pociągało mnie i odwracając się, dostrzegłem je wlepione we mnie, podnoszące się na mnie lub dopiero co odwracające się ode mnie.

Nareszcie i po długiej nieobecności ciotka moja i prawnik wrócili, niezupełnie zadowoleni z wycieczki. Szkole wprawdzie ciotka nic nie miała do zarzucenia, lecz żaden ze zwiedzonych dla umieszczenia mnie domów nie zadowolili jej wymagań.

— Prawdziwa bieda, Trot — mówiła. — Sama nie wiem doprawdy, co począć.

— Bieda — wtrącił pan Wickfield — ale mam na to radę.

— Jaką? — spytała.

— Pozostawić go tymczasem u mnie. Spokojne to dziecko nie będzie mi przeszkadzało, a dom mój odpowiedni jest dla nauki, cichy, spokojny i niemal tak obszerny jak klasztor. Zostaw go tu pani.

Projekt ten podobał się widocznie ciotce, wahała się jednak przez delikatność zapewne.

— Zgódź się pani — nalegał prawnik — nie ma innego jak na teraz wyjścia, zresztą umowa czasowa i jeśli nam wzajemnie okaże się niedogodna, znajdziemy coś stosowniejszego, na teraz najlepiej byłoby pozostawić go tutaj.

— Bardzo będę wdzięczna, a i on także, ale, bo...

— Wiem już, wiem, o co idzie! — zawołał prawnik. — Ciężyłoby to pani, panno Trotwood, gdybyś się czuła w najmniejszej bodaj mierze komuś za coś zobowiązana. Płać pani za niego, jeśli ci się tak podoba, targu dobijemy prędko.

— W takim razie — podchwyciła ciotka — i choć to nie zmniejsza mej wdzięczności, z miłą chęcią zostawiłabym go tu.

— Trzeba się tedy umówić z moją gosposią — rzekł pan Wickfield.

Weszliśmy przez dziwnie stare schody, z poręczą tak szeroką, że wygodnie można było na niej się rozsiąść, do ciemnego salonu, oświetconego misternymi oknami, którem zauważył był<sup>170</sup> z ulicy. Ławy we wnęce, podobnie jak i podłoga, i belkowanie na suficie, były dębowe. Fortepian i trochę kwiatów, sprzęty pokryte czerwonym i zielonym materiałem rozweselały mroczny salon o niezliczonej ilości kątów, w których stały stoliczki, komódki, biureczka, fotele, tak rozstawione, że zmieniały kąt każdy na najwygodniejsze niby gniazdko, a przechodząc dalej, można się było przekonać, że wszystkie zarówno były przytulne i miłe. Wszędzie zresztą panował spokój i odznaczająca całe domostwo niepokalana czystość.

Pan Wickfield zapukał do drzwiczek skrytych w tapetowanej ścianie. Po chwili ukazała się w nich dziewczynka w moim wieku, która rzuciła mu się na szyję. Twarzyczka jej miała ten sam wyraz spokoju i łagodności, co twarz kobiety na portrecie, tam na dole. Zdawało mi się nawet, że to portret wrósł w lata, oryginał zaś pozostał dzieckiem. Pomimo rozlanej na twarzyczce wesołości, w całej postawie dziewczynki był cichy spokój, który rzucił mi się przede wszystkim w oczy i na zawsze pozostał w pamięci.

Była to wyżej wzmiankowana przez prawnika gosposia, córka jego, Agnieszka. Słyszając, jak do niej i o niej mówił, widząc, jak tulił ją do siebie, zrozumiałem, co było onym jednym, jedynym jego celem.

U paska miała zawieszony woreczek z kluczami i wyglądała na bardzo staranną i poważną gospodynię. Z uśmiechem wysłuchiwała, co jej ojciec mówił o mnie, a gdy skończył, zaproponowała ciotce obejrzenie mojego pokoiku. Poszliśmy wszyscy razem, ona przed nami, po ślicznych dębowych schodach; sufit zdobiły także dębowe belki, w oknach błyszcząły szyby.

Nie pamiętam już, kiedy i gdzie w dzieciństwie moim zdarzyło mi się widzieć malowane w kościele okna, lecz teraz, gdy stanęła na najwyższym stopniu starych schodów,

<sup>170</sup>którem zauważył był — daw. forma czasu zaprzeczonego; znaczenie: które zauważyłem uprzednio (wcześniej, zanim miały miejsce zdarzenia i czynności wyrażone czasem przeszłym zwykłym). [przypis edytorski]

oglądając się i czekając na nas, przypomniały mi się owe szyby, a odtąd za każdym razem, gdy widział malowane okna w kościele, przypominała mi się Agnieszka Wickfield.

Wszystko zadawało nieskończenie ciotkę. Wróciliśmy do salonu w wybornym usposobieniu. Że zaś ciotka nie chciała za nic zostać na obiedzie, a pan Wickfield znał ją za dobrze, by nalegać, podano przekąskę, po czym prawnik odszedł do swego gabinetu, Agnieszka do nauki, a nas pozostawiono samych.

Ciotka oznajmiła mi, że mnie zleciła prawnikowi, udzielając mi przy tym rad najlepszych i najserdeczniejszych.

— Trot — mówiła — ufaj sobie, mnie i panu Dickowi, a Nieba wspierać cię będą.

Wzruszony byłem, dziękowałem stokrotnie, prosiłem, aby kłaniała się ode mnie panu Dickowi.

— Nigdy — ciągnęła — nie bądź podłym ani fałszywym, ani okrutnym. Unikaj tych trzech rzeczy, a nie zawiedziesz moich nadziei.

Obiecywałem z całego serca. Nie, nie chciałem zawieść jej ufności i dobroci.

— Koń już zaprzężony — skończyła — odjeżdżam. Zostań tu. — Mówiąc to uściskała mnie szybko i zatrzasnęła drzwi za sobą. Zrazu ogłuszyło mię to nagłe odejście, bałem się, czy się jej czasem czym nie naraziłem, lecz spojrzawszy przez okno i widząc, jak smutną była, wsiadając do wózka, i że odjeżdżała, nie obejrzałem się nawet, zrozumiałem ją lepiej.

Około piątej godziny, o której u prawnika obiadowano, byłem już spokojny i przy dobrym apetycie. U stołu były tylko dwa nakrycia, lecz w stołowym pokoju czekała nas Agnieszka i usiadła naprzeciw ojca. Wątpię, czy potrafiłby obejść się bez niej przy obiedzie.

Po obiedzie wróciliśmy do bawialnego pokoju. W jednym z rozkosznych kątów Agnieszka przygotowała już była dla ojca kieliszki i wino. Przygotowane przez inne ręce nie smakowały mu zapewne.

Siedział tak ze dwie godziny, popijając wino, a przyznać trzeba, że pił wiele. Tymczasem Agnieszka grała na fortepianie, szyła, rozmawiała. Prawnik wesół był i rozmowny z nami, lecz od czasu do czasu, wpatrując się w córkę, zapadał w milczenie i chmurniał. Ona ciągle miała zwróconą na niego uwagę i natychmiast pytaniem jakimś lub pieszczotą budziła z ponurej zadumy. Otrząsał się wtedy z zamyślenia i znów popijał wino.

Potem Agnieszka rozlewała herbatę i znów siedzieliśmy razem, aż do pójścia na spoczynek. Na dobranoc ojciec uściskał ją kilkakrotnie, a gdy odeszła, kazał zapalić światło w swym gabinecie. Poszedłem też spać.

Z wieczora jeszcze wyszedłem na chwilę na ulicę, aby się lepiej przypatrzeć staremu domostwu i szarej katedrze. Przypomniało mi się, że nie tak dawno jeszcze wędrowałem<sup>171</sup> przez to miasto. Możliwym przechodziłem<sup>172</sup> i koło tego domu, w którym obecnie znalazłem schronienie? Wracając do salonu, spostrzegłem Uriaha zamykającego właśnie kancelarię. Przyjaźnie dla wszystkich usposobiony, zbliżyłem się do niego, przemówiłem i na dobranoc podałem rękę. Cóż to za lepka była dłoń! Śmiertelnie zimna i wilgotna. Ledwie osuszył i rozgrzał<sup>173</sup> moją. Dłoni tej zapomnieć nie mogłem. Kiedy siedziałem potem przed zaśnięciem przy oknie i widziałem wysuwającą się ku mnie spod dachu rzeźbioną belkę, zdawało mi się, że widzę na niej widmo Uriaha Heepa! Śpiesznie zamknąłem okno.

## ROZDZIAŁ XVI. ZMIENIAM SIĘ POD WIELU<sup>174</sup> WZGLĘDAMI

Nazajutrz rano, po śniadaniu, rozpocząłem nowe szkolne życie. W towarzystwie pana Wickfielda udałem się na arenę przyszłych mych nauk. Był to budynek ciężki, w głębi podwórza, istny przybytek nauki. Takim przynajmniej musiał się wydawać zlatującym z wież katedry wronom i gawronom, przechadzającym się z napuszeniem uczonych po murawie dziedzina. Przedstawiono mnie nowemu memu przelożonemu, doktorowi Strong.

<sup>171</sup> *żem (...) wędrował* — inaczej: że wędrowałem (konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika). [przypis edytorski]

<sup>172</sup> *możem przechodził* — inaczej: może przechodziłem (konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika). [przypis edytorski]

<sup>173</sup> *ledwie osuszył i rozgrzał* — inaczej: ledwie się osuszyłem i rozgrzałem (forma skrócona, a przy tym konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika). [przypis edytorski]

<sup>174</sup> *pod wielu* — dziś popr. forma N.: wieloma. [przypis edytorski]

Wyglądał jakby był tak zardzewiały jak zawiasy u odwiecznej bramy i sztachety płotu, a równie ciężki jak kamienne urny, niby kręgle wystawione dla igraszki Czasu w regularnych odstępach, wzdłuż ogrodzenia z czerwonej cegły okalającego dziedziniec. Siedział w bibliotece swej, niezbyt starannie ubrany i uczesany. Szelki miał spuszczone, niepopinane getry, a trzewiki dwiema jamami czerniały przed kominkiem. Zwrócił na mnie wygasły wzrok, który mi przypomniał oczy ślepego konia pasącego się wśród mogił na cmentarzu w Blunderstone. Powitał uprzejmie, podał rękę, ale tak sztywną, że sam nie wiedziałem, co z nią mam począć.

Nieopodał, z robótką w rękę, siedziała bardzo piękna, młoda pani, zapewne córka doktora, którą nazywał Annie. Teraz przykłęka przed nim, aby mu zapiąć getry, a wywiązywała się z tego wesoło i zręcznie. Gdyśmy wchodzili do klasy, zdziwiło mnie niemało, że ją pan Wickfield pożegnał, zowiąc: „pani Strong”. Czyż byłaby ona synową, a może żoną doktora? Wątpliwość tę niebawem rozstrzygnął sam doktor. Zatrzymując się w drzwiach, z ręką opartą na mym ramieniu, spytał pana Wickfielda:

— Aha! Czyś nie upatrzył jeszcze miejsca dla kuzyna mojej żony?

— Nie, nic dotąd nie mam — odparł pan Wickfield.

— Chciałbym, aby to można było załatwić jak najprędzej — ciągnął doktor. — Jack Maldon jest w potrzebie i nic teraz nie robi, a są to dwie najgorsze rzeczy dla młodego człowieka. Jak to tam mówi doktor Watts? — spytał, patrząc na mnie i kiwając głową w chwili, gdy cytował mądre słowa — „Dla rąk próżnujących znajdzie się zawsze praca u szatana<sup>175</sup>”.

— Słusznie, doktorze! — potwierdził prawnik. — Gdyby jednak doktor Watts<sup>176</sup> lepiej znał świat i ludzi, mógłby równie trafnie powiedzieć, że i „dla rąk zajętych znajdzie się praca u szatana”. Ileż złego od dwóch już niemal stuleci czynią i niepróżnujący ludzie! Iluż to z nich nieuczciwymi drogami dochodzi do fortuny i znaczenia!

— Ręczę, że Jack Maldon nie dojdzie ani do jednego, ani do drugiego — rzekł doktor w zamyśleniu, trąc podbródek.

— Być może, wróćmy więc do przedmiotu naszej rozmowy, od którego odbiegłem. Nic, nic dotąd wynaleźć nie mogłem. Sądzę, że przeniknął — tu pan Wickfield zawahał się nieco — twoje, doktorze, pobudki i to właśnie utrudnia położenie...

— Pobudką moją — odrzekł doktor — jest chęć dostarczenia pracy i chleba kuzynowi i towarzyszowi dziecięcych zabaw mej żony.

— Tak, wiem o tym! W kraju albo za granicą?

— Tak! — rzekł w zamyśleniu doktor, zaskoczony naciskiem, z jakim pan Wickfield wypowiedział ostatnie swe zdanie. — W kraju albo za granicą.

— Są to własne twe słowa: „albo za granicą”.

— Tak, oczywiście. Tu albo tam.

— Nie zdecydowałeś więc gdzie? — nalegał prawnik.

— Nie...

— Nie? — spytał zdziwiony pan Wickfield.

— Nie.

— Jak to, nie masz żadnych pobudek wyboru pomiędzy jednym a drugim?

— Najmniejszych — odrzekł doktor.

— Muszę ci wierzyć — rzekł prawnik — nie mogę nie wierzyć! Ułatwia to zresztą przedsięwzięcie. Wyznaję, że zrozumiał cię z początku inaczej.

Doktor Strong spoglądał na mówiącego z pewnym zdziwieniem. Teraz się uśmiechnął, a uśmiech ten, łagodny i dobrotliwy, wraz z całą pogodną prostotą jego sposobu bycia, pociągnął mnie od razu. Powtarzając: „ależ nie, nie, w najmniejszej mierze”, szedł przed nami. Za nim postępował poważny pan Wickfield i zamyślony potrząsał głową, nie zważając zresztą na to, że mu się przyglądam.

<sup>175</sup>Dla rąk próżnujących znajdzie się zawsze praca u szatana — cytowane tu słowa (w oryg. „Satan finds some mischief still for idle hands to do”) pochodzą z pouczającego wiersza Isaaca Watta (1674–1748) o pracowitości pszczoły, pt. *Against Idleness and Mischief* (tj. przeciw beczynności i szkodnictwu). [przypis edytorski]

<sup>176</sup>doktor Watts — właśc. Isaac Watts (1674–1748), pastor anglikański, teolog, pisarz, autor podręcznika logiki oraz ok. 750 hymnów, które zyskały sobie znaczną popularność; obfita twórczość w tym zakresie stanowiła pole ewangelizacji i była istotną częścią jego pracy duszpasterskiej; zyskał sobie przydomek „Ojca Hymnodii Angielskiej”. [przypis edytorski]



Szkolna izba, obszerna i jasna, znajdowała się w głębi domu, z widokiem na ogrodzenie z cegieł z urnami na wierzchu i na kawał ogrodu należącego do doktora; w ogrodzie tym rumieniły się na słońcu brzoskwinie. Pod oknami, na trawniku, dwa olbrzymie aloesy rozpościerały mięsiste, drobnoząbkowane liście, których widok odtąd wywołuje we mnie zawsze uczucie skupienia i ciszy. W klasie siedziało nad książkami około dwudziestu pięciu uczniów. Wszyscy powstali na widok wchodzącego z gośćmi doktora.

— Przywodzę<sup>177</sup> wam — ozwał się doktor — nowego towarzysza, nazwiskiem Tro-wood Copperfield.

Na te słowa jeden z uczniów, nazwiskiem Adams, gospodarz klasy, wyszedł z ławki, aby mnie powitać. W wysokim kołnierzyku i białym krawacie robił wrażenie młodego duchownego. Uprzejmy jednak i wesół, wskazał mi miejsce, które miałem zająć, i przedstawił mnie nauczycielom w sposób swobodny i ujmujący, i ośmielający mnie zarazem.

Tyle jednak czasu upłynęło (czy mi się może czas tak bardzo przedłużył?), odkąd rozstałem się z moimi szkolnymi towarzyszami i rówieśnikami (z wyjątkiem Micka Walkera lub Mączystego Kartofla), że mi się czuło teraz obcy i zmieszany. Ciężka mi świadomość przeżytych scen, o których ci oto moi rówieśnicy nie mieli pojęcia, ogromu zdobytych, nieznanych im i nieodpowiednich memu wiekowi, wyglądowi, położeniu, doświadczeń. Zdawało mi się niemal, że ponowne wstąpienie do szkoły jest nadużyciem, oszustwem. W przeciągu czasu, mniejsza z tym, dłuższego czy krótszego, spędzonego pod skrzydłami „Murdstone i Grinby”, tak odwykłem od zabaw i rozrywek dziecięcych, że mi się obecnie nie umiało zabrać do nich, a to, czegom się był przedtem uczył<sup>178</sup>, wyleciało z pamięci wśród trosk powszednich. Toteż po przeegzaminowaniu posadzono mnie na ostatnim miejscu. Zmieszany i onieśmielony, smuciłem się zwłaszcza tym, że to właśnie, co mi było znane, oddalało mnie stokroć bardziej od moich towarzyszy, niż to, com zapomniał i żyjąc z dnia na dzień zatracił. Co by powiedzieli oni na przykład, dowiadując się o znajomości więziennych obyczajów, jaką nabyłem? Co o przyjaznych i bliskich stosunkach z rodziną Micawberów, o kolacyjkach, ucztach, wyprawach do tandeciarzy? A jeśliby który z nich spotkał już mnie obdartego w czasie mej wędrówki przez to miasto i poznał obecnie? Co by też powiedzieli, przywykli do wygod życia, na moje całodzienne nieraz jadło składające się z kawałka chleba i kufła piwa? Co by powiedzieli obcy Londynowi, jego ulicom, zakątkom, gdyby wiedzieć mogli, jak dokładnie znałem najbrudniejsze zaułki? Wszystko to wrzało w mojej głowie, zalewając mi warem<sup>179</sup> twarz, krępując ruchy i słowa. Drgałem za każdym zbliżeniem się któregoś z nowych mych towarzyszy i natychmiast po lekcjach uciekałem w strachu, żeby nie popełnić jakiego głupstwa.

Lecz stare domostwo pana Wickfielda wywierało kojący wpływ, gdym się znalazł przed jego bramą z nowymi moimi książkami w ręku. Gdym wchodził na schody, cień ich poważny obejmował mnie i usuwał w dal bolesną przeszłość. W jasnym, wesołym moim pokoiku siedziałem aż do obiadu — wypuszczano nas ze szkoły o trzeciej — pilnie pogrążony w nauce. Do obiadu szedłem śmielszy już i pełen nadziei odrodzenia się na nowo.

W salonie Agnieszka oczekiwała zajętego jeszcze w kancelarii ojca. Witła mnie z uśmiechem i pytaniem, jak mi się podobała szkoła. Odpowiedziałem jej, że podoba się mi naprawdę, lecz obecnie czuję się w niej jeszcze obco.

— Wszak nie byłeś nigdy w szkole? — spytałem.

— Owszem — odrzekła — uczę się co dzień.

— A, tak we własnym domu?

— Papa, widzisz, nie może mnie z domu uwolnić — rzekła, śmiejąc się i wstrząsając główką — przecież jestem tu gospodynią.

— Musi cię bardzo kochać?

Skloniła główką, wsłuchując się, czy nie nadchodzi czasem. Nie. Odeszła więc ode drzwi.

<sup>177</sup>przywodzić (daw.) — tu: przyprowadzać. [przypis edytorski]

<sup>178</sup>czegom się był przedtem uczył — daw. forma czasu zaprzestłego; znaczenie: czego się nauczyłem uprzednio (wcześniej, zanim miały miejsce zdarzenia i czynności wyrażone czasem przeszłym zwykłym). [przypis edytorski]

<sup>179</sup>war (daw.) — wrzątek; por. *warzyć*: gotować. [przypis edytorski]

— Mama umarła, wydając mnie na świat — mówiła spokojnie. — Znam ją tylko z portretu, tam, na dole. Przypatrywałeś mu się wczoraj, ale czyś się domyślił, kogo przedstawia?

Odpowiedziałem, że się, sądząc z podobieństwa, domyślił.

— I papa tak uważa — mówiła zadowolona. — Cyt! Oto i on.

Twarzyczka jej jaśniała radością. Wzięła ojca za rękę i tak szła dalej. Prawnik powitał mnie serdecznie, oświadczając, że mi dobrze z pewnością będzie w szkole doktora Stronga, najzaczniejszego pod słońcem człowieka.

— Są tacy — dodał — którzy nadużywają jego dobroci, lecz ty takim, Trotwood, nie będziesz. Nikt bardziej od niego nie jest daleki od posądzeń. Dobrze to czy źle, to inna rzecz, ale doktor Strong zasługuje na największy szacunek.

Mówił tak, jak gdyby był znudzony lub z czegoś niezadowolony. Nie zastanawiałem się jednak bardzo nad tym, zresztą podano obiad i zasiedliśmy do stołu w tym samym co zawsze porządku.

Zaledwieśmy to uczynili<sup>180</sup>, gdy uchyliły się drzwi i ukazała się w nich ruda głowa Uriaha.

— Pan Maldon — rzekł. — Ma słówko do powiedzenia.

— Przed chwilą dopiero odszedł — zauważył prawnik.

— Właśnie, lecz wrócił, gdyż ma jeszcze coś do powiedzenia.

Trzymając drzwi uchylone, Uriah spoglądał to na mnie, to na Agnieszkę, to na zastawę stołu i półmiski, chociaż zdawało się, że nie spuszcza zaczerwienionych oczu z prawnika.

— Stokrotnie przepraszam — ozwał się ktoś za plecami chłopaka, który usunął się po chwili — stokrotnie przepraszam, tylko słówko. Ponieważ nie ma wyboru, im prędzej odjadę, tym lepiej. Kuzynka moja, Annie, mówiła mi właśnie, że woli nie móc widywać swych przyjaciół, niż widzieć ich wygnanymi, a stary...

— Doktor Strong zapewne — poprawił z powagą prawnik.

— Ma się rozumieć, że doktor Strong. Nazywam go starym, co na jedno wychodzi, sam pan o tym wie!

— Nie wiem — chłodno odpowiedział pan Wickfield.

— Właśnie. I doktor Strong tego samego być musi, jak wnoszę z rozmowy z panem, zdania. Jeśli już nie ma innej rady, to im prędzej odjadę, tym lepiej. Oto, com chciał powiedzieć. Jeśli ma kto już wskoczyć do wody, nie ma co ociągać się na brzegu.

— W tym wypadku nie będziemy się ociągać, mogę ręczyć za to — ozwał się prawnik.

— Bardzom wdzięczny — odrzekł tamten — nieskończeniem wdzięczny! Darowanemu koniowi nie patrzy się w zęby, nie wypada, gdyż w przeciwnym razie jestem pewien, że kuzynka moja umiałaby to inaczej jakoś ułożyć i gdyby tylko Annie pisnęła staremu...

— To jest: pani Strong nadmieniła mężowi — poprawił pan Wickfield.

— Właśnie; gdyby tylko napomknęła, że pragnie, aby było tak a tak, byłoby tak a nie inaczej, oczywiście!

— Dlaczego oczywiście? — pytał prawnik, zając obiad.

— Dlaczego? Bo Annie jest młoda i ładna, a stary... to jest doktor Strong, trudno powiedzieć, żeby był powabny — zawołał, śmiejąc się, pan Jack Maldon. — Bez obrazy, panie Wickfield, bez obrazy. Myślę po prostu, że w takim wypadku ma się prawo do pewnej rekompensaty.

— Kto, żona? — spytał prawnik.

— Naturalnie, żona — odparł ze śmiechem Jack Maldon, lecz spostrzegłszy, że się prawnik bynajmniej<sup>181</sup> nie uśmiecha i obojętnie spożywa obiad, dodał. — Powiedziałem właśnie, com miał powiedzieć i jeszcze raz przepraszając za wtargnięcie nie w porę, uważam interes za skończony między nami, nie ma już potrzeby mówić o tym z doktorem.

— Czy pan po obiedzie? — spytał prawnik, ręką wskazując stół.

— Dziękuję. Idę właśnie obiadować z moją kuzyneczką. Do widzenia!

Pan Wickfield, nie powstając z miejsca, odprowadził go zamyślonym spojrzeniem. Był to młodzian płytki, ale przystojny, bystry i pewny siebie. Z rana, gdy doktor mówił o nim, nie spodziewałem się zobaczyć go tak prędko.

<sup>180</sup>zaledwieśmy to uczynili — inaczej: zaledwie to uczyniliśmy (konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika). [przypis edytorski]

<sup>181</sup>bynajmniej — wcale (dosł.: jak najmniej). [przypis edytorski]

Po obiedzie udaliśmy się do salonu, gdzie wszystko poszło tym samym, co uprzednio wieczoru, porządkiem. Znow na stoliczku stały przygotowane przez Agnieszkę likiery i wina, znow pan Wickfield pił, i pił wiele, Agnieszka grała, szyła, rozmawiała i zaproponowała partię domino. Nalewała herbatę, a gdym zniósł z góry moje książki, przeglądała je, pokazywała, co z nich umie (a nie było to tak mało), wskazywała najlepsze sposoby uczenia się. Widzę ją cichą, spokojną, rozważną! Słyszę dźwięczny, miły jej głos! Wpływ jej, zawsze dobry, zaczął się już wówczas objawiać. Nie kochałem jej jednak tak, jak kochałem małą Emilkę. Nie, nie tak. Agnieszka była dla mnie uosobieniem dobra, prawdy i spokoju. Gdym był przy niej, zdawało mi się zawsze, że spływa na mnie łagodne światło z malowanych kościelnych okien.

Z nadejściem godziny spoczynku, gdy Agnieszka odeszła, podałem na dobranoc rękę prawnikowi. Zatrzymał mnie, pytając:

— Czyś zadowolony z nas, chłopcze? Wolalbyś może zamieszkać gdzie indziej?

— Wolę pozostać tu — odpowiedziałem.

— Pewien tego jesteś?

— Za pozwoleniem pańskim, najpewniejszy.

— Nudno i monotonnie jednak płynie tu życie.

— Nie może być nudniejsze dla mnie niż dla Agnieszki. Wcale nie nudne.

— Niż dla Agnieszki — powtórzył, idąc ku kominkowi i opierając się, znow powtórzył. — Niż dla Agnieszki.

Wieczoru tego pił tak dużo, że aż mu oczy krwią zaszyły. Teraz trzymał je spuszczone.

— Ciekawym — rzekł z cicha — kiedy się moja Agnieszka znudzi mną lub ja nią. Między tymi dwoma przypuszczeniami jest jednak różnica, wielka różnica!

Nie do mnie to mówił, lecz do samego siebie, milczałem tedy.

— Stary, nudny dom — ciągnął — monotonne życie, ale muszę ją mieć przy sobie, stale przy sobie. Gdy myśl, że mogę umrzeć i opuścić moją kochaną lub że ona umrze i opuści mnie, zjawia się jak widmo, by zatruwać mi życie, muszę ją topić...

Nie dokończył. Sięgnął ręką po wypróżnioną już butelkę i przechyliwszy nad szklanką postawił z roztargnieniem na miejscu.

— Jeśli i z nią znosić mi to tak trudno, cóż dopiero bez niej — rzekł. — Nie, i myśleć o tym nie mogę!

Oparty o kominek, w tak głęboką popadł zadumę, że sam nie wiedziałem, czy odejść, nie żegnając się z nim, czy pozostać i czekać, aż się zbudzi z zamyślenia. Po długiej dopiero chwili podniósł głowę i wiodąc wzrokiem dokoła, spotkał się z moim.

— Pozostań z nami — rzekł, wracając do rozpoczętej rozmowy. — Miło mi, że cię mam tu. Będziesz nam obojgu dotrzymywał towarzystwa, dobrze się to składa i dla mnie, i dla Agnieszki, i dla nas wszystkich, być może.

— Pewien jestem, panie — rzekłem — że się to najlepiej składa dla mnie, i cieszę się z tego bardzo.

— Pocziwiy chłopcze! Pozostaniesz tu, dopóki sam zechcesz — rzekł, ściskając mi rękę, a klepiąc po ramieniu, dodał, że jeśli chcę uczyć się jeszcze lub czytać dla rozrywki po odejściu Agnieszki, to mogę schodzić do jego gabinetu i dotrzymywać mu towarzystwa. Podziękowałem za tę uprzejmość, a że mi się spać istotnie nie chciało, wziąłem książkę i zszedłem z nim razem na dół.

Ujrawszy światło w kancelarii, pociągnięty tym dziwnym urokiem, jaki na mnie wywierał Uriah, zwróciłem się w tę stronę. Czytał olbrzymią książkę z napiętą uwagą. Przesuwał wskazującym palcem po każdym czytany wierszu, zostawiając na stronicy lepkie linie.

— Do późna tak pracujesz? — spytałem.

— Tak, panie Copperfield — odpowiedział.

Siadając naprzeciw niego, aby swobodniej rozmawiać, zauważyłem, że na twarzy jego nie było uśmiechu. Zastępował go szerokim roztwieraniem ust tworzącym bruzdy na jego policzkach.

— Nie biurowa to, panie Copperfield, praca.

— A jaka? — spytałem.

— Uczę się prawa, panie Copperfield, i oto właśnie podręcznik Tidda. Co to za genialny pisarz ten Tidd! Tego wyobrazić pan sobie nie możesz, panie Copperfield!

Z miejsca mego mogłem doskonale obserwować go i widząc, jak po tych zachwytach czytał dalej, przesuając wskazującym palcem po stronicach, spostrzegłem, że jego cienkie i spiczaste nozdrza podnosiły się i opadały w dziwaczny sposób, rzec by można, mrugały zamiast oczu, które nie mrugały wcale, nigdy.

— Musisz być dobrym prawnikiem? — spytałem po jakimś czasie.

— Ja, panie Copperfield? — zawołał. — O, nie! Skromniutkim jestem człowieczkiem, maluczkiem!

To, com powyżej mówił o jego ręce, nie było wytworem mej wyobraźni. Ocierał często dłoń o dłoń dla otarcia ich zapewne z potu i dla rozgrzania. Od czasu do czasu ocierał też ręce chustką od nosa.

— O! — ciągnął pokornie. — Wiem dobrze, jaki jestem maluczki w porównaniu z innymi. I matka moja jest równie jak ja skromną osobą. W skromnym mieszkamy schronieniu, panie Copperfield, lecz i za to umiemy być wdzięczni. Dawne rzemiosło mego ojca też było skromniutkie, maluczkie: był grabarzem.

— Czymże jest teraz? — spytałem.

— Obecnie używa wiekuistej chwały, panie Copperfield! I za to niech będą dzięki! Jakież to szczęście dla mnie pracować u pana Wickfielda.

Spytałem, od jak dawna tu pracuje.

— Już od czterech lat — odrzekł, zamykając księgę po zaznaczeniu czytanej stronicy. — Dostałem się tu w rok po śmierci mego ojca. Ileż winienem za to wdzięczności! Ileż wdzięczności winienem panu Wickfieldowi za utrzymanie i udzielanie nauki. Przechodziło to *środkami*<sup>182</sup> mojej matki.

— Sądzę zatem, że nabrawszy tu wprawy, sam zostaniesz prawnikiem — rzekłem.

— Jeśli nieba pozwoli, panie Copperfield — odrzekł.

— Zostaniesz może z czasem współnikiem mecenasa — rzekłem, chcąc być uprzejmym — i firma będzie nosić nazwę „Wickfield i Heep” lub „Heep po Wickfieldzie”!

— O nie, panie Copperfield — zawołał, wstrząsając głową — za maluczki na to jestem, za maluczki, to nie dla mnie!

Siedząc tak naprzeciw mnie, pokorny, spoglądający na mnie z ukosa, z otwartymi ustami, pomarszczoną twarzą, podobny był istotnie do rzeźbionej na belce nad moim oknem twarzy.

— Doskonały to człowiek pan Wickfield, panie Copperfield — mówił — doskonały, gdybyś go pan znał bliżej, wiedziałbyś to lepiej ode mnie i mógł ocenić.

Pewien tego byłem, mimo że od niedawna dopiero znałem pana Wickfielda, chociaż był on przyjacielem mojej ciotki.

— O tak, panie Copperfield! — zawołał. — A ciotka pańska jest bardzo, bardzo miłą, uprzejmą damą.

Gdy wpadał w entuzjazm, krzywił się, i to w bardzo szpetny sposób. Nie pozwoliło mi to ocenić oddanej mej krewnej daniny jego uprzejmości.

— Miła pani — ciągnął. — Sądzę, panie Copperfield, że ceni pannę Agnieszkę?

— O tak! — odparłem śmiało, chociaż nic o tym nie wiedziałem.

— A i pan także, panie Copperfield, nie wątpię o tym.

— Każdy ją ocenia<sup>183</sup> — odrzekłem.

— Dzięki, o, dzięki stokrotne, panie Copperfield, za te słowa! Prawda to i jakkolwiek maluczki jestem, czuję, jak wielka prawda! Dzięki, o, dzięki, panie Copperfield!

O mało nie zleciał z krzesła w napadzie entuzjazmu. Zresztą zamierzał właśnie odejść; spojrzął na zegarek.

— Matka mnie czeka — rzekł. — Niepokoi się zapewne, bo chociaż jesteśmy, panie Copperfield, bardzo, bardzo maluczki, kochamy się wzajemnie. Gdybyś pan raczył odwiedzić nas kiedy po południu i wypić szklankę herbaty pod ubogim, skromnym, niskim naszym dachem, to matka moja i ja czulibyśmy się wielce zaszczytzeni.

Upewniłem, że odwiedzę ich z przyjemnością.

— Dzięki, o, dzięki, panie Copperfield! — mówił Uriah, kładąc księgę na półce. — Sądzę, że pan tu, panie Copperfield, pozostanie dłuższy czas?

<sup>182</sup>*środkami* — tu: środki pieniężne; możliwości finansowe. [przypis edytorski]

<sup>183</sup>*ocenia* (daw.) — tu w znaczeniu: ocenia dodatnio; docenia. [przypis edytorski]

Odpowiedziałem, że pozostanę przez czas ucześnieństwa do szkoły.

— O, doprawdy! — zawołał. — Myślę, że to pan zostanie kiedyś współnikiem mecenasa, panie Copperfield.

Próżnom go zapewniał, że nie jest to wcale moim zamiarem i o ile wiem, nikt mnie do podobnej nie przeznaczał kariery, ustawicznie powtarzał: „O! Tak, tak, nie inaczej”. Odchodząc wreszcie, spytał mnie, czy może zgasić świecę, i za zgodą moją zgasił ją. Po ciemku uścisk jego dłoni robił wrażenie dotknięcia ryby. Zaledwie uchylił drzwi, wysliznął się przez nie raczej niż wyszedł. Wracając po ciemku, potrąciłem krzesło, na którym zwykle siadywał. Dlatego to zapewne śnił mi się całą noc i inne jeszcze śniły mi się rzeczy, między innymi, że spuszczał na morze łódź, służącą za dom panu Peggotty, ozdobioną flagą z napisem „Podręcznik Tidda”, a w łodzi tej wioził mnie z małą Emilką, by nas oboje utopić.

Nazajutrz w szkole czułem się nieco śmielszy, jeszcze śmielszy dnia następnego i tak pomалу, zanim drugi minął tydzień, oswoilem się zupełnie z nowym położeniem i nowymi towarzyszami. Nienajzręczniejszy<sup>184</sup> jeszcze spisywałem się we wspólnych zabawach i daleko poza nimi pozostawałem w nauce, lecz miałem nadzieję, że tu poratuje mnie pilna praca, tam wprawa. Pracowałem też, uczyłem się, a i w gry wprawiałem się, ile sił starczyło, szybkie w jednym i w drugim robiąc postępy. Wkrótce przeszłość w „Murdstone i Grinby” stała mi się tak obcą, że przestałem niemal wierzyć w jej istnienie, a terazniejszość stała mi się tak bliska, jak gdyby zawsze bez przerwy istniała.

Szkoła doktora Stronga była doskonałą szkołą, tak różną od szkoły pana Creakle, jak niebo od piekła. Porządek istniał w niej wzorowy, zastosowany był najlepszy ze znanych wychowawczych systemów: działano na najszlachetniejsze uczucia nasze, rozwijano honor, dobrą wiarę, polegając na nas, dopóki który z nas sam ufności nie zawiódł, co wielkie wywoływało zwykle zdziwienie. Każdy z nas czuł, że bierze udział w prowadzeniu szkoły i każdy dźwigał na sobie odpowiedzialność za nią. Gorącośmy też do niej byli przywiązani<sup>185</sup>. Mówię to o sobie i o innych moich towarzyszach. Uczyliśmy się chętnie i dobrze, najzupełniejszej w godzinach wolnych używając swobody, oddawaliśmy się grom szlachetnym i inteligentnym zabawom. Dobrą też cieszyliśmy się w całym mieście sławą, podtrzymując honor szkoły i uczniów doktora Stronga.

Niektórzy starsi uczniowie mieszkali u doktora i od nich to dowiedziałem się pewnych dotyczących jego szczegółów. Ożenił on się dopiero przed rokiem z miłości z piękną panią, którą w dniu wstąpienia do szkoły widziałem w jego gabinecie. Nie posiadała ona złamanego szeląga, ale pełno ubogich krewnych, gotowych obsiąść dom doktora. Dowiedziałem się, że wieczyste roztargnienie jej męża przypisać należało ustawicznemu poszukiwaniu greckich pni, które w nieświadomości mojej uważałem za jakieś botaniczne okazy i z czasem dopiero przekonałem się, że chodziło o źródłosłowy do wielkiego słownika, który doktor układał. Adams, pierwszy uczeń, zdolny matematyk, wyliczył był nawet czas, kiedy słownik wedle planu doktora i sposobu, w jaki nad nim pracował, zostanie skończony. Nie wcześniej, utrzymywał, jak za tysiąc sześćset czterdzieści dziewięć lat, licząc od ostatniej, sześćdziesiątej drugiej rocznicy urodzin doktora.

Doktor był zresztą bożyszczem szkoły i nie mogło być inaczej.

Trudno znaleźć pod słońcem lepszego człowieka. Ufność, jaką pokładał w ludziach, wzruszyć mogłaby kamienne urny stojące ceglane ogrodzenie ogrodu. Gdy przechadzając się po ogrodzie pomiędzy srokami i gawronami przechylającymi głowy na jego widok, jak gdyby uznawały siebie za nieskończenie od niego mądrsze w sprawach tego świata, natrafił na jakiego ulicznika lub włóczęgę, sprawa była skończona. Wiadomo każdemu było, jakie stąd powstawały nadużycia; toteż nauczyciele i starsi uczniowie odpędzali włóczęgów od ogrodu i dziedzińca, wiedząc, że doktor gotów był rzucić z siebie i oddać im ostatnie swe buty. Krążyła nawet w tej materii pomiędzy nami historyjka (czy prawdziwa, nie wiem, uwierzyłem w nią i dotąd wierzę), jakoby raz w mroźny dzień zimowy z nóg własnych oddał kamasze żebracze jakiejś. Wywołało to skandal w sąsiedztwie, gdyż w ubraniu tym, tak dobrze znanym w mieście jak wieże katedry, żebraczka od progu do progu oprowadzała swe dziecię. Historia dodaje, że tylko dawny właściciel kamaszy swych nie

<sup>184</sup>nienajzręczniejszy — dziś tylko: najbardziej niezręcznie. [przypis edytorski]

<sup>185</sup>gorącośmy (...) byli przywiązani — inaczej: gorąco byliśmy przywiązani (konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika). [przypis edytorski]

poznał i wystawione w oknie szynku, gdzie zamienione zostały na czarkę wódki, oglądał kilkakrotnie, uznając zapewne wzór ich za odpowiedni dla tych, które zamierzał sobie kupić.

Dobre też doktor wywierał wrażenie nawet obok młodziutkiej swej żony. Obchodził się z nią z ojcowską czułością, która zdradzała całą jego dobroć. Często widziałem ich przechadzających się razem po ogrodzie pod brzoskwiniami. Czasem też widywałem ich w gabinecie doktora lub w bawialnym pokoju. Żona wyglądała, jak gdyby była przywiązana do męża, otaczała go tklwym staraniem, wątpię jednak, aby interesowała ją jego praca nad słownikiem, którego stronice wyglądały mu z kieszeni, gdy czytywał jej niektóre z nich na głos i objaśniał, nawet w czasie przechadzki po ogrodzie.

Często widywałem panią Strong, raz, że polubiła mnie od pierwszej chwili wstąpienia mego do szkoły, po wtóre, że lubiąc też Agnieszkę, często u nas bywała. Pomiędzy nią i panem Wickfieldem dziwny jakiś istniał przymus. Wyglądało to tak, jak gdyby się go bała. Za nic nigdy wieczorem nie chciała się zgodzić, by ją odprowadzał do domu. Wolała wracać pod moją opieką i często, przebiegając plac katedralny i nie spodziewając się spotkać nikogo, spotykaliśmy pana Jacka Maldona, który się zawsze temu niespodziewanemu spotkaniu bardzo dziwił.

Matka pani Strong stanowiła prawdziwą mą pociechę. Zwała się panią Markleham, lecz myśmy, chłopcy, przewalili ją Herod-babą, wszystkim bowiem chciała rządzić i siłę krewniaków wystawiała przeciw doktorowi. Była to mała, bystrooka kobiecina, na większe okazje wystrojona zawsze w czepek z bukietem sztucznych kwiatów, na których siedziały dwa sztuczne motyle. Przekonani byliśmy, że czepek ów pochodził z Francji i dokonany<sup>186</sup> mógł być tylko przez genialne zamorskie pracownice. Wszystko, com o nim na pewno wiedział — to że się zjawiał na wieczory wraz z panią Markleham, w bambusowym koszyku, a motyle posiadały dziwną właściwość ustawicznego drgania, jak gdyby na kształt pszczoł pracowitych żyły w słonecznych promieniach bijących od doktora.

Pewnego wieczoru Herod-baba wraziła mi się szczególnie w pamięć. Był to wieczorek u doktora, urządony na cześć odjeżdżającego do Indii w charakterze kadeta czy tam podobnie pana Jacka Maldona. Rzec tę ułożył pan Wickfield. Był to jednocześnie dzień urodzin doktora. Mieliśmy cały dzień wolny od nauki, z rana winszowaliśmy<sup>187</sup> mu, ofiarowaliśmy upominki, wygłaszaliśmy mowy do zachrypięcia naszego i pobudzenia do łez solenizanta, a wieczorem zostałem zaproszony doń wraz z panem Wickfieldem i Agnieszką na herbatę.

Zastaliśmy już pana Maldona. Pani Strong ubrana w biel, z wiśniowymi wstążkami, grała na fortepianie. Stał za nią i przewracał nuty. Zdawało się, że bledsza była niż zwykle, lecz ładniejsza jeszcze, dziwnie ładna.

Gdyśmy usiedli, pani Markleham zabrała głos:

— Zapomniałam, doktorze, złożyć ci winne w dniu dzisiejszym powinszowania. Możesz wierzyć w szczerść mych życzeń! Życzę ci długich, długich lat pomyślnych!

— Dziękuję pani — odrzekł doktor.

— Długich lat pomyślnych, i to nie tylko przez wzgląd na ciebie, doktorze, ale i na Annie, i na Maldona, i na wielu, wielu innych. Zdaje mi się, jakoby to wczoraj jeszcze było, kiedy w agresowych krzakach, w naszym ogródku Jack Maldon, ot, nie większy od pana Copperfielda na przykład, zalecał się do mojej córki.

— Niewarte to wspomnienia, droga mamó — wtrąciła córka.

— Nie bzdurz — ciągnęła matka. — Kiedyż przestaniesz rumienić się, słysząc coś podobnego! Wszak jesteś starą mężatką.

— Annie stara? — zawołał pan Jack Maldon.

— Tak, właśnie tak — twierdziła Herod-baba — nie z wieku stara, bo ma zaledwie lat dwadzieścia, lecz ze względu na doktora, którego jest żoną. Jakież to szczęście dla ciebie, nicponiu, że jest jego żoną! Znalazłeś w nim opiekuna, który ma na ciebie dobry wpływ, obsypuje cię dobrodziejstwami i lepszy jeszcze z czasem stanie się dla ciebie, jeśli potrafisz na to zasłużyć. Nie kieruje mną fałszywa duma; wyznam więc, że są tacy w naszej

<sup>186</sup>dokonany — dziś raczej (o czepku): wykonany; czasownik *dokonać* odnosi się do działań o doniosłym znaczeniu, do czynów, a nie zwykłych czynności i dlatego w tym kontekście nadaje powszednim sprawom niepotrzebnie cech wzniosłości zmieniającej się nieuchronnie w śmieszność. [przypis edytorski]

<sup>187</sup>winszować (daw.; z niem. *wünschen*) — składać życzenia; gratulować. [przypis edytorski]

rodzinie, komu wpływowi przyjaciele bardzo się przydać mogą. Takim właśnie jesteś ty, Jack! A dzięki mej córce zdobyłeś sobie takiego wpływowego przyjaciela.

Doktor, w dobroci swej i dla oszczędzenia pana Jacka, zrobił tylko ręką ruch lekceważący. Nie powstrzymało to baby. Przysiadła się do zięcia i dotykając jego ust wachlarzem, ciągnęła w najlepsze:

— Tak, tak, doktorze, muszę powiedzieć, co mam na sercu, muszę. Jesteś naszą opatrnością, dobroczyńcą rodziny.

— Przesada!

— Nie, nie, doktorze! Jesteśmy tu między swoimi, bo i pana Wickfielda liczę do naszych najbliższych przyjaciół, i mogę mówić otwarcie, korzystając z przywilejów teściowej. Wszak mogę nawet dać ci burę, doktorze! Szczera jestem i otwarta. Otóż mówię, pamiętasz, jak mnie zdziwiły twe oświadczenia? Nie dlatego, aby fakt ten sam w sobie nie był naturalny, ale dlatego, żeś znał ojca mej córki, ją samą od kolebki i nie przypuszczałam czegoś podobnego! Szczerze mówiąc, na ogół nie przypuszczałam, abys się ożenił.

— Cha, cha! — zaśmiał się wesoło doktor. — Po co to i mówić o tym.

— Ależ muszę mówić — przerwała Herod-baba. — Muszę i nikt nie może mi zarzucić, że nie mam słuszności. Otóż powiedziałam Annie, jak rzeczy stoją. Kochanie, mówię jej, doktor Strong o ciebie się oświadczył, doskonała partia. Czy nalegałam na nią? Nie. Spytałam ją tylko: „Annie, powiedz mi, czy masz serce wolne?”. Zaczęła płakać, utrzymując, że jest jeszcze tak młoda (co zresztą największą było prawdą) i że nie wie nawet, czy ma serce. „Zatem wolne”, rzekłam, „i nie można trzymać doktora w niepewności. Musi się biedak niepokoić”. „Mamo!”, zawołała Annie, „Czyż jestem mu potrzebna do szczęścia? Jeśli tak, wyjdę za niego, bo go bardzo szanuję”. Wówczas to, wówczas, a nie wcześniej, powiedziałam córce: „Annie, doktor Strong będzie ci nie tylko mężem, zastąpi twego ojca, zostanie głową naszej rodziny, będzie, jednym słowem, naszą opatrnością, dobroczyńcą. Były to moje wówczas słowa, są i dzisiaj. Jeśli mam w tym jaką zasługę, to chyba w stałości.

W czasie tej mowy córka siedziała milcząca, ze spuszczonej oczyma. Kuzyn jej, stojąc przy niej, też nie podnosił oczu. Teraz dopiero ozwała się cichym, drżącym głosem:

— Mamo, skończyłaś?

— Nie, Annie, nie, kochanko, nie skończyłam. Skoro mnie pytasz, muszę odpowiedzieć, że nie. Otóż, dodam jeszcze, że nie jesteś dla swej rodziny w zupełności tym, czym być powinnaś. Nie tobie się skarżę, bo to do niczego nie prowadzi, lecz twemu mężowi. Spójrz, kochany doktorze, na tę swą żoneczkę!

Młoda kobieta niżej jeszcze opuściła głowę pod zwróconym na nią łagodnym, uśmiechniętym spojrzeniem męża.

Zauważyłem, że pan Wickfield patrzył na nią bacznie.

— Oto mówiłam tej psotce nie dalej jak onegdaj<sup>188</sup> — ciągnęła stara, kiwając jednocześnie głową i wachlarzem — oto mówiłam, że są rodzinne sprawy, o których winna nadmienić ci, doktorze. Odpowiedziała, że mówienie o nich równa się prośbieniu o łaskę, a że jej niczego nie odmawiasz i zbyt dobrym już jesteś dla niej, więc woli milczeć.

— Czy to możliwe? Annie! Duszko! Chciałaś pozbawić mnie przyjemności? — z rzutem ozwał się doktor.

— Właśnie jej to, słowo w słowo, mówiłam — zawołała pani Markleham. — Drugi raz, spotykając podobne skrupuły i nie chcąc ciebie, kochany doktorze, pozbawić przyjemności, sama się udam wprost do ciebie.

— Zawsze z przyjemnością służyć będę pani.

— Więc mogę?

— Najpewniej.

— Zatem umowa zawarta! — zawołała triumfująco stara i uderzywszy jeszcze parę razy wachlarzem po ramieniu doktora, którego przedtem uściskała, wróciła na swe miejsce.

Weszło kilka osób: nauczyciele nasi i Adams; rozmowa stała się ogólna i naturalnie obracała się wokół osoby pana Jacka Maldona i jego bliskiej podróży, krainy, do której się udawał, planów i nadziei na przyszłość. Odjechać miał tejsze samej nocy, po wieczery, pociąg do Gravesend, gdzie stał mający go zabrać okręt. W Indiach zamierzał spędzić kilka

<sup>188</sup> *onegdaj* (daw.) — przedwczoraj. [przypis edytorski]

lat, chyba że zdrowie, lub coś podobnego, przyspieszyć mogło powrót. Wszyscy stwierdzili jednogłośnie, że Indie są raczej niedocenioną krainą, której zarzucić można chyba zbyt wielu tygrysów i grzechotników, a i nieco wysoką temperaturę w południowych godzinach dnia. Co do mnie, pan Jack Maldon wydawał mi się współczesnym Sindbadem<sup>189</sup>. Wyobrażałem go już sobie żyjącego w przyjaźni ze wszystkimi radzami<sup>190</sup> Wschodu, siedzącego pod baldachimem ze złotą, a może i szczerzłą fajką długości całej mili.

Pani Strong posiadała ładny głos. Wiedziałem o tym, gdyż niejednokrotnie słyszałem ją śpiewającą, lecz czy to dlatego, że nie lubiła śpiewać w towarzystwie, czy że nie była przy głosie, wieczoru tego śpiewanie nie szło jej. Próbowala sama, zaczęła dobrze, lecz wkrótce głos się urwał, pochyliła się błada i drżąca nad klawiszami. Doktor zauważył, że musi być nieco słaba, i zaproponował ogólną grę w karty, o których miał tyle wyobrażenia, co o grze na piszczałce. Porwała go sobie za partnera Herod-baba i tak dobrze uczyła, że wygrała wszystkie drobne pieniądze, jakie posiadał przy sobie. Graliśmy wesoło. Pomyłki doktora bawiły nas nieskończenie. Popępiał je ustawicznie pod baczną strażą motyli drżących na bukietach sztucznych kwiatów zdobitych czepek pani Markleham. Pani Strong wymówiła się od gry, jak również jej kuzyn, pod pretekstem, że miał jeszcze rzeczy do ułożenia. Załatwił się z tym prędko i wróciwszy usiadł obok niej na kanapie, rozmawiając z cicha. Wstawała czasem z miejsca i, zaglądając w karty męża, udzielała mu rad i wskazówek. Błada była bardzo i zdawało mi się, że palce, którymi dotykała kart, drżały, lecz doktor nie widział tego, uszczęśliwiony, gdy się do niego zbliżała.

Wieczera mniej już była wesoła. Nastrój warzył pewien chłód zwykły przy pożegnaniach. Jack Maldon usiłował wprawdzie być rozmowny i swobodny, lecz mu to jakoś nie szło. Wszystko do reszty psuła Herod-baba, przypominająca ciągle jakieś epizody z najwcześniejszej młodości odjeżdżającego tak daleko kuzynka. Sam tylko doktor, w najlepszym humorze, zdawał się nie dostrzegać wcale ciężącego na obecnych przymusu.

— Annie, duszko — ozwał się, spoglądając na zegarek — pora odjeżdżać twemu kuzynowi, nie zatrzymujmy go, bo może się spóźnić. Daleka czeka pana droga, panie Maldon, obca, nieznana kraina. Niejeden jednak wrócił stamtąd szczęśliwy i bardziej zasłużony, niż odjeżdżał. Wiatry, które tam uniosą wkrótce pana, unosiły tysiące dziesiątki tysięcy innych. Wracali tysiącami, dziesiątkami tysięcy, syci sławy i fortuny.

— Smutno jednak — zauważyła pani Markleham. — Bardzo smutno widzieć odjeżdżającego na drugi koniec świata, porzucającego wszystko i niewiedzącego, co go tam czeka, młodzieńca. Młodość — dodała, spoglądając znacząco na doktora — potrzebuje podparcia i kierownictwa i zasługuje na takowe, skoro się zdobywa na tak wielką ofiarę.

— Czas spłynie panu szybko, panie Maldon — ciągnął doktor — mija on szybko nam wszystkim i nie wszyscy tu obecni doczekamy zapewne pańskiego powrotu. Miejmy jednak nadzieję. Co do mnie, ta mi już tylko pozostaje. Nie będę nużył pana dobrymi radami. Jedno powiem, masz przykład w kuzynce swej Annie, naśladuj, o ile możesz, jej cnoty.

Pani Markleham wachlowała się i kiwała głową.

— Żegnaj pana — kończył doktor, powstając i podnosząc kielich, a wszyscyśmy poszli<sup>191</sup> za jego przykładem. — Żegnaj! Bądź nam zdrow, szczęśliwy i wracaj zadowolony.

Wychyliłmy kieliszki, uściskaliśmy dłonie odjeżdżającemu. Żegnał się potem z damami i wybiegł na ganek, gdzie go spotkały okrzyki zebranych umyślnie w tym celu uczniów doktora Stronga. Biegając wraz z nimi, przeprowadziłem go do samej bryczki i zachowałem w pośpiechu i gwarze chwili wrażenie, że był wzruszony, bardzo drżący i miał w dłoni coś, co miało wiśniową barwę.

<sup>189</sup>*Sindbad* — synonim podróżnika; Sindbad Żeglarz z Bagdadu jest bohaterem perskich opowieści podróżniczo-fantastycznych, włączonych do *Baśni tysiąca i jednej nocy*. [przypis edytorski]

<sup>190</sup>*radża* — dosł. z sanskrytu: król (z tego samego rdzenia pochodzi łac. *rex, regis*); w Azji płd.-wsch. historyczny tytuł władcy państwa o randze księstwa (wyższy rangą władca miał prawo do tytułu maharadży, co znaczy „wielki król”), będącego zarazem najwyższym sędzią i naczelnym wodzem wojska. [przypis edytorski]

<sup>191</sup>*wszyscyśmy poszli* — inaczej: wszyscy poszliśmy (konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika). [przypis edytorski]



Zawoławszy raz jeszcze „hurra!” na cześć doktora, a drugi, równie głośno, na cześć doktorowej, towarzysze moi odeszli, ja zaś wróciłem do salonu. Wszyscy, gromadząc się wokół gospodarza domu, rozprawiali o podróży i podróży. Po chwili dopiero pani Markleham zawołała:

— Gdzież jest Annie?

Nie było jej pomiędzy nami. Nie odpowiadała na wołanie. Wszyscyśmy wybiegli<sup>192</sup> do sieni. Tu zastaliśmy ją leżącą bez życia na ziemi. Powstał popłoch. Uspokoił się nieco, widząc, że to zwykłe zemdlenie, ustępujące przy użyciu zwykłych w podobnych wypadkach środków. Doktor, podtrzymując głowę żony i odgarniając jej z czoła włosy, mówił:

— Biedna Annie! Czułe ma, wierne serce i trudno jej było rozstać się z kuzynem, towarzyszem lat dziecięcych, z przyjacielem! Martwi mnie to, bardzo martwi.

Gdy otworzyła oczy, ujrzała nas wszystkich dokoła siebie, przypomniała sobie, gdzie się znajduje, i skryła twarz na ramieniu męża. Zostawiliśmy ich samych, lecz niebawem, zapewniając, że czuje się lepiej, wróciła do salonu i blada jeszcze, chwając się na nogach, osunęła się na kanapę.

— Annie, kochanko — zauważyła jej matka, poprawiając ubranie — zgubiłaś karkę, patrz. Czy kto nie znalazł wstążki wiśniowego koloru?

U stanika doktorowej brakowało istotnie wężła wiśniowej barwy. Wszyscyśmy się oglądali<sup>193</sup> po meblach i podłodze, ja na równi z innymi.

— Czy nie pamiętasz, gdzie zgubiłaś? — nalegała matka.

Nie była blada, lecz pąsowa, gdy odrzekła, że schowała gdzieś wstążkę i nie warto więcej się tym zajmować.

Gdy po chwili popatrzyłem na nią, znów była blada, śmiertelnie blada. Utrzymywała jednak, że to nic, że to przejdzie, przechodzi, przeszło. Pożegnaliśmy niebawem gospodarzy.

Pomału wracaliśmy do domu, Agnieszka i ja podziwiając księżyc w pełni, pan Wickfield milczący z utkwionym w ziemię wzrokiem. Przy samej bramie Agnieszka spostrzegła, że zostawiła u doktora koszyczek od roboty. Uszczęśliwiony nadarżającą się sposobnością usłużenia jej, zawróciłem.

W stołowym, pustym teraz pokoju, ciemno już było i tylko promień światła wpadał przez uchylone drzwi od gabinetu doktora. Wszedłem tam prosto, by powiedzieć, po com wrócił, i zapalić świecę.

Przy kominku siedział doktor w fotelu, a u nóg jego na stołeczku siedziała młoda jego żona. Ze zwykłym sobie łagodnym uśmiechem doktor czytał głośno wyjątki ze swego słownika, ona zaś spoglądała na niego. Nie zapomnę nigdy jej twarzy. Piękne jej rysy śmiertelna pokrywała bladość, nadając im wyraz rozdzierający jakiś, marzący i przerażony zarazem. Oczy miała szeroko rozwarte. Na ramiona i białą suknię spływały pasma kasztanowatych, bujnych włosów. Chociaż pamiętam ją doskonale, w tej chwili jeszcze nie umiałbym określić wyrazu jej twarzy. Był tam i żal, i pokora, i wstyd, i duma, i tkliwość, i ufność, a pomiędzy tym owo jakieś niedające się ująć przerażenie.

Na głos mój i wejście podniosła się. Gdym odnosił świecę, doktor głąskał po ojcowsku jej włosy, mówiąc, że jest egoistą i nie ma serca, czytając jej, gdy tak bardzo potrzebuje spoczynku.

Krótkim, urywanym głosem prosiła go, aby pozwolił jej wieczoru tego pozostać dłużej przy sobie. A gdym się obejrzał, drzwi za sobą zamykając, widziałem, jak mu objęła kolana i błagający wzrok zwróciła na niego. Wyglądała na nieco spokojniejszą. Doktor czytał dalej.

Wywarło to na mnie silne wrażenie i przypomniało się potem. Kiedy? Powiem to we właściwym czasie.

<sup>192</sup>wszyscyśmy wybiegli — inaczej: wszyscy wybiegliśmy (konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika). [przypis edytorski]

<sup>193</sup>wszyscyśmy się oglądali — inaczej: wszyscy się oglądaliśmy (konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika). [przypis edytorski]

## ROZDZIAŁ XVII. KTOŚ ZNÓW SIĘ POJAWIA

Nie zdarzyło mi się od czasu mej ucieczki wspominać Peggotty. Naturalnie pisałem do niej, skorom tylko przybył do Dover, i następnie, gdy ciotka rozciągnęła formalną nade mną opiekę, wysłałem list obszerniejszy, pełen szczegółów. Wstąpiwszy do szkoły doktora Stronga, znów pośpieszyłem opisać jej obecne szczęśliwe me położenie i nadzieje. Nie wyobrażam sobie, aby jakie bądź użycie danych mi przez pana Dicka pieniędzy miłszym mi było od zwrotu zaciągniętego u mej piastunki długu. Odesłałem jej pół gwinei w złocie pocztą i teraz dopiero opisałem całe wydarzenie z walizką.

Na udzielane przeze mnie wiadomości Peggotty odpisywała z kupieckim pośpiechem, jeśli już nie z kupiecką zwięzłością. Cały jej zasób wyrazów — niebogaty, gdy szło o przeniesienie ich na papier — spotęgował się w usiłowaniach wyrażenia współczucia, jakie wzbudziła w niej moja ucieczka i piesza podróż. Współczucie to wyrażało się niezliczonymi wykrzyknikami, początkiem nieskończonych zdań i plam wielu, miłych mi i wymownych bardzo, jako ślady przelanych nad mą niedolą łez. Czegóż więcej mógłbym pragnąć?

Domyśliłem się bez trudności, że Peggotty mimo wszystko nie mogła się jakoś pogodzić z ciotką. Krótko o niej wspominała raz, pisząc: „*Jakże to trudno poznać człowieka! Pomyśleć tylko, o ile panna Betsey różną jest od tego, czym się być zdawała, jest już wielką moralną nauką*”. Tak pisała. Widocznie dotąd jeszcze przerażała ją samo wspomnienie mej ciotki, dla której nieśmiało łączyła uszanowanie, przypuszczając zresztą widocznie ponowną mą ucieczkę, gdyż list jej zawierał pełno wskazówek i kończył się zapewnieniem, że jeśli zajdzie potrzeba, wyśle po mnie z Yarmouth wózek i konika.

List jej zawierał nadto wiadomość, która mnie mocno zmartwiła, mianowicie: że meble z naszego domu zostały wyprzedane, pan i panna Murdstone odjechali, a opustoszały dom miał być wynajęty lub sprzedany. Bogu wiadomo, że straciłem prawa do tego domu, zabolalo mnie jednak ostateczne opuszczenie miejsc tych, ze smutkiem myślałem o chwastach wyrastających w ogrodzie, o suchych liściach kładących się mokrymi warstwy<sup>194</sup> na drogach i ścieżkach. Wyobrażałem sobie, jak jesienne muszą tam wyc wichry, jak zimne krople deszczu biją o zamknięte okna, jak blask księżycy na kształt widm puste napelnia komnaty, strzegąc ich w głuchym nocnym osamotnieniu. Myślałem o tej mogile tam na cmentarzu pod drzewami i zdawało mi się, jakoby teraz dom cały wymarł i wszystko, co miało jaki bądź związek z mymi rodzicami, starło się, znikło bezpowrotnie.

List Peggotty nie zawierał więcej wiadomości. Pisała, że pan Barkis doskonałym jest mężem, chociaż trochę skąpawy. Lecz któż nie ma wad! Ona, Peggotty (czego wprawdzie nie dostrzegłem), pełno ich ma. Pan Barkis kłania mi się, a pokiok mój zawsze gotów jest na moje przyjęcie. Pan Peggotty zdrow jest i Ham także, tylko pani Gummidge ma się nieosobliwie, a mała Emilka nie chce wprawdzie przesłać mi uścisku, lecz w jej imieniu czyni to Peggotty.

Wszystkich powyższych wiadomości udzieliłem najsumienniejszej ciotce, z wyjątkiem tego, co się odnosiło do Emilki, a co, czułem instynktownie, mogłoby się jej nie podobać. Z początku, gdym znalazł się w szkole, ciotka odwiedzała mnie często, w najrozmaitszych godzinach, chcąc zapewne zająć mnie niespodzianie. Dopiero przekonawszy się, że o każdej porze bywam zajęty, słysząc zewsząd pochwały o moim zachowaniu się i postępach w naukach, zaprzestała tak częstych odwiedzin. Widywałem ją teraz dopiero co trzecią lub czwartą sobotą, gdy mnie uwalniano ze szkoły na niedzielę, którą spędzałem w Dover. Co do pana Dicka, ten przyjeżdżał co dwa tygodnie, we środę o południu, a odjeżdżał do domu dopiero nazajutrz rano.

Nigdy nie zjawiał się bez skórzanej teki, zawierającej sławny ów memoriał. Zdawało się, jakoby miał niejasne przeczucie, że czas nagli i trzeba raz wreszcie zakończyć długoletnią pracę.

Pan Dick bardzo lubił pierniki. Dla uprzyjemnienia mu wycieczek ciotka otworzyła dlań kredyt u piekarza, z zastrzeżeniem, aby nie przekraczał szylinga dziennie. Ten wydatek, jako też koszta noclegu w gospodzie, ciotka opłacała sama, co nasunęło mi myśl, że wolno mu było raczej pobrzękiwać pieniędzmi, niż je wydawać. Wkrótce też przeko-

<sup>194</sup>*mokrymi warstwy* — daw. forma N.lm rzeczownika; dziś: mokrymi warstwami. [przypis edytorski]

nałem się o trafności mych spostrzeżeń. Istotnie zdawał przed ciotką ściśle rachunki ze swych wydatków. Nie mając zamiaru oszukiwać jej, a pragnąc zawsze zadowolić, czynił to chętnie i wesoło. W tym jak i we wszystkim uważał ją za najrozumniejszą, najgodniejszą podziwu kobietę, z czym zwierzał mi się tajemniczo, półgłosem.

— Trotwood — dodał raz, uczyniwszy przede mną to zwykle zwierzenie — jak myślisz, kim mógł być człowiek jakiś ukrywający się w pobliżu naszego mieszkania i straszący ją?

— Straszący ciotkę? — spytałem.

Skłonił głową<sup>195</sup>.

— I ja sądziłem — rzekł — że ją nic przestraszyć nie zdoła, gdyż — tu zniżył głos do szeptu — jest to najrozumniejsza, najgodniejsza podziwu kobieta!

Mówiąc to, cofnął się dla lepszego zbadania, jakie wrażenie wywarły na mnie jego słowa.

— Pierwszy raz — ciągnął — zjawił się... zaraz, kiedy to było? W tysiąc sześćset czterdziestym dziewiątym?... Wszak tak, utrzymujesz, że rok tysiąc sześćset czterdziesty dziewiąty jest rokiem zgonu króla Karola?

— Tak jest, panie!

— Nie wiem doprawdy — rzekł, potrząsając głową — jak to pogodzić. Czyżbym był tak stary?

— W tym to roku zjawił się ów nieznajomy? — spytałem.

— Zapewne... sam nie wiem, jak się to stało, Trotwood! Powiedz, proszę, czy to data historyczna? Tak zapisano w historii? Tak, nie inaczej?

— Tak, panie.

— Sądzę, że historia nie myli się nigdy — rzekł z błyskiem nadziei w oku.

— O, nie! Nigdy! — potwierdziłem. Ufny i młody, wierzyłem w to święcie.

— Nie mogę sobie jakoś tego wytłumaczyć — pan Dick potrząsnął głową — jest w tym coś... Dość, że człek ów zjawił się wkrótce jakoś po przeniesieniu niektórych trosk z głowy króla Karola na moją głowę. Właśnie przechadzaliśmy się z panią Trotwood po herbacie, noc już zapadła; wtem...

— Wyszedł na was? — spytałem.

— Czy wyszedł? Nie — tu pan Dick zebrał uwagę. — Wcale nie wychodził.

— Jakże... cóż robił?

— Oto... wcale go nie było, wtem zjawił się, zaszeptał coś, a wtedy ona odwróciła się i zemdlą. Stałem i patrzyłem na niego, dopóki nie odszedł. W tym rzecz, że się odtąd gdzieś przechowuje. Gdzie? Może w ziemi, w krzakach może.

— Przechowuje się? — spytałem niedowierzająco.

— Niewątpliwie — odrzekł z powagą — przechowywał się aż do dnia wczorajszego. Znów wyszliśmy na wieczorną przechadzkę i znów zjawił się nagle. Poznałem go.

— I znów się ciotka przelekła?

— Drżała jak listek — odrzekł, dzwoniąc zębami — chwyciła się ogrodzenia, płakała. Ale co więcej — dodał, przyciągając mnie do siebie i szepcząc mi na ucho — czego zrozumieć nie mogę, to że mu, widziałem to przy księżycu, dawała pieniądze.

— Może to był żebrak.

Wstrząsnął przecząco głową, powtarzając z przekonaniem i kilkakrotnie: „nie, wcale nie żebrak”. Po czym opowiedział mi, że przez okno, przy świetle księżyca, późno już wieczorem, widział, jak ciotka wyniosła nieznajomemu i dawała pieniądze, jak tenże znów znikł bez śladu, schował się gdzieś zapewne, i jak ciotka śpiesznie i tajemniczo wróciła do domu, a dziś rano jeszcze była jakaś inna, niż zwykle bywała, co wywarło na panu Dicku silne wrażenie.

Nie wątpiłem, że owo tajemnicze zjawisko było wytworem wyobraźni staruszka i dawało się podciągnąć pod to samo, co ów nieszczęsny król Karol, z którym sobie poradzić nie mógł. Przypuszczałem też, że nieraz pan Dick próbował zapewne uchylić się spod opieki ciotki; znając zaś jej dobroć i przywiązanie do staruszka, nie dziwiłbym się, gdyby opłacała, chociażby drogo, jego spokój. To ostatnie przypuszczenie zdawało mi się tym prawdopodobniejsze, że się sam przywiązałem do pana Dicka i za każdym razem oczekując

<sup>195</sup>skłonił głową — dziś raczej: skinął głową (w sensie: przytaknął, potwierdził). [przypis edytorski]

go we środe, drżałem, że może nie przyjedzie. Ale zjawiał się zawsze, siwy, uśmiechnięty, zadowolony, nie mając nic zresztą ponad to, co się wyżej rzekło, do zakomunikowania o owym tajemniczym zjawisku, które jakoby tak bardzo przerażało ciotkę.

Środy te były najszczęśliwymi dniami jego życia, a i w moim złotym zapisały się literami. W krótkim czasie poznali go moi koledzy i chociaż nie brał udziału w żadnej grze z wyjątkiem puszczania latawca, z żywym zajęciem przypatrywał się naszym zabawom. Nieraz widziałem, jak powstrzymywał oddech w decydującym momencie przy zabawie w psy i zająca, a gdyśmy się gonili, wchodził zwykle na pagórek, aby łatwiej obrzucić okiem arenę gonitwy, a zwycięzcy powiewać kapeluszem zdjętym z siwej głowy, na którą spadły jakoby wszystkie troski z głowy Karola Męczennika. Ileż chwil błogich spędził latem wpatrzony w naszego krykieta. A w zimie, ile razy, z nosem zsiniałym od zimna i wiatru, w zachwycie przyklaskiwał łyżwiarzom. Lubiano go ogólnie. Zdawać by się mogło, że z czasem prostota jego wzrosła jeszcze. Żaden z nas nie umiał wyrzynać równie jak on przedziwnych rzeczy z pomarańczowej skórki. Z lada czego robił łodzie, z kości wyrzynał szachy. Ze starych kart budował przedziwne wozy rzymskich triumfatorów, koła ze szpilek od bawelny, klatki ze starego drutu. Najbieglejszy zaś był w wyplataniu różnych przedmiotów ze sznurów i słomy. Byliśmy przekonani święcie, że zdolny jest wykonać wszystko, co zrobić można ręcznie.

Wkrótce się też rozeszła jego sława i po kilku środowych wizytach sam doktor Strong wypytywał mnie o niego. Opowiedziałem wszystko, com wiedział. Zaciekało to snadź<sup>196</sup> doktora, gdyż zapragnął przedstawić się staruszkowi. Przy pierwszej zaraz wizycie zaznałom się z panem Dickiem i doktor prosił pana Dicka, aby odtąd co środa, po południu, zamiast czekać na dziedzińcu, zanim wyjdę ze szkoły, zechciał wstępować do niego. W ten sposób pan Dick poznał się z młodą (bledszą niż przedtem, smutniejszą, lecz niemniej piękną) żoną doktora i tak, oswajając się powoli z nimi i miejscem, zaczął nawet zaglądać do szkoły. Siadywał w kątku, na krześle, któreśmy potem jego imieniem nazwali<sup>197</sup>, z pochyloną głową, zasłuchany w wykład nauczyciela i lekcje wydawane<sup>198</sup> przez uczniów, największe okazując uszanowanie dla niedostępnej dla się nauki.

Uszanowanie to rozciągał naturalnie aż na osobę doktora, czcząc w nim największego mędrca i filozofa wieku. Przez czas długi przemawiał doń tylko z odkrytą głową i nawet kiedy zawiązała się między nimi przyjaźń, to, gdy całymi godzinami przechadzali się w alei ogrodu, pozostawionej na wyłączny użytek doktora, od czasu do czasu zdejmował kapelusz dla uczczenia nauki i mądrości. Nie wiem już, jak do tego przyszło, lecz z czasem doktor zaczął czytać panu Dickowi wyjątki ze swego słownika. Zapewne wyobrażał sobie z początku, że czyta sam dla siebie; wkrótce jednak weszło to w zwyczaj, a pan Dick słuchał z przejęciem, rozradowany, dumny, w głębi serca przekonany, że na świecie już całym nie ma piękniejszej, bardziej zajmującej od słownika książki.

Gdy przypomnę ich sobie, tak, jakem widywał<sup>199</sup> z okien szkoły: doktora czytającego z uśmiechem lub poważnym ruchem głowy zbierającego roztrzęsione manuskrypty, mego zaś starego przyjaciela zasłuchanego w same dźwięki głosu doktora, z myślą bujającą gdzieś nieuchwytnie, na skrzydłach tychże dźwięków, widzę jeden z najwdzięczniejszych w swym skromnym, cichym rodzaju obrazków, jakie mi się widzieć zdarzyło. Czuję, że jeśliby mogli ci dwaj przechadzać się tak obok siebie zawsze i zawsze, świat stałby się lepszy i tysiące spokój w nim zakłócających szczegółów i wydarzeń nie miałyby miejsca, dla mnie przynajmniej.

Agnieszka stała się też wkrótce przyjaciółką pana Dicka, odwiedzając zaś często dom jej ojca, poznał się on z Uriahem. Co do mnie, przyjaźń nasza stawała się coraz żywsza i chociaż oficjalnie pan Dick uchodził za mego opiekuna, niejednokrotnie zasięgał mojej rady i stosował się do niej nie tylko przez zaufanie do mego rozsądku, lecz z tego względu, że musiał, zdaniem jego, odziedziczyć cząsteczkę mądrości mej ciotki.

<sup>196</sup>snadź (daw.) — widocznie, prawdopodobnie. [przypis edytorski]

<sup>197</sup>któreśmy (...) nazwali — inaczej: które nazwaliśmy (konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika). [przypis edytorski]

<sup>198</sup>wydawać lekcje — recytować wyuczone lekcje zadane jako praca domowa. [przypis edytorski]

<sup>199</sup>jakem widywał — inaczej: jak widywałem (konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika). [przypis edytorski]

Pewnego czwartku rano, odprowadzając pana Dicka na pocztę, spotkałem na ulicy Uriaha i ten przypomniał mi, że mu obiecał przyjść kiedy na herbatę, dodając:

— Nie spodziewam się jednak, abyś pan, panie Copperfield, dotrzymał słowa! Za maluczcy jesteście!

Trudno by mi było określić, czym lubił lub nie lubił tego chłopca, teraz nawet w uczuciach moich w tym względzie panuje chaos pewien. Dość, że mnie ostatnie jego słowa ubodły. Przynajmniej posądzenie mnie o dumę i wzgardliwość. Upewniłem Uriaha, że tylko czekał zaproszenia.

— Jeśli o to idzie — zawołał — jeśli to nie niskość naszej kondycji powstrzyma pana, przyjdź, proszę, dziś wieczorem. Niech to jednak pana, panie Copperfield, w niczym, ale to w niczym nie krępuje. Wiemy, jak jesteście maluczcy, i dobrze znamy nasze położenie.

Odpowiedziałem, że uzyskam u pana Wickfielda pozwolenie spędzenia wieczoru w domu matki Uriaha, a że zresztą pozwolenia był pewien, obiecałem przyjść punktualnie na szóstą po południu.

— Wielki to będzie dla mej matki zaszczyt — rzekł Uriah, gdyśmy szli do jego domu. — Człoby się dumną, gdyby duma nie była grzechem.

— A jednak rano posądziłeś mnie o dumę — zarzuciłem.

— O, nie, panie Copperfield, wcale nie, jakżebym mógł... Nie poczytałbym wcale za dumę, jeśli byś pan nawet osądził nas za nieodpowiednie dla siebie towarzystwo. Wiem przecie, jak maluczki jesteście.

— Dalekoś postąpił<sup>200</sup> w studiach prawnych? — spytałem, pragnąc zmienić rozmowę.

— O! Panie Copperfield — odrzekł z pokorą. — Czyż usiłowania moje zasługują na nazwę studiów? Czasem, wieczorem, dane mi jest spędzić jaką godzinkę z boskim panem Tiddeem.

— Ciężka to rzecz, sądzę.

— Dla mnie ciężka, lecz wątpię, czy ciężką by się zdawała bardziej uzdolnionemu.

Szedł czas jakiś, milcząc i wystukując palcami rytm po brodzie.

— Są — odezwał się — w dziele tym wyrażenia, z którymi z trudem mogę sobie poradzić.

— Może byś chciał nauczyć się po łacinie — zawołałem wesoło. — Z miłą chęcią udzielałbym ci lekcji, gdyż sam się tego uczę.

— Dzięki! O, dzięki panu, panie Copperfield! — odrzekł, potrząsając głową. — Dobroć pańska wzrusza mnie, lecz znam dobrze me położenie i za pokorny jestem, aby przyjąć podobną łaskę.

— Bredzisz, doprawdy!

— Niech mi pan, panie Copperfield, wybaczy. Czuję się zobowiązany dobrocią pańską, lecz przyjąć nie mogę, znam moje położenie. Dość jest już takich, co gardzić mną będą, po cóż mam obrażać ich uczonością nieodpowiednią memu, tak bardzo skromnemu położeniu? Nie przystoją mi tak wzniosłe zachcianki! Przez życia ciernistą drogę wypada iść mi jak najciszej, jak najpokorniej.

Nigdy mi się jeszcze jego usta nie wydały tak szerokimi, zmarszczki na policzkach tak głębokimi, jak w chwili, gdy mi się zwierzał ze swych myśli, potrząsając przy tym głową i pokornie zacierając ręce.

— Sądzę, że się w tym mylisz — rzekłem — i pewien jestem, że jeśli byś chciał tylko, mógłbym ci udzielać lekcji kilku przedmiotów.

— O! O tym nie wątpiłem ani chwilę, panie Copperfield — zawołał — lecz sam będąc w odmiennym niż ja położeniu, nie możesz czuć, co czujemy my maluczcy! Nauka mi nie jest potrzebna! Nie dla mnie jest ona, wiem to. Ale oto i nasze skromniutkie, ubogie schronienie.

Wprost z ulicy weszliśmy do niskiego, staroświeckimi sprzętami<sup>201</sup> zastawionego pokoju, w którym zastaliśmy panią Heep, żywy obraz syna, w zmniejszeniu. Przyjęła mnie z oznakami najwyższej pokory, tłumacząc się z pocałowania wchodzącego syna. „Wszak i ubodzy — mówiła — niepozbawieni są uczuć, co zresztą — dodała — nie powinno

Falsz, Bieda, Świątoszek,  
Syn, Matka, Podstęp,  
Pozory, Pozycja społeczna,  
Pycha

<sup>200</sup>dalekoś postąpił — inaczej: daleko postąpiłeś (konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika). [przypis edytorski]

<sup>201</sup>staroświeckimi sprzętami — daw. forma N. Im rzeczownika; dziś: staroświeckimi sprzętami. [przypis edytorski]

obrażać nikogo”. Pokój, do któregośmy weszli, a który służył jednocześnie i za kuchnię, był zupełnie przyzwoity, wcale nie dziura jakaś. Na stole stał przybór do herbaty, w czajniku wrzała woda. Na uboczu stała komoda, na niej rodzaj pulpitu, przy którym snadź<sup>202</sup> Uriah pracował wieczorami, gdyż leżała tam, w towarzystwie kilku książek jego, z Tiddem na czele, w siny papier oprawna teka. W kącie stał kredens. Były tam także inne zwykłe sprzęty, z których żaden nie wydał mi się szczególnie ubogi, chociaż całość niewątpliwie takie wywierała wrażenie.

Przez skromność też czy przez ubóstwo pani Heep odziana była w żałobę. Odkąd mąż jej umarł, nie zdjęła wdowiej szaty, robiąc jednak niejaki ustępstwa co do pokrywającego jej włosy czepka.

— Dzień to będzie dla nas pamiętny, mój synu — odrzekła, nalewając herbatę. — W dniu tym pan Copperfield zaszczyił swą obecnością niskie nasze progi.

— Pewien byłem, że tak myślisz, matko — odrzekł Uriah.

— Jeślibym śmiała życzyć twemu ojcu, aby pozostawał jeszcze pomiędzy żyjącymi, to chyba po to, aby poznał naszego gościa i korzystał z tak miłego towarzystwa.

Grzeczności te mieszały mnie wprawdzie, ale przyjęcie jako zaszczytnego gościa schlebowało zarazem, i pani Heep zdawała mi się wcale przyjemną osobą.

— Syn mój — ciągnęła — od dawna wyglądał tej upragnionej chwili, lecz wątpił, czy pan zechce zaszczycić nas biedaków, a i ja podzielałam jego wątpliwości, maluczkimi bowiem byliśmy, jesteście, maluczkimi na zawsze być nam sądzono, o, wiemy to i skromni jesteście, pokorni!

— Sądzę, że nie ma do tego powodu — wtrąciłem. — Chyba że pani tak woli.

— Dziękuję panu za dobre słowa. Znamy nasze położenie, znamy i nie skarżymy się na nic.

Tymczasem matka zbliżała się do mnie coraz bardziej, syn zaś coraz to się oddalał, a ci oboje obstawili mnie wszystkim, co było do jedzenia na stole. Nie były to zapewne wielkie przysmaki, lecz rozczulały mnie dobre ich chęci i wielka uprzejmość. Teraz rozmowa przeszła na ciotki — mówiłem o mojej — na ojców, matki — mówiłem o mych rodzicach — potem pani Heep potrąciła o ojcymów i ja zacząłem z początku coś mówić o moim, lecz zatrzymałem się w porę, przypomniawszy sobie zlecenie mej ciotki, abym milczał w tym przedmiocie. Cóż z tego! Korek oparłby się łatwiej dwu korkociągom, ząb dwu dentystom, młody kogucik dwóm dorosłym kogutom, aniżeli się oprzeć mogłem tym dwojgu. Wyciągnęli ze mnie, co chcieli, to co chciałem i nie chciałem powiedzieć, z łatwością wywołującą dziś jeszcze na twarz mą rumieniec, tym bardziej że w młodości mej naiwności sądziłem, że ja to występuję niby w roli opiekuna mych gospodarzy.

Syn i matka kochali się nawzajem, o tym nie wątpię. Takie to na mnie zrobiło wrażenie, i była to rzecz zupełnie naturalna, lecz w uwadze i uprzejmości, z jaką każde z nich słuchało słów drugiego, było coś sztucznego. Gdy już wydobyli ze mnie wszystko (a nie my pozostałem tylko co do „Murdstone i Grinby” i mojej ucieczki z Londynu), zaczęli obrabiać pana Wickfielda i jego córkę. Uriah rzucił jakieś słówko, które w lot porwała jego matka i tak dalej, i tak dalej, aż mi się w głowie mieszało. To mówiono o prawniku, to znów o jego córce, tu o zaletach pierwszego, tu o mym uwielbieniu dla ostatniej, tu o środkach i interesach prywatnych pana Wickfielda, tu o winie, które spijał po obiedzie i dlaczego pija tak wiele, tu o tym, tu o owym, o wszystkim, o niczym, a przez cały czas zdawało mi się, że ja sam mówię mało, tyle tylko, ile potrzeba, aby nie zrazić gospodarzy, nie upokorzyć mym milczeniem, a jednak, wiem to, mówiłem tysiące rzeczy, które lepiej bym przemilczał, a ostrzegały mnie nawet o tym niejednokrotnie ruchome nozdrza Uriaha.

Zaczynałem odczuwać pewne wewnętrzne niezadowolenie i pragnąłem zakończyć jak najprędzej tę wizytę, gdy przed otwartymi dla wpuszczenia świeżego powietrza, a na ulicę wychodzącymi drzwiami przesunęła się jakaś postać, zajrzała w głąb pokoju, wróciła i, stając u progu, zawołała:

— Byćże<sup>203</sup> to może! Copperfield!

<sup>202</sup>snadź (daw.) — widocznie, prawdopodobnie. [przypis edytorski]

<sup>203</sup>byćże — konstrukcja z partykułą -że o funkcji wzmacniającej i pytającej; inaczej: czy być. [przypis edytorski]

Był to pan Micawber we własnej osobie, z monoklem, laską, białym kołnierzykiem, zwykłą swą uprzejmością, szczególną intonacją głosu.

— Kochany Copperfieldzie — wołał, wyciągając rękę. — Spotkanie to niespodziane potwierdza chyba wszystko, co o niestałości i zmienności losów ludzkich kiedy i gdzie bądź powiedziane było! Dziwne, przedziwne spotkanie! Przechodziłem właśnie, myśląc o różnych zmianach, które wcześniej czy później w życiu każdego z nas zająć mogą, aż tu spostrzegłem młodego, lecz wielce szacownego przyjaciela, którego wspomnienie wiąże się z najpamiętniejszą chwilą mego życia. Witaj mi, witaj, kochany przyjacielu!

Nie mogę powiedzieć, za nic powiedzieć nie potrafię, czym był zadowolony ze spotkania tu właśnie Micawbera, lecz to pewne, że mi widok jego był miły, że mu serdecznie uściskał dłoń, wypytując o żonę.

— Dziękuję, bardzo dziękuję — odrzekł, skłoniwszy jak dawniej ręką i jak dawniej wsuwając głowę w kołnierzyk — przychodzi do zdrowia, a bliźnięta nie czerpią już pokarmu z łona przyrody, to jest, krótko mówiąc, zostały właśnie odłączone, toteż pani Micawber towarzyszy mi w podróży i ucieszy się, kochany Copperfieldzie, odnowieniem znajomości z kimś, co w tak młodym wieku umiał już być kapłanem u wzniosłych ołtarzy przyjaźni.

Upewniałem, że mi przyjemnie będzie spotkać panią Micawber.

— Bardzoś łaskaw! — odpowiedział pan Micawber, uśmiechając się, zanurzając brodę w kołnierzyk i rozglądając się dokoła.

— Spotykam młodego mego przyjaciela — począł — nie w osamotnieniu, lecz w towarzystwie owdowiałej damy i jej zapewne odrośli, krócej mówiąc, syna. Uważałbym za zaszczyt być przedstawionym tu obecnym.

Nie było rady; musiałem przedstawić go Uriahowi i jego matce. Rozproszyli się w pokornych powitaniach, pan Micawber usiadł i machnął w dobrotliwy, zwykły sobie sposób dłonią.

— Przyjaciele — upewniał — przyjaciół naszych nabierają przez to już samo prawa do naszej przyjaźni.

— Zbyt wielkim byłoby to dla nas zaszczytem, panie — zaczęła pani Heep — zaliczać się do przyjaciół pana Copperfielda. Znamy nasze położenie, skromni jesteśmy, robaki marne. Pan Copperfield raczył nie wzgardzić niskim naszym progiem i u stołu naszego wypić skromną filiżankę herbaty, za co mu nieskończenie wdzięczni jesteśmy, jako też panu za łaskawe jego słowa.

— Pani! — odrzekł z ukłonem pan Micawber. — Jesteś pani wielce łaskawa. I cóż porabiasz, Copperfieldzie?... Zawsze w handlu win, co?

Chciałem jak najprędzej wyjść z panem Micawberem, toteż z kapeluszem już w rękę i zarumieniony po uszy odrzekłem, że jestem obecnie uczniem w szkole doktora Stronga.

— Uczniem... — zauważył pan Micawber. — Cieszę się z tego niewymownie.

Tu zwrócił się do pani Heep i jej syna, dodając:

— Chociaż umysły takie, jak młodego tu obecnego naszego przyjaciela nie wymagają kultury podobnej tej, jakiej wymagać mogą umysły mniej bystre i spostrzegawcze, nieposiadające tak trafnej znajomości ludzi i rzeczy, jest to wszelako grunt bogaty, brzemienno bujną roślinnością, czyli, krótko mówiąc, umysł naszego, tu obecnego przyjaciela zdolny jest przyjąć klasyczne wykształcenie.

Uriah, przez cały czas zacierający ręce, wyciągnął szyję, potakując w ten sposób wyrażonemu przez przybysza zdaniu.

— Czy nie mógłbym zaraz odwiedzić pańskiej żony? — spytałem, pragnąc czym prędzej wyjść z panem Micawberem.

— Zapewne, jeśli chcesz zrobić jej tę przyjemność — odrzekł powstając i dodał: — Przy obecnych tu naszych przyjaciółach nie waham się wyznać, że przez lat długie szereg był ofiarą przeróżnych piętężnych niepowodzeń...

Pewien byłem, że wspomni coś o tym. Tak lubił się rozwodzić na ten temat.

— Czasem — ciągnął — udawało mi się wznieść nad przekorne losy, czasem znów one mnie pokonywały, jednym słowem, czasem zostawałem panem położenia, czasem przekorne okoliczności naciskały na mnie tak, że tylko odzywać się mogłem do żony mo-

jej i wiernej towarzyszki złej i dobrej doli słowami Katona: „Platonie! Dobrześ mówił<sup>204</sup>, wszystko się przeciw mnie sprzysięgło, walczyć nie mam już siły”. Lecz w żadnym wypadku — kończył — nie czuję się szczęśliwszy niż wówczas, gdy żale me i rozczarowania mogę wylać przed młodocianym a doświadczonym już, tu obecnym mym przyjacielem, Copperfieldem.

Mowę tę pan Micawber zakończył, żegnając panią i pana Heep. Wyszliśmy. Szedł jak zwykle napuszony, postukując obcasami i nucąc jakąś piosenkę.

Zatrzymał się był w małej gospodzie, gdzie zajął małą, dymem cygar nasiąkniętą izdebkę. Przytykać musiała do kuchni, gdyż gęste, smrodliwe opary napępniały ją aż po sufit, wdzierając się przez szczeliny w przepierzeniu. Z drugiej strony dochodziła woń piwa i wódki wraz z brzękiem szklanek i kieliszków. W tej to izdebce, na sofce, nad którą wisiał obraz przedstawiający wyścigowego konia, z głową tuż przy kominku, a nogami potracając o fotel, leżała pani Micawber, do której mąż zawołał:

— Pozwól, kochanko, abym ci przedstawił ucznia doktora Stronga.

Zauważę, że pan Micawber lubił przypominać i mówić, że był uczniem doktora Stronga, jak o czymś dystyngowanym.

Wejście moje zdziwiło, lecz i ucieszyło panią Micawber. Co do mnie, miło mi było widzieć ją, powitaliśmy się więc serdecznie. Usiadłem obok niej na sofie.

— Kochanko — mówił pan Micawber — jeśli chcesz opowiedzieć młodemu naszemu przyjacielowi, w jakim obecnie znajdujemy się położeniu, co go zapewne interesuje, pójdę, przeczytam gazetę i zobaczę, czy się tam czasem co dla nas nie znajdzie.

— Sądziłem, że państwo znajdujecie się w Plymouth — rzekłem, skoro się pan Micawber oddalił.

— Tak, kochany panie Copperfield — odrzekła. — Udaliśmy się istotnie do Plymouth.

— W celu pozostania?

— Tak, istotnie, aby być w miejscu, lecz prawdę mówiąc, w Komorze Celnej nie potrzebują ludzi z talentem, a wpływy rodziny mojej nie zdołały wysunąć na widownię zalet i zdolności mego męża. Same jego zdolności szkodziły mu raczej, zbyt rażąco odbijając od nieudolności i miernoty innych. Nie zamilczę też przed panem, kochany panie Copperfield, że gdy ta gałąź rodziny mojej, która zamieszkała w Plymouth, dowiedziała się, że towarzyszę mojemu mężowi wraz z małym Wilkinsem, jego siostrzyczką i naszymi bliźniętami, przyjęła go o wiele chłodniej, niż tego mógł się, i to dopiero wyszedłszy z więzienia, spodziewać. Powiem nawet panu — tu zniżyła głos — w nadziei, że to zostanie pomiędzy nami, iż przyjęcie było więcej niż chłodne!

— Szkoda! — zawołałem.

— Istotnie — mówiła pani Micawber — smutno jest odkrywać ciemne strony ludzkości! Przyjęto nas chłodno, więcej niż chłodno, i ta gałąź rodziny mojej, która osiadła w Plymouth, zanim upłynął tydzień od naszego tam przybycia, stanęła na stopie nieprzyjaznej względem mego męża.

Zauważyłem, że ludzie ci musieli być bez serca i sumienia.

— A jednak tak było — ciągnęła pani Micawber. — I cóż w podobnych okolicznościach pozostawało memu mężowi? Oczywiście jedno mu pozostało: pożyczyć od tej gałęzi rodziny mojej, która osiadła w Plymouth, na powrót do Londynu...

— Wróciliście tam wszyscy, kochana pani? — spytałem.

— Wszyscy wrócili. Odtąd zasięgałam rady u innych członków mojej rodziny, z innej gałęzi, co do dalszych przedsięwzięć mego męża, gdyż musi on przecież coś przedsięwziąć. Rodzina złożona z sześciu dusz, nie licząc w to służącej, nie może żyć samym powietrzem — kończyła przekonywająco.

— Zapewne, kochana pani.

— Otóż zdaniem innych członków rodziny mojej, z innej, nie z tamtej gałęzi, jest, aby pan Micawber zabrał się do węgla.

— Przepraszam, do czego?

— Do węgla, to jest do handlu węglami, a wszystko daje nam rękojmię, że istotnie wcale niezgorsze nadzieje otwierają się dla nas z tej strony i zdolności mego męża znaleźć

<sup>204</sup>*dobrześ mówił* — inaczej: dobrze mówiłem (konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika). [przypis edytorski]



mogą odpowiednie sobie ujście w handlu na splawie rzeki Medway. Cóż, pozostawało jeno przyjechać i przypatrzeć się bliżej rzece Medway. Toteż przyjechaliśmy, widzieliśmy... mówię w liczbie mnogiej, gdyż naturalnie i, jak to już panu wiadomo, nigdy, nigdy nie opuszczam mego męża.

Ostatnie słowo wymówiła z uczuciem. Zaszemrałem coś w rodzaju pochwalnego twierdzenia.

— Przybyliśmy — ciągnęła — przypatrzyliśmy się. Zdaniem moim, handel węglami w okolicy tej wymaga wielkiego uzdolnienia, ale też i kapitału. Na pierwszym memu mężowi nie zbywa, lecz drugiego braknie. Oto jest zdanie moje po bliższym i ściślejszym zbadaniu kwestii. Będąc już raz w tych stronach, nie podobna<sup>205</sup> było nie zwiedzić tutejszej katedry, raz, że istotnie godną jest widzenia, a myśmy jej dotąd nie znali, po wtóre, że się zawsze coś znaleźć może w archidiecezjalnym grodzie. Jesteśmy tu od trzech dni i nic się dotąd nie znalazło. Zresztą pana to, kochany panie Copperfield, nie zdziwi tak, jak zdziwić by mogło obcego nam człowieka, jeśli wyznam, że zadłużyliśmy się tu w hotelu i zmuszeni jesteśmy wyczekiwać zasiłku pieniężnego z Londynu. Oto jakim sposobem odłączona jestem od domu (mieszkamy obecnie w Pentonville) od syna, córki i obojga mych bliźniąt.

Tak krytyczne położenie starych przyjaciół wzruszyło mnie do głębi serca. Wyraziłem współczucie moje powracającemu panu Micawber, dodając, jak bardzo żałuję, że nie posiadam dostatecznej ilości pieniędzy, aby ich wesprzeć pożyczką. Pan Micawber odpowiedział, ściskając mi dłonie:

— Copperfieldzie! Prawdziwym w każdym wypadku okazujesz się przyjacielem, lecz człowiekowi doprowadzonemu do ostateczności wierniejszą przyjaciółką jeszcze pozostaje... brzytwa.

Na straszliwe te słowa pani Micawber rzuciła mężowi ręce na szyję, błagając, aby się uspokoił. Zalał się łzami, co mu nie przeszkodziło zaraz potem, lży otarłszy, zadzwonić na służącego i zamówić nazajutrz na śniadanie półmisek gorącego puddingu z cynadrami i porcję raczków morskich.

Zegnając, zapraszali mnie oboje tak serdecznie, abym zjadł z nimi przed ich odjazdem obiad, żem nie miał serca wymówić się. Lecz że nazajutrz nie mogłem przyjąć zaproszenia, mając w dniu tym wiele lekcji do przygotowania, pan Micawber miał przyjść przed południem do szkoły, aby się ze mną umówić na dzień następny. Zjawił się też istotnie. Wywołano mnie z klasy. Umówiliśmy się, jak to było postanowione, lecz na pytanie moje, czy nadeszły wyczekiwane z Londynu zasiłki, odpowiedział mi tylko silnym ściśnieniem dłoni.

Tegoż samego wieczoru, patrząc przez okno, nieprzyjemnie uderzony zostałem widokiem Uriaha przechadzającego się pod rękę z panem Micawberem. Pierwszy, w pokorze swej, zdawał się uszczęśliwiony z zaszczytu, jakiego dostąpił, drugi, napuszony, zdawał się być niemniej zadowolony z roli protektora, w której występował. Bardziej jeszcze zdziwiła mnie, gdy się nazajutrz o czwartej zjawił na obiad, wiadomość, że pan Micawber spędził wczoraj wieczór cały u pani Heep.

— Powiem ci, kochany Copperfieldzie — mówił — że ten twój młody przyjaciel zajdzie wysoko, zostanie co najmniej sławnym patronem, adwokatem. Gdybym był znał go w epoce przesilenia mych interesów, pewien jestem, że wierzyciele moi lepiej by na tym wyszli i ja także.

Wprawdzie nie wiedziałem, jakim by się to mogło stać sposobem, gdyż i tak, o ile wiadomo mi było, wierzyciele nie dostali złamanego szeląga, powstrzymałem się jednak od tej uwagi. Nie pytałem go też, czy nie był czasem zbyt wylewny wobec Uriaha, ani czy mówił mu o mnie. Bałem się zranić go, czyli raczej bałem się zranić tkliwą jego żonę. Pytania te jednak niepokoiły mnie i długo potem nie przestały niepokoić.

Obiad był wytworny niemal; składał się z ryby, pieczonej cynadry, kuropatw i puddingu. Podawano mocne piwo i wino, a na deser pani Micawber własną ręką zgotowała wyborny poncz.

<sup>205</sup>nie podobna było (daw.) — nie było możliwe. [przypis edytorski]

Pan Micawber w wybornym też był humorze. Nie pamiętam, czym go kiedy widział<sup>206</sup> bardziej ożywionym. Poncz rozrozumiał mu twarz, która wyglądała jak lakierowana. Przepowiadał najświetniejszą naszemu miastu przyszłość, utrzymując, że i on, i żona jego spędzili w nim dni nieskończenie przyjemne, które im pozostaną na zawsze w pamięci. Wspominaliśmy przeszłość, dzieje naszej znajomości, po czym prosiłem nieśmiało panią Micawber, aby raczyła mi pozwolić wypić jej zdrowie. Przy tej sposobności pan Micawber wygłosił pochwałę charakteru swej żony i jej wysokich zalet, przyznając, że była mu gwiazdą przewodnią, natchnieniem, najwierniejszą przyjaciółką. Na zakończenie dodał, że gdy dojdę lat odpowiednich, życzy mi napotkać podobną towarzyszkę życia, jeśli oczywiście druga taka znajdzie się na kuli ziemskiej.

Po obiedzie pan Micawber był coraz rozmowniejszy, a i humor pani Micawber poprawił się do takiego stopnia, żeśmy śpiewali chórem piosenkę po piosence aż do zupełnego rozczulenia. Słowem, nie pamiętam ludzi weselszych od tych dwojga, aż do ostatniej chwili, gdy późno już wieczorem pożegnałem panią i pana Micawber. Toteż nie dziw, że nazajutrz o siódmej rano zdziwił mnie list następujący, pisany wieczorem o wpół do dziesiątej, to jest w niespełna pół godziny po naszym rozstaniu:

Kochany, młody mój przyjacielu!

Kości rzucone i mosty spalone! Po wszystkim! Ukrywając głęboką ranę pod smętną wymuszonej wesołości maską, nie powiedziałem dziś panu, że mnie ominęła wszelka nadzieja otrzymania wyczekiwanego z Londynu zasiłku. Wśród podobnych okoliczności upokarzających zarówno, jak bolesnych, wydać musiałem właścicielowi gospody weksel na należną mu sumę, płatny w Londynie, w mieszkaniu mym Pentonville, za dwa tygodnie. Że zaś ani za dwa tygodnie, ani nigdy uiścić długu nie zdołam, następstwa tego kroku łatwe są do przewidzenia. Topór podjęty, drzewo paść musi...

Niechże nieszczęsny, piszący te słowa, pozostanie ci, kochany przyjacielu, na zawsze przykładem! W tym to, nie w innym celu pisze on do ciebie. Nadzieja ta złotym swym promieniem rozświeca mroki zalegające przepaść jego duszy i pozostałych mu jeszcze do spędzenia na tej ziemi dni rozpaczy i goryczy. Dni te, jak na teraz, są policzone, trwanie ich stało się wątpliwe.

Ostatnie to są, drogi przyjacielu, słowa

Odrąconego od społeczeństwa

Twego

Nędzarza

*Wilkinsa Micawber.*

Rozdzierający ten list tak mnie wzruszył, że natychmiast, przed pójściem do szkoły, pobiegłem do gospody, w której przemieszkiwał pan Micawber, w celu pocieszenia go. W pół drogi spotkałem odchodzący do Londynu dylizans, a w nim oboje państwo Micawber. On z wyglądającą mu z kieszeni butelką likieru uśmiechał się zarumieniony, ona gryzła włoskie orzechy, wyjmowane z papierowej torebki, że zaś mnie nie dostrzegli, wołałem ich nie zaczepiać. Z serca spadł mi ciężar i skracając sobie drogę, skręciłem w najbliższy zaułek, śpiesząc do szkoły. Lubilem ich nie mniej niż dawniej, lżej mi jednak było jakoś, gdym tracił ich z oczu.

## ROZDZIAŁ XVIII. RZUT OKA WSTECZ

Szkolne czasy! Ciche blaski dni minionych, stopniowego, powolnego rozwoju władz duszy i ciała, przejście z dzieciństwa do młodości! Niechże dziś, niby wyschłe, suchymi liśćmi zawalone łożysko, przypomnę sobie żywe, tryskające wody tego potoku, biegiem jego pozostawiony ślad.

<sup>206</sup>czym go kiedy widział — inaczej: czy go kiedy(ś) widziałem (konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika). [przypis edytorski]

Chwilę! Oto co niedziela rano jestem z towarzyszami w katedrze. Szliśmy w ordynku<sup>207</sup>, zebrawszy się przedtem w szkole. Woń stęchlizny, bezsłoneczny mrok, uczucie takie, jak gdyby ciężkie kościelne wrota oddzielały od świata całego, rozplywanie się poważnego głosu organów po ciemnych galeriach i głębokich nawach unoszą mnie w przeszłość skrzydlatym wspomnieniem pół snu, pół jawy.

Nie byłem wprawdzie ostatnim uczniem i szybkie czyniłem postępy, lecz miejsce pierwszego ucznia wydawało mi się niedościgłym szczytem potęgi i sławy i chociaż Agnieszka zaprzeczała temu, twierdziłem, że miejsce to, o którym sądziła, że je z czasem zdobędę, zajęte jest przez istotę wyższą, posiadającą co najmniej wszechwiedzę. Pierwszy uczeń w szkole doktora Stronga nie był wprawdzie moim przyjacielem i zdeklarowanym opiekunem, jak niegdyś Steerforth; zainteresował mnie on jednak szczególnie, rozmyślałem często, czym zostanie, wyszedłszy ze szkół i czy się na świecie znajdzie odpowiednie dlań miejsce.

Cóż to znowu? A! To panna Shepherd, w której się kochałem. Panna Shepherd, pensjonarka z pensji panien Nettingall. Uwielbiałem ją. Była to mała dziewczynka w akсамitnym spencerku<sup>208</sup>, z okrągłą twarzą i jasnymi kędzierzawymi włoskami. Pensjonarki panien Nettingall bywały w niedzielę o tej samej, co my, godzinie w katedrze, co wielce mą uwagę rozpraszało. W chórach słyszałem głos mej wybranki, a modląc się, zwłaszcza za królewską rodzinę, mimo woli wtrącałem jej imię. W domu, od czasu do czasu, w napadzie czułości wołałem: „O, panno Shepherd!”

Przez długi czas nie byłem pewien wzajemności, lecz w końcu łaskawe losy zbliżyły nas, w czasie lekcji tańców. Panna Shepherd była właśnie moją damą. Dotykałem jej rękawiczki i rozkoszne drżenie przebiegało mnie po ramieniu. Wprawdzie nie wyznałem jej mych uczuć, lecz rozumieliśmy się doskonale. Marzyliśmy tylko o sobie. Nie wiem już, jak to się stało, że jej ofiarowałem tuzin amerykańskich orzechów! Nie były one wcale wymownymi tłumaczami mych uczuć, nie dawały się równo ułożyć w papierze i owinać różową wstążeczką, niełatwe były do zgryzienia, z trudnością nawet dawały się gnieść pomiędzy drzwiami, a zgniecione miały smak częstokroć jełki, uznałem je jednak za godny mej wybranki podarek. Nosilem jej też biszkopty i pomarańcze. Raz, pamiętam, w przedpokoju, zdejmując z niej płaszczyk, udało mi się ją pocałować! O nieba! Nazajutrz z oburzeniem dowiedziałem się, że panna Nettingall kazała mej ukochanej stać w desce do prostowania nóg, ponieważ stawia je do środka.

Jakżebyem się mógł rozstać z panną Shepherd, ideałem mych marzeń! Nie pojmowałem tego, a jednak stopniowo chłód jakiś powstał pomiędzy nami. Doszły mnie wieści, jakoby panna Shepherd uskarżała się na moją natarczywość i jakoby zwierzyła się, że się jej lepiej podoba<sup>209</sup> młody Jones. Jones! Chłopak bez żadnych zdolności i zasług! Przepaść między nami pogłębiała się z dniem każdym. W końcu spotkałem raz na przechadzce pensję panien Nettingall. Panna Shepherd, dostrzegłszy mnie, skrzywiła się, pomiędzy pannami powstały chichoty. Tego już było nadto! To wystarczało do otrzeźwienia z miłości na całe życie, a zdawało mi się, że w grę wchodziło całe moje życie. W modlitwach moich w katedrze z pocztu królewskiej rodziny imię wiarołomnej wymazane zostało raz na zawsze.

W szkole papiery moje poszły w górę. Odzyskałem spokój ducha, przestałem być grzeczny i nadskakujący dla panien z pensji, gdzie przebywała panna Shepherd, i nie zwracałbym na nie uwagi, gdyby były stokroć jeszcze piękniejsze. Zacząłem lekceważyć lekcje tańców, oceniając je jako rzecz potrzebną chyba dziewczętom, które mogłyby zresztą tańczyć pomiędzy sobą i nie wciągać nas, chłopców, w tak płocze rozrywki. Natomiast ćwiczyłem się w łacińskiej poezji i zaniedbywałem sznurowadła mych bucików. Doktor Strong mówił publicznie o mnie jako o pełnym nadziei uczniu<sup>210</sup>, pan Dick promieniał z radości, a ciotka przysłała mi pocztą całą gwineę.

<sup>207</sup>w ordynku (daw.) — w ustalonym porządku (używane szczególnie w odniesieniu do wojska); w szeregu. [przypis edytorski]

<sup>208</sup>spencer — zdrobn. od *spencer*; daw. krótka kurtka dwurzędowa; w stroju męskim: ubiór codzienny, sportowy a. roboczy (kurtka do jazdy konnej, łowiectwa itp.), rodzaj fraka z obciętymi polami; w stroju damskim: wygodny kaftanik noszony na suknię. [przypis edytorski]

<sup>209</sup>że się jej lepiej podoba — dziś popr.: (...) bardziej podoba. [przypis edytorski]

<sup>210</sup>jako o pełnym nadziei uczniu — właśc. jako o uczniu budzącym wielkie nadzieje. [przypis edytorski]

Wtem, na kształt ducha w *Makbecie*<sup>211</sup>, wznosi się cień młodego rzeźnika. Kimże jest młody ów rzeźnik? Postrachem całej w Canterbury młodzieży. Mówią, że szpik wołowy, którym jakoby pomaduje włosy<sup>212</sup>, niezwykleż używa mu siły; że mało który mężczyzna mierzyć się z nim zdoła. Chłopak ten ma twarz płaską, czerwoną, kark potężny, umysł słaby, ale język wprawny, a używa go w szczególności do wyśmiewania i szkalowania uczniów doktora Stronga. Publicznie odzywa się, że gotów stanąć do walki z każdym z nas, a chociażby i ze wszystkimi razem. O niektórych — a w tej liczbie i o mnie — twierdzi, że jedną ręką obali ich na ziemię. Czyha na najmniejszych, aby ich targać za włosy, a mnie to już wyzywa na wszystkich rogach ulicy. Za wszystkie te obelgi postanowiłem ukarać go srodze.

Było to w letni wieczór, na murawie, przy zakręcie muru. Spotkaliśmy się. Ze mną był poczet wybranych towarzyszy, za nim parę jemu podobnych: kilku młodych rzeźników, syn karczmarza i kominiarczyk jakiś. Poczyniono wstępne kroki, stanęliśmy do walki na śmierć i życie. Pierwszy cios zapaśnika wymierzony w moje czoło był tak silny, że tysiąc świeczek zamigotało mi w oczach. Po chwili nie wiedziałem już gdzie mur, gdzie murawa, gdzie ja, a po drugiej chwili nie odróżniłbym już sam siebie od młodego rzeźnika, takim silnym i wściekłym spleśliśmy się objęciem, turlając się po zmiętej murawie. Chwilami dostrzegałem mego wroga, pokrwawionego, lecz natarczywego. Czasami czułem go nad sobą, to znów pod sobą, rzucałem się na niego, to on na mnie, w końcu przecknąłem się niby ze snu ciężkiego, czując coś dziwnego w głowie, i widziałem, jak zapaśnik mój oddalał się, nakładając kurtkę, triumfujący, wśród pochwał syna karczmarza i kominiarczyka. Zrozumiałem, że został zwyciężony<sup>213</sup>.

Odprowadzono mnie do domu w opłakanym stanie. Przykładano mi kompresy na oczy, obmywano octem i wódką. Nad ustami czułem wielkie białe wzdęcie, które swędziało niemiłosiernie. Przez dni kilka musiałem leżeć z podbitym okiem, straszny, osłabiony i czułbym się nieskończenie nieszczęśliwy, gdyby nie Agnieszka. Jak dobra siostra dotrzymywała mi towarzystwa, rozrywała czytaniem i rozmową. Że zaś posiadała me zaufanie, opowiedziałem jej całe to zajście z młodym rzeźnikiem. Zgodziła się na to, że powinienem być z nim walczyć, chociaż opłakiwała szczerze następstwa walki.

Czas płynął niepostrzeżenie. Adams nie był już pierwszym uczniem w szkole, z tej to przyczyny, że szkołę opuścił od dawna, a gdy przybył w odwiedziny do doktora, mało go który z uczniów, oprócz mnie, pamiętał i poznał. Teraz gdy miał zostać prawnikiem i adwokatem, zdziwiony byłem, że mi się wydawał mniej jakoś imponujący niż dawniej. Świat i życie nie odcisnęły na nim jeszcze swego piętna.

Pusta przestrzeń, którą zapelnia tylko przesuwający się orszak poetów i historyków. I co dalej? Oto ja sam zostałem prymusem i, patrząc z góry na młodszych, przypominałem sobie własne uczucia, gdy wstępowałem do szkoły i podziwiałem dostojeństwo Adama. Zdawało mi się, że pomiędzy mną-młodzieńcem a mną-dzieckiem żadna nie istniała tożsamość i na własne dzieciństwo moje, na własną przeszłość spoglądałem jak na coś obcego, co przeszło, minęło, jakby nie istniało nigdy.

A i ta mała dziewczeczka, którą poznałem w dniu przybycia do domu prawnika, gdzież się podziała? Znikła bezpowrotnie. Jej miejsce zastąpiła kobieta jak dwie krople wody podobna do wiszącego tam na dole portretu. Agnieszka, miła moja siostra, przyjaciółka, towarzysząca lat dziecińczych, ta, której słodki, kojący wpływ opromienić miał mi życie całe, z dziecka wyrosła na dziewczynę.

Jakież zmiany zaszły we mnie samym, oprócz tych, że wyrósł, zmężniał, rozwinął się fizycznie i umysłowo? Nosilem zegarek ze złotym łańcuszkiem, pierścionek na małym palcu lewej ręki i modną odzież, oprócz tego zużywałem niesłychaną ilość pomady, co

<sup>211</sup>*duch w Makbecie* — w sztuce Shakespeare'a Makbetowi ukazuje się podczas uczty duch jego zamordowanego przyjaciela, Banka, niewidoczny dla pozostałych zebranych przy stole; Banko był ofiarą Makbeta, został zabity na jego zlecenie, ponieważ istniało prawdopodobieństwo, że domyśla się poprzedniej zbrodni, zabicia króla Dunkana, i może zagrozić trwałości zdobytej w drodze tego morderstwa władzy; porównanie widma młodego rzeźnika do ducha Banka, będącego symbolem wyrzutów sumienia, wydaje się tu tyleż niedokładne, co żartobliwe. [przypis edytorski]

<sup>212</sup>*pomadować włosy* — smarować włosy *pomadą*, czyli kosmetykiem do włosów na bazie wosku i tłuszczu, pomagającym w układaniu fryzury oraz nadającym połysk. [przypis edytorski]

<sup>213</sup>*został zwyciężony* — inaczej: że zostałem zwyciężony (konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika). [przypis edytorski]

zapewne niezbyt mnie upiększało. Czyżbym znowu się kochał? Kochałem bo się znów na zabój w starszej pannie Larkins.

Nie była to już mała dziewczynka, lecz słuszna, czarnooka i czarnowłosa panna. Nie podlotek żaden, nawet najmłodsza jej siostra od dawna przestała być podlotkiem, a cóż dopiero ta, najstarsza z panien Larkins! Kto wie, czy nie dobiegała trzydziestki. Kochałem się w niej na zabój.

Miłość ta nie była bez cierni, a cierniami tymi byli oficerowie. Znała się z nimi, niejednokrotnie widziałem, jak się zbliżali do niej na ulicy, gdy przechadzała się z siostrą, czatowali nawet na zjawienie się jej kapelusza, a wiedzieć trzeba, że w wyborze kapeluszy bywała wybredna i nosiła zwykle najmodniejsze. Rozmawiała z oficerami swobodnie i wesoło. Ileż sam straciłem czasu, chodząc po ulicach, by spotkać królowę mego serca! Dzień, w którym udało mi się uklonić jej z daleka, uważałem za szczęśliwy, a com się nacierpiał, nazgrzytał zębami w dniu balu, w dzień wyścigów! Wiedziałem, że tańczyć będzie z oficerami, a ja?... Gdzież i w czym znaleźć mogłem ukojenie? Nie! Nie było sprawiedliwości na świecie!

Miłość pozbawiała mnie apetytu i prowadziła do rozrzutności. Na co dzień nosiłem najpiękniejszy mój jedwabny krawat, najlepszą odzież, a żadne chyba pod słońcem buty nie widziały tyle, co moje, werniksu. Wszystko, co miało jakiś bądź związek z najstarszą z panien Larkins, było dla mnie świętością. Ojciec jej, mrukliwy, kwaśny dżentelmen z nieruchomym okiem, wydawał mi się nieskończenie zajmujący i gdy nie udało mi się spotkać córki, pocieszałem się, spotykając ojca i rumieniąc się, i bojąc zdradzić, witałem go, pytając o zdrowie jego i rodziny.

Młodość moja była ciągłym przedmiotem mych rozmyślań. Lat siedemnaście! Nie był to wiek odpowiedni dla panny Larkins. Zresztą wkrótce dosięgnę lat dwudziestu i zostanę pełnoletnim. Co wieczór przechadzałem się pod oknami mieszkania tych pań, zrozpaczony widokiem wchodzących, wychodzących oficerów, wsłuchany w dolatujące z salonu szmery i dźwięki harfy, na której grywała, niestety, starsza panna Larkins! Czasami, nawet gdy się już wszyscy rozeszli i rodzina cała we śnie pogrążyła, krążyłem jeszcze wokół domu, starając się odgadnąć, które okno było oknem pokoju królowej mych myśli. Zdaje mi się, że domysły moje padały na okno sypialni samego pana Larkins. A gdyby tak nagle wybuchnął pożar! Zebrane tłumy stają przerażone, ja sam przystawiam do okna drabinę, wspinam się i spośród płomieni wynoszę najstarszą pannę Larkins z portarganym włosom, w bieli. Zapomniała czegoś w płomieniach, jakąś drobnostkę, kwiat zwiedły. Wspinam się powtórnie — ginę. Miłość moja była najzupełniej bezinteresowna! Szczęśliwy, błysnąłbym raz w oczach kochanki i skonał!

Mniej ponure innym razem śniły mi się sceny. I tak, ubierając się (co mi zabierało parę godzin czasu) na tańczący wieczór do Larkinsów, wyobrażałem sobie, że się oświadczam pannie Larkins. Wyobrażałem ją sobie pochyloną na moim ramieniu i szepczącą we wzruszeniu: „O! panie Copperfield! Czyż mogę temu wierzyć?”. Nazajutrz ojciec spotyka mnie i mówi: „Mój panie, córka wyznała mi wszystko, młodość pańska nie stanowi przeszkody, daję wam dwadzieścia tysięcy i moje błogosławieństwo”. Wyobrażałem sobie, co na to ciotka i pan Dick powiedzą. Jak mnie będą błogosławić. Jak ten ostatni, z doktorem Strongiem, służyć mi będą za świadków przy ślubie... Nie byłem zarozumiały, wszystko to jednak wydawało mi się chwilami bardzo naturalne i możliwe.

Salon państwa Larkinsów napełniony był kwiatami, muzyką, światłem i — z bólem to wyznać muszę — oficerami. Królowała w nim Ona! Odziana w niebieską szatę, na włosach miała niezapominajki, jak gdyby zapomniana być mogła! Było to pierwsze liczniejsze zebranie, w jakim się znajdowałem. Czulem się nieco onieśmielony, obcy wszystkim. Przemówił do mnie sam tylko gospodarz domu, pytając o szkolnych kolegów. Miałżeby zaprosić mnie po to, aby mi ubliżyć? Stałem na boku, przy drzwiach, chmurny i smętny, wodząc okiem za panią mego serca, gdy ta zbliżyła się z boskim pytając mnie uśmiechem, czy tańczy.

Drgnąłem i z głębokim ukłonem:

— Z panią — odrzekłem.

— Jak to, z nikim innym? — spytała.

— Z panią, tylko z panią; sprawi mi to największą przyjemność.

Miłość, Młodość,  
Marzenie, Maski

Zaśmiała się, zarumieniła, zresztą zdawało mi się tylko może, że się zarumieniła, lecz to na jedno wychodzi.

— Dobrze — rzekła — lecz chyba następny taniec.

Był to walc. Zbliżyłem się.

— Pan walcuje? — spytała niedowierzająco. — Bo jeśli nie, to kapitan Bailey...

Szczęściem walcowałem i to wcale nieźle. Sprzątnąłem zamasyżycie moją tancerkę tuż sprzed nosa stojącego już przy niej kapitana. Musiałem go obrazić. Co mi tam! A ja czy nie byłem przed chwilą obrażony? To wiem tylko, że na sali dźwięków, z aniołem w objęciu, w rozkosznym marzeniu pływał w przestrzeni, aż wreszcie znalazłem się w gabineciku, na sofce, tuż przy niej. Właśnie podziwiała kwiat, który miałem w butonierce: pąsową, pół korony kosztującą kamelię. Podałem ją jej, mówiąc:

— Wymagam za nią zapłaty, a cenę wysoko.

— Doprawdy? — spytała. — A jakiejże zapłaty?

— Kwiat z rąk pani posiada dla mnie cenę samej Golkondy<sup>214</sup>.

— Zepsute z pana dziecko. Ot co!

Podawała mi kwiecie, które do ust przycisnąłem i schowałem do kieszonki od kamizelki. Zaśmiała się i, kładąc rękę na moim ramieniu, rzekła:

— Niechże mię pan teraz odprowadzi do kapitana Bailey.

Rozmowa ta, taniec, wszystko pograżyło mnie w rozkosznym marzeniu. Po niej-kim czasie zbliżyła się znów do mnie, wsparta na ramieniu niemłodego już, poważnego mężczyzny, który wieczór cały grał w karty.

— Oto — rzekła — zuchwały ów młodzian! Pan Chestle życzy sobie poznać pana, panie Copperfield.

Wziąłem nieznanego za przyjaciela rodziny i czułem się nader pochlebiony.

— Podziwiam dobry smak pański — mówił pan Chestle. — Dobrze on świadczy o pańskiej przyszłości. Gospodarstwo wiejskie, a zwłaszcza chmiel niezbyt zapewne interesują pana? Co do mnie, jestem zawołanym hodowcą chmielu i jeśli zdarzy się kiedy panu być w naszym sąsiedztwie, w sąsiedztwie Ashford, prosimy nas odwiedzić i zabawić u nas dłużej.

Podziękowałem, uścisnąłem dłoń nowego znajomego, który wydał mi się wielce uprzejmy. Byłem jak w raju. Po raz drugi walcowałem z najstarszą panną Larkins — powiedziała, że walcuję wybornie. Wróciłem do domu uszczęśliwiony, rozmarzony, we śnie jeszcze walcowałem, obejmując błękitny stanik mego bóstwa. Przez następnych dni kilka nie mogłem ochłonąć z wrażenia, lecz, niestety, nie pokazała mi się, gdym składał rodzicom jej wizytę i ani razu nie spotkałem jej na ulicy. W niepowodzeniu tym pocieszał mnie tajemniczy a wymowny zaątek mej przyszłości — z rąk jej otrzymane kwiecie.

— Trotwood — ozwała się raz po obiedzie Agnieszka — zgadnij, kto jutro wychodzi za mąż. Ktoś, kto ci się bardzo podoba.

— Wszak nie ty, Agnieszko?

— Ja!? — wzniosła oczy znad nut, które przepisywała. — Ojcie! Słyszysz, co on mówi? Nie, nie ja, ale najstarsza z panien Larkins.

W oczach mi pociemniało. Zaledwie miałem siłę spytać:

— Czy za... za kapitana Bailey?

— Wcale nie za kapitana, lecz za pana Chestle, hodowcę chmielu.

Przez parę tygodni chodziłem jak struty. Zrzuciłem z palca pierścioneł, przestałem używać pomady, werniksu na buty i zacząłem oszczędzać odzież, płacząc nad zwiędłym, danym mi na balu przez wiarołomną pannę Larkins kwieciami! Po dwóch tygodniach życie to, pełne żalów znudziło mnie nieco, a że młody rzeźnik zrobił się znów natrętny i wyzywający, odbyło się powtórne nasze spotkanie. Tym razem zwycięstwo zostało po

<sup>214</sup>*Golkonda* — wybudowana w XII w. w granitowej skale forteca, usytuowana w środkowych Indiach, na wyżynie Dekan, w pobliżu miasta Hajdarabad; zanim w XVII w. została zdobyta i zniszczona przez cesarza Wielkich Mogolów Aurangzeba, Golkonda (przez kilkadziesiąt lat stolica królestwa o tej samej nazwie) słynęła z wysokiej kultury miejskiej (imponująca architektura, budynki użyteczności publicznej, kanalizacja) oraz bogactwa, ponieważ w pobliżu znajdowały się kopalnie diamentów, a miejscowi rzemieślnicy trudnili się wyrobem biżuterii; z tego rejonu pochodzić ma słynny diament Koh-i-Noor, który przez setki lat przechodził na własność różnych władców (z reguły drogą rabunku), a w 1850 r. został skonfiskowany przez wojsko angielskie po powstaniu sipajów i włączony do klejnotów koronnych Wielkiej Brytanii: zdobi koronę królowej przechowywaną w twierdzy Tower w Londynie. [przypis edytorski]

mojej stronie. Wyrzuciłem precz zwiędłe, przez pannę Larkins dane mi kwiecie. Pierścionek wprowdziej wrócił na mały palec lewej ręki, lecz bardziej umiarkowane używanie pomady zaznaczyło erę mego przejścia z siedemnastego w osiemnasty rok życia.

## ROZDZIAŁ XIX. ROZGLĄDAJĄC SIĘ WOKOŁO, ROBIĘ PEWNE ODKRYCIE

Nie wiem, czy zadowolenie, czy też smutek brał górę, gdy nadszedł czas opuszczenia na zawsze szkoły doktora Stronga. Dobrze mi tu było, przywiązałem się do doktora i w szczupłym tym kole uważany byłem za osobistość, i ogólną cieszyłem się sympatią. Wszystko to wzmagało żal mój na odjeźdnym, gdy z drugiej znów strony nadzieja uzyskania niezależności pewnej i to wszystko, co w tym okresie życia pociągać zwykło młodzieńca, napełniało me serce radością, a uczucie to było tak silne, nadzieje przyszłości tak powabne, że zgłuszyły ostatecznie żal za przeszłością, od której odwracałem się nieodzownie. Rozstanie to nie wywarło na mnie tak silnego wrażenia, jak inne rozstania. Byłem pełen nadziei. Młody, niedoświadczony, rwałem się do życia jak do baśni czarownicy, której koniec był daleki, a karty tajemnicze tak ponętne.

Naradzałem się często z ciotką nad zawodem, jaki miałem obrać. Przez parę lat szukałem w głębi serca odpowiedzi na częstokroć ponawiane przez nią pytanie, czym chciałbym zostać. Nie poczuwałem się do żadnego szczególnego powołania. Tak, gdybym posiadał marynarskie wykształcenie, marzyłbym może o opłynięciu mórz wszelkich i odkryciu nowych lądów, w braku zaś potrzebnych na to środków, pragnąłem jak najmniej i najkrócej pozostawać ciężarem ciotce, pragnąłem jąć się<sup>215</sup> jakiej bądź, byle uczciwej pracy.

Pan Dick obecnym był zwykle przy naszych naradach, lecz nie brał w nich czynnego udziału. Raz tylko, nie wiem skąd, przyszło mu na myśl i zaproponował, abym został płatnerzem, lecz ciotka moja przyjęła tak kwaśno ten wniosek, że się już odtąd nie puszczał na niepewne wody i patrzył jej tylko w oczy, pobrzękując pieniędzmi.

— Wiesz co, Trot — rzekła raz ciotka około Bożego Narodzenia, gdy m już opuścił był szkołę — ponieważ nie możemy ostatecznie na nic się jeszcze zdecydować, to, aby uniknąć żalów poniewczasie, powinniśmy postępować rozważnie, nie śpieszmy tak bardzo, nic nas nie nagli. Rozejrzyj się lepiej dokoła. Nie trzeba, abys się na życie zapatrywał wyłącznie ze szkolnego stanowiska.

— Dobrze, ciotko, postaram się.

— Sądzę nawet — ciągnęła — że wylot z gniazda na szersze przestworza mógłby ci w tym względzie dopomóc znakomicie. Cóż byś powiedział o małej wycieczce w twoje rodzinne na przykład strony, chociażby do tej twej piastunki o tym pogańskim jakimś imieniu?

Ciotka nie mogła wybaczyć Peggotty jej imienia.

— Byłbym uszczęśliwiony — zawołałem.

— Tym lepiej, gdyż i mnie się ten zamiar podoba — odrzekła. — Zresztą naturalną jest rzeczą, że cię to raduje, naturalną i słuszną, a mam nadzieję, że cokolwiek byś przedsięwziął, pozostaniesz zawsze naturalny i rozsądny.

— Chciałbym, ciotko.

— Siostra twoja, Betsey Trotwood, byłaby niewątpliwie naturalną, rozsądną dziewczyną. Powinieneś być jej godny.

— Chciałbym być godnym ciebie, kochana ciotko. Z tym już będzie mi bardzo dobrze.

— Może to i lepiej dla niej — rzekła, spoglądając z zadowoleniem na mnie — że biedna ta dziewczeczka, matka twoja, nie żyje. Gotowa byłaby, widząc cię teraz, stracić do reszty głowę, jak gdyby niebodze pozostawało jeszcze co do stracenia.

Ciotka miała we zwyczaju składać na matkę moją w chwili rozrzewnienia własną swą słabość.

— Jakże ty mi ją żywo przypominasz — dodała po chwili.

— Mam nadzieję, droga ciotko, że ci to jest przyjemne — rzekłem.

— Jak on mi ją przypomina! — ciągnęła, zwracając się do pana Dicka. — Taki, taki samiućki, jaką była tego wieczoru! Jak gdybym ją miała tu, przed oczyma.

<sup>215</sup>jąć się (daw.) — zabrać się za coś; zająć się czymś. [przypis edytorski]

— Doprawdy? — spytał pan Dick.

— A jednocześnie i do Dawida podobnusięki.

— Lecz przede wszystkim życzę sobie — ciągnęła, do mnie znów się zwracając ciotka — życzę sobie, abys był... nie o fizyczne tu idzie zalety, fizycznie jesteś sobie wcale niczego, idzie o zalety moralne... Życzę tedy sobie, abys był stanowczy, miał wolę — tu potrząsnęła głową i zatarła ręce — stanowczość, charakter, jednym słowem, abys nigdy, niczym nie ulegał wpływowi. Oto czego ci z całego serca życzę, oto czym powinni być oboje twoi rodzice, a wówczas wszystko poszłoby lepiej.

Miałem nadzieję, że uda mi się może spełnić jej żądanie.

— Abys stopniowo nauczył się sam radzić i na sobie polegać — ciągnęła ciotka — postanowiłam wysłać cię na tę małą przejażdżkę bez żadnej opieki. Z początku chciałam uprosić pana Dicka, aby ci z łaski swej towarzyszył, lecz rozmyślałam się, lepiej niech tu pozostanie, by się mną opiekować.

Pan Dick przez chwilę wyglądał na niezadowolonego, lecz wkrótce zaszczycił strzeżenia ciotki i udzielania jej opieki rozjaśnił pogodną jego twarz.

— Zresztą — kończyła ciotka — wzgląd na memoriał...

— Zapewne — przerwał pan Dick. — Właśnie mam zamiar wykończyć tę pracę ostatecznie i natychmiast wysłać ją i... i... wówczas...

Zająknął się, namyślał:

— Toż to będzie dopiero bigos! — zawołał.

Następstwem tej rozmowy było zaopatrzenie mnie w okazałą wcale sumę pieniędzy i wyprawienie w drogę. Przy pożegnaniu ciotka zasypała mnie pocałunkami i dobrymi radami, mówiąc, że dla rozrywki i nabrania doświadczenia powinienem, czy to jadąc do Suffolk, czy wracając, zatrzymać się dni kilka w Londynie. Słowem, pozostawiała mi zupełną swobodę, zalecając tylko, abym był uważny, szanował zdrowie i regularnie, co tydzień, pisywał szczegółowe sprawozdania z mej podróży.

Przed wszystkim tedy udałem się do Canterbury w celu pożegnania Agnieszki, jej ojca (miałem jeszcze pokoik w ich domu) i kochanego doktora. Agnieszka ucieszyła się bardzo, widząc mnie, i zapewniła, że smutno i pusto jest w domu beze mnie.

— A ja — rzekłem — pewien jestem, że nie potrafię dać sobie rady na świecie bez ciebie, tak przywykłem polegać na tobie, we wszystkim być przez ciebie kierowany. Wszak każdy, kto się zbliża do ciebie, ulegać musi dobremu twym wpływowi.

— Każdy, kto się zbliża do mnie, psuje mnie pochlebstwami i rozpieszcza — odrzekła z uśmiechem.

— Nie, nie tak! Tyś tak różna od innych, tak dobra, łagodna, cierpliwa, rozsądna. Ty, Agnieszko, zawsze, we wszystkim masz rację.

— Mówisz — zaśmiała się wesoło, podnosząc oczy znad roboty — jak gdybym była panną Larkins.

— O! Nie żartuj — odrzekłem, rumieniąc się na wzmiankę o pannie Larkins. — Nie żartuj! Niczym nie zdołasz zachwiać mego zaufania i zawsze w każdej trudności życia, jeśli tylko pozwolisz mi, będę uciekał się do ciebie, po pociechę lub radę, w każdej, gdybym się nawet zakochał...

— Z łatwością ci to przychodzi — zaśmiała się znowu.

— Żartujesz z moich dziecinnych, uczniowskich zapałów — odparłem, rumieniąc się nieco, lecz wtórując jej śmiechem. — Ale czas płynie i nadejść może dzień, w którym zakocham się naprawdę... Wiesz co, Agnieszko! Dziwi mnie, że ty sama nie kochasz się dotąd w nikim.

Spojrzała na mnie figlarnie.

— O! Wiem, że tak jest, bobyś się przecież mnie zwierzyła. A co najmniej — dodałem, ujrawszy nikły na jej czole rumieniec — mógłbym się łatwo domyślić. Prawda, że nie znam nikogo, kto wart byłby ciebie i abym *ja* dał na to moje zezwolenie, trzeba, aby wybrany twój był najszlachetniejszym i najlepszym z ludzi. Odtąd będę zwracał baczną oko na wszystkich twych wielbicieli i wymagający będę, wymagający...

Rozmawialiśmy tak swobodnie, poufnie, jak razem wzrosłe dzieci rozmawiać tylko z sobą mogą. Nagle Agnieszka podniosła oczy, zatrzymała na mnie wzrok jasny i spytała poważnie:



— Od dawna chciałam cię o coś spytać, Trotwood, o coś, o co nie mogę i nie chcę pytać nikogo innego... Czyś zauważył stopniową zmianę w moim ojcu?

Zauważyłem i często myślałem o tym, czy ona to spostrzeża. Twarz moja musiała mnie zdradzić, gdyż spuściła łzami zasze oczy.

— Powiedz mi, co myślisz? — rzekła z cicha.

— Czy mogę być zupełnie i bezwzględnie szczery? — spytałem.

— Tak — odrzekła.

— Myślę, że źle tak wpływa na niego nałóg, który od przybycia mego tutaj powiększał się stopniowo. Ojciec twój jest bardzo często, tak mi się zdaje, zdenerwowany.

— Tak — rzekła smutnie.

— Ręce mu drżą, w mowie czasem się miesza, wzrok miewa błędny. Zauważyłem to od dawna, a i to także, że im mniej bywa sobą, tym częściej, w takim stanie, obarczany bywa interesami.

— Przez Uriaha? — rzekła Agnieszka.

— Tak, przez niego. Dręczy go poczucie chwilowej nieudolności, a może strach przed tym, aby kto obcy tego nie spostrzegł, czy też żeby samemu się nie zdradzić, że nie zrozumie załatwianej sprawy. Nazajutrz bywa gorzej, musi szukać zapomnienia... I tak z dnia na dzień... Nie przerażaj się, Agnieszko kochana! Muszę ci się przyznać, że pewnego wieczora zastałem go nad biurkiem płaczącego...

Położyła mi szybko rękę na ustach, a po chwili powitała wchodzącego do bawialnego pokoju ojca i zawisła na jego ramieniu. Nie zapomnę nigdy wyrazu jej twarzy ani też wyrazu jego twarzy w tej chwili. Było w niej tyle dziecięcej tkliwości, taka wdzięczność za wszystko, co od niego doznawała, a w zwracającym się ku mnie spojrzeniu taka gorąca prośba o zachowanie dla niego przywiązania i szacunku, o współczucie! Niedawno jeszcze tak dumna była z niego, teraz — zboleła i polegająca na mnie. Najwymowniejsze słowa i prośby nie mogłyby mnie bardziej wzruszyć.

Mieliśmy pójść tego wieczoru na herbatę do doktora. Udaliśmy się więc tam o zwykłej godzinie i zastaliśmy go przy kominku, w gabinecie, w towarzystwie żony i teściowej. Doktor, który traktował moją wycieczkę tak, jak gdybym co najmniej wyjeżdżał do Chin, przyjął mnie serdecznie, kazał dorzucić drewna do ognia, aby, jak mówił, mógł się lepiej przypatrzeć swemu dawnemu uczniowi.

— Niewiele będę już nowych widział twarzy — mówił, grzejąc przed ogniem ręce — starzeję się, rozleniwilem się, potrzebuję wygod, odpoczynku i od następnego półrocza mam zamiar pożegnać mych uczniów.

— Mówisz to od lat dziesięciu — odrzekł pan Wickfield.

— Ale teraz to już na pewno. Zdaję wszystko na najstarszego nauczyciela, pilno mi już, pilno, toteż wkrótce spiszesz odpowiedni kontrakt między nami. Dobrze nas opiszesz, co?

— Będę strzegł twych interesów, bo gotów byłbyś podpisać na siebie wyrok śmierci — mówił pan Wickfield. — Gdybym zawsze takie miewał sprawy w moim zawodzie!

— Oddam się w zupełności — ciągnął doktor — memu słownikowi i tej wielkiej osłodzie mego życia, Annie!

Pan Wickfield zwrócił wzrok na siedzącą z Agnieszką za herbatnym stołem żonę doktora, co ją wyraźnie zmieszało. Zdawało się, że zmieszanie to nastęczyło mu nową myśl:

— Nadeszły widzę listy z Indii — zauważył po chwilowym milczeniu.

— A tak, są i listy od Maldona — odrzekł doktor.

— Czy tak?

— Biedaczysko! — zawołała, potrząsając głową, pani Markleham. — Co za klimat! Żyją tam, jak na Saharze, pod rozpalonym kloszem. Biedny chłopiec! Pomimo wyglądu słabe to było stworzenie, porwał się na czyn ponad siły, upewniam was, nad siły. Annie, duszko, musisz przecie doskonale pamiętać, że silny nie był nigdy, nigdy! — Tu powiodła wzrokiem dokoła. — Od czasu jak on i córka moja, dziećmi będąc, chodzili z sobą pod ramię, wiem, że silny nie był.

— Czy mamy wywnioskować ze słów pani — spytał pan Wickfield — że pan Maldon chory?

— Chory? On cierpi na tysiące dolegliwości.

— Więc zdrów nie jest?

— Ale tak, mój panie — twierdziła, zapalając się, Herod-baba. — Czy to pan za nic poczytujesz słoneczne porażenia, żółtą febrę, gorączki, zapalenia i tym podobne niebezpieczeństwa? Serce się kraje na samą myśl, jak tam ten biedak cierpieć musi!

— Więc bardzo się uskarża? — spytał prawnik.

— Uskarża! — ofuknęła go pani Markleham, potrząsając jednocześnie głową i wachlarzem. — Nie znasz pan naszego kochanego Maldona, jeśli możesz przypuszczać coś podobnego. Uskarża się! Wcale nie, mój panie! Mógłbyś wbić go na pał i nie słyszeć z ust jego najłżejszej skargi.

— Ależ, mammo! — wtrąciła pani Strong.

— Annie, kochanie! Raz na zawsze prosiłam cię, abys nie wtrącała się, gdy mówię, chyba jeśli masz to potwierdzić. Wiesz sama najlepiej, że kuzyn twój dałby się prędzej stratować czterem, co mówię czterem, ośmiu, szesnastu, trzydziestu dwu rozhukanym koniom, niż pisać słówko mogące w czymkolwiek zakłócić zamiary i postanowienia twego męża.

— Tu obecnego prawnika raczej — wymawiał się przerażony doktor — to jest, myśmy to wspólnie z Wickfieldem ułożyli. Mówiłem zawsze „w kraju czy za granicą”.

— Co zaś do mnie — wtrącił z powagą prawnik — powiedziałem od razu i stanowczo „za granicą”, biorąc na siebie całą za to odpowiedzialność.

— O! Odpowiedzialność! — mówiła Herod-baba. — Nikt nie pociąga nikogo do odpowiedzialności! I każdy wie, kochany panie Wickfield, że się wszystko robiło w jak najlepszych, jak najpoczciwszych intencjach, ale cóż, biedaczysko nie ma sił, by wytrzymać piekielne życie! Na to nie ma rady! Musi biedak umrzeć chyba, nie chcąc sprzeciwiać się postanowieniom doktora, a ja go znam i twierdząc, że umrze raczej sto razy, niżby się miał narazić doktorowi.

— Ależ droga pani — zawołał wesoło doktor — nie pragnę niczyjej zguby i nie jestem znów tak uparcie przywiązany do raz powziętych zamiarów. Mogą one ulec zmianie i jeśli zdrowie pana Maldona wymaga jego powrotu do kraju, poszukamy tu dlań odpowiedniego zajęcia.

Słowa powyższe tak rozczuliły panią Markleham, że nie było końca jej podziękowaniom i wychwalaniom wspianiałomyślności i dobroci zięcia. Kilkakrotnie całując brzeg swego wachlarza, uderzała nim zięcia po rękę, wyrzucając córce, że nie umie dostatecznie okazać swej wdzięczności za tyle dobroci okazywanej towarzyszowi jej lat dziecięcych. Po czym zaczęła rozpowiadać nam o najrozmaitszych zasługach tego i wielu innych członków swej rodziny.

Przez cały ten czas córka jej nie otworzyła ust i nie podniosła oczu. Przez cały też czas pan Wickfield nie spuszczał z niej oka. Sądził zapewne, że nikt nie zwraca na to uwagi, i zdawał się być pogrążony w myślach mających związek z żoną doktora. Spytał wreszcie, co i do kogo pisał Jack Maldon.

— Oto jego list — odrzekła pani Markleham, sięgając ręką ponad głowę doktora po leżącą na kominku kopertę. — Oto co kochany chłopiec pisze do samego doktora. Gdzież to? Aha: „Przykro mi, że muszę coś nadmienić o mym zdrowiu. Jedynej nadziei polepszenia zmuszony będę szukać w powrocie do kraju”. A co, wyraźnie, prawda! Ale do Annie pisze jeszcze wyraźniej. Gdzie list do ciebie pisany, kochanie? Pokaż mi go.

— Nie teraz, mammo.

— Mówię ci, duszko, że w niektórych razach jesteś najzabawniejszym pod słońcem stworzeniem, a gdy idzie o twą rodzinę, nie chcesz nawet ust otworzyć i gdyby nie moje naleganie, nie powiedziałaśbyś nawet nikomu, żeś otrzymała list od Jacka. Takie to masz zaufanie do niezrównanej dobroci twego męża! Dziwi to mnie bardzo, lecz naturalnie, sama możesz najlepiej sądzić, jak ci wypada postępować, lepiej ode mnie musisz znać męża.

Nie było rady. Młoda kobieta dostała<sup>216</sup> żądany list, uważałem<sup>217</sup>, że podając go ręką jej drżała.

— Zaraz, oto jesteście — mówiła Herod-baba, przykładając szkła do oczu. — Aha, właśnie! „Wspomnienia dni minionych, droga moja Annie”... Nie, to nie to. „Miły stary

<sup>216</sup>dostać (daw.) — tu: wydobyć, wyciągnąć. [przypis edytorski]

<sup>217</sup>uważałem — tu: zauważyłem. [przypis edytorski]

proktor<sup>218</sup>... A to co znowu? Kto to, Annie? Aha! Jakże Jack niewyraźnie pisze i jaka jestem niedomyślna. Nie żaden „proktor”, ale „stary doktor”. Wyraźnie „stary doktor”. Jaki ten Jack dobry, uprzejmy!

Mówiąc to, posłała wachlarzem pocałunek doktorowi, który spoglądał po nas wszystkich z pogodnym swym uśmiechem.

— Aha! Znalazłam. „Ty, Annie, ty nie zdziwisz się...” (a co, czy nie mówiłam przed chwilą, że nigdy nie był silny i że Annie najlepiej to poświadczyć może?), „...nie zdziwisz się, że mi już sił nie staje pozostać tu dłużej. Zdecydowany jestem wziąć urlop jako chory, a jeśli się to nie uda, rzucić wszystko i wyrwać się stąd. Wyrazić i opisać nie potrafię, com tu przecierpiał”. I to z racji tego oto najlepszego z ludzi — dodała, składając list i wachlarzem przesyłając pocałunki doktorowi.

Pan Wickfield, chociaż stara spoglądała na niego, nie rzekł ani słowa, siedział zamysłony, z wlepionym w ziemię wzrokiem i tak pozostał, chociaż od dawna rozmowa toczyła się o innych przedmiotach. Od czasu do czasu tylko, zamysłony, podnosił badawczy wzrok to na doktora, to na jego żonę, to na nich oboje.

Doktor lubił bardzo muzykę. Agnieszka miała głos ładny i dźwięczny, podobnie jak pani Strong. Śpiewały razem, grały na cztery ręce i mieliśmy prawdziwy koncert. Zauważyłem przy tym dwie rzeczy: raz, że chociaż żona doktora ochłonęła ze zmieszania, chłód jakiś panował między nią a prawnikiem; po wtóre, że ten ostatni zdawał się niechętnym patrzeć okiem na przyjaźń i poufalskość istniejącą pomiędzy jego córką i panią Strong. Teraz to, wyznać muszę, po raz pierwszy wspomnienie tego, co zaszło w domu tym w dniu odjazdu pana Maldona, nabrało dla mnie znaczenia. Zmieszałem się i zasmuciłem. W pięknej twarzy doktorowej dostrzegłem coś, co zaćmiło wywierane przedtem przez nią wrażenie niewinności, a patrząc na siedzącą tuż przy niej Agnieszkę, tak czystą, niewinną, szczerą, nie mogłem powstrzymać się od porównania tych dwóch kobiet i pomyślenia, że nie są istotnie dobranymi przyjaciółkami.

Ale Agnieszka była tak swobodna i wesoła, towarzystwo tak przyjemne, że nam wieczór zeszedł niby chwila jedna. Pamiętam, jak się zakończył. Gdy Agnieszka na pożegnanie miała uścisnąć i ucałować doktorową, ojciec jej znalazł się pomiędzy nimi i niechcący jakby odtrącił córkę. W oka mgnieniu, stojąc już w otwartych drzwiach, dostrzegłem wyraz twarzy, z jakim doktorowa spojrzała na prawnika.

Nie wiem, jakim mi się wydał, lecz to pewne, że zostawił niestarte wrażenie, narzucając się wspomnieniom moim na zawsze i przysłaniając znany mi dawniej wyraz słodczy w tej kobiecej twarzy. Zdawało mi się, gdym wracał do domu, że na spokojny dach doktora ciężka się jakaś zsuwa chmura. Cześć, którą miałem dla jego siwej głowy, zmieszała się z uczuciem współczucia dla niego, oburzenia i żalu dla tych, co go krzywdzą, nadużywając zaufania. Nie umiałem sobie jasno zdać sprawy, czego się mianowicie dłań obawiałem, co mu groziło, lecz powtarzam, czułem, że wielki jakiś cień padał na miejsca, gdzie, dzieckiem będąc, uczył się i bawił. Odtąd nie z taką już jak przedtem przyjemnością myślałem o zamkniętych, przez lat dziesiątki trwających w zadumie liściach aloesu, o tej gładkiej puszystej smudze murawy otoczonej kamiennymi urnami, po której stąpał spokojnie Strong, gdy nad nim i nad tym wszystkim grały w powietrzu katedralne dzwony. Cichy przybytek dni mego dzieciństwa zbezczeszczono w moich oczach, a wichrom na pastwę wydano spokój i cześć miejsc tych.

Nazajutrz rano opuszczałem stary dom prawnika, który Agnieszka, niby duch dobry, napełniała tchnieniem zbawiennych wpływów. Wiedziałem, że wrócę tu nieraz jeszcze, nieraz głowę złożę pod gościnnym dachem, czułem jednak, dom ten opuszczając jako jego stały mieszkaniiec, że się żegnam stanowczo z jakąś niepowrotną cząstką przeszłości i z ciężkim sercem pakowałem książki i rzeczy moje. Żal mój kryłem przed Uriahem, pomagającym mi pakować się, z usłużnością i gotowością dającą mi do myślenia, że go odjazd mój cieszy. Z Agnieszką i jej ojcem pożegnałem się, zachowując męski spokój. Po chwili znalazłem się w dyliżansie londyńskim. Gdym przejeżdżał przez miasto, tak mi serce rozmiękło, że miałem nawet chętkę, by przesłać ukłon i pięć szylingów na piwo memu zaciętemu wrogowi — rzeźnikowi. Wyglądał jednak tak srogo, szorując wielki kloc

<sup>218</sup>proktor — nadzorca; osoba odpowiedzialna za dyscyplinę, nadzorująca przebieg egzaminu itp. [przypis edytorski]

przed wejściem do sklepu, a wybity przeze mnie ząb przedni tak mało upiększał uśmiech jego szerokich ust, że m się powstrzymał od zbyt przyjaznych oznak.

Zajęty byłem — pamiętam — przede wszystkim robieniem z siebie starszego i wydobyciem w rozmowie jak najgrubszych, najostrzejszych tonów z piersi. Sądziłem, że nada mi to cechy dojrzałości.

— I panicz jedzie? — spytał mnie woźnica.

— Tak Williamie — odrzekłem, bo znałem go — jadę do Londynu, stamtąd zaś pojedę do Suffolk.

— Polować? — spytał.

Pewien wprawdzie byłem, że o tej porze roku będę się raczej zajmował rybolówstwem, odpowiedziałem jednak z wahaniem, pochlebiony pytaniem woźnicy:

— Nie wiem sam, czy się zdecyduję na polowanie.

— Słyszałem, że ptactwo teraz bardzo płochliwe — zauważył woźnica.

— Zapewne — odrzekłem.

— Czy Suffolk jest pańskim rodzinnym miejscem?

— Tak jest — odrzekłem z poważną miną. — Suffolk jest rodzinnym moim miejscem.

— Słyszałem, że tam robią wyborny pieróg z jabłkami — zauważył William.

Chociaż nic o tym nie wiedziałem, czułem się w obowiązku potwierdzić dla podtrzymania dobrej sławy rodzinnego mego kraju.

— A konie — ciągnął William — jakie to bestie! Koń z Suffolk na wagę złota! Czy pan hodował konie?

— N...ie, to jest, niezupełnie — odrzekłem.

— Ten tam, za nami siedzący dżentelmen hoduje ich całe stada.

Wskazany jegomość był zezowaty, z wystającym podbródkiem, w wysokim, białym, o wąskim brzegu kapeluszu, w ciasnych pantalonach i zapiętych na guziki kamaszach, a podbródek jego znajdował się w tak bliskim sąsiedztwie ramion woźnicy, że m czułem jego oddech na mych włosach. Obejrzałem się ciekawie.

— A co, prawdę mówię? — spytał go woźnica.

— Co czy prawda? — odrzekł.

— Że pan hodujesz całe stada tych koni?

— Tak sędzę — odrzekł jegomość. — Hoduję psy i konie. Są ludzie, którzy się kochają w psiarni i stadninie, którym psy i konie starczą za żywność, żonę, rodzinę, za czytanie, pisanie, arytmetykę, cygara, tabakę, za sen nawet!

— Żle się złożyło, że taki znawca koni siedzi w głębi dylizansu — szepnął mi na ucho woźnica, popędzając konie.

Domyśliłem się w tej uwadze ukrytej przymówki. Oświadczyłem, że chętnie zamienię z panem tym miejsce.

— Dobrze, jeśli paniczowi wszystko jedno — odrzekł William — istotnie, byłoby to prawidłowiej.

Wypadek ten uważałem zawsze za pierwszy fałszywy krok w życiu. Kupując bilet, napisano mi na nim miejsce na koźle, za co dopłaciłem pół korony konduktorowi; zostałem owinięty w płaszcz i pled i czułem się, jak gdybym był szyldem dylizansu, dopóki mnie na pierwszym postoju nie zaćmił ten jakiś obdartus, cuchnący stajnią, a który, wskakując, potrafił mnie i niemal splaszczył, rozciągając się na siedzeniu.

Drobny ten wypadek powiększył jeszcze niewiarę w samego siebie, która mnie nieraz dręczyła w wielkich i małych rzeczach. Próżno zdobywałem się na powagę, z piersi i z gardła wydobywałem najgrubsze, najostrzejsze tony, czułem się na każdym kroku poniewierany jak młokos.

Niemniej jednak doznawałem ciekawego wrażenia, spoglądając z ławki ciągnionego przez cztery konie dylizansu na okolicę, którą przebiegłem niegdyś pieszo. Każdy widok, każdy zakręt drogi budził we mnie wspomnienie. Z góry przyglądałem się włóczegom, znanym mi i niegdyś tak przerażającym drabom, a gdy niektórzy podnosili wzrok na nas, zdawało mi się, że znów czuję pewną silną pięć na chustce u mej szyi. Gdyśmy przejeżdżali przez wąskie uliczki w Chatham, wychyliłem się, aby zajrzeć w zaułek, gdzie mieszkał potwór, któremu sprzedawałem surducik, i odwróciłem głowę, aby rzucić spojrzenie na

kamień pod murem, gdzie w cieniu i na słońcu przesiedział godzin tyle, wyczekując na pieniądze. Kiedyśmy się zbliżyli do Londynu, mijaliśmy Salem House, gdzie rządzić jeszcze musiała żelazna dłoń pana Creakle; ileż dalbym za prawo i możliwość wypuszczenia spoza tych ciężkich murów wszystkich uczniów niby ptaki z klatki i unicestwienia gnębiącego ich tyrana.

Zatrzymaliśmy się w zbutwiałym jakimś zajeździe „Pod Złotym Krzyżem” w dzielnicy Charing Cross. Kelner wprowadził mnie do kawiarni, a pokojówka powiodła do numeru, który miałem zająć, a w którym czuć było stęchlizną i pobliską stajnię. Czuję się ciągle bardzo upokorzony moją młodością, widziałem, że nikt nie dba o mnie, pokojówka nie zwracała najmniejszej chociażby uwagi na moje wezwanie, kelner zaś spoufalił się od razu aż do udzielania mi rad.

— I cóż — spytał — panicz każe sobie podać na obiad? Młodzi ludzie lubią zwykle pectwo. Co? Może kurczątko?

Powiedziałem mu, strojąc się w powagę, że nie mam ochoty na kurczęta.

— Tak — odrzekł — zwykle młodzi ludzie przejeżeni bywają w szkołach wołowiną i cielęcina. Co? Może kotlecik cielęcy?

Zgodziłem się na kotlet, gdyż nic mi innego nie przychodziło na myśl.

— Czy z kartoflami? — pytał, uśmiechając się i przechylając głowę. — Tacy młodzi paniczowie syci zwykle bywają kartofli.

Kazałem najgrubszemu, na jaki się zdobyć umiałem, głosem podać sobie kotlety z kartoflami i spytać, czy nie ma czasem jakiego listu na nazwisko Trotwood Copperfield. Wiedziałem wprawdzie doskonale, że listu żadnego nie ma, lecz sądziłem, że to podniesie mą powagę.

Śłużący wrócił, oświadczając, że listu nie ma, i począł nakrywać do stołu przy kominku, pytając przy tym, co sobie za napój podać każe. Na odpowiedź, że żądam butelkę sherry, począł do butelki zlewać pozostałości rozmaitych flaszek i karafek. Widziałem to doskonale, chociaż czytałem gazety, ale chociaż widziałem i czułem przedziwny smak napoju, niemającego nic wspólnego z zagranicznym winem, piłem jednak, milcząc.

Wpadłszy w dobry humor (stąd wnoszę, że trucizna dość przyjemnie działa w pewnych chwilach) postanowiłem iść do teatru. Wybrałem sobie teatr w Covent Garden. Grano *Juliusza Cezara* i nową *Pantomimę*. Widzieć tych wspaniałych Rzymian — których znałem dotąd z martwych, nudnych lekcji — żywych, chodzących i działających ku mojej rozrywce, sprawiało mi najżywszą i całkiem nową rozkosz. Tajemniczość i aktualność zarazem scenicznego przedstawienia, wrażenie poezji, światła, muzyki, publiczności, szybkie i zadziwiające zmiany dekoracji działały tak silnie na mą wyobraźnię, że kiedy wyszedłem o północy z teatru i znalazłem się wśród dżdżu na ulicy, zdawało mi się, jakobym z obłoków, gdzie przeżył wieki w śnie uroczym, spadł na poziomy świata obłocznego, zszarganego, skąpo rozświetlonego mętnymi latarniami, pokrytego parasolami, zapełnionego turkotem kół, wstrętnym ulicznym gwarem.

Wyszedłem z teatru innymi, niżem był wszedł, drzwiami i stałem tak chwilę, ogłuszony, niby istotnie spadły z nieba. Popychanie tłoczącej się publiczności otrzeźwiło mnie. Wracałem do hotelu pomału, rozmarzony tym, com widział. W restauracji kazałem podać sobie portera i ostryg i długo jeszcze, siedząc przed ogniem, marzyłem, a tak przejęty byłem dramatem i własną moją przeszłością, co mi się dziwnie jakoś plątała w dramatycznych tych formach, że nie potrafiłbym powiedzieć, czy we śnie, czy w rzeczywistości i w jakiej mianowicie chwili zjawiła się przede mną postać dorodnego, pięknego, z smakiem odzianego młodzieńca. Zachowywał się z dobrze mi znanym, swobodnym i wytwornym lekceważeniem. Patrzyłem nań jak przez sen, rozmarzony, bojąc się najlżejszym ruchem spłoszyć wpół jasne to widzenie.

Powstałem wreszcie przez wzgląd na kelnera przecierającego oczy, poziewającego, wyłamującego sobie palce i dającego tym podobne oznaki senności. Przechodząc koło nowo przybyłego, spojrziałem nań bliżej, zwróciłem się, spojrziałem raz jeszcze. Nie poznał mnie, lecz ja go poznałem.

W innej chwili zabrakłoby mi może odwagi zaczepić go, odłożyłbym to do dnia następnego i rozminąłbym się z nim na zawsze zapewne. Lecz w tej chwili, gdym rozmarzony był wszystkim, co wielkie i dobre, wspomnienie opieki, jaką był mnie niegdyś otoczył, przyspieszyło bicie mego serca zalanego całą dawną, gorącą, wdzięczną przyjaźnią.

Młodość, Dorosłość, Gra,  
Pozory

— Steerforth! — zawołałem.

Spojrzał na mnie pięknym, znanym mi spojrzeniem... Nie, nie poznawał mnie.

— Nie przypominasz mnie sobie? — rzekłem.

— Ha! — zawołał nagle. — Mały Copperfield!

Uściskałem mu obie ręce. Gdybym się nie wstydził i nie bał się go, rzuciłbym mu się na szyję i rozplakał na głos.

— Co za szczęśliwy traf, co za szczęśliwy traf — mówiłem. — Jakże mi miło spotkać cię, Steerforcie!

— A i mnie nie mniejszą sprawia to przyjemność — mówił, ściskając mi silnie ręce. — Dobry mój, stary! No, nie bądźże tak wzruszony! No!

Otarłem łzę, której powstrzymać nie zdołałem, widziałem, że mu istotnie wzruszenie moje, pamięć, niezmiennie przywiązanie miłe być musi. Roześmieliśmy się obaj, raz jeszcze uściskali i usiedli obok siebie.

— Opowiedz mi teraz, jakim się tu znalazłeś trafem — rzekł Steerforth, uderzając mnie po ramieniu.

— Przyjechałem dziś dylizansem z Canterbury. Mieszkająca tam ciotka zaopiekowała się mną. Właśnie skończyłem szkoły. Ale ty, Steerforcie, jakim się znalazłeś trafem?

— Ja? Jestem studentem oksfordzkiego uniwersytetu, to jest, muszę się tam od czasu do czasu zanudzać na śmierć. Obecnie jadę do domu, do mej matki. Wiesz co, mały? Diablenie mi ładnie wyglądasz! Ten sam co dawniej Copperfield! Zawsze ten sam, poczciwy! Nie zmieniłeś się.

— Jednak to ja poznałem cię pierwszy, od razu — rzekłem — ale bo i zapomnieć ciebie nie podobna<sup>219</sup>!

Zaśmiał się, przeciągnął dłoń po błyszczących kędziorach włosów.

— Widzisz no — mówił — spełniam obowiązkową wizytę. Matka moja mieszka niedaleko, ale za miastem, że zaś drogi są niepewne, a w domu niezupełnie wesoło, wołałem spędzić wieczór w mieście i tu przenocować. Kilka godzin przewalałem się po ulicach i przewalałem w teatrze.

— I ja też byłem w teatrze! W Covent Garden! Co za przepyszne przedstawienie!

Steerforth zaśmiał się na głos.

— Ach, mały ty mój Davy! — zawołał, uderzając mnie po ramieniu. — Pierwiosnek z ciebie, pierwiosnek; pierwsze, w rosie na słońcu rozwierające się listki nie będą wrażliwsze i świeższe od ciebie, mój mały. I ja byłem w Covent Garden. Co za nudy! Hola, chłopiec!

Przypatrujący się nam z dala z uszanowaniem kelner poskoczył.

— Gdzieście ulokowali mego przyjaciela, pana Copperfielda? — spytał Steerforth.

— Co pan rozkaże?

— Pytam, gdzieście ulokowali tego pana?

Kelner zmieszał się.

— Pod czterdziestym czwartym numerem — odrzekł.

— A, lotry! — zawołał Steerforth. — Wsadzić go do tej nory, nad stajniami!

— Nie wiedzieliśmy — jękał się kelner. — Pan zresztą sam nie sprzeciwiał się... ale natychmiast przeniesiemy pod numer siedemdziesiąty drugi, właśnie obok pana.

— Przenosić mi natychmiast! — rozkazał Steerforth.

Kelner wybiegł, a przyjaciel mój śmiał się jeszcze długo na samą myśl, że mi mogli dać taką norę. Zaprosił mnie nazajutrz na dziesiątą na śniadanie, z czego się bardzo ucieszyłem, że zaś już późno było, zagasiliśmy świece i rozeszliśmy się na spoczynek. Pokój, do którego przenieśli mnie, był obszerny, pełen powietrza, wygodnych sprzętów, z ogromnym, szerokim łóżkiem, na którym wśród nieskończonej ilości poduszek i kołder usnąłem, marząc o starym Rzymie, jego bohaterach, przyjaźni, Steerforcie. Nad rankiem odjeżdżające sprzed bramy dylizanse zmieniły nieco sny moje. Śnili mi się bogowie i ich gromy.

<sup>219</sup>nie podobna (daw.) — nie (jest) możliwe; nie można. [przypis edytorski]

## ROZDZIAŁ XX. RODZINA STEERFORTH

Gdy o ósmej pokojówka zapukała do drzwi, oznajmiając, że zostawia przy nich ciepłą wodę do golenia, zarumienilem się po uszy na samą myśl, że się jeszcze nie golił. Wyobrażałem też sobie, jak się musiała śmiać psotnica, spełniając u drzwi moich tę czynność. Toteż kiedy musiałem przechodzić koło niej, schodząc na śniadanie, czułem się zmieszany i zażenowany. Wolałbym nawet wcale nie przechodzić tamtędy i pozostawić ją ze szczotką, a samemu spoglądać przez okno na przechodzący ulicą wśród tłumu wozów i pieszych pułk ułanów, na nieszczęście kelner oznajmił, że śniadanie na stole.

Steerforth oczekiwał mnie nie w restauracji, ale w gabinecie z czerwonymi portierami, tureckim dywanem, nakrytym i połyskującym od szkła i srebra stolikiem, z wielkim, na kominku płonącym ogniem i okrągłym lustrem, w którym się to wszystko odbijało. Czułem się z początku nieco zmieszany. Imponowała mi śmiałość, swoboda Steerforth, posiadającego nade mną tyle — nie wyłączając wieku — przewagi. Wkrótce jednak przyjacielskie jego zachowanie zatarało to wrażenie. Nie mogłem się też dość nadziwić zaszłym w samym zajęździe zmianom. Wczoraj jeszcze wszystko, com widział, było brudne, zakurzone, dziś zaś połyskujące, wytworne. Pierzchła gdzieś niepowrotnie poufalość kelnera. Wyprostowany, poważny, czekał u drzwi na nasze skinienie.

— A teraz, Copperfieldzie! — rzekł, gdyśmy pozostali sami, Steerforth. — Opowiedz mi, jak ci się obecnie wiedzie i twe na przyszłość widoki. Wszystko to interesuje mnie i obchodzi, jak gdybyś był moją własnością.

Uszczęśliwiony tym nowym dowodem jego przyjaźni, opowiadałem mu o sobie. Z kolei przyszło do obecnej, dozwolonej mi przez ciotkę wycieczki.

— Masz, jak widzę, sporo czasu przed sobą — zauważył Steerforth. — Wiesz co, jedź ze mną na parę dni do Highgate<sup>220</sup>. Co? Dobrze? Ręczę, że polubisz moją matkę. Próżna i słaba, gdy idzie o mnie, lecz ty jej to wybaczysz. Pewien też jestem, że się jej spodobasz.

— Chciałbym w to wierzyć — odrzekłem z uśmiechem.

— O — rzekł Steerforth — każdy, kto mi sprzyja i przychylnym patrzy na mnie okiem, zdobywa sobie tym samym sympatię mej matki.

— W takim razie posiadę ją w zupełności — odrzekłem.

— Oto właśnie spróbuj — nalegał. — Prosto stąd pójdziemy przypatrzeć się lwom. Warto, by je zobaczył taki nowicjusz jak ty! Potem udamy się do Highgate.

Zdawało mi się, że wszystko to snem jest tylko, i bałem się, budząc, znaleźć się znów pod numerem czterdziestym czwartym lub w restauracji naprzeciw poufalego fagasa. Po napisaniu listu do ciotki i opisaniu jej mego spotkania z dawnym towarzyszem i przyjacielem, jako też oznajmieniu, że się do niego na dni parę udaję, dorożką pojechaliśmy oglądać lwy, Panoramę, Muzeum i inne osobliwości, przy czym podziwiałem rozległość posiadanych przez mego przyjaciela wiadomości.

— Musiałeś skończyć szkoły z odznaczeniem — zauważyłem.

— Ja! Z odznaczeniem? — zaśmiał się. — Ach, mój ty pierwiosnku! Wszak pozwolisz, że cię tak przezwę?

— Najchętniej.

— A to dobre — śmiał się — z odznaczeniem! Ależ ja się wcale o to, mój drogi, nie ubiegam. Uważam, że jak dla siebie aż nadto już jestem uczony.

— Ale sława... — począłem.

— Romantyku! Pierwiosnku! I cóż mi po oklaskach półgłówków! Niech się o to ubiegają inni, każdemu ustępuję z pola.

Przykra mi była moja pomyłka i chciałem nadać inny tok rozmowie. Nie było to trudne ze Steerforthem, przeskakującym łatwo z tematu na temat.

Zjedliśmy przekąskę, a krótki dzień zimowy miał się ku końcowi, gdyśmy dojechali do starego murowanego domu stojącego na szczycie wzgórza w Highgate. Na progu

<sup>220</sup>Highgate — przedmieście położone w płn. części Londynu, które do końca ery wiktoriańskiej stanowiło osobną wioskę pod miastem (z tych czasów pochodzi cmentarz, na którym leży wiele sławnych osób, m.in. Karol Marks); zdobią je trzy zasobne w starodrzew lasy oraz pagórki z uczęszczanymi stokami, a ze szczytu North Hill (129 m n.p.m.) rozciąga się widok na krajobraz Londynu; na Highgate składają się trzy dzielnice: północna Haringey, południowo-zachodnia Camden i południowo-wschodnia Islington. [przypis edytorski]

spotkała nas niemłoda, z piękną jeszcze twarzą i dumnej postaci kobieta, która pochwyciła przyjaciela mego w objęcia, nazywając go „najdroższym swym Jamesem”. Damie tej Steerforth przedstawił mnie jako swej matce. Powitała mnie uprzejmie. Dom był dystyngowany, ale cichy i staroświecki. Z okien pokoju, który zająłem, ujrzałem w oddali Londyn ścielący się na kształt mgły gęstej, przerywanej drżącymi światełkami. Zaledwie miałem czas przebrać się i rozejrzeć w poważnym, staroświeckim umeblowaniu komnaty, w wyszywanych, może ręką samej gospodyni domu za jej dni panieńskich, robótkach, rzucić okiem na ołówkowe szkice dam w upudrowanych perukach, oświetlone płonącym na kominku ogniem, gdy wezwano mnie do stołu.

W sali jadalnej zastałem drugą jeszcze kobietę, niską, ciemnowłosą, niezbyt pociągającą, chociaż wyglądającą dobrze, która pochłonęła całą mą uwagę dlatego może, że była niespodziewanym zjawiskiem, może, że siedział naprzeciw, może, że istotnie było w niej coś godnego uwagi. Brunetka, z błyszczącymi, czarnymi oczyma, szczupła, miała bliznę na wardze, dawną jakąś, dawno zagojoną bliznę, ciągnącą się od górnej wargi w dół ku brodzie, teraz i w oddaleniu, w jakim siedziałem od niej, ledwie, jak to już mówiłem, około ust widoczną. Wydała mi się, jakoby dościsła trzydziestki, lecz nie straciła zupełnie nadziei zamążpójścia. Było w niej coś zwiędłego, niby w od dawna na sprzedaż wystawionych domach. Szczupła, trawiona może wewnętrznym jakimś ogniem, który teraz zbiegł się cały w jej głębokich oczach.

Przy przedstawieniu usłyszałem nazwisko Dartle, lecz Steerforth i jego matka nazywali ją Różą. Dowiedziałem się, że jest od dawna towarzyszką matki Steerforth. Zdawało mi się też, że mówiąc, nie mówiła nigdy wprost tego, co chciała powiedzieć, nadużywając zapytań lub bawiąc się w zdziwienie. Gdy na przykład pani Steerforth wyraziła pół żartem raczej obawę, że syn jej dokazywać musi w uniwersytecie, panna Dartle zawołała:

— Doprawdy! Ale co to jest dokazywać? Jestem bardzo niedomyślna. Do czegoż uniwersytety służyć mogą?

— Do uczoności i obrania praktycznego jakiego zawodu — odrzekła chłodno pani Steerforth.

— A tak! Nie pomyślałam o tym. Proszę mnie sprostować, jeśli się mylę. Czy tak istotnie?

— Co czy tak? — spytała pani Steerforth.

— O, teraz wiem, co to miało znaczyć. Jestem w domu. Oto, do czego prowadzą wyjaśnienia. Teraz nie zgodzę się nigdy już na to, aby życie uniwersyteckie miało być jednoznacznikiem rozrzutności i lekkomyślności.

— I słusznie! — zauważyła pani Steerforth. — Opiekun mego syna jest człowiekiem poważnym i jeśli nie na Jamesie, to na nim polegać mogę w zupełności.

— Doprawdy! W zupełności! — powtórzyła panna Dartle. — Człowiek poważny i sumienny! Istotnie sumienny?

— Takie jest moje przekonanie — zauważyła starsza dama.

— Bardzo, bardzo szczęśliwie! Sumienny! A może... ależ nie, on musi być sumienny, uspokaja to mnie najzupełniej, podnosi go w mym mniemaniu nieskończenie.

W ten to sposób wyrażała wszelkie zdania sprzeczne najczęściej z wyrażonymi poprzednio i mieszała, wyznać musiałem, samego Steerforth. Przed zakończeniem obiadu pani Steerforth rozpytywała mnie o projektowaną mą do Suffolk wycieczkę. Skorzystałem z tej sposobności, aby oświadczyć, jak gorąco pragnąłbym, aby mi przyjaciel mój mógł towarzyszyć, a opowiadając o starej mej piastunce i jej rodzinie, przypomniałem mu rybaka, którego spotkał raz w Salem House.

— A! Ów jegomość z synem, pamiętam — zawołał.

— Był to jego bratanek — odrzekłem — którym się iście po ojcowsku opiekował. Pan Peggotty ma nadto prześliczną bratanicę, którą się też po ojcowsku opiekuje. Słowem, dom ten (raczej łódź, w której na łądzie mieszkają) przepelniona jest korzystającą z jego dobrodziejstw rodziną. Ręczę, że cała rodzina zaciekałaby cię nieskończenie.

— A... może... — zawołał Steerforth. — Sądzę, że istotnie wycieczka podobna byłaby mi na rękę. Nie licząc już, że byłbym z tobą, pocziwy mój Davy, zabawiliby mnie i ci tam ludzie.



Serce mi zapukało żywiej. Panna Dartle, która bacznie przyglądała się nam w czasie tej rozmowy, przysłoniła oczy czarnymi rzęsami.

— A, jakie to ciekawe! — zawołała. — Więc cóż to za ludzie?

— Co? — spytał Steerforth. — Jacy ludzie?

— A, ci tam! Chciałabym wiedzieć, czy istotnie są innego rodzaju?

— Niż my — dokończył chłodno Steerforth. — To chciałaś powiedzieć? Innego. Nie tak, jak my tu jesteśmy wrażliwi, nie tak, jak nas tu, łatwo ich lada czym dotknąć i obrazić. Muszą to być bardzo poczciwi ludziska, tak przynajmniej niektórzy utrzymują i wcale nie mam ochoty temu zaprzeczać, lecz nie są najpewniej wytworni, a grube ich naskórki nie tak łatwo dają się przeciąć i zranić.

— Czy tak? — mówiła panna Dartle. — Nie wiedziałam doprawdy i miło mi dowiedzieć się o tym. Jest w tym istotnie coś pocieszającego. Więc nie czują oni wówczas nawet, gdy cierpią? Przedziwni ludziska! Czasem kiedy myślałam o podobnych tam ludziach zdejmował mnie wielki niepokój, teraz to już będę zupełnie spokojna. Człowiek dopóki żyje, dopóty się uczy. Wyznaję, miałam niejakie w tej mierze wątpliwości, lecz te zostały teraz rozproszone najzupełniej. Co to jest pytać i dowiadywać się!

Sądziłem, że to, co dopiero mówił Steerforth, powiedziane było żartem lub dla podrażnienia panny Dartle, i pewien byłem, że się do tego przyzna, gdyśmy po odejściu pań sami pozostali. Nie mówił jednak wcale na ten temat, tylko spytał mnie, jak mi się panna Dartle podoba.

— Musi być bardzo inteligentna — odrzekłem.

— Inteligentna! Ba! — zawołał. — Każdego przyprze do muru, każdego oszalbierz<sup>221</sup>, jak i sama siebie oszalbierzyła, zgryzła do szczętu. A! Brzytwa!

— Dziwną ma szramę nad ustami.

Steerforth spochmurniał, spuścił głowę.

— Mniejsza z tym — rzekł. — Moje to dzieło!

— Przypadkiem! — zawołałem.

— Nie, nie przypadkiem. Małym jeszcze byłem chłopcem, rozdrażniła mnie, cisnąłem w nią młotkiem. Co? Lala był ze mnie chłopak, zuch, co?

Przykro mi było, że wywołał tak niemiłe wspomnienie. Było już za późno, by się wycofywać.

— Odtąd pozostała jej ta blizna — ciągnął. — Nie rozstanie się z nią do wiecznego spoczynku, zresztą wątpię, czy gdziekolwiek i kiedykolwiek, bodaj w grobie, spocznie. Matkę straciła w dzieciństwie, ojciec jej, daleki krewny mej matki, umarł też, i matka moja, będąc już wdową, wzięła ją na stałą swą towarzyszkę. Z ojcowizny zostało jej parę tysięcy, od których procenty dokłada co roku do kapitału. Oto życiorys panny Róży Dartle.

— Pewien jestem, że cię kocha jak brata — zauważyłem.

— Hm! — mruknął, patrząc w ogień. — Nie każdy brat kochany bywa i nie każde kochanie... Ależ, Copperfieldzie, nie pijesz, jak widzę! Wychylmy kieliszek na cześć pierwsosnków, w twoje ręce! A drugi na cześć lilii, co nie sięją i nie przędą, w moje!

Smutny uśmiech, błąkający mu się na ustach, znikł z tymi słowy i powróciła zwykła swoboda.

Gdyśmy zasiedli do herbaty, z zajęciem przypatrywałem się bliźnie na twarzy panny Dartle. Zauważyłem, że był to najwrażliwszy rys jej twarzy, najpierwszy bladł, gdy bladła, na kształt tych znaków pisanych niewidzialnym atramentem, które występują na papierze przy zbliżeniu go do ognia. W czasie małego zajścia, jakie miała z przyjacielem moim przy grze w triktraka — przez chwilę zdawało mi się, że doprowadzona jest do wściekłości, a wówczas blizna wystąpiła niby napis stary na oświeconej nagle ścianie.

Nie dziwiło mnie bynajmniej<sup>222</sup> wielkie przywiązanie pani Steerforth do syna. Zdawało się, że jest niezdolną myśleć lub mówić o czymś innym. Pokazywała mi medalion z jego miniaturą z lat dziecińczych. Był tam pukiel puszystych, dziecięcych włosów. Pokazywała mi portret z lat, w których go poznałem, i trzeci taki — miniaturę, jakim był w obecnej chwili, którą na piersiach nosiła. W biureczku, przy kominku tuż obok fotela,

<sup>221</sup>oszalbierzyc — oszukać; por. szalbierz: oszust. [przypis edytorski]

<sup>222</sup>bynajmniej — wcale (dosł.: jak najmniej). [przypis edytorski]

na którym zwykle siadywała, złożone były wszystkie listy, jakie kiedykolwiek pisywał do niej. Chciała mi przeczytać niektóre, co by mi zresztą wielką zrobiło przyjemność, lecz syn sprzeciwił się temu.

— Poznaliście się w szkole pana Creakle, jak mi opowiadał syn — rzekła, siedząc ze mną przy jednym stole, gdy przy drugim syn jej grał z panną Dartle w triktraka. — Przypominam sobie, że mi syn opowiadał o młodszym towarzyszu, zapomniałam była<sup>223</sup> tylko nazwiska.

— Zapewniam panią — odrzekłem — że lepszego, wspaniałomyślniejszego nie miał towarzysza. Zginąłbym, gdyby nie opieka, jaką mnie syn pani wsparł i otaczał.

— Dobrze, szlachetne dziecko! — odrzekła z dumą pani Steerforth.

Potwierdziłem to z zapalem. Wierzyła w szczerą moją i w obejściu ze mną odstępową ją cechującą ją zwykle wyniosłość.

— Szkoła ta nie była wcale odpowiednia dla mego syna — mówiła — lecz w owym czasie niektóre względy wpłynęły na ten tak z pozoru niestosowny wybór. Charakter mego syna wymagał, abyśmy go powierzyli człowiekowi uznającemu jego wyższość, a jednak nieulegającemu mu, słowem, człowiekowi twardemu, takiemu, jakim był właśnie pan Creakle.

Znałem go. Pamiętałem, jak miękł wobec Steerforth. A jednak zamiast wzgardy czułem dlań raczej pewien szacunek za to, że zdolny był uznać i ocenić przymioty mego przyjaciela!

— Zresztą wyjątkowe zdolności mego syna potrzebowały tylko bodźca — ciągnęła matka. — Nie zniósłby on przymusu, czując się zaś panem położenia, starał się godnie odpowiedzieć temu stanowisku. Takim był zawsze.

Słowom tym wtórowałem z całego serca.

— Syn mój — ciągnęła z dumą — tam, gdzie idzie za własnym popędem, prześciga wszelkich współzawodników. Mówił mi, panie Copperfield, że ma w panu szczerego przyjaciela i gorącego zwolennika, żeś go wczoraj spotkał ze łzami radości. Byłabym nie-szczera, jeśli bym udawała, że mnie to dziwi, lecz nie mogę być obojętna wobec podobnie stałego przywiązania i miło mi poznać pana i zapewnić tak o moim najprzyjaźniejszym dla pana nastawieniu, jak i o wzajemnej przyjaźni mego syna. Możesz na niego liczyć w potrzebie.

Panna Dartle grała w triktraka z właściwą sobie żywością i przejęciem. Gdybym ją po raz pierwszy ujrzał był<sup>224</sup> przy zielonym stole, mógłbym sądzić, że twarz jej tak wychudła, a oczy rozblęły z namiętności do gry, a jednak myliłbym się bardzo, gdybym sądził, że straciła choć jedno słowo z tego, co się mówiło u drugiego stołu. Okazywane mi przez panią Steerforth zaufanie pochlebiali mi niesłychanie. Rosłem we własnych oczach.

Zanim wieczór minął i wniesiono tacę z przeróżnymi napojami, Steerforth zdecydował się już na proponowaną przedtem przeze mnie wycieczkę. Nie było jednak nic pilnego, jak utrzymywał. Mógłbym spędzić w Highgate dni kilka. Propozycja ta została poparta przez gościnną jego matkę. Rozmawiając, nazwał mnie kilkakrotnie „pierwiosnkiem”, co nie uszło baczności panny Dartle.

— A! Jakie ładne przezwisko — zauważyła. — Czy on dlatego tak pana nazywa, że ma pana za uosobienie niewinności i młodości? Jestem taka niedomyślna!

Zarumieniłem się, odpowiadając twierdząco.

— A! — mówiła panna Dartle. — Teraz to już wiem na pewno, lubię pewnośc i dlatego pytam, gdy czegoś nie rozumiem. A! Ma on pana za tak młodego, niewinnego! I jesteś pan jego przyjacielem? Ależ to ślicznie, prześlicznie!

Wkrótce jednak obie panie udały się na spoczynek, a i my też ze Steerforthem, po półgodzinnej gawędce o Salem House, Traddlesie, towarzyszach, dawnych czasach, poszliśmy na górę. Pokój mój znajdował się tuż obok jego sypialni, będącej ostatnim słowem komfortu i wytworności. Wypełniały go niskie i miękkie fotele, poduszki szyte ręką jego matki, dywany i inne sprzęty. Na ścianie, naprzeciw łóżka, wisiał portret pani Steerforth; zdawało się, jakoby chciała jeszcze spoglądać na ubóstwianego syna, w czasie gdy spał.

<sup>223</sup>zapomniałam była — daw. forma czasu zaprzęzłego; znaczenie: zapomniałam uprzednio (wcześniej, zanim miały miejsce zdarzenia i czynności wyrażone czasem przeszłym zwykłym). [przypis edytorski]

<sup>224</sup>ujrzał był — daw. forma czasu zaprzęzłego; znaczenie: ujrzał uprzednio (wcześniej, zanim miały miejsce zdarzenia i czynności wyrażone czasem przeszłym zwykłym). [przypis edytorski]

W moim pokoju zastałem płonący na kominku ogień, spuszczone zaś u okien i drzwi portiery nadawały komnacie charakter tak przytulny, że długo jeszcze marzyłem, siedząc przed ogniem, rozważając zwłaszcza szczęśliwy traf, który mnie zawiódł pod dach przyjaciela. Wznosząc oczy, ujrzałem nad kominkiem portret panny Dartle.

Portret uderzająco był podobny, a chociaż malarz zapomniał o przecinającej twarz jej bliźnie, pamiętałem o niej, widziałem ją tak, jak widziałem u stołu, występującą wyraźnie, przy każdym wzruszeniu.

Gubiłem się w domysłach, dlaczego portret ów znajdował się właśnie w przeznaczonym dla mnie pokoju. Aby się pozbyć tego widoku, rozebrałem się śpiesznie i położyłem, lecz i we śnie jeszcze czułem wlepione w siebie wielkie, błyszczące, czarne jej oczy i słyszałem pytanie: „Czy tak? Doprawdy?” a budząc się śród nocy ze snu ciężkiego, przypominałem sobie, że przez sen sam zadawałem najrozmaitszym ludziom pytania: czy prawdą jest to, czy nie? I sam nie wiedziałem, o co mi szło właściwie.

## ROZDZIAŁ XXI. MAŁA EMILKA

W domu tym był służący, przywiązany do osoby Steerfortha, który służył mu w uniwersytecie i był na pozór wzorem uczciwości. Tak, sądzę, że istotnie nie podobna<sup>225</sup> było spotkać człowieka tej kondycji, wyglądającego bardziej szanownie. Milczący, chodził cicho, spokojny, pełen uszanowania, uważny, gotów na każde skinienie, a nieobecny, gdy niepotrzebny, lecz nade wszystko, powtarzam, wyglądał poważnie i szanownie. Nie miał on twarzy łagodnej i usłużnej, owszem, sztywny był raczej, włosy nosił krótko ostrzyżone i wygładzone, mówił z cicha i kładł pewien nacisk na literę s, tak że się zdawało, jakoby używał jej częściej niż innych liter alfabetu. Wszystko to nie przeszkadzało mu wyglądać nader poważnie, zresztą gdyby nawet miał nos krzywy lub zadarty, wyglądałby poważnie. Otoczył się już taką atmosferą i żył w niej jak w odpowiednim sobie żywiole. Nie podobna było posądzić go o najłżejszą nieuczciwość. Nikomu też na myśl przyjść nie mogło odziać w liberię podobnie godnego człowieka. Powołać go do ciężkiej lub poniżającej usługi, byłoby uwłaczeniem jego godności. Nawet pokojówki tak dalece czuły to, że same spełniały najcięższe służby, a on tymczasem zwykł był czytywać gazety przy kominku lub w kredensowym pokoju.

Sługa

Nie spotkałem nikogo podobnie zamkniętego w sobie jak on i to mu tym większej jeszcze dodawało powagi. Nawet fakt, że nikt nie znał jego chrzestnego imienia, powagę tę powiększał. Wszyscy znali go pod nazwiskiem Littimera. Piotra można było powiesić, posłać do ciężkich robót Pawła, ale Littimer pozostawał nietykalny.

Dzięki też zapewne abstrakcyjnym wpływom jego powagi czułem się większym jeszcze dzieckiem wobec tego człowieka. W jakim on sam był wieku, nie umiałbym powiedzieć, gdyż powaga jego i spokój pasować mogły zarówno do trzydziesto-, jak i czterdziestoletniego mężczyzny.

Littimer wszedł z rana do mego pokoju, kiedym był jeszcze w łóżku. Przyniósł mi ową nieszczęsną ciepłą wodę do golenia i wyczyszczonej odzieży. Gdy rozchyliłem firanki, ujrzałem go spokojnym, poważnym, nawet nie zziębniętym, chociaż był wietrzny styczniowy poranek. Ustawiał buty moje w pozycji jak do tańca i zdmuchiwał źdźbło kurzu z mego surduta, układając go starannie na kształt dziecinnej sukienki.

Odpowiedziałem mu dzień dobry i spytałem o godzinę. Z największą powagą wyjął z kieszeni na ciężkim łańcuchu zawieszony zegarek, pocisnął sprężynę, popatrzył na tarczę jak na wyrocznie, zamknął kopertę i oznajmił, że już, za pozwoleniem, pół do dziewiątej.

— Pan Steerforth — rzekł — pyta, czy pan wypoczął po podróży.

— Dziękuję — odrzekłem — spałem wybornie. A jakże się ma pan Steerforth?

— Dziękuję panu — odrzekł — pan Steerforth ma się nieźle.

Littimer nigdy nie używał superlatywów i nie odzywał się o niczym stanowczo i twierdząco. Człek ten był wzorem miary we wszystkim.

— Czym mogę jeszcze panu służyć? — spytał. — O dziewiątej będzie pierwszy dzwonek, do śniadania państwo zasiadają zwykle o wpół do dziesiątej. Czym mogę służyć?

— Dziękuję. Nic mi już nie trzeba.

<sup>225</sup>nie podobna było (daw.) — nie było możliwe; nie można było. [przypis edytorski]

— Do usług pańskich — rzekł, skłaniając się, a gdy odchodził, zamknął drzwi cicho, nie chcąc zbudzić mnie z drzemki, jakby od niej całe me zależało życie.

Odtąd co rano podobne zamienialiśmy słowa, ani o jedno słowo więcej, ani jedno mniej. I zawsze, jakkolwiekbym urósł<sup>226</sup> z wieczora we własnym mniemaniu dzięki okazywanej mi przez Steerfortha przyjaźni i okazywanemu przez jego matkę zaufaniu, dzięki rozmowom z panną Dartle, zawsze wobec tego człowieka poczuwałem się, tak jak to mówią pomniejsi poeci, „znów chłopięciem”.

Sprowadzał nam konie, a Steerforth, celujący we wszystkim, dawał mi lekcje konnej jazdy. Dostarczał nam szpad z gąbkami oraz rękawic, a Steerforth uczył mnie fechtunku i wprawiałem się także pod okiem przyjaciela w boksowanie. Nie obchodził mnie wcale wobec przyjaciela brak mój wprawy w tych męskich ćwiczeniach, lecz brak ten zawstydział mnie wobec Littimera! Nie zastanawiałem się nawet nad tym, czy sam on biegły jest w sztuce jazdy, fechtunku i boksowaniu, najmniejszym słowem nie dał mi do zrozumienia nic podobnego, nie okazał zdziwienia najlżejszym brwi ściągnięciem, a jednak w obecności jego mieszałem się onieśmielony.

Zastanawiam się dłużej nad wspomnieniem tego człowieka, gdyż wywarł był na mnie od razu silne, wypadkami późniejszymi aż nadto usprawiedliwione wrażenie.

Tak minął jak najprzyjemniej tydzień cały. Minął szybko, a mnie jednak, ani na chwilę nie rozstając się z przyjacielem, któremu miałem tylko sposobność przypatrzeć się bliżej i pokochać bardziej jeszcze, zdawało się, jakobym był z nim dłużej, niż byłem w istocie. Steerforth bawił się mną jak zabawką, ale to w sposób tak miły i ujmujący, że to mnie rozczulało, przypominało szkolne czasy, zdawało się ich pozostałością, przekonywało, że się jego względem mnie usposobienie nie zmieniło — ośmielało, zacierało istniejące pomiędzy nami różnice. Sposób, w jaki ze mną postępował, był zresztą swobodny i przyjacielski i tak jak w szkole, tak później w życiu nie obchodził się, pewien tego byłem, z nikim innym, jak ze mną się obchodził, wierzyłem też, że bliższy niż ktokolwiek inny jego sercu, i to podwajało jeszcze moje przywiązanie do niego.

Zdecydował się wreszcie towarzyszyć mi w zamierzonej na prowincję wycieczce. Nadszedł dzień naszego wyjazdu. Zrazu chciał wziąć z sobą Littimera, lecz postanowił następnie pozostawić go w domu. Szanowny ten jegomość, zawsze zadowolony z rozkazów swego pana, złożył nasze walizy w pojeździe wiozącym nas do Londynu z takim namaszczeniem, jak gdyby wyprawiał nas na koniec świata. Z godnością też przyjął skromne me podziękowanie.

Pożegnaliśmy panią Steerforth i pannę Dartle. Dziękowałem serdecznie pierwszej za jej dobroć. Ostatnie wrażenie uniesione z ostatnim rzuconym na mnie spojrzeniem kamerdynera było, że jest jeszcze wielkim dzieckiem.

Nie potrafię opisać tego, czegom doznał<sup>227</sup>, wracając do dawnych znajomych miejsc. Przybyliśmy dyliżansem. Tak byłem, pamiętam, czuły na temat Yarmouth, że gdy, przejeżdżając przez ciemne ulice do gospody, Steerforth oświadczył, że o ile może wnosić, cała ta zapadła dziura wydaje mu się spokojna, pocziwa, czułem się tym pochlebiony. Położyliśmy się zaraz po przyjeździe (przestępując próg gospody, przypomniałem sobie o parze brudnych skarpetek i kamaszy w związku z dawnym mym znajomym Wielorybem), a nazajutrz wstaliśmy późno. Steerforth, w jak najlepszym humorze, odbył spacer po wybrzeżu, zanim jeszcze wstałem, poznał tam, jak twierdził, z pół tuzina rybaków i dojrzał w oddali to, co musiało być z pewnością domem pana Peggotty. Brała go chęć, by pójść tam i przedstawić się jako Dawid Copperfield we własnej osobie, tylko zmieniony do niepoznania.

— Kiedyż mię przedstawisz, Davy? — pytał. — Jestem na twoje usługi. Zresztą rób, jak ci będzie dogodnie.

— Sądziłbym — odrzekłem — że najwłaściwiej byłoby zrobić to wieczorem, gdy wszyscy zbiorą się koło kominka. Jest to chwila, kiedy zaciszę to wygląda najlepiej.

— Zgoda! — zawołał Steerforth. — Zatem do wieczora!

<sup>226</sup> *jakkolwiekbym urósł był* — daw. forma czasu zaprzeszczonego; znaczenie: jakkolwiekbym urósł uprzednio (wcześniej, zanim miały miejsce zdarzenia i czynności wyrażone czasem przeszłym zwykłym). [przypis edytorski]

<sup>227</sup> *czegom doznał* — inaczej: czego doznałem (konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika). [przypis edytorski]

— Nie dam im tymczasem znaku życia — mówiłem rozradowany — toż to będzie niespodzianka!

— O, naturalnie — rzekł Steerforth — inaczej wszystko byłoby na nic! No! Zobaczmy tych tuziemców w rodowitym ich otoczeniu.

— Są oni właśnie *tacy jacyś*, jak mówiłeś — odrzekłem.

— Aha! Tak to! Przypomniały ci się moje utarczki z Różą — zawołał, spojrzawszy mi bystro w oczy. — Niech ją! Boję się jej prawie! Jest ona moim złym duchem. Nie wspominaj jej nigdy! A teraz co zamýślasz zrobić? Pójdiesz zapewne do swej piastunki? Co?

— Naturalnie — rzekłem. — Przede wszystkim muszę widzieć Peggotty.

— Dobrze — rzekł Steerforth, spoglądając na zegarek. — Jeśli cię uwolnię na parę godzin, czy ci to wystarczy na cackanie się z nianią?

Odpowiedziałem mu, śmiejąc się, że wystarczyłoby może, i poprosiłem go, aby mi towarzyszył i przekonał się naocznie, że go poprzedziła w domu i sercu mej piastunki sława, gotując mu niemal równe mi miejsce.

— Pójdę, gdzie zyczysz — odrzekł. — Zrobię, co ci się podoba. Rozkazuj tylko, a wszędzie, gdzie zechcesz, wystąpię w sentymentalnej czy komicznej roli.

Dałem mu adres pana Barkisa, woźnicy jeżdżącego do Blunderstone i gdzie indziej, sam zaś wyszedłem. Powietrze było ostre, ziemia sucha, morze kędzierzawe i spokojne, a słońce, w braku ciepłych, jasne rzuciło promienie. Wszystko tchnęło życiem i pogodą. Sam czułem się pełen życia i pogody i tak uszczęśliwiony obecnością w miłych mi miejscach, że chciało mi się uściskać każdego z przechodniów. Ulice wydały mi się ciasne i krótkie. Zawsze tak bywa podobno z miejscami znanymi w dziecięcych latach, gdy do nich potem wracamy. Wszystko mi jednak żywo stało w pamięci i nie zauważyłem nigdzie w niczym najmniejszej zmiany. Tylko nad sklepem pana Omera szyld był zmieniony; „Omer i Joram” opiewał, a dalej było jak dawniej.

Kroki wiodły mię wbrew mej woli, przeszedłem ulicę i zatrzymałem się przed drzwiami sklepu. W głębi młoda, przystojna kobieta huśtała na ręku niemowlę, gdy tymczasem drugie dziecko czepiało się jej spódnicy. Od razu poznałem Minnie i jej dzieci. Drzwi do izdebki za sklepem były zamknięte, lecz skrzypiały zupełnie tak samo jak przed laty.

— Czy zastałem pana Omera? — spytałem wchodząc. — Chciałbym go widzieć.

— Jest w domu — odrzekła Minnie. — Astma nie pozwala mu wychodzić na tę pogodę. Joe! Poproś dziadunia.

Trzymający się jej fartucha małe wrzasnął i ku wielkiemu zadowoleniu matki schował się w jej spódnicę. Posłyszałem sapanie i chrapanie i po chwili zjawił się pan Omer we własnej osobie, dychawiczny, lecz wcale nie postarzały.

— Do usług pańskich — rzekł. — Co pan rozkaże?

— Chciałbym uściskać pana dłoń — zawołałem — za okazaną mi niegdyś uprzejmość, nie miałem dotąd sposobności podziękować panu.

— Za uprzejmość? Nie przypominam sobie. Czy się pan nie myli czasem?

— O, nie!

— Pamięć moja musiała się przykrócić wraz z oddechem — odrzekł, potrząsając głową. — Nie przypominam sobie.

— Jak to! Nie pamiętasz pan! Spotkałeś mnie przy gospodzie, przyprowadziłeś tu na śniadanie, a potem pojechaliśmy razem do Blunderstone, pan, pani Joram i pan Joram, który nie był jeszcze wówczas mężem pani.

— A! Na rany Chrystusa! — zawołał pan Omer i zakaszłał się, a potem dodał. — Minnie, duszko, pamiętasz! Był to pogrzeb tej damy.

— Mojej matki.

— A tak, tak właśnie — mówił, dotykając mi piersi wskazującym palcem. — Matki! Pamiętam! Ot taki mały chłopczyna! A! Tam w Blunderstone grzebaliśmy wraz z matką dzieciątko! Pamiętam! Jakże się pan miewa?

Podziękowałem mu, pytając nawzajem o zdrowie.

— Tak sobie — rzekł. — Nic nowego! Oddech mam coraz krótszy! Ha, trudno, aby się na starość przydłużał. Na to nie ma rady!

Śmiał się i kaszłał, córka, z dzieckiem na ręku, stała tuż przy nim.

— Kto by to powiedział — ciągnął — dwa na raz pogrzeby! I tegoż samego dnia właśnie, wracając, naznaczyliśmy dzień ślubu Minnie. „Niech pan raz już oznaczy”, powiedział Joram. „Tak, tak, ojcze!”, twierdziła Minnie, „niech wejdzie do spółki”.

Minnie śmiała się i poprawiała włosy, korzystając z tego, że ojciec przytrzymywał skaczące na stole dziecko.

— Dwa pogrzeby! — kiwał głową krawiec. — Właśnie tak! Joram przy robocie w obecnej chwili. Szara ze srebrnymi ćwieczkami, o parę cali dłuższa...

Trzymał skaczące po stole dzieciątko.

— Ale czym mogę panu służyć? Herbatą? — dodał.

Podziękowałem. Byłem po śniadaniu.

— Aha! — mówił, przypominając sobie. — Peggotty, ta żona woźnicy Barkisa, miała jakies z waszą rodziną stosunki? Aha! Służyła u was?

Potwierdziłem.

— Gdyby to oddech tak wracał z pamięcią — rzekł. — Otóż widzi pan, mamy tu obecnie jej krewną. Zręczna i nikt więcej od niej posiadać w krawieczyźnie nie może dobrego smaku. Księżniczka, mówię panu!

— Mała Emilka! — zawołałem.

— Na imię jej Emilka i niewielka! Ale za to twarzyczka! Kobiety zjadłyby ją w kaszy, gdyby mogły.

— Nie wiadomo, co ojciec bredzi! — zaoponowała córka.

— Nie mówię tego o tobie, duszko — tłumaczył się ojciec, mrugając ku mnie — ale o połowie co najmniej mieszkankę Yarmouth, a i na pięć mil dokoła. Zjadłyby ją.

— Niechby się skromnie trzymała na swym miejscu — odcięła się młoda pani Joram — i nie dawała powodu do plotek.

— Nie dawała, duszko, nie dawała! Nie znasz życia i świata! I do czego są zdolne kobiety, zwłaszcza gdy idzie o piękność innych kobiet.

Sądziłem, że już po nim będzie, tak się po tym żarciku rozkaszał. Musiał się schylić i oprzeć o stół, a całą jego postać wstrząsały spazmatyczne dreszcze, nawet wstążeczki u podwiązek fruwały tam i z powrotem. Wykaszlawszy się, usiadł zmęczony.

— Bo widzi pan — mówił, ocierając pot z czoła i łapiąc powietrze — nie wdaje się tu z nikim, nie nawiązuje żadnych przyjaźni ani miłostek, to wystarczy, aby rozgłaszano, że choruje na panią, Bóg wie jakiego wyczekuje losu. Ot, po prostu musiała kiedyś wygadać się w szkole, że jeśli była wielką panią, uczyniłaby to lub tamto dla wuja, którego ubóstwia.

— Tak, panie — potwierdziłem gorąco. — Mówiła mi to nieraz, gdyśmy byli dziećmi.

Pan Omer skłonił głowę i potarł brodę.

— Tak właśnie — ciągnął — a i to, że w byle czym wygląda lepiej niż każda inna. We wszystkim jej do twarzy, a i to prawda, że jest nieco, jak mówią, krnąbrna. Co do mnie, nie wiem właściwie, jak to inaczej nazwać, mówię po swojemu: uparta. Jak raz coś postanowi, to musi na swoim postawić. Oto wszystko, co jej zarzucić można, prawda, Minnie?

— Niby mało!

— I tak — ciągnął pan Omer — dostała bardzo dobre miejsce towarzyski u jakiejś starszej damy i rzuciła je. Potem dostała się tu do nas na trzyletnią naukę. Po dwóch już latach nic jej nie brakuje. Prawda, Minnie?

— Prawda, ojcze! — odrzekła pani Joram. — Mógłby kto myśleć, że jej co ujmuję.

— Bardzo dobrze, słusznie! A teraz, mój panie! — kończył śmiejąc się krawiec. — Zdaje się, że wszystko powiedział, boś gotów posądzić mnie, że większy gaduła, jak na to tchu mi starczyć może.

Ponieważ cała ta rozmowa o Emilce w przyciszonym utrzymaniu była tonie, pewien byłem, że się ona znajduje w pobliżu, a na pytanie moje w tym względzie otrzymałem twierdzące skinienie głowy i wskazanie wzrokiem drzwi do sąsiedniego pokoju. Spytałem, czy mogę tam zajrzeć, na co zgodzono się chętnie. Spojrzałem przez okienko. Szyła. Wydała mi się najpiękniejszym stworzeniem pod słońcem, z tymi jasnymi, niebieskimi oczyma, które znałem z dzieciństwa mego, zwróconymi właśnie na bawiące się u nóg jej

dziecko Minnie. Na pięknej jej twarzy była samowola i jakiś cień przekory, usprawiedliwiający poniekąd czynione jej zarzuty, lecz poza tym wszystko w niej tchnęło uczciwością i niewinnością.

Na dziedzińcu rozlegał się ustawicznie zgrzyt z dawien dawna mi znany, cichy, jednostajny, niemilkący.

— Wejdz pan tam, jeśli się panu podoba — zapraszał krawiec.

Nie śmiałem. Bałem się ją zmieszać, a jeszcze bardziej bałem się własnego wzruszenia; zapytałem tylko, o której godzinie wychodzi ze sklepu, a pożegnawszy krawca i jego córkę, udałem się do mojej kochanej Peggotty.

Zastałem ją w kuchni. Przygotowywała obiad. Otworzyła mi, gdym zapukał, pytając, czego życzę. Patrzałem na nią śmiejąc się, ona zaś na mnie poważnie, surowo. Nie przestałem do niej pisywać, ale siedem lat minęło, odkądśmy się widzieli<sup>228</sup>.

— Czy zastałem w domu męża pani? — spytałem obojętnie niby.

— W domu, panie — odrzekła — lecz cierpi na reumatyzm.

— Więc nie jeździ już do Blunderstone? — pytałem.

— Jeździ, gdy mu zdrowie służy.

— A panią Barkis?

Uważnie spojrzała na mnie, uczyniła ręką gest pytający.

— Chciałem — rzekłem — spytać o dom nazwany, aha! Wroni Bór, jeśli się nie mylę.

Cofnęła się przestraszona, wyciągając naprzód obie ręce.

— Peggotty! — zawołałem.

— Dziecko! Moje drogie dziecko! — krzyknęła, chwytając mnie w objęcia.

Czegóż też nie dokazywała! Śmiała się i płakała na przemian i razem. Cofała się i zbliżała, oglądając mnie z dumą, z ciekawością, z niedowierzaniem, obsypywała pocałunkami, z żalem, że ta, której mógłbym być dumą i pociechą, nie mogła mnie do macierzyńskiego przytulić serca. Co do mnie, nie powstrzymywał mnie żaden wstyd fałszywy i nigdy może, nawet w objęciach matki, nie płakałem tak szczerze, jak w tej chwili.

— Jakże się Barkis ucieszy! — mówiła, wycierając fartuchem oczy. — Lepiej mu to pomoże niż lekarstwa. Pójdę, powiem mu... A może sam pójdziesz ze mną?

Zgodziłem się na to chętnie, sporo jednak czasu upłynęło, zanim wyszliśmy z kuchni. Za każdym razem, gdy się Peggotty zbliżyła do drzwi, wracała, porywała mnie w objęcia, pokrywając łzami i pocałunkami. Weszliśmy wreszcie na schody. Pozostałem chwilę za drzwiami, bo chciała uprzedzić męża; po chwili byłem przy chorym.

Przyjął mnie z zapalem. Tak był zreumatyzmowany, że nie mógł mi podać ręki i prosił, abym potrząsnął chwast jego szlafmicy, co też spełniłem z całego serca. Usiadłem przy łóżku. Powiedział, że wyobraża sobie, że znów wiezie mnie na swym wózku drogą do Blunderstone. Okryty po brodę koldrami, z wyjątkiem twarzy, wyglądał wielce zabawnie.

— A pamiętasz pan — spytał — czyje imię wypisałem na wózku?

— Ach, panie Barkis! Rozmawialiśmy o tym nieraz, pamiętam!

— Gotów byłem — zauważył.

— O, od dawna!

— I nie żałuję tego — odrzekł. — A czy pamiętasz pan, jak mówiłeś mi o jej zręczności w pieczeniu ciasta z jabłkami i gotowaniu?

— Doskonale.

— Święta to była, rzetelna prawda — twierdził, potrząsając szlafmicy i zwracając wzrok na mnie, czekał potwierdzenia swoich słów.

— Święta prawda — powtarzał. — Taki biedak jak ja dość ma czasu do rozmyślenia, leżąc nieruchomo. Nieszczęsny jestem człowiek, bardzo chory!

— Przykro mi to słyszeć, panie Barkis.

— Bardzo biedny, doprawdy — skarżył się.

Tu, wysuwając prawą rękę spod koldry, ujął z trudnością kij przywiązany do poręczy i po chwilowym bezskutecznym szukaniu nim tu i ówdzie, przy czym twarz jego najroz-

<sup>228</sup>odkądśmy się widzieli — inaczej: odkąd się widzieliśmy (konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika). [przypis edytorski]

maitszy przybierała wyraz, natrafił na skrzynkę, której bok jeden wyglądał spod łóżka. Uspokoił się.

— Stare rupiecie! — mruknął

— O! — mruknąłem.

— Dobrze byłoby, żeby to były pieniądze!

— Życzyłbym z całego serca.

— Ale to nie pieniądze — rzekł, roztwierając szeroko żrenice.

Upewniłem go, że jest tego samego co i on przekonania. Zwrócił wzrok na żonę.

— Najlepsza pod słońcem kobieta z tej Peggotty Barkisowej. Zasluguje na wszelkie pochwały. Pomyśl, kochanie, o obiedzie. Mamy gościa, postaraj się, aby było co tam zjeść i wypić.

Chciałem podziękować i wymówić się, lecz powstrzymał mnie zadowolony wyraz twarzy Peggotty.

— Mamy tu gdzie parę groszy — mówił chory — ale właśnie zmęczyłem się bardzo. Odejdź z panem Davy, odpoczne, zasnę i znajdę może, gdy się obudzę.

Pożegnaliśmy go i odeszliśmy. Za drzwiami Peggotty wytłumaczyła mi, że to tylko zwykły wybieg jej męża i że pan Barkis, pomimo cierpień, zwlecze się z łóżka, by wydobyć pieniądze z nieszczęsnej skrzynki. Istotnie, usłyszeliśmy niebawem jego jęki i stękania, jak gdyby miał wyzionąć ducha, a chociaż w oczach Peggotty malowało się współczucie, utrzymywała, że mu ta hojność na dobre wyjdzie i że nie trzeba mu przeszkadzać. Jęczał i stękał, zanim położył się z powrotem, wówczas dopiero nas zawołał, utrzymując, że się dopiero przebudził, wypoczął i znalazł pod poduszką gwineę, a zadowolenie z oszukania nas i sprytnego odwrócenia uwagi od skrzynki zdawało się wynagradzać poniesione przezeń trudy i doznane bóle.

Upredziłem Peggotty o odwiedzinach Steerfortha, który też niebawem nadszedł. Pewien jestem, że nie rozróżniała dostatecznie, czy wita w nim osobistego swego dobroczyńcę, czy tylko mego przyjaciela, w każdym razie powitała go serdecznie i uprzejmie. Do pokoju chorego Barkisa wniósł z sobą Steerforth promień światła i ożywczego powietrza. Bez hałasu, bez wysiłku, od niechcienia był wesół, powabny i tak przyjacielski, że nawet mnie oczarował, chociaż od dawna byłem nim oczarowany.

Bawiliśmy się wybornie w bawialnym pokoiku, gdzie nietknięta od ostatniej mej bytności *Księga Męczenników* wyjęta została z biurka i rozłożona na stole. Przewracając karty, przypominałem sobie stare wrażenia. Wreszcie Peggotty oznajmiła, że pokoiik mój jest gotów, i miała nadzieję, że zostanę u niej na noc.

— Naturalnie! — zawołał Steerforth. — Pozostaniesz tu, a ja wrócę do gospody.

— Przywieźć cię tak daleko — zauważyłem — i opuszczać, wydaje mi się...

— Co ci się tam wydaje! Pomyśl, do kogo tu należysz! — zawołał, i tak się to ułożyło.

Był przez całe popołudnie w wybornym humorze. O ósmej wybraliśmy się do pana Peggotty. A nawet w miarę jak płynęły godziny, przymioty i zalety mego przyjaciela rosły i nieraz myślałem później, że go upajało wszelkie powodzenie, a przekonanie, że się podoba, rozwijało i zaostrzało zalety, którymi jednał sobie ludzi. I gdyby mi był kto powiedział wówczas, że wszystko to jest pustą zabawą, poczuciem własnej wyższości, igraszką w zdobywaniu tego, o co nie dbał wcale i co po chwili odtrącić miał z obojętnym lekceważeniem, oburzyłbym się na oszczercę i skarcił.

Toteż zapewne we wzmożeniu moich roztkliwionych uczuć przyjaźni i wierności zdawało mi się, gdy siedłem obok niego w noc ciemną po wilgotnym nadbrzeżnym piasku do łodzi pana Peggotty, że wiatr szumi smutniej niż owej nocy, gdym po raz pierwszy do drzwi tej łodzi zapukał.

— Smutna, dzika miejscowość — zauważyłem.

— Ponura w nocy — odrzekł. — Słyszysz, jak morze ryczy? Tak, jak gdyby pożreć nas chciało. Czy to ta tam łódź? Widzę światło w okienkach.

— Ta właśnie.

— Ta sama, którą zauważyłem rano. Wyraźnie wiódł więc mnie tu instynkt.

W milczeniu zbliżyliśmy się do drzwi. Położyłem rękę na klamce, cicho zalecając przyjacielowi, aby wszedł tuż za mną.

Z wnętrza dochodziły nas głosy, a kiedym otworzył drzwi, usłyszałem klaskanie. Czyje? Oto zwykle niepokieszonej pani Gummidge. Nie sama ona zresztą zdawała się być



wzruszona. Pan Peggotty z rozradowaną twarzą rozpostarł był ramiona, jakby chciał pochwycić w nie Emilkę; Ham, na poły uradowany, na poły zawstydzony, trzymał Emilkę za rękę, a tę ostatnią, uśmiechniętą, rozrurienioną, wejście nasze powstrzymało właśnie w chwili, gdy wyrwijąc się kuzynkowi miała frunąć w objęcia wuja. Oto jak ich zastaliśmy w chwili przejścia z nocnych cieni i chłodu do ciepłej, jasnej izby, w głębi której pani Gummidge klaskała w dłonie jak szalona.

Wejściem swym spłoszyliśmy ten obraz. Zdawać by się mogło, że był przywidzeniem. Stałem już pośród nich, oko w oko ze zdziwionym panem Peggotty, gdy Ham zawołał:

— Panic! Panic Davy!

Po chwili wszystkie się ku mnie wyciągnęły dłonie, wszyscyśmy na raz zaczęli się witać, pozdrawiać. Pan Peggotty tak był uszczęśliwiony, że nie wiedział, co ma mówić lub robić, i tylko ścisnął ręce to mnie, te memu przyjacielowi, burzył niespokojną dłonią siwe na głowie włosy i śmiał się zadowolony i triumfujący.

— Trzebaż to — mówił — abyście panowie trafili tu dzisiaj, dziś właśnie. Nigdy się nic podobnego nie zdarzyło. Emilko, kochanie, zbliż się! Zbliż, moja ty mała czarodziejko! Oto, widzisz, przyjaciel pana Davy. Słyszałaś o nim, Emilko? Przybył on tu z nim, aby cię zobaczyć w ten najpiękniejszy wieczór w całym moim życiu, słyszysz? Najpiękniejszy w życiu twego wuja.

Wypowiedziawszy to jednym tchem, z niepomiernym zadowoleniem, pan Peggotty wziął w obie swe dłonie twarz siostrzenicy, ucałował ją z dziesięć razy, przytulił do serca, pogłaskał i dopiero wówczas wypuścił. Pobiegła schronić się do pokoiku, w którym zwykle sypiałem, a biegnąc zarumieniona oglądała się jeszcze na nas.

— Dwóch dżentelmenów, takich dwóch dżentelmenów! — powtarzał rybak.

— Aha, aha! — wołał Ham. — Dobrześ, wuju, powiedział. Dwóch dżentelmenów! Ależ panicz urósł!

— Przepraszam was, panowie — ciągnął pan Peggotty — jeśli znajdujecie mnie w niezwykłym usposobieniu. Emilko, kochanie! Aha! — wybuchnął śmiechem — domyśliła się, co powiem, i frunęła! Znajdźcie mi ją i sprowadźcie tu, matko!

Pani Gummidge wyszła do sąsiedniej izdebki.

— Otóż, mówiłem — ciągnął pan Peggotty, sadzając nas przy kominie — że jest to najpiękniejszy wieczór mego życia. Jestem prosty rybak, szorstki, ale to najpiękniejszy wieczór mego życia, oto wszystko, co mogę powiedzieć. Mała Emilka — ciągnął, głos zniżając i zwracając się do Steerfortha — która tak się dopiero rumieniła...

Steerforth potakiwał z wyrazem takiego zainteresowania i zrozumienia, że pocziwy rybak zawołał:

— Doprawdy! Ale oto i ona. Dziękuję panu.

Tymczasem Ham kiwał w moją stronę głową, jakby na potwierdzenie tego, co wuj mówił.

— Ta nasza Emilka — ciągnął pan Peggotty — jest nam tu w domu (prosty jestem człowiek, lecz czuję to głęboko) pociechą naszą, radością, wszystkim. Nie jest ona moim rodzonym dzieckiem, własnych dzieci nie miałem, ale jeślibym miał, nie mógłbym kochać ich więcej. Rozumie pan, nie mógłbym.

— Doskonale to rozumiem — odrzekł Steerforth.

— Wiem, że pan rozumie — mówił rybak — i dziękuję panu. Pan Davy pamięta, jaką była ona, a pan sam dziś widzi, jaka jest teraz. Ale żaden z was ani się domyśla, czym była i jest dla mego serca. Twardy jestem, panie, szorstki, jak nie przymierzając morski jeż, ale nikt, oprócz może tej tam kobiety, nie wie, czym jest dla mnie to dziecko. A między nami mówiąc — tu głos zniżył — i pani Gummidge, choć zalet pełna, domyślić się nie może.

Potarł włosy ręką i ciągnął, opierając obie dłonie o kolana.

— Jest ktoś, co zna naszą Emilkę, odkąd ojciec jej utonął. Znał ją dzieckiem, dziewczynką, kobietą. Ten ktoś nieosobliwie może wygląda, coś tak niby jak ja, twardy, szorstki, ale uczciwy, bardzo uczciwy, serce ma na miejscu.

Nigdy jeszcze Ham tak się nie uśmiechał jak w tej chwili.

— Co się temu dziegiarzowi zdaje! — śmiał się pan Peggotty. — Ot, po prostu głowę stracił dla naszej Emilki. Cieniem jej był, wysługiwał się na łapkach, głowę tracił, a ot, i przyszła chwila, w której chciałbym upewnić los naszej Emilki, oddać ją w opiekę

jakiej poczciwej duszy. Nie wiem, jak mi długo jeszcze żyć przeznaczono, ale to wiem, że jeśliby mnie na morzu zaskoczyły wiatry i gdybym po raz ostatni spoglądał na te tam światelka, byłbym spokojny myśląc, że jest tu na lądzie żelazne ramię, gotowe podtrzymać, obronić Emilkę i że dopóki on żyje, włos jej z głowy nie spadnie.

Pan Peggotty wywijał ręką, jak gdyby wskazywał gasnące mu już w oczach światła nadbrzeżne, a spojrzawszy z zadowoleniem na Hama, ciągnął:

— Radziłem mu pomówić o tym z Emilką. Taki chłop, a nieśmiały, jak gdyby od ziemi nie odrósł. Sam tedy musiałem za niego mówić. „Co, on?”, zawołała Emilka. „On, którego znam od dzieciństwa i tak lubię? Och, wuju, po co on? To taki poczciwy chłopiec”. Ucałowałem pieszczotkę i to jej tylko powiedziałem: „Kochanie, dobrze robisz, że mówisz, co czujesz, nie przymuszam cię, wolna jesteś jak ptaszek”. A jemu mówię: „Pragnąłem tego, cóż, kiedy nic z tego nie będzie. Ale niech się nic między wami nie zmienia, bądź dla niej, chłopcze, czym dotąd byłeś”. „Będę”, odrzekł i dotrzymał słowa. Przez całe dwa lata był tym, czym dawniej: kochającym bratem.

Twarz pana Peggotty, która się mieniła w czasie opowiadania, przybrała teraz wyraz triumfu; jedną rękę położył na kolanie Steerforth, drugą na moim i tak mówił:

— Aż tu raz wieczorem — przypuścmy dzisiaj — wraca Emilka z roboty i Ham z nią razem. Nic w tym dziwnego, powiecie może zapewne. Czuwał nad nią jak brat we dnie i w nocy, ale tym razem dziegiarz ten prowadził ją za rękę i spostrzegłszy mnie, zawołał: „Patrz, wuju, oto moja żoneczka!”. A ona zmieszana, ale śmiało jakoś mówi: „Tak, wuju, jeśli ci się podoba”. Czy mi się podoba! — zawołał pan Peggotty, przewracając oczy. — Bogu to tylko wiadomo! A ona: „Dorosłam, wuju, zastanowiłam się nad tym, czuję, że mogę zostać żoną tego poczciwego kochanego chłopca”. Na to pani Gummidge klasnęła w ręce i na to właśnie weszliście panowie. Miało to miejsce przed chwilą i oto jest ten, za którego wydaję naszą Emilkę.

Ham drgnął pod ciężką, opadającą mu na ramię ręką rybaka, a poczuwając się w obowiązku zabrania głosu, tak począł:

— Panicz ją, panie Davy, pamięta, ot, taka była maleńka, a teraz jaka. Patrzyłem, jak rosła, jak... kwiatek, oddałbym za nią życie, panie Davy, oddałbym ze szczęściem. Jest mi ona, panowie, jest mi... więcej, niż potrzebuję i wyrazić to mogę... kocham ją. Ani na lądzie, ani na morzu nie ma pewno dżentelmena, który by jakkolwiek damę tak kochał, jak ja ją kocham, chociaż prosty jestem tylko człowiek.

Wzruszyły mnie słowa poczciwego chłopca, wzruszyło okazane nam przez niego i jego wuja zaufanie. Wzruszony byłem, a jakie we wzruszeniu tym miejsce zajęły wspomnienia z lat dziecinnych, zastanawiać się nie będę. Czy jadąc do Yarmouth marzyła mi się miłość małej Emilki, nie wiem. Wiem, że wszystko, com słyszał, napępniało mnie radością, lecz czułem zrazu tak jakoś, jak gdyby lada głupstwo radość tę w smutek zmienić mogło.

Gdyby zaś przyszło mi wówczas wyrazić, com czuł, nie potrafiłbym nigdy. Do poruszenia pewnych strun wprawniejszej trzeba było dłoni, toteż Steerforth swym humorem nastroił nas dopiero do potrzebnej harmonii.

— Panie Peggotty — rzekł — jesteś pan najpoczciwszym pod słońcem człowiekiem i zasługujesz na tę wielką pociechę, jaką ci wieczór dzisiejszy przyniósł: oto dłoń moja! Winszuję ci też, kochany chłopcze — to do Hama, a do mnie — Davy, duszko! Przemieszaj w kominie, niech się jaśniej pali, a pan, panie Peggotty, niech tu nam sprowadzi śliczną swą siostrzeniczkę. Oto krzesło dla niej, bo ucieknie. W podobny wieczór nie chciałbym być powodem, dla którego zabrakłoby kogoś przy ogniu w rodzinnym waszym kółku. Nie, za nic, ani za wszystkie bogactwa Golkondy!

Pan Peggotty poszedł szukać swej ulubienicy. Upierała się z początku i Ham pośpieszył z pomocą wujowi. W końcu przywiedli ją zarumienioną, zmieszaną, wpędce ją jednak uspokoiło uprzejme, pełne uszanowania zachowanie Steerforth. Unikał starannie wszystkiego, co by ją zmieszać mogło, rozprawiał z panem Peggotty o łodziach, morzu, wiosłowaniu, rybolówstwie. Przypominał mi odwiedziny rybaka w Salem House. Mówił, śmiał się, rozruszał i rozbawił wszystkich.

Wprawdzie Emilka mówiła mało, lecz twarzyczka jej jaśniała zadowoleniem. Była uroczą. Steerforth opowiadał o jakimś rozbiciu okrętu, jak gdyby naocznym był tego świadkiem. Emilka słuchała go z szeroko rozwartymi oczyma. Opowiadał potem pocieszne jakieś wydarzenie z taką werwą, że śmiech Emilki rozlegał się do spółki z dźwięcznym,

sympatycznym śmiechem mówiącego. Namówił nawet pana Peggotty do piosenki „Gdy wiatr wieje, wieje, wieje!”, sam zaś żeglarską pieśń zaśpiewał takim głosem i z takim uczuciem, że się zdawało, jakoby wicher na dworze przytulił się do ścian łodzi, by się wsłuchiwać w smutne, melodyjne dźwięki.

Co zaś do pani Gummidge, nikt jej od śmierci męża — powiedział mi to na ucho pan Peggotty — nie potrafił jeszcze tak rozbawić. Oderwał ją tak dalece od zwykłych jej smutków, że utrzymywała nazajutrz, jakoby została oczarowana.

Nie sam tylko zresztą Steerforth wypełnił ów wieczór. Pomału ośmielała się i Emilka; rozmawiała ze mną o dawnych czasach, o naszych przechadzkach nad morzem, zbieraniu muszli i kamyków, a gdym ją spytał, czy pamięta jeszcze, jakem ją uwielbiał, i gdyśmy się roześmieli i poczerwienieli oboje, Steerforth zamilkł i popatrzył na nas uważnie. Siedziała właśnie, jak zwykle, na skrzynce przy ogniu, Ham przy niej, na moim niegdyś uprzywilejowanym miejscu, i nie wiem, czy przez zalotność i zwykłą sobie, znaną mi z dni dziecięcych przekorę, czy przez skromność panienską, odsuwała się od niego i przytulała do ściany. Zauważyłem, że czyniła to przez cały wieczór.

Północ już była, gdyśmy odeszli. Na wieczerzę podano suchary i suszoną rybę. Steerforth wyciągnął z kieszeni flaszkę, którąśmy, my, mężczyźni — bez rumieńca zaliczam siebie do mężczyzn — wychylili do dna. Rozstaliśmy się wesoło. Z otwartych drzwi długo nam jeszcze na ciemną drogę padał promień światła. Spoza ramienia Hama śledziły nas błękitne Emilki oczy, a głos jej słodki ostrzegał o niebezpieczeństwach czyhających na drodze.

— Prześliczne stworzonko! — rzekł Steerforth, biorąc mnie pod ramię. — Osobliwe miejsce, osobliwi ludzie, osobliwe też robią wrażenie.

— Szczęście nam sprzyjało — powiedziałem. — Przybyć właśnie w podobną chwilę! Czyś widział kiedy ludzi podobnie szczęśliwych? Miło było brać udział w tym ich tak wielkim szczęściu.

— Pocieszny narzeczony, prawda? — zauważył.

Był tak serdeczny dla Hama, dla nich wszystkich, że mnie ta chłodna uwaga ubodła. Lecz spojrzawszy na przyjaciela mego, ujrzałem tyle uśmiechniętej wesołości w błyszczących jego oczach, że mię to rozbroiło.

— Jaki z ciebie żartowniś! — zawołałem. — Ach, Steerforcie! Nie trzeba żartować z ubogich. Próżno powtarzałbyś utarczki swe z panną Dartle lub krył się z uczuciami przede mną. Znam cię! Widziałem wśród tych tam, jak mówisz, ludzi, wiem, jak ich rozumiesz, z jakim taktem i delikatnością jesteś zdolny wnikać w uczucia prostego rybaka, rozbawić moją starą piastunkę. Wiem, że nie ma tam radości ani cierpienia, na które byś pozostał głuchy, i za to właśnie tysiąc razy więcej kocham cię i uwielbiam.

Zatrzymał się i patrząc mi prosto w oczy:

— Szczery jesteś, Davy — rzekł — szczery i poczciwy. Obyśmy wszyscy takimi byli.

Po chwili śpiewał wesoło piosenkę pana Peggotty i, idąc pomału, wracaliśmy do Yarmouth.

## ROZDZIAŁ XXII. STARE MIEJSCA, NOWI LUDZIE

Steerforth i ja zabawiliśmy dwa tygodnie w tamtej okolicy. Byliśmy prawie ciągle razem, czasem tylko rozstawaliśmy się na kilka godzin; Steerforth bowiem był zawołanym żeglarzem, ja zaś nie smakowałem zbyt w tego rodzaju rozrywkach, toteż gdy przyjaciel mój puszczał się w towarzystwie pana Peggotty na morze, pozostawałem zwykle na lądzie. Korzystanie z pokoiku u Peggotty krępowało mnie nieco. Wiedząc, jak dalece przez dzień cały jest zajęta doglądaniem chorego męża, wracałem wcześniej wieczorem, gdy Steerforth, będąc panem swego czasu, niczym się nie krępował. Dowiedziałem się też, że gdym już spał w najlepsze, on podejmował rybaków w ulubionej winiarni pana Peggotty „Pod Dobrą Chęcią” lub w rybackim odzieniu spędzał całe księżycowe noce na morzu. Wiedziałem, że jego żywa, gorąca natura potrzebuje rozrywek i niebezpieczeństw, i postępowanie jego wcale mnie nie dziwiło.

Rozstawaliśmy się i z tego jeszcze powodu, że Steerfortha nie mogły pociągać tak jak mnie wycieczki do Blunderstone. Toteż czasem żegnaliśmy się po wczesnym śniadaniu, a schodzili dopiero późno na obiad. Nie miałem pojęcia, co robił, czym się wówczas

zajmował. Wiedziałem tylko, że znany był i lubiany przez wszystkich, a posiadał dar szczególny wynajdywania rozrywek i zajęcia tam nawet, gdzie inny na jego miejscu nic by nie znalazł.

Co do mnie, przebiegając drogę do Blunderstone, przeżywałem w pamięci każdy dzień z przeszłości i to mi wypełniało myśl i serce. Przypominało mi się każde, niegdyś tu przeżyte wrażenie. Nad mogiłą pod drzewami, gdzie spoczywali moi rodzice, zamienioną przez Peggotty w kwietnik, na którą, gdy była tylko jeszcze miejscem wiecznego spoczynku mego ojca, spoglądałem z takim żalem i którąm widział<sup>229</sup> otwartą na przyjęcie zwłok mojej pięknej, kochanej matki i jej dzieciątka, długie spędzałem godziny. Leżała ona na uboczu, w rogu cmentarza. Przechodząc drogą, czytać mogłem wypisane na kamieniu nazwiska, a dzwon kościelny zdawał mi się być głosem pożegnania. W godzinach tych, myśląc o nich, myślałem zarazem o tym zawsze, jakie miejsce zajmę w życiu, jakich wielkich lub dobrych dokonam czynów. Echo kroków moich nie odbijało nut innych, tę tylko, jak gdybym, krocząc u boku żyjącej jeszcze matki, nadpowietrznie budował zamki.

Stary dom nasz zmienił się nie do poznania. Znikły bez śladu powichrzzone, przez wrony dawno opuszczone gniazda, a drzewa strzyżone i ścinane utraciły dawny kształt. Ogród zdziczał, połowa okien była zabita. Dom zamieszkały został przez jakiegoś chorego umysłowo dżentelmena i tych, co go doglądali. Chory przesiadywał zwykle w oknie mego niegdyś pokoiku i spoglądał na cmentarz. Ciekawy byłem, czy też jego myśli kreślą te same obrazy, co moje, gdy wczesnym rankiem, w nocnej koszulce wyglądałem tym okienkiem, witając pasące się o wschodzie słońca trzody.

Dawni nasi sąsiedzi, państwo Grayper, wyjechali do Południowej Ameryki, a przez podziurawiony dach ich domu deszcz padał jak przez rzeszoto<sup>230</sup>. Pan Chillip ożenił się powtórnie z wysoką, sucherlawą<sup>231</sup>, długonosą damą i mieli dziecko blade, z ogromną głową, szeroko rozwartymi porcelanowymi oczyma, które zdawały się być wieczyście zdziwione własnym swym przyjściem na świat.

Z dziwną mieszaniną smutku i przyjemności błąkałem się po miejscach mych rodzinnych i tylko czerwono zachodzące zimowe słońce przypominało mi o powrocie. Siedząc ze Steerforthem za stołem przed wielkim ogniem, lubiłem myśleć o tych moich wycieczkach. Tegoż samego wrażenia doznawałem, chociaż w słabszym stopniu, w moim małym pokoiku, pod dachem Peggotty, a przewracając karty książki z krokodylami — leżała zawsze na małym stolczku — z wdzięcznym rozmyślałem sercem, jak dalece szczęśliwy byłem, posiadając takich przyjaciół, jak Steerforth i Peggotty, i zastępczynię tych, com utracił, w osobie wspaniałomyślnej i dobrej mej ciotki.

W czasie powrotu z tych długich przechadzek najbliższa droga wiodła mnie przez bród, pomiędzy miastem a morzem, w pobliżu mieszkania pana Peggotty. Zachodziłem też tam zwykle i zwykle zastawałem Steerfortha. Wracaliśmy już potem razem w chłodne noce, kierując się drzącymi w mieście światełkami.

Pewnego wieczoru, kiedy wracałem później niż zwykle — gdyż była to moja pożegnana wycieczka do Blunderstone, mieliśmy wkrótce opuścić Yarmouth — zastałem go samotnym w domu rybaka. Siedział przed ogniem tak zamyślony, że nawet nie zauważył mego wejścia. Stałem tuż przy nim i patrzyłem nań długo. Ze spuszczoną brwią, gubił się w myślach, a gdym położył rękę na jego ramieniu, drgnął tak gwałtownie, że mnie prawie odepchnął.

— Zjawileś się znieacka — mruknął gniewliwie — jak wyrzut sumienia.

— Musiałem cię przecie zbudzić z zamyślenia — odrzekłem. — W jakież inny sposób mógłbym ściągnąć cię z gwiazd na ziemię?

— Z gwiazd!

— Więc skąd? — pytałem, siadając przy nim.

— Patrzyłem w ogień — odrzekł.

— Nie psujże mi tego widoku — zauważyłem, gdyż kawałkiem drzewa poruszył gwałtownie ogień na kominku, uderzając w płonącą kłodę, od której iskry uleciały w górę.

<sup>229</sup> *którąm widział* — inaczej: którą widziałem (przykład konstrukcji z ruchomą końcówką czasownika). [przypis edytorski]

<sup>230</sup> *rzeszoto* — sito z dużymi otworami. [przypis edytorski]

<sup>231</sup> *sucherlawy* — dziś raczej: chuderlawy. [przypis edytorski]

— Nie dojrzałyś tam nic — rzekł. — Nie lubię szarej godziny, ani to dzień, ani to noc! Wracasz tak późno! Gdzieżeś był?

— Żegnałem miłe mi miejsca — odrzekłem.

— Ja zaś tu siedziałem — mówił, rozglądając się dokoła — i rozmyślałem nad tym, że ci ludzie tak szczęśliwi i weseli w wieczór naszego przybycia, mogą, po tej tutaj pustce sądząc, rozproszyć się, i umrzeć, ulec jakiej bądź niedoli. Dawidzie! Czemu mnie Bóg pozbawił ojca przez te ostatnie dwadzieścia lat!

— Kochany przyjacielu, co ci?

— Z całego serca życzyłbym sobie energicznego, dobrego kierownictwa — zawołał. — Gdybym sam sobą umiał lepiej kierować!

Przybity był, niepodobny do siebie, uderzyło to mnie.

— Wołałbym — mówił, wstając i opierając się o komin, z twarzą pochyloną nad ogniem — wołałbym być tym biednym Peggotty lub tym cymbałem, jego bratankiem, niż sobą, tysiąc razy bogatszym i potężniejszym, i nie cierpieć tak, jakem w tej piekielnej łodzi cierpia<sup>232</sup> w ostatniej tej godzinie.

Tak byłem zdziwiony tą nagłą w nim zmianą, że patrzyłem nań tylko, milcząc. Stał z głową wspartą na rękę, ponury, zapatrzony w ogień. Zacząłem prosić, aby mi się zwierzył, powiedział, co go tak zasmuciło lub dotknęło. Jeśli nie radę, to z pewnością znajdzie we mnie gotowe, żywe współczucie. Nie skończyłem jeszcze mówić, gdy się już śmiał, z przymusem zrazu, potem jak zwykle wesoło i swobodnie.

— Nic, nic mi już nie jest, Davy! Wszak ci już mówiłem w Londynie, że sam sobie nie umiem dotrzymać towarzystwa. Obsiadły mnie jakieś mary, oto wszystko. Ta szara godzina! Godzina duchów i bajek opowiadanych przez piastunki! Wrażenie ich sięga daleko, poza granice męskiego wieku. Zdawało mi się po prostu, że jestem „złym i niegrzecznym chłopczykiem” z bajki, który „nic sobie z niczego nie robił” i wpadł w łwią paszczę czy coś podobnego. To, co stare baby nazywają strachem, porywało mnie za włosy i... przeląknęło się.

— Tylko tego — zawołałem.

— Tęgo tylko... to dosyć! Ale minęło to już, nie czuję się w garści stracha, tylko, raz ci jeszcze powtórzę, Dawidzie, żałuję, że nie zostaję pod kierunkiem uczciwego, surowego ojca.

Na wyrazistej jego twarzy nigdy przedtem nie widziałem takiego smutku, jak wtedy gdy, pochylony nad ogniem, wymówił te słowa:

— Oto! — rzekł, wyciągając ręce, jak gdyby coś odpychał — „Zwodnicza maro, precz! Ha! Znikłaś przecie! Teraz znów jestem mężem”, jak mówi Makbet<sup>233</sup>. A teraz na obiad, Davy!

— Gdzież się oni wszyscy podzieli? — spytałem, rozglądając się po pustym domu.

— Bóg to raczy wiedzieć! Nie znalazłszy cię na przewozie, wszedłem tu, a że nie było nikogo, wpadłem w zamyślenie, z któregoś mnie zbudził.

Wejście pani Gummidge z koszem wyjaśniło, czemu dom pusty był przez dwie godziny. Wyszła za sprawunkami przed wieczornym powrotem pana Peggotty, pozostawiając drzwi otwarte na wypadek nadejścia Hama lub Emilki. Steerforth, rozweseliwszy wdowę żartobliwym uściskiem i konceptem, wziął mnie pod ramię i wywiódł.

I jego usposobienie, tak jak wdowy, zmieniło się korzystnie, wesół był teraz i rozmowny.

— Jutro zatem — mówił — opuszczamy te miejsca, zamykamy to cygańskie życie.

— Tak umówiliśmy się — odrzekłem. — Miejsca w dyliżansie zamówione.

<sup>232</sup>jakem (...) cierpiał — inaczej: jak cierpiałem (przykład konstrukcji z ruchomą końcówką czasownika). [przypis edytorski]

<sup>233</sup>„Zwodnicza maro, precz! Ha! Znikłaś przecie! Teraz znów jestem mężem”, jak mówi Makbet — William Shakespeare *Makbet*, akt III, scena 4; słowa Makbeta wobec ducha zamordowanego na jego zlecenie Banka, który ukazał mu się podczas uczty (w tłum. Leona Ulricha: „Precz, wietrzne złudzenie! Tak! Ledwo zniknął, mężem znowu jestem”, por. <https://wolnelektury.pl/katalog/lektura/makbet.html#f1360>). [przypis edytorski]

— Nie ma tedy<sup>234</sup> rady! — zaśmiał się. — Zapomniałem był<sup>235</sup> prawie, że jest świat poza tym kątem i że całego życia spędzić nie można tu na wiosłowaniu. Szkoda! Bawiło to mnie.

— Jak nowość — uśmiechnąłem się.

— Zapewne, chociaż uwaga ta brzmi nieco sarkastycznie w usteczkach mego słodkiego przyjaciela! Ano, prawda! Zmienny jestem i kapryśny, wiem to, lecz cóż chcesz, za to umiem i lubię kuć żelazo, póki gorące. Mógłbym stanąć do konkursu jako pilot tych brzegów, już teraz.

— Zdziwiasz samego nawet pana Peggotty.

— Ma mnie za wilka morskiego, co? — zaśmiał się wesoło.

— Za zjawisko fenomenalne w każdym razie — odrzekłem. — Podziwia energię twą, zapał, wytrwałość w osiągnięciu upatrzonego celu. Co do mnie, dziwię się najbardziej temu, że nie cieszysz się z tego, iż potrafisz tak stosownie wykorzystywać swoje zdolności.

— Cieszyć się! Dobry jesteś — odrzekł wesoło — nie wiesz, że mnie nic zadowolić nie może, oprócz chyba twej, Davy, szczerości i świeżości. Co do stosowności, to nie posiadam jednak sztuki zaprzęgnięcia się do jednego z tych kół, które tegoczesne Iksiony<sup>236</sup> obracają nieustannie. Braknie mi na to systematycznych przyzwyczajęń czy czego innego może, mniejsza z tym. Wiesz, kupiłem tu sobie łódź.

— Jakiś ty dziwny! — zawołałem zdziwiony tą wieścią. — Przecież tu już nie wrócisz.

— To nie wiadomo — odrzekł — miejsca te podobają mi się. Bądź co bądź i na wszelki wypadek kupiłem łódź, clipper<sup>237</sup>, jak ją nazywa pan Peggotty. On będzie jej kapitanem w czasie mej nieobecności.

— Teraz rozumiem — zawołałem uszczęśliwiony — kupiłeś niby dla siebie, w rzeczywistości zaś, aby pan Peggotty ciągnął z niego korzyści. Znając cię, powinienem był domyślić się<sup>238</sup> tego od razu! Dobry, kochany, hojny Steerforcie!

Zaczerwienił się.

— Nie ma o czym mówić — mruknął.

— A czy nie mówiłem — ciągnąłem rozentuzjasmowany — czy nie mówiłem, że żadna boleść, żadna radość tych skromnych, prostych, ubogich ludzi nie jest ci obojętna.

— Mówiłeś! Mówiłeś! Raz już wreszcie przestań!

Bojąc się rozgniewać go, przestałem, rozmyślając dalej w sercu o przymiotach mego przyjaciela. Szliśmy powoli ku miastu.

— Trzeba ją na nowo pomalować — mówił — zostawię tu Littimera, żeby się tym zajął. Czy ci mówiłem, że Littimer przyjechał?

— Nie.

— Tak! Przyjechał właśnie dziś rano, z listem od mojej matki.

Zauważyłem, że, mówiąc to, był błydy i chociaż mi patrzył spokojnie w oczy, przeląknąłem się, czy czasem nie zaszło jakie nieporozumienie pomiędzy nim a panią Steerforth, które wprawilo go w taki nastrój, w jakim go zastałem w chacie Peggotty. Nadmienilem coś o tym.

— O nie! — rzekł, potrząsając głową i uśmiechając się z lekka. — Wcale nie! Tak, przyjechał Littimer!

— Taki jak zawsze? — spytałem.

<sup>234</sup>tedy (daw.) — zatem. [przypis edytorski]

<sup>235</sup>zapomniałem był — forma czasu zaprziesłego dla czynności wielokrotnej, ponawianej; inaczej: zapomniałem wcześniej (dawniej, uprzednio). [przypis edytorski]

<sup>236</sup>Iksion (mit. gr.) — król Lapidów w Tesalii, strącony do Tartaru i wpleciony w wieczne obracające się koło ogniste (względnie: koło obracające się między niebem a ziemią, odmierzające czas); winę Iksjona można określić jako sprzeniewierzenie się swemu dobroczyńcy, a także prawom wzajemności oraz instytucjom gościnności i małżeństwa. Iksjon poślubił Diję, ale nie chciał zapłacić za nią wiana, więc zabił swego teścia Dejoneusa; oczyszczony przez samego Zeusa z winy zabójstwa krewnego i dopuszczony do biesiad z bogami, okazał niewdzięczność i nieumiarkowanie, targnąwszy się na cześć Hery. Zeus sprawił jednak, że uległ zhudzeniu i połączył się z chmurą, Nefele, która przybrała postać Hery, a z tego związku zrodził się pierwszy Centaur; następnie niepoprawny niegodziwiec został przykładowo ukarany; *koło Iksjona*, tj. niekończące się męczarnie. [przypis edytorski]

<sup>237</sup>clipper — kliper; smukły, bardzo szybki żaglowiec z ozagłowaniem typu fregata; z pot. ang. *clip*: szybkość (*speed*). [przypis edytorski]

<sup>238</sup>powinienem był domyślić się — forma czasu zaprziesłego dla czynności wielokrotnej, ponawianej; inaczej: powinienem domyślić się tego wcześniej. [przypis edytorski]

— Jak zawsze, sztywny i chłodny jak sam biegun północny. Łódź trzeba przechrzcic. Obecnie nazywa się „Ptak Burzy”. Pfe! To mi imię! Przechrzcimy łódź naszą.

— Jak?

— „Mała Emilka”!

Patrzył mi spokojnie w oczy. To nowe jego ustępstwo na korzyść starych moich przyjaciół rozczulało mnie nad wyraz. Musiał to zauważyć, gdyż uśmiechnął się, powracała mu znów zwykła swoboda i humor.

— Ale otóż i ona wraca, we własnej osobie! — zawołał. — A trop w trop za nią nieodstępny Ham! Na honor! Rycerski!

Ham był teraz budowniczym łodzi, gdyż wyuczył się tego rzemiosła i nabrał w nim pewnej wprawy. Odziany w bluzę robotnika, nie wyglądał wykwintnie, ale poczciwie i budził zaufanie jako opiekun stąpającej u jego boku istoty. Na otwartej, uczciwej jego twarzy malowało się zadowolenie, duma i miłość i to go upiększało w moich oczach. Patrząc na zbliżających się, myślałem, że są wcale dobraną parą.

Gdyśmy się zatrzymali, aby ich powitać, Emilka podała nieśmiało z kolei mnie i przyjacielowi memu rączkę wysuniętą spod ramienia swego towarzysza, a gdyśmy odeszli, zauważyłem, że nie ujęła go znów pod ramię, tylko szła sama, zmieszana jakaś, nieśmiała. Wszystko to podobało mi się nieskończenie. Przyjaciel mój zdawał się podzielać moje zdanie. Długo patrzyliśmy za nimi, aż nam znikli w słabym świetle nowiu.

Nagle minęła nas, doganiając ich widocznie, młoda kobieta, której z początku nie zauważyliśmy. Twarz jej uderzyła mnie niejasnym jakimś wspomnieniem. Suknie jej były lekkie, wygląd wyzywający, ale wynędzniały i ubogi. Zdawało się, że o nic i o nikogo nie dba i tylko pędzi za tym dwojgiem. W oddali, pomiędzy ciemnym niebem a pustym wybrzeżem postać ta zniknęła nam z oczu.

— Co to za ciemny cień podąża za tym młodym dziewczęciem — mruknął, wciąż jeszcze stojąc, Steerforth. — Co to ma znaczyć?!

Przyciszony głos jego wydał mi się obcy niemal.

— Chce zapewne prosić o jałmużnę — rzekłem.

— Żebraczka nie jest wprawdzie zjawiskiem nowym, lecz dziwne, że o tej porze i dziesięjszej nocy wcieliła się w tę właśnie postać.

— Czemu?

— Ha, może dlatego, że mi się właśnie coś podobnego marzyło. Skąd się, do diabła, wzięła ta mara?

— Spod tego oto węgla — rzekłem, wchodząc w ulicę obrzeżoną długim murem.

— Znikła! — rzekł, oglądając się raz jeszcze, Steerforth. — Oby tak wszystko zle przepadło! A teraz na obiad!

Obejrzał się jednak jeszcze raz jeden i drugi i przez resztę drogi był zamyślony. Dopiero gdyśmy zasiedli za stołem pod jarzącym światłem zapalonego kandelabru<sup>239</sup>, wróciła mu zwykła swoboda humoru.

Zastaliśmy Littimera; oddziaływał na mnie tak jak zawsze. Na pytanie moje, jak się mają pani Steerforth i panna Dartle, odpowiedział mi z uszanowaniem (naturalnie, że i z godnością), że są zdrowe i pozdrawiają mnie. Tyle tylko! Lecz w samym jego głosie dźwięczało: „młody jesteś, bardzo jeszcze młody, niedoświadczony, niedopieczony”.

Przy końcu obiadu przystąpił bliżej, wysuwając się spoza krzesła swego pana, skąd zdawał się pilnować nas, czyli mnie raczej.

— Za pozwoleniem pańskim — rzekł — panna Mowcher przybyła.

— Kto taki? — zawołał zdumiony Steerforth.

— Panna Mowcher, za pozwoleniem.

— Co ją tu, do diabła, przynieść mogło?

— Jest to, za pozwoleniem pańskim, jak mi objaśniła, rodzinne jej miejsce i z zawodu swego zjeżdżać tu musi raz na rok. Spotkałem ją właśnie po południu na ulicy i pytała mnie, czy może mieć zaszczyt widzenia pana po obiedzie.

— Znasz tę olbrzymkę, Davy? — spytał mnie Steerforth.

Ze wstydem — i w tym Littimer miał nade mną przewagę — wyznać musiałem, że nie miałem najłżejszego wyobrażenia o osobie panny Mowcher.

<sup>239</sup>kandelabr — duży, stojący, kilkuramienny świecznik. [przypis edytorski]

— No, zobaczysz zatem ósmy cud świata! Littimer, wprowadzisz tu pannę Mowcher, gdy się zjawi.

Zaciekawiony byłem, tym bardziej że wszelkie pytania moje Steerforth zbywał wybuchami szalonego śmiechu. Nie było rady. Musiałem pozostać w nieświadomości i oczekiwaniu, dopóki nie zdjęto obrusa i nie postawiono na stole wina. Wówczas dopiero drzwi się rozwarły i Littimer, ze zwykłą sobie powagą, zaanonsował:

— Panna Mowcher!

Spojrzałem na drzwi i nic nie dostrzegłem. Spojrzałem raz jeszcze, sądząc, że się wreszcie ukaże zapowiedziane zjawisko, wtem spoza kanapy stojącej przede mną wyszła karliczka, malutka, okrągłutka, dychawiczna, z ogromną głową i twarzą, figlarnymi szarymi oczyma i tak króciutkimi mikroskopijnymi rękami, że nie mogła chyba dosięgnąć własnego nosa. Pomiedzy brodą jej i podbródkiem ginęła wstążka kapelusza. Poza tym ani biustu, ani talii, ani bioder, jeden klocek zakończony zapewne parą nóg, ale tak krótkich i mikroskopijnych, że stanąwszy przy stole nie dosięgała go brodą, a torbę, którą przyniosła ze sobą, postawiła na krześle. Dama ta, odziana swobodnie, lecz elegancko, z trudnością dosięgająca nosa wskazującym palcem, z przechyloną głową i przymkniętym okiem, wyglądała nader pociesznie. Dojrawszy Steerforth, wybuchła potokiem słów.

— Kwiatku mój! — wołała, mrugając na mego przyjaciela. — Jakim sposobem tu się znalazłeś? O, niedobry, niegodziwy chłopcze! Zawsze poza domem! Na jakiejś ręczę, swawoli! W czepku się urodziłeś, tak jak i ja! Cha, cha, cha! Mógłbyś iść o zakład, sto przeciw pięciu, że mnie tu nie spotkasz. Co? Prawda? A ja tymczasem wyrastam jak z ziemi, i tu, i tam, wszędzie i nigdzie! Jak zaczarowane półkorony w chustce sztukmistrza! Mówiąc o chustkach do nosa i o paniach: jakąż pociechą jesteś, drogi chłopcze, dla twojej szczęśliwej matki.

Mówiąc to, rozwiązała kapelusz, odrzuciła w tył wstążki i usiadła, dysząc na podnóżku przed ogniem, szukając osłony w mahoniowym stole, rzucającym cień na jej głowę.

— O, gwiazdy wy moje! — zawołała, opierając ręce o kolana i przypatrując mi się bystro. — Znadto tęga jestem, panie Steerforcie! Fakt to. Po tych schodach oddechu też złapać nie mogę, wyglądam jak pęcherz wypełniony wodą, lecz przyznaj, że w oknie drugiego piętra wziąłbyś mnie za wcale przystojną kobiecinę.

— Zawsze i wszędzie to przyznaję — upewniał Steerforth.

— Gadaj zdrów! — zawołała, machając na niego chusteczką do nosa, którą wycierała spoconą twarz. — Gadaj zdrów! Na honor, byłam w zeszłym tygodniu u lady Mithers. To mi kobieta! A ubrana! I samego Mithersa widziałam. To mi mężczyzna! A odziany! W peruce, jak Boga kocham, w peruce! Tak się do mnie podsiadał, że już chciałam zadzwonić. Przyjemny, bardzo przyjemny mężczyzna, tylko bez zasad, rozpustnik.

— Co też tam pani robiła? — spytał Steerforth.

— Aha! — rzekła, podnosząc znów rękę do oczu i rozszerzając powieki na znak porozumienia. — Aha! Ciekaw jesteś, czy jej dawałam receptę od wypadania włosów, czy na farbowanie, na bielidło, czy na brwi czernienie. Aha! A czy wiesz czasem, jak się mój dziad nazywał?

— Nie wiem.

— Walker, kotku, Walker! Ostatni z Walkerów, toteż odziedziczyłam po nim całe państwo kruczków.

Nigdy nie zdarzyło mi się spotkać nic podobnego do tej karlicy. Dziwiła mnie, wprawiała w zdumienie. Miała właściwy sobie sposób mówienia i słuchania, dopominania się odpowiedzi na to, co sama mówiła, przechylania głowy i przymrużania oczu. Napatrzeć się na nią nie mogłem, w zdumieniu zapominając o grzeczności.

Tymczasem przysunęła do siebie krzesło, na które wchodząc, położyła przyniesioną torbę, i zajęła się wydostawaniem z niej (podnosząc krótkie swe rączki) nieskończonej ilości fiaszek, gałek, grzebyczków, szczoteczek, kawałków flaneli, szczypczyków i nożyków, jako też innych tym podobnych narzędzi, które rozkładała na krześle.

— Kto to ten młody przyjaciel? — spytała Steerforth.

— Pan Copperfield. Życzyłby poznać panią.

— Spodziewam się — rzekła, wstając z pudelkiem w rękę i zbliżając się do mnie z uśmiechem. — Świeży jak malina.



Mówiąc to, wspięła się na końce palców, usiłując uszczypnąć mnie w twarz.  
— Istna pokusa! Lubię maliny i brzoskwinie. Miło mi poznać pana, panie Copperfield.

Odpowiedziałem jej, że to ja jestem zachwycony tak miłą niespodzianką.

— A, jaki uprzejmy kawaler! — zawołała, próbując zasłonić ręką twarz. Dziwnie zabawnie wyglądała jej mikroskopijna rączka przy szerokiej, wielkiej twarzy.

— Jakiż ten świat pełen obłudy i kłamstwa, nieprawdaż?

— Co pani przez to rozumie, panno Mowcher? — spytał Steerforth.

— Cha, cha, cha! Wyborne dzieci! Miłe dzieci! — zawołała karliczka, przechylając się, mrużąc oko i szukając czegoś w pudełku. — Ułamek książęcego paznokcia. Patrzcie! Nazywam go księciem A, B, C, bo boję się przekręcić nazwisko, w którym jak groch z kapustą znajdziecie zmieszane wszystkie litery alfabetu.

— Rosyjski książę jest klientem pani!?

— Upewnić cię mogę, kotku. Dwa razy na tydzień strzygę mu na rękach i nogach paznokcie.

— Hojnie płaci?

— Jak mówi! Przez nos. Nie dopuściłby do siebie golibrody. A! Gdybyście widzieli jego wąsy! Rude z przyrodzenia, a jakie czarne pod działaniem sztuki.

— I rączek pani, panno Mowcher.

Skłoniła głowę.

— Nie ma rady, musiał się do mnie uciec. Zwykły szuwaks dobry był tam w Rosji, ale nie tu. Takiego zardzewiałego księcia nie widzieliście jeszcze nigdy. Stara szpada.

— Ale dlaczego nazwała go pani błaznem? — zaśmiał się Steerforth.

— Aj chłopcy! Wy chłopcy! — mówiła, żywo potrząsając głową. — Wszyscyście błazny! Klnę się na ten oto ułamek książęcego paznokcia! A wiele mi ten paznokieć drzwi otwiera! Oho! Więcej niż moja sztuka. Noszę się też z nim jak kot z sadłem. Najlepszy to list rekomendacyjny. Panna Mowcher musi przecie być biegłą, jeśli księciu obcina paznokcie! Pokazuję wszystkim młodym paniom i paniętom, udzielam po kawaleczku, tak jak osobliwość, do albumów i prywatnych zbiorów. Cha, cha, cha! Na honor! Cały „społeczny system”, jak tam mawiają w Parlamencie, jest systemem książęcego paznokcia — skończyła, kiwając głową i usiłując skrzyżować na piersiach krótkie ramiona.

Steerforth śmiał się serdecznie, ja także. Panna Mowcher kiwała głową, mrużyła oko, mrugała.

— Tak to, tak — mówiła, pocierając kolana i wstając. — Ale nie w tym rzecz. Zbadamy strefę podbiegunową i skończymy z tym.

Wybrała parę drobnych narzędzi, flaszeczkę jakąś i (ku wielkiemu memu zdziwieniu) spytała, czy stół utrzyma.

Na twierdzącą odpowiedź Steerfortha przystawiła krzesło i z moją pomocą znalazła się wkrótce na stole niby na estradzie.

— Jeśli który z was dostrzeże końce moich bucików — rzekła — niech powie, a wróciwszy do domu, otruję się.

— Nic nie widzę — upewnił Steerforth.

— Ani ja — dodałem.

— Oddycham! A teraz cip, cip, cip! Chodźcie, niech was oskubię.

Odnosiło się to do Steerfortha. Posłuszny wezwaniu usiadł plecami do stołu, twarzą do mnie, powierając jej mikroskopijnym rączkom swą głowę i włosy. Zabawnie wyglądał tak w ręku karliczki stojącej nad nim na stole i przyglądającej się obfitym zwojom jego ciemnych włosów za pomocą szkła powiększającego, które wydobyla z kieszeni.

— Piękny z ciebie chłopak — zdecydowała po dokonaniu uważnego przeglądu jego czupryny — beze mnie jednak byłbyś w niespełna dwanaście miesięcy łysy jak kolano. Chwilkę, kochanku! Wzmocnię ci czuprynę na jaki lat dziesiątek.

Mówiąc to, moczyła strzępki flaneli w zawartości flaszeczki, z drugiej nalewała coś na szczotkę i na przemian to nacierała, to szczotkowała głowę Steerfortha, mieląc ciągle językiem.

— A ten Charley Peygrave, syn księcia! Znasz go pewnie? — pytała, zwracając ku sobie twarz mego przyjaciela.

— Tak, trochę.

— To mi mężczyzna! Co za wąsy! Co do nóg zaś, to nikt nie może z nim rywalizować. Próbował obejść się beze mnie... Gdy służył w gwardii... wiesz?

— Szalony!

— Tak mi coś wygląda. Próbował. Otóż udał się do perfumerii po flakon balsamu z Madagaskaru.

— On, Charley?

— On sam. Naturalnie, nie posiadali tam balsamu z Madagaskaru.

— Smaczne to? — pytał Steerforth.

— Smaczne! Wstydz się, żarłoku! — zawołała, klepiąc go po twarzy. — To na wąsy. W sklepie była kobieta, niemłoda. Jako żywo nie słyszała o niczym podobnym. „Z przeproszeniem pana, mówi, czy to róż?” „Róż, na co mi róż?”, woła Charley. „Z przeproszeniem, bez obrazy, tak różnymi nazwami obdarzają te przedmioty kupujący, żem przypuszczała...”. A teraz, kotku — ciągnęła, szcztokując z zapalem włosy Steerfortha — mnie samej zdarza się czasem, mniej więcej... przepraszam, kochanku, to przez nieuwagę.

— Co takiego? Z różem?

— Zmieszać jedno z drugim — odrzekła, dotykając palcem nosa. — Poznanie wszelkich tajemnic prowadzi do pożądaných rezultatów. I u mnie różne bywają nazwy. Pewna wdowa nazywa róż maścią do ust, inna rękawiczkami, inna krochmałem do kołnierzyka, inna jeszcze wachlarzem, a ja na wszystko zgadzam się i służę każdej tym, czego potrzebuje, niby nic, niby ani się domyślając, o co idzie. Wierzą. Zdaje się im, że mają głupią przed sobą, a czasem pytają nawet: „Jak wyglądam? Czy nie jestem za blada?”. Pocięcha, mówię wam, pocięcha!

Nie zapomnę nigdy karlicy, stojącej na stole, śmiejącej się, szcztokującej kędziory Steerfortha i mrugającej na mnie.

— Ale — rzekła — tutaj na takie rzeczy nie ma wielkiego popytu, toteż ruszam w drogę. Zresztą odkąd tu jestem, nie widziałam pięknej kobiety.

— Czy być może?

— Upewniam. Ani nawet, doprawdy, cienia pięknej kobiety.

— Ha! Może my, Davy, moglibyśmy pokazać jedną z ciała i kości. Jak sądzisz, Davy? — mrugnął na mnie.

— Oczywiście — odrzekłem.

— Aha! — zawołała karlica, patrząc na mnie, a potem zwracając znów ku sobie mikroskopijnymi swymi dłońmi twarz Steerfortha. Nie doczekawszy się odpowiedzi, szcztokowała z uprzednim animuszem głowę mego przyjaciela, mrużąc jedno oko, a drugim strzelając w sufit.

— Pańska siostra, panie Copperfield? Co? — spytała po chwili.

— Nie, bynajmniej — uprzedził mnie Steerfort. — Owszem, pan Copperfield był, jeśli się nie mylę, pierwszym jej wielbicielem.

— Był i już nie jest? Co za wietrznik! Patrzcie! Lubi obrywać kwiatki! Co? Na imię jej Polly, co? — zawołała, zwracając się do mnie tak nagle i z tak przenikliwym spojrzeniem, żem się zmieszał.

— Nie, nie Polly — odrzekłem. — Na imię jej Emilia.

— Aha! — zawołała, nie spuszczając ze mnie oka. — Jaka ze mnie grzechotka, jaka trzpiotka!

W głosie jej i spojrzeniu było coś, co mnie raziło nieprzyjemnie, odezwałem się zatem z powagą, której dotąd żaden z nas nie przybierał.

— Równie cnotliwa jak piękna, zresztą, zaręczona z najpocziwszym pod słońcem, z tej samej co ona sfery człowiekiem. Szanuję o tyle jej rozsądek, o ile uwielbiam wdzięki.

— Wybornie! — zawołał Steerforth. — Ho, ho! A teraz ja uzupełnię udzielone panie Mowcher wiadomości, nie pozostawiając nic niepewnym domysłem; osoba, o której mówimy, jest z zawodu szwaczką, pracuje u „Omer i Joram”, krawca, tapicera i tak dalej, w tym oto sławetnym mieście. Proszę uważać: „Omer i Joram”! Zaręczona ze swym stryjecznym czy wujecznym bratem. Narzeczonemu na imię Ham, Peggotty na nazwisko, zawód: budowniczy barek i łodzi, w tym też oto sławetnym grodzie. Mieszka przy wuju, nieznanym mi z imienia, nazwiskiem Peggotty, żeglarzu i rybaku z zawodu, też tu, w sławetnym tym grodzie. Najpiękniejsza to i uroku pełna istotka! Na równi z moim tu obecnym przyjacielem zachwygam się nią niezmiernie i gdybym się nie bał narazić temu

oto memu przyjacielowi, mającemu odmienną opinię, powiedziałbym, że zdaniem moim narzeczony nie jest wart narzeczonej, szkoda jej dla niego, mogłaby zrobić świetniejszą karierę, urodziła się bowiem na damę.

Panna Mowcher uważnie słuchała słów tych mówionych pomału, z naciskiem. Słuchając, głowę miała przechyloną i oko przymknięte. Gdy skończył, wybuchła nowym potokiem słów:

— A, tak! To i wszystko! — wołała, obcinając mu bokobrody z niesłychaną zręcznością. — Dobrze! Bardzo dobrze! Cała historia z niezbędnym zakończeniem: „pobrali się i żyli długie lata”. Ślicznie. Zachwycam się E., bo jest ładna, lecz gniewam się na E., bo zaręczona. Ślicznie! Znam ją już najzupełniej: piękna, na imię jej Emilia, tu mieszka, czy tak? Cha, cha, cha! Panie Copperfield! Jaka ze mnie trzpiotka!

I patrząc na mnie wesoło i przebiegle, ciągnęła dalej:

— No, masz talent, masz talent nie lada, Steerforcie! Mowa twoja obchodzi się bez przecinków i kropek, zrozumiałam cię, kotku, czy słyszysz, zrozumiałam! A teraz z Bogiem, kochanku. Kolej na pana Copperfielda.

— Cóż, Davy — pytał Steerforth, wstając — chcesz być upiększony?

— Dziękuję pani, nie dzisiaj — odrzekłem.

— Nie wymawiaj się, kotku — upewniała, przypatrując mi się z miną znawczyni — wyraźniejsze brwi nie zaszkodzą.

— Dziękuję pani — powtórzyłem — innym razem.

— Tylko chwilkę — nalegała — wystarczy na całe dwa tygodnie.

— Nie, dziękuję pani, nie teraz.

— No! Tak troszeczkę, co? Nie? Złazę z rusztowania. Chyba ten wąsik... co?

Zarumieniłem się. Była to bowiem słaba moja strona. Panna Mowcher przekonawszy się, że nie byłem w usposobieniu i że mnie nie skusi fłaszczką, którą podnosiła, przypatrując się dla większej zapewne zachęty jej zawartości, zgodziła się odroczyć usługi swe i prosiła o zdjęcie jej ze stołu. Z naszą pomocą znalazła się wkrótce na podłodze i żywo zaczęła wiązać pod brodą wstążki od kapelusza.

— A honorarium? — spytał Steerforth.

— Pięć kłapsaczy. Co? Psie pieniądze, prawda, kotki wy moje! — zawołała. — Jaka ze mnie trzpiotka, panie Copperfield?

Protestowałem, gdyż tak grzeczność nakazywała, w duszy przyznając jej najzupełniejszą rację. Porwała podane sobie dwie półkorony, na kształt chochlika zadzwoniła nimi w głębi kieszeni.

— To skarbonka — zawołała, zbierając swoje pieniądze. — Czy wszystkie są graty? Zdaje się, że wszystkie. Nie chcę być podobna do tego oblubieńca, co jadąc do ślubu, zapomniał tylko oblubienicy. Cha, cha, cha! Głupiec, ale zabawny! A teraz „przyszła rozstania pora!”<sup>240</sup>, nie płaczcie, kotki wy moje, przeniesiecie mężnie cios tak okrutny. Żegnam pana, panie Copperfield! Strzeż się, strzeż, młodzieńcze! Ależ terkotka ze mnie! Wasza to wina, bezecniki! No, przebaczam wam i żegnam: do widzenia! Do widzenia!

Mówiąc tak, z torbą zawieszoną na ramieniu, pobrząkując nią, potoczyła się na krótkich i zapewne jak u kaczkii wykrzywionych nóżkach ku drzwiom. Na progu zatrzymała się jeszcze, pytając, czy ma zostawić nam na pamiątkę pukiel włosów. „Trzpiotka ze mnie”, dodała znikając i pogroziła nam na pożegnanie swą mikroskopijną rączką.

Po wyjściu jej Steerforth wybuchnął głośnym i tak szczerym śmiechem, że mu równie szczerze wtórował, chociaż sam nie śmiałyby się może. Naśmiawszy się do woli, mówił mi, że panna Mowcher ma rozległe stosunki i przeróżne oddaje ludziom usługi. Wielu widzi w niej z pewnością tylko dziwoląga i potwora, lecz ona sprytna jest, roztropna, czynna. Mówił mi, że wszystko, co opowiadała, prawdą jest, że jej wszędzie pełno, w Londynie i na prowincji, że rozległą ma klientelę i możliwych znajomych. Spytałem go o jej usposobienie i charakter, czy złośliwa tylko jest, czy też zdolna pokochać to, co jest dobre i szlachetne. Nie otrzymawszy odpowiedzi i widząc, że jest roztargniony, zaniechałem dalszych w tej sprawie pytań. Natomiast Steerforth opowiadał mi wiele o jej zręczności, zawodzie, korzyściach. Miała sławę doskonałej fryzjerki.

<sup>240</sup>przenieść — dziś raczej: znieść. [przypis edytorski]

Przez cały chyba wieczór była tematem naszej rozmowy i nawet rozchodząc się na noc, Steerforth cytował jeszcze jakieś jej koncepty.

Wracając do domu, zdziwiony byłem, zastawszy przede drzwiami Hama, który oznajmił mi, że Emilka jest wewnątrz. Spytałem go, dlaczego i on nie wszedł.

— Bo — rzekł zmieszany — Emilka ma tam z kimś coś do pomówienia.

— Tym bardziej — zauważyłem — powinien byś znajdować się wówczas z nią razem.

— Tak, niby to tak na ogół — odrzekł, głos zniżając i z niezwykłą powagą. — Ale tym razem... idzie o młodą kobietę, którą Emilka знаła dawniej... a nie powinna znać już teraz.

Słowa te rzuciły nagle światło na postać dojrzaną na ulicy przed kilkoma godzinami.

— Nieszczęsna to istota — ciągnął Ham. — Ciągłe wólczy się po mieście, a ludzie stronią od niej jak od zarazy.

— Zdaje mi się, że ją dziś wieczorem spotkałem, tam, na wybrzeżu.

— Doganiała nas, prawda. Nie zbliżyła się wówczas i tylko potem, kiedyśmy zapalili światło w domu, posłyszałem, jak ktoś pod oknem Emilki jęczy: „Emilko! Emilko! Na rany Chrystusa! Zmiłuj się nade mną. Niedawno jeszcze podobna do ciebie byłam”. Wzruszające to zakłęcia, paniczu Davy.

— Prawda — odrzekłem — i cóż na to Emilka?

— Emilka mówiła: „Marto, ty to! Ty! Marto!”. Obie pracowały razem u pana Omera.

— Przypominam ją teraz sobie — zawołałem. — Była to jedna z dwu szwaczek, które widziałem u krawca za pierwszej mej bytności. Pamiętacie?

— Marta Endell — potwierdził Ham. — o lat kilka starsza od Emilki, szkolna jej koleżanka.

— Nie znałem jej z nazwiska. Cóż dalej?

— Otóż wzdychała, że aż się serce ścisnęło: „Emilko, Emilko! Nie odwracaj się ode mnie, wszak niegdyś byłam taka jak ty”. Chciała mówić z Emilką, a że to było niemożliwe tam, w domu, bo stryj... ano tak, paniczu, dobry on jest, ludzki, miłosierny, ale nie zniósłby, nie zniósł nigdy, za żadne nie pozwoliłby skarby, aby się tamta zbliżyła do naszej Emilki.

Czułem, że mówił prawdę. Sam to wiedziałem.

— Zatem Emilka napisała na papierku i podała jej przez okienko: „Pójdź do ciotki, pokaż jej to, zrobi to ona dla mnie i pozwoli ci się ogrzać u swego ogniska, a gdy wuj wyjdzie, ja też tam przyjdę”. Tak mi opowiedziała, prosząc, abym tu ją przywiódł. Powtarzam dosłownie, jak mi mówiła. Cóż miałem począć? Może to niepotrzebne, ale jak tu jej odmówić, gdy ma łzy w oczach.

Założył rękę za kamizelkę, wyjął małą sakiewkę.

— A jeśli — mówił z uszanowaniem, kładąc ową sakiewkę na szerokiej swej dłoni — nie podobna<sup>241</sup> mi odmówić jej, gdy ma łzy w oczach, jakże odmawiać, gdy powierza mej pieczy skarb ten swój, a wiem, na co to tu przyniosła! Niebogata ta moja kochana Emilka!

Ścisnąłem mu gorąco rękę i przez chwil kilka chodziliśmy razem, milcząc. Wkrótce drzwi się otworzyły i Peggotty skinęła na Hama. Chciałem przejść do mego pokoju niewidziany, lecz było to niepodobieństwem, pokój był tuż przy kuchni i skoro tylko drzwi otworzyłem, znalazłem się wśród całego towarzystwa.

Dziewczyna, ta sama, którąśmy spotkali na piaskach wybrzeża, siedziała na ziemi, przed kominem, z głową opartą o krzesło. Wyobraziłem sobie, że na krześle tym przed chwilą siedzieć musiała Emilka, trzymając na kolanach głowę nieszczęsnej. Nie mogłem się jej dobrze przypatrzeć, gdyż potargane włosy pokrywały jej twarz, wydała mi się tylko młoda i przystojna. Peggotty była zapłakana, podobnie jak Emilka. Nikt nie przemówił ani słowa i tylko w ciszy rozlegało się tik-tak ściennego zegara.

Pierwsza przemówiła Emilka, zwracając się do Hama:

— Marta chce wyjechać do Londynu — rzekła.

— Czemu do Londynu? — spytał rybak.

Stał pomiędzy dwiema kobietami, patrząc na siedzącą na ziemi dziewczynę ze współczuciem i niezadowoleniem zarazem, że samą swą obecnością obraża już jego ukochaną.

<sup>241</sup>nie podobna mi (daw.) — nie (jest) dla mnie możliwe (aby...). [przypis edytorski]

Pamiętam dobrze całą tę scenę. Oboje mówili głosem przyciszonym i jak gdyby czuli na piersiach ogromny ciężar.

— Lepiej tam niż gdzie indziej — odezwał się głos trzeci, Marty, która pozostała nieruchoma. — Nikt mnie tam nie zna, tu znają wszyscy.

— Co ona tam pocnie? — pytał Ham.

Podniosła głowę i spojrzała nań ponuro, a potem, znów spuszcżając głowę, porwała się za szyję, jak gdyby udusić się chciała w przystępie szaleństwa czy rozpacz.

— Postara się żyć uczciwie — ozwała się Emilka. — Nie słyszałeś jej zapewnień? Prawda, ciociu, prawda?

Peggotty ze współczuciem potrząsnęła potakująco głową.

— Postaram się, jeśli mi dopomóżecie — rzekła Marta. — Gorzej już niż tu żyć nie mogę, a może będę żyć lepiej. Och! — ciągnęła, drżąc na całym ciele. — Wyrwijcie mnie z tego piekła, z tych ulic, gdzie mnie każdy zna od urodzenia.

Emilka wyciągnęła dłoń do narzeczonego, zauważyłem, że oddał jej coś i odeszła, sądząc, że ma swą sakiewkę, lecz spostrzegłszy pomyłkę, zwróciła się pytająco do stojącego przy mnie Hama.

— Twoje to, twoje, Emilko! — mówił szybko, przyciszonym głosem. — Wszystko co moje, twoje, nic mi niepotrzebne, tylko dla ciebie.

Łzy nabiegły jej do oczu. Zwróciła się, milcząc, do Marty. Nie wiem, co jej dała. Widziałem, jak nachylona nad nią wsuwała jej w zanadrze pieniądze, pytając szeptem, czy wystarczy.

— Więcej, niż potrzeba — mówiła tamta, całując jej ręce.

Wstała, otuliła się w chustkę i, płacząc w głos, wyszła za drzwi. Na progu zatrzymała się, jak gdyby czegoś zapomniała i chciała wrócić, lecz żadne słowo z ust jej nie wyszło. Zaszlochała głośnie i wybiegła na ulicę.

Gdy drzwi się zamknęły, Emilka popatrzyła z kolei na nas i, kryjąc twarz w dłoniach, rozplakała się.

— Emilko, kochanko! — uspokajał ją narzeczonego, potrząsając łagodnie za ramię.

— Och, Ham! — zawołała, szlochając. — Nie zasługuję na tyle dobroci, przywiązania, nie umiem być tak wdzięczna, jak być powinnam.

— Umiesz! Wiem to! — upewniał ją Ham.

— Nie, nie, nie! — szlochała, trzęsąc główką. — Niewdzięczna, niedobra ze mnie dziewczyna!

Plakała, jak gdyby jej serce pękało z żalu.

— Nadużywam twego przywiązania, nie zasługuję na nie — szlochała. — Nie jestem tym, czym być powinnam. Ty to co innego! Tyś zawsze dobry, ja powinnam myśleć tylko o tym, aby cię uszczęśliwić.

— Ależ uszczęśliwiasz mnie — twierdził Ham. — Moje szczęście to patrzeć na ciebie, myśleć o tobie!

— Ale to nie dość, nie dość. To właśnie dlatego, żeś ty taki dobry, a ja na to nie zasługuję. Szczęśliwiej byłoby dla ciebie, jeślibyś kochał inną, lepszą ode mnie dziewczynę, przywiązaną do ciebie i nie tak jak ja próżną i zmienną.

— Biedaczko ty moja! Gołąbko złota! — skarżył się Ham z cicha. — Ta Marta wzruszyła cię tak, rozdrażniła.

— Ciociu! — łkała Emilka. — Ciociu, chodź tu bliżej, niech położę głowę na twym ramieniu. Tak mi smutno, tak gorzko. O, wiem ja, wiem, że nie jestem tym, czym być powinnam.

Peggotty przysunęła krzesło, posadziła na nim Emilkę, objęła ją czule za szyję, patrząc jej w oczy.

— Ratuj mnie, ciociu! — błagała ta ostatnia. — Ham, kochanku, ratuj! Davy, przez pamięć dawnych czasów, ratujcie! Pomóżcie! Chcę się poprawić, być lepsza, wdzięczniejsza. Co to za szczęście być żoną takiego poczciwego człowieka i wieść życie ciche, spokojne! Oj, serce! Biedne ty moje serce!

Opuściła głowę na łono starej mej piastunki i w żalu swym na poły kobiecym, dziecięcym na poły, takie w istocie było dotąd całe jej zachowanie (z czym jej zresztą bardzo było do twarzy), plakała długo i rzewnie.

Dobra Peggotty uspokajała ją, jak się uspokaja dziecko, pieszcząc, gderając, żartując na przemian. Stopniowo uspokajała się, podniosła głowę, zaczęła odpowiadać nam. Wkrótce uśmiech zjawił się na jej ustach. Siedziała zawstydzona, a Peggotty poprawiała jej włosy, ocierała łzawe jeszcze oczy, aby się wuj nie przestraszył, gdy wracając do domu, ujrzy ją zapłakaną.

Wieczoru tego dostrzegłem to, czegom przedtem nie dostrzegł był<sup>242</sup> jeszcze. Dostrzegłem, jak pocałowała szczerze w twarz przyszłego swego męża, tuląc się do silnych jego ramion, a gdy odchodzili w srebrnym świetle miesiąca, porównałem odejście ich z odejściem Marty. Emilka obiema rączkami zawisła u ramienia narzeczonego.

## ROZDZIAŁ XXIII. WYŚLUCHUJĘ RAD PANA DICKA I OBIE- RAM ZAWÓD

Przebudziwszy się nazajutrz, długo jeszcze myślałem o Emilce, jej łzach po odejściu Marty i zdawało mi się, że tajemnicy jej serca nie mam prawa zdradzić przed nikim, ani nawet przed przyjacielem moim. Dla nikogo nie czułem w sercu tyle tkliwości, jak dla tej dziewczynki, która dzieliła dziecięce moje zabawy i którą wówczas, przekonanie to zachowam do grobowej deski, z całego kochałem serca. Powtórzyć komu bądź, bodaj przyjacielowi, to co się jej w żalu z głębi duszy wyrwało, wydawało mi się czymś brutalnym i kalającym ten słoneczny promień dziecięcych uczuć, którym nie przestałem nigdy wieńczyć jej czoła. Postanowiłem zachować to wyłącznie dla siebie, a wszystko to dodawało jej w mych oczach wdzięku.

Gdyśmy byli przy śniadaniu, podano mi list od ciotki, w sprawie, w której Steerforth mógł udzielić mi rady. Uszczęśliwiony byłem nadarzącą się sposobnością zasięgnięcia jego rady. Postanowiłem uczynić to w podróży, gdyż na wyjeźdźnym byliśmy dostatecznie zajęci i bez tego. Pan Barkis oplakiwał nasz wyjazd tak dalece, że nie wątpię, iż otworzyłby swą skrzynkę i nową poświęcił gwineę, jeśli to nas mogło zatrzymać przez parę dni jeszcze w Yarmouth. Peggotty i całą jej rodzinę wyjazd nasz pogrążył w żalu. Cały zakład „Omer i Joram” opuścił sklep, aby nas pożegnać, i tyle znalazło się dokoła Steerfortha rąk gotowych nieść do stacji dylizansu nasze walizy, że jeśli byśmy mieli rekwizyty całego pułku, jeszcze byśmy w przeniesieniu ich najmniejszego nie doświadczyli kłopotu. Jednym słowem, odjeżdżaliśmy w porę, pozostawiając żal po sobie.

— Na długo tu zostajecie? — spytałem Littimera, wsiadając do dylizansu.

— Nie, proszę pana, nie na długo zapewne — odrzekł.

— Sam tego jeszcze dziś wiedzieć nie może — wtrącił Steerforth. — Wie, czego ma tu dokonać, i dokona.

— O tym nie wątpię — zauważyłem.

Littimer uniół kapelusza, dziękując zapewne za wyrażenie tak dobrej o nim opinii; co do mnie zaś — czułem się, jakbym miał lat osiem. Pożegnał nas, życząc nam szczęśliwej podróży, a odjeżdżając, pozostawiliśmy go na miejscu, tajemniczego i niewzruszonego jak egipska piramida.

Milczeliśmy czas jakiś, Steerforth zdawał się być zamyślony. Co do mnie, raz jeszcze w myśli żegnałem miłe mi miejsca, marząc o zmianach, jakie w nich i we mnie czas przyniesie. Nagle Steerforth poweselał, rozgadał się, potrząsając mnie za ramię:

— Odezwij się, hej, Davy! — zawołał. — Cóż to za list otrzymałeś przy śniadaniu?

— A tak! — rzekłem, dostając<sup>243</sup> list z kieszeni. — Od ciotki.

— Czy to warte zastanowienia?

— I bardzo! Ciotka przypomina mi, że się moje wakacje kończą i że o przyszłości pomyśleć trzeba.

— Masz chyba już jakieś widoki?

— Wyznam ci prawdę, nie myślałem o tym.

— A teraz za karę obejrzyj się dokoła — zaśmiał się Steerforth. — Na prawo pusto, na lewo pusto, przed tobą to samo, za tobą nie inaczej.

<sup>242</sup>czegom (...) nie dostrzegł był — forma czasu zaprzeczonego dla czynności wielokrotnej, ponawianej; inaczej: czego nie dostrzegłem uprzednio (dawniej, wcześniej). [przypis edytorski]

<sup>243</sup>dostać (daw.) — tu: wy dostać, wydobyć, wyciągnąć. [przypis edytorski]

Zaśmiałem się. Istotnie widok dookoła mnie żadnych nie budził nadziei. Krajobraz przedstawiał nagą równinę.

— A co ci o tym pisze ciotka? — pytał poważny już Steerforth. — Żadnej nie nasuwa myśli?

— Tak, niby pyta mnie, co bym myślał o zostaniu proktorem.

— Ha! — chłodno zauważył Steerforth. — Mógłbyś zarówno być i czym innym.

Zaśmiałem się z jego miary i wagi dla zawodów ludzkich i spytałem.

— Czy wiesz, co to proktor?

— Rodzaj adwokata w mnisim kapturze — odrzekł. — Jest tam jakaś podła nora w pobliżu cmentarza św. Pawła, a w niej instytucja zwana Doctors' Commons<sup>244</sup>, która na dobry ład powinna była przestać istnieć przed dwustu laty. Wytłumaczę ci to lepiej, biorąc przykład z Doctors' Commons. Jest to też nora, gdzie rozbierają kościelne prawa, przetrząsają jakieś stare akty parlamentu, o których dziś nikt już nie wie, wykopują akty z czasów Edwardów<sup>245</sup>, kopalniana robota, rozstrzygają się też tam sądy nad testamentem i małżeńskimi kwestiami, sprzeczki okrętów z barkami.

— Prawisz nonsensy, Steerforcie! Co morskie sprawy mieć mogą do kościelnych praw?

— Wcale nie nonsensy! Zobaczysz, że te i tamte podpadają pod kompetencje tychże samych sędziów. Będąc tam kiedyś, usłyszysz całe słowniki morskich wyrażeń, a nazajutrz długie rozprawy nad teologiczną jakąś zawilnością w sprawie takiego lub owego duchownego. Kontrowersje<sup>246</sup>! Czcze gadulstwo! Ludzie ci podobni do aktorów, raz występujących w roli sędziów, to znów doradców, raz tacy, drugi owacy, zmieniają się w oka mgnieniu, chorągiewki na wietrze. Komedia, której przypatruje się wyborowa publiczność.

— Czy adwokaci i proktorowie to jedno i to samo? — pytałem, zmieszany nieco tym, com słyszał.

— Nie! — rzekł Steerforth. — Adwokaci są to urzędnicy cywilni, ludzie, którzy w uniwersytecie ubiegają się przedtem o stopień doktorów obojga praw, toteż, prawdę mówiąc, niewiele z nimi mam wspólnego. Proktorowie używają tylko adwokatów, są zresztą z nimi na przyjacielskiej stopie, ustawiczna zamiana grzeczności, poczęstunków i tak dalej. Ha! W każdym razie zalecam ci szacunek dla tego trybunału jurystów. Domaga się on tego!

<sup>244</sup>*Doctors' Commons* a. *College of Civilians* — działające w Londynie stowarzyszenie prawników (którego historia sięgała co najmniej 1511 r.) zajmujących się prawem cywilnym, zwyczajowym i kanonicznym; posiadało ono budynki (od 1567, w pobliżu Katedry Św. Pawła oraz przy Paternoster Row), w których członkowie stowarzyszenia mieszkali i pracowali, a także mogli korzystać z ogromnej biblioteki; tam też odbywały się sprawy sądowe. Członkami stowarzyszenia mogły zostać osoby, które uzyskały tytuł doktora prawa cywilnego na Uniwersytecie w Oksfordzie lub Cambridge i zostały dopuszczone do adwokatury przez Dziekana Arches (urzędnika Sądu Apelacyjnego podlegającego arcybiskupowi Canterbury); członkami zarządu (*fellows*) mogli zostać czynni już adwokaci-członkowie zarekomendowani oraz wybrani przez aktualnych członków Doctors' Commons; członkowie stowarzyszenia praktykowali w sądach kościelnych, Trybunale Duchownym oraz Sądzie Admiralicji, uczestniczyli także w sądach arbitrażowych dotyczących prawa międzynarodowego. Możliwość funkcjonowania tego rodzaju ciała wynikała stąd, że angielskie prawo zwyczajowe rozwijało się w zasadzie niezależnie od prawa rzymskiego (a więc inaczej niż w państwach kontynentalnych Europy), lecz niektóre wyspecjalizowane sądy stosowały prawo cywilne bazujące na prawodawstwie rzymskim: miało to zastosowanie m.in. do sądów kościelnych, których praktyka nie zmieniła się nawet po zwycięstwie angielskiej reformacji (obowiązującym pozostało prawo kanoniczne kościoła katolickiego), ale także do sądów admiralicji. Adwokaci przygotowujący się do praktyki w tych sądach uczyli się prawa kanonicznego przed reformacją i prawa rzymskiego po reformacji właśnie na Oksfordzie i w Cambridge, a praktyka sądownicza i adwokacka była podzielona podobnie jak samo prawo zwyczajowe. Od 1768 stowarzyszenie zajmowało się także nauczaniem prawa (jako College of Doctors of Law); przy koledżu funkcjonowało także trzydziestu czterech „proktorów”, których obowiązki przypominały te właściwe radcom prawnym. Stowarzyszenie zostało rozwiązane w 1858 r. w konsekwencji uchwalenia ogólnokrajowych aktów prawnych dotyczących urzędowego uwierzytelniania testamentów oraz spraw matrymonialnych, poprzedzających Judicare Act z 1873 r. ustanawiający jeden sąd najwyższy dla wszystkich wcześniejszych rodzajów prawodawstwa. Ostatni budynek pozostający w posiadaniu Doctors' Commons, znajdujący się w pobliżu Knightrider Street, został sprzedany w 1865 r. [przypis edytorski]

<sup>245</sup>*czasy Edwardów* — obejmujący XIII i XIV w. okres panowania: Edwarda I (lata 1272–1307), reformatora administracji królewskiej i prawa zwyczajowego (*common law*), które zostało skodyfikowane w statutach z 1275 i 1285 r., Edwarda II, pod którego rządami (1307–1327) nastąpił rozwój instytucji parlamentarnych oraz Edward III, króla Anglii w latach 1327–1377, inicjatora wojny stuletniej, który kontynuował reformy prawodawstwa i systemu rządzenia. [przypis edytorski]

<sup>246</sup>*kontrowersja* (daw.) — różnica zdań, rozbieżność stanowisk a. sądów; polemika, spór, dyskusja. [przypis edytorski]

Słuchałem Steerforth'a, a chociaż Doctors' Commons nazwał norą w pobliżu cmentarza św. Pawła, nie przstraszyła mnie jakoś nazbyt podsunięta przez ciotkę myśl. Ciotka zostawiła mi zresztą zupełną swobodę działania, pisząc, że myśl tę nasunęła jej niedawno dokonana wycieczka i zasięgane porady pewnego uczonego proktora w kwestii testamentu, który zamierzała sporządzić na mą korzyść. Powiedziałem to Steerforthowi.

— Bardzo poczcziwie ze strony twej ciotki — zauważył — i powinno to wzmocnić twój szacunek dla Doctors' Commons.

Zdawało mi się istotnie, że warto pomyśleć o tym. Tymczasem ciotka, jak mi to pisała, wyjechała na moje spotkanie do Londynu, gdzie zatrzymała się w jakimś hotelu z kamiennymi schodami i wygodnym wejściem na dach, przekonana bowiem była, że co nocy pożar grozi wszystkim domom stolicy.

Podróż zesłała nam przyjemnie. Rozmawialiśmy o Doctors' Commons, o tych dalekich czasach, gdy zostanę prawdopodobnie proktorem, a Steerforth miał w pogotowiu tysiąc scen komicznych, które obu nas pobudzały do śmiechu. W Londynie rozstaliśmy się. Steerforth pojechał do siebie, obiecując odwiedzić mnie nazajutrz, ja zaś udałem się wprost pod wskazany mi w liście ciotki adres. Zostałem ją oczekującą mnie z wieczerzą.

Miło mi było spotkać ciotkę. Witaa mnie, jak gdybym wracał z drugiej półkuli, a chociaż sama lzy miała w oczach, śmiała się, dowodząc, że jeśliby matka moja żyła, płakałaby z pewnością, gdyż tak bardzo była dziecinna!

— A ciotka zostawiła pana Dicka w domu — z żalem zauważyłem. — Janet! Jak się masz, Janet!

Janet dygnęła, pytając, jak się miewam. Ciotka jakby się zasmuciła. Ciągle pocierała nos.

— I ja żałuję, że go tu nie ma z nami — mówiła. — Utraciłam spokój, odkąd tu jestem.

Uprzedziła moje pytanie i ciągnęła:

— Nabrałam przekonania, że Dick nie jest stworzony do odganiania osłów. Brakuje mu potrzebnej energii. Wypadałoby raczej zostawić Janet, byłabym spokojniejsza. Lecz jeśli kiedy, to dziś najpewniej, o czwartej po południu było tam prawdziwe najście osłów.

Staralem się ją pocieszyć.

— Ten sam, wyobraź sobie, ten sam, na pewno ten sam — mówiła — bez ogona, ten, na którym wjazd odbywała ta tam, siostra tego Murdstone'a. Jeśli już jest w Dover jakiś osioł szczególnie mi nienawistny — kończyła, uderzając pięścią w stół — to ten chyba... Bydlę!

Janet ośmieliła się zauważyć, że się może pani irytuje przedwcześnie, że wie nawet, iż ów osioł bez ogona zamówiony był do wożenia piasku i kamieni na szosie. Nie uspokajało to bynajmniej ciotki.

Wieczera dobra była i nawet gorąca, chociaż ciotka ulokowała się jak mogła najwyżej, czy aby w razie pożaru<sup>247</sup> być jak najbliżej drzwi wychodzących na dach, czy z innych względów, powiedzieć nie potrafię. Podano zrazy, pieczoną kaczkę i jarzyny. Byłem przy apetycie, tylko ciotka, nie dowierzając stołecznej kuchni, jadła mało.

— Wyobrażam sobie — mówiła — że nieszczęsna ta kaczka urodziła się i wychowała gdzieś w spiżarni i chyba w jakiej stajence odetchnęła świeżym powietrzem. Tss, kto może zaręczyć, że zrazy te są z wołowiny? Może, a może i nie. Wszystko tu podrobione oprócz błota.

— Czy ciotka nie przypuszcza, że kaczkę przywieźli ze wsi? — spytałem.

— Ale gdzie tam! — odrzekła. — Nie mogłoby to zadowolić tutejszych oszustów.

Nie wdawałem się w dalsze dyskusje w tak delikatnym przedmiocie, jadłem z wyborowym apetytem, co zresztą zadowalało w zupełności mą ciotkę. Gdy zdjęto obrus ze stołu, Janet pomogła jej ułożyć włosy na noc, włożyć nocny czepek (wykwintniejszy niż zazwyczaj, „na wypadek pożaru” — objaśniła ciotka). Otuliła jej potem nogi suknią, co było w zwyczaju ciotki co wieczór dla zagrzenia się przed pójściem do łóżka. Przygotowałem i podałem jej, jak zwykle, szklankę grzanego wina z wodą i cieniutkie grzanki, po czym

<sup>247</sup>w razie pożaru — aluzja do wielkiego pożaru, który w dniach od 2 do 5 września 1666 r. strawił znaczną część Londynu, między innymi Katedrę Św. Pawła, i był przyczyną gruntownej przebudowy miasta. [przypis edytorski]



zostaliśmy sami na poufnej rozmowie. Ciotka w nocnym czepku, zagłębiona w fotelu, popijała winną polewkę, patrząc na mnie z zadowoleniem.

— No, Trot — ozwała się — co myślisz o proktorstwie? A może się jeszcze nad tym nie zastanowił<sup>248</sup>?

— Owszem, kochana ciotko — odrzekłem. — Wieleśmy o tym rozprawiali<sup>249</sup> ze Steerforthem. Podoba mi się ten projekt.

— Tym lepiej! — zawołała ciotka. — Cieszy to mnie niezmiernie!

— Jedno mnie tylko zastanawia.

— Co? Powiedz co, mów otwarcie.

— Otóż chciałbym wiedzieć, czy wejście moje do tego zawodu nie pociągnie zbyt dużych kosztów.

— Tysiąc funtów, ni mniej, ni więcej — odrzekła.

Przysunąłem się bliżej.

— Otóż właśnie, kochana ciotko! To mnie zastanawia — mówiłem. — Poważna to cyfra. Byłaś dla mnie tak hojna pod każdym względem, tyle już wydałaś na moje wychowanie. Zapewne są inne zawody mniej kosztowne, a które przy pracy i wytrwałości mogą zapewnić przyszłość. Może by lepiej czegoś podobnego spróbować? Czy pewna jesteś, kochana ciotko, że możesz na ten cel właśnie wydać tak znaczną sumę pieniędzy? Daruj, jeśli cię o to pytam, i proszę, byś się nad tym dobrze zastanowiła, lecz traktuję cię jako drugą matkę i najzupełniejsze w tobie pokładam zaufanie.

Ciotka kończyła pić polewkę, nie spuszczać ze mnie oka. Pustą szklankę postawiła na kominku i wówczas dopiero, zakładając ręce na piersiach, w te odezwała się słowa:

— Trot! Kochany chłopcze! Jeden tylko mam cel w życiu: wyprowadzić cię na porządnego, porządnego i, o ile się da, szczęśliwego człowieka. Dick tak samo innego przed sobą nie widzi celu. Chciałabym, aby ktoś słyszał, jak o tym mówi! Dziwnie przezorny, dziwnie, nikt oprócz mnie ani się domyśla, jakie to tam w tej głowie mieszczą się skarby!

Zatrzymała się, ujęła mą rękę w swe dłonie i tak ciągnęła dalej:

— Nie warto wspominać przeszłości, chyba o tyle, o ile to ma wpływ na teraźniejszość. Może mogłam pozostawać w lepszych z twym ojcem stosunkach, niż byłam, może mogłabym kochać to biedne dziecko, twą matkę, chociaż zawiodła mnie tak okrutnie co do Betsey Trotwood. Wszystko to być mogło i wierz mi, pożałowałam przeszłości i żał mi ścisnął serce, gdyś przybył do mnie jako włóczęga, obdartus. Odtąd po dziś dzień nie zawiodłam się na tobie ani razu. Dumna być mogę z ciebie, byleś mi ciągnął pociechę. Nie mam żadnych obowiązków — tu zawahała się i niby zmieszala — uważam ciebie za przybrane swe dziecko, pociechę mojej starości. Będąc cierpliwy i pobłażliwy dla dziwactw moich i kapryśców, aż nadto wynagrodzisz tym kobietę, której młodość nie była tak pomyślna, jak to wypadło, i aż nadto wynagrodzisz moje starania.

Po raz pierwszy wzmiankowała coś o swej przeszłości, a czyniła to zapewne przez dobroć serca i delikatność, które by wzmogły moje uczucia dla niej, gdyby takowe wzmożonymi jeszcze być mogły.

— Wszystko już tedy pomiędzy nami postanowione — kończyła — postanowione i omówione. A teraz pocałuj mnie. Jutro po śniadaniu pojedziemy do Commons.

Długośmy jeszcze gwarzyli wieczoru tego. Pokój mój był na tym samym co ciotki korytarzu i kilkakrotnie w nocy pukała do drzwi, pytając mnie, czy słyszę hałas. Wozy jadące na rynek budziły ją. Nad rankiem dopiero zasnęła na dobre i ja też zasnąć mogłem.

Nazajutrz o południu wybraliśmy się do kancelarii panów Spenlow i Jorkins w Doctors' Commons. Ciotka w przekonaniu, że Londyn przepelniony jest samymi kieszonkowymi złodziejami, wręczyła mi swój woreczek z dziesięcioma gwineami i drobnym srebrem.

Zatrzymaliśmy się na Fleet Street dla podziwiania olbrzymów na wieży św. Dunstana<sup>250</sup> uderzających w dzwony i umyślnie w tym celu staraliśmy się stanąć tam w samo

<sup>248</sup>może się (...) nie zastanowił — inaczej: może się nie zastanowiłeś (przykład konstrukcji z ruchomą końcówką czasownika). [przypis edytorski]

<sup>249</sup>wieleśmy (...) rozprawiali — inaczej: wiele rozprawialiśmy (przykład konstrukcji z ruchomą końcówką czasownika). [przypis edytorski]

<sup>250</sup>święty Dunstan a. Dunstan z Canterbury (909–988) — arcybiskup Canterbury (960–988), święty kościoła katolickiego, patron kowali, złotników, ślusarzy oraz muzyków. Gotycki kościół św. Dunstana został wybud-

południe, potem przez Ludgate Hill udaliśmy się na cmentarz św. Pawła<sup>251</sup>. Docieraliśmy już do miejsca, gdy zauważyłem, że ciotka, wystraszona, przyspiesza kroku. Jednocześnie zauważyłem obdartego mężczyznę, który się zatrzymał, patrząc na nas uważnie, a po chwili namysłu odwrócił się i szedł za nami.

— Trot! Dziecko moje! — zawołała przerażona ciotka. — Nie wiem sama, co począć.

— Niech się ciotka uspokoi — perswadowałem. — Nie ma się czego bać. Niech ciotka wejdzie do któregoś tu sklepu, a ja się rozprawię z tym jegomościem.

— Za nic, za nic! — zawołała. — Nie trzeba, abyś z nim mówił. Proszę cię, zabraniam!

— Ależ na Boga, ciotko! To jakiś bezczelny żebrak.

Zatrzymaliśmy się w pustej bramie. Mężczyzna ów też się zatrzymał.

— Nie patrz na niego, nie oglądaj się — mówiła ciotka, od zmysłów niemal odcho-  
dząc. — Ot, zawołaj mi lepiej dorożkę, a sam tu na mnie poczekasz.

— Mam cię puścić samą?

— Tak, samą, muszę — odrzekła stanowczo — samą z nim.

— Z nim? Z tym nieznanym?

— Nie, nie zwariowałam, dziecko moje, wiem, co robię, i mówię ci, że muszę się z nim rozmówić. Zawołaj dorożkę.

Zdziwiony, czułem jednak taką stanowczość w powziętym przez ciotkę zamiarze, że się nie ośmieliłem jej sprzeciwić. Zawołałem dorożkę i zanim zdołałem wsadzić ciotkę, wskoczyła w nią sama, a nieznanomy, jak gdyby to od dawna umówione było, za nią, tak zaś energiczny był ruch ręki ciotki, że się od nich odwróciłem mimo woli i słyszałem tylko wydany dorożkarzowi rozkaz „wprost przed siebie, byle gdzie”.

Teraz przypomniało mi się opowiadanie pana Dicka. To, com poczytywał za przyw-  
dzenie, było rzeczywistością. Nie mogłem wątpić, że indywiduum to było tą samą osobą, o której tak tajemniczo wspominał, ale gubiłem się w domysłach nad naturą jego stosun-  
ku do ciotki. Po półgodzinnym wyczekiwaniu na cmentarzu ujrzałem wracającą dorożkę. Ciotka siedziała w niej sama.

Nie uspokoiła się jeszcze dostatecznie i kazała mi wsiąść do dorożki, zlecając doroż-  
karzowi, aby jechał powoli. „Nie pytaj mnie o nic” — rzekła i pogrzażyła się w milczeniu. Po pewnym czasie upewniła mnie, że już się uspokoiła i może złożyć zamyślaną wizytę, a gdy dała mi woreczek dla opłacenia dorożkarza, zauważyłem w nim brak uprzednich  
gwinei. Zostały same drobne pieniądze.

Wchodziło się do Commons przez niską, sklepioną bramę. Hałas miejski ginął tu cu-  
downym jakimś sposobem, cichł, oddalał się. Przeszliśmy kilka pustych, głuchych dzie-  
dzińców i wąskie przejście doprowadziło nas do kancelarii panów Spenlow i Jorkins. Jasno tam było, obszernie, przytulnie. W pierwszej sali pisało kilku pisarzy. Jeden z nich, su-  
chy, maleńki człowieczek w rudej peruce piernikowego koloru, powstał i wprowadził nas do przyległego gabinetu.

— Pan Spenlow — rzekł — nie wrócił jeszcze z sądów, natychmiast pošlemy po  
niego.

Przypatrywałem się gabinetowi. Meble były stare i spłowiałe, a zielone sukno na  
biurku utraciło najzupełniej pierwotną swą barwę. Na stole piętrzyły się księgi i papiery,  
broszury, a na okładkach najrozmaitsze napisy: tu „Trybunał Duchowny”, tam „Sąd Ape-  
lacyjny”, „Admiralicja”, „Izba Deputowanych”. Podziwiałem tę różnorodność, rozmyślając  
jednocześnie, jak trudno orientować się w tym wszystkim. Pomiędzy tym olbrzymie,  
osobne księgi dowodów, powiązane i wystarczające nieraz dla napelnienia kilku tomów.  
Wszystko to razem wzięte wyglądało jednak wielce zachęcająco i nie zrażało mnie wca-  
le do upatrzonego zawodu. Przenosiłem ciekawie oczy z przedmiotu na przedmiot, gdy  
się rozległy szybkie kroki. Po chwili wszedł pan Spenlow w czarnej, białym futerkiem  
obszytej todze.

wany w 1100 r. przy Fleet Street w londyńskim City, w znacznym stopniu zniszczył go następnie wielki pożar w 1666 r., a po odrestaurowaniu dobudowano doń wysoką na 125 m wieżę w stylu gotyckim wg projektu Christophera Wrena, architekta zajmującego się odbudową Londynu. Po ponownym zniszczeniu w czasie nalotów w okresie II wojny światowej zdecydowano nie odbudowywać kościoła św. Dunstana; dziś jego ruiny znajdują się w specjalnie zaprojektowanym ogrodzie miejskim. [przypis edytorski]

<sup>251</sup>cmentarz św. Pawła — cmentarz parafialny przy Katedrze św. Pawła w Londynie; już podczas epidemii dżumy w 1582 r. nakazano ograniczenie pochówków z powodu przepelnienia nekropolii i związanej z tym groźby dalszego szerzenia się zarazy. [przypis edytorski]

Był to jasnowłosy, mały dżentelmen, w eleganckich, błyszczących butach, oślepiającym białej koszuli i krawacie. Ubrany starannie, wiele czasu musiał poświęcać wybornie wyczesanym i fryzowanym bokobrodom. Dewizką od zegarka miał tak ciężką, że mimo woli pomyślałem, że aby ją podnieść, trzeba posiadać twardą, złoconą rękę, taką jak te, które w jubilerskich wystawach podtrzymują podobne przedmioty. Był sztywny i tak wykrochmalony, że się poruszał z trudnością i, na kształt klucza, chcąc obrócić głowę, obracać się musiał cały.

Zostałem mu przedstawiony przez ciotkę. Powitał mnie uprzejmie, a był już widać uprzedzony, o co idzie, gdyż rzekł:

— Więc pan, panie Copperfield, zamierza wstąpić do naszego zawodu? Onegdaj, mając zaszczyt widzieć ją — tu uklon w stronę mej ciotki — przypadkowo nadmieniałem pannie Trotwood, że mamy miejsce. Panna Trotwood raczyła wzmiankować, że ma siostrzeńca, którego przyszłość żywo ją zajmuje. Tym siostrzeńcem jesteś pan zapewne.

Tu znów się cały, jak za poruszeniem sprężyny, zwrócił ku mnie.

Skłoniłem się, mówiąc, że przedstawiony mi przez ciotkę zawód uważam za nader zaszczytny, że nie mogę wszelako z góry i dopóki się bliżej nie zaznajomię, zapewnić, że do zawodu tego szczególne czuję powołanie, i że wreszcie mam nadzieję, iż mi dozwolone będzie wypróbować samego siebie, zanim się stanowczo zwiążę powziętym postanowieniem.

— Zapewne, zapewne — potwierdzał pan Spenlow. — Zwyczajem naszym jest ofiarowywać nowo wchodzącym do korporacji miesiąc próbny, że tak powiem. Co do mnie nic bym nie miał wprawdzie przeciw dwóm, trzem miesiącom, lecz mój wspólnik pan Jorkins!...

— Cena tysiąc funtów — rzekłem.

— Tysiąc włącznie z patentem — potwierdził pan Spenlow. — Nie kieruję się, jak to miałem zaszczyt mówić pannie Trotwood, materialnymi względami. Nie ma może człowieka, który by się nimi mniej ode mnie kierował, lecz wspólnik mój, pan Jorkins, ma w tym względzie zasady, które uszanować widzę się zmuszonym. Słowem, wspólnik mój, pan Jorkins, uważa sumę tysiąca funtów za niedostateczną raczej.

— Czy tutaj — rzekłem, pragnąc zaoszczędzić ciotce mej kosztów — nie jest w zwyczajaju, gdy uczeń okaże się użyteczny i zdolny — zarumieniłem się po uszy tą wygłoszoną niby pochwałą samego siebie — czy tutaj nie jest w zwyczajaju dawać mu...

Pan Spenlow z wielkim wysiłkiem wyciągnął głowę z silnie nakrochmalonego kołnierzyka i szerokiego krawatu, wstrząsnął nią i uprzedzając mię<sup>252</sup>:

— Pensję... Nie, wcale nie — rzekł. — Nie wyrażam tu własnej mej opinii w tym względzie, ale zaznaczam, że zależę od mego wspólnika pana Jorkins, który jest niewzruszony w swych zasadach.

Przerażał mnie obraz owego niewzruszonego w zasadach wspólnika. Z czasem przekonałem się, że Jorkins był człowiekiem łagodnym, miękkim, który w spółce bywał zawsze usuwany na najdalsze plany, chociaż imię jego służyło za parawan najzaciętszemu i naj-sroższemu z ludzi. Jeśli który z uczniów żądał podwyższenia płacy, pan Jorkins i słyszeć jakoby o tym nie chciał. Jeśli który z klientów ociągał się z wniesieniem pieniędzy, pan Jorkins upominał się o takowe, egzekwował, a pan Spenlow stosować się musiał do wspólnika, jakiegokolwiek by było własne jego w tej mierze zdanie. Dłoń i serce tego dobrego, słodkiego pana Spenlow otwarte byłyby dla ludzkości całej, ale cóż? Istniał ów wspólnik, uosobienie chciwości, nieubłagany w zasadach swych, Jorkins! Z czasem poznałem wiele podobnych spółek i niejednego Spenlowa, chowającego się za plecy niejednego Jorkinsa!

Postanowiono, że rozpocznę mój próbny miesiąc, kiedy będę miał na to ochotę, ciotka zaś może wracać spokojnie do domu, gdzie kontrakt będzie można posłać jej do podpisu. Pan Spenlow oświadczył mi potem gotowość zaprowadzenia mię do trybunału. Zgodziłem się chętnie. Ciotka została tymczasem w kancelarii, wyznając, że się boi wszelkich trybunałów i miejsc podobnych, które wcześniej czy później wysadzone być mogą w powietrze<sup>253</sup>.

<sup>252</sup>mię — daw. forma zaimka osobowego w pozycji nieakcentowanej w zdaniu; dziś jednolita forma: mnie. [przypis edytorski]

<sup>253</sup>trybunałów i miejsc podobnych, które (...) wysadzone być mogą w powietrze — aluzja do udaremnionego Spisku Prochowego (*Gunpowder Plot*) zorganizowanego przez ang. katolików i mającego na celu zabicie króla

Pan Spenlow prowadził mnie przez brukowany, ciężkimi murowanymi budynkami opasany dziedziniec. Nad drzwiami czerniały nazwiska sędziów i doktorów obojga praw. Były to przybytki adwokatów, o których wspominał Steerforth. Na lewo weszliśmy do olbrzymiej, do kościoła podobnej sali. Głęb tej sali była oddzielona od reszty kratkami, a na podwyższeniu mającym kształt olbrzymiej podkowy, na krzesłach o wysokich, równych poręczach siedzieli panowie w purpurowych togach i siwych, olbrzymich perukach. Byli to, jakem się później dowiedział<sup>254</sup>, sędziowie. Pośrodku przed pulpitem siedział dżentelmen, którego wziąłbym za sowę, gdyby mi nie powiedziano, że jest przewodniczącym trybunału. Niżej, przed podkową, siedzieli inni poważni panowie, rzędem, za zielonym suknem pokrytymi stołami, w czarnych, białym futerkiem, jak u pana Spenlow, bramowanych<sup>255</sup> togach. Wszyscy mieli szerokie wykrochmalone krawaty i wysokie, stojące kołnierze. Wyglądali na dumnych i nieprzystępnych. Był to tylko pozór jednak, gdyż kilku z nich na zapytania sędziów udzielało odpowiedzi w tonie bardzo nieśmiałym. Chłopak z teką pod pachą i jakiś obdartus gryzący kromkę chleba przedstawiali publiczność, grzejąc się przy kamiennym, w środku sali postawionym piecu. Ciszę zalegającą salę przerywało trzeszczenie ognia w piecu i spokojny głos jednego z sędziów, wyciszający jakieś dowody prawne, przerywany tylko szelestem papieru przewracanych kart, szukaniem nowych argumentów w papierach i księgach. Nigdy, przenigdy nie widziałem dotąd ani odtąd bardziej zaspianego, sztywnego, gnuśnego zbiorowiska ludzi! Czas przeszedł, a jam nie zapomniał<sup>256</sup> o tym ukrytym w głębi cmentarza św. Pawła zakątku! Czulem, że będzie coś usypiającego w przynależeniu do tej korporacji — byle nie w charakterze klienta. O nie!

Zadowolony jednak ogólnym wrażeniem, podziękowałem panu Spenlow za jego uprzejmość i wróciliśmy do kancelarii. Wkrótce wraz z ciotką opuszczaliśmy gmach trybunału, a przechodząc przez salę, w której pracowali uczniowie panów Spenlow i Jorkins, uczułem się znów bardzo młody.

Wróciliśmy bez żadnych nowych wypadków do hotelu, chyba że za wypadek poczytam spotkanie paru osłów przypominających ciotce groźące jej trawnikom niebezpieczeństwa. Rozmawialiśmy znów długo o mojej przyszłości, widząc zaś, jak ciotce pilno do domu, jak Londyn, z pożarami, kieszonkowymi złodziejami i fałszowanymi produktami, wcale jej nie do smaku, błagałem ją, aby wracała do siebie, zostawiwszy mnie własnemu losowi.

— Myślałam już sama o tym — rzekła — i zanim przyjechałeś, wynalazłam dla ciebie mieszkanie, jak raz to, co nam potrzeba.

Mówiąc to, wydobyla z kieszeni wycięte z dzienników ogłoszenie o będącym do wynajęcia w każdej porze lokalu przy Buckingham Street, w Adelphi, z widokiem na rzekę, w pobliżu sądów. Szukano kawalera. Warunki były dogodne, lokal mógł być wynajęty miesięcznie.

— Jak raz to, czego potrzebujemy — zawołałem uszczęśliwiony perspektywą niezależności.

— Idźmy obejrzyć — mówiła ciotka, nakładając przed chwilą dopiero zrzucony kapelusz.

Poszliśmy. Trzeba się było, wedle ogłoszenia, zgłosić do niejakiej pani Crupp, na pierwszym piętrze. Zadzwoniliśmy raz, drugi, trzeci. Zjawiła się wreszcie i otworzyła nam starsza kobieta we flanelowym kaftanie i perkalowej spódnicy.

— Chcieliśmy obejrzyć mieszkanie — rzekła ciotka.

— Dla tego pana? — spytała, sięgając po klucze za pasem.

— Tak, dla mego siostrzeńca.

— Mieszkanie cacko! — zawołała pani Crupp.

Anglii i Szkocji Jakuba I; jeden ze spiskowców, Guy Fawkes, został aresztowany w nocy z 4 na 5 listopada 1605 r. pod zarzutem próby wysadzenia gmachu Parlamentu przez podpalenie 36 beczek prochu zgromadzonych w piwnicach budynku pod Izbą Lordów; został on wraz innymi siedmioma niedoszłymi zamachowcami skazany na śmierć przez powieszenie i poćwiartowanie, wyrok wykonano 30 stycznia 1606 r. [przypis edytorski]

<sup>254</sup>jakem się (...) dowiedział — inaczej: jak się dowiedziałem (przykład konstrukcji z ruchomą końcówką czasownika). [przypis edytorski]

<sup>255</sup>bramowany — o brzegach obszytych ozdobną lamówką, pasem futra itp. [przypis edytorski]

<sup>256</sup>jam nie zapomniał — inaczej: ja nie zapomniałem (przykład konstrukcji z ruchomą końcówką czasownika). [przypis edytorski]

Weszliśmy na schody. Właściwie mówiąc, było to poddasze, co wszelako ze względu pożarowych podobało się raczej ciotce. Niskie drzwiczki, ciemny przedpokoik i dwa mikroskopijne pokoiki. Meble stare, ale dla mnie dostateczne. Gdzieś tam, w oddali, za murem, musiała istotnie być rzeka.

Wszystko to zachwycało mnie. Wyobrażałem sobie rozkosze mieszkania w podobnym lokalu, podczas gdy ciotka umawiała się o cenę. Po jakimś czasie rzecz wydała mi się załatwiona.

— Czy te meble pozostały po ostatnim lokatorze? — spytała ciotka.

— Oczywiście, pani — odrzekła gospodyni.

— Cóż się z nim stało? — pytała znów ciotka.

Pani Crupp zakaszła się.

— Chorował — bełkotała — ano... tak... niby... umarł!

— Z czego? — zawołała ciotka.

— A tak... niby... z pijaństwa i... od dymu, wiadomo.

— Z komina! — zawołała ciotka.

— Nie, pani, od cygar i fajki.

— To to w każdym razie niezaraźliwe — rzekła, zwracając się ku mnie, znacznie uspokojona.

— Na pewno niezaraźliwe — potwierdziłem.

Słowem, ciotka, widząc, jak mi się mieszkanko podoba, wynajęła je na miesiąc, z tym warunkiem, że po upływie miesiąca możemy je zatrzymać do końca roku. Stół i opranie miało należeć do gospodyni, która zobowiązała się solennie czuwać nade mną jak nad rodzonym synem. W posiadanie lokalu wejść miałem za parę dni, a pani Crupp dziękowała Niebu, że znalazła lokatora, którego mogła otoczyć macierzyńskim staraniem.

Po powrocie ciotka upewniła mnie, że jest teraz spokojna co do mej przyszłości, bylbym sam umiał być stały, rozważny i energiczny. Powtórzyła to niejednokrotnie w trakcie omawiania sprawy przesłania mi pozostawionych u pana Wickfielda książek i rzeczy. W tym celu napisałem długi list do Agnieszki, który ciotka miała wręczyć jej nazajutrz. Hojnie też zajęła się moją wyprawą i zapewnieniem mi wygod na ten próbny miesiąc. Żałowałem tylko nieskończenie, że się Steerforth tak opóźnia i że nie będę mógł przedstawić jej mego przyjaciela. Odprowadziłem ją do dylizansu, w którym, zajmując miejsce wraz z Janet, przewidywała szkody, jakie w nieobecności jej na trawniku wyrządzić mogły osły. Gdy odjechała, wróciłem do Adelphi, rozmyślając o dawnych czasach, gdym się włóczył, nieszczęsny, głodny nieraz, opuszczony, pod niskimi sklepieniami bram tych i zaułków. A teraz? Z sercem przepelnionym wdzięcznością dziękowałem Niebu za zmianę, dzięki której z tych mętów życia wypłynąłem na wierzch.

## ROZDZIAŁ XXIV. ROZPRASZAM SIĘ

Rozkosz to była nie lada posiadać własny kącik i wiedzieć, że jak Robinson Crusoe ze swą fortecą, tak i ja, raz drzwi zamknąwszy, byłem nietykalny.

Rozkosz to była, idąc przez miasto, czuć w kieszeni klucze od własnego mieszkania i wiedzieć, że mogę zaprosić każdego, kto mi się podoba, nie oglądając się na nikogo, własnych tylko radząc się chęci. Rozkosz to była wychodzić i wracać, nie opowiadając się nikomu i wchodząc dzwonić i spoglądać w górę, aż się spodoba pani Crupp zejść i otworzyć. Wszystko to rozkoszne było, chociaż, wyznać to muszę, czasem nieco straszne.

Z rana, jeżeli w dodatku ranek był pogodny, wszystko to wprawiało mnie w zachwyt. Przy dziennym świetle, w słonecznych promieniach wszystko nabierało jakiejś rozkosznej świeżości i swobody. W miarę jednak, jak się dzień chylił ku wieczorowi, ciemniejsze też na wszystko padały barwy i nie wiem dlaczego, wszystko oblekało się już zupełnie ponurym odcieniem przy świetle świecy. Brakowało mi towarzystwa, rozmowy. Brakowało mi zwłaszcza Agnieszki, zwierzać się, i nic mi tej pustki wypełnić nie mogło. Pani Crupp wychodziła często, często też myślałem o ostatnim lokatorze, zmarłym z pijaństwa i dymu, i żałowałem, że nie ma go, aby dotrzymywał mi towarzystwa.

Po paru dniach zdawało mi się, że już tak przeżył lata całe, lat mi jednak nie przybyło i młodość ciążyła mi nadal.

Młodość, Dorosłość, Dom

Steerforth nie zjawiał się. Niespokojny byłem, czy nie zachorował czasem, toteż na trzeci dzień wyszedłem wcześniej z Commons z zamiarem udania się do Highgate. Pani Steerforth przyjęła mnie bardzo uprzejmie, mówiąc, że syn wyjechał z jednym ze swych przyjaciół z Oksfordu w odwiedziny do drugiego przyjaciela na wieś w pobliżu St. Albans, lecz że wróci nazajutrz. Uczułem w sercu coś na kształt zazdrości. Pani Steerforth zatrzymała mnie na obiad. Cały czas rozmawialiśmy o nim. Opowiadałem jej, jak miłym był towarzyszem podróży i jak zjednywał sobie wszystkie serca. Panna Dartle cała była w zapytaniach i poddawaniu różnych myśli, lecz słuchała opowiadań moich z zajęciem, przerywając częstym: „tak to zatem było?” i wydobywając tym ze mnie wszystko, co wiedzieć pragnęła. Wyglądała najzupełniej tak samo, jak kiedym ją po raz pierwszy widział, lecz towarzystwo obu pań tak było przyjemne, że się niemal w niej tym razem zakochałem i, wracając do domu, mimo woli myślałem, jak miłą byłaby towarzyszką na Buckingham Street.

Piłem właśnie z rana, przed odejściem do konsystorza<sup>257</sup>, kawę, rozmyślając nad tym, jak dziwnie napój ten jest słaby, mimo że pani Crupp zużyła do niego tyle kawy, gdy nagle zjawił się Steerforth we własnej osobie.

— Mój kochany! — zawołałem uszczęśliwiony. — Sądziłem, żeś już dla mnie stracony!

— Porwano mię gwałtem zaraz nazajutrz po naszym przyjeździe — rzekł. — Oho! Davy! Wyglądasz mi tu jak stary kawaler! Co za wygody!

Pokazałem mu całe moje mieszkanko, podobało mu się.

— Wiesz co, stary! — mówił. — Mam ochotę wprost tu zjeżdżać, bywając w mieście. Co, przyjąłbyś mnie? Nie wyrzuciłbyś?

Byłem uszczęśliwiony. Jeśli będzie czekał, aż go wyrzucę, to doczeka chyba dnia sądowego.

— Ale nie jadłeś śniadania! — zawołałem. — Gospodyni moja zgotuje kawy, ja zaś na mym kawalerskim piecyku usmażę ci boczkę.

— Nie! Nie! — powstrzymał mnie. — Nie dzwoń. Obiecałem właśnie zjeść śniadanie z jednym z mych towarzyszy w hotelu Piazza w Covent Garden.

— To wróć na obiad.

— Nie mogę. Chciałbym z duszy, lecz obiecałem towarzyszom spędzić dzień cały z nimi i wieczór, do jutra rana.

— To przyjdźcie tu wszyscy: namów towarzyszy.

— Ale gdzie tam! Ty to lepiej przyjdź do nas.

Nie zgodziłem się. Owszem, dumny byłem z mojego mieszkania, chciałem ugościć przyjaciela i wymogłem przyrzeczenie, że o samej szóstej zjawi się ze swymi towarzyszami.

Gdy odszedł, zadzwoniłem na gospodynię i oznajmiłem jej, że będę miał gości na obiedzie. Pani Crupp oświadczyła gotowość zajęcia się wszystkim, lecz dodała też, że będzie potrzebowała pomocy i właśnie zna „sprytnego” chłopaka, który podejmie się pomagać za pięć szylingów. Zgodziłem się na to. Następnie pani Crupp oświadczyła, że nie podobna<sup>258</sup> jej będzie rozerwać się (miała słuszność) i potrzebuje pomocnicy, która przy lampie w przedpokoiku będzie zmywać talerze. Spytałem, ile pomoc ta kosztować będzie. Z osiemnaście pensów. I na to zgoda. A teraz co do obiadu.

Piec kuchenny u pani Crupp tak był właśnie zbudowany, że można tylko było smażyć na nim kotlety i kartofle. O rybie ani myśleć. Mogłem się naocznie przekonać, gotowa mi była pokazać. Wiedząc, jak mało posiadam w tej mierze doświadczenia, wolałem się naocznie nie przekonywać i wyrzekłem się ryby. Pani Crupp wymieniła ostrygi. Zgoda na ostrygi. Pani Crupp pozwoliła sobie zauważyć, że zadysponowałyby, jeśliby ją o to pytano, jak następuje:

Parę pieczonych kaczek na gorąco — tuż na rogu była dobra restauracja — rostbef z jarzynami z restauracji, pasztet i cynadry też z restauracji, wreszcie tort lub galareta do wyboru — z cukierni. W domu zaś ugotowałyby się kartofle i pani Crupp zajęłaby się starannie trunkami i serem.

<sup>257</sup> *konsystorz* — w kościołach protestanckich: rada stojąca na czele diecezji lub kościoła, zajmująca się m.in. rozstrzygnięciem sporów; w kościele katolickim: kuria biskupia, m.in. orzekająca unieważnienia małżeństw. [przypis edytorski]

<sup>258</sup> *nie podobna jej będzie* (daw.) — nie będzie dla niej możliwe (aby...). [przypis edytorski]

Zgodziłem się w zupełności na poddaną mi myśl i poszedłem do restauracji zamówić obiad na szóstą. Przechodząc, dostrzegłem na wystawie jakąś masę podobną do kawałka marmuru, przy niej kartkę z napisem: „zupa żółwiowa”. Kupiłem całą tabliczkę, która, jak się później dowiedziałem, starczyć mogła na piętnaście osób. Zupę tę po niejakich trudnościach pani Crupp zgodziła się nam ugotować, ale po ugotowaniu ubyło zupy tak dalece, że nie było się czym obdzielić!

Kupiłem na rynku owoców na deser i zamówiłem wino. Wróciwszy po południu do domu, zastałem w przedpokoju cały szereg butelek, Brakowało dwóch wprawdzie, na co się głośno uskarżała gospodyni, lecz i to, co zostało, wydawało mi się więcej niż dostateczne.

Jeden z towarzyszy Steerfortha nazywał się Grainger, drugi Markham. Obaj byli weseli i żwawi. Pierwszy nieco starszy od Steerfortha, drugi młodszy, zaledwie dwudziestoletni. Mówiąc, nie używał nigdy zaimka w pierwszej osobie, zastępując go wyrażeniem „człowiek”.

— Człowiekowi miło by tu było mieszkać, panie Copperfield — rzekł, rozglądając się po moim mieszkanku i mając samego siebie na myśli.

— Istotnie — rzekłem — zadowolony jestem z mego położenia, mieszkanko przyjemne.

— Spodziewam się, że jesteście przy apetycie — zauważył Steerforth.

— Na honor! — odrzekł Markham. — Miasto pobudza wilczy apetyt. Człowiek jadłby od rana do nocy.

Będąc nieco zaambarasowanym i poczuwając się za młodym do tego, uprosiłem Steerfortha, aby raczył zająć pierwsze u stołu miejsce i czynił honory, sam zaś usiadłem naprzeciw niego. Wszystko szło dobrze. Nie oszczędziliśmy wina, a Steerforth tak był ożywiony, świetny, że ucztą szła wybory trybem, ja tylko nie oddawałem się wesołości z zupełną, jak tego pragnąłem, swobodą, gdyż siedząc naprzeciw drzwi, widziałem, że „sprytny”, jak go gospodyni rekomendowała, chłopak ginął co chwila, a na ścianie przedpokoju cień jego zarysowywał się z przyłożoną do ust butelką. Co do „pomocnicy”, ta przejawiała niejakie roztartnienie, nie dlatego, że bardzo niestarannie zmywała talerze, ale że je tłukła niemiłosiernie. Ciekawa była przy tym i wszędobylska, zamiast oddawać się myciu naczyń, zaglądała ustawicznie do bawialnego pokoju, drepcząc po szczątkach pobitych naczyń.

Była to wprawdzie odwrotna strona medalu, lecz na ogół bawiliśmy się wybornie. Gdy zdjęto obrus i podano deser, „sprytny chłopak” nie mógł już języka obrócić w gębie. Odprawiwszy go wraz z „pomocnicą” do pani Crupp, oddałem się bez reszty towarzystwu.

Wesoł byłem, z lekkim sercem. Przypominało mi się tysiące na wpół zapomnianych, teraz na usta cisnących się rzeczy. Rozgadałem się na dobre. Sam się śmiałem z własnych dowcipów, a inni wtórowali mi. Zalecałem Steerforthowi, aby dolewał towarzyszom wina, obiecywałem przybyć do Oksfordu i wydawać co tydzień, regularnie co tydzień podobne temu obiady. Zapaliłem nawet podane mi przez Graingera cygaro, co w krótkim czasie zmusiło mnie do opuszczenia na czas jakiś towarzystwa. Odkorkowywałem butelki, zanim uprzednie były wypróżnione. Wzniosłem toast na cześć Steerfortha. Był on moim najlepszym, najukochańszym przyjacielem, podporą lat dziecięcych, szkolnym towarzyszem. Miło mi było pić za jego zdrowie. Wyznawałem, że mu winien więcej wdzięczności, niż wyrazić zdołam. Uwielbienie moje dla niego nie znało granic. Skończyłem wołając: „Niech żyje Steerforth! Niech żyje!”.

Uściskaliśmy się raz, drugi i trzeci. Trącając się kieliszkami, zbilem swój i wylałem wino. Język mi się plątał.

Ktoś śpiewał? Aha! Markham: „Gdy serce boli, gdy boli!”. Skończywszy piosenkę, zdecydował, że pora dać coś i „kobiecie”. Oparłem się. Nie chciałem wnosić<sup>259</sup> tego nie dość rycerskiego toastu, chciałem, aby pod moim dachem każdy ułamek płci słabej uczczony był mianem „damy”. Podnosiłem głos. Zachęcały mnie uśmiechy Steerfortha i Graingera. Markham oburzył się. Nie, nie pozwoli człowiek dawać sobie lekcji, człowiek wyszedł ze szkół, człowiek nie może znosić podobnego despotyzmu. Odpowiedziałem, że musi znosić, na co on znów odrzekł, że człowiek nie pozwoli sobie ubliżać. Przyznałem, że ma słuszość, przypomniałem sobie, że się znajduje pod moim dachem i wezwałem na

<sup>259</sup>wnosić toast — dziś raczej: wznosić toast. [przypis edytorski]

świadków mej gościnności wszystkie starożytnym i nowożytnym ludom znane domowe bogi. Odrzekł mi na to, że człowiek zmuszony jest przyznać, że pocziwy z kośćmi chłopak. Trąciliśmy się kieliszkami.

Ktoś zapalił cygaro. Próbowaliśmy znów palić, wzdrygając się cały. Steerforth wniósł moje zdrowie i palnął mówkę, która mnie do łez rozczuliła. Dziękowałem, wyrażając błogą nadzieję, że przezacne towarzystwo raczy nazajutrz przyjąć znów u mnie obiadek. Czemu tylko nazajutrz? Czemu nie co dzień, co dzień o piątej, żeby mieć więcej czasu na miłą poobiednią gawędkę. Gdy mnie spytano, a może i nie spytano, kogo mógłbym zacytować jako wzór wszystkich niewieścich doskonałości, wymieniłem bez wahania ciotkę swą — pannę Betsey Trotwood.

Pamiętam, że ktoś chłodził rozpalone czoło u okna w moim sypialnym pokoiku. Czy to nie ja sam byłem czasem? Mówiłem sam do siebie, nazywając się po nazwisku: „Copperfieldzie, chciało ci się palić, niby nie wiesz, że ci to szkodzi”. Ktoś tam znów nie mógł poznać sam siebie w lustrze. Czy to nie ja sam byłem czasem? Byłem błąd jak trup, oczy mi błyszczały i tylko włosy, same włosy tylko musiały podpić.

Ktoś zaproponował: „jedźmy do teatru”. Nie, nie byłem w sypialnym swym pokoju, lecz za stołem z butelkami i kieliszkami. Lampa paliła się jasno. Po prawej ręce siedział Grainger, Markham po lewej, Steerforth naprzeciw, gdzieś w oddaleniu, lecz wszystko było w porządku. Do teatru! Myśl wyborna! Jedźmy. Wyjdę ostatni i zgaszę lampę... wiecie... pożary.

Po ciemku drzwi niełatwo dały się znaleźć. Uchylałem ciągle firanki u okna, aż wreszcie Steerforth ujął mnie<sup>260</sup> pod ramię i wywiódł<sup>261</sup>. Schodziliśmy tak ze schodów jeden za drugim. Na dole już prawie ktoś się potknął, stoczył się. Ktoś inny zauważył, że to pewno Copperfield. Rozgniewałem się za oszczerstwo, lecz czując, że leżę na ziemi, zacząłem przypuszczać, że jest w tym może nieco prawdy.

Noc była mglista. Wielkie tęczowe koła wokół lamp. Jedni utrzymywali, że deszcz pada, co do mnie — gotów byłem przysiąc, że jest mróz. Pod latarnią kochany Steerforth poprawił mi kapelusz i przyglądał włosy, mówiąc: „teraz już dobrze”. Dziękowałem mu, bełkocąc.

Człowiek jakiś, zamknięty w klatce, wyłonił się z mgły, prosząc o zapłatę i pytając z pewnym powątpiewaniem, czy i mnie ma wydać bilet. Najpewniej. Znaleźliśmy się w teatrze. Duszno było, gorąco jak w łaźni, lampy wydały mi się zadymione i w dymie tym, pomimo że było bardzo jasno, nie podobna<sup>262</sup> było rozróżnić natłoczonych ludzkich twarzy. Na scenie mówiono coś, krzyczano, śmiano się. Wszystko to zlewało się w niewyraźne szmery. Muzyka grzmiała, a łoże wypełnione były damami. Zdawało mi się pomimo to, że gmach cały kołysze się, pływa wraz ze mną. Próżno usiłowałem zatrzymać się w miejscu.

Ktoś zaproponował, abyśmy wyszli na korytarz, na który wychodziły łoże. Ujrzałem kogoś na sofie z lornetką w ręku, a potem moją własną postać odbiło zwierciadło. Nie wiem już, jak i dlaczego wszedłem do jednej z łóż, bełkocąc coś niewyraźnie. Ktoś zawołał: „ciszej!”. Panie obejrzały się zdziwione, wystraszone i... o nieba! Ujrzałem Agnieszkę, w tejsze samej właśnie, do której wszedłem, łoży siedzącą pomiędzy niemłodą damą i nieznanym mi dżentelmenem. Patrzała na mnie — widzę to teraz lepiej zapewne, niż widziałem wtedy — ze smutnym zdumieniem.

— Agnieszko! — wybełkotałem. — Jak Boga kocham...

— Ciszej! — odrzekła poważnie. — Zwracasz na siebie uwagę. Patrz na scenę.

Starłem się zastosować do jej żądania, skupić uwagę. Próżno. Głowa mi opadała. Zauważyłem, że Agnieszka cofa się w sam kącik łoży i dłoń w rękawiczce podnosi do czoła.

— Agnieszko! — bełkotałem. — Możem cię prze... a... stra... szyl... aszy...

— Tak, tak — odrzekła szybko — ale nie o mnie tu idzie, Trot. Wyjdź lepiej.

— Wyjdź... dź... piej... le...

— O tak.

<sup>260</sup>mię — daw. forma zaimka osobowego w pozycji nieakcentowanej w zdaniu; dziś jednolita forma: mnie. [przypis edytorski]

<sup>261</sup>wywieść (daw.) — wyprowadzić. [przypis edytorski]

<sup>262</sup>nie podobna było (daw.) — nie było możliwe; nie można było. [przypis edytorski]



Chciałem powiedzieć, że zaczekam na nią w korytarzu, i musiałem coś podobnego belkotać, bo popatrzała na mnie i cicho uprzednią ponowila prośbę.

— Wiem, że mię posłuchasz, kochany Trot! — mówiła. — Wyjdź stąd i jeśli mię lubisz, poproś przyjaciół, którzy cię tu przywiedli, by cię odwieźli do domu.

Tak wielką miała nade mną przewagę, że chociaż rozgniewany byłem w tej chwili, pożegnałem ją natychmiast i wyszedłem z łoży. Wkrótce znalazłem się we własnym swym sypialnym pokoju. Steerforth sam został ze mną i pomagał mi rozebrać się, a ja tymczasem zaklinałem się na wszystkie bogi, że Agnieszka jest moją siostrą i szukałem grajcara<sup>263</sup>, by nowe odkorkować butelki.

Teraz ktoś leżał w moim łóżku noc całą, mającąc pomiędzy gorączkowym snem i gorączkowym czuwaniem. Pomału, pomału ów ktoś zamieniał się we mnie samego. Zdawało mi się, że fale podzucają mnie wraz z pościelą. Skóra moja wydała mi się twarda i spieczona, język ciężki jak serce rozbitego dzwonu. Rozpalone do czerwoności dłonie nie dałyby się ostudzić nawet lodem, wydawały mi się rozżarzonymi płytami żelaza.

Wszystko to niczym jednak w porównaniu z rozpaczą, wstydem, wyrzutami sumienia, jakie mnie ogarnęły nazajutrz.

Brzydziłem się sobą i tymi bezceństwami, które popełnić musiałem, a których nie pamiętałem nawet i odwołać nie mogłem. A to spojrzenie Agnieszki! I nie mogłem się nawet z nią zobaczyć, przeprosić jej, przebłagać. Takie ze mnie było bydlę, że nawet jej nie spytał, kiedy przybyła do Londynu i gdzie zamieszkała! Ohydny wydały mi się pokoje, w których wczoraj bankietowaliśmy tak wesoło. W głowie mi się kręciło jeszcze, powietrze nasiąkło dymem cygar, po stołach i podłodze wały się resztki biesiady. Ani wyjść, ani podnieść się z łóżka! Dzień to był piekielny.

A wieczór! Smętnie spożywałem zastygły w swym tłuszczu barani kotlet, rozmyślając, czy tak jak były lokator smutnego tego mieszkanka mam skończyć marnie. Lepiej może byłoby udać się wprost do Dover i wszystko wyznać ciotce? Co za wieczór! Gdy pani Crupp, przyszedłszy po półmisek, przyniosła nerkę na talerzyku od sera, jako całą pozostałość wczorajszego bankietu, była chwila, że o mało nie rzucił się jej na szyję, wołając z płaczem: „Pani Crupp! O, pani Crupp! Zapomnij o tym bezceństwie”. Tylko że w tym wielkim nawet rozżaleniu powątpiewałem, czy gospodyni nie zawiedzie mego zaufania.

## ROZDZIAŁ XXV. DOBRE I ZŁE ANIOŁY

Nazajutrz rano po tym okropnym dniu wstydu, wyrzutów sumienia i bólu głowy wychodziłem właśnie z domu, z niejasnym wspomnieniem owego nieszczęsnego bankietu — zdawało mi się bowiem, jakoby wojsko tytanów dzień ten usunęło było w odległą gdzieś przeszłość — gdy u drzwi spotkał posłańca z listem w ręku. Wchodził leniwo na schody i dopiero zobaczywszy mnie, przyspieszył kroku.

— T. Copperfield, Esquire<sup>264</sup>? — rzekł, dotykając kapelusza.

Pewien byłem, że to jest list od Agnieszki. Wyciągnąłem rękę, oddał mi go, mówiąc, że kazano przynieść odpowiedź. Zostawiłem posłańca na schodach, sam zaś wróciłem do swego pokoju, lecz tak byłem wzruszony, że upłynęło chwil kilka, zanim mogłem list odpieczętować.

Była to przyjacielska kartka bez najlżejszej wzmianki o onegdajszym<sup>265</sup> spotkaniu w teatrze. Oto jak brzmiała:

Kochany Trotwood!

Jestem w Londynie, w domu pełnomocnika mego ojca, pana Waterbrook, Ely Place, Holborn. Może byś mnie dziś odwiedził, czekać cię będę dzień cały.

*Szczerze cię kochająca Agnieszka.*

<sup>263</sup>grajcar (daw.) — korkociąg. [przypis edytorski]

<sup>264</sup>Esquire — tytuł grzecznościowy: Wielmożny Pan. [przypis edytorski]

<sup>265</sup>onegdajszy (daw.) — przedwczorajszy. [przypis edytorski]

Tyle mi czasu zabrała odpowiedź na tę kartkę, że nie wiem, co sobie o tym myślał posłaniec. Zapewne posądzić mnie musiał, że się dopiero uczę pisać. Zaczynałem ze sześć razy i ze sześć podarłem listów. Raz zacząłem: „Czy potrafią kiedy, droga moja Agnieszko, zatrzeć z twojej pamięci wrażenie...”. Po chwili podarłem ćwiartkę papieru z tym początkiem i zacząłem na nowo: „Shakespeare zauważył już, jak często człowiek własnym bywa wrogiem...”. I to mnie nie zadowoliło. Próbowałem nawet wiązanej bogów mowy: „Wykreśl z pamięci i serca!...”. Nie, nie szło mi jakoś. Po wielu próbach oto na co się zdobyłem:

Droga Agnieszko!

List Twój godny Ciebie, większą pochwałą obdarzyć go nie mogę. Więcej ci powiedzieć nie mogę. Przyjdę o czwartej.

*Przywiązany i zawstydzony T. C.*

Tę to kartkę — o mało żem go z ulicy nie odwołał — posłaniec poniósł: Ely Place, Holborn.

Jeśli był jeszcze ktoś dnia tego w Commons, komu się czas o połowę wydawał tak długi jak mnie, żałuję go serdecznie. Chociaż wyszedłem już o wpół do trzeciej i szybkim krokiem zbliżałem się do Ely Place, czwarta wybiła dawno na zegarze św. Andrzeja, zanim zdecydowałem się zadzwonić do drzwi mieszkania pana Waterbrook.

Kancelaria pana Waterbrook znajdowała się na dole, prywatne zaś jego mieszkanie na piętrze. Wprowadzono mnie do eleganckiego, lecz małego saloniku. Zastałem tam Agnieszkę z robótką w ręku.

Była tak dobra, szczerza i pobłażliwa, tak mi się żywo przypomniały szkolne czasy, kilka lat spędzonych pod jednym z nią dachem, taki mnie ogarnął wstyd i żal, żem się po prostu rozplakał i po dziś dzień nie potrafiłbym powiedzieć, czym się z trudnego zadania wywiązałem w ten sposób najrozumniej czy najśmieszniej.

— Gdyby mnie widział w tym oplakany stanie kto inny — mówiłem, odwracając głowę — mniej by to mnie bolało, ale ty właśnie! Wolalbym umrzeć!

Położyła dłoń na moim ramieniu. Dotknięcie jej inne było niż wszystkie inne dotknięcia. Taka mię przepęniała wdzięczność, że ująłem jej rękę i do ust podniosłem.

— Usiądź i uspokój się — mówiła łagodnie. — Komu zaufasz, jeśli nie mnie?

— Ach! Agnieszko! — odrzekłem. — Jesteś moim dobrym aniołem.

Uśmiechnęła się smętnie i potrząsnęła głową.

— Tak, Agnieszko, dobrym moim aniołem, aniołem stróżem.

— Jeśliby tak było istotnie — rzekła — chciałabym wymóc na tobie rzecz jedną.

Spojrzałem na nią pytająco, chociaż domyślałem się, o co idzie.

— Ostrzegłabym cię — mówiła z powagą — przeciw twemu złemu duchowi.

— Jeśli rozumiesz przez to Steerforth... — zacząłem.

— Nie inaczej — potwierdziła.

— Nie znasz go i krzywdzisz srodze! Moim lub czymkolwiek złym duchem, on, przyjaciel mój, podpora, przewodnik! Pomyśl tylko, kochana Agnieszko, czy możesz w swej szlachetności potępić go tylko na podstawie mego onegdajszego bezceństwa.

— Nie na tym też tylko zdanie me opieram — odrzekła spokojnie.

— Na czym więc?

— Na wielu, drobnych z pozoru, spostrzeżeniach, które razem wzięte wcale niepochlebne na niego rzucają światło. Po części na tym, coś mi sam niejednokrotnie o nim opowiadał, po części na własnym twym charakterze, wpływie, jaki na ciebie wywiera.

W głosie jej było zawsze coś, co mnie wzruszało i zdawało się wywoływać w głębi duszy zawsze gotowe odpowiedzieć jej echo. Patrzałem na nią. Oczy miała spuszczone nad robotą. Patrzałem na nią i słuchałem, chociaż przestała już mówić, a Steerforth, pomimo całego mego przywiązania, bladł mi i ciemniał w sercu i myśli.

— Może to zbyt zuchwale z mej strony — ciągnęła, podnosząc oczy. — Żyłam dotąd tak na ustroniu, tak mało miałam sposobności, by poznać świat i ludzi, że nie mam może prawa ostrzegać cię i wypowiadać tak stanowczo mego zdania. Ale to wypływa, Trot, z mojej przyjaźni dla ciebie, z tego, żeśmy wzrosli, wychowali się razem, i nic z tego, co

ciebie dotyczy, nie może mi być obojętne. To mnie ośmiela. Zresztą pewna jestem tym razem, że mam słuszność. Najbardziej pewna. Coś mi mówi, że obowiązkiem moim jest ostrzec cię przed niebezpieczeństwem tej przyjaźni.

Znów spojrzałem na nią, słuchając, gdy już mówić przestała, i znów obraz przyjaciela bladł mi i ciemniał w duszy.

— Nie, nie jestem tak nierozsądna — rzekła po chwili — aby się spodziewać, że za lada moim ostrzeżeniem wyrwiesz z serca uczucia wypływające z twej kochającej, ufnej natury. Nie chciałabym nawet, aby tak być mogło! Proszę cię tylko i zaklinam, abyś, jeśli kiedy pomyślisz o mnie...

Uśmiechnęła się, gdyż wyczytała z moich oczu, czym chcę jej przerwać.

— ...jeśli kiedy lub raczej za każdym razem, gdy pomyślisz o mnie — ciągnęła — przypomniał sobie, co ci dopiero mówiłam. Wszak mi to przebaczasz?

— Przebaczę ci, droga Agnieszko, gdy wymierzysz sprawiedliwość Steerforthowi i ocenisz go tak, jak ja go cenię i jak na to w zupełności zasługuje.

— Wówczas dopiero? — rzekła.

Zdawało mi się, że po czole jej jakaś przemknęła chmurka, lecz na uśmiech mój odpowiedziała uśmiechem i czułem, że wróciło między nas całe nasze dawne obopólne zaufanie.

— A kiedy ty mi, droga moja, przebaczysz onegdajszy wieczór? — spytałem.

— Gdy go sobie przypomnę — odrzekła.

Wymijała rozmowę o tym, lecz sprawa ta cała bardzo ciążyła mi na sercu, opowiedziałem jej więc długo i szeroko, co i jak spowodowało straszny i hańbiący ten mój upadek. Spowiedź przynosiła mi pewną ulgę, pozwalając nadto wystawić w całym świetle dobroć Steerforth, starania, jakimi mnie otoczył, gdy stracił był przytomność.

— A czy pamiętasz, Trot — spytała wesoło, zmieniając przedmiot rozmowy — żeś mi obiecał spowiedź nie tylko ze swych zmartwień i upadków, lecz i ze spraw serdecznych? Kto zastąpił w twym sercu pannę Larkins?

— Nikt, Agnieszko!

— O, nie oszukasz mię!

— Zapewniam cię, że nikt. Jest wprawdzie osoba, mieszka u pani Steerforth, z którą lubię rozmawiać niesłychanie, nie jestem jednak zakochany w pannie Dartle.

Agnieszka śmiała się i chwaliła swą przenikliwość, utrzymując, że jeśli pozostanę wierny danemu jej słowu i zwierzać się będę ze wszystkich swych słabostek, to wkrótce ich spis urośnie do niebywałych rozmiarów. Z kolei spytała mnie, czy widuję Uriaha.

— Uriaha Heep? — spytałem. — Nie widziałem go. Czyżby był w Londynie?

— Przybył tu na tydzień przede mną, codziennie przychodzi na dół, do kancelarii pana Waterbrooka — mówiła Agnieszka. — Jestem niespokojna o niektóre interesy ojca — dodała po chwili.

— Cóż by to być mogło? — spytałem.

Odłożyła na bok robotę i składając na kolanach ręce, zwróciła na mnie piękne swe, zadumane oczy.

— Sądzę — rzekła powoli — że Uriah zamierza wstąpić do spółki z mym ojcem.

— Co?! Uriah?! — zawołałem oburzony. — Jakimż<sup>266</sup> pochlebstwem, jaką nikczemnością mógł się wśliznąć na podobne stanowisko? Czyś się nie starała przekonać ojca? Oplakane mogą wyjść z tego następstwa! Nie powinnaś do tego dopuścić, musisz zapobiec, dopóki czas jeszcze!

Patrzyła na mnie smutno, kiwając głową, z cichym jakimś i cierpliwym uśmiechem.

— Pamiętasz — rzekła — naszą ostatnią rozmowę o ojcu? Wkrótce jakoś potem, we dwa, trzy dni może, po raz pierwszy nadmienił mi coś o tym. Bolesnie było patrzeć na widoczną walkę, jaką w sobie staczał, chcąc przedstawić mi rzecz tę jako wynik własnego wyboru, gdy wszystko wskazywało, że ojciec ulega raczej jakiejś konieczności.

Zasmuciłem się bardzo.

— Konieczności, mówisz? Któż go mógł przymuszać?

<sup>266</sup>jakimż — forma z partykułą wzmacniającą -że, skróconą do -ż. [przypis edytorski]

— Kto? Uriah! — odrzekła ciszej, po chwili wahania. — Stał się niezbędnie ojcu potrzebny. O! Sprytny, baczny, opanował słabe strony ojca, wyzyskał je, stał się panem sytuacji. Wiesz, co ci powiem, Trot? Ojciec boi się go.

Było w tym więcej prawdy, niż przypuszczać mogła. Wiedziałem o tym, domyślałem się, w czym rzecz, i nie chciałem jej zasmucać pytaniami. Wiedziałem, że pragnie oszczędzać ojca. Od dawna wiedziałem, na co się zanoszą. Milczałem.

— Wpływ jego na ojca — ciągnęła Agnieszka — jest ogromny. Udaje pokorę i wdzięczność, wdzięczny jest może istotnie, nie chcę go posądzać o podobną przewrotność, a w rzeczy samej dzierży władzę i nadużywa swego wpływu.

Psem go nazwałem dla ulżenia sobie.

— W czasie, o którym wspomniałam dopiero — ciągnęła Agnieszka — wówczas kiedy mi ojciec po raz pierwszy o tym nadmienił, utrzymywał, że odejdzie od nas z bólem serca, zmuszony lepszymi widokami, które mu się przedstawiają. Zmartwiło to ojca niesłychanie. Nie uwierzysz, jak był przybity, pocieszył się dopiero tym projektem spółki, chociaż z początku zdawał się być nim zdziwiony i upokorzony!

— I cóż ty na to, Agnieszko!? — spytałam.

— Robiłam, co mi się zdawało moim obowiązkiem, uważając, że to uspokaja ojca, zachęcałam go do tego kroku, uważałam, że mu to ujmie pracy i mnie pozwoli być z nim częściej i dłużej, ale... O! Trotwood! Teraz mi się zdaje, że niechcący namawiała ojca na zgubę, ja, rodzona jego, ukochane dziecię! Wiem, jak mnie kocha. Widzi we mnie jedyną swą pociechę, jedyny cel życia. Wiem, jak wiele rzeczy skrywa przede mną, na bok uchyla, nie chcąc mnie smucić. Wiem, że troska o mnie zachmurza mu często czoło, osłabia energię, denerwuje. O, gdybym go mogła podtrzymać! A tymczasem niechcący doprowadziłam go do tego wszystkiego.

Po raz pierwszy widziałem Agnieszkę płaczącą. Wprawdzie kręciły się jej łzy w oczach, gdy przynosiłem nagrody i pochwały ze szkoły, gdyśmy mówili o jej ojcu, gdyśmy się na czas dłuższy rozstawali, lecz takiego wybuchu żalu, rozpaczony niemal, nie widziałem nigdy, toteż zmartwiony, nie wiedząc, jak ją pocieszyć, powtarzałem tylko:

— Nie płacz, Agnieszko! Kochana moja siostrzyczko!

Tak dalece górowała nade mną charakterem i silną wolą, że nie potrzebowała długich pociech. Opanowała gwałtowny wybuch żalu. Po kilku chwilach wrócił jej spokój, którym się odznaczała. Zdawało się, jakoby po przelotnej chmurce niebo się znów wypogodziło.

— Niedługo już zapewne będziemy tak sami z sobą — rzekła — a póki mam czas, chcę cię prosić, abyś był życzliwy dla Uriaha. Nie odpychaj go, nie odtrącaj dlatego, że wasze wrodzone skłonności są tak odmienne. Kto wie, może na to nie zasłużył, może wstręt nasz jest niesłuszny. Nie złowiliśmy go przecie dotąd na żadnym złym uczynku. Bądź dla niego pobłażliwszy przez wzgląd na ojca i na mnie.

Zaledwie to wyrzekła, wtoczyła się do pokoju pani Waterbrook, szeroka czy tylko w szeroką suknię ubrana, nie potrafię tego powiedzieć, gdyż nie umiałem wówczas odróżnić sukni od kobiety, pamiętałem tylko niejasno, niby w jakimś kalejdoskopie, że ją był widział w teatrze. Co do niej, zdawała się przypominać mi sobie doskonale i posądzać, że jeszcze nie wytrzeźwiał. Przekonawszy się jednak, że jestem trzeźwym i — tak sobie tuszę — nader skromnym młodzieńcem, udobruchała się, pytając po pierwsze, czy uczęszczam na spacer, po wtóre, czy bywam w towarzystwie. Negatywna moja odpowiedź na oba te pytania zachwiała znów dobre jej o mnie mniemanie. Nie okazała mi jednak tego, owszem, zaprosiła mnie uprzejmie na obiad na dzień następny. Podziękowałem i pożegnałem obie panie. Przechodząc, wstąpiłem do kancelarii na dole, pytając o Uriaha. Nie zastawszy go, zostawiłem bilet.

Gdy przyszedł nazajutrz na obiad, taki mnie z otwartych drzwi do kuchni uderzył zapach baraniny, że się domyśliłem, iż nie sam tylko jestem zaproszony. W przedpokoju spotkał mnie i zaanonsował przebrany za lokaja posłaniec. Wyglądał, jak gdyby widział mnie dopiero pierwszy raz w życiu, poznał mnie jednak niewątpliwie, tak jak ja go poznałem od razu. Żaden jednak z nas tego po sobie nie pokazał.

Pan Waterbrook był to dżentelmen w średnim wieku, z krótką szyją wyłaniającą się z szerokiego białego kołnierza, a brakowało mu tylko czarnego nosa i łebka dla skończonego podobieństwa z mopsem. Powiedział mi, że się czuje nader zaszczycony poznaniem

mnie, a gdym powitał pana Waterbrook, przedstawił mnie pysznej jakiejś damie w czarnej aksamitnej sukni i czarnym czepcu, należącej niewątpliwie do rodziny nieboszczyka Hamleta<sup>267</sup>; mogła być jego ciotką.

Dama ta, pani Spiker z nazwiska, była żoną człowieka tak chłodnego, że siwa jego głowa zdawała się być obsypana szronem. Wszyscy mu okazywali niesłychane uszanowanie. Agnieszka mówiła, że był prokuratorem, nie wiem już gdzie, Skarbu, zdaje mi się.

Pomiędzy zaproszonymi zastałem Uriaha Heep. W czarnym fraku, pokorniejszy zdawał się być niż kiedy bądź. Dziękował mi, gdym go witał, za pamięć łaskawą, zapewniając o swej wdzięczności za taką względność<sup>268</sup>. Wdzięcznością tą prześladował mnie wieczór cały i za każdym razem, gdym się zbliżał do Agnieszki, pewien byłem, że dostrzegę cień jego za naszymi plecami.

Było jeszcze więcej gości, wszyscy sztywni i chłodni jak zamrożony szampan. Jeden zwrócił szczególną moją uwagę, zanim wszedł jeszcze i skorom usłyszał jego nazwisko: „Traddles!”

Żywo mi się przypomniała szkoła w Salem House. Czyżby to był Tomcio, autor diabeków i kościotrupów?

Patrzałem na wchodzącego z niezwyklejącym zajęciem. Poważny i nieśmiały młodzieniec, z olbrzymią czupryną i szeroko rozwartymi oczyma, zaszył się w najciemniejszy kąt, tak, że mi się nie mógł mu z początku dobrze przypatrzeć. Gdy mi się to udało, nie wątpię, że jest to istotnie Tomcio.

Poszedłem do pana Waterbrook, mówiąc mu, że spotkał pod jego dachem szkolnego towarzysza.

— Doprawdy! — zawołał zdziwiony. — Byłeś pan w szkołach z panem Henrym Spikerem?

— Bynajmniej — odrzekłem. — Nie jego to mam na myśli, lecz dżentelmena nazwiskiem Traddles.

— Tak! Tak! — rzekł o wiele obojętniej gospodarz. — Bardzo być może.

— Jeśli się nie mylę — mówiłem, spoglądając na Tomcia — byliśmy razem w Salem House. Poczciwy to był chłopak.

— Zapewne — mówił, potakując obojętnie głową, gospodarz domu — zapewne, poczciwy chłopak!

— Ciekawe doprawdy spotkanie — zauważyłem.

— Zapewne, ciekawe wydarzenie, że się tu właśnie znalazł dziś Traddles, zaproszony dopiero przed kilku godzinami, dla zajęcia miejsca brata pani Spiker, który właśnie zasnął. Niepospolity to człowiek brat pani Spiker, upewnić o tym pana mogę, panie Copperfield.

Zgodziłem się na to chętnie, tym chętniej, że nie znał tego jegomościa, spiesząc spytać, czym się pan Traddles zajmuje.

— Traddles — odrzekł pan Waterbrook — jest młodzieńcem przygotowującym się do adwokatury. Ta-a-k! Poczciwy chłopiec, tylko że sam sobie jest wrogiem.

— Sam sobie wrogiem? — spytałem zasmucony.

— Zapewne — mówił pan Waterbrook, wydymając usta i bawiąc się od niechcenia dewizką od zegarka. — Przekonany jestem, że nigdy nie dojdzie do pięciuset, na przykład, funtów szterlingów. Był mi polecony przez pewnego koleżkę. O, tak, posiada pewne zdolności, dobrze przepisuje akty, wcale kaligraficznie, toteż znajdzie się tam coś dla niego z czasem.

<sup>267</sup> *Hamlet* — dramat Williama Shakespeare’a (1564–1616) oraz imię jego głównego bohatera, królewicza Danii. Treścią sztuki są dylematy moralne Hamleta, którego duch zamordowanego ojca wzywa do zemsty na zabójcy, stryju Klaudiuszu, który poślubił żonę swej ofiary, a matkę Hamleta, królową Gertrudę (takie związki uznawane były w XVI/XVII w. w Anglii za kazirodztwo). Sztuka powstała ok. 1600 r., jej akcja dzieje się w nieokreślonych czasach, jednakże „dawno”; opowieść, adaptowana na scenę również wcześniej, przed mistrzem ze Stratfortu, opiera się na zapisach w kronice *Gesta Danorum* Saxo Gramatyka (1140/50–1220/30), duńskiego historyka, sekretarza biskupa Absalona, blisko związanego z władcami Danii i wpływającego na rządy kraju. Do jakiegokolwiek możliwej epoki by się odwoływać: ciotka Hamleta w XIX w. musiałaby być niezwykle wiekową osobą. [przypis edytorski]

<sup>268</sup> *względność* (daw.) — delikatność, uważność; postępowanie biorące pod uwagę czyjeś upodobania, czule strony itp. [przypis edytorski]

Uderzony byłem spokojem i wyniosłością, z jaką pan Waterbrook wygłaszał pochwałę Tomcia, a zwłaszcza z jaką wymawiał słowo „z czasem”! Ile w tym jednym słowie było wyrazu! Rzekłbyś, człek urodzony w czepku, który bez najmniejszego wysiłku wspiął się na najwyższe społeczne szczeble, by ze szczytów spoglądać dobrotliwie na zwykłe ludzkie padoly.

Rozmyślałem o tym właśnie, gdy poproszono do stołu. Pan Waterbrook podał ramię Hamletowej ciotki, pan Henry Spiker pani Waterbrook, Agnieszka, która by chętnie zapewne mnie wybrała, poszła z jakimś szczuplutkim głuptaskiem; Uriah, Traddles i ja, jako młodzi w towarzystwie, pozostawieni zostaliśmy sami sobie. Chociaż mnie zasmuciła strata Agnieszki, pocieszyłbym się odnowieniem znajomości z Traddlesem i już miałem to uczynić, gdy mi na drodze stanął Uriah. Posłałbym go, gdybym mógł, do stu diabłów.

U stołu siedzieliśmy z dala od siebie, na dwóch różnych końcach: Traddles w pobliżu jakiejś damy w czerwonej sukni, ja w cieniu Hamletowej ciotki. Obiad był długi, rozmowa toczyła się wyłącznie o arystokracji i wysoce urodzonych. Pani Waterbrook zapewniała po kilkakroć, że „urodzenie” stanowi jedyną jej słabość.

Przychodziło mi wprawdzie na myśl, że byłoby nam swobodniej i weselej, gdybyśmy się nie silili na tyle dystynkcji. Tak dalece byliśmy dystygowani, że to w szczególniejszy sposób wszystkim zawadzać musiało. W towarzystwie znajdowali się niejacy państwo Gulpidge. Pan Gulpidge miał coś do czynienia z bankiem; bank tedy z jednej strony, izba skarbową z drugiej, nie wychodziliśmy z zaczarowanego koła. W dodatku Hamletowa ciocia posiadała familijne zamięłowania do monologów i dorywczo na własny sposób omawiała poruszone kwestie, kwestia zaś urodzenia dostarczała jej równie abstrakcyjnych, jak niegdyś nieboszczykowi Hamletowi, problemów. Tyle mówiliśmy o dobrej i czystej krwi, o krwi tylko, że łącznie mogliśmy być poczytani przez niewtajemniczonych za grono ludożerców.

— Wyznaję — mówił pan Waterbrook, podnosząc kieliszek i przypatrując się uważnie jego zawartości — że najzupełniej podzielam zdanie mej żony. Wszystko dobre, lecz nic nie wyrówna dobroci dobrej krwi.

— Nie, nie! — potwierdziła Hamletowa ciocia. — Nic bardziej zadowolici nie zdoła tkwiącej w nas potrzeby ideału, ideału w każdym względzie, że się tak ogólnikowo wyrażę. Wprawdzie niektóre poziome umysły i dusze (szczęściem niewiele jest takich) wolą schylać kolana przed... przed tym, co nazwę bałwanem. Tak! Stanowczo bałwanem, nie inaczej, przed zasługą, inteligencją i tym podobnym. Są to wszelako rzeczy nieuchwytnie, gdy tymczasem krew występuje konkretnie. Dość spojrzeć na nas, mamy ją, na kark, na brodę, mamy. Fakt dowiedziony, niezbity, palcem go można wskazać, niepodlegający wątpliwości.

Chudy głuptasek, który siedział obok Agnieszki, bardziej jeszcze stanowczo, o ile mi się zdało, rzecz tę rozwiązał.

— Och! — rzekł z głupim uśmiechem, wodząc okiem po zgromadzeniu — Na to nie ma rady, niech ją diabli porwą, lecz zrzec się krwi nie możemy, musimy mieć ją i basta! Wprawdzie niektórzy młodzi robią coś sobie z zasługi, wyrobionej w świecie pozycji, wychowania, zasad, ale to wszystko diabelnie mało warte bez krwi. Każdy z nas to wie. Dobra krew! Oho, dobra krew! Ja sam, jak mnie tu państwo widzicie, wolałbym być strącony w przepaść ręką człowieka z krwią urodzonego, niż podniesiony dłonią człowieka bez krwi i urodzenia. Niech mnie diabli porwą, jeśli mówię nieprawdę.

Takie postawienie kwestii wywołało ogólne zadowolenie, nadając podniosły nastrój rozmowie u stołu, aż do chwili odejścia pań. Po odejściu tych ostatnich zauważyłem, że panowie Gulpidge i Henry Spiker, rozdzieleni dotąd, sprzymierzają się przeciw nam, zwykłym śmiertelnikom, zamieniając przez stół tajemnicze słowa porozumienia.

— Owa sprawa — mówił pan Spiker — pierwszej wierzitelności, na cztery tysiące pięćset funtów, nie wzięła pożądanego obrotu.

— Mowa o D czy A? — spytał Gulpidge.

— C przeciw B — odrzekł pierwszy.

Pan Gulpidge uniósł brwi. Zdawał się zdumiony.

— Gdy sprawę przedstawiono lordowi... wolę go nie nazwać...

— Rozumiem, lord N.

Pan Henry Spiker skłonił głowę i ciągnął:

Krew, Pozycja społeczna,  
Wampir

Interes, Tajemnica

— ...gdy mu ją przedstawiono, odpowiedział krótko i węzłowato: „pieniądze, bezzwłocznie pieniądze”.

— Jezu Chryste! — zawołał pan Spiker.

— Bezwzględna wypłata — ciągnął stanowczo pan Gulpidge. — Następny żyrant<sup>269</sup>, ten... rozumiesz mnie pan.

— K — odrzekł ze złowieszczym spojrzeniem pan Spiker.

— K, tak! Stanowczo odmówił podpisu, nalegano nań, ale odmówił stanowczo.

Pan Spiker tak był przejęty tym, co słyszał, że skamieniał.

— Tak te rzeczy stoją dopiero — ciągnął pan Gulpidge, rozpierając się w krześle. — Przyjaciel nasz, Waterbrook, nie weźmie mi za złe, że się dłużej nad tak ważną sprawą rozwodzić nie będę.

Pan Waterbrook był zachwycony już tym, że podobną sprawę wraz z podobnymi nazwiskami omawiano pod jego właśnie dachem i u jego stołu. Przybrał minę głęboko dyplomatyczną i domyslną, chociaż gotów jestem ręczyć, że niewiele więcej od nas był wtajemniczony w całą tę zagadkową rozmowę. Pochwalał dyskrecję tych pań i panów. Pan Spiker, otrzymawszy podobne zwierzenie, pragnął okazać koledze wzajemne zaufanie i uprzednia rozmowa została tylko wstępem do dalszej, w której równie tajemnicze i nierozwikłane dla reszty słuchaczy słowa i napomknienia pogrążyły z kolei w najwyższe zdumienie pana Gulpidge, i tak dalej w nieskończoność. Przez cały ten czas, my, zwykli śmiertelnicy, zmuszeni byliśmy słuchać z zajęciem rzeczy, o których, w przybliżeniu chociażby, nie mieliśmy żadnego wyobrażenia. Gospodarz domu zaś spoglądał na nas z dumą jak na ofiary pożytecznego dla nas, jego zdaniem, podziwu i poważania.

Z radością wyrwałem się z sali jadalnej do salonu, gdzie mogłem wreszcie rozmawiać z Agnieszką i przedstawić jej szkolnego mego towarzysza, Traddlesa. Nieśmiały był, lecz przyjemny i poczciwy jak dawniej. Ze zaś odejść musiał wcześniej, wybierając się nazajutrz rano w całomiesięczną podróż, nie mogłem rozmawiać z nim do woli i tylko zamieniliśmy nasze adresy, obiecując sobie, że się zobaczymy po jego powrocie do miasta. Zajęło go niesłychanie opowiadanie o mym spotkaniu i odnowieniu przyjaźni ze Steerforthem. Mówił o nim z zapałem i pochwałami, na które zwróciłem uwagę Agnieszki. Słuchała milcząco, od czasu do czasu potrząsając tylko głową.

Ucieszyłem się, gdy mi powiedziała, że wkrótce wraca do domu, bo choć żał mi było rozstać się z nią tak prędko, z drugiej jednak strony pewien byłem, że się nie musi czuć zupełnie zadowolona z pobytu u ludzi, z którymi tak mało miała wspólnego. Chcąc korzystać nieco dłużej z jej towarzystwa, pozostałem do końca wieczoru. Rozmowa z nią, śpiew jej były dla mnie tak rozkosznym przypomnieniem przeszłości, dni spędzonych w starym, spokojnym domu jej ojca, że pozostałbym nie wiem jak długo, gdyby nie wzgląd, że za pierwszorzędnymi gwiazdami i mnie wypada zejść z horyzontu salonu państwa Waterbrook. Żegnając Agnieszkę, bardziej niż kiedykolwiek czułem, że to ona jest dobrym mym aniołem, a pogodna jej twarz i słodkie spojrzenie zdawały mi się gwiazdą przewodnią, zatloną w odległej, dobrej, zapomnieć się niedającej przeszłości.

Mówiłem już, że wyszedłem z domu państwa Waterbrook ostatni, wyłączając chyba Uriaha, który nie przestał przez wieczór cały krążyć koło mnie i Agnieszki, a teraz wyszedł wraz ze mną i idąc obok mnie trotuarem, wpychał długie swe kościotrupie palce w olbrzymie rękawiczki.

Towarzystwo jego było mi bardzo nie na rękę, lecz pamiętając prośbę Agnieszki, starałem się być uprzejmy i spytałem go, czy nie zechce zająć do mnie na filiżankę kawy.

— O! Doprawdy, panie Copperfield! — zawołał. — Jesteś pan zbyt dla mnie łaskaw! Nie chciałbym nadużywać dobroci pańskiej, narzucając mu towarzystwo mojej małuczkiej osoby.

— Nie może być mowy o narzucaniu się, skoro pana proszę — odrzekłem. — I cóż, przyjmujesz pan?

— Z największą przyjemnością — zawołał, zżymając się<sup>270</sup>.

— Idziemy więc — rzekłem.

Gość, Gospodarz, Fałsz

<sup>269</sup>żyrant — poręczyciel; osoba poręczająca za kogoś spłatę pożyczki. [przypis edytorski]

<sup>270</sup>zżymać się — denerwować się, niecierpliwic się. [przypis edytorski]

Czułem, że byłem nieco lakoniczny, zdawał się jednak nie zwracać na to uwagi. Szliśmy dalej w milczeniu, Uriah zaś tak był zajęty nakładaniem rękawiczek, że doszliśmy już do miejsca przeznaczenia, a on nie wywiązał się jeszcze z tego trudnego zadania.

Wziąłem go za rękę, wprowadzając na ciemne schody, aby uchronić od uderzenia się o cośkolwiek. Wilgotny chłód tej ręki tak był przenikliwy i przykry, iż była chwila, żem chciał ją wypuścić z mych dłoni... i uciec. Przeważyło wspomnienie Agnieszki. Dowiodłem go bądź co bądź do samego kominka. Gdym zapalił świecę, zaczął się zachwycać moim mieszkaniem, a gdym zabrał się do gotowania kawy w skromnym rondelku, w którym gotowała ją zwykle pani Crupp, zachwyty jego nie znał granic. Irytował zaś mnie on tak dalece, że z przyjemnością oparzyłbym go, gdybym mógł.

— Ach, doprawdy, panie Copperfield! — wołał. — Pan tak się dla mnie trudzi! Nie spodziewałem się nigdy podobnego zaszczytu! Bądź co bądź tyle mnie w skromnym mym położeniu spotyka niespodzianek, że sam już nie wiem doprawdy, jak za nie Niebu dziękować! Słyszał może co już pan o tym? O zmianach, jakie w skromnym moim położeniu zająć mają?

Siedział na kanapie, z kolanami podniesionymi prawie do wysokości filiżanki z kawą, wyciągając pomału z filiżanki łyżeczkę, z kapeluszem i rękawiczkami rzuconymi na ziemię, z zaczerwienionymi powiekami, których rzęsy zupełnie wypadły, z poruszającymi się za każdym odetchnięciem nozdrzami; kiwał się cały i patrzył na mnie ciągle, lecz tak, jak gdyby jednak unikał mego wzroku.

Nie, na pewno nie lubiłem go, przykro mi było, że został mym gościem. Młody, nie umiałem jeszcze panować nad wstrętem, przykro mi było zadawać uczuciom mym gwałt tak wyraźny.

— Słyszał pan co o tym, panie Copperfield? — spytał.

— Słyszałem — odrzekłem sucho.

— Ach, więc wiadome to już pani Agnieszce? Cieszę się z tego nieskończenie i stokrotnie, ale to stokrotnie dziękuję panu, panie Copperfield!

Gdybym mógł, rzuciłbym mu w twarz niedopitą filiżankę kawy. Przykre mi było w jego ustach samo imię Agnieszki. Gryzłem się w język.

— Okazało się, że byłeś pan, panie Copperfield, jasnowidzący — ciągnął. — Przepowiedziałeś mi pan, pamiętam, jak gdyby to dziś było, że zostanę z czasem współnikiem mego pryncypała. Wickfield i Heep! Cha! Cha! Cha! Pan nie przypomina tego sobie, panie Copperfield, lecz ludzie tacy jak ja, pokorni i maluczcy, dobrą mają pamięć, chowają w głębi przepelnionego wdzięcznością serca każde dobre zasłyszane słowo.

— Pamiętam, była kiedyś mowa o tym, chociaż wyznaję, nie przypuszczałem, aby to nastąpić miało — rzekłem.

— O! Któż z nas mógł przypuszczać — wołał z zapalem Uriah — ja sam mniej niż kto bądź. Pamiętam, własnymi ustami wyznawałem pokorę moją. Wiem, jak niskie jest moje pochodzenie, jak małe zasługi!

Krzywiąc się, patrzył na ogień, ja zaś nie spuszczałem z niego oka.

— Najniżsi jednak, panie Copperfield — ciągnął — bywają czasem w ręku Opatrzności narzędziem dobra i szczęśliwy jestem, myśląc, że mi się właśnie ta rola dostała w udziale względem mego pryncypała. Godny to, najgodniejszy człowiek, panie Copperfield, lecz jakże, niestety, nieogłędny<sup>271</sup>!

— Przykro mi to słyszeć — odrzekłem, mimo woli prawie dodając. — Jak to, pod każdym względem?

— Pod każdym względem — odrzekł. — Nawet w tym, a zwłaszcza może w tym, co się tyczy panny Agnieszki. Nie pamięta pan zapewne, panie Copperfield, pewnego swego wyrażenia, które właśnie w sercu zapisałem. Mówił pan raz, że każdy, kto ją pozna, powinien czcić i wielbić pannę Agnieszkę. Dziękowałem za to panu z wylaniem<sup>272</sup>. Pan zapomniał, ale ja pamiętam dobrze.

— Przypominam sobie — odrzekłem sucho.

<sup>271</sup>nieogłędny — tu: nieuważny, niedbały. [przypis edytorski]

<sup>272</sup>z wylaniem — uczuciowo, szczerze, z wylewnością. [przypis edytorski]



— O! Doprawdy! Jakże to szczęśliwie! Pan pierwszy, panie Copperfield, rzuciłeś mi w serce zarzewie ambicji i raczysz pamiętać o tym! O! Czy mogę prosić jeszcze o jedną filiżankę kawy?

Było coś w głosie jego, gdy wspomniał o tym zarzewiu, w spojrzeniu, które prześliznęło się po mnie, coś, co mnie mrowiem przejęło. Zdawało mi się, że go nagle w pełnym ujrzałem świetle. Prośba o filiżankę kawy, innym zupełnie wymówiona tonem, przypomniła mi o obowiązku gospodarza domu. Ręce mi przy nalewaniu i podawaniu drżały jak w febrze. Z bijącym sercem czekałem, co dalej powie, pewien będąc, że uwadze jego nie uszło moje zmieszanie.

Nic już jednak więcej nie powiedział. Pił kawę spokojnie i pomału, spoconą, chłodną ręką pocierając brodę. Patrzył z kolei w ogień lub wodził okiem po ścianach pokoju, uśmiechał się czyli<sup>273</sup> raczej zżymał, kiwał się ustawicznie tam i z powrotem, w zwykły sobie sposób, mnie pozostawiając kierunek dalszej rozmowy.

— Zatem — ozwał się po długim milczeniu — pan Wickfield, który wart jest tysiąc razy więcej od pana... i ode mnie... od nas obu razem wziętych — nie chciałem jąkać się, lecz słowa grzęzły mi w gardle — zatem pan Wickfield bywa nieogłędny. Czy tak, panie Heep?

— O, bardzo, bardzo nieogłędny — odrzekł z głębokim westchnieniem — jest to temat, którego nie chciałbym z nikim innym, oprócz pana, poruszyć. Z panem nawet, panie Copperfield, zaledwie tylko dotknę. Każdy inny, na moim miejscu, w ostatnich leciech kilku miałby pana Wickfielda, och, jaki to uczciwy, zacny człowiek, w rękę. W rę-ku, powtarzam — kończył pomału, z przyciskiem, wyciągając przed siebie długą rękę i uderzając nią po stole tak mocno, że się aż zatrzęsły wszystkie będące w pokoju przedmioty. Nie obudziłby we mnie większego wstrętu, gdybym go widział, jak depcze powalonego na ziemię pana Wickfielda.

— O tak! — ciągnął słodziutkim głosem, dziwnie odbijającym od tego gestu — o tak, nie ulega to żadnej wątpliwości. Gdyby inny był na moim miejscu, nastąpiłyby różne, ale to prze-różne straty; to i owo, sam nie wiem, co by nastąpić mogło. Pan Wickfield wie o tym, o, wie doskonale. Jestem tylko najuniżeńszym jego sługą, a podnosi mię<sup>274</sup> do stanowiska, o jakim marzyć nigdy nie śmiałem. Ileż mu winienem wdzięczności! Ileż wdzięczności!

Zwrócony do mnie, lecz nie patrząc na mnie, rękę, którą zdjął ze stołu, podniósł do twarzy i niby brzytwą, chudym, długim palcem pocierał chude swe szczęki.

Pamiętam, z jakim wzruszeniem biło mi wówczas serce. Patrząc na jego rozświeconą ogniem twarz, wiedziałem, na co był gotów, do czego zmierzał.

— Ale zatrzymuję pana, panie Copperfield — ozwał się po chwili.

— Bynajmniej — odrzekłem — późno się zwykle spać kładę.

— Dziękuję, o dziękuję panu, panie Copperfield! — zawołał. — Byłeś pan zawsze dla mnie bardzo uprzejmy, lecz nie zapominam mimo to o mym skromnym położeniu i mam w Bogu nadzieję, że skromny i pokorny pozostanę zawsze. Nie weźmiesz też mi pan za złe i nie poczytasz za dumę i zarozumiałość, jeśli się z czymś panu zwierzę<sup>275</sup>. Prawda? Nie weźmiesz mi pan tego za złe?

— Nie — odrzekłem z trudnością.

— Dziękuję! O! Dziękuję panu! — wołał, wyciągając chustkę do nosa i ocierając spotniałe ręce. — Panna Agnieszka, panie Copperfield...

— I cóż? — spytałem. — Co? Uriahu!

— O! Jakże mi miło, że pan, panie Copperfield, tak mnie bez ceremonii, po imieniu nazywa — wołał, rzucając się konwulsyjnie, jak ryba na lodzie. — Zauważył pan, panie Copperfield, jak panna Agnieszka ślicznie dziś wyglądała?

— Sądzę — odrzekłem — że zawsze wygląda ślicznie, wyższa jest pod każdym względem od otaczających ją ludzi.

— Dziękuję! O, dziękuję panu!

— Nie ma powodu, abyś mi dziękował — odparłem chłodno.

<sup>273</sup>czyli (daw.) — czy też (konstrukcja z partykulą -li). [przypis edytorski]

<sup>274</sup>mię — daw. forma zaimka osobowego w pozycji nieakcentowanej w zdaniu; dziś jednolita forma: mnie. [przypis edytorski]

<sup>275</sup>jeśli się z czymś panu zwierzę — dziś raczej: jeśli się z czegoś (...) zwierzę. [przypis edytorski]

— Owszem, o, owszem, panie Copperfield! Na tym właśnie polega moje zwierzenie. Wycierał ręce, patrząc na przemian to na mnie, to na płonący na kominku ogień.

— Pokorny jestem — ciągnął słodziutko. — Pokorna jest i matka moja; wiemy, jak skromne jest nasze stanowisko, lecz pod niziutkim naszym dachem obraz panny Agnieszki... O, niech mi pan wybaczy, że go obarczam moją tajemnicą, od pierwszego naszego spotkania natchnąłeś mię pan, panie Copperfield, ufnością bez granic. Obraz panny Agnieszki pod niskim naszym dachem, jako też w sercu moim, wyrył się od lat wielu. O! Panie Copperfield, świętą mi jest nawet ziemia, po której stąpa moja Agnieszka!

Zdejmowała mię szalona chęć porwać rozpalony z komina ożóg<sup>276</sup> i rzucić mu nim w twarz.

Słowa jego obily mi się o serce jak ciężka kula; obraz znieważonej przez tego wykrzywionego potwora Agnieszki oszołomił mnie po prostu. Zdawało mi się, że Uriah puchnie, rośnie, brzmieniem swego głosu wypełnia cały pokój. Zdawało mi się zarazem, że wszystko to wiedział od dawna, od bardzo dawna, wiedziałem też dokładnie, co dalej posłyszeć miałem. Pamiętałem jednak prośbę Agnieszki, opanowałem wzruszenie i z większym, aniżeli się sam spodziewał<sup>277</sup>, spokojem, spytałem Uriaha, czy oświadczył Agnieszce swe uczucia.

— O! Nie, panie Copperfield, nie, nie! — zawołał. — Nie wspomniałem o tym przed nikim, tylko tu, dopiero po raz pierwszy przed panem. Jak pan widzi, zaledwie zaczynam się wznosić ponad skromną moją sferę, lecz pokładam nadzieję w tym, że panna Agnieszka zauważyć przecie musiała, jak dalece użyteczny i potrzebny jestem jej ojcu. Tak, użyteczny mu jestem i niezbędnie potrzebny, toruję mu poplątane coraz bardziej drogi, a panna Agnieszka, jak to panu wiadomo, panie Copperfield, przywiązana jest bardzo do swego ojca. Anioł to nie córka! Dla ojca nie odmówi mi swych względów.

Zmierzyłem całą przepaść podstępów tego niegodziwca.

— Jeśli pan raczy, panie Copperfield — ciągnął — zachować moją tajemnicę i na ogół okazywać mi się w tym jak i w czym innym przychylny, będę się czuł nieskończenie zobowiązany. Znam pańską dobroć, panie Copperfield! Lecz wzgląd na moje niskie pochodzenie i stanowisko wpłynąć może na to, że pan zrażać będzie do mnie moją Agnieszkę, moją nazywam ją, jak to pan słyszy, panie Copperfield! Pan zna piosenkę: „Nazywać ją moją zbliża mnie do celu”. Mam też nadzieję, wcześniej czy później, swego dopiąć.

Biedna, kochana Agnieszko! Nie znałem nikogo, kto by wart jej był, a lotr ten rościł do niej prawa!

— Na pośpiechu mi nie zależy — ciągnął powoli, a mnie tymczasem mózg rozsadały najsmutniejsze myśli. — Moja Agnieszka jest jeszcze, jak to panu, panie Copperfield, wiadomo, bardzo młoda, a matka moja i ja musimy torować sobie drogi do niespodziewanego wywyższenia. Wiele jeszcze pozostaje nam do zrobienia, zanim rzeczy te przestaną wywoływać zdumienie, toteż korzystam tylko z każdej nadarzającej się sposobności, aby moją Agnieszkę stopniowo oswajać z położeniem. O! Nieskończenie wdzięczny jestem panu za tę rozmowę. Lżej mi na sercu, odkąd się panu zwierzyłem. Pewien też jestem, że teraz, gdy pan, panie Copperfield, wie, jak rzeczy stoją, nie zechce pan narażać bliskiej panu rodziny na przeróżne nieprzyjemności. Nie będę miał pana przeciw sobie, pewien tego jestem.

Wyciągnął dłoń. Zabrakło mi odwagi odtrącić ją. Spojrzawszy na zegarek, zawołał:

— Ani się obejrzałem, jak czas upłynął! Pół do pierwszej. Na zwierzeniach czas prędko płynie! Pół do pierwszej.

Zauważyłem, że istotnie jest już późno, chociaż wcale o tym nie myślałem, czułem tylko, że nie potrafiłbym dalszej podtrzymywać rozmowy.

— O! — mówił. — Tak późno. Dom, w którym się zatrzymałem, pensjonat w pobliżu New River, pewnie już od dwóch godzin zamknięty. Nie dostukam się nigdy.

— Żałuję — odrzekłem — że mam tylko jedno łóżko.

— Och! Po co łóżko! — zawołał, wyciągając ramiona. — Jeżelibyś mi pan, panie Copperfield, nie wziął za złe i pozwolił przenocować tu, przed kominkiem...

<sup>276</sup> ożóg (daw.) — tłąca się głownia lub opalone drzewo. [przypis edytorski]

<sup>277</sup> aniżeli się (...) spodziewał — inaczej: aniżeli się spodziewałem; niż się spodziewałem (przykład konstrukcji z ruchomą końcówką czasownika). [przypis edytorski]

— Jeśli tak ma być koniecznie — odrzekłem — zajmij, proszę, moje łóżko, a ja tu pozostanę.

Wymawiał się tak gorąco i krzykliwe, w zwykłej sobie pokorze, że musiał chyba obudzić panią Crupp, śpiącą na niższym piętrze i kołysaną przez głośnie tik-tak ściennego zegara, na który, we wszelkich o punktualności dyskusjach, jakie pomiędzy nami się toczyły, powoływać się lubiła, chociaż zegar ten opóźniał się regularnie o trzy kwadranse na dobę. Nie mogąc przekonać nieproszonego gościa ani przewyciężyć nowego napadu jego pokory, musiałem pozostawić go w końcu przed kominkiem, a sam zająć łóżko. Materac z kanapy, za krótki na długie jego piszczele, poduszki, czysty obrus i płaszcz służyły Uriahowi za posłanie, za które rozplęwał się we wdzięczności. Pożyczyłem mu szlafmocy. Wyglądał więc jak upiór. Rozstaliśmy się wreszcie.

Nocy tej nie zapomnę nigdy. Przewracałem się z boku na bok, a w głowie mi się mąciło. Agnieszka, łotr ten Uriah. Co miałem począć? Doszedłem wreszcie do przekonania, że w interesie Agnieszki i dla jej spokoju najlepiej będzie, jeśli zachowam przy sobie to, com wieczora tego słyszał. Jeśli udało mi się zdrzemnąć na chwilę, śniła mi się Agnieszka, ze słodkim swym spojrzeniem, czule spoglądający na nią jej ojciec, tak właśnie, jakem ich tylekroć razy widział<sup>278</sup>. Obraz ten nappełniał mnie teraz trwogą. Gdym się budził ze snu ciężkiego, wspomnienie, że tuż obok, pod moim dachem, spoczywa łotr ten, padało mi na kształt zmory na piersi. Zdawało mi się, że samemu diabłu drzwi swe otworzył.

Marzył mi się ciągle rozpalony ożóg. Śniło mi się, że go porwał, by wygnać szatana. Marzenie to prześladowało mnie tak dalece, że dla zażegnania go musiałem wstać, żeby się naocznie przekonać, że ogień od dawna wygasł na kominku. Ujrzałem wówczas Uriaha. Leżał na wznak, wyciągnięty, o nieprawdopodobnie długich nogach, w piersiach mu bulgotało, sapał i usta szeroko miał rozwarte. Na jawie straszniejszy mi się jeszcze wydał, tak straszny, że ulegając gorączkowej ciekawości, oczu oderwać od niego nie mogłem, co pół godziny wracałem, aby mu się przypatrywać. Noc to była ciężka, śmiertelnie długa. Świtanie ociągało się na chmurnym niebie, a gdy rano Uriah wyszedł — szczęściem nie chciał pozostać na śniadaniu — zdawało mi się, że z nim razem oddalają się ode mnie noc sama i jej ciemności. Wychodząc do zajęcia, prosiłem panią Crupp, by wywietrzyła pokój po bytności Uriaha, tak, jak wywietrzanym bywa zapach siarki piekielnej.

## ROZDZIAŁ XXVI. POPADAM W NIEWOLĘ

Nie widziałem Uriaha Heep do dnia, w którym Agnieszka opuściła Londyn. Poszedłem na stację dylizansów, aby ją pożegnać. Spotkałem go tam, wracał do Canterbury tym samym co i ona dylizansem. Z niejaką przyjemnością zauważyłem jasną parasolkę, którą się Agnieszka osłaniała od jego długiej, w przyciasny paltot odzianej, obok woźnicy na koźle sterczącej postaci. Agnieszka była naturalnie wewnątrz dylizansu, a słodkie jej spojrzenie nagrodziło mi przymus, jaki musiałem zadawać sobie, aby się okazywać przyjacielskim względem tego łotra. Tu, podobnie jak w czasie obiadu u państwa Waterbrook, nie odstępowałem od nas na krok, niby sęp łykając każde zamienione pomiędzy nami słowo.

Rozmyślając o wysłuchanych przed kominkiem zwierzeniach, myślałem jednocześnie o tym, co mi na temat zamierzonej tej spółki mówiła Agnieszka. „Robiłam, co mi się zdawało moim obowiązkiem uważając, że to uspakaja ojca, zachęcałam go do tego kroku”. Bałem się, żeby nie posunęła za daleko w swych obowiązkach i siebie nie złożyła w ofierze, by zapewnić spokój ojcu. Znane mi było jej dziecięce przywiązanie, skłonność do poświęceń. Z własnych jej ust słyszałem niejednokrotnie skargi, że jest może mimowolnym powodem nieszczęść ojca. Nie wiedziała, jak mu to wynagrodzić. Nie porównywałem jej nawet z tym łotrem, nie myślałem o tym, jak przy nim wygląda, bo w samej jej właśnie wyższości dostrzegałem teraz największe niebezpieczeństwo. Wszystko to zresztą musiał on doskonale obmyślić, wyrachować, na tym właśnie budował burzające swe pretensje i nadzieje.

Jak pewien byłem, że podobna uczyniona z siebie ofiara unieszczęśliwiłaby ją wiekusiście, tak znów z drugiej strony głęboko byłem przekonany, wnosząc z całego jej zachowania, że dotąd jeszcze myśli podobnej nie przypuściła do siebie, że za grzech uważała-

<sup>278</sup>jakem (...) widział — inaczej: jak widziałem (przykład konstrukcji z ruchomą końcówką czasownika). [przypis edytorski]

bym ostrzeżenie jej o grożącym niebezpieczeństwie. Rozstaliśmy się tedy bez wyjaśnień. Z okien dyliżansu przesłała mi na pożegnanie ostatni słodki, pogodny uśmiech, a na koźle Uriah wykrzywił się tak, jakby miał ją już w garści i triumfował.

Wrażenia tej chwili prześladowały mnie długo. List Agnieszki, zawiadamiający o szczęśliwym przybyciu jej do domu, zastał mnie równie smutnym, jak w czasie jej wyjazdu. Ciągle mnie myśl ta prześladowała, w nocy nawet nie dając spokoju, i nasuwała sny złowrogie. Zdawało się, że jak cień przylgnęła do mnie.

Nic mnie zresztą rozerwać nie mogło. Steerforth wrócił był do Oksfordu, skąd pisał do mnie; w godzinach wolnych od obowiązkowej pracy pozostawałem więc zupełnie samotny. Zdaje mi się, że w tym czasie zacząłem odczuwać w głębi serca jakąś nieufność do Steerfortha. Odpisałem mu wprawdzie po przyjacielsku, nie żałowałem jednak, że go nie ma w Londynie, czułem, że obecność Steerfortha rozproszyłaby wpływ Agnieszki, a chciałem myśleć o niej wyłącznie.

Mijały dni i tygodnie. Przyjęty zostałem do kancelarii panów Spenlow i Jorkins, pobierałem dziewięćdziesiąt funtów rocznie od ciotki, mieszkanie opłaciłem z góry do końca roku, a chociaż czasem jeszcze wieczorami wydawało mi się samotne i ponure, wracała mi wewnętrzna równowaga, gdy spijałem kawę całymi garncami. W tym to jakimś czasie zrobiłem trzy odkrycia, a mianowicie: że pani Crupp podlegała, biedaczka, napadom jakiejś słabości — spazmami ją mianowała — której towarzyszyło niezwykle zaczerwienienie nosa i która wymagała niezwyklej ilości „miętówki”, po wtóre, iż „coś” niezwyklego i nadprzyrodzonego wyrывało korki i wypróżniało butelki w mojej spiżarni, wreszcie, że zostałem bardzo samotny i w czytanych wierszach podkreślałem ustępy odpowiednie memu nastrojowi.

W dniu zawarcia kontraktu z panami Spenlow i Jorkins podejmowałem urzędników w kancelarii zakąskami i winem jedynie, żadnych nie wydając bankietów, wieczorem zaś poszedłem do teatru. Dawano *Cudzoziemca*<sup>279</sup>. Sztuka była wzruszająca. Za ledwie sam siebie poznałem, gdy wrócił wieczorem do domu. W dniu tym pan Spenlow oświadczył mi był, że miło by mu było przyjąć mnie we własnym domu w Norwood, lecz, niestety, przeprowadza się tam teraz pewne zmiany z powodu oczekiwanego powrotu córki z Paryża. Dodał przy tym, że po powrocie córki do domu spodziewa się widywać mnie często u siebie.

Jakoż istotnie, w dwa lub trzy tygodnie potem, przypomniał mi tę rozmowę, prosząc, abym odwiedził go w najbliższą niedzielę i pozostał do poniedziałku. Zgodziłem się chętnie i postanowione zostało, że w sobotę wieczorem zajedzie po mnie swym powozem.

W oznaczony dzień nawet mój worek podróży stał się przedmiotem czci urzędników, z których żaden nigdy nie przestąpił progów domu pryncypała. Jeden z nich opowiadał mi, że słyszał, jakoby pan Spenlow jada codziennie na srebrze i porcelanie. Drugi, że jakoby u stołu jego szampan zastępuje piwo. Stary sekretarz w peruce, który nazywał się pan Tiffey, był parę razy za interesem w Norwood i widział jadalnię. Nie mógł się dość naopowiadać o przepychu tego przybytku, w którym poczęstowano go najwyborniejszym, jakie tylko sobie wystawić można, winem.

Dnia tego mieliśmy w Trybunale Duchownym sprawę jakiegoś piekarza prawującego się z zakrystią parafialną o jakiś podatek, że zaś zeznania dowodowe były dwa razy dłuższe, jak to wyliczyłem, od całego *Robinsona Crusoe*, późno już było, gdy się rozprawa skończyła. Piekarza skazaliśmy na sześciotygodniowe przebywanie pod kłatwą i opłaceniu kosztów, po czym obrońca piekarza, sędziowie, adwokaci obu stron (wszyscy blisko ze sobą spokrewnieni zresztą) wyszli razem na miasto, ja zaś z panem Spenlow wsiałem do jego powozu.

Ekwipaż był wytworny, konie prężyły szyje, stąpały godnie, jak gdyby rozumiały, że należą do prześwietnego Doctors' Commons. Jeśli chodzi o wystawność, to panowała tam wśród sędziów powszechna rywalizacja, toteż widywało się nieraz bardzo wytworne ekwipaże. Osobiście skłonny jestem uważać, że bardziej jeszcze zawzięcie rywalizowano w zużywaniu krochmalu; bowiem artykułu tego używali Doctors' Commons tyle, ile natura ludzka znieść może tylko.

<sup>279</sup> *Cudzoziemca* — w orygl. *The Stranger*. [przypis edytorski]

Przejażdżka sama przez się była już przyjemna. Rozmowa toczyła się wyłącznie na temat obranego przeze mnie zawodu. Pan Spenlow wychwalał go wielce, podkreślając, że nie ma on nic wspólnego z adwokackim. Zdaniem jego był on bardziej wyłączny, mniej mechaniczny, korzystniejszy. W Commons, jak utrzymywał, rzeczy szły równiej, prędzej, uczciwiej niż gdzie bądź i to nadawało nam pozycję wyłączną, uprzywilejowaną. Mówił, że trudno wprawdzie zaprzeczyć niemiłemu faktowi pewnej naszej zależności od adwokatów, lecz, dla pocieszenia mnie zapewne, dodał, że pomimo tego traktujemy tych ostatnich nieco z góry, uważając ich za podrzędną rasę ludzi.

Spytałem pana Spenlow, jaki rodzaj interesów uważa za najkorzystniejszy w naszym zawodzie. Odrzekł, że testamentowe, gdzie idzie o jakie trzydzieści lub czterdzieści tysięcy wartości, w takim bowiem razie otwiera się zwykle szerokie pole do argumentacji, oczywiście piętrzą się jedne na drugich apelacje, kontrapelacje, a ponieważ istnieje pewność, że kosztą pokryje się z majątku, przeto obie strony, nie oglądając się na wydatki, zabierają się żywo do rzeczy. Zaczął wygłaszać ogólne pochwały na temat Commons. Podkreślił zwartość jako główną siłę tejże instytucji, i dyskrecję także. Była to jego zdaniem najspokojniejsza pod słońcem instytucja; jeśli na przykład zdarzy się sprawa rozwodowa albo spadkowa, przeprowadzić ją można cichutko, niby w gronie familijnym. Jeżeli Commons nie zadowolą, tuż obok są Arches<sup>280</sup>. Co to są Arches? Ta sama izba, ciż sami adwokaci, inny tylko skład sędziów i tak dalej. Jeśli i to okaże się niezadowolające, jest Izba Deputowanych<sup>281</sup>, a tam adwokaci obznajmieni doskonale z przebiegiem sprawy, której się przypatrywali w obu poprzednich instancjach, z łatwością mogą zadowolić obie strony. Nieprzyjaźnie usposobieni ludzie mogą wprawdzie coś tam mówić o sprzedajności, o tym, że w sprawach Doctors' Commons ręka rękę myje, że instytucję należy zreformować — kończył pan Spenlow — lecz gdy dzięki Doctors' Commons podskoczy cena pszenicy, wszyscy wiedzą doskonale, komu to zawdzięczać mają: tylko Doctors' Commons.

Słuchałem z uwagą, chociaż powątpiewałem, aby kraj cały, jak to chciał pan Spenlow, zawdzięczał dobrobyt tylko samemu Commons. Wprawdzie ta kwestia podskoczenia cen pszenicy wydawała mi się niezbyt jasna, lecz przechodziła widocznie moje małe jeszcze w tych sprawach doświadczenie. Zresztą po dziś dzień i pomimo nabytego doświadczenia, kwestii tej, wyznając, rozwiązać nie jestem w stanie. W ciągu całej mej kariery stała mi ona trapiła. Nigdy nie zdołałem zrozumieć, co ja lub ona ze mną ma wspólnego. Nie moją to jednak było rzeczą rozprawiać o tak zawilich kwestiach. Milczenie moje wziął pan Spenlow pewno za niemą zgodę. Rozmowa przeszła na teatr i *Cudzoziemca*; rozmawialiśmy potem o koniach i tak dojechaliśmy do bramy zamieszkałego przez pana Spenlow domu.

Przed domem rozciągał się śliczny ogród, a chociaż pora roku najmniej temu sprzyjała, utrzymany był tak starannie, że mnie to wprawiło w zachwyt zupełny. Trawniki były przesłiczne, drzewa przycięte, szpalery cieniste.

„Tu się zapewne zwykła przechadzać panna Spenlow we własnej osobie” myślałem, podjeżdżając pod ganek.

Weszliśmy do rześkiego oświetlonego domu. W obszernym hallu wisiały przeróżne kapelusze, płaszcze, rękawice, bicze, szpicruty.

— Gdzie jest panna Dora? — spytał służącego gospodarza domu.

„Dora — pomyślałem — co za śliczne imię!”. Weszliśmy do pokoju na lewo. Do tego samego zapewne, którego przepych opiewał starszy urzędnik w peruce.

— Córka moja Dora, panie Copperfield — przemówił gospodarz domu — a oto towarzyszka mej córki.

Już było po mnie. Spełniło się przeznaczenie. Od pierwszego spojrzenia zakochałem się w pannie Dorze, zostałem jej niewolnikiem.

Miłość

<sup>280</sup>Arches — właśc. *Arches Court*; sąd kościelny (Kościola Anglii) pod przewodnictwem Dziekana Arches rozstrzygający apelacje (ale też nowe sprawy) dla Prowincji Canterbury; jego odpowiednikiem w Prowincji York jest Chancery Court; nazwa Arches Court pochodzi od łuków (ang. *arches*) zdobiących stałą siedzibę sądu w kościele St Mary-le-Bow (*Sancta Maria de arcubus*) w Londynie. [przypis edytorski]

<sup>281</sup>Izba Deputowanych — w oryg. *Ecclesiastical Delegates*; chodzi nie o deputowanych do parlamentu, lecz członków sądu kościelnego. [przypis edytorski]

Wydała mi się nadziemską istotą, sylfidą<sup>282</sup>, królową wrózek, aniołem. Nie wiedziałem, kim była. Czymś niewidzialnym, niespodzianym, nadprzyrodzonym. W oka mgnieniu pochłonęła mnie przepaść miłości. Bez zastanowienia, bez obejrzenia się wstecz lub spojrzania przed siebie, w przepaść tę wpadłem, zanim jedno wyrzec zdołałem słowo; ogarnęła mnie zewsząd.

— Co do mnie — ozwał się dobrze mi znany głos — znam pana Copperfielda od dawna.

To nie był głos Dory, lecz towarzyski jej, panny Murdstone.

Nie byłem tym nawet zdziwiony. Nic mię w danej chwili obchodzić lub dziwić nie mogło, nic, oprócz Dory Spenlow.

— Jak się pani miewa, panno Murdstone? — rzekłem.

— Doskonale — odpowiedziała mi.

— A pan Murdstone? — pytałem.

— Wyborne — odrzekła. — Dziękuję panu.

Pan Spenlow zdziwiony był nieco tym odnowieniem naszej znajomości.

— Cieszę się niewymownie — rzekł — że się państwo przedtem już znali.

— Istnieją nawet pomiędzy nami pewne węzły — rzekła z powagą panna Murdstone — pokrewieństwa niby. Zналиśmy się niegdyś bardzo dobrze i z bliska. Było to za dni dziecięcych pana Copperfielda. Odtąd rozdzieliły nas różne okoliczności i nie poznałabym nawet pana.

Co do mnie poznałbym ją zawsze i wszędzie. Pewien tego byłem.

— Panna Murdstone — objaśniał pan Spenlow — podjęła się z łaski swej opieki nad mą córką. Dora, niestety, wcześniej straciła matkę, panna Murdstone służy zarazem córce mej za towarzyszkę.

Przyszło mi na myśl, że panna Murdstone, na kształt narzędzia zwanego kastetem, stosowniejsza była do ataku niż do obrony. Myśl ta tylko mi przemknęła, gdyż zajęty byłem Dorą i zdawało mi się, że spostrzegłem w jej prześlicznym grymasie, iż nie darzyła swej towarzyski szczególnym zaufaniem. Wtem ozwało się pierwsze uderzenie dzwonka i pan Spenlow powiódł mnie do gościnnego pokoju, abym się przebrał.

Zajęcie się toaletą lub czym bądź, w stanie zachwyty, w jaki popadłem, zdawało mi się po prostu niemożliwe. Usiadłem przed ogniem, rozmyślając o pięknej, błyszczącookiej dziewczynie. Jakże piękną miała twarz, jakie kształty, talię, jakże wydawała się żywa i pełna wdzięku.

Powtórne uderzenie dzwonka wyrwało mnie z rozkosznej zadumy. Ubrałem się nąprędce i szedłem do salonu, gdzie zastałem zebrane już towarzystwo. Dora rozmawiała z jakimś starym, siwym dżentelmenem. Chociaż stary i siwy, chociaż mógłby być jej dziadkiem, pobudził mą zazdrość.

W takim już byłem usposobieniu, zazdrościłem wszystkim wszystkiego. Nie zniósłbym tego, aby ktokolwiek ściślej ode mnie mógł być zażyłym z panem Spenlow. Dręczyło mnie, gdy słuchał o tysiącnych wydarzeniach, w których, niestety, nie brałem żadnego udziału. Gdy uprzejmy jakiś, łysy jegomość siedzący po drugiej stronie stołu spytał mnie, czy po raz pierwszy jestem w tej okolicy, poczułem się obrażony i gotowy do krwawej zemsty.

Nie pamiętam już, kto tam był wieczoru tego oprócz Dory. Dorą się tylko karmiłem i dania zabierano nietknięte. Siedziałem obok niej, rozmawiałem z nią, podziwiałem głosik jej melodyjny, śmiech srebrzysty, zalotność niewinną, którą musiała pozbawić spokoju każdego chyba młodzieńca. Drobną była, malutką i to dodawało jej jeszcze wdzięku.

Gdy z panną Murdstone — więcej kobiet nie było — opuściła jadalnię, popadłem w zadumę zatruty myślą, że mi panna Murdstone gotowa przy niej usłużyć po swojemu. Uprzejmy, łysy jegomość opowiadał mi długie jakieś, odnoszące się zapewne do ogrodów i ogrodnictwa historie, gdyż zdaje mi się, że kilkakrotnie wspominał swego ogrodnika. Udałem, że go słucham z uwagą, w myśli błędząc obok Dory, w rajszych jakichś ogrodach.

<sup>282</sup>*sylfida* — żeńska postać sylfa, tj. duszka uosabiającego żywioł powietrza; przen. kobieta smukła, delikatna, pełna wdzięku. [przypis edytorski]

Strach, że panna Murdstone gotowa po swojemu usłużyć, zdjął mnie znów na sam jej widok, gdy wrócił wreszcie do salonu. Uspokojony zostałem w najmniej spodziewany sposób.

— Dawidzie Copperfield — ozwała się panna Murdstone, zastępując mi drogę i wtlaczając w zagłębienie okna — proszę na słowo.

Spojrzałem na nią zdziwiony.

— Nie chcę — rzekła — rozwodzić się nad niektórymi familijnymi szczegółami, niemily to dla nas obojga temat.

— Zgadząm się najzupełniej ze zdaniem pani — odrzekłem.

— Zapewne — ciągnęła — nie życzę też sobie wcale rozbudzać wspomnień dawnych zatargów i nieporozumień ani nawet zniewagi, gdyż wyznać muszę ku hańbie niewieściego rodu, że się pewna osoba, o której bez wstępu wspomnieć nie mogę i o której wolę tu milczeć, posunęła aż do obrazy. I to czyjej! Mejej własnej osoby.

Chociaż czuły byłem na punkcie mej ciotki, zgodziłem się, że istotnie lepiej nie dotykać tych rzeczy, dodając wszelako, że nie zniósłbym najłżejszego uchybienia względem osoby, którą czczę i poważam.

Panna Murdstone zmrużyła oczy i skłoniła głowę, a potem, podnosząc ją, pomału mówiła:

— Nie będę taić przed panem, że od dzieciństwa pańskiego nabrałam o panu nieosobliwego wyobrażenia. Może się mylę, może zresztą obecnie zasługuje pan na lepsze mniemanie, nie w tym rzecz. Należę do rodziny powszechnie znanej ze stałości swych przekonań i wątpię, abym moje, w jakich bądź okolicznościach, zmienić mogła. Wiem, co sądzić o panu, tak jak pan wie zapewne, co pan ma sądzić o mnie.

Z kolei skłoniłem twierdząco głową.

— Nie ma jednak żadnej potrzeby — ciągnęła — aby te nasze wzajemne przekonania wywołać tu miały obecnie jakie bądź starcie. Owszem. W obecnej sytuacji lepiej byłoby pozostawić to w spokoju. Ponieważ okoliczności zbliżyły nas teraz i prawdopodobnie zbliżać odtąd będą, najlepiej byłoby dla nas obojga stanąć na gruncie dalekich i obojętnych stosunków. Nie zwróci to niczyjej uwagi. Stosunki rodzinne są wystarczającym powodem, abyśmy się tylko na tej stopie spotykali zawsze. Czy się pan zgadza na powyższą propozycję?

— Panno Murdstone — odrzekłem jej na to — tak pani, jak i brat pani wyrządziliście i mnie, i biednej mej matce niejedną krwawą krzywdę. Nie zapomniałem o tym i nie zapomnę nigdy, obecnie jednak zgadzam się i zastosuję do propozycji pani.

Panna Murdstone zmrużyła znów oczy i spuściła głowę, potem, dotknąwszy mej dłoni końcem zimnych sztywnych palców, odeszła, poprawiając łańcuszki na szyi i ręku. Zdało mi się, że nosi ten sam, ale ten samiuteńki garnitur, jaki miała, gdy ją ostatni raz widział. Przyszły mi na myśl łańcuchy u drzwi więziennych przypominające przechodniom i widzom, co się poza tymi drzwiami znajduje.

Przypominam jeszcze sobie, że wieczoru tego słyszał królową mego serca śpiewającą francuskie ballady na skocznią jakąś nutę. Akompaniowała sobie na modnym, do gitary podobnym instrumencie. Byłem w zachwycie. Podawano cukry, lecz ich nie tknąłem. Cofnąłem się nawet, gdy mi podano poncz. Pamiętam, że, wychodząc z salonu pod strażą panny Murdstone, podała mi rączkę z niebiańskim uśmiechem i że, ujrawszy się w zwierciadło, wyglądał jak szalony, że się położył<sup>283</sup> spać z zawrotem głowy, w stanie zupełnego odurzenia.

Ranek był pogodny, wczesny jeszcze. Udałem się na przechadzkę w strzyżone aleje ogrodu, pragnąc marzyć o niej. Na ścieżce spotkałem jej pieska. Wołano na niego Jip. Zbliżyłem się doń z piśszczotą, gdyż on mi nawet był miły. Niewdzięcznik! Wyszczrzył wszystkie zęby, wlaź pod ławkę i, burcząc i szekając, nie dopuszczał mnie do siebie.

W ogrodzie chłodno było i pusto. Marzyłem o szczęściu, jakiego bym doświadczył, jeślibym był narzeczonym tego cudownego zjawiska. Co do małżeństwa, kwestii majątkowych i tak dalej, sądzę, że niewiele więcej myślałem o tym niż wówczas, gdy byłem zakochany w małej Emilce. Gdyby mi tylko wolno było nazywać ją po imieniu: „Dora”,

<sup>283</sup>żem (...) wyglądał; żem się położył — inaczej: że wyglądałem, że się położyłem (przykład konstrukcji z ruchomą końcówką czasownika). [przypis edytorski]

pisywać do niej, wielbić ją, szaleć za nią, wiedzieć, że nawet w towarzystwie innych o mnie myśli i marzy, wydałoby mi się szczytem ziemskiej szczęśliwości. Dzieciak był ze mnie, lecz tyle w uczuciach mych było szczerości, świeżości i zapału, że po dziś dzień z pewnym wspominam je wzruszeniem.

Chodziłem już od dość dawna, gdy ją nagle spotkałem na skrócie alei. Drzę jeszcze na samo wspomnienie tego spotkania, pióro mi niemal wypada z dłoni.

— Wcześniej pani, panno Spenlow, wyszła na przechadzkę — zauważyłem, witając ją.

— Tak nudno w domu! — odparła. — Panna Murdstone taka niezdolna, prawi takie nonsensy o przewietrzaniu mieszkania. Przewietrzać! — zaśmiała się srebrzyście. — W niedzielę rano muszę się czymś też przecie zająć, więc oświadczyłam wczoraj jeszcze papie, że wyjdę na przechadzkę. Ranek jest najpiękniejszą porą dnia, prawda?

Zdobyłem się na szaloną odwagę i oświadczyłem, że istotnie najpiękniejszą mi się zdaje od chwil paru, chociaż przedtem mglisto było i pochmurnie.

— Czy to ma być komplement — spytała — czy istotnie pogoda zmieniła się tak nagle?

Jąkałem się, wyznając, że powiedziałem nie komplement, lecz samą prawdę i że żadna, o ile przypominam sobie, zmiana nie zaszła w powietrzu. Zaszła zmiana w uczuciach mych, dodałem, rumieniając się po uszy.

Zarumieniła się. Nigdy nie widziałem kędziorów podobnych do tych, w które usiłowała skryć swe rumieńce. Co zaś do kapelusza i błękitnych wstążek wieńczących te kędziory, czegoż bym nie dał, jeślibym, jako szczęśliwy ich posiadacz, mógł drogie te relikwie zawiesić w mym mieszkaniu przy Buckingham Street.

— Pani wprost wraca z Paryża? — spytałem.

— Tak. Był pan tam kiedy?

— Nie, pani!

— O! To trzeba jak najprędzej pojechać. Prześliczne miasto!

Czułem się srodze obrażony. Przypuszczała zatem, że mógłbym, że chciałbym odjechać? Co mi tam Paryż, co Francja cała! Zapewniłem, że pod żadnym warunkiem nie opuściłbym obecnie Anglii i tak dalej, dość że musiała znów przywołać na pomoc swe kędziory, szczęściem, piesek wybiegł na nasze spotkanie.

Zazdrosny, zniechęcony mnie i ciągle pokazywał mi zęby. Wzięła go na ręce, pokryła piaseczkami. Burczał. Nie dawał mi się dotknąć nawet. Wybiła go, uderzyła po różowym nosku. Biedactwo zmrużyło oczy, lizało jej ręce, lecz warczało wciąż z cicha, rzucając na mnie wściekle spojrzenia. Uspokoił się wreszcie, czując na sierści jej miękkiej, rozkoszny podbródek. Poszliśmy zwiedzić oranżerię.

— Czy pan jest w bardzo bliskich stosunkach z panną Murdstone? — pytała Dora. — Kochanie moje!

Ostatnie słowa odnosiły się do pieska. Szczęśliwy!

— Wcale nie — upewniłem.

— Niezdolne to stworzenie — mówiła, wydymając usteczka. — Nie wiem, co było ojczulkowi, gdy mi ją wybrał za towarzyszkę. Jak gdyby jej opieka była komu potrzebna! Ciekawam<sup>284</sup>, kto tu potrzebuje opieki! Nie ja pewno! Mam mego Jipa, to mi wystarczy. Prawda, Jipsiu, kochanie?

Mrugnął leniwie, gdy całowała kudłatą jego główkę.

— Ojczulek nazywa ją zaufaną matką przyjaciółką. Oho, Jip, wiesz ty przecie, że to nie jest, nie może być prawdą. My z Jipsiem nie mamy zaufania do takich niezdolnych istot; my z Jipsiem potrafimy sobie, gdy zechcemy, wybrać lepszych, prawdziwych, wiernych przyjaciół. Co, Jipsiu, kochanie, prawda?

Jip zmarszczył nosek na znak zgody; co do mnie, każde jej słowo było nowym ogniem okalającym mi serce łańcucha.

— Smutno, Jipsiu, prawda — ciągnęła, wydymając usteczka — że ponieważ nie mamy dobrej, kochanej mamy, musimy znosić i mieć ciągle za plecami niezdolną tę pannę Murdstone! Prawda, Jip! Jipsiu, mój kochany! Nie, nie lubimy jej i postaramy się znaleźć sobie trochę szczęścia poza jej plecami. Dokuczamy niezdolnej tej babie! Wcale zadawała jej nie myślimy, prawda, Jipsiu?

<sup>284</sup>ciekawam (daw.) — forma skrócona od: ciekawa jestem. [przypis edytorski]



Gdyby to trwało jeszcze chwilę, nie wytrzymałbym i padłbym przed nią na kolana. Szczęściem byliśmy u wrót oranżerii. Była tam śliczna hodowla geranium. Przypatrywałem się im długo. Co chwila Dora zatrzymywała się, śmiejąc się jak dziecko i zmuszając Jipę do wachania najpiękniejszych okazów. Jeśli nie wszyscy troje, to ja już najpewniej czułem się jak w raju. Po dziś dzień zapach geranium budzi we mnie na poły tkliwe, na poły komiczne wrażenie i wywołuje wspomnienie kapelusza z niebieskimi wstążkami, gęstych pierścieni jasnych włosów, w szczupłych ramionach dziewczęcia pieszczonego kudłatego, czarnego psiaka, wszystko to na tle jasnej zieleni i różnobarwnego kwiecia.

Panna Murdstone szukała nas i tu znalazła. Podała Dorze do pocałowania zwiędłe swe, pudrem przysypane policzki i, biorąc ją pod ramię, poprowadziła nas na śniadanie z miną i krokiem, jak gdyby przewodniczyła pogrzebowi.

Nie wiem już, ile wypilem filiżanek herbaty, nalewała ją Dora, pamiętam tylko, że piłem niepomiarowanie dużo, aż do zniszczenia całego mego nerwowego systemu, jeślibym w one dni bywał nerwowym. Poszliśmy do kościoła. W ławce panna Murdstone oddzieliła mnie od Dory, słyszałem jednak śpiew jej i czułem się w siódmym niebie. Kazanie musiało być na temat Dory, o niej tylko myślałem i boję się bardzo, czy czasem nie do niej się tylko dnia tego modliłem.

Dzień zszedł spokojnie, bez towarzystwa, z przechadzką, obiadem w rodzinnym kółku, wieczorem spędzonym na przeglądaniu książek i rysunków. Panna Murdstone spełniała gorliwie swe obowiązki i nie spuszczała z nas oka. Ach, czy też mały pan Spenlow, drzemiąc po obiedzie w fotelu, z twarzą przykrytą chustką do nosa, domyślał się, jak tkliwymi w myśli obdarzałem go uściskami, marząc, że już zostałem jego zięciem? Czy przypuszczał chociażby, gdym się z nim przed nocą rozstawałem, że na jego głowę zwołał wszelkie błogosławieństwa Niebios, jak gdyby mi już obiecał dać córkę za żonę?

Wyjechaliśmy nazajutrz wcześniej. Mieliśmy dnia tego sprawę w Sądzie Admiralicji o zatonięciu okrętu, wymagającą dokładnej znajomości marynarki, że zaś znajomości tych nie posiadano u nas dostatecznie, sędzia zawiązał dwóch starszych marynarzy, jako biegłych, dla udzielania potrzebnych wskazówek. Zastaliśmy Dorę przy herbatnym stole i wsiadając do powozu, miałem szczęście ukłonić się jej stojącej na ganku z nieodstępnym Jipem na ręku.

Czym dnia tego była dla mnie Admiralicja cała, sprawa, której wcale zrozumieć nie mogłem, powtarzać nie będę. „Dora” czytałem na srebrnym wiośle leżącym na stole jako oznaka najwyższej sprawiedliwości, gdy zaś pan Spenlow odjeżdżał pod wieczór do domu, żywiłem w głębi serca nieokreśloną nadzieję, że mnie z sobą zabierze, i czułem się jak rozbitek przez odpływający okręt na bezludnej porzucony wyspie. Gdyby ten stary, cichy dziedzinec obdarzony był głosem, dziś jeszcze świadczyłby, że mi światem całym została Dora.

Ile marzeń przemarzyłem nie tylko dnia tego, lecz dni wiele, wiele tygodni z rzędu, powiedzieć trudno. Rzeczywistość snem mi się wydawała, marzenia — jedyną zajęć mnie mogącą rzeczywistością. Jeśli która z niesłychanie długich, w stopniowym swym rozwoju, spraw zajęła mnie nieco, to chyba sprawy małżeńskie, wprawiające mnie w zdumienie, że małżonkowie mogą popadać w waśnie zamiast być najszcześniejszymi ludźmi pod słońcem. Śledząc za sprawami spadkowymi, rozmyślałem znów, jakbym użył — zawsze na zdobycie Dory — tych pieniędzy. W pierwszych tygodniach zakochania kupiłem aż cztery eleganckie kamizelki — nie dla siebie, uchowaj Boże, nie lubowałem się w kamizelkach — dla Dory. Wychodząc, wkładałem żółte rękawiczki. Od onego to czasu wszystkich dorobiłem się nagniotków. Prawdę mówiąc, buty, które nosiłem wówczas, o wiele były mniejsze od nóg moich i same już świadczyć mogły o stanie mego serca.

Kalecząc się prawie i kulejąc z miłości, chodziłem godzinami całymi w nadziei spotkania Dory. Po drodze do Norwood uważany byłem za roznosiciela listów, a oprócz tego cały Londyn przebiegałem wszędy i wzdłuż. Przechadzałem się po ulicach, przy których były największe magazyny mód i strojów damskich, jak duch niepokoju tulałem się po sklepach, przebiegałem aleje w parkach, nieraz zamykano mnie w publicznych ogrodach. Czasem, ale to rzadko kiedy, udawało mi się ją spotkać. Ciągle łudziłem się nadzieją ujrzania jej rękawiczki w oknie przejeżdżającego pojazdu. A może spotkam ją przechadzającą się z panną Murdstone i uda mi się towarzyszyć im choć kilkanaście kroków? Udawało

mi się to czasem istotnie, lecz w takich razach wpadałem później w rozpacz, okazywało się bowiem, że nic nie powiedział z tego, com powiedzieć zamierzał, że się Dora ani domyśla bezmiaru mego przywiązania lub nawet, że wcale o nie i o mnie samego nie dba. Wyczekiwałem powtórnego zaproszenia i, niestety, wyczekiwałem daremnie.

Pani Crupp posiadała snadź<sup>285</sup> znakomitą przenikliwość, skoro wówczas nawet, gdy samej Agnieszce przyznać się do prawdy nie miałem odwagi i donosząc o wizycie w domu pana Spenlow pisałem tylko, że jego rodzinę stanowi córka jedynaczka, pani Crupp domyśliła się czegoś. Pewnego wieczoru, gdym był bardzo przybity, weszła do mnie, uskarżając się na zwykłe swe spazmy i zapytała, czy nie mógłbym jej udzielić kilku kropel nalanego na rumbarbarum<sup>286</sup> araku<sup>287</sup> lub esencji goździkowej, ingrediencji<sup>288</sup> nader pomocnych w jej cierpieniu. Jeślibym zaś nie posiadał tych specyfików, nieco koniaku zastąpić by je z biedą mogło. Szczerze mówiąc, nie słyszałem nawet nigdy o pierwszych, a mając w szafie zapas koniaku, chętnie nalałem jej kieliszek, który, aby nie być posądzoną o oszustwo, wychyliła w mojej obecności. Język się jej rozwiązał.

— Serce mi się ściska — mówiła — na widok pana! Mam dla pana macierzyńskie uczucie.

Uśmiechnąłem się na to tkliwe wynurzenie jej uczuć.

— Niech mi pan daruje — ciągnęła — powiem prawdę, znam się nieco na tym, jest w tym jakaś panienka.

Zaczerwieniłem się po uszy.

— Pani Crupp...

— Niech się pan nie gniewa i niech znów nie bierze tak bardzo do serca. Jeśli nie jest panu wzajemna, niewielka bieda, wzajemność znajdzie się gdzie indziej. Takiemu przystojnemu jak pan chłopcu nie zabraknie dziewcząt, trzeba tylko, abyś pan własną znał cenę, panie Copperfull.

Tak mnie zawsze nazywała. Nie douczyła się mego nazwiska i stale je na swój sposób przekręcała.

— Nie wiem — rzekłem — co może pani nasuwać na myśl...

— O! Panie Copperfull — przerwała mi z emfazą — matką przecie jestem.

Przez chwil kilka przytrzymała ręką bijące pod nankinowym kaftanem serce. Dla pokrzepienia się nalała sobie ponownie kieliszek koniaku.

— Kiedy szanowna ciotka pańska, panie Copperfull — ciągnęła — najęła tu dla pana mieszkanie, pomyślałam sobie: dobrze, teraz to już mam kogo macierzyńskim otoczyć staraniem. Pan nic nie je, nie pije.

— I na tym pani zasada swe wnioski? — spytałem.

— Panie! — odrzekła, popadając w surowość, z godnością i powagą. — Niejeden tu już u mnie mieszkał młodzieniec. Młody dżentelmen bywa zwykle nazbyt lub za mało sam o siebie dbały; szcztokuje swe włosy i wygląda nadto lub za mało; nosi za szerokie lub za ciasne buty, zależy to już od jego osobistych poglądów, lecz pod tymi czy owymi pozorami jest zawsze, jak trafić: panienka.

Potrząsnęła przekonująco głową. Nie było rady. Zbyt pewna była swej argumentacji.

— Młody człowiek, który tu mieszkał przed panem, panie Copperfull, i umarł — dowodziła przekonująco — zakochał się był w szynkarce z przeciwka. Wnet zażądał uprania poplamionej winem kamizelki.

— Prosiłbym panią, pani Crupp — ozwąłem się — o niezestawianie osoby, o której myślę, z szynkarką lub jej podobnymi młodymi osobami.

— Panie Copperfull — zawołała obrażona — mam przecie macierzyńskie serce. Najusilniej przepraszam pana, jeśli mu coś o tym wspomniałam, nie lubię się narzucać ze swą radą i doświadczeniem. Lecz jako młodemu człowiekowi ośmielę się raz jeszcze zalecić, abyś nie upadał na duchu. Może byś pan zajął się kręglami. Zdrowa to gra i dobrze by panu zrobiła, rozerwałaby myśl pańską.

<sup>285</sup>snadź (daw.) — widocznie, prawdopodobnie. [przypis edytorski]

<sup>286</sup>rumbarbarum (daw.) — rabarbar; korzeń rabarbaru stosowano jako środek przeczyszczający i rozwalniający. [przypis edytorski]

<sup>287</sup>arak — mocny, aromatyczny napój alkoholowy z ryżu i trzciny cukrowej. [przypis edytorski]

<sup>288</sup>ingredienje (daw.) — składniki. [przypis edytorski]

Ze słowami tymi pani Crupp, dbała o koniak, którego nie pozostało we flaszy ani kropli, rozplynęła się w dziękczynieniach i zapewnieniach o swym macierzyńskim uczuciu. Gdy znikła w cieniu przedpokoju, występ ten jej wydał mi się nader śmiały i natrętny, wziąłem go jednak pod uwagę, postanawiając być na przyszłość oględniejszy i pilniej strzec tajemnicy mego serca.

## ROZDZIAŁ XXVII. TOMMY TRADDLES

Czy to skutkiem rad udzielonych mi przez panią Crupp, czy z innego powodu przypomniałem sobie Traddlesa i postanowiłem odwiedzić go nazajutrz. Od dawna musiał być wrócić do Londynu ze swej miesięcznej wycieczki. Mieszkał w uliczce w pobliżu szkoły weterynaryjnej, w Camden Town, dzielnicy zamieszkałej przeważnie, jak mnie objaśnił jeden z naszych sekretarzy, przez studentów kupujących żywe osły, by dokonywać na nich w swych mieszkaniach przeróżnych doświadczeń. Zaopatrzywszy się w topograficzne wskazówki, udałem się po południu w odwiedziny do mego szkolnego towarzysza.

Uliczka nie należała do najprzyjemniejszych miejsc zamieszkania. Mieszkańcy jej okazywali szczególniejszą skłonność do wyrzucania na nią wszystkiego, co im w mieszkaniach zawadzało. Nadawało to jej pozór nieporządku, zmieniając w jedno śmietnisko. Wśród liści kapusty i sałaty wały się zdarte skarpetki, połamane rondelki, podziurawione rynki, zmięty, pierwotnego kształtu pozbawiony kapelusz, podruzgotane szczątki parasola i niezliczone tym podobne graty. Powietrze i wygląd ogólny tych miejsc przypomniały mi czasy, kiedy mieszkałem z państwem Micawber. Jakaś niedająca się opisać tania wytworność wyróżniająca dom, którego szukałem — chociaż wszystkie domy na ulicy tej wyglądały jak z kartonu, pobudowane dla zabawy przez dzieci — żywiej pobudziła to wspomnienie. Wzmogło się ono jeszcze u drzwi otwartych właśnie, przy których stał mleczarz.

— I cóż? — mówił on do bardzo młodej służącej. — Kiedy mój rachunek zapłacony zostanie?

— Pan mówił, że wkrótce zapłaci — odrzekła służąca.

— Bo to — ciągnął mleczarz, nie zważając na otrzymaną odpowiedź, tonem, który dowodził, że chociaż mówi do służącej, rzecz tę stosuje do kogoś niewidzialnego, lecz obecnego w mieszkaniu — bo to rachunek ciągnie się od tak dawna, że i cierpliwości już nie staje<sup>289</sup>, a oszukać się i wyzyskać nie dam — dodał, głos podnosząc i zaglądając do mieszkania.

Był to tylko mleczarz — rzeźnik lub szynkarz dopominałby się o swą należność głośniejszej — służąca jednak i przed tą groźbą głos zniżyła. Zapewniała, że się wszystko wkrótce już zapłaci.

— Znam ja was — mówił mleczarz surowo, a biorąc ją pod brodę, spytał. — A lubisz mleko?

— Lubię — odrzekła nieśmiało.

— A widzisz, od jutra nie dostaniesz ani kropelki, ani kropelki.

Nie wywarło to na niej pożądanego wrażenia. Mleczarz nadąsany odkorkował jednak dzban i nalał w trzymane przez służącą naczynie zwykłą ilość używanego codziennie przez rodzinę mleka. Odchodząc, mruczał coś jeszcze.

— Tu mieszka pan Traddles? — spytałem.

Z głębi mieszkania głos jakiś powiedział: „Tak jest, tu”.

— Tak jest, tu — powtórzyła służąca.

— Zastaję go? — spytałem.

Twierdząca odpowiedź udzielona mi została w ten sam co pierwsza sposób. Wszedłem. Służąca powiodła mnie na górę. Czułem, że zza drzwi śledzi za mną tajemnicze oko będące w związku z tajemniczym głosem.

Na górze spotkał mnie Traddles. Powitał serdecznie i wwiódł<sup>290</sup> do swej izdebki. Oznaczała się niesłychaną czystością, chociaż sprzęty były ubogie i skromne. Izdebka ta stanowiła zresztą całe mieszkanie szkolnego mego towarzysza. Sypiał na kanapie, a szczotki

<sup>289</sup>nie stawać (daw.) — nie wystarczać. [przypis edytorski]

<sup>290</sup>wwieść (daw.) — wprowadzić. [przypis edytorski]

i szuwaks do czyszczenia butów znajdowały się na półce między książkami. Stół pokryty był papierami; pracował, widać, odziany w stary surdut. Nie patrząc, widziałem to wszystko, dostrzegłem nawet kościół namalowany na porcelanowym jego kałamarzu.

Zdolność widzenia wielu rzeczy bez przyglądania się im pozostała mi z czasów, gdy żyłem w domu państwa Micawber, a chociaż Traddles bardzo zrećźnie usuwał na dalsze plany i maskował kuferki, półki z obuwiem, stolik do mycia się i golenia i tak dalej, objąłem to jednym rzutem oka i w pamięci związałem ze szkolnym towarzyszem, który z listowego papieru wyrabiał pułapki na muchy, a okładki książek i szkolnych zeszytów pokrywał artystyczną swą produkcją.

W kącie izdebki było coś starannie owiniętego białym prześcieradłem. Nie mogłem się domyślić, co by to być mogło.

— Cieszę się niewymownie, że cię widzę — rzekłem siadając.

— I ja się cieszę — odrzekł — cieszę się z całego serca i dlatego to, wiedząc, że ci równie jak mnie miłe było to niespodziane spotkanie na Ely Place, dałem ci ten adres, zamiast adresu kancelarii.

— Masz kancelarię? — spytałem.

— Tak — odrzekł. — Właściwie mówiąc, ćwierć kancelarii i ćwierć sekretarza. Dla łatwiejszego odrabiania interesów połączyliśmy się we czterech, składając na kancelarię i sekretarza. Kosztuje mnie to pół korony na tydzień.

W uśmiechu, z jakim opowiadał mi te szczegóły, błyskał dawny jego humor, łagodność i skromność.

— Nie przez dumę to i pretensję — objaśniał — daję zwykle tamten adres, ale przez wzgląd, że nie każdemu miło tu może zachodzić. Co do mnie, walczę jak mogę z trudnościami niełatwymi do pokonania i nie mam prawa być wymagający.

— Aplikujesz w adwokaturze? — rzekłem.

— A tak! — odrzekł pomału, zacierając rękę o rękę. — A tak, aplikuję, za późno nieco, lecz opłacie stu funtów podolałem z trudnością. Z trudnością!

Skrzywił się, jak gdyby mu ząb wyrywano.

— A czy wiesz, o czym myślę, patrząc tu na ciebie, kochany chłopcze? — spytałem.

— O czym?

— O tym sinym surduciku, który dawniej nosiłeś.

— Ciasnym w ramionach i wytartym na łokciach! — zaśmiał się wesoło. — Dobre to były czasy, co?

— Gdyby nie ten nasz tyran — odrzekłem, myśląc o starym Creakle.

— Zapewne, nielekką wiódł nas dłoń! Dobre to jednak były czasy! Pamiętasz nocne nasze rozmowy, kolacyjki, te prześliczne bajki, coś nam prawil? Pamiętasz, ile kijów spadło na me plecy za to, że opłakiwałem wydalenie pana Mella? Stary tyran! Chciałbym go jednak spotkać kiedy.

— Pastwił się nad tobą w szczególny sposób — zauważyłem z oburzeniem, gdyż zdawało mi się, że słyszę jeszcze razy spadające na plecy współtowarzysza.

— Tak sądzisz? — rzekł z niezmaconym uśmiechem. — Istotnie, być może, było to jednak tak dawno. Oj, stary tyranie!

— Na wychowanie twe, jeśli się nie mylę, wuj łożył? — spytałem.

— A tak — odrzekł. — Zawsze zabierałem się pisać do niego i nigdy zabrać się nie mogłem. Pamiętasz! Cha! Cha! Cha! Miałem wuję, zmarł wkrótce po wyjściu mym ze szkół.

— Tak!?

— Tak. Był to staruszek, kupiec, miałem zostać jego spadkobiercą, lecz nie podobałem mu się, gdym dorósł.

— Czy mówisz to naprawdę? — rzekłem, zauważywszy żartobliwy ton, jakim to mówił.

— Naprawdę. Przekonany o tym jestem. Na nieszczęście nie lubił mnie, utrzymywał, że zawiodłem jego nadzieje, i ożenił się ze swą gospodynią.

— Cóż ty na to?

— Cóż? Nic! Mieszkałem przy nich, wyczekując, aż mi utworzą wejście w jaki zawód, tymczasem podagra doszła do żołądka, wuj umarł, wdowa wydała się za męża za jakiegoś młodzika, a ja zostałem na lodzie.

— Nic ci nie zostawił?

— Owszem, dostałem pięćdziesiąt funtów, ale co chcesz, nie byłem przygotowany do żadnego zawodu i z początku nie wiedziałem, co z sobą począć. Pomógł mi jeden z dawnych współtowarzyszy z Salem House, Yawler, z krzywym nosem, przypominasz go sobie?

— Nie przypominam, nie było go, za moich czasów wszystkie nosy były proste.

— Mniejsza z tym — mówił Traddles — dość, że mi dostarczył do przepisywania prawne akta i wyroki. Poszło to jakoś. Zaczęłem robić wyciągi, pisać sprawozdania, streszczać i tym podobnie. Pracowity jestem, jak wiesz, i nauczyłem się dokładnie wszystkich tych manipulacji. Przyszło mi na myśl samemu zostać aplikantem. Yawler polecił mnie tu i ówdzie, między innymi panu Waterbrook. Posypały się zarobki. Miałem przy tym szczęście poznać pewnego publicystę zajmującego się wydaniem nowej encyklopedii — powiódł okiem po stole — znalazła się i tu dla mnie robota. Wiesz — kończył z dobrodusznym uśmiechem — kompilacja, do wynalazków i kompozycji nie mam sprytu! Wątpię, czy pod słońcem jest drugi równie mało jak ja w tym względzie uzdolniony.

Potakiwałem mu machinalnie, co go ani dziwiło, ani obrażało.

— I tak pomału — ciągnął — grosz do grosza uciułałem moje sto funtów, wykupiłem się dzięki Bogu — skończył, krzywiąc się. — Wypłaciłem się co do szeląga. Ot widzisz, jak żyję. Mam nadzieję wejść z czasem do jakiej redakcji, byłoby to dla mnie szczęściem. A teraz ty, Copperfieldzie! Ten sam co dawniej, kochany, poczciwy! Taki poczciwy, że mnie zdejmuję ochota wypowiedzieć ci wszystko, i aż spod serca, nic nie zataić. Zaręczony jestem.

Zaręczony! O, Doro!

— Z córką duchownego w Devonshire, jedną z dziesięciu siostr. Tak właśnie — mówił, zauważywszy, że spoglądam na kościół malowany na jego kałamarzu — jest to parafia. Oto tędy, na lewo, stoi dom, jak raz naprzeciw kościoła, przy ogrodzie!

Teraz dopiero przypominam sobie, jak był rozpromieniony, użyczając mi tych wyjaśnień. Teraz to dopiero przypominam sobie, gdyż na razie marzył mi się dom i ogród w Norwood.

— Dobre, kochane dziewczę! — mówił z zapalem. — Starsza nieco ode mnie, ale taka kochana! Mówiłem ci onegdaj, że wyjeżdżam na prowincję. Tam to właśnie jeździłem. Czas przeszedł mi rozkosznie. Nie tak to, widzisz, prędko się pobierzemy, lecz obraliśmy sobie za zasadę: czekać cierpliwie i nie tracić nadziei. „Czekajmy i miejmy nadzieję” mawiamy sobie wzajemnie. Wiem to, będzie czekać cierpliwie, chociażby przyszło czekać sześćdziesiąt lat i więcej.

Powstał z krzesła z triumfującym uśmiechem, odsłaniając przedmiot okryty białym prześcieradłem.

— Pomału jednak, jak widzisz — mówił — zaczynamy się już meblować i ekwipować. Po-ma-lu. Oto już dwa nabyte przedmioty. Słupek ten z wazonem wybrała ona. W oknie — Traddles cofnął się, by lepiej widzieć oglądany przedmiot — w bawialnym pokoju, z ładną zieloną rośliną w wazonie, wyglądać będzie nieźle. Ten mały stoliczek z marmurowym blatem ja wybrałem. Chcesz położyć książkę lub kto bądź z gości zechce postawić filiżankę z herbatą, już jest. Wyborna robota, mocna.

Chwaliłem oba sprzęty, które Traddles znów starannie zasłaniał, mówiąc:

— Mało to jeszcze, ale zawsze jest już coś na początek. Najbardziej się troszczę o stółową bieliznę i pościel. Wielki z tym będzie ambaras. A kuchenne, a domowe sprzęty! Przepaść! No, nie ma co, czekajmy cierpliwie i miejmy nadzieję, to nasza zasada! Kochane dziewczę! Poczciwe!

— Pewien tego jestem — rzekłem.

— Tymczasem — mówił, wracając na opuszczone miejsce — powodzi mi się, jak widzisz, jako tako. Nie zarabiam wiele, ale też oszczędny jestem i wydaję mało. Stołuję się u sąsiadów, niżej, u bardzo poczciwych ludzi. Pan i pani Micawber niejedne już przeszli w życiu koleje, znają świat i ludzi!

— Co mówisz, Traddlesie! — zawołałem.

Spojrzał na mnie ze zdziwieniem.

— Państwo Micawber są to moi dobrzy, starzy znajomi!

Zaręczyny, Praca

Wtem rozległo się dyskretnie, z dawien dawna znane mi pukanie do drzwi, które rozwiąłoby wszelkie moje, jeśliby mi jeszcze pozostały w tym względzie, wątpliwości. Prosiłem Traddlesa, aby wezwał gospodarza na górę. Uczynił to chętnie, przechylając się przez barierę. Wszedł pan Micawber taki samusięńki jak przed laty, opięty, z laseczką, monoklem, białym kołnierzykiem, ugrzeczniony, elegancki.

— Przepraszam pana, panie Traddles — począł, głos zniżając uprzejmie — nie wiedziałem, że zastanę nieznajomego w tym przybytku!

Skłonił mi się, poprawiając kołnierzyk.

— Jak się pan miewa, panie Micawber! — zawołałem.

— Nieskończenie obowiązany — odrzekł — zdrowie moje *in statu quo*<sup>291</sup>.

— A pani Micawber?

— Tysiąc wdzięczności. Dzięki Niebu i żona moja *in statu quo*.

— A dziatki?

— Z przyjemnością przyświadczyć mogę, że są naszą pociechą i chlubą. Rosną w zdrowiu i cnotach.

Pan Micawber nie poznawał mnie widocznie, chociaż oka ze mnie nie spuszczał. Teraz dopiero, spostrzegłszy na mej twarzy uśmiech, którego nie zdołałem powstrzymać, cofnął się i po chwili zawołał:

— Byćże to może! Mamże<sup>292</sup> szczęście znów spotkać pana Copperfielda?!

Uściskaliśmy sobie dłonie.

— Nieba! — wołał pan Micawber. — Kto by mógł przypuścić, że pan Traddles zna się z tym oto moim najdawniejszym przyjacielem, towarzyszem dni dawno minionych.

— Kochanie! Żono! — wołał, przechylając się nad schodami, gdy tymczasem Traddles zdumiony był tym, co dopiero słyszał. — Żono! Kochanie! Jest tu u pana Traddlesa pewien dżentelmen, który życzy sobie być ci przedstawiony.

Wrócił i znów uściskał mi obie dłonie.

— A doktor, jak się miewa doktor? — pytał. — Co słyhać w Canterbury?

— Same pomyślne mam stamtąd wiadomości — odrzekłem.

— Cieszę się z tego niewymownie — upewniał pan Micawber. — Ostatni raz widzieliśmy się w Canterbury, w cieniu, że tak rzec można, opisanej przez Chaucera katedry<sup>293</sup>, będącej niegdyś celem pielgrzymek z najodleglejszych stron kraju. Tak właśnie, w cieniu i pod opiekuńczym skrzydłem katedry.

Przypomniałem to sobie doskonale. Pan Micawber mówił ze znaną mi potocznością i jak gdyby nie uważał na szmery, które dochodziły z dołu. Pani Micawber myła tam ręce, otwierała i zamykała komodę.

— Zastajesz nas obecnie, kochany Copperfieldzie — prawili, spoglądając z boku na Traddlesa — zamieszkałych tu na bardzo skromnej stopie, wiesz jednak o tym, ile już w życiu pokonałem trudności, zwyciężyłem przeciwności. Nie obcy ci i ten fakt z mego życia, kiedym pozostał niby w zawieszeniu, w oczekiwaniu zmiany wypadków, odepchnięty w chwili, gdy właśnie zdobywałem się na krok stanowczy. I obecnie w podobnym, rzec można, znajduję się położeniu, w przeddzień stanowczego kroku, w nadziei, że mi się uda doścignąć zamierzony cel.

Wyrażałem zadowolenie z tego, com słyszał. Wtem weszła pani Micawber. Wydała mi się bardziej jeszcze niż dawniej zaniedbana, oko moje odwykło od podobnych widoków, wyraźnie jednak podstroїła się, gdyż włożyła nawet ciemne rękawiczki.

— Kochanie! — zawołał pan Micawber. — Oto młody dżentelmen, nazwiskiem Copperfield, życzący sobie odnowić z tobą znajomość.

Słowa te wywarły na słabej pani Micawber takie wrażenie, tak ją wzruszyła ta niespodzianka, że o mało nie zemdląła. Mąż jej musiał biegać po wodę i skrapiać jej skronie. Gdy przysła do siebie, nie mogła się dość mną nacieszyć. Rozmawialiśmy z pół godziny. Pytałem o bliźnięta — „ot, ile urosły”. A dwoje starszych dzieci? „Olbrzymy”. Nie przedstawiono mi tych olbrzymów.

<sup>291</sup>*in statu quo* (łac.) — w niezmiennym stanie; w stanie takim jak poprzednio. [przypis edytorski]

<sup>292</sup>*byćże* (...), *mamże* — konstrukcje z partykulą *-że*, wzmacniającą i nadającą znaczenie pytania retorycznego: czy być, czy mam. [przypis edytorski]

<sup>293</sup>*opisanej przez Chaucera katedry* — katedra w Canterbury została opisana w *Opowieściach kanterberyjskich* ang. poety, filozofa i dyplomaty, Geoffrey Chaucera (ok. 1343–1400). [przypis edytorski]

Pani Micawber chciała zatrzymać mnie na obiad. Pozostałbym chętnie, lecz widząc jej zakłopotanie, odmówiłem, wymawiając się, że gdzie indziej zaproszony, zapewniając, że nie odejdę, zanim Traddles i oboje państwo Micawber nie naznaczą dnia, w którym obiadować zechcą u mnie. Zajęcie Traddlesa nie dozwalało mu określić bliskiego terminu, umówiliśmy się zatem na dzień dla wszystkich dogodny, po czym pożegnałem starych znajomych.

Pan Micawber, pod pretekstem wskazania bliższej drogi, odprowadził mnie do rogu ulicy. Czuł potrzebę wywnętrzenia się przed starym przyjacielem.

— Kochany Copperfieldzie — zaczął. — Nie potrzebuję mówić ci, że pod zachmurzonym naszym dachem, w obecnych okolicznościach bytność takiego jak pan Traddles towarzysza jest jakby ożywym promieniem. Pomiędzy praczką z prawej strony, która mydliny wystawia pod samymi drzwiami salonu, a policjantem z lewej, towarzystwo podobnego człowieka jest jedyną naszą pociechą. Widzisz mnie obecnie zajętego sprzedażą zboża, czymś w rodzaju komisjonera. Niezbyt to popłatne, toteż wynikają stąd pewne, czasowe, jak to sobie tuszę<sup>294</sup>, finansowe trudności. Wyczekuję zmiany z dnia na dzień, a chociaż nie mogę teraz jeszcze stanowczo określić, w jakim mianowicie kierunku, pewien jestem, że po zmianie tej będę mógł być użyteczny i panu Traddlesowi. Zauważyłeś też może, że pani Micawber znajduje się obecnie w stanie zdrowia, które... aha, ahum, które, jakże to mam wyrazić... dowieść nas niebawem może do powiększenia rodziny, wprowadzając w nią nowy dowód obopólnej naszej miłości. Taki stan rzeczy nie zadowala wprawdzie rodziny pani Micawber. Ponieważ jednak ja się nie mieszam wcale do ich interesów, toteż ze wzgardą i obojętnością traktuję ich niezadowolenie.

Powiedziawszy to, uściśnął mi rękę i rozeszliśmy się.

## ROZDZIAŁ XXVIII. PAN MICAWBER RZUCA RĘKAWICĘ

Do dnia, w którym miałem gościć mych odnalezionych, starych przyjaciół, żyłem wyłącznie Dorą i kawą. Zakochany, straciłem zupełnie apetyt, z czego się zresztą cieszyłem, sądząc, że apetyt byłby pewnym sprzeniewierzeniem się królowej mego serca. Ruch, w którym ciągle byłem, opłacał mi się lepiej, gdyż świeże powietrze równoważyło ustawicznie napotykaną zawody. Sądzę też z nabytego podówczas doświadczenia, że apetyt pozostaje w jakimś związku z ciasnymi butami: aby żołądek mógł należycie funkcjonować, kończyny ciała ludzkiego winny być swobodne.

Tym razem podejmując gości, zaniechałem uprzednich przygotowań. Kupiłem po prostu baranią łopatkę, kilka fląder i pasztet. Pani Crupp oburzyła się z początku na moją propozycję gotowania ryby, wołając stanowczo: „Nie! Nie! Nic z tego nie będzie. Nie znasz mnie pan dostatecznie, jeśli przypuszczasz, że podejmę się tego, czego dokonać nie mogę”. W końcu jednak zgodziła się dokonać dzieła pod warunkiem, że przez dwa tygodnie potem będę obiadował poza domem.

Tu muszę nadmienić, że to, com wycierpiał od despotyzmu pani Crupp, przechodzi wszelkie pojęcie. Bałem się jej jak ognia i godziłem się na wszystkie kolejno narzucane mi ustępstwa. Na każdą okazywaną przeze mnie stanowczość lub chociażby najlżejsze wahanie miała zawsze w pogotowiu owe spazmy i słabości, którymi mnie straszyla. Jeśli po kilku lub kilkunastu nieśmiały próbach potrząsałem gwałtownie za dzwonek, zjawiała się zadyszana, padała na krzesło obok drzwi, kładła obie dłonie na nankinowym kaftanie i poczyniała jęczeć tak boleśnie, że mój się czuł uszczęśliwiony, gdy mój mógł pozbyć za cenę wódki lub jakiej bądź ofiary. Jeżeli oponowałem<sup>295</sup> przeciw śłaniu mi łóżka o piątej po południu, co po dziś dzień uważam za nader niestosowną porę, jedno podniesienie jej ręki do nankinem osłoniętego łona działało na mnie jak uderzenie czarodziejskiej różdżki: miękłem i przepraszałem. Słowem, nie chciałem się jej niczym narazić, była więc dla mnie ustawicznym postrachem.

Nie zgodziłem się jednak na wzięcie „sprytnego chłopaka”, którego spotkałem był<sup>296</sup> pewnego niedzielnego poranku na ulicy, w kamizelce bardzo podobnej do tej, której

<sup>294</sup>tuszyć (daw.) — mieć nadzieję. [przypis edytorski]

<sup>295</sup>oponować — stawiać opór, przeciwstawiać się. [przypis edytorski]

<sup>296</sup>spotkałem był — forma czasu zaprzeczonego dla czynności wielokrotnej, ponawianej; inaczej: spotkałem wcześniej (dawniej, uprzednio). [przypis edytorski]

właśnie od pamiętnego owego obiadu znaleźć nie mogłem wśród mej garderoby. Młoda pomocnica została najęta pod warunkiem, że będzie tylko przynosić półmiski i zaraz wychodzić za drzwi, by swym sapaniem nie naprzykrzać się gościom.

Przygotowawszy wszystko, co było potrzebne do zrobienia ponczu, postawiwszy na toalecie flakonik lawendowej wody, dwie świece oraz położywszy arkusz szpilek przez wzgląd na panią Micawber, z tej samej pobudki rozpaliwszy ogień w mym sypialnym pokoju i nakrywszy stół własnoręcznie, czekałem przybycia gości.

O naznaczonej porze przybyli wszyscy troje razem, pan Micawber w szerszym i białszym niż zwykle kołnierzu i z nową wstążeczką przy monoklu, pani Micawber z czepkiem w kartonowym pudełeczku, które niósł Traddles, prowadzący damę tę pod ramię. Zachwycali się moim mieszkaniem, a gdy wprowadził panią Micawber do toalety i gdy ujrzała uczynione dla niej przygotowania, wpadła w taki zachwyt, że zawołała męża, każąc mu podziwiać wszystkie te elegancje.

— Ależ to zbytki, kochany Copperfieldzie! — rzekł pan Micawber. — Przypomina mi to moje kawalerskie czasy, zanim miałem szczęście i zaszczyt związać się wiarą małżeńską u ołtarzów Hymenu<sup>297</sup> z obecną tu właśnie panią Micawber.

— Ublaganą przez niego — wtrąciła żona. — Nie trzeba nigdy odpowiadać za innych.

— Nie odpowiadam też, kochanko, za nikogo — rzekł pan Micawber z wielką powagą — wiem to, że wyrokiem nieodwołalnych losów przeznaczona mi byłaś, przeznaczona człowiekowi, który po wielu ciężkich i daremnych walkach z losem padł ofiarą zawitych interesów pieniężnej natury. Rozumiem cię doskonale, kochanie! Boleję nad tym, lecz zaradzić temu nie mogłem.

— Mężu! — zawołała cała we łzach pani Micawber. — Czyż zasłużyłam na podobne wyrzuty, ja, która cię nie opuściłam, nie opuszczę nigdy, przenigdy?

— Kochanie! — mówił wzruszony pan Micawber. — Wybacz mi, a nasz obecny tu przyjaciel wybaczy mi też to chwilowe rozdrażnienie wynikłe z żalu do przekornych losów i wywołane nowym rozczarowaniem po zetknięciu się z niegodziwcami przy wodociągach, gdzie właśnie miałem nadzieję utrwalić naszą fortunę.

Ucałował żonę i uściskał mi dłonie, dając do zrozumienia, że towarzystwo wodociągowe, nie otrzymawszy zapłaty, przykróciło wydawanie wody na domowe potrzeby jego rodziny.

Dla rozerwania smutnych tych myśli podałę mu cytryny, mówiąc, że liczę na jego znajomość rzeczy w przygotowaniu ponczu. Rozproszyło to w mgnieniu oka jego smutek, ba, rozpacz. Nie widziałem nikogo, kto tak byłby zajęty lupinami cytryn, cukrem, zapachem palącego się araku, wrzącą wodą. Ponad błękitnymi, z wazy wydzielającymi się płomykami, twarz jego jaśniała takim zadowoleniem, jak gdyby zamiast ponczu zajęty był gotowaniem szczęścia i pomyślności dla całej swej rodziny. Co do pani Micawber, nie wiem, czy to dzięki włożonemu czapeczkowi, czy wodzie lawendowej, czy szpilkom, woskowym świecom, czy roznieconemu na kominku ogniowi, lecz, wychodząc z mego pokoju, wyglądała lepiej niż kiedykolwiek. Skowronek nie mógłby być weselszy.

Przypuszczam — nie ośmieliłem się bowiem nigdy dochodzić — przypuszczam jednak, że pani Crupp po ugotowaniu ryby zaśląbla nagle. Łopatka barania była biała zewnątrz, a czerwona wewnątrz, przy tym sos posypyany był czymś bardzo podobnym do popiołu, nad czym zresztą nie mieliśmy sposobności rozmyślać, gdyż „młoda pomocnica” upuściła półmiskę na schodach, gdzie ostatecznie pozostał. Szczęściem, pasztet był dobry, strasznie tylko mały. Uczta, krótko mówiąc, nie udała się, co by mnie nieskończenie martwiło, gdybym był zdolny myśleć o czymkolwiek, nie tylko o Dorze, i gdyby mnie nie rozweselał wyborny humor mych gości. Pan Micawber podjął się roli pocieszyciela.

— Kochany Copperfieldzie — mówił. — Wypadki podobne trafiają się w najlepiej zorganizowanych domach, tam nawet, gdzie gospodarstwo pozostaje pod baczny okiem pani domu, gospodyni, żony. Tam nawet, powtarzam, wypadki podobne przytrafiają się i wymagają filozofii. Otóż i obecnie pozwolę sobie zauważyć, że mamy tu pod ręką niektóre wyborne produkty, jeśliby zaś młoda, tu obecna osoba zechciała dostarczyć

Uczta

<sup>297</sup> *Hymen* (mit. gr.) — bóg małżeństwa, patronujący obrządkowi zaślubin, a także pieśniom weselnym. [przypis edytorski]



nam rusztu do pieczenia, zastąpilibyśmy z powodzeniem małe braki w tej lukullusowej uczcie<sup>298</sup>.

Szczęściem miałem ruszt w szafie, służący mi do przypiekania z rana szynki. Wydo-  
stał się go w mgnieniu oka, Traddles zajął się krajaniem baraniny. Pan Micawber pokra-  
jane plasterki z wprawą znawcy osypywał solą, pieprzem, nacierał papryką i musztardą,  
ja z kolei kładłem je na przyniesionym ruszcie i przypiekałem, obracając je widelcem nad  
żarzącymi się węglami. Pani Micawber tymczasem kręciła w sosjerce ostry sos grzybo-  
wy. Wkrótce uwagę swą musieliśmy dzielić pomiędzy zrazami znajdującymi się już na  
naszych talerzach i przypiekającymi się jeszcze na kominie.

Niespodziane to kucharzowanie, smaczne istotnie zrazy, zwracanie uwagi, by ich nie  
przypalić i upiec w miarę, wszystko to razem wprawiło nas w wyborne humory. Z łopatki  
baraniej pozostały same kości. Ze wstydem wyznać muszę, że nawet chwilowo zapo-  
mniał o Dorze. Pan i pani Micawber wyglądali na najzupełniej zadowolonych. Traddles  
śmiał się z całego serca, pracował i jadł w najlepsze. Słowem, wszystko szło wybornie.

Mieliśmy właśnie spożyć ostatnie, najsmakowiciej sporządzone kęski, gdy wszedł ktoś  
obcy. Był to Littimer we własnej osobie; z odkrytą głową stał przy drzwiach.

— Kogo szukasz? — spytałem mimo woli.

— Za przeproszeniem pańskim — odrzekł — przysłany tu jestem, szukam mego  
pana.

— Nie ma go tu.

— Za przeproszeniem pańskim, czy go pan nie widział?

— Nie. Czy nie od niego przychodzisz?

— Niezupełnie, proszę pana.

— Mówił ci, że tu będzie?

— Niezupełnie, proszę pana, sądziłem tylko, że jeśli go tu dziś nie ma, to będzie  
jutro.

— Przyjechał z Oksfordu?

— Może pan z łaski swej raczy usiąść i mnie dozwoli wyręczyć siebie.

Mówiąc to, wziął mi widelec z ręki i pochylił się nad stojącą na kominku kratką. Po  
chwili zajął się przypiekaniem baraniny.

Zjawienie się samego Steerfortha nie zmieszaloby nas zapewne, lecz obecność jego  
służącego działała na nas w dziwny sposób. Pan Micawber począł nucić dla okazania za-  
pewne swobody, rozparł się niedbale na krześle, a spod poły wystawał mu widelec, jak  
gdyby się nim miał przebić. Pani Micawber naciągnęła ciemne rękawiczki i przybrała  
omdlewającą pozę. Traddles zatłuszczonymi rękoma najeżył sobie czuprynę, potem otarł  
je o obrus, co do mnie zmieniłem się nagle w niemowlę prawie i, przy własnym siedząc  
stole, nieśmiało spoglądałem na niespodziane to zjawisko czyniące porządku pod mym  
dachem.

Littimer, ze znaną mi powagą, obniósł dokoła stołu zdjęte z ognia zrazy. Jedliśmy,  
apetyt nas jednak wraz z uprzednią wesołością opuścił zupełnie. Littimer sprzątnął cicho  
talerze i podał ser. Potem zdjął obrus, w kątku ustawił naczynie i przyniósł nam szklanki  
i kieliszki. Wszystko to dokonywał z największą ścisłością i dokładnością, nie podnosząc  
oczu, z pleców jego jednak widziałem, gdy się odwracał, że miał mnie za młokosa, za  
dziecko i tyle!

— Czym jeszcze mogę panu służyć? — spytał.

Podziękowałem mu, prosząc, czyby sam nie zjadł czego.

Podziękował mi wzajemnie, odmawiając stanowczo.

— Czy pan Steerforth ma przybyć z Oksfordu? — spytałem.

— Za przeproszeniem pańskim?

Powtórzyłem pytanie.

— Wyobrażałem sobie, że będzie tu jutro — rzekł — sądziłem nawet, że go dziś już  
zastanę. Pomyliłem się widocznie.

<sup>298</sup>lukullusowa uczta — wykwintna, obfita uczta; Lukullus (117–56 p.n.e.), rzym. wódz i polityk, stronnik  
Sulli, związany ze stronnictwem optymatów, zwyciężył Mitrydatesa VI Eupatora, władcę Pontu (kraju na tere-  
nie dzisiejszej Turcji); sprowadzał ze Wschodu dzieła sztuki i rośliny, które zdobyły następnie jego rezydencje  
i ogrody, był mecenasem uczonych i artystów, zasłynął też jako smakosz i organizator uczt, których przepych  
stał się przysłowiowy. [przypis edytorski]

— Jeśli go pierwej zobaczysz... — począłem.  
Przerwał mi.

— Za przeproszeniem pańskim, wątpię, abym go pierwej miał zobaczyć.

— Na wszelki wypadek — rzekłem — powiesz mu, że żałuję, że go tu dziś z nami nie było. Spotkałby dawnego szkolnego towarzysza.

— Doprawdy, panie? — mówił Littimer, z ukłonem dla mnie i dla Traddlesa cofając się do drzwi.

Chciałem raz przecie być swobodny z nim i zawołałem:

— Littimer!

— Słucham pana.

— Czyż długo pozostawał wówczas w Yarmouth?

— Nie panie, niezbyt długo.

— Spuściłeś łódź na morze?

— Tak, panie, było to moim obowiązkiem.

— Wiem o tym.

Podniósł wzrok na mnie.

— Czy pan Steerforth nie próbował jeszcze łodzi? — pytałem.

— Nie potrafię powiedzieć, z przeproszeniem pana. Sądzę... ale istotnie powiedzieć nie potrafię. Życzę panu dobrej nocy.

Uklon jego pełen uszanowania zwrócony był do wszystkich zresztą obecnych. Wyszedł, a myśmy odetchnęli swobodniej. Co do mnie, czułem niejasno, jak gdybym zdradził przed nim mego przyjaciela. Dziwne! Ja, com nic nie miał do ukrycia, doznawałem zawsze wobec Littimera uczucia, jak gdybym się przed nim z czymś zdradził.

Wrażenie to rozproszył pan Micawber, rozwodząc się nad doskonałością tego służącego. Wziął był na swe konto cały uklon odchodzącego, odpowiadając nań z niewzruszoną powagą.

— Ależ! Ale! — zawołał. — A poncz, kochany Copperfieldzie? Właśnie płonie jak najpiękniej. Jak ci się zdaje, kochanie?

Pani Micawber raczyła uznać, że jest istotnie doskonały.

— Wnoszę<sup>299</sup> tedy — mówił mąż jej — za pozwoleniem przyjaciela naszego, tu obecnego Copperfielda, wnoszę toast na cześć dni, w których przechodziliśmy dłoń w dłoni strome ścieżki tego żywota. Możemy (w przenośni naturalnie) powiedzieć o sobie, żeśmy bywali na wozie i pod wozem. W każdym razie, śmiało to rzec mogę, doświadczyłem przyjaźni wzorowego tego młodzieńca i z podporą tejże przyjaźni pewien jestem, że pokonać zdołam przekorne<sup>300</sup> mi losy.

Wychylił szklanę, my za nim. Traddles podziwił mówcę stawiającego czoło przekornym losom.

— Ahum — odchrząknął pan Micawber i, zwracając się do żony, rzekł. — Duszko, kochanko! Jeszcze szklaneczkę.

Pani Micawber zdecydowała, że chyba parę tylko kropel, na naszą jednak prośbę szklanka wypełniona została po brzegi.

— Ponieważ jesteśmy tu między sobą — odezwała się, popijając poncz, pani Micawber — gdyż do swoich liczę obecnego tu wśród na pana Traddlesa, chciałabym zasięgnąć pańskiej rady, panie Copperfield, względem nowych widoków mego męża, co do zboża — rzekła ze stanowczością. — Przekonywałam właśnie męża mego, że jest to zajęcie szlachetne, lecz niepopłatne. O, nie! Wcale za popłatne uważane być nie może.

Zgodziliśmy się z tym.

— Zatem — ciągnęła pani Micawber, roszcżąca pretensje do jasnego na rzeczy poglądu i wykładu — zatem pytam siebie: jeśli nie zboże, to co? Węgiel? Bynajmniej. Stosując się do wskazówek naszej rodziny, zwracaliśmy już uwagę w tę stronę, lecz bez powodzenia.

Pan Micawber, rozparty w krześle, z rękoma w kieszeniach, potakiwał skinieniem głowy nieprzepartym żoninym argumentom.

— Zatem — twierdziła bardziej jeszcze przekonywająco pani Micawber — odsunąć musimy na bok zboże i węgiel. Spoglądam dokoła siebie i pytam, co nam pozostaje,

<sup>299</sup>wnosić toast — dziś raczej: wznosić toast. [przypis edytorski]

<sup>300</sup>przekorne losy — dziś raczej: przeciwnie losy. [przypis edytorski]

w czym zdolności męża mego znaleźć mogą odpowiednie sobie ujście? Nie mówmy o komisjonerstwie. Nie przedstawia ono żadnych gwarancji, a przy usposobieniu męża mego konieczne jest liczenie na pewne, niezawodne zyski.

Traddles i ja zamruczeliśmy coś w rodzaju uznania dla tego znakomitego odkrycia dokonanego przez panią Micawber.

— Nie będę skrywać przed panem, kochany panie Copperfield — ciągnęła pani Micawber — że miałam przez czas długi na oku interes browarniany. Zwróćcie uwagę, proszę, na Barclay'a i Perkinsa<sup>301</sup>! Na Trumana, Hanbury'ego Buxtona<sup>302</sup>! Na podobnej to tylko skali zdolności męża mego znaleźć mogą odpowiednie sobie ujście i tu mąż mój dokonać zdoła cudów. Cóż! Firmy te nie raczą nawet odpowiadać na listy i propozycje mego męża! Czy można sobie wyobrazić coś podobnego! Prezencja mego męża...

— Duszko, kochanie — wtrącił pan Micawber.

— Nie mieszaj się w nie swoje rzeczy, mój drogi — słodko mówiła pani Micawber, dotykając ramienia męża ręką obciśniętą czarną rękawiczką. — Mam najmocniejsze przekonanie, kochany panie Copperfield, że tylko w operacjach tego rodzaju, zwłaszcza w operacjach bankowych na wielką skalę, zdolności mego męża znaleźć mogą odpowiednie sobie ujście. Maniery męża predestynują go do kariery przedstawiciela wielkich firm! Taki prokurent rozszerzyłby do nieskończoności kredyt każdego bankierskiego domu. Lecz po cóż zastanawiać się nad tym dłużej, skoro przedstawiciele wyżej wymienionych bankierskich domów nie chcą korzystać z czynionych im przez mego męża propozycji. Gdyby niektórzy członkowie rodziny mojej chcieli tylko powierzyć kapitały swe mężowi memu... Cóż! Nie chcą, więc i o tym nie ma co mówić, i jak widzę, niewieleśmy się posunęli<sup>303</sup> naprzód.

— Niewiele — rzekłem potakująco.

— Niewiele — potwierdził, skłaniając głowę, Traddles.

— Otóż — ciągnęła przekonywająco pani Micawber — otóż przyszedłam do ostatecznego wniosku, że jednakże żyć musimy.

— Zapewne — potwierdziłem.

— Zapewne — jak echo powtórzył Traddles. W myśli zaś dodałem, że każdy żyć lub umrzeć musi. Dwie te tylko pozostawały alternatywy.

— Tak, tak to właśnie — twierdziła pani Micawber — i faktem jest, że my nie możemy żyć, jeśli się coś nie zmieni, i to wkrótce. Otóż przekonana jestem i w ostatnich czasach pozwoliłam sobie kilkakrotnie zwrócić uwagę pana Micawbera na to, że rzeczy same przez się zmienić się na lepsze nie mogą i nie zmienią się, jeśli im nie dopomożemy sami. Mylę się może, lecz jest to obecnie najgłębsze moje przekonanie.

Potakiwaliśmy obaj.

— Doskonale — ciągnęła pani Micawber — wróćmy do rzeczy. Oto mamy przed sobą męża mego, człowieka niepospolitych zdolności...

— Duszko! Kochanie! — wtrącił pan Micawber.

— Pozwól mi, kochanie, dokończyć. Oto mamy tu pana Micawbera, człowieka posiadającego najrozmaitsze zalety, talenty... powiedziałabym geniusza, boję się tylko, jako żona, być posądzona o pewną stronnictwość.

— Nie! — przebąknęliśmy ja i Traddles.

— I oto — ciągnęła pani Micawber — ten sam pan Micawber nie zajmuje dotąd odpowiedniego sobie i talentom swym stanowiska. Czyja wina? Czyja, pytam, wina? Naturalnie, że społeczeństwa. Smutno to przyznać, ale tak jest, nie inaczej. Musimy po-

<sup>301</sup> *Barclay Perkins and Co* — spółka, która od 1781 r. zarządzała *The Anchor Brewery*, największym do pocz. XIX w. browarem świata, założonym w 1616 r., a usytuowanym w sąsiedztwie Szekspirowskiego Teatru Globe w dystrykcie Southwark w Londynie. [przypis edytorski]

<sup>302</sup> *Truman, Hanbury, Buxton and Co.* — do końca XIX w. jeden z największych browarów świata; założony ok. 1666 r. jako *Black Eagle Brewery*, usytuowany w pobliżu Brick Lane we wschodnim Londynie; w XVIII w. pod zarządem Benjamina *Trumana* browar zyskał w krótkim czasie wiodącą pozycję w Londynie, co było związane także ze wzrostem zapotrzebowania na porter; rozwój browaru kontynuował Sampson *Hanbury*, który w ciągu 20 lat (1800–1820) podwoił produkcję dzięki zastosowaniu maszyny parowej, w 1808 r. do spółki dołączył jego siostrzeniec Thomas Fowell *Buxton*, zajmując się księgowością i reorganizacją firmy w celu zwiększenia jej wydajności. [przypis edytorski]

<sup>303</sup> *niewieleśmy się posunęli* — inaczej: niewiele się posunęliśmy (przykład konstrukcji z ruchomą końcówką czasownika). [przypis edytorski]

wołać społeczeństwo do wymiaru sprawiedliwości. Cóż mamy przedsięwziąć? Sądę... sądę, kochany panie Copperfield, że jedno pozostaje memu mężowi: rzucić społeczeństwu rękawicę i zawołać: „Kto ją podejmie? Oto jestem!”.

Ośmieliłem się spytać panią Micawber, w jaki to mianowicie mogłoby nastąpić sposób.

— Ha! Przez ogłoszenia, ogłoszenia we wszystkich dziennikach, tygodnikach, miesięcznikach. Pan Micawber powinien to uczynić przez wzgląd na siebie, na rodzinę, powiem więcej, przez wzgląd na społeczeństwo całe, które się na nim nie poznało. Trzeba się rozgłosić, zareklamować, opisać siebie jak najdokładniej, bez pominięcia najmniejszej zalety, z zakończeniem: „A teraz proszę o zajęcie, popłatne naturalnie; odpowiedzi adresować franco W. M. urząd pocztowy w Camden Town”.

— Przyznam ci się, kochany Copperfieldzie — rzekł na to, poprawiając kołnierzyk i z ukosa spoglądając na mnie, pan Micawber — przyznam ci się, że właśnie tę to myśl żony mojej miałem na uwadze, wzmiankując o owym wielkim skoku, jakiego zamierzam dokonać.

— Ogłoszenia w dziennikach pociągają znaczne koszta — zauważyłem nieśmiało.

— Zapewne — podchwyciła przekonywająco pani Micawber — masz pan najzupełniejszą słuszność, kochany panie Copperfieldzie! Pozwoliłam już sobie uczynić tę samą uwagę memu mężowi i w tym to właśnie celu pan Micawber... przez wzgląd na siebie, rodzinę, społeczeństwo... powinien podnieść pewną sumę... na weksel.

Rozparty niedbale o poręcz krzesła pan Micawber bawił się monoklem, spoglądając na sufit. Zdawało mi się jednak, że rzuca od czasu do czasu spojrzenia na wpatzonego w ogień Traddlesa.

— Jeśli żaden z członków rodziny mojej — ciągnęła pani Micawber — nie rozumie potrzeby traktowania tej pożyczki... zdaje mi się, że istnieje prawne wyrażenie ściślejsze określające to, co właśnie mam na myśli?...

— Zdyskontowania<sup>304</sup> — odpowiedział ze wzrokiem utkwionym w sufit pan Micawber.

— Zdyskontowania — powtórzyła jego żona. — W takim razie zdaniem moim pan Micawber powinien zdyskontować weksel na pieniężnym rynku czy giełdzie i dostać, co się da. Jeśli lichwiarze narażą męża mego na straty, obciążą tym swe sumienie. Zapatruję się na to statecznie, jak na przedsięwzięcie, które się sownie opłaci, i pragnę, kochany panie Copperfield, przelać to przekonanie z mego męża. Wkład, który sownie się opłaci i dla którego nie żal żadnej ofiary.

Czułem, chociaż sam nie wiem czemu, że było w tym wszystkim wiele poświęcenia ze strony wzorowej tej żony i przebąknąłem coś o tym. Traddles wtórował mi, nie odrywając oczu od ognia.

— Nie będę — mówiła pani Micawber, naciągając mantylkę na ramiona i dopijając poncz — przedłużać rozmowy o pieniężnych interesach mego męża. W gościnnym tym domu, kochany panie Copperfield, i w obecności tu siedzącego pana Traddlesa, który chociaż nie tak dawny znajomy, nabył już prawo do naszego zaufania, nie mogłam powstrzymać się od wypowiedzenia mego poglądu na tę sprawę. Zdaje mi się, że nadeszła stosowna chwila do działania i mąż mój przekona się o słuszności uwag i rad moich. Wiem to, że jestem tylko kobietą i że w podobnych kwestiach głos i zdanie męskie większe mają znaczenie, napominam jednak o tym tym chętniej, że gdy byłam w domu, papa mój i mama, papa zwłaszcza, mawiał częstokroć: „W wiotkiej postaci Emmy kryje się duch silny, logika nie lada!”. Papa mój zbytnio być musiał stronniczy, zapewne jednak znał się doskonale na ludziach, o czym obowiązkiem moim jest nie wątpić.

Z tymi słowy i pomimo usilnych prośb naszych, aby raczyła zostać i wychylić z nami resztki ponczu, odeszła do mego sypialnego pokoju. Istotnie robiła na mnie wrażenie dzielnej niewiasty, czegoś w rodzaju rzymskiej matrony, gotowej do heroicznym czynów na arenie publicznego dobra. Pod wpływem tego wrażenia winszowałem panu Micawber skarbu, jaki w osobie dozgonnej swej towarzyszkę posiadał. To samo czynił Traddles. Pan Micawber wyciągnął do nas ręce, po czym nakrył oczy chustką do nosa, bardziej, niż to

<sup>304</sup>zdyskontowanie — wyciągnięcie korzyści z czegoś; realizowanie należności wekslowej przed wyznaczonym terminem płatności. [przypis edytorski]

zapewne przypuszczał, zatabaczoną. Uczyniwszy to, znów rozweselony wrócił do popijania ponczu.

Niezmiernie był wymowny. Dawał nam do zrozumienia, że odżywamy w dzieciach swych i że pod naciskiem pieniężnych ambarasów mnożenie się potomstwa podwójną przynosi korzyść. Mówił, że pani Micawber w ostatnich czasach popadała w niejaką pod tym względem wątpliwość, lecz ją uspokoił i przekonał. Mówiąc zaś o rodzinie swej żony, utrzymywał, że nie jest godna Emmy, dla niego lodowato obojętna, toteż posyłał ją — własne jego przytaczam słowa — do stu diabłów.

Wygłosił potem gorącą pochwałę na cześć Traddlesa. Miał on, zdaniem mówcy, charakter. Pan Micawber podziwiał jego zalety, stateczność i cnoty. Sam, niestety, niezdolny był do podobnego poświęcenia i tak dalej. Wymienił młodą nieznajomą, którą Traddles zaszczycił swym wyborem i która wzajemnie zaszczyciła Traddlesa swym przywiązaniem. Pan Micawber ręczył za to honorem. Potwierdziłem to chętnie. Traddles dziękował nam obu, mówiąc z zwykłą swą prostotą:

— Zobowiązujecie mnie nieskończenie, zapewniam was, że istotnie nie ma pocziwszej pod słońcem dziewczyny.

Pan Micawber z kolei dotknął delikatnie i dyskretnie stanu mego serca. Jednak formalne zaprzeczenie najmilszego jego przyjaciela Copperfielda nie mogło wpłynąć na zmianę głębokiego przekonania, że tenże jego przyjaciel Copperfield kochał i był kochany. Zmieszany, czułem, że się rumienię, zaprzeczałem zrazu, skończyłem jednak, wnosząc toast na cześć D., co wprawilo pana Micawbera w taki zapał, że pobiegł do mego sypialnego pokoju wychylić ten toast do spółki z żoną. Pani Micawber wypiła, wołając drżącym głosem:

— Winszuję! Winszuję kochanemu panu — przy czym uderzała w ścianę, abym lepiej słyszał.

Rozmowa nasza przybrała następnie ogólniejszy ton. Pan Micawber upewniał nas, że mu Camden Town bardzo nie na rękę i że pierwszym jego staraniem będzie, gdy zamierzone ogłoszenia osiągną swój cel, wynieść się z tych miejsc. Miał nawet upatrzony lokal na Oxford Street z balkonem i widokiem na Hyde Park. Od dawna miał lokal ten na widoku, nie mógł go jednak zająć od razu z powodu znacznych kosztów, jakie pociągnęłoby umeblowanie tak obszernego apartamentu. Poprzestanie tymczasem na zajęciu wyższego piętra w samym centrum interesów i obrotów pieniężnych, w Piccadilly. Po przeprowadzeniu małych zmian mieszkanie to stałoby się wygodne dla pani Micawber i mogliby w nim spędzić tymczasem lat parę. Lecz gdziekolwiek by zamieszkał, cokolwiek by się przytrafiło, wszędzie znajdzie się pokój i przytułek dla Traddlesa, a dla mnie niezmiennie nakrycie przy stole. Dziękowaliśmy gorąco, przepraszał, że się tak długo zatrzymał nad tymi szczegółami... było to naturalne w przeddzień tak stanowczej zmiany w życiu.

Przerwało nam pukanie w ścianę pani Micawber pytającej w ten sposób, czy herbata już gotowa. Na twierdzącą naszą odpowiedź zjawiała się i zajęła uprzejmie nalewaniem herbaty. Gdym jej podawał tacę z filiżankami i koszyk z ciastem, spytała mnie z cicha, czy D. blondyną jest czy brunetką, niskiego czy słusznego wzrostu? Po herbacie, siedząc przed kominkiem, rozmawialiśmy na najróżnorodniejsze tematy. Pani Micawber była tak dobra i słabym swym, drżącym, z lat ubiegłych dobrze mi znanym głosikiem śpiewała dawne, z lat ubiegłych znane mi też ballady, wyuczone jeszcze w dniach szczęśliwych, gdy mieszkała z papą swym i mamą. Pan Micawber opowiadał przy tym, że słysząc śpiew ten, kiedy po raz pierwszy miał zaszczyt znajdować się pod rodzicielskim jej dachem, postanowił być bądź co bądź otrzymać serce i rękę śpiewaczki.

Zegar uderzył wpół do jedenastej i pani Micawber udała się znów do mego sypialnego pokoju i lustra w celu ułożenia czepka w kartonowym pudełku i nałożenia kapelusza na głowę. Gdy Traddles nakładał płaszcz, pan Micawber skorzystał z wolnej chwili, by wsunąć mi list do ręki. Ja znów z mej strony, świecąc na schodach odchodzącym, skorzystałem z chwili, gdy państwo Micawber przeszli pierwi, by szepnąć Traddlesowi na ucho:

— Słuchaj! Pan Micawber najpewniej najlepsze ma intencje, lecz na twym miejscu nic bym mu nie pożyczał.

— Nie pożyczę mu nic — odrzekł z uśmiechem — z tej już racji, że nie mam nic do pożyczenia.

— O! Masz imię i podpis.

— Sądysz, że to coś — spytał, zamyślając się.  
— Najpewniej.  
— O! Wdzięczny ci jestem, mój drogi, za ostrzeżenie, ale to już pożyczone chyba.  
— Na tym wekslu, o którym mówili?  
— Nie, o tym dopiero dziś się dowiedziałem. Myślałem już o tym, że po powrocie do domu zaproponuje mi i ten podpisać. Jest już jeden.  
— Mam nadzieję, że nie zrobi z niego złego użytku.  
— I ja także mam nadzieję, myślę, że nie, chociaż mówił mi onegdaj<sup>305</sup>, że to już zaspokojone, własne to jego słowa: „zaspokojone”.

Pan Micawber odwrócił się i za ledwie miałem czas powtórzyć uprzednie zlecenie, Traddles, podziękowawszy mi, zbiegł ze schodów. Strach mię zdjął, gdym, stojąc u góry, podziwiał uprzejmość, z jaką zdjął kapelusz, podając ramię pani Micawber. Poczciwy Traddles ze związanymi rękoma dałby się sam wystawić na giełdzie.

Usiadłem przy kominku, rozmyślając o charakterze pana Micawbera, o jego usposobieniu i naszych dawnych stosunkach, gdy usłyszałem stąpanie po schodach. Sądziłem zrazu, że to Traddles wraca po jakiś zapomniany przez panią Micawber przedmiot, lecz w miarę, jak się kroki zbliżały, serce zaczęło mi bić żywiej, poznałem kroki Steerfortha.

Nie zapominałem nigdy o Agnieszce i śmiało rzec mogę, że z myślą o niej nie rozstałem się nigdy, wierzyłem jej na słowo, lecz wyznać muszę, że tym razem, patrząc na wchodzącego i wyciągającego do mnie rękę przyjaciela, wstydziłem się zwątpienia, które mnie było ogarnęło<sup>306</sup> względem tego ukochanego spośród wszystkich. Nie mniej kochałem Agnieszkę, nie mniej wierzyłem jej pod każdym innym względem, myślałem o niej jak o mym aniele stróżu i nie jej, lecz sobie wyrzucałem to chwilowe sprzeniewierzenie się i nie było zadośćuczynienia, na jakie bym się nie zdobył względem pokrzywdzonego przyjaciela.

— Davy! Pierwiosnku! Rozłajdaczyłeś się, jak widzę — wołał, śmiejąc się wesoło.  
— Co to, nowa uczta! Doctors' Commons dobrą jest szkołą! No! No! Możecie pójść na wyścigi z nami, studentami z Oksfordu.

Błyszczące jego oczy przebiegły pokój dokoła, rzucił się na sofę, na której przed chwilą siedziała pani Micawber, rozgrzebał ogień, który żywszym wybuchnął płomieniem.

— Tak mię naszedłeś niespodzianie — rzekłem — żem cię dość serdecznie nie powitał.

— „Widok mój miły być musi oczom smutkiem omroczonym<sup>307</sup>”, jak mówią Szkoci — odrzekł. — Ty mi kwitniesz jak róża, mały mój Bachusku<sup>308</sup>.

— Zdrow jestem — odrzekłem — nie było tu jednak tym razem żadnych bachanalii, chociaż istotnie miałem gości.

— Troje. Spotkałem ich wchodząc do bramy. Głośno śpiewali hymn pochwalny na twą cześć. Kto to ten opięty facet?

Usiłowałem opisać mu w krótkich słowach pana Micawbera. Śmiał się, utrzymując, że warto i musi poznać tego jegomościa.

— Zgadnij, kto ten drugi — spytałem.

— Nieba raczą wiedzieć. Nudziarz jakiś, tak przynajmniej wygląda.

— To Traddles — zawołałem tryumfująco.

— Któż to Traddles? — spytał niedbale.

— Jak to! Nie przypominasz sobie? Traddles z Salem House.

<sup>305</sup> *onegdaj* (daw.) — przedwczoraj; dziś w znaczeniu: niegdyś, dawno. [przypis edytorski]

<sup>306</sup> *które mnie było ogarnęło* — forma czasu zaprzeczonego dla czynności wielokrotnej, ponawianej; inaczej: które mnie ogarnęło wcześniej, dawniej, uprzednio. [przypis edytorski]

<sup>307</sup> *Widok mój miły być musi oczom smutkiem omroczonym* — w oryg. „*the sight of me is good for sore eyes*”, cytat zapisany w nieco innej wersji („*the sight of you (...)*”, tj. twój widok) przez znanego ze skłonności do sarkazmu Irlandczyka, Jonathana Swifta (1667–1745), w książce *A complete collection of genteel and ingenious conversation* (publ. 1738), będącej zbiorem przykładów i satyrycznych komentarzy uwydatniających banalność konwersacji wyższych klas Wielkiej Brytanii w XVIII w., w sposób ironiczny rekomendującej się jako swoisty podręcznik czy przewodnik dla tych, którym brak oglady. [przypis edytorski]

<sup>308</sup> *Bachus* a. *Bakchus* (mit. rzym., gr. Dionizos) — syn Zeusa i Semele, wynalazł wino; czczony jako bóg wina i płodności; był patronem odbywających się co roku ku jego czci *bachanaliiów*: obchodów połączonych z szalonymi, niekiedy rozwiązłymi ucztami, tańcami, pokazami teatralnymi itp. [przypis edytorski]

— A! Tak! Traddles! — rzekł, uderzając pogrzebaczem w żarzące się węgle. — Zawsze taki pocziwiec! Gdzieżeś go, do diabła, upolował?

W odpowiedzi podnosiłem zalety Traddlesa, czując, że go Steerforth lekceważy. Z uśmiechem i zapewnieniem, że miło by mu było spotkać pocziwego tego chłopca, zmienił temat rozmowy, pytając, czy mu dam co przekąsić. W czasie krótkiej, urwanej rozmowy zauważyłem, że gdy przestawał mówić z niezwykłym ożywieniem, uderzał gwałtownie pogrzebaczem po węglach. Oddawał się temu zajęciu, gdym dostawał z szafy resztki pasztetu i sera.

— Ba! — rzekł, siadając u stołu. — Królewskie kęski, a jestem przy apetycie. Wracam z Yarmouth.

— Sądziłem — rzekłem — że przyjeżdżasz z Oksfordu?

— Bynajmniej, bawiłem się żegluga.

— Littimer był tu dziś — zauważyłem. — Pytał o ciebie. Zrozumiałem, żeś miał nadjechać z Oksfordu, chociaż, o ile sobie teraz przypominam, nie mówił mi tego wyraźnie.

— Głupiec Littimer szuka mnie, dopytuje się o mnie — zawołał, śmiejąc się i trącając się ze mną kieliszkiem. — Jeśliś potrafił go zrozumieć, mądra z ciebie sztuka.

— Prawda! — zaśmiałem się, przysuwając się bliżej. — Mądry będzie, kto go zrozumie! Byłeś zatem w Yarmouth! Długo?

— Nie! Tak około tygodnia, mała eskapada.

— Jakże się tam wszyscy mają? Emilka nie wyszła jeszcze za mąż?

— Nie jeszcze. Wyjdzie za kilka tygodni czy za kilka miesięcy, mniejsza z tym. Niewielem ich zresztą widywał<sup>309</sup>. Ale, ale — położył sztućce i zaczął z pośpiechem szukać po kieszeniach — mam list do ciebie, Davy.

— Od kogo?

— Od kogo? Od niani — odrzekł, dostając<sup>310</sup> całą paczkę listów — G. Steerforth, Esquire... nie to, cierpliwości, zaraz znajdziemy. Wiesz co, stary ten, jak go tam, nie pamiętam, ma się nieosobliwie.

— Barkis!

— A tak właśnie — mówił, przeglądając adresy na kopertach — źle z tym biedakiem. Mnóstwo tam lekarstw, jakiś doktor czy cyrulik, który się też rozplywał w pochwałach nad tobą, zaimponował mi swoją nauką! Wedle niego stary woźnica kończy się... Aha! Poszukaj w kieszeni mego płaszcza, tam list musiałem wsunąć.

— Oto jest — zawołałem.

List był od Peggotty, mniej jeszcze niż zwykle czytelny. Oznajmiała mi o rozpaczliwym stanie zdrowia męża, nadmieniała, że w chorobie stał się bardziej jeszcze niż przed tym „ścieśliwy”, co go pozbawiało wielu koniecznych wygod. Nie wspominała wcale o swym znużeniu, o czuwaniu u łóżka chorego, którego cierpliwość i rezygnację wychwalała. List cały pisany był z prostotą, serdecznością i zaparciem się siebie, a kończył się zapewnieniem poświęcenia bez granic dla „swego ukochanego”, to jest dla mnie.

W czasie, gdym list ten czytał, Steerforth jadł i pił w najlepsze.

— Brzydka to farsa — rzekł, gdym skończył. — Cóż, kiedy nie ma na to rady. Co dzień słońce zachodzi i co dzień nie ten, to ów umiera, zwykła kolej, którą biorąc do serca, darmo byśmy tylko sobie psuli życie. Jazda! Ostro czy z wolna, jak się zdarzy, byle wprost do celu, poprzez przeszkody do wygranej.

— Do jakiej wygranej? — spytałem.

— Tej, którą sobie za cel postawim<sup>311</sup>. Jazda!

Zauważyłem, pamiętam, gdy umilkł z głową przechyloną na bok i kieliszkiem w ręku, na twarzy jego zarumienionej morskim wiatrem zmianę zaszłą od ostatniego naszego spotkania. Jakieś napięte naprężenie, jakaś niezłomna energia malowała się na niej wyraźnie. Chciałem go nawet ostrzec o niebezpieczeństwach, na jakie się narażał, oddając się tak napiętnie żegludze, błędząc zapewne nieraz w niepogodę po wzburzonych morzach, wróciłem jednak do rozpoczętego uprzednio tematu:

<sup>309</sup>niewielem ich (...) widywał — inaczej: niewiele ich widywałem (przykład konstrukcji z ruchomą końcówką czasownika). [przypis edytorski]

<sup>310</sup>dostając (daw.) — tu: wyciągając, wydostając, wydobywając. [przypis edytorski]

<sup>311</sup>postawim (daw.) — forma skrócona od: postawimy. [przypis edytorski]

— Wiesz, Steerforcie, co ci powiem, jeśli mnie w tym swym usposobieniu słuchać raczysz...

— Usposobienie moje zastosuje się do twojej woli — rzekł, wstając od stołu i siadając przy kominku.

— Więc powiem ci, że myślę niezwłocznie pojechać do Yarmouth, do mojej starej, kochanej piastunki. Wiem, że jej w niczym nie pomogę, nie zdam się na nic, lecz tak jest przywiązana do mnie, że sam mój widok będzie jej pociechą, doda sił i odwagi. Niewielka to będzie z mej strony ofiara dla tak starej, wiernej przyjaciółki. Co byś zrobił na moim miejscu?

Zamyślony, nie odpowiadał chwilę, a potem rzekł cicho:

— No to jedź! Nie możesz zaszkodzić.

— Właśnie wracasz stamtąd i nie śmiem ci proponować, byś mi towarzyszył.

— Nie podobna<sup>312</sup>! Dziś jeszcze wrócić muszę do Highgate. Od dawna nie widziałem mej matki i ciąży mi to, bo nie każdemu dano mieć tak kochającą matkę. Uważam siebie za marnotrawnego syna... Ale, co tam! Nonsense! Zamierzasz na pewno jechać jutro? — spytał, wstając i, oparłszy mi obie ręce na ramionach, głęboko wpatrywał się w oczy.

— Tak sądzę.

— Wstrzymaj się do pojutrze. Chciałem cię właśnie prosić, abyś spędził u mnie parę dni. W tym to przybyłem celu, a ty wylatujesz mi do Yarmouth.

— Dobrze ci wyrzucać mi latanie! Ty, latawcze jakiś.

Patrzył na mnie przez chwilę, w poprzedniej pozostając pozycji, i potrząsnął za ramiona.

— Pojutrze więc — rzekł. — Jutro do mnie należy. Kto wie, kiedy się znów spotkamy. Pojutrze, co, dobrze? Chcę, abyś był pomiędzy mną a Różą Dartle, rozdzielał nas.

— Czy się zbyt bez mnie kochacie?

— Lub nienawidzimy — roześmiał się — na jedno to często wychodzi. Więc cóż, pojutrze?

Zgodziłem się. Nałożył płaszcz, zapalił cygaro, wychodził. Włożyłem też płaszcz (lecz nie zapaliłem cygara, pierwsza dostatecznie zadowolili mnie próba) i odprowadziłem go do gościńca. W noc ciemną gościńiec wyglądał ponuro. Steerforth był w wybornym humorze, a gdyśmy się rozstali i spoglądałem za nim, gdy się oddalał śmiałym, elastycznym krokiem, przypomniały mi się jego słowa: „Jazda! poprzez wszelkie przeszkody, wprost do celu”. Życzyłem mu z serca całego, aby do szlachetnego pościgu godny siebie cel wybrał.

Rozbierałem się już do snu, gdy spostrzegłem walający się na ziemi list pana Micawbera. Teraz dopiero przypomniałem go sobie. Rozpieczętowaawszy czytałem, co następuje. List pisany był na półtorej godziny przed obiadem. Nie pamiętam, czym mówił, że w pewnych krytycznych chwilach swego życia pan Micawber zwykł był używać jakiejś prawniczej frazeologii odpowiadającej zapewne stanowi jego interesów.

Panie!

— pisał —

...gdyż nie ośmielę się nazywać Cię kochanym Copperfieldem.

Obowiązkiem moim jest donieść ci, że niżej podpisany jest bezpowrotnie zgubiony. Zauważysz zapewne w dniu dzisiejszym niejednokrotne jego usiłowania ukrycia smutnej tej prawdy, do ostatniej chwili. Niestety, nadzieja gaśnie na widnokręgu jego życia i niżej podpisany jest ostatecznie zgubiony!

Pozostaje to w pewnym związku z położeniem człowieka, którego nazwać muszę maklerem. Posiada on kompromitujące papiery mające zresztą moc prawną. Opis obejmuje cały ruchomy i nieruchomy majątek niżej podpisanego, a nadto ruchomość należąca do pana Tomasza Traddlesa, sublokatora, członka prześwieczonej sądowej izby.

Jeśli w przepelnionej goryczą czarze jego życia brakowało jeszcze kropelki, niżej podpisany czarę tę, z tą ostatnią kropelką goryczy do dna obecnie wychyla, z myślą o sumie 23 funtów 4 szylingi 9,5 pensa należnej i niemożęcej zostać wpłaconą wyżej wzmiankowanemu panu Traddlesowi. Gorycz

<sup>312</sup>nie podobna (daw.) — nie (jest) możliwe; nie można. [przypis edytorski]



tę podwaja jeszcze myśl, że zgotowany niżej podpisanemu los dotknie też w części niewinną ofiarę, której nędzna postać ujrzeć ma światło dzienne jak raz za sześć miesięcy, licząc od obecnej księżycowej kwadry.

Co rzekłszy, zbyteczne jest zapewne dodawać, że wkrótce proch i pył ziemski  
pokryją  
głowę

*Wilkinsa Micawbera.*

Biedny Traddles! Zbyt dobrze znałem pana Micawbera, aby się bać dla niego następstw rozpaczliwego tego położenia, lecz noc całą myśl o Traddlesie, o jednej z dziesięciu córek proboszcza w Devonshire, o tej, jak ją Traddles nazywał „najpocziwszej pod słońcem dziewczynie” gotowej czekać nań cierpliwie, chociażby do sześćdziesiątego roku jego życia, spać mi nie dawała.

## ROZDZIAŁ XXIX. ODWIEDZAM POWTÓRNIE STEERFORTHĄ

Z rana oznajmiłem panu Spenlow, że się oddalę na dni kilka, że zaś nie pobierałem żadnych honorariów i przeto imię nieubłaganego pana Jorkinsa nie mogło być wywołane, oznajmienie to moje nie spotkało najłżejszego oporu. Skorzystałem z tej sposobności, aby drżącym głosem spytać o zdrowie panny Spenlow. Na co ojciec jej odpowiedział mi z największą obojętnością, że jest zdrowa i dziękuje mi (on, ojciec!) za pamięć.

My, praktykanci sposobiący się do przyszłego zawodu, byliśmy zresztą najzupelniej-szymi panami naszego czasu. Ze zaś nie zamierzałem przed drugą po południu udać się do Highgate, a miała być dnia tego rozbierana interesująca i nową ekskomuniką grożąca sprawa: Tepkins przeciw Bullock, udałem się do Commons. Sprawa powstała z bójki pomiędzy dwoma zakrystianami. Jeden drugiego pchnął na pompę, której rączka dotykała budynku szkolnego przylegającego do kościelnego dachu i tym to sposobem rzecz wpadła pod kompetencję Doctors' Commons. Sprawa ta cała nader była zabawna, toteż jadąc do Highgate, rozmyślałem o niej jeszcze i o tym wszystkim, com o Commons nasłuchał się był od pana Spenlow.

Pani Steerforth i panna Róża Dartle przyjęły mnie bardzo uprzejmie. Miłą niespodziankę zgotowała mi nieobecność Littimera. Do stołu służyła pokojowa z niebieskimi wstążkami u czepka, której niebieskie oczy nie mieszały mnie tak, jak spojrzenie tego służącego bez zarzutu. Po półgodzinnej już bytności w tym domu zauważyłem baczną, zwróconą na mnie uwagę panny Dartle i porównanie, jakie ukradkiem niby robiła pomiędzy mną o Steerforthem, tak jak gdyby, mając nas ciągle na oku, pozostawała w wyczekiwaniu czegoś, co lada chwila pomiędzy nami zajść miało. Za każdym razem, gdym się zwracał w jej stronę, spotykałem jej czarne, ogniste, wlepione we mnie oczy, które się natychmiast przenosiły na Steerforthę lub obejmowały obu nas jednym szybkim spojrzeniem. Wzrok ten badawczy nie mieszał się i nie cofał bynajmniej, spotkawszy się z moim, owszem, nabierał wówczas szczególniejszej bystrości i ja się to raczej mieszałem, chociaż nie poczuwałem się do żadnej, tak bacznie we mnie poszukiwanej winy. Pożerający blask tych czarnych oczu przerażał mnie po prostu.

Przez dzień cały pełno jej było w całym domu. Gdyśmy gwarzyli ze Steerforthem w jego pokoju, słyszałem tuż na galerii szelest jej sukni. Gdyśmy się na murawie oddawali gimnastycznym ćwiczeniom, dostrzegałem twarz jej w tym, to tamtym oknie, podobną do błędnego ognika, zanim dobrała najdogodniejsze dla swych obserwacji miejsce. Gdyśmy we czworo używali popołudniowej przechadzki, pochwyciła mi ramię jak w kleszcze drobnymi dłońmi i powstrzymując tak, aby się Steerforth dostatecznie z matką oddalił, rzekła:

— Od dawna nie widzieliśmy tu pana. Czy istotnie związane z zawodem zajęcia pochłaniają tak bardzo czas pański? Pytam zawsze o to, czego nie wiem. Istotnie zajęcia?

Odpowiedziałem jej na to, że zawód mój zajmuje mi czas, nie do tego jednak stopnia.

*Kobieta demoniczna*

— Och! Dobrze, że się dowiedziałam, lubię wiedzieć zawsze prawdę — zawołała. — Więc pan uważa zajęcia swego zawodu za nieco suche? Tak?

— Tak — odrzekłem — są nieco suche.

— Och! W takim razie potrzebna bywa zmiana, rozrywka, prawda? Czy to odnosi się i do niego?... Nie pana mam na myśli.

Szybkie spojrzenie na prowadzącego pod ramię matkę Steerforth, aż nadto wyraźnie mówiło mi, kogo miała na myśli. Poza tym jednak nie domyślałem się, o co jej idzie.

— Więc to, nie mówię tego, pytam tylko, to go tak zajmuje, pochłania? Czy go to czasem nie czyni nieco opieszalym w jego tu odwiedzinach? Te więc na oślep prowadzone bałamuctwa? Ha? Co?

Nowe spojrzenie na Steerforth i drugie, do samej głębi mego sumienia sięgające.

— Panno Dartle — począłem — upewniam panią..

— Ależ ja niczego się nie domyślam, o nic nie posądzam! — zawołała — pytam po prostu i bynajmniej własnego nie wyrażam zdania. Owszem, staram się tylko wywieść z tego, co słyszę, niejaki wnioski. Zatem nie wspólne rozrywki? Miło mi to wiedzieć.

— Upewniam panią — rzekłem zmieszany — że nic nie jestem winien długiej, jak się dopiero od pani dowiaduję, niebytności Steerforth w domu. Od dawna sam go nie widziałem.

— Czy tak?

— Upewniam panią, panno Dartle.

Kiedy się zwróciła ku mnie, twarz jej bledsza była i stara blizna wystąpiła wyraźniej. Blizna ta, wzrok rozbłysły, utkwiony we mnie przerażały mnie.

— Więc gdzie był? — spytała wprost już, cicho, lecz wyraźnie.

Pomimo woli powtórzyłem jej pytanie.

— Gdzie bywał? — mówiła żywo, z ogniem w oczach. — W jakimże przedsięwzięciu dopomaga mu ten niegodziwiec, który mi w oczy spojrzeć nie śmie? Nie, nie pytam pana o tajemnicę przyjaciela, nie masz prawa go zdradzać, pytam tylko, czy gniew to, nienawiść, duma, niepokój, szalona jakaś fantazja, czy miłość, która nim kieruje, która go pochłania.

— Panno Dartle — odrzekłem — jakże potrafię przekonać panią, że się nic nie zmieniło, odkąd byłem tu po raz pierwszy, że nic się nie stało i zaledwie zrozumieć mogę, o co pani idzie.

Patrzała na mnie, a jakieś drganie bólu wewnętrznego przebiegało po bliźnie, podnosząc końce jej ust, malując na twarzy wyraz wzdargi i pewnego politowania. Szybko podniosła rękę, tak szczupłą i delikatną, że ją mimo woli przyrównałem do porcelanowej, i rzuciwszy mi ogniste spojrzenie rzekła szybko, rozkazująco, namiętnie:

— Ani słowa o tym, nikomu. Liczę na sekret.

Pani Steerforth nie mogła się dość nacieszyć synem, który jej dnia tego szczególnie jakieś okazywał przywiązanie. Zajmował mnie ten widok, nie tylko z tego względu, lecz i dla istniejącego pomiędzy matką a synem uderzającego podobieństwa. Kobiecość i wiek złagodziły i zmieniały w pełną godności powagę u matki to, co u syna było dumą i porywcznością. Myślałem, że dobrze jest, gdy pomiędzy dwiema podobnymi naturami nie przyjdzie do poważniejszego starcia, gdyż każde starcie pomiędzy dwiema podobnymi naturami, powiem raczej pomiędzy dwoma odcieniami jednej natury, gwałtowniejsze bywa niż gdzie indziej. Myśl ta zresztą nie należała do mnie w zupełności, natchnęła mnie nią panna Dartle.

Powiedziała ona przy stole:

— O! Proszę, niech mi kto powie, myślę o tym dzień cały i chciałabym wiedzieć...

— Co takiego, Rózo? — spytała pani Steerforth. — Proszę cię, nie bądźże tak tajemnicza.

— Tajemnicza! — zawołała. — Jak to? Ja jestem tajemnicza, doprawdy?

— Ileż razy prosiłam cię — rzekła pani Steerforth — abyś mówiła wprost, co myślisz.

— Och! Więc nie mówię wprost, co myślę — odparła — gdy pytam i proszę o wyjaśnienie tego, czego nie rozumiem? Nikt z nas widać nie zna sam siebie.

— Pytanie stało się drugą twą naturą — rzekła pani Steerforth — lecz pamiętam i sama pamiętać to możesz, jak inna dawniej bywałeś, nie tak skryta i bardziej ufna.

— Zapewne — odrzekła — złe przywyknienia stają się często drugą naturą. Czy tak istotnie? Nie tak skrytą i bardziej ufną? Jakże się stopniowo i niepostrzeżenie zmieniałam! Dziwne! Postaram się wrócić do dawnych mych usposobień.

— Oby! — odrzekła, uśmiechając się, pani Steerforth.

— Postaram się — zapewniała panna Dartle — będę się uczyć szczeroci od... chociażby od Jamesa.

— Lepszej nie możesz wybrać szkoły — odparła z niejaką żywością pani Steerforth, gdyż w niedbałych i żartobliwych słowach panny Dartle przebijała zawsze pewna ironia.

— Tegom pewna — zapewniała niemniej żywo. — Jeśli o czym nie wątpię, to o tym właśnie.

Pani Steerforth pożałowała widać uprzedniej swej żywości, gdyż spytała łagodnie już:

— Tymczasem, kochana Rózo, nie wiemy dotąd, o coś pytać chciała.

— O co pytać miałam? — powtórzyła z wyzywającą obojętnością. — O! O to tylko, czy ludzie jednakowych usposobień... nie wiem, czy się trafnie wyrażam?

— Ściśle i trafnie — rzekł Steerforth.

— Dziękuję... czy tedy ludzie jednakowych usposobień mogą domyślić się przyczyny powstałej pomiędzy nimi rozterki i w takim razie, czy rozterka ta nie poróżni ich bardziej, nie rozdrażni wzajemnie?

— Powiedziałbym, że tak — rzekł Steerforth.

— Ta-a-k? — rzekła panna Dartle. — Przypuśćmy zatem... wszak można przypuszczać nieprawdopodobieństwo nawet?... Przypuśćmy tedy, że powstanie nieporozumienie pomiędzy tobą i twą matką?

— Kochana Rózo — zawołała, śmiejąc się, pani Steerforth — zdobądź się na inne przypuszczenie. James i ja wiemy, dzięki Niebu, cośmy winni sobie wzajem.

— O! — rzekła, kiwając w zamyśleniu głową, panna Dartle — to coś znaczy, to zapobieży<sup>313</sup> wszelkim nieporozumieniom. Zapewne! Zabawne było me przypuszczenie, dziwaczne! Zapobieży! Dziękuję!

Muszę jeszcze zanotować jedną odnoszącą się do panny Dartle okoliczność, która mi się później przypomniała, wówczas gdy było to nieodwołalną przeszłością. Przez cały ów dzień pamiętny Steerforth rozwijał wszelkie zasoby sztuki podbijania serc ludzkich, aby ją rozweselić. Nie dziwiło mnie jego w tym względzie powodzenie, nie dziwi mnie też i to, że się opierała jego urokom, gdyż wiedziałem, jak jest złośliwa i przekorna. Tym razem jednak widziałem, jak stopniowo miękła i łagodniała. Rysy jej wypogadzały się, spoglądała na Steerfortha z uwielbieniem. Opierała się widocznie jego urokowi, zdawało się, że się gniewa sama na siebie za swą słabość, lecz opierała się coraz mniej, aż w końcu spojrzenia jej zmiękły, uśmiech złagodniał, przestała mnie przestraszać, a przy kominku gwarzyliśmy i śmieliśmy się tak swobodnie i wesoło, jak gdybyśmy wszyscy dziećmi jeszcze byli.

I czy to dlatego, że się obiad przedłużył, czy że Steerforth nie chciał stracić osiągniętego celu, nie wiem, lecz zanim pięć minut upłynęło od wyjścia dam z sali jadalnej, powstał z miejsca i zbliżył się do drzwi salonu.

— Gra na harfie — rzekł z uśmiechem, który znikł natychmiast z ust jego — nikt oprócz mej matki nie słyszał jej grającej od trzech lat przeszło.

W salonie zastaliśmy pannę Dartle samą.

— Nie przerywaj — rzekł Steerforth widząc, że odejmuje ręce od harfy. — Bądź, Rózo, choć raz dobra i zaśpiewaj nam irlandzką piosenkę, wiesz.

— Niby dbasz o irlandzkie piosenki? — odparła.

— I bardzo, więcej niż o wszelkie inne. I Davy szalenie lubi muzykę. Rózo kochana, zaśpiewaj irlandzką piosenkę, usiądę i będę słuchał, jak dawniej.

Nie dotknął jej ramienia ani nawet krzesła, z którego powstała, tylko usiadł nieopodal harfy. Stała chwilę niepewna, przebierając palcami po strunach, lecz nie wywołując żadnego dźwięku. Usiadła wreszcie, gwałtownie przyciągnęła do siebie harfę i zaczęła śpiewać.

Nie wiem, co było w tym śpiewie, lecz wydał mi się nadziemskim. Niczego podobnego nie słyszał i nie wyobrażał nawet sobie. Było w tym coś strasznego zarazem, zdawało się, że melodia nieukładana w tony, nierozebrana na nuty wybuchła namiętna,

<sup>313</sup>zapobieży (daw. forma) — dziś: zapobiegnie. [przypis edytorski]

konając w niskich tonach, to podnosząc się znów ze zdwojoną potęgą. Byłem odurzony. Słuchałem, chociaż umilkła już była i tylko trącała o struny harfy.

Z zamyślenia wyrwał mię Steerforth. Powstał z miejsca i obejmując pannę Dartle, zawołał, śmiejąc się:

— Odtąd, Rózo, i na przyszłość będziemy się wzajemnie kochali z całego serca? Zobaczysz!

Odepchnęła go ze złością jak dzika kotka i wybiegła z salonu.

— Co się stało Rózy? — spytała, wchodząc właśnie w tej chwili, pani Steerforth.

— Była przez chwilę aniołem — odrzekł syn — a po chwili, dla zachowania zapewne równowagi, wpadła w przeciwną ostateczność.

— Nie powinieneś rozdrażniać jej — zauważyła matka. — Winienes pamiętać, że charakter jej zgorzkniał, i oszczędzać ją.

Róza nie pokazała się już wieczoru tego i nie było więcej o niej wzmianki. Dopiero gdy wszedł do pokoju Steerforth, aby mu życzyć dobrej nocy, spytał mnie, czy spotkałem kiedy coś bardziej niezrozumiałego i kapryśnego.

Wyraziłem moje przechodzące wszelką miarę zdziwienie, pytając go wzajemnie, czy się domyśla, co się jej stało.

— Nieba raczą wiedzieć — odrzekł — jaka ją ukąsiła mucha. Mówiłem ci już, że obróciłaby wniwecz wszystko i wszystkich, włączając samą siebie, zmięła i potargała. Brzytwa to, z którą nie można nigdy być dość ostrożnym. Zawsze ci z nią grozi niebezpieczeństwo! Dobranoc, pierwiosku.

— Dobranoc — odrzekłem — kochany przyjacielu. Żegnaj cię zarazem, gdyż odjadę jutro, zanim wstaniesz.

Zatrzymał mię, a potem kładąc mi obie ręce na ramionach jak poprzedniego wieczoru:

— Pierwiosku mój — rzekł z uśmiechem — lubię cię tak nazywać, chociaż ci twoi chrzestni rodzice zapomnieli dać ci na chrzcie to imię. Lubię i chciałbym, chciałbym z całego serca, abys mnie tak samo mógł nazywać.

— Mógłbym, gdyby mi się podobało — odrzekłem.

— Słuchaj, pierwiosku! — ciągnął. — Jeśli nas co rozdzieli, zachowaj o mnie dobre wspomnienie. Musisz mi to przyrzec. Zachowaj o mnie dobre wspomnienie wbrew okolicznościom, które rozłączyć nas mogą.

— Byłeś dla mnie zawsze najlepszym — odrzekłem — kocham cię całym, niezmiennym sercem.

W głębi duszy czułem żal, że go skrzywdził był niesłusznym posądzeniem, i wyznanie tego grzechu cisnęło mi się na usta powstrzymywane po części bojaźnią zdradzenia zaufania Agnieszki, po części trudnością przystąpienia do tematu.

— Niech cię Bóg ma w swej pieczy — rzekł, ściskając mnie raz jeszcze.

Nazajutrz o świcie byłem na nogach. Ubrawszy się szybko, wszedłem z cicha do jego pokoju. Pogrążony był w głębokim śnie. Leżał z głową opartą na rękę, tak samo, jak go nieraz widziałem śpiącym w szkole.

Nadszedł czas, w którym podziwiałem, że wzrok mój nie spłoszył wówczas spokoju jego snu. Spał — tak go sobie przypominać lubię — spokojnie, tak, jakem go nieraz widział<sup>314</sup> śpiącym w szkole, i tak go opuściłem o szarym, cichym świcie.

I nigdy już, nigdy więcej z uczuciem przyjaźni i przywiązania nie dotknąłem spokojnej, bezwładnej jego dłoni. Nigdy już, nigdy!

## Dawid Copperfield

DZIEJE, PRZYGODY, DOŚWIADCZENIA I ZAPISKI DAWIDA COPPERFIELDA JUNIORA RODEM Z BLUNDERSTONE (KTÓRYCH NIGDY OGŁASZAĆ DRUKIEM NIE ZAMIERZAŁ)

<sup>314</sup>jakem (...) widział — inaczej: jak widziałem (przykład konstrukcji z ruchomą końcówką czasownika). [przypis edytorski]

# TOM II

## ROZDZIAŁ XXX. STRATA

Wieczorem przybyłem do Yarmouth i udałem się wprost do gospody. Wiedziałem, że gościnnie — mój raczej — pokój u Peggotty potrzebny będzie lub może jest już potrzebny do przyjęcia tego wielkiego gościa, przed którym żyjący ustępować muszą. Udałem się więc do gospody, zjadłem obiad i zamówiłem sobie pokój na noc.

Dziesiąta już była, gdy wyszedłem na miasto. Ulice puste, sklepy przeważnie pozamykane. Gdy zbliżyłem się do sklepu „Omer i Joram”, okiennice zastałem już spuszczone, lecz drzwi otwarte. Pan Omer palił fajkę; wszedłem tedy, pytając go o zdrowie.

— A, na Boga żywego! — zawołał. — Skąd się pan tu wziął o tej porze?! Niech pan siada. Dym nie szkodzi?

— Bynajmniej — odrzekłem — zwłaszcza z cudzej fajki.

— A czemu nie z własnej? — roześmiał się pan Omer. — Tym lepiej! Tym lepiej! Zły to nałóg, nabrałem go z powodu mej astmy.

Pan Omer zrobił mi miejsce, przysunął krzesło, sam usiadł i sapiąc palił zapamiętałą fajkę, szukając w niej zapewne brakującego mu oddechu.

— Zmartwiły mnie niedobre wieści o zdrowiu pana Barkisa — rzekłem.

Pan Omer popatrzył tylko na mnie i potrząsnął głową.

— Jakże się ma dziś wieczorem? — spytałem.

— Chciałem właśnie — odrzekł — spytać o to pana, lecz delikatna to materia dla człowieka mego zawodu. Rozumiesz pan. Gdy klient jest chory, nie wypada nam dopytywać o jego zdrowie.

Nie przyszło mi to na myśl, chociaż dręczyły mnie złe przeczucia, gdy idąc służyłem w sklepie znane mi zgrzyty. Pan Omer miał słuszość.

— Rozumiesz pan — ciągnął, potrząsając głową — nie wypada. Jakżeby to wyglądało, gdybyśmy posyłali do klientów z zapytaniem: „Omer i Joram pytają, jak się klient czuje dziś rano czy dziś wieczorem”. Nie wypada.

Skloniłem twierdząco głowę. Pan Omer ciągnął fajkę.

— W naszym zawodzie — mówił — człowiek nie może nawet wyrazić swych uczuć. Znam Barkisa od lat czterdziestu, a nie wypada mi odwiedzić go i zapytać się o zdrowie.

Istotnie było to nader przykre.

— Nie jestem w tym jednak bardziej od innych zainteresowany — mówił. — Oto patrz pan, mnie samemu lada chwila może zbraknąć oddechu i sam o tym wiem najlepiej. Jakże posądzać o interesowność człowieka, który wie, że mu lada chwila może zbraknąć oddechu, i który doczekał się już wnuków.

— Zapewne — rzekłem.

— Nie to, abym wyrzekał na mój zawód, nie, bynajmniej<sup>315</sup>. Wszystko ma dobrą i złą stronę, korzyści i niedogodności. Ot, po prostu chciałbym, aby klienci byli odważniejsi i wyrozumialszy.

Zadowolony i uśmiechnięty, kilkakrotnie pociągnął fajkę i tak mówił dalej:

— Co do Barkisa, musimy poprzestać na udzielanych nam przez Emilkę wiadomościach. Ona przynajmniej rozumie, jak rzeczy stoja, i nie nie dowierza nam, wie, żeśmy niewinni jak jagnięta. Właśnie Minnie poszła z mężem wywołać Emilkę (pomaga ona ciotce pielęgnować chorego), aby się od niej dowiedzieć, jak się chory czuje. Jeśli pan zechce zaczekać, Minnie z mężem nadejdą lada chwila i wszelakich udzielą wyjaśnień. Czym mogę panu tymczasem służyć? Szklanką wody z syropem? Co? Sam właśnie piję wodę z syropem, gdy palę fajkę, dla złagodzenia mego oddechu! Co tam łagodzić! Zawsze mawiam Minnie, mojej córce, byle tylko było czym oddychać.

Brakło mu istotnie tchu i przeląknęłam się, widząc, jak się śmieje, a wiedząc, w jaki go zwykle stan śmiech wprawia. Gdy odzyskał mowę, podziękowałam mu za wodę z syropem, mówiąc, że jeśli pozwoli, chętnie zaczekam na powrót córki i zięcia. Spytałem przy tym o Emilkę.

Zdrowie

<sup>315</sup>bynajmniej — wcale (dosł.: jak najmniej). [przypis edytorski]

— Ha! — rzekł, odejmując od ust fajkę. — Prawdę mówiąc, chciałbym, aby już jak najprędzej wyszła za mąż.

— Dlaczego? — spytałem.

— Ot — rzekł — nie można powiedzieć, aby poszpetniała, jest równie ładna, jak była, ładniejsza jeszcze. I nie to, że się opuszcza w robocie. Nie. Wyborna, doskonała robotnica, lepszej nie znaleźć, ale brakuje jej czegoś. No, cierpliwości, wytrwania, sam nie wiem czego, ale czegoś brakuje.

Perorował tak energicznie, że mogłem mu tylko potakiwać. Był z tego widocznie zadowolony, gdyż ciągnął:

— Uważam, że jest jakaś niespokojna. Wieleśmy już o tym mówili<sup>316</sup> ze starym i z narzeczonym i tak czy owak trzeba myśleć o zapewnieniu jej przyszłości. Najśodsze to pod słońcem stworzenie! Przysłowie mówi, że nie zrobisz czarnego białym. Nie wiem, czy to prawda, ale to wiem, że z tej tam starej łodzi Emilka zbudowała rodzinne gniazdo, mocniejsze niż z muru i kamienia.

— Najpewniej — pośpieszyłem potwierdzić.

— Dość widzieć ten drobiazg, jak się czepia starego swego wuja! Lgnie do niego po prostu co dzień bardziej, co dzień więcej się przywiązuje. No! Nie ma co mówić, musi nastąpić pewne oderwanie, po co zwlekać.

Słuchałem uważnie słów pocziwca, zgadzając się w zupełności z jego poglądami.

— Mówię im tedy — twierdził — w końcu trzeba ten interes zagwoździć. Naznaczcie termin, jaki się wam podoba. My oceniamy jej pracowitość i oddane usługi więcej może, niż sądzicie, lecz gdy idzie o los jej, „Omer i Joram” gotowi uwolnić ją w każdej dobie. Jeśli zechce potem brać od nas robotę do domu, zgodzimy się na to z przyjemnością. Nie, to nie, nasza w tym będzie strata albo i nie strata, bo to widzisz pan — tu pan Omer dotknął fajkę mojego ramienia — nie wypada mnie, mającemu wnuki, astmatycznemu dziadkowi ubiegać się tak bardzo o jakieś tam błękitnookie dziewczęcę.

— Zapewne — potwierdziłem.

— Nie wypada — mówił. — Sam pan to przyznać musisz. Otóż jej kuzyn... pan musisz wiedzieć, że wychodzi za swego kuzyna?

— O tak! — odrzekłem. — Znam go dobrze.

— A zapewne, przypominam sobie. Otóż narzeczony podziękował mi (a jaki to porządny, zacny, stateczny chłopiec!) i najął domek, cacko wprost. Pokupował sprzęty, klatka, mówię, czyściutka, bielutka klateczka. Trzebaż żeby choroba Barkisa zły wzięła obrót! Pobraliby się byli<sup>317</sup>. Teraz, naturalnie, przeciągnie się to.

— Czy się Emilka uspokoiła? — spytałem.

— Trudno tego wymagać — rzekł, pocierając ręką brodę. — Perspektywa zmiany, rozstania się z wujem, zawsze to coś. Śmierć Barkisa nie będzie wprawdzie przeszkodą, ale zwłoką, a nie ma to, widzisz pan, nic gorszego nad niepewność.

— Widzę — rzekłem.

— Aha! — ciągnął pan Omer — nic dziwnego, jeśli Emilka jest nieco przybita, zaniepokojona. Z każdym dniem, rzekłbyś, bardziej się przywiązuje do wuja, coraz jej też ciężiej rozstać się z nami. Za lada dobrym słowem miewa łzy w oczach, a rozkosz widzieć ją z dziećmi Minnie. Niech ją Nieba mają w swej opiece, jak ona lubi dzieci!

Skorzystałem z nieobecności Minnie i jej męża i spytałem pana Omera o Martę.

— Żle — rzekł, kiwając głową. — Smutna historia, wiadoma już panu, jak widzę. Nie podejrzewałem nigdy tej dziewczyny, nigdy nie przypuszczałem! Nie wspominam też przed Minnie, niech Bóg zachowa. Nie ma tu mowy o niej między nami.

Pan Omer usłyszał niedosłyszalne dla mnie, zbliżające się kroki swej córki, więc, mrucząc oko, kiwnął fajką na znak porozumienia. W drzwiach stanęła Minnie z mężem.

Z Barkisem, jak mówili, było bardzo źle, utracił przytomność i pan Chillip, wychodząc przed chwilą od chorego, mówił w kuchni, że ani cały fakultet medycyny, ani żaden chirurg, ani żadne apteki pomóc mu już nie mogą. Sam przecie pan Chillip był doktorem medycyny i chirurgii, co zaś do apteki, ta mogłaby tylko otruć chorego.

<sup>316</sup>wieleśmy (...) mówili — inaczej: wiele mówiliśmy (konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika). [przypis edytorski]

<sup>317</sup>pobraliby się byli — daw. forma czasu zaprzeczonego (trybu przypuszczającego); znaczenie: pobraliby się wcześniej (tzn. przed wydarzeniami wyrażonymi czasem przeszłym prostym). [przypis edytorski]

Słyszając to, postanowiłem udać się natychmiast do Peggotty. Pożegnałem pana Omera i jego rodzinę i skierowałem kroki w stronę mieszkania mej piastunki pod wpływem wrażenia, które w mych oczach nadawało Barkisowi nowej, niebywalej powagi.

Zapukałem do drzwi. Otworzył mi pan Peggotty, nie zdziwił się wcale, ujrawszy mnie. Tak samo zresztą i Peggotty. Wobec strasznej niespodzianki, jaką mieli przed sobą, wszelkie inne błady i zacierały się.

Uścisnęliśmy się w milczeniu za ręce, przeszliśmy cicho i na palcach do kuchni. Przed ogniem siedziała Emilka z ukrytą w rękach twarzą. Ham stał przed nią.

Mówiliśmy szeptem, nasłuchując wszelkich dochodzących nas z góry szmerów. Za uprzedniej mej bytności nie zauważyłem tego wcale, teraz jakże mi się dziwna zdawała nieobecność gospodarza domu w tej kuchni.

— Jakże to pięknie z pańskiej strony! — zauważył Peggotty, dłoń mi ściskając.

— Niezwykle pięknie — potwierdził Ham.

— Emilko, duszko — mówił pan Peggotty — spójrz tylko! Pan Davy przyjechał, by nas pocieszyć. Co? Nie powiesz mu ani słowa?

Drgnęła tylko. Pamiętam chłód jej ręki. Zdawało się, że ją cofa z mej dłoni. Zerwała się z krzesła i, zwisając u ramienia wuja milcząca i drżąca cała, schyliła się w jego objęcia.

— Takie to kochające serce — mówił pan Peggotty, gładząc włosy dziewczęcia grubą swą ręką — że trudno jej przenieść<sup>318</sup> widok tej boleści. Młode i świeże serca, jak tej mojej ptaszyny, przenieść tego nie mogą. Wszak to naturalne, panie Davy?

Przytuliła się do niego, nie podnosząc oczu i nie mówiąc słowa.

— Późno już, gołąbko moja — perswadował pan Peggotty. — Ham przyszedł, by cię odwiedzić do domu. Idź już, idź, kotko, dziecko moje! On cię odprowadzi. Co mówisz, Emilko, duszko moja?

Nie słyszałem jej głosu, lecz pochylając się nad nią, pan Peggotty zdawał się wsłuchiwać w cichą jakąś prośbę.

— Zostać tu z wujem? — mówił. — Bój się Boga! Zostać z wujem, gdy cię narzeczony odwiedzić chce do domu? Kto by to powiedział — dodał, spoglądając z dumą na mnie i na Hama — że ta pieśczołka nad wszystko i wszystkich przekłada swego starego wuja, niezdarę. Oj, ty, ty! Pieśczotko!

— Emilka ma słuszność — rzekł Ham — a ponieważ żąda tego, niech tu do jutra rana zostanie, ale i ja też zostanę.

— Co to, to nie! — zaprzeczył pan Peggotty. — Jutro musisz stanąć do pracy. Nie możesz jednocześnie czuwać i pracować, a o swą żoneczkę nie masz co się troszczyć. Pod dobrą zostanie opieką, ja za to odpowiadam.

Ham, stosując się do rady wuja, wziął kapelusz. Nawet gdy ścisnął ją, a za każdym razem, gdy się zbliżał do niej, czułem, że w tym prostym żeglarzu jest dusza i delikatność prawdziwego dżentelmena — przytuliła się do wuja, odsuwając się od swego przyszłego męża. Wyszedłem, by zamknąć drzwi za odchodzącym, a gdym wrócił, pan Peggotty mówił jej coś z cicha, tkliwie, uspokajał czy upominał.

— Teraz — rzekł — pójdę tam na górę i uprzedzę ciotkę o przyjeździe pana Davy. Pocieszy to ją nieco, biedaczkę. Usiądź tu sobie tymczasem przed ogniem i rozgrzej te swoje jak lód zimne, biedne rączęta. No! Nie bój się, uspokój, nie bierz tak tego do serca! Co? I ty pójdziesz ze mną? Chodź, gołąbko, chodź! Pewien jestem, panie Davy — dodał z dumą — że gdyby wuj jej stał się włóczęgą, wyklętym, jeszcze by za nim poszła! Do czasu, do czasu, gołąbko, pójdziesz ty wkrótce za kimś innym.

Gdy nieco później wszedłem po ciemku do mego pokoiku na górze, zdawało mi się, że ją tam zastałem kłęczącą na ziemi. Nie jestem jednak tego pewien, było to może wywołane przez złudną grę cieni.

Siedząc przed kominem, rozmyślałem o tej bojaźni Emilki przed śmiercią. Bojaźń ta i to, co mi mówił o niej pan Omer, musiały tak ujemnie oddziaływać na nią. Nie, istotnie nie była już taka jak dawniej. Swobodnie mogłem oddawać się podobnym rozmyśleniom, wsłuchując się w głośny chód zegara i panującą w domu ciszę. Nagle uczułem około mej szyi ramiona Peggotty! Całowała mnie, dziękując, żem pośpieszył do niej w podobnej chwili. Powiedziała mi też, że mogę pójść za nią na górę, gdyż mąż jej lubił mnie zawsze

<sup>318</sup>przenieść (daw.) — znieść, ścierpieć, wytrzymać. [przypis edytorski]

i podziwiał, i nieraz, zanim stracił przytomność, wspominał, więc jeśli mu przytomność wróci, ucieszy się mym widokiem o tyle, o ile doczesne sprawy mogą go jeszcze cieszyć.

Zwątpilem o tym najzupełniej, ujrawszy chorego. Leżał z głową i ramionami opartymi o skrzynię, przedmiot ciągłej swej troski. Dowiedziałem się później, że gdy nie mógł już zwlekać się z łóżka ani dosięgać skrzyni kijem, jakim to uprzednio widział, żądał, aby mu ją postawiono na krześle u samego wezglowia. Chciał ją czuć i ciągle jej dotykać. Zapomniał o biegu czasu, o świecie całym, a pamiętał jeszcze o swej skrzyni, bo oto i teraz obejmował ją, a po sinych jego wargach błąkały się niewyraźne słowa:

— Stare rupiecie!

— Barkis, kochany — rzekła spokojnie, siląc się nawet na wesołość, Peggotty, pochylając się nad wezglowiem chorego, gdy razem z jej bratem stanąłem przy łożu — wiesz, kto do nas przyjechał? Zgadnij! Moje kochane dziecko, Davy, swat nasz, pamiętasz. Dawaleś mu różne zlecenia do mnie.

Milczał, sztywny i nieruchomy jak obejmowana przezeń skrzynia.

— Opuści nas z odpływem — szepnął mi na ucho pan Peggotty.

Łzy miał w oczach i ja także.

— Z odpływem? — szepnąłem.

— Na tym wybrzeżu — wyjaśniał mi równie cicho — ludzie umierają zawsze z odpływem, zawsze z przypływem się rodzą. I on odejdzie z odpływem. O pół do czwartej. Jeśli przeżyje tę godzinę, żyć będzie do jutrzejszej nocy.

Pozostaliśmy u łoża konającego. Godziny mijały. Nie wiem, jaki niewytłumaczony wpływ wywierać na niego mogła moja obecność, ale to pewne, że gdy począł coś belkotać gasnącym głosem, mówił o mnie, o tym, jak mnie woził do szkół.

— Wraca mu przytomność — rzekła Peggotty.

Pan Peggotty trącił mnie, mówiąc cicho i poważnie:

— Odpływ się zbliża.

— Barkis! Mój drogi — mówiła, pochylając się nad nim, żona.

— C. P. Barkis, najlepsza pod słońcem kobieta — zaszemrał głos konającego. Szeroko otworzył oczy.

— Patrz, poznajesz go, to jest pan Davy — mówiła Peggotty.

Sam miałem chęć spytać go, czy mnie poznaje, tak się uważnie we mnie wpatrzył. Wyciągnął ramiona i uśmiechnął się do mnie:

— Barkis gotów! — rzekł wyraźnie.

Była to godzina odpływu... Odpłynął ku nieznanym nam wybrzeżom.

## ROZDZIAŁ XXXI. WIĘKSZA STRATA

Nietrudno mi było zastosować się do życzenia Peggotty i pozostać celem oddania ostatniej posługi zmarłemu. Zwłoki jego miały być odwiezione do Blunderstone, gdzie kochana moja piastunka dawno już zakupiła z własnych oszczędności parę stóp ziemi, tuż obok miejsca wiecznego spoczynku „kochanego swego dziewczęcia”, jak zwykła była nazywać mą matkę.

Dotrzymując piastunce mej towarzystwa w te pełne smutku i żaloby dni, oddając jej, jakie tylko mogłem, drobne posługi, spłacałem, z istotnym zadowoleniem kochającego serca, dług wdzięczności, lecz wyznać muszę, że z większym jeszcze zadowoleniem przyjąłem na się, jako rzecz należącą do mego zawodu, obowiązek wykonawcy ostatniej woli nieboszczyka.

Za moją też inicjatywą zaczęto szukać testamentu w skrzyni, gdzie też rzeczywiście leżał, owinięty w stary worek od owsa. Przy testamencie znaleziono złoty zegarek, który Barkis miał na sobie w dniu swego ślubu, ale którego ani przedtem, ani potem, nigdy nikt na nim nie widział; była tam również srebrna puszcza na tytoń, mikroskopijne pudełko w kształcie cytryny, zawierające mikroskopijną zastawę do herbaty, wystruganą z drzewa, które to pudełko, jak przypuszczałem, Barkis musiał kiedyś, w czasach mego dzieciństwa, kupić dla mnie, a potem, pożałowawszy widać, schował je do swego skarbcza. Ponadto znaleźliśmy osiemdziesiąt siedem i pół gwiney srebrem, samymi gwineami i półgwineami, dwa tysiące dziesięć funtów w banknotach, jako też czek na pewną sumę, starą podkową, fałszywy szyling, kawał kamfory i jakąś muszlę. Że zaś ostatni ten przedmiot posiadał



pewien połysk i ładne wewnątrz odcienie, nabrałem przekonania, że pan Barkis musiał przypuszczać, iż w muszli tej znajdują się perły.

Przez długie lata skrzynia ta zawsze towarzyszyła Barkisowi w jego codziennych wyjazdach. Dla odwrócenia wszelkich podejrzeń, wymyślił on historię, jakoby skrzynia ta była własnością niejakiego Blackboya, powierzoną Barkisowi do czasu, aż zgłosi się po nią właściciel. Całą tę bajkę wypisał na wieku skrzyni. Czas zatarł częściowo napis.

Długoletnie oszczędności wcale okazały się owocne. Fundusz zebrany wynosił trzy tysiące funtów szterlingów. Procenty od tysiąca Barkis zapewnił jako dożywocie panu Peggotty, po najdłuższym zaś jego życiu miały być rozdzielone na równe części pomiędzy mnie a Emilkę lub nasze potomstwo, i tak dalej. Reszta stawała się wyłączną i bezsporną własnością jego żony, jedynej wykonawczyni woli zmarłego. Czytając na głos testament, czułem się niby proktorem i zaczynałem przypuszczać, że Commons więcej jest przecie wart, niżby się zrazu wydawać mogło. Badałem testament od strony prawnej i z zadowoleniem musiałem przyznać, że był prawomocny. Poczynilem ołówkiem na marginesie potrzebne adnotacje, podziwiając sam siebie, że mi to wszystko, w tak prędkim stosunkowo czasie, wiadomym się stało.

Na tym podobnych zajęciach, na spisywaniu inwentarza i przywodzeniu do porządku interesów Peggotty, na udzielaniu jej, ku obopólnemu naszemu zadowoleniu, rad prawnych, zszedł mi tydzień poprzedzający pogrzeb. Przez cały czas nie widziałem Emilki, słyszałem tylko, że ślub jej miał odbyć się za parę tygodni.

Nie towarzyszyłem oficjalnie pogrzebowi, to jest nie włożyłem żałoby i nie niosłem chorągwi do wystraszenia wróbli, lecz wczesnym rankiem udałem się na cmentarz w Blunderstone i tam wyczekiwałem zwłok, którym towarzyszyła wdowa z bratem. Wariat, jak zwykle, wyglądał przez okno mego dawnego pokoiku, dziecko doktora, jak zwykle, trzęsło ciężką głową i przewracało bladymi oczami w stronę księdza spoza ramienia swej piastunki, pan Omer stał w głębi, dysząc ciężko, nie było zresztą nikogo więcej i pogrzeb odbył się cicho, spokojnie. Z godzinę jeszcze potem chodziliśmy po cmentarzu; z mogiły mej matki zerwaliśmy kilka świeżych listków.

Ogarnia mnie wielka trwoga, jak ciemna chmura, co się spuszczała na oddalony gród, ku któremu wiodły mnie samotne kroki. Boję się zbliżyć myślą do tego, co zaszło tej nocy, a co się powtarza dziś w sercu mym i pamięci.

Nie zetrę tego, powtarzając, i milcząc nie zetrę. Stało się. Nikt i nic odmienić nie zdoła dokonanego faktu.

Peggotty wybierała się ze mną nazajutrz do Londynu dla uprawienia testamentu męża. Tego zaś dnia Emilka przebywała w sklepie krawca, wieczorem mieliśmy się zejść w starej łodzi pana Peggotty. Ustaliliśmy, że Ham o zwykłej porze wstąpi po narzeczoną, ja nadejdę, a brat z siostrą, wróciwszy z obrzędu pogrzebowego, oczekiwać nas będą w starej łodzi.

Rozstałem się z nimi u wrót cmentarza i zamiast od razu wracać, zboczyłem w stronę Lowestoft. Zwróciłem potem kroki do Yarmouth. Po drodze wstąpiłem na obiad do jakiejś oberży i tak nadszedł wieczór. Wieczór był dżdżysty, zimny, lecz jasny, gdyż księżyc w pełni przebijał poprzez chmury.

Wkrótce dojrzałem łódź pokrytą dachem i światła w okienkach. Przeszedłszy mokre nadbrzeżne piaski, znalazłem się u drzwi domu.

Wszedłem. Cicho tu było, spokojnie. U komina pan Peggotty siedział paląc fajkę, na stole przygotowano wieczerzę, ogień płonął wesoło, popiół był odgarnięty, a Emilkę czekało zwykle jej miejsce w kącie. Na dawnym też miejscu siedziała Peggotty i gdyby nie jej ubiór, zdawałoby się, że przeszłość wróciła w zupełności. Przed nią stało pudełko do robót z wymalowaną na wieczku kopułą katedry św. Pawła, w nieodstępnym towarzystwie ząbka wosku i skręconego centymetra. Pani Gummidge szamotała się w swoim kącie... Słowem, wszystko było, jak bywało niegdyś, przed laty.

— Pierwszy pan przybywasz, Davy — zauważył z uprzejmym uśmiechem pan Peggotty. — Zrzuć pan płaszcz, bo wilgotny.

— Dziękuję panu — rzekłem, oddając płaszcz do powieszenia — prawie suchy!

— Pięknie mi suchy! — zawołał, dotykając mych ramion. — Panicz przemókł do nitki. Niechże pan siada; ogrzeje się. Nie witam pana, ale rad panu jestem z całego serca.

— Dziękuję — rzekłem — nie wątpię o tym. A ty, staruszko moja kochana? — spytałem Peggotty, całując ją.

— Ha, ha! — śmiał się pan Peggotty, chcąc pocieszyć siostrę. — Właśnie mówiłem jej, że nie ma na świecie kobiety, której sumienie bardziej może być spokojne, jak nie przymierzając jej. Spełniła wszystkie swe obowiązki względem nieboszczyka, nieboszczyk sam dobrze o tym wiedział, on jej, ona jemu oddali wszystko, co się komu należało, czegoż można chcieć więcej?

Pani Gummidge zamruczała coś w kącie.

— Odwagi, kobieto, odwagi! — pocieszał ją z kolei pan Peggotty, lecz to nie pomagało. Kiwała głową, korzystając z nadarzającej się sposobności, aby przypomnieć swoje własne wdowieństwo. — Odwagi, kobieto, trzymaj się śmiało, a zobaczysz, wszystko jeszcze dobrze pójdzie.

— Nie mnie, Danielu, nie mnie — odpowiadała płacząco. — Dla mnie pozostała samotność i opuszczenie.

— Nie! Nie! — upewniał ją stary pocziwiec.

— Tak, tak, Danielu — twierdziła — nie jestem z tych, co lubią żyć cudzym kosztem, potrafię się usunąć.

— Bój się Boga, kobieto! Co ty mnie możesz kosztować! I niby nie widzisz, że mi się teraz właśnie stajesz potrzebniejsza niż kiedykolwiek!

— Wiem, że dotąd nie byłam potrzebna — rozplakała się na dobre pani Gummidge — niepotrzebnie mi to wyrzucasz. Opuszczona i samotna istota zawsze i wszędzie bywa niepotrzebna!

Pan Peggotty wyglądał na bardzo zmieszanego i zawstydzonego okazanym brakiem serca, trącony jednak przez siostrę, nic nie odpowiedział, tylko popatrzawszy z żalem na panią Gummidge, zwrócił wzrok na holenderski zegar, powstał z miejsca, zapalił świecę i postawił ją w oknie.

— Tak to, pani Gummidge — powiedział wesoło, na co kobieta zamruczała coś niewyraźnie — postawmy świecę jak zwykle. Ha, ha! Pan Davy nie wie, co to znaczy. To dla Emilki. Ścieżka po ciemku ponura. Jak tylko jestem w domu, w tym czasie, kiedy Emilka wraca, zawsze zapalam świecę i stawiam w oknie, a Emilka myśli sobie: „oto dom”, i myśli jeszcze: „wuj mnie czeka”. A co, dobrze tak?

— Dziecko z ciebie — rzekła Peggotty, rozrzewniona w gruncie rzeczy dobrocią brata.

— Ha! — zaśmiał się, stając przed ogniem, prostując grube swe członki i zacierając rękę z zadowoleniem. — Wyglądałem na dziecko!

— Niezupełnie — zauważyła Peggotty.

— Kto wie, kto wie — mówił — zresztą mniejsza z tym i powiem tylko, że jak pomyśle o tamtym ładnym domku naszej Emilki, to po prostu nie wiem, co z tymi elegancjami robić. Boję się dotknąć, myśląc, że takie to delikatne jak nasza Emilka, i nikomu, za nic w świecie, nie pozwoliłbym potrącić tam żadnego przedmiotu. Bawić się jej czepeczkami jak małe dziecko. Ha, ha! Macie dziecko w postaci starego morskiego rekina.

Roześmiał się na głos, wtórowaliśmy mu z Peggotty, lecz ciszej.

— Pamiętam — mówił, ożywiając się — jak była taka malutka i nieraz całymi godzinami bawiliśmy się razem w Turków, Francuzów, w ludożerców, w lwy, wieloryby i rozmaitych cudzoziemców! Zostało to już w zwyczaju. Teraz zapalam dla niej świecę, by ją z dala, z ciemnej dostrzegła ścieżki. Dzieciństwo! Ale chociaż wyjdzie za mąż i opuści tę chałupę, wiem to, świecę zawsze przecie stawiać będę i siedząc jak teraz przy ogniu, myśleć o Emilce i czekać jej. — Zaśmiał się. — Myślicie sobie pewno, jakie dziecko z tego morskiego rekina! A ja przecie myślę sobie, patrząc na świecę: moja Emilka widzi światło, wraca. Wy się śmiejecie ze starego rekina, a ja się cieszę... Otóż i ona.

Wyciągnął do drzwi ramiona; we drzwiach stanął Ham. Deszcz wzmógł się widać, gdyż szeroki kapelusz opadał mu na oczy.

— A Emilka? — spytał pan Peggotty.

Ham skłonił tylko głową w stronę podwórza. Pan Peggotty zgasił świecę i począł rozniecać ogień. Ham, nie ruszając się z miejsca, rzekł do mnie:

— Paniczu, niech panicz wyjdzie ze mną na chwilkę, mamy coś panu do pokazania.

Ucieczka, Dom, Kobieta  
”upadła”, Kobieta,  
Męczyzna, Miłość

Wysliśmy. Przechodząc dopiero koło niego, dostrzegłem, że był śmiertelnie blady. Śpiesznie zamknął drzwi, na dworze znaleźliśmy się we dwóch... we dwóch tylko.

— Co to znaczy? — spytałem.

Wybuchnął głośnym, wstrzymywanym płaczem. Oniemiałem na widok tej boleści, chociaż nie wiedziałem ani co myśleć, ani czego się lękać.

— Ham! Na Boga — rzekłem — co się stało?

— Ukochanie moje — wyjąkał — ona, która była dumą moją, żrenicą w oku, ta, za którą życie bym tysiąc razy oddał, znikła.

— Znikła, mówisz?

— Uciekła! — wybuchnął. — Emilka uciekła! O! Wolalbym stokroć widzieć ją na marach niż zhańbioną.

Wyraz twarzy, którą wznosił ku zachmurzonym niebiosom, bladość jego, drżenie załamanych rąk, wszystko to wrażyło mi się na zawsze w pamięć. W noc samotną, księżycową, a pochmurną widzę go zawsze przed sobą takim, jakim był w strasznej tej chwili.

— Uczony jesteś — mówił — i wiesz lepiej ode mnie, jak i co im powiedzieć. To może zabić wujka.

Drzwi skrzywnęły. Pochwyciłem klamkę, by zyskać choć chwilę czasu. Za późno, pan Peggotty wyjrzał — nigdy nie zapomnę jego nagle zmienionej twarzy.

Przypominam sobie krzyk i płacz kobiet. Staliśmy już teraz w pokoju, w ręce mojej drżał dany mi przez Hama papier, pan Peggotty stał blady z drżącymi, posiniałymi ustami, bluzę miał rozerwaną na piersiach i powalaną krwią, która mu się z gardła musiała rzucić. Patrzył na mnie szklanym wzrokiem.

— Czytaj pan — rzekł z cicha, głucho — powoli tylko, słowo za słowem, abym mógł zrozumieć.

W grobowej ciszy, jaka zapadła, czytałem na zmiętej ćwiartce papieru, co następuje:

„Gdy ci, którzy mnie kochali więcej, niż na to zasługiwałam wówczas nawet, kiedy serce moje było jeszcze niewinne, odczytają to — daleko już stąd będę...”

— Daleko — powtórzył głucho pan Peggotty. — Zaczekaj, daleko! Emilka daleko!

„Jutro rano — list nosił datę dnia wczorajszego — opuść dom mój, dom kochany, jedyny, na zawsze, i nie wrócę już, chyba że odwiezie mnie jako swą żonę. Zamiast mnie ten list zastaniecie. Och! Gdybyś wiedział, Ham, jak mi się serce kraje, chociaż cię tak bardzo zasmucam i krzywdzę, przebaczyłbyś mi pewno, gdybyś tylko wiedział, ile cierpię. Nie śmiem pisać o sobie. Pociesz się tym, że tak mało warta. Przez litość powiedz Wujowi, że go nigdy, nigdy bardziej nie kochałam, jak w tej chwili. Zapomnij, jak był dobry, pobłażliwy dla mnie, zapomnij, żeśmy się pobrać mieli, myśl lepiej, że umarłam, małym jeszcze będąc dzieckiem, i gdzieś mnie pogrzebano. Proś Boga, abym nie wróciła, i miej litość nad Wujem. Pocieszaj go, mów mu, że go nigdy, nigdy bardziej jak w tej chwili nie kochałam. Serce swe pocziwem oddaj jakiemuś pocziwemu dziewczęciu. Więcej ode mnie warta zastąpi mnie przy Was, gdyż ja Wam samą hańbę przynoszę. Niech Was wszystkich Nieba mają w swej pieczy. Modłę się za Was wszystkich gorąco, nie za siebie. I wówczas nawet, gdy on mnie tu z powrotem nie przywiezie jako swą żonę, za Was modlić się będę. Żegnam Wujka. Wujowi lzy moje i ostatnie dziękczynienia”.

Tyle tylko!

Dawno przestałem czytać, a stary stał jak skamieniały, patrząc na mnie szklanym wzrokiem. Ośmieliłem się ująć go za rękę w nadziei przywrócenia do przytomności.

— Dziękuję, dziękuję panu — rzekł głucho, nie czyniąc żadnego ruchu.

Z kolei Ham przemówił. Podziałało to na starca o tyle, że załamał ręce. Pozostał jednak w uprzedniej postawie.

Po chwili przestał patrzeć na mnie, zatoczył wzrokiem dokoła, jak ktoś, kto się budzi z ciężkiego snu. Po chwili spytał głucho:

— Kto to? Chcę wiedzieć jego nazwisko.  
 Ham spojrział na mnie, cofnąłem się jak piorunem rażony.  
 — Chcę wiedzieć, kto to sprawił — powtórzył pan Peggotty.  
 — Paniczu — szepnął mi na ucho Ham — paniczu Davy, oddalcie się, muszę mu coś powiedzieć... czego nie powinniście słyszeć.  
 Cofnąłem się, opadłem na krzesło, oniemiałem.  
 — Chcę wiedzieć jego nazwisko — usłyszałem raz jeszcze.  
 — W ostatnich czasach — mówił Ham bezdźwięcznym głosem — kręcił się tu pewien lokaj... a także dżentelmen... lokaj i dżentelmen...  
 Pan Peggotty stał jak wryty, ze szklanym, zwróconym na Hama wzrokiem.  
 — Lokaj ten — ciągnął Ham z wysiłkiem — widziany był zeszłego wieczoru z dziewczką naszą. Czatował na nią po kryjomu od tygodnia przeszło. Udawał, że opuścił Yarmouth, lecz czatował. Paniczu Davy! O, paniczu Davy!  
 Czulem naokoło mej szyi ramiona Peggotty. Byłem jak skamieniały. Gdyby dom się walił, nie zdołałbym powstać.  
 — Nieznany pojazd widziany był dziś rano o świcie, za miastem, na drodze do Norwich — ciągnął Ham dalej. — Lokaj ów podchodził doń, wracał, znów się zbliżył... tym razem z Emilką... tamten czekał w pojeździe... On to.  
 — Na Boga — krzyknął pan Peggotty, cofając się i zasłaniając twarz dłońmi jak przed ciosem — wiem już, jak się nazywa: Steerforth!  
 — Paniczu — rzekł Ham, zwracając się do mnie — nie miej mi tego za złe, wiem, że nie ma w tym twej winy, ale istotnie nazywa się on Steerforth, a podły to nikczemnik!  
 Pan Peggotty nie wydał jęku, łzy nie uronił, stał długo jak wryty, potem zrzucił rozdartą na piersiach bluzę.  
 — Zreperujcie mi to — rzekł — i pomóżcie ubrać się prędzej. Tam surdut, kapelusz.  
 Ham spytał go, co zamierza.  
 — Idę szukać mej siostrzenicy — rzekł — najprzód do tego statku, wiecie. Utopiłbym go tysiąc razy, bez litości, gdybym przypuszczał — dodał z dzikim szałem w oczach — utopiłbym, gdyby siedział przede mną, oko w oko, niecne swe snując zamysły. Idę szukać mej siostrzenicy.  
 — Gdzie? — rzekł Ham, zachodząc mu drogę.  
 — Wszędzie, po świecie całym. Znajdę ją, wyrwę hańbie, wrócę tu z nią. Nikt mnie zatrzymać nie zdoła, mówię wam, że po nią idę.  
 — Nie, nie — zawołała, rzucając się do drzwi, pani Gummidge — nie, Danielu! Nie tak, nie teraz. Uspokój się trochę, a potem, mój biedny, opuszczony Danielu, szukać jej będziesz, ile zechcesz. Słuszne to, ale uspokój się przedtem. Usiądź i przebac mi, że ci dokuczałam! Teraz widzę, czym były moje troski w porównaniu z tym nieszczęściem! Pomówmy trochę o dawnych czasach, kiedy Emilka została sierotą i Ham także, i ja także biedną, opuszczoną wdową, a tyś nas przygarnął. Mówmy o tym, to ci ulgę sprawi, Danielu — dodała, opierając mu głowę o ramię — ulgę ci to sprawi, doda odwagi. Wiesz, jak tam jest napisane: „Cokolwiek uczynicie jednemu z tych małuczkich, mnie samemu uczyniliście”. Nie, nie zawiodą te słowa pod dachem, pod którym wszyscyśmy mieli<sup>319</sup> przytułek przez tyle, tyle lat.  
 Uspokajał się, a gdy usłyszał, że płacze, ukląkł, prosząc o przebaczenie za nieszczęście, które mimowolnie pod ich dach sprowadził, a nabrzmiałe w sercu przekleństwo dla Steerfortha w lepsze zmieniało się uczucie, wraz ze łzami, które mi też pewną ulgę przyniosły.

## ROZDZIAŁ XXXII. POCZĄTEK DŁUGIEJ PODRÓŻY

To, co czuję, czuć muszą i inni i dlatego nie waham się wyznać, że nigdy może Steerforth droższy mi nie był jak w chwili, gdy się rwały łączące nas węzły. W nagłym odkryciu jego niegodziwości nie traciłem z pamięci znanych mi jego przymiotów, myślałem o nich, łagodziły one mój sąd o nim, myślałem o tym, jak wysoko i szlachetnie postawić go

<sup>319</sup>wszyscyśmy mieli — inaczej: wszyscy mieliśmy (konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika). [przypis edytorski]

mogły, a chociaż głęboko przekonany byłem o mej niewinności we wniesionym przezeń w dom mych przyjaciół nieszczęściu, czułem, że gdybym go spotkał oko w oko, nie powiedziałbym mu słowa wyrzutu. Kochałem go nie mniej niż przedtem i chociaż utraciłem wszelkie złudzenia, chociaż wiedziałem, że byłbym chyba słabym dzieckiem, gdybym się znów doń zbliżył, że wszystko między nami na zawsze skończone, zerwane w imię przeszłości, okazywałbym mu, gdybym go spotkał, to samo co dawniej przywiązanie. Co Steerforth myślał o mnie, jakie zachował wspomnienia, nie wiem, moje pozostały mu wierne, jak zmarłemu przyjacielowi.

Tak jest, dawno ze skromnej historii mego życia usunięty przyjacielu! Boleść moja świadczyć przeciw tobie będzie u tronu Najwyższego Trybunału, lecz serce i pamięć nigdy.

Więść o tym, co zaszło, szybko rozbiegła się po mieście. Wyszędłszy nazajutrz rano, słyszałem, jak przechodnie rozprawiali o tym na ulicy. Niektórzy potępiali Steerfortha, większość młodą dziewczynę, lecz do opiekuna jej i narzeczonego wszyscy odnosili się z jednakim współczuciem i szacunkiem. Rybacy i żeglarze, natchnieni poczuciem delikatności, uchylali się na widok pana Peggotty i Hama, stąpających powoli, wlokącym się krokiem po wybrzeżu.

Tam to ich spotkałem. Gdyby mi nawet Peggotty nie mówiła o tym, łatwo, widząc ich, domyśliłbym się, że oka przez noc całą nie zmrużyli, przesiedziawszy do dnia białego tak, jakem ich był z wieczora zostawił<sup>320</sup>. Noc ta jedna pochyliła głowę pana Peggotty bardziej niż wszystkie minione lata, odkąd go poznałem. Obaj z bratankiem przybici byli nad wszelki wyraz, ale na pozór spokojni, chłodni nawet jak to morze, co pod pochmurnym niebem leżało spokojnie, z zamkniętą w łonie swym burzliwą falą, a nawet gdzieś precz, na skraju horyzontu, złościło się pod wąską smugą niewidzialnego z brzegu słońca.

— Rozmawialiśmy z sobą — rzekł, powitawszy mnie, pan Peggotty, po kilku chwilach milczenia — o tym, co mamy przedsięwziąć, a czego się wystrzegać, zdecydowani też już jesteśmy.

Spojrzałem na Hama. Wzrok jego gonił na skraju morza jaśniejszą linię. Przeląknłem się. We wzroku tym nie było gniewu ni złości, błyszczało tylko niezłomne postanowienie. Tak, gdyby spotkał Steerfortha, zabiłby go bez wątpienia.

— Obowiązki tu moje skończyły się — powiedział pan Peggotty. — Jeden mi dziś już tylko pozostał obowiązek: szukać mej... — zająknął się, a potem z mocnym wysiłkiem dodał. — Szukać jej będę, aż odnajdę, to jest dziś jedyny mój obowiązek.

Wstrząsnął tylko głową na moje pytanie, gdzie się zamierza udać, i nawzajem spytał, czy nazajutrz zamierzam odjechać do Londynu. Wnosząc, że mogę być mu potrzebny, odrzekłem, że wyjazd mój najzupełniej do niego zastosuję.

— Jeśli pan może pozostać do jutra — rzekł — i jeśli nie sprawi to panu przykrości, pojedę z panem.

Kilka kroków przeszliśmy w milczeniu.

— Ham — mówił dalej — tu pozostanie, ma on pracę i musi się opiekować moją biedną siostrą. Z nią zamieszka; stara zaś łódź ta...

— Opuszczasz ją pan? — spytałem łagodnie.

— Moje miejsce nie tu — odrzekł — i cóż tam, że łódź w ciemności zatonie, gdy człowiek ginie. Lecz nie, łódź nie będzie opuszczona.

Znów przeszliśmy kroków kilka w milczeniu.

— Owszem — ciągnął — pragnę, aby pozostała latem i zimą, dniem i nocą, czym była dotąd, taką, jaką ona ją znała. Chcę, aby gdy wróci, zastała dawne swe miejsce, poznała prowadzącą do domu drogę. Chcę, aby w słotę i zawieję zastała tu panią Gummidge i miała odwagę, widząc, że jest ciągle oczekiwana, drżącą ręką zapukać do drzwi i pod własnym dachem złożyć do spoczynku skołatana, niegdyś tak jasną główkę.

Chciałem odpowiedzieć, lecz nie mogłem.

— Trzeba — rzekł — aby co wieczór i przez noc całą w tym oto oknie paliła się świeca i z dala już mówiła jej, jak dotąd mawiała: „Wracaj, kochanie, gołąbko nasza, wracaj, czekają ciebie”.

<sup>320</sup> jakem ich (...) zostawił — inaczej: jak ich zostawiłem (konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; także przykład czasu zaprzeczonego, tworzonego za pomocą czasownika posiłkowego *był* względnie *była*). [przypis edytorski]

— Ham — rzekł, zwracając się do synowca — jeślibyś kiedy usłyszał wieczorem czy w nocy pukanie, wiesz, ciche jej pukanie do drzwi ciotki, nie otwieraj sam. Niech ją lepiej spotka ciotka, lżej biedaczce będzie.

Szedł czas jakiś przed nami, milcząc. Spojrzałem na Hama. Wpatrzony w jasną linię na skraju horyzontu i morza miał ten sam co przedtem wyraz twarzy. Dotknąłem jego ramienia, lecz dwa razy powtórzyć musiałem imię, nim się zbudził z zadumy. Spytałem go, o czym myślał.

— O tym tam — odrzekł, wskazując morze.

— O tym, co masz przed sobą, prawda? — spytałem z naciskiem.

— E, paniczu, nie wiem jak, lecz wiem, że koniec stamtąd przyjść musi — rzekł, patrząc wciąż na morze z tym samym co przedtem wyrazem twarzy.

— Jaki koniec? — spytałem zdjęty uprzednią trwogą.

— Nie wiem — odrzekł zamyślony — myślałem po prostu, że tam, gdzie był początek, tam musi być i koniec... Lecz to już przeszło — dodał, odpowiadając memu spojrzeniu — i niepotrzebnie pan boisz się, jestem oszołomiony i sam nie wiem, co myślę i mówię.

Pan Peggotty zatrzymał się, my także i rozmowa urwała się, lecz pozostała mi w pamięci i przypomniałam ją sobie, gdy w swym czasie istotnie nieubłagany nadszedł koniec.

Wkrótce doszliśmy do starej łodzi. Pani Gummidge zamiast, jak zwykle, jęczeć i wzdychać w swym kącie, krzątała się koło śniadania. Wzięła kapelusz od pana Peggotty, przysunęła mu krzesło, a mówiła tak pocieszająco i rozsądnie, żem jej nie poznawał.

— Danielu! Pocziwy mój Danielu! Musisz zjeść i pokrzepić potrzebne ci teraz siły. Spróbuj! Spróbuj tylko. Jeśli ci się naprzykrzam, powiedz, a odejdę.

Gdy podała nam śniadanie, odeszła do okna, gdzie reperowała odzież i bieliznę pana Peggotty, układając ją potem w skórzaną walizę, takiej, jakiej zwykli używać żeglarze. Jednocześnie mówiła:

— Możesz być zupełnie spokojny. W każdym tu będę czasie, dniem i nocą, zimą i latem. Nie nazbyt jestem piśmienna, ale od czasu do czasu będę do ciebie pisywać, przesyłając listy do pana Davy. A może czasem napiszesz do mnie słówko, Danielu? Niepokoić się będę o tę samotną długą twą podróż.

— Toż ty, kobieto, będziesz tutaj teraz naprawdę samotna i opuszczona — zauważył pan Peggotty.

— Nie, nie — zaprzeczyła — nie troszcz się tylko o mnie, Danielu! Dość będę miała zajęcia, utrzymując w porządku dom dla ciebie i tych, co mogą tu wrócić. W pogodę wyczekiwać będę na progu jak dawniej, zupełnie tak samo, a wracających przyjmę kochającym, wiernym sercem.

Jakże się pani Gummidge bardzo i to tak z dnia na dzień, nagle zmieniła! Miałem przed sobą inną kobietę. Nie jęczącą, zamkniętą we własnych, wymaginowanych troskach, lecz poświęcającą się, niemyślącą o sobie wcale, godną czci i szacunku! Czego przy tym w dniu tym nie zrobiła! Mnóstwo przedmiotów, wioseł, żagli, lin, pak znieść trzeba było z wybrzeża i schować w małym składziku. Było to mienie pana Peggotty, nad którym rozciągała opiekę, i chociaż każdy śpieszył jej z pomocą, gdyż nie było rąk, które by nie chciały oddać usługi odjeżdżającemu, ugięła się dzień cały pod ciężarami, przy czym zapomniała najzupełniej zwykłych swych skarg. Była niemal wesoła, nie kłóciła się z nikim, ani razu nie podniosła głosu, ani jednej łzy nie uroniła i dopiero o zmroku, gdy pozostała sama ze mną i panem Peggotty i gdy ten ostatni, wycieńczony, zapadł w sen twardy, rozplakała się na dobre, ale cicho, a odprowadzając mnie do drzwi, mówiła:

— Niech Nieba panu nagrodzą, panie Davy! Bądź mu przyjacielem i podporą.

Rzekłszy to, pobiegła prędkiej umyć oczy, aby budząc się zastał ją spokojną i przy robotcie. Pozostawiłem ją, jako opiekę i podporę nieszczęściem dotkniętego człowieka, rozmyślając nad tą wielką, udzieloną mi przez panią Gummidge nauką.

Musiałoby być już około dziesiątej, gdy blakając się bez celu po mieście, zatrzymałem się u drzwi sklepu „Omer i Joram”. Pan Omer tak się przejął tym, co zaszło, jak mi później opowiedziała jego córka, że mu się zrobiło gorzej i musiał się położyć.

— Brzydka, niewdzięczna dziewczyna — zdecydowała pani Joram — zawsze była niewiele warta!

— Nie mów pani tego — zawołałem — nie myślisz tak.

— Owszem — odparła z gniewem.

— Nie, nie! — zaprzeczałem.

Podniosła głowę, chcąc wyglądać na obrażoną i surową, lecz nie wytrzymała i rozplakała się. Młody byłem i niedoświadczony, a jednak uznałem te jej łzy za lepszą oznakę niewieściej godności i macierzyńskiego serca niż uprzednią nieubłagalność zasad.

— Co pocnie z sobą, co się z nią teraz stanie?! — chlipała. — Och, jakże mogła być tak bezlitosna dla siebie i dla nich!

Przypomniałem sobie, że widział panią Joram młodą dziewczeczką, i zadowolony byłem, że sama pamiętała o tej dobrej.

— Moja mała — mówiła — ledwie się dała uspokoić, cały dzień płakała i teraz przez sen mówi jeszcze o Emilce. Pytała, czy Emilka stała się zła. Cóż miałam odpowiedzieć dziecku? Onegdaj<sup>321</sup> jeszcze wieczorem, wychodząc stąd po raz ostatni, Emilka z własnej szyi zdjęła wstążkę, zawiązała na szyi mojej małej i pieściła ją, i bawiła się z nią, dopóki Minnie nie zasnęła. Wstążka jest i teraz na szyi małej, źle to, wiem, ale jakże dziecku odbierać? Przywiązała się do niej z całego serca i Emilka kochała małą, była dla niej dobra, pieściła ją zawsze.

Pani Joram płakała tak rzewnie, że aż mąż przyszedł ją uspokajać. Pozostawiwszy ich razem, wróciłem do domu Peggotty smutniejszy jeszcze, niż gdy go opuszczałem.

Pocziwie to stworzenie, nie zważając na tyle bezsennie u łóżka chorego męża spędzonych nocy, pozostało na noc u brata. W mieszkaniu była tylko stara kobieta, przyjęta w ostatnich tygodniach do pomocy, bo Peggotty nie mogła dać sobie rady z gospodarstwem. Otworzyła mi drzwi, ofiarowując swe usługi. Nie potrzebowałem ich i, zgodnie z jej skrytymi życzeniami, posławszy ją spać, sam usiadłem przed ogniem, rozmyślając o wszystkim, co zaszło.

Myślałem o śmiertelnym łóżu nieboszczyka i o tych obszarach dalekich, których szukało oko Hama, gdy z zadumy wyrwało mnie pukanie do drzwi, ciche i słabe, jakby dziecięcą dokonane dłonią.

Porwałem się zdziwiony, otworzyłem drzwi i zrazu nic nie dostrzegłem, oprócz wielkiego o własnej, rzekłbyś, sile poruszającego się parasola. Po chwili spod parasola wyłoniła się panna Mowcher.

Byłem przygotowany na nie nazbyt uprzejme powitanie tego drobniutkiego stworzonka, jeśliby, uchylając parasol, ukazała „trzępiotowate” swe, które zachowałem w pamięci, oblicze. Ale podniesiona ku mnie twarz była tak smutna i gdy przyjął z rąk przybyłej olbrzymowi mogący służyć parasol, załamała z taką rozpaczą drobne swe rączki, że od razu mnie rozbroiła.

— Panno Mowcher — rzekłem, spoglądając poza nią w pustą ulicę, chociaż nie potrafiłbym powiedzieć, kogo spodziewałem się dojrzeć — co panią tu sprowadza?

Ruchem krótkiej swej prawej ręki wskazała, bym zamknął parasol, sama zaś szybko weszła do kuchni. Zamknąwszy drzwi, udałem się za nią. Siedziała już na stołeczku przed kominem, kiwając się tam i z powrotem, jak istota dotknięta wielkim smutkiem. Zmieszany tym sam na sam, na jakie byłem skazany, i zdziwiony całym jej zachowaniem, spytałem ją powtórnie:

— Co pani jest, panno Mowcher, czy pani czuje się słaba?

— Gołąbku mój — rzekła, opierając obie ręce na sercu — tu mnie boli, tu! Nie mogę myśleć o tym, co zaszło i czemu zdołałabym może przeszkodzić, gdybym nie była taką trzępiotką.

I znów jej wielki, nieproporcjonalnie do tak małej figury wielki kapelusz chwia się z całą jej osobą tam i z powrotem, a zwiększony karykaturalnie cień jego przesuwają się równomiernie po ścianie.

— Zdziwiony jestem — rzekłem — widząc panią zasmuconą i poważną.

— Tak — odrzekła — każdy z was, starszy i młodszy, trzępiot i dojrzały, dziwić się tylko umie, dostrzegliście ludzkie we mnie uczucie! Zrobili ze mnie igraszkę, przedmiot

Kobieta, Kaleka

<sup>321</sup> *onegdaj* (daw.) — przedwczoraj. [przypis edytorski]

zabawy, do odtrącenia, gdy się mną znużą lub im się uprzykrzę, i dziwią się, że mam więcej uczucia od drewnianego konika lub gutaperkowej<sup>322</sup> lalki! Tak to, tak zawsze!

— Może to i słuszne, co pani mówi, odnośnie innych — odrzekłem — co do mnie jednak, tak nie jest i istotnie nie powinienem, znając panią tak mało, dziwić się niczemu. Mówiłem to zresztą raczej bezmyślnie.

— Cóż mam począć? — mówiła, powstając i wyciągając króciuchne rączki. — Ojciec mój był taki jak ja, brat mój taki, taka i siostra. Jak mnie tu pan widzisz, pracuję na brata i siostrę, a pracuję ciężko. Żyć każdy potrzebuje, a ja nikomu nie robię krzywdy i jeśli ludzie są tak lekkomyślni i złośliwi, że robią sobie ze mnie pośmiewisko, cóż mi pozostaje? Żartować nawzajem ze wszystkiego i ze wszystkich, nie wyłączając samej siebie. Czyja w tym wina? Czy moja tylko?

Nie. Panna Mowcher miała poniekąd słuszność.

— Gdybym na przykład była sobą — ciągnęła żywo, kiwając głową — wobec twojego fałszywego przyjaciela, co bym wygrała? Jeśliby karlica Mowcher spróbowała uskarżać się na los swój, głos jej doszedłby niedaleko! Takie nawet jak ja małeństwo żyć musi, na to nie ma rady! A że nikt, nawet takie jak ja małeństwo, karmić się samym nie może powietrzem, muszę wywalczyć sobie tak czy owak kromkę chleba z masłem.

Usiadła na stołeczku, a wyciągnawszy z kieszeni chustkę do nosa, otarła nią oczy.

— Jeśli masz dobre serce — mówiła — powinienes owszem nie dziwić się, ale winszować mi, że jestem tym, czym jestem, i że znając swe położenie, umiem być jednak wesola i wszystko przenosić. Co do mnie, zawdzięczam sama sobie, że nie jestem nikomu ciężarem, ale udało mi się udeptać sobie ścieżkę przez życie, i za wszystko, co wzgarda, złośliwość i lekkomyślność ciska na mnie, mścić się umiem samymi tylko drwinkami. Że nie jęczę nad tym wszystkim, czego brak czuję, to lepiej dla mnie, a i nie gorzej innym. O, olbrzymy! Bawcie się mną, lecz bawcie łagodnie!

Panna Mowcher włożyła do kieszeni chustkę do nosa i, patrząc mi wciąż w oczy, mówiła:

— Spotkałam cię, gołąbku, na ulicy. Z moimi krótkimi nóżkami nie mogłam cię, jak się domyślasz, dogonić, lecz wiedziałam dobrze, gdzie cię szukać. Byłam już dziś raz, lecz nie zastałam tej dobrej kobiety.

— Pani ją zna, panno Mowcher?

— Słyszałam o niej — odrzekła — od „Omer i Joram”. Byłam tu dziś o siódmej rano. Przypominasz sobie, co mi Steerforth mówił o tym nieszczęsnym dziewczęciu, wówczas, tam w gospodzie?

Wielki kapelusz na głowie karlicy i jeszcze większy jego cień na ścianie poruszał się tam i z powrotem, gdy mówiła.

Pamiętałem doskonale i niejednokrotnie w dniu tym myślałem o niej. Powiedziałem jej to.

— Niechby go wszystkie złe porwały duchy — zawołała, wznosząc do góry mikroskopijną rękę — jego i tego przekłętą sługusa. A ja sądziłam, że to ty, gołąbku, pałasz do niej młodocianą miłością.

— Ja?

— Bo też czemu, na Boga, śpiewałeś jej pochwały! Pochwały śpiewałeś i rumieniłeś się po uszy i wyglądałeś na takiego zmieszanego! Dziecko! Oj, dziecko!

Nie mogłem zaprzeczyć, rumieniłem się zmieszany z innymi wszelako niż te, które przytaczała, pobudek.

— Cóż mogłam wiedzieć — dowodziła panna Mowcher, wyjmując znów chustkę do nosa i od czasu do czasu podnosząc ją do oczu. — Cóż wiedzieć mogłam? Tumanił cię, bałamucił, to widziałam, a i to także, żeś się naginał jak wosk w jego rękę. Zaledwem was wówczas opuściła<sup>323</sup>, ten przekłety jego sługus, zaprzędana mu dusza, mówił mi wyraźnie: „to niewiniątko”, tak cię zawsze nazywał, a ty byś mógł, kochanku, poprzez wszystkie już dni życia nazywać go „zbrodniarzem”, „to niewiniątko tedy”, mówił, „zakochało się

<sup>322</sup>gutaperkowy — gumowy; wykonany z *gutaperki*: substancji pochodzenia naturalnego, pozyskiwanej z soku mlecznego niektórych roślin, m.in. gutaperkowca (*Palaquium gutta*), drzewa występującego na Płw. Malajskim i w Indonezji. [przypis edytorski]

<sup>323</sup>zaledwem was (...) opuściła — inaczej: zaledwie was opuściłam (konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika). [przypis edytorski]



w niej po uszy, ale mój pan”, mówił, „czuwać będzie, więcej przez wzgląd na chłopca niż na dziewczynę, żeby z tego jakie nie wyszło bzdurstwo”. Dlatego to, jak utrzymywał, siedzieli tu w tej dziurze. Mogłamże<sup>324</sup> nie wierzyć? Na własne uszy słyszałam, jak ci Steerforth schlebiał, chwalać ją. Pierwszy wymówiłeś jej imię, wyznałeś uwielbienie dla przymiotów jej duszy i ciała, ogniem byłeś i lodem, bladłeś i czerwieniałeś, gdy mówiłam o niej. Cóż miałam myśleć, co przypuszczać? Oto, żeś młody rozpustnik<sup>325</sup>, któremu brak tylko doświadczenia, lecz żeś za to znalazł<sup>326</sup> doświadczonego kierownika, któremu przyszła fantazja, przez przyjaźń, jak tamten utrzymywał, strzec cię od bzdurstwa, o które w twym wieku, przy miłości i braku doświadczenia, tak łatwo! Oto jak mnie lotry te podeszły. Bali się, bym nie wykryła prawdy! — wołała karlica, zrywając się z miejsca i biegnąc wzdłuż i w szereg kuchni z wyciągniętymi przed się rękoma ciągnęła:

— Ach! Wiedzieli, że jestem domyślna i sprytna! Bez sprytu jakżebym sobie poradziła na świecie! Wiedzieli, podeszli mnie, oszukali i dali list do tego biednego dziewczęcia. Littimer pozostał tu, aby zapobiegać niby „bzdurstwom tego niewiniątka”!

Patrzałam na nią odurzony odkryciem tej przewrotności. Długo jeszcze przebiegała kuchnię tam i z powrotem, nie mogąc się uspokoić. Gdy wreszcie zmęczona usiadła, wyciągnęła znów chustkę do nosa i długo milczała.

— Moje wędrówki — ozwała się wreszcie — zawiodły mnie przedwczoraj wieczorem do Norwich. Tam widząc ich obydwóch, lecz już bez pana, panie Copperfield, szastających się w prawo i w lewo, nabrałam niejakich podejrzeń. Wróciłam do Londynu i wyjechałam tu pierwszym zaraz dyliżansem. Za późno!

Biedna karliczka, splakana, drżała jak w febrze i przysunawszy się do ognia, wygrzewała w popiele przemokłe swe nóżki. Siedząc tak, podobna była do wielkiej lalki. Ja siedziałam po drugiej stronie kominka, pogrążony w smutnych myślach, spoglądając to na ogień, to na pannę Mowcher.

— Późno już — rzekła, nagle podnosząc się z miejsca — odchodzę. Wszak przestałeś nie dowierzać mi, mój gołąbku?

Spotkawszy się z bystrym jej spojrzeniem, zawahałem się z odpowiedzią.

— Przyznaj — rzekła, biorąc rękę, którą podałem jej, pomagając powstać — że ufałbyś mi, gdybym była zwykłej urody kobietą?

Czując, że ma rację w tym, co mówi, zawstydzilem się mej podejrzliwości.

— Młody jesteś — rzekła, potrząsając głową — i dobra rada, nawet karlicy, przydać się może. Postaraj się tedy, mój przyjacielu, nie zlewać w jedno fizycznego kalectwa z moralnym, chybabyś miał<sup>327</sup> na to dowody.

Stała przede mną i czułem się przekonany. Upewniłem ją, że ufam jej, pewien jestem, że samą mi mówiła prawdę i żeśmy oboje byli ślepym narzędziem w ręku przekornych losów. Podziękowała mi za to zapewnienie, mówiąc, że jestem poczciwym z kośćmi chłopakiem.

— Uwważaj — rzekła, zwracając się ode drzwi i patrząc na mnie bystro z podniesionym w górę paluszkiem. — Mam pewne powody sądzić z tego, com słyszała... a otwarte na wsze strony mam uszy, taka to już właściwość mojej natury... otóż przypuszczam, że udali się za granicę, lecz skoro tylko powrócą lub jedno z nich dwojga powróci, żyć chyba nie będę, jeśli ich nie odszukam. Dam ci znać, skoro sama się dowiem, a jeśli kiedy zdarzy mi się sposobność oddać jaką usługę temu biednemu, zwiedzionemu dziewczęciu, licz na mnie. Niebem się świadczę, że usłużę wiernie i dobrze! Co do Littimera, lepiej by mu było mieć całą sforę psów na swym tropie niż karlicę Mowcher.

Spojrzenie towarzyszące tym słowom poręczyło mi za ich szczerość.

— Ufaj mi — rzekła, dotykając mej ręki — jak raz tyle, ile byś ufał zwykłej urody kobiecie, a gdy spotkasz mnie czasem taką, jaką mnie po raz pierwszy widziałeś, odmienną od tej, którąś dziś poznał, uważaj tylko, proszę, z kim mnie zastaniesz. Pomyśl też, jak słabą, bezbronną jestem istotą. Pomyśl o mnie, jak po całodzienniej pracy wracam do

<sup>324</sup>*mogłamże* — konstrukcja z partykulą *-że* nadającą znaczenie pytania retorycznego; inaczej: czy mogłam, czyż mogłam. [przypis edytorski]

<sup>325</sup>*żeś młody rozpustnik* — forma skrócona; inaczej: że jesteś młody rozpustnik (że jesteś młodym rozpustnikiem). [przypis edytorski]

<sup>326</sup>*żeś (...) znalazł* — inaczej: że znalazłeś (konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika). [przypis edytorski]

<sup>327</sup>*chybabyś miał* — w znaczeniu: chyba że miałbyś. [przypis edytorski]

domu, do brata Karla i siostry Karlicy, a może znajdziesz w sercu trochę pobłażania i dziwić się nie będziesz mej trzpiotowości! Bądź zdrow!

Z uczuciem odmiennym od tego, z jakim ją witałem, uściśnąłem drobną rączkę, otwierając jej drzwi. Nielatwym było zadaniem rozpiąć parasol i umocować go w małej piątce. Udało to mi się wreszcie i widziałem, jak się potoczył pod ulewnym deszczem, zakrywając najzupełniej niosącą go istotkę. Od czasu do czasu tylko wichur, wydymając parasol, odsłaniał postać Karlicy walczącej ze słotą. Parę razy porwałem się bieć jej z pomocą, lecz zawsze parasol na kształt olbrzymiego ptaka opuszczał, zanim dobiegłem, skrzydła.

Nazajutrz rano nadszedł pan Peggotty ze starą matką piastunką. Wcześniej udaliśmy się na pocztę, gdzie nas oczekiwali Ham i pani Gummidge.

— Panie Davy — rzekł do mnie z cicha Ham, na bok biorąc i ruchem powiek wskazując ustawiającego w dyliżansie swą walizkę pana Peggotty — życie jego złamane. Sam nie wie, gdzie iść, co począć, czuje tylko, że musi odnaleźć to, co się zapewne odnaleźć już nie da. Bądź mu przyjacielem!

— Możecie mi najzupełniej zaufać w tym względzie — odrzekłem, ściskając dłoń pocziwego chłopaka.

— Dziękuję, dziękuję panu. Jeszcze jedno. Wracam do pracy i pieniądze na nic mi teraz już niepotrzebne. Co dzień zarobię na chleb powszedni; gdybyś ich pan potrzebował dla niego, byłbym spokojniejszy i pracowałbym raźniej. Mężczyzną jestem i jako taki pracować będę, ile mi sił starczy.

Pewien tego byłem i pozwoliłem sobie nadmienić mu coś o przyszłości. Z czasem mogło mu jeszcze w życiu, które za osamotnione na zawsze uważał, zabłysnąć szczęście.

— Nie, paniczu — rzekł, potrząsając głową — przeszłość zakryła mi przyszłość całą, pustego nikt już nie zajmie miejsca, ale wracając do pieniędzy, zawsze się tu coś znajdzie na jego potrzeby.

Przypomniawszy Hamowi, że dzięki testamentowi szwagra pan Peggotty mógł liczyć na skromny, ale stały dochód, obiecałem mu czuwać nad starcem, ile tylko mi się uda. Pożegnaliśmy się, a i teraz jeszcze wspomnieniem opuścić go nie mogę bez współczucia dla jego głębokiej, spokojnej, męskiej boleści.

Co do pani Gummidge, nie potrafię opisać, jak biegła ulicą, choć dyliżans już ruszył z miejsca, zapatrzona tylko w pana Peggotty, powstrzymując ciszące się do oczu łzy, potrącając spotykanych przechodniów. Pożegnałem ją siedzącą na zakręcie drogi, na progu piekarni, ledwie łapiącą oddech, z przekrzywionym na głowie czepkiem, w jednym tylko pantoflu.

Przybywszy do Londynu, zajęliśmy się przede wszystkim wyszukaniem skromnego schronienia dla Peggotty i jej brata, po czym, kupiwszy nieco wędliny i zimnego mięsa, poprowadziłem współtowarzyszy podróży do siebie na herbatę. Nie podobało się to widocznie pani Crupp. Zwłaszcza zarzucała Peggotty, że nie upłynęło dziesięć minut, a już przykryła fartuchem żalobne swe suknie i zajęła się ścieraniem kurzu w strasznie zapuszczonym sypialnym pokoju. Była to niesłychana, zdaniem szanownej tej matrony, poufałość, a pani Crupp poufałości znieść nie mogła.

Pan Peggotty, w drodze jeszcze, do czego zresztą przygotowany byłem, oznajmił mi zamiar rozpoczęcia swych poszukiwań od odwiedzin u pani Steerforth. Czulem, że obowiązkiem moim jest towarzyszyć mu, pośredniczyć pomiędzy nimi i, o ile się da, osłaniać od ciosu uczucia biednej, zranionej matki. Zaraz po przyjeździe do Londynu napisałem do niej. Napisałem jej o tyle, o ile umiałem, oględnie, jak wielka stała się biedakowi temu krzywda i ile ja sam czuję się zraniony tym, co zaszło. Napisałem, że pan Peggotty jest człowiekiem ubogim i prostym, lecz prawym i szlachetnym, oraz wyraziłem nadzieję, że zechce go przyjąć i wysłuchać w jego nieszczęściu. Naznaczyłem wreszcie drugą po południu, jako, o ile mi się zdawało, najstosowniejszą dla naszych odwiedzin godzinę.

O naznaczonej godzinie znaleźliśmy się u drzwi domu, który opuszczałem tak niedawno jeszcze w szczęściu i spokoju, nie przeczuwając bolesnego zawodu, jaki spotkać miał ufne moje, w przyjaźni roztkliwione serce. Drzwi tego domu zamknięte mi już teraz były na zawsze, a w domu zagościła rozpacz i zgryzota.

Littimer nie pokazał się. Otworzyła nam służąca, której ujmującą powierzchowność zauważyłem w czasie ostatniej mojej tu bytności. Wprowadziła do salonu, gdzieśmy już

zastali panią Steerforth. Róża Dartle prześliznęła się z drugiego końca i stanęła za jej krzesłem.

Pierwsze rzucone na matkę mego przyjaciela spojrzenie przekonało mnie, że od syna dowiedziała się wszystkiego, co zaszło. Była blada i list mój sam przez się, pozostawiając macierzyńskiej słabości pewne niedowierzenie, nie mógłby tak ją poruszyć. Nigdy mi się jeszcze nie wydała tak podobną do syna, jak w tej chwili. Takie samo wrażenie, czułem to, wyrzucić musiała na mym towarzyszu.

Siedziała w fotelu wyprostowana, dumna, z pozorną zapewne, lecz niewzruszoną, rzekłbyś, obojętnością. Spokojnie patrzyła wprost na pana Peggotty, który zbliżając się do niej, z nie mniejszą godnością spotkał jej spojrzenie. Róża Dartle zmierzyła wszystkich nas swym płomiennym, czarnym okiem. Chwilę trwało głębokie milczenie. Pani domu ręką wskazała przybyszowi krzesło.

— Nie wypada mi — rzekł cicho, spokojnie — siadać pod tym dachem, a to, co mam do powiedzenia, niewiele zajmie czasu.

Po słowach tych nowe zapanowało milczenie.

— Dowiedziałam się z boleścią — przerwała je pani Steerforth — o przyczynie pańskich odwiedzin. Lecz czego pan żądać możesz ode mnie?

Włożył kapelusz pod pachę, wyjął z zanadru list Emilki, rozłożył i podał pani Steerforth, mówiąc:

— Niech to pani, z łaski swej, przeczyta: pismo mej siostrzenicy.

Czytała z niewzruszonym spokojem, nie dotknięta bynajmniej<sup>328</sup>, o ile mi się zdawało, treścią rozdzierającego listu. Przeczytawszy, zwróciła pismo panu Peggotty.

— „Chyba że odwiezie mnie jako swą żonę” — podkreślił paznokciem ustęp ten pan Peggotty. — Chciałem właśnie spytać panią, czy dotrzyma słowa.

— Nie — odrzekła pani Steerforth.

— Dlaczego nie? — spytał.

— Jest to niemożliwe, zgubiłby siebie. Niższa odeń urodzeniem.

— Może niższa, a może i nie niższa — odrzekł pan Peggotty. — Nie jestem dobrym w tej mierze sędzią, niech mnie pani z łaski swej zechce objaśnić, jak to pani rozumie?

— Ponieważ zmuszona jestem być otwartą, nie bez przykrości powiem, że samo już stanowisko społeczne i towarzyskie jest przeszkodą — rzekła.

— Niech mnie pani wysłucha — odrzekł na to cicho i spokojnie. — Pani kochasz swe dziecię, ja moje, i gdyby tysiącokroć rodzoną była moją córką, nie mógłbym kochać jej więcej, ale pani nie wiesz, co to jest tracić dziecko! Ja wiem i gdybym posiadał skarby całego świata, użyłbym ich na odzyskanie straconego dziecka, lecz wyrwij ją pani z tej jej obecnej nędzy, a nikt z nas nie zbliży się do niej nigdy, nikt z tych, pomiędzy którymi się urodziła, wzrosła, którzy ją z całego kochamy serca, nikt już jej nigdy w drogę nie zajdzie. Z dała będziemy myśleć o niej, kochać ją, tak samo, jak gdyby była na drugiej półkuli świata, a wiedząc, że jest z mężem, może z dziećmi swymi, cierpliwie wyczekiwać będziemy chwili, aż się znów wszyscy złączymy tam, równi przed obliczem Pana.

Prosta ta wymowa wywarła wrażenie. Pani Steerforth zachowała dumną swą i obojętną postawę, lecz w głosie jej był odcień łagodności, gdy odpowiedziała:

— Nie uniewinniam nikogo, nikogo też nie oskarżam i nie potępiam, lecz z przykrością powtórzyć muszę: to nie podobna<sup>329</sup>. Małżeństwo takie zniszczyłoby nadzieje i przyszłość mego syna, stanęło mu na drodze kariery. Nie ma też nic pewniejszego nad to, że nie nastąpi nigdy, że nastąpić nie może. Jeśli zaś istnieje inne wynagrodzenie...

— Patrzę — przerwał jej spokojnie pan Peggotty — patrzę na podobieństwo twarzy tej do twarzy, która się do mnie pod dachem moim, przy ogniu, uśmiechała przyjaźnie, a tak zdradliwie, i myśl ta mało o szaleństwo mnie nie przyprawia. Zdumiewam się, że też twarz ta nie płonie rumieńcem wstydu na samą myśl ofiarowania mi zapłaty za hańbę i niedolę mego dziecka. Nie wiem, co z dwójga gorsze, jak się pani zdaje?

Zmieniła się w okamgnieniu, oblał ją płomień gniewu, chwyciła się za poręcz krzesła, mówiąc porywczo:

<sup>328</sup>bynajmniej — wcale (dosł.: jak najmniej). [przypis edytorski]

<sup>329</sup>nie podobna (daw.) — nie (jest) możliwe. [przypis edytorski]

— Czym potrafisz nagrodzić powstałą pomiędzy mną a synem przepaść? Czym twoja miłość w porównaniu z moją, twoja strata w porównaniu ze stratą, jaką ja poniosłam?

Panna Dartle dotknęła jej ramienia, pochylając się nad nią z cichym szeptem, którego nie słuchała.

— Nie, Rózo, nie, ani słowa! Niech mnie człek ten wysłucha do końca. Syn mój, bożyszczę całego mego życia, z którym od jego urodzenia nie rozstawałam się nigdy, dogadzając mu we wszystkim, rzuca mnie, wyrzeka się, zrywa ze mną — dla kogo? Dla nędznego jakiegos dziewczęcia! Zawieść moje zaufanie, zdradzić mnie, opuścić, dla niej! Zadławić chwilową namiętność kosztem matczynego serca, obowiązku, wdzięczności, tych niezliczonych węzłów, które dzień każdy, rok każdy zacieśnia! Nie jesteście<sup>330</sup> to krzywdą, krwawą krzywdą?

Róża Dartle usiłowała znów ją uspokoić. Daremnie.

— Mówię ci, nie przeszkadzaj mi, Rózo! Jeśli taką cenę przywiązywał do mnie, zobaczmy. Niech sobie jedzie, gdzie chce, niech co chce robi, ma po temu dawno macierzyńską mą zapobiegliwość nagromadzone środki. Jeśli sądzi, że zmiękne pod grozą długiej jego nieobecności, myli się bardzo i nie zna swej matki. I ja mam wolę. Przyjmę go z otwartymi ramionami, ale wówczas tylko, gdy się wyrzeknie tej nędznej igraszki! Tak albo nie. Jeśli nie, nie zbliży się do mnie, żywy czy konający, ręczę za to, że dopóki będę miała siłę odepchnąć go, odepchnę, chyba że się pozbędzie raz na zawsze tego dziewczęcia, zerwie z nią, upokorzy, przeprosi mnie. Mam prawo tego wymagać i wie on dobrze, że ani na jotę nie ustąpię. Oto jaki powstał pomiędzy nami rozdział! Nie jesteście to krzywdą, krwawą krzywdą?

Mówiąc to w uniesieniu, z dumą patrzyła na pana Peggotty, a mnie się zdawało, że widzę syna jej mówiącego te słowa. Cała znana mi jego porywczność, duma, lekceważenie odbijały się na twarzy i w głosie matki, dostarczając mi klucza do tak długo zagadkowej dla mnie, źle skierowanej, nieokielzanej energii, która mnie zawsze w przyjacielu uderzała.

Uspokoili się i zwracając się do mnie, zauważyła, że zbyt długie jest przedłużanie rozmowy, którą pragnie jak najprędzej zakończyć. Powstała z godnością, chcąc opuścić już komnatę.

— Nie zatrzymuję pani i nie przeszkadzam — powiedział jeszcze pan Peggotty — nic więcej nie mam do powiedzenia. Przybywając tu żadnej nie miałem nadziei i bez nadziei odchodzę. Dopełniłem obowiązku, wiedząc z góry, że to do niczego nie prowadzi. Z domu tego zbyt wielkie na mnie i na moich spadło nieszczęście, abym mógł się czegoś lepszego spodziewać.

Powiedziawszy to, wyszedł. Panią Steerforth pozostawiliśmy stojącą, z ręką opartą na poręczu fotela, wyniosłą, piękną i dumną, niewzruszoną jak posąg kamienny.

Musieliśmy przejść przez galerię całą oszkloną i otoczoną pnącym się dzikim winem. Dzień był słoneczny, do ogrodu wiodły szklane otwarte drzwi. Dochodziliśmy do nich właśnie, gdy nas niedosłyszalnymi krokami dogoniła panna Dartle.

— Dobrześ pan zrobił — rzekła do mnie — przywołując tu tego jegomościa.

Tyle wzgardy i gniewu paliło się w jej oczach, że się niemal cofnął. Blizna około ust wystąpiła wyraźnie, drgając nerwowo, jak to już niegdyś zauważyłem. Potarła ją dłonią.

— Winszując pupila — mówiła — podobne to do pana!

— Panno Dartle — odrzekłem, przychodząc do siebie — niesprawiedliwa pani jesteś.

— Po co siał niezgodę — ciągnęła — pomiędzy tymi dwojgiem, po co dolewać oliwy do ognia? Czy nie dość jeszcze opętała ich oboje duma i upór?

— Mojaż<sup>331</sup> w tym wina? — spytałem.

— Po co tu wprowadzać tego jeszcze? — odrzekła.

— Człowiek to srodze pokrzywdzony — odparłem. — Pani musisz wiedzieć o tym.

— Wiem — rzekła sucho, przyciskając dłonią piersi — wiem, że James Steerforth ma fałszywe, zepsute serce, zdrajcą był, jest i będzie, lecz nic a nic nie potrzebuję wiedzieć o tym tam jakimś jegomościu i jego siostrzenicy.

<sup>330</sup>nie jesteście — konstrukcja z partykułą -że nadającą znaczenie pytania retorycznego; inaczej: czy nie jest, czyż nie jest. [przypis edytorski]

<sup>331</sup>mojaż — konstrukcja z partykułą -że nadającą znaczenie pytania retorycznego; inaczej: czy moja, czyż moja. [przypis edytorski]

— Niepotrzebnie pani miotasz się i ubliżasz niedoli. Odchodząc, pozwolę sobie tylko zauważyć, że im pani wyrządzasz krzywdę.

— Ja! Krzywdę? Te zepsute do gruntu istoty same siebie krzywdzą. Wypoliczkowałabym<sup>332</sup> ją chętnie.

Pan Peggotty, milcząc, odchodził.

— Wstydz się pani, panno Dartle! — zawołałem oburzony. — Jak możesz pani deptać niezasłużoną niedolę?

— Wszystkich bym ich zdeptała — mówiła przez zaciśnięte zęby. — Chciałabym, aby dom się im zapadł, aby zdeptani zmarli na ulicy z głodu, a gdybym miała władzę, skazałabym ją i sama na niej wykonała wyrok. Nienawidzę jej. Gdybym przynajmniej mogła wytknąć jej hańbę w oczy! Gdybym mogła przesładować ją do grobowej deski! O, gdyby konała i o jedno, jedno prosiła słówko pociechy, odmówiłabym jej, jeżeli tylko byłoby to w mojej mocy.

Powtórzenie słów tych okrutnych najłżejszego nie może dać wyobrażenia o uniesieniu, z jakim były wyrzeczone, jakie malowało się na całej jej twarzy, w postawie, głośząc sam głos i nadając mu przyciszone, zgrzytające tony. Niejedne i różnorodne widziałem wybuchy namiętności, ale z podobnym nie spotkałem się po raz drugi.

Poszedłem za panem Peggotty. Szedł zamyślony. Powiedział mi, że nie ma już nic do roboty w Londynie, zamierza więc tegoż jeszcze wieczoru udać się w podróż. Na zapytanie moje, gdzie pojedzie, odrzekł tylko:

— Muszę odszukać swą siostrzenicę.

Wróciwszy do zajazdu, powiedziałem, co mi mówił, starej Peggotty, od której dowiedziałem się, że toż samo jej powtarzał z rana. Nie wiedziała, gdzie mianowicie miał się udać, lecz sądziła, że się nosi z jakimś stałym zamiarem.

Nie chciałem pozostawiać go samego w podobnej chwili, zjedliśmy tedy razem obiad, złożony z befsztyków, w których celowała Peggotty, herbaty, kawy, chleba z masłem, orzechów i tym podobnych, ze sklepu przyniesionych przysmaków. Po obiedzie przesiedzieliśmy z godzinę w zupełnym prawie milczeniu, po czym pan Peggotty wyciągnął swą walizę i włożył płaszcz podróżny.

Przyjął od siostry niewielką sumkę pieniędzy, tyle, ile mu na miesiąc było potrzebne, obiecał pisywać, wziął na ramię walizkę, kij, kapelusz w rękę i pożegnał nas.

— Niech cię Bóg strzeże, moja stara! A i pana także, panie Davy! Szukać jej będę tu i tam, wszędzie, dopóki nie odnajdę. Jeśliby w nieobecności mojej wróciła... A! Nie, nie wróci! Lub jeślibym przywiózł ją kiedy z sobą, nie chcę, aby słyszała słówko nagany, wyrzutu. Jeśliby zaś mnie samego co spotkało i nie mielibyśmy się więcej widzieć, pamiętajcie na ostatnie moje słowa: kocham ją nade wszystko i przebaczam drogiemu memu dziecku!

Mówił to uroczyście, z odkrytą głową, po czym, włożywszy kapelusz, wyszedł. Odprowadziliśmy go do drzwi. Wieczór był upalny, mglisty. Rzekłbyś, że senność jakaś spadła na wydeptane niezliczonymi stopami drogi i na czerwono zachodzące słońce. Straciliśmy go z oczu na zakręcie ulicy, z cienia przeszedł w świetlane przestworze.

I ilekroć nadejdzie wieczór do tamtego podobny, ilekroć, budząc się w nocy, patrzę na księżyc i gwiazdy lub wsłuchuję się w odgłosy deszczu i wiatru, staje mi przed oczami postać tego odchodzącego pielgrzyma. Wciąż mi w uszach brzmią jego słowa:

„Szukać jej będę tu i tam, wszędzie, dopóki nie odnajdę. Jeśliby zaś mnie samego co spotkało i nie mielibyśmy się więcej widzieć, pamiętajcie na ostatnie moje słowa: »Kocham ją nade wszystko i przebaczam drogiemu memu dziecku«”.

## ROZDZIAŁ XXXIII. SZCZĘŚLIWY

W ciągu całego tego czasu coraz bardziej byłem zakochany w Dorze. Myśl o niej krzepiała mnie w strapieniu i zawodach, jakich doznawałem, i pocieszała poniekąd po stracie przyjaciela. Im bardziej litowałem się nad sobą lub drugimi, tym chętniej szukałem pociechy we wspomnianiu Dory. Im więcej się gromadziło rozczarowań na tym padole, tym jaśniej, gdzieś wysoko, świeciła gwiazda Dory. Nie zdawałem sobie wprawdzie jasno sprawy, do jakiego gatunku nadziemskich istot ona należy, czułem tylko, że jest nadziemską istotą,

<sup>332</sup>wypoliczkować — dziś tylko: spoliczkować (czynność jednokrotna). [przypis edytorski]

i jak świętokradztwo odepchnąłbym samą myśl porównania jej z jaką bądź młodą osobą. Byłem w niej, jeśli się to da tak wyrazić, niby zaprzepaszczonego, zakochanego po uszy, całym miłością moją przejęty, przepojony tak dalece, że gdyby mi ją w jakiś sposób wyrwano z serca, jeszcze by mi miłości pozostało dostatecznie dla wypełnienia całego żywota.

Pierwszą rzeczą, którą zadowolilem siebie po powrocie do Londynu, była wieczorna wycieczka do Norwood. Krążyłem, jak w piosence, naokoło domu, domu nie dotykając, a myśląc wciąż o Dorze. Jak lunatyk przez dwie godziny chodziłem dokoła domu i po ogrodzie, zaglądając przez szczeliny ogrodzenia, wspinając się na palce, wykręcając kark przez ustawiczne podnoszenie głowy ku oknom, przysyłając na wiatr pocałunki i marząc, że uda mi się może uratować ją od nagle wybuchających płomieni lub od myszy, których, wiedziałem, że się boi.

Serce moje i myśli tak przepelnione były Dorą, że naturalnym biegiem rzeczy zwierzyłem się z tajemnicy mej piastunce pewnego wieczoru, gdy siedząc przy mnie, z nieodłączną skrzyneczką do robót, reperowała moją bieliznę. Zwierzenie to zajęło Peggotty niesłychanie, nie mogła tylko, kochając mnie tak, jak kochała, zrozumieć mych wątpliwości i upadku na duchu. Panienska ta, zdaniem jej, uszczęśliwiona być musiała podobnym wielbicielem, co zaś do jej ojczulka — czegoż jeszcze mógł ten dżentelmen pragnąć?

Proktorska jednak toga pana Spenlow imponowała mi niesłychanie i ojciec bożyszczaka mego pokrywał się gęstszym z dniem każdym obłokiem niedostępności. Patrząc na niego i na sędziów w Trybunale, rozmyślałem nieraz, co by wszyscy ci szanowni doktorowie poczęli, gdyby znali Dorę. Wpadliby w zachwyt i zmysły postradali, jeśli błysnęłyby im na przykład nadzieja poślubienia tego nadziemskiego zjawiska! Śpiewała i grała im na gitarze. Nie, to ja traciłbym zmysły, lecz ani jeden z szanownych tych safandulów nie potknąłby się nawet, idąc ubitą ścieżką powszedniego żywota.

O jakżem nimi gardził<sup>333</sup>! Byliż<sup>334</sup> to ludzie godni nazwy człowieka? Wyschłe ich serca, niby szronem pokryte grzędy dawno okwitłych kwietników, zdawały mi się chodzącą obrazą mego gorącego uczucia. Cały sąd prześwietny wydawał mi się fuszerką<sup>335</sup>, a stół Trybunału — karczemnym stołem.

Biorąc na siebie, z pewnym zadowoleniem miłości własnej, prowadzenie interesu Peggotty, zalegalizowałem testament nieboszczyka jej męża i jako prawny doradca towarzyszyłem jej do sądu, do banku, wszędzie, gdzie obecność jej była potrzebna. Prawne te kroki przeplataliśmy przyjemniejszymi wycieczkami. Oglądaliśmy figury woskowe na Fleet Street, wystawę robót kobiecych, zwiedziliśmy Tower, wchodziliśmy na szczyt wieży katedry świętego Pawła! Wszystko to sprawiało Peggotty tak wiele przyjemności, ile tylko mogła odczuć w obecnym swym smutku; jedynie wieża katedry świętego Pawła w porównaniu z malowanym wizerunkiem na jej skrzyneczce do robót straciła może nieco w oczach Peggotty.

Po ukończeniu kroków prawnych zaprowadziłem ją pewnego poranku do naszej kancelarii celem wniesienia opłat. Pan Spenlow wyszedł był właśnie, jak nas upewnił stary Tiffey, aby wyjednać komuś potrzebne do ślubu świadectwo. Wiedząc, że wróci niebawem, zaproponowałem Peggotty, aby się zatrzymała chwil kilka.

Na ogół w Commons, przez poczucie delikatności, odnoszono się z wielką powagą do klientów odzianych w żałobę, ale, na odwrót, uśmiechano się do tych, co przychodzili po świadectwa potrzebne do zawarcia małżeństwa. Uprzedziłem tedy Peggotty, że pan Spenlow powróci zapewne rozpromieniony, że prawdopodobnie zatarło się wrażenie śmierci Barkisa. Nie myliłem się, nie mieliśmy jednak czasu, ani ja, ani Peggotty, zwrócić na to szczególniejszej uwagi, gdyż pochłonięci zostaliśmy towarzyszącym mu mężczyzną; był nim sam pan Murdstone.

Mało się zmienił! Włosy miał równie gęste i czarne jak przedtem, a spojrzenie jego nie większą niż dawniej wzbudzało ufność.

<sup>333</sup>jakżem (...) gardził — inaczej: jakże gardziłem (konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika). [przypis edytorski]

<sup>334</sup>byliż — konstrukcja z partykułą *-że* nadającą znaczenie pytania retorycznego; inaczej: czy byli, czyż byli. [przypis edytorski]

<sup>335</sup>fuszerka (z niem. *Pfischer*) — praca wykonywana niedbale i niefachowo a. rezultat niedbalej, niefachowej pracy; partactwo, chałtura. [przypis edytorski]

— Ach! Copperfield! — zawołał pan Spenlow, dostrzegłszy mnie. — Znacie się panowie, o ile mi wiadomo.

Skloniłem się z lekka. Peggotty pozostała niewzruszona, pan Murdstone zdawał się zmieszany niespodziewanym tym spotkaniem, po chwili jednak zbliżył się do mnie.

— Spodziewam się — rzekł — że ci się dobrze powodzi.

— Wątpię, abym mógł tak dalece interesować pana! Nieźle mi się powodzi — odrzekłem.

Spojrzelśmy po sobie, pan Murdstone zwrócił się do Peggotty.

— Przykro mi dostrzegać żalobę... — zauważył.

— Nie pierwsza to w mym życiu strata — ozwała się, drżąc cała, Peggotty — i tym razem nikogo o nią, szczęściem, obwiniać nie mogę.

— Ha! — rzekł. — Samo spełnienie obowiązku jest już zapewne pociechą.

— Tak! — odrzekła. — Nie zatrulałam niczyjego życia i składam za to dzięki Niebu! Nie, panie Murdstone! Nie zadreżyłam nikogo, nikogo do przedwczesnego nie wtrąciłam grobu.

Spojrzał na nią ponuro i zwracając się do mnie, lecz nie patrząc mi w oczy, ze wzrokiem wbitym w ziemię, mówił:

— Nie spotkamy się zapewne tak prędko, co zresztą nie zasmuci żadnego z nas, gdyż spotkania te dla nikogo z nas przyjemne być nie mogą. Zawsze się buntowałam<sup>336</sup> przeciw mojej zwierzchności i ku dobru twemu skierowanej surowości; istnieje pomiędzy nami antypatia...

— Stara bardzo — rzekłem, przerywając mu.

Uśmiechnął się, rzucając na mnie zjadliwe spojrzenie.

— Wiem to — rzekł. — Posiew był rzucony w niemowlęce jeszcze serce i zatrul życie biednej twej matki. Mam jednak nadzieję, że czas cię poprawił i tego właśnie ci życzę.

Na tym skończył przyciszoną naszą, w kącie kancelarii prowadzoną rozmowę i podchodząc do pana Spenlow, ozwał się głośno, starając się być jak najuprzejmiejszym:

— Dżentelmeni tego co pan Spenlow zawodu oswojeni bywają z familijnymi niesnaskami i wiedzą, jak trudne są one do zażegnania.

Mówiąc to, wniósł opłatę i przyjął z rąk pana Spenlow potrzebne mu świadectwo. Pan Spenlow, ściskając dłonie, życzył mu, jako też jego pani, jak najwięcej szczęścia i pomyślności.

Może bym nie zdołał być tak powściągliwym, gdyby nie wzgląd na Peggotty, którą usiłowałem przekonać, że się nie znajdujemy w miejscu odpowiednim do wymówek i wyrzutów. Tak była oburzona, że nie mogła przyjść do siebie, wobec czego ja musiałem wyluszczać za nią całą sprawę.

Spenlow zdawał się być nie dość ściśle poinformowany o istniejących pomiędzy mną a panem Murdstone stosunkach. Rad temu byłem, gdyż czułem się niezdolny, by dotykać pamięci ukochanej mej matki. Pan Spenlow sądził, że to ciotka moja swą stanowczością wniosła w rodzinę rozterki, tak przynajmniej zrozumiałem z naszej rozmowy, w czasie gdy pan Tiffey sporządzał dla Peggotty rachunki kosztów.

— Panna Trotwood — mówił pan Spenlow — jest bardzo stanowczą osobą, nie znosi żadnej opozycji. Podziwiam jej charakter i wieszuję ci, Copperfieldzie, związku z ciotką. Niesnaski w rodzinach są smutnym, ale niemal powszechnym zjawiskiem, i rzecz cała mieć słuszność za sobą. A mariaż<sup>337</sup> ów musi być zapewne dla pieniędzy?

Oświadczyłem, że nic o tym nie wiedział.

— Doprawdy! — zawołał. — Wnosząc z tego, co mi Murdstone mówił, i z kilku słów uronionych przez jego siostrę, wnoszę, że jest to dobra partia.

— Pieniężna? — spytałem.

— Tak, ile mi się zdaje, posag i piękność.

— Tak! Młoda to osoba?

— Jak raz w miarę. Czekali pełnoletności.

— Niechże ją Nieba mają w swej opiece! — zawołała Peggotty z takim przejęciem, żeśmy się wszyscy zmieszali.

<sup>336</sup>zawsze się buntowałam — inaczej: zawsze się buntowałeś (konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika). [przypis edytorski]

<sup>337</sup>mariaż (z fr. *marriage*) — małżeństwo. [przypis edytorski]

Szczęściem zjawił się Tiffey z rachunkiem, który pan Spenlow zaczął przeglądać, zatając brodę w kołnierzyk i pocierając czoło, z takim przy tym wyrazem twarzy, jak gdyby całą odpowiedzialność zrzucił na współnika, na wieczyście nieobecnego pana Jorkinsa.

— W porządku — rzekł — absolutnie w porządku. Gdyby to ode mnie zależało, kochany Copperfieldzie, zniżyłbym koszt do połowy. Niestety mego zawodu jest zależność od mego współnika, pana Jorkinsa.

Na melancholijne to zapewnienie odpowiedziałem uprzejmym potakiwaniem i opłaciłem rachunek pieniędzmi wdowy, po czym Peggotty wróciła do siebie, my zaś z panem Spenlow udaliśmy się do sądu, gdzie mieliśmy nader zajmującą sprawę rozwodową. Mąż, pamiętam, dwuimienny Tomasz Beniamin, na pierwsze imię, tylko Tomasza, wziął świadectwo ślubne, umyślnie tając imię Beniamina na wypadek, jeśliby go nadzieje domowego szczęścia zawieść miały. Zawiodły, o ile się zdaje, lub znudził się małżonką, dość że wystąpił o unieważnienie małżeństwa. Konsystorz, ku wielkiemu jego zadowoleniu, sprawę tę rozstrzygnął na jego korzyść.

Wyznać muszę, że żywił niejakie powątpiewanie co do sprawiedliwości samego wyroku. Pan Spenlow wszczął ze mną na ten temat dyskusję.

— Spójrzmy — mówił — na świat, ile sprzeczności, zła i dobra! Toteż i prawo kościelne ma słabe strony, rzecz to nieunikniona, lecz sprzeczne nawet szczegóły podtrzymują harmonię ogólną całego systemu. Oto właśnie!

Nie ośmieliłem się zaprzeczyć panu Spenlow i nasunąłem mu tylko myśl, że czas oczyścić świat z niejednego już chwastu i robota szłaby raźniej, gdybyśmy wcześniej stanęli do pracy, z rozświtem<sup>338</sup> znaleźli się na roli. Na to pan Spenlow odrzekł mi, że są to zasady niegodne dżentelmena i że powinienem wyrzec się ich raz na zawsze. Pragnąłby jednak usłyszeć, co sądzę o reformach, jakie, być może, należało z czasem wprowadzić w naszym prawodawstwie.

Zapatrując się na kwestię z najbliższej zajmującej nas strony — pożegnaliśmy właśnie klienta, któremu przeprowadzaliśmy rozwód, i, opuściwszy sąd, mijaliśmy Izbę Przywilejów — wyznałem, iż sądzę, że Izba Przywilejów<sup>339</sup> jest dziwnie jakoś prowadzoną instytucją. Na zapytanie pana Spenlow ośmieliłem się, z całym uszanowaniem należnym doświadczeniu pana Spenlow — słuszniej właściwie byłoby powiedzieć: z uszanowaniem należnym ojcu Dory — zauważyć, że na przykład gromadzone od lat przeszło trzystu akty testamentowe rozległej prowincji Canterbury znajdują się w budynku niestosownym, za ciasnym, nie są nawet ubezpieczone od ognia, rzucone na pastwę chciwości registratorów, którzy zarabiają na tym wcale pokaźne rokrocznie sumy, powinni by więc co najmniej ubezpieczyć akty tak poważnej doniosłości. Ośmieliłem się nadto zauważyć, iż niesłusznie może najwyższe miejsca w najwyższych instytucjach są po prostu synekurami<sup>340</sup>, a istotni biurowi pracownicy, na których barkach spoczywał cały gmach — mniejsze pobierają wynagrodzenie od prostych robotników, a ten właśnie urzędnik, który z obowiązku swego powinien był pozostawać ustawicznie na usługach publiczności, zajmuje jednocześnie inne wysokie stanowiska, że może cały Commons z Izbą Przywilejów jest tylko przestarzałą, zbyteczną, mało komu znaną, w cieniu kościoła św. Pawła nie wiadomo po co przetrwała instytucją.

Pan Spenlow uśmiechał się, w miarę jak, mówiąc, zapalałem się do przedmiotu, po czym wytoczył nowe argumenty. I cóż z tego — mówił. Kwestia to zamiłowań raczej i zwyczaju. Jeśli publiczność zadowala się składaniem swych testamentów w zniszczonym i nieodpowiednim do tego celu budynku, kto na tym traci? Komu to wychodzi na lepsze? Synekurzystom może, co? Tym lepiej. System nie jest wprawdzie bez skazy — gdzież są jednak nieskazitelne systemy? Dość że z takim, a nie innym porządkiem rzeczy państwo przez lat tyle prosperowało, rosło w sławę i znaczenie. Kto wie, co za niebezpieczeństwa groziłyby przy wprowadzeniu jakich bądź zmian. Zasadą dżentelmena jest przyjąć i utrzymać rzeczy w tym stanie, w jakim je zastał, i on, Spenlow, nie wątpi, że Commons i Izba Przywilejów istnieć będą zawsze i niezmiennie długie jeszcze przetrwają lata.

<sup>338</sup>rozświt — dziś: świt, brzask. [przypis edytorski]

<sup>339</sup>Izba Przywilejów — w orygu. *Prerogative Office*; sąd arcybiskupi do uwierzytelniania testamentów. [przypis edytorski]

<sup>340</sup>synekura (z łac. *sine cura*: bez troski, bez starania) — dobrze płatne stanowisko niewymagające żadnej pracy; często w odniesieniu do stanowisk dworskich i kościelnych. [przypis edytorski]



Zgodziłem się z tym, chociaż nasuwało mi się wiele wątpliwości. Zgodziłem się, gdyż instytucje te przetrwały istotnie do obecnej chwili, chociaż wszystkie wyżej przeze mnie przytoczone argumenty i jeszcze inne niejednokrotnie już bywały o wiele wymowniej przytaczane i roztrząsane w Parlamencie. Wiedzano tam, że archiwa pomieścić zaledwie mogły trzyletnie akty, co się zaś stawało z dawniejszymi, lepiej od deputowanych wiedzieli przekupnie ulicznicy. Ha! Pocieszałem się myślą, że mój przynajmniej testament nie znajdował się tam i nie znajdzie nigdy.

Wszystko to w rozdziale tym mej szczęśliwości opowiedzieć musiałem, jako będące tu najzupełniej na miejscu, wiążące się z tym, co nadejdzie. Rozmowę powyższą z panem Spenlow prowadziłem, przechadzając się z nim tam i z powrotem. Wkrótce skierowała się ona na inne tory i pan Spenlow powiedział, że właśnie za tydzień przypada dzień urodzin Dory, i zaproponował mi wziąć udział w małym, na dzień ten projektowanym pikniku. Wpadłem w zachwyt trudny do opisania, powiększony nazajutrz otrzymaną wytłoczoną ćwiartką papieru z eleganckim napisem: *Za pozwoleniem ojca, dla pamięci*. Cały tydzień chodziłem jak we śnie.

Nie wiem już, ile w oczekiwaniu błędnego tego dnia popełniłem niedorzeczności! Rumię się dziś na wspomnienie krawata, który kupiłem, a buty moje śmiało zaliczone być mogły do narzędzi tortur. Wieczorem w wigilię tego dnia wysłałem pocztą do Norwo- od kosz napełniony cały jakby oświadczeniami. Karmelki nosiły najczulsze dewizy, jakie można nabyć za pieniądze. O szóstej z rana kupowałem już bukiet na targu w Covent Garden, a o dziesiątej z bukietem przypiętym do kapelusza, by lepiej został dowieziony, dosiadałem najętego pysznego siwosza.

Sądzę, że mijając Dorę, chociaż ją od dawna dostrzegłem w ogrodzie, i udając, że nie pamiętam drogi do jej domu, postąpiłem tak, jak każdy inny młodzian na moim miejscu by postąpił. Lecz och! Gdy wjechałem wreszcie na dziedziniec i zsiadłszy z konia ciągną-łem, jak żelazne kleszcze, ciasne buty, poprzez trawnik ku klombowi bzu, pod którym siedziała Dora, jakimże zachwycającym obrazem wydała mi się w porannym słońcu jej postać odziana w niebieską suknię, biały kapelusz i okrążona motylami!

Była z nią młoda — och, daleko od niej starsza, już może dwudziestoletnia osoba, panna Mills, którą Dora nazywała Julią. Była to jej serdeczna przyjaciółka. Szczęśliwa panna Mills!

Był też nieodstępny Jip, ujadł jak zawsze, a gdym podawał jego pani bukiet, zgrzytał zębami ze złości, z zazdrości może! Może się domyślał, jak ją ubóstwiam.

— Dziękuję panu, panie Copperfield! — zawołała Dora. — Jakie piękne kwiaty!

Nosiłem się z zamiarem powiedzenia jej, że mi się wydawały piękne, dopóki nie mogłem porównać ich z jej osobą, lecz była tak żywa, że zagadła o czymś innym. Widząc kwiaty moje przy jej staniku o mało nie padłem na kolana wołając: „Zabij mnie, pani, pragnę tu, u nóg twych, umrzeć!”

Chciała, aby je Jip koniecznie powąchał. Jip odwrócił się, warcząc. Niezrażona, coraz bliżej podsuwała bukiet do jego noska. Zniecierpliwiony pies odgryzł gałązkę geranium i porwał ją tak wściekle, jak gdyby pomiędzy liśćmi był ukryty kot. Wybiła go, zrzuciła za karę z kolan, wołając „biedne moje kwiaty”, z takim współczuciem, jak gdyby szło o mnie samego. Głupi Jip! Czemu mnie raczej nie ukąsił!

— Powiem panu dobrą nowinę — zawołała. — Nieznośna panna Murdstone wyjechała na ślub brata. Na całe trzy tygodnie pozbyliśmy się jej osoby. Prawda, że szczęśliwie?

Odpowiedziałem, że uszczęśliwia to mnie istotnie, skoro jej jest przyjemnie. Słuchając nas, panna Mills uśmiechała się pobłaźliwie.

— Nie znam nieznośniejszej istoty — mówiła Dora. — Nikt nie potrafi wyobrazić sobie, Julio, jaki ma przykry charakter.

— Wyobrażam sobie — odrzekła panna Mills.

— Ty zapewne możesz, droga moja... Daruj mi, że nie uczyniłam z ciebie wyjątku.

Nasunęło mi to, że panna Julia musiała przechodzić już w życiu gorzkie doświadczenia i dlatego to cechowała ją tak wysoka pobłaźliwość. Nie myliłem się; dowiedziałem się w ciągu dnia, że istotnie zawiedziona w pierwszej miłości, usunęła się dobrowolnie ze świata, z sercem zranionym, lecz zdolnym jeszcze interesować się uczuciami bliźnich.

Pan Spenlow ukazał się na ścieżce wiodącej do ogrodu i Dora pobiegła ku niemu, wołając: „Patrz, papo, jakie piękne kwiaty!”. A panna Mills, uśmiechając się tylko, myślała zapewne: „Korzystajcie z wiosny i cieszcie się jej kwiatami, dopóki kwiecie nie zwiędnie”.

Pojazd już był gotów. Wsiedliśmy.

Nigdy podobnej nie będę miał, nigdy drugiej podobnej nie miałem przejażdżki. W powozie pomieścili się oni troje, ich i mój kosz z przysmakami i gitara. Powóz był otwarty, a że Dora siedziała na przodzie, więc jadąc konno tuż obok, ciągle ją miałem przed sobą. Położyła bukiet obok siebie i nie pozwalała Jipowi siadać po tej stronie, by go nie zgniół. Często brała kwiaty w rękę i wahała, a wówczas spojrzenia nasze spotykały się i dziwić się tylko wypada, że poprzez głowę konia nie wpadłem do powozu!

Na drodze było, o ile mi się zdaje, dużo pyłu i pan Spenlow gderał na mnie, że jadę w samym pyłe, lecz nie zwracałem na to uwagi, widząc tylko Dorę we mgle mojej miłości i jej urody. Czasem pojazd zatrzymywał się i pan Spenlow zwracał uwagę moją na malownicze widoki. Chwaliłem, zapatrzony w Dorę. Dla niej to słońce świeciło, dla niej, tylko dla niej śpiewały ptaki! Dla niej, dla igrania z jasnymi kędziorami jej włosów wiał wietrzyk, a przybrzeżne polne kwiaty pod jej rozkwitać musiały spojrzeniem. Panna Mills pojmowała mnie, wchodziła w moje położenie i uczucia, co mi wielką było pociechą.

Nie wiem, jak długo jechaliśmy, i po dziś dzień nie pamiętam miejsc, przez któreśmy przejeżdżali<sup>341</sup> ani do jakich zmierzaliśmy. Było to zapewne w pobliżu Guildfort, a może dobra jaka wróżka miejsce to umyślnie wyczarowała na dzień ten uderzeniem magicznej różdżki i starła je potem z ziemskiej kuli! Miejsce to było zielone, puszyste, na wzgórzu, w cieniu drzew rozłożystych, z rozległym i malowniczym widokiem.

Czekało nas tu całe towarzystwo i rozbudzona nagle zazdrość moja nawet względem kobiet granic nie znała, nie mówiąc już o mężczyznach (zwłaszcza o jednym, kilka lat ode mnie starszym śmiałku, z ryżymi bakembardami), uważałem ich za osobistych mych wrogów.

Każdy z nas zajął się rozpakowywaniem swego kosza i dostarczeniem wiktuałów<sup>342</sup> na obiad. Ryży śmiałek utrzymywał — zapewne dla zwrócenia na siebie uwagi — że doskonale umie przyprawiać sałatę, i panie zaczęły oplukiwać dla niego listki takowej, że zaś znalazła się tam i Dora, uczulem, że ziemia jest za ciasna dla nas dwóch. Jeden z nas zginąć musiał.

Ryży śmiałek, przyprawiwszy sałatę (podziwiałem tych, którym smakowała, za żadną cenę nie wziąłbym jej do ust!), oddał się obowiązkom podczasowego, wino umieściwszy w spróchniałym pniu drzewa i (o, bogi!) ujrzałem go wkrótce pożerającego obiad u samych nóg Dory!

Nie wiem, co się ze mną wówczas stało. Popadłem w szaloną wesołość, której nie czulem bynajmniej<sup>343</sup>, i zacząłem emablować<sup>344</sup> na zabój jakąś pannę w czerwonej sukience, z małymi, skośnymi oczkami. Uprzejmie przyjmowała mą adorację, nie potrafię jednak powiedzieć, czy to czyniła przez wzgląd na mnie, czy na złość ryżemu śmiałkowi. Wniesiono<sup>345</sup> toast na cześć Dory. Wychylając go, przerwałem ożywioną z sąsiadką rozmowę, z zamiarem wrócenia do niej z tym większym zapałem. Spotkawszy spojrzenie Dory, wzywające mnie, jak mi się zdawało, zawahałem się, lecz że spojrzenie rzucone mi było ponad ryżą, nienawistną głową mego rywala, pozostałem niewzruszony, kamienny.

Panienska w czerwonej sukni miała matkę w zielonej sukni i matka ta w celach politycznych rozdzieliła nas niebawem. Towarzystwo całe, zjadłszy na trawie obiad, powstało i rozeszło się. Chodziłem sam pod drzewami w stanie najwyższego podniecenia i rozdrażnienia. Rozmyślałem nawet o odwrocie, pod pretekstem nagłej słabości, i już spoglądałem na mego siwego rumaka, gdy się do mnie zbliżyła Dora i panna Mills.

— Pan się nudzi, panie Copperfield? — spytała panna Mills.

— Bynajmniej, pani — odrzekłem.

— A i ty się nudzisz, Doro!

<sup>341</sup>któreśmy przejeżdżali — inaczej: które przejeżdżaliśmy (konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika). [przypis edytorski]

<sup>342</sup>wiktuały — produkty spożywcze. [przypis edytorski]

<sup>343</sup>bynajmniej — wcale (dosł.: jak najmniej). [przypis edytorski]

<sup>344</sup>emablować (daw.) — adorować, nadskakiwać, otaczać względami. [przypis edytorski]

<sup>345</sup>wnieść toast — dziś: wnieść toast. [przypis edytorski]

— O nie, bynajmniej<sup>346</sup>! — pośpieszyła zaprzeczyć.

— Dość tego, Doro, dość, panie Copperfield — przemówiła panna Mills z macierzyńską niemal powagą — nie pozwalajcie, aby błahe nieporozumienie zepsuło wam ten dzień wiosniany. Wiosna okwita tak prędko! Mówię to niestety z własnego, w odległą, niepowrotną przeszłość odbiegającego doświadczenia. Odświeżających, w słońcu rozbłysłych zdrojów nie trzeba powstrzymywać ani też mijać nie można oazy odkrytej w pustyni.

Nie wiem już, co na to odpowiedziałem. Czułem się cały w płomieniu. Wiem, że ujął Dorę za drobną rączkę, której mi nie broniła, gdy ją całowałem. Pocałowałem też rękę panny Mills i wszyscy troje wyglądać musieliśmy, jakbyśmy byli w siódmym niebie.

Nie przyłączyliśmy się już do reszty towarzystwa, przez część wieczoru pozostaliśmy we troje, a czując opartą o me ramię rączkę Dory, pragnąłem chwilę tę zmienić w nieśmiertelność.

Trudno. Dochodziły nas głosy i śmiechy, wołano Dorę, musieliśmy wrócić do towarzystwa, uproszono Dorę, aby śpiewała. Ryży śmiałek ofiarował się przynieść gitarę z pojazdu, lecz Dora oświadczyła, że ja sam tylko znaleźć ją tam potrafię. Ryży śmiałek został odprawiony z niczym, ja zaś pobiegłem po gitarę, przyniosłem ją, usiadłem tuż przy Dorze; mając powierzone pieczy mej chustkę jej do nosa i rękawiczki, upajałem się każdą nutą jej śpiewu, pewny, że śpiewa dla mnie samego, gdy inni słuchacze mogą jej tylko przyklaskiwać.

Szczęście upajało mnie, rozsadało piersi, zdawało się być snem nie jawą, i bałem się przebudzenia z rozkosznego snu w mieszkaniu mym przy Buckingham Street, przy brzęku filiżanek poruszanych dłonią pani Crupp. Po Dorze śpiewały inne panie, nawet panna Mills wsłuchana w echo dawnych wspomnień, w przeszłość zwrócona jak stuletnia staruszka. Tak przeszedł wieczór; rozpalono ogień, w kociolkach, po cygańsku, gotowano herbatę. Szczęście moje nie знаło granic.

Szczęśliwszy jeszcze byłem, gdy się zebrane towarzystwo w różne rozjechało strony i ryży śmiałek zszedł mi z oczu. Wracaliśmy w mroku wieczornym, a drzewa i kwiaty najpiękniejsze rozpuszczały wonie. Pan Spenlow drzemał po wyborzym szampanie. Błogosławiłem skibę ziemi, która wydała błogosławione te grona, słońce, przy którym dojrzwały, kupców, którzy szlachetnego dostarczyli wina! Ojciec Dory wkrótce popadł w sen głęboki. Jechałem obok pojazdu rozmawiając ciągle z Dorą. Podziwiała mego wierzchowca i gładziła go po szyi małą, przecudną rączką. Szal się jej rozchyłał, więc ją otulałem i nawet Jip wyglądał tak, jak gdyby postanowił — widząc, na co się zanosi — zaprzestać zaczepnych względem mnie kroków.

A ta sprytna, kochana panna Mills! Dwudziestoletnia, życiem rozczarowana matrona, wsłuchana w echo dalekiej, dalekiej swej, jak mawiała, przeszłości!

— Panie Copperfield — rzekła — przejeżdż pan, proszę, jeśli masz chwilę czasu, na tę stronę pojazdu; chcę panu coś powiedzieć.

W mgnieniu oka, po paru zwrotach wierzchowca, byłem u jej boku.

— Dora — mówiła nieoszacowana ta moja opiekunka — ma mnie odwiedzić. Przyjedź do mnie pojutrze. Pewna jestem, że ojciec mój rad byłby panu.

Ileż cichych błogosławięństw spłynęło w tej chwili na gorzkim doświadczeniu życia skołataną głowę panny Mills. Adres jej zapisując w sercu, dziękowałem jej z wylaniem<sup>347</sup> za tyle cennej przychylności.

Odesłała mnie dobrotliwie na uprzednie me miejsce. Jechałem tak blisko pojazdu, rozmawiając z Dorą i pochylając się ku niej, że o mało nie otarłem łopatek mego siwo-sza o koła. Zatarłem go nawet trochę, za co mi właściciel słono, a w mniemaniu mym dziwnie tanio, kazał zapłacić. Tymczasem panna Mills, tonąc we wspomnieniach i patrząc na księżyc, deklamowała cicho smutne wiersze. Ach! Norwood było tak blisko! Stanęliśmy tam tak szybko! Szczęściem pan Spenlow, budząc się, zaproponował mi spocząć chwilę. Zgodziłem się chętnie. W oświetlonej sali jadalnej czekała nas przekąska i wino. Zarumieniona Dora była tak czarująca, że wpatrzony w nią pozostałbym do rana, gdyby poziewanie pana Spenlow nie budziło mię do rzeczywistości. Nie było rady, musiałem

<sup>346</sup>bynajmniej — wcale (dosł.: jak najmniej). [przypis edytorski]

<sup>347</sup>z wylaniem — wylewnie; okazując serdeczność. [przypis edytorski]

pożegnać królowę<sup>348</sup> mego serca, jej ojca i towarzyszkę. W drodze powrotnej do Londynu czułem ciągle w dłoni mej uścisk jej dłoni, przypominałem sobie każde słowo, każde spojrzenie, aż wróciwszy do domu zasnąłem wreszcie jak kamień, bom czucie postradał z miłości.

Zbudziłem się nazajutrz rano z najmocniejszym postanowieniem wyznania mej miłości i dowiedzenia się, jaka mnie przyszłość czeka, w szczęśliwości czy niedoli, mniejsza z tym, byłem wiedział, a kwestię tę sama tylko Dora rozstrzygnąć mogła. Przez trzy dni dręczyłem się, przypuszczając najgorsze, własną dłonią łamiąc powstałe w mym sercu nadzieje. Czwartego dnia udałem się do panny Mills, uzbrojony w silne postanowienie oświadczenia mych uczuć.

Nie wiem już, jak długo krążyłem po ulicach i dokoła zamieszkałego przez pannę Mills domu, zanim zdecydowałem się wniknąć<sup>349</sup> na schody. Nawet kiedy już odważyłem się zastukać, brała mnie jeszcze chęćka spytać służącego, jak gdybym się pomylił, czy zastałem pana Blackboy — było to wspomnienie Barkisa — i odejść, przeczącą otrzymawszy odpowiedź.

Pan Mills był nieobecny — co mi tam! A panna Mills? Panna Mills przyjmowała.

Wszedłem do bawialnego pokoju, gdzie zastałem obie panie wraz z Jipem. Panna Mills przepisywała nuty — pamiętam, piosenkę zatytułowaną *Na dnię miłości*. Dora malowała. Co? Przeze mnie ofiarowane jej kwiaty. Któż potrafi wyrazić uczucia, jakie widok ten wzbudził we mnie. Kwiaty kupione na targu Covent Garden. Nie powiem, aby się odznaczały szczególniejszym podobieństwem lub aby w ogóle do prawdziwych podobne były kwiatów, poznałem je jednak od razu po wytłaczanym papierze, który podtrzymywał bukiet i którego wzór nader wiernie był przerysowany.

Panna Mills powitała mnie bardzo uprzejmie, ubolewając nad nieobecnością ojca, które to zresztą niepowodzenie znośmłem mężnym sercem. Po chwili, opuszczając pióro na *Dno miłości*, wyszła pod jakimś pretekstem z bawialnego pokoju.

Serce biło mi żywiej.

— Mam nadzieję, że koń pański zbyt nie zmęczył wówczas — odezwała się Dora, przesłizcznie podnosząc oczy. — Kawał to drogi!

Byłem zdecydowany zrzucić ciężar z serca.

— Tak — rzekłem — dla niego był to kawał drogi, gdyż go nic nie podtrzymywało.

— Biedny! Nie został nakarmiony? — spytała.

— Owszem... Owszem, nie brakło mu starań, tylko... Nie podtrzymywała go ta nadzieja szczęścia, którą żywiłem...

Dora opuściła splonioną twarz. Siedziałem na brzegu krzesła, sztywny, z bijącym sercem. Chwilę trwało milczenie. Po chwili Dora ozwała się:

— Była jednak w dniu tym chwila, kiedy to mniemane szczęście...

Czułem, że zbliża się rozwiązanie.

— Kiedy — ciągnęła Dora, podnosząc czoło i brwi marszcząc — towarzystwo panny Kitt...

Było to nazwisko panienci w czerwonej sukni.

— Zresztą — rzekła śmiejąc — nie wiem wcale, co pan nazywa szczęściem i nadzieją. Pan to mówi, nie myśląc o tym. Któż może przeszkadzać robić, co się panu podoba? Jip! Nieznośne stworzenie, chodź no tu!

Nie wiem, jak to się stało, ubiegłem Jipa i nie ona go pochwyciła, lecz ja ją w ramiona. Teraz wymowny byłem, słowa płynęły mi jak potok, mówiłem jej, jak ją kocham, mówiłem, że nie potrafię żyć bez niej, że ją ubóstwiam. Przez cały ten czas Jip nie przestawał warczeć i ujadać, a gdy Dora, opuszczając mi na ramię jasną główkę, rozplakała się, stałem się jeszcze wymowniejszy. Niech tylko zażąda mego życia, poświęcę je bez wahania! Co mi tam życie bez niej, znieść bym go nie mógł, nie chciałem. Kochałem ją od pierwszego spojrzenia, marzyłem o niej dniem i nocą, kochałem do szaleństwa i nikt, nigdy, nikogo nie kochał, nie kocha, kochać nie będzie tak czule, gorąco jak ja, Dorę, kochałem, kocham, wiecznie kochać będę.

<sup>348</sup>królowę — dziś popr. forma B.lp r.ż.: królową. [przypis edytorski]

<sup>349</sup>wniknąć (daw.) — wejść. [przypis edytorski]

Im w większy wpadałem zapał, tym głośniejsze Jip ujadł, i on jak ja, w inny tylko sposób, wpadał w szal w tej chwili.

Uspokoiłem się. Teraz siedziałem obok Dory na kanapie, Jip wlaź na jej kolana, burcząc tylko z cicha. Szczęście me nie znało granic; miałem wzajemność i słowo Dory.

Przypuszczam, żeśmy myśleli, chociaż bardzo niejasno, że się to skończyć musi małżeństwem, a Dora nawet mówiła wyraźnie, że nie pójdzie nigdy wbrew woli ojca. Byliśmy jednak oboje tak młodzi i nieogłędni, tak upojeni szczęściem i chwilą obecną, żeśmy o przyszłości nie myśleli wcale. Postanowiliśmy wprawdzie wyznania nasze utrzymać w tajemnicy, pewien jednak jestem, że myśl, aby w tym mogło być coś zdroźnego, nie powstała mi w głowie.

Panna Mills, którą wreszcie Dora przywiodła, wydawała się bardziej niż kiedykolwiek zamysłona. To, co zaszło pomiędzy mną a Dorą, musiało obudzić echa jej wspomnień. Błogosławiła nas, zapewniała o niezmiennym swym przyjaźni, jak istota niemająca już nic z doczesnym szczęściem wspólnego.

Szczęśliwe, lube chwile!

Zdjąłem miarę z drobnego paluszka Dory, by zamówić dla niej pierścionek z niezapominajką. Pamiętam jubilera, jak się uśmiechał nad rachunkową księgą, słuchając mych informacji i dając mi to, co mu się z turkusów samemu podobało. Pamiętam to tak dobrze i dokładnie, że onegdaj jeszcze, spostrzegłszy przypadkiem taki sam pierścionek na palcu własnej mej córki, uczulem, jak mi na chwilę jakiś żal niewymowny ścisnął serce.

Wracałem do domu z mą tajemnicą, pełen szczęścia, Dory, niesiony na skrzydłach uczuć, obcy wszystkim i wszystkiemu, co nie było Dorą i mą miłością.

A schadzki nasze w ogrodzie i na bulwarach, w ciche letnie popołudnia! Od chwil tych polubiłem londyńskie wróble i szare ich, opylone opierzenie miłsze mi było od błyszczących i różnobarwnych skrzydeł rajskich ptaków.

Kiedy zaś wybuchła pierwsza między nami sprzeczka — w tydzień może po zaręczynach — Dora odesłała mi pierścionek wraz z okrutnymi, na różowej ćwiartce papieru skreślonymi słowy: *Zrodzona z szalu miłość nasza rozpaczą skończyć się musi.*

Rwałem sobie istotnie z rozpaczony włosy na głowie, gorzkimi zalewając się łzami.

Pod opieką wieczornych cieni pobiegłem do panny Mills, sprowadziłem ją do kuchni i w cieniu olbrzymiego okapu komina prosiłem, aby przebłagała Dorę. Dobra panna Mills wróciła wkrótce, wiodąc gwiazdę moją, i długo, pamiętam, z kazalnicy zawiedzionych swych uczuć napominała nas, abyśmy dobrowolnie z zielonej oazy nie zbiegali na skwarne szlaki Sahary.

Oboje, pamiętam, płakaliśmy, a później tak byliśmy szczęśliwi, że szczęście nasze rozpromieniało mroki okapu komina, zmieniając kuchnię w przybytek miłości. Postanowiliśmy pisywać do siebie codziennie, a dobra panna Mills podjęła się pośredniczyć w tej korespondencji.

Szczęśliwe, błogie dni! Ze wszystkich minionych dni mego życia wspomnienie żądnych nie wywołuje mi na usta tak tkliwego i smętnego zarazem uśmiechu!

## ROZDZIAŁ XXXIV. CIOTKA ZADZIWIĄ MNIE

Natychmiast po zaręczeniu się z Dorą napisałem do Agnieszki. Napisałem list długi, w którym starałem się opowiedzieć jej, jak jestem szczęśliwy i jaką doskonałością jest Dora. Prosiłem, aby uczuć moich nie uważała za bezmyślną i ślepą namiętność lub wybryk młodocianej fantazji. Zapewniałem, że są niezgłębione i że jestem przekonany<sup>350</sup>, iż nikt jeszcze nigdy nie kochał tak głęboko.

List ten pisałem pod wieczór, przy otwartym oknie, a tak żywo w pamięci stanęła mi Agnieszka, z jasnym swym, niezmaconym spojrzeniem, i samo to wspomnienie tak kojąco podziało na rozgorączkowanie, w jakim pozostawałem od niejakiego czasu, że mi lzy nabiegły do oczu. List był do połowy zaledwie napisany, siedziałem z głową opartą na ręku, marząc o tym, że Agnieszka niezbędnie byłaby potrzebna przy domowym moim ognisku, a obecność jej uświęciłaby poniekąd moje i Dory szczęście, gdyż w każdym wzruszeniu, czy je nazwiemy szczęściem i miłością, nadzieją czy rozczarowaniem, rozkoszą czy smutkiem, serce moje zwracało się ku Agnieszce, szukając ukojenia w jej przyjaźni.

<sup>350</sup>żem przekonany — forma skrócona; inaczej: że jestem przekonany. [przypis edytorski]

O Steerforcie w liście mym nie wspomniałem wcale. Pisałem tylko, że w Yarmouth ucieczka Emilki pograżyła wszystkich w bóleści, mnie zaś zadała cios podwójny, dzięki pewnym, związanym z tym okolicznościom. Wiedziałem zresztą, jak Agnieszka jest domyślną, wiedziałem, czyje imię najpierwej znajdzie się na jej ustach.

Odpowiedź na list ten nadeszła zwrotną pocztą. Kiedy czytałem list Agnieszki, zdawało mi się, że słyszę jej głos, głos luby, melodyjny. Cóż więcej nadto powiedzieć mogę!

W ostatnich czasach Traddles odwiedził mnie parę razy, lecz ani razu nie było mnie w domu. Natomiast, zastawszy Peggotty i dowiedziawszy się od niej — chętnie każdemu udzielała tej wiadomości — że jest moją piastunką, zawiązał z nią znajomość i gawędził o tym i o owym, o mnie zwłaszcza. Tak przynajmniej utrzymywała Peggotty. Posądzam ją jednak, że ona to, gdy raz wpadła na mój temat, podtrzymywała rozmowę w nieskończoność. Pocziwa Peggotty!

Przypomina mi to nie tylko pewne popołudnie, kiedy wyczekiwałem Traddlesa o naznaczonej przezeń godzinie, lecz i to, że pani Crupp zaprzestała najzupełniej wypełniać względem mnie jakie bądź swe zobowiązania pod pretekstem bytności Peggotty. Po kilku bardzo głośnych rozmowach na schodach, mających za przedmiot krytykę mej piastunki, a prowadzonych z niewidzialnym jakimś chyba duchem, gdyż wiedzieliśmy doskonale, że nie było tam żywej duszy, pani Crupp, uważając, że to nic nie pomaga, zdecydowała się napisać do mnie list. Rozpoczęła od ogólnych poglądów na obowiązki i uczucia, zwłaszcza na tę okoliczność, że się względem mnie poczuwała do obowiązków i uczuć macierzyńskich. Dalej oznajmiała mi, iż życie jej nie zawsze było takie jak obecnie, lecz że we wszystkich sytuacjach i przypadkach życiowych szczególną żywiła niechęć i wzdarcę do szpiegów i plotkarzy. Nie potrzebuje, pisała, nikogo wymieniać, nie jej to jest rzeczą, każdy zresztą tak się wyśpi, jak sobie pościele, ona zaś z góry patrzy na szpiegów i plotkarki, zwłaszcza — słowa te były podkreślone — we wdowich szatach. Jeśli zaś młody dżentelmen pragnie zostać ofiarą natrętów, szpiegów i plotkarek — nie nazywa przecie nikogo po imieniu (Uchowaj Boże! Nie jej to jest rzeczą) — zobaczymy, jak na tym wyjdzie; ona, pani Crupp, widzi się zmuszoną oznajmić, i to stanowczo, że nie chce i nie może pozostawać w jakich bądź stosunkach z podobnymi istotami i zrzeka się nawet spełniania swych obowiązków i dopóki rzeczy nie wrócą do uprzedniego stanu, dopóty, co niedziela rano, zostawiać będzie rachunek na mym biurku, zastrzega zaś sobie, dla oszczędzenia obu stronom przykrości, aby zawsze natychmiast i całkowicie był on zapłacony.

Po nakreśleniu znakomitego tego listu pani Crupp wzięła za zadanie życia stawianie na schodach zasadzek w formie kijów, polan, pogrzebaczy w celu narażenia Peggotty na połamanie nóg.

Egzystencja w podobnym osaczeniu wydawała mi się nieznośną, nie miałem jednak odwagi odeprzeć natarć pani Crupp.

— Jak się masz, kochany Copperfieldzie! — zawołał Traddles, zjawiając się o naznaczonej godzinie. — Co porabiasz?

— Miło mi jest — rzekłem — widzieć cię wreszcie i żałuję, żeś mnie tylekrotnie nie zastał w domu. Tak byłem zajęty.

— Wiem, wiem! Naturalnie to! Wszak twoja miła mieszka w Londynie.

— O kim mówisz? — zawołałem.

— O niej, o pannie D. — odrzekł, rumieniąc się ze strachu, że popełnił niedyskrecję. — Mieszka w Londynie.

— Tak! W okolicach Londynu.

— Bo moja, jeśli sobie przypominasz — mówił ze smutnym spojrzeniem — jedna z dziesięciu, pamiętasz, mieszka aż w Devonshire, toteż w tym względzie o wiele jestem swobodniejszy od ciebie.

— Nie rozumiem — odrzekłem — jak żyć możesz, widując ją tak rzadko.

— Ha — odparł w zamyśleniu — nie ma czasu się dziwić, skoro nie ma na to rady. Zarumieniłem się.

— Podziwiam stałość twą i cierpliwość — zauważyłem.

— Doprawdy — uśmiechnął się — cóż w tym tak dziwnego? Nie wiesz, jakie to dobre, kochane, stałe, cierpliwe dziewczę. Uczę się od niej. Nie uwierzysz, jak co chwila zapomina o sobie, aby myśleć o tamtych dziewięciu.

— Najstarsza? — spytałem.

— O nie! Najstarsza to piękność!  
 Dostrzegł zapewne uśmiech, odpowiedzią tą wywołany, bo, uśmiechając się sam do-  
 brodusznie, poprawił się.  
 — Nie to, żeby moja Zofia... Ładne imię, prawda, lubiłem je zawsze.  
 — Bardzo ładne — odrzekłem.  
 — Nie to tedy — ciągnął — żeby Zofia nie była ładna, w moich zwłaszcza oczach.  
 Każdy przyzna, że to najmilsze pod słońcem dziewczę, ale tamta, piękność, piękność  
 w całym znaczeniu tego słowa!  
 Gestykułował, jakby rysował w powietrzu mgliste kontury.  
 — Doprawdy? — zauważyłem.  
 — Upewniam cię, piękność niezwykła, niepospolita! Stworzona do świata, do ho-  
 dów, których pozbawiają ją skromne ich materialne środki, nie dziw, że bywa nieco wy-  
 magająca, nieco czasem rozdrażniona. Zadaniem Zofii jest bawić ją i dostarczać rozrywek.  
 — Jest więc najmłodsza? — spytałem.  
 — O nie! — zawołał. — Dwie najmłodsze mają zaledwie po dziewięć i dziesięć lat.  
 Zofia uczy je właśnie.  
 — Druga z rzędu — podszepnąłem.  
 — Nie. Druga z rzędu, Sara, chorowita. Wiesz, kregosłup, biedne dziewczę! Przejdzie  
 to, jak upewniam doktorowie, tymczasem jednak skazana jest na całoroczne leżenie, Zofia  
 ją pielęgnuje. Zofia jest czwarta z kolei.  
 — Matka ich żyje? — spytałem.  
 — Żyje! Pod każdym względem wspaniała kobieta! Szkoda, że wilgotny tamtejszy  
 klimat nie służy jej. Sparaliżowana prawie!  
 — O! — zawołałem.  
 — Niewesoło, prawda! W rodzinnym jednak życiu Zofia zastępuje matkę i własnej  
 matce matkuje tyle, co i dziewięciu pozostałym siostronom.  
 Cnoty i zalety młodej tej osoby napełniały mnie najwyższym szacunkiem; pragnąc zaś  
 z całego serca dobra i powodzenia poczciwego Traddlesa, spytałem go o pana Micawbera.  
 — Zdrow jest, o ile wiem — rzekł. — Nie mieszkam już z nimi.  
 — Ta-a-k?  
 — A tak! Widzisz bo — tu zniżył głos — na skutek smutnych okoliczności ukrywa  
 się obecnie pod nazwiskiem Mortimera, wychodzi tylko, gdy ściemnieje, i to w okularach.  
 Ruchomość opisana, miała już zostać zlicytowana, lecz pani Micawber wpadła w tak  
 straszną rozpacz, że musiałem, doprawdy musiałem, nowy podpisać weksel. Gdybyś wie-  
 dział, jaką to było pociechą dla biednej tej kobiety.  
 — Hm! — mruknąłem.  
 — Wprawdzie pociecha niedługo trwała. Zanim tydzień upłynął, druga nadeszła eg-  
 zekucja. Odtąd musiałem się wynieść. Mortimerowie ścieśnili się, jak mogli. Może ci się  
 to wyda zbyt egoistyczne z mej strony, że o tym wspomnę, lecz i marmurowy stoliczek,  
 i wybrana przez Zofię żardinierka<sup>351</sup> poszły z tym wszystkim.  
 — Jaka szkoda! — zawołałem, zmartwiony tym, com słyszał.  
 — Przyznaję się, żałowałem obu tych przedmiotów, a przy licytacji nie mogłem wy-  
 kupić, gdyż widząc, jak mi o nie idzie, nałożono na nie wysoką cenę, zresztą w tym czasie  
 nie posiadałem ani grosza. Mam to jednak na oku, u tandecierza<sup>352</sup> na rogu Tottenham  
 Court Road. Kupię nie dziś, to jutro, gdy spuści z ceny. Tylko to widzisz, tandeciarz, sko-  
 ro mnie zoczy<sup>353</sup>, zaraz cenę podnosi. Będąc zaś w tej chwili przy pieniądzach, chciałem  
 cię spytać, czy nie namówiłbyś dobrej swej piastunki, aby mi towarzyszyła. Pokazałbym  
 jej sklep tandeciarza, sam odszedł na bok, a kupiec odstąpiłby najpewniej.  
 Myśl ta uszczęśliwiała go, uważał ją za genialny wynalazek. Jakże to wybornie pamię-  
 tam!

Zapewniłem go, że kochana moja Peggotty z przyjemnością odda mu tę drobną usłu-  
 gę, pod warunkiem jednak, że odtąd ani pożyczac panu Micawber, ani ręczyć za niego,  
 ani się podpisywać na jego wekslach nie będzie.

<sup>351</sup>żardinierka (z fr. *jardinière*) — półka a. wydłużony stolik z zagłębieniem w blacie przeznaczonym na rośliny doniczkowe; początkowo także rodzaj misy na nóżce używanej w tym samym celu. [przypis edytorski]

<sup>352</sup>tandecierz (daw.) — handlarz starzyzną. [przypis edytorski]

<sup>353</sup>zoczyć (daw.) — zobaczyć, zauważyć. [przypis edytorski]

— Przyrzekam ci to tym chętniej — rzekł — żem się zastanowił, iż istotnie nie mam prawa czynić tego, przez wzgląd chociażby na Zofię. Masz moje słowo. I tak dostałem za swoje. Nie wątpię jednak, że pan Micawber uściłby się z długu, gdyby mógł. Cóż, kiedy nigdy prawdopodobnie to ostatnie nie nastąpi. Muszę tu jednak w obronie pana Micawbera coś powiedzieć: oto ani razu nie mówił mi, że mi *zapłaci*, tylko że *to powinno być zapłacone*. Taki sposób mówienia dowodzi niewątpliwie pewnej uczciwości.

Nie chcąc się mu sprzeciwiać, milczałem. Po niedługiej chwili wyszliśmy do Peggotty, gdyż Traddles nie chciał spędzić wieczoru ze mną, po pierwsze ze strachu, aby stoliczek marmurowy i żardinierka nie znalazły tymczasem innego kupca, po wtóre, ponieważ zwykł był spędzać wieczory na pisywaniu do swej najdroższej.

Nie zapomnę nigdy, jak się krył za węglem domu, gdy Peggotty targowała drogie rzeczy, jaki był niespokojny, widząc, że wychodzi pomału i ze spuszczoną głową ze sklepu, jak się cieszył, gdy ją tandeciarz zawołał na powrót. Po wielu tym podobnych perypetiach udało się jej nabyć oba przedmioty stosunkowo tanio. Traddles nie posiadał się z radości.

— Nieskończenie wdzięczny jestem — mówił słysząc, że oba sprzęty dziś jeszcze odstawione być mogą do jego mieszkania — i gdybym nie bał się nadużyć twojej dobroci... Nie będziesz się śmiać ze mnie, Copperfieldzie?

— Mów, o co idzie.

— Oto, jeśliby pani Barkis raczyła wynieść tylko ze sklepu żardinierkę, chciałbym ją sam, przez wzgląd, że to ją Zofia wybrała, zanieść do siebie.

Peggotty chętnie uczyniła zadosyć<sup>354</sup> jego żądaniu, rozplątał się więc w podziękowaniach i z żardinierką w rękę, ostrożnie, rozpromieniony szedł przed nami ulicą.

Wystawy towarów zachwyciły Peggotty. Szliśmy tedy<sup>355</sup> pomału, zatrzymując się na każdym kroku i sporo przeszło czasu, zanim wróciliśmy do domu.

Wchodząc na schody zauważyliśmy, że wszelkie zasadzki pani Crupp zniknęły jakimś cudem, natomiast dostrzegliśmy świeże ślady stóp ludzkich. Zdziwienie nasze wzmogło się jeszcze, gdy, wszedłszy na schody, zastaliśmy drzwi mego mieszkania otwarte na oścież, a z wewnątrz dochodziły nas głosy.

Spojrzelśmy po sobie, nie wiedząc, co myśleć o tym, gdy, uchylając drzwi bawialnego pokoju, spostrzegłem ciotkę i pana Dicka. Ciotka siedziała niby Robinson Crusoe, obrzucona mnóstwem pak i paczek przeróżnego kalibru. Pan Dick, też z bagażem, trzymał w rękę olbrzymiego latawca. Oboje popijali herbatę.

— Kochana ciotko! — zawołałem. — Co za miła niespodzianka!

Uściskaliśmy się z ciotką i panem Dickiem, a nalewająca herbatę pani Crupp orzekła, iż pewna była, że się pan Copperfield ucieszy widokiem tak kochanej i szanownej krewnej.

— Ach! — zawołała ciotka, dostrzegłszy zmieszanie jej obecnością Peggotty. — Jakże się miewasz?

— Przypominasz sobie ciotkę moją, Peggotty? — spytałem, śpiesząc z pomocą mej piastunce.

— Na miłość Boga, chłopcze! — zawołała ciotka. — Nie nazywaj jej tym barbarzyńskim nazwiskiem. Wychodząc za męża, dostała przecie drugie. Pierwszą to spotykam kobietę, która na tym dobrze wyszła. Jakże się nazywasz po mężu?

— Barkis, do usług pani — odpowiedziała dygając Peggotty.

— To, to co innego, to mi przynajmniej chrześcijańskie nazwisko! Jakże się miewasz Barkis?

Ośmielona uprzejmością mej ciotki, Peggotty, biorąc podaną sobie dłoń, skłoniła się powtórnie, niżej niż przedtem.

— Postarzałyśmy obie, jak widzę — mówiła ciotka. — Od ostatniego naszego spotkania sporo upłynęło czasu. Raz tylko spotkałyśmy się w dobrą chwilę! Trot, nalej mi jeszcze filiżankę herbaty.

Podalem żadaną filiżankę herbaty, ośmielając się zauważyć, że ciotka niewygodnie siedzi na kufierku.

— Przysunę kanapę lub przyniosę fotel, wygodniej ciotce będzie — powiedziałem.

— Dziękuję ci, kochanku! Wolę siedzieć na swoim.

<sup>354</sup>zadosyc — dziś: zadość. [przypis edytorski]

<sup>355</sup>tedy (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]



Srogo spojrziała na panią Crupp.

— Zbyteczne już nam są usługi pani — zauważyła chłodno.

— Może przed odejściem zaparzyć jeszcze trochę herbaty? — spytała uprzejmie pani Crupp.

— Dziękuję, obejdzcie się — odrzekła ciotka.

— Może jeszcze krążek świeżego masła? A może się pani da namówić na jajeczko? Świeżuteńkie! Tak bym chciała czymkolwiek usłużyć kochanej i szanownej pańskiej ciotce, panie Copperfield!

— Nic mi nie potrzeba — sucho i stanowczo rzekła ciotka.

Nie było rady, pani Crupp, uśmiechając się uprzejmie, zacierając ręce usłudźnie i dla okazania słabości swego zdrowia, przechylając głowę na ramię, wycofała się za drzwi.

— Dick! — zauważyła ciotka. — Pamiętasz, com ci mówiła o dworakach fortuny<sup>356</sup>?

Pan Dick, pomimo zdziwionego wzroku, utrzymywał, że pamięta.

— Należy ona do ich rzędu — zdecydowała ciotka. — Proszę cię, Barkis, zajmij się herbatą i nalej mi jeszcze filiżankę.

Dostatecznie znałem ciotkę, aby widzieć, że miała coś na sercu i myśli, wycieczka zaś jej do Londynu nie była częścią przejażdżką. Uważałem, jak badawczo spoglądała na mnie, gdy sądziła, że czym innym zajęty nie zauważę tego. Pod zwykłym jej chłodem i szorstkością dostrzegłem pewne wahanie i pytałem siebie, czym się jej mogłem narazić? Sumienie podsuwało mi wprawdzie imię Dory, lecz jakżeby się ciotka mogła o tym dowiedzieć?

Sądziłem, że dopiero wtedy wypowie wszystko, gdy znajdzie odpowiednią po temu chwilę. Siedząc obok niej, starałem się być swobodny, mowę zwracałem do przywiezionych w klatkach kanarków, pieściłem kota, lecz w rzeczy samej zmieszany byłem, a pan Dick, kiwający na mnie głową i wskazujący na ciotkę, gdy miała odwróconą od niego uwagę, nie uspokajał mnie bynajmniej<sup>357</sup>.

— Trot! — ozwała się wreszcie, skończywszy pić herbatę, otarłszy usta i starannie otrząsnąwszy suknię. — Nie potrzebujesz odchodzić, Barkis — dodała — nie jesteś tu zbyteczna. Otóż, Trot, jak sądzisz, czy jesteś mężny i odważny?

— Mam nadzieję — odrzekłem.

— Jak myślisz? Pytam cię.

— Tak sędzę, ciotko.

— Dobrze. Powiedz mi tedy, dlaczego powiedziałam niedawno, że wolę siedzieć na swej własności?

Nie domyślając się bynajmniej<sup>358</sup>, nie miałem odpowiedzi.

— Mówiłam to dlatego — ozwała się ciotka — że jest to teraz wszystko, co posiadam. Zrujnowana jestem, chłopcze.

Gdyby się ziemia rozstała, nie doznałbym podobnego wstrząśnienia.

— Dick wie o tym — mówiła ciotka, kładąc mi spokojnie rękę na ramieniu. — Zrujnowana jestem. To mi tylko pozostało, co mam tu z sobą, i ten dom tam, który zostawiłam na opiece Janet, aby go wynajęła komuś. Barkis! Musimy się postarać o nocleg dla tego dżentelmena. Co do mnie, tu się pomieszczę, byle jak, na jedną to noc tylko. Jutro cośkolwiek przedsięwzięmiemy.

Wszystko to bolało mnie przez wzgląd na nią, na nią samą tylko, i nie mogłem przyjść do siebie, aż dopiero, gdy mi się rzuciła z płaczem na szyję, wołając, że to ją zasmuca i niepokoi tylko ze względu na mnie. Po krótkiej chwili opanowała wzruszenie, mówiąc spokojnie i z godnością:

— Powinniśmy ciosy życiowe przyjmować z podniesionym czołem i nie pozwolić, by nas z nóg zbić miały. Pamiętaj o tym, Trot, chłopcze mój! Nie nas niepowodzenie, lecz my niedolę wszelką zwalczyć musimy.

<sup>356</sup>*dworak fortuny* — nadworny sługa losu (fortuny); osoba, której los sprzyja na mocy szczególnych przywilejów. [przypis edytorski]

<sup>357</sup>*bynajmniej* — wcale (dosł.: jak najmniej). [przypis edytorski]

<sup>358</sup>*bynajmniej* — wcale (dosł.: jak najmniej). [przypis edytorski]

## ROZDZIAŁ XXXV. SMUTEK

Skoro ochłonąłem z pierwszego, zwierzeniem się ciotki wywołanego wrażenia, zaproponowałem panu Dickowi przechadzkę do sklepiku pewnego mydlarza, gdzie będzie mógł zająć wolne po panu Peggotty miejsce.

Sklepik mydlarza znajdował się na Hungerford Market<sup>359</sup>, a Hungerford Market wyglądało wówczas inaczej niż obecnie. Przed wejściem do domu był ganek, drewniane słupki tworzyły kolumnadę, co wprawiło w zachwyt pana Dicka. Przyjemność mieszkania ponad podobnym dziełem sztuki i dobrego smaku czyniła go niewątpliwie pobłażliwym dla wszelkich innych niedogodności; te wszelako ograniczały się do dolatującego ze sklepiku zapachu mydła i łoju oraz braku przestrzeni. Zresztą pan Dick najzupełniej był zadowolony z lokalu. Wprawdzie pani Crupp zdążyła już uprzedzić go, że „nie będzie tam miał dość miejsca, żeby pohuścić kota<sup>360</sup>”, lecz pan Dick, siadając w nogach łożka i pocierając kolana, zauważył tylko:

— Nie potrzebuję przecie huścić kota, nie huściłem kota nigdy, więc to mi wcale nie zawadza.

Starąłem się wy badać, czy rozumie całą wielkość zmiany zaszłej w położeniu mej ciotki. Nie rozumiał, jak się tego domyślałem zresztą, wiedział tylko, że mu ciotka powiedziała przedwczoraj: „Teraz dopiero przekonamy się, czy jesteś istotnie takim filozofem, za jakiego zawsze cię uważałam”. Upewnił ją, że się na nim nie zawiedzie. A wówczas ciotka rzekła: „Dick! Jestem zrujnowana”. A on na to: „Doprawdy?”. Ciotka zaczęła wychwalać moc jego duszy, co mu niesłychaną sprawiło przyjemność. Potem nastąpił wyjazd do Londynu. W drodze jedli kanapki i pili porter.

Opowiadał mi to pogodny, wesół, siedząc na krawędzi łożka i pocierając kolana, z szeroko otwartymi oczyma i łagodnym uśmiechem, który zrazu pobudził mnie do przekonania go, że ruina to nędza, a nędza w głód łatwo zmienić się może. Pożałowałem jednak mej szorstkości, widząc, jak zbłądł nagle, a łzy, które puściły się mu z oczu, rozmiękczyłyby pewno twardsze od mego serce. Starąłem się pocieszyć go i przekonałem się wkrótce, że uprzedni jego spokój wypływał z nieograniczonego zaufania do mądrości i praktyczności najgodniejszej podziwu kobiety, jak zwykł był nazywać ciotkę. Nic ją, zdaniem jego, zwalić z nóg nie mogło.

— Cóż teraz pocniemy? — spytał mnie. — Jest memoriał...

— Najpewniej — odrzekłem. — Wszystko, co możemy dziś, kochany panie Dicku, przedsięwziąć, to zachować spokój, aby się ciotka nie domyślała nawet, żeśmy z sobą o tym mówili.

Zgodził się na to w zupełności, błagając mnie, abym go przestrzegł, jeśliby się zapomniiał i uchylił z wytkniętej drogi. Muszę wyznać, że strach, którego mu napędził, podzielał na niego ujemnie. Przez resztę wieczoru spoglądał na ciotkę oczyma pełnymi łez, poczuwając się zaś do tego, odwracał głowę, by powstrzymać łzy, nie pomagało to jednak nawet wówczas, gdy siedząc nieruchomy przewracał oczyma. Na leżący na stole przy wieczerzy — niewielki wprawdzie — bochenek chleba spoglądał tak, jak gdyby spoza niego głód już wyglądał, a gdy go ciotka zachęcała do jedzenia, dostrzegłem, że skrętnie chował do kieszeni okrucy chleba i sera. Pewien jestem, że myślał wówczas o zapasach dla nas wszystkich na czarną godzinę.

Ciotka ze swej strony zachowywała się z największym spokojem, co było przykładem dla nas wszystkich, a zwłaszcza już dla mnie. Uprzejma była niesłychanie dla Peggotty — z wyjątkiem gdy mą piastunkę nazywałem jej dziwaczyną, z którym się ciotka pogodzić nie mogła, imieniem. Chociaż wiedziałem, jak obco ciotka się czuje w Londynie, zdawała

<sup>359</sup> *Hungerford Market* — targ owocowo-warzywny w Londynie, niedaleko Charing Cross (tj. w ścisłym centrum miasta) w daw. dystrykcie Strand (obecnie gł. arteria Londynu); istniał do 1862 r., kiedy to plac został sprzedany kompanii South Eastern Railway; w 1864 r. powstała w tym miejscu stacja metra Charing Cross. Targ umiejscowiony był w dwóch budynkach; pierwszy, z 1682 r., był miejską rezydencją rodziny Hungerford (stąd nazwa) i spłonął w 1669 r. (co zostało odnotowane w *Pamiętniku* Samuela Pepysa); nowy gmach w stylu architektury włoskiego klasycyzmu, zaprojektowany od razu z myślą o swym przeznaczeniu, został wzniesiony w 1833 r.; nie cieszył się jednak spodziewaną popularnością, ostatecznie uległ zniszczeniu podczas pożaru sąsiadującego z nim Hungerford Hall w 1854 r. [przypis edytorski]

<sup>360</sup> *dość miejsca, żeby pohuścić kota* — idiom ang. *not enough room to swing a cat*, znaczący tyle co: nie ma gdzie się obrócić; jest bardzo ciasno. [przypis edytorski]

się być tym razem u siebie w domu. Zajmie mój sypialny pokój, ja zaś nocować będę w bawialnym, czuwając nad bezpieczeństwem. Szczęściem zawsze — przez wzgląd na pożar — mieszkaliśmy w pobliżu rzeki. Okoliczność ta widocznie ją uspokajała.

— Trot, kochanku — rzekła, widząc, że się zabieram do przygotowania jej codziennego wieczornego napoju — nie trzeba.

— Jak to, nie? Ciociu!

— Zamiast wina wlej trochę piwa.

— Ależ mamy wino, a ciotka zawsze pijała wodę z winem — zauważyłem.

— Wino zachowaj na wypadek choroby, musimy oszczędzać, moje dziecko. Trochę piwa wystarczy mi teraz.

Sądziłem, że biedny pan Dick trupem padnie! Znając jednak stanowczość mej ciotki, wyszedłem po piwo, że zaś późno już było, Peggotty i pan Dick wyszli wraz ze mną. Rozstaliśmy się na rogu ulicy. Pan Dick, z ogromnym latawcem w ręku, wydał mi się uosobieniem ludzkiej niedoli.

Wracając, zastałem ciotkę chodzącą wzdłuż i wszerz po pokoju. Szarpała palcami obrzeżenie nocnego czepka. Zagrzałem wodę, sporządziłem napój. Nałożywszy czepek, zasiadła w fotelu.

— Wiesz co, kochanku, może i lepsze niż z winem — rzekła, popijając — mniej to żółć rozgrzewa.

Z twarzy mej musiało przebijać niejakie powątpiewanie, gdyż dodała natychmiast:

— Tss! Tss! Dziecko! Daj Boże tyle biedy, ile jej w zmianie wina na piwo.

— Nie o sobie myślę, ciotko — odrzekłem.

— Więc cóż?

— To, że ja a ty, ciotko, to dwie wcale różne rzeczy.

— Głupstwa gadasz, dziecko!

Zdawała się rozweseloną, popijając wodę z piwem, w wesołości tej zaledwie przebijał pewien przymus.

— Trot — ozwała się po chwili — wiesz, że nie lubię na ogół obcych twarzy, ale ta twoja Barkis podoba mi się niewątpliwie.

— Ciesz się to mnie nieskończenie, kochana ciotko — odrzekłem.

— Podziwiam tylko świat ten — mówiła, pocierając nos — i nie rozumiem, jak można żyć z takim imieniem. Myślę, że śmieszne po prostu.

— I ona może to myśli! Ależ nie jej w tym wina.

— A wiem, jednak to niewesołe. Dobrze, że ją teraz nazywać możemy po mężu, Barkis. Brzmi to wcale przyzwoicie. Niesłychanie przywiązana do ciebie, Trot, co?

— Życie by za mnie oddała.

— Życie? — mruknęła ciotka. — Wariatka ta chciałaby oddać wszystko, co posiada! Dowodzi, że nie wie, co robić z pieniędzmi!

Sądzę, że łza rozrzewnienia spłynęła do szklanki, którą ciotka w tej chwili podnosiła do ust.

— Najzabawniejsza pod słońcem kobieta — ciągnęła. — Od pierwszej chwili, gdy ją spostrzegłam, tam, przy biednej twej matce, zauważyłam już, że jest najzabawniejszą pod słońcem kobietą. Pocziwa!

Śmiała się, lecz ręczę, że dlatego tylko, aby mieć pretekst otarcia łez z oczu. Po chwili mówiła, znów popijając wodę z piwem:

— Niech się wielkie ulitują Nieba! Wiem wszystko, Trot! Barkis opowiedziała mi wszystko, gdyś wychodził z Dickiem. Wszystko wiem i tego tylko zrozumieć nie mogę, czego się chce tym opętanych dziewczętom. Głową mur rozbijać, co? Szalone!

— Biedna Emilka! — zauważyłem.

— O, biedna! Powinna była pomyśleć o tym, zanim spowodowała tyle smutku i boleści. Biedna! Ucałuj mnie, chłopcze! Ciebie to żaluję, żeś zbyt wcześnie narażony został na tak gorzkie rozczarowanie.

Chciałem już odejść, ale zatrzymała mnie.

— A ty sam, dziecko — rzekła — wyobrażasz sobie, żeś zakochany?

— Wyobrażam! — zawołałem, płonąc cały. — Ależ ja ją ubóstwiam, kochana ciotko!

— Tę swą Dorę; co? Gotów jesteś wmawiać we mnie, że ta mała jest czarodziejką?

— Nikt, kochana ciotko, kto jej nie widział, nie może nawet wyobrazić sobie, jaka ona jest.

— Głupiutka? — zapytała ciotka.

— Głupiutka? — powtórzyłem zdumiony.

Prawdę mówiąc, ani razu jeszcze nie zastanowiłem się, jaka jest lub jaka nie jest Dora. Była Dorą. Słowa ciotki uderzyły mnie jak coś najzupełniej nowego.

— Wietrznica?

— Wietrznica? — znów powtórzyłem.

— Pytam się tylko, kochanku, nie ubliżam jej wcale! — rzekła ciotka. — To mi dobrana para! Wyobrażacie sobie zapewne, żeście stworzeni dla siebie i w życiu wyglądać będziecie jak dwie cukrowe piramidy na biesiadnym stole? Czy tak, Trot?

Postawiła to pytanie z tak dobrodusznym, na poły żartobliwym, na poły smutnym uśmiechem, że mi się uczuł rozrzewniony.

— Młodzi oboje jesteście, kochana ciotko — odrzekłem — młodzi i niedoświadczeni, wiem o tym, i w tym, co mówimy, i w tym, co myślimy, jest wiele niedorzeczności, lecz bądź co bądź kochamy się bardzo, kochamy szczerze i jeśli bym tylko mógł przypuścić, że Dora kiedykolwiek pokocha kogokolwiek drugiego lub że mnie kochać przestanie, lub że ja sam pokocham inną, lub ją kochać przestanę... nie wiem, co by się ze mną stało. Zmysły bym chyba postradał!

— Ach, Trot! — uśmiechnęła się poważnie, potrząsając głową. — Ślepe, biedne dziecko!

— Ktoś, kogo znam dobrze — ciągnęła po chwili — posiada — kochające, wierzące serce, serce, co mi przypomina tę biedną dziewczynę, twoją matkę. Ten ktoś liczy na siłę swego przywiązania, że go ono zawsze podtrzyma, że go zawsze podniesie, to jego głębokie, wierne, kochające serce.

— Gdybyś знаła, kochana ciotko, siłę uczuć Dory! — zawołałem.

— Biedne, zaślepione dziecko! — powtórzyła raz jeszcze, a ja sam, nie wiedząc czemu, poczułem niby brak czegoś, niby chmurę zsuwającą się na mnie i ogarniającą mnie zewsząd. — Jednakże — mówiła ciotka — nie chcę bynajmniej<sup>361</sup> zachwiać waszego zaufania do siebie, psuć wam szczęścia i chociaż są to uczucia dziecinne, a takie właśnie bywają częstokroć (uważaj, proszę, że mówię częstokroć, nie zaś zawsze!) zmienne, chcę mówić o nich poważnie i w nadziei, że przywiodą was do upragnionego celu. Dość będzie czasu biadać, gdy do niczego nie doprowadzą!

Słowa te nie były wprawdzie nader pocieszające, lecz byłem zadowolony, że ciotka wiedziała już, co się w mym sercu dzieje. Wnosząc zaś, że musi być strudzona po podróży, podziękowałem jej z wylaniem za dobroć i dowody przywiązania, jakimi mnie obsypuje, po czym życzyłem jej dobrej nocy. Po chwili nocny jej czepek znikł za drzwiami mego sypialnego pokoju.

Położyłem się, lecz nie mogłem zasnąć. Rozpacz mnie ogarniała! Myślałem o zaszłej tak nagle zmianie w mym położeniu, o tym, co pan Spenlow powie o moim ubóstwie, o ciężącym na mnie sumiennym obowiązku powiedzenia wszystkiego Dorze i zwolnienia jej z danego mi, w innych warunkach, słowa. Myślałem o tym, co pocznę, zanim będę mógł zarabiać na swoje i ciotki utrzymanie, i o tym, że nie będę miał kieszonekowych pieniędzy, możliwości kupowania drobnych podarków dla Dory ani dosiadaniasiwych rumaków, ani pokazania się w korzystnym świetle. Czulem wprawdzie, że były to egoistyczne pobudki, wstydzilem się, że przywiązuję tak wielką wagę do nędznej mamonny, lecz przez miłość dla Dory nie mogłem obojętnie spoglądać na zaszłą w położeniu mym zmianę. Czulem, że powinienem w danym razie mieć na względzie ciotkę raczej niż samego siebie; jednakże byłem tak przywiązany do Dory, że wobec niej wszelkie inne zniknęły względy. Straszna to była noc.

Śniła mi się nędza w najrozmaitszych postaciach, a sny tak podobne były do jawy, że nie wiedziałem nawet, kiedy zasnął<sup>362</sup>. Śniło mi się, że się wściekam z bólu, sprzedając ostatnie zapasy Dory, całe sześć pudełek zapalek za pół pensa, to znów, że się znajduję

Pieniądz

<sup>361</sup>bynajmniej — wcale (dosł.: jak najmniej). [przypis edytorski]

<sup>362</sup>kiedy zasnął — inaczej: kiedy zasnąłem (konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika). [przypis edytorski]

w nocnym negliżu w kancelarii i muszę znosić wymówki pana Spenlow za wystąpienie w podobnym stroju wobec klientów. To, że zgłodniały zbieram okruchy od sucharków, które codziennie punkt o pierwszej spożywać zwykł był Tiffey, to, że wykupuję świadectwo ślubu z Dorą, mając tylko na zapłatę rękawiczkę Uriaha, której naturalnie Commons nie chce uważać za pieniądź. Jednocześnie czułem doskonale, że się znajduję we własnym mym mieszkaniu, miotany niby okręt na oceanie poduszek i piernatów<sup>363</sup>.

I ciotka noc musiała mieć niespokojną. Słyszałem, jak się przewracała lub przechadzała tam i z powrotem po pokoju, a parę nawet razy, owinięta we flanelowy, nieskończenie wydłużający jej kibić szlafrok, zjawiała się na progu bawialnego pokoju i podchodziła aż do kanapy, na której leżałem. Za pierwszym razem porwałem się wystraszony i dowiedziałem się, że ją zaniepokoił dziwny jakiś odbłysek na niebie, z którego wnioskowała, że Westminster stać musi w płomieniach. Chciała mnie spytać, czy w razie zmiany kierunku wiatru grozi Buckingham Street poważne niebezpieczeństwo. Za drugim razem sam udałem, że śpię, i słyszałem, jak, pochylając się nade mną, kilkakrotnie wyszeptala: „Biedne! Biedne dziecię!”. Słowa te podwoiły boleść moją i wstyd. Gdy mnie same egoistyczne zajmowały względy, pocziwa ta kobieta nie o sobie myślała, lecz o mnie.

Trudno mi było wyobrazić sobie, aby noc, tak dla mnie ciężka i długa, mogła się wydawać komu bądź krótką i wesołą. Myślałem o tych, którzy w tej porze spędzali czas na tańcach i zabawie. Z kolei śniły mi się tedy zebrania towarzyskie, muzyka powtarzająca nieustannie jeden i ten sam motyw i Dora roztańczona, niezwracająca na mnie najmniejszej uwagi. Muzykus grający na harfie usiłował właśnie przykryć ją szlafmycą, gdym się obudził i, widząc słońce w oknach, otrząsnął się ze snu gorączkowego.

Były wówczas — po dziś dzień istnieją może — rzymskie łaźnie, w głębi jednej z ulic na Strandzie, w których niejednokrotnie brałem zimną kąpiel. Odziewszy się naprędce i pozostawiając ciotkę staraniom Peggotty, pobiegłem tam śpiesznie, ochłodziłem gorączką spalone czoło, po czym udałem się na przechadzkę w stronę Hampstead, w nadziei, że mnie to orzeźwi. Jakoż istotnie zimna woda i świeże powietrze rozproszyły nocne mary. Przyszedłem do wniosku, że przede wszystkim trzeba mi się postarać pozbyć umowy z panami Spenlow i Jorkinsem, odebrać wyłożoną na ten cel przez ciotkę sumę. Zjadłszy w Heath skromne śniadanie, z powziętym w duszy postanowieniem wracałem do Commons przez odświeżone deszczem ulice, wdychając woń letnich kwiatów, napelniających ogrody i dużymi wiązkami niesionych i wiezionych przez przekupniów do miasta.

Przybyłem tak wcześnie do kancelarii, że nawet o jakie dobre pół godziny wyprzedził Tiffey'a. Usiadłem w ciemnym mym kątku i, patrząc na oświetloną słońcem przeciwległą ścianę, rozmyślałem o Dorze aż do zjawienia się kędzierzawego i wykrochmalonego pana Spenlow.

— Jak się masz, Copperfieldzie! — zawołał. — Poranek prześliczny!

— Prześliczny! — odrzekłem. — Czy nie mógłbym z panem pomówić chwilkę na osobności, przed odejściem pańskim do Trybunału?

— I owszem, służę.

Poszedłem za nim do jego gabinetu. Włożył toę i zaczął się przegłądać w wiszącym na ścianie zwierciadle.

— Przykro mi niezmiernie — począłem — lecz sprawa, o której chciałbym mówić z panem, niewesoła jest, dotyczy mej ciotki.

— Nie! — rzekł. — Doprawdy? Paraliż, co?

— Nie idzie tu o jej zdrowie — odparłem. — Poniosła znaczną pieniężną stratę, sądzę nawet, że jej pozostało bardzo mało.

— Wprawiasz mnie, Copperfieldzie, w zdumienie! — zawołał pan Spenlow.

Skinąłem głową.

— Istotnie — ciągnąłem — interesy ciotki mojej są obecnie w tak oplakany stan, że chciałem spytać pana, czybyśmy nie mogli odwołać zawartej pomiędzy nami umowy, chociażby z pewnym z mej strony ustępstwem — dodałem, zauważywszy chłodny wyraz jego twarzy.

<sup>363</sup>piernat (daw.) — cienki, nieprzeszywany (niepikowany) materac wypełniony pierzem; też: koldra. [przypis edytorski]

Propozycja ta kosztowała mnie niesłuchanie. Wszak jak o łaskę błagałem o to właśnie, co mnie oddalić miało od Dory.

— Zerwać umowę? — rzekł. — Zrzekasz się kariery?!

Staralem się wytłumaczyć mu, że istotnie przyszłość moja staje się niepewną. Nie przestrasza mnie jednak ta niepewność, jakem to nie bez emfazy utrzymywał, lecz co do terażniejszości, wyznać musiałem, że pozostałem bez żadnych środków.

— Przykro mi słyszeć to — upewniał pan Spenlow — niesłuchanie przykro. Nie są to jednak motywy dostateczne dla zrywania weszłej już w życie umowy. Proceder ten nieznanym w zawodzie naszym, niedogodnym, wcale niedogodnym, gdy jednocześnie...

— Jesteś pan nader łaskaw... — począłem.

— Ależ nie! — przerwał mi. — Nie ma o czym mówić, chciałem to tylko powiedzieć, że jeśli bym sam był tu zainteresowany, ale wspólnik mój, pan Jorkins...

Nadzieje moje upadły. Próbowałem dalej.

— Czy nie wypadaloby mi — zauważyłem — rozmówić się osobiście z panem Jorkinsem, przedstawić mu obecne me położenie?

Pan Spenlow wstrząsnął energicznie głową.

— Uchowaj Boże! — zawołał. — Wiesz przecie dobrze, że oddaję każdemu sprawiedliwość, cóż dopiero memu wspólnikowi! Niestety, znam go dobrze! Nikt go lepiej ode mnie znać nie może i upewniam cię, że pan Jorkins nie jest skłonny do żadnych, ale to do żadnych ustępstw i podobnej propozycji nawet nie dopuści. Nic go nie powstrzyma nigdy na raz wytkniętej sobie drodze. Mogę cię zapewnić. Sam zresztą musisz o tym coś wiedzieć.

Wiedziałem to tylko, że pan Jorkins interes prowadził zrazu na własną rękę i później dopiero dopuścił do spółki pana Spenlow oraz że mieszkał w pobliżu Mantague Square, w starym, od dawna domagającym się odnowienia domu, że przybywał do kancelarii późno, odchodził wcześniej, o nic nigdy nie był zapytywany, przesiadując cichutko na górze w gabinecie, nad stołem wyłożonym starym, lecz czystym, chociaż niezmiennym od lat, żółtym papierem.

— Czy ma pan co przeciw temu, abym propozycję mą osobiście przedstawił panu Jorkinsowi? — spytałem.

— Nic nie mam przeciw temu — odparł pan Spenlow — tylko rady swe opieram na wielokrotnym doświadczeniu. Chciałbym się mylić tym razem, tak dalece pragnąłbym być ci, kochany Copperfieldzie, użytecznym i bynajmniej<sup>364</sup> nie przeszkadzam rozmówić się w tej sprawie z moim wspólnikiem, jeśli tylko ci się zdaje, że to do czegoś może doprowadzić.

Korzystając z udzielonego mi, wraz z przyjacielskim uściskiem dłoni, pozwolenia, siedziałem jak przedtem w mrocznym mym kącie, wpatrzony w igrające na przeciwległej ścianie promienie słońca, marząc o Dorze i wyczekując przybycia pana Jorkinsa. Doczekawszy się go wreszcie, udałem się niebawem na górę i zapukawszy do drzwi jego gabinetu, znalazłem się przed zdziwionym niespodzianym mym zjawieniem się prawnikiem.

— Proszę pana, proszę, panie Copperfield — ozwał się, wskazując mi krzesło.

Usiadłem i przystąpiłem od razu do wyluszczenia sprawy, w tych samych mniej więcej słowach co i panu Spenlow. Pan Jorkins nie wyglądał bynajmniej<sup>365</sup> tak strasznie, jak go przedstawiano. Był to sześćdziesięcioletni starzec o otwartej, łagodnej twarzy. Zażywał tradycyjną chyba w jego zawodzie ilość tabaki, jak gdyby takowa potrzebna mu była do podtrzymania życia.

Słuchał mnie niespokojnie, a gdy skończyłem, zagadnął:

— Przypuszczam, żeś pan mówił już o tym z panem Spenlow?

Odpowiedziałem mu, że istotnie mówił i że pan Spenlow zasłania się jego imieniem.

— Twierdzi, że będę przeciwny? — spytał.

Musiałem przyznać, iż istotnie pan Spenlow tak twierdzi.

— Przykro mi tedy bardzo — począł nerwowo — lecz istotnie nie mogę zgodzić się na pańską propozycję. Rzecz w tym... Przepraszam, spieszę do banku, godzina minęła.

<sup>364</sup>bynajmniej — wcale (dosł.: jak najmniej). [przypis edytorski]

<sup>365</sup>bynajmniej — wcale (dosł.: jak najmniej). [przypis edytorski]

Powstał z pośpiechem i zabierał się do wyjścia. Zauważyłem, że mi odjął nadzieję załatwienia tak ważnego dla mnie interesu.

— Tak — rzekł, zatrzymując się przy drzwiach — tak, istotnie, ja to przeciwny jestem... Ostrzegam pana, panie Copperfield, że jeśli istotnie pan Spenlow ma coś przeciw temu...

— Osobiście nic nie ma, jak mnie upewnił — rzekłem.

— Och! Osobiście! — powtórzył z widoczną niecierpliwością. — Ja zaś upewnić mogę pana, że jest w tym coś. Nie! Nie ma nadziei, życzenie pańskie nie może być spełnione, co zaś do mnie, mam... mam ważny, niecierpiący zwłoki interes...

Wybiegł po prostu z tymi słowy; przez całe trzy dni nie spotkałem go ani razu.

Pragnąc wyczerpać wszelkie możliwości, doczekałem się powrotu pana Spenlow i pisałem go, aby użył swego wpływu dla zmiękczenia współnika.

— Nie znasz go, nie znasz tak, jak ja go znam — mówił, kiwając głową. — Daleki jestem od oskarżania współnika mego o przebiegłość, lecz wyznać muszę, że pan Jorkins dziwny miewa czasem sposób wypowiedzania się, zawsze zaś, niestety, niewzruszony bywa w raz powziętych postanowieniach. Nic go nie wzruszy, nic, wierz mi, kochany Copperfieldzie!

Gubiłem się w domysłach, który z dwóch współników był bardziej niewzruszony, i to tylko nie było dla mnie zagadką, że nie mogłem już marzyć o wycofaniu wyłożonych przez ciotkę pieniędzy. Opuściłem kancelarię kierując, kroki do mego mieszkania.

Staralem się wyobrazić sobie najgorsze, z najgorszym się oswajając i wytknąć sobie pewną linię postępowania wśród trudnych tych okoliczności, gdy dogonił mnie i zatrzymał się tuż obok jakiś pojazd. Podniosłem głowę. Ujrzałem wyciągniętą zza zasłony rękę i twarz, której widok napelniał mnie zawsze błogim wzruszeniem, odkąd ją po raz pierwszy ujrzałem pochyloną nad poręczą schodów starego domu, twarz przypominającą słodkie piękności na kościelnych malowane witrażach.

— Agnieszka! — zawołałem uszczęśliwiony. — Kochana moja Agnieszka! Co za miłe, w tej zwłaszcza chwili, spotkanie!

— Czy naprawdę? — spytała, witając mnie przyjaźnie.

— Tyle ci mam do powiedzenia — mówiłem. — Sam już twój widok napelnia mnie pociechą i otuchą. Gdybym posiadał czarodziejską różdżkę, ciebie bym chyba wzywał.

— Mnie?

— A tak, no, zaraz po Dorze — odrzekłem, rumieniąc się.

— Naturalnie, że się Dorze należy pierwszeństwo — zaśmiała się Agnieszka.

— Lecz ty następujesz tuż zaraz — dorzuciłem. — Gdzie jedziesz?

Jechała do mego mieszkania celem odwiedzenia mej ciotki, że zaś dzień był pogodny, wysiadła z powozu, który trącił, jak się mogłem przekonać, wsuwając głowę do środka, stajnię. Opląciłem dorożkarza, podałem jej ramię i poszliśmy razem. Na widok jej nadzieja wstąpiła mi w serce. Odkąd miałem ją u swego boku, czułem się odrodzony.

Otrzymała od ciotki mojej list lakoniczny, bankierski, taki, jakie ciotka zwykła była pisywać. Ciotka pisała, że popadła w nieszczęście, opuszcza Dover, rozejrzała się w swym położeniu i nie chciała by nikogo tym niepokoić i martwić. Po otrzymaniu tego listu Agnieszka natychmiast przybyła do Londynu, żeby widzieć się z ciotką, gdyż istniało między nimi długoletnie, w czasie mego pobytu pod dachem pana Wickfielda powstałe, przywiązanie. Do Londynu Agnieszka nie przybyła sama, byli z nią razem ojciec jej i Uriah Heep.

— Zawiązali spółkę. Niech go... — zakląłem.

— Tak — rzekła Agnieszka. — Przyjechali tu dla interesów, a ja z tego skorzystałam... Jednakże miałam na celu nie tylko odwiedzenie was i zadośćuczynienie żądaniom przyjaźni. Nie lubię, Trot (może to uprzedzenie z mej strony), ale nie lubię puszczać ojca samego z nim.

— Czy zawsze wywiera on ten sam wpływ na twego ojca? — spytałem.

Skinęła głową.

— U nas — rzekła — tyle teraz zmian zaszło, że trudno poznać stary nasz, kochany dom. Mieszkają z nami.

— Kto? — spytałem.

— Pan Heep ze swą matką. Zajął twój dawniejszy pokój, wiesz.

Mówiąc to, patrzała mi w oczy.

— Gdybym miał władzę nad jego snami, niedługo by tam sypiał — zawołałem.

— Ja zawsze ten sam, co dawniej, zajmuję pokój — ciągnęła Agnieszka. — Ten, w którym uczyłam się dawniej. Jakże czas szybko bieży! Pamiętasz! Pokoik z tafelkami, za salonem. Pamiętasz?

— Czy pamiętam! Pokoik, na którego progu ujrzałem cię po raz pierwszy, z pękiem kluczy u boku!

— Ten sam właśnie — uśmiechnęła się Agnieszka. — Miło mi, żeś zachował to w pamięci. Byliśmy wówczas tak szczęśliwi!

— Bardzo! — potwierdziłem.

— Chronię się jak mogę najczęściej w mym pokoiku — mówiła Agnieszka — nie zawsze jednak udaje mi się uniknąć pani Heep. Nieraz, gdy wolałabym być sama, zmuszona jestem dotrzymywać jej towarzystwa. Zresztą nie mogę się na nią skarżyć. Jeśli zanudza mnie ustawicznym hymnem pochwalnym na cześć swego syna, wybaczyć to trzeba jej matczynej słabości, tym bardziej że Uriah jest istotnie dobrym synem.

Patrzyłem na Agnieszkę, lecz nie mogłem dostrzec cienia domysłu co do zamiarów Uriaha. Wzrok miała niezmacony, łagodny, zwykły uśmiech okalał jej usta.

— Najgorsze w tym wszystkim — rzekła — że mnie ich bytność pod naszym dachem rozdziela z ojcem. Pomiędzy nami ciągle jest Uriah i to przeszkadza mi czuwać... nie, to za śmiało może wyrażenie... nie czuwać, lecz pielęgnować ojca. Jeśli na niego działają zdradliwe wpływy, mam nadzieję, że przywiązanie moje przewycięży je z czasem, bo wszak prawdziwe uczucie mocniejsze jest od wszelkich klęsk i od zła wszelkiego.

Przy słowach tych znikł uśmiech z ust Agnieszki, pogodne jej oblicze zamroczyło się, że zaś zbliżaliśmy się do mego mieszkania, spytała mnie, czy wiadome mi są okoliczności, które spowodowały ruinę mej ciotki. Na przeczącą mą odpowiedź zamyśliła się. Zdawało mi się, że czuję drżenie jej opartej o me ramię ręki.

Zastaliśmy ciotkę samą. Wzburzona była. Zaszło bowiem jakieś nieporozumienie, całkiem niezwiązane z ostatnimi wydarzeniami — szło, jeśli się nie mylę, o zamieszkiwanie w meblowych pokojach płci pięknej — pomiędzy nią a panią Crupp, po czym ciotka bez ceremonii i nie zważając na spazmy gospodyni, wyprawiła ją za drzwi, mówiąc jej wręcz, że trąci wódką. Sprawę tę pani Crupp wzięła do serca, grożąc odwołaniem się do państwowej sprawiedliwości.

Pomału jednak ciotka się uspokajała. Peggotty poprowadziła pana Dicka, by mu pokazać gwardyjskich jeźdźców. Widok Agnieszki ucieszył ciotkę. Gdy ta zdjęła kapelusz i usiadła pomiędzy nami, poczułem, jak błogo jest mieć ją przy sobie, jak dalece młode to dziewczę posiada zaufanie mej ciotki, ile w niej jest prostoty, szczerości, jak wierne i kochające ma serce.

Rozmawialiśmy o zmianie zaszłej w położeniu naszym, opowiedziałem o mych zamiarach i oporze, z jakim się spotkałem u mych pryncypałów.

— Postąpiłeś niestosownie — rzekła ciotka — lecz intencje twe były najlepsze. Poczciwy z ciebie chłopak! Mogę być z ciebie dumna. A teraz, kochane moje dzieci, rozważmy dobrze sprawę Betsey Trotwood.

Przy słowach tych Agnieszka zbladła, wpatrując się uważnie w ciotkę. Ciotka patrzyła też uważnie na nią, gładząc po grzbiecie kotkę.

— Betsey Trotwood — poczęła ciotka — nie o siostrze to twej mowa, Trot, lecz o mnie samej, która zwykła była zajmować się sama pieniężnymi swymi sprawami, posiadała pewien fundusik, wystarczający na jej utrzymanie, owszem, na którym, niewiele wydając, udawało się jej robić pewne oszczędności. Fundusik ten, za poradą swego prawnego doradcy, oparła na ziemi. Szło nieźle, procenty płacono regularnie, aż tu dnia pewnego zaświtało coś jej w głowie, zdawało się, że jest mądrszą od prawnika, doskonałego w swoim czasie prawnika, gdyż o twoim to, Agnieszko, mówię ojcu. Otóż Betsey chciała być mądrą, ściągnęła kapitał, umieściła w zagranicznym banku, w paskudnym, jak się okazało, banku — dodała ciotka, pocierając nos. — Otóż... straciła wszystko — mówiła po chwili dalej — do ostatniego grosza, z własnej winy. Bank ten był na końcu świata i tak się to wszystko skończyło. Nie ma co już o tym mówić.

Ciotka, mówiąc to, spoglądała triumfująco jakoś na Agnieszkę, której w miarę słów tych wracały na lica rumieńce.



— Czy tak istotnie, kochana pani? Czy to wszystko? — spytała Agnieszka.

— Wszystko! Jeszcze ci nie dosyć? Gdyby było jeszcze coś do stracenia, straciłoby się i to zapewne, ale że więcej nic już nie ma, więc i koniec historii.

Zrazu Agnieszka słuchała, dech wstrzymując, blednąc i rumieniąc się na przemian, teraz dopiero odetchnęła swobodniej. Domyślałem się! Biedaczka bała się, czy czasem to, co zaszło, nie stało się z winy jej nieszczęsnego ojca! Ciotka, śmiejąc się, ujęła obie jej dłonie.

— I oto wszystko! — powtórzyła. — Wszystko i chyba wypada mi dodać, jak w bajce... „i żyła szczęśliwa”. Może też dodam to kiedyś, a teraz, Agnieszko, radźmy. Głowę masz po temu, wiem to, a i ty, Trot, także, chociaż nie wypada mi wychwalać cię ciągle. Radźmy. Co mamy począć? Jest mój domek, ten przyniesie, przypuścmy, siedemdziesiąt funtów rocznie. Sądzę, że w tej cenie będzie można go odnajdąć. I oto wszystko! — skończyła ciotka. Gdy się raz rozgadała, z trudem jej przychodziło zatrzymać potok swej wymowy.

— Jest wprawdzie Dick — dodała po chwili wycieczki — to jest coś około stu funtów rocznie. Suma ta jednak nie może zostać wciągnięta w ogólny rachunek, gdyż musi być wydana na zaspokajanie jego osobistych potrzeb. Rozłączyłabym się z nim raczej, chociaż nikt oprócz mnie ocenić go nie potrafi, niż pozwoliłabym, żeby nie używał własnych pieniędzy na osobiste swe potrzeby. Cóż tedy mamy przedsięwziąć, ja i Trot? Jakie jest twoje zdanie, Agnieszko?

— Moje zdanie — wtrąciłem — jest takie, że to ja muszę coś przedsięwziąć.

— Co, może wstąpić do wojska czy do marynarki? — zawołała ciotka. — Słyszec o tym nie chcę. Zostaniesz proktorem, gdyż tak już postanowiono. Nie potrzebujemy więcej mundurów w rodzic. Nadto zaszczytu!

Chciałem właśnie wytłumaczyć, że nie miałem zamiaru obdarzać rodziny tego rodzaju zaszczytami, gdy Agnieszka przerwała mi pytaniem, na jak długo wynajmłem obecne swe mieszkanie.

— Słuszna jest twa uwaga, kochanko — odrzekła ciotka. — Mamy je jeszcze na pół roku, chyba że zdarzy się sposobność odnajęcia, na co liczyć nie można. Ostatni lokator umarł tu. Nie dziw! Baba ta w nankinowym kaftanie zadźrzyła na śmierć pięciu na sześciu. Mam jeszcze zresztą mały pieniężny zapas i zgadzam się z tobą, że najstosowniej będzie nam z Trotem mieszkać tu do upłynięcia terminu, wynajmując gdzieś izdebkę dla Dicka.

Obowiązkiem moim było zwrócić uwagę ciotki na nieprzyjemności, jakie na siebie ściągala, narażając się w ten sposób na ustawiczne zaczepki pani Crupp. Odpowiedziała mi, abym o to był spokojny, gdyż potrafi przy pierwszym wyzwaniu dać stosowną nauczkę, której zacna ta matrona nie zapomni do końca życia.

— Przychodzi mi na myśl — ozwała się nieśmiało, zwracając się do mnie, Agnieszka — że jeślibyś miał trochę czasu...

— Czasu mi nie brak, kochana Agnieszko. Kancelaryjne moje zajęcia kończą się zwykle o czwartej, a nadto ranki miewam swobodne. Tak czy owak — mówiłem, rumieniąc się na wspomnienie godzin, które przeżywałem po ulicach Londynu — czasu mam pod dostatkiem.

— Czy zgodziłbyś się tedy — rzekła, zniżając głos — podjąć się obowiązków sekretarza?

— Czy zgodziłbym się!

— Bo to widzisz — ciągnęła — doktor Strong uchylił się od nauczycielskiego zawodu, przeniósł się do Londynu i pytał ojca, czyby mu nie mógł następczyć sekretarza. Sądzę, że miło by mu było obowiązki te powierzyć ulubionemu niegdyś uczniowi, a i tobie także...

— Agnieszko — zawołałem — widzisz, jak mi niezbędnie potrzebna w życiu! Jesteś istotnie mym dobrym aniołem, w takim cię też zawsze widzę świetle.

Agnieszka, śmiejąc się i mając na myśli Dorę, odrzekła, że mi jeden anioł stróż powinien wystarczyć. Przypomniała mi też, że ponieważ doktor Strong miał zwyczaj pracować rano i późno wieczorem, wszystko składa się wybornie. Co do mnie, sam nie wiedziałem, co mi się bardziej uśmiechało: czy perspektywa zarabiania na życie, czy praca pod kierownictwem ukochanego mego nauczyciela. Idąc za radą Agnieszki, napisałem natychmiast list do doktora Stronga, zapowiadając mu się na godzinę dziesiątą nazajutrz rano. List za-

adresowałem do Highgate, mieszkał bowiem w tej pamiętnej mi miejscowości, po czym, nie tracąc czasu, wrzuciłem do skrzynki pocztowej.

Agnieszka miała to do siebie, że wszędzie, gdzie się znalazła, stawała się niezbędną. Gdy wróciłem, zastałem kanarki ciotki fruujące jak tam, w Dover, fotel mój przysunięty do okna, jak tam bywał przysunięty fotel ciotki, a na oknie rozłożony wielki zielony, z Dover przywieziony wachlarz. Wiedziałem, kto to wszystko urządził, chociaż zdawać by się mogło, że wszystko zrobiło się samo. Spojrzawszy na półki, domyśliłbym się też od razu, czyja dłoń uporządkowała moje książki, jeśliby nawet Agnieszka była o sto mil, nie zaś przy moim biurku, z uśmiechem spoglądająca na nieporządek, jaki tam panował.

Tamiza miała szczęście zadowolić ciotkę. Wyglądała wcale nieźle pod promieniami słońca, nie tak jednak, jak tam, w Dover, morze widziane z okien domku ciotki. Dla dymu, ścielącego się po ulicach Londynu, jak mawiała ciotka, i „przenikającego wszystko”, była pobłażliwa. W mieszkaniu moim, przy udziale Peggotty, przeprowadzono z tego powodu radykalny przewrót. Podziwiałem to właśnie, myśląc, z jakim to zwykle hałasem Peggotty dokonywała tego, co Agnieszka uczyniła po cichutku, gdy zapukano do drzwi.

— Ojciec! — rzekła Agnieszka, blednąc. — Obiecał mi, że przyjdzie.

Otworzyłem drzwi. Wszedł nie tylko sam pan Wickfield, był z nim i Uriah Heep. Od dość dawna nie widziałem pana Wickfielda, a chociaż z tego, com słyszał od Agnieszki, byłem przygotowany, że go zastanę zmienionym, zmiana w nim zaszła<sup>366</sup> uderzyła mnie jednak.

Nie to tylko, że postarzał, chociaż ubrany był ze zwykłą starannością, i nie to, że mu twarz pokrywał niezdrowy rumieniec, oczy miał przekrwione, a ręce drżały, do czego zresztą z dawien dawna przywykłem. Nie to, aby postradał coś ze swego dawnego sposobu bycia i powagi — w tym względzie nie zauważyłem żadnej zmiany. Uderzyła mnie przy właściwym mu poczuciu własnej wyższości pewna widoczna i aż lękliwa zależność od Uriaha Heepa. Tym razem role się zmieniły; widok Uriaha u władzy, a jego byłego pryncypała w tak upokarzającej od niego zależności, sprawił na mnie przygnębiające wrażenie. Widok mały przewodzącej człowiekowi nie byłby mi bardziej wstrętny.

Pan Wickfield musiał to rozumieć. Wszedłszy, opuścił głowę. Trwało to zaledwie mgnienie oka, gdyż Agnieszka podbiegła do niego, mówiąc łagodnie:

— Ojczu! Oto panna Trotwood i Trot, których od tak dawna nie widziałeś.

Zbliżył się do nas, powitał uprzejmie. Zauważyłem zjadliwy uśmiech na twarzy Uriaha. Agnieszka musiała to też zauważyć, gdyż odwróciła się od niego.

Co ciotka widziała, a czego nie widziała, tego nikt pono nie zgadnie. Sądzę, że nikt chyba nie potrafi być tak nieprzeniknionym jak ona. Gdy chciała, twarz umiała zachować kamienną, bez przebłysku żadnego wrażenia. Nagle, jak zwykle, przerwała milczenie.

— Jak się masz, Wickfieldzie! — rzekła, a prawnik po raz pierwszy podniósł wzrok na nią. — Opowiadałam właśnie twej córce, jak dobrze wyszłam, nie słuchając ciebie i sądząc, że rdzewiejesz w swym zawodzie, mój stary. Wzięłam na własną odpowiedzialność swe fundusze. Dobrze na tym wyszłam, nie ma co mówić. Naradzaliśmy się tu właśnie, co teraz mam począć? Twoja Agnieszka nie dla proporcji tylko ma głowę na karku.

— Pozwolę sobie najpokorniej zauważyć — wtrącił Uriah — że najzupełniej podziwiam zdanie szanownej pani! Najszczęśliwszy byłbym, jeśliby panna Agnieszka weszła do spółki.

— Zostałeś sam przecie wspólnikiem, to wystarczy! — sucho odparła ciotka. — Jakże ci się powodzi?

Słowa te i ton, którym były wymówione, zmieszały Uriaha. Mnąc nerwowo siny wreczek, który trzymał w ręku, odpowiedział pokornutko, że mu się dobrze powodzi i że spodziewa się, iż zastał pannę Trotwood w dobrym zdrowiu.

— A pan, panie Copperfield — zwrócił się do mnie — spodziewam się, że zastaję pana w dobrym zdrowiu? Miło mi widzieć pana nawet w obecnych okolicznościach, chociaż okoliczności te nie mogą zadowolić pańskich przyjaciół, ale pan wie dobrze, że nie pieniądz stanowi o wartości człowieka, ale... nie potrafię wyrazić tego tak dobrze, jakbym pragnął... O! Nie pieniądz!

<sup>366</sup>zaszły (daw.) — imiesłów przym.; znaczenie: „ten, który zaszedł, dokonał się”. [przypis edytorski]

Uściskał mi rękę, nie w zwykły jednak sposób, lecz stojąc w pewnej ode mnie odległości i wstrząsając mi rękę z góry na dół i z dołu w górę, jak gdyby pompował wodę u studni.

— Jakże pan nas znajduje, panie Copperfield? — pytał. — Prawda, że pan Wickfield wygląda świetnie, kwitnie, kwitnie! A nasza obecna firma? Lata nie przyniosły zmian, chyba tę, że pokorni i maluczcy, to jest matka moja i ja, zostaliśmy podwyższeni, a i to także, że się rozwinęła piękność panny Agnieszki.

Szarpał się i wykrzywił przy tym w taki sposób, że ciotka straciła cierpliwość.

— Niech go! — zawołała. — Co mu jest? Konwulsji dostał, co?

— Przepraszam panią, panno Trotwood — odparł Uriah. — Nie wiedziałem, że pani tak nerwowa.

— A to co nowego? — krzyknęła ciotka. — Ja nerwowa! Bynajmniej<sup>367</sup>, mój panie, bynajmniej. Wyglądasz jak węgorz, jeżeli chcesz wiedzieć. Wijesz się jak piskorz. Co do mnie, jaszczurcze te konwulsje gniewają mnie po prostu, chociaż bynajmniej nie działają na moje nerwy.

Pan Heep wyglądał na przerażonego. Któż by nie był przerażony podobnym potokiem słów i tonem, jakim były wypowiedziane! Na zakończenie ciotka odwróciła się od Uriaha, wzruszając ramionami.

Uriah wziął mnie na stronę.

— Wiem o tym, panie Copperfield — począł — że panna Trotwood, jakkolwiek jest nader szanowną osobą, bywa czasem nieco żywa. Pamiętam, wszak znałem ją, gdy byłem skromnym pisarzem w kancelarii pana Wickfielda. Pamiętam i nie dziwię się, jeśli obecne okoliczności zaostrzają jej temperament. Dziwić się raczej wypada, że znosi to wszystko tak heroicznie! Otóż chciałem powiedzieć panu, panie Copperfield, że pomimo to matka moja i ja albo Wickfield i Heep, jeśli tak się panu lepiej podoba, jesteśmy do usług panny Trotwood, o ile to będzie w naszej możliwości.

— Uriah Heep — wtrącił pan Wickfield głuchym głosem, w którym wyczuwało się przymus — zna się na rzeczy. Potwierdzam z góry wszelkie jego oświadczenia i zobowiązania. Wiesz zresztą, że od dawna nie jesteś mi obojętny, kochany Copperfieldzie. Niezależnie od osobistych mych sympatii, piszę się na każde zobowiązanie Uriaha.

— Och! Jaki to zaszczyt, jaka wielka nagroda za pracę posiąść podobne zaufanie! — zawołał Heep, wykrzywiając się i szarpiąc, pomimo otrzymanej dopiero co lekcji. — Cieszy mnie to tylko, panie Copperfield, że mogę mu dziś ulżyć trudu, być pomocą.

— Uriah Heep wielką mi jest pomocą — potwierdził tym samym głuchym głosem pan Wickfield. — Spadł mi niemały ciężar, odkąd dopuściłem go do spółki.

Czułem, że lis ten zmuszał prawnika, by wychwalał go tak przede mną. Nie spuszczał z nas oka, a na jego ustach wił się znany mi zjadliwy uśmiech.

— Odchodzisz, ojczu? — zawołała strwożona Agnieszka. — Spodziewałam się, że wrócimy razem, Trotwood nas odprowadzi.

Przypuszczam, że prawnik nie odpowiedziałby córce, nie zbadawszy pierwiej spojrzeniem, jakie jest w tej mierze zdanie jego współnika. Szczęściem Uriah uprzedził go.

— Nie opuściłbym państwa — rzekł — gdyby nie ważne interesy. Pozostawiam tu szanownego kolegę, jako przedstawiciela firmy. Ścielę się do stóp panny Agnieszki. Żegnaj panu, panie Copperfield, najniższy mój szacunek, panno Betsey Trotwood.

Przy słowach tych wyszedł, przesyłając nam ode drzwi jeszcze olbrzymią swą łapą poufale pozdrowienie.

Pozostaliśmy, rozmawiając przez parę godzin o dobrych starych czasach. Pan Wickfield, pozostawiony Agnieszce, pod jej wpływem odzyskiwał dawny humor, chociaż cień przygnębienia nie ustępował mu z czoła. Poweselał jednak, słuchając dawnych wspomnień wspólnego naszego niegdyś życia. Mówił, że mu się zdaje teraz, gdy pozostał sam ze mną i Agnieszką, jakoby nic się nie zmieniło, i że pragnie, aby tak mogło być istotnie. W spojrzeniu Agnieszki, w dotknięciu jej dłoni były czary działające w dziwny sposób na prawnika.

Ciotka, która przez cały ten czas była wraz z Peggotty oddana gospodarskim sprawom, nie chciała odprowadzać pana Wickfielda z córką, lecz wyprawiła mnie. Pozosta-

<sup>367</sup>bynajmniej — wcale (dosł.: jak najmniej). [przypis edytorski]

łem u przyjaciół mych na obiedzie. Po obiedzie Agnieszka usiadła przy ojcu, jak zwykła dawniej siadać, i naleła mu wina. Pił to, co mu podała, nie więcej, posłuszny jej jak dziecię. Wieczór spędziliśmy na rozmowie przy otwartym oknie. Gdy zapadł zmrok, prawnik położył się na kanapie, córka podsunęła mu pod głowę poduszki, a gdy się zbliżyła do okna, ujrzałem łzy w jej oczach.

Błagam Niebios, aby mi zachowały na zawsze wspomnienie słodkiego tego dziewczęcia i tego, czym mi była w życiu. Zapomnieć mógłbym chyba wraz z życiem, a i wówczas chciałbym lepiej tylko wszystko pamiętać i nie przestać myśleć o niej. Tyloma mnie natchnęła dobrymi zamiarami, tak wzmocniła i pokrzepiła! Przykładem i słowem kierowała wśród prób i trudności życiowych i jej to chyba zawdzięczam tę trochę dobra, które udało mi się w życiu spełnić, jej — uniknięcie niejednego zła i niebezpieczeństw, a pokus wielu.

Siedząc obok mnie w zmroku, w zagłębieniu okna, rozmawiała o Dorze. Słuchała pochwalnych mych hymnów, a światło bijące z czoła Agnieszki opromieniało czoło mej ukochanej wyrazem zdwojonej niewinności! O Agnieszko! Siostro! Towarzyszko dni mych chłopięcych, czemuż nie domyślałem się wówczas tego, o czym dowiedziałem się znacznie później!

Wychodząc spotkałem na ulicy żebraka. Gdym podnosił głowę do okna, skąd mi błyskało jeszcze łagodne spojrzenie Agnieszki, drgnąłem słysząc tuż obok siebie szepty ciche, żalony:

— Ślepy, ślepy, ślepy!

## ROZDZIAŁ XXXVI. ENTUZJAZM

Rozpocząłem dzień następny od zanurzenia się znów w zimnej wodzie w rzymskiej łaźni, po czym udałem się do Highgate. Nie byłem już tak przybity jak w dniu poprzednim. Nie straszył już mnie wytarty surdut i nie marzyłem o siwych rumakach. Zapatrywałem się na swe położenie z innego stanowiska. Obowiązkiem moim było przede wszystkim wywdziżyć się ciotce za jej starania i dobrodziejstwa, raźnie wziąć się do pracy. Obowiązkiem moim było zużytkować doświadczenie wczesnego mego dzieciństwa i utorować sobie drogę wśród przeciwności wszelkiego rodzaju, iść wytrwale i dotrzeć wreszcie do Dory. Myśląc tak, szedłem wprost przed siebie pewnym, śmiałym krokiem.

Wyszedłszy na drogę do Highgate i przypomniawszy sobie, wśród jakich marzeń zwykłem ją przedtem przebiegać, zrozumiałem całą zmianę zaszłą w mym życiu. Jednakże nie pognębiło mnie to bynajmniej<sup>368</sup>. Wraz ze zmianą położenia wznosiły się przede mną nowe cele; czekała mnie praca, ale i królewska za nią nagroda. Nagrodą tą miała być Dora. Zdobyć ją sobie musiałem.

Myśl ta wprawiła mnie w taki zachwyt, że żałowałem niemal, iż mam jeszcze całe na plecach ubranie. Ręce mi się rwały do usuwania piętrzących się na mej drodze przeciwności. Pragnąłem jak najprędzej wypróbować siły moje i o małym nie prosił człeka rozbijającego przydrożne kamienie o użyczenie mi młota i łomu, tak mi spieszo było rozbijać skały piętrzące się na drodze do Dory. Rozgrzałem się i zadyszałem, jak gdybym istotnie nie wiem jak ciężko pracował. W takim stanie doszedłem do wiejskiego domku, o którym wiedziałem, że był do wynajęcia. Czuję potrzebę zostać praktycznym, obejrzałem go tedy. Jak raz mógłby nam służyć, to jest Dorze i mnie. Był ogródek przed oknami, po którym Jip mógłby biegać swobodnie i szczekać na klientów zza sztachet, a na górze wyborny pokój dla ciotki. Oglądałem to kilkakrotnie, a pomimo to przybyłem godzinę wcześniej na miejsce. Miałem czas ochłonąć i uspokoić się nieco.

Ochłonąwszy, postanowiłem przede wszystkim odszukać doktora Stronga. Nie mieszkał on w tej samej stronie co pani Steerforth, nie mogłem jednak się oprzeć, by zrazu nie zwrócić się w tamtą stronę. Obszedłem ogród i przez kratę rzuciłem okiem na dom mego przyjaciela. Okienne w jego pokoju były zamknięte, lecz drzwi od oranżerii otwarte na oścież i Róża Dartle, z odsłoniętą głową, przechadzała się prędkim krokiem, podobna do owych dzikich zwierząt, co przemierzają wciąż swe klatki.

Odszedłem zasmucony, ze ściśniętym sercem. Kościół wieńczący obecnie wzgórze nie istniał podówczas jeszcze, nie było tedy zegara, który by mi dał miarę czasu. Na miejscu

<sup>368</sup>bynajmniej — wcale (dosł.: jak najmniej). [przypis edytorski]

tym stał dom ceglany, w którym mieściła się szkoła. Dom ten, o ile sobie przypominam, przyjemne robił wrażenie.

Zbliżając się do willi doktora (śliczny to był domek, którego odnowienie i upiększenie sporo go kosztować musiało!) ujrzałem doktora we własnej osobie. Przechadzał się po ścieżce w ogrodzie, zupełnie jak za szkolnych moich czasów. Dokoła miał też starych swych towarzyszy: drzewa wysokie i parę gawronów przypatrujących mu się ciekawie i skaczących po trawniku. Wiedząc, że na próżno starałbym się zwrócić na siebie z takiej odległości jego uwagę, wszedłem przez furtkę do ogrodu i spotkałem go na zakręcie ścieżki. Przez chwilę patrzył na mnie z roztargnieniem, widocznie myśli miał zajęte czym innym, po chwili dopiero poznał mnie, uśmiechnął się z zadowoleniem i wyciągając do mnie obie dłonie:

— Kochany Copperfieldzie! — zawołał. — Wyszedłeś na człowieka! Jakże mi miło widzieć ciebie! Zmieniłeś się na korzyść! Jakże mi miło!

Witałem go z wylaniem<sup>369</sup>, pytając o jego i pani Strong zdrowie.

— Zdrow jestem — odpowiedział — i Annie zdrowa. Ucieszy się twym widokiem! Zawsze cię lubiła, mówiła mi to jeszcze wczoraj wieczorem, gdy mi jej pokazała twój list. Pamiętasz Jacka Maldona? Przypominasz go sobie?

— Doskonale.

— Zapewne i temu dobrze się powodzi.

— Więc wrócił? — spytałem.

— Z Indii? — odrzekł doktor. — Wrócił. Nie znosił tamtejszego klimatu. Pani Markleham... przypominasz ją sobie?

Któż by ją mógł zapomnieć! I to tak prędko!

— Pani Markleham niepokoiła się ciągle o swego krewniaka, sprowadziliśmy go tedy z powrotem i wystaraliśmy się tu o miejsce, które mu bardziej przypada do smaku.

Znałem o tyle Jacka Maldona, że domyśliłem się od razu, iż „miejsce” to nie wymagało zapewne wielkiego nakładu pracy. Doktor, przechadzając się oparty na mym ramieniu, spoglądając na mnie łagodnym wzrokiem, ciągnął dalej:

— A teraz, kochany Copperfieldzie, co do twej propozycji. Uśmiecha mi się niesłychanie, lecz czy nie mógłbyś przedsięwziąć czegoś korzystniejszego dla siebie? Nie brak ci zdolności, masz dostateczne przygotowanie, fundament pod gmach przyszłości. Czy nie szkoda twego czasu na pracę podobną tej, którą ja cię obarczyć mogę?

Zarumieniłem się i zbyt może patetycznym tonem powtórzyłem mu prośbę, dodając, że mam już stały zawód.

— Prawda — zauważył doktor — masz zawód, ale mieć go i pracować nad nim są to jeszcze dwie różne rzeczy. Zresztą, czymże być może dla ciebie, mój drogi, siedemdziesiąt funtów honorarium rocznie?

— Podwoi to nasz obecny dochód — odrzekłem.

— Czyż tak? — zawołał doktor. — Smutno słyszeć! Zresztą, to niezupełnie siedemdziesiąt funtów rocznie, gdyż mam zamiar dodać pewną nagrodę młodzieńcowi, który ze mną będzie pracować — mówił, opierając się na mym ramieniu.

— Kochany mistrzu! — rzekłem. — Winienem ci już tyle...

— Nie, nie! — przerwał mi.

— Prawdziwym będzie dla mnie szczęściem — kończyłem — ofiarować na twe usługi poranki i wieczory, jeśli sądzisz, że takowe warte są siedemdziesiąt funtów razem.

— Bo to widzisz — mówił doktor — takie liche wynagrodzenie za taką wielką pracę. No, no! Nie wiążę cię niczym. Rzucisz mnie, gdy ci się trafi coś lepszego. Co? Daj mi słowo. Wiesz, że zawsze rozwijałem w uczniach mych poczucie honoru.

— Słowo honoru — odrzekłem, jak za szkolnych bywało czasów.

— Tak, to zgoda — zawołał doktor, uderzając mnie po ramieniu. Nie przerywaliśmy przechadzki.

— Stokroć byłbym szczęśliwszy — rzekłem, popadając w niewinne pochlebstwo — jeślibym został użyty do słownika.

Doktor zatrzymał się z uśmiechem. Poklepał mnie po ramieniu i zawołał z triumfem:

— Zgadłeś, mój drogi! Idzie tu właśnie o słownik.

<sup>369</sup>z wylaniem — wylewnie; okazując serdeczność. [przypis edytorski]

Mogł<sup>370</sup> chodzić o co innego? Słownikiem nabitą miał głowę i kieszenie, wylał mu on zewsząd. Upewniał, że odkąd wystąpił z nauczycielskiego zawodu, praca nad słownikiem postępuje szybko, zadziwiająco szybko, a godziny, które mogłem na to poświęcić: poranne i wieczorne, odpowiadały mu właśnie wybornie. W dzień zwykł był przechadzać się i układać notatki. Papiery jego były zresztą w nieładzie, gdyż Jack Maldon ofiarował mu wprawdzie swe usługi, lecz nie miał potrzebnej w takich rzeczach wprawy. Doprowadziliśmy to wkrótce do pozornego porządku i dopiero później, wszedłszy w bieg pracy, zauważyłem, ilu trudnościami poprzednik mój zasiał mi drogę. Nie tylko popełniał tysiące omyłek, lecz rękopisy doktora pokrył taką ilością sylwetek pięknych kobiecych twarzy i wytwornych oficerskich postaci, że wybrnąć nieraz nie mógł z labiryntu nic ze słownikiem wspólnego niemających przedmiotów.

Doktor był niesłychanie ze mnie zadowolony. Umówiliśmy się, że co dzień rano przychodzić będę na parę godzin, jako też na dwie, trzy godziny wieczorem, z wyłączeniem sobotniego wieczoru i całej niedzieli.

Warunki te uważałem za nader dla siebie dogodne. Umówiwszy się tak, doktor poprowadził mnie do siebie celem przedstawienia swej żonie. Zastaliśmy ją w gabinecie męża, opylała<sup>371</sup> książki, do których nikt, oprócz niej, nie miał prawa się dotknąć.

Opóźnili umyślnie śniadanie i zasiedliśmy razem do stołu. Zaledwie zaczęliśmy jeść, twarz doktorowej, bardziej jeszcze niż odległe dźwięki, oznajmiła mi o zbliżaniu się jeźdźca. Istotnie, wjechał na dziedziniec, po czym przywiązawszy konia do sztachet ogrodu, z zarzuconą na ramię uzdą, ze szpicrutą w rękę, zupełnie jak u siebie w domu, wkroczył do stołowego pokoju. Był to pan Jack Maldon. Indie nie zmieniły go bynajmniej<sup>372</sup> na korzyść. Byłem zresztą w tym czasie wrogo nastawiony względem wszystkich młodzieńców niepracujących z młotem w dłoni, w pocie czoła, tym samym Jack Maldon nie mógł wyrzucić na mnie pochlebnego wrażenia.

— Panie Jacku — ozwał się doktor — Copperfield!

Zamieniliśmy uścisk dłoni, niezbyt gorący co prawda, udzielony mi z pewnym odzieniem protekcyjności przez nowo przybyłego. Odcień ów zresztą nie tylko do mnie się stosował, zniknął jednak zupełnie wobec samej Annie.

— Czy pan już po śniadaniu? — spytał doktor.

— Rzadko kiedy jadam śniadanie — odrzekł, wyciągając się niedbale na fotelu. — Tak to mnie nudzi!

— Co słyhać nowego? — spytał znów gospodarz domu.

— Najzupełniej nic nie wiem. Aha! W North panuje głód i powstały stąd zaburzenia. Motłoch zawsze bywa głodny i zawsze się burzy.

Doktor zamyślił się. Po chwili, chcąc widać zmienić przedmiot rozmowy, odezwał się:

— Nic nowego! Brak wiadomości to właśnie — jak mówią — dobre wiadomości.

— A! Jest tam jeszcze w gazetach długie sprawozdanie o jakimś morderstwie. Zawsze ktoś bywa zamordowany. Nie czytałem nawet tego.

Obojętność na wszystko nie była jeszcze w one czasy uważana za oznakę wyższości, jak to można zauważyć obecnie. Teraz w największej to jest modzie. Dziś na każdym kroku spotykam panów i panie, zwiniętych w sobie jak gąsienice i szczyjących się tym, że ich nic wzruszyć i z tego stanu martwej obojętności wywieść nie zdoła. Dawniej mniej to było rozpowszechnione, toteż słowa i sposób bycia pana Jacka Maldona dziwiły mnie tym bardziej i bynajmniej<sup>373</sup> nie poprawiały opinii, jaką wyrobiłem sobie o tym młodzieńcu.

— Przybyłem — mówił — dowiedzieć się, czy Annie życzy sobie być dziś wieczorem na operze. Ostatnie to dobre w tym sezonie przedstawienie i warto słyszeć tę śpiewaczkę. Wyborna a doskonale przy tym szpetna — skończył, znów pogrążając się w obojętności.

Doktorowi uśmiechało się wszystko, co mogło być dla jego żony rozrywką.

— Musisz pojechać, Annie, musisz.

— Wolalabym pozostać w domu — odrzekła Annie.

<sup>370</sup>mogł<sup>oż</sup> — konstrukcja z partykułą *-że* nadającą znaczenie pytania retorycznego; inaczej: czy mogło, czyż mogło. [przypis edytorski]

<sup>371</sup>opylać — odkurzać. [przypis edytorski]

<sup>372</sup>bynajmniej — wcale (dosł.: jak najmniej). [przypis edytorski]

<sup>373</sup>bynajmniej — wcale (dosł.: jak najmniej). [przypis edytorski]

Nie patrząc wcale na swego krewniaka, zwróciła się do mnie, wypytując o Agnieszkę, czy zamierzam ją odwiedzić i kiedy. Była zaś tak wzruszona, że chyba tylko człek tak zaślepiony, jak doktor, mógł tego nie zauważyć.

Nie zauważył jednak. Owszem, wmawiał w nią, że będąc młodą, potrzebuje rozrywki i nie powinna zagrzebywać się u boku starego grzyba. Posłyszysz nową śpiewaczkę, a potem odśpiewa mu słyszane piosenki. Nie słysząc, nie mogłaby przecie tego uczynić. W ten sposób skłaniał żonę do przyjęcia propozycji krewniaka, którego zaprosił na obiad. Maldon odjechał wkrótce, zapewne do swych zajęć, z miną zupełnie rozleniwionego i znudzonego człowieka.

Ciekawy byłem nazajutrz, czy Annie dała się namówić do teatru. Nie, nie dała się namówić. Po południu odwiedziła Agnieszkę i namówiła męża, by jej towarzyszył. Wracali pieszo, wieczór był prześliczny. Myślałem o tym, gdzie by się udała, jeśliby przypadkiem Agnieszki tego dnia nie było w mieście. Wywieriała ona i na doktorową swój zbawczy wpływ.

Annie nie wyglądała na szczęśliwą. Nieraz pytałem siebie, czy szczerzy, czy przewrotny jest wyraz jej twarzy. Przypatrywać się jej mogłem swobodnie, gdyż zwykle siadywała przy oknie, gdyśmy pracowali z doktorem, lub przygotowywała śniadanie, któreśmy spożywali<sup>374</sup>, nie odrywając się od roboty. Gdy o dziewiątej odchodziłem, zostawiałem ją zwykle klęczącą u kolan męża i zapinającą mu kamasze. Na twarz jej padał cień od zielonych, za niskim oknem wijących się liści, a ja przez całą drogę do Commons myślałem o owym wieczorze w Canterbury, gdym ją widział tak samo u nóg czytającego męża.

Cały dzień miałem zajęty. Wstawałem o piątej rano, a wracałem do domu dopiero o dziewiątej lub dziesiątej wieczorem. Cieszyło to mnie, zdawało mi się ciągle, że praca zbliża mnie do mego celu, do Dory. Nie odkryłem przed nią jeszcze zaszłej w mym położeniu zmiany. Wiedząc, że za dni kilka wybiera się w odwiedzin do panny Mills, zamierzałem wszystko ustnie jej powiedzieć. W listach, pisywanych za pośrednictwem dobrej panny Mills, wzmiankowałem tylko, że mam jej wiele do powiedzenia. Tymczasem wyrzekłem się pomady, wody lawendowej i zdobyłem się na prawdziwą ofiarę, sprzedając trzy zbytłowne i eleganckie kamizelki.

Niezadowolony z tego wszystkiego i trawiony gorączką czynu, udałem się do Traddlesa. Mieszkał on teraz za przepierzeniem w domu przy Castle Street, Holborn. Wziąłem z sobą pana Dicka, który mi już parę razy towarzyszył na Highgate, odnawiając znajomość z doktorem, gdyż zmartwiony złym stanem interesów ciotki i przekonany najmocniej, że Murzyn i kajdaniarz mniej są ode mnie zapracowani, gryźł się tym, tracił apetyt i wiał w beczynności. W takim nastroju sławny memoriał nie mógł być wykończony i im zawzięciej pan Dick nad nim pracował, tym częściej wypływała na wierzch głowa nieszczęsnego Karola I. Przekonany, że stan jego pogorszy się, jeśli nie uda się wmówić weń, że jest użyteczny i w taki lub inny sposób pomaga nam w trudnych okolicznościach, chciałem spróbować, czy czasem Traddles nie będzie mi w tym względzie przydatny. Pisałem mu już o wszystkim, co zaszło, i otrzymałem odpowiedź pełną współczucia, przyjaźni i poczciwości.

Zastaliśmy Traddlesa przy robocie, nad stosem papierów. Nieco świeżości przydała pokoikowi żardinierka i mały okrągły stolik w kącie. Traddles przyjął nas przyjaźnie, a zwykła jego uprzejmość zdwojona jeszcze została względem pana Dicka. Pan Dick utrzymywał, że go musiał przedtem już spotykać.

— Prawdopodobnie — uspokoił mi go jednocześnie.

Przed wszystkim chciałem zasięgnąć rady Traddlesa w następującej sprawie: słyszałem, że wielu znakomitych ludzi zaczynało karierę od pisania sprawozdań z posiedzeń parlamentu, że zaś wiedziałem o pewnych związkach Traddlesa z dziennikarstwem, zapytywałem go w mym liście, co o tym sądzi. Teraz właśnie objaśniał mi, sam się dokładnie wywiedziawszy, że wprawa w streszczaniu i stenografowaniu tych rzeczy jest równie trudna, a może i trudniejsza do nabycia niż znajomość sześciu języków, dojść zaś do niej można, przy pracy, po kilku dopiero latach. Bądź co bądź, mogłem próbować. W zapale mym trudności mnie nie zrażały.

<sup>374</sup>któreśmy spożywali — inaczej: które spożywaliśmy (konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika). [przypis edytorski]

— Dziękuję ci, kochany przyjacielu — rzekłem. — Od jutra zaczynam.

Traddles zdawał się zdziwiony. Nie zmierzył jeszcze rozciągłości mego entuzjazmu.

— Natychmiast — mówiłem — kupuję sobie podręcznik i uczę się w Commons, gdzie niewiele mam do roboty. Będę stenografował tamtejsze sprawozdania dla wprawy.

Traddles szeroko otworzył oczy.

— Nie domyślałem się w tobie podobnej energii — zauważył.

Nie odpowiadając nic na to, zwróciłem rozmowę na pana Dicka.

— Pomyśl pan, panie Traddles, do czego byłbym zdolny — wmieszał się ten ostatni.

— Mogę bębnić, ano i dąć potrafię.

Muzykalne te umiejętności uśmiechały się biedakowi. Traddles odrzekł mu z największą powagą:

— Ale pan jest, o ile wiem od Copperfielda, doskonałym kaligrafem.

— Wyborym! — potwierdziłem, mówiąc zresztą prawdę; pan Dick miał pismo czytelne i piękne.

— Mógłbym panu dostarczyć przepisywania.

Pan Dick spojrzał wątpiaco na mnie:

— E, Trotwood? — spytał.

Potrząsnąłem głową, on też potrząsnął głową z westchnieniem.

— Opowiedz mu o memoriale — rzekł cicho.

Opowiedziałem Traddlesowi, jak to ów nieszczęsny Karol I bruździ memu przyjacielowi, płacząc się mu pod piórem. Pan Dick patrzył smutno na Traddlesa, trzymając w ustach wskazujący palec.

— Ale — rzekł z powagą Traddles — rękopisy, o których mówię, są gotowe, skończone, pan Dick nie miałby może z nimi zbyt wiele pracy. W każdym razie warto spróbować.

Nadzieja wstąpiła w serce starego mego przyjaciela. Odeszliśmy z Traddlesem na bok, aby ułożyć plan, wedle którego pan Dick miał rozpocząć nazajutrz pracę.

W mieszkaniu mym przy Buckingham Street postawiliśmy koło okna dwa stoły, kładąc na jednym akty, które pan Dick miał przepisywać, na drugim zaś słynny ów memoriał, z którym nie mógł sobie poradzić. Zleciliśmy mu, aby pierwsze przepisywał, wiernie trzymając się tekstu, a gdy mu przyjdzie chętka zboczyć w kierunku Karola I, wracał do swego memoriału. Powtórzyliśmy mu kilkakrotnie to zlecenie, pozostawiając go na opiece ciotki. Ciotka opowiadała nam potem, że zrazu co chwila zwracał się do memoriału, po jakimś jednak czasie zmęczyło go to widać i znudziło, gdyż oddał się przepisywaniu, pozostawiając memoriał, jak mówił, na potem, do stosowniejszej pory. Dość że, chociaż dawaliśmy mu wprawdzie łatwe do przepisywania rzeczy i sporo przeszło czasu, nim się w to wdrożył, chociaż nie obeszło się bez omyłek i namarnował tyle papieru, co początkujący poeta, do niedzieli zarobił dziesięć szylingów. Nie zapomnę nigdy zadowolenia, z jakim zmieniał w pobliskich sklepikach skarb swój na sześciopensowe monety. Ułożywszy pieniądze w kształt serca na największej, jaka się znalazła, tacy, podał ciotce ze łzami rozrzewnienia i dumy. Zdawało się, że przekonanie, iż się stał użytecznym, działa nań magicznie. Jedno pewne — w dniu owym to biedne i wdzięczne stworzenie było najszczęśliwszym pod słońcem człowiekiem, który uważał ciotkę swoją za najznakomitszą w świecie kobietę, mnie zaś za najznakomitszego młodziana.

— Nie umrzemy teraz z głodu, nie umrzemy — upewniał, ściskając mi dłonie. — Ja będę na nią pracował — dodawał, klaszcząc w ręce.

Traddles zdawał się być nie mniej zadowolony. Nagle, wyjmując list jakiś z kieszeni, zawołał:

— O mało nie zapomniałem zlecenia pana Micawbera.

Pan Micawber nie pomijał nigdy sposobności pisywania listów. Ten, zaadresowany do mnie, nosił nadto na kopercie napis:

Przez grzeczność Pana T. Traddlesa, Esquire<sup>375</sup>.

List brzmiał jak następuje:

<sup>375</sup>Esquire (ang.) — tytuł grzecznościowy: Wielmożny Pan. [przypis edytorski]



Kochany Copperfieldzie! Domyślasz się zapewne, że w położeniu mym zajść musiała jakaś zmiana, mówiłem ci bowiem, przy ostatnim naszym spotkaniu, że oczekuję zmiany pomyślnej z dnia na dzień. Właśnie zamierzam osiąść w jednym z prowincjonalnych miast naszej błogosławionej wyspy. W społeczeństwie tamtejszym żywioł rolniczy miesza się z żywiołem duchownym; co do mnie, zawód mój ściśle związany będzie z nauką. Pani Micawber naturalnie towarzyszy mi wraz z potomstwem naszym. Prochy nasze kiedyś odnalezione prawdopodobnie zostaną na zgliszczach starego cmentarzyska, gdyż miejsce, o którym mówią, sławne jest od Chin do Peru. Opuszczając nowożytny ten Babilon, w którym niejedno spotkało nas niepowodzenie, opuszczając go na lata długie, jeśli nie na zawsze, tak ja, jak pani Micawber pamiętamy, że pozostawiamy tu istotę ściśle związaną z domowym naszym ogniskiem. Jeśli w wigilię naszego odjazdu zechcesz towarzyszyć przyjacielowi naszemu, Panu Traddlesowi, do naszej skromnej siedziby, wyświadczysz istotną łaskę.

*Temu,  
Co pozostaje  
Na zawsze  
Ci oddany,*

*Wilkinsowi Micawber.*

Ucieszyłem się wieścią, że się coś wreszcie istotnie zmieniło na pomyślniejsze w życiu państwa Micawber. Dowiedziawszy się zaś od Traddlesa, że zaproszenie było na ten sam dzień, udałem się z nim razem do ich mieszkania przy Gray's Inn Road.

Mieszkanie było tak ciasne, że zastałem bliźnięta (mieli teraz po lat osiem czy dziewięć) śpiące w bawialnym pokoju, gdzie pan Micawber przygotowywał ulubiony swój napój. Przy tej sposobności miałem przyjemność odnowić znajomość z panem Micawberem młodszym, w wieku lat dwunastu czy trzynastu, obdarzonym tą szczególną ruchliwością, którą odznaczają się wszyscy niemal jego rówieśnicy. Przedstawiony też zostałem pannie Micawber, w której, wedle wyrażenia jej ojca, pani Micawber odradzała się jak Feniks z popiołów.

— Kochany Copperfieldzie — wołał gospodarz domu — zastajecie nas z panem Traddlesem na wyjeźdźnym, darujcie mały nieład w domu.

Oglądając się po pokoju, spostrzegłem, że istotnie rzeczy były już spakowane, pak zresztą było niewiele. Winszowałem pani Micawber zmiany.

— Nie wątpię — odrzekła — kochany panie Copperfield, o pańskiej przychylności, wiem, że się pan interesuje wszystkim, co nas dotyczy. Rodzina moja może nazywać to wygnaniem, jeśli się jej tak podoba, lecz matką jestem i żoną i nie opuszczę, nie, nie opuszczę nigdy mego męża.

Traddles, wezwany na świadka spojrzeniem pani Micawber, potwierdził to skinieniem głowy.

— Takie jest zresztą moje zapatrywanie się na rzeczy — ciągnęła — od chwili, kiedy przed ołtarzem ślubowała: „Ja, Emma, biorę sobie ciebie, Wilkinsa”. Nie dawniej, jak wczoraj wieczorem, odczytywałam słowa małżeńskiej przysięgi i przysłałam do wniosku, że nie opuszczę nigdy mego męża. Tak, chociażby zapatrywanie się moje na słowa przysięgi było błędne, powtarzam, nie opuszczę go nigdy.

— Kochanie — przerwał jej zniecierpliwiony małżonek. — Zdaje mi się, że cię nikt o nic podobnego nie posądza.

— Wiem o tym, panie Copperfield — ciągnęła dalej — że drogi moje wiodą mnie teraz na obczyznę, a i to wiem, że liczni członkowie rodziny mojej, którym pan Micawber listami oznajmił o naszym postanowieniu, nie raczyli nam nawet odpowiedzieć. Jestem może przesądna, lecz nabrałam przekonania, że pan Micawber jest skazany na nieotrzymywanie odpowiedzi na mnogie listy, które rozpisuje na wsze<sup>376</sup> strony. Milcze-

<sup>376</sup>wsze (daw.) — skrócone od: wszystkie. [przypis edytorski]

nie rodziny mojej jest jasnym dowodem, że nie pochwała ona naszych zamysłów, lecz to mnie nie zawróci z drogi obowiązku. Nie dokazaliby nawet tego papa mój i mama, gdyby jeszcze żyli.

Ośmieliłem się zauważyć, że miała zupełną w tym słuszność.

— Nie bez ofiary — ciągnęła — przyjdzie mi się zagrzebać w diecezjalnym mieście, nie bez ofiary, tym cięższej jeszcze dla człeka z takimi, jak mąż mój, zdolnościami.

— O! Osiedlacie się państwo w diecezjalnym mieście? — zawołałem.

Pan Micawber, częstując nas gotowym już ponczem, odrzekł:

— Tak, w Canterbury. Umówiłem się z przyjacielem naszym, Heepem, przy którym spełniać mam szacny obowiązek zaufanego sekretarza.

Zdziwienie moje zdawało się bawić nieskończenie pana Micawbera.

— Przyznać muszę — mówił — że przy omawianiu tego interesu wielce pomocne mi były rozwaga i przenikliwość mej żony. Rękawica, o której niegdyś, jeśli to sobie przypominacie, panowie, żona moja mówiła, została rzucona i podjęta przez przyjaciela naszego, pana Heepa. O! Przyjaciel ten nasz posiada znakomicie bystry umysł! Szanuję go niesłychanie. Pan Heep nie ustalił wprawdzie ostatecznej cyfry wynagrodzenia za pomoc, do jakiej mnie wzywa, lecz zrobił już wiele, ratując nas w smutnym obecnym naszym położeniu. Honoraria pozostaną na wysokości położonych zasług. O! Zasług! Nie chwając się, przyznać sobie muszę niepospolite zdolności, które złożę na ołtarzu obowiązku, wdzięczności i przyjaźni. Posiadam już pewną znajomość prawa, występowałem bowiem w niejednym cywilnym procesie, mam zresztą zamiar wziąć się niezwłocznie do komentowania jednego z najświetniejszych naszych jurystów. Zbytecznym jest dodać, że mam na myśli pana Blackstone.

Rozważania te przerywane były uwagami pani Micawber, skierowanymi do młodego pana Micawbera. Siedział z podwinętymi nogami, rozpiął się na stole, popychał pod stołem Traddlesa, deptał po nogach lub własne swe piszczele wyciągał tak daleko, jak gdyby wcale nie należały do niego. Włosy mu opadały aż w kieliszek, słowem, wydarzały mu się ustawicznie szczególniejsze jakieś, bacznym okiem matki pochwycone wypadki. Młody Micawber uwagi te przyjmował nader kwaśno, co zaś do mnie, podziwiałem zamiary pana Micawbera, nie rozumiejąc dobrze, do czego go dowieść mają. Wreszcie pani Micawber sprawę tę wyjaśniła.

— Gdy zaklinałam męża — rzekła — by działał rozważnie, miałam na myśli nie tę niższą gałąź prawną, lecz same wierzchołki olbrzymiego dębu, przekonana bowiem jestem, że mąż mój, gdy raz wstąpi w szranki tak odpowiednie swym uzdolnieniom, niebawem dojdzie wysoko, zostanie... jak to, panie Traddles, wyrazić?... zostanie sędzią lub kanclerzem. Wszak droga, na jaką mąż mój obecnie wchodzi, nie zamyka drogi do tych zawodów?

— Kochanie — przerwał mąż jej, spoglądając też na Traddlesa — mamy dość jeszcze czasu na rozstrzygnięcie podobnych kwestii.

— Mylisz się, mężu — odrzekła stanowczo — i największą twą wadą jest to właśnie, że nie bywasz dostatecznie przezorny. Jeśli nie dla siebie, to dla rodziny swej winienesz opierać wzrok na ostatnim punkcie horyzontów, jakie ci twoje otwierają zdolności.

Pan Micawber odkaslnął, z wyrazem zupełnego zadowolenia połknął kilka haustów ponczu, spoglądając przy tym ciągle na Traddlesa, jak gdyby go pytał o zdanie.

— Rzecz w tym... — zaczął Traddles łagodnie. — Rozumiem praktyczną, że tak powiem, stronę kwestii.

— Właśnie tak! — potwierdziła pani Micawber. — Tak, kochany panie, i ja jestem przede wszystkim praktyczna w kwestiach tej wagi.

— Otóż praktyczną stroną jest, jeśliby nawet pan Micawber był adwokatem...

— Właśnie tak — potwierdziła pani Micawber i zwracając się do syna dodała — Wilkins, oczy kosisz<sup>377</sup>, zobaczysz, że ci się na dobre skrzywią.

— ...nie miało to by nic wspólnego z sędziostwem czy czymś podobnym — kończył Traddles. — Tylko że dla jurystów drogi te stoją otworem, a pan Micawber nie może zostać jurystą, nie odbywszy na uniwersytecie czteroletniego kursu...

<sup>377</sup>oczy kosić — zezować. [przypis edytorski]

— Więc rozumiałam pana — przerwała mu pani Micawber z powagą — rozumiałam, że po upływie tego właśnie czasu mąż mój może zostać sędzią lub kanclerzem. Czy tak?

— Mógłby zostać, jeśli go wybiorą — odrzekł Traddles, kładąc nacisk na ostatnie słowo.

— Dziękuję panu — rzekła pani Micawber. — Doskonale rzecz tę rozumiem, a sumienie moje najzupełniej już jest zaspokojone tym, że, wchodząc w nowy zawód, mąż mój nie nadużyje przywileju. Mówię naturalnie jako kobieta i nie wyrażam się może dość ściśle, lecz byłam zawsze tego zdania, iż mąż mój posiada w najwyższym stopniu te właśnie zdolności, które nieboszczyk papa mój, gdym była jeszcze w domu, uznawał za najważniejsze... tak właśnie, za najważniejsze. Obecnie mąż mój wchodzi w zawód, w którym te wrodzone przymioty rozwiną się i szybko wysadzą go na przodujące miejsce.

Przy słowach tych pan Micawber wyglądał tak zupełnie, jak gdyby się już widział w kanclerskim fotelu. Potarł ręką łysinę i odezwał się z westchnieniem skromnej rezygnacji:

— Niepotrzebnie, kochanie, uprzedzamy wyroki Opatrzności. Jeśli mam przywdziać perukę, to istotnie, fizycznie mówiąc, przygotowany jestem do tego należycie. Nie opląkuję też zbytecznie utraconych kędziorów. Przyroda najlepiej wie, co robi. Przejdźmy do innego przedmiotu. Syna mego, kochany Copperfieldzie, przeznaczam do stanu duchownego. Wyznam, że marzę dla niego o purpurze lub fioletach.

— Do stanu duchownego? — powtórzyłem, mając ciągle w myśli Uriaha.

— Tak jest. Pyszny ma głos, zacznie karierę od śpiewania w chórach. Osiedlenie się nasze w diecezjalnym mieście, stosunki, jakie tam nawiążemy, ułatwią mu to znakomicie.

Spojrawszy na młodego Micawbera, zauważyłem, że głos jego był niby wypisany na jego czole, huknął nam tedy wesołą piosenkę. Powinszowawszy mu talentu, wróciliśmy do uprzedniej rozmowy. Miałem myśl tak zaprzątniętą własnymi mymi kłopotami, że aż się zwierzyłem z nich pani Micawber. Nie potrafię nawet wyrazić radości obojga tych państwa na wieść o ruinie mej ciotki. Wprawilo to ich w wyborny humor, zdwoiło też zresztą i oznaki przyjaźni, jakimi mnie obsypywali.

Gdy poncz był już niemal na wyczerpaniu, zwróciłem się do Traddlesa, mówiąc, że nie wypada nam pożegnać naszych przyjaciół, nie wychyliwszy toastu na cześć ich powodzenia. Pan Micawber nalał resztkę w kielichy, uściskaliśmy sobie ręce i z kolei ucałowałem panią Micawber składając jej najlepsze nasze życzenia wszelkiego dobra. Traddles, idąc za moim przykładem w pierwszym wypadku, w drugim powstrzymał się od demonstracji, nieusprawiedliwiony tak starą, jak moja z panią Micawber, znajomością.

— Kochany Copperfieldzie — podjął pan Micawber, powstając z miejsca, oba wielkie palce trzymając założone w kieszonki kamizelki — kochany Copperfieldzie, towarzyszu mej młodości, i ty, wielce szanowny przyjacielu mój, Traddlesie! Pozwólcie, abym w imieniu własnym, tu obecnej żony mej, potomstwa naszego złożył wam najgorętsze podziękowanie za dobre życzenia, jakimi nas obdarzyć raczyliście w przeddzień wyjazdu i rozstania. — Pan Micawber mówił tak, jak gdyby wyjeżdżał za ocean! — Rozpoczynamy nowe życie. U progu nieznannej przyszłości pozwolę sobie zrobić parę pożegnalnych uwag tu obecnym młodym mym przyjaciółom. Wszak powiedziałem już wszystko, co powiedzieć miałem! Jakiej bądź dosięgnę w nowym mym zawodzie pozycji socjalnej i towarzyskiej, za pośrednictwem uczonego tego ciała, którego zostaję niegodnym członkiem, od sztandaru mych zasad nie odstąpię nigdy, sztandarem tym, niby królewskim baldachimem, pokryję głowę wiernej towarzyszki mego życia, tu obecnej pani Micawber. Nie! Nie zarumieni się ona nigdy za swego męża. Wobec chwilowego nacisku pieniężnego niedostatku, zobowiązań powziętych z zamiarem natychmiastowego wywiązania się z nich (czemu, niestety, przekorne przeszkadzały mi losy) zmuszony byłem nieraz nadziewać maskę niezgodną z przyrodzonym mym usposobieniem. Mówię tu o tych okularach i przewisku, do którego nie roszczę prawnych pretensji. Wszystko to dziś minęło, rozpierchło się jak chmury, pod zwycięskiego słońca promieniem. Od dziś za tydzień stopy me deptać będą rodzinną mą ziemię, a czoło ozdobi własne me nazwisko: Micawber!

Wygłosiwszy szumną tę mowę, gospodarz domu usiadł na poprzednim swym miejscu, lyknął szklanekę ponczu, po czym dodał z namaszczeniem:

— Jedno mi jeszcze pozostaje do spełnienia, zanim godzina rozstania wybije, a tym jest wymiar sprawiedliwości. Przyjaciół mój, tu obecny pan Traddles, dwa razy użyczył mi swego nazwiska i podpisu. W obu wypadkach zdarzyło się to w pamiętnych dla mnie okolicznościach. Po raz pierwszy pan Thomas Traddles wprowadzony został, pomimo swej wiedzy, w pułapkę. Termin drugiego zobowiązania nie upłynął jeszcze. Pierwsza suma wynosiła, jeśli mnie pamięć nie myli, dwadzieścia trzy funty, cztery szylingi i dziewięć i pół pensa? Czy tak? Drugie zobowiązanie jest na osiemnaście funtów, sześć szylingów i dwa pensy. Wszak się nie mylę? Obie te sumy, razem dodane, wyniosą, zdaje mi się, czterdzieści jeden, dziesięć i jedenaście i pół? Przyjaciół mój, Copperfield, zobowiąże mnie, jeśli zechce sprawdzić rachunek.

Uczyniłem to chętnie.

— Wyjazd ze stolicy — ciągnął pan Micawber — bez uiszczenia się z długu zaciągniętego u szlachetnego przyjaciela obarczyłby mnie ciężkim wyrzutem. Przygotowałem tedy odpowiedni dokument. Oto jest weksel na czterdzieści jeden, dziesięć i jedenaście i pół, opatrzony własnoręcznym moim podpisem. Teraz, gdy wszystko w porządku, sumienie mam spokojne i z pogodnym czołem w nowe wchodzę życie.

Mówiąc to, podał Traddlesowi weksel, życząc mu przy tym wszelkiego w życiu powodzenia. Przekonany jestem, że nie tylko dłużnik, lecz, kto wie, czy i nie sam wierzyciel weksel pana Micawbera i ten zadośćuczynienia akt sprawiedliwości brali za dobrą monetę.

Czoło też pana Micawbera jaśniało niezmaconym zadowoleniem, gdy nam przyświecał, schodzącym ze schodów. Pożegnania było nader serdeczne. Rozstawszy się z Traddlesem przed jego mieszkaniem, wracałem do domu, rozmyślając o najrozmaitszych rzeczach, a między innymi o tym, co powstrzymywało pana Micawbera, że nigdy nie prosił mnie o pożyczkę. Kręty w podobnych razach, pamiętał może o tym, że jako dziecko był jego lokatorem, powierzonym niejako jego opiece? Co pewne, to, że nie miałbym siły ani możliwości oprzeć się jego propozycjom, jeśliby się na takowe kiedy zdecydował. Wiedziałem o tym i pewien jestem — a niech mu to służy jako dobre świadectwo — że sam on wiedział o tym lepiej jeszcze ode mnie.

## ROZDZIAŁ XXXVII. NIECO CHŁODNEJ WODY

Prowadziłem od tygodnia nowe życie i pracowałem, trwając w mocnym postanowieniu, gdy uczułem, że zbliżam się do jakiegoś zwrotnego punktu. Chodziłem ciągle nadzwyczaj szybko, sądząc, że mnie to zbliża do celu; pracowałem może nawet nad siły, kochałem się w ofiarach wszelkiego rodzaju i miałem nawet poważny zamiar skazać się na dietę, żywić się samymi jarzynami, myśląc, że i w ten sposób poświęcać się będę dla Dory.

A Dora, moja mała, kochana Dora, niczego się nie domyślała z lakonicznych wzmianek w moich listach. Tak dobiegliśmy do następnej soboty. Wieczorem tego dnia wybierała się właśnie do panny Mills, gdzie miałem się zjawić natychmiast po wyjściu pana Millsa do klubu, o czym miała mi oznajmić klatka wystawiona w środkowym oknie salonu.

Osiadliśmy się tymczasem na dobre przy Buckingham Street, a pan Dick uszczęśliwiony był przepisywaniem. Ciotce udało się pokonać panią Crupp wyrzuceniem za okno pułapek zastawionych przez gospodynię na schodach, a uczyniła to, nie szczędząc gorzkich wymówek, i pani Crupp poczuła się zniewolona do pewnych ustępstw. Pozostawała odtąd w głębi swej kuchni, przekonana, że ciotka nie jest przy zdrowych zmysłach. Lecz że ciotka moja okazywała najzupełniejszą obojętność na opinię pani Crupp lub czyją bądź, pani Crupp zmykała przed nią, kryjąc się w najciemniejsze kąty, co znów sprawiało ciotce istotną satysfakcję. W celu spłoszenia jej wychodziła często bez potrzeby na schody lub korytarz, i to wówczas, gdy wiedziała, że spotkać może gospodynię.

Ciotka, lubiąca ład i czystość, wniosła w gospodarstwo moje taki porządek, że się zdawać mogło raczej, że się wzbogacił, niż zbiedniał. Spiżarnię zmieniła w gabinet dla mnie, wzbogaciła mnie elegancką pościelą, która się na dzień kryła w szezlongu, na którym sypiałem w nocy, otoczyła mnie najtkliwszym staraniem i nawet biedna moja matka nie potrafiłaby czuć lepiej nade mną i otaczać tyłu pieczyotami.

Peggotty uważała sobie za zaszczyt współzawodniczyć w tym z ciotką, zaszczycającą ją zupełnym zaufaniem. Musiała jednak wracać do Yarmouth; powoływały ją tam obowiązki względem bratanka.

— Bywaj mi zdrowa, Barkis — rzekła na pożegnanie ciotka. — Kto by powiedział, że mi tak żal będzie rozstawać się z tobą. Bądź mi zdrowa!

Odprowadziłem Peggotty na stację dylizansów. Płakała, żegnając mnie i, jak niegdyś Ham, polecała nieobecnego brata mej przyjaciółni. O panu Peggotty od odjazdu jego żadne nie dobiegały nas wieści.

— A teraz, Davy, moje kochanie — rzekła na odjeździe — jeśli byś miał jakieś wydatki lub potrzebował pieniędzy, pamiętaj, że się mnie należy pierwszeństwo, pamiętaj, kochane moje dziecko własnej mojej, dobrej pani!

Pomimo całej mej niezależności upewniłem ją, że jeśli bym potrzebował kiedy pożyczki, to do niej się udam, i wiem, że zapewnienie to ucieszyło ją tak, jak gdyby wręczyła już mi jakąś sporą sumę.

— I powiedz, Davy, moje kochanie — ciągnęła — powiedz temu swemu aniołkowi, ślicznotce swojej, jak pragnęłabym ją widzieć choć przez mgnienie oka. Powiedz jej, że przed waszym ślubem, jeśli mi pozwolisz, przyjadę tu, aby ci na przyjęcie żony wystroić dom co się zowie.

Upewniłem ją, że to należy do niej, i że nikt inny nie mógłby ubiec jej w tym względzie. Odjechała uspokojona i szczęśliwa.

Tysiąc mi się przez dzień cały, gdy siedziałem w Commons, układało w głowie projektów. Wieczorem, o naznaczonej godzinie, przechadzałem się pod oknami panny Mills. Pan Mills miał fatalny zwyczaj sypiać po obiedzie, toteż klatka nie zjawiała się w środkowym oknie salonu.

Trzymał mnie tak długo w oczekiwaniu tego wieczoru, że mu z całego serca życzyłem, by za spóźnienie się został w swym klubie skazany na zapłacenie kary. Wyszedł wreszcie, ujrzałem Dorę we własnej osobie, wywieszającą u okna klatkę. Po chwili wychyliła się z balkonu, dostrzegłszy zaś mnie, wbiegła do salonu, pozostawiając Jipa ujadającego z góry na olbrzymiego psa, który by mógł go zdusić jednym poruszeniem łapy.

Czekała mnie w drzwiach; Jip ujadał teraz na mnie, pokazując mi zęby jak rozbójnikowi. Weszliśmy wszyscy troje do salonu w najlepszej harmonii. Harmonię tę spłoszyłem, pytając nagle Dorę, czy zdolna będzie kochać nędzarza.

Biedna moja mała Dora! Nędzarcz był to dla niej żebrak o złotych, zapadłych policzkach, drewnianym szczudle, z psem o najeżonej sierści i z woreczkiem w pysku. Rozśmiała się z mego pytania.

— Co za myśl! — zawołała. — Kochać żebraka!

— Doro! Luba! — rzekłem. — Ubogi jestem.

— Jak można być czymś tak niedorzecznym! — mówiła, wydymając usteczka. — O, niedobry! Opowiadasz nam takie brzydkie rzeczy! Każę Jipowi ukąsić cię, niedobry!

Rozkoszna była! Musiałem jednak otworzyć jej oczy i powtórzyłem z największą powagą:

— A jednak prawdę mówię, straciłem wszystko.

— Jip, ugryź go, niech przestanie dziwaczyć! — zawołała Dora, wstrząsając lokami.

Wyglądałem tak poważnie, że po chwili przestała jednak potrząsać lokami, położyła rączkę na mym ramieniu, skrzywiła usteczka i rozplakała się na dobre. Straszne to było! Upadłem przed nią na kolana, błagając, by nie rozdzierała mi serca; lecz Dora nie była w stanie zrozumieć mnie, szlochała wołając: „Och! Co za nieszczęście!” i jakże ją nastraszyłem. Gdzie Julia Mills? Chciała Julii Mills! A ja? Ja miałem odejść sobie i nie wracać już nigdy.

Wreszcie tysiącem prośb i zakłęk skłoniłem ją, że podniosła wzrok na mnie. Wzrok to był zrazu wystraszony, pomału jednak, wywołane najczulszymi pieścizotami, zapalały się w nim iskry tkliwości. Wsparła główkę na mych piersiach, otoczyłem ramieniem jej kibić i opowiedziałem jej, jak ją bardzo, nade wszystko kocham, a pomimo to, zostawszy ubogim, czuję się w obowiązku zwolnić ją z danego mi słowa. Mówiłem, że nie przeżyję tej straty, że mnie ubóstwo nie straszy, jeśli się ona tylko nie przełęknie, że mi ona bodźcem będzie do pracy, że, myśląc o niej, odważyć się mogę na najcięższe ofiary, że stałem się już praktycznym, przewidującym człowiekiem. Mówiłem, o ile kawał zapracowanego chleba

słodszym być może i powinien od odziedziczonych bogactw i zbytków. Wymowny byłem, zwierzałem się jej z tego wszystkiego, co mi na sercu ciążyło, co mi myśl zaprzętało od chwili, w której ciotka oznajmiła mi o naszej ruinie.

— Czy kochasz mnie jeszcze, Doro?! — zawołałem, czując dobrze, że jej serce bije dla mnie.

— O tak! Kocham! — rzekła. — Nie strasz mnie tylko.

Ja! Ja ją straszyć miałem!

— Nie mów mi o ubóstwie, o tej ciężkiej pracy — szeptała, tuląc się do mnie.

— Najdroższa moja! Chleb zapracowany...

— O! Wiem, lecz nie chcę słuchać o tym chlebie. Jip musi mieć przecie co dzień o południu kawał pieczonej baraniny. Zdechłby, biedaczek.

Zachwycony byłem jej naiwnością i wdziękiem pieszczotliwym. Upewniłem, że nie pragnąłem śmierci Jipa i że praca moja zapewni mu baraninę, do której przywykł. Kreśliłem obraz szczęśliwego, skromnego bytowania, opisywałem domek w Highgate, z pokojem na górze dla ciotki.

— Czy cię straszę teraz, Doro? — spytałem.

— O nie! Nie straszysz mnie już — mówiła — ale ciotka, spodziewam się, najczęściej będzie przesiadywać w swym pokoju! Nie jest starą gderaczką, prawda?

Kochałem Dorę szalenie, lecz zauważyłem, że jest raczej niepraktyczna, i bolało mnie, że nie mogłem przelać w nią mego zapалу. Nie dawałem jednak za wygraną. Gdy się zupełnie uspokoiła i zaczęła bawić się targaniem uszu leżącego na jej kolanach Jipa, ozwałem się z wielką powagą:

— Chcę ci jeszcze coś powiedzieć, najdroższa!

— Byle nie o tych praktycznych rzeczach — odpowiedziała, grymasząc — to mnie straszy!

— Duszko — rzekłem — nic w tym nie ma strasznego. Chciałbym właśnie, abyś się na to inaczej zapatrywała, abyś była dzielna i odważna.

— Och! To takie brzydkie.

— Mylisz się, najdroższa! Wytrwałość i silna wola pozwalają nam znosić o wiele gorsze rzeczy.

— Ależ ja nie mam wytrwałości ani silnej woli — wyznała, wstrząsając lokami. — Jip! Ty wiesz, że nie! Pocałuj Jipa i nie mówmy już o tym.

Jakże tu było nie pocałować Jipa, gdy mi go podnosiła, nadstawiając zarazem pasowe swe usteczka. Jakże tu było nie pocałować Jipa, w sam nosek, jak tego chciała? Spełniłem jej zlecenie, licząc na nagrodę, której mi też udzielono. Nie wiem już, gdzie, się podziela cała powaga, w którą się zbroilem! Przypomniałem ją sobie po jakimś czasie i rzekłem:

— Ale, Doro! Luba! Chciałem ci coś jeszcze powiedzieć.

Najsurowszy pustelnik padłby jej ofiarą, widząc, jak składa rączęta, abym jej znów nie przestraszył.

— Nie, nie będę cię straszył — upewniałem — chcę tylko, abyś czasem, choć rzadko, myślała o tym, żeś się związała słowem z człowiekiem bez funduszu...

— Dostyc, dostyc! — wołała. — Boję się tego!

— Nie masz się czego obawiać — upewniałem. — Chcę cię po prostu prosić, abyś, pomnąc na to, przykładała się nieco do domowego gospodarstwa, nauczyła się na przykład prowadzić rachunki.

Westchnęła i skrzywiła się. Biedna moja mała!

— Przyda to nam się kiedyś bardzo — ciągnąłem. — Gdybyś coś obiecała mi przestudiować, choć jedną kucharską książkę, uszczęśliwiłabyś mnie nieskończenie. Widzisz, Doro, luba, droga naszego życia nie jest równa i szeroka, musimy wiele usunąć z niej cierni, wywalczyć sobie szczęście, przełamać wiele trudności.

Dużo miałem jej jeszcze do mówienia o tym, lecz mi nie dała. Wystraszyła się znów. Gdzież była Julia Mills! Och! Ona chciała Julii Mills! A ja? Ja mogłem iść sobie i koniec. Głowę traciłem, biegając tam i z powrotem po salonie. Możem ją zabił<sup>378</sup>! Tak była błada! Spryskałem jej twarz wodą, padłem przed nią na kolana, rwałem włosy na głowie, czyniąc

Miłość, Małżeństwo,  
Pieniądz, Bieda, Bogactwo,  
Praca, Kobieta, Mężczyzna,  
Strach

<sup>378</sup>możem ją zabił — inaczej: może ją zabiłem (konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika). [przypis edytorski]

sobie najstraszniejsze wyrzuty. Błagałem ją o przebaczenie, o jedno chociażby spojrzenie. Przewróciłem całe pudełko z robotą panny Mills, szukając flakoniku z solami. Zamiast soli porwałem igielnik i zasypałem Dorę igłami. Pokazywałem pięści Jipowi, który się rzucił na mnie jak wściekły, słowem, straciłem głowę i popełniałem tysiące niedorzeczności. Nadeszła wreszcie panna Mills!

— Kto to uczynił? — zawołała, niosąc pomoc przyjaciółce.

— Moje to dzieło — odrzekłem. — Ja to jestem tym zbrodniarzem, potworem! — mówiąc to, zagrzebałem twarz w poduszkach kanapy.

Zrazu panna Mills posądziła nas o sprzeczkę i o błąkanie się, jak mawiała, na piaskach Sahary, lecz dowiedziała się wkrótce prawdy, gdyż Dora rzuciła się jej ze łzami na szyję, wołając: „Ubogi! Wyrobnik!”. Z kolei mnie się rzuciła na szyję, mówiąc, że mi odda wszystkie, jakie ma pieniądze, po czym płacząc i łkając wróciła w objęcia przyjaciółki.

Panna Mills urodziła się na to, by zostać naszym dobrym aniołem. Uspokoila i pocieszyła Dorę, przekonała ją, że wyrobnikiem nie jestem — a zdaje mi się, że biedactwo to moje wyobrażało już sobie, że zostałem tragarzem lub czymś podobnym! Rozproszywszy tak wszelkie nieporozumienia, zajęła się herbatą, Dora zaś wyszła przemyć oczy wodą różaną. Zapewniałem pannę Mills o mej dozgonnej przyjaźni i wdzięczności, opowiadałem jej z kolei to, com tak niefortunnie usiłował być przedłożyć Dorze. Panna Mills, nader praktyczna osoba, zgodziła się ze mną najzupełniej, że chatka z ukochaną istotą więcej jest warta od chłodnych pałaców, że miłość jest wszystkim, wszystkim...

Któż to lepiej mógł wiedzieć ode mnie! Któż mógł kiedy bądź kogo bądź kochać tak, jak kochałem Dorę! Na tę wyłączność panna Mills zgodzić się nie mogła i nie chciała; musiałem tedy wyznać, że miarę tę stosuję tylko do zdolności kochania brzydszej i silniejszej połowy ludzkości.

Oddałem się też pod sąd pannie Mills, czy mogłem obrazić lub wystraszyć Dorę, wzmiankując o konieczności wprawiania się w gospodarstwo domowe, prowadzenie rachunków i przeczytania choć jednej kucharskiej książki?

Panna Mills odezwała się dopiero po głębokim namyśle:

— Szczerą będę z panem, panie Copperfield! Częstokroć cierpienie i zawody zastępują doświadczenie lat sędziwych, toteż dziś już mogę być szczerą i otwartą jak sama ksiieni kanoniczek<sup>379</sup>...

Westchnęła.

— Nie — ciągnęła po chwili smętnej zadumy. — Wymagania pańskie niestosowne są dla Dory. Dora nasza to dziecię wiosny i słonecznych nadziei. Zapewne dobrze byłoby, jeśliby się mogła zająć prozaiczną tą stroną życia, zapewne, lecz...

Tu potrzęsnęła wąpiąco głową.

Ośmielony szczerością panny Mills, spytałem ją, czy przez przyjaźń dla Dory i wgląd na przyszłość nie zechce w tym właśnie kierunku wyrzucić niejakiego wpływu na Dorę. Zgodziła się na to chętnie i ośmieliłem się pieczy jej polecić kucharską książkę. Jeśliby mogła z czasem, nie zrażając Dory, skłonić ją do zaznajomienia się z tą arcy prozaiczną, lecz arcy pożyteczną literaturą, oddałaby mi istotną usługę. I do tego zobowiązała się dobra panna Mills, bez zbyteńczego wszelako zapału.

Jednocześnie Dora wróciła do salonu, a wyglądała tak prześlicznie, że trudno było przypuszczać, iż przed chwilą lała gorzkie łzy rozpaczy. Okazywała mi tyle miłości, była tak czarująca, zwłaszcza każąc służyć Jipowi przed grzaneczką, a potem, za karę, zanurzając mu nosek w filiżankę herbaty, iż zdawało mi się, że był potworem, zakłócając pogodę jej umysłu i ciała.

Po herbacie przyniesiono harfę i Dora śpiewała francuską ulubioną swą piosenkę o tym, że niemożliwością jest zaprzestać kiedykolwiek tańców. „La-ra-la! La-ra-la!” — śpiewała moja luba, a mnie sumienie coraz żywiej wyrzucało moje barbarzyństwo.

Raz jeszcze przed mym odejściem zachmurzyło się tego wieczoru niebo mej szczęśliwości. Nieszczęście chciało, wspomniałem coś, że przy tyłu zajęciach wstawać muszę o piątej rano. Uderzyło to wyobraźnię Dory. Przedstawiłem się jej znów jako wyrobnik, może jako stróż nocny, gdyż posmutniała, nie chcąc więcej grać ni śpiewać.

<sup>379</sup>ksiieni kanoniczek — przełożona zakonu Zgromadzenia Sióstr Kanoniczek Świętego Ducha. [przypis edytorski]

Gdym ją zęgnął, rzekła mi z milutkim swym grymasem (tak przemawiać miała zwyczaj do swych lalek i do Jipa):

— Proszę mi nie wstawać o piątej, brzydki, niegrzeczny chłopcze. Nie ma w tym sensu.

— Tyle mam pracy, najdroższa!

— Ale ja nie pozwalam — tupnęła nóżką.

Nie podobna<sup>380</sup> było powiedzieć wręcz tej rozkosznej, rozbawionej dziewczynie, że praca potrzebna była nam do życia.

— Bredzisz! Bredzisz! — wołała.

— Jakżebyśmy sobie poradzili bez pracy? — spytałem.

— Byle jak — odrzekła z niezmaconym spokojem.

Sprawa cała, jej zdaniem, załatwiona była, zapieczętowała ją zaś tak słodkim całusem, że za żadne w świecie skarby nie odważyłbym się trwożyć więcej tej niewinnej duszyczki.

Po co! Kochałem ją i miłość moja wzmagala się z każdym dniem, tylko wobec trudności piętrzących się na mojej drodze ręce już mniej gorąco rwały mi się do dźwigania życiowych ciężarów. Nieraz wieczorem, gdy siadałem naprzeciw mej ciotki, przypominał mi się przestrah Dory i wyobrażałem sobie, czy czasem, pobrzękując po strunach gitary, nie łatwiej niż z łomem i siekierą w ręku przedzierać się przez najeżony przeszkodami las życia. Rozmyślałem o tym i zdawało mi się, że głowę mą przysypuje szron siwizny.

## ROZDZIAŁ XXXVIII. ROZWIĄZANIE SPÓŁKI

Nie ostygłem w zamiarze odnoszącym się do posiedzeń parlamentarnych. Owszem, kulem żelazo na gorąco, pracując z prawdziwym, godnym podziwu wytrwaniem. Nabyłem za cenę sześciu pensów praktyczną metodę stenografii i zatopiłem się w badaniu jej tajemnic, które mnie po kilku tygodniach doprowadziły do zupełnego zamętu myśli. Kropki, cętki, pałeczki, oznaczające raz to, drugi raz tamto, znaczenia zygzaków — wirowały mi w myśli na jawie i we śnie. Gdym się już przedarł przez te zawikłania i opanował alfabet przypominający przybytek egipskich tajemnic, zjawiały się orszaki nowych trudności w postaci tak zwanych znamion, najarbitralniejszych, z jakimi kiedy bądź spotkać mi się zdarzyło, czegoś w rodzaju szczytków pajęczyny, znamionujących wyczekiwanie, a czegoś na kształt gwiazdy niepowodzenie. Gdy mi się wreszcie udało zapamiętać i te szczegóły, dostrzegłem, że zapomniałem wszystkiego, czego się przedtem tak pracowicie wyuczyłem, a rozpoczynając znów od początku, zapominałem dalszego ciągu, i tak dalej, i tak dalej. Doprowadzało to mnie do rozpacz.

Zupełnie bym też upadł na duchu, gdyby mi Dora nie była kotwicą na wzburzonym i trudności pełnym morzu żywota. Każdy krok naprzód zbliżał mnie do niej, posuwałem się tedy odważnie, wytrwale i po trzech czy czterech miesiącach rozpaczliwej walki spróbowałem sił swoich w Izbie Gmin, na odezwie głośnego mówcy. Czy potrzebuję mówić, że mówca wyprzedzał mój ołówek, pozostawiając mię w przekonaniu, że stracił czas na darmo?

Próżno! Nie poradziłem z tym sobie, mierzyłem za wysoko. Uciekłem się do Traddlesa i ten wniósł projekt dyktowania mi przemówień, stosując się do niewprawnego mego ołówka. Z wdzięcznością przyjąłem przyjazną tę usługę i odtąd co wieczór, po powrocie z Commons, otwieraliśmy przy Buckingham Street, w szczupłej izdebce parlamentarne narady.

Gdyby to wszędzie podobne być mogły parlamenty! Ciotka i pan Dick, stosownie do potrzeby, przedstawiali rząd lub opozycję, a Traddles, przy pomocy sporego tomu przeróżnych mów, grzmiał przeciw nim, w proch ich rozbijał. Stół przedstawiał mównicę. Palcem przytrzymując stronicę księgi, drugą podnosząc rękę, Traddles, na przemiany

<sup>380</sup>nie podobna było (daw.) — nie było możliwe; nie można było. [przypis edytorski]



Pitt<sup>381</sup>, Fox<sup>382</sup>, Sheridan<sup>383</sup>, Burke<sup>384</sup>, lord Castlereagh<sup>385</sup>, wicehrabia Sidmouth<sup>386</sup> lub Canning<sup>387</sup>, rzucał najstraszniejsze oskarżenia przeciw ciotce i panu Dickowi. Siedząc opodal, z kajetem w ręku, starałem się dogonić jego słowa. Ciotka podobna bywała do samego kanclerza, tak z powagi, jak z krótkich wykrzykników: „Och! Nie! Tak!”, które stosowały się do tego, co słyszała, i które pan Dick powtarzał niechybnie i natychmiast. Na biednego pana Dicka spadały takie oskarżenia, takie odpowiedzialności, że czasem wyglądał na przerażonego, jak gdyby istotnie knuł spiski przeciw narodowym swobodom, angielską naruszał konstytucję i gotował ojczyźnie zgubę.

Nieraz bijąca dopiero północ i dopalające się w lichtarzach świece przerywały gorące te parlamentarne debaty, a rezultatem ich była wprawa moja. Mogłem już doganiać mowę Traddlesa i spocząłbym na laurach, gdyby nie to, że chcąc odczytać z trudem takim zebrane notatki, znalazłem się wobec nieprzeniknionych zagmatwań. Było to zupełnie tak, jak gdybym pracowicie i wiernie skopiował był chińskie napisy z pudeł do herbaty lub połyskujące złotem etykiety na zielonych i czerwonych butlach aptekarskich.

Nie było rady! Raz jeszcze trzeba było rozpocząć wszystko od samego początku i rozpocząłem na nowo, wszelkich dokładając starań, by zrozumieć i zapamiętać. Nie zanie-

<sup>381</sup>Pitt, William (1759–1806) — także: William Pitt Młodszy; premier Wielkiej Brytanii 1783–1801 oraz 1804–1806, najmłodszy w historii premier brytyjski (liczył sobie 24 lata); pod jego kierunkiem Wielka Brytania prowadziła wojny z Francją w okresie rewolucji i czasach napoleońskich; za jego rządów, w 1801 r. doszło do zawarcia unii z Irlandią, od której datuje się oficjalna nazwa Zjednoczone Królestwo Wielkiej Brytanii i Irlandii; jego ojciec William Pitt Starszy był premierem w latach 1766–1768; zwolennik ewolucyjnego konserwatyizmu i umiarkowanych reform, zasłynął jako mówca wspierający stronnictwo wigów. [przypis edytorski]

<sup>382</sup>Fox, Charles James (1749–1806) — ang. polityk, jedna z czołowych postaci stronnictwa wigów; zwolennik zniesienia niewolnictwa, równouprawnienia katolików, popierał niepodległość Stanów Zjednoczonych i idee rewolucji francuskiej; piastował (jako pierwszy) urząd ministra spraw zagranicznych, był przewodniczącym Izby Gmin; zasłynął jako wybitny mówca. [przypis edytorski]

<sup>383</sup>Sheridan, Richard Brinsley Butler (1751–1816) — irlandzki poeta, satyryk, autor cieszących się popularnością sztuk teatralnych, a także wydanych drukiem mów parlamentarnych; minister finansów w rządzie premiera Charlesa Foksa, szczególnie znana jest jego sztuka *School for Scandal* (*Szkola obmowy*) oraz filipika oskarżająca gubernatora Warrena Hastingsa o nadużycia wobec rdzennych mieszkańców Indii Wsch.; jego syn Thomas Sheridan zasłynął jako odkrywca Przylądka Dobrej Nadziei, a wnuk-imiennik Richard Brinsley Sheridan, był politykiem z partii wigów za czasów Dickensa: członkiem parlamentu z okręgu Shaftesbury w latach 1838–1852 i Dorchester 1852–1868, zwolennikiem liberalizacji prawa wyborczego (rozszerzenia grupy uprawnionych do głosowania). [przypis edytorski]

<sup>384</sup>Burke, Edmund (1729–1797) — irlandzki filozof i polityk, twórca nowoczesnego konserwatyizmu, jedna z czołowych postaci stronnictwa wigów; od 1759 r. przez 30 lat współpracownik „The Annual Register”, od 1766 r. członek parlamentu; próbował usprawiedliwić żądania przywódców rewolucji amerykańskiej przeciw Koronie Brytyjskiej, wskazując na ich ciągłość wobec anglosaskich tradycji prawnych; jego oponentem w tej kwestii był torys Samuel Johnson; wobec rewolucji francuskiej Burke zajął nieprzejednane wrogie stanowisko, potępiając ją jako bezprawne odcięcie się od tradycji (zakładał jednak, że pewne idee rewolucji można by kontynuować po usunięciu jej skutków); był zwolennikiem ewolucyjnego konserwatyizmu. [przypis edytorski]

<sup>385</sup>lord Castlereagh, właśc. Robert Stewart, z. Markiz Londonderry (1769–1822) — irlandzko-brytyjski mąż stanu; działając jako sekretarz Korony Brytyjskiej doprowadził do zduszenia rebelii w Irlandii w 1798 r., a następnie doprowadził do przeprowadzenia aktu unii Wielkiej Brytanii i Irlandii w 1800 r.; odegrał zasadniczą rolę przy tworzeniu koalicji, która pokonała Napoleona I (Traktat z Chaumont w 1814 r.); był czołowym brytyjskim dyplomata na Kongresie Wiedeńskim, pracował na rzecz urzeczywistnienia wizji długotrwałego pokoju w Europie pod strażą zjednoczonych sił wielkich mocarstw, nie tracił jednak z oczu mocarstwowych i handlowych interesów Wielkiej Brytanii; działał na rzecz zniesienia handlu ludźmi; jednocześnie był zwolennikiem wprowadzenia środków represyjnych w kraju i był znienawidzony za swe ostre ataki na obóz liberałów i reformatorów; początkowo (1790–1795) związany z partią wigów, a następnie z torysami (1795–1822); zginął śmiercią samobójczą. [przypis edytorski]

<sup>386</sup>wicehrabia Sidmouth, właśc. Henry Addington (1757–1844) — brytyjski mąż stanu, premier w latach 1801–1804, po zawarciu traktatu w Amiens w 1802 r. i rozpadzie drugiej koalicji antynapoleońskiej został zmuszony do złożenia urzędu na rzecz Williama Pitta Młodszego; zasłynął następnie jako bezwzględny i niezwykle skuteczny polityk na stanowisku ministra spraw zagranicznych, sprawując ten urząd (utworzony w 1782 r.) przez dziesięć lat (1812–1822). [przypis edytorski]

<sup>387</sup>Canning, George (1770–1827) — brytyjski mąż stanu, polityk z ramienia torysów; sprawował wiele wysokich funkcji w kolejnych rządach, a następnie pełnił (najkrócej w historii Wielkiej Brytanii) urząd premiera; był żarliwym przeciwnikiem porządku wprowadzonego w Europie przez Święte Przymierze na Kongresie Wiedeńskim w 1815; z powodu jego osoby doszło do rozłamu wśród torysów w 1827 r., książę Wellington i sir Robert Peel, którzy odmówili służby pod przywództwem Canninga w roli premiera i utworzyli stronnictwo ultra-torysów, resztę partii okrzyknięto canningistami (*Canningites*); Canning zmarł nagle po 119 dniach sprawowania urzędu. [przypis edytorski]

dbywałem przy tym ani kancelarii, ani Commons i pracowałem, że pospolitego użyję porównania, jak koń pocztowy<sup>388</sup>.

Pewnego dnia, udając się o zwykłej porze do Commons, zastałem pana Spenlow u wnijsia<sup>389</sup>. Wyglądał niezwykle poważnie i mówił coś sam do siebie. Ponieważ zwykły był uskarżać się na bóle głowy — krótką miał szyję i zapracowywał się, moim zdaniem — przeląknęłam się, czy nie zachorował czasem. Szybko rozproszył mój niepokój.

Zamiast odpowiedzieć ze zwykłą sobie uprzejmością na me powitanie, chłodnym zmierzzył mnie okiem, prosząc z sobą do pobliskiej kawiarni, jak raz naprzeciw Commons, pod arkadą cmentarza świętego Pawła. Udałem się za nim zmieszany, przestraszony niemal. W wąskim przejściu szedł pierwszy i zauważyłem, że niepokojąco jakoś pochylał na ramię głowę. Miałżeby<sup>390</sup> się domyślać, co zachodziło pomiędzy mną a Dorą?

Jeślibym już nawet nie domyślał się tego, idąc za nim do kawiarni, uderzyłoby to mnie jako fakt niezbity z chwilą, w której w osobnym gabinecie ujrzałem pannę Murdstone, we własnej osobie, wśród tac, na których spoczywały cytryny, oraz kilku drewnianych pudeł pełnych widelców i noży.

Panna Murdstone podała mi sztywno końce palców, pan Spenlow zamknął drzwi gabinetu, wskazał mi krzesło, sam zaś stanął plecami obrócony do ognia.

— Niech pani z łaski swej pokaże panu Copperfieldowi to, co się znajduje w woreczku pani — przemówił wreszcie.

Woreczek ów, nieodstępny towarzysz panny Murdstone, pozostał mi pamiętnym z moich dziecinnych lat. Otwierał się i zamykał, niby gotowa kasać paszcza. Panna Murdstone, otwierając usta, wręczyła mi... ostatni mój, zapewnieniem niezmiennego przywiązania zakończony list do Dory.

— Wnoszę, że to pańskie pismo — odezwał się pan Spenlow.

Zarumieniłem się po uszy i nieswoim głosem odpowiedziałem:

— Tak, panie, moje.

— Nie myślę się też — ciągnął pan Spenlow, wskazując całą paczkę listów, które panna Murdstone wyciągnęła z woreczka — sądząc, że i to wyszło spod pańskiego pióra?

Ze ściśniętym sercem wziąłem paczkę z rąk panny Murdstone, spoglądając na nagłówki listów. Brzmiały one: „*Najdroższa moja Doro!*”, „*Aniele mój!*”, „*Ukochana*” i „*Jedyna*”. Rumieniąc się pod badawczym wzrokiem pana Spenlow, twierdząco skłonić musiałem głowę.

— Nie trzeba, ślicznie dziękuję panu — rzekł pan Spenlow, skinieniem ręki odsuwając podawaną mu przeze mnie korespondencję — nie trzeba. Nie chcę pozbawiać pana tego. I cóż, panno Murdstone?

Słodkie to stworzenie oderwało wzrok od pokrywającego podłogę dywanu, przemawiając ze złośliwym namaszczaniem:

— Muszę wyznać, że od pewnego już czasu śledziłam stosunek panny Spenlow do pana Copperfielda. Powzięłam pewne podejrzenia, zaraz przy pierwszym ich z sobą spotkaniu. Nieprzyjemne wywarło ono na mnie wrażenie, a przewrotność natury ludzkiej bywa tak...

— Prosiłbym panią, panno Murdstone — przerwał pan Spenlow — o ograniczenie się do faktów, do samych faktów.

Panna Murdstone spuściła oczy, wstrząsnęła z niezadowoleniem głową i sztywniejąc bardziej jeszcze, ciągnęła oschle:

— Skoro mam się ograniczać, jak pan tego sobie życzy, do faktów, uczynię to ile się da najzwyczajniej, jeśli się to tak panu podoba. Powzięłam tedy, jakem to powiedziała<sup>391</sup>, podejrzenia pewne co do wzajemnego stosunku panny Spenlow i pana Copperfielda i niejednokrotnie usiłowałam podejrzania te sprawdzić, opierając je na pozytywnych danych. Nie wspominałam nic o tym przed ojcem panny Spenlow, wiedząc, jak w podobnych

<sup>388</sup>pracować jak koń pocztowy — ciężko pracować; także: jak koń, jak koń pociągowy, jak wół. [przypis edytorski]

<sup>389</sup>wnijsie (daw.) — wejście. [przypis edytorski]

<sup>390</sup>miałżeby — konstrukcja z partykułą -że nadającą znaczenie pytania retorycznego; inaczej: czy miałby, czy miałby. [przypis edytorski]

<sup>391</sup>jakem (...) powiedziała — inaczej: jak powiedziałam (konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika). [przypis edytorski]

razach nakazywane przez obowiązek ostrzeżenia z niedowierzaniem bywają zwykle przyjmowane.

Pan Spenlow zdawał się wystraszony powagą i surowym spojrzeniem mówiącej. Starał się ją rozbroić łagodnym skinieniem ręki.

— Po powrocie moim do Norwood, po niebytności spowodowanej małżeństwem mego brata — ciągnęła dalej — i po powrocie do domu panny Spenlow, która w czasie mej nieobecności bawiła u przyjaciółki swej, panny Mills, zauważyłam pewne zmiany w zachowaniu się panny Spenlow. Zmiany te zaostrzyły uprzednie me podejrzenia. Podwoiłam uwagę.

Biedna, biedna moja Doro! Jagnię pod smoczą opieką!

— I dopiero — kończyła — wczoraj wieczorem udało mi się pochwycić dowody. Dziwiła mnie mnogość otrzymywanych przez pannę Spenlow od panny Mills listów. Korespondencja wydawała mi się za żywa. Że się jednak zawiązała i trwała z upoważnienia ojca — tu nastąpiło nowe skinienie głową w stronę pana Spenlow — nie moją było rzeczą mieszać się w to czynnie. Jeśli mi już nie wolno nadmieniać o nieprawości natury ludzkiej, to co najmniej pozwolę sobie zauważyć niestosowność podobnie ślepego zaufania.

Pan Spenlow skłonił tylko głowę.

— Wczoraj zatem wieczorem, po herbacie, dostrzegłam jakieś papiery, które Jip szarpał i włóczył po posadzce. „Co to za papiery?” spytałam Dorę. Panna Spenlow spiesznie obmacała swe kieszenie, krzyknęła i rzuciła się na Jipa. „Pozwól, kochanie” zauważyłam, uprzedzając ją.

Och, niegodziwy szpicu! Ty żeś nawarzył<sup>392</sup> całej tej biedy!

— Panna Spenlow — ciągnęła panna Murdstone — usiłowała przejednać mnie przymlaniem się, pocałunkami, podarkami, klejnocikami. Jip wlaź w sam kąt pod kanapę, skąd go zaledwie szczypcie od kominka wyprzeć zdołały. I wówczas jeszcze nie chciał wypuścić z zębów papieru, warczał, a gdy porwałam za papier, narażając się na pokąsanie, zawisł formalnie w powietrzu. Postawiłam naturalnie na swoim, a widząc, w czym rzecz, wymogłam na pannie Spenlow wydanie całej korespondencji.

Zamilkła, zawierając<sup>393</sup> jednocześnie woreczek i usta. Można ją było złamać, ale zgiąć — nigdy!

— Słyszałeś pan, co mówiła dopiero co panna Murdstone? — spytał, zwracając się do mnie, pan Spenlow. — Cóż pan na to?

Obraz mojej ukochanej we łzach i niepokoju przez noc całą, samotnej, wystraszonej, skrzywdzonej, błagającej tę wiedźmę, chcącej ją przejednać pieszczotami, pocałunkami i podarkami, rozdzierał mi serce. Nie wiedziałem, co począć, usiłując zapanować nad wzruszeniem.

— To chyba odpowiedzieć mogę — począłem — że jeśli jest w tym wina, to moja tylko, a Dora...

— Panna Spenlow — przerwał mi surowo jej ojciec.

— ...uległa jedynie prośbom i namowom moim — ciągnąłem, polknąwszy gorzką nauzkę. — Ja to błagałem ją o tajemnicę, czego obecnie wybaczyć sobie nie mogę.

— Trudno istotnie pochwalić pana — począł pan Spenlow, przechadzając się tam i z powrotem po gabinecie. — Trudno! Postąpiłeś pan niegodnie, nadużyłeś mego zaufania! Przyjmując dzentelmena, mniejsza z tym, czy dziewiętnasto- czy dwudziestodwujęcio-, czy trzydziestodwujęcioletniego, dałem mu dowód zaufania. Nadużycie to jest czynem niegodnym, panie Copperfield.

— Wiem to i czuję — odrzekłem — lecz zamiaru tego nie miałem. Zapewnić o tym pana mogę szczerze, sumiennie, pod słowem honoru. Pokochałem pannę Spenlow...

— Ba! Głupstwo! — przerwał pan Spenlow, czerwieniejąc cały. — Upraszam pana, panie Copperfield, abys o tym nie wspominał przede mną.

— Jakże i czym zdołam się tedy wytłumaczyć? — spytałem z całą pokorą.

— Nie tłumaczy to pana bynajmniej<sup>394</sup> — rzekł, stając przed kominkiem. — Czy policzyłeś pan swoje i mojej córki lata? Czy pomyślałeś o tym, na jaką nazwę zasługuje

<sup>392</sup>ty żeś nawarzył — inaczej: ty naważyłeś (konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika). [przypis edytorski]

<sup>393</sup>zawierać (daw.) — zamykać. [przypis edytorski]

<sup>394</sup>bynajmniej — wcale (dosł.: jak najmniej). [przypis edytorski]

podkopywanie istniejącego pomiędzy córką a ojcem zaufania? Czy pomyślałeś o stanowisku, jakie córka moja zajmuje, o tym, jakie być mogą moje zamiary względem jej przyszłości? Czy zastanowiłeś się pan nad tym wszystkim?

— Istotnie, nie zastanowiłem się — odpowiedziałem z uszanowaniem i smutkiem zarazem — lecz upewnić mogę pana, że zastanawiałem się nad własnym mym położeniem i gdy takowe panu wyjaśniłem, byliśmy już po słowie...

— Upraszam raz jeszcze pana, panie Copperfield — przerwał uderzając ręką po stole, bardziej niż kiedy bądź do Puncta podobny, pan Spenlow — upraszam raz jeszcze pana, panie Copperfield, abys oszczędzał mi wszelkich podobnych wzmianek.

Przy słowach tych rozległ się krótki, suchy, urwany śmiech skądinąd niewzruszonej panny Murdstone.

— Jedyne zmienione położenie, o którym panu mówiłem — ciągnąłem, starając się wymijać wszelkie drażniące go wyrażenia — samo mnie zmusić mogło do ukrywania przez pewien czas... Odtąd wszelkich sił i woli i energii dokładam, aby położenie to naprawić. Mam nadzieję, że mi się to uda z czasem... Niech mi pan tylko z łaski swej trochę zostawi czasu... Tak młodzi jesteśmy oboje...

— W tym to masz pan najzupełniejszą słuszność — skłonił twierdząco głową pan Spenlow. — Obojeście nader młodzi<sup>395</sup>. Wszystko to wierutne głupstwo, któremu raz przecie trzeba koniec położyć. Zabierz pan te listy i wrzuć je w ogień. Zwróć mi, proszę, listy panny Spenlow. Stosunki nasze, jak pan łatwo to pojmujesz, muszą się odtąd ograniczyć do samego Commons. Rozumiesz to pan, panie Copperfield, nie ma innego wyjścia. Zgódź się na to.

Nic nie rozumiałem i przystać nie chciałem. Przykro mi było, lecz działał na mnie bodziec silniejszy od rozsądku. Miłość dopominała się pierwszeństwa. Kochałem Dorę do ubóstwienia, posiadałem jej wzajemność. Nie wyrażałem tego wprost i bez ogródek, łagodnie, jak mogłem, napomykając wszelako i nie odstępując od swego. Nie sądzę, abym był śmieszny, broniąc tak mej sprawy, a wiem, że w postanowieniach był niezłomny.

— Jeśli tak — odrzekł chłodno pan Spenlow — zwrócić muszę wszystkie me wpływy na córkę.

Panna Murdstone sarknięciem<sup>396</sup>, będącym pośrodku między westchnieniem a jękami, potwierdziła to przedsięwzięcie. Od tego nawet wypadło zacząć.

— Spróbuję — ciągnął pan Spenlow — wpłynąć na córkę. Nie chcesz pan tedy, panie Copperfield, wziąć na powrót tych listów?

Położyłem je na stole. Prosiłem go tedy, aby nie miał mi za złe, lecz listów tych przyjąć z rąk panny Murdstone nie mogę.

— Ani z moich? — spytał pan Spenlow.

Ani z jego. Odpowiedź moja pełna była szacunku.

— Dobrze — rzekł tylko.

Nastąpiło milczenie. Nie wiedziałem, co począć: odejść czy pozostać. Poruszyłem się z miejsca i kierując ku drzwiom, miałem już wyrazić nadzieję, że postanowienia jego zmiękną może podczas mej nieobecności, gdy przemówił, trzymając rękę głęboko wpuszczoną w kieszeń:

— Wiadome jest zapewne panu, panie Copperfield, że posiadam pewien fundusz i córka moja najbliższą z całej rodziny i najukochańszą jest mi istotą?

Pośpieszyłem zapewnić go z zapalem, że miłość moja nie miała podobnych pobudek.

— Nie posądzałem pana o to, panie Copperfield — odrzekł. — Owszem, lepiej byłoby dla pana i dla nas wszystkich, jeśli byś był bardziej interesowny... to jest rozsądniejszy i mniej pochopny do tych młodocianych niedorzeczności. Tak. Po prostu i w innym celu powiedzieć chciałem, że wiadomym panu być musiało, że mam fundusz, który przekażę mej córce.

— Zapewne.

— Przypatrzysz się zaś w Trybunale najrozmaitszym zawikłaniom, jakie powstają z ogólnego niemal wstępu ludzi, skądinąd najrozsądniejszych, do robienia testamentu, musiałeś pan wnioskować, że testament zrobił?

<sup>395</sup>obojeście nader młodzi — forma skrócona; inaczej: oboje jesteście nader młodzi. [przypis edytorski]

<sup>396</sup>sarknięcie — głośnie wyrażenie swego niezadowolenia; też: nieuprzejma odezwanie się; por. *sarkać*, *sarkazm*. [przypis edytorski]

— Zapewne.

— Byłoby nie do darowania — ciągnął pan Spenlow ze wzrastającym namaszczaniem, podnosząc się na palcach i opadając na pięty, potrząsając jednocześnie głową — byłoby nie do darowania, jeśliby zamiary moje w tym względzie uzależnione były od jakiegos przesađu. Byłoby to niewybaczonym szaleństwem i względy podobne nie powinny więcej zaważyć od pióra na szali. Winienem wszelako, jest to moim rodzicielskim obowiązkiem, ochronić córkę od następstw wszelkich nierozważnych w życiu kroków, jak na przykład niestosownego małżeństwa. Miałżebyś<sup>397</sup> pan, panie Copperfield, dopuścić, abym zmuszony był otworzyć zapieczętowaną już kopertę i choćby najmniejszą wprowadzić zmianę w tym, co od dawna postanowione zostało?

Mówił to tak spokojnie, pogodnie, łagodnie, żem się czuł niemal wzruszony. Zrezygnowany był, ale też w postanowieniach stały, poważny, niewzruszony, a przejęty nimi. Zdawało mi się, że łzy ma w oczach.

Cóż jednak miałem począć? Miałem<sup>398</sup> się wyrzec Dory i własnego szczęścia? Gdy mi pozostawił tydzień do namysłu, miałem go ponownie zapewnić, że ani tydzień, ani lat tysiące w uczuciach moich nie przyniosą żadnej zmiany?

— Tymczasem — ciągnął pan Spenlow — naradz się pan, panie Copperfield, z panną Trotwood lub z kim bądź doświadczonym i rozsądnym. Daję panu tydzień czasu.

Nie było rady. Zapewniając o niezmienności mych uczuć, wyszedłem przeprowadzony ciemną ściągniętą brwią panny Murdstone. Brwią, mówię, nie spojrzeniem, gdyż brwi te najwydatniejszym były rysem jej twarzy, a wyglądała zupełnie tak, jak niegdyś, w bawialnym pokoiku w Blunderstone. Zdawało mi się, że wróciły pacholęce<sup>399</sup> me nauki, a myśl mą, zdolności, wyobraźnię znów dławi złowrogi wyraz brwi tych i oczu, niby czarodziejskie zaklęcie.

Gdy przyszedłem do kancelarii i po zamienieniu powitań ze starym Tiffey'em i innymi usiadłem w swym kątku, rozmyślając o przepaści, co się pod mymi rozwarła stopy, i w rozpaczę mej przeklinając sprawcę całej tej biedy, Jipa — taki mnie ogarnął niepokój o Dorę, że zrozumieć nie mogę, jakim sposobem wysiedziałem na miejscu, nie porwałem za kapelusz i nie poleciałem do Norwood. Sama myśl o tym, jak ją tam dręczyć i straszyć musiano, o łzach, które nieboraczka przelewała, doprowadzała mnie do szaleństwa! Porwałem pióro i skreśliłem gorący list do pana Spenlow, błagając go, aby oszczędzał córkę i nie kazał jej pokutować za moją tylko winę. Błagałem go, by srogością nie łamał delikatnego tego, ustawicznej pielęgnacji wymagającego kwiecica. Na ogół, o ile pamiętam, list brzmiał tak, jak gdybym sam był ojcem Dory, a pan Spenlow okrutnym jakimś tyranem lub ludożercą. Zapieczętowany list położyłem na jego biurku i przez niedomknięte drzwi widziałem, jak, wróciwszy, rozpieczętował i czytał.

Przez cały jednak ranek nie wspomniał o tym ani słowa i dopiero wychodząc, wezwał mnie i upewnił, że się niepotrzebnie troszczę o szczęście i spokój jego córki. Upewnił ją, mówił, że wszystko to jest dzieciństwo, i poprzestał na tym. Uważał siebie — i istotnie był nim — za nader pobłażliwego i tkliwego ojca, mogłem więc oszczędzić sobie wszelkich w tej mierze niepokojów.

— Upierając się przy swoim, panie Copperfield — mówił — zmusisz mnie tylko do wysłania córki na czas pewien za granicę, oto wszystko! Lepsze jednak mam o panu mniemanie, namyślisz się i uspokoisz. Co zaś do panny Murdstone — potrąciłem bowiem, pisząc, o tę miłą damę — szanuję ją wielce i wdzięczny jej jestem za jej czujność, lecz zleciłem jej stanowczo, by nie dotykała słówkiem całego tego zajścia. Puśćmy to w niepamięć. O jedno upraszam pana, panie Copperfield, o to, abyś o tym zapomniał.

O to tylko! W kartce, którą pisałem do panny Mills, nie mogłem powstrzymać się od cytowania podobnych dzikich wymagań. Tylko tyle! Wymagano ode mnie, abym zapomniał Dorę! Tyle tylko! Błagałem pannę Mills, aby się ze mną widziała tegoż jeszcze wieczoru, jeśli by zaś to nie mogło być z wiedzą i zezwoleniem jej ojca, aby raczyła przyjąć

<sup>397</sup>*miałżebyś* — konstrukcja z partykulą *-że* nadającą znaczenie pytania retorycznego; inaczej: czy miałbyś, czyż miałbyś. [przypis edytorski]

<sup>398</sup>*miałem* — konstrukcja z partykulą *-że* nadającą znaczenie pytania retorycznego; inaczej: czy miałem, czyż miałem. [przypis edytorski]

<sup>399</sup>*pacholęcy* — chłopięcy; *pacholę*: chłopiec w wieku ok. 4–11 lat (po okresie niemowlęcym i wczesnodziecięcym, a przed okresem dojrzewania i nastoletniości). [przypis edytorski]

mnie tajemnie w izbie przy kuchni, gdzie stały magle<sup>400</sup>. Pisałem jej, że blisko postradania zmysłów i ona sama tylko może mnie<sup>401</sup> ratować. List cały utrzymany był w stylu, którego by się sam pan Micawber nie powstydział.

Posłałem. Wieczorem zjawiłem się na ulicy przed zamieszkałym przez pannę Mills domem i chodziłem tam i z powrotem, dopóki nie doczekałem się pokojówki. Wprowadziła mnie do kuchennej izby. Przekonałem się wówczas, że nic jednak nie przeszkadzało mi zadzwonić jak zwykle u drzwi wchodowych<sup>402</sup> i wejść do salonu, nic — chyba tylko zamiłowanie panny Mills do tajemniczości i romantyczności.

W kuchennej izbie oddałem się rozpaczy i wyrzekaniu. Wszak po to tylko przybyłem. Panna Mills otrzymała już kartkę od Dory. „Wszystko odkryte” — pisała Dora — „przybywaj, Julio! Przybywaj!”. Panna Mills, przypuszczając, że jej nie dopuszczą do przyjaciółki, nie udała się do niej. Gubiliśmy się oboje „na Saharze”.

Panna Mills posiadała bogaty dobór słów i lubiła się nim popisywać. Zdawało mi się, że chociaż mieszała łyżę z mymi łzami, rada była całej tej tragedii, lubowała się nią, rozplywała. Przepaść, wedle słów jej, rozwarła się pomiędzy mną i Dorą i tylko miłość ponad przepaścią tą przerzucić mogła tęczy most nadziei. Miłość skazana jest na cierpienia i męczeństwo na tym padole łez<sup>403</sup>! Takie już jest przeznaczenie! Ale serca uwikłane w pajęczę sieci muszą zerwać kiedyś więzy, a wówczas miłość zostanie pomszczona.

Niewiele było wprawdzie w tym, co mówiła, pociechy, lecz po cóż zwodnicze życie nadzieje? Czulem się bardziej jeszcze zrozpaczony, lecz upewniłem pocieszycielkę, że jest jedyną pozostałą mi przyjaciółką. Postanowione zostało między nami, że nazajutrz rano panna Mills uda się do Dory i spojrzeniem, jeśli nie słowem, upewni tę ostatnią o mym przywiązaniu. Rozstaliśmy się smutni i przygnębieni, co zresztą musiało w zupełności zadowolić pannę Mills.

Wróciwszy do domu, zwierzyłem się ze wszystkiego ciotce — i pomimo że mnie uspokajała, położyłem się zrozpaczony. Zrozpaczony też wstałem nazajutrz. Była to sobota, udałem się do kancelarii.

Zdziwiłem się, przyszedłszy tam. Posłańcy stali na ulicy, rozmawiając i spoglądając w zamknięte okna. Spiesznie wyminąłem ich i wbiegłem na schody. Stary Tiffey, po raz pierwszy w życiu zapewne, nie na swoim siedział krześle, trzymając kapelusz w ręku.

— Straszne nieszczęście! — zawołał.

— Co? Cóż takiego? — pytałem.

— Pan Spenlow...

— Cóż się z nim stało?

— Umarł.

W oczach mi pociemniało. Jeden z aplikantów posadził mnie, odwiązał krawat, podał wody. Jak długo to trwało, nie potrafiłbym powiedzieć.

— Zmarł!

— Obiadał wczoraj w mieście i, wracając do domu, sam powoził, wysławszy na przód, jak to zwykł był czynić, stangreta...

— I cóż?

— Powóz wrócił pusty do domu. Konie zatrzymały się przed stajnią, służący wybiegli ze światłem, w pojeździe nie było nikogo.

— Konie poniosły czy co?

— Nie wiadomo. Nie były wcale zgrzane — mówił Tiffey, nakładając okulary — wyglądały tak, zwyczajnie. Lejce były porwane wprawdzie. Cały dom się poruszył, wybiegli szukać... Znaleźli o miłę...

— Więcej niż o miłę — poprawił jeden z młodszych aplikantów.

— A tak, masz pan rację — ciągnął pan Tiffey — więcej niż o miłę, tam, w pobliżu kościoła. Leżał przy drodze, na wznak. Czy wyleciał, czy wyskoczył, czując się niedobrze,

<sup>400</sup>*magiel* a. *maglownica* — maszyna służąca do prasowania przez przepuszczanie między ściśle do siebie przylegającymi wałkami większych sztuk materiału: pościeli, obrusów i ręczników itp.; ten rodzaj prasowania zwany jest maglowaniem; tu: *lm magle* odnosi się zapewne do wałców będących ważną częścią składową urządzenia. [przypis edytorski]

<sup>401</sup>*mnie* — daw. forma zaimka osobowego w pozycji nieakcentowanej w zdaniu; dziś jednolita forma: *mnie*. [przypis edytorski]

<sup>402</sup>*drzwi wchodowe* (daw.) — dziś: drzwi wejściowe. [przypis edytorski]

<sup>403</sup>*padół łez* (lit.) — ziemia. [przypis edytorski]

nie wiadomo. Nie wiadomo też, kiedy skołał. Może i dyszał jeszcze, lecz już nie przemówił słowa. Pomoc lekarska była natychmiastowa, lecz niestety bezskuteczna.

Nie potrafię wyrazić wrażenia, jakie wieść ta wywarła na mnie. Nagłość wypadku tego z człowiekiem, z którym łączyły mnie interesy i uczucia, to opustoszała nagle i na zawsze miejsce w jego gabinecie, miejsce, na którym wyobraźnia moja rysowała go jeszcze: za każdym skrzypnięciem drzwi zdawało mi się, że wchodzi. Te przyciszone mowy i opowiadania, ci ludzie wchodzący przez cały ranek, by się czegoś dowiedzieć, to ustawiczne powtarzanie znanych mi już szczegółów — wszystko to zrozumieją ci, co podobne przyzywali chwile. Ach! Sama śmierć jego budziła we mnie zazdrość. Ległbym w grobie z rozkoszą, by niepodzielnie zająć myśli i serce Dory. Zazdrościłem zmarłemu jej uczuć, jej żalu... zazdrościłem i tym, co ją pocieszać mogli i lzy jej ocierać! Nie wiem, co bym dał, aby ją od wszystkich oderwać i sam być z nią w te dni smutku i żaloby.

W podobnym, nie mnie tylko, sędzę, znanym nastroju, udałem się pod wieczór do Norwood, a dowiedziawszy się od służby, że znajduje się tam panna Mills, wróciłem i wysłałem ciotkę z listem do niej.

W liście tym szczerze oplakiwałem śmierć pana Spenlow, prosząc pannę Mills, by zapewniła o tym Dorę, a i o tym także, że ojciec jej mówił ze mną z pobłażaniem, łaskawie, z tkliwością ojcowską wspominając córkę. Pisząc to, wyznaję, mniej miałem na celu pocieszyć strapioną, jak zmusić ją do myślenia o mnie. Sądziłem jednak, że tym samym czynię zadość sprawiedliwości wobec osoby zmarłego.

Nazajutrz ciotka moja otrzymała odpowiedź. List adresowany był do ciotki, odpowiedź mnie się tyczyła. Dora była w rozpacz i na zapytanie przyjaciółki, co każe mi powiedzieć, wołała tylko: „Och! Ojczulku, kochany mój ojczulku!”. Nie zaprotestowała jednak, gdy panna Mills przesłała mi od niej pozdrowienia.

Po paru dniach zjawił się w kancelarii pan Jorkins. Zamknął się na rozmowę z Tiffey'em. Po kilku chwilach Tiffey uchylił drzwi, wzywając mnie.

— Och! — zaczął pan Jorkins. — Szukamy właśnie z panem Tiffey testamentu nieboszczyka. Próżno przerzucamy szuflady, teki... Może byś pan nam pomógł?

Umierałem z niepokoju o Dorę, jej przyszłość, opiekę, jaką będzie miała itp. Rozpoczęliśmy poszukiwania. Pan Jorkins otwierał szuflady jedną po drugiej, wytrząsał teki, ja i Tiffey przeglądaliśmy papiery, odkładając na bok dotyczące się prywatnych interesów nieboszczyka. Tych ostatnich było niewiele. Zadanie swe spełnialiśmy w milczeniu, z powagą, ciche zamieniając słowo, gdyśmy natrafiali przypadkiem na pieczętkę, ołówek, pierścionek lub inne tym podobne, z pamięcią zmarłego związane drobnostki.

Przerzuciliśmy i opieczętowaliśmy kilka szuflad, gdy pan Jorkins przemówił, stosując do zmarłego jak raz słowo w słowo to, co zmarły o nim zwykł był mawiać:

— Pan Spenlow był bardzo wymagający, nie dawał się zwieść z raz wytkniętej sobie drogi. Sami to zresztą najlepiej możecie wiedzieć, lecz sędzę, że nie pozostawił testamentu.

— Wiem, że pozostawił — rzekłem.

Obaj zatrzymali się i spojrzeli po mnie.

— Na kilka godzin przed śmiercią — rzekłem — mówił mi właśnie, że się od dawna z tym załatwił.

Pan Jorkins i stary Tiffey zgodnie potrząsnęli głowami.

— Nieobiecujące to — zauważył Tiffey.

— Wcale nieobiecujące — dorzucił pan Jorkins.

— Nie wątpi pan zapewne... — począłem.

— Kochany panie Copperfield — przerwał mi Tiffey, kładąc rękę na moim ramieniu i przymykając oczy — gdybyś miał moje doświadczenie, wiedziałbyś, że w żadnym wypadku ludzie tak mało nie zasługują na wiarę jak w kwestii testamentu.

— Właśnie — wtrąciłem — nieboszczyk tak samo utrzymywał.

— Aha! Skończone! — zdecydował Tiffey. — Teraz to ręczyć mogę, że testamentu nie ma.

Dziwne to mi się wydawało, niepojęte, bo okazało się, że istotnie testamentu nie było, a nawet, o ile z pozostałych papierów można było wnosić, nie było śladu, aby kiedy bądź nieboszczyk o tym myślał, nie było ani szkicu, notatki, brulionu, nic zgola. Niepojęte mi się też zdawało to, że stan interesów zmarłego nie wydawał się wcale zadowolający. Trudno było dojść, co komu kiedy opłacił, ile pozostał dłużnym, co posiadał. Owszem, zdawać

by się mogło, że od lat już wielu sam dobrze o tym nie wiedział. Pomału doszliśmy do przekonania, że aby dorównać stopie będącej podówczas w modzie w Commons, wydawał więcej, niż na to pozwalały skromne jego dochody, i stracił osobisty, jeśli go kiedy bądź posiadał, fundusz. Pozostawała ruchomość w Norwood, a Tiffey, nie domyślając się, jakie wszystko to posiadało dla mnie znaczenie, obliczał, że po zapłaceniu długów, nie licząc lub zmniejszając do minimum to, co winien był firmie, zostanie może jakie tysiąc funtów najwyżej.

W sześć jakoś tygodni po śmierci mego pryncypała (a nie potrafię wyrazić, ilem przecierpiał niepokoju!) panna Mills donosiła mi jeszcze, że na każdą o mnie wzmiankę biedna moja mała Dora odpowiadała tylko: „Och! Ojczulek! Drogi mój, kochany ojczulek!”. Dowiedziałem się przy tym, że nie miała krewnych oprócz dwóch starych ciotek, siostr swego ojca, zamieszkałych w Patney, które od lat kilku zerwały niemal zupełnie stosunki z bratem. Nie zaszło, jak to panna Mills utrzymywała, żadne nieporozumienie, lecz z okazji jeszcze chrzcin Dory zostały zaproszone tylko na herbatę, gdy, ich zdaniem, winny były zostać zaproszone na obiad — i wówczas to odpisały, „że lepiej dla obu stron wszelkie stosunki przykrócić”. Odtąd każdy poszedł swą drogą.

Damy te wyłoniły się dopiero teraz z cienia, proponując Dorze, aby zamieszkała przy nich w Patney. Dora, ściskając je i płacząc, wołała: „Och tak! Niech ciocie zabiorą mnie i Julię Mills, i Jipa do Patney”. Tam się też wszyscy wkrótce po pogrzebie udali.

Jak znajdowałem czas na wycieczki do Patney, powiedzieć nie potrafię. Dość, że często błąkałem się po tamtej okolicy. Panna Mills, w imię łączących nas więzów przyjaźni, prowadziła dziennik. Spotykaliśmy się czasem, a gdy nie mogła mnie widzieć, przysyłała mi stronicę, które odczytywałem w Commons i które przechowywałem niby skarb. Za przykład niech następane<sup>404</sup> służą wyjątki:

Poniedziałek. Biedna moja kochana Dora ciągle przybita. Ból głowy. Zauważyła, jak J. jest wymuskany. D. pięci J. Budzi to wspomnienia, dając upust łzom. (Czy łzy są istotnie rosą serca?) J. M.

Wtorek. D. osłabiona i zdenerwowana. Prześlicznie błada. (Czy nie uważamy tego przy świetle księżyca?). D., J.M. i J. używają przejażdżki. J. wygląda przez okno i szczeka wściekle, co wywołuje błady uśmiech na usta D. (Z takich to ogniów składa się pasmo życia). J.M.

Środa. D. stosunkowo weselsza. Śpiewałam jej, jako najodpowiedniejsze jej usposobieniu *Wieczorne dzwony*. Nie uspokoiło to jej, owszem przeciwnie, wywołało łzy. Zacytowałam wiersz o młodej gazeli. Na próżno. J.M. Odwołałam się do cierpliwości i kamiennej rezygnacji. (Czemu kamiennej?) J.M.

Czwartek. D. uspokaja się. Noc lepsza, na lica wracają barwy róży. Wzmianka o D.C. Ostrożnie, z daleka. D. wybucha płaczem: „Och, Julio! Złym, niegodziwym byłam dzieckiem!”. Uspokajają ją pieszczoty. Maluje obraz D.C. nad mogiłą. Nowe wzruszenie: „Och! Co począć, co mam począć! Weźcie mnie gdziekolwiek bądź”. Przestrasza. D. mdleje, woda z pobliskiego wyniesiona zajazdu. (Poetyczny zbieg okoliczności: mozaikowa rączka u drzwi kawiarni, jak mozaikowe jest życie ludzkie). Ach! J.M.

Piątek. Dzień pełen zdarzeń. W kuchni zjawia się posłaniec za „bucikami”. Służąca odpowiada: „Nie rozkazano”. Człowiek ten upiera się przy swoim. Służąca zostawia go w kuchni z J. i idzie się dowiedzieć. J. nie ma. D. w rozpacz. Posyła na policję. Nieznajomego poznać można po dużym nosie, ramiona jak poręcz na moście. Poszukiwania. J. wciąż nie ma. D. płacze niepokieszona. Wzmianka o gazeli, ale bezskuteczna. Pod wieczór zjawia się jakiś chłopak. Wprowadzają go. Nos duży, ale ramiona niepodobne do poręczy. Żąda nagrody, wie, gdzie się pies znajduje, bliższych szczegółów odmawia. Oplacony, wiedzie kucharkę do sąsiedniego domu, gdzie znajdują J. przywiązanego za łapkę do nogi stołu. Radość D., która skacze około J. jedzącego wieszak. Ośmielona szczęśliwym obrotem rzeczy, wspominam

<sup>404</sup>następny (daw.) — tu: następujący; taki oto. [przypis edytorski]



znów D.C. D. wybucha płaczem i woła: „Och! Nie! Nie! Nie! Nie powinienem myśleć o niczym oprócz biednego mego ojczulka!”. Ścisła J. i szlocha, zasypia wreszcie. (D.C. niech ufa skrzydłom czasu). J.M.

Panna Mills i jej dziennik była to jedyna moja w owe dni pociecha. Ujrzyć tę, która na krótką przedtem chwilę widziała Dorę, czytać imię Dory na stronicach jej dziennika, boleć z nią i przez nią, było mą jedyną rozkoszą. Zdawało mi się, że zamieszkał w pałacu na lodzie, który roztopniał<sup>405</sup>, pozostawiając wśród ruin tylko mnie z panną Mills; że zły czarodziej jakiś zarysował magiczne koło wokół niewinnej boginki mych myśli, pozostawiając mi owe skrzydła czasu, jedyną śmiertelników pociechę.

## ROZDZIAŁ XXXIX. WICKFIELD I HEEP

Ciotka, przerażona zapewne moją rozpaczą, zdecydowała, abym jechał do Dover pod pretekstem dowiedzenia się, jak tam stoją rzeczy z wynajętym wiejskim jej domkiem, i zawarła nową z dzierżawcą umowy. Janet weszła w służbę u doktorowej Strong, gdzie ją codziennie widywałem. Zrazu niechętnie opuszczała Dover, czy pomna zasad, w których była ćwiczona — nie wiem. Owszem, posądzam, że odmówiła starającemu się o jej rękę sternikowi dlatego jedynie, że się jej nie podobał.

Chociaż ciężko mi było rozstać się z panną Mills, rozumiałem, dlaczego ciotka pragnie wydalic mnie z Londynu, a nadzieja spędzenia kilku godzin z Agnieszką uśmiechała mi się obietnicą ukojenia. Porozumiawszy się tedy z doktorem Strongiem co do trzydniowej nieobecności — doktor zwolniłby mnie nawet na czas dłuższy, lecz na to nie stawało mi odwagi — zdecydowałem się jechać.

Co do Commons, nic mnie tam nie wstrzymywało. Prawdę mówiąc, nie posiadaliśmy osobliwej wziętości wśród proktorskich sław i spadaliśmy coraz niżej. Interesy pod kierownictwem pana Jorkinsa słabły, a chociaż pan Spenlow ożywił je był bardzo, nie zdołał jednak oprzeć kancelarii na trwałych podstawach, toteż ostatnia katastrofa zachwiała interesy zupełnie. Czulem to i rozumiałem. Pan Jorkins mimo powagi swej firmy był człowiekiem spokojnym, obojętnym, leniwym. Związany z nim, oplakiwałem coraz więcej zaprzepaszczone w tym interesie pieniądze mej ciotki.

I nie na tym koniec. Commons osaczone było pokątnymi doradcami, a i takimi, co nadużywali lub nadużywać pozwalali swej proktorskiej godności. Przyciśnięci potrzebą, powiększyliśmy tę bandę, korzystając z usług pokątnych doradców w nadziei, że nam spraw nastręczą. Świadczenia do zamęścia i tym podobne błahostki opłacały się nam stonkowo najlepiej, faktorzy<sup>406</sup> rozstawieni zostali po wszystkich przejściach dla<sup>407</sup> łapania przechodniów w żalobie lub o zafrasowanym<sup>408</sup> wyglądzie. Zlecenie to spełniane było tak skrupulatnie, że mnie samego zaczepiono parę razy, wsuwając w rękę adres naszej kancelarii. Powstawały stąd częste nieporozumienia i nasz własny faktor — służył przedtem w szynku — chodził przez dni kilka z podbitym okiem. Inny znów porwał gwałtem jakąś damę w żalobie, ciągnąc ją do adwokata, w którego służbie pozostawał. Parę razy podobnych przyprowadzono mi jeńców. Co do świadków w sprawach małżeńskich, doszło do tego, że interesanci padali ofiarą silniejszego. Jeden z naszych aplikantów zwykł był siadywać w kapeluszu, by, gdy zajdzie potrzeba, czym prędzej mógł dostarczyć żądanych świadków. Faktorstwo to utrzymało się, sądzę, po dziś dzień. Ostatni raz, gdy tamtędy przechodził, krępy jakiś jegomość w białym fartuchu wpadł na mnie i szepcząc „świadectwo do ślubu” gotów był ciągnąć do „swego” adwokata.

Ale wracajmy do Dover.

W wiejskim domku wszystko zastałem w porządku, mogłem nawet pocieszyć ciotkę zapewnieniem, że nowi mieszkańcy, wierni jej zleceniom, zawzięcie wojują przeciw oślarzom i osłom. Po załatwieniu spraw miejscowych wybrałem się wczesnym porankiem do Canterbury. Zima wróciła, a chłodne wietrzne powietrze, spadające płatki śniegu orzeźwiły mnie nieco.

<sup>405</sup>roztopniał — dziś: roztopił się a. stopniał. [przypis edytorski]

<sup>406</sup>faktor (daw.) — pośrednik. [przypis edytorski]

<sup>407</sup>dla (daw.) — w celu, z powodu. [przypis edytorski]

<sup>408</sup>zafrasowany (daw.) — zmartwiony. [przypis edytorski]

Wchodząc do Canterbury, doznałem kojącego wrażenia na sam widok starych, znanych mi ulic. Te same co dawniej napisy, nazwiska i znane twarze! Jakże dużo, dużo, zdawało mi się, ubiegło czasu, odkąd byłem tu w szkołach. Dziwiłem się tylko, że odtąd tak niewiele tu zmian zaszło, zanim spostrzegłem, jak mało sam się zmieniłem. Dziwne, lecz kojący wpływ Agnieszki zdawał się przenikać nawet zamieszkałe przez nią miejsca. Sędziwe wieżycy katedry, krakanie wron, zwiększające bardziej od ciszy samej wrażenie samotności, otwarte bramy zawalone dawno spadłymi z cokołów posągami, głębokie framugi stuletnimi owinięte bluszczami, stare domy, sielankowe, na pola otwierające się widoki, ogrody i sady, wszystko to owiane było dziwnym, spokojnym jakimś urokiem.

Przybywszy do domu pana Wickfielda, na dole, w pokoju, w którym przedtem pracował Uriah, zastałem pana Micawbera z piórem w ręku. Odziany czarno, szeroki i barczysty, szczupłą wypełniał izdebkę.

Ucieszył się i zmieszał nieco, widząc mnie. Chciał natychmiast wieść mnie do Uriaha, na com się wszelako nie zgodził.

— Znamy się z dawien dawna z tym starym domem — rzekłem — sam trafię, gdzie mi potrzeba. Jakże się panu wiedzie w nowym zawodzie?

— Kochany Copperfieldzie — rzekł — dla człowieka obdarzonego bujną imaginacją prawnicza drobiazgowość jest nieco... nużąca. Nawet przy korespondencji nie podobna<sup>409</sup> popuścić wodze wyobraźni i dać się rozwinąć stylowi. Poza tym zawód to szczytny! Szczytny zawód!

Oznajmił mi, że zamieszkał w dawnym mieszkaniu Uriaha i że pani Micawber będzie uszczęśliwiona, przyjmując mnie pod własnym dachem.

— Skromne to progi — mówił — że użyję ulubionego wyrażenia mego przyjaciela Heepa. Skromne progi, pierwsze szczeble wysokiej drabiny.

Spytałem go, czy istotnie zadowolony jest z opieki Heepa.

Obejrzał się na drzwi, a widząc, że zamknięte, odpowiedział, głos zniżając<sup>410</sup>:

— Kochany Copperfieldzie! Człek pracujący pod naciskiem piętężnych zobowiązań bywa zwykle ofiarą pewnych niedogodności. Konieczność ubiegania się o zaliczkę niedogodności tych nie umniejsza bynajmniej<sup>411</sup>. To tylko powiedzieć mogę, że zacny przyjaciel mój Heep odpowiada nadziejom, których wymieniać zresztą nie potrzebuję, w sposób przynoszący zaszczyt zarówno jego głowie, jak i sercu.

— Nie sądziłem, aby posiadał materialne środki — zauważyłem.

— Daruj mi, proszę — rzekł pan Micawber, przygryzając wargi — mówiłem z przekonaniem.

— Cieszę się, żeś pan nabrał tak zadowalających przekonań.

— Wdzięczny ci jestem, kochany Copperfieldzie — odrzekł i natychmiast zanucił ulubioną jakąś piosenkę.

— Często widzisz pan pana Wickfielda? — spytałem.

— Niezbyt często — odparł z pewnym lekceważeniem. — Człek to zapewne najzwyklejszy, ale... ale zastały, przestarzały.

— Czy czasem nie dzięki swemu współnikowi? — rzekłem.

— Pozwól, kochany Copperfieldzie — ozwał się po chwili zmieszania — pozwól, że pewną uczynię uwagę. Cieszę się tu zaufaniem, ale na dotykaniu tematów pewnych nie pozwalałam sobie nawet z panią Micawber, przez lat tyle towarzyszką mej doli i niedoli. Otóż pozwolę sobie zauważyć, że przyjaznym naszym zwierzeniom powinna zostać wytknięta pewna granica, tak, pewna granica. Po jednej stronie pozostawimy to wszystko, co jest potrzebą wymiany umysłowej i serdecznej, po drugiej to, co się tyczy spraw i interesów Wickfield i Heep. Sądzę, że nie obrazę młodego mego przyjaciela, proponując mu zachowanie rzeczowej granicy?

Chociaż dostrzegłem zaszle<sup>412</sup> w nim zmiany, dające wiele do myślenia o nowo obranym zawodzie, nie mogłem się obrazić za to, co mówił, upewniłem go o tym.

— Jeszcze lepiej, kochany przyjacielu! — rzekł, ściskając mi dłonie. — Co do panny Wickfield, uważam ją za kobietę ze wszech miar wielką. Uosobienie to wdzięku, dobroci

<sup>409</sup>nie podobna (daw.) — nie (jest) możliwe; nie można. [przypis edytorski]

<sup>410</sup>zniżyć głos — ściszać głos. [przypis edytorski]

<sup>411</sup>bynajmniej — wcale (dosł.: jak najmniej). [przypis edytorski]

<sup>412</sup>zaszle (daw.) — te, które zaszły; dziś: zaistniałe. [przypis edytorski]

i rozumu. Na honor — kończył, całując końce swych palców i skłaniając ze szlachetną powagą głowę — na honor! Doskonalszej nie znam kobiety!

— Cieszę się tym — rzekłem.

— I gdybyś nie zapewnił był nas — ciągnął dalej — w pamiętne owo popołudnie, że ulubioną twą literą jest D, sądziłbym doprawdy, że A być nią powinna.

Któż z nas nie doznał w życiu takiego wrażenia, jak gdyby to, co mówi lub czyni, słyszy lub widzi, było powtórzeniem rzeczy mówionych, słyszanych, widzianych, dokonanych kędyś już, kiedyś... jak gdyby otaczające nas osoby, przedmioty, dźwięki z odległej, odległej przeszłości wyłaniały się jak echo, odbicie jakiegoś. Nigdy żywiej jak w tej chwili nie doznałem potem tego wrażenia.

Pożegnałem więc Micawbera, zlecając mu tysiące ukłonów dla żony i dzieci. Pozostawiając go z piórem w ręku, kiwającego głową, czułem wyraźnie, że pomiędzy nim a mną stanęło coś, co zmieniało doszczętnie charakter uprzednio pomiędzy nami istniejącego stosunku. Nikogo nie zastałem w salonie. Nikogo — oprócz śladów przebywania tam pani Heep. Uchyliłem drzwi do pokoju Agnieszki. Siedząc przed staroświeckim, pięknym biurkiem, pisała.

Podniosła głowę. Co za szczęście wywołać słodki uśmiech podobny temu, co ją opromienił całą; to spojrzenie, to serdeczne powitanie!

— Agnieszko — mówiłem, siadając przy niej — jakże mi ciebie brakło w ostatnich czasach.

— Doprawdy! Znów! — zawołała.

Skinąłem głowę.

— Nie wiem, jak to się dzieje — mówiłem — lecz gdy znajduję się z dala od ciebie, brak mi czegoś. Z dawien dawna przywykłem, abyś myślała za mnie, nie umiem się obejść bez rady twojej i pomocy.

— O co ci idzie? — spytała.

— Nie tak to łatwo powiedzieć. Wszak umiem być wytrwały, prawda?

— Oczywiście — odrzekła.

— I cierpliwy? — pytałem bardziej nieśmiało.

— Tak, prawie! — zaśmiała się Agnieszka.

— A jednak gryzę się, martwię, potrzebuję zachęty, podpory.

— O co ci zatem idzie? — spytała ze słodką powagą.

— O to. Przybyłaś, pamiętasz, do Londynu i znalazłem natychmiast w tobie potrzebne oparcie. Przybyłem tu i dość mi było spojrzeć na ciebie, by się uspokoić. Otaczające mnie i niepokojące okoliczności najmniejszej nie uległy zmianie, lecz ja to zmieniam się do niepoznania pod wpływem twojej, Agnieszko, obecności. Wytlumacz mi, jak to się dzieje.

Głowę miała spuszczoną. Zapatrzyła się w płonący na kominku ogień.

— Nic w tym nie ma nowego — ciągnąłem. — Powtarza się to od lat tyłu, w większych i mniejszych rzeczach. Dawniej frasowały mnie drobnostki, dziś sprawy wielkiej wagi, lecz dawniej czy dziś frasunek<sup>413</sup> czuję tylko z dala od przybranej mej siostrzyczki...

Podniosła głowę i anielskie spojrzenie. Ucałowałem podaną mi rękę.

— Gdy nie mam cię, Agnieszko, przy sobie, głowę tracę i tysiące popełniam niedorzeczności, przy tobie czuję się ukojony, szczęśliwy. Jak pielgrzym u celu podróży, znajduję spoczynek.

Czułem tak głęboko, com mówił, że mi łzy wzbierały w głosie i napływały do oczu, które zakryłem dłonią. Jakie we mnie w tej chwili walczyły sprzeczności, częściej niż się zdawać może rozdzierające serca i życie ludzkie, o ile szczęśliwszy byłbym idąc za tajemniczym i zgłuszonym serca głosem, nie wiem. Wiem to tylko, że mi istotnie przy Agnieszce spokojnie było, pogodnie, błogo.

Godnym swym, siostrzanym, tklwym zachowaniem, cichym, dźwięcznym głosem, wpływem swym, który z miejsc przez nią zamieszkałych święte jakiegoś czynił przybytki, uspokoiła mnie; opowiedziałem jej o wszystkim, co zaszło od ostatniego naszego spotkania.

— Widzisz — rzekłem kończąc — na ciebie tylko mogę liczyć.

— Ależ nie na mnie — odrzekła z uśmiechem — nie na mnie chyba, a na inną.

<sup>413</sup>frasunek (daw.) — zmartwienie. [przypis edytorski]

— Myślisz o Dorze?

— Najpewniej.

— Widzisz to, Agnieszko, nie mówiłem ci jeszcze, że Dora jest raczej... jakże to powiedzieć... nie to, aby polegać na niej nie było można. O nie! Lecz jest raczej nieśmiałym, bojaźliwym, delikatnym stworzeniem. Niepraktyczna przy tym. Jeszcze przed śmiercią ojca, gdym wyznawał jej wszystko... Ale pozwól, niech ci to opowiem.

Opowiedziałem Agnieszce szczegółowo rozmowę mą z Dorą i nie omieszkalem wspomnieć o kucharskiej księżce jako też o rachunkach i gospodarstwie. Żadnego zgoła nie ominąłem szczegółu.

— Och, Trotwood — uśmiechnęła się Agnieszka. — Zawsze ten sam! Zawsze chcesz płynąć przeciw prądowi. Po co ten pośpiech, i to jeszcze z tak nieśmiałym, niepraktycznym dziewczęciem! Biedna Dora!

Nie zdarzyło mi się słyszeć słów łagodniejszych i bardziej pobłażliwych. Zdawało mi się, że ją widzę obejmującą i całującą Dorę, a w tym udzielaniu opieki Dorze mieściła się jakaś łagodna dla mnie nagana. Zdawało mi się, że widzę Dorę tulącą się do Agnieszki, skarżącą się na mnie z dziecięcym, uroczym grymasem.

Serce moje przepehnione było wdzięcznością i uwielbieniem dla Agnieszki. W olśniewającej perspektywie widziałem obie je razem, złączone przyjaźnią, dopełniające się wzajemnie.

— Więc jakże mam postępować? — pytałem, odrywając wzrok od ognia, a myśl od jasnej tej perspektywy. — Co mam teraz zrobić?

— Sądzę — odrzekła Agnieszka — że obowiązkiem twym jest zwrócić się wprost do pań, co ją wzięły pod swą opiekę. Tajemniczość nieszlachetnie wygląda w podobnych wypadkach. Tak mi się zdaje.

— I tak jest zapewne, jeśli ci się tak zdaje — odrzekłem.

— Nie posiadam potrzebnego w podobnych razach doświadczenia — mówiła, wahając się — lecz czuję, tak, wyraźnie czuję, że tajemniczość ta niegodna jest ciebie.

— Mnie niegodna! Boję się, Agnieszko, czy nie za wysokie masz o mnie wyobrażenie?

— Niegodna ciebie i pocziwej twej natury — powtórzyła. — Otóż na twym miejscu napisałabym do tych dwóch pań. Opisałabym szczerze, otwarcie, jak to było, i prosiłabym o pozwolenie bywania w ich domu i starania się pod ich okiem o rękę Dory. Zważając na młode twe lata i pozycję, którą masz jeszcze do zdobycia w świecie, zgodziłabym się, będąc na twym miejscu, na wszelkie stawiane przez nie warunki. Prosiłabym, skoro to uznają za stosowne. Nie byłabym — dodała łagodnie — zbyt natarczywa ani gwałtowna, licząc zresztą na własną wierność i wytrwanie, a i na Dorę.

— Ale — zarzuciłem — jeśli zaczną straszyć Dorę, grozić jej, a ona znów będzie płakać i wspomnieć o mnie nie zechce?

— Jestże<sup>414</sup> to możliwe?! Pomyśl! — uśmiechnęła się Agnieszka.

— Tak — odrzekłem — nieboraczka jak ptaszę pieszczotliwa. Zresztą kto wie, jakie są te dwie stare panny. Stare panny bywają tak dziwaczne!

— Nie zdaje mi się — rzekła, wznosząc na mnie jasne swe spojrzenie. — Zresztą nie zastanawiałabym się nad tym. Na twoim będąc miejscu, myślałabym po prostu o tym, jak postąpić wypada, i tak bym postąpiła.

Rozmowa ta rozproszyła wszelkie me wątpliwości. Lżej mi się zrobiło na sercu, chociaż rozumiałem całą rozciągłość przedsiębranego kroku. Po południu, siedząc przy biurku Agnieszki, układałem list do opiekunek Dory. Przedtem jednak zszedłem na dół, aby powitać pana Wickfielda i Uriaha Heepa.

Tego ostatniego zastałem w nowej, świeżo otynkowanej, w ogrodzie wybudowanej kancelarii. Marnie wyglądał wśród stosów ksiąg i papierów. Przywitał mnie w zwykły sobie sposób, łaszcząc się i upewniając, że nie słyszał o mym przybyciu od pana Micawbera, o czym zresztą pozwalał sobie powątpiewać. Powiódł mnie do gabinetu pana Wickfielda, ogóloconego z wielu dawniej zapełniających go, a teraz Uriahowi służących przedmiotów. Stanąwszy przed kominkiem i, kościstą ręką pocierając podbródek, zdawał się nie baczyć<sup>415</sup> na moje z byłym jego pryncypałem powitanie.

<sup>414</sup>jestże — konstrukcja z partykułą *-że* nadającą znaczenie pytania retorycznego; inaczej: czy jest, czyż jest. [przypis edytorski]

<sup>415</sup>nie baczyć — nie zważać; nie zwracać uwagi. [przypis edytorski]

— Zostaniesz u nas, prawda, przez cały czas swego tu pobytu — mówił pan Wickfield, spoglądając na Uriaha.

— Nie wiem... Czy będzie miejsce? — spytałem.

— Z przyjemnością, paniczu... Ach! Przepraszam, stare przyzwyczajenie! Przepraszam! Z przyjemnością ustąpię panu dawnego jego pokoju, który obecnie właśnie zajmuję — ozwał się, krzywiąc, Uriah.

— Nie, nie trzeba, po co masz się krępować — wtrącił pan Wickfield — znajdzie się inny pokój.

— Och! Nie zrobiliby mi to żadnej przykrości — upewniał Uriah. — Owszem, z przyjemnością, z przyjemnością...

Przerwałem niemiłe te wylewy uczuć, upewniając, że zostanę pod warunkiem, jeśli mi dadzą inny, jaki bądź pokój. Rzeczą tę załatwiwszy i pożegnawszy współników, wróciłem na górę.

Spodziewałem się zastać Agnieszkę samą, lecz pani Heep prosiła o pozwolenie do trzymania nam towarzystwa pod pretekstem, że pokój Agnieszki jest cieplejszy, a reumatyzm dokucza jej srodze. Z całą przyjemnością wyrzuciłbym babę wraz z jej reumatyzmem na cztery wiatry, lecz nie było rady. Zmuszony byłem powitać ją uprzejmie, rozpytując o zdrowie.

— Najpokorniej panu dziękuję — mówiła. — Niewiele mi potrzeba. Bylebym była spokojna o mego Uriaha! Jakże go pan zastał? Jak mój Uriah wygląda?

Wyglądał tak marnie jak zawsze. Odpowiedziałem więc, że nie dostrzegłem w nim żadnej zmiany.

— Więc nie zauważył pan żadnej zmiany! Ośmielę się być innego zdania! Nie zauważył pan, jak zmizerniał nieborak?

— Nie zdaje mi się — odrzekłem.

— O! Bo pan nie patrzył macierzyńskim okiem — zawołała.

Oko to, złowrogie dla każdego, oprócz syna — kochali się nawzajem istotnie — przesłiznąwszy się po mnie, spoczęło na Agnieszce.

— A pani, panno Wickfield, czy też nie zauważyła, jak jest zmieniony, jak wychudł biedaczek? — pytała pani Heep.

— Nie zauważyłam — odpowiedziała Agnieszka, nie odrywając oczu od roboty. — Sądzę, że się pani zbyt mocno troszczy.

Pani Heep westchnęła głęboko, zająwszy się robieniem pończochy.

Nie opuściła nas na jedną chwilę. Przybyłem wcześniej i pozostawało jeszcze kilka godzin do obiadu, lecz nie ruszyła się z miejsca, migając szydełkiem z monotonią przelewającego się w klepsydrze piasku. Ani na chwilę nie opuściła kominka. Usiadłem za biurkiem, w pobliżu, za panią Heep, usiadła z robótką Agnieszka. Gdy, układając list do ciotek Dory, podniosłem oczy, spotkałem anielską twarz, słodkie spojrzenie dziewczęcia, lecz czułem jednocześnie złowrogie, na obojgu nas ciężące, nas oboje śledzące oko więdźmy, opadające szybko, przy zetknięciu się z moim. Zdawało mi się, że wiąże zdradliwą sieć, a siedząc tak przed ogniem, podobna była do czarownicy miotającej złowrogie zaklęcia.

I w czasie obiadu nie spuszczała nas z oka. Po obiedzie przyszła kolej na syna i gdyśmy pozostali sami z panem Wickfieldem, przyłgnął do mnie aż do znudzenia. W salonie czekała mnie znów matka. Było to nie do zniesienia. Usiadła przy fortepianie, gdy Agnieszka grała, prosząc o jakąś ulubioną przez syna — poziewał on wtedy w najlepsze — balladę. Oglądała się ciągle na niego i upewniała, że jest zachwycony. Zresztą, cokolwiek mówiła, miała zawsze jedynaka na celu. Widocznie naznaczone sobie spełniała zadanie.

Tak zszedł cały wieczór. Matka i syn, jak dwa nietoperze, zawisli nad tym domem, omraczając go plugawymi skrzydłami. Gniewało to mnie i gryzło. Noc miałem niespokojną, nazajutrz rozpoczęły się te same stróżowania, wraz z tą samą pończochą.

Nie mogłem ani przez kwadrans porozmawiać sam na sam z Agnieszką. Zaledwie zdołałem pokazać jej mój list. Prosiłem, by wyszła przejść się ze mną, lecz pani Heep jednocześnie zaczęła uskarżać się na reumatyzm i jękami zmusiła ją do dotrzymania sobie towarzystwa. O zmroku wyszedłem sam, rozmyślając, czy wypada mi skrywać dalej przed Agnieszką to, z czym mi się Uriah zwierzył w Londynie. Chwila każda wznagała mą niepewność.

Wyszedłem za miasto, dobrze znaną mi ścieżką, w zmroku dostrzegłem przechodnia. Był to Uriah Heep. Doganiał mnie.

— Co takiego? — spytałem.

— Ależ pan prędko chodzi — zauważył. — Mam nogi nie od parady, a jednak ledwom pana dogonił<sup>416</sup>.

— Dokąd? — spytałem.

— Tam gdzie i pan, panie Copperfield, jeśli pan nie pogardzi towarzystwem starego znajomego.

Mówiąc to i wykrzywiając się, szedł obok mnie.

— Panie Copperfield!

— Szczerze mówiąc i bez obrazy, wyszedłem na przechadzkę... by uniknąć ciągłego towarzystwa, na jakie jestem skazany.

Spojrzał na mnie spode łba:

— Pan ma na myśli mateczkę, panie Copperfield!

— Nie zaprzeczam temu.

— Aha! Ale bo widzi pan, położenie nasze jest tak skromne, wiemy o tym, wiemy, toteż zmuszeni jesteśmy czuwać, by nas kto czasem nie uprzedził. Zresztą — dodał zuchowato — w miłości, jak w polityce, wszystkie środki są dozwolone.

Podnosząc pomalą kościste ręce, pocierał podbródek, chichocząc z cicha. Nigdy jeszcze nie był podobniejszy do złośliwego pawiana.

— Bo to widzi pan, panie Copperfield — ciągnął, chichocząc i kiwając głową — niebezpieczny z pana współzawodnik, niebezpieczny.

— Czy z mego to powodu osaczyłeś pannę Wickfield i we własnym ją domu szpiegujesz? — spytałem.

— Ostre to słowa, panie Copperfield...

— Rozumiej je, proszę, jak ci się podoba, i domyśl się, co znaczą.

— Bynajmniej<sup>417</sup>. Pańska to rzecz, panie Copperfield, nadawać im znaczenie.

— Sądzisz tedy — mówiłem, siląc się na spokój przez wzgląd na Agnieszkę — że mi panna Wickfield jest miłszą, niż mogłaby być rodzona siostra?

— Ha — odrzekł — mógłbym nie odpowiadać na podobne pytanie. Może tak, a może i nie.

Nie! Nie spotkałem się nigdy jeszcze z podobnym spojrzeniem. Było to spojrzenie upiora.

— Cóż dalej? — rzekłem. — Tedy panna Wickfield...

— Agnieszka! — zawołał, przekrzywiając się i wijąc — moja Agnieszka! Czemu jej pan nie nazywasz po imieniu?

— Niech ją nieba strzegą — mruknąłem.

— O! Dzięki! Dzięki za to życzenie!

— Zmuszony zatem jestem wyznać ci to, co w każdym innym razie wyznałbym chyba tylko przed Jackiem Ketch<sup>418</sup>...

— Przed kim? — spytał, odchylając dłonią ucho i przechylając się ku mnie.

— Przed katem — rzekłem, gdyż widok jego nasunął mi mimowolnie to porównanie.

— Wiedz zatem, że jestem zaręczony z inną. Cóż, zadowala cię to?

— Czy pod słowem honoru? — pytał.

Byłem tak oburzony, że się zawałałem. Porwał tymczasem mą rękę i wstrząsnął nią, wołając:

— Och! Panie Copperfield! Panie Copperfield! Czemuś mi się nie zwierzył tego wieczoru, w którym otworzyłem panu me serce, pamiętasz pan, tego pamiętnego wieczoru, kiedyś mi udzielił noclegu na kanapie przed kominem! Gdybym wiedział, odwołałbym, rękę za to, mateczkę. Wszak mi pan wybaczysz tę ostrożność? Miłość jest podejrzliwa.

<sup>416</sup>ledwom pana dogonił — inaczej: ledwo pana dogoniłem (konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika). [przypis edytorski]

<sup>417</sup>bynajmniej — wcale (dosł.: jak najmniej). [przypis edytorski]

<sup>418</sup>Jack (John) Ketch (zm. 1686) — ang. kat w czasach Stuartów: Karola II i Jakuba II; jego imię stało się synonimem słów: „kat”, „szubienica”, „śmierć”, a nawet „szatan”, zaś węzeł służący do zadziergnięcia stryczka to po ang. „węzeł Jacka Ketcha” (*Jack Ketch's knot*); był wykonawcą wyroków śmierci w całym kraju podczas rozprawiania się Stuartów z opozycją w latach 80. XVII w. (wykonał wyrok m.in. na Williamie Russellu, Jamesie Scotcie księciu Monmouth), wtedy też informacje o jego poczynaniach trafiły na łamy prasy. [przypis edytorski]

Jaka szkoda, jaka wielka szkoda, żeś mi się pan wtedy nie zwierzył! Nastręczałem panu sposobność, ale pan nie zaszczyliłeś mnie swym zaufaniem, nie, nigdyś pan mnie nie lubił<sup>419</sup>, ja to tylko lubilem zawsze i lubię pana!

Mówiąc to, potrząsał ciągle moją dłoń swymi wilgotnymi, zimnymi palcami. Nie mogłem jej wycofać. Trzymał ją pod rękawem swego fioletowego płaszcza, wiodąc mnie pod ramię.

— Może byśmy wrócili — rzekł, skręcając ku miastu, nad którym wznosił się srebrny sierp miesiąca na nowiu.

— Zanim skończymy raz na zawsze z tym tematem — rzekłem, długie przerywając milczenie — chcę, abyś wiedział, jak dalece uważam Agnieszkę za cel niedościgły dla twych marzeń. Nie bliższą jest zaiste ciebie od tego tam miesiąca.

— Czy tak? — rzekł. — Niechże się pan przyzna, panie Copperfield, że mnie pan nigdy nie lubił, chociaż ja, ja zawsze miałem dla pana najwyższą sympatię. Zawsześ mnie pan uważał<sup>420</sup> za pokorniutkie, niziutkie, niegodne stworzenie.

— Nie lubię fałszywej pokory.

— Czy tak? Ależ pan nie wiesz doprawdy, jak dalece skromne jest moje pochodzenie. Ojciec i ja wychowani zostaliśmy w ludowej szkółce, a i matka wychowanie zawdzięcza publicznemu miłosierdziu. Wpajano w nas pokorę, wpajano od rana do nocy. Uczono nas pokory względem tego i owego, musieliśmy pilnie baczyć, aby nie przekroczyć nigdy naznaczonych nam granic, ustępować z drogi możniejszym i dostojniejszym. A któż nie był możniejszym i dostojniejszym od nas: biedaków! Pokorą ojciec zdobył sobie stanowisko pedla<sup>421</sup>. Pokorą zdobył miejsce zakrystiana<sup>422</sup>. Znano go z tej strony, a ojciec mawiał mi ustawicznie: „Pokorny bądź, synu, pokora niebiosa przebijają”. Miał rację ojczulek!

Po raz pierwszy dopiero zauważyłem, że ta przybrana pokora istotnie dziedziczna być może. Podziwiając jej kwiecie, nie myślałem wcale o nasieniu.

— Dzieckiem jeszcze będąc — ciągnął Uriah — przekonałem się, co pokora może. Pokornie zjadałem najskromniejsze kęski i pokornie zatrzymałem się na stosunkowo niskim stopniu nauk, mówiąc sobie: „basta<sup>423</sup>!”. Czy pan pamięta, panie Copperfield, jak mi się pan ofiarował z lekcjami łaciny? Nie przyjąłem, pokora mi nie dozwoliła. Nieboszczyk ojciec mawiał: „Ludzie lubią czuć swą wyższość, unizaj się”. Unizalem się więc, unizam: zyskałem tym trochę władzy!

Mówił to, wiem, gdyż widziałem twarz jego w blasku księżyca — mówił, aby mnie ostrzec, że władzy tej użyje w potrzebie. Nie, nigdy, ani przez chwilę nie wątpiłem o jego zręczności i przebiegłości, lecz teraz dopiero zrozumiałem całą jej rozciągłość, zrozumiałem, jak go to długie upokorzenie się uczyniło niskim, zaciętym.

Tyle było korzyści z owych zwierzeń, że wypuścił mą rękę ze swych zimnych, wilgotnych dłoni, pocierając z zadowoleniem brodę. Szliśmy obok siebie, lecz już nie pod ramię, nieliczne tylko zamieniając między sobą słowa.

Czy to uczynione zwierzenia, czy też inne względy wprawiły go w wyborny humor, ale przy stole był rozmowniejszy, zapytywał matkę, czy nie znajduje go za starym na kawalerski stan, spoglądając przy tym na Agnieszkę w taki sposób, że z przyjemnością połamałbym mu żebra i wypchnął, gdybym mógł, za drzwi!

Gdyśmy, mężczyźni, pozostali sami, wpadł w lepszy jeszcze humor, że zaś pił mało lub wcale, upojenie jego pochodziło widać z wewnętrznych pobudek. Pewien był wygranej, a obecność moja zdawała się go ośmielać.

<sup>419</sup>nigdyś (...) mnie nie lubił — inaczej: nigdy mnie nie lubiłeś (konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika). [przypis edytorski]

<sup>420</sup>zawsześ mnie (...) uważał — inaczej: zawsześ mnie uważałeś (konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika). [przypis edytorski]

<sup>421</sup>pedel (daw.; z niem *Pedell*) — woźny (szczególnie w różnego rodzaju szkołach i zakładach naukowych). [przypis edytorski]

<sup>422</sup>zakrystian (wł. *sacristia* a. *sacrista*) — osoba świecka lub duchowna niższej rangi sprawująca nadzór nad zakrystią (bocznym pomieszczeniem w świątyniach chrześc. służącym do przechowywania szat i naczyń liturgicznych oraz do przygotowania się do sprawowania obrzędów); do jej obowiązków należy pomaganie kapłanowi podczas odprawiania mszy i sprawowaniu obrzędów (przy pogrzebach, chrztach, ślubach itd.), otwieranie i zamykanie drzwi świątyni (odźwierny), sygnalizowanie dzwonem odbywających się uroczystości kościelnych (dzwonnik), dbanie o porządek w świątyni, pomoc w ubieraniu kapłana i in.; też: kościelny. [przypis edytorski]

<sup>423</sup>basta (wł.) — dość; wystarczy. [przypis edytorski]

Zauważyłem już przedtem, że zachęcał pana Wickfielda do libacji<sup>424</sup>. Rzucone mi przez odchodzącą Agnieszkę wymowne spojrzenie skłoniło mnie do zaproponowania tym panom, zaraz po pierwszym kieliszku, abyśmy udali się do salonu. Ubiegł mnie Uriah.

— Rzadko mamy przyjemność widywać milego naszego gościa — zwrócił się do siedzącego naprzeciw siebie pana Wickfielda — może byśmy, za pozwoleniem pańskim, wypili jego zdrowie? Zdrowie pańskie, panie Copperfield!

Zmuszony byłem dotknąć zimnej i śliskiej wyciągniętej ku mnie dłoni. Z odmiennym bardzo uczuciem uściśnąłem drżącą dłoń jego współnika.

— A teraz, kolego — mówił Uriah — jeśli mi wolno nazywać tak pana, panie Wickfield, czyje mamy pić zdrowie?

Piliśmy zdrowie mej ciotki, pana Dicka, Commons, Uriaha piliśmy dwukrotnie. Biedny pan Wickfield rozumiał swą słabość, zdawał się być nią upokorzony w oczach Uriaha, widocznie też pragnął mu we wszystkim dogodzić. Pomijam triumf tego ostatniego, widoczne niemal naigrzanie się ze starca i nieszczęsnego jego nałogu, pomijam wszystko to, gdyż serce mi się ściska na samo wspomnienie, a pióro odmawia posłuszeństwa.

— A teraz, kolego — mówił Uriah — moja, za pozwoleniem waszym, kolej. Wnoszę toast na cześć tej, co jest ozdobą płci swojej!

Ojciec Agnieszki trzymał właśnie w ręku wypełniony po brzegi kielich. Postawił go na stole, podniósł wzrok na wiszący na ścianie, a tak do córki podobny portret, potem zakrył oczy ręką i opuścił głowę.

— Czymże jestem, by wnosić ten toast? — mówił Uriah. — Ośmiela mnie jeno<sup>425</sup> przywiązanie moje, uwielbienie bez granic.

Zadna w oczach mych zadawana tortura biednemu starcowi nie wzruszyłaby, nie oburzyła mnie tyle, co to wewnętrzne cierpienie, to upokorzenie, które zdawał się powstrzymywać zaciśniętymi na czole dłońmi.

— Agnieszka to, Agnieszka Wickfield — ciągnął Uriah, nie podnosząc oczu i może nieświadom tego, co czyni — jest, że się ośmielę tak wyrazić, ozdobą płci swojej. Wszak mogę wyznać to pomiędzy nami! Jest ona chwałą dla ojca, a dla męża...

Nie! Nie potrafię wyrazić jęku, z jakim pan Wickfield porwał się z miejsca.

— Co to? — spytał, blednąc, Uriah. — Co to? Nie postradałeś pan przecież zmysłów, panie Wickfield! I jeśli powiem, że pragnę uczynić pańską Agnieszkę moją Agnieszką, mam co najmniej takie, jak i każdy inny, prawo wyrazić to życzenie. Ośmielę się nawet powiedzieć, że większe niż kto bądź mam do tego prawo.

Objemowałem starca, błagając go i w imię córki zaklinając, aby się uspokoił. Sądziłem istotnie, że zmysły postradał. Rwał włosy, wydierał mi się, milcząc i nie chcąc nawet spojrzeć na nikogo. Rzucił się błady, pomieszany... Straszny to był widok.

Błagałem go, aby się uspokoił, wysłuchał mnie. Niech wspomni na córkę i na to, jak się wraz z Agnieszką wychowywałem pod jego skrzydłem, jak ją czczę, kocham niby rodzoną siostrę. Chciałem bądź co bądź przywołać go do zmysłów, uspokoić. Błagałem go, aby niczym nie dał poznać córce, co zaszło. Pomału wracał do przytomności, spozjrzał na mnie obłąkanym z początku wzrokiem, potem coraz przytomniej.

— Agnieszka! — zawołał wreszcie. — Drogie, ukochane dziecię moje! I ty poczciwy, kochany chłopcze, znam was i kocham, lecz spójrz na tego!...

Wskazał na Uriaha. Ten błady, z zaciśniętymi ustami, wił się i przekrzywiwał, zawiedziony w swych nadziejach. Przerachował się widocznie.

— Spójrz na mego oprawcę — mówił pan Wickfield. — On to doprowadził mnie do tego oplakanego stanu, szczebel po szczeblu spychał z drabiny honoru, spokoju, szczęścia.

— Co?! Ja, ja to zepchnąłem pana z drabiny honoru i czci! Ja zakłóciłem spokój i domowe szczęście! — wołał, piniąc się, Uriah i zaraz, chcąc wszystko to zapewne załagodzić, dodawał. — Niechże się pan tak nie gniewa, panie Wickfield. Jeśli się za daleko posunął, wstrzymać mnie przecież można. Nie ma w tym nic złego.

<sup>424</sup>libacja (z łac. *libatio*) — początkowo: w religiach staroż. ofiara składana bóstwu przez wylewania na ziemię cennych płynów; dziś pot.: uczta, której towarzyszy obfite spożycie alkoholu; pijatyka. [przypis edytorski]

<sup>425</sup>jeno (daw., gw.) — tylko. [przypis edytorski]



— Sądziłem — mówił zwrócony do mnie pan Wickfield — że kierują nim proste pobudki. Chciałem go przywiązać do siebie, we własnym jego interesie. Widzisz, jak mi się udało! Patrz!

— Powstrzymaj go, panie Copperfield — zawołał Uriah, cofając się i wyciągając swój długi wskazujący palec — powstrzymaj go! Może wyrzec słowo, którego pożałuje i którego sam pan pożałujesz, żeś usłyszał.

— Nic nie powiem — zawołał z rozpaczą starzec — lepiej mi jednak byłoby mieć cały świat przeciw sobie, niż znajdować się w twej mocy!

— Słuchaj pan — ciągnął ostrzegawczo Uriah — słuchaj pan, panie Copperfield, zamknij mu usta przez przyjaźń samą. Po co masz pan, panie Wickfield, mieć cały świat przeciw sobie? Czy przez wzgląd na córkę? Ba! Ja i pan wiemy, co wiemy, to i dość! Na co budzić śpiące lichy! Nie ja to pewnie uczynię. Załagodźmy całe to nieporozumienie. Posunąłem się za daleko, co? Zgoda! Niech i tak będzie. Zgoda!

— O! Trotwood, chłopcze mój! — zawołał pan Wickfield, łamiąc ręce. — Do czego doszedł<sup>426</sup> i jak nisko spadłem, odkąd widziałeś mnie po raz pierwszy tu, pod tym dachem. Pobłażliwość zgubiła mnie. Folgowałem sobie, by zapomnieć o cierpieniu, i żal mój srogi po utraconej matce mego dziecięcia, i miłość sama dla córki przedzierzgnęły się w słabość występłą. Zniszczyłem wszystko to właśnie, com najgoręcej umiłował. Wiem to, widzisz sam. Sądziłem, że można jedną tylko na świecie istotę umiłować i zapomnieć o reszcie. Sądziłem, że jedną oplakując, można zerwać z żalem i boleścią świata całego. W tym cała leży omyłka. Zostałem pastwą mego serca tak, jakem się nad nim pastwił<sup>427</sup>. Samolubny w żalu i boleści, w przywiązaniach samolubny, samolubny w ucieczce przed pamięcią i w zapomnieniu samolubny, upadłem. Och! Jakże nisko upadłem! Nienawidzić mnie, gardzić mną musisz!

Upadł na krzesło, łkając. Uniesienie mijało, Uriah wysunął się z kąta, w który się uprzednio cofnął.

— Nie wiedziałem, com czynił — mówił, łkając, starzec — ale on wiedział. Stał się cieniem moim, jak zły duch podszeptował mi wszystko i widzisz, jaki mi młyński u szyi uwiązał kamień. Zdziwiłeś się niemało zapewne, zastając go tu — jako mego współnika. Słyszałeś, co dopiero mówił, cóż więcej rzec mogę?

— Powiedziałeś pan już i tak za wiele — wtrącił wyzywająco Uriah. — Nie brałbyś tego wszystkiego tak do serca, no... ano, na trzeźwo. Jutro sam pan to przyznasz. Jeśli, powtarzam, posunąłem się za daleko, to i cóż? Nie ma o czym mówić.

Drzwi się otwały i weszła Agnieszka. Śmiertelnie była blada; otoczyła ramieniem szyję ojca, mówiąc poważnie:

— Niezdrów, widzę, jesteś, ojczulku! Chodź, pójdziemy.

Oparł się na jej ramieniu, wychodząc. Zdawał się pogiębiony przygniatającą go hańbą. Zamieniłem z Agnieszką spojrzenie. Domyślała się, co zaszło.

— Nie przypuszczałem, że się tak obrazi — ozwał się Heep, skoro drzwi za odchodzącymi się zamknęły. — Na honor, nie przypuszczałem. Przejdzie to do jutra i w najlepszej znów będziemy harmonii. Pracuję przecież dla jego dobra i korzyści.

Nie odpowiedziałem mu i poszedłem wprost na górę, do bawialnego pokoju, gdzie niegdyś trawiłem wieczory z książką u boku Agnieszki, pod okiem jej ojca. Północ wybiła, gdy poczuł na ramieniu dotknięcie Agnieszki.

— Wcześniej jutro odjedziesz; przyszedłem cię pożegnać.

Oczy miała zapłakane, lecz była spokojna.

— Niech cię Nieba mają w swojej opiece — dorzuciła, ujmując moją rękę.

— Agnieszko — przemówiłem — droga moja, kochana Agnieszko! W czym mógłbym być ci pomocnym?

— W Bogu mam nadzieję — odrzekła.

— A ja w niczym pomóc nie mogę, ja, co ci własne me przyniosłem troski?

— Chcesz ulżyć moim? To nie podobna<sup>428</sup>! Dziękuję ci, przyjacielu!

<sup>426</sup>do czego doszedł — inaczej: do czego doszedłem (konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika). [przypis edytorski]

<sup>427</sup>jakem się (...) pastwił — inaczej: jak się pastwiłem (konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika). [przypis edytorski]

<sup>428</sup>nie podobna (daw.) — nie (jest) możliwe. [przypis edytorski]

— Nie moją to rzeczą — mówiłem — dawać ci rady, szlachetna moja, dobra, rozumna Agnieszko! Nie moja to rzecz. Ale wiesz przecie, jak mi droga jesteś, i możesz mi przyrzec, że się nie poświęcisz nigdy.

Wydała się zmieszana. Nigdy jej taką nie widziałem, cofnęła dłoń z mej dłoni i sama się cofnęła.

— Powiedz mi, obiecaj, że nie uczynisz tego nigdy, Agnieszko, droga, jedyna siostrzyczko moja! Że nigdy nie zapomnisz o królewskiej cenie takiego jak twoje serca, takiej jak twoja miłości!

O długo, długo zapomnieć nie mogłem chwilowego wyrazu jej twarzy i spojrzenia. Było tam zdumienie, wyrzut, żal jakiś, lecz wszystko to trwało zaledwie okamgnienie i rozplynęło się w słodkim uśmiechu, z którym zapewniła mnie, że się o nią bać nie powinienem. Bratem mnie nazwała, żegnając.

Ciemno jeszcze było i dzień nie wzeszedł, gdym nazajutrz wyjeżdżał. W błędnych braskach rozświtu<sup>429</sup> myślałem o Agnieszce, gdy u drzwiczek pojazdu ukazała się ohydna twarz Uriaha.

— Copperfieldzie — ozwał się głosem przypominającym zgrzyt zardzewiałego żelaza — sądziłem, iż miło ci będzie posłyszeć na odjeźdnym, że burza zażegnana. Wychodzę właśnie od niego. Pogodziliśmy się najzupełniej. Skromna moja pozycja i pokorny jestem, lecz... użyteczny, niezbędny, rozumie on to na trzeźwo. Pocziwy to człek bądź co bądź!

Mruknałem coś niewyraźnego. Pochwalałem, że oddaje sprawiedliwość swemu pryncypałowi.

— Zapewne — odparł — niewiele znaczy pochwała takiego jak ja człowieka, lecz głos najpokorniejszy przebija Niebiosą. Wszak i panu musiało się zdarzać po niedojrzałe sięgac gruszki<sup>430</sup>?

— Zapewne.

— Otóż właśnie mnie to się wczoraj wieczorem zdarzyło. Ale to nic. Gruszka dojrzeje! Mamy czas, a cierpliwym być umiem.

Rozplynął się w pożegnaniach u drzwiczek odjeżdżającego dylizansu. Nie wiem, co przeżuwał w ustach dla rozgrzewki, bo ranek był chłodny, lecz wiem, że smakował szeroką gębą, tak jak gdyby gruszka już była dojrzała, jak gdyby oblizywał po niej usta.

## ROZDZIAŁ XL. WĘDROWIEC

Wieczorem długo przy Buckingham Street rozmawialiśmy z ciotką o tym, com opowiadał powyżej. Ciotka zmartwiła się i przez parę godzin przechadzała po pokoju z założonymi na piersiach rękoma. Zauważyłem, że tak przechadzać się zwykła, gdy była wzruszona czy wzburzona. Tym razem potrzebowała snadź<sup>431</sup> większej przestrzeni, gdyż otwarła na oścież drzwi do sypialnego pokoju i chodziła tam i z powrotem mierzonym, śmiałym krokiem. Pan Dick siedział w milczeniu przed kominkiem.

Po odejściu pana Dicka usiadłem do przepisywania listu do ciotek Dory. Ciotka tymczasem, zmęczona chodzeniem, usiadła przed ogniem, unosząc jak zwykle rąbek sukni, tylko że nie trzymała jak zwykle szklanki z gorącym napojem na kolanach, lecz pozwalając, by przestygał na kominku, положиła rękę na rękę, oparła na nich brodę i wpatrywała się we mnie bacznie. Spotykałem się z jej wzrokiem za każdym razem, gdym podniosłem oczy, a wzrok ten zdawał się mówić: „Nie gniewam się, mój drogi, lecz jestem zdumiona i zasmucona”.

Tak byłem zajęty, że dopiero po jej odejściu zauważyłem, że pozostawiła wieczorną swą porcję nietkniętą. Zapukałem do drzwi chcąc podać jej szklankę. Otworzyła.

— Dziękuję ci, nie mam dziś do niczego serca, dobranoc — rzekła, potrząsając głową.

Nazajutrz rano przeczytała list mój pisany do ciotek Dory. Zadowolona zeń była. List wysłałem, wyczekując cierpliwie odpowiedzi. Tak minął cały tydzień, aż pewnego popołudnia...

<sup>429</sup>rozświt — dziś: świt, brask. [przypis edytorski]

<sup>430</sup>po niedojrzałe sięgac gruszki — przedwcześnie spodziewać się wyników (owoców) swoich działań. [przypis edytorski]

<sup>431</sup>snadź (daw.) — widocznie, prawdopodobnie. [przypis edytorski]

Wyszedłem był właśnie z Commons. Padał śnieg. Dzień był chłodny, dął północno-zachodni wiatr, lecz ze zmierzchem ucichł i tylko śnieg siał się dużymi płatkami, przyciszając turkot kół i szmer stóp ludzkich. Ulice zdawały się opierzone na biało.

Najkrótsza droga do domu — a przy podobnej pogodzie najkrótszą obierałem drogę — wiodła przez St. Martin's Lane. Kościół, nadający nazwę przejściu, stał wówczas nie w tak otwartym jak obecnie miejscu. Przy bramie spotkałem kobietę. Spojrzała na mnie i przeszła na drugą stronę. Twarz ta była mi znana. Musiałem ją gdzieś widzieć. Gdzie? Tęgom przypomnieć sobie nie mógł<sup>432</sup>, lecz widziałem już ją przedtem, za to mogłem ręczyć.

Na stopniach świątyni stał mężczyzna, złożywszy na świeżym śniegu zrzucony z pleców worek. Ujrawszy go, poznałem od razu. Nie wiem, czy mnie zdziwienie przykuło do miejsca, lecz przechodzień odwrócił się, postąpił naprzód i oko w oko stanąłem z panem Peggotty.

Wówczas przypomniałem też sobie, gdzie widział dopiero dojrzaną twarz kobietą. Była to Marta, ta sama, której niegdyś Emilka w kuchni mojej piastunki dawała jałmużnę... Marta, ta sama, obok której, wedle zapewnień Hama, pan Peggotty nie pozwoliłby Emilce zatrzymać się na jedno okamgnienie, za nic — za wszystkie mórz i łądów skarby.

Uściskaliśmy się. Przez długą chwilę żaden z nas nie mógł przemówić.

— Panie Davy — ozwał się wreszcie — kochany paniczu! Co za miłe spotkanie!

— Równie miłe jak niespodziane, stary mój, dobry przyjacielu!

— Miałem właśnie dowiedzieć się o pana dziś wieczorem, lecz usłyszałem tam, w Yarmouth, gdzie zachodził, że ciotka panicza mieszka tym razem z paniczem, i bałem się, czy nie za późno. Chciałem tedy zajść jutro rano, wcześniej, przed odejściem w dalszą drogę.

— W dalszą drogę? — spytałem — Dokąd?

— Nie wiem, gdzie oczy poniosą — rzekł, wstrząsając długie, śniegiem przysypane włosy.

Istniało jeszcze podówczas boczne wejście na dziedziniec gospody *Golden Cross*, pamiętnej mi z powodu okoliczności wiążących się właśnie z jego niedolą. Wziąłem go pod ramię i weszliśmy razem. Dwie czy trzy sale otwarte miały na dziedziniec drzwi i okna, wybrałem tę, w której nie było nikogo.

Przy świetle zauważyłem, że mu włosy porosły długie, a twarz ogorzała od słońca i wichrów. Posiwał. Zmarszczki na czole i koło oczu pogłębiły się, snadź<sup>433</sup> wszelkim przygodom i niepogodom stawiał czoło. Trzymał się jednak prosto, jak ten, co wytrwale do określonego, wytkniętego dąży celu. Nic go zatrzymać lub zawrócić z drogi nie mogło. Otrząsnął śnieg z płaszcza i kapelusza, otarł twarz, po czym usiadł naprzeciw mnie przy stole, tyłem do drzwi i wyciągnąwszy swą szorstką dłoń, ścisnął mnie znów silnie za rękę.

— Opowiem paniczowi, gdzie byłem i co słyszałem — rzekł. — Byłem daleko, lecz dowiedziałem się mało.

Zadzwoiłem na służbę, zgodził się na szklankę piwa i czekając, aż je ogrzeją, usiadł zamyślony. Na twarzy jego rozlana była powaga. Nie ośmieliłem się przerywać milczenia.

— Gdy małym była dzieckiem — począł, podnosząc powoli głowę — prawda ciągle o morzu, o tych siwych sukniach, w które morze przyobleka się w dni pochmurne, i o tych połyskach słonecznych, które w dni pogodne odbija, mnoży na grzbiecie każdej fali! Uderzało to jej dziecięcą wyobraźnię, dlatego może, że jej ojciec utonął, i zdawało się jej, może myślała, że odpłynął gdzieś daleko ku zawsze zielonym brzegom.

— Zgodne to z dziecięcymi wyobrażeniami — zauważyłem.

— Gdyśmy ją stracili — mówił pan Peggotty — przyszło mi na myśl, że on wywiózł ją tam daleko, na obce brzegi. Cuda jej musiał opowiadać, cuda jej musiał, gołąbce mojej, obiecywać, tam daleko! Po widzeniu się z jego matką pewien już byłem, że tak jest, a nie inaczej. Przepląnąłem tedy kanał i znalazłem się we Francji.

Drzwi się uchylily. Wpadło parę płatków śniegu. Więcej się jeszcze uchylily, z cicha, ostrożnie przytrzymywała je ręka jakaś.

<sup>432</sup>tęgom przypomnieć sobie nie mógł — inaczej: tego (...) nie mogłem (konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika). [przypis edytorski]

<sup>433</sup>snadź (daw.) — widocznie, prawdopodobnie. [przypis edytorski]

— Odszukałem tam — ciągnął pan Peggotty — pewnego dżentelmena, który był u władzy, i opowiedziałem mu o celu mej podróży. Zaopatrzył mnie w różne papiery, chciał dać pieniędzy, lecz tych nie potrzebowałem. Podziękowałem mu tedy ślicznie. „Będziemy pisać i mówić o panu, gdzie tylko się da” upewniał, „Nie zginiesz wśród obcych”. Wyraziłem mu raz jeszcze mą wdzięczność i puściłem się w drogę.

— Sam, pieszo? — spytałem.

— Po większej części pieszo — odrzekł — czasem wozem z jadącymi na targ chłopami, w pustych czasem dyliżansach, często w towarzystwie ubogich jakichś żołnierzy. Rozmawiać nie mogliśmy z sobą, lecz zawsze nie szliśmy osamotnieni po pustej drodze.

— Przybywając do miast — ciągnął — wchodziłem do karczmy, wyszukując kogo bądź, kto by rozumiał po angielsku. Wówczas objaśniałem, że poszukuję mej bratanicy, i wywiadywałem się o znajdujących się w hotelach i zajazdach cudzoziemców, i pytałem, czy kto nie widział gdzie podobnej do Emilki kobiety. Rozpytawszy, szedłem dalej. Po mału, gdym się gdzie zjawiał, zauważyłem, że coś już o mnie słyszano. Wieśniacy wynosili mi jedzenie i picie, zapraszali na nocleg i niejedna matka, mająca równe wiekiem Emilce córki, wyczekiwała na mnie na rozstajnych drogach, pytając, czym nie wpadł na ślad zaginionej. Niektórym z nich śmierć wydarła ich dziewczęta. Bogu wiadomo, ile mi te kobiety okazały współczucia i dobroci.

W uchylonych ostrożnie drzwiach stała Marta. Pewien tego byłem i drżałem, by oglądając się, nie spostrzegł jej czasem pan Peggotty.

— Nieraz — ciągnął — sadzały mi na kolana swe dziatki, zwłaszcza dziewczątka, i nieraz wieczorem siadywałem na progu chat ich tak, jakbym siadywał wśród własnej dziatwy. O, moje kochanie!

Łzy go dławily. Położyłem dłoń na ręce, którą zakrył oczy.

— Dziękuję, paniczu — rzekł. — To przejdzie.

Po chwili odjął rękę od oczu i zakładając ją na piersi, ciągnął:

— Nieraz rano przeprowadzały mnie poza wieś, a gdym żegnał je dziękując, wyglądały zawsze tak, jak gdyby rozumiały moje słowa. Przybyłem wreszcie na brzeg morza. Nietrudno mi było, psu morskemu, dostać się do Włoch. Tam znalazłem się od razu jak w znajomym miejscu. Ludziska zawsze byli dla mnie względni<sup>434</sup> i dowiedziałem się, że ją widziano, tam w górach, w Szwajcarii. Ktoś, kto znał jego lokaja, opowiedział mi, że widział ich razem podróżujących. Dniem i nocą podążałem w góry, ale im dalej szedłem, tym dalej góry uciekały. Przeszedłem je wreszcie, do upatrzonego dotarłem miejsca. Tu dopiero pomyślałem, co pocznę, gdy ją zobaczę.

U drzwi podsłuchiwała wciąż ta sama kobieta; ręce jej wyciągały się ku mnie błagalnie, abym jej nie zdradził.

— Ani na chwilę, nigdy — twierdził pan Peggotty — nie zwątpiłem o niej. Niech tylko, myślałem sobie, ujrzy mnie, głos posłyszysz, przypomni dom opuszczony, i dzieciństwo swe, chociażby królową została, myślę sobie, do nóg mi upadnie. Wiedziałem, że tak będzie. Wiedziałem. Ani na chwilę nie wątpiłem. Ileż razy śniło mi się, że woła „wuju” i jak martwa w objęcia mi pada. „Emilko, serce moje, wszystko przebaczone, zapomniane, wracajmy razem do domu”.

Umilkł na chwilę, potrząsnął głową i tak dalej mówił:

— Nic o nim nie chciałem wiedzieć, Emilka wszystkim mi była. Kupiłem dla niej prostą, wieśniaczą suknię i wiedziałem, że pójdzie za mną po kamienistej drodze, i nie opuści mnie już więcej. Przykryć ją nową tą suknią, precz odrzucić wszystko, co przedtem miała na sobie, wziąć ją pod ramię, wracać z nią, zatrzymywać się po to tylko, by wypoczęły strudzone jej nogi, zranione biedne serce, oto o czym myślałem. Na niego nie spojrzełbym nawet. Ale, panie Davy, spóźniłem się. Odjechali! Gdzie? Dowiedzieć się nie mogłem. Jedni mówili: tam, inni: ówdzie. Chodziłem tam, chodziłem ówdzie, ale nigdzie nie mogłem znaleźć. Wróciłem do domu.

— Dawno?

— Przed kilku dniami. Wieczorem spojrzełem w okna łodzi, świeca stała. Zbliżywszy się, zajrzałem do środka. Przed ogniem siedziała pocziwa pani Gummidge, sama, jak było

<sup>434</sup>względny (daw.) — zachowujący względy; traktujący z delikatnością i uwagą, by nie urazić kogoś. [przypis edytorski]

umówione. Zapukałem do drzwi, mówiąc: „Nie bój się, ja to, ja sam, Daniel”. Wszedłem. Anim przypuszczał kiedy, aby łódź mogła być tak pusta.

Z kieszeni na piersiach wydobyl ostrożnie paczkę zawierającą dwa czy trzy listy. Rozłożył je na stole.

— To pierwszy — rzekł, wybierając. — Nadszedł w tydzień po moim odejściu. Pięćdziesiąt funtów w banknotach, w kopercie pod moim adresem. Ktoś położył to na progu. Kochanie moje! Oszukać mnie chciała, zmieniając pismo.

Starannie, po dawnych załomach, złożył kartkę i odsunął ją na bok.

— Ten — mówił rozkładając drugi list — pani Gummidge otrzymała przed dwoma czy trzema miesiącami.

Popatrzył na list i, podając mi go, dodał:

— Niech panicz z łaski swej przeczyta.

Czytałem, co następuje:

Ach! Co tam pomyślicie, widząc to pismo i widząc, że moja to niegodziwa kreśli ręką. Nie dla mnie, nie zasługuję na to, ale przez pamięć na wuja otwórzcie mi serce na chwilę. Proszę i błagam o to. Weźcie kawałek papieru i napiszcie na nim jedno, jedyne słówko: jak się wuj miewa i co mówi o mnie, jeśli tam jeszcze mnie wspominać kiedy! Czy wieczorem, wracając, ogląda się jeszcze czasem za tą, którą niegdyś tak czule kochał? Serce mi pęka, gdy myślę o tym. Klękam przed wami i błagam, abyście nie byli dla mnie tak srodzy, jak na to zasługuję, wiem, że zasługuję, lecz abyście się zlitowali nade mną i napisali mi jedno, jedyne słówko. Nie nazywajcie mnie „waszą” ani „kochaną”, ani żadnym z tych słodkich imion, do których utraciłam prawo, ale zlitujcie się nade mną, donieście coś o kochanym wuju, którego już nigdy, nigdy oczy me nie ujrzą.

Droga pani! Jeśli nie chcesz otworzyć mnie niegodnej swego serca, wysłuchaj pokornej i gorącej mej prośby, spytajcie tego, komu największą wyrządziłam krzywdę, czyją żoną powinnam była zostać, jak macie postąpić, a jeśli on się ulituje i powie, żebyście do mnie napisali słówko, jedno słówko — a myślę, że tak powie, gdyż dobrym był zawsze, litościwym — powiedzcie mu, nic więcej, tylko to, że gdy w nocy słyszę szum wiatru, myślę zawsze, że wieje stamtąd od niego i od wuja i pędzi wprost do nieba ze skargą na mnie, niegodziwą. Powiedzcie mu, że jeśli bym jutro umrzeć mogła (Och! Jak tego gorąco, gorąco pragnę!), ostatnim tchnieniem błogosławić będę jego, wuja, cały mój dom kochany.

I w tym liście były pieniądze, pięć funtów. I te, jak tamte, pozostały nietknięte. Pan Peggotty odłożył je wraz z listem w kopertę. Dodany był szczegółowy adres, lecz odmienną pisany ręką i tak zawily, że nie mógł dostarczyć wskazówek dla odnalezienia piszącej.

— Czy odpowiedzieliście na ten list? — spytałem.

— Pani Gummidge — odparł pan Peggotty — nie bardzo piśmienna, ale Ham napisał brulion, który pocziwiła kobieta, jak mogła, najstaranniej przepisała. Oznajmiła Emilce, że poszedłem ją szukać, i przesłała jej ostatnie moje (pamiętasz pan?) słowa.

— A ten trzeci list?

— Nie list to, lecz znów pieniądze, dziesięć funtów i kartka: *Od szczerego przyjaciela*. Tak jak w pierwszej kopercie. Ale tamtą położono na progu, to nadeszło onegdaj<sup>435</sup> pocztą. Otóż stempel posłużył mi za wskazówkę. Tam idę.

Stempel wskazywał nadreńskie miasto. Wyszukał w Yarmouth kupca, który znał tę miejscowość i użyczył mu mapy. Mapę tę pan Peggotty rozłożył teraz na stole i oparłszy brodę na jednej ręce, wskazującym palcem drugiej wodził po niej pracowicie.

Spytałem go o Hama. Potrząsnął głową.

— Pracuje — odrzekł — pocziwiec, na dobre sobie wszędzie zasłużył imię. Każdy mu sprzyja i on każdemu pomóc gotów. Słowa skargi nikt jeszcze z ust jego nie słyszał, ale siostra moja utrzymuje (niech to pomiędzy nami zostanie), że już po nim.

— Łatwo w to wierzyć! Biedak!

<sup>435</sup> *onegdaj* (daw.) — przedwczoraj. [przypis edytorski]

— Ot tak, powiem paniczowi, istotnie pomiata swym zdrowiem i życiem. Znajdziesz go, gdzie najcięższa praca i gdzie największe niebezpieczeństwo, tam jego pełno. Spokojny, łagodny jak zawsze. Znają go i kochają wszystkie dzieci w Yarmouth.

Zebrał listy, złożył starannie, związał razem i schował niemal z czułością w zanadrze. Tymczasem z uchylonych drzwi zniknęła twarz kobieca: tylko płatki śniegu wpadały do wewnątrz.

— A teraz — powiedział pan Peggotty, spoglądając na swój wór podróżny — ponieważ widziałem się z paniczem, jutro raniutko ruszać mogę dalej. Panicz widział, co mam z sobą — wskazał kieszeń na piersiach — i to mnie tylko niepokoi, aby mi się jakie nieszczęście nie przytrafiło, zanim zdołam zwrócić te pieniądze. Jeślibym zmarł albo zginął gdzie czy został okradziony, a pieniądze te nie wróciły tam, skąd wyszły, nie miałbym chyba i w grobie spokoju. Dlatego tylko chciałbym wrócić.

Powstał, i ja także. Uścisnęliśmy się przed wyjściem.

— Przebiegnę tysiące mil — mówił — i nie spocznę, aż mu oddam precz te pieniądze. Byle znaleźć Emilkę! Jeśli nie uda mi się odnaleźć jej, gdybyż przynajmniej dowiedzieć się mogła, żem, szukając, wyzionął<sup>436</sup> ducha! Na tę wieść to już pewno wróci do domu.

Wyszliśmy. W nocnym mroku mknęła przed nami kobieca postać. Zatrzymałem pana Peggotty przy drzwiach, dopóki postać ta nie znikła mi zupełnie z oczu.

Wspominał o gospodzie przy drodze do Dover, gdzie znajdzie skromny, tani nocleg. Odprowadziłem go do Westminster Bridge i rozstaliśmy się na grobli! Zdawało mi się, że coś zmiłkło i w głąsę zapadło wraz z oddalającym się w śnieżnej zamieci wędrowcem.

Wróciłem na dziedziniec zajazdu, szukając dojrzałej tam twarzy. Znikła. Nawet ślady kroków śnieg zasypał. Moje tylko świeże ślady pozostały widoczne, a i te zaczęły znikać, gdy się za nimi oglądał.

## ROZDZIAŁ XLI. CIOTKI DORY

Nadeszła na koniec wyczekiwana odpowiedź. Staruszki przesyłały pozdrowienie panu Copperfieldowi, wraz z zapewnieniem, że list jego wzięły pod rozwagę dla dobra stron obu. Wyrażenie to mrowiem mnie przejęło nie tylko dlatego, że dotyczyło zajęć uprzednich, lecz i dlatego, że zauważyłem już w życiu, iż wyrażenia podobne bywają zwykle nader elastyczne, dają się najrozmaiciej naginać do okoliczności i do niczego nie zobowiązują. Dalej panny Spenlow uważały za rzecz niestosowną omawiać przedmiot „takiej wagi” korespondencyjnie i prosiły pana Copperfielda o ustne porozumienie. W naznaczonym dniu oczekiwały jego odwiedzin w towarzystwie, jeśli można, zaufanego jakiego przyjaciela.

Na list ten pan Copperfield odpisał natychmiast oświadczając, że stosownie do żądania panien Spenlow w naznaczonym przez nie dniu będzie miał zaszczyt przedstawić się im w towarzystwie przyjaciela swego, pana Tomasza Traddlesa, jurysty<sup>437</sup>. Po wysłaniu tej odpowiedzi pan Copperfield wpadł w nerwowe podniecenie, w którym do dnia odwiedzin pozostał.

Położenie zaostrzało się tym bardziej, że brakło mi pomocy panny Mills, bowiem pan Mills, który zawsze stawać musiał w poprzek mym planom — tak mi się przynajmniej zdawało — postanowił udać się właśnie do Indii. Po co do Indii? Po to chyba, aby tym utrudnić moje obecne położenie. Czyż nie prowadził handlu ze Wschodem, który mi się przedstawiał jako stosy kaszmirów i słoniowej kości? Czyż w młodości swjej nie zamieszkiwał Kalkuty? Małoż mu tego było? I oto teraz znów w te gorące kraje chciał dążyć? Nie tylko sam odjeżdżał, lecz ciągnął za sobą córkę, która obecnie wyjechała na wieś, by pożegnać krewnych. Dom w Londynie zwiłjali, rozprzedając meble i sprzęty. Nawet magiel przejść miał w obce ręce. Przewrót kompletny, a jam nie miał jeszcze czasu przyjść do siebie po uprzednim wstrząsie.

Długo debatowano, jak mam się ubrać na tę ważną wizytę. Walczyłem pomiędzy chęcią wyglądaną jak najlepiej a strachem skompromitowania czymś mej powagi w oczach

<sup>436</sup>żem (...) wyzionął — inaczej: że wyzionąłem (konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika). [przypis edytorski]

<sup>437</sup>jurysta (z łac. *ius, iuris*) — prawnik. [przypis edytorski]

panien Spenlow. Usiłowałam zachować miarę, ciotka pochwaliła to umiarkowanie, a pan Dick, gdyśmy z Traddlesem schodzili ze schodów, cisnął za nami stary trzewik.

Traddles był najpocziwszym pod słońcem chłopakiem, kochałam go z całego serca, lecz mógłby na tę okazję lepiej wyszczotkować włosy. Włosy te nieszczęsne sterczały mu na głowie jak kolce jeża. Spojrzałam nań z przerażeniem. Mogło to nas zgubić.

Ośmieliłem się zauważyć to, prosząc go jednocześnie, czyby nie mógł przypląszczyć włosów.

— Zrobiłbym to chętnie — rzekł, zdejmując kapelusz i gładząc czuprynę — ale widzisz, nic nie pomaga, nie ma na to rady.

— Jak to, nie ma rady?

— Ano! Widzisz, nic nie pomaga! Przygniółbym stufuntowym ciężarem, podłożyłbym pod prasę, nic nie pomoże: znów się podniosą. Nie masz wyobrażenia, jaka to uparta szczecina.

Zdetonowany<sup>438</sup> byłem, lecz zachwycony jak zawsze prostotą i dobrocią mego przyjaciela. Powiedziałem mu, że chyba jego upór wyraża się we włosach, gdy tymczasem on sam zawsze skłonny bywa do wszelkich ustępstw.

— Och! Z tymi włosami! — mówił Traddles. — Stoją mi one na zawadzie od samej kolebki. Żona mego wuja cierpieć ich nie mogła, działały jej na nerwy. O mało co nie stanęły też pomiędzy mną a Zofią.

— Nie podobały jej się?

— Jej? Owszem, ale starsza siostra, wiesz, owa piękność, żartowała z nich ciągle... sądzę, że się wszystkie śmiały.

— Przyjemne! — zauważyłem.

— A tak — dobrodusznie odparł Traddles — bawi to je, utrzymują, że Zofia pukiel mych włosów, który posiada, pod prasą trzymać musi. Śmiejemy się z tego.

— Wiesz co, mój drogi — rzekłem — muszę się uciec do twego doświadczenia. Gdyś się zakochał w swej Zofii, czy byłeś zmuszony oświadczać się jej rodzinie? Czy przeżyłeś podobne memu dzisiejszemu przejście?

Po pocziwej jego twarzy przemknęła chmura.

— Ze mną, widzisz, niełatwa była sprawa — rzekł. — Mówiłem ci już, jak dalece Zofia jest użyteczna w rodzinie. Nie mogą się tam bez niej obejść: nie przypuszczali, aby kiedykolwiek miała wyjść za mąż, i nazywali ją nawet zawsze „starą panną”. Toteż, gdy z największą ostrożnością wspomniałem o zamiarach moich pani Crewler...

— Matce?

— Matce, żonie wielebnego<sup>439</sup> Horacjusza Crewlera. Gdy wspomniałem z największą ostrożnością, krzyknęła i zemdląła. Miesiące upłynęły, zanim ośmieliłem się przemówić powtórnie.

— Jakże to było?

— Pomógł mi sam wielebny Horacjusz. Najgodniejszy to pod słońcem człowiek. Przekonał żonę, że winna<sup>440</sup> zrobić tę ofiarę, że zaś ofiara odległa jeszcze jest, powinna mi wybaczyć. Co do mnie, upewniam cię, zdawało mi się, że jestem co najmniej jastrzębiem w gołębniku.

— Ale siostry musiały być za tobą?

— Nie mogę tego powiedzieć. Gdy skończyłem z matką, przyszła kolej na Sarę, wiesz, tę, co niedomaga, chorą na kręgosłup.

— Pamiętam.

— Załamała rękę, przewróciła oczy, zbladła jak chusta, padła bez zmysłów. Przez dwa dni nic do ust nie wzięła oprócz grzanek z wodą.

— Nieznośna dziewczyna — zauważyłem.

— Przeciwnie, mój drogi, śliczne to, kochane dziewczę. Taka przy tym uczuciowa. Wszystkie one zresztą są uczuciowe. Zofia mówiła mi potem, że nikt nie zdoła wyobrazić sobie, jakich się od Sary nasłuchiwała wyrzutów. Wierzę bardzo. Czulem, jakbym popełnił jakąś zbrodnię. Po Sarze przyszła kolej na pozostałe osiem, a na każdej wywarło to

<sup>438</sup>zdetonowany — wybity z tonu, zбитy z pantalnyku; zdeorientowany. [przypis edytorski]

<sup>439</sup>wielebny — określenie stosowane w odniesieniu do duchownych; ksiądz, pastor. [przypis edytorski]

<sup>440</sup>winna — dziś: powinna. [przypis edytorski]

piorunujące wrażenie. Dwie najmłodsze, te, których wychowaniem Zofia się zajmuje, znieawidziły mnie.

— Teraz się przynajmniej z tobą pogodziły?

— Ta-ak, trochę. Nie mówimy o tym, a zwłoka i niepewność mego położenia uspokajają je nieco. Wyobrażam sobie, co to będzie przy zaślubinach. Wesele podobne będzie pogrzebowi. Czym zdołam ukoić żal ich, gdy im odbiorę Zofię?

Mówił to, pamiętam, zupełnie poważnie, zafrasowany, na co zresztą wówczas nie zwracałem szczególnej uwagi, tak zajęty byłem sobą. Zbliżaliśmy się właśnie do mieszkania ciotek Dory, a wzruszenie moje wzrastało. Traddles zaproponował, by odświeżyć się szklanką piwa. Wypiwszy je, zadzwoniliśmy do drzwi pańien Spenlow.

Wydało mi się, gdy służąca otworzyła nam, że oczy niezliczonego tłumu na mnie się zwracają. Przeszedłszy przez pusty hall, w którym wisiał barometr, znaleźliśmy się w małym bawialnym pokoju z wychodzącymi na ogródek drzwiami. Pamiętam, że po zdjęciu kapelusza włosy Traddlesa przedstawiały widok oplakany: wyglądał jak te komiczne, za naciśnięciem sprężyny z pudełek wyskakujące figury. Pamiętam, że stary, na konsoli stojący zegar nie uderzał tak silnie jak bijące mi w piersiach serce. Pamiętam, że się oglądał nieśmiało dokoła, spodziewając się dostrzec choć cień Dory. Pamiętam, że z dala dochodziło mnie warczenie Jipa. Pamiętam wreszcie, że odepchnął Traddlesa pod kominek, kłaniając się nisko przed dwiema starszycami, przedstawiającymi zdrobniały i szerniały wizerunek nieboszczyka pana Spenlow.

— Proszę siadać — ozwała się jedna z nich.

Potknąłem się o Traddlesa, o mało nie usiadłem na kotce i teraz dopiero zauważyłem, że pan Spenlow musiał być najmłodszym z rodzeństwa, a pomiędzy siostrami było sześć do siedmiu lat różnicy. Młodsza trzymała w ręku mój list, nadając ton całej wizycie. Na list spoglądała przez szkła. Obie jednakowo były odziane, lecz młodsza odznaczała się pewną elegancją, miała więcej wstążek, bransolet, szpilek, była żywsza w ruchach. Obie zresztą spokojnie i wytwornie trzymały się prosto, a starsza z założonymi na piersiach rękoma podobna była do posągu.

— Panie Copperfield — przemówiła młodsza, zwracając się do Traddlesa.

Zły początek. Traddles wyjaśnił, że to ja właśnie jestem panem Copperfieldem. Obie panie zdziwiły się bardzo. Tam, gdzie z dali, dochodziło warczenie Jipa. Ktoś go upominał, chcąc uciszyć.

— Panie Copperfield — zwróciła się już tym razem do mnie dama z listem.

Ukloniłem się.

— Siostra moja Lawinia — ozwała się starsza dama — znając się na podobnych sprawach, powie panu, panie Copperfield, cośmy uchwałyły jako najstosowniejsze dla zapewnienia szczęścia obu stron.

Z czasem dowiedziałem się, że znajomość spraw sercowych panna Lawinia zawdzięczała niejakiemu panu Ridgerowi, który grywał w wista<sup>441</sup> i uchodził za zakochanego w jej osobie. Zdaniem moim, pan Ridger najnieśluszniej był o to posądzany i żadna poszlaka nie zdradzała nigdy stanu jego uczuć, lecz obie te panie, panna Lawinia i panna Klarysa, najmocniej były przekonane, że od oświadczyn powstrzymała go tylko śmierć przedczesna (około sześćdziesiątki) z nadmiernej ilości zażywanych trunków, jak utrzymywali niektórzy, z miłości, wedle przekonania starych pańien. Przechowywano jego portret o rozkwitłym, wymownie przeciw tymże posądzeniom świadczącym nosie.

— Nie wspominajmy przeszłości — rzekła panna Lawinia. — Zapieczętowała ją śmierć naszego brata.

— Wprawdzie — dodała panna Klarysa — nie widywałyśmy się prawie z bratem naszym, lecz nie istniały pomiędzy nami żadne poważne nieporozumienia. Francis szedł swoją, my zaś swoją drogą, uważając, że tak lepiej będzie dla stron obu, jak też istotnie było.

<sup>441</sup>wist — gra karciana dla czterech osób grających w dwóch parach, wywodząca się z Anglii, niezwykle popularna w XVIII i XIX w.; protoplasta brydża. [przypis edytorski]



Obie siostry, mówiąc, pochylały się nieco w przód, obie też, gdy kończyły mówić, prostowały się. Panna Klarysa nie rozkładała złożonych na piersiach rąk, czasem tylko końcami palców wygrywała ciche jakieś arie<sup>442</sup>, menuety<sup>443</sup> zapewne, gawoty<sup>444</sup> może.

— Położenie bratanicy naszej — mówiła panna Lawinia — zmieniło się bardzo ze śmiercią jej ojca, toteż mamy prawo wnioskować, że wraz ze zmianą położenia zmieniłby się i pogląd naszego brata w sprawie dotyczącej celu pańskich odwiedzin, panie Copperfield. Nie mamy powodu powątpiewać o charakterze i zdolnościach pańskich i przekonane jesteśmy, o tak, święcie przekonane o przywiązaniu pańskim do bratanicy naszej.

Upewniłem je, że się nie mylą, że nikt nigdy nikogo nie kochał, nie mógł kochać tak, jak ja kocham Dorę. Traddles pomrukiwał twierdząco.

Panna Lawinia miała zabrać głos, gdy panna Klarysa, powracając do wspomnień o bracie, przerwała jej:

— Jeżeliby matka Dory a żona brata naszego Francisa nie sądziła, że nie ma u jej stołu dość miejsca dla pomieszczenia całej rodziny, lepiej by na tym wyszły obie strony.

— Siostrzo! Klaryso! Zapomnijmy o tym — upomniała Lawinia.

— Siostrzo! Lawinio! — odparła starsza. — Wiąże się to z obecną naszą rozmową. W to, co do ciebie należy i w czym wprawniejsza jesteś ode mnie, mieszać się nie myślę, ale w tym znów mam głos swój i zdanie. Otóż, powtarzam, dla obu stron lepiej byłoby, jeśliby matka Dory a żona brata naszego Francisa, od razu postąpiła otwarcie. Wiedziałybyśmy, czego się mamy trzymać. Powiedziałybyśmy jej: „Prosimy cię, nie zapraszaj nas nigdy” i wszelkim nieporozumieniom położony byłby raz na zawsze kres.

Gdy panna Klarysa milkła, panna Lawinia zaczynała mówić, przyglądając się ustawicznie przez szkła listowi, który trzymała w ręku. Oczy miały obie okrągłe, ptasie. W żywości ruchów ich, w całej drobnej postawie było też coś ptasiego. Podobne były do kanarków.

Panna Lawinia tak mówiła:

— Siostra moja Klarysa i ja użyjemy panu, panie Copperfield, pozwolenia bywania w naszym domu w charakterze starającego się o bratanicę naszą, Dorę Spenlow.

— Jeśli się podobało bratu naszemu — wtrąciła starsza — zamknąć się w murach Commons, nie nasza to była rzecz. Skoro Francis, jak i żona jego mogli sobie wybrać, jakie się im podobało, towarzystwo, to chyba ja i Lawinia też możemy wybrać sobie takie, jakie się nam podoba?

Ponieważ pytanie to zwracało się do mnie i do mego przyjaciela, obowiązkiem naszym było udzielić twierdzącej odpowiedzi. Nikt nie potrafiłby określić, co zawierało mruczenie Traddlesa, co do mnie, zapewniłem o słuszności tego zdania.

— Siostrzo Lawinio! Mów, duszko — ozwała się panna Klarysa.

Panna Lawinia mówiła:

— Z wielką uwagą siostra moja Klarysa i ja przeczytałyśmy list pański, panie Copperfield. Pokazałyśmy go ostatecznie bratanicy naszej i omówiłyśmy z nią jego treść. Nie wątpimy, że wyobrażasz pan sobie, iż ją kochasz...

— Wyobrażam! — zawołałem. — Och! Pani...

Powstrzymało mnie ptasie spojrzenie panny Klarysy. Nie powinienem był przerywać wyroczni.

— Bo to — ciągnęła, spoglądając znacząco na siostrę panna Lawinia — prawdziwe, głębokie, stałe, dojrzałe przywiązanie nie bywa skore do oświadczeń. Wyraża się lęklwym milczeniem, skromne jest, cofa się, wyczekuje. Takie bywa prawdziwe, głębokie, dojrzałe przywiązanie! Czasem życie całe przejdzie, a ono się nawet nie wychyli z cienia.

Nie wiedziałem wówczas, do czego ta mowa była skierowana, lecz po kiwaniu głową panny Klarysy domyśliłem się aluzji ukrytej w tych słowach.

<sup>442</sup>*aria* — pieśń solowa z akompaniamentem instrumentalnym, część większej formy muzycznej, np. opery, oratorium, kantaty. [przypis edytorski]

<sup>443</sup>*menuet* — fr. taniec ludowy, o metrum 3/4 i tempie umiarkowanym, w czasach Ludwika XIV stał się tańcem dworskim i zyskał popularność podczas organizowanych balów: tańczony jest w parach, ale pozwala też na tworzenie figur wykonywanych rzędami; istnieją realizacje tej formy muz. przez najsławniejszych kompozytorów (np. Mozarta, Haendla i in.). [przypis edytorski]

<sup>444</sup>*gawot* — starofrancuski taniec ludowy w tempie umiarkowanym, o metrum parzystym, z charakterystycznym półtaktowym przedtaktem; XVII–XVIII w. spopularyzowany na dworze królewskim, a następnie w zabawach salonowych, a także w operze i balecie. [przypis edytorski]

— Natomiast lekkie — ciągnęła panna Lawinia — o jakże lekkie uczucia młodzieńcze, w porównaniu z tymi, o których dopiero mówiłam, wyglądają jak pył przy skale. Z tego to względu siostra moja Klarysa i ja niepewne byliśmy, co w tym wypadku począć, panie Copperfield i panie...

— Traddles — powiedział mój przyjaciel.

— Przepraszam pana! Tak właśnie, Traddles — mówiła panna Lawinia, spoglądając przez szkła na mój list. — Tak właśnie, Traddles, jurysta.

Traddles zarumienił się po uszy.

Co do mnie, chociaż nie byłem jeszcze do tego upoważniony, zdawało mi się, że słowa panny Lawinii, ciekawość takich szczegółów jak zawód mego przyjaciela najlepsze mi rokuje nadzieje. Zdawało mi się, że panna Lawinia bierze młodociane me uczucia pod swą opiekę, a panna Klarysa wtóruje jej, zwracając się pamięcią ku bratu i zerwanym z nim stosunkom. To dodało mi odwagi, by zapewnić ponownie te panie, że kocham Dorę więcej, niż zdołam wyrazić, niż kto bądź zrozumieć to potrafi. Odwołałem się do świadectwa przyjaciela mego Traddlesa; poparł mnie z zapałem, jak gdyby szło o przekonanie całego areopagu<sup>445</sup> sędziów. Wywarło to na staruszkach jak najlepsze wrażenie.

— Mówię zresztą z własnego doświadczenia — ciągnął Traddles — ponieważ sam jestem zaręczony z młodą osobą, jedną z dziesięciu siostr w Devonshire, i na razie nie wiem jeszcze, kiedy miłość ma uwieńczona zostanie...

— Więc zgadzasz się pan na to, com dopiero rzekła — zawołała uradowana panna Lawinia — że prawdziwe przywiązanie skromne bywa, cofające się, wyczekujące...

— Najzupełniej się z tym zgadzam, pani.

Panna Klarysa pokiwała głową, patrząc na siostrę, panna Lawinia zaś zamieniła z nią spojrzenie i westchnęła cicho.

— Siostro Lawinio! Oto flakonik z octem! — zawołała panna Klarysa.

Panna Lawinia podniosła do nosa flakonik i, patrząc przyjaźnie na Traddlesa, mówiła dalej:

— Siostra moja i ja nie wiedziałyśmy doprawdy, panie Traddles, co myśleć o tym młodocianym przywiązaniu. Mogło ono być złudzeniem tak ze strony pana Copperfielda, jak i bratanicy naszej.

— Córki brata Francisca — wtrąciła panna Klarysa. — Ha! Jeśliby matka Dory, a żona brata naszego, uważała za stosowne wezwać nas do swego stołu, lepiej byśmy znały naszą bratanicę i wiedziały, co o tym sadzić. Mów dalej, siostro Lawinio!

Panna Lawinia odwróciła mój list, szukając wzrokiem uwag, jakie na nim poczyniła ołówkiem.

— Wypada nam, panie Traddles — poczęła, zasięgnąwszy rad owych notatek — wypróbować uczucia, z jakimi się przyjaciel pański oświadcza. Ale dotychczas nie wiemy jeszcze ostatecznie, co o nich sądzić mamy. Dla naocznego przekonania się o ich wartości, upoważniamy pana Copperfielda do bywania w domu naszym.

— Nigdy nie zapomnę wdzięczności, jaką winienem paniom! — zawołałem uszczęśliwiony.

— Ale — dodała panna Lawinia — na razie przynajmniej, chcemy traktować wizyty pana Copperfielda jako składane nam, ciotkom Dory. Nie zobowiązujemy się niczym, dopóki nie nadarzy się nam sposobność...

— To jest, dopóki tobie nie nadarzy się sposobność, siostro Lawinio — wtrąciła panna Klarysa.

— Niech i tak będzie — westchnęła panna Lawinia — dopóki tedy nie nadarzy mi się sposobność wypróbowania tych uczuć.

— Zgodzisz się zapewne, Copperfieldzie — zwrócił się do mnie Traddles — na słusność stawianego żądania?

— Najzupełniej! — zawołałem uszczęśliwiony.

<sup>445</sup>*areopag* — Rada Starszych w staroż. Atenach; złożona z najwyższych urzędników w *polis* rada, której siedzibą było wzgórze Aresa (stąd nazwa); jej członkowie, *archonci*, (a. *areopagici*) zajmowali się prowadzeniem polityki oraz nadzorem nad sądownictwem i prawami (sami bywali sędziami w sprawach wagi państwowej), a także kontrolowaniem wszelkich urzędników państwowych (w tym archontów); tu: użycie żartobliwe. [przypis edytorski]

— W takim razie — mówiła panna Lawinia, znowu zaglądając do swych notatek — musimy nadto wziąć od pana Copperfielda słowo honoru, że nie będzie w tajemnicy przed nami dążył do żadnych porozumień z bratanicą naszą, żadnego nie uczyni kroku, z którego by się w pierwszej<sup>446</sup> nie zwierzył nam...

— Tobie, siostrze Lawinio!

— Niech i tak będzie — westchnęła panna Lawinia — z którego by się tedy mnie nie zwierzył. Na to musimy mieć słowo pana Copperfielda, aby żadne w tej mierze nie powstało nieporozumienie. Jeśli pan, panie Traddles, lub przyjaciel pański możecie mieć w tym względzie jakąś wątpliwość, pozostawimy to wam do namysłu.

Zapewniłem, że namysł jest niepotrzebny, zobowiązałem się słowem honoru, biorąc Traddlesa na świadka, i oświadczyłem, że gardziłbym sam sobą, jeślibym się w najmniejszej mierze sprzeniewierzył danemu słowu.

— Stój pan — zawołała panna Lawinia, podnosząc rękę — stój pan. Umówione było między nami, że damy panom kwadrans czasu do namysłu. Odetchniemy tedy, za pozwoleniem...

Darmo upewniałem, że namysł jest zbyteczny. Tak było umówione, więc wyszły pełne ptasiej godności, pozostawiając mnie z Traddlesem, który się rozplątał w powinszowaniach<sup>447</sup>. Również po upływie kwadransa zjawily się, szeleszcząc jedwabnymi sukniemi, tak jak gdyby ptasie skrzydła ciągnęły po zeschniętych jesiennych liściach.

Powtórzyłem uprzednie przyrzeczenie.

— A teraz twoja kolej, siostrze Klaryso! — rzekła panna Lawinia. Panna Klarysa po raz pierwszy rozłożyła ręce, otwierając mały, leżący przed nią notatnik.

— Miło nam będzie — mówiła, czytając w notatniku — widywać co niedzielę pana Copperfielda przy naszym stole. Obiadujemy o trzeciej.

Skłoniłem się.

— W tygodniu miło nam będzie gościć u siebie pana Copperfielda wieczorem. O pół do siódmej pijamy herbatę.

Znow się skłoniłem.

— Zatem dwa razy na tydzień — rzekła — odwiedzać nas pan zechce.

Znow się skłoniłem.

— Może też wzmiankowana w liście pańskim ciotka jego, panna Trotwood, odwiedzić nas raczy? Jeśli wymiana wizyt ma wyjść na dobre dla stron obu, chętnie je przyjmujemy i oddajemy wzajemnie. Lecz jeśli, jak to sądził brat nasz Francis, przerwanie stosunków ma wyjść na dobre obu stronom, to znów co innego.

Upewniłem, że ciotka moja pragnie mieć zaszczyt poznać te panie, chociaż w rzeczy samej wątpiłem, aby się mogły wzajemnie sobie podobać. Tak załatwiwszy całą tę sprawę, ucałowałem z kolei ręce obu staruszek.

Wówczas panna Lawinia, przeprosiwszy Traddlesa, zaproponowała mi przejście z nią do dalszych pokojów. Przebiegł mnie dreszcz rozkoszny. Przy samych drzwiach, a może i z uszkiem u klamki, stała moja Dora! Jip siedział w kominku, z pyszczkiem owiniętym ręcznikiem.

Och! Jakże piękna była w czarnej, żałobnej sukni! Jak płakała, nie mogąc się długo uspokoić! Jakże byłem szczęśliwy! Wydobyliśmy Jipa z kominka i uwolniliśmy z więzów. Warczał i sapał długo jeszcze.

— Doro! Droga moja, jedyna, moja Doro!

— O! Nie!

— Czyż nie jesteś moją, na zawsze moją?

— Tak, ale... takem wystraszona<sup>448</sup>!

— Wystraszona! Doro!

— Nie mogę go ścierpieć, po co on tu przyszedł?

— Kto, kochanie?

— A ten, ten tam twój przyjaciel. Co mu do tego wszystkiego? Głupi być musi, prawda?

<sup>446</sup>w pierwszej — dziś: najpierw; wcześniej. [przypis edytorski]

<sup>447</sup>powinszowania (daw.; z niem. *wünschen*: życzyć) — gratulacje, życzenia (szczególnie okolicznościowe). [przypis edytorski]

<sup>448</sup>takem wystraszona — forma skrócona; inaczej: jestem tak wystraszona. [przypis edytorski]

Czarująca była z dziecięcym kapryśnym grymasem.

— Najlepszy to pod słońcem chłopak — zawołałem.

— Ależ nam „najlepszy pod słońcem chłopak” niepotrzebny.

— Poznasz go i polubisz, zobaczysz — upewniałem i przekonywałem. — Ciotka moja wkrótce tu przybędzie, polubisz ją pewnie.

— Nie, nie, nie przyprowadzaj jej tu — mówiła Dora wśród szybkich pocałunków, załamując rączęta. — Nie, nie chcę, to taka nudna, zła, stara musi być baba! Nie chcę jej widzieć, Doady...

„Doady” było spieszzeniem imienia Dawid.

Co tu mówić. Śmiałem się, podziwiałem moją grymaśnicę, kochałem ją. Pokazała mi nowe sztuczki, których wyuczyła Jipa. Na mgnienie oka służył oparty o poręcz fotela i natychmiast opadał na cztery łapki. Przypatrywałem się temu całymi godzinami, pozostawiając Traddlesa na pastwę obu staruszek, lecz panna Lawinia uznała za stosowne przerwać mą ekstazę. Panna Lawinia lubiła bardzo Dorę i upewniała, że za młodu zupełnie była do niej podobna. Jakże się więc bardzo zmieniała! Bawiła się Dorą jak cackiem. Chciałem prosić Dorę, by wyszła i pozwoliła mi przedstawić sobie Traddlesa, lecz uciekła na tę propozycję, zamykając się na klucz w swoim pokoju.

Gdyśmy wyszli, Traddles powiedział:

— Wszystko jest jak najlepiej! Jakież to miłe staruszki! Nie zdziwi mnie wcale, jeśli się na kilka lat przede mną ożenisz.

— Czy twoja Zofia jest muzykalna? — pytałem.

— O tyle, o ile potrzeba, by dawać siostrzyczkom lekcje muzyki — odrzekł.

— Czy śpiewa?

— Czasem, piosenki, wiersz, dla rozweselenia rodzeństwa, wcale nieuczenie.

— A grywa na gitarze?

— O, nie!

— Maluje?

— Wcale nie.

Z dumą obiecałem przyjacielowi memu, że posłysz Dorę grającą na gitarze, śpiewającą, że mu pokażę malowane przez nią kwiaty. Odpowiedział, że mu to sprawi prawdziwą przyjemność i tak wracaliśmy do domu pod rękę, w wybornych humorach. Mówił mi o swej Zofii, jak zawsze, z ufnością, przywiązaniem. Nie porównywałem jej nawet w myśli z Dorą, przyznając jednak w głębi serca, że dla Traddlesa pocziwa ta, zacna dziewczyna będzie stosowną żoną.

Naturalnie ciotka dowiedziała się natychmiast o pomyślnym obrocie całej sprawy. Ucieszona mym szczęściem obiecała złożyć wkrótce wizytę ciotkom Dory, lecz wieczorem, kiedym pisał do Agnieszki, chodziła wzdłuż i wszerz po pokoju tak długo, że mi się zdawało, iż noc całą tak przechodzi.

List mój do Agnieszki był długi i wylewny. Opowiadałem jej, jak pomyślnym skutkiem uwieńczone zostały jej rady. Odpisała mi odwrotną pocztą. List był serdeczny, pełen najlepszych nadziei, wesół. Odtąd taką ją widziałem. Czasu mi brakło literalnie, do Patney kawał był drogi, a chodziłem tak często, jak mogłem. Proponowane wieczorne herbaty okazały się niepraktyczne i zmuszony byłem prosić pannę Lawinię o pozwolenie spędzania w ich domu sobotnich popołudni. Jak uczeń wyglądałem końca tygodnia.

Z przyjemnością też zauważyłem, że ciotka moja serdeczniej jakoś, niżelim się spodziewała, zaprzyjaźniła się z ciotkami Dory. Panie te pośpieszyły do niej z rewizytą i odtąd widywały się regularnie co trzy, cztery tygodnie. Widziałem wprawdzie, że ciotka moja gorszyła ciotki Dory niezbyt ścisłym przestrzeganiem form towarzyskich, za wczesnymi lub za późnymi odwiedzinami, noszeniem czepków i kapeluszy raczej wedle swych upodobań niż mody i tym podobnym pomijaniem konwenansów. Przywykły jednak do niej z czasem, pełne pobłażania dla tego, co nazywały „brakiem kobiecości”. Co do mej ciotki, chociaż razily ją zapewne ptasie ruchy i ptasie wyobrażenia ciotek Dory, nadto mnie kochała, aby drobnostkom podobnym większą przypisywać wagę. Wszystko się tedy składało na trwałość ogólnej harmonii.

Zakłócał ją tylko Jip. Za każdym przyjściem mej ciotki wyszczerzał zęby, wlaził pod krzesło i nie tylko warczał ustawicznie, lecz wył od czasu do czasu, nie mogąc przewycię-

żyć swej antypatii<sup>449</sup>. Wszelkich próbowano sposobów: klapsów, gróźb, pieszczot. Przewożono go nawet na Buckingham Street (gdzie zresztą pogryzł się z kotami i ogólnego napędził strachu) — nic nie pomogło. Uspokajał się czasem na parę minut, kładł się na brzuszku, wyciągał pyszczek na łapkach i wył z cicha, a tak żałośnie, że nie pozostawało nic, jeno<sup>450</sup> związać go i posadzić, jak to było zwyczajem Dory, na pokutę do kominika. Za każdym razem, gdy anonsowano<sup>451</sup> ciotkę, Dora zakręcała mu główkę i pyszczek rącznikiem i sadzała go tam, jak więźnia.

W tym pomyślnym stanie rzeczy jedno mnie niepokoiło, a mianowicie, że się Dora zdawała lubować w roli cacka i klejnocika. Ciotka, z którą się zaprzyjaźniła, nazywała ją „kwiatkiem”; panna Lawinia zajęta tylko była trefieniem jej włosów, ubieraniem jej jak lalkę. Za panną Lawinią szła krok w krok panna Klarysa i dziwne, lecz wszyscy traktowali Dorę trochę tak, jak ona swego Jipa.

Zdecydowałem się wspomnieć jej o tym i pewnego dnia na przechadzce (panna Lawinia łaskawie dozwolić nam raczyła przechadzać się razem) wspomniałem, prosząc, by zmieniła swój tryb życia.

— Widzisz, najdroższa — mówiłem — nie jesteś już dzieckiem.

— Niedobry! — odrzekła, strojąc zagniewane minki. — Ciągłe się gniewasz.

— Gniewam? Niedobry?

— Wszyscy mnie lubią i dobrze mi z tym.

— Najpewniej wszyscy cię kochają, czyż gorzej by ci jednak było, jeśliby cię traktowano mniej po dziecinnemu?

Spojrzała na mnie z wyrzutem i prześlicznie zaczęła szlochać. Jeśli mi się nie podoba, to po cóż starałem się o nią? Jeśli jej znieść nie mogę, to po cóż jestem przy niej? Czemu nie odejdę sobie... na zawsze?

Cóż miałem robić! Jeno<sup>452</sup> pocałunkami spijać drżące na jej jedwabnych rzęsach łzy!

— Jestem tak przywiązana do ciebie, Doady — mówiła — a tyś taki okrutny.

— Okrutny! Ja dla ciebie, droga ty moja?!

— Nie przyczepiaj się więc ciągle, nie gderaj, a zobaczysz, jaka będę milutka — mówiła, stulając usteczka jak pączek róży!

Zachwycony byłem! Prosiła mnie o kucharską książkę i o to, abym ją uczył prowadzić rachunki. Przy następnych odwiedzinach przyniosłem jej ślicznie oprawiony zbiór kucharskich przepisów, pokazałem jej wzorowe rachunki mej ciotki, podarowałem śliczne pudełko z ołówkami i masę kratkowanych zeszytów.

Cóż, kucharskie przepisy nabawiły ją bólu głowy, a liczby do łez prowadziły. Nie chciały się, jak mówiła, za nic zgadzać. Zeszyty pokryte zostały niezapominajkami i różnymi, mniej lub więcej wiernymi podobiznami moimi i Jipa.

Próbowałem ustnych wykładów w czasie sobotnich przechadzek. Mijając na przykład sklep rzeźnika, mówiłem:

— Wyobraź sobie, najdroższa, żeśmy się już pobrali i potrzebujesz kupić na obiad baraniny. Jaką byś wybrała?

Najdroższa moja opuszczała główkę i wydymała usteczka. Wołała całować mnie, niż o tym mówić.

— Jaką byś wybrała? — powtarzam, zbrojąc się w stoicyzm<sup>453</sup>.

Pomyślała i po chwilce zawołała z triumfem:

— Tę naturalnie, którą by mi rzeźnik wskazał. To jego rzecz. O! Ty, niedobry!

I tak, gdy ją raz spytałem, spoglądając na przepisy, jakby mi zrobiła dobrą duszoną polędwicę, odrzekła, że kazałaby zrobić kucharce, i położyła swe prześliczne rączęta na moim ramieniu.

<sup>449</sup>antypatia — uczucie niechęci w stosunku do kogoś. [przypis edytorski]

<sup>450</sup>jeno (daw., gw.) — tylko. [przypis edytorski]

<sup>451</sup>anonsować (z fr. *annoncer*: zapowiadać, obwieszczać) — oznajmiać czyjeś przybycie. [przypis edytorski]

<sup>452</sup>jeno (daw., gw.) — tylko. [przypis edytorski]

<sup>453</sup>stoicyzm — kierunek filozoficzny zapoczątkowany w III wieku p.n.e. w Atenach przez Zenona z Kition, zalecający zachowanie umiaru i spokoju wewnętrznego zarówno wobec bardzo pomyślnych, jak i w wyjątkowo trudnych sytuacjach życiowych; ćwiczenie w takiej postawie życiowej, a także zachowanie niewzruszonej uczciwości, prowadzi wg stoików do cnoty (czyli prawości), wolności i szczęścia. [przypis edytorski]

Ostatecznie książka służyła głównie do zastawiania Jipa w kącie, lecz Dora tak bywała zajęta tą czynnością, tak wdzięcznie przy tym trzymała ołówek w ząbkach lub groziła nim faworytowi, że ostatecznie musiałem być zadowolony.

Za to gitara, malowanie kwiatów i piosenki o nieustających nigdy tonach: tra-la-la, tra-la-la — szły w najlepsze i wówczas nic nie stawało pomiędzy nami. Czasami brała mnie ochota zwrócić uwagę pannie Lawinii, czy nie zanadto psuje i rozpieszcza cacko-Dorę. Czasami sam siebie chwytalem na gorącym uczynku, że ulegam ogólnemu nastrojowi, ale nie zawsze...

## ROZDZIAŁ XLII. OMYŁKA

Czuję, że nie moją rzeczą opowiadać, w tym nawet dla obcych nieprzeznaczonym pamiętniku, ile pracowałem w tym okresie i jaki wpływ miała ciężąca na mnie odpowiedzialność względem Dory i jej ciotek. Dodam tylko do tego, com przedtem już napisał, że wytrwałość i cierpliwość, w którą musiałem się zbroić, pomagały mi dojrzewać szybko i w nich to dopatruję się źródła wszelkiego mego powodzenia. Wiele mi się rzeczy w życiu udało. Niejeden, walcząc i pracując ciężej ode mnie, do równie pomyślnych nie doszedł rezultatów, a powodzenie to przypisuję przyzwyczajeniu do pracy systematycznej, porządku, oszczędności, w których się w owym okresie mego życia ćwiczyłem. Niebu wiadomo, że, pisząc to, nie ulegam częściej chęci wynoszenia własnych zasług. Człek przeglądający własne swe życie, jak to obecnie czynię, spotyka się z niejednym zaniedbaniem, opuszczeniem, z niejedną wewnętrzną walką, w której zwycięstwo nie po najlepszej zostało stronie, z niejednym marnie roztrwonionym darem, z niejednym wyrzutem sumienia. Chcę tu po prostu zanotować, że jeśli dążyłem kiedy do czego, to wytrwale, że jeśli się czemu poświęcałem, to najzupełniej, a wielkim i mniejszym celom oddawałem się z całego serca. Nie sądziłem nigdy, aby wrodzone czy nabyte zdolności obyc się mogły bez pracy, wytrwałości i wytkniętego celu. Takim tylko warunkom towarzyszyć może powodzenie. Zdolności i pomyślny zbieg wypadków podtrzymują zapewne drabinę, po której człek się wspina, lecz szczeble jej stanowią żywy, niedające się zetrzeć i zniszczyć: wytrwałości i cierpliwości nic zastąpić nie może. Toteż podporą mi w życiu niewątpliwie było przede wszystkim to, że w każde me przedsięwzięcie wszystkie wkładałem siły, po wtóre, że nie ustawałem w zamiarach, nie popadłem nigdy w apatię.

Zawdzięczam wszystko głównie Agnieszce. Pragnę zaznaczyć to przed dalszym ciągiem niniejszego opowiadania.

Przybyła ona w odwiedziny na parę tygodni do doktorostwa<sup>454</sup> Strong. Doktor był przyjacielem pana Wickfielda i chciał się z nim otwarcie w wielu rozmowach kwestiach. Wspomniał coś o tym Agnieszce, widząc się z nią, czego następstwem były powyżej wzmiankowane odwiedziny. Pan Wickfield przybył z córką do Londynu. Nie zdziwiłem się nazbyt, gdy mi Agnieszka powiedziała, że poszukuje w pobliżu mieszkania dla pani Heep, której reumatyzmy wymagały kuracji, ani też, gdy zaraz nazajutrz Uriah, jako wzorowy syn, odwiózł matkę do stolicy.

— Bo to widzi pan — mówił, narzucając mi swe towarzystwo podczas przechadzki po ogrodzie doktora Stronga — miłość bywa zazdrosna... Co najmniej pragnie mieć na oku przedmiot swych uczuć.

— O kogóż byłbyś znów zazdrosny? — spytałem chłodno.

— O! Dzięki panu, panie Copperfield, o nikogo w szczególności, to jest w każdym razie o żadnego mężczyznę.

— Więc o kobietę chyba — zauważyłem.

Spojrzał z ukosa czerwonymi swymi oczyma i uśmiechnął się:

— Doprawdy, paniczku... to jest panie Copperfield: zawsze się myślę, niech mi pan wybaczy, stare nalogi! — tu położył zimną i wilgotną dłoń na mej ręce. — Doprawdy, umiesz pan wszystko ze mnie wydobyć, chociaż nie chciałem nic wzmiankować o pani Strong, nie chciałem, doprawdy.

— Co mam przez to rozumieć? — spytałem.

— Prawnikiem jestem przecie — wykrzywił się — i nadaję słowom mym to tylko, jakie mieć mogą, znaczenie.

<sup>454</sup>doktorostwo — daw. określenie używane w odniesieniu do małżeństwa: doktor z żoną. [przypis edytorski]

- A spojrzeńiom?  
— Spojrzeńiom! No! Ciężki z pana sędzia śledczy! Spojrzeńiom?  
— Tak jest, spojrzeńiom? — pytałem.

Zdawał się być rozbawiony, śmiał się, pocierał brodę i, nie podnosząc oczu, mówił pomалу:

— Gdy byłem tylko pokornym, nędznym aplikantem, pani Strong spoglądała na mnie z góry. Zawsze ciągnęła do siebie mą Agnieszkę, rozkochana była w panu, panie Copperfield, ale ja... co ja tam znaczyć mogłem w jej oczach. A i w jego — dodał po chwili milczenia, pocierając wciąż brodę.

— Czyż nie znasz doktora?! — zawołałem. — Chcesz, aby myślał o tych, których nie widzi!

Spojrzał na mnie z ukosa, wydał policzki, pocierając je ze zdwojoną energią:

— Nie doktora mam na myśli, wcale nie! — zawołał. — Mówiłem o panu Maldon.

Serce zamarło mi w piersiach. Wszystkie tedy moje domysły i niepokoje na ten temat, szczęście i cześć ukochanego mego nauczyciela — były w mocy tego łotra.

Przestał pocierać twarz i, wciągając policzki, które się zmieniły w dwa doły, nie spuszczał mnie z oka, patrząc ciągle z ukosa.

— Śliczna to kobietka, nieprawdaż? — mówił po chwili. — Oj! Niełaskawie dla mnie usposobiona. Nic dziwnego. Nie posiadam względów pięknych pań, ale... ale mam oczy, które bacznie przyglądają się wszystkiemu od dawna. My, ubodzy, pogardzani, mówimy zwykle mało, ale za to patrzymy... bacznie.

Usiłowałem wydać się spokojnym i obojętnym, lecz z twarzy jego widziałem, że mi się to zgoła nie udaje.

— A teraz — ciągnął, podnosząc triumfalnie blade brwi nad zaczerwienionymi powiekami — a teraz nie dam się wyprzedzić, nie pozwolę buntować mej Agnieszki, znajduję sposób przykrócenia tej przyjaźni. Nie na rękę mi ona. Uchylę wszelkie niepotrzebne wpływy, nie dam się wysadzić!

— Sądzisz drugich wedle siebie, podejrzewasz wszędzie spiski i podejścia — zauważyłem.

— Może być — odrzekł — ale, że użyję wyrażenia szanownego mego ongi pryncypała, kolegi obecnie, mam powód, dla którego trzymać się muszę oburącz. Nie powinienem dać się wysadzić, jako nic nieznaczący człowiek. Nie zniosę nikogo, kto mi wchodzi w drogę. Doprawdy, panie Copperfield, nie potrzeba mi włączyć w drogę.

— Nie rozumiem — odrzekłem.

— Doprawdy? — spytał, szarpiąc się. — Doprawdy?! Dziwi mnie to! Bywasz pan zwykle tak sprytny i domyślny! Innym razem wytłumaczę to panu. Czy nie pan Maldon to, konno, tam przy bramie?

— Zdaje się — odpowiedziałem, siląc się na obojętność.

Uriah zasłonił usta, śmiejąc się tak, że się aż trząsał, chociaż żadnego nie wydawał dźwięku. Tak byłem oburzony całym jego zachowaniem, że odszedłem bez dalszych uwag, pozostawiając go samego w ogrodzie.

Nie tego wieczoru, o ile pamiętam, lecz następnego, w sobotę, zaprowadziłem Agnieszkę do Dory. Odwiedziny te umówione były naprzód z panną Lawinią. Czekano nas z herbatą.

Targały mną duma i niepokój. Chciałem się pochwalić narzeczoną i niepokoiłem się tym, jaka się wyda Agnieszce. Przez całą drogę do Patney sam, gdyż Agnieszka była wewnątrz, ja zaś zewnątrz omnibusu, wyobrażałem sobie Dorę, kiedy wygląda najlepiej. Raz zdawało mi się, że chciałem, aby wyglądała tak, drugi raz owak; czułem się rozgorączkowany.

Pewien byłem, że w każdym razie będzie prześliczna, nigdy mi się jednak nie wydała tak piękna, jak tego wieczoru. Nie zastaliśmy jej w bawialnym pokoju, gdzie przedstawił<sup>455</sup> Agnieszkę ciotkom Dory. Chowała się gdzieś nieśmiało. Wiedziałem teraz, gdzie jej szukać, i zastałem, jak zwykle, tuż pode drzwiami. Nie chciała zrazu wcale wychodzić, potem prosiła choć o pięć minut zwłoki, a gdy na koniec położyła mi na ramieniu małą

<sup>455</sup>gdziem przedstawił — inaczej: gdzie przedstawiłem (konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika). [przypis edytorski]

rączkę, była tak zarumieniona i ładna, jak chyba nigdy! Nie! Jeszcze była ładniejsza, gdy zbladła, wchodząc do salonu.

Bała się Agnieszki. Przedtem jeszcze mówiła mi, że Agnieszka jest „za rozsądna”, ale teraz, ujrawszy ją tak poważną, dobrą, tkliwą, krzyknęła rozradowana i rzuciła się jej w objęcia.

Szczęśliwy byłem, najszczęśliwszy pomiędzy nimi dwiema, siostrzanym splecionymi uściskiem. Dora patrzyła śmiało w piękne, jasne oczy Agnieszki.

Panna Lawinia i panna Klarysa zdawały się podzielać me zadowolenie. Weszło zasiedliśmy do herbaty, panna Klarysa na pierwszym miejscu; krajałem tort, gdyż obie starszki lubiły słodczyce; panna Lawinia spoglądała na nas tak, jak gdyby nasze szczęście było jej dziełem.

Agnieszka wszystkim przypadła do serca. Starła się zjednać sobie Dorę, a nawet Jipę, który odpowiadał nader uprzejmie na jej zaczepki. Żartowała z Dory, gdyż ta nie chciała zająć swego zwykłego, obok mnie, miejsca. Dora oswajała się z nią pomału.

— Rada jestem — rzekła po herbacie — żeś mnie polubiła. Sądziłam, że ci się nie spodoba, a teraz, po odjeździe Julii Mills, żadnej nie mam przyjaciółki.

Przy tej sposobności przypomniałem sobie, że nie powiedziałem jeszcze, iż panna Mills odjechała. Jeździłem z Dorą do Gravesend, by ją pożegnać na okręcie. Jedliśmy tam imbir i inne zamorskie przysmaki i pozostawiliśmy pannę Mills we łzach na pokładzie, z niezapisaną książką w ręku, w której miała prowadzić nowy pamiętnik, rozpoczynający się opisem oceanu.

Agnieszka zauważyła, że nie najlepiej chyba musiałem o niej mówić, skoro Dora wątpić mogła w jej sympatię.

— Przeciwnie — zawołała Dora, wstrząsając kędziorami — tyle mi dobrego mówił o tobie, że aż byłam przestraszona. Tak bardzo liczy się z twoim zdaniem.

— Zdanie moje — odrzekła Agnieszka, uśmiechając się — nie jest w stanie wpłynąć na jego uczucia. Nie ma ono żadnego znaczenia.

— Ale o mnie, proszę, nie myśl źle — prosiła, przymilając się, Dora.

Żartowaliśmy z niej. Dora nazwała mnie głuptasem, oświadczyła, że mnie wcale nie lubi, i wieczór uleciał na skrzydłach czasu, lekki jak pajęczne nici w pogodne dni jesienne. Zbliżała się chwila odjazdu. Stałem przed kominkiem, a Dora zakradła się cichutko, by mnie jak zwykle pocałować na pożegnanie.

— Nie sądzisz, że gdybyśmy się już dawniej przyjaźnili — rzekła z błyszczącym wzrokiem, drobną rączką niedbale bawiąc się guzikiem mego surduta — byłabym może mądrzejsza.

— Bredzisz, duszko! — odrzekłem.

— Bredzę — pytała, nie patrząc mi w oczy — czyś tylko pewien, że bredzę?

— Najpewniejszy.

— Zapomniałam — pytała, kręcąc wciąż nieszczęsny guzik — w jakim stopniu jesteście z sobą spokrewnieni?

— Wcaleśmy nie spokrewnieni<sup>456</sup>, istnieje jednak pomiędzy nami braterskie przywiązanie.

— Dziwię się, żeś się zakochał we mnie — ciągnęła, drugi z kolei dręcząc guzik.

— Mógłbym cię spotkać<sup>457</sup> i nie pokochać?

— A gdybyś nie spotkał?!

— A gdybyśmy się oboje nie urodzili?! — zaśmiałem się wesoło, zastanawiając się jednak, co ją skłoniło do podobnych pytań. Przy moich piersiach, igrając kolejno z wszystkimi guzikami surduta, migotały jej białe rączki, jasne kędziory opływały skłaniającą się na moje ramię główkę, oczy pokrywały opuszczone zasłony długich rzęs. Podniosła wzrok i, wspinając się na paluszki, pocałowała mnie raz, drugi, trzeci, dłużej, goręcej niż zwykle.

Gdy nadeszło towarzystwo, śmiała się i figlowała już jak zwykle. Chciała, aby Jip zaprezentował odjeżdżającym wszystkie swe umiejętności. Lecz że tych było mnóstwo, a Jip szczególną nie odznaczał się karnością, daleko było do końca, gdyśmy usłyszeli nadjeżdżający omnibus. Nastąpiły czule i spieszne pożegnania. Dora obiecywała pisywać

<sup>456</sup>wcaleśmy nie spokrewnieni — forma skrócona; inaczej: wcale nie jesteśmy spokrewnieni. [przypis edytorski]

<sup>457</sup>mógłbym cię spotkać — konstrukcja z partykułą -że nadającą znaczenie pytania retorycznego; inaczej: czy mogłem, czy mogłam. [przypis edytorski]



do Agnieszki, prosząc, aby nie uważała jej listów za niedorzeczne. Agnieszka obiecywała odpisywać. Przy oknie omnibusu powtórzyły się raz jeszcze pożegnania. Potem Dora, pomimo nawoływań panny Lawinii, wybiegła raz jeszcze wołając, aby Agnieszka nie zapomniała swych przyrzeczeń, do mnie zaś potrzasała loczkami.

Omnibus dowiózł nas do Covent Garden. Stamtąd mieliśmy wziąć drugi do Highgate. Z niecierpliwością oczekiwałem chwili, kiedy mi Agnieszka powie coś o Dorze. Chwaliła ją. Zachwycała się pięknnością i wdziękiem mej wybranej. Z właściwym sobie taktem zwracała uwagę moją na obowiązki, jakie przyjąłem względem tego osieroconego dziecka.

Nigdy, nie, nigdy nie kochałem Dory tak głęboko i gorąco, jak tego wieczoru. Gdyśmy znów opuścili omnibus, kierując się ku domowi doktora Stronga, powiedziałem to Agnieszce.

— Gdyś siedziała obok niej — mówiłem — zdawało mi się, że jesteś tak jej, jak i moim dobrym aniołem.

— Biedny ze mnie anioł — odrzekła — ale wierny. — Czysty głos jej szedł mi prosto do serca, z serca też powiedziałem:

— Tak cię znów widzę pogodną, Agnieszko, że mi do serca wstąpiła otucha i myślę, że domowe twoje sprawy ułożyły się pomyślnie.

— Uspokoiliam się — rzekła — weselsza jestem.

Spojrzałem na jasną, spokojną, ku gwiazdom podniesioną twarz.

— Nie, w domu żadne nie zaszły zmiany — ozwała się po kilku chwilach.

— Żadnej nowej zmiany, daruj to pytanie, Agnieszko, w tym, o czym była mowa podczas ostatniej mej u was bytności?

— Żadnej — odrzekła.

— Dużo myślałem o tym.

— Zapomnij, pamiętaj tylko, że polegam na uczuciu i prawdzie — rzekła, a po chwili dodała: — I nie bój się, proszę, abym się kiedy zdecydowała na krok ów, którego się lękasz dla mnie.

Chociaż właściwie nie przypuszczałem nigdy, aby się nań kiedy mogła zdecydować, słysząc z ust jej to zapewnienie, uczulem spadający mi z serca ciężar. Upewniłem ją o tym.

— A teraz — rzekłem — niewiele już mamy przed sobą czasu. Kiedyż się znów, kochana Agnieszko, zobaczymy? Kiedy znów przyjedziesz do Londynu?

— Prawdopodobnie nieprędko. — odpowiedziała. — Lepiej, żeby ojciec siedział w domu. Nieprędko się zapewne zobaczymy, lecz ponieważ będę pisywać do Dory, będziemy o sobie wzajemnie, za jej pośrednictwem, wiedzieli.

Zbliżyliśmy się do domku doktora. Późno już było, lecz w oknie pokoju pana Stronga świeciło się jeszcze. Agnieszka pożegnała mnie.

— Nie dręcz się — mówiła, podając mi rękę — naszymi troskami. Największą dla mnie pociechą będzie twe szczęście. Bądź pewien, że jeśli kiedy w czym bądź potrzebowała twej pomocy, wezwę cię! Niech cię Bóg ma w swej pieczy!

Uśmiech jej promienny, srebrny ton głosu przypomniały mi ją znów taką, jaką widziałem obok Dory. Stałem jeszcze chwilę, spoglądając na gwiazdy, z sercem ukojonym, pełnym miłości i przywiązania, po czym zawróciłem ku domowi. Uszedłem już kilka kroków, gdy uderzyło mnie światło w pracowni doktora; poczułem wyrzuty sumienia, że sam, bez mej pomocy, męczy się pracą nad słownikiem. Zawróciłem tedy, pragnąc się o tym przekonać, a w każdym razie życzyć mu dobrej nocy. Otworzyłem drzwi.

Jakież było moje zdziwienie, gdy dojrzałem w świetle przyćmionej lampy Uriaha. Stał, opierając się trupią swą ręką o stół, drugą przysłaniając usta. Doktor, siedząc w fotelu, skrył twarz w dłoniach. Pan Wickfield wystraszony dotykał jego ramienia.

W pierwszej chwili sądziłem, że doktor zasnął, lecz spotkawszy się ze spojrzeniem Uriaha zrozumiałem, o co idzie. Chciałem się cofnąć, lecz doktor dostrzegł mnie i żywym ruchem powstrzymał.

— W każdym razie — ozwał się Uriah, szarpiąc i wykrzywiając niezgrabną swą postać — nie ma potrzeby rozgłaszać faktu na miasto całe, można rozważyć go przy zamkniętych drzwiach.

Cicho, na palcach, zbliżył się do pozostawionych przeze mnie otworem drzwi, zamknął je starannie, a powróciwszy na to samo miejsce, wrócił do uprzedniej pozycji. Okazywane przezeń współczucie oburzyło mnie nad wszelki wyraz.

— Obowiązkiem moim, panie Copperfield, było — począł — nadmienić doktorowi o tym, o czym mówiliśmy z panem.

Spojrzałem nań tylko, nie odpowiadając, a zbliżywszy się do kochanego, starego mego nauczyciela, przemówiłem słowami pociechy i przywiązania. Położył mi na ramieniu rękę, jak to zwykł czynić, gdym był małym chłopięciem, nie podniósł jednak siwej głowy.

— Zdaje mi się, panie Copperfield — ciągnął słodko Uriah — że nie rozumiesz pan, w czym rzecz. Otóż za najświętszy uważałem obowiązek zwrócić uwagę czcigodnego doktora na postępowanie jego małżonki. Uczyniłem to wbrew mym chęciom, doprawdy, upewnić o tym pana mogę, panie Copperfield! Temat to nader nieprzyjemny, lecz obowiązek przede wszystkim.

Dziwię się, że go nie chwycił za kołnierz i nie wytrząsł z wstrętnego cielska potwornej duszy.

— Mówiliśmy już o tym z panem, panie Copperfield — ciągnął — ale niejasno, gdyż żaden z nas swobodnie przedmiotu tego nie chciał dotykać. Zdecydowałem się na to wreszcie i powiedziałem właśnie czcigodnemu doktorowi, że... co pan powiada?

Jęk wyrwał się z piersi starca, jęk ten kamień by poruszył, ale nie Uriaha.

— Że — ciągnął on słodziutko, łaszac się pokornie — każdy, kto raz ujrzy małżonkę czcigodnego doktora i pana Maldona, zauważyć może, iż nie są sobie obojętni. Przyszedł nareszcie czas (choć nie naszą jest rzeczą wtrącać się), aby otworzyć oczy czcigodnego doktora na to, co już wszem i każdemu z osobna wiadomym było przed odjazdem jeszcze pana Maldona do Indii. Nikt też nie wątpił, po co pan Maldon z Indii wracał i co go tu zatrzymuje. W chwili gdyś pan wszedł, panie Copperfield, odwołałem się do obecnego tu mego kolegi — tu przekrzywił się w stronę pana Wickfielda — zobowiązując go, aby zaświadczył, co sam tylokrotnie zauważył. Dalej tedy, dalej panie Wickfield! Kolego, zaświadczy, proszę.

— Na Boga żywego — stłumionym, drżącym głosem, dotykając ramienia przyjaciela, mówił pan Wickfield — na Boga żywego, kochany doktorze! Nie przypisuj zbytnej wagi niedającym się może usprawiedliwić podejrzeniom, domysłom.

— Ha! — zawołał Uriah — co za smutne, a wymowne zeznanie tak wiernego przyjaciela! Gdym był jeszcze aplikantem, pamiętasz, Copperfieldzie, ileśmy razy zauważyli, jak się wzdrygał, nie śmiejąc w dobroci swej i przyjaźni przerwać niestosownego dla panny Agnieszki stosunku.

— Przyjacielu mój drogi, kochany przyjacielu! — drżącym głosem mówił prawnik — nie zważaj na to. Wiesz, że słabością moją było szukać we wszystkim przyczyn i to mnie zaślepiło, nasuwało niczym częstokroć nieusprawiedliwione podejrzenia.

— Więc miałeś podejrzenia? — głucho, nie podnosząc głowy, odezwał się doktor Strong. — Podejrzewałeś?

— Śmiało, śmiało, kolego! — zachęcał Uriah.

— Zapewne — bełkotał prawnik — zapewne. Zdawało mi się nawet, żeś takowe sam powziął, mój przyjacielu!

— Ja? Nie, nie, nigdy! — z patosem rozpaczy zaprzeczył starzec.

— Tak mi się zdawało — uniewinniał się pan Wickfield. — Chciałeś go przecie wysłać za granicę?

— Tak, dla dogodzenia Annie i zapewnienia przyszłości towarzyszowi jej lat dziecinnych. Dlatego tylko.

— Wierzę, gdy mi to mówisz; przekonałem się teraz, że dlatego tylko, lecz wówczas... ja zaś w zaślepieniu swym upatrywałem w tej różnicy wieku...

— W tym to rzecz, jak pan widzi, panie Copperfield — zauważył Uriah z ubliżającym politowaniem.

— Kobieta — ciągnął prawnik — tak młoda jeszcze, piękna, chociaż musiała cię szanować, wychodząc za ciebie uległa, jak mi się w zaślepieniu mym zdawało, pobudkom mniej szlachetnej może natury. Zapomniałem, widzisz, o tysiącnych w lepszym świetle rzeczy takie stawiających wypadkach. Sam pomyśl o tym, na rany Chrystusa!

— Ile w nim dobroci! — zauważył, kiwając głową, Uriah.

— Jeden tylko miałem pogląd — upewniał pan Wickfield — ciasny, wyłączny pogląd, a teraz błagam cię i zaklinam, przyjacielu najdroższy, abys to wziął pod uwagę, gdy nie mogę uniknąć...

— Nie podobna<sup>458</sup> już uniknąć — wtrącił Uriah. — Śmielej, kolego! Rzeczy stanęły tak, że wszelkie niedomówienia zaostrażają tylko sytuację.

— Więc prawda — zawołał prawnik, spoglądając z rozpaczą na swego współnika — prawda! Posądzałem ją, że nie jest wierna swym obowiązkom, i bolało to mnie, że córka moja przyjaźni się z nią, skorom widział... a raczej skoro mi błędne moje teorie nasuwały nieusprawiedliwione zapewne posądenia. Lecz wierzaj mi, nigdy przed nikim nie wspomniałem, a teraz — kończył zgaszonym głosem — jeśli ciężko ci słyszeć, co mówię, wierzaj, ciężiej mi jeszcze mówić, wierzaj i ulituj się nade mną.

Doktor wyciągnął rękę, którą pan Wickfield uściskał, nisko pochylając głowę.

— Pewien jestem — wwinął się jak piskorz w zaległe milczenie Uriah — że przedmiot to nader jest dla wszystkich nas tu obecnych nieprzyjemny. Lecz skoro raz już o tym mowa, pozwolę sobie dodać, że i Copperfield zauważył to nieraz!

Stłumionym od oburzenia głosem spytałem go, jak śmie powoływać się na mnie.

— Och — zawołał, wywijając się cały — przestań, proszę! Wszystkim nam wiadomo, jak jesteś dobry, uprzejmy, nikomu nie chcesz się narazić, lecz pamiętasz, cośmy onegdaj wieczorem mówili? Rozumiałeś mnie doskonale, doskonale, kochany Copperfieldzie. O! Nie zaprzeczaj, proszę. Przeczenie twe pochodzi z najlepszych intencji, cóż, kiedy, jak widzisz, nie ma już na to rady.

Widziałem, jak się zwróciły na mnie oczy kochanego mego nauczyciela, i widziałem, co wyczytały we wzburzonej mej twarzy. Przeczenie na nic by się nie zdało. Milczałem.

Doktor powstał wreszcie z miejsca i przeszedł się parę razy po pokoju. Oparł się o poręcz opuszczonego dopiero fotela i od czasu do czasu podnosząc do oczu chustkę, mówił z przedziwną, cześć mu przynoszącą prostotą:

— Moja wina — rzekł — moja wina. Ja to naraziłem tę, którą powinienem był osłaniać, na próby i oszczerstwa: oszczerstwem nazywam bowiem każde, niewypowiedziane nawet posądenie. Uniknęłyby ich, gdyby nie ja.

Uriah potakiwał głową.

— Uniknęłyby ich — powtórzył doktor. — Stary jestem, jak widzicie, panowie, i czuję, że dni me policzone. Lecz życie kładę za cześć i wiarę tej, o której mówiliśmy dopiero.

Bardziej rycerskiej, piękniejszej i szlachetniejszej postaci jak tego starca, gdy powyższe wymawiał słowa, żaden mistrz pędzla stworzyć nie potrafi.

— Lecz — ciągnął — nie jestem przygotowany do odparcia oszczerstw i posądzeń, na które przez nieszczęsne to małżeństwo naraziłem Annie. Wiem, że bywam roztargniony, i nie mogę stanowczo odrzucać uwag ludzi baczniejszych ode mnie, różnych wiekiem, stanowiskiem. Byłoby to niedarowaną z mej strony zarozumiałością.

Nieraz podziwiałem jego dobroć i tkliwość względem młodej żony, lecz teraz zachowanie jego, sposób, w jaki stawał w jej obronie, zachwycały mnie.

— Ożeniłem się z tą żoną — mówił — gdy była młodziutkim stworzeniem i nie miała ukształtowanego charakteru. Moją było rzeczą rozwijać ją i kształcić. Znałem jej ojca i ją znałem od kolebki, podziwiając przymioty, jakimi obdarzyła ją natura. Jeślim ją skrzywdził (jak to dopiero widzę) nadużywając przywiązania jej i wdzięczności, korzę się przed nią z całego serca.

Przeszedł się po pokoju, wrócił na poprzednie miejsce i, zaciskając dłoń na poręczu fotela, mówił drżącym głosem:

— Sądziłem, że mym opiekuńczym skrzydłem zasłonę ją przed burzami i trudami życia. Wyobrażałem sobie, że pomimo różnicy lat spokojny u boku mego stworzę jej żywot. Nie traciłem z pamięci niedalekiej zapewne chwili, gdy ją, młodą i piękną, lecz dojrzałą, uwolniłem z wszelkich krepujących ją więzów. Honorom ręczę, panowie, takie, a nie inne były uczucia i pobudki moje.

<sup>458</sup>nie podobna (daw.) — nie (jest) możliwe; nie można. [przypis edytorski]

Wewnętrzne światło opromieniało sędziwą twarz jego, dostatecznym słowom udzielając świadectwa:

— Szczęśliwy z nią byłem — ciągnął — i po obecnej chwili błogosławiłem dzień naszego połączenia.

Głos mu się załamał, chwilę milczał, potem znów mówił:

— Zbudzony z marzeń (a przez całe życie w tym, jak w innych kierunkach marzyłem jeno byłem), z marzeń zbudzony widzę istotnie, że nie mogła znaleźć u mego boku zadowolenia. Młodość ma niezaprzeczone, pogwałcić się niedające prawa. Naturalnym biegiem rzeczy nie mogła być obojętna dla rówieśnika swego, towarzysza lat dziecięcych. Z żalem spoglądać na niego musiała. Widzę to teraz, rozumiem, przypominam wiele wskazówek, na które, do strasznego tego przebudzenia, głuchy byłem i ślepy. Poza tym jednak, upewniam was, panowie, życie i cześć żony mej pozostać winny wolne od wszelkiego zarzutu.

W oczach zapaliły mu się przelotne ognie, głos podniósł i wzmocnił przy ostatnich słowach. Umilkł, po chwili ciszy znów mówił:

— Co do mnie, pozostaje mi tylko znieść z pokorą przeświadczenie o popełnionej omyłce i następstwa, jakie pociągnęła za sobą. Nie ja jej, lecz ona to mnie czynić winna wyrzuty. Oślaniać ją przed nieporozumieniem, jakie powstać mogło, nawet wśród przyjaciół naszych, jest moim obowiązkiem... Im bardziej ciche wieść będziemy życie, tym łacniej zadośćuczynię wymaganiom tego obowiązku, gdy zaś nadejdzie chwila (oby ją miłosierne Nieba przyspieszyć chciały!), że ją śmierć uwolni z tych więzów, spokojnie, ufając jej, na rękę jej zawrę powieki, pozostawiając ją lepszej doli.

Nie widziałem go, gdyż lzy mi przesłaniały oczy. Wychodząc, zatrzymał się jeszcze na progu.

— Odkryłem wam, panowie, głębię serca — rzekł. — Pewien jestem, że ją uszanujecie i żadnym słowem nie poruszycie całej tej dzisiejszej sprawy. Wickfieldzie, przyjacielu stary, podaj mi rękę.

Pan Wickfield pośpieszył podać mu ramię. Wyszli, nie mówiąc ani słowa. Uriah spoglądał za nimi.

— Ta-a-k! — rzekł po chwili, zwracając się do mnie. — Innego, co prawda, spodziewałem się rozwiązania, ale czego wymagać od tego uczonego głupca. Zaślepiiony! No! Wyszadziłem przynajmniej, kogo chciałem, i to coś znaczy!

— Nędzniku! — zawołałem, puszczając wodze oburzeniu. — Jak śmiałeś wciągać mnie w nieczne swe intrygi, jak śmiesz obecnie, łotrze ty jakiś, zwierzać mi się z takowych!

Stając z nim oko w oko, czytałem ze znanej mi tak dobrze jego twarzy to, co mi zresztą wiadome już było. Zastawił na mnie nieczne sieci, aby mnie dręczyć i upokorzyć. Podła jego twarz budziła dziwne śwędzenie mej dłoni. Uderzyłem go z taką siłą, że mi się zdawało, iż z ręki mej posypały się iskry.

Chwycił mnie za rękę. Staliśmy tak oko w oko, długo, tak długo, że widział, jak stopniowo na twarzy jego bladły czerwone, przez palce moje pozostawione ślady.

— Copperfieldzie! — syknął wreszcie. — Oszalałeś, postradałeś zmysły!

— Chciałem się raz pozbyć ciebie, nędzniku, psie niegodny! — zawołałem, wyrrywając rękę, którą ścisnął nerwowo w zimnej, śliskiej swej dłoni.

— Czy tak? — rzekł, pocierając mimo woli płonącą zapewne z bólu twarz. — Nie uda ci się to już może.

— Przekonałem cię przynajmniej, jak dalece gardzę tobą. Nie boję się niecznych twych pogrózek. Nie możesz już nawarzyć nic gorszego nad to, coś nawarzył.

Zrozumiał doskonale, że to, co mnie dotąd powstrzymywało i wiązało względem niego, musiało zostać stanowczo pominięte. Zapewnienie Agnieszki rozwiązało mi istotnie rękę.

Milczał. We wbitym we mnie jego wzroku mieniły się wszystkie odcienie podłości i wściekłości.

— Zawsze był przeciw mnie — rzekł wreszcie, odejmując rękę od twarzy. — Od dawna wiedziałem o tym.

— Myśl sobie, co ci się podoba — odparłem ze wzgardą.

— A ja cię jednak zawsze lubiłem — dorzucił.

Nie raczyłem odpowiedzieć i, wzięwszy kapelusz, chciałem wyjść. Stał pomiędzy mną a drzwiami.

— Do kłótni trzeba, by obie strony były niezadowolone — zauważył. — Ja nie mówię tego o sobie.

— Idź do diabła! — zawołałem.

— Ciszej! Pożałujesz może tych słów! Unosząc się, dajesz mi przewagę nad sobą. Przebaczam ci wszakże.

— Ty mi przebaczasz! Ty?!

— Tak, ja! Rzucasz się na mnie, odwracasz ode mnie, który ci byłem prawdziwym przyjacielem, ale powtarzam: dla zwady potrzeba dwóch wrogów, a ja twym wrogiem nie będę i pomimo wszystko, pomimo twej woli pozostanę przyjacielem. Wiesz teraz, czego się masz spodziewać.

Konieczność prowadzenia tej rozmowy ściszym głosem — Uriah mówił cały czas cicho i z wolna, ja głośno i szybko — nie zdołała mnie uspokoić. Odpowiedziawszy mu, że wiem doskonale i zawsze wiedziałem, czego się po nim można spodziewać, odepchnąłem go ode drzwi, wychodząc na dziedziniec. Natychmiast wszelako dostrzegłem, że szedł tuż za mną. Wracal do pobliskiego mieszkania zacnej swej rodzicielki. Dogonił mnie.

— Mówię ci, Copperfieldzie — syknął mi nad uchem, gdyż nie raczyłem nawet odwrócić głowy — mówię ci, że to ty w fałszywym stawiasz się położeniu.

Czułem, że ma rację i to mnie właśnie rozjątrzało.

— Nie poradzisz na to — ciągnął — nie możesz mi przeszkodzić, abym ci przebaczył. Nie, nie wspomnę o tym nikomu, nawet rodzonej matce. Postanowiłem przebaczyć ci i dziwię się tylko, że mogłeś pozwolić sobie podnieść rękę na tak nędznego, tak pokornego jak ja robaka.

Miał słuszość. Lepiej mnie znał, niżeli ja znałem siebie. Gdyby przynajmniej mnie wyzywał, ale nie! Dręczył tylko, drażnił, na wolnym dopiekał ogniu!

Gdy wyszedł nazajutrz rano, kościelne dzwony nawoływały wiernych do modlitwy. Spotkałem go idącego z matką. Powitał mnie, jak gdyby nic nigdy pomiędzy nami nie zaszło, zmuszając mnie do pozornej grzeczności. Musiałem mu wybić zęby, gdyż miał twarz podwiązaną czarną jedwabną chustką, która bynajmniej<sup>459</sup> nie przyczyniła się do upiększenia go. Mówił, że wraca właśnie od dentysty, który mu wyrwał ząb. „Czemu nie wszystkie?” — pomyślałem bardziej szczerze niż miłosiernie.

Doktor, tłumacząc się złym stanem zdrowia, większą część dnia spędził samotnie w swej pracowni. Tydzień co najmniej upłynął od wyjazdu Agnieszki i jej ojca, zanim wróciliśmy do dawnych zajęć. Doktor podał mi raz niezapieczętowaną, do mnie zaadresowaną kopertę, w której powtarzał zlecenie zachowania w tajemnicy wypadków pamiętnego wieczoru. Tajemnicę tę powierzyłem tylko ciotce. Nie mogłem poruszać jej z Agnieszką, która się niczego nie domyślała.

Nie domyślała się też pani Strong, o ile mogłem wnosić. Przynajmniej sporo czasu upłynęło, zanim dostrzegłem w niej zmianę. Zmiana ta nasuwała się na kształt powolnej, jesiennej chmury. Zrazu tylko dziwić ją zdawało się łagodne współczucie w postępowaniu męża. Pragnął, aby matka jej zamieszkała z nimi i rozweseliła jej samotność. Nieraz, pracując z doktorem, widziałem, jak mu się przypatrywała bacznie; nieraz powstając nagle z miejsca, opuszczała pracownię ze łzami w oczach. Powoli piękność jej trwałym omroczyła się smutkiem. Pani Markleham przebywała wprawdzie teraz ciągle z córką, lecz ciągle mówiąc i mówiąc, nie miała czasu, by zauważyć cokolwiek.

I nie tylko pani Strong zmieniała się w oczach. Mąż jej zestarzał się, posmutniał widocznie, tylko w dobroci jego, łagodności, tkliwości dla żony żadna nie zaszła zmiana. Raz, był to dzień jej urodzin i jak zwykle, lecz nieśmiało jakoś, lękliwie, usiadła z robotą przy oknie w pracowni, widziałem, jak wziął ją za głowę, pocałował w czoło i odszedł śpiesznie. Skamieniała, podobna do posągu. Po chwili opuściła pognębioną głowę, z oczu jej popłynęły łzy.

Czasem, gdyśmy zostawali sami, zdawało mi się, że chce coś do mnie powiedzieć, lecz nigdy nie wyrzekła słowa. Doktor szukał dla niej rozrywek, których by poza domem mogła używać pod okiem matki. Dogadzało to przepadającej za zabawami pani Markleham,

<sup>459</sup>bynajmniej — wcale (dosł.: jak najmniej). [przypis edytorski]

lecz córka jej stosowała się z widocznym przymusem do woli męża. Wszystko zdawało się jej obojętnym.

Nie wiedziałem już, co mam myśleć. Ciotka też, która przechadzała się wieczorami całymi po swym pokoju, gubiła się w domysłach. Jeden pan Dick zdawał się przenikać te domowe tajemnice.

Co myślał o tym, co zauważył, powiedzieć nie potrafię. Wspominałem już o jego uwielbieniu dla doktora Stronga; przywiązanie zaś wszelkie obdarzone bywa tak rozwiniętą intuicją, że zrównać może istoty niższego rozwoju z najbardziej rozwiniętymi. Serdeczna ta intuicja rozświeciła mroki zalegające umysł pana Dicka.

Przybywszy do Londynu, wszedł od razu w dawne swe prawa towarzyszenia uczonemu w jego długich przechadzkach po ogródku. Było to zupełnie tak jak niegdyś w Canterbury. Pan Dick był najszczęśliwszy, gdy mu doktor odczytywał swój słownik, najnieszczęśliwszym zaś człowiekiem stawał się z chwilą, gdy manuskrypt znikał w kieszeni szlafroka autora. Gdyśmy z doktorem byli zajęci w pracowni, przechadzał się w ogródku z panią Strong, pomagając jej doglądać kwiatów i grządek. Zdaje mi się, że rzadko zamieniali z sobą więcej niż parę słów na godzinę, lecz mimo to rozumieli się doskonale, lubili się najpewniej wzajemnie i zadzierzgnęło to pomiędzy nimi pewne silne węzły.

Gdy przypomnę go sobie, z nieprzeniknioną twarzą idącego za doktorem i słuchającego trudnych wyrazów ze słownika, gdy przypomnę go sobie noszącego flance<sup>460</sup> i nasiona za doktorową, klęczącego przy grzędach i pielącego je dużymi, obleczoneymi w rękawice rękoma, każdym ruchem, spojrzeniem wyrażającego to, czego nikt by równie wymownie nie zdołał wyrazić: chęć zadowolenia jej, za pośrednictwem każdego wazonu, kwiatka, grudki ziemi oświadczającego jej swą przychyłność, zapominającego dla niej i przy niej nawet o nieszczęsnym swym królu Karolu, nieustrudzonego w usługach — gdy przypomnę go sobie tak dobrym, kochającym, wiernym, wstydzę się niemal, żem go posądział o brak zdrowych zmysłów.

— Nikt się oprócz mnie na nim nie poznał — upewniała z zadowoleniem ciotka, gdy z nią o tym mówił. — Niejedną on nam jeszcze zgotuje niespodziankę.

Zanim rozdział ten skończę, wywołać muszę jedno jeszcze wspomnienie. W czasie pobytu pana Wickfielda i Agnieszki u doktora zauważyłem, że co rana pocztylion przynosił dwa lub trzy listy do Uriaha. Poznawalem na kopercie zamaszyste pismo pana Micawbera. Wnosiłem tedy, że interesy jego musiały się poprawić, i jakież było moje zdziwienie, gdy pewnego poranku otrzymał od jego żony list następującej treści:

Canterbury, poniedziałek wieczorem.

Zdziwi Pana zapewne, Panie Copperfield, list mój, a bardziej jeszcze jego treść, najwięcej zaś tajemnica, o którą Pana upraszam. Uczucia moje jako żony i matki potrzebują wynurzenia, że zaś nie mogę w danym razie zwrócić się do mej — zawsze ku panu Micawberowi pewną niechęć żywiącej — rodziny, postanowiłam ze wszystkiego zwierzyć się Panu, jako najlepszemu i najdawniejszemu naszemu przyjacielowi i lokatorowi.

Oznajmić Panu muszę, kochany Panie Copperfield, że pomiędzy mną a mężem mym (nie opuszczę go nigdy! nigdy!) istniało zawsze wzajemne zaufanie. Czasem wprawdzie pan Micawber działał bez zasięgnięcia rad moich lub skrywał przede mną termin jakiegoś weksla — jak to właśnie obecnie miało miejsce — lecz na ogół mąż mój nie miał tajemnic dla wiernej swej towarzyszki i co wieczór zdawał mi szczegółowe sprawozdanie z całego dnia.

Wyobrazisz Pan sobie łąco, kochany Panie, jaką przejmującą boleścią napęła mnie obecnie dostrzeżona w tym względzie zmiana. Zmienił się mąż mój, chowa tajemnice jakieś przed wierną towarzyszką swej doli i niedoli — to jest przed małżonką — i gdy upewnię Pana, że oprócz tego, iż od rana do zmierzchu przebywa w kancelarii, tyle dziś wiem o jego życiu, co o życiu Patagończyków, że użyję tylko utartej przenośni.

Nie na tym koniec! Pan Micawber posmutniał, spochmurniał. Zobojętniał dla starszego syna i pierworodnej córki, przestał się szczyścić bliźniętami

<sup>460</sup>flanca — sadzonka. [przypis edytorski]

i zimnym okiem spogląda na nowo przybyłe w naszym rodzinnym kole niemowlę. Z największą trudnością wydostać od niego można grosz na domowe wydatki, często wspomina o uregulowaniu rachunków, ani słowa zaś wydobyc z niego nie można o zagadkowej tej zmianie.

Ciężko to, ciężko jest znosić. Serce mi pęka. Jeśli — znając środki, którymi rozporządzam — zechce mi Pan przyjaznej udzielić rady i wskazówki ku rozwiązaniu trudnego tego dylematu, zobowiąże mnie Pan nieskończenie, dodając jedno więcej do tylu dawnych zobowiązań. Dzieci moje przesyłają Panu przyjazne pozdrowienie, a nowo przybyły, w rodzinnym naszym kółku nieznajomy, niewinny, zagadek pełen uśmiech, ja zaś, kochany Panie Copperfield, pozostaję z niezmienną dla Pana przyjaźnią.

*Emma Micawber*

Na list ten mogłem dać tylko jedną radę: pozyskać utracone zaufanie męża łagodnością i cierpliwością, w czym zresztą, jak dodałem, pani Micawber celowała. Jednakże list dał mi wiele do myślenia.

## ROZDZIAŁ XLIII. RZUT OKA W PRZESZŁOŚĆ

Raz jeszcze zastanowię się nad minionym okresem mego życia, przywołam pamięcią cienie dni tych, otaczające zewsząd własny cień mój. Mijały tygodnie, miesiące, lata, mijały, jak letnie mijały dni, jak zimowe mijały wieczory! Przechadzki z Dorą to wśród słonecznej pogody, to po śniegiem przysypanych ulicach, niedzielne przechadzki po ukwieconych łąkach w lecie i zimą nad ściętą w sople lodu rzeką! Minęły dni, tygodnie, miesiące, minęły jak w morze zbiegające fale rzeki.

W domu dwóch staruszek najmniejsze nie zachodziły zmiany. Zegar nad kominkiem jednostajnie wybijał godziny, a w hallu wisiał barometr. I zegar, i barometr mylą się często, polegać na nich nie warto, ślepo im jednak wierzyliśmy.

Dobiegłem pełnoletności, skończyłem dwadzieścia jeden lat. Każdy przez to przechodził, lecz niech przypomnę sobie, com w owym czasie już osiągnął.

Udało mi się wreszcie przeniknąć tajniki stenografii i podwoić moje dochody. Wyrobiłem sobie nawet pewne imię w tej gałęzi i uczęszczałem stale do Parlamentu w celu zasilania „Porannego Dziennika”. Co wieczór notowałem nigdy niespełnione przepowiednie lub projekty, objaśnienia niewyjaśniające niczego. Po uszy nurzałem się w słowach, w potokach słów. Odtąd Brytania wryła mi się w wyobraźnię jako oplakana niewiasta lub opierzona, piórami kancelistów naszpikowana kuropatwa, spętana czerwonym sznurkiem. Dowiedziałem się, co znaczy i ile warta jest polityka. Nie ma ona we mnie i nie zyska nigdy wiernego syna.

Traddles próbował też sił na tym polu, lecz mu nie szło. Niepowodzenie jednakże nie zakłóciło pogody jego umysłu. Nie robił nigdy z siebie kogoś wielkiego. Pracował w dziennikarstwie, zbierając i rejestrując fakty, które inni rozwijali lub upiększali. Oddał się adwokaturze. Wejście jego do adwokatury suto obiano grzonym winem.

Inną obrałem sobie jeszcze drogę i drżącą ręką próbowałem swych sił w literaturze, wysyłając utwory me w sekrecie do różnych tygodników. Płacono mi za nie. Źródła moich dochodów liczyć już mogłem na palcach.

Przenieśliśmy się z Buckingham Street do podmiejskiego domku, który już kiedyś ściągnął moją uwagę i pragnienie. Ciotka miała się ode mnie przenieść do jeszcze mniejszego, znajdującego się w pobliżu domku. Po co? Ano, bo się miałem żenić.

Żenić? Tak, z Dorą. Otrzymałem zezwolenie panny Lawinii i panny Klarysy, które się przy tym trzepotały jak kanarki w klatce. Panna Lawinia, zajęta wyprawą bratanicy, nie miała chwili spokoju, przepatrując modele i wzory i rozprawiając z młodzieńcami zawsze uzbrojonymi w miarę i nożyce. Krawiec, z wpiętą w klapę od surduta igłą, nie wychodził z domu, a zdawało mi się, że, czy to gdy jadł, czy gdy pił, czy gdy sypiał — nie rozstawał się nigdy z naporstkami. Luba moja została ich lalką. Ciągłe jej coś przymierzano, nie zostawiając nas w spokoju ani na pięć minut. Co chwila słyszałem: „Prosimy panią, panno Doro”.

Panna Klarysa z moją ciotką wertowały znów cały Londyn, szukając potrzebnych nam sprzętów, a co gorsza, upatrzonych nie kupowały od razu, lecz kazały nam oglądać, a gdyśmy się wybierali na owe oględziny, Dora zamiast rusztu do kuchni kupowała na przykład chińską pagodę z dzwoneczkami na szczycie, jako budkę dla Jipa. Jip znów potrzebował sporo czasu, by przywyknąć do nowej rezydencji. Za każdym razem, gdy wlaził lub raczej gdy wpychano go do pagody, dzwoneczki poruszały się i dzwoniły, czego się bardzo bał.

Peggotty przybyła, aby pomóc mi się urządzać. Pracowała od rana do nocy. Myła i szorowała wszystko, co się tylko dało, doprowadzając do stanu takiego połysku, jakim świeciło jej własne czoło. Zacząłem teraz spotykać jej brata, samotnie błądzącego wieczorami po ciemnych ulicach i zaglądnącego w oczy każdej przechodzącej kobiecie. Nie zaczęliśmy go nigdy, wiedząc, czego szuka... czego się lęka.

Dziwnie też poważnie wyglądał Traddles, gdy raz po południu spotkał się ze mną w Commons, gdzie czasem dla formy przesiadywałem. Było to w przeddzień urzeczywistnienia najpiękniejszych mych marzeń — odbierałem właśnie potrzebne mi do ślubu świadectwo.

Była to ćwiartka papieru, którą Traddles oglądał na wszystkie strony, ze zdziwieniem niby. Wypisano na niej i połączono imiona Dawida Copperfielda i Dory Spenlow, a niżej znajdowała się urzędowa pieczęć, uświęcająca nasz związek, oraz formalne, błogosławiące, tanio zresztą kupione zezwolenie na nasze szczęście samego canterburskiego arcybiskupa.

Snem mi się to zdawało, błogim snem. Nie wierzyłem, że to się może spełnić, a jednak zdawało mi się jednocześnie, że każdy z przechodniów musi wiedzieć, że się mam nazajutrz żenić. Zastępca ułatwił mi załatwienie wszystkich formalności, a Traddles, chociaż bez potrzeby, towarzyszył mi wszędzie.

— Mam nadzieję — mówiłem mu — że wkrótce zjawisz się tu także. Życzę ci, aby to nastąpić mogło jak najprędzej.

— Dziękuję ci za dobre życzenia — odparł. — I ja się tego spodziewam, myśląc z prawdziwą radością, że kochane to dziewczę gotowe czekać choćby najdłużej.

— O której godzinie pójdziesz ją spotkać na stację dylizansów? — spytałem.

— O siódmej — odrzekł, spoglądając na swój gruby, srebrny zegarek, ten sam, z którego w szkole wydobyl kiedyś kółko do zbudowania młyna. — Panna Wickfield przybędzie o tej samej godzinie?

— Nieco później, o wpół do ósmej.

— Czuję się tak szczęśliwy — twierdził poczciwy chłopak — jak gdybym sam miał się żenić, a nie potrafię już wyrazić wdzięczności za zaproszenie mej Zofii na drużkę<sup>461</sup> wraz z panną Wickfield. Nie uwierzysz, jak to mnie wzrusza.

Uściskaliśmy się. Rozmawialiśmy tak, chodziliśmy razem, jedliśmy obiad, a wszystko to zdawało mi się snem.

O naznaczonej godzinie Zofia przybyła do ciotek Dory. Nie była może piękna, lecz posiadała nad wyraz przyjemną i sympatyczną powierzchowność. Pełna była prostoty, szczerości, wdzięku. Traddles nie bez pewnej dumy przedstawił nam swą narzeczoną. Zacierał ręce i włosy mu się na głowie jeżyły. Z wdzięcznością i zadowoleniem przyjmował nasze powinszowania.

O wpół do ósmej przywoziłem Agnieszkę, szczęśliwy, że widzę znowu wśród nas jej drogą twarz. Agnieszka lubiła bardzo Traddlesa, który cieszył się z możliwości przedstawienia jej „kochanego swego dziewczęcia”.

Wciąż jednak snem mi się to wszystko zdawało. Wieczór przeszedł wesoło, przyjemnie, tylko ja nie mogłem w pełni cieszyć się swoim szczęściem, trawiony wewnętrznym jakimś niepokojem, podniecony tak, jak gdybym nie spał kilka nocy z rzędu. Zdawało mi się, że to nie dziś, lecz co najmniej przed miesiącem dostałem z Commons spoczywające w bocznej kieszeni mego surduta świadectwo.

Nazajutrz udaliśmy się wszyscy razem na oględziny naszego, to jest Dory i mego, domu. Nie mogłem sobie wyobrazić siebie w nim jako gospodarza, czułem się raczej intruzem, zdawało mi się, że gospodarz wylezie gdzieś z kąta. Domek był śliczny, nowy, wszystko w nim lśniło czystością. Kwiaty dywanów wyglądały jak świeżo zerwane, tak samo gałązki na tapecie; białe firanki, różowe mebelki dodawały uroku. Przy lustrze

Ślub, Małżeństwo, Sen

<sup>461</sup>drużka — panna towarzysząca podczas ślubu pannie młodej. [przypis edytorski]



wisiał ulubiony przeze mnie słomkowy kapelusz Dory z niebieskimi wstążkami, a w kącie stała gitara, każdy zaś wchodzący potraçał dzwonki pagody Jipa, za dużej, co prawda, w szczupłym mieszkaniu.

Jeszcze jeden wieczór do snu podobny. Przed odejściem do domu chciałem zobaczyć Dorę, ale jej nie było. Panna Lawinia tajemniczo oznajmiła mi, że wkrótce nadejdzie. To „wkrótce” wydało mi się nieco przydługie, gdy nagle usłyszałem przy drzwiach szelest i pukanie.

Otworzyłem. Spotkały mnie błyszczące oczy Dory. Panna Lawinia przymierzała jej ślubną suknię. Objąłem ją narzeczoną. Panna Lawinia krzyknęła. Mogłem zgnieść woal. Dora śmiała się i płakała zarazem... Snem mi się to zdawało.

— Czy ci się to podoba, Doady? — pytała Dora.

— Czy mi się podoba!

— Czyś tylko pewien, że mnie kochasz, ale to bardzo kochasz?

Odpowiedź groziła woalowi, więc panna Lawinia zaczęła mi tłumaczyć, że Dora jest teraz tylko do patrzenia, że mam tylko z dala patrzeć i podziwiać ją. Dora stała chwilę przede mną jak święta z obrazka, a potem zrzuciła szybko woal i zaczęła skakać dokoła pokoju, pytając Jipa, czy jej do twarzy w ślubnym stroju, i czy się Jip na nią nie gniewa, że wychodzi za męża. Następnie zaś kazała mu służyć, zastawiając go słynną naszą kucharską książką.

Wróciłem do domu, pytając siebie, sen li<sup>462</sup> to czy jawa. Nazajutrz wcześniej bardzo pojechałem po ciotkę.

Nigdy przedtem nie widziałem jej tak wyglądającej! Odziana w jedwabną żółtą suknię i biały kapelusz wygląda przedziwnie; ubierała ją Janet. Peggotty była już gotowa, ponieważ także wybierała się do kościoła. Pan Dick, który obiecał prowadzić mnie narzeczoną do ołtarza, kazał się ufrizować. Był równie rozpromieniony jak Traddles, który niebawem nadszedł.

Pamiętam to wszystko, chociaż zdaje mi się, że nic wówczas nie widziałem. A jednak prawdą to było, jawą, i odczuwałem pewną litość dla tych przechodniów, którzy śpiesząc do codziennych swych zajęć, w szczęściu mym nie mieli uczestniczyć.

Przez całą drogę ciotka nie wypuszczała ręki mej ze swych dłoni. Gdyśmy się zatrzymali przed kościołem, uścisnęła mi ją silnie, całując mnie jednocześnie.

— Niech cię Bóg błogosławi, chłopcze, dziecko moje — rzekła. — Cały ranek myślę o biednej twej matce!

— I ja też myślę o niej, ciotko, a i o tym, co ci zawdzięczam — rzekłem.

— Sza! — przerwała i podała dłoń Traddlesowi, który z kolei uściskał pana Dicka, pan Dick mnie, po czym weszliśmy do kościoła.

Cicho tam było i spokojnie, uciekłbym jednak jak przed wybuchem piekielnej machiny, tylko że już było za późno!

Wszystko to snem mi się zdawało.

Snem — przybycie ich wraz z Dorą, snem — kobieta, co nam nasze wskazywała miejsca. Myślałem przy tym, pamiętam, dlaczego otwieranie kościelnych ławek jest specjalnością bab, i to jakich bab! Myślałem, dlaczego ścieżki Pańskie takimi porastać mają chwastami.

Weszli księża. W kościele było kilku rybaków, a najbliżej mnie stojący marynarz zaprawiał powietrze zapachem araku<sup>463</sup>. U ołtarza rozpoczęto nabożeństwo. Słuchaliśmy z przykładną pobożnością.

Panna Lawinia w roli dodatkowej drużki płakała, poświęcając zapewne szloch te pamięci nieboszczyka Ridgera; panna Klarysa szukała flakonika z solami; Agnieszka zdawała się całkowicie zajęta Dorą, a ciotka moja usiłowała zachować niewzruszony wygląd, chociaż łzy ciekły jej po twarzy. Dora, cała drżąca, mówiła szeptem.

Kłęczeliśmy obok siebie. Powoli Dora zdawała się uspokajać, lecz nie wypuszczała ręki Agnieszki. Ceremonia skończyła się. Wszyscyśmy po sobie spojrzeli<sup>464</sup>, uśmiechając się

<sup>462</sup>li — partykuła pytająca, znaczenie: czy, czyż (wymusza charakterystyczny szyk, występując po rzeczowniku, do którego się odnosi). [przypis edytorski]

<sup>463</sup>arak — mocny, aromatyczny napój alkoholowy z ryżu i trzciny cukrowej. [przypis edytorski]

<sup>464</sup>wszyscyśmy (...) spojrzeli — inaczej: wszyscy spojrzeliśmy (konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika). [przypis edytorski]

poprzez lzy, jak wiosennym dżdzem splukane słońce. Dora w zakrystii rozplakała się na dobre, wołając swego „ojczulka, kochanego ojczulka”.

Uspokojono ją, wpisaliśmy się w parafialne księgi. Poszedłem po Peggotty, pragnąc, by też się podpisała jako świadek. Peggotty uściskała mnie i, ocierając lzy, mówiła, że była na ślubie mych rodziców.

Pamiętam, wiodąc prześliczną mą żonę, przechodziłem wśród dwóch rzędów ciekawskich, dwóch rzędów ławek, posągów, organów i kościelnych okien, a w myśli majaczyły mi dawne, z dzieciństwa uniesione wspomnienia kościoła w Blunderstone.

Dokoła rozlegały się szepty. Podziwiano młodość naszą i urodę oblubienicy. Jadąc z powrotem w powozach gwarzyliśmy wesoło. Zofia upewniała, że gdym zapotrzebował od Traddlesa powierzonego mu świadectwa, drżała ze strachu, czy czasem narzeczony jej owego dokumentu nie zgubił lub czy mu go nie wyciągnęli kieszonkowi złodzieje. Agnieszka zdawała się bardzo wesołą, Dora zaś tak ją polubiła, że ani na chwilę nie chciała się z nią rozdzielić i przez cały czas trzymała Agnieszkę za rękę.

Śniadanie było obfite i smaczne; jedliśmy, pili, a mnie się wciąż zdawało, że wszystko to jest tylko snem, nawet smak pożywanych<sup>465</sup> potraw i wychyłanych kielichów, przestając być jawą, zamieniał się w miłość i małżeństwo.

Pamiętam, przemawiałem jak we śnie, nie wiedząc, o czym i do kogo. Pamiętam, wesoło nam było, dobrze; nawet Jip spożywał marcepany, które mu, nawiasem mówiąc, zaszkodziły.

Pamiętam, konie zajechały i Dora poszła do swego pokoju przebrać się. Ciotka i panna Klarysa pozostały w salonie. Przy śniadaniu ciotka wносиła<sup>466</sup> zdrowie ciotek Dory, co ją bardzo rozbawiło.

Wreszcie Dora już była gotowa, a panna Lawinia zalewała się łzami, tracąc prześliczne to cacko! Okazało się, że Dora zapomniała tego i owego. Zaczęła się biegać, szukanie, a potem wszyscy otoczyli Dorę, nastąpiły pożegnania. Cała w barwnych wstążkach, najdroższa moja wyglądała niczym żywy kwiat, ledwie ją płaczącą i śmiejącą się zarazem wyrwał z ich objęcia.

Chciałem nieść Jipa, który miał nam towarzyszyć w poślubnej podróży, lecz Dora oparła się temu stanowczo. Jej to było rzeczą niańczyć kochanego psiaka, który inaczej pomyślałby może, że go — raz wyszedłszy za mąż — zaniedbuje. Wreszcie wyszliśmy pod rękę z domu. Na progu Dora zatrzymała się:

— Jeśli się naraziłam komu, darujcie — zawołała, wybuchając płaczem.

Pociągnąłem ją za sobą. Raz jeszcze przystanęła, chciała uściskać Agnieszkę — tak, dla Agnieszki niech będą ostatnie jej pocałunki.

Odjechaliśmy wreszcie. Nie sen to, lecz jawa! Miałem obok siebie własną mą, lubą, kochaną żoneczkę!

— Czyś zadowolony, ty brzydki chłopcze — pytała Dora — i czyś pewien, ale to bardzo pewien, że nie pożałujesz nigdy?

---

Wywołałem w pamięci obraz chwil tych... wracam do mej opowieści.

## ROZDZIAŁ XLIV. NASZE GOSPODARSTWO

Dziwnym mi się wydało, po upływie miodowego miesiąca, znaleźć się z Dorą w małym naszym domku. Wyszedłem był<sup>467</sup> z powszedniego trybu życia, zaniedbałem zajęcia, samą zajęty miłością.

Dziwnym mi się zdawało mieć ją ciągle przy sobie, nie potrzebować wychodzić z domu, by ją zobaczyć, nie tęsknić za nią, nie pisywać do niej, nie gubić się w planach i wykretach, by spędzić z nią sam na sam chwil kilka. Czasem wieczorem, odrywając oczy od pracy i widząc ją siedzącą naprzeciw mnie, dziwiłem się, że tak pozostała sama ze mną i nikt nic na to powiedzieć nie może. Minął okres narzeczeństwa, pozostaliśmy we dwoje, wolno nam było i trzeba podobać się sobie wzajemnie — zawsze.

<sup>465</sup>pożywany — dziś: spożywany; forma *pożywać* nosi dziś cechę stylu biblijnego. [przypis edytorski]

<sup>466</sup>wnosić toast a. zdrowie — dziś: wznosić. [przypis edytorski]

<sup>467</sup>wyszedłem był — daw. forma czasu zaprzeczonego; znaczenie: wyszedłem wcześniej, uprzednio (tzn. przed czynnościami i wydarzeniami wyrażonymi czasem przeszłym prostym). [przypis edytorski]

Gdy mnie posiedzenia Parlamentu zatrzymywały do późna poza domem, wracałem, dziwiąc się na samą myśl, że Dora mnie czeka. Dziwiłem się, gdy wychodziła mi naprzeciw i gdyśmy we dwoje zasiadali do wieczerzy. Zdumiewałem się, gdy zawijała w obecności mojej włosy w papiloty! Przywyknąć do tego nie mogłem.

Chyba para ptasząt, które nie orzą i nie sieją, tyle co my, Dora i ja, wiedzieć mogła o praktycznej stronie życia. Mieliśmy służącą i ta prowadziła całe gospodarstwo. Posądzalem Marię Annę, że jest nieodrodną córką samej chyba pani Crupp. Miała talent zmieniana domu w piekło! Nazywała się Paragon<sup>468</sup> i wszystko w niej odpowiadało tej nazwie. Posiadała obszerne świadectwa przeróżnych uzdolnień i doskonałości. Była to niewiasta dojrzała, o surowej powierzchowności, cała w krostach, posiadała w gwardii kuzyna o nieskończenie długich piszczelach. Nie mieścił się w mundurze, a w małym naszym domku robił wrażenie olbrzyma; że zaś ściany nie odznaczały się szczególną grubością, sapanie jego rozchodziło się z kuchni po całym domu.

Świadectwa opiewały nadto uczciwość i wstrzeźliwość skarbu, co się nam dostał w udziale. Musiała widocznie być chora wtedy, kiedym ją widział z butelką przy ustach, i dzięki to zapewne ulicznemu stróżowi ginęły nasze łyżeczki do herbaty.

Przygniatała nas bądź co bądź całym ciężarem swej doskonałości. Czuliśmy nasze niedoświadczenie i niezaradność, pozostawaliśmy na jej łasce, a raczej niełasce, gdyż wspinałomyślność nie wchodziła w skład tej doskonałości. Ona to była powodem pierwszej naszej sprzeczki.

— Kochanie — rzekłem raz do Dory — jak uważasz, czy Maria Anna ma jakiegokolwiek wyobrażenie o czasie?

— Czemu, Doady? — spytała Dora, podnosząc zdziwione oczy.

— Bo już piąta, kochanie, a mieliśmy jeść obiad o czwartej.

Dora spojrzała na zegar i zauważyła, że musi się śpieszyć.

— Przeciwnie — zauważyłem, wyjmując zegarek z kieszeni — opóźnia się o pięć minut.

Żoneczka usiadła mi na kolana i dla uspokojenia zaczęła rysować ołówkiem różne linie i wykrzykniki na moim czole i nosie. Było to istotnie bardzo przyjemne, lecz, niestety, nienasycające. Po kilku chwilach odezwałem się:

— Czy nie upomniałabyś Marii Anny?

— Nie! nie! Za nic, Doady!

— Czemu nie, kochanie?

— Bo jestem gąską i ona wie to aż nadto dobrze.

Zmarszczyłem brwi.

— O! O! Już ten brzydki grymas! — śmiała się Dora, śliniąc ołówek w różowych swych usteczkach, dla lepszego oznaczenia na mym czole linii „brzydkiego grymasu”. Byłem zachwycony.

— Teraz — wołała — chłopczyk mój grzeczny. Z uśmiechem mu bardziej do twarzy.

— Duszko! Kochanie!

— Nie! Nie! Nie pozwalam! Ty, Sinobrody!

— Kochanie moje — rzekłem — musimy czasem porozmawiać poważnie. Usiądź tu przy mnie, bliżej, i oddaj mi ołówek. Dobrze. Otóż, miła...

Drobna jej rączka tonęła w mojej. Jakże mała była jej ślubna obrączka!

— Otóż... trudno się, widzisz, obejść bez obiadu.

— N... n... nie — odrzekła cicho.

— Drżysz, Doro! Co ci?

— Gniewasz się na mnie?

— Ja? Chcę tylko porozmawiać z tobą rozsądnie.

— To jeszcze gorsze od gniewu — wybuchnęła. — Ja nie po to wychodziłam za męża, aby rozmawiać rozsądnie! Jeśli chciałeś ze mną, niebogą, rozsądnie rozmawiać, trzeba było uprzedzić. Niedobry!

Chciałem ją przekonać, odwróciła się ode mnie, potrząsając loczkami i powtarzając ustawicznie:

— Niedobry! Okrutny!

<sup>468</sup>paragon (ang.) — wzór; np. *paragon of virtue*: wzór (wcielenie) cnót. [przypis edytorski]

Nie wiedziałem, co począć, przeszedłem się parę razy po pokoju.

— Doro, kochana!

— Nie, nie jestem kochana. Żałujesz zapewne, żeś się ze mną ożenił, inaczej nie przemawiałbyś mi do rozsądku.

Oskarżenie to było tak niesprawiedliwe, że musiałem wziąć je poważnie.

— Bzdurzysz i udajesz dzieciątko, Doro — rzekłem. — Przypomnij sobie, wczoraj musiałem wyjść o naznaczonej godzinie i nie mogłem skończyć obiadu, a onegdaj byłem niezdrów, gdyż zjadłem niedogotowane potrawy. Dziś, jak mi się wydaje, wcale nie dostanę obiadu, a śniadania doczekać się było nie podobna<sup>469</sup>, bo woda nie chciała się zagotować. Nie wyrzucam ci tego, duszko, mówię tylko po prostu, że to niezbyt przyjemne.

— O! Niedobry! Okrutny! — płakała Dora. — Mówi, że jestem nieznośną żoną.

— Doro! Kiedyż to mówiłem?

— Czyż nie mówiłeś, że jestem nieprzyjemna?

— Mówiłem, że nasze gospodarstwo nieprzyjemne.

— Na jedno to wychodzi!

Przekonana snadź<sup>470</sup> o tym była, gdyż płakała gorzko. Przeszedłem się znów po pokoju. Byłem w rozpaczy, rozbiłbym sobie głowę o ścianę, tak gorzkie czułem wyrzuty sumienia. Usiadłem przy Dorze.

— Nie, Doro, droga moja, żadnych ci nie czynię wyrzutów. Obojeśmy niedoświadczeni<sup>471</sup> i obojgu wiele pozostaje do nabycia<sup>472</sup>. Chciałem cię tylko, luba moja, przekonać — postanowiłem był raz przecie sprawę tę załatwić — żeś powinna pilnować służącą, rządzić domem.

— I ty, ty mi to możesz wyrzucać! — szlochała Dora. — Czyż nie wiesz, że onegdaj, jak tylko posłyszałam, że lubisz rybę, poszłam sama, Bóg wie jak daleko, by ci zgotować tę niespodziankę?

— I wdzięczny ci byłem, tak wdzięczny, że nie wspomniałem nawet, że kupiony losos wystarczyłby na sześć osób i kosztował więcej, niż wydawać możemy.

— A zdawałeś się zadowolonym — westchnęła Dora — nazwałeś mnie „myszką”.

— I teraz cię, jeśli chcesz, tysiącrotnie tak nazwę!

Serduszko jej do żywego snadź było zdrażnione, bo się nie dawała pocieszyć. Szlochała i wdychała, a mnie, jako winowajcę biedy, sumienie gryzło. Musiałem przy tym wyjść, wróciłem późno i cały wieczór nie miałem spokoju. Zdawało mi się, że popełnił monstrualną zbrodnię.

Wróciłem do domu po północy i przestraszyłem się bardzo, zastawszy ciotkę.

— Cóż się stało? — zawołałem.

— Uspokój się, chłopcze — mówiła — kwiatek nasz był nie w humorze, więc dotrzymywałam jej towarzystwa, oto wszystko.

Opuściłem głowę, byłem pogębiony. Czułem, że mnie ciotka nie spuszcza z oka. Widocznie też była niespokojna.

— Upewniam cię, ciotko — mówiłem — że się dręczył cały wieczór, wiedząc, że się tu Dora martwi. Upewniam cię, że się chciałem z nią zgodzić i łagodnie rozmówić na temat naszego gospodarstwa i nie przypuszczałem, że się obrazi.

Ciotka wstrząsnęła zachęcająco głową.

— Powinieneś się uzbroić w cierpliwość, Trot.

— Zapewne! Niebo biorę na świadka, że tylko chciałem być rozsądnym.

— Wierzę. Cóż! Kwiatek nasz bardzo delikatny, lada powiew wiatru zwarzyć go może.

Pamiętaj o tym, kochany mój chłopcze.

Jakże wdzięczny byłem ciotce, w głębi serca, za jej dobroć i pobłażanie dla Dory.

— Może byś, kochana ciotko — przerwałem milczące wpatrywanie się w ogień — może byś sama zwróciła uwagę Dory na te domowe sprawy.

— Nie, Trot, nie prosz mnie nawet o to — odrzekła takim głosem, że podniosłem głowę.

<sup>469</sup>nie podobna (daw.) — nie (jest) możliwe; nie można. [przypis edytorski]

<sup>470</sup>snadź (daw.) — widocznie, prawdopodobnie. [przypis edytorski]

<sup>471</sup>obojeśmy niedoświadczeni — forma skrócona; inaczej: oboje jesteście niedoświadczeni. [przypis edytorski]

<sup>472</sup>nabyć — tu: nauczyć się; nabyć wiedzę. [przypis edytorski]

— Oglądając się poza siebie — mówiła — myślę o tych, których już wśród nas nie ma, a z którymi powinnam była na lepszej pozostawać stopie. Jeśli sąd mój o małżeństwie był za srogi, wina to własnego mego, gorzkiego doświadczenia. Ale nie w tym rzecz! Byłam przez lat wiele ostrym sędzią, a dziwaczka jestem po dziś dzień i pozostanę taka, lecz z tobą, Trot, wzajemnieśmy dobrze na siebie wpłynęli<sup>473</sup>. Ty mi przynajmniej, dziecko, wiele, wiele zrobiłeś dobrego i poróżnić się z tobą nie chcę.

— Może to być kiedy, kochana ciotko, mowa o poróżnieniu pomiędzy nami?

— Dziecko jesteś — mówiła ciotka, układając starannie fałdy sukni. — Nie trzeba być jasnowidzącą, aby wiedzieć, czym by się skończyło moje wmieszanie się w wasze domowe sprawy. Moją rzeczą pieścić naszą kotkę, starać się, aby była wesoła i swobodna. Przypomnij sobie, Trot, własne dzieciństwo, powtórne małżeństwo swej matki; o wiele lepiej byłoby, jeśliby nikt pomiędzy wami nie stawał.

Ciotka miała słuszość. Wdzięczny jej tylko być mogłem.

— Ha! — ciągnęła. — Nie trać odwagi, jesteśmy u samego początku, a Rzym nie od razu zbudowany został. Nikt na wybór twój nie wpływał.

Po czole ciotki przemknął cień, lecz po chwili mówiła z zupełną pogodą:

— I wybrałeś sobie śliczną, kochającą istotkę. Obowiązkiem twym i największą (wiem to i wcale ci nie prawię kazania) przyjemnością być winno i będzie radowanie się zaletami, które żona twa posiada, nie zaś wyszukiwanie tych, na których jej zbywa. Jeśli możesz, rozwiń w niej te, których braknie, lecz — tu ciotka potarła koniec nosa — przywykaj raczej obchodzić się bez nich. W każdym razie przyszłość od was samych zależy, nikt wam pomóc, nikt się pomiędzy was mieszać nie może i nie powinien. Takie jest małżeństwo, dziecko moje! Niechże Nieba mają was w swej pieczy.

Mówiąc to, pocałowała mnie.

— A teraz — dodała — zapal mi latarnię i odprowadź mnie do bramki — (pomiędzy naszymi dwoma domkami było przejście przez ogród) — uściśnij ode mnie na dobranoc nasz kwiatek i pamiętaj, abyś mnie nigdy tu nie wzywał jako stracha. Dość mi być strachem dla samej siebie.

Zawiązała chustkę na głowie i wyszliśmy razem. Gdy, stojąc we własnym już ogródku, podniosła latarnię w górę, by oświetlić sobie drogę, zdawało mi się, że znów dostrzegł w jej twarzy cień niepokoju. Nie zastanawiałem się jednak nad tym. Słowa jej pobudziły mnie po raz pierwszy do myślenia, że istotnie musimy z Dorą sami sobie budować przyszłość, na niczyją nie licząc pomoc.

Dora w pantofelkach wyszła na moje spotkanie, rzuciła mi się z płaczem na szyję, przyznając, że była przekorna, ale bom był taki zły, okrutny, bez serca. Przyznałem wszystko, co chciała, i postanowiliśmy w najlepszej wierze, że pierwsza ta sprzeczka będzie zarazem ostatnią.

Służące były istną naszą domową klęską. Kuzyn Marii Anny zbiegł z pułku i ukrywał się, jak się okazało, w naszej spiżarni, zanim nie został schwytany przez towarzyszy broni. Tego już było zanadto. Wypowiedziałem służbę Marii Annie i zdziwiłem się spokojowi, z jakim to przyjęła. Później dopiero dostrzegłem brak łyżeczek i spadły na mnie różne dawne, w przekonaniu mym zapłacone, rachunki. Po Marii Annie przyszła do nas na służbę pani Kidgerbury, najstarsza z mieszkanek Kentish Town, wyborna jakoby sprzątaczką, której jednak wiek i siły nie dozwalały spełniać przyjętych na się obowiązków. Po pani Kidgerbury nastąpiła inna doskonałość, wcale znośna zresztą kobiecina, która tę tylko miała wadę, że co dzień przewracała się, niosąc tacę z naczyniem. Ustawiczne i niezliczone szkody zmusiły nas odprawić ją i wrócić do pani Kidgerbury. Przebraliśmy cały zastęp niezdolnych, zanim natrafiliśmy na młodą i ładną dziewczynę, która, uczęszczając na jarmarki, stroiła się w kapelusze Dory.

Wszyscy nas wszędzie oszukiwali. W sklepach dawano nam najgorsze towary, raki bywały puste, mięso łykowate, bochenki chleba wypróżnione. Sam zasięgałem rady kucharskiej książki co do smażenia pieczeni. Próżno! Pieczeń zawsze była twarda, wszystko zresztą spalone lub surowe.

<sup>473</sup>wzajemnieśmy dobrze na siebie wpłynęli — inaczej: wzajemnie (...) wpłynęliśmy (konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika). [przypis edytorski]

Przekonałem się, że niepowodzenie kosztowało drożej od bankietowania, a przeglądając rachunki kupców, doszedłem do wniosku, żeśmy mogli wybrukować ulicę oselkami masła, tyle go u nas wychodziło. Co do pieprzu, jeśliśmy nie podtrzymywali sami handlu tym artykułem, to pewno kilka rodzin musiało się bez niego, z przyczyny nadmiernej naszej konsumpcji, obchodzić. A jednak spiżarnia świeciła pustkami.

Nie nam jednym zapewne zdarzało się przyjmować przeprosiny i tłumaczenia praczki za poszarpaną i zagubioną bieliznę czy też płacić karę i słuchać wymysłów komisarza policyjnego, gdy sadze zapaliły się w kominie, specjalne jednak szczęście mieliśmy do amatek spirytualiów i nie wiem, ile zapłaciłem butelek rumu, dżynu, wódki, zapisanych w pobliskich szynkach na imię — mej żony.

Pierwszym naszym gospodarskim występem był obiad dla Traddlesa. Zaprosiłem go, spotkawszy się z nim w mieście, że zaś chętnie przyjął zaproszenie, napisałem natychmiast do Dory, że go po południu przyprowadzę z sobą. Pogoda była prześliczna. Idąc, rozmawialiśmy ciągle o moim szczęściu. Traddles całkowicie był nim przejęty, mówił, że nie pojmuje już większej dla siebie radości, niż mieć takie jak ja domowe ognisko, a przy nim czekającą go Zofię.

Najbardziej wymagający człowiek byłby zadowolony z gosposi, która zasiadła z nami do stołu. Jadalnia, co prawda, mogła być obszerniejsza. Nie wiem, jak to się działo, lecz pokój był zawsze przepełniony i nie sposób było coś znaleźć, może dlatego zresztą, iż rzecz żadna, oprócz pagody Jipa, o którą zawsze zawadzić wypadało, nie miała przeznaczonego miejsca. W danym wypadku Traddles tak był ściśnięty pagodą, gitarą Dory, jej sztalugą, moim biurkiem, że pomimo jego upewnien „pełno, pełno miejsca”, podziwiał tylko moim zręcznością, z jaką posuwał ściśnięte łokcie.

Zyczyłbym też sobie, aby Jip mniej chodził po stole i nie pakował nosa do talerzy, a łap do półmisek. W danym wypadku uważał za obowiązek blokować Traddlesa, warcząc za każdym kawałkiem, który przyjaciół mój polykał, lub drapać Tomcia po rękawie i pozbawiać go najsmakowszych kąsków.

Znając tkliwość Dory i słabość jej dla ulubieńca, nie sprzeciwiałem się temu. Z tegoż samego powodu nie mówiłem ani słowa o harcach półmisek ze stołu na posadzkę, o niezachęcającym wyglądzie obitych karafek, o gromadzeniu się przed Traddlosem talerzy i sosjerek. Gdym zabrał się do krojenia przypalonej pieczeni, zdziwił mnie osobliwy kształt pieczeni, jak gdyby ktoś uparł się, by sprowadzić dla nas tak zły gatunek baraniny, ale milczałem, nie dzieląc się z nikim moimi wrażeniami.

— Co tam masz na tym półmisku, duszko? — spytałem wreszcie.

Dora mrugała na mnie porozumiewawczo.

— Ostrygi — rzekła nieśmiało.

— Więc i o tym pomyślałaś, gosposiu luba! — zawołałem uradowany.

— Ta-a-k, Doady.

— Wybornie! Wiem, że je Traddles lubi.

— Ta-a-k — mówiła, potrząsając loczkami — kupiłam całą baryłkę, kupiec upewniał, że są doskonale, ale... ale... boję się... coś się stało... niezupełnie zdają się dobre.

W oczach Dory mieniły się łzy.

— Żle są otwarte — uspokajałem ją. — Podnieś wierzchnią skorupkę.

— Ależ kiedy się nie daje — mówiła, mieszając się coraz bardziej.

— Wiesz co — wtrącił, przypatrzysz się ostrygom, Traddles — są doskonale, ale nigdy, jak widzę, nie były otwarte.

Istotnie, nie były otwarte i nie posiadaliśmy potrzebnych na to nożyków. Patrzaaliśmy tedy na ostrygi, a jedliśmy baraninę z kaparami. Zjedliśmy do ostatniego kąska, a gdybym się nie sprzeciwił, pocziwy Traddles, przez uprzejmość i w celu pokazania, jak mu nasz obiad smakuje, połknąłby cały półmisek surowego mięsa. Byłaby to już zbyttnia, na ołtarzu przyjaźni złożona ofiara. Szczęściem posiadaliśmy resztki szynki dla dokończenia nieposilnego obiadu.

Żoneczka moja tak była zmieszana, tak wystraszonimi oczyma na mnie patrzała, tak się ucieszyła, widząc, z jaką pokorą znoszę szereg tych przeciwności! Najprzyjemniejszy spędziliśmy wieczór. Dora opierała się o me krzesło, gdyśmy z Traddlosem popijali wino, szepcząc mi co chwila na ucho, że jestem pocziwy, dobry chłopiec, bom się nie gniewałem,

Gospodarz, Gospodyni,  
Jedzenie, Małżeństwo,  
Młodość

nie zrymał<sup>474</sup>. Nalewała nam herbatę, z właściwym sobie wdziękiem, w malutkie, lalczyne, które sama wybrała, filiżanki. Któż by przy tym zarzucić mógł chińskiemu napojowi smak niesobliwy? Zagraliśmy z Traddlesem partię wista, a Dora tymczasem śpiewała przy gitarze. Znow mi się miłość, małżeństwo wydały snem rozkosznym. Dawnoż<sup>475</sup> to było, gdym ją pierwszy raz tak śpiewającą słyszał?

Po wyjściu Traddlesa żona moja przysunęła się do mnie.

— Smutno mi, Doady! Naucz mnie być dobrą gospośią.

— Przede wszystkim sam się muszę wyuczyć, nie lepszym od ciebie, droga moja, jestem gospodarzem.

— Aha! Ty to się nauczysz, tyś mądry!

— Bredzisz, myszko!

— Chciałabym — ozwała się po długim milczeniu — wyjechać gdzie na wieś, na calusieńki okrągły rok, mieszkać z Agnieszką.

Trzymała skrzyżowane na mym ramieniu ręce, opierając o nie brodę i podnosząc na mnie błękitne oczy.

— Dlaczego? — spytałem.

— Boby mnie wyuczyła, poprawiłabym się przy niej.

— Wszystko ma swą rację, kochanie! Agnieszkę wychował tak jej ojciec. Od dzieciństwa była taką, jaką ją dziś znamy.

— Czy będziesz mnie nazywał imieniem, które sobie wymyśliłam? — spytała Dora, nie zmieniając pozycji.

— Powiedz! — prosiłem z uśmiechem.

— To taka zabawna nazwa — odrzekła, potrząsając loczkami. — Dziecinna żona<sup>476</sup>.

Śmiejąc się, pytałem mą dziecinna żonę, skąd jej na myśl przyszła ta dziwaczna nazwa? Zbliżyła twarz swą do mojej, nachylając rączkami moją głowę.

— Ja nie chcę, ty brzydki, niedobry, żebyś imieniem tym zastąpił własne moje imię i wołał tak na Dorę, chcę, abys myśląc o mnie, miał mnie za dziecinna żonę. Chcę, abys, gdy ci przyjdzie chęćka rozgniewać się, mówił sobie: „E! Nie warto! Toż to dziecinna żona!”. Gdy cię zniercpliwie, mów sobie: „Wszak wiedziałem od dawna, że mam dziecinna żonę”, a gdy nie będę taką, jaką byś mnie widzieć pragnął, a pewna jestem, że nigdy nie będę, powiedz sobie: „Jednakże moja dziecinna żona kocha mnie z całego serca”.

Nie, nie brałem jej nigdy na serio, byłoby to możliwe?! Lecz kochające, tkliwe jej serce rozradowało się wszystkim, com jej na to powiedział. Prawdziwa to była dziecinna żona. Usiadła na ziemi koło pagody Jipa, wszystkie trącając z kolei dzwonki, za karę, jak mówiła, bo Jip był niegrzeczny. Rozespany Jip nie chciał się nawet gniewać na dzwonki.

Słowa Dory, prośba jej silne na mnie wywarły wrażenie. Dziś jeszcze z ćmy czasu wywołują wdzięczny wizerunek mej ukochanej, czuję jej drobne rączęta splecione na mym ramieniu, widzę wzniesione ku mnie spojrzenie, słyszę pieszczotliwe słowa. Nie odpowiedziałem na nie tak, jak odpowiedzieć powinienem, młody i niedoświadczony byłem! Lecz znalazły one drogę do mego serca.

Wkrótce potem Dora oznajmiła mi, że będzie doskonałą gospodynią. Przygotowała zeszyty rachunkowe, notatniki, zszyla nawet porwane przez Jipa stronicę kucharskiej książki, słowem, wszelkich dokładała starań, aby się, jak mawiała, „poprawić”. Cóż, liczby te, niegodziwe liczby! Nigdy, tak jak przedtem, nie chciały się schodzić! A gdy wpisała parę notatek w notatniku, Jip wlaź z łapami i zatarł wszystko ogonkiem. Drobne jej paluszki powalane były atramentem... Oto jedyny rezultat jej usiłowań.

Czasem, gdym pracował wieczorem w domu — pracowałem zaś wiele i imię moje zaczynało być znane wśród pisarzy — odkładałem pióro, przypatrując się mej dziecinnej żonie i jej usiłowaniom poprawy. Przede wszystkim przynosiła rachunkową księgę, kładła ją na stole, otwierała w miejscu, które Jip w przeddzień był zatarł i wołała psa, by mu to pokazać. Za karę brzydki, niegodziwy Jip miewał nosek umorusany atramentem. Dobrze mu tak, niech będzie grzeczny. Następnie układała Jipa na stole lub kazała mu

<sup>474</sup>zżymać się — niecierpliwic się; denerwować, złościć się. [przypis edytorski]

<sup>475</sup>dawnoż — konstrukcja z partykułą -że (skróconą do -ż) nadającą znaczenie pytania retorycznego; inaczej: czy dawno, czyż dawno. [przypis edytorski]

<sup>476</sup>dziecinna żona — w oryg. nie tyle w znaczeniu „dziecinnie zachowująca się żona”, ile „dziecko-żona”: child-wife. [przypis edytorski]

udawać lwa. Była to ulubiona jej sztuczka, chociaż, co prawda, jakkolwiek by Jip przyjmował pozę, trudno było dopatrzeć się w nim podobieństwa do króla pustyni. Czasem Jip był posłuszny, często jednak uciekał i chował się pod kanapę. Wówczas Dora brała pióro. Włosek jakiś przeszkadzał pisać. Szła szukać drugiego pióra. Papier zalewał, pióro skrzypiało i miła moja mawiała cichutko, do siebie: „Co za nieznośne pióro, przeszkadza Doady”. Kończyło się odrzuceniem pióra i książki rachunkowej, którą, śmiejąc się w głos, ciskała we „lwa”, to jest w Jipa.

Czasem znów, gdy była w bardzo poważnym nastroju, siadała z rachunkami, kartkami i innymi dokumentami, podobnymi raczej do papilotów niż do rachunków. Porównywała je, liczyła paluszkami prawej ręki na paluszkach lewej, a nie mogąc się doliczyć, wyglądała tak zafrasowana, zaszępiła! Oczywiście musiałem jej przyjść z pomocą.

— Cóż tam, Doro?

Spoglądała na mnie smutnie.

— Nie schodzą się. W głowie mi się mąci i zaczyna boleć.

— Poczekaj, spróbujemy razem, zejść się może.

Zaczynałem wyjaśniać, a Dora słuchała uważnie przez całe nieraz pięć minut. Po pięciu minutach stawała się roztargniona, ziewała, potrząsała loczkami, gładziła moje włosy, wyciągała kołnierzyki, przekrzywiała mi twarz. Jeśli mimo te zaczepki przeciągałem rachunki, zaszępiła się, w coraz większe popadała roztargnienie, a mnie stopniowo zaczynały nękać wyrzuty sumienia. Przypominała mi się dawniejsza wesołość i swoboda mej dziecinnej żony, odkładałem tedy pióro i sam pierwszy prosiłem o gitarę.

Pracy miałem nawał, kłopotów trochę, lecz chowałem to w sobie, nie chcąc zachmurzać czoła Dory. Nie miałem zapewne racji. Widzę to teraz, przerzucając karty mego sumienia i życia. Czuję, że mi w sercu pozostało stare jakieś, puste miejsce, a świadomość ta napenia mnie smutkiem, choć nie gorczy. Często przechadzając się w dni pogodne i przypominając sobie złotą wiosnę mej młodości, widzę, że mi w szczęściu mym brakowało czegoś; braki te utonęły jednak w mgłę przeszłości, obecnej nie omraczając chwili. Wówczas już czułem, że wołałbym znaleźć w żonie doradcę, przyjaciółkę, oparcie, żem nieraz potrzebował<sup>477</sup> zachęty, rady, rozumiem jednak, że połączenie takie było nieosiągalnym szczęściem na tej ziemi.

Zaiste, nader młodym byłem małżonkiem, niedoświadczonym, obeznanym tylko z wypadkami i smutkami, o których była mowa w tym pamiętniku, jeśli zatem popełniałem omyłki, to z przywiązania oraz z braku doświadczenia. Przekonany o tym jestem i to mnie uspokaja.

Niedoświadczony i pełen przywiązania, wziąłem na własne barki cały ciężar trosk domowych. Gospodarstwo szło uprzednim trybem, więcej niż kulawo, lecz przywykłem do tego, a Dora cieszyła się, widząc mnie pozornie zadowolonym. Wróciła jej uprzednia, dziecięca swoboda i wesołość. Bawiła się drobnostkami i śmiała całe dni.

Gdy w Parlamencie przedłużały się rozprawy i późno w noc wracałem do domu, Dora zwykła wybiegać na me spotkanie. Gdy spędzałem wieczory w domu pisząc, siadywała przy mnie, nie zważając na spóźnioną porę, cichutko, tak cicho, żem ją posądzał nieraz, że się zdrzemnęła. Lecz dość mi było podnieść wzrok, by się spotkać z rozbłysłym, błękitnym jej spojrzeniem.

— O, chłopcze ty mój, chłopcze! — powiedziała raz, gdym zamykał szufladę biurka.

— O, dziewczę ty moje, dziewczę! Malutka — odrzekłem, całując ją — tobie to już dawno pora spać.

— Nie odsyłaj mnie do łóżeczka — prosiła, tuląc się do mnie.

— Doro!

Czułem jej łzy na mej szyi.

— Doro, co ci jest! Czujesz się niezdrowa, nieszczęśliwa?

— Zdrowa jestem, szczęśliwa, lecz powiedz, powiedz, że nie będziesz odsyłał mnie spać, dopóki sam piszesz.

— Przyjemny widok dla twych pięknych oczu i to o północy!

— A piękne mam oczy? — pytała, uśmiechając się poprzez łzy.

<sup>477</sup>żem (...) potrzebował — inaczej: że potrzebowałem (konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika). [przypis edytorski]



— O, ty mała zalotnico!

Nie, nie była zalotna ani próżna, wiedziałem to, chciała mi się tylko podobać.

— Jeśli tedy ładne mam oczy — mówiła — zostanę i będę zawsze patrzeć, jak piszesz. Naprawdę więc uważasz moje oczy za ładne?

— Bardzo ładne.

— Dobrze, nie będziesz mnie już odsyłał do łóżka?

— Czuwanie nie zdwoi, Doro, ich blasku.

— Owszem, nieznośny chłopcze! Wiem, że jak tu będę, to nie zapomnisz o mnie, snując wszystkie te bajki, które wypisujesz! Czy się nie zagniewasz, gdy ci powiem coś bardzo, ale to bardzo niedorzecznego? — kończyła, podnosząc ku mnie twarzyczkę.

— Co takiego, czarodziejko moja?

— Pozwól mi trzymać i podawać ci pióra! Nie mam nic do roboty przez te długie, długie godziny, w których tak bywasz zajęty! Pozwól mi podawać ci pióra.

Dziś jeszcze lży mam w oczach, gdy przypomnę radość, jaką ją nappełniło me zezwolenie. Odtąd siedziała zawsze przy moim biurku z pękiem zatemperowanych piór. Uszczęśliwiona była, gdy mi się pióro psuło, natychmiast podawała nowe, dumna ze współudziału w mej pracy. Często, aby ją zadowolić, prosiłem o przepisanie ćwiartki lub dwóch manuskryptu. Promieniała wówczas. Przynosiła z kuchni bibułę, nie było końca przygotowań. Wszystko wpierw musiała wytłumaczyć Jipowi i przekonana była, że dzieło wtedy dopiero wykończone zostanie, gdy każdą stronicę ozdobi swym podpisem. Tak wykończone kopie przynosiła mi z zadowoleniem pensjonarki, a gdy pochwaliłem, zarzucała mi ręce na szyję. Stare, lube wspomnienia!

Nanizala<sup>478</sup> też na kółko wszystkie klucze i pobrzękiwała nimi, zawiesiwszy sobie u paska. Wprawdzie szuflady i szafy nie bywały nigdy zamknięte, a klucze służyły do zabawy lub drażnienia Jipa, lecz Dorę tak to zadowalało, że i mnie ostatecznie musiało zadowalać. Zdawało się jej, że jest gosposią — istnie lalczynego, w lalczyim domu, lalczyim trybem prowadzonego gospodarstwa.

Tak szły rzeczy. Dora okazywała ciotce mej równie tkliwe jak i mnie przywiązanie, mówiąc, że się jej dawniej bała, i myślała, że jest „złą, starą babą”. Nie widziałem, aby ciotka kiedy bądź i dla kogo bądź była tak pobłażliwa jak dla Dory. Zaslugiwała się nawet niewdzięcznemu Jipowi, który na uprzejmość jej wieczystym odpowiadał warczeniem. Słuchała co dzień gry na gitarze, chociaż wiem, że nie lubiła muzyki, nie krytykowała nigdy na ustawiczną krytykę zasługujących kucharek, kupowała jako niespodzianki wszystko, co się Dorze podobało, a wchodząc do nas, od progu już wołać była zwykła:

— Gdzież jest nasz kwiatek?!

## ROZDZIAŁ XLV. PAN DICK SPEŁNIA PRZEPOWIEDNIE CIOTKI

Przeszło już sporo czasu, odkąd przestałem pracować z doktorem, lecz, mieszkając w jego sąsiedztwie, widywałem go często. Kilka razy byliśmy u niego na obiedzie lub herbacie. Herod-baba królowała ciągle pod dachem zięcia. Nie zmieniła się wcale i te same zawsze motyle zdobiły jej czepiec.

Podobnie do wielu innych spotykanych matek, pani Markleham bardziej od córki spragnioną była zabawy, a jak wszelkie tego rodzaju baby dogadzała sobie, poświęcając się niby dla dobra córki. Zastosowywała się tedy w zupełności do żądań zięcia, poszukując rozrywek, niby to dla Annie.

Nie chcąc tedy, nie wiedząc o tym, jątrzyła ranę jego serca. Lekkomysłność i egoizm częstokroć, niestety, nie opuszczają nas w przejrzałym, że tak rzec można, wieku i boję się bardzo, czy przez lekkomysłność i egoizm pani Markleham nie utwierdzała doktora w przekonaniu, że jest ciężarem dla młodej żony, że wszelka łączność uczuć jest niemożliwa przy podobnej różnicy wieku.

— Duszo moja kochana — mówiła na przykład — sam to rozumiesz przecie, że Annie nie może wędznąć tu jak w więzieniu.

Doktor, potakując, skłaniał głowę.

<sup>478</sup>nanizal — nawlec na nic (sznurek itp.). [przypis edytorski]

— Gdy dosięgnie mego wieku — dodawała, wachlując się — to co innego. Mógłbyś mnie zamknąć w czterech ścianach, na dwa spusty, a nie zatęskniłabym do świata, ale Annie nie jest swoją matką.

— Zapewne, zapewne — potakiwał doktor.

— Najpocziwszym jesteś pod słońcem stworzeniem — kończyła, przerywając ruch przeczący zięcia — powtarzam w oczy, co za oczy zwykłam mówić, najlepszym pod słońcem jesteś stworzeniem, wszystkim to wiadomo, ale jasne jest, że nie możesz we wszystkim zgadzać się z Annie.

— Nie, zapewne! — smutnie odrzekł doktor.

— Naturalnie, że nie. Weźmy na przykład chociażby ten słownik! Jakie to poważne, potrzebne dzieło! Wyjaśnia znaczenie i pochodzenie słów. Gdyby nie słowniki, nazywalibyśmy nożem albo widelcem na przykład łóżko. No! Prawda! Ale też niezaprzeczona prawda, że żaden słownik nie zdoła w szczególny sposób zainteresować Annie. Co, czy nieprawda?

Doktor kiwał głową.

— Otóż właśnie — ciągnęła Herod-baba, uderzając go zalotnie wachlarzem po ramieniu. — Najwięcej w tobie cenię to, że będąc sam stary, rozumiesz potrzeby młodego wieku. Zrozumiałeś charakter i usposobienie Annie i to właśnie mnie zachwyca.

Nawet na milej twarzy doktora malowała się bolesna niecierpliwość, wywołana niewczesnymi<sup>479</sup> tymi pochwałami.

— Toteż — dodawała, uderzając go żartobliwie po ramieniu — masz mnie na swe usługi, w każdym razie i o każdej dobie liczyć na mnie możesz, zawszem gotowa<sup>480</sup> towarzyszyć Annie czy to do teatru, czy na koncerty, wystawy: wszędzie. Nie zwracaj uwagi na moje zmęczenie: obowiązek, przede wszystkim obowiązek.

Dotrzymała słowa. Była z rzędu tych, które mogą wytrzymać wiele rozrywek bez zmęczenia. Siedząc w najwygodniejszym fotelu, oglądała przez okulary wszystkie dzienniki, wynajdując zawsze coś, czego Annie z pewnością jeszcze nie widziała. Próżno doktorowa protestowała.

— Nie wiesz, duszko, co mówisz — mawiała jej matka. — Okazałabyś się doprawdy niewdzięczną, nie stosując się do woli męża.

Mawiała to zwykle w obecności doktora i argument ten, o ile zauważyłem, przekonywał Annie. Stosując się do woli męża i matki, wszędzie towarzyszyła Herod-babie.

Rzadko kiedy towarzyszył paniom pan Maldon. Zapraszały czasem Dorę i moją ciotkę, czasem samą Dorę. Zrazu nie podobało mi się to, lecz przypomniawszy sobie słowa i zapewnienie doktora w pamiętny ów wieczór, uwierzyłem im, nabierając przekonania, że same tylko pozory były przeciw Annie.

Ciotka, znajdując się sam na sam ze mną, pocieszała mnie, utrzymując, że nie rozumie tego wszystkiego. Pragnęła, aby się to jak najlepiej skończyło, sądziła wszelako, że Herod-baba na szczęśliwe rozwiązanie sytuacji wpłynąć nie mogła. Chyba — dodawała — Herod-baba odszpilił od czepka motyle i ofiaruje je kominiarzowi, by nimi ustroił swój kapelusz w dniu Święta Wiosny<sup>481</sup>.

Zresztą w tym jak i we wszystkim najczęściej polegała na panu Dicku. Nosił się on, jak twierdziła, z pewną myślą. „Byle ta myśl dojrzała — dodawała — a pan Dick zadziwi nas wszystkich!”

Nie domyślając się pokładanych w sobie nadziei, pan Dick pozostawał w tych samych co przedtem stosunkach z panem i panią Strong. Nie posuwał się dalej i nie cofał, jak drzewo, które zapuści korzenie. Co do mnie, wyznaję, nie dowierzałem, by był zdolny do jakiej bądź inicjatywy.

Pewnego wieczoru, w kilka miesięcy po naszym ślubie, uchylił drzwi bawialnego pokoju, w którym siedziałem sam, pisząc. (Dora z ciotką poszły na herbatę do panien Spenlow).

— Mam ci coś powiedzieć, Trot — rzekł nieśmiało. — Czy ci nie przeszkadzam?

— Ani trochę. Proszę, panie Dicku.

<sup>479</sup>niewczesny — powstały w nieodpowiednim czasie; niewłaściwy. [przypis edytorski]

<sup>480</sup>zawszem gotowa — forma skrócona; inaczej: zawsze jestem gotowa. [przypis edytorski]

<sup>481</sup>Święto Wiosny — w Anglii tradycyjnie, od czasów pogańskich obchodzone w ostatni poniedziałek maja; obchody wiążą się z maskaradowymi paradami. [przypis edytorski]

— Trotwood — rzekł, kładąc palec na nosie. — Zanim usiądę, pozwolę sobie zrobić pewną uwagę. Znasz ciotkę?

— Tak sądzę — odparłem.

— Zdziwiająca to kobieta!

Powiedziawszy to, westchnął, jak gdyby zrzucił z siebie ciężar, i siadając spojrzął na mnie z większą niż zwykle powagą.

— A teraz, chłopcze — zaczął — postawię ci pytanie.

— Tyle, ile się panu, kochany panie, podoba.

— Co pan myśli o mnie? — spytał, krzyżując na piersi ramiona.

— Myślę, żeś pan jest starym, kochanym przyjacielem.

— Dziękuję ci, chłopcze! — zawołał, śmiejąc się i ściskając mi ręce — dziękuję, ale nie w tym rzecz. Chciałem cię spytać, co o mnie myślisz w tym względzie...

Wymownym ruchem wskazał swe czoło.

Przez chwilę, zmieszany, nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Sam mnie wybawił z kłopotu.

— Słaby, co? — spytał.

— Ta-a-k, może — odrzekłem.

— A co! — zawołał uradowany. — Zdjęli, widzisz, pełno trosk z tamtej głowy, przyniatając nimi moją.

Zacierał ręce, jak gdyby chciał wyrazić wielkie jakieś zmieszanie.

— Jakoś to mi pomieszali — mówił.

Skinąłem tylko głową.

— Słowem — mówił, zniżając głos do szeptu — mam bzika, co?

Chciałem mu zaprzeczyć.

— Nie, nie — przerwał mi — wprawdzie ona w to nie wierzy, ale ja wiem, że tak jest. Oho! Gdyby nie ona, byłbym dawno najniezwyklejszym pod słońcem stworzeniem, i Bogu tylko wiadomo, jak nędzne wiódlbym w zamknięciu życie! Ale wywdzięczam się jej, wywdzięczam. Nie wydaję ani pensa z pieniędzy, które zarabiam, przepisując. Odkładam je i sporządziłem testament, w którym wszystko jej zapisuję. Będzie bogata! Zobaczysz.

Wyjął z kieszeni chustkę, otarł oczy, po czym znów starannie złożył chustkę i szybkim ruchem schował ją do kieszeni, co wyglądało, jak gdyby zarazem schował tam moją ciotkę.

— Uczony jesteś, Trot — mówił — mądry, i sam wiesz, jak znamienitym uczonym jest doktor! Wiesz także, jakim mnie zaszczyca zaufaniem. Nie jest zarozumiała, chociaż taki rozumny! Owszem, skromny, tak skromny, że przestaje chętnie nawet ze mną, nieukiem. Wypisałem też imię jego na latawcu i wysłałem tam, wysoko, wraz ze skowronkami. Latawiec pysznił się wypisanym na nim imieniem i obłoki też.

Upewniłem go, że istotnie doktor zasługiwał na takie odznaczenie.

— A piękna, śliczna jego żona — ciągnął — to gwiazda, jasna gwiazda! Widziałem, jak błyszczy — tu przysunął się ku mnie i położył mi na kolanach rękę — ale są chmury, chłopcze, są chmury!

Zdawał się wzruszony. Potakiwałem mu głową.

— Jakie chmury? — spytał nagle, wpatrując się we mnie bacznie.

Odpowiedziałem mu na to z cicha, lecz wyraźnie, tak, jak się coś objaśnia dziecku:

— Są pomiędzy nimi nieporozumienia pewne, tajemnicze, zrodzone może z różnicy wieku, na niczym może nieoparte.

Pan Dick powtarzał moje słowa, po każdym skłaniając głowę. Gdy kończyłem, milczał chwilę, trzymając wciąż rękę na mych kolanach.

— Doktor się na nią nie gniewa? — spytał wreszcie.

— Nie — odrzekłem. — Kocha ją.

— Rozumiem!

Zawołał to z taką żywością, przymrużając oczy i rozsiadając się na krześle, że m go o większego, niż kiedy bądź posadził bzika. Nagle spowaźniał. Wyciągnął z kieszeni chustkę do nosa i wraz z nią przypomniał sobie ciotkę.

— Zdziwiająca kobieta! — rzekł, a po chwili dodał — Czemuż ona temu nie zaradzi?

— Przedmiot to zbyt drażliwy!

— A ty, uczony chłopcze? — dotknął mnie wskazującym palcem.

Szaleństwo, Korzyść,  
Obyczaje

— Dla teje samej przyczyny — odrzekłem.

— Rozumiem! — zawołał, porywając się z miejsca i trzęsąc się cały z zadowolenia tak mówił — Szalona pałka, bzik, wariat, ktoś, kogo znasz zapewne, zrobi to, czego najmędrsi nie mogą uczynić. Ja ich pogodzę, zobaczysz, pogodzę! Spróbuję. Na mnie nikt się przecie gniewać nie będzie, nie weźmie mi za złe. Wszak jestem tylko panem Dickiem, kto tam na mnie, choć i głupstwo jakie palnę, zważać będzie?

Odetchnął głęboko. W tej samej chwili rozległ się u bramy turkot dorożki. Ciotka i Dora wracały.

— Ani słowa o tym, cośmy dopiero mówili — szepnął mi do ucha — ani słowa. Jeśli ma być bieda, niech spada na tego głuptaska Dicka. Już od jakiegoś czasu rozmyślałem nad tym, a teraz rozumiem. Dobrze!

Nie powiedział już na ten temat ani słowa więcej, lecz przez resztę wieczoru dawał mi ciągle znaki milczenia, w zdumienie wprawiając ciotkę.

Przeszło parę tygodni, a ku wielkiemu memu zdziwieniu nie słyszałem nic więcej o powziętych przez pana Dicka zamiarach. Zdawało mi się nawet, że mu już to wywietrzało z myśli.

Pewnego wieczoru Dora nie chciała wyjść z domu i sam z ciotką poszedłem do doktora. Jesień już była, wieczór wilgotny, liście, szeleszcząc pod naszymi stopami, napępiały powietrze wonią przypominającą mi Blunderstone. Wiatr stare nawoływał wspomnienia.

Ściemniło się, zanim doszliśmy do mieszkania doktora. Pani Strong wracała właśnie z ogrodu, gdzie pan Dick pozostał jeszcze, ścinając róże. Doktor zajęty był w swej pracowni z kimś, kto miał odejść natychmiast. Weszliśmy do bawialnego pokoju i usiedliśmy w cieniu okna. Między takimi przyjaciółmi jak my ceremonie były zbyt proste.

Zaledwie usiedliśmy, wpadła z gazetą w rękę pani Markleham, wołając:

— O! Na Boga! Annie! Czemuś mnie nie ostrzegła, kto jest w gabinecie!

— Mogłamże<sup>482</sup> wiedzieć — łagodnie odrzekła córka — że mamie potrzebna ta wiadomość?

— Potrzebna? — oburzyła się, padając na kanapę, Herod-baba. — Nigdy się tak jeszcze nie przestraszyła<sup>483</sup>.

— Czy mama wchodziła tam? — spytała Annie.

— Czy wchodziłam?! — zawołała z emfazą — naturalnie, że wchodziłam i jak sądzicie, panno Trotwood, panie Dawidzie, na co natrafiłam? Pocziwiec ten sporządzał testament.

Córka jej spojrzała wystraszona.

— Sporządzał testament — prawila Herod-baba, kładąc gazetę na stolyczku i uderzając po niej ręką. — Co za przezorność, co za pocziwość! Muszę powiedzieć, jak to było. Muszę, aby dać świadectwo tej pocziwej duszy. Wiadomo zapewne pani, panno Trotwood, że w tym domu oczy stracić można. Nie podobna<sup>484</sup> doczekać się światła. A i jednego przyzwoitego w całym domu nie ma fotela, gdzie by wygodnie, z gazetą w ręku usiąść było można. Chyba w pokoju mego zięcia. Podążyłam tam, dostrzegłszy światło, i cóż ujrzałam? Oto dwóch jegomościów, prawników zapewne, stojących przy biurku. Doktor z piórem w rękę mówił... Annie, duszko, słuchaj, co mąż twój mówił! Oto własne jego słowa: „Wyrażam tym, panowie”, mówił, Annie, czy słyszysz? „Wyrażam tym pełne me zaufanie do pani Strong i zostawiam jej bezwarunkowo wszystko, co posiadam”. Jeden z jegomościów powtórzył: „bezwarunkowo wszystko”, a ja ze wzruszonym macierzyńskim sercem zawołałam: „Przepraszam” i wybiegłam z pokoju.

Pani Strong otworzyła drzwi i wyszła na balkon, gdzie oparła się o barierę.

— Czyż nie podziwiasz pani, panno Trotwood, i ty, panie Davy, czy nie podziwiacie — paplała stara — przezorności, dobroci doktora? Widzę teraz dobrze, że na moje wyszło. Gdy mnie doktor zaszczylił był odwiedzinami i oświadczył się o córkę, powiedziałam Annie, pamiętam co do słowa, powiedziałam jej: „Duszko, zobaczysz, że doktor zrobi dla ciebie więcej nawet, niż mu obowiązek będzie nakazywać”.

Posłyszeliśmy dzwonek, prawnicy odchodzili.

<sup>482</sup>*mogłamże* — konstrukcja z partykulą *-że* nadającą znaczenie pytania retorycznego; inaczej: czy mogłam, czyż mogłam. [przypis edytorski]

<sup>483</sup>*nigdy się tak jeszcze nie przestraszyła* — inaczej: nigdy się tak jeszcze nie przestraszyłam (konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika). [przypis edytorski]

<sup>484</sup>*nie podobna* (daw.) — nie (jest) możliwe; nie można. [przypis edytorski]

— Skończone — mówiła Herod-baba, wsłuchując się — skończone! Podpisał, przy-  
pieczętował, złożył! Teraz może spokojnie umrzeć. Co za dusza! Annie, duszko, idę do  
gabinetu, z gazetą, bo nie mogę obejść się bez nowin. Panno Trotwood, panie Davy!  
Wszak zobaczycie się z doktorem?

W mroku komnaty, zamykając nóż ogrodniczy, stał pan Dick. Ciotka moja pocierała  
nos gwałtownie. Był to niemy, lecz wymowny protest przeciw natręctwu Herod-baby.  
Nie wiem już jednak, kto z nas pierwszy wszedł do gabinetu, ani jakeśmy się tam zna-  
leźli<sup>485</sup>, pamiętam tylko, żeśmy zastali gospodarza domu przy biurku, wśród ulubionych  
mu ksiąg, z opartą na rękę głową. Jednocześnie do pokoju wsunęła się błada i drżąca jego  
żona. Pan Dick wprowadził ją pod ramię, położył rękę, budząc z zadumy, na ramieniu  
doktora, a gdy ten podniósł zdumiony wzrok, Annie osunęła się przed nim na kolana  
i wraz z dłońmi wzniosła na męża spojrzenie, co mi zawsze wraziło się w pamięć. Gazety  
wypadły z rąk zdumionej pani Markleham.

Powaga i łagodność doktora, błagalna postawa jego żony, wyraz twarzy pana Dicka,  
zadowolenie, z jakim ciotka moja szeptała: „I to ma być wariat!” — wszystko to widzę,  
słyszę jeszcze.

— Doktorze! — przemówił pan Dick — niechże pan spojrzysz.

— Annie, dziecko moje! — zawołał doktor. — Ależ nie tak, nie u moich nóg.

— Owszem — rzekła z cicha — tak, i niech nikt, proszę, nie odchodzi. Mężu mój,  
ojcze! Przerwij grobowe to milczenie, powiedz, co stało się pomiędzy nami?

Pani Markleham odzyskała mowę. Oburzyła się macierzyńska jej duma.

— Annie! Duszko! — zawołała grzmiąco. — Powstań natychmiast! Nie upokarzaj  
siebie i swej rodziny! Chcesz chyba, bym zmysły postradała!

— Próżne słowa, mamó — odparła Annie. — Twoje tu nawet prawa gasną wobec  
męża mego.

— Moje! Moje! Wyrodna córko! — wołała pani Markleham. — Wody!

Wszyscyśmy pozostali<sup>486</sup> głusi na to wołanie i Herod-baba mdląca i cuciła się sama.

— Annie — mówił z czułością doktor, biorąc żonę za obie ręce. — Dziecko moje,  
nie z twojej to winy zaszły zmiany w stosunku naszym. Ja sam temu winienem, wiem to,  
i wierzaj mi, przywiązanie moje do ciebie, uwielbienie, szacunek w najmniejszej nie zmie-  
niły się mierze. Kocham cię, poważam, z całego serca pragnę twego szczęścia. Powstań,  
Annie! Proszę.

Nie powstając z kolan i podnosząc na niego wzrok załzawiony, przytuliła się do niego.  
Po chwili opuściła głowę na jego kolana, mówiąc:

— Jeśli mam tu przyjazną duszę, która by chciała mówić za mnie i za mego męża,  
jeśli mam przyjazną duszę, która by chciała wyjaśnić dziwne nieco podejrzenie, błagam ją  
o wyjaśnienie okrutnej tej sytuacji.

Przez chwilę nikt nie odpowiadał, zdobyłem się wreszcie na odwagę.

— Pani Strong — rzekłem — wiem coś, co mi mąż pani polecił zachować w tajem-  
nicy, lecz co wyjawić teraz stało się obowiązkiem moim. Pozwoli mi pani mówić?

Spojrzała na mnie poprzez łzy. Zrozumiałem, że jestem na dobrej drodze.

— Spokój nasz domowy w twoich, kochany Copperfieldzie, pozostaje rękach —  
rzekła. — Mów, proszę, i nic nie ukrywaj; wiem z góry, że mi nikt nie zdoła powiedzieć  
nic takiego, co by zaćmiło dobroć i szlachetność mego męża! Niech więc żaden wzgląd  
na mnie cię nie wstrzymuje. Za wszystko odpowiem, tu przed nim, a tam przed Bogiem!

Po słowach tych zbyt czynnym byłoby pytać o pozwolenie doktora. Opowiedziałem tedy  
szczegółowo, łagodząc tylko wyrażenia Uriaha, scenę, która odegrała się w tym samym  
gabinecie. Któż zdoła zliczyć wykrzykniki, którymi Herod-baba ustawicznie przerywała  
moje opowiadanie.

Annie słuchała z opuszczoną na kolana męża głową. Gdym skończył, ujęła rękę męża  
i podniosła ją do ust. Pan Dick podniósł ją. Stojąc, nie odrywając spojrzenia od męża,  
mówiła:

<sup>485</sup>jakeśmy się (...) znaleźli — inaczej: jak się znaleźliśmy (konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika).  
[przypis edytorski]

<sup>486</sup>wszyscyśmy pozostali — inaczej: wszyscy pozostaliśmy (konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika).  
[przypis edytorski]

— Wypowiadam się ze wszystkiego, com miała na sercu, odkąd wyszłam za męża. Teraz, gdy się dowiedziała, wszystko opowiedzieć to muszę.

— Nie, Annie — przerwał jej mąż łagodnie — nie potrzeba, dziecko moje. Nie wątpiłem nigdy o tobie, ufalem ci, ufam w zupełności.

— Owszem, muszę otworzyć serce przed tym, któremu zawdzięczam spokój całego życia i którego z każdym dniem bardziej kocham i szanuję.

— Istotnie — wtrąciła pani Markleham — zaświadczyć mogę...!

— Ach! Herod-baba! — syknęła ciotka.

— I pozwolę zauważyć sobie — ciągnęła pani Markleham — że szczegóły są chyba zbyt ciche...

— Jedyne małżeństwo może o tym mówić — odrzekła jej córka, nie zwracając się wcale do matki. — Jego to rzecz wysłuchać mnie. Jeśli tym, co powiem, zmartwię cię, mamgo, przebac mi. Sama cierpiałam ciężko i długo.

— Na honor! — zaklęła Herod-baba.

— Gdy byłem jeszcze dzieckiem — zaczęła Annie — pierwsze moje wspomnienia i wrażenia wiązały się z łagodnym i cierpliwym nauczycielem, kochanym przyjacielem mego ojca! Wzbogacił on umysł mój pierwszymi wiadomościami, kierował mną i rozwijał mój charakter. Sądzę, że nauki z innych ust przyjęte nie miałyby na mnie nigdy tak dobrego wpływu.

— Za nic masz zatem swą matkę?! — przerwała z oburzeniem pani Markleham.

— Nie mówię tego, mamgo! Oddaję mu tylko, co się należy — łagodnie odrzekła Annie. — Wzrastałam w tych uczuciach, w głębokim, wdzięcznym przywiązaniu do mego nauczyciela. Uważałam go za przewodnika, za ojca i pochwałą z ust jego inną dla mnie od wszelkich pochwał miała cenę. Gdybym nie wierzyła nikomu, zawierzyłabym jemu, gdyż całą mą posiadał ufność. Wiesz, mamgo, jak niedoświadczona i młoda byłam, gdyś mi nagle przyjaciela tego przedstawiła jako starającego się o moją rękę.

— Niejednokrotnie już to obecnym tu opowiadałam — rzekła pani Markleham.

— Czemuż choć raz nie zatrzymasz języka za zębami? — mruknęła moja ciotka.

— Uczułam — ciągnęła Annie, nie zmieniając postawy i głosu — jak gdyby coś się zmieniło, jak gdyby coś straciła. Czuję się zmieszana, niepewna, dzieckiem byłam prawie i bolała mnie zmiana stosunku, do którego przywykłam, w którym wzrosłam. Tak dobry był jednak dla mnie, że mi się czuła zaszczycona jego wyborem. Wyszłam za niego.

— W kościele świętego Alfonsa w Canterbury — odpowiedziała pani Markleham.

— Bodaj cię! — mruknęła ciotka.

— Nie ważyłam ani przez chwilę — mówiła z wzmagającym się rumieńcem Annie — materialnych korzyści tego związku. W sercu mym nie było miejsca na podobne wyliczenia. Pełne ono było czci i wdzięczności i daruj mi, mamgo, aleś ty to pierwsza nasunęła mi myśl, że i mnie, i jego dotknąć mogą tak nędzne posądzenia.

— Ja?! — zawołała pani Markleham.

— Bez wątpienia, nic tu nie pomoże wachlowanie się — mruknęła ciotka.

— Było to pierwszym mym nieszczęściem, pierwszą boleścią — mówiła Annie. — Dręczyło to mnie, lecz nie, nie z takich powodów, jak ci się zdawać może, mój mężu, i w sercu mym nie było myśli, uczucia, boleści, której byś obcym pozostał.

Podniosła oczy, składając ręce. Nikt z nas o prawdzie słów jej wątpić by nie śmiał. Doktor patrzył na nią.

— Nie jest to winą mamy — mówiła — intencje jej zawsze były najlepsze, wiem to, lecz widząc wymagania, jakimi obarczono cię w mym imieniu, twą wspaniałomyślność, która była powodem posądzeń najlepszego i mającego interes twój na uwadze pana Wickfielda, uczułam po raz pierwszy spadający na mnie ciężar zarzutu, jakobym zaprzedać mogła uczucia me, młodość, życie całe. Nie potrafię powiedzieć i mama nie potrafi wyobrazić sobie goryczy tego uczucia. Wiedziałam przecie, że, wychodząc za męża, podobnie nędznym nie uległam pobudkom.

— Oto wdzięczność, na jaką zasłużyłam — rozszlochała się pani Markleham. — Za tyle starań! Traktuj mnie teraz jak Turka!

— Bodaj<sup>487</sup> nim została! — zaklęła przez zęby ciotka.

<sup>487</sup>bodajś — forma skrócona; inaczej: bodaj byś. [przypis edytorski]

— Było to wówczas właśnie, gdy mama tak się troszczyła o los kuzyna Maldona. Lubiłam go też bardzo. Kochaliśmy się dziećmi jeszcze będąc i jeśli się życie me inaczej ułożyło, wyobraziłabym sobie zapewne, że go kocham, może bym wyszła za niego i na zawsze została unieszczęśliwiona. Największym nieszczęściem w małżeństwie jest różność charakterów i usposobień.

Mówiła pomału, lecz bez wahania. Ostatnie jej słowa uderzyły mnie i chociaż nie chciałem stracić ani słowa z jej opowieści, powtarzałem w głębi serca:

— Największym nieszczęściem w małżeństwie jest różność charakteru i usposobienia!

— Od dawna już — ciągnęła Annie — spostrzegłam, że pomiędzy mną a kuzynem moim nie było nic wspólnego i jeśli bym nawet nie miała tylu innych powodów wdzięczności dla mego męża, wystarczyłyby ten już, że mnie zasłonił przed omyłką własnego mego niedoświadczonego serca.

Słowa jej przenikały nas; spokojne były jak przedtem.

— Widząc, jak Maldon nadużywał narzuconej memu mężowi w imię moje wspaniałości, myślałam, o ile lepiej byłoby, żeby sam sobie wywalczył drogę przez życie. Czułam, że na jego miejscu nie cofnęłabym się przed żadną ofiarą, przed najcięższą pracą, nie posądzałam go jednak o nic gorszego, aż do wieczoru poprzedzającego jego wyjazd do Indii. Wieczoru tego przekonałam się, że był fałszywy i niewdzięczny. Wieczoru tego też poczułam wyraźniej niż przedtem nieufną, przeciw mnie skierowaną baczność pana Wickfielda. Zrozumiałam, jak ciężkie posądzenia omraczają me życie.

— Posądzenia! Nie, nie, Annie! — zaprzeczył doktor.

— Wiem, że nie powstały one w twej myśli i sercu — rzekła — i gdy wieczoru tego złożyłam skolataną głowę na twych kolanach, pod skrzydłem twym szukając ochrony przeciw słowom i wyznaniom, które odważono mi się czynić, a które najwyższą byłyby zniewagą wówczas nawet, jeśli bym istotnie była istotą sprzedajną i niską, za jaką mnie brano, wielkie jakies oburzenie zmroziło mi na ustach słowa skargi.

Pani Markleham z westchnieniem opadła na poręcz fotelu<sup>488</sup>, wypuszczając z rąk wachlarz.

— Odtąd nigdy inaczej jak w twej obecności — ciągnęła ze spokojem Annie — nie zamieniłam z nim jednego słowa. Lata przeszły, odkąd usłyszał z ust moich, jakie jest tu jego w tym domu stanowisko. Dobroć twa dla niego, zajęcie się jego karierą, poszukiwanie dla mnie rozrywek i przyjemności wzmagały niedolę mą i gniotącą mi pierś tajemnicę.

Usunęła się znów na kolana przed mężem, wołając:

— Pozwól, niech skończę, mam jeszcze coś powiedzieć i źle czy dobrze, raz zacząwszy, powiedzieć muszę. Nie wiesz, jak bardzo przywiązana byłam do ciebie i jak mi te ciężkie, dokoła mnie istniejące posądzenia ciążyły. Młoda, niedoświadczona, nie znajdowałam nigdzie potrzebnych mi rad i oparcia. Nikomu nie mogłam zaufać! Pogląd mamy na nasze małżeństwo tak różny był od mego, usta mi zamykała zresztą sama cześć dla ciebie, samo pragnienie zachowania twego szacunku.

— Annie! Dobra moja, pocziwa Annie! — zawołał doktor.

— Jeszcze słówko. Myślałam nieraz, ile jest takich, które, jeśli byś je pojął, nie omroczyłyby ci czoła i imienia spowodowanym przeze mnie, chociaż tak niewinnie, cieniem. Zaczęłam myśleć, że istotnie lepiej by mi było pozostać uczennicą twą i córką. Bałam się, czy czasem nauki twoje nie natrafiły na niewdzięczny grunt; a nie śmiałam mówić, czekając z poddaniem się woli boskiej, chwili, kiedy się to wszystko wyjaśni, kiedy pewna będę twego zaufania.

— Chwila ta nadeszła dawno — odrzekł doktor — i jedna ją odtąd tylko straszna omroczyła godzina.

— Postanowiłam — mówiła Annie — skryć w sobie całą mą boleść, wstyd, oburzenie, lecz widząc cię w ostatnich czasach tak zmienionym, przybitym, domyślałam się czegoś straszego. Wiem teraz, że domysły moje nie były płonne, i teraz dopiero zmierzyłam głębię zaufania, jakies we mnie położył. Wiem, że ci się nigdy niczym wywdzięczyci nie potrafię, lecz wiedząc to, śmiało znów podnoszę na ciebie oczy, czczę cię, mój ojczy, kocham, drogi mężu, i śmiało wyznaję, że cię nigdy myślą nawet nie obraziła, wierną ci i przywiązaną zawsze byłam.

<sup>488</sup> poręcz fotelu — dziś: (...) fotela. [przypis edytorski]

Zarzuciła mu ręce na szyję. Starzec złożył skołataną głowę na jej ramieniu i siwe jego włosy zmieszały się z jej kasztanowatymi puklami.

— O, osłoń mnie na zawsze — mówiła — zapomnij o tej domniemanej różnicy wieku, przypominaj ją wówczas chyba, gdy się znajdzie potrzeba ostrzeżenia mnie lub pouczenia. Z dnia na dzień, z roku na rok wzrastało moje przywiązanie do ciebie, wiedziałam, o jaką opieram się skałę.

W czasie zaległej po tych słowach ciszy ciotka podeszła do pana Dicka i ucałowała go z wylaniem<sup>489</sup>. Miała rację; pocałunkiem tym przywołała biedaka do rzeczywistości. Zdawał się być w siódmym niebie, a uniesiona w powietrze lewa noga groziła mu utratą równowagi.

— Wiedziałam, że masz głowę nie od parady — mówiła z triumfem ciotka. — Pokazałeś raz przecie, do czegoś zdolny.

Mówiąc to, pociągnęła go za rękaw, dała mi znak głową i wyszliśmy razem z pracowni doktora.

— Miała za swoje ta baba! — mówiła ciotka, wracając do domu — dobrze jej tak; samo to zadowala mnie dostatecznie.

— Zmieszała się, biedaczka! — zauważył z zawsze gotowym współczuciem pan Dick.

— Biedaczka! Zmieszała się! — oburzyła się ciotka. — Gotów byłbyś rozczulać się i nad krokodylem.

— Nie wiem, czym widział kiedy krokodyla — dobrodusznie zauważył pan Dick.

— Wszystkiemu winna była ta przeklęta baba! — mówiła z oburzeniem ciotka. — Wszystkiemu. Na co się matki mieszają w małżeństwa swych córek? Nie ich to rzecz. Zbytek macierzyńskiej tkliwości! Szukają w tym, o ile się zdaje, zadosyćuczynienia<sup>490</sup> za wydanie na świat nieszczęsnych stworzeń. Nie prosiły one przecie o to, a tu dręczą je domniemaną macierzyńską troskliwością. O czym tak myślisz, Trot?

Myślałem o wszystkim, co zaszło, com słyszał, lecz najgłębiej mi w pamięci i sercu ugrzęzły słowa Annie:

„Największym nieszczęściem w małżeństwie jest różność charakterów i usposobień”.

A dalej:

„Własnego serca młodociana omyłka...”.

I dalej jeszcze:

„Wiedziałam, o jaką skałę opiera się moje przywiązanie”.

Byliśmy u drzwi naszego domu. Pod stopami moimi szeleściły zwiędłe liście, dął wiatr jesienny.

## ROZDZIAŁ XLVI. WIEŚCI

Od roku mniej więcej — nie ufam mej pamięci co do dat — musiałem być żonaty, gdy pewnego wieczoru, w czasie samotnej przechadzki i rozmyślenia o książce, którą miałem właśnie pisać (powodzenie moje bowiem na tej drodze wzrastało), przechodziłem przed domem pani Steerforth. Zdarzało mi się nieraz przechodzić tamtędy, ponieważ mieszkalem w sąsiedztwie, unikałem tego jednak, jak tylko mogłem. Tym razem musiałbym nadłożyć zbyt wiele drogi.

Przechodząc, rzuciłem zwykle na dom ten przelotne spojrzenie i przyśpieszałem mimowolnie kroku. Omroczone bywał i ponury, a zawsze zamknięte, ciemne, z opuszczonymi storami okna wyglądały opłakanie. Gęsty szpaler wiódł przez dziedziniec do drzwi wejściowych, ponad którymi niezasłonięte roletą okno świeciło pustką. Nie pamiętam, abym kiedy widział w oknach światło i jeśli bym nie znał mieszkańców tego domu, myślałbym zapewne, że w nim spoczywają chyba zwłoki jakiejś bezdzietnej istoty, wyobraźnia moja wysnuwałaby tysiące wniosków i wątków.

Znając historię tego domu, starałem się myśleć o nim jak najmniej. Niestety, pamięć moja nie mogła oddalać się wraz z krokami; rozbudzona, długo pozostawała z marami dni ubiegłych. Wieczoru tego dziecięce wspomnienia w szczególny sposób zmieszały się z marzeniami ostatnich dni przepelnionymi budzącą się nadzieją, w niejasnym przeczuciu czekających mnie rozczarowań i doświadczeń. Z głębokiej zadumy zbudził mnie głos jakiś,

<sup>489</sup>z wylaniem (daw.) — wylewnie, z uczuciem. [przypis edytorski]

<sup>490</sup>zadosyćuczynienie — dziś popr.: zadośćuczynienie. [przypis edytorski]



głos kobiecy. Długa przeszła chwila, zanim przypomniałem sobie służącą pani Steerforth, tę, która dawniej nosiła we włosach błękitne wstążki. Nie nosiła ich teraz i stosując się zapewne do ogólnego tonu domu zastąpiła błękitne brunatnymi.

— Proszę pana — mówiła — czyby pan nie chciał wejść na chwilę i pomówić z panną Dartle?

— Czy panna Dartle przysyła po mnie? — spytałem.

— Nie w tej chwili, lecz to na jedno wyjdzie — odrzekła. — Przed paru dniami widział pana przechodzącego tędy i kazała usiąść z robotą na schodach i czekać pana powrotu. Ma coś panu powiedzieć.

Poszedłem, pytając służącą o zdrowie pani Steerforth. Dowiedziałem, że się miewa niedobrze i nie opuszcza prawie swego pokoju.

Panna Dartle była w ogrodzie. Siedziała na skraju tarasu, z którego rozciągał się widok na miasto. Wieczór był ciemny z czerwonymi odbłyśkami na obłokach. Patrząc na rysującą się na tym ponurym tle panoramę, na oświetlone szczyty, pomyślałem, że było to tło odpowiednie dla wspomnień nieubłaganej kobiety.

Powstała na moje spotkanie. Bledsza była i mizerniejsza niż dawniej i oczy jej wydały mi się bardziej rozbłysłe, a szrama na twarzy wyraźniejsza.

Spotkanie nasze nie mogło być przyjazne, rozstaliśmy się w gniewie i żalu. Starła się ukryć wyraz wzgardy przebijający z jej twarzy.

— Pani ma mi coś do powiedzenia — rzekłem chłodno, nie siadając i tylko opierając rękę o poręcz wskazanego mi krzesła.

— Tak jest — odrzekła — chciałam spytać, czy dziewczka ta została odnaleziona?

— Nie.

— Uciekła jednak!

Usta jej drgały powstrzymywanymi obelgami.

— Uciekła? — powtórzyłem.

— Tak, od niego — zaśmiała się sucho. — Zapewne nie zostanie odnaleziona. Nie żyje już może.

Nigdy nie widziałem w niczyich oczach przebłysku tak zimnego okrucieństwa.

— Istotnie — odparłem — życzenie śmierci jest najlepszym życzeniem, jakie dla niej chować może inne niewieście serce i cieszę się, że czas zmiękczył uczucia pani, panno Dartle.

Nie raczyła odpowiedzieć, zaśmiała się znów sucho i krótko.

— Wiem, że przyjaciele tej nieszczęsnej i interesującej damy są pana przyjaciółmi, toteż sądziłam, że i pana zajmą wieści o niej.

Skłoniłem się.

Powstała ze złośliwym uśmiechem i zbliżając się do otwartego okna, podniesionym głosem, lecz z nieopisaną wzgardą zawołała jak na psa nędznego:

— Pójdź tu!

Po czym, zwracając się na wpół ku mnie, rzekła:

— Liczę na to, że się pan w obecności mej powstrzyma od wszelkich wymówek lub sprzeczek.

Skłoniłem powtórnie głowę, nie wiedząc wszelako, o co jej idzie. Po chwili zjawił się Littimer we własnej osobie.

Skłonił się z uszanowaniem, stając za krzesłem panny Dartle. Pomimo wzgardy przebijającej w każdym jej ruchu, pomimo złośliwego triumfu błyskającego w świecących jej oczach, opuściła się na krzesło z pewnym wdziękiem, wdziękiem złej wróżki z bajki.

— Teraz — ozwała się rozkazująco, nie patrząc na sługusa i rękę podnosząc do szramy na swej twarzy — powiedz panu, co wiesz.

— Pan James i ja, pani...

— Nie zwracaj się do mnie — przerwała, wzdragając się.

— Pan James i ja, panie...

— Ani do mnie — rzekłem stanowczo.

Littimer, wcale nie zbity z tropu, głębokim ukłonem zaznaczył gotowość do zupełnego posłuszeństwa i patrząc w dół tak prawil:

— Pan James i ja byliśmy za granicą z tą młodą osobą, odkąd pod opieką mego pana opuściła była Yarmouth. Zwiedziliśmy moc obcych krajów: Francję, Szwajcarię, Włochy.

Mówiąc, przebierał palcami, jak gdyby wygrywał na niemyym jakimś instrumencie.

— Pan James — ciągnął — niezwykle gorąco upodobał tę osobę. Podziwiałem jego stałość! Nigdy, odkąd byłem na jego usługach, nie widziałem go tak gorąco i długo jednym zajętego przedmiotem. Przyznać też wypada, że młoda ta osoba zdolna była, giętka, wyuczyła się wybornie obcych języków i własnych tylko unikała ziomeków. Zauważyłem, że się ogólnie wszędzie podobała.

Panna Dartle podniosła rękę do piersi. Spojrzał na nią z ukosa i przygryzł drgające powstrzymanym uśmiechem usta.

— Bardzo się podobała ogólnie i wszędzie — powtórzył. — Toaleta, słońce, nieba pogodne wiele mogą, ale przede wszystkim miała wdzięki potrzebne do zwrócenia na siebie uwagi. Ogólną też wszędzie zwracała uwagę.

Zatrzymał się. Wzrok panny Dartle po dalekich błędził horyzontach, przygryzała zaciśnięte, lecz drgające wargi.

— Tak trwało czas niejaki — ciągnął Littimer. — Młoda osoba bywała czasem przybita i smutna i z czasem zauważyłem, że to właśnie nudzi mego pana, nie podoba mu się. Wróciła dawna jego zwykła ruchliwość, a jednocześnie wzmagał się jej smutek — i przyznać muszę, niewesoła była moja pozycja pomiędzy tymi dwojgiem. Trzeba było łagodzić, zażegnawać. Udało się to przez czas dłuższy, niżbym sam mógł to przypuszczać.

Panna Dartle, oderwawszy wzrok od dalekich horyzontów, przeniosła go na chwilę na mnie. Littimer odchrząknął, przestąpił z nogi na nogę i tak ciągnął:

— W końcu po wielu łzach, wyrzutach, scenach pan James wyjechał pewnego dnia z okolic Neapolu, gdzieśmy rozkoszną mieli willę. Obiecywał wrócić za dni parę, na mnie włożywszy obowiązek załagodzenia potem całej tej sprawy ku ogólnemu zadowoleniu. Pan James...

Zająknął się, odchrząknął.

— Pan James najlepsze miał intencje względem młodej tej osoby, proponował nawet małżeństwo z kimś, kto by na przeszłość patrzył przez palce, a był wcale dobrą i odpowiednią jej urodzeniu partią. Pochodzenie jej jest, że tak powiem, nader gminne.

Przestąpił z nogi na nogę. Domyślałem się, że łotr mówił o sobie. Panna Dartle także była tego pewna.

— Obowiązkiem mym było rozmówić się w tym względzie z ową młodą osobą, uwolnić pana mego od kłopotów i przykrości i pracować nad pogodzeniem go z jego rodziną. Przystąpiłem do rzeczy. Nic nie może dać wyobrażenia o rozpaczliwej młodej osobie, gdy się dowiedziała, że została opuszczona. Szalała. Sądziliśmy, że się targnie na życie. Trzeba ją było gwałtem powstrzymać, by nie wyskoczyła oknem lub nie rozbiła sobie głowy o marmurową posadzkę.

Panna Dartle przechyliła się na poręcz krzesła, w pół przymykając oczy. W wyobraźni jej zarysował się obraz sprawiający jej widoczną rozkosz.

— Lecz gdy dotknął drugiej strony mego posłannictwa — mówił nie bez pewnego zmieszania Littimer, zacierając ręce — zamiast być wdzięczną za najlepsze intencje, młoda osoba pokazała, czym jest, wybuchnęła, i jeśli bym się nie miał na baczności, przelałaby krew moją.

— Najlepiej to o niej świadczy — mruknąłem oburzony.

Littimer skłonił głowę, jak gdyby mówił sam do siebie: „Doprawdy! Młody jeszcze jesteś!”

— Dość — ciągnął — żeśmy byli zmuszeni zamknąć ją i mieć na oku, bojąc się, by sobie czy komu nie zrobiła co złego. Pomimo to udało się jej wyłamać kratę w oknie, którą uprzednio sam jak najstaranniej założyłem, spuścić się po dzikim winie rozpiętym na zewnętrznej ścianie domu. Odtąd przepadła bez wieści.

— Zapewne nie żyje — uśmiechnęła się panna Dartle na samą myśl o śmierci nienawistnego dziewczęcia.

— Może się istotnie utopiła — odrzekł niecny sługus. — Bardzo to być może. A może znalazła pomoc wśród nadbrzeżnych rybaków, ich żon i dzieci. Przywykła do podobnej kompanii i ciągle się z nimi zadawała. Bywało, całymi dniami w czasie nieobecności pana przesiadywała w ich łodziach. Pan James gniewał się, gdy się dowiedział, że im opowiadała, iż była sama córką rybaka i w ojczyźnie swej przywykła do tych samych zajęć.

Emilko piękna! Nieszczęsna Emilko! W wyobraźni mojej mignął obraz ciebie siedzącej wśród ubogiej, lecz własnej dziatwy, wsłuchanej w szczebiot, w którym słyszałabyś słodkie imię matki, gdybyś została żoną rybaka, jak to było twym przeznaczeniem. Tam, na obcym brzegu, morze, wielkie morze, wtórowało smutnym twym myślom, powtarzając niezmiennie:

„Nigdy już, nigdy!”

— Gdy się przekonał — rozpoczął znów Littimer — że nie ma na to rady, pani...

— Mówiłam już, byś się nie zwracał do mnie — odparła Róża ze wzgardą.

— Ale pani dopiero co raczyła przemówić do mnie — odrzekł. — Przepraszam. Obowiązkiem moim jest być posłusznym.

— Spełniaj tedy swój obowiązek, kończ opowiadanie i odejdz!

— Gdy się przekonał — ciągnął z niskim ukłonem — że żadne nie pomogą poszukiwania, udałem się do mego pana, gdyż miałem jego adres i oznajmiłem mu, co zaszło. Uniósł się tak dalece, że się widział zmuszony podziękować mu za służbę. Wiele znieść mogłem, ale są granice wszelkiej obrazie. Uderzył mnie po prostu. Wiedząc o istniejących pomiędzy nim i matką jego nieporozumieniach, postanowiłem wrócić do Anglii i opowiedzieć...

— Za moje pieniądze — zwróciła się do mnie panna Dartle.

— Tak właśnie, pani... i opowiedzieć, co zaszło. Poza tym, nie posiadam dalszych wiadomości. Pozostaję dotąd bez miejsca i poszukuję obowiązku.

Panna Dartle spojrzała na mnie, spojrzeniem tym pytając, czy nie chcę jeszcze postawić jakiego pytania.

— Chciałbym wiedzieć — rzekłem, zwracając się do panny Róży, nie zaś do niecnego slugusa — czy otrzymywała pisywane do niej z Anglii listy?

Littimer milczał, wbijając wzrok w ziemię i przebierając palcami.

Panna Dartle zwróciła się wzgardliwie ku niemu.

— Z przeproszeniem pani — rzekł — chociaż sługą jestem, nie wszystkim jestem obowiązany odpowiadać i zachodzi pewna różnica między panią, panną Dartle, a panem Copperfieldem. Jeśli ten żąda jakiej ode mnie wiadomości, niech raczy sam mnie pytać. Oto, co ośmielę się zauważyć, z przeproszeniem pani, panno Dartle.

Po chwili walki z sobą podniosłem wzrok na niego, pytając:

— Słyszałeś me słowa, możesz je uważać za pytanie. I cóż?

— Panie — odrzekł — zachodzi pewna różnica w odsłonieniu tajemnic mego pana jego matce a panu. Powiem wszelako, że wątpię, aby leżało w interesach pana Jamesa zachęcanie do podobnej korespondencji, mogącej tylko wzmacniać smutek i niezadowolenie młodej tej osoby. Poza tym nic panu powiedzieć nie mogę.

— Czy już wszystko? — spytała mnie panna Dartle.

Skloniłem głowę, lecz widząc, że Littimer ma odejść, dodałem:

— Wszystko. Zrozumiałem doskonale, jaką rolę w tym wszystkim grał ten jego-ność. Ostrzegę pocziwego człowieka, który był drugim ojcem temu nieszczęśliwemu dziewczęciu. Niechże się ma na baczności.

— Dziękuję panu, lecz pozwolę sobie zauważyć, że szczęściem w ojczyźnie naszej nie ma niewolników i nikt sam sprawiedliwości wymierzać nie ma prawa. Ci, co tego próbują, szkodzą więcej sobie niż innym. Nie mam tedy żadnego powodu do strachu.

Mówiąc to, skłonił mi się nisko, a niższy jeszcze ukłon złożywszy przed panną Dartle, odszedł. Spoglądaliśmy po sobie przez chwilę.

— Mówi nadto — ozwała się, przygryzając usta — że pan jego opływa obecnie brzegi Hiszpanii, dogadzając morskim swym zamiłowaniom. Niewiele i to pana obchodzić może i służy tylko za wstęp do tego, co mi pozostało do powiedzenia.

Zwróciła się wprost do mnie, z oczu jej sypały się iskry.

— Ów szatan kanonizowany przez pana, owa ładacznica żyje zapewne, bo takie ziółko nie ginie. Pragniecie zapewne odnaleźć tę perelkę waszą? I my tego samego pragniemy, aby powtórnie nie wpadł w jej szpony. Łączy nas tedy obecnie wspólny cel i oto dlaczego ja, ja sama, która bym chciała zdeptać tę nędznicę, posłałam po pana, abyś się dowiedział, jak rzeczy stoją.

Po nagłej zmianie zaszłej na jej twarzy domyśliłem się, że ktoś się zbliża. Była to pani Steerforth. Podała mi chłodno rękę, zachowując się ze zwykłą sobie powagą. Zauważyłem jednak, że pamiętała moje dawne przywiązanie do jej syna. Zmieniona była bardzo i chociaż trzymała się prosto i wyniosłe, twarz jej nie była ta sama, a włosy pobielały zupełnie. Gdy usiadła, wydała mi się piękna jak dawniej. Przypomniały mi się z dni mych dziecięcych zapamiętane jasne jej spojrzenia.

— Czy pan Copperfield uwiadomiony został o wszystkim? — spytała.

— Tak — odrzekła Róża.

— Słyszał, co Littimer mówi?

— Słyszał.

— Dobre z ciebie dziecko, Różo! — rzekła, a zwracając się do mnie, dodała:

— Zamieniłam kilka listów z byłym przyjacielem pańskim, lecz nie naprowadziło go to na drogę obowiązku i rozsądku. Pobudki moje wiadome są panu. Jeśli przyzwoity ten jegomość, który tu był z panem i dla którego, jak widzę, nic więcej zrobić nie mogę, doścignie celu swych poszukiwań, zasłoni to mego syna przed powtórными zasadzkami. Gotowa jestem nagrodzić.

Mówiąc to, patrzyła w dal nieokreśloną.

— Pani — odrzekłem — rozumiem doskonale pobudki pani, lecz upewnić panią mogę, że to dziewczę znane mi od dzieciństwa ulec musiało namowom i obietnicom jej syna, a gdy się one nie spełniły, nie przyjmie szklanki wody z jego lub pani rąk, choćby konała z pragnienia. Myli się pani bardzo co do charakteru tego dziewczęcia.

— Nie, Różo, nie — uprzedziła wybuch swej towarzyszkii pani Steerforth. — Niech i tak będzie. Słyszałam, żeś się pan ożenił?

Odpowiedziałem, że istotnie od niejakiego już czasu jestem żonaty.

— I dobrze się panu powodzi? Mało mnie wieści dochodzi w odosobnieniu moim, słyszałam jednak, że imię pańskie coraz większego nabiera rozgłosu.

— Istotnie — rzekłem — udało mi się zyskać pobleżliwych czytelników.

— Ma pan matkę? — spytała łagodniej.

— Nie mam, pani.

— Szkoda, dumna byłaby z syna! Żegnam pana.

Wziąłem podaną mi rękę. Chłodna była i spokojna, jak gdyby w piersiach kobiety tej nie wrzały wulkany żalu. Duma nadała jej rysom kamienny wyraz. Wzrok tonął w dali.

Odchodząc, zauważyłem, że obie z jednostajnym natężeniem w dal patrzyły. Ogarniały je z wolna wieczorne cienie. Tu i ówdzie zapalono lampy, chociaż czerwone blaski na zachodnie nie pogasły jeszcze zupełnie. Z doliny powstawała, podnosząc się białą parą, gęsta mgła. Zdawało się, że zaleje wszystko, występując do walki nawet z wieczornymi cieniami. Pamiętam i dziś mnie jeszcze wspomnienie to mrowiem przejmujące. Zanim powtórnie spotkałem te dwie kobiety, fale burzliwego morza rozbiły się u ich stóp.

Rozmyślając o tym, czegom się dowiedział<sup>491</sup>, postanowiłem jak najprędzej oznajmić wszystko panu Peggotty. Zaraz nazajutrz tedy rozpocząłem poszukiwania. Włóczył się ciągle to tu, to tam, lecz wracał do Londynu i nieraz o zmroku widziałem, jak się snuł po placach i ulicach, ze strachem spoglądając na przechadzające się po trotuarach kobiety.

Miał tu nawet w pobliżu Hungesford Market małe mieszkanie. Tam tedy poszedłem i dowiedziałem się, że szczęściem jest w mieście, poszedłem na górę.

Czytał, siedząc przy oknie zastawionym doniczkami. Pokoik był mały, lecz czysty i świeży. Domyśliłem się od razu, że miał być gotów na przyjęcie tej, której niezmordowanie poszukiwał. Nie słyszał pukania do drzwi, podniósłszy oczy dopiero wtedy, gdy miał rękę na jego ramieniu.

— Panicz! — zawołał widocznie zadowolony. — Dziękuję za tę niespodziankę i witam z całego serca. Siadaj pan.

— Przyszedłem — mówiłem — podzielić się z panem, panie Peggotty, wiadomościami...

— O Emilce?

Zbladł, wpatrując się we mnie bacznie.

<sup>491</sup>czegom się dowiedział — inaczej: czego się dowiedziałem (konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika). [przypis edytorski]

— Nie wiadomo, gdzie się znajduje — mówiłem. — To tylko wiadomo, że nie jest już z nim razem.

Słuchał i milczał, wpatrując się we mnie. Nie zapomnę nigdy tego spojrzenia. Gdy skończył opowiadanie, milczał jeszcze z głową opartą na rękę. Zdawać by się mogło, że wzrokiem ściga postać ukochanego dziewczęcia, obojętny na wszystko, co nią samą nie jest.

Gdy skończył, skrył twarz w dłonie. Udałem, że patrzę przez okno.

— Jak się panu zdaje, paniczu? — spytał mnie wreszcie.

— Sądzę, że żyje — odrzekłem.

— Nie wiem — odparł — nie miała może dość sił, by znieść ten cios... Wszak były tam owe błękitne fale, o których zwykła była dawniej mawiać? Czy śniło się biedaczce, że ją w nich pogrzebią?

Mówił to stłumionym, wystraszonym głosem, przechadzając się po małej izdebce.

— A jednak — mówił po chwili — ani na chwilę nie przypuszczałem, aby nie żyła. Szukałem jej dniem i nocą, zimą i latem, czyżby mnie przecucia moje tak zmylić miały?

— Nie! — dodał, opierając się silnie o stół, z wyrazem nagłego postanowienia. — To być nie może! Emilka żyje! Jak, gdzie, nie wiem, lecz żyć musi!

Wyglądał jak w natchnieniu, poczekałem, aż nieco ochłonie, i wówczas dopiero usiłowałem wytłumaczyć mu, jak ostrożnie teraz wypada postępować.

— Teraz, przyjacielu... — zacząłem.

— Dziękuję, dziękuję — mówił, ściskając mi ręce.

— Jeśli dotrze, jak to przypuszczać należy, do Londynu, zechce się tu zapewne ukrywać. Łatwo jest kryć się w tak wielkim mieście i jeśli nie wróci do domu...

— Nie wróci do domu — powtórzył, kiwając smętnie głową. — Jeśliby uciekła stamtąd z własnej woli, to co innego, wówczas wróciłaby.

— Jeśli tedy — ciągnąłem — nie wróci, jak to jest prawdopodobne, do domu, jest ktoś, kto ją tu przedziej niż inni odnaleźć zdoła. Proszę cię, nie oburzaj się pan na to, co powiem, pomyślawszy, jaki cel mamy przed sobą... Pamiętasz Martę?

— Z naszego miasta?

Odpowiedzią mi był wyraz jego twarzy.

— Jest ona w Londynie.

— Spotykałem ją na ulicy — odrzekł, wzdragając się.

— Nie wiesz jednak może, że zanim Emilka uciekła z domu, była miłosierna dla niej, pomagała jej wraz z Hamem. A i to dodać muszę, że wówczas wieczorem, gdyśmy rozmawiali w obergerzy, podsłuchiwała u drzwi naszą rozmowę.

— Wieczorem, gdy śnieg padał? — spytał zdziwiony.

— Właśnie — odrzekłem. — Odtąd nie widziałem jej. Chciałem po rozstaniu naszym z nią mówić, lecz się już oddaliła. Wówczas nie chciałem nawet wspominać o niej przed tobą, teraz zaś widzę, żeśmy powinni z nią się porozumieć. Rozumiesz mnie?

— Aż nadto — odrzekł szeptem, gdyż mimo woli zniżyliśmy stopniowo głos, szeptem też kończyliśmy rozmowę.

— Mówiłeś, żeś ją spotykał? — pytałem. — Mógłbyś ją odszukać, mnie to raczej przypadek w tym posłuży.

— Wiem chyba, gdzie szukać — mruknął.

— Ściemniło się — zauważyłem. — Może byśmy zaraz razem poszli.

Zgodził się na mą propozycję. Zauważyłem, z jaką starannością ustawił przed odejściem wszystko w izdebce: zapalił świecę, posłał łóżko i dostał<sup>492</sup> nawet z szafy dawną suknię Emilki. Nie mówił nic przy tym, ja też zachowałem milczenie. Od jakże dawna codziennie tak jej wyczekiwał!

— Był czas — mówił, schodząc ze schodów — kiedym sądził, że Marta nie warta pyłu spod stóp Emilki. Niechże mi Chrystus przebaczy ten brak miłosierdzia!

Idąc z nim, rozpytywałem go o Hama. Mówił mi to samo, co przedtem: Ham pracował, zagłuszał się pracą, nie wyrzekał, nie skarżył się nigdy.

Spytałem go, co sądzi o usposobieniu bratanka względem tego, który spowodował wszystkie te nieszczęścia. Co by na przykład Ham począł, jeśliby spotkał Steerforth?

<sup>492</sup>dostać (daw.) — tu: sięgnąć i wyjąć; wydobyć. [przypis edytorski]

— Nie potrafię powiedzieć — odrzekł. — Myślałem o tym nieraz i nie wiem, co mam sądzić.

Przypomniałem mu rozmowę, którą mieliśmy nad morzem, nazajutrz po ucieczce Emilki.

— Pamiętasz pan wyraz oczu Hama, gdy, patrząc na morze, mówił: „wszystko ma swój koniec”.

— Pamiętam.

— Co przez to rozumiał?

— Pytałem o to siebie nieraz, paniczu, nie znajdując zadowalającej odpowiedzi. Ciekawa rzecz, że chociaż Ham wyglądał tak spokojnie, nie ośmieliłem się nigdy dotknąć w rozmowie z nim tej sprawy. Nie powiedział nigdy złego słowa, to pewne, ale i to pewne, że jak morza, tak i tego, co on ma w sercu, nikt nie zgłębi!

— Wiem — rzekłem — i to mnie właśnie niepokoi.

— I mnie — rzekł pan Peggotty — niepokoi pozorny jego spokój. Dałby pan Bóg, aby się ci dwaj nigdy nie spotkali.

Weszliśmy do City. Milcząc, szliśmy razem, a starca podtrzymywał jedyny cel życia, jaki sobie wytknął; pochłaniał go tak, że wśród tłumu nawet zdawał się samotny. Dochodziliśmy właśnie do Blackfriars Bridge, gdy obrócił się ku mnie, wskazując idącą po drugiej stronie ulicy kobietę. Poznałem ją.

Przeszliśmy na drugą stronę ulicy i już mieliśmy ją zaczepić, gdy przyszło mi na myśl, że lepiej może w spokojniejszym miejscu, z dala od tłumu rozmówić się z nią o zajmującej nas sprawie. Szepnąłem towarzyszowi swemu, abyśmy raczej szli za nią, nie zaczepiając jej. Ciekaw też byłem, dokąd dąży.

Pan Peggotty zgodził się na to. Szliśmy za nią w pewnej odległości, nie tracąc jej z oczu, lecz i nie zbliżając się nadto, gdyż oglądała się często. Raz zatrzymała się, przysłuchując grającej w jakiejś kawiarni muzyce. Staaliśmy też. Szła tak długo, a my za nią. Widać było po szybkim jej kroku, że ma cel wytknięty. Wybierała najludniejsze ulice i to mnie utwierdziło w moich domysłach. Skręciła wreszcie w wąski, ciemny, pusty zaułek.

— Teraz rozmówmy się z nią — rzekłem, przyspieszając kroku.

## ROZDZIAŁ XLVII. MARTA

Byliśmy przy Opactwie Westminsterskim<sup>493</sup>. Zawróciliśmy, żeby ją spotkać, gdyż opactwo było punktem, przy którym skręciła w ciemny, boczny zaułek. Szła teraz tak szybko, żeśmy ją zaledwie przy Millbank dogonić zdołali. Słyszając kroki doganiających ją, przebiegła na drugą stronę ulicy i, nie oglądając się wcale, przyspieszyła kroku.

Przez bramę zastawioną na noc wozami mignęła nam rzeka. Dotknąłem ramienia mego towarzysza. Lepiej było, nie tracąc jej z oczu, pozostawać w cieniu domów, jak najciszej stąpając, by jej nie wystraszyć.

Była tam i dziś jest jeszcze, na zbiegającej ku rzeczce ulicy, budowla drewniana, należąca zapewne do dawniejszego przewozu. Leżała jak raz w miejscu, gdzie się uliczka kończy, pozostawiając wąskie przejście pomiędzy domami a korytem rzeki. Gdy do miejsc tych dobiegła Marta, zatrzymała się nagle. To więc było jej celem. Teraz szła powoli, wzdłuż rzeki, zapatrzona w nią.

Przedtem myślałem, że wejdzie do któregoś z domów nadbrzeżnych i żywiłem niejasną nadzieję, że to nam posłuży za wskazówkę. Widok rzeki nasunął mi jednak myśl, że Marta nie pójdzie dalej.

Miejsca te dziwnie ponure były, smutniejszych, bardziej opuszczonych nie znajdziesz chyba w całym Londynie. W pobliżu sterczały więzienne mury, odarte, ślepe, porośnięte mchem. Zielska i chwasty obrastały drogę i puste place. Po jednej stronie wznosiły się oficyny niedokończonych domów, po drugiej stopy żelastwa i drzewa nagromadzone do budowy okrętów, koła, korby, rury, wiosła, kotwice, dzwony, żagle i tym podobne przedmioty, zwiezione tu widać przez przedsiębiorcę, leżały wryte własnym ciężarem w wilgotny grunt. Rzekłbyś, że się usiłują skryć przed okiem przechodniów. Szczęk i huk kuźni

<sup>493</sup> *Opactwo Westminsterskie* (ang. *Westminster Abbey; The Collegiate Church of St Peter, Westminster*) — kolegiata św. Piotra w Westminsterze, należąca do najważniejszych świątyń anglikańskich, obok katedry w Canterbury i katedry św. Pawła w Londynie; założenie opactwa datuje się na rok 1066 za czasów Wilhelma Zdobywcy; miejsce koronacji i pochówku królów Anglii. [przypis edytorski]

przerywał ciszę nocy, omroczonej wydostającym się z ich kominów dymem. Szlamowata, pluskająca grobla ciągnęła się pomiędzy stosami drzew, po których czepiało się coś na kształt lepkich, zielonkawych warkoczy. Podarte zeszlóroczne ogłoszenia o topielcach wały się w mule i szlamie. Istniało podanie, że w miejscach tych grzebano trupy w czasie Wielkiej Zarazy<sup>494</sup> i groza tej legendy rozciągała się nad całą okolicą. Miejsca te podobne były do zagrobowej mary wylaniającej się z zakazanego koryta rzeki.

Jak gdyby sama była częścią odpadków wielkiego miasta, dziewczyna zatrzymała się u brudnego ich stosu, oczu nie odrywając od biegu mętnej wody.

Na brzeg powyciągane łodzie pozwoliły nam zbliżyć się do niej. Dałem znak ręką panu Peggotty, aby pozostał w ukryciu, sam się zaś wysunąłem naprzód. Drżałem, wyznając, zbliżając się do tej samotnicy, której bieg szybki ku wytkniętemu celowi, a celem tym były wartkie fale rzeki, napęniał mnie strachem i grozą.

Mówiła coś sama do siebie. Chusta się jej osunęła z ramion; zapatrzona w wodę załamała ręce, podobniejsza do lunatyczki niż do poruszającej się na jawie istoty. Czulem, że się natychmiast, w moich oczach, rzuci do rzeki. Porwałem ją za ręce, wołając:

— Marto!

Krzyknęła, szarpiąc się z nieludzką siłą w mych rękach i nie wiem, czybym dał jej sam radę, gdyby mi w pomoc silniejsza dłoń nie przyszła. Widząc, że nie podoła nam, podniosła na nas oczy i osunęła się wycieńczona na ziemię. Podnieśliśmy ją i odnieśli dalej, kładąc na suchych kamieniach. Szlochała i jęczała. Po jakimś dopiero czasie podniosła się, z rozpaczą załamując ręce.

— Rzeko! O! Rzeko! — zawołała.

— Cicho! Uspokój się — prosiłem, lecz nie przestawała załamywać rąk, wciąż łkając:

— Rzeko! O! Rzeko! Należy ona do mnie tak, jak ja do niej. Odpowiednia to dla mnie i mnie podobnych towarzysza. I ona wypływa spośród pól zielonych, świeżych, by się zgubić w ciasnych, brudnych ulicach i spłynąć w zawsze wzburzone morze. Taka i moja dola.

Głos, którym wyrzekła te słowa, dał mi pojęcie o jej rozpaczach.

— Nie uniknę tego — mówiła — nie ucieknę od niej, rzeka goni mnie w dzień i w nocy. Dla niej, dla niej samej zdążyć być mogę. Straszna, okropna falo!

Gdy tak rozpacziała, na twarzy towarzysza mego mogłem wyczytać historię jego bratanicy, jeśli bym nawet nic o niej nie wiedział. Nigdy przedtem ani potem, na żadnej ludzkiej twarzy nie widziałem wyrazu takiego przestachu i współczucia, jakie malowały się w całej postaci starca. Drżał na całym ciele, a dotykając ręki jego, przekonałem się, że była jak lód zimna.

— Mówi w gorączce — szepnąłem mu. — Uspokoi się wkrótce.

Nie wiem, co mi na to odrzekł, widziałem, że mu się usta poruszyły, lecz słów nie słyszałem. Wyciągniętą, zeszywniałą dłonią wskazywał nieszczęsną dziewczynę.

Plakała teraz z ukrytą w rękę twarzą, leżąc prawie u nóg naszych, żywy obraz upadku i nędzy! Wiedząc, że nic od niej nie wydostaniemy, dopóki będzie w tym stanie, powstrzymałem chcącego ją podnieść starca, wyczekując cierpliwie, aż się nieco uspokoi.

— Marto — rzekłem wreszcie, pomagając jej powstać — czy poznasz mego towarzysza?

Oparła się o wywróconą łódź, siły ją opuszczały.

— Poznają — szepnęła.

— Szliśmy tu za tobą — rzekłem.

Milcząc potrząsnęła głową; nie podnosząc oczu, mięła w rękę chustę, nie wiedząc zapewne, co czyni; drugą rękę przyciskała do czoła.

— Czyś się uspokoiła o tyle, aby mi móc odpowiadać — pytałem — gdyż chcę mówić z tobą o czymś, co cię bardzo zajmie. Pamiętasz ów śnieżny wieczór u drzwi oberży?

Łzy puściły się jej z oczu. Wnoszę, że przerywanymi słowami dziękowała mi, żem jej wówczas podsłuchującej nie odpędził.

Kobieta "upadła", Pokora,  
Pokuta

<sup>494</sup>Wielka Zaraza — epidemia dżumy, która nawiedziła Londyn w latach 1665–1666 i której ofiarą padło od 75 do 100 tys. ludzi, ok. 1/5 mieszkańców miasta; roznosicielami choroby były początkowo szczury (utrzymywano, że przywiezione na statkach z transportem bawełny z Holandii), zarazę powstrzymał ostatecznie dopiero wielki pożar, który strawił ogromne obszary stolicy. [przypis edytorski]

— Nie powiem nic na swą obronę — mówiła. — Niegodna jestem, stracona! Nie ma dla mnie nadziei. Lecz błagam cię, panie, powiedz mi, żem się nie przyczyniła niczym do tego nieszczęścia.

— Nie przypisywałem ci go nigdy — odparłem żywo, uderzony gorącą jej prośbą.

— Pan to był, prawda — mówiła ciszej — tam w kuchni, wówczas, gdy się zlitowała nade mną i była tak dobra, i nie odwróciła się, nie odepchnęła jak inni? Zlitowała się, pomogła! Pan to był?

— Ja — odrzekłem.

— O! — zawołała. — Jeślibym miała na sumieniu jej niedolę, od dawna już byłabym na dnie rzeki! Z obarczonym takim grzechem sumieniem nie przeżyłabym ani jednej zimowej nocy.

— Znany nam jest powód jej ucieczki — rzekłem. — Sądziłem, że tobie także jest znany.

— O — wołała — lepiej by było, jeślibym więcej miała serca, ona tak dobra była dla mnie zawsze, same łagodne, zachęcające miała słowa! Mogłamże<sup>495</sup> namawiać ją do złego, wiedząc, czym sama zostałam? Największą goryczą we własnym mym upadku była ta myśl, żem się z nią rozstała na wieki!

Pan Peggotty zakrył twarz rękoma.

— Kiedym się jeszcze przed ową śnieżną nocą — ciągnęła — dowiedziała od kogoś z naszego miasta, co tam zaszło, bolało mnie przypuszczenie, że mnie może, wiedząc, żem była niegdyś jej towarzyszką, posądzają tam o sprowadzenie jej z dobrej drogi. Niebu wiadomo, życie bym oddała dla zwrócenia czci jej imieniu.

Rozpacz jej była rozdzierająca.

— Co tam życie moje! — wołała. — Śmierć byłaby mi wybawieniem! Żyłabym, raczej dożyła starości, włócząc się po tych przeklętych ulicach, patrzyłabym, jak słońce wschodzi i zachodzi na tych brudnych domach, myśląc o tym, jak się niegdyś przeglądało w okienku moim, budząc mnie do uczciwej pracy. Ha! Nawet żyć bym była gotowa, jeślibym męką tą okupić miała jej zbawienie.

Opuściła się znów na ziemię, co chwila zmieniała postawę, miotając się, zamykając oczy na słabe wieczorne światło, opuszczając na piersi ciężką od zgryzot głowę.

— Co pocznę — wołała — nieszczęsna, wstyd i hańbę nosząca z sobą, samotna, opuszczona!

Nagle zwróciła się do towarzysza mego.

— Zabij mnie — wołała — ulituj się nade mną! Gdy dumą twą była, sądziłeś, że skalam ją, dotykając rąbka jej sukni i nie uwierzyłbyś żadnym mym zaklęciom, żadnym słowem. I dziś jeszcze spłonąłbyś ze wstydu, jeślibyś dostrzegł, że zamieniamy z sobą choćby słówko. Nie skarzę się, nie przyrównywanę się do niej, wiem, jaka dziś nas jeszcze dzieli przepaść, chcę tylko pomimo hańby mej i wstydu wyrazić wam mą wdzięczność, zapewnić, że ją kochałam i Kocham. O! Nie sądz proszę, żem straciła możliwość kochania! Zabij mnie za to, czym jestem i za to, żem ją niegdyś znała, lecz nie sądz, abym była niewdzięczna!

Pan Peggotty z roztargnieniem spoglądał na błagającą, a gdy mówić przestała, podniósł ją.

— Marto! — rzekł — niech mnie Nieba ukarzą, jeśli cię mam sądzić srogo. Ostatnim byłbym z ostatnich! Czas wielkie przynosi zmiany.

Zatrzymał się, a potem:

— Tak, dżentelmen ten i ja pragniemy rozmówić się z tobą. Dowiesz się, co nas tu sprowadziło. Słuchaj.

Miał zupełną nad nią przewagę. Drżąca stała przed nim, oczu podnieść nie śmiejąc, zdawało się jednak, że powolna<sup>496</sup> mu będzie we wszystkim.

— Słyszałaś — mówił pan Peggotty — śnieżnej owej nocy rozmowę mą z panem Davy i wiesz, że poszukuję mej bratanicy, kochanej mej bratanicy — powtórzył — gdyż wiedz, Marto, że ją dziś Kocham więcej jeszcze, niż przedtem kochałem.

<sup>495</sup>mogłamże — konstrukcja z partykułą -że nadającą znaczenie pytania retorycznego; inaczej: czy mogłam, czyż mogłam. [przypis edytorski]

<sup>496</sup>być komuś powolnym — być posłusznym wobec kogoś; postępować zgodnie z czyjąś wolą. [przypis edytorski]



Zakryła twarz rękoma.

— Mówiła mi ona niegdyś — ciągnął pan Peggotty — żeś sierota, bez ojca i matki, nikt nie czuwał nad tobą, nie osłaniał przed niebezpieczeństwami życia. Gdybyś miała kogo, kto by cię sercem całym kochał, zrozumiałabyś może przywiązanie me do mej bratanicy.

Drżała cała. Podniósł z ziemi rzuconą chustę, okrywając Martę troskliwie.

— Wiem też — ciągnął — że gdyby mnie tylko zobaczyła, poszłaby za mną na koniec świata, widząc, że ją kocham tak samo, nie, więcej stokroć niż przedtem, pomimo wszystko, co nas rozdzieliło.

Milczał chwilę, a po chwili tak mówił:

— I ja, i pan Davy przypuszczamy, że wcześniej czy później oprze się biedaczka o Londyn. I pan Davy, i ja, i wszyscy wierzymy, żeś najzupełniej niewinna wszystkiemu, co się przytrafiło. Mówisz, że dobra, litościwa była względem ciebie. Niech jej to Bóg nagrodzi! Wiem dobrze, jak dobrą, litościwą zawsze była! Wdzięczną jej, mówisz, pozostałaś, kochasz ją, dopomóżże nam znaleźć ją, a Bóg ci to pewnie tam policzy.

Po raz pierwszy podniosła wzrok na mówiącego. Zdawać by się mogło, że uszom swym nie wierzy.

— Czyż mi zaufacie? — spytała głucho.

— Najzupełniej — odrzekł pan Peggotty.

— Więc mogę przemówić do niej, jeśli ją spotkam, podzielić z nią własne, jeśli takowe będę miała, schronienie i nic jej nie mówiąc, ostrzec was, wskazać, gdzie się znajduje? — pytała, powstrzymując oddech.

— Tak — odrzekliśmy jednocześnie.

Podnosząc w niebo oczy ślubowała służyć nam wiernie i wytrwale. Jeśliby ustać w tym kiedy miała, niech cel ten, dla którego życie swe poświęca, pozostawi ją w większej jeszcze nędzy i rozpacz, niż ta, która ją obecne doprowadziła na brzeg rzeki. Niech ją opuści wówczas litość ludzka i miłosierdzie boże!

Mówiła to, nie podnosząc głosu, cicho, nie nam, lecz tym tam nocnymi mrokami pokrytym niebiosom. Wyrzekłszy to, wpatrzyła się spokojnie w mętne nurty rzeki.

Opowiedzieliśmy jej aż do najdrobniejszych szczegółów wszystko, cośmy sami wiedzieli. Słuchała nas z natężoną uwagą, a chociaż często mieniła się na twarzy, górujący pozostał wyraz dopiero co powziętego postanowienia. Oczy jej nabiegły łzami, zachowywała się jednak spokojnie.

Gdyśmy skończyli, spytała, gdzie i jakim sposobem mogłaby się w potrzebie z nami porozumieć. Pod mdłym światłem przydrożnej latarni, na wydartej z notatnika kartce skreśliłem oba adresy, pana Peggotty i mój. Schowała je w zanadrze. Na moje zapytanie, gdzie mieszka, odpowiedziała dopiero po chwili wahania. Lepiej było istotnie nie pytać jej o to.

Pan Peggotty szepnął mi na ucho to, o czym zresztą sam myślałem. Sięgnąłem do kieszeni po pieniądze, lecz żadne prośby, namowy, argumenty nie zdołały skłonić jej do przyjęcia najmniejszego chociażby zasiłku. Starąłem się przekonać ją, że pan Peggotty, jak na stan swój, biedny nie był i że obaj z nim nie chcieliśmy, aby sama, służąc nam, najmniejsze poniosła wydatki. Nic nie pomogło. Nawet przewaga pana Peggotty na nie się tym razem nie zdała. Marta pozostała niewzruszoną.

— Znajdę jaką robotę — mówiła.

— Tymczasowy przynajmniej przyjm zasilek — prosiłem.

— Nie — mówiła — nie chcę i nie mogę przyjąć ani grosza. Choćbym umierała z głodu, nie przyjąłabym. Dając mi pieniądze, odebralibyście tym samym zaufanie i... i jedyny cel, który mnie zatrzymuje przy życiu.

— W Imię Najwyższego Sędziego — zawołałem — w imię Tego, który przenika głębie serc ludzkich, odrzuć okrutne to przypuszczenie! Któż z nas, jeśli jest w stanie, nie spełni dobra dla samego dobra?

Usta jej drżały, a twarz bardziej jeszcze zbladła, gdy odpowiedziała:

— Chcicie mnie nędzną osłonić nawet przed wyrzutami sumienia, chcecie wmówić we mnie, żeś zdolna do dobrego, gdy same zatrute dotąd zbierałam plony. Zaufaliście mi, od tak dawna nikt we mnie zaufania nie pokładał... Oto co wiem i czego nie zapomnę.

Powstrzymała cisnące się do oczu łzy, z lekka dotknęła ręki pana Peggotty i odeszła. Musiała być od dawna chora; teraz dopiero zauważyłem, jak chuda była i mizerna. Zapadłe głęboko oczy opowiadały o nędzy, a może i o głodzie.

Postępowaliśmy za nią o kroków kilka i tak doszliśmy do ładnych i oświetlonych ulic. Wierzyłem świącie jej obietnicom, pan Peggotty podzielał w zupełności me przekonanie, pozostawiliśmy ją tedy samą, kierując się z powrotem na Highgate. Przez jakiś czas starzec mi towarzyszył, potem rozeszliśmy się, każdy w swą stronę, prosząc Boga, by pobłogosławił przedsięwzięciom naszym.

O północy dopiero wróciłem do domu. Zatrzymałem się chwilę na progu, licząc uderzenia zegara na wieży św. Pawła. Ku zdziwieniu memu spostrzegłem otwarte drzwi zamieszkałego przez ciotkę domku. Na ścieżkę padało światło.

Bojąc się, czy ciotki mej co nie przstraszyło, wszedłem do ogródka. Jakież było moje zdziwienie, gdy dojrzałem stojącego tam mężczyznę.

Pił z trzymanej w ręku butelki. Stałem jak wryty, ukryty zresztą za krzakiem, gdyż księżyc wypłynął właśnie zza chmury. Nieznajomy był tym samym, którego uważałem za wytwór fantazji pana Dicka, tym samym, któremu nigdy nie spotkałem z ciotką na ulicy.

Pił i jadł jak zgłodniały, wzrok zapuszczając ciekawie we wnętrze podmiejskiego domku. Z kolei z niecierpliwością pewną, jak gdyby mu było pilno, spojrzął w okno, w którym się świeciło.

Światło zamigotało, ciotka zjawiła się na progu. Dawała mu, widziałem, pieniądze.

— Ba! Tyle tylko! — zauważył.

— Nie mam więcej — odrzekła.

— Z tym nie odjadę, możesz to wziąć z powrotem.

— O! Niegodziwce! — oburzyła się ciotka. — Jak możesz!... Ale co tam mówić o tym, znasz mą słabość, więc jej nadużywasz. Aby się raz na zawsze pozbyć twych odwiecznych, zmuszona będę chyba pozostawić cię własnej doli, którąś sobie zgotował.

— Czemuś tego nie uczyniła dotąd? — spytał złośliwie.

— Pytasz mnie? — zawołała. — Maszże<sup>497</sup> serce?!

Liczył obojętnie pieniądze, a gdy przeliczył, odezwał się:

— I to wszystko, co mi dać zamierzasz?

— Co dać mogę — odrzekła. — Zubożałam, wiesz przecie. Czegóż jeszcze tu stoisz i narzucasz się moim oczom?

— Obdartus jestem — zauważył — prawda, niewesołe wiodę życie.

— Ogołociłeś mnie z całego niemal mienia — mówiła ciotka — a serce zraniłeś tak głęboko, że je przez długie lata zawarła była<sup>498</sup> dla wszystkich i na wszystko. Oszukałeś mnie, postąpiłeś bez czci i sumienia. Odejdźże i, jeśli możesz, żałuj za zło spełnione, nie dodając nowych krzywd do już wyrządzonych.

— Aj, aj! — zaśmiał się z cicha. — Wszystko to nader moralne. Na razie muszę się tym, jak widzę, zadowolić.

Mieszają go jednak łzy mej ciotki i ze spuszczoną głową przechodził przez ogródek. Wyprzedziłem go, spotkaliśmy się u furtki i zmierzyli wzrokiem.

— Ciotko — zawołałem, podnosząc głos — widzę, żeś została znów zaniepokojona przez tego natręta! Pozwól, niech się z nim rozmówię.

— Dziecko — zawołała ciotka, porywając mnie za ramię — daj pokój! Daj mi ochłonąć!

Siedliśmy w bawialnym pokoiku. Ciotka rozwinęła wielki swój, zielony wachlarz, kryjąc się za nim. Widziałem, że od czasu do czasu podnosi chustkę do oczu. Po kwadransie może odezwała się spokojnym już głosem:

— Trot, człowiek ów jest mężem moim.

— Mężem?! — zawołałem zdumiony. — Mąż twój umarł przecie!

— Dla mnie umarł, lecz żyje — odrzekła.

Zdumiony byłem. Po chwili ciotka mówiła:

<sup>497</sup> *maszże* — konstrukcja z partykułą *-że* nadającą znaczenie pytania retorycznego; inaczej: czy masz, czyż masz. [przypis edytorski]

<sup>498</sup> *żem je (...) zawarła była* — daw. forma czasu zaprzeczonego (oraz konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika); znaczenie: że je zawarłam (tj. zamknęłam) niegdyś, uprzednio (tzn. przed czasami opisywanymi, czynnościami i wydarzeniami wyrażonymi czasem przeszłym prostym). [przypis edytorski]

— Betsey Trotwood nie zdaje ci się zdolna do tkliwych uczuć, był czas jednak, w którym zawierzyła człowiekowi temu, z całego kochając go serca. Wywdzięczył się, łamiąc jej życie i serce. Wówczas raz na zawsze pogrzebała uczucia, zrzekła się ich, zdeptała.

— Droga ciotko!

— Rozstałam się z nim wspaniałomyślnie. Było to tak dawno, że przyznać to sobie już dziś mogę. Wspaniałomyślnie! Postępowanie jego względem mnie tego było rodzaju, żem mogła rozstać się na dogodnych dla siebie warunkach, lecz nie uczyniłam tego. Zmarował, com mu dała, upadał coraz niżej, inną poślubił, stał się awanturnikiem, graczem, oszustem. Widziałeś, czym jest obecnie! Lecz niegdyś... O, niegdyś, gdym wychodziła za niego, wyglądał inaczej i wierzyłam mu, widziałam w nim uosobienie męskiego honoru!

W słowach i głosie ciotki przebijała mimo woli duma dawnych, okrutnie odtrąconych uczuć.

— Dziś niczym mi jest, i mniej niż niczym, lecz zamiast oddać go w ręce sprawiedliwości, wolę odzierać się ze wszystkiego, co mam, oddawać mu, co zbiorę, byle tylko nie wracał tu. Szalona byłam, wychodząc za niego, i dziś jeszcze popełniam być może szaleństwo, nie chcąc, aby się rozwiła ostatecznie ta mara przeszłości mojej. Kochałam go, widzisz, dziecko moje, całym kochałam sercem!

Westchnęła i poczęła starannie gładzić fałdy sukni.

— Tak to, mój kochany — rzekła — opowiedziałam ci początek, środek i koniec mej historii. Nie wspominajmy więcej o tym. Nigdy. Nie mów też, proszę, o tym nikomu. Niewesoła historia! Niech pozostanie pomiędzy nami.

## ROZDZIAŁ XLVIII. DOMOWE SPRAWY

Pisałem powieść, nie przerywając przecie dziennikarskich zajęć. Gdy się ukazała, wielkiego doznała powodzenia. Nie ogłuszyły mnie pochwały, chociaż nie pozostawałem na nie obojętny. Znałem zresztą lepiej niż kto bądź wartość mego dzieła; zauważyłem niejednokrotnie, badając ludzką naturę, że ten, kto ma dane do tego, by polegać na sobie lub swych zdolnościach, nie popisuje się nimi chętnie przed innymi. Na tym opierała się cała moja skromność, a powodzenie było bodźcem do doskonalenia się.

Nie mam zamiaru kreślić tu historii mych literackich utworów. Mówią one same za siebie i pozostawiam je samym sobie. Wspominam tu o nich tyle, o ile wiążą się z prywatnym mym życiem.

Mając pewne powody, by wnioskować, że tak natura jak i inne okoliczności utworzyły ze mnie pisarza, oddałem się z ufnością temu powołaniu. Jeślibym nie miał powyższego przekonania, energię i wytrwałość zwróciłbym w inną stronę, szukając baczenie, do czego mnie natura i okoliczności najlepiej usposabiały.

Pisując w dziennikach i gdzie indziej z codziennie wzrastającym powodzeniem, zaniechałem stenografii. Pewnego wieczoru po raz ostatni przenieśliśmy na papier piszczące nuty parlamentarnej orkiestry, szczęśliwy, że się ich raz na zawsze pozbywam.

Z półtora roku musiało upłynąć od mego ożenku. Po wielu nieudatnych próbach pozostawiliśmy gospodarkę samej sobie, żyjąc z dnia na dzień. Trzymaliśmy młodego wyrostka, którego głównym zajęciem było ustawiczne wojowanie z kucharką. Całe jego życie było jedną burdą. W najniestosowniejsze chwile i często, gdyśmy mieli gości, drzwi od kuchni otwierały się z łomotem, wpadał przez nie jak z procy wyrzucony nasz służący, a za nim leciały różne kuchenne naczynia. Usiłowaliśmy pozbyć się go, lecz nie chciał odejść, utrzymując, że się przywiązał do nas; będąc zaś mazgajem, zalewał się łzami na każdą wzmiankę o wydaleniu. Sierotą był, a że jedyna jego siostra wyniosła się, skoro się go pozbyła, do Ameryki, obiecywał wiekować<sup>499</sup> u nas. Co chwila ocierał oczy rękawem surduta lub nos końcem chustki, wylażającym mu wieczyscie z kieszonki.

Nieszczęsny ten wyrostek ustawicznych nabawiał mnie kłopotów. Patrzałem, jak rósł (a rósł jak na drożdżach), drząc na myśl, że mu się wysypią wąsy. Ba! Wąsy! Że posiwieje pod moim dachem! Straciłem wszelką nadzieję pozbycia się go i w odległą spoglądając przyszłość, obliczałem kłopoty, jakie mi mógł sprawić, starzejąc się przy nas.

Nie przeczuwałem jednak katastrofy, która mi posłużyła do wydalenia go. Ukradł zegarek Dory. Jak wszystko, co stanowiło nasze mienie, zegarek, nie mając przeznaczonego

Sluga, Dom, Małżeństwo

<sup>499</sup>wiekować (daw., pot.) — pozostawać gdzieś bardzo długo (względnie: zbyt długo). [przypis edytorski]

sobie miejsca, nie bywał nigdy schowany! Sprzedawszy, roztrwonił pieniądze na przejażdżki pomiędzy Londynem i Utbridge. Piętnastego dopiero dnia znalazł się w końcu na Bow Street<sup>500</sup>. Znalaziono przy nim trochę tylko drobnych.

Następstwa całej tej historii o wiele by mniej były przykre, gdyby nie okazywał żalu, nie czynił zeznań na raty. Raz robił zeznania dotyczące się pewnego kosza w piwnicy, w którym zamiast wina zastaliśmy wypróżnione i odkorkowane butelki. Sądziliśmy, że się na tym skończy, aleśmy się dowiedzieli, co mamy myśleć o kucharce. Rozbudzone wyrzuty jego sumienia wyjawiały, że kucharka ta posiada córeczkę, która co wieczór wynosi żywność, a węgiel nasz sprzedawany był mleczarzowi; że połędwice idą na bok i tak dalej, i tak dalej. Innym znów razem okazało się, że dostawca piwa zamierzał włamać się do naszej piwnicy i trzeba było go aresztować. Słowem, ujrzałem się ofiarą takich oszustw i zamachów, że nie wiem, co bym dał, żeby trzymał język za zębami i przestał mnie narażać na ciągłe sprawy, dochodzenia i obarczać kosztami i kłopotami.

Doszło do tego, że uciekał z domu na widok zbliżającego się policjanta. Życie me stało się nie do zniesienia, dopóki nie wywieziono go, a i potem zarzucał nas listami. Przed wysyłką zapragnął widzieć Dorę. Dała się wzruszyć gorącymi jego prośbami i zemdląła wszedłszy do więzienia. Z czasem został jakoby gdzieś pastuchem. Gdzie? Nie wiem. Nie sięgają tak daleko geograficzne moje wiadomości.

Wszystko to dało mi wiele do myślenia i nasunęło poważne wątpliwości co do kierunku własnej egzystencji. Pewnego wieczoru ośmieliłem się zwrócić na to uwagę Dory.

— Smutno mi, najdroższa moja — mówiłem jej — pomyśleć, że nasz brak oszczędności i systematyczności nie tylko nas naraża na ustawiczne materialne straty, lecz psuje nadto innych.

— Nic już o tym nie mówiłeś od niejakiego czasu — odrzekła Dora — oto znów rozpoczynasz. Niedobry!

— Ależ, Doro! Pozwól, niech ci wytłumaczę...

— Nie jestem ciekawa — nadąsała się Dora.

— Lecz ja chcę rozmówić się z tobą w tym względzie. Zostaw Jipa.

Dora przytknęła pyszczyk ulubieńca do mego nosa, mówiąc: „Boli!”. Chciała mnie rozśmieszyć, widząc zaś, że to się jej nie udaje, wsadziła go do pagody, po czym usiadła naprzeciw mnie, składając z rezygnacją rączki.

— Rzecz w tym, kochanie — rozpocząłem — że złe mamy sługi.

Rozwijalbym dalej ten temat, lecz Dora była zdumiona po prostu. Ciekawa była, jakie na to wymyśli lekarstwo. Szczepienie cnoty, co? Uważałem za stosowne mówić dalej bez osłonek.

— Nie tylko, widzisz, kochanie, narażamy się na materialne straty i tysiączne przykrości, lecz sługi nasze wystawiamy naszym domowym bezładem na ustawiczne pokusy, psujemy każdego, kto w dom nasz wchodzi, a odpowiedzialność spada po części na nas.

— O! Co za oskarżenie! — zawołała Dora, szeroko otwierając oczy. — Twierdzić, że mogę skraćć zegarek!

— Bredzisz, Doro najdroższa! Kto tu mówił coś podobnego?

— Kto? Ty sam, ty! Dopiero co mówiłeś, że dają zły przykład. O! Porównać mnie z nim!

— Z kim?

— Z tym chłopcem, złodziejem! — mówiła, szlochając na dobre. — O, zły, okrutny, porównać z nim swą własną, rodzoną żonę. Trzeba było dawniej powiedzieć, co o mnie myślisz, dawniej, przed ślubem! O! Myśleć, że jestem tyle warta, co jakiś niegodziwy złodziej! Biedna ja!

<sup>500</sup>*Bow Street* — ulica w Covent Garden w Londynie, silnie związana z instytucjami prawa i porządku publicznego; istniał tu od 1740 r. sąd magistracki (*Bow Street Magistrates' Court*), rozstrzygający w pierwszej instancji sprawy dotyczące wszelkiego rodzaju przestępstw i wykroczeń; założył tę instytucję we własnym domu pod nr. 4 plk. Thomas de Veil, zostawszy sędzią pokoju w rejonie Westminsteru; jego następcą został w 1747 r. pisarz i autor sztuk teatralnych Henry Fielding, który utworzył pierwsze oddziały ochotniczej policji, znane jako *Bow Street Runners*; w 1832 r. policja metropolitalna uruchomiła na Bow Street komendę główną. [przypis edytorski]

— Doro najdroższa — przekonywałem ją, usiłując oderwać jej chusteczkę od oczu — to, co mówisz, nie tylko jest dziecinne, lecz i brzydkie. Sama wiesz, jak dalece mijasz się z prawdą.

— Aha! Zarzucałeś mi zawsze kłamstwo, a teraz mnie zarzucaasz! O biedna ja! Biedna! Co pocznę teraz?

— Proszę cię, miła, uspokój się, bądź rozsądna, słuchaj, co ci mam i muszę powiedzieć. Widzisz, najdroższa, przede wszystkim to my powinniśmy wypełniać nasze obowiązki, a wówczas dopiero możemy być wymagający. To pewne, że narażamy nasze usługi na ustawiczne rozmijanie się z obowiązkami. Niedbałość nasza, rozrzutność, lekkomyślność zgubnie na nich oddziaływać muszą. Psujemy ich, to widoczne! Powinniśmy się nad tym zastanowić. Dręczy to mnie i niepokoi. Oto wszystko, com ci chciał powiedzieć. No! Nie gniewaj się, najdroższa!

Długo nie chciała oderwać od oczu chusteczki, chlipała, skarżąc się cichutko, lecz żałośnie. Jeśli się dręczę, to po cóż się żeniłem? Trzeba się było rozmyślić, chociażby w przeddzień ślubu, przed ołtarzem nawet. Jeśli mnie unieszczęśliwia, to niech ją odeślę do jej ciotek, do Patney, albo lepiej do Julii Mills, do Indii! Julia byłaby uszczęśliwioną i nie porównywałaby jej pewno z nieletnim przestępcą. O, nie, nigdy!

Słowem, była tak nieszczęśliwa i tak mnie przez to martwiła, żem wyrzucił sobie usiłowania przemówienia jej do rozsądku. Inną trzeba było obrać drogę.

Inną? Jaką? Rozwijając ją. Utarte to słowo dźwięczne jest. Postanowiłem tedy rozwijać Dorę.

Wziąłem się do dzieła. Gdy Dora kaprysiła po dziecinnemu, a mnie samemu wtedy najmilej byłoby dogadzać jej, stroilem się w powagę i — pozostawaliśmy oboje niezadowoleni z siebie. Innym razem mówiłem jej długo i szeroko o tym, co mnie zajmowało, lub czytywałem Szekspira, co ją nużyło i nudziło. Od czasu do czasu karmiłem ją zasadami i maksymami lub strzępkami praktycznych wiadomości, które się obijały o jej obojętność, jak groch o ścianę. Próbowałem na najrozmaitsze sposoby, lecz „rozwijanie” postępowało żółwim krokiem. Posądzam nawet Dorę, że uważała Szekspira za największego pod słońcem nudziarza.

Wciągnąłem był do spisku, pomimo jego wiedzy, Traddlesa i gdy odwiedzał nas, otwierałem przed nim, ku zbudowaniu Dory, skarbnicę wszystkich mych praktycznych i elementarnych wiadomości. I to zdawało się raczej gnębić Dorę. Stawała się nerwowa, jakby wystraszona, spoglądała na mnie, jak żak na bakalarza<sup>501</sup>, safandulę<sup>502</sup>, gderacza. Sam z czasem takim się sobie wydawałem, zdmuchując pyłki ze zrywanych przez nią dziecinną żonę kwiatów.

Trwało to z miesiąc. Przekonawszy się, że to do niczego nie prowadzi, a skwasić może nas oboje, począłem rozmyślać, czy czasem Dora nie jest już rozwinięta.

Było to więcej niż prawdopodobne i usiłowania moje były zbyteczne. Postanowiłem tedy zadowalać się moją dziecinną żoną, taką, jaką była. Zmęczyła mnie rola pedagoga, widziałem, żem krępował Dorę. Kupiłem jej parę kolczyków, obrożę nową dla Jipa i wszystko wróciło do poprzedniego stanu rzeczy.

Dorę uszczęśliwiły podarki! Ucałowała mnie z czułością, pozostał jednak z uprzedniej nieudalej<sup>503</sup> próby chłód pewien pomiędzy nami. Usiłowałem rozwiać go, na przyszłość postanowiwszy wszelkie lody i ciężary na własne brać barki.

Usiadłem przy mej żonie, sam jej włożyłem w uszy kolczyki, mówiąc jej czule, żem od niejkiego czasu nie był dla niej tym, czym być winienem, i że mi to wybaczyć powinna.

— W rzeczy samej — mówiłem — usiłowałem być rozsądny.

— I mnie uczyć rozsądku — spytała lękliwie — czy tak, Doady?

Ucałowałem wzniesione na mnie nieśmiało oczy, pytaniem rozchylone usta.

— Na nic się to nie zda — mówiła, wstrząsając główką i pobrzękując kolczykami. — Na nic. Znasz mnie przecie. Dzieckiem jestem i chcę, abys mnie za takie uważał. Jeśli więcej będziesz ode mnie wymagał, nie potrafię cię zadowolić. Czy ci się nigdy nie zdaje, że lepiej byś zrobił...

<sup>501</sup>bakalarz (z łac. *baccalarius*) — osoba posiadająca pierwszy stopień naukowy w dziedzinie sztuk wyzwolonych (łac. *artium baccalaureus*), czyli bakalaureat; daw. pot. nauczyciel. [przypis edytorski]

<sup>502</sup>safandula — niezdarka; osoba mało energiczna, niezręczna, flegmatyczna. [przypis edytorski]

<sup>503</sup>nieudaty — ten, który się nie udał; dziś popr. z inną końcówką: nieudany. [przypis edytorski]

— Co, najdroższa? — spytałem, widząc, że się zacięła.

— Nic — odrzekła.

— Nic? — spytałem.

Zarzuciła mi ręce na szyję, zaśmiała się, nazwała siebie ulubionym swym przewżiskiem: „gąska”, skryła wreszcie na mym ramieniu twarzyczkę, w takiej ilości loczków, że trudno je było rozgarnąć.

— Zrobiłbym lepiej, nie ucząc rozsądku mej żoneczki? — pytałem, śmiejąc się. — Co?

— A widzisz! Tegoś chciał, ty brzydki chłopcze!

— Ale to już przeszło — mówiłem — kocham ją taką, jaka jest.

— Czy tylko prawdę mówisz? — pytała, przytulając się do mnie.

— Prawdę! Po co mam pragnąć zmieniać to, co mnie uszczęśliwiało i uszczęśliwia. Najbardziej ci do twarzy, Doro moja, gdy jesteś sobą! Porzućmy tedy wszelkie próby i wróćmy do dawnego szczęścia.

— Szczęścia! — powtórzyła. — Od rana do nocy, od nocy do rana. I nie będziesz się gniewał, chociaż się znajdą czasem w domu jakie małe nieporządki? Nie będziesz?

— Nigdy.

— O, nie powiesz mi już, że psuję sługi, dając zły przykład? O, ty niegodziwczel!

— Nigdy! Przenigdy!

— Bo widzisz, wolę być głuptaskiem niż nieszczęśliwą. Prawda?

— Najlepiej bądź sobą. Najlepsza rzecz pod słońcem.

— Pod słońcem! O, dużo tam jest miejsca, Doady!

Wstrząsnęła główką, podniosła błyszczące swe oczy, ucałowała mnie, roześmiała się wesoło i poskoczyła nakładać Jipowi nową obrozę.

I tak się skończyły moje usiłowania kształcenia, rozwijania mej żony. Nie byłem stworzony na męża-pedagoga, nie umiałem wziąć się do dzieła, pogodzić to z jej występowaniem w roli dziecinnej żony. Postanowiłem więc pracować nad własnym doskonaleniem się. Nie, nie chciałem zmienić się w gderacza, dręczyciela biednej, kochanej, Dory!

Tak ciernie życia zostały dla mnie samego, padły mi osamotnieniem na serce. Uciec przed tym nie mogłem. Uczucie to wzmogło się — chociaż sobie jasno z tego sprawy nie zdawałem — podobne do rozplywających się w nocnej ciszy, nieuchwytnych jakichś dźwięków. Z całego serca kochałem żonę, szczęśliwy byłem... lecz nie tym szczęściem, o którym niegdyś marzyłem. Brakowało mi czegoś.

Dziś, wchodząc w głąb mojego życia i serca, badam na nowo rozbudzone to uczucie. Brakowało mi czegoś, co było niespełnionym i niedającym się już spełnić marzeniem mej młodości; spostrzegłem, co niejeden z nas spostrzegł, i napełniło mnie to wielkim smutkiem — żem nie znalazł w żonie przyjaciółki, współpracownicy, podpory.

W nieodwołalnej tej rzeczywistości była jedna prawda ogólna, nieunikniona; drugiej, tyczącej się mnie samego, dałoby się uniknąć. Myśląc o nieziszczonych marzeniach mej młodości, myślałem o dniach spędzonych z Agnieszką i jasne te chwile, pod starym dachem przebyte wspólnie, powstawały mi w pamięci na kształt mar jakichś. Chwile te mogły się powtórzyć — ale nie na tym świecie.

Czasem rozmyślałem o tym, co by to było, jeślibyśmy się z Dorą nie spotkali. Osoba jej tak ściśle związana była z całym mym istnieniem, że były to płonne rozmyślenia, rzeczywistość rozwiewała je jako puchy marne.

Kochałem Dorę, kochałem ją sercem całym i to, co wyżej mówiłem, spoczywało niejasne, zgluszone w głębi mej duszy. Nie zdawałem sobie z tego sprawy, nie wpływało to w najmniejszej mierze na słowa me i postępkę. Przyjąłem na siebie dobrowolnie wszelkie domowe troski, Dora jak przedtem podawała mi pióra i obojeśmy czuli<sup>504</sup>, że burza zażegnana, a cień zwarty w odpowiednich mu granicach. Kochała mnie szczerze, dumna ze mnie była i gdy Agnieszka napisała jej, z jaką przyjemnością starzy moi przyjaciele czytają me utwory i pochlebne o nich zdanie krytyków, przeczytała mi to ze łzami radości w oczach, oświadczając, żem najkochańszy<sup>505</sup> i najmędrszy z ludzi.

<sup>504</sup>obojeśmy czuli — inaczej: oboje czuliśmy (konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika). [przypis edytorski]

<sup>505</sup>najkochańszy — dziś raczej: najukochańszy. [przypis edytorski]

Małżeństwo, Samotność,  
Mąż, Żona, Dziecko,  
Kobieta, Mężczyzna, Zdrada

„Własnego serca młodociana omyłka”. Te słowa pani Strong utkwily mi w pamięci. Często w nocy, budząc się, powtarzałem je sobie machinalnie, we śnie czytywałem je wypisane tajemniczą jakąś ręką na ścianach domów. Niedoświadczony miałem, wiem to teraz, serce, gdy pokochał Dorę, i gdyby doświadczony było, nie cierpiałoby skrycie tego, co przecierpiałó wówczas.

„Największym nieszczęściem w małżeństwie jest różność charakterów i usposobień”. I te pamiętałem słowa!

Pragnąłem podciągnąć Dorę do mych zainteresowań, nie udało mi się. Pozostawało mi teraz dostosować się do niej i być szczęśliwym. Dźwigać samotnie wszystkie życiowe ciężary i być jeszcze szczęśliwym! Powiniennem był wszelkich ku temu dołożyć starań i istotnie starania te dobrym uwieńczone zostały skutkiem. Drugi rok mego małżeństwa szczęśliwszy był od pierwszego. Życie Dory było odtąd pogodne i bez troski.

Pod koniec tego drugiego roku pogorszyło się zdrowie Dory. Zrazu cieszyłem się, myśląc, że delikatniejsze od moich, niemowłęce dłonie i uśmiechy zmieniają ją dziecinną żonę w matkę. Próżne marzenia! Mała duszyczka przez chwilę zaledwie gościła na tym ziemskim padole i odleciała na skrzydłach śmierci.

— Gdy tylko będę mogła wstać — mówiła Dora do mej ciotki — będę biegać na wyścigi z Jipem. Zrobił się taki ociężały i leniwy.

— Sądzę, duszko — zauważyła siedząca przy niej z robotą w ręku ciotka — że mu to niewiele pomoże. Jip starzeje się.

— Starzeje! — zawołała Dora, szeroko roztwierając oczy. — O! Jakie to dziwne, zabawne! Jip stary!

— Nieunikniona to kolej, kochanie — mówiła wesoło ciotka — przywyka się zresztą do tego łatwo. Spójrz na mnie. Godzę się jakoś ze starością.

— Ale Jip? — mówiła Dora, spoglądając z litością na ulubieńca. — Biedny mój, mały Jip!

— O! Pociągnie on jeszcze długo — mówiła uspokajająco ciotka, gładząc ją po policzku, a Dora tymczasem wychyliła się z łóżka, wołając Jipa, który wprawdzie podniósł łapki i usiłował służyć na rozkaz swej pani, lecz wywrócił się zadyszany, kaszląc.

— Trzeba mu sprawić na zimę flanelową kołderkę — zauważyła ciotka. — Biedne psisko! A złe! Kąsałby mnie, wyziewając ducha.

Dora wzięła go na swe łóżko; rzucał się dalej na ciotkę, a to tym zajadlej, im się pilniej przypatrywała. Jip uważał okulary za największą osobistą obrazę. Dora z trudnością go ułagodziła. Gdy zmęczony, zziębnięty był przy niej, okręcając sobie o palec długie jego uszko, Dora powtórzyła zamyślona:

— Nawet mój mały, biedny Jip!

— O! — zauważyła ciotka. — Wiele ma jeszcze siły, a jeszcze więcej złości. Długie przeżyje lata! Jeśli chcesz, kwiatku ty mój, mieć psa, który by biegał z nim na wyścigi, kupię ci.

— Dziękuję cioci, ale nie.

— Nie? — spytała ciotka, podnosząc okulary.

— Nie chcę mieć drugiego psa — rzekła Dora. — Zasmuciłoby to Jipa! Jego tylko zresztą mogę tak lubić, on mnie znał przed wyjściem mym za mąż i nie warczał wcale na Doady, nawet gdy go po raz pierwszy widział. Nie, nie lubiłabym innego psa. Jipie mój, mały, dobry, kochany!

— Masz słuszność, duszko — rzekła ciotka, gładząc jej twarz.

— Ciocia się nie gniewa? — pytała, przymilając się.

— Pocziwe dziecko — zawołała ciotka, całując ją z rozczuleniem — za cóż miałabym się gniewać? Nie myślisz tego.

— Nie, nie myślę — odrzekła — tylko jestem zmęczona i chcę pogrymasić. Grymasica ze mnie nie lada, zwłaszcza gdy mowa o Jipie. Znamy się z sobą od tak dawna. Jipie mój, stary, kochany! Nie, nie bój się, nie opuścę cię, nie sprzeniewierzę ci się, choć postarzejesz.

Jip lizał ręce swej pani.

— Ale tyś jeszcze nie stary, nie opuścisz mnie, Jipie, nie zostawisz mnie samej? — mówiła, pieszcząc się ze swym ulubieńcem.

Kobieta, Dziecko, Zdrowie

Pies

Kochana, śliczna Dora! Następnej niedzieli Traddles, który zwykle z nami w dniu tym obiadował, zapewnił, że za dni kilka znów biegać będzie. „Za dni kilka...”. Powtarzaliśmy to ciągle... i znów „dni kilka...”, a Dora powstać nie mogła z łóżka. Wyglądała prześlicznie i była wesoła, tylko te drobne stopki, tańczące dawniej ustawicznie na wyścigi z Jipem, nie chciały się poruszyć.

Z rana znosiłem ją na dół, wieczorem wnosiłem na górę. Zarzucała mi, śmiejąc się, rękę na szyję, a Jip skakał, szczekał, machał ogonkiem, nie rozumiał zgoła, co to znaczy. Ciotka, drepcząc za nami, ugiwała się pod stosami szalów i poduszek, a pan Dick nie ustąpiłby nikomu obowiązku przyświecania pochodowi. Nieraz Traddles spoglądał na nas z dołu, a Dora dawała mu przeróżne zlecenia do „najukochańszego dziewczęcia”. Pochód nasz wyglądał wesoło, najweselsza zaś była moja pieszczołka.

Lecz kiedy czułam ją taką lekką, coraz to lżejszą na mych rękach, serce mi się ścisnęło dziwną trwogą, przeczuciem czegoś nieokreślonego, a nieuniknionego. Nie chciałem zastanawiać się nad tym. Bałem się nazwać po imieniu, przyznać przed samym sobą. Raz wieczorem, słysząc słowa odchodzącej ciotki: „dobranoc, kwiatku!”, pochyliłem się nad biurkiem, czując, że mnie lży dławią. O! Fatalne, fatalne imię! Kwiaty tak szybko przekwitają, okwitłe opadają tak prędko...

## ROZDZIAŁ XLIX. WCIĄGNIĘTY JESTEM W KABAŁĘ

Pewnego poranku otrzymałem pocztą z Canterbury adresowany do Commons list, który zdziwił mnie niemało:

Kochany Panie!

Niezależne ode mnie okoliczności przerwały od niejakiego czasu stosunki, które pamięć moja przechowuje w perspektywie i blasku najmilszych wspomnień i niedających się wyrazić uczuć. Fakt ten łącznie ze sławą, jaką zjednały panu talent jego i autorskie zasługi, nie pozwala mi odtąd zwracać się do towarzysza młodości z dawną poufalością. Wystarcza mi wiadomość, że imię jego pozostanie na zawsze wyryte w archiwach naszego domu — mam na myśli starannie przez żonę mą przechowywane dokumenty, odnoszące się do byłych naszych lokatorów. Dokumenty te zaświadczą przed potomnością o stosunkach, jakie istniały pomiędzy nami.

Nie jest rzeczą człeka, znajdującego się dzięki przeszłym swym czynom i zbiegowi niepomyślnych okoliczności w sytuacji przypominającej tonącą łódź (że pozwolę sobie użyć żeglarskiego tego porównania), wdawać się w powinszowania i pochwały. Godniejsze ręce niech wawrzynowe<sup>506</sup> splatają wianki.

Jeśli zawód pański pozostawi mu wolną chwilę dla przeczytania słów tu skreślonych, spyta pan siebie tedy, co jest przedmiotem niniejszej korespondencji? Pozwolę sobie zauważyć, że pytanie powyższe nie zdziwi mnie bynajmniej<sup>507</sup>. Owszem, uznam je za najzupełniej racjonalne, upewniając zarazem, że przedmiot to wcale niepieniężnej natury.

Nie zastanawiając się dłużej nad własnymi zdolnościami i zasługami, umiejętnością powstrzymywania gromów i kierowania palącą błyskawic iskrawą, pozwolę sobie zauważyć mimochodem, że najpiękniejsze marzenia moje rozwiane zostały, spokój zniszczony, strawiona radość żywota mego, serce zatrute, czoło na zawsze zasepione. Robak się w bujnym załgał kwiecie<sup>508</sup>, przepelniła się goryczy czara, posiew podcięty u samych korzeni. Im prędzej to się skończy, tym lepiej.

Postawiony wśród najcięższych okoliczności, którymi nawet z żoną podzielić się nie mogę, przez wzgląd na jej potrójną rolę, jako niewiasty, żony

<sup>506</sup>*wawrzynowy wianek* — wieniec laurowy; honorowano nim wybitnych twórców. [przypis edytorski]

<sup>507</sup>*bynajmniej* — wcale (dosł.: jak najmniej). [przypis edytorski]

<sup>508</sup>*robak się w bujnym załgał kwiecie* — w tłumaczeniu fragment ten stanowi nieco zmodyfikowany cytat z refrenu pieśni masek z powieści poetyckiej Antoniego Malczewskiego *Maria*: „Ach, na tym świecie Śmierć wszystko zmiecie / Robak się łęgnie i w bujnym kwiecie”. [przypis edytorski]



i matki, postanowiłem raz skończyć z tą nędzą, pozostawiając sobie dwie doby zwłoki dla ostatecznego zwiedzenia stolicy, tego cmentarza najlepszych mych wspomnień. Pomiędzy innymi miejscowościami zwiedzę naturalnie tamtejsze więzienie. List niniejszy ma na celu oznajmienie panu, że pojutrze o siódmej wieczorem znajdę się przy południowej bramie tego przybytku, arcy pomocniczego w cywilnych procesach.

Ośmielam się upraszać dawnego mego przyjaciela, pana Copperfielda, jako też najszanowniejszego pana Tomasza Traddlesa — jeśli tenże istnieje i zamieszkuje obecnie Londyn — o spotkanie się ze mną w powyżej oznaczonym miejscu i łaskawe odnowienie dawniejszego naszego stosunku i kończę niniejszy list ostrzeżeniem, że ujrzą rozbite resztki tego, co pozostało niby z rozwalonej wieży...

*Wilkins Micawber*

PS. Nie zaszkodzi może dodać, że żona moja nic nie wie o moim postanowieniu.

List ten przeczytałem kilkakrotnie i chociaż znałem zawilóść stylu piszącego, jego zamiłowanie w metaforach i kreśleniu sążnistych o lada głupstwie listów, domyślałem się, że tym razem zajść musiało coś niezwykłego. Kilkakrotnie tedy list odczytywałem, rozmyślając o tym, gdy właśnie nadszedł Traddles.

— Nigdyś nie przybył<sup>509</sup> bardziej w porę! — zawołałem, witając go. — Pomożesz mi rozwiązać zagadkę. Dziwny list otrzymałem od pana Micawbera.

— Dziwnie! — zawołał Traddles. — A ja od pani, i z tym właśnie przyszedłem.

Mówiąc to, zgrzany pośpiesznym chodem, z najeżonymi włosami, Traddles wymienił ze mną listy. Patrzyłem na wyraz jego twarzy, z jakim przebiegał list pana Micawbera. Podniósł brwi, powtarzając na głos:

— „Powstrzymywania gromów i kierowania palącą błyskawic iskrą...”! Niech go! — zaklął.

Co do mnie, wziąłem się do studiowania stylu pani Micawber.

„Pozdrowienie panu Tomaszowi Traddles” — pisała — „jeśli raczy jeszcze pamiętać starą swą znajomą i zechce jej poświęcić chwilkę drogiego swego czasu. Upewniam pana T. T., że nie ośmieliłabym się nadużywać znanej mi jego dobroci, gdyby mnie do tego nie zniewoliła ostateczność”.

„Z rozdartym sercem wyznać muszę, że zmiana, która zaszła w usposobieniu i postępowaniu mego męża wobec rodziny, zmusza mnie wziąć pióro do ręki. Pan T. wyobrazić nawet sobie nie zdoła, jak wielka jest wyżej wzmiankowana zmiana. Pan Micawber stał się porywczy, skryty tak dalece, że zakrawa to na pomieszenie zmysłów. Rzadki bywa dzień bez wybuchu i sceny i pan T. zrozumie, z jakim uczuciem widzę się zmuszoną wyznać, żem przywykła codziennie słyszeć z ust męża mego, ojca licznej (a w tej liczbie dwoje bliźniąt i ostatnie nasze niemowlę!) rodziny, że się zaprzedał... strach powiedzieć... diabłu! Tajemniczość, skrytość zastąpiła poprzednio pomiędzy nami istniejące zaufanie. Najmniejsza rzecz, nawet pełne tkliwości zapytanie, co by wolał jeść na obiad, wywołuje groźbę... Ach! Rozstania! Onegdaj jeszcze na wzruszającą prośbę o dwa pensy na pierniczki pokazał nieszczęsnym bliźniętom scyzoryk.

Niech mi pan T. wybaczy dotykane bolesnych tych domowych szczegółów. Bez nich pan T. nie miałby dokładnego pojęcia o okropności mego położenia.

A teraz, czy mi pozwolonym zostanie wyjawić cel niniejszego listu? Polecieć siebie przyjaźni pana T.? O, tak, niewątpliwie! Znana mi jest jego dobroć.

<sup>509</sup> *nigdyś nie przybył* — inaczej: nigdy nie przybyłeś (konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika). [przypis edytorski]

Niełatwo zmylić kobiece, kochające oko! Pan Micawber wybiera się do Londynu i chociaż dziś przy śniadaniu zasłaniał kartkę z adresem przygotowanym do przypięcia do walizy, oko nieszczęsnej żony tajemnicze pochwyciło pismo! Czyż się ośmielę błagać Pana T., by się widział ze zbłąkanym mym małżonkiem i usiłował odwieść go na prawą drogę obowiązku, opuszczonej powrócić rodzinie? O! To byłoby za wiele!

Jeśli pan Copperfield pamięta jeszcze skromną, prawie nieznaną, dawną swą przyjaciółką, to może Pan T. zechce prosić go w imieniu moim, aby z nim razem współdziałać raczył. W każdym razie pozwolę sobie zastrzec, aby list i zeznania niniejsze pozostały pomiędzy nami. Jeśli Pan T. raczy — co uważam za nieprawdopodobne — odpowiedzieć na niniejsze pismo, zechce list swój adresować do Canterbury, *poste restante*, gdyż adresując wprost do mnie zgubiłby  
szczerze oddaną

*Emmę Micawber*”.

— Co myślisz o tym liście? — spytał mnie Traddles, gdy go powtórnie przebiegał wzrokiem.

— A ty co myślisz o tamtym? — spytałem nawzajem, widząc, że czyta jeszcze, marszcząc brwi.

— Wnoszę — odrzekł — że oba razem wzięte posiadają znaczenie głębsze od zwykłej korespondencji państwa Micawberów, nie domyślam się jednak, o co idzie. Oba listy zdają się mi pisane w dobrej wierze. Biedaczka! — słowa te stosowały się do pani Micawber — Trzeba jej w każdym razie odpisać, uspokoić ją, upewnić, że się zobaczymy z jej mężem.

Zgodziłem się na to tym chętniej, żem wyrzucił sobie lekceważenie uprzednio otrzymanego listu. Zdziwił mnie był wprawdzie w swym czasie, lecz nadto byłem zajęty własnymi sprawami i zapomniałem o tym, a myśląc od czasu do czasu o starych swych znajomych, podziwiałem tylko, jakie to „pieniężne zobowiązania” zatrzymują ich w Canterbury i dlaczego pan Micawber zdawał się unikać mnie, odkąd został u Uriaha.

Napisałem tedy list pocieszający do pani Micawber w swoim i Traddlesa imieniu, który też obydwaj podpisaliśmy. Odnosząc go na pocztę, gubiliśmy się w domysłach nad zawartą w korespondencji małżonków tajemnicą. Po południu zwierzyliśmy się ze wszystkiego ciotce i postanowiliśmy stawić się punktualnie na wezwanie pana Micawbera.

Chociaż znaleźliśmy się w umówionym miejscu o kwadrans wcześniej, już go tam zastaliśmy. Stał oparty o mur więzienny, z założonymi na piersiach rękoma, spoglądając na kominy więzienne z taką poetyczną melancholią, z jaką spoglądałby na gałęzie drzew, pod którymi spędził młodość lata.

Gdyśmy go powitali, zdawał się zmienionym, nie był tak jak zwykle uprzejmy i słodki. Nie był też odziany w czarny oficjalny surdut, lecz w stary jakiś, który ściągał na piersiach, rozmawiając z nami; tylko monokl wisiał jak zwykle i obszerny kołnierzyk jak zwykle był wykrochmalony.

— Panowie — ozwał się, powitawszy nas — okazujecie się wiernymi w potrzebie przyjaciółmi. Pozwólcie, niech się przede wszystkim dowiem, jak zdrowie obecnej pani Copperfield i *in spe* pani Traddles, gdyż przypuszczam, że przyjaciel nasz Traddles nie wstąpił jeszcze w związki małżeńskie.

Podziękowaliśmy za jego uprzejmość, udzielając żądanych wieści. Zwrócił potem uwagę naszą na starożytność murów, pod którymi staliśmy, po czym rozpoczął od „Upewniam was, panowie”. Przerwałem prosząc go, by zechciał odłożyć na bok wszelkie ceremonie i mówił z nami jak ze starymi przyjaciółmi.

— Wrusza mnie, kochany Copperfieldzie — zawołał, ściskając mi dłoń — twa serdeczność. Spotkanie nasze w tym miejscu świadczy o szlachetności serca ludzkiego. Chciałem właśnie powiedzieć, jak głęboko wruszony jestem, spoglądając na miejsca, w których spędziłem najprzyjemniejsze godziny mego życia.

— Dzięki zapewne żonie pańskiej — zauważyłem. — Jakże się miewa?

— Dziękuję panu — dostrzegłem chmurę, co mu na wzmiankę o żonie omroczyła czoło — dziękuję, nieźle. I oto Bench<sup>510</sup>, miejsce, gdzie się nie rozlegają ustawiczne kołatania wierzycieli, gdzie nie słychać od rana do nocy pogrzebowych dzwonów „pieniężnych zobowiązań”, nie ma troski o procesy, miejsce, którego mieszkańcy używać mogą wczasu<sup>511</sup> w spokoju. Oto, panowie, wiekopomne miejsca, w których dziatwa moja bawiła się w słońcu, unikając mrokami zaległych kątów. Znany mi tu kamień każdy, tłumaczy to niniejsze me wzruszenie!

— Sporo odtąd upłynęło czasu — zauważyłem.

— Tak, panie! — odrzekł z goryczą. — Będąc mieszkańcem tego przybytku sprawiedliwości, śmiało każdemu patrzyłem w oczy i urwałbym głowę temu, kto by się ośmielił obrazić mnie. A teraz!...

Odwracając się ze smutkiem od więziennych murów, pan Micawber przyjął moje ramie, drugą ręką oparł się na ramieniu Traddlesa i tak odeszliśmy razem.

— Są granice — mówił, oglądając się poza siebie — granice na szlaku wiodącym do mogiły, których człek nie chciałby przestąpić. Taką właśnie granicą jest na drodze życia mego ów przybytek sprawiedliwości.

— Na smutną pan zdajesz się być nastrojony nutę — wtrącił Traddles.

— Zgadłeś pan!

— Spodziewam się — ciągnął uprzejmie Traddles — żeś pan nie stracił zamięłowania w nowo obranej karierze. Sam jestem, jak pan wiesz, prawnikiem.

Pan Micawber odpowiedział milczeniem.

— Cóż porabia przyjaciel nasz, Heep? — spytałem, przerywając milczenie.

— Kochany Copperfieldzie — zawołał żywo, błędąc przy tym, pan Micawber — jeśli masz pryncypała mego i pracodawcę za swego przyjaciela, smuci to mnie nieskończenie. Jeśli za mego, uśmiechnąć się tylko na to ironicznie mogę. Na wszelkie zaś tyżące się pracodawcy mego zapytania odpowiem jedynie, że nie wiem, jak się miewa, lecz wygląda lisowato, że nie powiem: szatańsko. Pozwolisz mi nie zatrzymywać się dłużej na przedmiocie, który mnie w prawnej mej karierze do szaleństwa niemal doprowadza.

Wyraziłem żal mój, że, nie wiedząc, dotknął tak drażliwej kwestii, i chcąc jak najprędzej zatrzeć złe wrażenie, pośpieszyłem spytać o zdrowie pana i panny Wickfield.

— Panna Wickfield — odrzekł, tym razem czerwieniąc się, pan Micawber — jest zawsze wzorem wszelkich doskonałości. Ona to sama jest gwiazdą wśród mroków tego nędznego padolu i uwielbienie me dla niej nie zna granic. Odprowadźcie mnie, proszę, na stronę, gdyż w stanie, w którym się obecnie znajduję, potrzebuję wypoczynku.

Odwiedliśmy go na bok, w ciasną uliczkę. Oparł się o mur, otarł chustką czoło. Jeśli i ja byłem tak poważnie jak Traddles nastrojony i wyglądałem równie surowo, nie wesołym był pan Micawber towarzystwie.

— Niedolą moją jest — mówił łzawie<sup>512</sup> — to właśnie, że się najlepsze moje intencje i uczucia przeciw mnie obracają. Uwielbienie me dla panny Wickfield tkwi mi jak cierń w łonie. Lepiej by mi było być włóczęgą i żebrakiem! Zgryzota ta zgon mój przyśpieszy!

Nie odpowiadając na te lamenty, czekaliśmy cierpliwie, aż otrze ostatnie łzy, poprawi kołnierzyk i dla odwrócenia zapewne uwagi rzadkich przechodniów zanuci piosenkę, przekrzywiając kapelusz na bok. Zapropnowałem mu, czy nie zechciałby przejechać do mej ciotki i tam przenocować.

— Zaprawi pan nam poncz wedle swej recepty — mówiłem — wśród starych przyjaciół oderwie się od trapiących go smutnych myśli.

— A może — dodał Traddles — zwierzenie się umniejszy panu troski...

<sup>510</sup>Bench, właśc. *King's Bench Prison* — londyńskie więzienie położone na południowym brzegu Tamizy, istniejące od średniowiecza i wówczas związane z królewskim sądem ławniczym (*King's Bench court of law*); trafiali tu oskarżeni o zniesławienie, bankructwo, a także dłużnicy (do czasu, gdy w latach 60. XIX zniesiono karę więzienia za długi); w 1842 r. więzienie zostało stosownie przemianowane na *Queen's Prison* (w związku o objęciem władzy przez królową Wiktorię w 1837 r.) i przejęło dłużników również z zakładów karnych w Marshalsea i Fleet, natomiast więźniów umysłowo chorych przekazało do Bedlam; kolejną przyjętą nazwą było *Southwark Convict Prison*, zanim w latach 70. XIX w. podupadło, a następnie zostało zamknięte i zniszczone; ostatecznie przestało funkcjonować w 1880 r. [przypis edytorski]

<sup>511</sup>wczas (daw.) — odpoczynek. [przypis edytorski]

<sup>512</sup>łzawie — dziś popr. z inną końcówką: łzawo. [przypis edytorski]

— Róbcie ze mną, panowie, co się wam podoba — odrzekł — jestem jak zwiędła, przez słońce spieczona trawa... chciałem powiedzieć, że mnie zmogły żywioły.

Doprowadziliśmy go pod rękę do omnibusu i dotarliśmy bez przeszkód do Highgate. Sam nie wiedziałem, co mówić, Traddles musiał być w tym samym co ja usposobieniu, a pan Micawber zachowywał ponure milczenie. Usiłował chwilami być wesoły, rozpoczynał nucić jakieś piosenki, lecz popadał znów w smutek jeszcze bardziej widoczny przy tych nieudatnych próbach wesołości. Kapelusz mu się przechylił na bok, a uszy tonęły w kołnierzyku.

Zawiozłem go do ciotki, nie do siebie, przez wzgląd na stan zdrowia Dory. Ciotka przyjęła go uprzejmie. Ucałował jej rękę, odszedł do okna i tam czas jakiś, z podniesioną do oczu chustką, walczył ze swym smutkiem.

Pan Dick był w domu. Z natury swej tak czuły na każde nieszczęście, pospieszył natychmiast uściskać dłoń nowo przybyłego. Uściskom tym nie było końca, co znów zdawało się wzruszać niesłychanie pana Micawbera. Powtarzał nieustannie: „Wdzięczny panu jestem, z całego serca wdzięczny”. Z kolei rozczulało to znów dobrego staruszka.

— Przychylność tego zacnego dżentelmena — mówił pan Micawber do ciotki — podcina mnie, że pozwolę sobie użyć wyrażenia utartego pomiędzy sportowcami. Podobne dowody przychylności, podobna gościnność do głębi wzruszać muszą przywalonego niedolą, walczącego z losem człowieka.

— Przyjaciel mój, pan Dick, nie jest pospolitym człowiekiem — stwierdziła z zadowoleniem moja ciotka.

— Przekonany o tym jestem, upewnić panią mogę — stwierdził pan Micawber, zamieniając nowy z panem Dickiem uścisk dłoni. — Rozczulony jestem tą serdecznością.

— Jakże się pan czuje? — pytał pan Dick troskliwie.

— Nieźle, dziękuję panu!

— Niech się pan mocno trzyma — zalecał pan Dick.

Pan Micawber rozrzewnił się i z dłonią w dłoni nowego przyjaciela zaczął:

— Przeznaczeniem moim było, w tej panoramie, jaką jest życie ludzkie, napotykać tu i ówdzie oazy. Tak zielonej, świeżej, ożywczej, jak tutaj, nie spotkałem nigdzie.

Innym razem wszystko to bawiłoby mnie nieskończenie, teraz jednak czułem w tym wszystkim przymus i, obserwując bacznie mego gościa, widziałem w nim walkę pomiędzy chęcią zwierzenia się z czymś i chęcią zachowania tajemnicy. Walka była tak widoczna, że się aż gorączkował. Traddles, siedząc na brzegu krzesła, z poburzonymi i sterczącymi włosami, wpatrywał się w pana Micawbera, nie mogąc zdobyć się na słowo. Ciotka, chociaż też pilnie obserwowała gościa, zachowywała największą wśród nas równowagę, podtrzymując rozmowę.

— Pan jesteś odwiecznym przyjacielem mego bratanka — mówiła — żałuję, że nie miała przyjemności znać pana dawniej.

— Pani! — odpowiedział pan Micawber. — To ja na tym straciłem najwięcej, nie mając zaszczytu znać pani wówczas, gdy nie był jeszcze takim, jak obecnie, rozbitkiem!

— Rodzina pańska w dobrym, mam nadzieję, pozostaje zdrowiu?

Pan Micawber pochylił głowę.

— Pani! — rzekł z rozpaczą. — Wyrzutkom obcym dobrej doli zdrowie zwykło służyć.

— Co też pan mówi! — zawołała ze zwykłą sobie szczerością ciotka.

— Losy rodziny mojej — prawił pan Micawber — na niepewnej zawisły szali, mój pracodawca...

Zamilkł, oddając się cały obieraniu cytryny i przyrządzaniu ponczu.

— Więc pracodawca... — odpowiedział pan Dick.

— Dziękuję panu za to przypomnienie — zawołał pan Micawber.

Zamienili uścisk dłoni.

— Pracodawca mój — ciągnął — pan Heep, zaszczycił mnie raz uwagą, że jeśliby nie honoraria, których udzielać mi raczy, zostałbym chyba kuglarzem jarmarcznym, połykał węże i noże i żywił się powietrzem. Wówczas dzieci moje musiałyby przewracać koziołki, a pani Micawber wtórowałaby nam na pozytywce!

Nożem trzymanym w rękę pan Micawber uczynił ruch wymowny: „Tak, miałyby to miejsce po jego chyba śmierci!”. Po czym wziął się znów do obierania cytryn.

Ciotka oparła się łokciem o okrągły, zawsze w pobliżu niej stojący stoliczek, wpatrując się w mówiącego. Pomimo wstrętu do wyciągania z niego zwierzeń, do których nie byłby skłonny, pochwyliłbym go może tym razem za słowo, lecz wyglądał na zbyt zajętego swą czynnością: sypał do wazy cukier, grzał wodę itp. Przeczuwałem po drzeniu jego rąk i ciągłych pomyłkach, że zbliża się kryzys; jakoż istotnie odepchnął wazę, powstał z miejsca i, kryjąc twarz w chustce do nosa, rozplakał się.

— Kochany Copperfieldzie — mówił łkając — przyrządzenie ponczu wymaga świeżego umysłu i uwagi, na którą się zdobyć nie mogę.

— Mów pan, kochany panie, co panu jest — nalegałem. — Jesteś wśród prawdziwych swych przyjaciół.

— Wśród przyjaciół? — wybuchnął z rozpaczą. — Właśnie dlatego, że się znalazł wśród przyjaciół, nie mogę dłużej wytrzymać. Pytacie mnie panowie, co mi jest? Pytajcie raczej: w czym rzecz? Rzecz w podłości, rzecz w nikczemności, oszustwie, fałszerstwie, knowaniach niecznych, a wszystkiemu temu na imię: Heep.

Ciotka klasnęła w dłonie, wszyscyśmy się porwali z miejsca jak piorunem rażeni.

— Ha! Powiedziałem — wołał pan Micawber, machając chustką do nosa i rękoma tak, jak gdyby wypłynął z zalewającej go fali. — Powiedziałem! Niewiele mi pozostaje życia, dni me policzone, pozbawiony jestem wszystkiego, co może przy życiu utrzymać. Galerami mi była u tego łotra służba, galerami! O! Oddajcie żonę moją, dzieci, rodzinnego życia niewinne i święte pociechy, wskrzescie dawnego Micawbera z nędznika, który nie śmiałby rozwiązać rzemyka u obuwia tamtego, i kaźcie mi jutro noże i węże połykać, a chętnie to uczynię.

Unosił się. Starałem się go uspokoić. Próżno. Unosił się coraz bardziej, nie podobna<sup>513</sup> było dojść z nim do słowa.

— Nie! — wołał, gorączkując się, gestykulując, sapiąc. — Dłonią nie dotknę dłoni uczciwego człowieka, dopóki nie zdemaskuję, nie zgniotę jaszczurki tej, padalca: Heepa! Nie pozwolę sobie z niczyjej korzystać gościnności, góry poruszę z posad i cały wybuch Wezuwiusza cisnę na głowę tego łajdaka: Heepa. Jeść, pić, pod tym zwłaszcza dachem, ponczu wychylać nie mogę, zanim nie wydrę oczu, nie splunę w twarz łgarzowi temu, faryzeuszowi. Nie! Nie chcę znać nikogo, słowa nie przemówię, nie spocznę, zanim nie zgniotę, w atomy nie rozproszę zdrajcy tego, krzywoprzysięczy: Heepa!

Bąłem się, by nie dostał apoplektycznego ataku. W gardle go dławilo nazwisko Heepa, drżał cały, a potem opadł bezsilny na krzesło, wodząc po nas błędnym wzrokiem, czerwony, siny, z kroplami potu na czole, złamany. Chciałem mu pośpieszyć z pomocą, porwałem szklankę wody, powstrzymał mnie jednak, wyciągając patetycznie rękę.

— Nie! Copperfieldzie! Nie! Nie zbliżaj się do mnie, aż... aż... panna Wickfield... zadosyćczynienie... ze szpon tego szatana: Heepa.

Zdawało się, że podtrzymuje go jedynie nienawiść.

— Tajemnica — mówił urywanym głosem, szeptem raczej — przed światem całym, bez wyjątku: tajemnica. Za tydzień, od dziś, rano przy wszystkich... tu... obecnych... nie wyłączając ciotki... dobrodziejki... w hotelu... w Canterbury, gdzie ja i pani Micawber... zerwiemy maskę z tego nędznika: Heepa. Ani słowa więcej, cyt! Odchodzę... nie jestem w stanie... sprowadzę... na ślady zdrajcy: Heepa...

Imię to samo podtrzymywało go, dodając siły do wymawiania słów oderwanych. Porwał się z miejsca i wybiegł z domu, pozostawiając nas w zdumieniu, niepokoju, nadziei, wzruszonych. Ale i tym razem nie zdołał oprzeć się pokusie pisania listów, bośmy nie ochłonęli jeszcze z pierwszego wrażenia, a już z pobliskiej oberży, do której w tym tylko zaszedł, jak się okazało, celu, przyniesiono list następny<sup>514</sup>.

Sekretny

Kochany panie!

Zechciej pan wytłumaczyć mnie przed swą szanowną ciotką za uniesienie, któremu w obecności jej uległem. Był to wybuch tłumionych uczuć, ławy wewnętrznej, dającej się łatwiej<sup>515</sup> odczuć niż opisać.

<sup>513</sup>nie podobna było (daw.) — nie było możliwe. [przypis edytorski]

<sup>514</sup>następny (daw.) — następujący; taki oto. [przypis edytorski]

<sup>515</sup>łatwiej (daw.) — łatwiej. [przypis edytorski]

Sądzę, żem był zrozumiany co do naznaczonego terminu; od dziś dnia za tydzień w Canterbury, w przybytku publicznej zabawy, tam właśnie, gdzie niegdyś żona moja i ja mieliśmy zaszczyt połączyć z pańskim głosem nasze w pieśni nieśmiertelnego piewcy!

Po wypełnieniu obowiązku, po wymierzeniu sprawiedliwości, co mi pozwoli znów śmiało ludziom w oczy patrzeć, oddałę się, spragniony wiecznego spoczynku.

*W ciasnej i ciemnej mogile  
Spocząć choć w wieku sile.*

*Wilkins Micawber*

## ROZDZIAŁ L. SPRAWDZA SIĘ SEN PANA PEGGOTTY

Kilka miesięcy przeszło od naszego spotkania z Martą. Nie widziałem jej odtąd, lecz wiedziałem, że się porozumiewała kilka razy z panem Peggotty. Nie odkryła nic i nie było nadziei, aby odkryć co mogła względem losów Emilki. Wątpiłem, wyznaję, aby starania nasze do pomyslnych doprowadzić mogły rezultatów. Przypuszczałem, że Emilka już nie żyje.

Pan Peggotty był niewzruszony. Wytrwałość jego nie miała miary. Chociaż drżałem na samą myśl o ciosie, na jaki wiara ta i nadzieja były wystawione, tyle w nich było powagi, religijnego niemal namaszczenia, żem się przed nimi skłaniał z podziwem i poszanowaniem.

Nie ograniczał się zresztą do biernego wyczekiwania. Przyzwyczajony do ustawicznej pracy, wiedział, że nie ma prawa na samą spuszczać się Opatrzność. Wiedział, że sami sobie winniśmy pomagać. Widziałem go, jak się puścił do Yarmouth na samo przypuszczenie, że może przypadkiem umówione światło nie znajduje się w oknie chaty-łodzi. Za łada ogłoszeniem w dziennikach, mającym cień związku z przedmiotem jego poszukiwań, brał kij w rękę, w dalekie i niestety płonne<sup>516</sup> udając się wędrówki. Pływał tam i z powrotem do Neapolu, na mocy opowieści panny Dartle, a w wędrówkach tych ograniczał, jak mógł, swoje potrzeby, oszczędzając pieniądze dla Emilki, na chwilę, w której skarb ten swój odnajdzie. Nie wyrzekł przy tym słowa skargi, nie utyskiwał nawet na trudy i niewygody podróży.

Dora widywała go często i bardzo polubiła. Widzę go stojącego obok kanapy, na której leżała, mnącego kapelusz w silnej ręce. Widzę błękitne oczy mej pieścioszki, wznoszące się na niego z nieśmiałym podziwem! Czasem, gdy zachodził do mnie o szarej godzinie, zapalał fajkę i przechadzaliśmy się pomału tam i nazad po ogródku, stawał mi żywo w pamięci dom jego cichy, mały, w dniach mego dzieciństwa poznany.

Raz tak przechadzając się ze mną, powiedział, że w przeddzień zastał był Martę wyczekującą przed jego mieszkaniem. Prosiła go, by pod żadnym warunkiem nie wyjechał się z miasta, zanim się z nim powtórnie nie zobaczy.

— Czy nie mówiła dlaczego? — spytałem.

— Pytałem ją o to — odrzekł — lecz nie odpowiedziała mi nic stanowczego, zleciła tylko, abym się nie oddalał, a sama spiesznie odeszła.

— A mówiła, kiedy mniej więcej wróci?

— Nie — rzekł, podnosząc w zadumie rękę do czoła. — I o to pytałem, lecz odpowiedzieć, jak zapewniła mnie, nie mogła.

Wzbronilem był sobie<sup>517</sup> zachęcać go i nieziszczone zapewne podsycać nadzieje, toteż zostawiając przy sobie wszelkie domysły, zauważyłem tylko, że zapewne niedługo każe na siebie czekać.

W parę tygodni potem przechadzałem się samotny po moim ogródku. Wieczór ten pozostał mi na zawsze w pamięci. Był to drugi z kolei w naznaczonym przez pana Micawbera tygodniu wyczekiwania. Deszcz padał przez dzień cały i powietrze przesycone było

<sup>516</sup>płonny a. płony (daw.) — bezowocny, jałowy. [przypis edytorski]

<sup>517</sup>wzbronilem był sobie — daw. forma czasu zaprzeczonego; znaczenie: wzbronilem sobie wcześniej, uprzednio (tzn. przed czynnością lub czynnościami wyrażonymi czasem przeszłym prostym). [przypis edytorski]

wilgocią. Liście na drzewach były mokre i ciężkie, niebo zachmurzone. Deszcz przestał jednak w końcu padać i ptaszki rozśpiewały się w najlepsze. W miarę jak zapadał wieczór, milkły i pomału zapadła dokoła wieczorna, wiejska cisza, przerywana szmerem opadających z liści kropel deszczu.

Z boku, pomiędzy zielonością pnących się roślin i bluszczu, otwierał się widok na drogę. Zamyślony spojrzałem przypadkiem w tym kierunku i dostrzegłem przywołującą mnie ręką kobiecą postać.

— Marta?! — zawołałem, wychodząc z ogródka.

— Czy może pan pójść ze mną? — szepnęła żywo. — Byłam u niego, lecz go nie zastałam. Zostałam kartkę na jego stole. Mówili tam, że niebawem nadejdzie. Są wieści! Może pan iść ze mną natychmiast?

Wyszliśmy. Milcząc, uczyniła ruch taki, jak gdyby zalecała mi pośpiech i milczenie, i zawróciła ku miastu. Przyjść musiała pieszo, wskazywała na to jej odzież.

Spytalem ją, czy tędy droga, i na twierdzącą odpowiedź zatrzymałem pustą przejeżdżającą dorożkę, do której wsiedliśmy. Na zapytanie moje, gdzie jechać, odpowiedziała: „W stronę Golden Square, byle prędzej”, po czym cofnęła się w głąb pojazdu, ręką zakrywając oczy. Zdawać by się mogło, że nie zdoła znieść dźwięku ludzkiego głosu.

Miotany pomiędzy nadzieją i strachem, nie wiem, co bym dał za wyjaśnienia, o które pytać nie śmiałem. Jechaliśmy tedy w milczeniu. Czasem wychylała się z dorożki, jak gdyby przynaglić pragnęła bieg koni; poza tym pozostawała spokojna.

Wysiedliśmy w pobliżu wskazanego przez nią miejsca. Kazałem dorożkarzowi, na wszelki wypadek, czekać. Marta oparła się na moim ramieniu i poszliśmy jedną z ciemnych, wąskich uliczek, której domy wytworne niegdyś zostały obecnie przytułkiem ubóstwa. Przed jednym z takich domów Marta puściła me ramię, ruchem ręki wskazując, bym szedł za nią.

Dom był gęsto zaludniony. Na każdym piętrze uchylały się drzwi, wyglądały liczne, kobiece i dziecięce głowy, na schodach co krok mijaliśmy jakichś mieszkańców.

Jeszcze przy bramie, spojrzawszy w górę, w każdym oknie widziałem także głowy, wychylające się spomiędzy doniczek z kwiatami. Schody były szerokie, opatrzone masywną, rzeźbioną poręczą. Nad drzwiami i oknami gzymsy przedstawiały gipsowe kosze kwiatów i owoców, lecz pleśń i kurz pokryły smętne te szczątki minionej świetności. Próchno, wilgoć i czas nadwreżyły stopnie, uginające się pod krokami, miejscami zapadające się. Zauważyłem, iż usiłowano wlać w te szczątki nowe życie. Nędznym materiałem polatano największe dziury. Wyglądało to na małżeński związek starej magnatki z ubogim żakiem; niedobrane stadło odwracało się od siebie z niechęcią. Na górnych piętrach brakowało szyb, inne znów okna na głucho zabite były deskami, a przez liczne otwory, które zamiast wypuszczać, wpuszczały smrodliwe powietrze, widzieć się dawały inne temu podobne domostwa. Dziedziniec w głębi zdawał się jedną kupą śmieci.

Weszliśmy na samo poddasze, wyprzedzeni przez jakąś kobiecą postać. W niepewnym świetle na zakręcie dojrzeć mogłem, że się postać ta chwilę zatrzymała wyżej u drzwi. Po chwili ujęła klamkę, weszła.

— Co to? — szepnęła, przystanąwszy, Marta. — Weszła do mego pokoju, nie znam jej.

Lecz ja poznałem. Była to, ku memu zdziwieniu, panna Dartle.

Zaledwem zaczął<sup>518</sup> pokrótce tłumaczyć towarzysze mej, żem znał tę damę, gdy doszły nas spoza drzwi głosy — lecz słów nie można było pochwycić. Marta uchyliła ostrożnie, w milczeniu, boczne drzwi i znaleźliśmy się w ciasnej, podobnej do szafy izdebce; przymknięte drzwiczki wiodły do pokoju, który nazwała swoim.

Tu zatrzymaliśmy się. Tchu nam brakowało, a Marta położyła mi szybko dłoń na ustach. Przez uchylone nieco drzwi dojrzałem pokój dość obszerny, łóżko, a na ścianach widoczki przedstawiające okręty i morskie wybrzeża. Ani panny Dartle, ani osoby, z którą rozmawiała, dojrzeć nie mogłem. Nie mogła też dojrzeć ich stojąca poza mną Marta. Gdyśmy weszli, głosy ucichły i ciężkie zaległo milczenie. Marta, nie odejmując mi z ust dłoni, drugą przyłożyła do ucha.

<sup>518</sup>zaledwem zaczął — inaczej: zaledwie zacząłem (konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika). [przypis edytorski]

Dom, Pozycja społeczna,  
Bieda

— Nie idzie mi wcale o to, czym ją zastała, czy nie — ozwała się wreszcie wyniośle panna Dartle. — Nie dla niej tu przyszłam, a Ciebie chciałam zobaczyć.

— Mnie? — spytał cichy, łagodny głos, który nappełnił mnie dreszczem, był to bowiem głos Emilki.

— Tak, Ciebie — odparła ostro panna Dartle. — I cóż, nie płoniesz ze wstydu?

Głos ten ostry, niemilosierne słowa, przepojone nienawiścią i wzdumą, uplastyczyły mi ją, chociaż zobaczyć nie mogłem. Czulem pożerający płomień jej oczu, drżące i sine wargi, głęboko na pobladłych chudych policzkach występującą szramę.

— Chciałam — mówiła — zobaczyć igraszkę chwilowej zachcianki, którą się James Steerforth prędko znudził, bezwstydnicy, co mu się uwiesiła u szyi, stając się urągowskim motłochu w swym rodzinnym mieście, nadętą, wymuskaną kochankę podobnych jemu paniczów. Chciałam zobaczyć, jak to wyglądać może.

Coś zaszeleściło. Widocznie nieszczęsna, słowami tymi policzkowana dziewczyna rzuciła się ku drzwiom, uciekać chciała, lecz panna Dartle powstrzymała ją zapewne. Chwilę panowało milczenie.

Gdy się panna Dartle ponownie odezwała, głos jej syczał przez zaciśnięte zęby, tupiała nogą.

— Stać mi tu albo wszystkim tam na głos powiem, kim jesteś, po imieniu cię nazwę. Nie puszczę cię, chociażbym ci wszystkie wyrwać miała włosy.

Słowom tym odpowiedział jęk przyciszony i nowe zaległo milczenie. Nie wiedziałem, co przedsięwziąć. Chciałem skrócić tę wstrętą scenę, z drugiej znów strony czulem, że rzeczą pana Peggotty było zjawić się pomiędzy nimi. O! kiedyż, kiedy nadejdzie!

— I tak — zaśmiała się zjadliwie panna Dartle — mam ją wreszcie, tę nierządnicę, widzę. Trzebaż być głupim, aby się dać wziąć na tę udaną skromność i niewinność, na tę zwieszoną głowę świętoszki!

— O! Na miłość boską — zawołała Emilka — oszczędzaj mnie pani. Kiedy już znasz nieszczęsną mą historię, zlituj się, jeśli chcesz, by się nad tobą zlitowano.

— Nade mną? — sarknęła dumnie panna Dartle. — Jak śmiesz równać się ze mną, cóż może być między nami wspólnego?

— Obieśmy kobiety<sup>519</sup>! — wybuchnęła łkaniem Emilka.

— Patrzcie ją — syknęła panna Dartle — szczyci się swą hańbą. Ależ ja gardzę tobą, pomiatam, brzydzę się. Kobieta! Powiedz raczej: zakała niewieściego rodu!

— O! Zasłużyłam na to — łkała Emilka — lecz jakże strasznie to brzmi! Dobra, kochana pani! Pomyśl, com przecierpiała, jak nisko upadłam! Marto! O, Marto! Wróć! Wróć prędzej, ratuj mnie!

Panna Dartle przysunęła krzesło, na którym usiadła, jak raz naprzeciw drzwi. Teraz mogłem ją zobaczyć; spoglądała w dół, może na wijącą się z bólu u nóg swych Emilkę. Światło padało na jej twarz, widziałem zacięte usta, a w oczach blask triumfu.

— Cyt! Słuchaj mnie — mówiła. — Schowaj dla innych całą tę komedię! Nie wzruszaj mnie ani łzy twe, ani uśmiechy na zawołanie, ładaczniczo ty jakaś!

— O, nie mów tak! Ulituj się, nie mów, bo skonam lub zmysły postradam! — wołała Emilka.

— Niewielkim to byłoby nieszczęściem, niedostateczną karą za twe zbrodnie — odparła nieubłagana kobieta. — Czy wiesz tylko, coś uczyniła, dom cały pogrążając w samotnieniu i rodzinne zrywając stosunki?

— Dzień i noc o tym tylko myślałam — łkała Emilka — dzień i noc!

Widzę ją, gdyż właśnie dostrzegłem w chwili, gdy to mówiła — na klęczkach, bladą, z załamanymi rękoma, załzawionymi oczyma, podniesioną głową, którą opływały w nieładzie jasne jej włosy.

— We dnie i w nocy myślałam o tym i ciągle mam przed oczyma dom mój rodzinny taki, jakim go po raz ostatni widziałam... wieczorem... przed opuszczeniem... na zawsze! Domu mój! Wuj! Drogi, kochany wuju! Gdyby mógł on wiedzieć przynajmniej, co cierpiałam, z jaką boleścią myślałam o przywiązaniu, które tak srodze zawiodłam. O! Jeślibym wiedziała, że się gniewa, że mnie przeklina, lżej by mi może było, ale teraz żadnej, żadnej nie mam pociechy, wiedząc, jak mnie tam oni kochali, jak im rozdarłam serce...

<sup>519</sup> *obieśmy kobiety* — forma skrócona; inaczej: obie jesteśmy kobietami. [przypis edytorski]



Schyliła się, chciała może pochwycić rąbek szaty tej, którą o litość błagała, lecz Róża Dartle nie miała tkliwego serca. Siedziała, zaciskając usta, niewzruszona, dumna, wzdąrdliwa. Ręczyć mogłem, że musi wysilać całą swą wolę, by nie zdeptać leżącej u nóg jej dziewczyny. Widziałem to i wiedziałem... Ach! Czy już nigdy pan Peggotty nie nadejdzie?

— Co za bezczelność — syknęła, opanowawszy swą wściekłość. — Co za bezczelność w tych nikczemnicach! Jej dom! Jej rodzina! Czy przypuszczasz, abym się choć przez chwilę nad tym mogła zastanawiać? Jej dom! Jej rodzina! Tam pieniądze wszelkie łzy i krzywdy łąco zaciera. Byłaś częścią towaru tych handlarzy, na sprzedaż i kupienie, jak wszystko, co posiadają.

— Nie! O, nie! — zawołała Emilka. — O mnie możesz pani mówić, co ci się podoba, ale tamtych nie krzywdź, nie ubliżaj im, niemniej oni od ciebie, pani, uczciwi i musisz ich uszanować, chociażbyś nade mną nie miała litości!

Panna Dartle cofnęła się, uchylając rąbek sukni, który zrozpaczone i błagające dziewczę chwycić usiłowało.

— Mówiłam — rzekła głucha na wołanie Emilki — o jego rodzinie, o domu, w którym ja mieszkam. Ha! — zaśmiała się, mierzając okiem klęczącą. — Przedmiot to godny poróżnić matkę-damę z synem-dżentelmenem! Nie zdałabyś się nawet na kuchenną dziewczkę w domu, w który wniosłaś niesnaski, zgryzoty, poróżnienie, ty worku nadbrzeżnych śmieci, niecne narzędzie chwilowych zachcianek paniczów!

— Nie! Nie! — krzyknęła Emilka i załamała dłonie z rozpacz. — Gdy stanął na mej drodze, bodajbym w dniu tym skołała, cnotliwa byłam i niewinna, jak każda z nas, narzeczona tak poczciwego człowieka, jak często i największej nie dostanie się w udziale pani. Mieszkając w jego domu, musisz przecie sama wiedzieć, jaką posiada on przewagę nad sercem biednego, słabego dziewczęcia! Nie! Nie mówię tego na mą obronę, lecz wiem i on sam wie dobrze, jakich sposobów, jakich zakłęb i świętych obietnic użył, by mnie uwieść. Wierzyłam, ufałam mu, bom go kochała.

Róża Dartle porwała się z miejsca, odskoczyła i zamierzyła się na Emilkę z taką wściekłością i nienawiścią, że się o mało nie znalazł pomiędzy nimi. Uderzenie nie dosięgło ofiary, ręka panny Dartle opadła. Stała, drżąc od stóp do głowy, z takim wyrazem zemsty i nienawiści, z jakim obym się nie spotkał raz drugi.

— Kochałaś! Ty! Tyś kochała!? — zawołała, wyciągając przed siebie ręce i chwając się na nogach.

Emilka uchylila się przed wymierzonym w nią uderzeniem, nie mogłem znów jej dojrzeć.

— Ona go kochała! Ona, i mnie to śmie mówić, bezczelna! Ależ nierządnicę tę zasiec by różgami! Czemuż nie mogę kazać siec tę dziewczkę, na śmierć zasiec...

O, gdyby to było w jej mocy, nie zawahałaby się pewno! Gdyby pręt jaki miała pod ręką!

Pomału wściekłość jej opadała, roześmiała się cicho, ostro, wyciągając rękę w stronę tej, którą uważała za zakalę ludzkości.

— Kochała! Ona! Ścierwo to! I śmie mi mówić, że dbał o nią, może kochał, co? Handlarze ci, nędznicy, samym żyją kłamstwem!

Szyderstwo jej gorsze było od wściekłości. Co do mnie przynajmniej, z dwojga złego wolałbym być ofiarą tej drugiej. Na chwilę krótką jednak popuściła wodze wściekłości i zamykając się znów w chłodnym, bezlitosnym, wzdąrdliwym szyderstwie, ciągnęła:

— Przyszłam tu, o źródło niepokalanej miłości, aby raz w życiu przecie zobaczyć, jak wyglądają tobie podobne. Widziałam. Ciekawość moja została zaspokojona. Chciałam cię też ostrzec, abyś co prędzej skryła się pod ten tam dach swój rodzinny, na łono rodziny, którą pieniądze łąco zdolają pocieszyć. Inaczej gotowaś<sup>520</sup> znów „uwierzyć, zaufać, pokochać”. Co? Czy nie tak? Sądziłam, żeś już szerniałym szychem, zszarganą, raz na zawsze precz odrzuconą marną igraszką, a tu tymczasem zastałam panienkę, skromnisie, niewiniątko! Złoto pierwszej próby, serce przepełnione ufnością! Ha! Miłością! Pyszna rzecz, przepyszna! Jeszcze mam ci coś powiedzieć. Słuchaj! Słuchaj mnie, ty niepokalany aniele! Słuchaj i wiedz, że dotrzymam słowa.

<sup>520</sup>gotowaś — forma skrócona; inaczej: gotowa jesteś. [przypis edytorski]

Znów w niej wściekłość górę brała, umilkła tedy na chwilę, zaciskając usta i pięści, po chwili uprzednim suchym, ostrym głosem tak mówiła:

— Schowaj się pod rodzinnym swym dachem, czy gdzie ci się podoba, byle głęboko, daleko, na zawsze. Zejdź z oczu ludzkich w jak najcichszy kąt ziemi czy piekiel: mogła najbezpieczniejszym, wierz mi, byłaby ci schronieniem. Dziwię się doprawdy, że to wierne, kochające serce dotąd najspokojniej sobie bije i nie pękło z żalu. Co? Są przecież środki przyspieszające podobne rozwiązanie...

Emilka krzyknęła stłumionym głosem. Powstała, zasłuchana niby w czarowną jakąś melodię.

— Dziwne jest to zapewne z mej strony — ciągnęła Róża Dartle — lecz nie podobna mi<sup>521</sup> oddychać powietrzem, którym ty oddychasz. Wydaje mi się ono zatrute, skalane, cuchnące. Pozbyć się ciebie muszę, bądź co bądź, i jeśli do jutra tu pozostaniesz, ogłoszę cię za to, czym jesteś. Słyszysz! W domu tym uczciwie mieszkają kobiety, żony, matki i nie zgodzą się przechowywać pośród siebie podobną zarazę. Gdziebyś się nie wyniosła, nie dam ci pozostać w Londynie, słyszysz, nie dam, chyba... ano, chyba w domu, co ci rodzinnym winien być domem, w roli, jaka ci się z prawa należy. Temu to się wcale nie myślę sprzeciwiać. Z pomocą tego samego dżentelmena, który, jak twierdzisz, ubiegał się o honor otrzymania twej ręki, potrafię pozbyć się ciebie.

O, długoż jeszcze, długo, znosić będę musiał te obelgi?... Czyż już nigdy, nigdy pan Peggotty nie nadejdzie?

— Och! — jęknęła Emilka tak żałośnie, że zmiękłoby kamienne serce. Kamienne, ale nie Róży Dartle! — Och, cóż pocznę! — jęczała Emilka.

— Co poczniesz? — zaśmiała się panna Dartle — czyż nie pozostają ci wspomnienia tkliwości, miłości, szacunku Jamesa Steerfortha? Wszak chciał cię, słyszałam, wydać za własnego swego lokaja. Co? Czy nie tak? Możesz poślubić zanego sługusa, któremu cię zostawił w spuściznie. Albo też one, te wspomnienia, przeświadczenie o własnej niewinności, słuszne nasycenie się zdobytym w świecie i wśród ludzi powodzeniem i sławą, nie przeszkodzą ci zapewne uszczęśliwić „uczciwego” starającego się o twą rękę, którym się szczyliłaś dopiero. Poza tym zostaje ci już śmierć sama. Zrozpaczonemu nie trudno znaleźć ujście rozpaczy. Na anielskich skrzydłach łatwo być musi w samo wzbić się niebo.

Na schodach rozległo się stąpanie. Znałem chód ten ciężki, pewny. On to! Chwała Bogu!

Panna Dartle usunęła się spod drzwi, przez które ja patrzyłem, zabierając się do wyjścia.

— Pamiętaj tylko — dodała, kładąc rękę na kłamce — że dla wiadomych mi powodów zdecydowana jestem zniszczyć cię lub zedrzyć maskę z twej twarzy i wepchnąć tam, gdzie być powinnaś. Pamiętaj. Zniknij mi lepiej raz na zawsze z oczu, bo ostrzegam cię raz jeszcze, że spełnię, co mówiłam.

Kroki rozlegające się na schodach zbliżały się.

— Wuju!...

Straszny krzyk rozdarł piersi Emilki. Wyszedłem z ukrycia: pan Peggotty podtrzymywał zemdłą bratanicę. Patrzył na nią długo, potem nachylił się, pocałował i wyjmując z kieszeni chustkę, twarz jej nią zasłonił.

— Paniczu — rzekł mi z cicha — Ojciec Niebieski wysłuchał modłów moich. Sen mój się sprawdził. Niechże mu będą dzięki i chwała, że sobie tylko wiadomymi drogami przywiódł mi z powrotem ukochane to dziecko.

Powiedziawszy to, tuląc ją do siebie, zniósł ją z nakrytą twarzą, sztywną i nieprzytomną ze schodów.

## ROZDZIAŁ LI. POCZĄTEK DŁUGIEJ PODRÓŻY

Nazajutrz wczesnym rankiem przechadzałem się po ogródku z ciotką — ciągle bowiem czuwając nad Dorą nie używała ona prawie ruchu — gdy mi oznajmiono przybycie panna Peggotty. Wchodził właśnie do ogródka z odkrytą głową, jak to zwykł był czynić w obecności mej ciotki, którą wielce szanował. Ciotka, nie mówiąc słowa, podała mu

<sup>521</sup>nie podobna mi (daw.) — nie (jest) dla mnie możliwe. [przypis edytorski]

rękę, ściskając dłoń jego tak serdecznie, że chyba istotnie słowa byłyby zbyteczne. Pan Peggotty zrozumieć to musiał doskonale.

— Odchodzę, Trot — rzekła — kwiatek nasz już się musiał zbudzić.

— To może ja przeszkadzam pani tak wczesnym przyjściem — ozwał się pan Peggotty.

— Możesz mieć coś do powiedzenia Copperfieldowi, mój przyjacielu... — odparła ciotka — lepiej wam będzie beze mnie.

— Z przeproszeniem pani — odrzekł pan Peggotty — uważałbym za dowód łaski, jeśliby pani pozostać raczyła.

— Jeśli tak, to co innego — zawołała ciotka i biorąc pod ramię pana Peggotty, powiodła go do altanki w głąb ogrodu. Usiedliśmy z ciotką na ławeczce; pan Peggotty nie usiadł, oparł się tylko ręką o stół ogrodowy. Gdy stał tak milcząc i obracając w rękę kapelusz, nie mogłem powstrzymać się od zauważenia, jak wiele energii i siły woli było w jego twarzy okolonej siwymi, gęstymi włosami.

— Odprowadziłem wczoraj wieczorem drogę me dziecię — począł, podnosząc na nas oczy — do mieszkania, w którym od tak dawna jej oczekiwałem. Przez kilka godzin była nieprzytomna, nie wiedziała, gdzie się znajduje, a gdy mnie poznała, rzuciła mi się do nóg i jak w modlitwie wszystko wyznała. Gdym usłyszał jej głos, co tam w domu brzmiał niegdyś tak wesoło, gdym ją ujrzał w pyle płaczącą niby u nóg Zbawiciela, serce mi się okropnie ścisnęło, pomimo całej mej radości.

Podniósł rękę do oczu, otarł rękawem wielkie łzy i tak ciągnął:

— Trwało to krótko. Odnalazłem ją i chciałem dowiedzieć się, jakimi drogami podobąło się Opatrzności połączyć nas. Nie wiem doprawdy nawet, po co wspominałem o sobie i swych uczuciach. Mniejsza o mnie...

— Pocziwą masz duszę — rzekła ciotka — i pewnie znajdziesz swą nagrodę.

Pan Peggotty, na którego siwą głowę słońce poprzez gąszcz liści roniło złote prążki, skłonił się zdziwiony dobrym mniemaniem ciotki i tak prowadził dalej przerwana opowieść:

— Kiedy Emilka uciekła — mówił z bolesnym brwi ściąganiem<sup>522</sup> — z domu, w którym, jak to panicz wie, padalec ten... Niech go! ...trzymał jak uwięzioną, noc była ciemna. Szczęściem błyszczały gwiazdy. Była nieprzytomna i biegła wzdłuż morskiego wybrzeża, a sądząc, że dobieży tak aż do naszej łodzi, wołała biedaczka, abyśmy się odwrócili, bo wraca. Słyszała płacz swój i wołanie, jak gdyby to nie jej był głos, ale inny jakiś goniący ją, a uderzając się o skały i kamienie nie czuła nic, jak gdyby się sama zmieniała w skałę. Biegła tak, mając ogień w oczach i szum w uszach. Nagle, to jest, zdawało się jej, że nagle, rozświtało. Dzień był wilgotny i wietrzny, spostrzegła, że leży na kamienistym brzegu, a jakaś kobieta mówi do niej, pytając tamtejszym językiem, co się stało.

Znać było, że opowiadający widzi przed sobą to, co opowiada. W miarę jak mówił, rysowało się to wyraźniej w jego wyobraźni, mówił też wyraźniej i bardziej obrazowo, niż to obecnie potrafię powtórzyć. Wówczas i mnie, słuchającemu, zdawało się (pamiętam!), że na własne oczy widział to wszystko, tak to opowiadał wiernie, szczegółowo, plastycznie.

— Gdy Emilka — mówił — przypatrzyła się lepiej splakanyymi swymi oczyma tej kobiecie, poznała w niej jedną z tych, z którymi zwykła była rozmawiać<sup>523</sup> nad zatoką. Chociaż odbiegła daleko, znała jednak całe wybrzeże, gdyż dalekie przedtem odbywała wycieczki. Kobieta ta nie miała jeszcze dzieci, bo od niedawna była zamężna, ale spodziewała się mieć niedługo. Modłę się do Najwyższego, aby to dziecię zostało jej pociechą, chlubą, szczęściem. Niech ją czci i kocha, będzie podporą jej starości, aniołem w tym i w przyszłym życiu!

— Amen — dodała ciotka.

— Przedtem przyglądała się nieraz — mówił pan Peggotty — siadając na uboczu, Emilce, gdy ta rozmawiała z dziećmi. Nie śmiała się zbliżyć. Emilka zauważyła ją i zaczęła z nią rozmawiać, a że obie bardzo kochały dzieci, polubiły się wzajemnie. Odtąd zawsze dawała Emilce kwiaty. Oto teraz spytała, co zaszło, a gdy Emilka wszystko szczerze opowiedziała, zabrała ją... do swego domu.

<sup>522</sup>ściąganie — dziś raczej z inną końcówką: ściągnięcie. [przypis edytorski]

<sup>523</sup>zwykła była rozmawiać — daw. forma czasu przeszłego dla czynności wielokrotnej, powtarzalnej; znaczenie: miała w zwyczaju rozmawiać niegdyś (tzn. przed czasami opisywanymi). [przypis edytorski]

Tu pan Peggotty zakrył ręką oczy. Dobroć nieznanym kobiety wzruszała go więcej niż wszystko.

Nie przerywaliśmy mu z ciotką ani opowiadania, ani milczenia.

— Mała to, ciasna była chatka — mówił — lecz znalazło się w niej miejsce dla Emilki. Mąż jej był na morzu. Skryła tedy Emilkę, zalecając tajemnicę najbliższym sąsiadom. Emilka tymczasem leżała w gorączce i, co najdziwniejsze i czego zrozumieć nie mogę, zapomniała od razu mowy tamtejszej, chociaż ją umiała. Zapomniała najzupełniej i tylko po swojemu mówić mogła. Pamięta, niby przez sen, jak leżała, mówiąc ciągle po angielsku, czego nikt zrozumieć nie mógł. Ciągłe się jej zdawało, że tuż obok jest łódź nasza. Ciągłe błagała otaczających, żeby posłali powiedzieć nam, że umiera, prosi przebaczenia i błaga o jedno, jedno słówko. Ciągłe się jej też zdawało, że ten, o którym wspominałem, już wiadomy paniczowi, zagląda przez okno, szuka jej, pochwyca... Czepiała się wówczas rąk i sukien dobrej tej kobiety, wołając, aby ją broniła, skryła! Ciągłe też miała ogień w oczach i szum w uszach i straciła miarę czasu. Nie wiedziała, co wczoraj, co dzisiaj, co jutro, i wszystko, co było i będzie w jej życiu i czego nie było i nie będzie nigdy, wirowało około niej. Wszystko to było smutne, straszne, śmiała się jednak, śpiewała. Nie wiem już, jak długo to trwało, wreszcie przyszedł sen głęboki, długi, a potem leżała słaba, bezsilna jak dzieciątko małe...

Zatrzymał się, przerażony wywoływany obrazami. Po kilku chwilach milczenia tak mówił:

— Było to pogodne popołudnie, gdy się przebudziła. Takie spokojne i ciche, że słychać było szmer odpływu morza. Zdawało się jej, że to niedziela i że jest w domu, i dziwiła się tylko, skąd się wzięła ta winna latorośl u okna. Wówczas nadeszła dobra ta kobieta i wówczas dopiero Emilka domyśliła się, że nasza łódź nie jest tam obok, ale hen, daleko. Przypomniała sobie, gdzie się znajduje... wszystko przypomniała! Z płaczem rzuciła się dobrej kobiecie na łono, na którym pieści ona teraz swe dzieciątko, uśmiechając się do niego pięknymi swymi oczyma.

Każde wspomnienie dobrej tej kobiety rozrzewniało go do łez. Płakał, błogosławiąc ją z głębi serca.

— Ulżyło to mojej Emilce — mówił, opanowawszy wzruszenie, które sercem całym podzielałem i które wyciskało łzy z oczu ciotki. — Ulżyło to jej, zaczęła się poprawiać, lecz zapomniała zupełnie tamtejszej mowy i zmuszona była porozumiewać się na migi. Z każdym dniem się poprawiała, powoli, lecz widocznie, usiłując przy tym uczyć się nazw rzeczy, które się jej zdawały nowymi, nigdy przedtem niesłyszczanymi dźwiękami. Pewnego wieczoru, siedząc w oknie, patrzyła na małą dziewczynkę bawiącą się na brzegu, która nagle wyciągnęła do niej rękę, mówiąc to, co po naszymu byłoby „Oto muszla, córko rybaka”. Przedtem nazywali ją, jak to tam jest we zwyczaju „piękną panią”, lecz Emilka nauczyła ich nazywać siebie „córka rybaka”. Teraz, gdy posłyszała dziewczynkę mówiącą: „Oto muszla, córko rybaka”, rozplakała się i nagle przypomniała sobie zapomnianą mowę.

— Gdy się wzmocniła — ciągnął po chwilowym milczeniu pan Peggotty — postanowiła opuścić dach dobrej kobiety, co ją przytuliła, i wrócić do Anglii. Mąż tej kobiety wrócił był do domu i we dwoje wyprawili ją małym kupieckim statkiem do Livorno, a stamtąd do Francji. Emilka miała trochę pieniędzy, ale o wiele mniej niż potrzeba byłoby na opłacenie ich starań. Nic wziąć nie chcieli i, chociaż wiem, że są ubodzy, niech to, co zrobili dla niej, zapisane im zostanie tam, gdzie złodziej nie wtargnie i ogień nie pochłonie. To, co zrobili dla niej, paniczu, nie da się żadnym doczesnym opłacić skarbem!

Emilka przybyła tedy do Francji i dostała się do jakiejś podróżującej damy, jako służąca. Wówczas (niech go Nieba nigdy na moje nie sprowadzą drogi!) zjawił się ten padalec. Gdy go ujrzała i chociaż on jej nie widział, na nowo ogarnął ją niepokój, uciekła. Wylądowała w Dover.

— Nie wiem, co się jej stało — ciągnął Peggotty — lecz chociaż przez całą drogę myślała o tym tylko, by dostać się do domu, skoro stanęła na swej ziemi, przelęknęła się. Czego? Może sądziła, że jej nie przebaczymy i nie ulitujemy się nad nią, a może żeśmy ze smutku pomarli. „Wuju”, powiedziała, „największym strachem napęlniało mnie to, że stała się niegodną waszego przywiązania. Serce mi się krajało, ale nie śmiałam zbliżyć się do progu, który pragnęłam oblać łzami, pokryć pocałunkami i skonać na nim tak, abyście mnie z rana znaleźli już umarłą”.

— Poszła tedy — ciągnął, lzy połykając — do Londynu, gdzie biedaczka nie była nigdy, samiusienka, bez grosza, młoda taka, ładna, poszła do Londynu! Na samym wstępie zaraz spotkała ją jakaś porządna, jak się jej zdawało, kobieta, która obiecała wynaleźć jej robotę, szycie, obiecała nocleg, wywieźć się o mnie... Niecna kobieta! Lecz gdy dziecię moje — zawołał z zapalem wdzięczności — znalazło się nad przepaścią, o której myśl sama krew mi w żyłach ścina, Marta dotrzymała danego nam słowa, uratowała ją.

I mnie z piersi wydarł się krzyk radosny.

— Paniczu! — mówił pan Peggotty, silnie ściskając mi dłonie. — Panicz mi pierwszy mówił o niej, postąpiła uczciwie, bardzo uczciwie, dziękuję paniczowi. Wiedziała, smutnym nauczona doświadczeniem, gdzie szukać Emilki i jak postąpić. Opatrzność boska czuwała nad nią, niebogą! Marta blada i wystraszona zbudziła Emilkę z pierwszego głębokiego snu. „Wstań”, mówiła, „bo ci grozi większe od śmierci nieszczęście. Wstań i uciekajmy stąd”. Tamte, należące do tego domu, zatrzymać je chciały, ale Marta się nie dała. „Precz ode mnie”, wołała, „widzicie, że jestem marą, co ją wyrwa z otwartej przepaści”. Opowiedziała Emilce, że mnie widziała, że ją przebaczył, że ją kocham, szukam jej. Naprędce odziała ją we własne suknie, słabą i drżącą wyniosła niemal na własnych rękach z tej jaskini, nie odpowiadając nikomu, jak gdyby głucha była na wołania i słowa, przeszła pomiędzy nimi, unosząc wyrwaną z nory zatracenia Emilkę.

— Pielęgnowała ją — ciągnął pan Peggotty — noc całą, a potem udała się szukać mnie i panicza, panie Davy, nie wspominając przed Emilką, dokąd idzie, boby się mogła skryć lub uciec, broń Boże. Jak się ta okrutna pani dowiedziała, gdzie jest Emilka, w głowę zachodzę! Może to ten padalec wyszedł, dowiedział się, co jest prawdopodobne, od rajfurki<sup>524</sup>? Mniejsza z tym! Dość że mi Nieba wróciły moja Emilkę!

— Całą noc przesiedzieliśmy razem — mówił. — Sporo przeszło czasu, zanim ocu ciem ją, pozwoliłem wypłakać się, a potem tuląc do serca jej biedną głowę, wysłuchałem wszystkiego. Siedząc tak, wiedzieliśmy dobrze, że zaufać sobie i nawzajem na siebie liczyć możemy.

Zamilkł. Stał z opartą o stół ręką, spokojny, pewien siebie.

— Było mi to niby promieniem jasnym — ozwała się wreszcie ciotka — gdym niegdys powzięła zamiar zostać chrestną matką twej siostry, Trot, tej Betsey, co mnie zawiodła. Teraz czuję, że mało co zrobiłoby mi tak wielką przyjemność, jak trzymać do chrztu dziecko tej tam poczciwej kobiety we Włoszech.

Pan Peggotty skłonił tylko potakująco głową. Wszyscy pozostaliśmy w milczeniu, oddając się własnym myślom. Ciotka ucierała to nos, to oczy, uśmiechając się na przemian i mruczając coś do siebie.

— Zdecydowałeś już coś na przyszłość, kochany przyjacielu? — spytałem pana Peggotty.

— Najzupełniej — odrzekł. — Mówiłem już o tym z Emilką. Świat szeroki i drogi nasze powinny być tam, za morzami.

— Chcą emigrować — objaśniłem ciotkę.

— Tak — potwierdził z uśmiechem pan Peggotty. — Nikt tam w Australii nie rzuci na moją niebogę kamieniem. Razem nowe rozpoczniemy życie.

Spytałem, czy naznaczył termin odjazdu.

— Byłem już — odrzekł — w porcie i rozpytywałem o odchodzące okręty. Możemy jechać za sześć, siedem tygodni. Obejrzałem ten statek.

— Odjedźcie sami? — spytałem.

— Hm! — odrzekł. — Siostra moja tak przywiązana jest do panicza... Zresztą, jak wiadomo paniczowi, zostanie tu ktoś, komu potrzebna będzie.

— Biedny Ham!

— Siostra moja — tłumaczył ciotce pan Peggotty — zajmuje się jego gospodarką. Przywiązał się do niej. Często rozmawia z nią otwarcie o tym, o czym nie wspominałby przed nikim innym. Biedak! Nie podobna<sup>525</sup> pozbawiać go tej ostatniej pociechy.

— A pani Gummidge? — spytałem.

<sup>524</sup>rajfurka (daw.) — pośredniczka prostytucji; stręczycielka. [przypis edytorski]

<sup>525</sup>nie podobna (daw.) — nie (jest) możliwe; nie można. [przypis edytorski]

— Otóż to i kłopot z panią Gummidge — odrzekł. — Dużo o tym myślałem. Między nami mówiąc, pani Gummidge, gdy tylko wspomni swego nieboszczyka, wnet wyrzeka, beczy, z przeproszeniem pani, tak czasem u nas płacz nazywają. Otóż ja, który znalazłem nieboszczyka, wiem, ile wart był, rozumiem to doskonale, ale inni, kto wie, czy zrozumieją.

Zgodziliśmy się na to z ciotką.

— Otóż, jeśli by siostra moja mogła się z nią pogodzić, nie na zawsze, nie, na czas jakiś, zanim pani Gummidge znajdzie dla siebie coś dogodniejszego... Co do mnie, płacić jej będę regularnie, do końca życia, małą sumkę na skromne, lecz wygodne utrzymanie. Nie trzeba, aby została w opuszczeniu i nędzy, ponieważ morze dawno już pożarło poczciwego męża! Lepiej z tym tu jej będzie, niż tam pod obcym za morzami niebem.

Pomyślał o wszystkim i wszystkich, oprócz siebie.

— Emilka — mówił — zanim odjedziemy, będzie tu ze mną. Biedaczka potrzebuje spokoju i wypoczynku. Tymczasem przygotowuje potrzebną do podróży odzież, zajmie to ją i mam nadzieję, że się uspokoi, będąc ze swym kochającym wujem.

Ciotka moja potakiwała ku widocznemu zadowoleniu pana Peggotty.

— Jest jeszcze coś — mówił, sięgając w zanadrze i wyjmując paczki, którym widział przedtem. — Oto wiadome paniczowi pieniądze: pięćdziesiąt funtów i jeszcze dziesięć. Chcę do tego dodać to, co wzięła stamtąd na drogę. Pytałem ją, ile miała, nie mówiąc, w jakim pytam celu. Trzeba to dodać. Mogłem się pomylić, niech panicz przeliczy.

Podał mi rachunek. Wszystko się zgadzało.

— Dziękuję panu, panie Davy. Otóż pieniądze te, jeśli pan nic nie ma przeciw temu, włożę w kopertę, którą zaadresuję do niego samego, a wszystko razem w drugą, pod adresem jego matki. Napiszę do niej parę słów tylko, jakie to są pieniądze i że wyjeżdżam na zawsze i odesłać mi ich nie mogą.

Powiedziałem mu, że miał w tym najzupełniejszą słuszność.

— Powiedziałem, że jeszcze jest jedno — mówił ze smętnym uśmiechem, składając paczkę pieniędzy i chowając ją na powrót do kieszeni — a tymczasem jest jeszcze drugie. Otóż sam nie wiedziałem, jak powiedzieć Hamowi o wszystkim, co zaszło. Napisałem do niego i oznajmiłem mu, że jutro sam przyjadę wszystko uporządkować i pożegnać się z nimi w Yarmouth.

— Chcesz może, abym ci towarzyszył? — spytałem, uważając, że ma coś jeszcze na sercu.

— Jeśli by panicz był łaskaw — odrzekł — lżej im tam będzie dzięki panicza obecności.

Ponieważ Dora czuła się lepiej i chciała, abym jechał, kiedyś to jej opowiedział, obiecałem panu Peggotty, że mu będę towarzyszyć. Jakoż nazajutrz rano siedzieliśmy w dyliżansie, przebywając raz jeszcze razem dobrze znaną drogę do Yarmouth.

Wieczorem, przechodząc przez ulice — pan Peggotty, pomimo nalegań mych, niósł jak dawniej mą walizę — spojrziałem na drzwi sklepu „Omer i Joram”. Stary mój znajomy siedział z fajką. Chcąc pozostawić pana Peggotty samego podczas pierwszych chwil spotkania z siostrą i bratankiem, zatrzymałem się.

— Jakże się miewa pan Omer? — spytałem, wchodząc do sklepu.

Rozwiał ręką dym fajki, by mi się lepiej przyjrzeć. Poznawszy mnie, ucieszył się bardzo.

— Powstałbym na powitanie tak miłego i rzadkiego gościa — zawołał — lecz nogi mi już nie służą. Gdyby nie te nogi i brak oddechu, miałbym się wybornie.

Winszowałem mu humoru i dobrego wyglądu i wówczas dopiero zauważyłem, że siedzi w fotelu na kółkach.

— Wyborny wynalazek! — rzekł, pochwyciwszy me spojrzenie. — Lekkie jak piórko i łatwo daje się kierować. Mała Mini, wnuczka moja, wie pan, córka Minnie, popycha go bez trudu i najprzyjemniejsze odbywamy przejażdżki! Do palenia fajki też bardzo wygodny to fotel.

Nie widziałem nikogo, kto by tak jak pan Omer umiał dobre we wszystkim wynajdywać strony. Sparaliżowany, nękanym astmą, chwalił przyjemność palenia fajki w fotelu na kółkach.

— Upewniam pana — mówił — zem nigdy nie miał jeszcze tylu odwiedzających, co teraz. To ten, to ów wstąpi na pogawędkę. Aż dziwić się doprawdy trzeba! A w gazetach! Odkąd skazany jestem na to siedzące życie, dwa razy tyle co najmniej bywa ciekawych

Starość, Radość, Życie

rzeczy do czytania. Czego się teraz człek nie naczyta! Oto co mnie podtrzymuje! Gdyby to broń Boże ucierniał wzrok mój lub słuch, co bym biedny począł! Nogi, to mniejsza! Nogi, pókim ich używał, skracaly mi tylko oddech, oto i wszystko, a teraz skoro chcę wyjechać na miasto lub chociażby na wybrzeże, wołam sobie tylko Dicka (najmłodszego naszego czeladnika) i jadę najparadniej, jak sam Lord Major<sup>526</sup> Londynu.

Dusił się prawie od śmiechu i z zadowolenia.

— Bóg z wami — mówił, pykając z fajki — trzeba tylko umieć pogodzić zło i dobro, to najważniejsze w życiu. Joram doskonałe, wyborne robi interesy.

— Miło mi to słyszeć — rzekłem.

— Pewien tego byłem — odrzekł. — Joram i Minnie to para gołąbków! A nogi! Co tam nogi!

Ta wżgarda dla własnych i, o ile by się zdawać mogło, wielce użytecznych członków była godna podziwu.

— A ponieważ mówimy o czytaniu — ciągnął — mówmy i o pisaniu. Jakże pan, panie Copperfield, ślicznie i zajmująco pisze. Doczytuję do ostatniego słowa i ani razu nie zdrzemnąłem się nad pańskimi utworami.

Śmiałem się z tej oceny, w gruncie rzeczy dała mi ona wiele do myślenia.

— Zaręczam panu słowem honoru — mówił pan Omer — że gdy widzę na stole książkę: jeden, dwa, trzy tomy, czuję się dumnym na samą myśl, że mam zaszczyt znać od dawna (Oj, od jak dawna!) rodzinę autora. Pamięta pan przejażdżkę do Blunderstone? Nie większy był pan wtedy od tego oto malca.

Zmieniłem temat rozmowy, wspominając Emilkę. Wiedziałem, że się nią interesował, że lubił ją; opowiedziałem mu o jej powrocie i spotkaniu, dzięki Marcie, z wujem. Słuchał mnie z zajęciem, a gdym skończył, zawołał:

— Cieszę się szczerze. Dawno nie słyszałem równie dobrych wieści! Oto, to, to! Co teraz począć z tą nieszczęsną Martą?

— Dotknął pan właśnie — rzekłem — sprawy, o której rozmyślałem od wczoraj, ale o której nic jeszcze panu powiedzieć nie potrafię. Pan Peggotty nie nadmienił nic a nic; mnie też delikatność mówić o tym wzbraniała. Pewien jednak jestem, znając go, że nie zapomni o niej.

— Ponieważ pan się tym zajmuje — mówił pan Omer — niechże i ja mam w tym udział. Niech mi pan oznajmi, co zostanie przedsięwzięte, a gotów będę służyć, czym mogę. Zawszem utrzymywał, że to nieźla dziewczyna i na moje wyszło. Minnie, wiem to, rada będzie z tego. Kobiety bywają, widzi pan, pełne sprzeczności. Jej matka była kropla w kroplę taka sama. W gruncie rzeczy złote to serce, tak sobie dla zasady napada na Martę, a naprawdę to sama gotowa wspomóc ją i wesprzeć. Licz pan na mnie, gdy zajdzie potrzeba i coś tam postanowicie. Proszę tylko o słówko. Kiedy człowiek osiągnie metę, w której się koniec życia zbiega z początkiem, kiedy go (choć to rzecz wcale dogodna) wożą jak niemowlę w wózku, miło mu przyczynić się do czyjegós szczęścia lub spokoju. I nie o sobie to tylko mówię — dodał. — Myślę, widzi pan, że wszyscy pomału zbliżamy się do kresu życia, bez względu na wiek starszy czy młodszy, ponieważ czas nie zatrzymuje się w biegu. Trzeba tedy korzystać z każdej nadarzającej się sposobności, a wtenczas nabierzemy prawa do zadowolenia ze wszystkiego, co nas spotyka.

Otrząsnął popiół z fajki, kładąc ją przy sobie.

— Pozostaje jeszcze — mówił, pocierając ręce — ten narzeczony Emilki. Najpocziwszy w całym mieście chłopiec! Zachodzi tu do mnie wieczorami, to na gawędkę, to znów żeby mi poczytać. Pocziwy chłopak! Całe jego życie jest jednym pasmem pocziwości.

— Przybyłem właśnie, by widzieć się z nim — rzekłem.

— Doprawdy? — zawołał. — Klaniaj się mu pan ode mnie. Minnie i Jorama nie ma w domu, są na wieczorynce. Żałować będą, że nie mieli zaszczytu widzieć pana! Minnie rzadko kiedy dom opuszcza: „dla ojca”, jak mówi. Dziś namówiłem ją, grożąc, że jeśli zostanie, położy się przed zachodem słońca. Tak to Joram i ona poszli na wieczorynkę.

Śmiał się zadowolony; uściskałem mu dłoń, życząc dobrej nocy.

<sup>526</sup>Lord Major — odpowiednik burmistrza w City of London (historyczne centrum miasta); urzędnik wybierany przez mieszczan na roczną kadencję od 1189 r. (sam tytuł funkcjonuje od 1354 r.). [przypis edytorski]

— Chwilkę — zawołał. — Nie puszczę pana, nie pokazawszy mu mego słonia! Ho, ho! Nie widziałeś pan nic podobnego! Mini! Mini! — Po chwili do sklepu wbiegło ładne, świeże dziewczę o rozpuszczonych, falujących włosach.

— Oto mój słoń — śmiał się pan Omer, pieszcząc wnuczkę. — Dalej, duszko!

Dziewczę otwarło drzwi do przyległego, znanego mi niegdyś bawialnego pokoju — zmieniono go teraz na sypialny pokój pana Omera — po czym, potrząsając włosami, skryło się za poręczą fotela dziadka.

— Słonie bodą, gdy chcą coś podnieść — objaśniał, śmiejąc się, pan Omer. — No, słoniu mój! Raz, dwa, trzy!

Fotel obrócił się i, nie zważając o nic, potoczył do przyległego pokoju ku największemu zadowoleniu chorego. Oglądał się na mnie z prawdziwym triumfem.

Powałęsałem się trochę po znanych mi ulicach, po czym skierowałem kroki ku mieszkaniu Hama. Peggotty zamieszkała z bratankiem, dom swój wraz z koniem i wózkiem odstępując spadkobiercom Barkisa. Ręczyłbym, że jest to ten sam powolny rumak.

W małej, czystej kuchence zastałem ich wszystkich, łącznie z panią Gummidge, przyprowadzoną z łodzi przez samego pana Peggotty, gdyż wątpię, czy kto inny zdołałby ją skłonić do opuszczenia stanowiska. Pan Peggotty opowiedział już im snadź<sup>527</sup> wszystko, gdyż pani Gummidge i Peggotty ocierały fartuchami oczy, a Ham wyszedł był na dwór. Wrócił niebawem, ciesząc się mym przybyciem. Sądzę istotnie, że bytność moja dnia tego wśród nich wszystkim im była po sercu<sup>528</sup>.

Siląc się na wesołość, rozmawialiśmy o szansach na wzbogacenie się, jakie ma pan Peggotty tam za morzami, o ciekawych opisach, jakimi będą przepełnione jego listy. Nie wspominaliśmy imienia Emilki, chociaż rozmowa nieraz dokoła niej krążyła. Ham zdawał się najpogodniejszy spośród nas.

Lecz Peggotty, odprowadzając mnie do małej izdebki, w której na półce spoczywała księga z krokodylami, powiedziała mi, że się rana jego serca nie zablizniła. Spokój to był pozorny. Pracował nad siły, a czasem wieczorami wspominał przeszłość, życie w łodzi, mówił o Emilce, gdy była dzieckiem, nie wspominał o niej tylko nigdy jako o kobiecie.

Zdawało mi się jednak, że Ham chce pomówić ze mną na osobności. Postanowiłem wyjść nazajutrz na jego spotkanie, gdy wracać będzie z roboty. Postanowiwszy to, zasnąłem. Nocy tej, po raz pierwszy od dawna, świeca nie paliła się w oknie, pan Peggotty bujał się w swym hamaku w starej łodzi, a wiatry jak dawniej kołysały go do snu.

Cały dzień następny zajęty był porządkowaniem domostwa. Pakował i wysyłał do Londynu przedmioty, które mu mogły być potrzebne, inne przeznaczał na sprzedaż, inne znów zostawiał pani Gummidge. Ta ostatnia pozostawała z nim dzień cały. Pod wieczór, pragnąc raz jeszcze zwiedzić te miejsca, udałem się tam, urządzając się tak jednak, by przedtem jeszcze spotkać Hama.

Wiedziałem, gdzie pracuje, i w tamtą udałem się stronę. Spotkaliśmy się na nadbrzeżnych piaskach i szliśmy razem. Nie myliłem się, miał mi istotnie coś do powiedzenia i zaledwieśmy uszli kilkadziesiąt kroków, zagadnął, nie podnosząc oczu:

— Czy ją panicz widział?

— Chwilę — odrzekłem. — Zemdloną.

— A jak panicz myśli, czy ja mam ją widzieć? — spytał.

— Może za ciężką próbą byłoby to dla niej — odrzekłem.

— Właśnie tak myślałem: ciężką, za ciężką...!

— Lecz — ozwałem się łagodnie — jeśli chcesz, abym jej co od ciebie powiedział lub napisał, jeśli mi co dla niej zlecisz, wierz mi, prośbę twą wiernie spełnię.

— Wiem to, paniczu! — odparł. — Istotnie chcę jej coś powiedzieć lub napisać.

— Słucham.

Szliśmy chwil kilka w milczeniu.

— To, że jej przebaczam — począł. — Nie, nie że ja przebaczam, lecz proszę, by mnie przebaczyła, że mi się jej narzucał z uczuciami mymi. Sądzę, paniczu, że jeśli bym się jej nie narzucał, nie oświadczał, zachowałaby dla mnie siostrzane uczucia, ufałaby mi, zwierzyła się, uratowałbym ją wówczas może.

<sup>527</sup> *snadź* (daw.) — widocznie, prawdopodobnie. [przypis edytorski]

<sup>528</sup> *po sercu* — zgodnie z pragnieniem serca; por. *po myśli*. [przypis edytorski]



Ścisnąłem mu dłoń.

— Czy to jej tylko mam powiedzieć? — spytałem.

— Jeszcze coś — rzekł i zamilkł.

Duży kawał uszliśmy w milczeniu, a gdy zaczął mówić, głos jego był stłumiony. Mówił powoli, cicho, lecz wyraźnie, zatrzymywał się często.

— Kochałem ją, kocham jej wspomnienie. Teraz szczęściem byłoby dla mnie zapomnieć o niej, lecz wiem, że tego nie potrafię. Ale pan, paniczu, będąc tak uczonym, znajdziesz może sposób, by wmówić w nią, że... że nie bardzo głęboka ta rana... Przejdź i choć ją kocham, żałuję; ale ona się tym nie powinna martwić, ani też sobie wyrzucać. Niech jej panicz powie wszystko, co może ulgę jej przynieść, tylko niech wie, że nigdy się już nie ożenię, nikt jej nigdy w sercu mym nie zastąpi. Niech jej panicz to powie, a i to, że się modłę za nią codziennie.

Z prawdziwym współczuciem ścisnąłem męską jego dłoń, upewniając, że wypełnię to zlecenie.

— Dziękuję paniczowi — rzekł. — Dziękuję, że panicz chciał mnie widzieć, że towarzyszył staremu. Ciotka pojedzie jeszcze do Londynu i zobaczy się z nim przed wyjazdem, ale ja go już prawdopodobnie nie zobaczę nigdy. Pewny tego jestem. Nie mówimy o tym z sobą i niech zostanie tak, a nie inaczej, tak lepiej. Widząc go, gdy już będzie odpływał, powiedz mu, paniczu, jak przywiązany jestem do niego, był on więcej niż ojcem sierocie!

Przyrzekłem mu powtórzyć to panu Peggotty.

— Dziękuję, paniczu — mówił, ściskając mi ręce. — Wiem, gdzie panicz teraz idzie. Do widzenia.

Wskazał ręką łódź, gdzie by mu ciężko było wejść, i poszedł przed siebie. Patrząc za odchodzącym w księżycowym blasku, widziałem, jak się zwrócił twarzą do jasnej, srebrnej smugi na morzu. Pomału znikł mi z oczu.

Drzwi łodzi były otwarte, a łódź pusta, wyjąwszy starą skrzynię, na której pani Gummidge siedziała z koszykiem w ręku i wzniesionym na pana Peggotty wzrokiem. Ten wsparty o komin zapatrzył się w gasnące gównie.

Słyszac me kroki, podniósł głowę i przemówił wesoło:

— Panicz przyszedł pożegnać stare kąty. Wypróżniłem je do szczętu.

— Istotnie, nie traciłeś pan czasu — zauważyłem.

— Nie, nie traciliśmy czasu. Pracowaliśmy we dwoje, a pani Gummidge...

Mówiąc to, spoglądał na nią, lecz pani Gummidge pozostawała nieporuszona.

— Na tej to skrzyni — mówił, głos do szeptu zniżając, pan Peggotty — siadywaliście, paniczu, z Emilką. Wezmę ją z sobą, wyniosę stąd ostatnią. A to pański ciasny sypialny pokoiik. Pamiętasz, paniczu? Wieczór dziś smutny, jak przystało!

Istotnie, wiatr wyl z cicha, lecz płaczkliwie, wokół opuszczonego domostwa. Pusto w nim było... Nawet muszelkami wysadzone ramki lusterka znikły ze ściany. Przypomniało mi się własne moje dzieciństwo, pierwsza tu spędzona noc, zanim jeszcze ta wielka, straszna w dziecięcych mych losach nie zaszła zmiana. Przypominała mi się mała, rumiana, niebieskooka dziewczeczka, co oczarowała mnie wówczas. Przypomniał mi się Steerforth i zdjął mnie jakiś niepokój. Zdawało mi się, że jest w pobliżu, że go spotkam na pierwszym zakręcie ulicy.

— Nieprędko — z cicha mówił pan Peggotty — stara ta łódź nowych znajdzie mieszkańców. Mówią, że przynosi nieszczęście.

— Do kogóż należy? — spytałem.

— Do pewnego majstra, cieśli. Oddam mu dziś jeszcze klucze.

Zajrzeliśmy do drugiej izdebki i wróciliśmy do pani Gummidge, siedzącej nieruchomo na skrzyni, z koszem w ręku. Pan Peggotty, stawiając świecę na kominie, prosił ją, by wstała, gdyż chce skrzynię wynieść na dwór, zanim zgasi w domu światło.

— Danielu! — zawołała nagle, zrywając się z miejsca, upuszczając kosz i rzucając mu się na szyję. — Danielu, kochany człowieku, ostatnie moje pożegnalne w tym domu słowa będą, że nie pozostanę tu bez was. O, nie porzucaj mnie, Danielu! Nie opuszczaj!

Tak nagle zaskoczony, pan Peggotty spoglądał ze zdziwieniem to na mnie, to na panią Gummidge.

— Nie opuszczaj, Danielu! — wołała ta ostatnia. — Zabierz mnie z sobą i z Emilką! Służyć wam będę zawsze i wiernie! Jeśli są niewolnicy tam, gdzie się udajecie, zostanie waszą niewolnicą, lecz nie opuszczaj mnie, Danielu, nie pozostawiaj tu samotnej.

— Moja dobra kobieto! — perswadował pan Peggotty. — Nie wiesz, jak to daleko, jakie tam ciężkie życie.

— Wiem, wiem — twierdziła — i ostatnie me pod tym dachem słowa będą, że skonam na tym progu, jeśli mnie z sobą nie weźmiecie. Silna jestem, mogę kopać ziemię, pracować mogę, żyć byle czym. Zobaczysz, będę cierpliwa, nie posłyszysz słowa skargi lub utyskiwania. Nie, nie przyjmę od ciebie grosza, chociażbym zdechnąć miała z głodu. Chcę jechać tam z Emilką i tobą. Chociażby na koniec świata pojadę. Wiem, co to. Wiem, że myślisz, iż jestem ciężka i nudna, ale zobaczysz, jak się zmienię. Zobaczysz, jak się już zmieniłam. Nie na próżno siedziałam tu samotna, wyczekując was, myśląc o waszej niedoli. Paniczu, panie Davy, niech panicz za mną przemówi. Znam jego, znam Emilkę od dziecka, wiem, czego im potrzeba, sługą im zostaną, pracować będę na nich wszystkich i pocieszać ich. Danielu! Kochany Danielu! Weźcie mnie z sobą.

Mówiąc to, całowała mu ręce, okazując wdzięczność i przywiązanie, na które stokroć zasłużył.

Wynieśliśmy skrzynię, zgasili światło, zamknęli drzwi na klucz i pozostawiliśmy łódź jak pustą, ciemną plamę na tle miesięcznej nocy. Nazajutrz wracaliśmy dyliżansem do Londynu... Pani Gummidge z koszykiem swym była z nami. Po raz pierwszy zapewne w życiu zdawała się zupełnie szczęśliwa.

## ROZDZIAŁ LII. WYBUCH

Na dobę przed terminem oznaczonym w tak tajemniczy sposób przez pana Micawbera ciotka radziła się mnie, co ma zrobić, gdyż nie chciała odstąpić Dory. Jakże Dora była lekka, coraz lżejsza, gdy ją wnosił i znosił ze schodów!

Wbrew tedy żądaniu pana Micawbera postanowiliśmy, że ciotka zostanie w domu, zastąpi ją zaś pan Dick we własnej osobie. Tak było postanowione, gdy nagle Dora oświadczyła, że nie wybaczy nigdy swemu brzydkiemu chłopcu, jeśli ciotka pod jakim bądź pretekstem zostanie w domu.

— Nie będę mówić z ciotką — mówiła, potrząsając loczkami — przez cały dzień ani się odezwę, będę nieznośna, pozwolę Jipowi warczeć i szczekać, będę patrzeć na ciotkę jak na nieznośną starą babę.

— Ty kwiatku! — śmiała się ciotka. — Wiesz przecie, że się beze mnie obejść nie możesz.

— Owszem, mogę — mówiła Dora. — Ciocia mi na nic, na nic nie potrzebna. Czy ciocia potrafi biegać za mnie dzień cały na dół i z dołu na górę? Ciocia mi nigdy nie opowiada bajki o Doady, kiedy to przyszedł bosy, kurzem pokryty... Och! Biedne moje małe biedactwo! Ciocia mnie nigdy nie pieści, nie dogadza mi. — Tu Dora ucałowała ciotkę. — Nie, nie! Ja to tak tylko żartem mówię.

Niby ciotka mogła brać to na serio!

— Niech ciocia słucha — mówiła po chwili, znów grymasząc — ciocia musi być tam, musi pojechać. Nie dam cioci spokoju, aż ciocię wyprawię. Zobaczycie ciocia, jak zatruję życie memu chłopcu, jeśli ten brzydka nie weźmie jej z sobą. Nieznośna będę i Jip będzie nieznośny. Czemu to — dodała, odrzucając włosy i patrząc kolejno to na ciotkę, to na mnie — nie mielibyście pojechać, gdy potrzeba, i na tak długo, jak potrzeba? Czy to ja taka jestem chora?

— Co za myśl! — zawołała ciotka.

— Dziwaczysz — rzekłem, całując Dorę.

— Wiem, że jestem dziwaczna — mówiła, wodząc powoli wzrokiem i nadstawiając usta do pocałunku — toteż musicie pojechać, bo inaczej nie będę wam wierzyć i płakać będę.

Widziałem z twarzy ciotki, że mięknie, Dora też to zauważyła. Uśmiechnęła się.

— Gdy wrócicie, opowiecie mi, jak tam było. Toż nałamię sobie głowy, aby zrozumieć i spamiętać! Nie rozumiem wszystkich tych interesów, pojąć doprawdy nie mogę, a są w tym jakieś interesy, prawda? Jeśli trzeba będzie dodawać czy odejmować, to już nie

moja rzecz. Mój brzydal będzie marszczył czoło. Co? Czy tak, Doady? Jedźcie no, jedźcie. Nie będzie was tylko przez dzień jeden i Jip doskonale mnie upilnuje tu bez was, Doady wniesie mnie przed odjazdem na górę i nie zejść na dół, aż powrócicie. Dam wam list do tej brzydkiej Agnieszki, która mnie dotąd nie odwiedziła.

Zgodziliśmy się tedy, że pojedziemy oboje z ciotką i że Dora jest małą despotką, że udaje tylko chorą, by ją więcej pieoszono. Bawiło to ją nieskończenie i wieczorem we czworo, to jest ciotka, pan Dick, Traddles i ja wyjechaliśmy do Canterbury.

We wskazanym nam przez pana Micawbera hotelu, do któregośmy przybyli w nocy, zastałem list, pan Micawber pisał mi, że się na pewno zjawi nazajutrz o wpół do dziewiątej rano. Przeszliśmy potem przez napelnione wonią przeróżnego jadła, nigdy nieprzewietrzane korytarze do sypialnych naszych pokoi.

Wczesnym rankiem wybiegłem na miasto. Poczciwe stare ulice. Znow stałem w cieniu kościołów i kruczanków. Sroki i wrony jak dawniej obsiadały kościelne dachy, a wysokie wieże spoglądały na rozległy krajobraz, na łany pól żyznych, na wód strumienie, spoglądały ciche, niewzruszone, obce biegowi czasu i zmianom, jakie on przynosi. Tylko głos dzwonów o zmianach tych nie mówi. Wybijał wiek ich sędziwy i młodociane mojej Dory lata; opiewał skon tych wielu, co nigdy nie doczekali się starości, zaledwie na świat boży wyjrżeli, pokochali i znikli w przestworzach, jak kręgi na wodzie.

Z rogu ulicy przypatrywałem się staremu domostwu prawnika, nie zbliżając się jednak, w strachu, by mnie nie poznano i bym nie zniweczył niechcący planów pana Micawbera. Poranne słońce przegłądało się w szybach, złocąc je, a jednocześnie otucha jakaś wstępowała mi w serce. Wyszedłem za miasto i dopiero po jakiejś godzinie wróciłem na główne ulice, które się tymczasem z nocnej swej ciszy otrząsnęły. Pomiedzy stojącymi na progach sklepów kupcami poznałem dawnego mojego wroga, rzeźnika. Na rękę trzymał drobne dziecię i zdawał się być najspokojniejszym pod słońcem obywatelem.

Zasiadając do śniadania, wszyscyśmy byli niespokojni, a wskazówki zegara, posuwające się ku dziewiątej godzinie, niepokój nasz wzmagaly. Oprócz pana Dicka nikt z nas nie udawał nawet apetytu. Ciotka pierwsza wstała od stołu, przechadzając się tam i z powrotem po postoju, Traddles, siedząc na kanapie, trzymał wprawdzie dziennik w rękę, lecz oczu od drzwi nie odrywał, co zaś do mnie, to wyglądałem przez okno zapowiedzianego gościa. Z uderzeniem wpół do dziewiątej zjawił się na rogu ulicy.

— Idzie — oznajmiłem — i nie w oficjalnym swym stroju.

Ciotka zawiązała wstążki od kapelusza i ściągnęła szal na piersiach, jak gdyby chciała być gotowa na wszystko. Traddles wziął się też do zapinania surduta, a pan Dick, zdumiony, a może i wystraszony tymi przygotowaniami, nałożył kapelusz na głowę. Zaledwie nałożył, już go musiał zdjąć na powitanie wchodzącego pana Micawbera.

— Panowie i pani! — ozwał się pan Micawber. — Witam państwa! Kochany panie, oceniam dobroć pańską.

Przy tych słowach uściskał dłoń pana Dicka.

— Czy jadłeś pan śniadanie? Może ponczyk? — spytał pan Dick przybyłego.

— Za nic w świecie — wołał Micawber, zatrzymując wyciągniętą do dzwonka rękę pana Dicka. — Za nic w świecie. Apetyt opuścił mnie od dawna, panie Dixon.

Nowe to nazwisko przypadło do smaku panu Dickowi, który ponownie uściskał dłoń nowego swego przyjaciela, śmiejąc się dziecinnie.

— Dick — rzekła ciotka — baczność!

Pan Dick spoważniał i zarumienił się.

— A teraz — zwróciła się ciotka do pana Micawbera, nakładając rękawiczki — go-towiśmy pójść, chociażby na krater Wezuwiusza.

— Istotnie, pani — odrzekł pan Micawber — będziesz wkrótce świadkiem wybuchu. Panie Traddles! Pozwoli mi pan wyjawić obecnie, żeśmy się już z panem porozumiewali.

— Tak, istotnie — odrzekł Traddles, odpowiadając na zdumione me spojrzenie. — Pan Micawber zasięgał rad moich w tej sprawie. Radziłem mu wedle mych przekonań.

— Albo myślę się bardzo — mówił pan Micawber — albo to, co mam wyjawić, nader doniosłe posiada znaczenie.

— Tak wnoszę — wtrącił Traddles.

— Przy podobnych warunkach — mówił pan Micawber — pani i panowie, zechciecie może poddać się chwilowo przewodnictwu tego, który chociaż niegodny, by go uważano

za coś więcej niż zbłąkanego wśród ludzkości przechodnia, jest jednak bliźnim waszym, wykolejonym z przyrodzonych swych przeznaczeń, ofiarą nagromadzonych a zawyłych okoliczności!

— Ufamy panu, panie Micawber — rzekłem — i gotowiśmy we wszystkim zastosować się do pana.

— Ufność pańska, panie Copperfield, zawiedziona nie zostanie! Upraszam o pozwolenie ulotnienia się na pięć minut, po czym będę miał honor witać tu obecnych, a przybyłych dla odwiedzenia panny Agnieszki Wickfield, w kancelarii Wickfield i Heep, na której pozostają żołdzie.

Ciotka i ja spojrzeliśmy na Traddlesa, który się skłonił potakująco.

— Nic więcej na daną chwilę<sup>529</sup> nie mam do powiedzenia — zawołał pan Micawber, kłaniając się i znikając nam sprzed oczu błady, zmieniony i widocznie niespokojny.

Na pytające moje spojrzenia Traddles odpowiadał tylko uśmiechem, skłaniając najeżoną włosami głowę. Wyjąłem tedy zegarek z kieszeni, licząc minuty. Ciotka poszła za mym przykładem. Po upływie pięciu minut Traddles podał jej ramię i w milczeniu udaliśmy się wszyscy do starego domu prawnika.

Na dole, w kancelarii, zastaliśmy pana Micawbera przy biurku. Pisał, czy też udawał, że pisze. Linie<sup>530</sup> miał zatkniętą za surdut, skąd wystawała jak dzida.

Zdawało mi się, że do mnie w danym razie należy pierwsze słowo; powitałem go tedy:

— Jak się pan miewa, panie Micawber?

— A! Pan Copperfield! — odrzekł z powagą. — Witam pana! Czym mogę panu służyć?

— Czy zastaliśmy w domu pannę Wickfield? — spytałem.

— Pan Wickfield — odrzekł — jest słaby i leży na reumatyczną gorączkę, lecz nie wątpię, że panna Wickfield uradowana będzie odwiedzinami najlepszych swych przyjaciół. Proszę państwa.

Wprowadził nas do stołowego pokoju, tak dobrze mi znanego, i otwierając drzwi byłego gabinetu, zaanonsował donośnie:

— Panna Trotwood, pan Dawid Copperfield, pan Tomasz Traddles i pan Dixon.

Nie widziałem był Uriaha od owego pamiętnego wieczoru u doktora Stronga, kiedy go wypoliczkowałem. Odwiedziny nasze zdziwiły go wielce, nie bardziej wszelako niż zdumiewały nas samych. Brwi nie ściągnął z tej już najlepszej przyczyny, że nie było co ściągać, zmarszczył się tylko tak, że mu się aż oczy gdzieś zapadły, a żywy ruch ręki podniesionej do brody zdradził pewien niepokój. Trwało to okamgnienie. Po chwili łąił się pokornie i usłużnie.

— Ach! — wołał. — Co za niespodzianka widzieć tu naraz wszystkich najczcigodniejszych mych przyjaciół. Witam pana, panie Copperfield! Witam w dobrym zdrowiu i powodzeniu! Mam nadzieję, że pani Copperfield przychodzi do zdrowia? Zasmuciła nas wieść o jej chorobie, zasmuciła nieskończenie.

Wzdragałem się, gdy mi dłoń podawał, lecz cóż miałem począć.

— Panna Trotwood! — wykrzywił się w zjadliwym swym uśmiešku. — Wiele wody upłynęło od czasu, gdy mnie tu pani widywałeś jako aplikanta. Pamiętam, zwykłem był tam, przy bramie, pilnować pani konia! Cóż, nie zmieniłem się odtąd, upewniam panią, że się wcale nie zmienił.

— A, tak — oschle odparła ciotka. — Pozostałeś pan tym, czym obiecywałeś być od młodości.

— Dzięki pani! O, dzięki za tak dobre o mnie mniemanie. Micawber! Oznajmij gości pannie Agnieszce i matce mojej. Mateczka moja uszczęśliwiona będzie przybyciem tak miłych a niespodzianych gości.

— Może przeszkadzamy panu? — spytał Traddles, którego wzrok spotkał się z unikającym naszym spojrzeniem wzrokiem Uriaha.

— Bynajmniej, panie Traddles — upewniał Uriah, zacierając zimne swe, wilgotne ręce. — Roboty tu bywa sporo. My prawnicy rzadko kiedy wypocząć możemy, zwłaszcza w obecnej chwili, przy chorobie pana Wickfielda. Poczytuję jednak sobie nie tylko za

<sup>529</sup>na daną chwilę — dziś popr.: w danej chwili; w tej chwili. [przypis edytorski]

<sup>530</sup>linia — linijka; przyrząd do wykreślenia linii prostych. [przypis edytorski]

obowiązek, lecz za prawdziwą przyjemność zastąpić go i wyręczyć we wszystkim. Panowie się z sobą, panie Traddles, z bliska, o ile sędzę, nie znali? Ja sam, raz tylko, o ile sobie przypominam, miałem zaszczyt spotkać pana?

— Nie, nie znałem pana Wickfielda! — odrzekł Traddles. — Inaczej od dawna miałbym pana, panie Heep, na oku.

W tonie odpowiedzi było coś, co zapaliło w oku Uriaha złowrogi niepokój. Cały jednak sposób bycia Traddlesa nacechowany był taką naturalnością i swobodą humoru, że po chwilowym wzdraganiu się, odrzekł:

— Szkoda! Szkoda! Uwielbialbyś pan, ręczę, tego człowieka, a słabostki jego zjednałyby mu chyba tylko pańskie współczucie. Jeśli kto jednak ma tu śpiewać pochwały mego współnika, to pierwszeństwo należy się obecnemu pomiędzy nami panu Copperfieldowi. Nieograniczoną bowiem żywi przyjaźń dla tej rodziny.

Wejście Agnieszki zwolniło mnie z obowiązku odpowiadania temu niegodziwcowi. Zdała mi się zmęczona czuwaniem, stroskana, mniej niż zwykle spokojna. Powitanie jej było jednak, jak zawsze, serdeczne i ciepłe.

Uriah, podpatrujący to powitanie, zrobił na mnie wrażenie szatana podpatrującego anioła. Jednocześnie Traddles zamienił z panem Micawberem znak porozumienia i Traddles nieznacznie wysunął się z pokoju.

— Na co czekasz? — spytał Uriah Micawbera.

Ten zaś, z ręką na zapuszczonej za surduta linii, stał wyprostowany u drzwi, patrzył wprost w twarz Uriaha, jak równy w równego, podczas gdy Uriah mierzył go okiem zwierchnika.

— Możesz odejść — powtórzył, a widząc, że się podwładny nie rusza z miejsca, zniecierpliwiony dodał:

— Mówię ci przecie, że możesz odejść, słyszysz?

— Słyszę — odparł niewzruszony pan Micawber.

— Więc czemu tu stoisz?

— Bo... ano... bo mi się tak podoba! — wybuchnął pan Micawber. Uriah pobladł, poczerwieniał, każdy mięsień drgał mu w twarzy.

— Głupcem jesteś i arogantem — syknął, siłąc się na uśmiech. — Wszyscy to wiedzą i boję się bardzo, że zmuszonym będę wydalic cię. Pomówimy o tym później.

— Jeśli jest łotr pod słońcem — krzyknął, unosząc się, pan Micawber — z którym za wiele już mówiłem, to najpewniej Heep!

Heep cofnął się, jakby w same ugodzony piersi. Mętym i wściekłym potoczył po nas wzrokiem.

— Oho! Zasadzka! — syknął. — Zebraliście się tu, by mnie podejść. Zmówiłeś się, Copperfieldzie, z moim aplikantem. Ale ostrożnie! Wiemy, co o sobie myśleć mamy. Wiadomo, że pomiędzy nami wielkich afektów nie ma i nie było. Jesteś, odkąd cię znam, nadętym mazgajem, zazdrościłeś mi mego wyniesienia się, lecz znajdę na ciebie broń, przeciwstawię się twym intrygom. Micawber! Mówiłem ci już, byś wyszedł.

— Panie Micawber — rzekłem — jegomość ten wygląda istotnie tak, jak gdyby był przyparty do muru. Postąp pan z nim, jak na to zasłużył.

— O! Zacni, szlachetni — śmiał się z cicha Uriah, ocierając grube krople potu, co mu wystąpiły na czoło. — Przekupywać mego podwładnego! Te szumowiny społeczne, tego wyrzutka, jakim zresztą byłeś ty, Copperfieldzie, zanim cię jako żebraka i włóczęgę nie przygarnięto. Przekupywać go, by mnie oczernić jego oszczerstwami! Pięknie! Bardzo pięknie! I pani to, panno Trotwood, znosisz? Wstrzymaj go lub ja zatrzymam męża pani! Ha, ha! Znam tę historię! Czego my prawnicy nie wiemy! A pani, panno Wickfield, przez wzgląd na ojca nie powinna byś<sup>531</sup> się w to wszystko wdawać. Ojciec twój jest w moich rękach; zgubić go mogę jednym słówkiem. Aha! Widzicie, z kim macie do czynienia, widzicie! Pomyślcie o tym dobrze. Pomyśl, Micawber, że cię zdeptać mogę, a teraz opamiętaj się i oddal póki czas!

— Gdzie matka!? — zawołał i, obejrawszy się, spostrzegł, że nie ma Traddlesa. Sięgnął ręką do dzwonka. — Ha! Napadać kogoś we własnym jego domu!

<sup>531</sup>nie powinna byś — forma trybu przypuszczającego czasu przeszłego; dziś tylko: nie powinnaś. [przypis edytorski]

— Oto i pani Heep! — rzekł Traddles, wprowadzając do pokoju matkę godną swego syna. — Pozwoliłem sobie przedstawić się sam tej damie.

— Kimże jesteś, aby się przedstawiać — wrzasnął Uriah — i co tu robisz?

— Jestem przyjacielem i pełnomocnikiem pana Wickfielda — odrzekł spokojnie, lecz stanowczo, Traddles. — Oto pełnomocnictwo uprawnione i własną jego podpisaną dłonią. Działam w jego imieniu.

— Spoiłście starego osła — wołał Uriah, blednąc — i wymogliście na nim ten podpis podstępem chyba.

— Tak, były tu podstępny niewątpliwie — odparł Traddles, nie tracąc zimnej krwi — pan o tym najlepiej możesz wiedzieć. Odniesiemy się wreszcie w tej kwestii do obecnego tu pana Micawbera.

— Ury... — poczęła błagając pani Heep.

— Niech matka trzyma lepiej język za zębami — syknął czuły synalek — nigdy potem nie żałował ten, który milczał.

— Ależ, Ury...!

— Cicho! I zostawić mnie w spokoju. Dam sobie sam radę.

Chociaż wiadome mi było od dawna, ile jest fałszu w służalstwie jego, korzeniu się, łaszeniu, nie wyobrażałem sobie tak olbrzymiej hipokryzji<sup>532</sup>, jak ta, z której obecnie został odarty. Nagle zrzucona maska opadła, skoro ją uznał za nieużyteczną, szczyił się swą nikczemnością; do muru przyparty, miał nadzieję wywinąć się nam i własnym swym obronić jadem. Zdumiewał mnie, chociaż go od tak dawna, tak dobrze znałem.

Nic już nie powiem o jego wyzywającym, na mnie zwróconym spojrzeniu. Wiedziałem zawsze, że mnie nienawidzi i pamiętałem ślady mej ręki na jego policzku. Lecz gdy wzrok jego przeniósł się na Agnieszkę, pełen wściekłości zawiedzionych niecznych nadziei, wzdrygnąłem się na samo wspomnienie dni i lat przebytych z nim pod jednym dachem.

Pocierał ręką brodę, spoglądając na nas spode łba, krwią nabiegłymi oczyma. Zwrócił się znów do mnie, skowycząc zniewagi.

— Uważałeś, że ci wolno, Copperfieldzie, tobie, dumnemu i pysznemu, podłazić tu, przepokupywać mi podwładnych. Masz to za rzecz godziwą! Tobie to uchodzi, lecz cóż byś powiedział, gdybym to ja był na twym miejscu? Mnie to uszłoby jednak. Nie jestem paniczem, nie jestem dżentelmenem, chociaż chwała Bogu nie poniewierałem się nigdy po ulicach i gościńcach, nie wycierałem kątów u żadnych Micawberów! Ale pan! Pan! I nie boisz się następstw swego przedsięwzięcia! Nie boisz się mej zemsty. Możesz we własne uwikłać się sieci. Dobrze tedy! Kiedy tak, to tak! Zobaczmy! Dobrze. Pytajmy Micawbera, niech mówi, zapłacono mu za to i doskonale snadź<sup>533</sup> wyuczono lekcji.

Widząc, że słowa jego i miotane obelgi na nikim nie wywierają wrażenia, usiadł na rogu stołu, zakładając wyzywająco ręce do kieszeni, a nogę na nogę.

Pan Micawber, którego uniesienie powstrzymałem ruchem ręki i który przez zaciśnięte zęby nie przestawał mruczeć: „Łotr! Łotr!”, wyciągnął teraz z zanadru linę, niby miecz obosieczny, a z kieszeni dokumenty. Otworzywszy je, począł z największym zadowoleniem czytać, napawając się pięknnością stylu:

— Przesacna panno Trotwood i wy panowie!...

— A niech go! — mruknęła ciotka. — Znów zabazgrał całą ryzę papieru!

Pan Micawber, nie zważając na tę przerwę, czytał dalej:

— ...Staję tu przed wami, panowie i panie, jako oskarżyciel największego łotra, jaki kiedykolwiek i gdziekolwiek istniał!

Pan Micawber, nie odrywając oczu od papieru, wskazał linią Heepa.

— Zamiarem moim — ciągnął — nie jest uniewinnienie samego siebie, nieszczęsnej od kolebki ofiary pieniężnych zobowiązań. Zawsze byłem igraszką okoliczności i wypadku. Nędza, Głód, Rozpacz i Szaleństwo, razem lub z osobna, były mi stałymi towarzyszkami.

Zapał, z jakim pan Micawber opisywał siebie, jako ofiarę wyżej wymienionych nieszczęść, równał się tylko patetyczności, z jaką deklamował swe arcydzieło. Od czasu do

<sup>532</sup>hipokryzja (z gr. *hypokrisis*: udawanie) — obłuda, fałsz, dwulicowość: głośnie (czasem ostentacyjne) przyznawanie słuszności pewnym zasadom postępowania i normom moralnym przy jednoczesnym niestosowaniu się do tych zasad i norm w działaniu; niespójność taka w przypadku hipokryty jest zamierzona i obliczona na konkretne korzyści (materiałne, społeczne, polityczne itp.). [przypis edytorski]

<sup>533</sup>snadź (daw.) — widocznie, prawdopodobnie. [przypis edytorski]

czasu kiwał głową w mimowolnym zachwycie nad szczególnie, w wyobrażeniu jego, udanym jakimś zwrotem.

— Pod naciskiem to Nędzy, Głodu, Rozpaczy, Szaleństwa wstąpiłem do kancelarii, biura firmy prowadzonej przez Wickfielda i Heepa, przez Heepa w rzeczy samej. Heep i Heep sam jest tu osiłą wszystkiego. Heep i Heep sam jest Falszerm i Oszustem!

Uriah, sinoblady, poskoczył, chcąc wyrwać papier z rąk czytającego, lecz pan Micawber zasłonił się zręcznie, odbijając napastnika trzymaną w prawej ręce linią. Dłoń Uriaha opadła, a uderzenie rozległo się po całym pokoju.

— Diabli by cię porwali — jęknął Uriah. — Dam ja tobie!

— Jeszcze krok jeden — krzyknął pan Micawber — a roztrzaskam ci głowę. Podejdz no! Podejdz!

Nigdy nie widziałem nic zabawniejszego, wówczas nawet już tak sądziłem, nad widok pana Micawbera, który wywijał w powietrzu linią, niby mieczem, siedząc w kącie, gdzieś go wepchnęli; wylał się stamtąd ustawicznie, wołając wyzywająco:

— Podejdz no! Podejdz!

Przeciwnik jego zaś, mrużąc coś i obwijając chustką zranioną rękę, usiadł znów ze zwieszoną głową, na rogu stołu.

Pan Micawber, ochłonawszy, czytał dalej:

— Honoraria przy wstąpieniu mym do kancelarii i w służbę Heepa nie zostały dokładnie określone. Wahały się pomiędzy dwudziestu i dwudziestu sześciu szylingami tygodniowo. Reszta zależek miała od moich uzdolnień, czyli, inaczej mówiąc, od stopnia mej nikczemności, chciwości, nędzy i ogólnego moralnego, czyli<sup>534</sup> raczej niemoralnego podobieństwa, jakie się okaże pomiędzy mną a Heepem. Mamże<sup>535</sup> mówić, że wkrótce widziałem się zmuszony<sup>536</sup> udać o pieniądze zasilek, dla podtrzymania żony i wzrastającej rodziny, do tegoż Heepa? Zobowiązania moje zostały prawnie, stosownie do prawodawstwa tej Krainy, odnotowane. W ten sposób wpadłem w sieć Heepa!

Podziwiać należało zadowolenie, z jakim pan Micawber smutne te opiewał dzieje. Kunszt stylu zasłaniał przebyte nędzy. Tak czytał dalej:

— Rzeczony Heep obdarzał mnie swym zaufaniem o tyle, o ile potrzebne mu to było do strącenia z własnych bark<sup>537</sup> odpowiedzialności za piekielne iście przedsięwzięcia. Wówczas to, szekspirowskiego użycie tu wyrażenia, począłem „rozdwajać się, wahać, dręczyć”! Zauważyłem bowiem, że wymagano ode mnie fałszowania dokumentów i ustawicznego wyzyskiwania osobistości, którą pozwolę sobie oznaczyć literą W., i że pan W. wyzyskiwany był, oszukiwany w najhaniebniejszy sposób przez łotra, któremu na imię Heep i który wszywał się w pokorę, przyjaźń i wdzięczność dla tym łacniejszego podejścia rzeczonego dżentelmena W. Żle to było zapewne, lecz, jak to zauważył filozofujący Duńczyk<sup>538</sup> z tą szerokością poglądów właściwą epoce królowej Elżbiety: „Najgorsze jest już poza nami”.

Pan Micawber tak był zachwycony cytatem, że powtórzył go parę razy, szukając niby miejsca, na którym przerwał był<sup>539</sup> czytanie.

— Nie jest zamiarem moim — czytał dalej — wchodzić w wyszczególnianie wszelkich nadużyć, jakich osoba, którą pozwalam sobie oznaczyć literą W., została ofiarą i w które, niestety, wplątany byłem i ja. Celem moim, po rozważeniu „być albo być”, wedle słów Szekspira, sprzedawać się lub nie sprzedawać, działać lub nie działać, zostało wykrycie głównych nadużyć i krzywd wyrządzonych rzeczonemu dżentelmenowi W. przez łotra Heepa. Pobudzany cichą tą wewnętrzną pobudką i inną jeszcze, zewnętrzną, którą pozwolę sobie określić jako pana W., przedsięwziąłem tajemnicze dochodzenie, ciągnące się przez całe okrągłe dwanaście miesięcy.

Odczytywał to niby akt Parlamentu, wsłuchując się w brzmienie własnego głosu.

<sup>534</sup>czyli (daw.) — tu: lub. [przypis edytorski]

<sup>535</sup>mamże — konstrukcja z partykulą -że nadającą znaczenie pytania retorycznego; inaczej: czy mam, czyż mam. [przypis edytorski]

<sup>536</sup>widziałem się zmuszony — rozumiałem, że muszę. [przypis edytorski]

<sup>537</sup>z własnych bark — dziś popr. forma D.Im: (...) barków. [przypis edytorski]

<sup>538</sup>filozofujący Duńczyk — Hamlet, tytułowy bohater sztuki Shakespeare’a. [przypis edytorski]

<sup>539</sup>przerwał był — daw. forma czasu zaprzeczonego; znaczenie: przerwał wcześniej (tzn. przed wykonaniem czynności wyrażonej czasem przeszłym prostym). [przypis edytorski]

— Otóż — czytał, rzucając spojrzenie na Uriaha i trzymając w pogotowiu na wszelki wypadek linię — oto, o co oskarżam Heepa!

Powstrzymaliśmy oddech. Uriah podniósł głowę.

— Po pierwsze — czytał pan Micawber — gdy władza rzeczonoego pana W. osłabła (nie moja to rzecz wdawać się w poszukiwania przyczyn onego osłabnięcia), gdy władza rzeczonoego pana W. osłabła, on, Heep, starał się umyślnie wikłać sprawy i interesy. Gdy rzeczony pan W. najmniej bywał ku temu usposobiony, on, Heep, podsuwał mu najważniejsze dokumenty, oszukując go co do ich treści.

I tak: skłonił rzeczonoego pana W. do upelnomocnienia Uriaha do podjęcia pewnego, wcale znacznego legatu i użycia takowego, w celu pokrycia długów, w rzeczywistości nieistniejących. Całej tej sprawie nadał obrót taki, jak gdyby inicjatywa oszustwa wyszła od rzeczonoego pana W., a nadto, faktu tego używa obecnie jako broni przeciw temuż dżentelmenowi, grożąc mu tym ustawicznie.

— Będziesz musiał mi tego dowieść, Copperfieldzie — wtrącił głucho Uriah.

— Panie Traddles — zawołał pan Micawber — zechciej spytać tego oto Heepa, kto po nim zajął dawny jego lokal?

— Ten oto głupiec! — syknął Uriah.

— Spytaj go — ciągnął pan Micawber — czy mieszkając tam prowadził dziennik i notatnik?

Uriah zmieszał się widocznie.

— Albo czy spalił ów notatnik — kończył pan Micawber. — A gdy odpowie „tak” i spyta, gdzie są jego szczątki, zwróć się pan do mnie, Wilkinsa Micawbera, a udzielię panu potrzebnych wyjaśnień.

Pełne zapału słowa oskarżyciela wzruszyły matkę, która w przerażeniu zawołała:

— Ury! Ury! Ukorz się, moje dziecko, wejdź w układy.

— Cyt, matko — syknął czuły synalek — mieszasz się w nie swoje rzeczy! Przestraszona, sama nie wiesz, co pleciesz. „Ukorz się” — i śmiał się, spoglądając na mnie z ukosa. — Niejednego już ja, z całą pokorą, ukorzyłem.

Pan Micawber majestatycznie poprawił kołnierzyk, schował w niego brodę i dalej mówił:

— Po wtóre, o ile zauważyłem, doszedłem i sądzę, Heep kilkakrotnie...

— Ba, dowód! — zaśmiał się Uriah. — Cicho, matko!

— Będzie natychmiast dowód — krótko odparł pan Micawber. — Otóż po wtóre: Heep kilkakrotnie, o ile zauważyłem, doszedłem i przekonany jestem, fałszował na rachunkach, księgach i dokumentach podpis rzeczonoego dżentelmena, pana W., w pewnym zwłaszcza wypadku, na co mam niezbite dowody, a mianowicie...

I znów pan Micawber wpadł w zachwyt nad licznie zgromadzonymi zwrotami. Nie była to jemu tylko samemu właściwa słabostka. W ciągu życia zauważyłem ją niejednokrotnie, mógłbym nawet powiedzieć, że jest to słabostka ogółu ludzi. Przy udzielaniu na przykład legalnych zeznań, składaniu przysięgi, świadkowie szukają słów efektownych, których wymawianie zwykło ich napępiać niekłamanym zadowoleniem. Dawne kościelne kłątwy powstały na podobnej zasadzie. Forma ich imponowała słuchaczom. Mówimy o despotyzmie słów, lecz sami raczej rozgłaszamy takowe przy lada okazji.

Jak przy paradnych występach nie zwracamy uwagi na znaczenie naszych ubiorów, o ile zadowala nas ich liczba i blask — tak samo szyk słów miewa pierwszeństwo przed ich doniosłością. I tak jak niejedna pada ofiarą zbytnej wystawności — i zbyt liczni niewolnicy buntują się często przeciw swym panom — mógłbym wymienić naród pewien, któremu nadużycie słów niechybnych przyczynia kłopotów i większych jeszcze przyczyni.

Pan Micawber czytał, obliczając się niemal:

— Rzeczony dżentelmen, jako że pan W. czuł się słaby, w przypuszczeniu, że zgon jego byłego pryncypała sprowadzić może pewne dla niego, Heepa, niepomyślnie odkrycia i zachwiać jego w rodzinie tej przewagę, jak to się mnie, Wilkinsowi Micawber, zdaje (chyba, że córka owego dżentelmena, panna W., przez dziecięce przywiązanie lub skutkiem ubocznych jakich wpływów, sprzeciwi się stanowczo rozpatrywaniu pozostawionych przez ojca interesów) on, Heep, wystawił sobie pokaźny weksel na sumę pożyczoną niby panu W., dla rzekomego „osłonięcia jego honoru”. Sumy tej pan W. w rzeczy samej nigdy nie widział. Wszystko to, ja, Wilkins Micawber, świadczę, jest fałszerstwem



i oszustwem Heepa. Mam tu oto kilka prób fałszowania podpisu pana W. Tu i ówdzie pozostały szczątki ze spalonego notatnika. Ale nie o te próby nam idzie, posiadam sam dokument.

Uriah podskoczył do biurka, otworzył, lecz nagle opamiętał się i zwrócił ku nam.

— Posiadam dokument — czytał pan Micawber, spoglądając w zeszyt jak kaznodzieja głoszący kazanie. — Jest on w moim posiadaniu, to jest, właściwie mówiąc, złożony został w ręce tu obecnego pana Traddlesa.

— Tak jest — potwierdził Traddles.

— Ury! Ury! — zawołała matka. — Ukorz się, wejdź w układy. Panowie! Znam mego syna, wiem, że się ukorzy. Dajcie mu tylko czas do namysłu! Panie Copperfield, pan go zna przecie, wie, jak bywa pokorny.

Dziwnie! Stara trzymała się metody, której się syn jej odrzekł.

— O, matko — ozwał się, gryząc chustkę, którą obwiązał był uderzoną rękę — lepiej byś mi w łeb palnęła.

— Kocham cię, mój synu — płakała stara i pewien byłem, że mówiła prawdę; syn i matka dobrali się jak dwa ziarna maku. — Kocham cię i nie mogę ścierpieć, abyś tak wyzywająco przemawiał do państwa. Narażasz się, moje dziecko! Tam na górze, gdy mi pan ten — wskazała Traddlesa — powiedział, że wszystko odkryte, upewniłam go w twym imieniu, że się ukorzysz, przeprosisz, ustąpisz. Widzicie panowie, jak jestem pokorna, niechże moja przynajmniej wzruszy was pokora!

— Czy nie widzisz, matko — pieniać się ze złości, mówił Uriah, wskazując krogulczym swym palcem mnie jako sprawcę całej tej awantury — czy nie widzisz, jak tym wszystkim, co pleciesz, zadowalasz Copperfielda?

— Powstrzymać się, synu, nie mogę — płakała stara — widząc, jak na oślep lecisz na niebezpieczeństwo, zadzierając nosa. Ukorz się, ukorz, na lepsze ci to wyjdzie.

Milczał, gryząc chustkę do nosa, a potem zwracając się ku mnie:

— I co tam jeszcze nawymyślaliście? — zawył.

Pan Micawber pośpieszył nawiązać przerwany ciąg swych oskarżeń.

— Po trzecie i ostatnie. Jestem w możności przedstawić fałszowane przez Heepa księgi, jako też jego własnoręczne, na własny użytek robione notatki o istotnym stanie rzeczy. Dokumenty te stanowią niedopalone ćwiartki notatnika, odnalezionego przez żonę mą, panią Micawber, w popiołach komina, w zajętych przez nas po Heepach mieszkaniu. Mam w ręku dowody tego, jak przez lat wiele Heep wykorzystywał zaufanie, słabość, rodzicielskie przywiązanie, usterki i słabostki, a nawet cnoty nieszczęsnego pana W., dowiodę, że pan W. na wszelkie sposoby, moralnie i materialnie, był oszukiwany przez Heepa, którego celem było wyniesienie się, zbogacenie i owdnięcie panem i panną W. Ostatnimi jeszcze czasy wymógł na rzeczonym dżentelmenie nie tylko rzeczenie się udziału w spółce, lecz i symulowaną sprzedaż wszelkich ruchomości pod dachem tym pozostającej, w zamian za dożywocie, które on, Heep, wypłacać miał swemu byłemu zwierzchnikowi. Dowiodę, że sieci te, poczawszy od kłamliwych, budzących popłoch sprawozdań, wprowadzania pana W. w wątpliwe spekulacje, gdy nie posiadał potrzebnych w rękę pieniędzy, dostarczanie mu takowych na lichwiarskie procenty z własnej swej, czyli jego raczej kieszeni, są zawile i tak dalece oplatały pana W., że się w nich o mało nie udusił. Bankrut, jak sądził, z zaszarganą czią i opinią, ujrzał się w rękach potwora, który stając mu się niezbędny, do tym pewniejszej popychał go zguby. Na wszystko to i na wiele więcej niezbite posiadam dowody.

Szepnąłem parę słów płaczącej na poły radośnie, na poły z żalu Agnieszce. Powstałiśmy z miejsc, sądząc, że pan Micawber dotarł do końca swego arcydzieła.

Lecz ten, wyrzekłszy „za pozwoleniem”, rozpoczął na nowo:

— Skończyłem. Pozostaje mi jeszcze udowodnić powyższe oskarżenia, po czym z nieszczęsną mą rodziną zniknąć z widnokregu, gdzie jestem zakalą. Szybko to spełnimy. Pierwsze umrze z wycieńczenia niemowlę nasze, najślabszy członek rodziny, po czym, naturalnym biegiem rzeczy, przyjdzie kolej na bliźnięta. Niechże i tak będzie! Co do mnie, pobyt w Canterbury podkopał mnie, a procesy i więzienie za długi dokonają reszty. Sądzę, że trudy i niebezpieczeństwa dochodzenia, których małą tylko cząstkę przedstawiłem powyżej, poszukiwania czynione pod naciskiem grozy i piętężnych kłopotów, prowadzone od wschodu do zachodu słońca, pod baczny okiem tego, którego zbytecznym

byłoby nazwać wcielonym szatanem, wszystko to razem wzięte wraz z uwzględnieniem ojcowskich mych uczuć i chronicznego ubóstwa, będzie niby krople ożywczej rosy na przedwczesnej mej mogile. Więcej nie żądam! Niechże o mnie, jak o szlachetnym marynarzu bohaterze, z którym pozwolę sobie w danym razie współzawodniczyć, powiedziane będzie, że skonał: za Ojczyznę, Rodzinę i Piękno. Pozostaję etc. Wilkins Micawber.

Pan Micawber, wzruszony, lecz dumny, z zadowoleniem złożył długi manuskrypt, ofiarując go z głębokim ukłonem mej ciotce.

W pokoju, w którym znajdowaliśmy się, stała znana mi z dawien dawna żelazna szafa. Klucz z niej nie był wyjęty. Domysł snadź<sup>540</sup> jakiś mignął w myśli Uriaha, bo poskoczył ku szafie, otworzył. Była pusta.

— Gdzie księgi?! — zawołał, mieniać się<sup>541</sup> straszliwie na twarzy. — Skradziono mi je!

— Moje to dzieło. Dostałem dziś rano jak zwykle, wcześniej tylko nieco, klucz i wybrałem, co mi było potrzeba — rzekł pan Micawber.

— Bądź pan spokojny — upewnił Uriaha Traddles — księgi i papiery znajdują się w moim posiadaniu, pilną o nich będę miał pieczę.

— Przechowujesz rzeczy kradzione! — zawołał Uriah.

— Dozwolone to w pewnych razach.

Tu, ku największemu memu zdziwieniu, zachowująca się dotąd wzorowo spokojnie ciotka poskoczyła do Uriaha, porywając go za kołnierz.

— A wiesz, czego ja chcę, niegodziwcze? — zawołała.

— Kaftana bezpieczeństwa — odparł.

— Nie, mego dobra, funduszu. Agnieszko, duszko, milczałam, dopóki sądziłam, że jest to dziełem twego ojca. Nie pisałam słówka samemu nawet Davy, wmawiałam, że straciła na nieudanej spekulacji, ale teraz, kiedy wiem, komu to zawdzięczam, muszę się policzyć z tym niegodziwcem! Trot, pomożesz mi odebrać od niego, co się nam należy.

Czy się ciotce zdawało, że Heep nosi jej fundusz za kołnierzem, nie wiem, lecz to wiem, że się energicznie zawijała koło jego gardła. Musiałem się wmieszać, upewniając ciotkę, że prawnie odbierzemy, co do nas należy. Uspokoila się i usiadła na uprzednim miejscu, jak gdyby nic nigdy nie zaszło.

Przez cały ten czas pani Heep wołała na syna, aby się ukorzył, i czepiała się naszych kolan, błagając i obiecując niestworzone rzeczy. Wreszcie syn posadził ją gwałtem na krześle i stając przed nią i przytrzymując jej ramię, spytał mnie z nienawistnym spojrzeniem:

— Cóż teraz zamierzacie począć?

— Natychmiast ci to powiem — odrzekł mu Traddles.

— Czy to Copperfield nie ma języka? — mruknął Uriah. — Wiele bym dał temu, kto by mnie upewnił, że mu go wyrwano.

— Uriah się ukorzy! — wołała stara. — Nie zwracajcie państwo uwagi na jego słowa.

— Oto, co zamierzamy — przerwał Traddles. — Przede wszystkim i natychmiast oddasz nam akta.

— Przypuśćmy, że nie oddam.

— Po co to przypuszczenie? Oddasz, musisz oddać.

Przyznać muszę, że po raz pierwszy uderzyła mnie jasność, rozsądek, zimna krew, praktyczność postępowania Traddlesa.

— Po wtóre — mówił — musisz być przygotowany do zwrócenia wszystkiego, co nieprawnie zagarnął, wszystkiego, do ostatniego pensa. Po trzecie, księgi, akta, dokumenty, waluty: wszystko to w naszych pozostanie rękach.

— Ależ — rzekł Uriah — dajcie mi przynajmniej czas do namysłu.

— Zapewne, lecz papiery natychmiast zostaną nam wręczone i, krótko mówiąc, prosić pana będziemy o nieopuszczanie własnego pokoju i niewidzenie się z nikim.

— Nie chcę — syknął Uriah.

<sup>540</sup>snadź (daw.) — widocznie, prawdopodobnie. [przypis edytorski]

<sup>541</sup>mieniać się (daw.) — tu: zmieniając się. [przypis edytorski]

— W takim razie jest krata więzienna i chociaż prawo nie tak pośpiesznie wymierzy nam sprawiedliwość, ciebie zasłużona nie ominie kara. Wiesz to sam i rozumiesz doskonale. Copperfieldzie, pójdź, proszę, na Guildhall<sup>542</sup> i przywołaj paru policjantów.

Tu pani Heep zaczęła na nowo szlochać, rzucając się do nóg Agnieszce i błagając, by się wstawiła za jej synem. Wszystko to prawdą było, przyznawała, lecz Uriah się ukorzy.

Co zaś Uriah przedsięwziąłby, jeśli mu stało<sup>543</sup> odwagi, przewidzieć trudno, tak jak przewidzieć trudno, co przedsięwziąłby kundel obdarzony lwią siłą i nieśmiałością. Tchórzem był do szpiku kości, cała jego nikczemność na wierzch wyszła.

— Stój! — zawołał na mnie, ocierając zimny pot z czoła. — Matko, nie ma rady, oddaj im dokument. Poszukaj.

— Może pan zechce pomóc — zwrócił się Traddles do pana Dicka.

Dumny z danego sobie zlecenia, pan Dick towarzyszył pani Heep do pokoju jak wierny pies pasterski. Niewiele jednak tym razem musiał mieć kłopotu z powierzoną swej straży owieczką. Pani Heep przyniosła nie tylko żądane papiery, lecz całą skrzynkę, w której były zamknięte, gdzieśmy znaleźli wiele innych, w przyszłości nader nam użytecznych dokumentów.

— Dobrze — rzekł Traddles, przejrawszy je starannie. — A teraz namyśl się, panie Heep. Powtarzam panu, nie ma innego wyjścia, i czasu do stracenia nie mamy.

Uriah, nie podnosząc oczu, posunął się ku drzwiom, tu stanął i rzekł:

— Nienawidzę cię, zawszem cię nienawidził<sup>544</sup>, Copperfieldzie! Powstałeś z niczego i zawszem był<sup>545</sup> przeciw mnie.

— Jak ci to już raz mówiłem — odrzekłem — sądzę, żeś ty to był przeciw światu całemu. Zastanów się na przyszłość, gdyż chciwość i przebiegłość zawsze się w końcu przeciw samym sobie obróca. Pewnik to taki jak śmierć.

— Albo taki jak te, których uczono w szkole — odmruknął Heep. — Tej właśnie, gdzie mnie ćwiczone w pokorze: od dziewiątej do jedenastej słyszałem, że praca jest przekleństwem, a od jedenastej do pierwszej, że jest radością, szczęściem i tak dalej. Twoje kazanie podobne jest do tamtych. Na nic mi się pokora nie zdała, chociaż bez niej nie ujarzmiłbym mego współnika. A ty, Micawber, mój junaku, posłyszysz ty jeszcze o mnie.

Pan Micawber stał ciągle w obronnej pozycji i dopiero gdy Uriah zniknął za drzwiami, zwrócił się do mnie z prośbą, abym wraz z całym towarzystwem zechciał być świadkiem jego pogodzenia się z rodziną.

— Gdyż stopniały lody — mówił — wznoszące się pomiędzy nami, to jest między panią Micawber i mną. Odtąd dzieci moje i autor ich istnienia mogą się połączyć w zupełnej jedności.

Ponieważ wszyscyśmy zaciągnęli<sup>546</sup> względem niego dług wdzięczności za znakomitą, oddaną nam dopiero co usługę, zgodziliśmy się niezwłocznie na jego wezwanie. Choroba ojca przywoływała jednak Agnieszkę do łóżka chorego, a Traddles musiał się upewnić co do osoby swego więźnia, tak że tylko ciotka, pan Dick i ja pójść mogliśmy z panem Micawberem. Żegnając lube dziewczę, któremu tyle zawdzięczałem, i myśląc, od jakiej obroniona została niedoli, błogosławiłem niedole własnego mego dzieciństwa. Bez nich nie byłbym zapewne poznał pana Micawbera.

Mieszkał niedaleko, że zaś wchodziło się wprost z ulicy do mieszkania, gdy pan Micawber popchnął gwałtownie drzwi, znaleźliśmy się na łonie jego rodziny.

<sup>542</sup>*Guildhall* — gmach w centralnej części City w Londynie, w rejonie stacji metra Bank, St Paul's i Morgate, przez kilkadziesiąt lat służący jako ratusz miejski i będący nadal ceremonialnym oraz administracyjnym ośrodkiem dzielnicy (nie należy mylić go z *City Hall*, stanowiącym tego typu centrum dla całej metropolii, tzw. *Greater London*); w czasach rzymskich w tym miejscu usytuowany był największy w Brytanii amfiteatr, którego pozostałości zachowały się w podziemiach budynku; istnieją również fragmenty zabudowań średniowiecznych z XII w., zaś stojący do dziś gmach powstał w latach 1411–1440 i jest jedynym świeckim budynkiem w Londynie, który przetrwał do dziś; obejmuje krypty, dawną bibliotekę i drukarnię oraz główną salę, służącą za miejsce sławnych procesów (począwszy od sprawy protestanckiej męczennicy Anne Askew za czasów Henryka VIII), a także wydarzeń kulturalnych: w 1848 r. koncertował tu Fryderyk Chopin. [przypis edytorski]

<sup>543</sup>*jeśli mu stało* (daw.) — jeśli mu wystarczyło. [przypis edytorski]

<sup>544</sup>*zawszem cię nienawidził* — inaczej: zawsze cię nienawidziłem (konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika). [przypis edytorski]

<sup>545</sup>*zawszem był* — inaczej: zawsze byłem (konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika). [przypis edytorski]

<sup>546</sup>*wszyscyśmy zaciągnęli* — inaczej: wszyscy zaciągnęliśmy (konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika). [przypis edytorski]

— Emmo! Żono moja! — zawołał, rzucając się w objęcia małżonki.

Pani Micawber krzyknęła, padając w objęcia małżonka; panna Micawber, niańcząca owego nieznanego mi przybysza, o którym opiewał ostatni list pani Micawber, podskoczyła, przybysz zakwilił, bliźnięta objawiły swą radość pewnymi niezbyt przyzwoitymi, lecz najzupełniej niewinnymi przypadłościami, a pan Micawber, rozgoryczony widać dawnym jakimś rozczarowaniem czy doświadczeniem, rozbeczwał się na dobre.

— Emmo! — mówił pan Micawber — chmury się rozdarły. Odtąd nic już nie zachwieje wzajemnego naszego zaufania. Pozdrawiam cię, uczciwe ubóstwo! — wołał ze łzami rozrzewnienia. — Pozdrawiam cię, nędzo, głodzie! Pozdrawiam was, łachmany, burze, żebractwo! Niczym jesteście w porównaniu do zgody i rodzinnego wzajemnego zaufania.

Wołając tak, posadził żonę na krześle i z kolei wszystkie swe uściskał dzieci, którym pozdrowienia ojca zbyt pomyślniej nie wróżyły przyszłości. Obiecał im, że wkrótce śpiewać będą chórem na ulicach i placach miasta.

Lecz pani Micawber ze zbytku wzruszenia zemdląła, więc przed utworzeniem chóru wypadało pomyśleć o przywołaniu jej do życia. Zajęła się tym ciotka moja do spółki z panem Micawberem, po czym nastąpiła prezentacja. Teraz dopiero pani Micawber dostrzegła mnie i poznała.

— Niech pan wybaczy, panie Copperfieldzie — mówiła, podając mi rękę — lecz słaba jeszcze jestem, a to wyjaśnienie ostatniego nieporozumienia pomiędzy mną a mężem zaskoczyło mnie tak nagle.

— Czy to cała rodzina pani? — uprzejmie pytała ciotka.

— Jak na teraz, cała — odrzekła.

— A ten najstarszy chłopak, na co się kieruje?

— Przybывая tu — głos zabrał ojciec — marzyłem dlań o stanie duchownym, to jest chciałem poświęcić go katedralnym chórom. Niestety, nie było wolnego miejsca dla tenora i syn mój zamiast w świątyni poszedł śpiewać w ogródkach i oberżach.

— Zamiary jego są najlepsze — wtrąciła pani Micawber.

— Ośmielę się tak wnosić, duszko, zamiary jego są najlepsze, tylko w czyn ich nie wprowadza.

Rozgoryczenie pana Micawbera wzięło górę nad łzami i nie bez złości spytał, co miał począć. Urodzić się cieślą, malarzem koczów, ptakiem? Pójść na przyległą ulicę i sklep otworzyć czy iść do sądu i ogłosić się prawnikiem? A może szturmem zdobyć operę? Co miał począć, gdy go niczego nie wyuczono?

Ciotka moja po chwili zastanowienia przemówiła:

— Dziwię się, panie Micawber, że panu nigdy na myśl nie przyszła migracja.

— Pani — odrzekł zagadniony — marzeniem to było mej młodości, dążeniem dojrzałego wieku.

Pewien byłem, pomimo tych zapewnień, że mu się myśl ta po raz pierwszy nasuwała.

— Sza! — rzekła, spoglądając ku mnie, ciotka. — Byłoby to najlepszym wyjściem dla pana i pańskiej rodziny.

— A kapitał? Kapitał? — pytał ponuro pan Micawber.

— W tym rzecz, droga moja pani — wtrąciła jego żona.

— Kapitał! — zawołała ciotka. — Oddałeś nam pan usługę, olbrzymią usługę! Po prostu, jak gdyby mienie moje z ognia wyrwane zostało. Zrobimy coś dla pana.

— Jałmużny — odparł pan Micawber — przyjąć nie mogę. Nie zgadzają się z tym me zasady, lecz jeśli na słowo moje mogę zaciągnąć pożyczkę, tak, powiedzmy, na pięć procent rocznie, z przedłużeniem terminu, dopóki coś nowego nie zajdzie...

— Zapewne! — przerwała mu ciotka. — Na jakich pan zechcesz warunkach. Pomyślcie o tym państwo! Zastanówcie się dobrze. Pewni przyjaciele Dawida wybierają się właśnie do Australii, może byćcie razem z nimi odpłynęli? Bylibyście sobie wzajemną pomocą. Zastanówcie się nad tym, zważcie dobrze.

— Jedno tylko pozwolę sobie zadać pytanie — ozwała się pani Micawber. — Pytanie dotyczące klimatu.

— Najpiękniejszy pod słońcem.

— Właśnie, i to jest gruntem, z którego następne wylaniają się pytania. Czy w stroinach tamtych okoliczności będą sprzyjały rozwojowi przyrodzonych i nabytych zdolności

mego męża? Czy przedstawiają się dlań szanse zostania, jak na początek, chociażby gubernatorem którejś z wysp Oceanu Spokojnego? Czy będzie tam miał sposobność rozwinięcia przyrodzonych swych i nabytych zdolności?

— Lepszej chyba nie ma — odparła ciotka — dla uczciwego i pracowitego człowieka.

— Właśnie — mówiła z praktyczną swą dokładnością pani Micawber — właśnie, dla uczciwego i pracowitego człowieka! Ośmieliłabym się dodać: i dla przedsiębiorczego. Tak, właśnie! Sądzę, że istotnie Australia byłaby odpowiednim polem dla męża mego.

— Ja też, droga pani — twierdził pan Micawber — najmocniejsze żywię przekonanie, że przy obecnych okolicznościach, jest to najodpowiedniejsze dla mnie i mej rodziny pole. Spotkać się tam możemy jeszcze z wielkim losem! Przestrzeń nie zraża mnie, a o wdzięczności mej za łaskawą ofertę pani zbytecznie byłoby mówić.

Mamże<sup>547</sup> opisywać, z jakim zapalem pograżył się w otwierających się nadziejach na przyszłość lub z jaką znajomością rzeczy i praktyczną dokładnością pani Micawber zaczęła dyskutować nad obyczajami mieszkańców wysp Oceanu Spokojnego. Za każdym razem, gdy mi się przypomniały ulice Canterbury w dzień targowy, widzę pana Micawbera idącego z nami, przejętego nowym tym projektem i oceniającego byki i cielęta okiem doświadczonego farmera.

## ROZDZIAŁ LIII. NOWY RZUT OKA W PRZESZŁOŚĆ

Znów muszę się zatrzymać. O, moja ty dziecinna żono! W tłumie, przesuwającym się w pamięci mojej, jest postać cicha i wdzięczna, co w dziecięcym swym uroku i niewinnej miłości woła mnie: „Zatrzymaj się, obróć wzrok na kwiat zerwany i przedwcześnie zwiędły!”

Zatrzymuję się. Wszystko zresztą inne znika mi sprzed oczu, ginie we mgle wspomnień, wszystko, oprócz Dory i małego naszego domku. Nie wiem już, jak długo chorowała. Tak wiele myślałem o tym, żem stracił miarę czasu. Może to i nie trwało zbyt wiele tygodni i miesięcy, lecz mi się ten okres czasu zdaje bardzo długi i ciężki.

Przestali mnie już pocieszać zwykłą obietnicą: „Trzeba jeszcze dni kilka poczekać”. W głębi mej duszy zjawiła się wątpliwość, czy nadejdzie ów upragniony dzień, w którym znów ujrzę mą żonę biegającą po domu z Jipem.

I Jip postarzał się nagle, strasznie postarzał. Może mu zabrakło tych zabaw ze swą panią, co podtrzymywały jego młodość. Osowiał, ocieżał, wzrok tracił, osłabł i nie szczekał już na ciotkę, tylko się tulił do niej, siedzącej u wezgłowia Dory i lizał jej ręce.

Dora leżała ciągle uśmiechnięta, nie okazując najmniejszego zniecierpliwienia, nie skarżąc się nigdy. Mawiała, żeśmy dobrzy dla niej; że jej kochany, brzydki chłopiec zamęcza się, czuwając nad nią, dogadzając jej; że ciotka nie sypia, zawsze czuwa, czynna, dobra. Czasem odwiedzały ją obie do ptaszków podobne staruszki, ciotki jej. Wówczas przypominaliśmy sobie zaślubiny nasze i minione dni.

Dziwne bywają chwile spokoju, niby zawieszenia, w życiu, co ucieka. Przypominam sobie długie godziny spędzone w cichym, mrocznym pokoju, błękitne oczy mej dziecinnej żony, wlepione we mnie, drobne jej paluszki z mymi splecione palcami. Wiele, wiele podobnych godzin mógłbym policzyć, lecz wśród wszystkich trzy chwile najżywiej mi stoją w pamięci.

Było to z rana. Dora, uczesana dłońmi ciotki, rozpuściła włosy na poduszki, każąc mi podziwiać ich połysk, długość i barwę.

— Nie, nie pysznię się już nimi — mówiła, widząc, że się uśmiecham — nie żartuj ze mnie, brzydki chłopcze, ale widzisz, mawiałeś, że są piękne, chwaliłeś je i gdyś mi zawrócił głowę, stawałam często przed lustrem, myśląc, czyby cię bardzo uszczęśliwił pukiel mych włosów? Pamiętasz, Doady? O małoś nie zwariował<sup>548</sup>, gdy ci go dałam.

— Pamiętam. Było to w dniu, w którym malowałaś otrzymane ode mnie kwiaty, a ja ci mówiłem, jak jestem w tobie zakochany.

<sup>547</sup> *mamże* — konstrukcja z partykułą *-że* nadającą znaczenie pytania retorycznego; inaczej: czy mam, czyż mam. [przypis edytorski]

<sup>548</sup> *o małoś nie zwariował* — inaczej: o mało nie zwariowałeś (konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika). [przypis edytorski]

— Ale ja ci wówczas nie chciałam powiedzieć i przyznać się, że płakałam ze szczęścia nad tymi kwiatami, bo wiedziałam, żeś mnie naprawdę pokochał. Gdy wstanę, Doady, i będę mogła chodzić, jak dawniej, pójdziemy, prawda, obejrzeć wszystkie te stare, kochane kąty? Będziemy przechadzać się po tamtych ścieżkach. I o biednym ojczulku nie zapomnimy. Prawda?

— Tak, droga moja! Będziemy szczęśliwi, bardzo szczęśliwi. Tylko mi prędko wyzdrowiej.

— Wyzdrowieję już niedługo, coraz mi lepiej, sam to widzisz przecie...

\*

Było to znów wieczorem. Siedziałem na tym samym fotelu, u tego samego łoża, ta sama twarz promienna i piękna zwracała się ku mnie. Milczeliśmy, lecz uśmiech nie znikał z ust Dory. Nie znosiłem już jej na dół, nie wstawała już wcale z łóżka.

— Doady!

— Doro moja!

— Czy będziesz myślał o mnie jako o bardzo niedorzecznej, gdy ci coś powiem? Słyszałam wprawdzie, że pan Wickfield jest niezdrów, ale chce mi się, i to koniecznie, widzieć Agnieszkę.

— Napiszę jej to.

— Doprawdy?

— Natychmiast.

— Dobry, kochany chłopcze! Chodź, Doady, bliżej, otocz mnie ramieniem. Tak, dobrze. Widzisz, kochany, to nie czczy kaprys. Muszę ją widzieć, naprawdę muszę.

— Wierzę ci, najdroższa moja, i pewien jestem, że Agnieszka po otrzymaniu listu natychmiast przybędzie.

— Czy tam na dole jest ci beze mnie bardzo teraz smutno, samotnie? — pytała Dora z zarzuconymi na mą szyję rękami.

— Jakżeby mogło być inaczej, kiedy patrzę na puste twe krzesło.

— Puste krzesło! — przytuliła się do moich piersi i milczała chwilę. Po jakimś czasie podniosła oczy błyszczące, pytając z uśmiechem — Więc ci brak, Doady, biednego głuptaska, grymaśnej dziewczyny?

— Słuchaj, co ci odpowie moje bijące przy twoim serce.

— O, mój mężu! Tak mi błogo i tak smutno!

Garnąc się coraz bliżej do mnie, śmiała się i wzdychała, potem długo leżała cichutko, spokojnie.

— To wszystko! — ozwała się wreszcie. — Napisz do Agnieszki, że ją ściskam i chciałabym bardzo, ale to bardzo, widzieć ją. Jest to jedyne moje życzenie.

— Poza szybkim wyzdrowieniem, Doro droga!

— O, Doady! Myślę czasem... wiesz, taki ze mnie głuptasek, niedorzeczna taka grymaśnica; myślę czasem, że to już nigdy nie nastąpi.

— Nie mów tak, nie myśl, najdroższa!

— Postaram się nie myśleć, Doady. Wiesz, szczęśliwa jestem, że mój chłopiec czuje się tam samotny wobec opustoszałego miejsca swej dziecinnej żony.

\*

Było to w nocy. Siedziałem przy niej. Agnieszka przyjechała i dzień cały i wieczór spędziła z nami. Ona, ciotka i ja nie odstępiliśmy Dory dnia tego ani na chwilę. Niewieleśmy mówili<sup>549</sup>, lecz Dora zdawała się zadowolona i wesoła. Teraz zostaliśmy we dwoje.

Czym wiedział, jak mało mej dziecinnej żonie pozostaje do życia? Powiedzieli mi to. Powiedzieli, com sam widział, wątpię jednak bardzo, czy w to wierzyłem. Przestałem być panem siebie, odrywałem się od łoża żony, by płakać. Myślałem o Tym, co sam płakał nad rozstaniem się żyjących z umarłymi, przypomniałem sobie wzruszający ten

Śmierć

<sup>549</sup>niewieleśmy mówili — inaczej: niewiele mówiliśmy (konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika). [przypis edytorski]

epizod, starałem się uspokoić, pocieszyć, ale... ale w rzeczy samej nie mogłem uwierzyć w ów bliski a ostateczny koniec. Jej ręka była w mych dłoniach, serce biło przy sercu, przywiązanie jej żyło, promieniało ciepło, słodkie... Nie, nie mogłem wyrzec się nadziei, że można jeszcze uratować Dorę.

— Mam ci coś do powiedzenia, Doady — rzekła ze słodkim spojrzeniem. — Myślałam o tym wiele, wiele razy. Czy się domyślasz?

— Ja, droga moja?

— Bo, widzisz, zdawało mi się, że ci to samemu przychodziło nieraz na myśl... Doady, kochanie. Boję się, czy nie byłam za dziecinna.

Głowa moja leżała na jej poduszkach; patrzyła mi wprost w oczy i mówiła to cicho, z wolna, słodko. Serce mi się ścisnęło. Mówiła o sobie w czasie przeszłym!

— Zbyt byłam dziecinna, zbyt młoda. Nie o wieku tylko mówię, lecz o doświadczeniu, charakterze, usposobieniu, o wszystkim. Grymasnym, rozpieszczonym wydawałam się dzieckiem. Trzeba się nam było raczej kochać, jak zwykle młodzi się kochają, a potem zapomnieć o sobie. Myślę, Doady, że nie byłam odpowiednią żoną!

Powstrzymując łzy, mówiłem:

— Miła moja! I ja zbyt młodym byłem mężem.

— Nie wiem — odrzekła z dawnym, zalotnym potrząśnięciem<sup>550</sup> główki — nie wiem, może. Ale jeśli byłam więcej była uzdolniona na żonę, to przemieniłabym i ciebie. Zresztą tyś bardzo rozumny, a ja...

— Wszak żyliśmy szczęśliwie, Doro?

— Bardzo, bardzo szczęśliwie! Ale, kto wie, z czasem znudziłaby może kochanego mego chłopca dziecinna żona. Z każdym rokiem mniej odpowiednią byłaby mu towarzyszką. Coraz byś więcej czuł, czego ci braknie w domu. Bo widzisz, ja bym pewnie się już nie zmieniła. Toteż lepiej jest tak, jak się stało.

— O Doro! Doro! Nie mów tak! Serce mi rozdzierasz tymi wymówkami.

— Wymówkami? — mówiła, całując mnie. — O, mój ty drogi, jedyny! To nie wymówki, tyś na nie nigdy, niczym nie zasłużył, i tak cię kocham, że nie wymawiałabym ci nic, nigdy. Nigdy ci ostrego nie powiedziałam słówka? Prawda, Doady? To, i to, że ładną byłam lub że ci się ładną zdawałam, jest całą mą zasługą... Doady! Czy tam na dole beze mnie bardzo, ale to bardzo samotnie?

— Bardzo! O, bardzo!

— Nie płacz, Doady! A moje krzesło?

— Na zwykłym miejscu.

— O! Jak mój brzydki chłopiec płacze! Cicho! No, cicho! Uspokój się drogi, miły! A teraz musisz mi coś przyrzec. Mam coś powiedzieć Agnieszce. Idź po nią, zawołaj tu, a gdy z nią mówić będę, niech tu nikt, ani nawet ciotka nie wchodzi. Chcę pomówić z nią sam na sam. Muszę pomówić na osobności.

Obiecałem jej, co chciała, lecz zrazu nie mogłem, niestety, zlecenia jej spełnić.

— Mówię ci, że lepiej będzie tak, jak będzie — mówiła, tuląc się do mnie. — O! Doady! Doady! Po wielu, wielu latach nie potrafiłbyś kochać lepiej swej dziecinnej żony, jak kochałeś dotąd, dobry, poczciwy Doady! A może by ci się ona tak sprzykrzyła, że nie mógłbyś kochać jej i w połowie tak, jak dotąd kochałeś. Wiem, że była bardzo dziecinna, niedorzeczna. Lepiej jest tak, jak się stało.

\*

Zastałem Agnieszkę na dole i zakomunikowałem jej życzenie Dory. Wyszła, pozostawiając mnie samego z Jipem.

Jego chińska pagoda stała przed kominkiem. Jip, owinięty we flanelowe kołderki, usiłował drzemać. Na niebie wznosił się miesiąc. Patrząc przez okno, nie mogłem leżąc powstrzymać. Ogromny ciężar przygniatał mi serce.

Siedziałem przed kominkiem, rozmyślając i gorzko wyrzucając sobie wszystkie te stłumione, mimowolne myśli, co mnie nachodziły od chwili, gdym się ożenił. Myślałem

<sup>550</sup>potrząśnięcie — dziś popr. z inną końcówką: potrząśnięcie. [przypis edytorski]

o tych wszystkich drobnostkach, co zaszły między mną a Dorą, i czułem, że to z drobnostek składa się cała suma życia. Z fali wspomnień wyłaniała się Dora taka, jaką ujrzałem po raz pierwszy, upiękuszona młodzieńczą moją miłością i tymi czarami, które rozlewają miłość i młodość. Czyżby istotnie lepiej być miało... Cicho! O, cicho, serce!

Jak czas przechodził, nie wiem. Z zadumy zbudził mnie stary i wierny towarzysz mej dziecinnej żony, Jip. Nie mogąc znaleźć sobie miejsca, niespokojny wylazł z budki, wił mi się u nóg, skrobał do drzwi, rwał się na górę.

— Nie, nie dzisiaj, Jip, nie dzisiaj!

Wrócił, leż u nóg moich, zaskomlał i zdechl.

— Agnieszko! Agnieszko!

O! Ten wyraz współczucia na jej twarzy, te łzy płynące z oczu, ta niema i ostatnia prośba, dłoń wznosząca się ku niebiosom.

— Agnieszko!

Po wszystkim. Ciemność mnie ogarnia, pustka i cisza...

## ROZDZIAŁ LIV. UKŁADY PANA MICAWBERA

Nie będę się zastanawiał nad stanem mej duszy przywalonej boleścią. Zdawało mi się, że nie mam przed sobą żadnej przyszłości, że się już wszystko dla mnie skończyło i grób jedynym pozostał mi schronieniem. Zdawało mi się, nie w pierwszych jednak chwilach. W pierwszych chwilach nie myślałem wcale i dopiero potem zdjęła mnie rozpacz. Popadłbym w nią może wcześniej, gdyby nie wypadki, które zrazu zaniepokoiły, a potem powiększyły moją boleść. Dość że przeszło wiele czasu, zanim z niej sobie sprawę zdać mogłem i uspokoiłem się o tyle, żem mógł myśl i pamięć zatrzymać na pięknych i czytych stronicach, wydartych raz na zawsze z księgi mego życia.

Nie wiem dotąd, jak i kiedy postanowione zostało, że wyjadę za granicę, w podróży i zmianie miejsca szukając niedającego się znaleźć zapomnienia. Największy wpływ na wszystko, cośmy wówczas przedsiębrali, wywierała Agnieszka, lecz w sposób tak łagodny i nieznaczny, żem z tego sobie sprawy nie zdawał.

Teraz tylko widzę, że w dawnym, doznawanym przeze mnie w jej obecności wrażeniu tego cichego ukojenia, co spływać zwykło z malowanych okien gotyckich świątyń, było przecucie tego, czym mi ona będzie w dniach próby. Odkąd stanęła przede mną, podnosząc ku niebu rękę w najcięższej chwili mego życia, była mi aniołem pocieszycielem. Z jej to objęć śmierć uniosła moją dziecinną żonę, uśmiechniętą i pogodną, jak mi powiedziała, skorom mógł to słyszeć, a gdy z pierwszego ochłonął odrętwienia, pierwsze łzy jej, współczucie, ciche słowa pociechy niby balsam na biedne moje spływały serce.

Lecz wróćmy do rzeczy.

Miałem wyjechać za granicę. Tak było postanowione. Teraz, gdy mi ziemia zabrała wszystko, co pozostało po mej słodkiej Dorze, czekałem tylko ostatecznego — wedle słów pana Micawbera — „starcia w proch” Heepa i odjazdu emigrantów.

Na żądanie Traddlesa, który mi w nieszczęściu mym nieźrównane dawał dowody przyjaźni, pojechaliśmy wszyscy, to jest ciotka, Agnieszka i ja, do Canterbury. Udaliśmy się wprost do mieszkania państwa Micawberów, gdzie Traddles pracował nad pomyślnym rozwiązaniem całej sprawy. Na widok mej żałoby dobra pani Micawber rozplakała się. W sercu jej pozostały przez życie niewyczerpane skarby uczucia.

— I cóż — spytała na wstępie ciotka — myśleliście państwo o emigracji?

— Droga pani — odrzekł Micawber — w imieniu własnym, tu obecnej mej żony i dzieci, nie potrafię wyrazić się lepiej jak słowami poety: „Czólno nasze na brzegu, ale łódź na morzu”.

— Tym lepiej — zadecydowała ciotka. — Pewna jestem, że to wam na dobre wyjdzie.

— Pani! Co za zaszczyt — ukłonił się pan Micawber i, spoglądając w notatnik swój, tak począł:

— Co zaś do pieniężnego wsparcia, pozwalającego nam spuścić łódź naszą na wody oceanu przedsiębiorczości, zastanowiłem się nad tym z ekonomicznego, że tak rzecz mogę, stanowiska. Wydam weksel (nie potrzebuję dodawać, że spisany zostanie z zachowaniem wszelkich przez prawo wymaganych formalności) płatny za osiemnaście miesięcy i dni trzynastcie. Z początku proponowałem wprowadzić roczny termin, lecz rozmyśliłem się,



że czas to może niedostateczny na to, aby się coś zmieniło. Może się nam tak od razu — ciągnął, obrzucając komnatę spojrzeniem, które mierzyło przestrzenie dziewiczych łąk i gruntów — nie da urządzić i stawić czoła zobowiązaniom. O pracę nie musi być łatwo w odległych krainach, do których zmierzamy...

— Wpisz pan termin, jaki się panu podoba — machnęła ręką ciotka.

— Pani — ciągnął pan Micawber — żona moja i ja nie pozostajemy obojętni na dowody łaski wspaniałomyślnych opiekunów naszych, a w interesach punktualność przede wszystkim. Stanęliśmy u wrót nowego życia. Nie odwrócimy już kart przeszłości. W takich wypadkach muszę baczyć na zostawienie dobrego przykładu synowi memu i pozostać punktualnym w interesach, jak wypada pomiędzy uczciwymi ludźmi.

Ostatnie słowa powtórzył raz i drugi.

— Przedstawię tedy — ciągnął — weksle<sup>551</sup>, ułatwienie w handlu, które, sędzę, zawdzięczamy Żydom; mieli oni zbyt wiele do czynienia z nimi, gdyż są narodem uzdolnionym do handlu. Ale jeśli państwo wolą oblić lub coś innego, zgodzę się chętnie, by sprawę załatwić jak człowiek z człowiekiem.

Ciotka moja zauważyła, że obie strony zgodzą się najpewniej co do formalności, o które pan Micawber potrąca.

— Co do rodzinnych moich przygotowań — mówił dalej pan Micawber z dumą — wobec przeznaczenia, przeciw któremu śpieszym, najstarsza córka moja codziennie o piątej rano uczęszcza do najbliższej mleczarni, by się wyuczyć sztuki (jeśli to sztuką nazwać można) dojenia krów. Młodsze jej rodzeństwo ma za zadanie studia, o ile się da najszczególowsze, nad obyczajami gołębi i kur, utrzymywanych w najuboższej części naszego miasta. Dwa razy bliźnięta przyprowadzone zostały przez władze miejscowe do domu, pod zarzutem włóczęgostwa. Ja sam ściśle obserwuję piekarstwo, syn zaś mój Wilkins chodzi z taczka, gotów przewozić powierzone mu przedmioty, chociaż go tragarze z profesji ostro parę razy poturbowali.

— Doskonale, wybornie! — chwaliła zachęcająco ciotka. — Nie wątpię, że i pani Micawber jest bardzo zajęta!

— Kochana pani — odrzekła pani Micawber, przybierając najpraktyczniejszą minę — wyznać muszę, że nie uprawiam rolnictwa, a nawet i rybołówstwa, chociaż wiem, że mnie te zajęcia czekają na obcym brzegu. Krótkie chwile, w których mogłam oderwać się od domowych zajęć, poświęcać musiałam rozpisywaniu listów do mej rodziny. Sędzę bowiem, kochany panie Copperfieldzie — z dawien dawna zwykła zwracać się do mnie w ten sposób — sędzę bowiem, że wybiła godzina zapomnienia i przebaczenia wzajemnych uraz. Rodzina moja winna wyciągnąć dłoń do pana Micawbera, a pan Micawber winien dłoń wyciągnąć do mej rodziny! Przyszła chwila, w której lew i jagnię z jednego pić będą źródła.

Zgodziłem się na to chętnie.

— W każdym razie, kochany panie Copperfieldzie — mówiła — tak się na rzeczy te zapatruję. Gdy byłam w domu z mamą i papą, papa mój zwykł był, przy każdej sposobności, zapytywać: „Jak się na to moja Emma zapatruje?”. Było to zapewne rodzicielskie zaślepienie, lecz co do chłodu, który powstał pomiędzy rodziną mą i mym mężem musiałam wyrobić sobie stałe, chociażby mylne przekonania.

— Zapewne, zapewne — potwierdziła ciotka.

— Tak właśnie — ciągnęła pani Micawber — myślę się może, prawdopodobnie nawet się myślę, lecz osobiście odnoszę wrażenie, że strach mej rodziny przed tym, że mąż potrzebował wciąż piędznych zasiłków, stworzył przepaść pomiędzy rodziną moją a panem Micawberem. Przypuszczam — przypuszczenie to istotnie honor czyniło jej domyślności

<sup>551</sup>weksel (z niem. *Wechsel*: wymiana) — rodzaj papieru wartościowego; dokument o ustalonej formie stanowiący czyjeś pisemne zobowiązanie do zapłaty pewnej kwoty pieniędzy (często w ściśle określonym terminie) na rzecz innej osoby; weksle pojawiły się we Włoszech na przełomie XII i XIII w. i służyły do ułatwienia płatności w licznych, małych, suwerennych, posiadających własną walutę państewkach włoskich: dokument zobowiązywał bankiera do wypłacenia sumy o określonej wartości w walucie obowiązującej na danym terenie; weksle pomagały również kupcom w płatnościach związanych z handlem zamorskim (prowadzonym na wielką skalę m.in. przez Republikę Wenecką); jeden z rodzajów weksla zyskał miano *czek* od nazwiska wł. rodziny Ceccino: był to weksel realizowany wyłącznie w bankach; sama nazwa *bank* wywodzi się także z wł. *banco*: ławka, co odnosiło się do miejsca, gdzie przeprowadzano wymianę weksli na monety. [przypis edytorski]

— przypuszczam, że niektórzy członkowie rodziny mojej bali się, aby mąż mój nie wymagał od nich ich nazwiska. Nie mówię tu o zapraszaniu na chrzestnych rodziców, lecz o podpisach i poręczycielstwie.

Domyślność, jaką się szczyliła, z dawien dawna znana mi była, ale zdawała się wprawiać w zdumienie mą ciotkę, która zawołała nagle:

— Łatwo się tego można było domyślić!

Nie zważając na przerwę, pani Micawber tak ciągnęła:

— Dziś, gdy mąż mój jest w przededniu otrząśnięcia się z piętężnych, od tak dawna gnębiących go okoliczności, dziś, gdy staje on na progu nowej kariery, na gruncie odpowiednim swoim uzdolnieniom (głęboko bowiem przekonana jestem, że zdolności męża mego potrzebują pola... i rozpędu... tak właśnie: pola i rozpędu), rodzina moja pozbyć się może dawnych swych uprzedzeń. Pragnę tedy, aby nastąpiło spotkanie i pojednanie na pożegnalnej, kosztem rodziny mej, wydanej uczcie, gdzie by główni jej członkowie mieli możliwość wnieść<sup>552</sup> zdrowie odjeżdżającego na obce brzegi, dostarczając mężowi memu sposobności wyłuszczenia i rozwinięcia planów swych i zamysłów.

— Kochanie — ozwał się z pewnym nieukontentowaniem pan Micawber — uważałbym za stosowniejsze trzymać się przy końcu na uboczu. Plany me i zamysły nie zadowolą twej rodziny. Członkowie jej, zdaniem mym, razem wzięci są snobami, a pojedynczo: skończonymi hultajami!

— O, nie, mój mężu — potrząsnęła głową żona — nie rozumiałeś ich nigdy i oni cię nie rozumieli!

Pan Micawber odkaslnął.

— Nie rozumieli cię nigdy, mężu — twierdziła. — Pojąć, zrozumieć nie byli w stanie! Żałować ich trzeba.

— Przykro mi, droga Emmo — mówił pan Micawber — jeśli mi się w uniesieniu wymknęło za dosadne słówko. Wiem jednak, że opuszczę ojczyznę, niezegnany przez twą rodzinę. Odwrócą się ode mnie, jak odwracali dotąd, i lepiej nie pogarszać stosunków naszych, jeśli by jednak odpowiedzieli na twoje pismo, pewna być możesz, że się nie oprę twym żądaniom.

Załatwiwszy w ten sposób ową kwestię, pan Micawber podał żonie ramię i spoglądając na stopy papierów, nad którymi siedział Traddles, oświadczył, że pozostawi nas na czas jakiś samych.

— Kochany Copperfieldzie — gdyśmy pozostali sami, rzekł Traddles, ze współczuciem, które mu łzami napełniło oczy. — Kochany Copperfieldzie, daruj, żem cię niepokoił, lecz sprawa ta i ciebie dotyczy; trzeba zresztą, byś się oderwał od twej boleści.

— Przede wszystkim — rzekłem mu — musimy się zająć interesami ciotki. Wiesz, czym była dla mnie.

— Wiem. Któż by o tym zapomniał!

— W ostatnich czasach — mówiłem — coś ją szczególnie musiało zaniepokoić. Wyjeżdżała parę razy z Londynu, nie mówiąc mi dokąd, parę razy wychodziła wczesnym porankiem, a późnym wieczorem dopiero wracała. Wczoraj jeszcze, i pomimo projektowanej na dziś jazdy, wróciła o północy. Znasz ją i wiesz, jak jest wytrwała. Nie mówi mi ani słowa o swych kłopotach.

Ciotka słuchała tego, co mówiłem, blada, smutna. Gdym skończył, łzy popłynęły jej z oczu. Ujęła mnie za rękę.

— Nic to, Trot! Nic, dziecko moje! Dowiesz się z czasem o wszystkim. A teraz, Agnieszko, kochanko, przystąpmy do interesów.

— Muszę oddać panu Micawberowi sprawiedliwość — mówił Traddles — że chociaż sam dla siebie pracować, o ile się zdaje, nie umiał, pracował w danym razie z prawdziwym zapalem. Sądząc po jego działalności w ostatnich czasach, jeśli by zawsze tak działał, posiwałby od pracy. Od rana do nocy grzebał się w papierach i księgach, nie licząc listów, które po kilka razy dziennie pisywał do mnie z kancelarii pana Wickfielda, a czasem i poprzez stół, gdy siedząc naprzeciw mnie, mógłby przecie doskonale myśl swą słownie wyrazić.

— Pisanie listów — zawołała ciotka — jest jego żywiołem.

<sup>552</sup>wnieść zdrowie — dziś: wnieść zdrowie (toast itp.). [przypis edytorski]

— Pan Dick — mówił Traddles — dokazywał też cudów. W chwilach gdy mógł stracić z oczu Heepa, którego strzegł jak źrenicy oka, poświęcał się cały pielęgnowaniu pana Wickfielda. Jego starania, by zostać nam użytecznym, jego użyteczność, już to w poszukiwaniu potrzebnych papierów, już to w przepisywaniu takowych, była dla nas prawdziwym bodźcem.

— Niepospolity to człowiek — zauważyła ciotka — zawszem to utrzymywała. Trot zresztą wie to sam dobrze.

— Z prawdziwą radością donieść pani mogę, panno Wickfield — mówił Traddles — że ojciec pani czuje się znacznie lepiej. Pozbawiony zmory, co go od tak dawna uciskała i dręczyła, wraca do sił z każdym dniem. Może już nawet skupić osłabiony swój umysł i udzielać nam pewnych wyjaśnień i wskazówek, bez których nie doszlibyśmy do ładu w iście zawiłych nieraz sprawach. Ale do rzeczy.

Mówił to zapewne w celu uspokojenia Agnieszki i obudzenia jej zaufania, gdyż rozprawiając o interesach, musiał nieraz wspominać jej ojca.

— Otóż — począł, powiódłszy okiem po rozłożonych na biurku papierach — rozejrzawszy się dobrze we wszystkim i rozwikławszy cały ten kłębek, doszedłem do przekonania, że pan Wickfield jest w stanie godnie i bez obaw stawić czoło położeniu.

— Dzięki Niebu! — zawołała Agnieszka.

— To jednak — ciągnął Traddles — co po spłaceniu zostanie, jest tak małe, że może lepiej byłoby nadać inny bieg sprawie. Przyjaciele ojca pani, panno Wickfield, doradzaliby mu może, aby odstąpił kancelarię...

— Myślałam nad tym, Trotwood — przerwała Agnieszka, zwracając się do mnie — i zdaje mi się, nawet wbrew zdaniu przyjaciela, któremu tak wiele zawdzięczam, że to nie powinno nastąpić.

— Pozwolę sobie zauważyć — rzekł na to Traddles — że nie doradzam bynajmniej<sup>553</sup> tego kroku. Obowiązkiem moim było tylko nadmienić.

— Dziękuję panu — serdecznie, lecz z powagą rzekła Agnieszka. — Miło mi, że się zgadzamy i jednakowo zapatrujemy na tę kwestię, bo, gdy ocalimy honor ojca, cóż mi więcej pozostanie do życzenia! Pragnieniem moim było wyrwać go spod zgubnego wpływu i poświęcić się pielęgnowaniu jego starości. Jedynym to moim życzeniem, szczytem marzeń. Wziąć zaś na własną odpowiedzialność jego przyszłość będzie dla mnie szczęściem równającym się niemal szczęściu, jakie mi sprawia ocalenie jego honoru i uwolnienie z tak zabójczej odpowiedzialności.

— Czy obmyślałaś tę przyszłość? — spytałem.

— Niejednokrotnie, wierz mi, proszę — odrzekła. — Pewna jestem powodzenia, a pewność tę opieram na przychylności, jaką mi okazują mieszkańcy naszego miasta. Zrozum mnie, proszę. Nie potrzebujemy wiele. Mogę wydzierżawić nasz stary, kochany dom, sama zaś otworzę szkołę. Będę zadowolona i użyteczna.

Słodycz głosu jej tak żywo przypominała mi ten stary, kochany dom i własne moje wygasłe domowe ognisko, żem się zdobyć nie mógł na słowa.

Traddles udawał, że czegoś pilnie szuka wśród papierów.

— Przejdźmy teraz, panno Trotwood — rzekł — do własności pani.

— Aha! — odparła ciotka. — Przede wszystkim muszę zastrzec, że jeśli się to roztrwoniło, obejdę się i nadal bez tego; jeśli się jednak coś da odebrać, bardzo będę rada.

— Suma wynosiła początkowo osiem tysięcy funtów w obligacjach.

— Najzupełniej tak.

— Nie mogę się tu doliczyć trzech...

— Trzech tysięcy, prawda?

— Tak, pani.

— Wszystko w porządku, trzy tysiące sama odebrałam. Tysiąc przeszło na kancelarię Trota, a dwa mam u siebie. Gdy wszystko było stracone lub gdy za stracone uważałam, wolałam o tym przemilczeć, chowając je na czarną godzinę. Chciałam cię zresztą wypróbować, Trot, ciebie i Dicka. Zachowaliście się szlachetnie, odważnie, byliście pełni delikatności i oddania. Tss! Nie mówcie do mnie. Nerwy mi się rozstroiły.

<sup>553</sup>bynajmniej — wcale (dosł.: jak najmniej). [przypis edytorski]

Kto by powiedział! Siedziała wyprostowana jak zwykle. Umiała panować nad sobą, o, umiała!

— Szczęśliwy tedy jestem — zawołał Traddles — udało mi się bowiem wyrwać wszystko!

— Nie winszujcie mi tylko — rozkazała ciotka. — Jak to, proszę pana?

— Sądziłaś pani zapewne, że pan Wickfield źle sumę tę ulokował?

— Istotnie tak sądziłam. Tss! Agnieszko! I dlatego to właśnie milczałam.

— Obligacje te — mówił Traddles — zostały rzeczywiście sprzedane na mocy pani uppełnomocnienia. Lecz mamże<sup>554</sup> mówić, kto się zajmował transakcją, czyj był podpis, kto właściwie był nabywcą? Pieniądze te, jak i innych wiele, uwięzły w kieszeni łotra, który tak niecznie nadużywał zaufania pana Wickfielda. Oszukiwał on panią tylko przez słabość i pod naciskiem przemocy, płacąc pani czas jakiś procenty od sumy, którą uważał za zaprzepaszczoną.

— Biedak! — rzekła ciotka. — Wszystko przyjął na siebie! Napisał do mnie list szalony, oskarżając się o zawiedzenie mego zaufania, o złodziejstwo po prostu i tak dalej. Otrzymawszy list ten, pojechałam do niego, poprosiłam o świecę i w jego obecności spaliłam ów list, zlecając mu, by się postarał wybawić, jeśli się jeszcze da, i mnie, i siebie, a zwłaszcza by się opamiętał i oszczędzał przez wzgląd na córkę. Tss! Mówię wam, jeśli które z was piśnie słówko, uciekam.

Milczeliśmy tedy. Agnieszka skryła twarz w dłoniach.

Po chwili ciotka rzekła do Traddlesa:

— Więc udało ci się istotnie, pocziwy przyjacielu, wyrwać pieniądze od tego łotra?

— Fakt to — odrzekł Traddles. — Tak go pan Micawber osaczył, tyle miał nań gotowych sposobów, że się nie zdołał nam wywinąć. Najciekawsze, że, co do tej sumy, przekonany jestem, że ją zagarnął mniej przez chciwość, a bardziej przez nienawiść do Copperfielda. Powiedział mi to zresztą wręcz. Powiedział, że wydałby drugie tyle i więcej, byle mógł go zgubić.

— Ha! — mruknęła ciotka, podnosząc brwi i spoglądając z ukosa na Agnieszkę. — Cóż ten przezacny młodzian porabia?

— Nie wiem doprawdy! Wraz ze swą matką, która ciągle lamentowała, szlochała, upraszała i niechcący zdradzała syna, wyjechał onegdaj<sup>555</sup> wieczorem dylizanssem. Tyle tylko wiem o nim. Wyjechał wściekły na mnie i na pana Micawbera.

— Czy wnosisz<sup>556</sup>, że mu co pozostało? — spytałam.

— Nie wątpię — odrzekł Traddles. — Pełne ma jeszcze kieszenie. Zdaje mi się jednak, że go pieniądź nie zatrzyma na dobrej drodze. Znasz go zresztą lepiej ode mnie. Jest tak skończonym hipokrytą<sup>557</sup>, że do wszelkich swych celów krzywymi będzie dochodził drogami. Zawsze posądzac będzie i nienawidzić każdego, co najniewinniej na drodze tej mu stanie, i tym sposobem wikłać się nie omieszka<sup>558</sup>. Po tym, co tu zaszło, wątpić o tym nie podobna<sup>559</sup>.

— Podłe stworzenie, liche! — zauważyła ciotka. — A teraz wróćmy do Micawbera.

— Prawda — uśmiechnął się Traddles wesoło — raz jeszcze muszę śpiewać jego pochwały. Gdyby nie jego cierpliwość i wytrwałość, nie osiągnęlibyśmy ani w połowie równie pomyślnych rezultatów. Muszę jeszcze dodać, że, o ile mi się zdaje, nie kierowały nim żadne poboczne względy. Heep drogo by mu opłacił milczenie. Działał i pracował dla zasady.

— I ja tak myślę — rzekłem.

— Cóż mu damy? — spytała ciotka.

<sup>554</sup>*mamże* — konstrukcja z partykulą *-że* nadającą znaczenie pytania retorycznego; inaczej: czy mam, czyż mam. [przypis edytorski]

<sup>555</sup>*onegdaj* (daw.) — przedwczoraj. [przypis edytorski]

<sup>556</sup>*wnosić* (daw.) — wnioskować, sądzić. [przypis edytorski]

<sup>557</sup>*hipokryta* — człowiek, którego postępowanie cechuje *hipokryzja*, czyli udawanie, obłuda, fałsz, dwulicowość: głośne (czasem ostantacyjne) przyznawanie słuszności pewnym zasadom postępowania i normom moralnym przy jednoczesnym niestosowaniu się do tych zasad i norm w działaniu; niespójność taka w przypadku hipokryty jest zamierzona i obliczona na konkretne korzyści (materialne, społeczne, polityczne itp.). [przypis edytorski]

<sup>558</sup>*omieszkać* — wstrzymać się od zrobienia czegoś; zaniedbać zrobienia czegoś. [przypis edytorski]

<sup>559</sup>*nie podobna* (daw.) — nie (jest) możliwe; nie można. [przypis edytorski]

— Zanim do tego przyjdzie — rzekł nieco zmieszany Traddles — musimy jeszcze rozważyć pewną okoliczność. Weksle podpisane przez Micawbera na imię Heepa oraz owe zaliczki...

— Będą spłacone.

— Dobrze. Nie wiem tylko, gdzie ich szukać, a panu Micawberowi, zanim odpłynie, grozi areszt.

— To go wykupimy — zdecydowała ciotka. — Wiele tam tego będzie?

— Pan Micawber przedstawił mi swe „ugody”; nazywa on to ugodami! Wszystko zliczwszy będzie ze sto kilkanaście funtów szterlingów.

— Więc ile mu damy, wliczając naturalnie w to powyższą sumę? Agnieszko, duszko, pomożesz mi potem policzyć. Co? Pięćset. Prawda?

No to i ja, i Traddles radziliśmy raczej zaopatrzyć emigranta w mniejszą sumę, a zadowolić Heepa. Radziliśmy nadto opłacić przejazd Micawberów, dając im w ręce sto funtów szterlingów. Dodałem, że uprzedzę co do ich charakteru i usposobień pana Peggotty, współtowarzysza podróży, na którego ręce złoży się resztę pieniędzy. Byłem też zdania, aby dla zbliżenia tych dwojga opowiedzieć panu Micawberowi część historii pana Peggotty. Rozważaliśmy gorąco te kwestie ku obopólnemu, jak się wkrótce okazało, zadowoleniu zainteresowanych.

Widząc, że Traddles z niepokojem spogląda na mą ciotkę, prosiłem go, aby dopowiedział, co ma jeszcze do mówienia.

— I ty, kochany Copperfieldzie — mówił — i ciotka twoja, darujcie mi, jeśli boleśnego dotknę przedmiotu. Muszę jednak w pewnym kierunku pobudzić waszą pamięć. W pamiętnym dniu oskarżenia Heepa nadmienił on coś o mężu twojej ciotki?

Ciotka, panując nad sobą, spokojnym skinieniem głowy odpowiedziała na to pytanie.

— Było to może czczym tylko naigrawaniem się? — zapytał Traddles.

— Nie — krótko odpowiedziała ciotka.

— Więc osoba ta, przepraszam panią, osoba ta miałażby<sup>560</sup> rzeczywiście istnieć i pozostawać w jego mocy?

— Tak jest, istotnie.

Wówczas Traddles z wydłużoną nieco miną wyjaśnił, że w tym względzie ani on, ani pan Micawber nie zdołali nic wydobyć od Heepa, który mając podobną broń w ręku, szkodzić nam może.

Ciotka pozostała spokojna, tylko łzy napłynęły jej do oczu.

— Masz rację, pocziwy przyjacielu — rzekła — i dobrze, żeś nas ostrzegł.

— Może ja... lub Copperfield możemy...

— Nic nie możecie. Dziękuję wam serdecznie. Trot, dziecko moje. Pusta to groźba! Niechże pan i pani Micawber wróć; nie mówcie tylko do mnie ani słowa.

Mówiąc to wygładziła, obyczajem swym, fałdy sukni, siedząc wyprostowana i spoglądając na drzwi.

— Otóż pan i pani Micawber — ozwała się, gdy weszli — przepraszamy państwa, żeśmy wam tak długo kazali czekać. Teraz powiem wam, cośmy tu dla was uradzili.

Tu, ku największemu zadowoleniu rodziny, z włączeniem obecnej dziatwy, oznajmiła panu Micawberowi, że może, na jaki chce termin, wystawić weksel. Pobiegl natychmiast po stemplowy papier, lecz po chwili wrócił zalany łzami, oznajmiając nam, że wszystko przepadło. Byliśmy na to przygotowani, szło o powzięte względem Uriaha zobowiązania. Po krótkiej jednak chwili, uspokojony w tym względzie, wypełnił weksel, a czynność ta rozweselała go zwykle na równi z czynnością przygotowywania ponczu. Przejęty, dokonywał ją z artystycznym zacięciem, przechylając głowę i przymrużając lewe oko, zaglądając przy tym do mnóstwa notatek i tak dalej.

— A teraz — ozwała się ciotka moja — dam panu dobrą radę, abyś się raz na zawsze zrzekł podobnego zajęcia.

— Pani — odrzekł — noszę się właśnie z zamiarem uroczystego wpisania tego ślubu na pierwszej białej karcie księgi, którą przyszłość otwiera przede mną. Chcę wierzyć — twierdził z namaszczaniem — że tu obecny syn mój pierworodny, Wilkins, włoży raczej,

<sup>560</sup>*miałaby* — konstrukcja z partykulą *-że* nadającą znaczenie pytania retorycznego; inaczej: czy miałaby, czyż miałaby. [przypis edytorski]

jak niegdyś Koriolan<sup>561</sup>, rękę do ognia<sup>562</sup>, niż żywić nią będzie węża, co wyssał krew spod serca nieszczęśliwego jego ojca!

W jedno mgnienie oka pan Micawber zmienił się w obraz ostatecznej rozpacz, spoglądając na węża ponuro, lecz nie bez pewnego zamilowania, złożył weksle i schował je do kieszeni.

Na tym skończył się ów wieczór. Byliśmy znużeni, a ciotka i ja mieliśmy nazajutrz wracać do Londynu. Umówiliśmy się, że Micawberowie wkrótce tam się za nami udadzą, sprzedawszy ruchomość swą pobliskiemu piekarzowi, że interesy pana Wickfielda likwidować będzie Traddles, o ile można szybko, że Agnieszka przybędzie też do Londynu. Noc spędziliśmy pod starym dachem prawnika, skąd wyjazd Heepa był jakby oddaleniem się zarazy. Leżąc w dawnym mym pokoiku, czułem się jak wracający do domu żeglarz.

Gdyśmy nazajutrz przybyli, nie do mnie, lecz do ciotki, wieczorem, przed rozejściem powiedziała mi ona:

— Czy chcesz Trot, wiedzieć, co mi od niejakiego czasu leży na sercu?

— I owszem, ciotko. Jeśli kiedy, to teraz pragnąłbym podzielać twe troski.

— Dostyc masz własnej boleści, dziecko moje, i dlatego nie chciałam cię mymi za-przątać troskami.

— Wiem to, kochana ciotko! Lecz teraz powiedz mi, proszę, co cię trapi?

— Czy chcesz mi towarzyszyć jutro rano w pewnej wycieczce?

— Chętnie.

— O dziewiątej. Powiem ci wówczas wszystko.

Wyjechaliśmy tedy nazajutrz o dziewiątej, jak było umówione. Minęliśmy kilkanaście ulic i zatrzymaliśmy się u wrót szpitala. U podjazdu stał skromny karawan. Woźnica poznawszy mą ciotkę, ruszył z miejsca. Pojechaliśmy za nim.

— Domyślasz się, Trot, kto to umarł?

— W szpitalu? — spytałem.

— Tak.

Siedziała obok mnie wyprostowana i spokojna, po twarzy jej jednak spływały łzy.

— Był tu już przedtem — mówiła — chory był od dawna, złamany, strawiony chorobą. Gdy spostrzegł, że źle z nim, prosił, aby posłano po mnie. Żałował przeszłości, żałował.

— A! Tu więc bywałaś, ciotko, ostatnimi czasami?

— Tu! Przesiadywałam przy nim długie godziny.

— Zmarł tego wieczoru, gdyśmy jeździli do Canterbury? — spytałem.

Ciotka skłoniła głowę.

— Nikt mu już szkodzić nie mógł — rzekła. — Próżne to były pogrózki.

<sup>561</sup>Koriolan, Gnejusz (a. Gajusz) Marcjusz (łac. *Gnaeus Marcius Coriolanus*) — postać na polu legendarna, której historia (opowiedziana przez Liwiusza, Plutarcha i in.) wiązać się miała z początkami państwa rzymskiego; przydomek „Coriolanus” zyskał sobie na pamiątkę tego, że dzięki swej odwadze i zdolnościom strategicznym walczył przyczynił się do zwycięstwa Rzymian nad plemieniem Wolsków w 493 p.n.e. i zdobycia miasta Corioli; dwa lata później został wezwany przed sąd ludowy, gdy w obliczu głodu zaproponował rozdzielenie dostaw zboża z Sycylii w zamian za cofnięcie pro-plebejskich uchwał senatu z 494 r. p.n.e. (jego stanowisko polit. koncentrowało się wokół ochrony praw patrycjusza, był m.in. zwolennikiem likwidacji instytucji trybunów); nie stawiał się przed sądem, został skazany zaocznie i udał się na wygnanie: schronił się wówczas właśnie u Wolsków, a następnie wraz z tymi, których niegdyś zwyciężył jako dowódca rzymski, najechał Lacjum i oblegał Rzym; chcąc go przebłagać, by odstąpił od oblężenia, senat dwukrotnie wysyłał do niego posłów, a trybuni unieważnili swój wyrok banicji; Korolian pozostał nieczuły na wszelkie pojednawcze gesty, dopiero gdy z poselstwem wyprawiono kobiety, w ich liczbie jego żonę i matkę, na widok tej ostatniej poniechał chęci zdobycia miasta i wycofał wrocie wojska; swej matce Weturii, która postawiła go przed alternatywą: albo jest jej synem albo wrogiem, miał odrzec, że uratowała Rzym, lecz zgubiła syna; postać Koroliana funkcjonowała jako znak niezłomności przekonań politycznych (w sensie obrony wartości konserwatywnych) i bezgranicznej miłości synowskiej zarazem. [przypis edytorski]

<sup>562</sup>włoży (... ) rękę do ognia — ten popis męstwa oraz hartu ducha przypisywany jest (mianowicie przez Liwiusza) legendarnemu bohaterowi rzymskiemu, Gajuszowi Mucjuszowi; *Gaius Mucius Cordus* za wiedzą senatu podjął się zamordować króla etruskiego Porsennę oblegającego ze swą armią Rzym w 508 p.n.e.; gdy omyłkowo ugodził zamiast króla jego sekretarza (zmylili go wykwintne szaty perskiego urzędnika), został schwytyany i postawiony przed sądem: włożył wówczas prawą rękę w ogień, by dowiedzieć, że nie są mu straszne tortury ani śmierć i że jest gotów zginąć z ręki wroga z tą samą odwagą, z którą zamierzał wroga swego pozbawić życia, a także by ukarać się (swą rękę) za pomyłkę podczas zamachu; tak wielkie męstwo zrobiło na Porsennie wielkie wrażenie, puścił więc wolno zamachowca; Gajusz Mucjusz nosił zaś odtąd z chlubą przydomek Scewola (łac. *Scaevola*), tzn. Mańkut. [przypis edytorski]

Jechaliśmy za miasto, na cmentarz Hornsey.

— Wolałam pochować go tu, niż tam w mieście — rzekła. — Tu się urodził.

Wysiedliśmy i poszliśmy za trumną. Dół był wykopany.

— Dzisiaj jest trzydziesta szósta rocznica mego ślubu — rzekła ciotka, wracając z cmentarza.

Wracaliśmy w milczeniu, ciotka trzymała mą rękę.

— Piękny to był mężczyzna — rzekła nagle. — Strasznie się zmienił.

Rozplakała się rzewnie, lecz prędko zapanowała nad sobą.

— Nerwy się rozstroiły — mówiła — ale to przejdzie.

W domu zastaliśmy list z poczty. Poznałem pismo pana Micawbera.

Canterbury. Piątek.

Czcigodna Pani i kochany Copperfieldzie!

Czarowna obiecana kraina, co się od niedawna wyłoniła z horyzontów przyszłości, ginie na zawsze we mgle ciemnej, przed okiem tego, którego losy już się rozstrzygnęły.

Oprócz znanej państwu, czekała mnie druga jeszcze prawna zasadzka, Heep *contra* Micawber, i jedna ze stron padła ofiarą komornika i więziennej celi!

Skazany na to i na szybki już koniec, gdyż mi sił nie staje w dźwiganie ustawicznej moralnej tortury, stanąłem u wrót śmierci. Błogosławię was, przezacni państwo, i żegnam na wieki! Przechodzień zwiedzający ponure mury więzienia czytać będzie wyryte paznokciem na kamieniu nieznaną literę.

W. M.

P.S. Otwieram list mój, by dodać, że wspólny nasz przyjaciel, pan Tomasz Traddles (który tu jeszcze bawi i doskonałym cieszy się zdrowiem) opłacił należność i prawne koszty w imieniu wspaniałomyślnej panny Trotwood. Ja i rodzina moja w siódmym jesteśmy niebie.

## ROZDZIAŁ LV. BURZA

Zbliżam się do jednego z wydarzeń w moim życiu tak niczym niedającego się zmazać, tak okropnego, tak dalece związanego ze wszystkim, com tu opowiadał, że od chwili, jakem się wziął<sup>563</sup> do pisania tego dziennika, cień jego rósł i wzmagał się, na kształt rosnącego ku zachodowi cienia wielkiej, samotnej, na płaszczyźnie stojącej wieży, sięgając gdzieś aż do mego dzieciństwa.

Lata upłynęły, a wciąż wraca ono do mnie jeszcze w snach. Wywarło na mnie tak piorunujące wrażenie, że po dziś dzień groza jego unosi się nade mną. Przypomina mi je każdy burzliwy powiew wichru, widok morskiego wybrzeża. Staje mi przed oczyma żywo, wyraźnie, przerażająco. Opowiem, jak to było, a zdaje mi się, że pamiętam żywo każdy najdrobniejszy szczegół.

Zbliżał się czas odjazdu emigrantów i kochana moja piastunka przybyła do Londynu. Żaloba moja serce jej krajała. Widywałem często to ją, jej brata, Micawberów, którzy się z nimi zaprzyjaźnili, nie widywałem tylko wcale Emilki.

Pewnego wieczoru, na krótko przed ich odjazdem, zostałem sam z Peggotty i jej bratem. Rozmawialiśmy o Hamie. Peggotty opowiadała właśnie, jak czule ją żegnał i jak umiał panować nad sobą. W ostatnich zwłaszcza czasach dawał dowody prawdziwej męskości charakteru. Kochana moja Peggotty mogła o tym mówić długo i szeroko, my zaś słuchaliśmy z równym zajęciem szczegółów, których, przebywając z nim teraz ciągle, udzielić nam mogła.

Opuściliśmy z ciotką nasze domki w Highgate, ciotka zamierzała wrócić do własnego domku w Dover, ja zaś wyjeżdżałem za granicę, i najęliśmy czasowo mieszkanie przy Covent Garden. Wracając do domu po tej rozmowie z mą piastunką i jej bratem, myślałem

<sup>563</sup>jakem się wziął — inaczej: jak się wziąłem (konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika). [przypis edytorski]

o ostatniej rozmowie z Hamem w Yarmouth i o tym, że chciałem napisać do Emilki wszystko, co mi zostało zlecone, i list oddać odjeżdżającemu panu Peggotty. Teraz zdawało mi się, że lepiej byłoby uczynić to zaraz. Może Emilka miała też coś do przesłania Hamowi? Wypadało mi nastęrczyć jej po temu sposobność.

Napisałem do niej tedy natychmiast, wróciwszy do domu. Pisałem, że go widziałem i obiecałem mu zakomunikować jej poniższe słowa zapewnienia. Powtórzyłem wiernie i dosłownie, co mi zlecił. Ani ja, ani nikt w świecie nie mogliśmy nic dodać do słów tak pełnych uczucia i wierności. List zapieczętowany, z dołączeniem słówka do pana Peggotty, pozostawiłem do odesłania nazajutrz rano. Świtało prawie, gdym się położył.

Bardziej byłem snadź<sup>564</sup> osłabiony, aniżelim sądził<sup>565</sup>, gdyż długo jeszcze nie mogłem zasnąć i późno już było nazajutrz, gdy mnie z ciężkiej drzemki zbudziła obecność mej ciotki. Czułem przez sen, jak się to niejednokrotnie zdarza, jej obecność.

— Trot, dziecko moje — rzekła, gdym otworzył oczy — nie chciałam cię budzić, lecz pan Peggotty jest tu, czy może wejść?

— Proszę — odrzekłem i po chwili wszedł pan Peggotty.

— Oddałem Emilce list panicza — mówił, ściskając mi dłonie. — Oto co napisała. Prosiła, aby panicz to przeczytał i jeśli się paniczowi wyda stosowne, wręczył Hamowi.

— Czytałeś pan? — spytałem.

Skłonił głowę.

Otworzyłem list Emilki; brzmiał, jak następuje:

Wiadomości od Ciebie otrzymałam. Jakże Ci potrafię podziękować za twą niezrównaną dobroć!

Słowa Twe głęboko wzięłam do serca, pozostaną tam do mej śmierci. Ranią mnie i bołą, nieskończoną zarazem przynosząc pociechę. Powtarzać je będę w modlitwie, bo Twoja i Wuję dobroć są dla mnie miarą miłosierdzia Bożego.

Żegnaj mi na zawsze. Na zawsze, drogi, dobry, kochany Przyjacielu! Na zawsze na tym tu świecie, bo może tam darowane mi zostanie i przebaczone wszystko i znów się z Tobą połączę jako niewinne dziecię. Niech wszystkie na Ciebie spłyną błogosławieństwa. Żegnaj mi, żegnaj!

Słowa te skropione i zamazane były łzami.

— Czy mogę powiedzieć jej — pytał pan Peggotty, gdym skończył czytać — że się panicz podejmie poselstwa?

— Najpewniej — odrzekłem — i myślę...

— Co, paniczu?

— Że mu to sam odwiozę. Mam jeszcze czas pojechać do Yarmouth i wrócić, zanim odpłyniecie. Myślę o nim często, myślę o samotności, w jakiej tam pozostaje. Odwiozę mu list Emilki, a na odjeźdźnym będziesz pan mógł powiedzieć jej, że to uczynił. Przyrzekłem mu spełnić jego zlecenie, niechże je w zupełności wypełnię. Nie mam teraz zresztą żadnego zajęcia, miejsca sobie znaleźć nie mogę, dziś jeszcze wieczorem pojadę.

Chociaż nie zgadzał się na to, widziałem, jak mu tym dogodzę, i to by mnie zachęciło, jeślibym potrzebował zachęty. Na prośbę moją udał się na stację dylizansów zamówić dla mnie miejsce. Wieczorem jechałem raz jeszcze po dobrze mi znanej drodze.

— Co myślisz — spytałem woźnicę zaraz przy pierwszej za Londynem stacji — co myślisz o tych chmurach? Dawnom nie widział<sup>566</sup> podobnych.

— Ani ja, panie — odrzekł. — Wiatr się zrywa piekielny. Niewesoło tam będzie na morzu. Pięknych się niebawem dowiemy rzeczy.

Niebo pokrywała zupełna ciemność, zmieszana z czymś podobnym barwą do dymu z płonącego mokrego drzewa, a wichrem niesione chmury gromadziły się w zbite wały, rosły, większe od przestrzeni pozostałej pomiędzy nimi a najgłębszą przepaścią ziemską.

Burza

<sup>564</sup>snadź (daw.) — widocznie, prawdopodobnie. [przypis edytorski]

<sup>565</sup>aniżelim sądził — inaczej: aniżeli sądziłem, niż sądziłem (konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika). [przypis edytorski]

<sup>566</sup>dawnom nie widział — inaczej: dawno nie widziałem (konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika). [przypis edytorski]



Wśród chmur czarnych, kłębiących się, wypływał chwilami miesiąc<sup>567</sup> blady, przerażony jakimś nagłym a nieuniknionym zaburzeniem w przyrodzie. Dzień cały był wietrzny, lecz teraz wszystkie wichry, rzekłbyś, naraz wypadły na przestworza, szalejąc po ziemi, a po niebie ścigając chmury.

W miarę jak noc zapadała, chmury zgęszczały się, a wiatr dął coraz wścieklej. Konie kilkakrotnie zatrzymywały się, nie mogąc go przemóc. Nieraz w noc tę wrześnieją, ciemną zawracały i nie chciały iść dalej. Zdawało się wówczas, że lada chwila dyliżans, konie i podróżni, niby piórko, zdmuchnięci zostaną z powierzchni ziemi. Deszcz na kształt świstu stalowych prętów przerzynał powietrze. Żadne drzewo, żaden płot nie udzielał nam schronienia. Zatrzymywaliśmy się w czystym polu, nie mogąc posuwać dalej.

Wiatr nie ucichł i o świcie, lecz wzmógł się jeszcze na sile. Widziałem niejedną burzę, podobnej nie widziałem nigdy. Późno przybyliśmy do Ipswich, gdyż musieliśmy wywalczać każdy krok naprzód. Rynek zapelniony był ludźmi. Wszyscy zerwali się wcześniej, w obawie, by wicher nie pozrywał dachów i nie powywracał kominów. Niektórzy, gromadząc się przed oberżą, gdzieśmy przepręgali konie, opowiadali o kawałach ołowiu, zerwanych z katedralnej wieży niby listki róży, inni o wyrwanych z korzeniami i powalonych na drogę olbrzymich drzewach. Burza nie ustawała i wicher dął coraz wścieklej.

W miarę jakśmy z największą trudnością posuwali się<sup>568</sup> ku morzu, dmący stamtąd wiatr wzmagał się jeszcze i długo przedtem, zanim dojrzelismy morze, mieliśmy usta pełne soli i słone krople gryzły nam oczy, siekąc twarz niemiłosiernie. Płaskie wybrzeże Yarmouth stało pod wodą, a strumienie wezbrane toczyły się z hukiem i szumem. Na morzu, gdyśmy je dostrzegli, piętrzyły się fale, podobne do wież i niebotycznych skał, sięgające chmur i grożące im. W mieście stojący na progach domów obmokli mieszkańcy dziwili się tym, co podróżować mogli w taką porę.

Zajechałem do starej, znanej mi oberży i wyszedłem natychmiast nad morze. Ulice zarzucone były mułem, piaskiem, gontami, dachówkami, które ludziska zmiatali w kupy. Morze bryzgało wokół pianą. Na brzegu byli nie tylko żeglarze i rybacy, lecz połowa miejskiej ludności: to walcząc z burzą i chwając się pod pędem wichru, to czając się za starymi skrzypiącymi statkami i łodziami; spoglądali z trwogą w dal na wzburzone morze. Były tam od zmysłów odchodzące żony i matki. Gdzież się schronić przed tym orkanem mogli nieobecni ich mężowie i synowie? Byli starzy marynarze, spoglądający bacznie na chmury i ze zwątpieniem kiwający głowami. Byli zaniepokojeni właściciele okrętów i łodzi, wystraszone dzieci zaglądające w twarze wystraszonych rodziców. Wielu z wystawionymi na morze lunetami zdawało się w śmiertelnym niepokoju śledzić ruchy uderzającego na nich nieprzyjaciela.

Gdy wśród wirowania wichru, deszczu, piasku, kamieni, piekielnego huku, szumu, jęku dostrzegłem samo morze, przeraziłem się. Nigdy nie widział podobnej grozy! Piętrzące się fale waliły na brzeg, gotowe zdruzgotać, zalać miasto całe. Cofały się potem z rykiem, w niezgłębione jakieś zapadając się przepaście. Pootwierwały się i zapadały białe, spienione ich grzbiety, roztrzaskując się na tysiące części, biegly zasilac i wydymac nowe nadbiegajace z dala gory. Gory te ruchliwe wygladaly sie w rowniny, wzbijaly sie w prostopadle lub chropowate sciany skal plynnych, lecialy, niewidoczną ręką ciskane olbrzymie balwany, o brzeg się z jękiem roztrzaskując, zmienne, niepochwytne, rozszalałe, w coraz nowe wcielając się kształty, coraz nowych szukając ujść i odpływów. Tam w głębi morze podnosiło się nagromadzonymi falami, ponad którymi kłębiły się chęży, gęste chmury. Niżej szybował ptak białopióry, samotny. Niebo groziło morzu, a morze porywało się, hucząc, na niebo.

Nie zastawszy Hama wśród rybaków i żeglarzy, którzy podobnej nie pamiętali burzy i po dziś dzień zaliczają ją do najstraszliwszych, jakie nawiedziły nasze brzegi, poszedłem do jego mieszkania. Było zamknięte. Nikt nie odpowiedział na moje pukanie. Udałem się tedy<sup>569</sup> na plac, gdzie zwykle pracował. Tu powiedziano mi, że go nie było w mieście, pojechał do Lowestoft wezwany do naprawy jakiegoś okrętu. Nazajutrz miał wcześniej wrócić.

<sup>567</sup> *miesiąc* (daw.) — księżyc. [przypis edytorski]

<sup>568</sup> *jakieśmy (...) posuwali się* — inaczej: jak się posuwaliśmy (konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika). [przypis edytorski]

<sup>569</sup> *tedy* (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

Wróciłem do oberży, lecz daremnie próbowałem zasnąć; umyłem się, ubrałem i tak mi czas zszedł do czwartej po południu. Niecałe pięć minut siedziałem przed ogniem, w kawiarni, gdy służący, dorzucając węgli, oznajmił mi, że dostrzeżono na morzu resztki dwóch okrętów, widziano też jakieś inne statki usiłujące dobić do brzegów. „Niech Nieba mają w swej opiece biedaków — skończył. — Zginą, jeżeli, broń Boże, nastąpi noc podobna do ostatniej”.

Czułem się przybity, samotny, a nieobecność Hama napelniła mnie trwogą nieodpowiednią wcale tak zwykłemu wypadkowi, jak niezastanie go w Yarmouth. Wypadki ostatnich czasów podkopały mi siły i podróż w burzliwą noc pozostawiła swe ślady. W zamęcie myśli i wspomnień traciłem miarę czasu i odległości i jeślibym, wyszedłszy na ulicę, spotkał kogokolwiek, o kim wiedziałbym, że się znajduje podówczas w Londynie, nie zdziwiłoby to mnie i nie zastanowiło bynajmniej<sup>570</sup>. Roztargniony, miałem jednak myśli przepełnione wspomnieniami, jakie te miejsca budziły. Wspomnienia powstawały żywe, wyraźne, tłumne...

W takim nastroju wzmianka służącego o dojrzanym statku złała się, pomimo mej woli, z niepokojem o Hama. Przeczucie mówiło mi, że musiał wracać morzem z Lowestoft i zginąć. Niepokój mój wzrastał do tego stopnia, że postanowiłem przed obiadem jeszcze wstąpić tam, gdzie zwykł był pracować, i rozpytać towarzyszy, czy nie wiedzą czasem, jak miał wracać: łądem czy morzem? Jeśli morzem, zdecydowany byłem natychmiast wyjechać na jego spotkanie i przywieźć go łądem.

Zamówiłem obiad i wyszedłem pośpiesznie do fabryki. O mało co się nie spóźniłem. Stróż z latarnią w ręku zamykał bramę. Roześmiał się na me pytanie, upewniając, że człowiek przy zdrowych zmysłach nie mógł nawet marzyć o morskich wycieczkach w podobną porę, a Ham Peggotty posiadał przecie nie tylko rozum, ale i żeglarskie doświadczenie.

Przekonany tym oczywistym argumentem, wracałem zawstydzony do oberży. Wiatr szalał, a jego świst i wycie, skrzypienie drzwi i okiennic, kołatanie takie, że mi się zdawało co chwila, iż dach zrywa i zmiata dom cały, szum i ryk morza wzmagały się od południa i tym straszniejsze robiły wrażenie, że wszystko to pokryły nieprzeniknione ciemności.

Nie mogłem ani jeść, ani nawet usiedzieć spokojnie na miejscu. Jakiś wewnętrzny niepokój, zewnętrznej tej odpowiadający burzy, budził w mej pamięci tysiące różnych wspomnień. W głębi serca pozostawał ciągle głuchy niepokój o Hama.

Nie tknąłem prawie obiadu i próżno starałem się pokrząć winem. Zdrzemnąłem się wprawdzie chwilę, siedząc przed kominkiem, nie tracąc wszelako świadomości ani szalejącego tam na dworze orkanu, ani miejsca, w którym się znajdowałem. Tylko groza i burzy, i miejsca tego wzrosła do nadludzkich rozmiarów. Z drzemki obudziłem się drżąc cały, zimnym oblany potem, pod wpływem dręczącej, tajemniczej, opisać się niedającej trwogi.

Chodziłem tam i z powrotem po pokoju, próbowałem czytać gazetę, wsłuchiwałem się w szum burzy, wpatrywałem się w ogień i wzory, które płomień tak jasno nieraz i wyraźnie rysuje. Jednostajny, monotony tik-tak wiszącego na ścianie zegara drażnił mnie ciągle. Postanowiłem położyć się.

Wieść, że służący zamierzali czuwać całą noc, była uspokajająca. Kładłem się zmęczony, rozbity, z ciężką nad wyraz głową, lecz gdy tylko przyłożyłem głowę do poduszki, przeszło mi to jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Czułem się rozbudzony, z podnieconą wrażliwością. O śnie nie było co i myśleć.

Leżałem, wsłuchując się w szum wichru i morza, wyobrażając sobie, to że słyszę krzyki jakieś, strzały w oddali, wołania o pomoc, sygnały, to znów, że się w mieście zapadają wichrem kołatanie domy. Wstawałem kilkakrotnie i podnosiłem rolety. Nie, nigdzie nic nie mogłem dojrzeć, oprócz błysku własnej mej świecy i odbicia na ciemnym tle szyb własnej mej poblądłej twarzy.

Niepokój mój wzrósł wreszcie do takiego stopnia, że nie mogąc dłużej wytrzymać, ubrałem się i zszedłem na dół. W obszernej kuchennej izbie, u której belek zwieszały się polćie słoniny i wianki cebuli, słudzy zebrani razem siedzieli naokoło dużego, stojącego naprzeciw komina stołu. Ładna dziewczyna, zatykająca sobie uszy fartuchem, z oczyma

Burza, Strach, Morze

<sup>570</sup>bynajmniej — wcale (dosł.: jak najmniej). [przypis edytorski]

wlepionymi we drzwi, porwała się z miejsca wystraszona moim zjawieniem się, jak gdybym był duchem. Inni, mniej płochliwi, zdawali się zadowoleni raczej z powiększenia się towarzystwa. Jeden z obecnych mężczyzn, przedłużając rozpoczętą rozmowę, spytał mnie, czy to prawda, że dusze rozbitków unoszą się na skrzydłach burzy.

W towarzystwie tym pozostałem co najmniej ze dwie godziny. Lepsze to było od samotności. Parę razy otwierałem drzwi, wyglądając na podwórze. Po ulicy walił piasek i piana morska, a drzwi bez pomocy paru mężczyzn zamknąć nie mogłem.

Pokój mój, gdy do niego wróciłem, wydał mi się ponury. Tak jednak byłem znużony, że niebawem zasnął. Sny miałem najrozmaitsze, zdawało mi się jednak ciągle, że miota mną wiatr. Pomału, tracąc wszelką samowiedzę, znalazłem się w obronnej jakiejś wieży, wśród kanonady, z dwoma przyjaciółmi — nie potrafiłbym tylko ich nazwać.

Grzmienie dział było ustawiczne i przeciągłe, że nie mogłem dosłyszeć, co mi mówili, coś jednak, com chciał i powinien był słyszeć! Musiałem natężyć słuch i... zbudziłem się. Dzień był już wielki, ósma czy dziewiąta godzina, na dworze szalał wichur, hucząc niby kanonada dział. Pukano do drzwi.

— Co tam? — spytałem.

— Statek się rozbił! — zawołano. — Tuż przy brzegu!

Porwałem się na równe nogi, o statek ten pytając.

— Dwumasztowy statek z Hiszpanii czy Portugalii wiózł owoce. Niech pan śpieszy, bo wkrótce nic z niego nie pozostanie.

Wołający oddalił się pośpiesznie, po schodach rozlegał się jego głos. Równie pośpiesznie odziałem się i wyszedłem.

Po ulicy ludzie biegli w kierunku morza. Pobiegłem za nimi, wyprzedzając niejednego. Teraz miałem morze przed sobą.

Wiatr ustał nieco, wycie jego nie tak było już straszne jak to, które mi się śniło, lecz morze po całonocnej burzy straszniejsze i groźniejsze jeszcze było niż minionego wieczoru. Wydęte, nabrzmiące jakby, ciemne fale podnosiły się i opadały z rykiem, podobne do konwulsyjnych wstrząśnień.

W ogólnym zamieszaniu, huk, szumie wiatru i morza nie dojrzałem zrazu rozbijającego się okrętu. Wichur tamował mi oddech, a przed oczyma majaczyły czuby i szczyty wzdętych bałwanów. Na pół zaledwie odziany żeglarz nagał po ramię, tatuowaną ręką wskazał mi w lewo. Wówczas, o Nieba, dojrzałem go! Jeden maszt strzaskany leżał wśród stosu porwanych lin i żagli bijąc boki miotanego, kręcącego się na miejscu statku. Usiłowano snadź<sup>571</sup> maszt odciąć. Rozbitkowie pracowali jeszcze uzbrojeni w siekiery, a wśród nich górował jeden, o wijących się włosach, czynny, energiczny. Wtem rozległ się znów olbrzymi, głośniejszy huk burzy i morza! Powstał krzyk. Ludzie, krokwie, beczki, bale, żagle i liny, wszystko to zniknęło pod nadbiegłą<sup>572</sup> hordą wzdętych bałwanów...

Drugi maszt sterczał jeszcze obwieszony lachmanami porwanych lin i żagli. Okręt dał już był<sup>573</sup> raz nurka — tłumaczył mi ten sam żeglarz, co go wskazywał, i dodał, zdaje mi się, że znów wypłynie i kto wie, może ostatecznie da się coś uratować.

Było to prawie niemożliwe. Morze miotało statkiem tak wściekle, że chyba żadne nadludzkie wysiłki podolać mu nie mogły. Żeglarz nie skończył jeszcze mówić, gdy na brzegu rozległ się nowy krzyk. Czterech ludzi, wyrzuconych przez bałwany, czepiało się masztu, ten z wijącymi się włosami był pierwszy.

Przy maszcie znajdował się dzwon. Okręt wił się i szarpał podobny szaleńcowi w śmiertelnych zapasach i dzwonił, a dźwięki zmieszane z wołaniem rozbitków przebijały przez szum wichru i ryk morza. Znów statek zniknął nam sprzed oczu i raz jeszcze wypłynął. Z czterech ludzi było na nim już tylko dwóch. Na brzegu wzmogła się śmiertelna rozpacz, mężczyźni z jękiem załamali ręce, kobiety z łkaniem odwróciły głowy. Niektórzy biegali tam i z powrotem, wołając o niemożliwy ratunek. Sam byłem pomiędzy tymi ostatnimi. Oszalały, błagałem marynarzy o niesienie pomocy tym dwóm nieszczęsnym, walczącym na oczach naszych z niechybną śmiercią.

<sup>571</sup>snadz (daw.) — widocznie, prawdopodobnie. [przypis edytorski]

<sup>572</sup>nadbiegła (daw.) — tu: forma imiesłowowa: ta, która nadbiegła. [przypis edytorski]

<sup>573</sup>dał (...) był — daw. forma czasu zaprzeszczonego; znaczenie: dał wcześniej, uprzednio (tzn. przed wykonaniem czynności wyrażonej czasem przeszłym prostym). [przypis edytorski]

Odpowiadali mi bezładnie, że łódź ratunkowa była już spuszczone, lecz daremnie. Mówili, że nie znajdzie się taki szaleniec, co by się ważył rzucić w morze z liną ratunkową. Nie było co i próbować.

Wśród zebranych na brzegu widzów strasznego tego dramatu zauważyłem ruch jakiś i nagle dostrzegłem Hama. Rzuciłem się do niego, błagając o pomoc dla tonących, lecz wstrzymał mnie wyraz jego twarzy. Wyraz ten znałem. Ten sam to, który zauważyłem po ucieczce Emilki! Zrozumiałem niebezpieczeństwo. Uczepiłem się go gwałtownie, błagając żeglarzy i rybaków, by go nie puszczała, trzymali na brzegu...

Nowy krzyk rozdarł powietrze. Okrutny, bezduszny żagiel znów opadł, pokrywając dwóch walczących o życie — opadł, podniósł się, rozwinął triumfalnie ponad głowę jedynego z rozbitków, co pozostał uczepiony do masztu.

Ach, gdybym był w mocy przezwyciężyć to okrucieństwo sytuacji i odwieść od powziętego zamiaru tego zdecydowanego na śmierć człowieka.

— Paniczu — rzekł Ham spokojnie, ściskając mi silnie dłoń — jeśli godzina moja wybiła, tym lepiej, jeśli nie, przywołać ją pora. Bóg z tobą, paniczu, i z wami wszystkimi. Hej, bracia, powrozów!

Odrzącił mnie stanowczo, lecz łagodnie. Ludzie nas rozdzielili. Zrozumiałem, że utrudniam ratunek. Nie wiem już, com mówił i co mi odpowiadano, widziałem tylko, jak na brzegu zawrzało. Ham znikł mi z oczu, otoczony rybakami. Po chwili dopiero, odziany w ratunkowe przybory, z powrozem w rękę, drugim uwiązany dokoła pasa, wszedł śmiało w wodę. Rybacy stanęli rzędem za nim.

Szczątki statku, widziałem to nawet mym niedoświadczonym okiem, musiały zatonąć. Kadłub roztrzaskały fale. Życie czepiającego się masztu rozbitka zawisło na włosku. Dziwny miał on kapelusz, czerwony, ale nie taki, jakie zwykle noszą majtkowie. Powiewał nim ku nam, a dzwon tam nad nim, przy maszcie, pogrzebowo wydzwaniał psalmy. Widzę go, widzę — ten ruch ręki przypomni mi nagle tego, co był mi niegdyś najukochańszym przyjacielem!

Ham śledził morze. Na brzegu zaległa cisza śmiertelna, nad morzem szalała burza. Ham obejrzał się na tych, co trzymali opasujące go sznury, i rzucił się w spienione bałwany. Wyrzuciły go na brzeg.

Był ranny. Dojrzałem krew, pomimo to, zamieniwszy kilka słów z rybakami, rzucił się ponownie.

Bałwany porwały go, wzbijając, to znów ciskając w odmęty i morskie przepaści, lecz bądź co bądź, mimo parcia wichru i fali, dopływał do statku. Jeszcze jedno, dwa uderzenia silnych tych i muskularnych ramion, a pochwytił maszt z zawieszonym na nim... Wtem olbrzymia, zielonkawa podniosła się góra, niczym niepowstrzymana, nadbiegła, uderzyła o maszt strzaskany, opadła — nic nie pozostało na powierzchni wody. Nic.

Wirowały szczątki czegoś; ciągniono coś na brzeg pracowicie, z natężeniem muskułów, myśli, spojrzeń. Wyciągnięto go tuż u nóg mych — martwego. Przeniesiono do najbliższego domu. Byłem przy nim, próbując wraz z innymi wszystkich sposobów ratunku. Fale, w które się rzucił, miotając nim zabiły go... Przestało bić szlachetne serce.

Nie było żadnej nadziei. Sam pozostałem przy zwłokach. Z ciężkiej zadumy zbudził mnie rybak, co znał nas, mnie i Emilkę, gdyśmy byli jeszcze dziećmi.

— Panie — mówił ze łzami w oczach i pobladłymi ustami — może by pan z łaski swej wyszedł.

Opierając się na ramieniu, które wyciągnął, by mnie podeprzeć, spytałem go pełen trwogi:

— Czy morze wyrzuciło inne jeszcze zwłoki?

— Tak jest — odrzekł.

— Znane mi?

Nic nie odpowiedział, lecz wiódł prosto na brzeg.

Tam właśnie, gdzieśmy niegdyś, małymi dziećmi będąc, zbierali z Emilką muszle, a gdzie teraz leżały strzaskane burzą ściany dawnej łodzi, obok połamanego dachu, pod który wniósł krzywd tyle, leżał, z głową opartą na rękę tak, jak zwykłem go być widywać śpiącym niegdyś... w szkole.

## ROZDZIAŁ LVI. NOWA I STARA RANA

Nie potrzebowałeś, Steerforcie, prosić mnie w ostatniej naszej rozmowie (mógłbym przypuszczać, że będzie ostatnią!), nie potrzebowałaś prosić, bym bądź co bądź dobre zachował po tobie wspomnienie. Takie tylko zachowałem i to, com teraz miał przed oczyma, nie mogło zamknąć ci mego serca!

Przynieśli nosze, złożyli go na nich, żaglem przykryli i ponieśli przez ulice. Wszyscy go tu znali, lubili za odwagę i wesołość. Przez ludne ulice, poprzedzani wielką ciszą, nieśli go do domu przez śmierć już zamieszkałego.

Lecz zanim złożyli go, obejrzeni się po sobie, spojrzeli na mnie i na niego, zrozumieli, w prostocie serc swoich, że nawet po śmierci ci dwaj nie mogli pozostawać tu razem.

Ponieśliśmy go tedy znów przez miasto, do oberży. Gdybym mógł jako tako zebrać myśli, posłałem po Jorama i zleciłem mu, by zajął się przewiezieniem zwłok do Londynu. Czulem, że na mnie ciąży obowiązek przygotowania matki jego do straszego ciosu. Obowiązek ten spełnić chciałem wiernie.

Postanowiłem wyjechać wieczorem, by uniknąć ciekawości ludzkiej, lecz chociaż zbliżała się północ, gdyśmy opuszczali oberżę, na ulicach pełno było ludzi. W miarę jak posuwaliśmy się przez miasto, orszak rósł, aż za miastem wreszcie znalazłem się w pustym polu, sam ze zwłokami przyjaciela lat chłopięcych.

Był cichy i pogodny dzień jesienny, turkot kół tłumiły opadłe i zaścielające drogę liście, inne, złotożółte i purpurowe, zdobiły jeszcze drzewa, gdy o południu stanął w Highgate. Wysiadłem z powozu i pieszo zbliżyłem się do domu pani Steerforth.

Dom wyglądał jak zwykle. Żadnej nie podniesiono rolety i na dziedzińcu nie było znaku życia. Wiatr ustał, w powietrzu zupełna panowała cisza.

Odwagi mi brakło, by zadzwonić. Musiałem się zatrzymać u bramy, a gdym potrącił dzwonek, zdawało mi się, że sam dźwięk jego zdradzi tajemnicę mych odwiedzin. Drzwi otwarła mi służąca.

— Z przeproszeniem pańskim — rzekła, przypatrując mi się uważanie — pan słaby?

— Wzruszony i zmęczony — odrzekłem.

— Może się coś przytrafiło panu Jamesowi?

— Cyt! Tak, istotnie, przytrafiło mu się coś, o czym oznajmić muszę jego matce. Zastąpiłem panią Steerforth w domu?

Zaniepokojona służąca oznajmiła mi, że pani jej rzadko kiedy wyjeżdża nawet na przejażdżkę, nie wychodzi prawie ze swego pokoju i nie przyjmuje nikogo, lecz że zapewne zechce się z mną widzieć. Jest tam na górze i panna Dartle jest przy niej. „Co mam oznajmić?”

Dałem jej mą kartę wizytową, zleciwszy jak największy spokój. Miała powiedzieć po prostu swej pani, że pragnę ją widzieć. Czekając powrotu służącej, usiadłem w salonie. Pusty był i zasłonięte miał okna. Harfa stała nietknięta snadź<sup>574</sup> od dawna. Na ścianie wisiał jego portret z lat dziecięcych; biureczko, w którym matka chowała jego listy, stało na swym miejscu. Czy je przegląda jeszcze czasem? Czy je kiedykolwiek będzie odczytywać?

W domu taka panowała cisza, że z dala już słyshał lekkie kroki powracającej sługi. Pani jej słaba była i zejść do salonu nie mogła, lecz prosiła mnie na górę, do swego pokoju.

Nie upłynęło kilka minut, a stałem przed nią. Nie w jej jednak, lecz w syna zastałem ją pokoju! Pokój ten zajęła zapewne przez pamięć dla nieobecnego. Otaczały ją należące do syna przedmioty, nietknięte, rzekłbyś, odkąd komnatę tę opuścił. Pomimo to, witając mnie, czuła się w obowiązku nadmienić coś o tym, że się tu znajduje tylko wypadkowo, gdyż pokój ten doktorowie uznali za zdrowszy i obszerniejszy.

Za krzesłem jej, jak zwykle, stała Róża Dartle. Pierwszym rzuconym na mnie spojrzeniem czarnych, płomiennych oczu pochwycić musiała, że złe przynoszę wieści. Szrama wystąpiła ostro na jej lica. Cofnęła się, zapewne w obawie, by wyraz jej twarzy nie zdradził wzruszenia, lecz oczy jej przesywały mnie.

— Smutno mi widzieć pana w żałobie — ozwała się pani Steerforth.

— Owdowiałem, pani.

<sup>574</sup>snadź (daw.) — widocznie, prawdopodobnie. [przypis edytorski]

— Zbyt młody pan jesteś na tak ciężką stratę. Współczuję panu, współczuję. Oby ci czas boleść ukoił.

— Ufam — odrzekłem — że czas wszystkich nas ukoï, kochana pani. Wobec najstraszliwszych ciosów nie powinniśmy wątpić o tym.

Zaniepokoił ją głos mój wzruszony i lzy w oczach. Zdawało się, że bieg jej myśli zatrzymał się nagle i zmienił kierunek.

Usiłowałem spokojnie wymówić imię jej syna, lecz głos mój zdradził mnie swym drżeniem. Imię to powtórzyła za mną kilkakrotnie, jak przyciszone echo. Siłąc się potem na spokój, spytała mnie z wymuszonym chłodem:

— Syn mój chory?

— Słaby.

— Widziałeś go pan?

— Widziałem.

— Pogodziliście się tedy?

Nie mogłem na to odpowiedzieć ani twierdząco, ani przecząco. Odwróciła się, szukając Róży Dartle; skorzystałem z tej chwili, by ruchem ust powiedzieć tej ostatniej:

— Nie żyje!

Dla odwrócenia uwagi pani Steerforth, spotkałem wzrok jej ze względnym spokojem, chociaż widziałem, jak za krzesłem jej Róża z rozpaczą załamała nad głową ręce, zanim skryła w nich swą twarz.

Piękna pani (o, jak podobna, jak podobna do niego!) wpatrywała się we mnie pytająco. Prosiłem ją, aby zebrała wszystkie swe siły dla wysłuchania tego, com jej miał powiedzieć. Czemużem raczej do płaczu jej nie namawiał! Zdawało się, że skamieniała od razu.

— Gdym tu był po raz ostatni — począłem — panna Dartle mówiła mi, że pływa on tu i ówdzie. Jeśli to prawda, że onegdajszej<sup>575</sup> nocy był na morzu i w nader niebezpiecznym miejscu, i jeśli widziany statek był istotnie...

— Różo! — krzyknęła pani Steerforth. — Do mnie, Różo!

Podeszła, lecz bez słowa pociechy i ukojenia. Z oczu jej tryskał ogień, wybuchła głośnym śmiechem.

— Oto do czego doprowadziła twa duma, szalona kobieto! — zawołała. — Zadziwił cię wreszcie, tracąc życie, słyszysz, życie tracąc!

Pani Steerforth z jękiem opadła na poręcz krzesła i osłupiałym wzrokiem patrzyła na Różę.

— Tak! — zawołała Róża Dartle, uderzając się gwałtownie w piersi. — Patrz na mnie, jęcz i przeklinaj, lecz patrz na mnie! Tu! Syna twego dzieło!

Podniosła rękę do przecinającej twarz jej blizny.

Pani Steerforth jęczała tylko. Och! Jęk ten serce mi rozdzierał. Skarga bez słów i łez, której towarzyszył automatyczny jakiś ruch głowy, twarz kamienna, nieporuszona. Jęk wychodzący poprzez zaciśnięte — z szatańską rzekłbyś mocą — usta i zęby.

— Czy pamiętasz — mówiła nieubłagana Róża Dartle — czy pamiętasz, jak odziedziczywszy dumę twą i porywczość, któreś pieszczotami w nim rozwijała, skaleczył mnie, na całe oszpecił życie, do śmierci napiętnował swym niezadowoleniem? Patrz na mnie i jęcz, i przeklinaj własne swe dzieło.

— Panno Dartle — wtrąciłem — na Chrystusa rany...

— Wypowiem raz przecie, co mam na sercu — zwróciła się do mnie z rozbłysłymi oczyma. — Nie mieszaj się, proszę, w nie swoje sprawy! A ty, dumna matko dumnego a wiarołomnego syna, patrz na mnie, jęcz i przeklinaj dziedzictwo swe, jęcz nad swym własnym odbitym w nim zepsuciem, jęcz nad stratą jego, nad moją jęcz zgubą.

Łamała ręce; wstrząsały nią całą konwulsyjne dreszcze.

— Ha! Cierpiałas przez samowolę jego! Cierpiałas przez dumę i porywczość, sama go tymi nakarmiwszy jady. Wyssał je z mlekiem twych piersi. Widzisz, jak i czym dzieło twe uwieńczone zostało!

— O, panno Dartle! — wtrąciłem ponownie. — Jak się pani nie wstydzisz! Gdzie masz serce!

<sup>575</sup> onegdajszej (daw.) — przedwczorajszej. [przypis edytorski]

— Mówiłam — odparła — że powiem wszystko, nic mnie już wstrzymać nie zdoła. Milczałam dotąd, przez długie milczałam lata, teraz na mnie kolej mówić. Kochałam go stokroć więcej, niżej go sama kochała! Kochałabym go, nie prosząc nawet o wzajemność. Jeślibym została jego żoną, jak niewolnicę nagiąłby mnie do swych fantazji, za słowo jedno, całe bym mu, bez wahania, oddała życie! Któż to lepiej ode mnie wiedzieć może? Tyś była wymagająca, dumna, samolubna. Moje kochanie zdeptać mogło całą twą nędzną czułościowość.

Tupała nogą, a oczy jej błyszczały.

— Patrz! — wołała, znów rękę do blizny podnosząc. — Patrz! Gdy się opamiętał, dostrzegł to i żałował. Śpiewałam mu, mówiłam z nim, okazywałam zajęcie wszystkim, co go zajmowało. Gdy lepszy był i szczerzy, wówczas to kochał mnie. Tak, kochał mnie i nieraz zbywając cię czczym słówkiem do bijącego i gorącego serca mnie tulił.

Mówiła to z dumą. Wspomnienie to pobudzało najlepsze z jej uczuć.

— Zostałam, czegoż by nie wymógł na mnie! Byłam mu lalką, rozrywką bezczynnych godzin, rzucaną i znów braną gwoli<sup>576</sup> kaprysów igraszką. Gdy się nudził, byłam znudzona, a gdy kaprys mijał, nie poruszyłabym palcem ręki, by na nowo zadzierzgać węzły, zostałabym nawet jego żoną, gdyby tego zażądał. Rozstaliśmy się bez słowa. Musiałś to zauważyć i cieszyłś się z tego w duszy. Odtąd byłam pomiędzy wami dwojgiem zużyтым, lecz potrzebnym sprzętem, bez oczu, uszu, czucia, pamięci! Jęcz, jęcz nad nim, lecz nie nad nędznym kochaniem swym, bo ci powtarzam, kochałam go stokroć więcej!

Stała prosto, oko w oko ze skamieniałą z bólu niewiastą, niemiłosierną, nieubłagana, głucha na jęk rozdzierający.

— Panno Dartle — rzekłem — jeśli pani niezdolna odczuć boleść tej nieszczęsnej matki...

— A mojej kto współczuł boleści? — przerwała mi gwałtownie. — Niech jęczy i przeklina własny zasiew, którego plon dziś zbiera.

— I jeśli jego winy... — ciągnąłem.

— Winy! — zawołała, wybuchając spazmatycznym płaczem. — Winy! Kto go śmie oskarżać! Miał on serce i duszę warte tysiąca przyjaciół, do których się skłaniał.

— Nikt go pewnie — odrzekłem — więcej ode mnie nie kochał i nie cenił i dlatego mówię pani, że jeśli nie masz współczucia dla jego matki i jeśli gorycz, z jaką wspominasz winy jego...

— To nieprawda! — krzyknęła, targając sobie włosy. — Ja go kochałam!

— ...nie może być zapomniana — ciągnąłem — w podobnej nawet chwili, spójrz pani na tę nieszczęsną, chociaż tak, jak gdybyś ją tu po raz pierwszy dopiero widziała, i śpiesz jej z pomocą.

Ani twarz, ani cała postawa pani Steerforth nie drgnęła. Siedziała sztywna, z szeroko otwartymi oczyma, z zaciśniętymi ustami, tylko się z jej piersi wydierał jęk cichy i głowa poruszała się z wolna, automatycznie. Nagle panna Dartle rzuciła się przed nią na kolana i zaczęła jej rozluźniać suknię na piersiach.

— Bądź przekłety — zawołała, rzucając mi spojrzenie, w którym wściekłość mieszała się z rozpaczą. — Przekłety bądź ty i ta godzina, w której przestąpiłeś próg tego domu.

Wyszedłem, dzwoniąc na służbę, lecz odchodząc widziałem, jak klękając przed nią, objęła zesztyniałą kobietę pokrywając ją łzami i pocałunkami, najczulszymi nazwami i słowami usiłując przywołać do życia. Wyszedłem, nie bojąc się już zostawić ich samych. Później wwiódłem<sup>577</sup> go pod dach rodzinny. Ustawiliśmy zwłoki w pokoju pani Steerforth. Stan jej, jak mi powiedziano, najmniejszej nie uległ zmianie. Panna Dartle ani na krok od niej nie odstępowała, przywołano lekarzy i najrozmaitszych próbowano środków, nic nie pomagało. Leżała sztywna, nieruchoma, jedynym śladem życia był jęk cichy.

Przeszedłem przez wszystkie pokoje, zasłaniając okna. W pokoju, w którym spoczął, zasloniłem na ostatku. Podniosłem zwisłą dłoń i długo ją tuliłem do serca. Wszystko zamarło, w grobową głuszę zapadło. Tylko jęki matki głuszę tę przerywały.

<sup>576</sup>gwoli (daw.) — dla, w celu. [przypis edytorski]

<sup>577</sup>wwieść (daw.) — wprowadzić. [przypis edytorski]

## ROZDZIAŁ LVII. EMIGRANCI

Jedno mi jeszcze pozostało przed folgowaniem żalowi, jaki powyższe wypadki wywołały, a mianowicie — skryć je przed odjeżdżającymi. Niech odjadą spokojni. Nie miałem czasu do stracenia.

Tego samego jeszcze wieczoru, wzięwszy na stronę pana Micawbera, zleciłem mu czuwanie, by wieści o tym, co zaszło, nie dotarły do Peggotty. Obiecał mi to solennie, zamierzając przejmować dzienniki.

— Nie dojdą do niego — twierdził ze zwykłą sobie emfazą — chyba poprzez to serce.

Tu wypada mi nadmienić, że pan Micawber, odpowiednio zapewne do zmienionej swej pozycji społecznej, przybrał minę dziwnie zuchwałą, wyzywającą. Niejeden mógł go wziąć za syna dzikich stepów, który spędziwszy czas jakiś w kraju cywilizowanym, z radością powraca znów do ojczystych, dzikich zakątków. Sprawił sobie ceratowe ubranie i ogromny z wykrzywionymi brzegami słomkowy kapelusz. Z teleskopem pod ramieniem, przypatrując się z miną głębokiego znawcy chmurom, wyglądał jak marynarz, co zjadł zęby w swoim zawodzie. Cała też jego rodzina była pod bronią. Pani Micawber miała na głowie kapelusz, który nie zakrywał jej nawet warkocza, i spowiła się szalem równie ciasno, jak mnie niegdyś przy pierwszym ze mną spotkaniu skrępowała ciotka. Szal, skrzyżowany na piersiach, związany był w stanie w olbrzymi węzeł. Młody Micawber nosił marynarską kurtkę i najdziwniejsze, jakie mi się kiedy bądź widzieć zdarzyło, szarawary, a bliźnięta wyglądały jak konserwy wtłoczone w puszki. Pan Micawber i pierworodny syn jego nosili ciągle przy tym odwinięte rękawy, gotowi, rzekłbyś, na pierwsze zawołanie stanąć do pracy lub bójki.

Tak właśnie zastaliśmy ich wieczoru tego na drewnianych stopniach, znanych wówczas pod nazwą: Hungerford Stairs<sup>578</sup>, przypatrujących się odpływaniu łodzi uwożącej część ich mienia. Opowiedziałem Traddlesowi wszystko, co zaszło. Zmartwił się tym bardzo i podzielał me zdanie, aby zachować tajemnicę przed odjeżdżającymi. Tutaj to zastaliśmy pana Micawbera i otrzymaliśmy jego obietnicę.

Rodzina Micawberów mieszkała w pobliżu, w brudnej oberży, której okna wychodziły na owe drewniane stopnie. Jako emigranci zwracali oni na siebie ogólną uwagę. Woleliśmy tedy schronić się do izdebki na poddaszu, z widokiem na rzekę. Zastaliśmy tam ciotkę i Agnieszkę, zajęte szyciem wygodniejszej odzieży dla dzieci. Pomagała im Peggotty, mając przed sobą nieodstępne swe pudełko do robót i stary kawałek wosku, co tyłu przeżył.

Nielatwo mi było odpowiadać na pytania, którymi mnie zarzuciła, ani też szepnąć panu Peggotty, że spełnił jego zlecenie. Uszczęśliwiło go to, a własna ma żaloba wytłumaczyła smutek rozlany na mej twarzy.

— Kiedy rozwijacie żagle? — spytała ciotka.

Pan Micawber, który uważał za obowiązek swój przygotować do wieści ciotkę i swą żonę, odrzekł, że prędzej niż sądził.

— A zatem? — spytała ciotka.

— Oznajmiono mi, pani — rzekł — żeśmy powinni być jutro przed siódmą rano na pokładzie.

— Jutro? Tak prędko! — zawołała ciotka. — Jestże to pewne, panie Peggotty?

— Tak, pani — odrzekł. — Odpływamy rano, a panicz Davy i siostra moja, jeśli zechcą, zobaczą nas raz jeszcze po południu w Gravesend.

— Nie możecie o tym wątpić — pośpieszyłem zapewnić.

— Do tej też chwili ja i pan Peggotty musimy ciągle czuwać razem nad transportem bagaży — ozwał się Micawber, spoglądając na mnie znacząco. — Emmo, duszko — dodał, cmokając ustami — przyjaciel nasz pan Tomasz Traddles prosi mnie, bym mu dozwolił zaordynować ingrediencje<sup>579</sup> potrzebne dla przygotowania kordiału<sup>580</sup>, co wraz

<sup>578</sup>*Hungerford Stairs* — schody usytuowane nad brzegiem Tamizy w pobliżu Strandu, przebudowane w 1833 r.; obok nich znajdowała się fabryka pasty do butów (Warren's Blacking Factory), w której Charles Dickens spędził jakiś czas jako dziecko (12 l.), gdy jego ojciec trafił do więzienia za długi; wspomnienie tego epizodu i konieczności utrzymywania się z pracy fizycznej przez wiele lat łączyło się dla pisarza z wstydlwym przypomnieniem upokarzającej deklaszacji. [przypis edytorski]

<sup>579</sup>*ingrediencje* (z łac.) — składniki. [przypis edytorski]

<sup>580</sup>*kordiał* (daw.; z łac. *cor, cordis*: serce) — mocny trunek; niegdyś: przyrządzana na ziołach nalewka uważana za lek wzmacniający serce. [przypis edytorski]



z rostbefem pozostanie nieoddzielnym od wspomnień starej, którą porzucić mamy, ojczyzny, słowem, domyślasz się, duszko, że mowa o ponczu. W poprzednim biegu życia nigdy nie pozwoliłbym sobie korzystać z uprzejmej propozycji naszego przyjaciela i nadużywać pobłażliwości tu obecnych panny Trotwood i panny Wickfield, lecz... dziś...

— Co do mnie — ozwała się ciotka — z przyjemnością wypiję za powodzenie waszej podróży.

— I ja też — dorzuciła Agnieszka.

Pan Micawber udał się tedy niezwłocznie do kawiarni, gdzie go doskonale znano i skąd wrócił obładowany niezbędnymi do zrobienia ponczu ingrediencjami. Zauważyłem, że scyzoryk, którym obierał cytryny, był niezwyklej długości. Ocierał go, z pewną niedbałością o rękaw swego surduta, jak przystało człowiekowi pierwotnych obyczajów. Pani Micawber, z dwojgiem starszych dzieci, została zaopatrzona w takież same praktyczne scyzoryki, a bliźnięta miały uwiązane u pasków olbrzymie drewniane łyżki. W przewidywaniu też życia w pustyni, pan Micawber, chociaż mu nietrudno było dostać w Londynie szklanki, rozlewał poncz w małe, cynowe, podróżne snadz<sup>581</sup> kubki. Zdawało się zresztą, że mu ulubiony jego kordiał szczególnie smakuje z tego kubka, który za każdym razem wycierał chustką do nosa i chował w olbrzymiej kieszeni.

— Rozstajemy się — mówił z zadowoleniem — ze zbytymi i wykwiętymi starego ładu. Obywatele dziewiczych lasów nie mogą przecie korzystać z wytworów cywilizacji krain wolnych i oświeconych.

W tej chwili zawezwano pana Micawbera na dół.

— Przeczucie mówi mi — ozwała się pani Micawber — że to ktoś z mej rodziny.

— Jeśli tak — pan Micawber uniósł się, jak to zwykle bywało przy każdej wzmiance o rodzinie żony — jeśli tak, ów ktoś, czy to on, ona, czy ono, kazał nam na siebie czekać zbyt długo! Niechże teraz poczeka z kolei.

— Mężu — upomniała go z cicha żona — w podobnej chwili...

— Pięknym za nadobne! — wołał pan Micawber, powstając z miejsca. — Odepchnięty byłem.

— Nie ty, ale rodzina moja straciła na tym — upewniała pani Micawber — a jeśli poczuła w końcu, co straciła, i wyciąga dziś dłoń zgody, niechże dłoń ta nie zostanie odepchnięta.

— Niech i tak będzie — rzekł pan Micawber z rezygnacją.

— Zrób to, jeśli nie dla nich, to dla mnie — błagała go żona.

— Słowa twe, Emmo, w danej chwili są mi rozkazem. Wiem, że nie jestem i nie będę ciężarem twej rodziny, lecz nie chcę, by członek takowej, który przyjazną do mnie dłoń wyciąga, odszedł z niczym.

Rzekłszy to, pan Micawber wyszedł. Pani Micawber wyraziła niepokój o zapalczywy temperament męża. Po kilku chwilach służący z dołu wrócił, podając mi kartkę, na której było napisane: „Heep przeciw Micawberowi”. Z dokumentu tego dowiedzieliśmy się dalej, że pan Micawber znowu zaaresztowany wpadł w nowy paroksyzm rozpacz, prosząc przy tym, bym mu przez oddawcę niniejszego przysłał scyzoryk i kubek, które mogą mu być potrzebne w ostatnich dniach życia, spędzonych w okowach<sup>582</sup>. Jako dowód przyjaźni upraszał mnie, bym odwiedzał czasem jego rodzinę w przytułku i zapomniał o „nieszczęsnym stworzeniu”, to jest o nim samym.

W odpowiedzi na pismo to udałem się niezwłocznie, by zapłacić dług. Pan Micawber siedział zasepiony w kącie pokoju i patrzył ponuro na urzędnika sądowego, który przybył tu z wyrokiem. Po uwolnieniu uściskał mnie z wylaniem i wziął się do zapisywania opłaconej sumy w swoim notatniku, wielkie rzeczy robiąc z pół pensa, które opuściłem przy podliczaniu.

Notatnik ten przypomniał mu snadz<sup>583</sup> inne jeszcze zobowiązania. Gdy wrócił, a nieobecność swoją wyjaśnił „niezależnymi od siebie okolicznościami”, wyjął duży arkusz papieru złożony w kilkoro i cały pokryty długimi rzędami cyfr, starannie wykaligrafowanymi. Tytu cyfr razem nie zdarzyło mi się widzieć w żadnym szkolnym zeszytcie. Były to spisy procentów i procentów od procentów, jak się okazało. Po rozejrzeniu się w swych

<sup>581</sup>snadz (daw.) — widocznie, prawdopodobnie. [przypis edytorski]

<sup>582</sup>okowy (daw.) — kajdany. [przypis edytorski]

<sup>583</sup>snadz (daw.) — widocznie, prawdopodobnie. [przypis edytorski]

notatkach i pracowitym wyliczaniu, nakreślił weksel płatny za dwa lata, dwa miesiące i dni czternaście, który to weksel wręczył Traddlesowi, zapewniając o swej wdzięczności i wypłacalności.

— Mam jednak przecucie — mówiła pani Micawber, w zamyśleniu potrząsając głową — że rodzina moja zjawi się na pokładzie w chwili naszego odjazdu.

Pan Micawber musiał też mieć przecucia jakieś w tym względzie, lecz ich nie wyjawiał.

— Jeśli będziesz pani pisywać do kraju — ozwała się ciotka — nie zapomnij, proszę, udzielić nam wieści o sobie.

— Kochana pani — odrzekła pani Micawber — miło mi będzie myśleć, że mogą panią interesować wieści o nas, i nie omieszkam z pewnością takowych udzielać. Ufam też, że pan Copperfield, jako stary znajomy i dobry przyjaciel, pozwoli pisywać do siebie od czasu do czasu tej, która go znała, zanim jeszcze bliźnięta posiadały świadomość istnienia.

Odpowiedziałem, że listy jej prawdziwą sprawiąć mi będą przyjemność, jeśli znajdzie sposobność przesyłania takowych.

— No, sposobności, chwała Bogu, nie zabraknie — zawołał pan Micawber. — Ocean jest obecnie traktem okrętów, spotykać je będziemy na każdym kroku. Jest to — ciągnął, bawiąc się monoklem — po prostu spacer, przejażdżka. Przestrzeń istnieje tylko w wyobraźni.

Jakże to dziwnym a jednak podobnym było do niego! Wyjeżdżając z Londynu do Canterbury wyobrażał sobie, że udaje się na krańce świata, lecz gdy porzucił Anglię dla Australii, przestrzeń traktował lekko, była to dlań przejażdżka, ot, po prostu niewinna wycieczka w sąsiedztwo.

— W drodze — mówił — zabawimy się gawędką, a muzyczne uzdolnienia mego syna przyczynią się do ogólnej rozrywki. Pani Micawber, jeśli jej zdrowie pozwoli, zaśpiewa nam niejednokrotnie ulubioną balladę, delfiny i inne morskie stwory dostarczą sposobności podziwiania ich, budząc ustawiczną ciekawość. Słowem, uwaga i wyobraźnia nasza tak będą zajęte, że się zdziwimy, gdy przyjdzie pora wylądowania.

Mówiąc to, wychylał kubki ponczu, jak gdyby nie wiem wiele już razy przepływał tam i z powrotem ocean i posiadał nie wiem już jakie żeglarskie doświadczenie.

— Co do mnie, kochany panie Copperfieldzie — mówiła pani Micawber — mam nadzieję, że niektórzy członkowie rodziny mojej wrócą do dawnej ojczyzny. Nie marszcz się tak, mężu, nie mówię tego o nas samych, lecz o dzieciach dzieci naszych. Pomimo całej żywotności nowych flanców, przeszczepionych na świeży grunt, nie podobna<sup>584</sup> mi decydować się na ostateczne zerwanie starych więzów i gdy potomstwo nasze wzbogaci się w siły, fortunę i znaczenie, pragnęłabym widzieć je znów tu, na łonie macierzystej Brytanii.

— Kochanie — zauważył pan Micawber — pozwolę sobie zauważyć, że mało co zawdzięczam Brytanii i nie żywię przeto dla niej podobnie przyjaznych uczuć.

— Mylisz się, mój mężu — mówiła pani Micawber — gdyż odjeżdżasz na dalekie, obce brzegi, w celu wzmocnienia, nie zaś rozluźnienia istniejących pomiędzy sobą a Albionem<sup>585</sup> więzów.

— Więzy te do niczego mnie dotąd nie zobowiązały, a nie śpieszno mi wcale zadzierzgnąć nowe — mruknął pan Micawber.

— I znów mylisz się, mój mężu — mówiła pani Micawber — nie doceniasz sił własnych. Więzy pomiędzy tobą a Albionem wzmogą się przez ten krok, któryś przedsięwziął, a również zadzierzgną się i nowe.

Pan Micawber słuchał zapewnień żony, siedząc rozparty w fotelu, z podniesioną brwią, na poły zgadzając się z jej zdaniem.

— Kochany panie Copperfieldzie — mówiła pani Micawber — pragnęłabym, aby mąż mój zrozumiał swe zadanie. Wydaje mi się rzeczą wielkiej wagi, by od pierwszej chwili pojął wymagania nowego położenia. Znając mnie od tak dawna, wiesz, kochany panie Copperfieldzie, że nie mam tak zapalczego, jak mąż mój, temperamentu. Usposobienie moje jest, że tak rzec mogę, na wskroś praktyczne. Wiem, jak daleką przed sobą mamy

<sup>584</sup>nie podobna (daw.) — nie (jest) możliwe; nie można. [przypis edytorski]

<sup>585</sup>Albion (z łac. *albus*: biały) — daw. nazwa Anglii (Wielkiej Brytanii), pochodząca od białych, kredowych wybrzeży wyspy, widocznych od strony kontynentu w rejonie hrabstwa Kent; używana przez pisarzy starożytnych, później jej zastosowanie nosi znamię wzniosłości. [przypis edytorski]

drogę, wiem, że nas czekają przeróżne trudy i niewygody. Na oczywistość tę nie zamykam dobrowolnie oczu, lecz znając zarazem mego męża, wiem, jak rozległymi rozporządza środkami, i dlatego właśnie chcę, aby zdawał sobie jasno sprawę z obecnego swego zadania.

— Pozwolę sobie zauważyć, kochanie — ozwał się pan Micawber — że zdaję może sobie sprawę w zupełności...

— Nie sądzę, mężu — odrzekła. — Położenie męża mego, kochany panie Copperfieldzie, wychodzi z ram powszedniości. Mąż mój udaje się w odległe krainy z tym, by zostać tam od razu zrozumianym i ocenionym. Otóż pragnę, by się oparł stanowczo na kotwicy przyszłości, mówiąc sobie: „Ziemię tę podbić muszę, zaszczyty, bogactwo, wpływowo i przodownicze stanowiska, wszystko to mi się z prawa należy”.

Pan Micawber spoglądał na nas tak, jak gdyby przyznał żonie najzupełniejszą słuszność.

— Pragnę, nie wiem, czy zdołam to jasno wyrazić — ciągnęła pani Micawber — pragnę, jednym słowem, by mąż mój podbił Fortunę, jak ongi Cezar podbił świat. Oto, kochany panie Copperfieldzie, cel, zdaniem moim, godny ofiar i pracy. Chcę, aby od pierwszej chwili podróży mąż mój wsparł się na kotwicy przyszłości, mówiąc: „Dość zwłoki, dość zawodów i rozczarowań, ograniczonych środków. Dobrze to było na stałym lądzie, ale nie tu, wobec dziewiczej przyrody! Teraz kolej na mnie!”.

Pan Micawber założył ręce na piersiach; decyzja malowała mu się na twarzy.

— W ten to sposób — dowodziła pani Micawber — mąż mój zawładnąć zdoła położeniem i dlatego słownie zauważyłam, że zacieśni, nie zaś rozluźni więzy pomiędzy sobą a Brytanią, bo wiem przecie, że raz opanowawszy władzę w Australii, posiędzie też w Anglii pewne znaczenie. Kobieta tylko jestem, kochany panie Copperfieldzie, lecz niegodną byłabym siebie i papy mego, jeśli bym o tym zwątpić miała. Byłoby to słabością nie do darowania.

Przekonanie o niezbitości<sup>586</sup> swych argumentów dodawało słowom pani Micawber nieznanego mi przedtem brzmienia.

— I oto dlaczego — ciągnęła — pragnę, abyśmy w przyszłości wrócić mogli do rodzinnego kraju. Mąż mój (nie podobna<sup>587</sup> mi nie przyznać tej ewentualności) zapisze wielką stronicę w historii i zmuszony zostanie do zrobienia czegoś i dla ojczyzny, która mu dała życie, ale nie dała odpowiedniego uzdolnień jego pola do działania.

— Kochanie — ozwał się pan Micawber — przywiązanie twe wzrusza mnie. Wiesz przecie, jak wielkie zaufanie pokładam w twej praktyczności. Niechże się wypełni to, co się ma wypełnić! I niech mnie Nieba skarżą, jeśli bym zamierzał skrzywdzić moją ojczyznę, pozbawiając ją raz na zawsze wartości nagromadzonych w mym potomstwie!

— Wybornie — zdecydowała ciotka, a skłaniając się ku panu Peggotty dodała.

— Piję za waszą pomyślność. Niech wam Nieba wszelkim błogosławią powodzeniem.

Pan Peggotty postawił na ziemi bliźnięta, które trzymał na kolanach, by potrącić o nasze szklanki. Gdy zamieniał uścisk dłoni z panem Micawberem, uśmiech opromienił ogorzałą jego twarz i pewien byłem, że ten, gdzie by go losy nie rzuciły, zjedna sobie serca ludzkie, spokój sumienia i dobre imię.

Nawet bliźnięta zatopiły w cynowym kubku ojca drewniane swe łyżki, łącząc się w ten sposób z dorosłymi. Po chwili ciotka i Agnieszka powstały. Nastąpiły pożegnania. Wszyscy się popłakali. Dzieci czepiały się rąk i szyi Agnieszki. Pozostawiliśmy biedną panią Micawber całą we łzach. Szlochała w pokoiku rozświetlonym jedną nędzną świeczką.

Kiedym przyszedł nazajutrz, dowiedziałem się, że odpłynęli już o piątej rano. Rozstania podobne to mają do siebie, że nędzna ta, wczoraj dopiero poznana oberża i drewniana przystań zdały mi się naraz puste i smutne, dziwnym owiane chłodem.

Następnego dnia po południu udaliśmy się ze starą mą piastunką do Gravesend. Okręt otoczony był niezliczonymi barkami. Wiatr był pomyślny, czekano tylko hasła do odpływu. Nająłem łódź i po kilku chwilach byliśmy na pokładzie.

Czekał tu już na nas pan Peggotty. Oznajmił mi, że przed chwilą pan Micawber był znów aresztowany z powodu Heepa i on, pan Peggotty, stosownie do naszych zleceń, opłacił należność. Wszelkie obawy moje, by na odjeźdźnym zle ich nie doszły wieści, roz-

<sup>586</sup>niezbitość — cecha argumentów nie dających się zbić; niepodważalność. [przypis edytorski]

<sup>587</sup>nie podobna (daw.) — nie (jest) możliwe; nie można. [przypis edytorski]

pierzchły się na widok pana Micawbera, który, przybierając wysoce opiekuńczą minę, upewnił mnie, że na chwilę nie odstąpił swych współtowarzyszy podróży.

Obraz, który się przedstawił moim oczom, był tak niezwykle, w kajucie tak pełno było i ciasno, że nie mogłem nic zrazu rozróżnić. Gdy się lepiej rozpatrzył, zdawało mi się, że mam przed sobą obraz malowany przez Ostade'a<sup>588</sup>. Pomiędzy drągami, skrzyniami, linami, węzłkami, kuframi, baryłkami i najróżnorodniejszymi bagażami, oświetlonymi żółtym światłem zadymionych latarni lub szarym, wdzierającym się z zewnątrz mrokiem, gromady ludzi żegnały się z sobą lub zaznajamiały, rozmawiając, płacząc, śmiejąc się, jedząc i pijąc. Niektórzy weszli już w posiadanie szczupłej, przeznaczonej im przestrzeni, rozkładając małe swe gospodarstwa, sadzając na stoikach drobne dzieci, podczas gdy inni szukali sobie dogodnego miejsca. Począwszy od parotygodniowych niemowląt, a skończywszy na zgrzybiałych starcach, którym już może tylko parę tygodni pozostawało do życia, od rolników unoszących na obuwiu grudki rodzimej gleby, do kowali zachowujących jeszcze na skórze resztki rodzimej sadzy, wiek każdy i zawód miał tu przedstawicieli ściśniętych między pokładami, na niewielkiej przestrzeni.

Rozglądając się dokoła, ujrzałem siedzącą na uboczu, z jednym z dwojga bliźniąt na kolanach postać podobną do Emilki. Zwróciła na nią uwagę moją druga kobieta postać, która mi przypominała Agnieszkę, pocałunkiem żegnającą siedzącą dziewczynę, lecz obie straciłem natychmiast z oczu. Tymczasem zbliżała się chwila, w której mieliśmy się rozstać. Peggotty płakała, siedząc na kuferku, a pani Gummidge, przy pomocy czarno odzianej kobiety, układała rzeczy pana Peggotty.

— Ostatni się tedy raz widzimy z paniczem — mówił pan Peggotty. — Czyśmy czegoś nie zapomnieli może?

— Jedną rzecz — odrzekłem — Martę.

Ale pan Peggotty dotknął tylko ramienia kobiety w czerni — była to Marta.

— Niech ci to Nieba nagrodzą! — zawołałem. — Bierzesz ją z sobą?

W odpowiedzi Marta wybuchnęła łzami. Słów mi nie stawało, uściskałem tedy, milcząc, dłonie pocziwego człowieka. Szanowałem go i kochałem sercem całym.

Obcy oddalili się szybko z okrętu, mało już kto pozostał. Mówiłem mu właśnie to, co mi zlecił powiedzieć na odjeźdźnym ten, który zamieszkał już był krainę wieczności. Wzruszyło go to bardzo, lecz stokroć bardziej wzruszyły mnie zlecenia, które mi pozostawiał, nie wiedząc, że się już z nich wywiązać nie zdołam.

Trzeba było odchodzić. Ucałowałem go, wzięłem pod ramię płaczącą mą piastunkę i oddaliłem się szybko. Na pokładzie pożegnałem panią Micawber. Wyglądała, czy nie nadjedzie jeszcze kto z jej rodziny, a ostatnimi jej słowy było zapewnienie, że nie opuści nigdy męża.

Łódź nasza odpłynęła nieco i zatrzymała się opodal. Słońce zachodziło jasne, pogodne, statek rysował się na zachodnim niebie wyraźnie we wszystkich swych liniach i załamach. Widok to był wspaniały, pełen zarazem smętku i nadziei — rozwijający żagle okręt, na którego pokładzie cisnęła się cicha i nieruchoma, z odkrytymi głowami, ciżba emigrantów.

Niedługo cisza ta trwała. Z licznych łodzi rozległy się okrzyki, które niby echa zwracał odpływający okręt. Serce mi się ścisnęło i biło tak, żem sądził, iż z piersi wyskoczy. W powietrzu powiewały chustki i kapelusze... Ujrzałem ją wówczas.

Ujrzałem ją u boku wuja, drżącą i opartą o jego ramię. Wyciągniętą ręką wskazywał jej nas. Spozrzęła i podniosła chustkę na znak pożegnania. Och! Emilko! Piękna, wsparta na tym ramieniu, Emilko! Opieraj się na nim śmiało i silnie, tak śmiało, jak on cię szukał, wiedziony wielkim swym przywiązaniem.

Oświecały ich różowe zachodu blaski... pomału znikli w oddali. Mrok nocy opadał na wzgórze Kentu, gdyśmy wylądowali, i na moją duszę padł cień jej chłodny.

<sup>588</sup> *Ostade, Adriaen van* (1610–1685) — rysownik i malarz holenderski, autor obrazów przedstawiających sceny rodzajowe: życie codzienne ludzi niższych stanów (ludu w miastach i na wsi, ale także żebraków, pijaków, karciarzy i włóczęgów), wiele z jego prac ukazuje wnętrza karczm i in. tego typu miejsc publicznych. [przypis edytorski]

## ROZDZIAŁ LVIII. NIEOBECNOŚĆ

Ogarnęła mnie noc ciemna, pełna widm zawiedzionych nadziei, wspomnień, omyłek, boleści, żalów.

Wyjechałem z Anglii, nie zdając sobie jeszcze jasno sprawy z ciosu, który mnie dotknął. Porzuciłem wszystko, co miłe mi było, w przekonaniu, że to już przeżył, pozostawił poza sobą! Podobny do śmiertelnie ranionego na polu bitwy, który rany nawet nie czuje, nie wiedziałem, jaki cierni unoszę w głębi mego serca.

Świadomość ogarniała mnie pomału, stopniowo. Bolesne uczucie, z którym odjechałem, wzrastało i pogłębiało się z dniem każdym. Zrazu było to niejasne poczucie jakiejś straty, pustki, ciężar jakiś nieznośny na sercu i duszy. Stopniowo przychodziła świadomość wszystkiego, com stracił, tracąc miłość, przyjaźń, cel życia. Wszystko to zachwiało się, rozwiało: pierwsze młodości ufnej uczucia, przywiązania, nadzieje, zapal, zamki na lodzie młodocianej wyobraźni i młodocianego serca. Zostały po nich pustka, ruiny, odległe, mroczne jakieś horyzonty...

Jeśli żal mój był samolubny, to nie zdawałem sobie z tego sprawy. Plakałem po utraczonej mej dziecinnej żonie, zwiędłej jak kwiat; plakałem po tym, co mógł i powinien był zyskać sobie poklask i uwielbienie tysięcznego tłumu, tak jak zyskał był moje w szkolnych latach; plakałem po tym szlachetnym, złamanym sercu, które ukoiliły chłodne fale morza; plakałem po rozproszonych pod obcym niebem mieszkańcach tego cichego zakątka, gdzie, dzieckiem będąc, przysłuchiwałem się wyciom wiatru.

Smutki, gromadząc się w sercu moim, zgasiły ostatnie promyki nadziei. Zmieniałem miejsca, wszędzie za sobą unosząc ten ciężar. Przygniatał mnie, pozbawiał sił, sądziłem, że mnie nic już nigdy nie zdoła orzeźwić.

Zdawało mi się czasem, że umrę z rozpacz. Wówczas albo myślałem, że chcę umrzeć na ojczystej ziemi i zabierałem się wracać, lub też wałęsałem się z miasta do miasta w nadziei, że ucieknę od goniącego za mną wszędzie smutku.

Nie podobna<sup>589</sup> mi teraz wyliczyć wszystkich faz rozpacz, zniechęcenia, nudy, które przebywałem. Istnieją sny niedające się dokładnie powtórzyć, chociaż jasno tkwią w pamięci, i gdy wspomnieniem zwracam się do tej epoki mego życia, wydaje mi się ona takim właśnie snem. Mijałem obce, nieznane mi miasta, zamki, kościoły, pałace, dzieła sztuki, groby, przedziwne jakieś ulice i place, stare siedliska historii i legend, mijałem jak we śnie, wlokąc za sobą gniotący mnie ciężar, niejasne unosząc wrażenie i wspomnienie wszystkiego, com widział. Mroki, które zaległy mi duszę, dostępne były samej tylko boleści... O, byle choć raz doczekać rozświtu!

Przez wiele miesięcy nosiłem się z tymi dławiącymi mnie mrokami, a miałem powody powstrzymujące mnie od powrotu do Anglii. Czasem przejeżdżałem z miejsca na miejsce gnany wewnętrznym niepokojem; czasem dłużej nieco na jednym pozostawałem miejscu, nie mając celu przed sobą ani pobudki, co by mnie podtrzymywać mogła.

Byłem w Szwajcarii. Przedarłem się tam z Włoch przez najwyższe szczyty Alp i błąkałem się z przewodnikiem w niedostępnych górach. Nie wiem nawet, co mi mówiła ich wspaniała groza i samotność. Wiem tylko, że zdumiewały mnie tylko szczyty i przepaści, rwące strumienie, biel śniegu i kryształowe lodowe iglice. Zdumiewały i nic więcej.

Raz pod wieczór schodziłem do doliny, w której zamierzałem spocząć. Schodząc stromą, najeżoną trudnościami ścieżką, z dala już widziałem u stóp moich tę dolinę, nęcącą urokiem dziwnego spokoju. Po raz pierwszy poczułem wówczas, że smutek mój łagodnieje jakby, pozbywa się ciężaru ostatecznego zwątpienia, ostrości rozpacz. Słaby, lecz ciepły promyk jakiejś nadziei błysnął mi w duszy!

Schodziłem w dolinę, a na śnieżnych, otaczających ją zewsząd szczytach gorzało zachodzące słońce. Podnóża gór tworzących ciasną wąską kotlinę, w której leżała wioska, spowijała bogata roślinność, wyżej zaś ciemne sosny i jodły broniły kotlinę od lawin obrywających się z białych szczytów. Do skał przytulone drewniane, do gniazd podobne domki, ponad którymi nowe piętrzyły się skały, wyglądały w porównaniu z nimi na tak małe i nikłe, jak dziecięce cacka. Zabawką się też zdawała cała wioska z drewnianymi mostkami przerzuconymi ponad szumiącym po łomach skał strumieniem. W ciszy wieczornej

<sup>589</sup>nie podobna (daw.) — nie (jest) możliwe; nie można. [przypis edytorski]

dotatywał z dala prosty śpiew pasterski, ale żem widział ponad sobą przepływające nisko obłoki, nie chciałem wierzyć niemal, aby śpiew ten nie miał być nadziemskim. Wówczas to, po raz pierwszy od dawna, we wspaniałym tym wieczornym spokoju, usłyszałem kojący głos wielkiej pocieszycielki człeka — przyrody — i zatapiając twarz w wilgotne mchy płakałem tak, jakem od śmierci żony nie płakał<sup>590</sup> jeszcze.

W wiosce czekały mnie dopiero co nadeszłe listy. Były to pierwsze, które otrzymałem w czasie mej podróży. Sam przestałem prawie pisywać, ograniczając się do przesyłania mego adresu i paru słów, które uspokajały ciotkę co do stanu mego zdrowia.

Otworzyłem kopertę, list był od Agnieszki.

Czuła się spokojna, szczęśliwa, użyteczna. Życie się jej ułożyło tak, jak tego pragnęła. Tyle tylko mówiła o sobie, reszta długiego listu mnie była poświęcona.

Nie udzielała mi rad żadnych, nie przypominała obowiązków, pisała mi tylko ze zwykłą sobie prostotą, że polega na mnie. Takim jak ja boleść winna wyjść na dobre. Spadające na mnie ciosy winny mi wzmocnić serce. Toteż Agnieszka była pewna, że zamiary moje dojrzą w walce z boleścią, a talent rozwinię się i stężeje. Sława moja obchodziła ją, pragnęła, abym pracował i aby praca moja została wynagrodzona powodzeniem, zadowoleniem własnym, czcią i miłością ludzi. Wiedziała, że w sercu mym, jak zgoła w każdym szlachetnym sercu, boleść nie może się przedzierzgnąć w słabość. Jeżeli przejścia dziecięcego mego wieku urobiły mnie takim, jakim byłem, to cięższe klęski powinny uczynić mnie jeszcze silniejszym, a to, czego mnie nauczyły, powinienem przekazać czytelnikom moim. Polecała mi Temu, co do chwały Swej powołał moją pieszczołkę, zapewniała, że żywi dla mnie zawsze te same siostrzane uczucia, myślą towarzysząc mi wszędzie, dumna z mego powodzenia, lecz o wiele więcej jeszcze licząc na to, czego powinienem dokonać.

Złożony list schowałem na piersi, myśląc o tym, czym przed godziną jeszcze byłem. Śpiew rozwił się w powietrzu, zachodnie gasły blaski, w mrokach wieczoru białe szczyty gór zwały się z obłokami, a jednak czułem, że gnębiące duszę mą nocne mroki roztrąca ciepłe uczucie, którego nazwać jeszcze nie mogłem. Czułem tylko, że mi Agnieszka droższa i bliższa była niż kiedy bądź.

Kilkakrotnie list jej odczytywałem i tego jeszcze wieczora odpisałem, jak bardzo potrzebowałem jej wsparcia, jak bez niej nie mógłbym zostać tym, czym widzieć mnie pragnęła. Ona mi była dobrym natchnieniem, pobudziła energię i pragnienie, by zostać takim, jakim mnie widzieć chciała.

Pracowałem nad sobą. Za trzy miesiące kończył się rok mej żaloby. Do tego czasu postanowiłem żadnych nie podejmować przedsięwzięć i pracować tylko nad sobą. Cały ten czas mieszkałem w owej dolinie lub jej okolicach.

Po trzech miesiącach postanowiłem pozostać na czas dłuższy za granicą, w Szwajcarii, którą polubiłem od pamiętnego tego wieczoru. Postanowiłem wziąć się do pióra, pisać.

Stosowałem się do rad i wskazówek Agnieszki, natchnienia szukałem i znajdowałem na łonie przyrody, własne serce otwierając dla tych uczuć ludzkich, przed którymi zamknąłem się, własnymi zajęty nieszczęściami. Niewiele przeszło czasu, a już w obcej tej dolinie tyłu prawie liczyłem przyjaciół, co niegdyś w Yarmouth, a gdy, po zimie spędzonej w Genewie, wrócił z wiosną, powitania ich — chociaż nie w ojczystej mej brzmiającej mowie — przypominały mi niemal rodzinne strony.

Pracowałem od rana do wieczora, późno w noc nieraz. Napisałem powieść osnutą na własnych przeżyciach i posłałem to Traddlesowi, który nader dla mnie korzystnie ułożył się z wydawcą. Ziomkowie, których spotykałem, przynosili mi echa wzrastającego mego powodzenia. Po krótkim wypoczynku rozpocząłem nową powieść; zająłem się nią bardzo. W miarę jak praca się posuwała, przejmowałem się nią coraz bardziej, wkładając w książkę tę wszystkie siły, jakimi rozporządzałem. Była to trzecia z kolei moja powieść. Napisałem ją dopiero do połowy, gdy oświadczyła mi chęć powrotu do domu.

Pomimo pracy używałem dużo ruchu i powietrza, toteż zdrowie me, nadwątlone w chwili wyjazdu z Anglii, znacznie się wzmocniło. Wiele widziałem, podróżowałem wiele i, jak wnoszę, rozszerzyłem krąg mych wiadomości.

<sup>590</sup>jakem (...) nie płakał — inaczej: jak nie płakałem (konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika). [przypis edytorski]

Powiedziałem już wszystko, com uważał za stosowne powiedzieć o tym okresie mego życia, jednego tylko nie dotknąłem. Nie zamilczałem wszelako w celu skrycia czegoś, gdyż opowieść niniejszą uważam za swój pamiętnik, chciałem po prostu samą głąb mych myśli i uczuć zbadać na końcu. Zaczynam tedy.

Nie podobna<sup>591</sup> mi wniknąć w tajemnice własnego serca do tego stopnia, by oznaczyć chwilę, w której zacząłem myśleć o Agnieszce jako o osobie, do której winienem był skierować młodzieńcze me uczucia. Nie potrafię powiedzieć, w jakim stopniu żalu mego i boleści imię jej związało się z myślą, że niebacznie odtrącił jej miłość. Czułem to może i dawniej, czułem już jako brak czegoś niedoścignętego, lecz dopiero gdy się ujrzał tak samotnym i zbolałym, myśl ta wyraźne przybrała kształty.

Gdybym był wówczas bliżej niej, zdradziłbym się prawdopodobnie w ten lub ów sposób. Tego się właśnie bałem i dlatego przedłużyłem pobyt za granicą. Nie przeniósłbym<sup>592</sup> utraty choć małej cząstki jej siostrzanych uczuć, a zdradziwszy się raz, nadwęgryłbym istniejący pomiędzy nami braterski stosunek.

Pamiętam, że braterski ten stosunek sam dobrowolnie wybrałem, że jeśli kiedy uczucia jej względem mnie innej były natury — a teraz zdawało mi się, że istotnie była chwila, w której tak było — sam takowe odepchnąłem. Myśląc o niej i o wspólnie spędzonych dniach dziecięcych, widziałem, że ją sam wygnał z raju młodzieńczych mych marzeń, miłość oddając innej, nie zaś tej, do której z prawa należała. Sam, jednym słowem, wytworzyłem istniejący pomiędzy nami obecnie braterski, a nie inny stosunek.

Z początku, czytając wyraźnie już we własnym sercu, zdałem się dostrzegać odległą chwilę, w której uda mi się może naprawić omyłkę przeszłości i posiąść Agnieszkę. Zarazem jednak nadzieja ta bladła i opuściła mnie zupełnie. Jeśli nawet kochała mnie kiedyś, to pokładanym w niej zaufaniem, otwarciem przed nią obłąkanego mego serca utrudniać jej musiałem przetworzenie tego uczucia w siostrzane przywiązanie. Zwycięstwo nad własnym sercem kosztować ją musiało wiele, lecz było też z pewnością zupełne. Jeśli zaś nie kochała mnie nigdy, mógłbym przypuszczać, że teraz pokocha?

Wobec stałości jej charakteru, zawsze uznawałem swą słabość, lecz teraz poczucie to wzmogło się jeszcze bardziej. Czymkolwiek zostałbym dla niej lub ona dla mnie, dawniej godniejszy jej byłam bez wątpienia. Czas płaci, czas traci. Z odpowiedniej nie skorzystałem chwili.

Cierpiałem, myśli te gryzły mnie i dręczyły, lecz czułem zarazem, że zbolały i zwątpiały nie mam prawa narzucać się kobiecie, od której odsunąłem się niebacznie, gdy uczucia me świeże były, pełne zapału, wiary w siebie i w świat cały. Nie skrywałem już przed samym sobą, jak drogą mi teraz była, lecz wracałem do ojczyzny z głębokim przekonaniem, że stracił odpowiednią chwilę i stosunek nasz pozostać winien nadal taki, jaki był dotąd.

Nieraz myślałem też o Dorze i z cieniem jej przeżywałem wypadki lat ostatnich, myśląc o tym, że nieraz zdarzenia, które nas ominęły w następstwach, nie mniejsze posiadają znaczenie. Lata, o których Dora mówiła, mijały, zmieniając mnie, dojrzywałem i, kto wie, przyszlaby może spóźniona chwila żalu, żeśmy, jak to powiedziała moja żona, nie zostali jako chłopiec z dziewczęciem. Z tego, co istniało w moim sercu dla Agnieszki, starałem się wyciągnąć moralną korzyść, uczyłem się panować nad sobą i poznawać samego siebie. A myśląc o tym, co być mogło, dochodziłem do przekonania, że nie nastąpi to już nigdy.

Takie to myśli i uczucia wrzały w samej głębi mego serca od wyjazdu do powrotu do kraju, to jest przez całe długie trzy lata. Trzy lata też upłynęły od chwili, gdy okręt unoszący naszych emigrantów rozwinął był żagle, kiedy o tej samej zachodniej porze zawijałem do ojczystych brzegów, patrząc na odbicie okrętu w zaróżowionym zwierciadle cichych wód przystani.

Trzy lata! Sporo nagromadzonego czasu, co, gdy raz minie, krótkim się zdaje. Kochałem ziemię ojczystą, drogą mi była Agnieszka... ale Agnieszka nie zostanie już moją nigdy... mogła nią być... ale minęło to, przeszło...

## ROZDZIAŁ LIX. POWRÓT

Wylądowałem w Londynie w zimne jesienne popołudnie. Mroczno było i dżdżysto i naraz

Miasto, Podróż

<sup>591</sup>nie podobna (daw.) — nie (jest) możliwe; nie można. [przypis edytorski]

<sup>592</sup>nie przeniósłbym (daw.) — nie wytrzymałbym. [przypis edytorski]

ujrzałem więcej mgły i błota, niżelimi widział przez lata całe. Musiałem iść spory kawał drogi, zanim spotkałem dorożkę, a chociaż obmokłe domy pochylające nad rynsztokami swe okapy przypominały mi starych znajomych, nie mogłem oprzeć się myśli, że bądź co bądź starzy ci przyjaciele ciemny i ponury mają wygląd.

Zauważyłem nieraz — niejedynemu musiał zauważyć — że dość wyjechać z dobrze znanych miejsc, by powróciwszy, zastać tam zaszłe zmiany. Spoglądając przez okna pojazdu zauważyłem, że stare, odarte z tynku, nie wiem przez wiele lat nietknięte domostwo na Fish Street Hill zniesione zostało, a ciemny, cuchnący zaułek rozszerzony i oczyszczony. Prawie żem się spodziewał ujrzeć zmiany i w katedrze świętego Pawła!

O zmianach zaszłych w losach niektórych przyjaciół moich byłem uprzedzony. Ciotka moja wróciła do Dover, a Traddles, wkrótce po moim odjeździe, nabył pewnej wziętości w sądownictwie. Mieszkał obecnie w Gray's Inn i pisał mi w ostatnim liście, że się zbliża dawno oczekiwana chwila połączenia się z najukochańszą pod słońcem dziewczyną. Spodziewali się wprawdzie mego powrotu na Boże Narodzenie, nie sądzili jednak, abym tak pośpieszył. Nie uprzedzałem ich umyślnie o dniu mego przyjazdu, chcąc sprawić niespodziankę, niemniej uczulem smutek pewien i niezadowolenie widząc, że mnie nikt nie czeka i nie wita. Smutny i samotny wjeżdżałem w mgliste ulice Londynu.

Rozweseliły mnie nieco dawno znane, rześcicie oświetlone magazyny i sklepy i z lżejszym już sercem wysiadałem przy Gray's Inn. Przypomniały mi się minione dawno chwile, gdy mój zajeżdżał do Golden Cross, zaszłe odtąd zmiany... była to zwykła kolej rzeczy.

— Pod jakim numerem mieszka pan Traddles? — spytałem służącego, grzejąc się przed kominkiem.

— Holborn Court Nr 2 — odrzekł zagadniony.

— Pan Traddles nabywa, zdaje mi się, wziętości jako prawnik? — spytałem.

— Bardzo być może — odparł obojętnie służący. — Nic o tym panu nie mogę powiedzieć.

Służący, człek w pewnym już wieku, suchy i szczupły, spoglądał z pewnym uszanowaniem na swego towarzysza, barczystego, czarno ubranego mężczyznę, który z powagą kościelnego powstał z miejsca, gdzie siedział w głębi kawiarni wśród ksiąg i papierów.

— Pan Traddles — objaśniał go służący numer pierwszy. — Pan Traddles spod numeru 2 w Holborn Court.

Powagi pełen jegomość skinął głową i zwrócił się ku mnie.

— Pytałem właśnie — rzekłem — o wziętość, jaką rzeczony pan Traddles cieszy się w sądownictwie.

— Nic nie wiem o nim — głośno i dobitnie odrzekł służący numer drugi.

Gotów już byłem ubolewać nad losem przyjaciela.

— Młody to jeszcze zapewne prawnik? — spytał mnie z kolei złowieszczy osobnik.

— Od jak dawna jest w sądownictwie?

— Od lat trzech blisko.

Służącemu przedmiot rozmowy zdał się zapewne tak błahy, że zmienił go, pytając, co bym życzył sobie na obiad.

Teraz dopiero poczułem się zupełnie w rodzinnym mym kraju i wiedziałem, co mam sądzić o Traddlesie. Przepadł bez powstania! Zażądałem ryby i rostbefu, a tymczasem stanąłem przed ogniem, rozmyślając o losach przyjaciela.

Wodząc okiem za otyłym służącym, nie mogłem powstrzymać się od uwagi, że grunt na którym okaz ten wyrósł i rozkwitł, był twardym bądź co bądź gruntem. Tyle powagi, pewności siebie, taka pycha! A sala, w której stałem? Przed laty, gdy człowiek ten był pacholęciem (jeśli nota bene przechodził kiedy przez pacholęce lata), tak samo jak dzisiaj wysypywana być musiała piaskiem, też same ciężkie, politurowane musiały w niej stać mahoniowe stoły, w których jak w zwierciadłach odbijała się moja postać, też same lampy lśniące, zielone franki i portiere, też same olbrzymie kominki, kredensy, szafy, półki pełne cybuchów i butelek wina. Któż Anglię, jej prawodawstwo, sądy i prawników wzruszy z ich podstaw? Jakież temu podołają burze? Poszedłem do mego numeru zmienić przemokłe odzienie, ale i tam rozmiary komnaty, łoża, szaf, wszystko groźnie powstało przeciw biednemu Traddlesowi, przeciw podmuchom młodości, szybkim zmianom! Zszedłem na obiad. Poważna cisza wielkiej, jadalnej, pustej sali, ciężka zastawa stołu,



wszystko, wszystko zgoła rokowało przyjacielowi temu jakie takie powodzenie nie prędzej chyba jak za jakie ćwierć wieku praktycznych zajęć.

Wszystko to dawno znane mi było, lecz nie spotkałem się z niczym podobnym, odkąd opuściłem Anglię, i stąd wrażenie, jakiego doznałem. Pyszny i otyły służący nie zwracał na mnie uwagi, zajęty starym jakimś jegomościem, dobieraniem mu fajek i nalewaniem specjalnego jakiegoś wina. Drugi, szczupły, oznajmił mi szeptem, że jegomość ten jest emerytem, notariuszem, bogaczem, którego fortuna przejdzie najpewniej na córkę jego gospodyni. Posiadał, jak wieść niosła, srebrny serwis, starannie zamknięty, poczerniały od leżenia, gdyż ludzkie oko w żadnej okoliczności nie widziało z niego ani jednej łyżki czy widelca... Słuchając udzielanych mi wyjaśnień, coraz bardziej uważałem sprawę biednego Traddlesa za przegraną.

Pilno mi było widzieć go i uściskać. Jadłem też spieszenie, co nie musiało wpłynąć na poprawienie opinii o mnie barczystego służącego. Po obiedzie wyszedłem tylnymi drzwiami. Wkrótce znalazłem Holborn Court i numer 2, a napis w sieni oznajmił mi, że pan Traddles mieszka na najwyższym piętrze, na poddaszu. Schody były wąskie, ciemne, słabo oświetlone kopczą olejną lampką.

Gdy wchodziłem na górę, zdawało mi się, że słyszę wesołe jakieś śmiechy, nie śmiechy sędziów i adwokatów, lecz raczej młodych dziewcząt. Zatrzymałem się zdziwiony, potknąłem się. Wywołany przez potknięcie się hałas uciszył dziewczęce chichoty.

Postępowałem odtąd uważniej, serce mi zresztą biło, gdy zapukałem do drzwi ozdobionych nazwiskiem mego przyjaciela. Za drzwiami usłyszałem głośnie szamotanie się. Po chwili ucichło. Zapukałem powtórnie.

Otworzył mi chłopak, na poły służący, na poły dependent<sup>593</sup>, zadyszany, obrzucając mnie wyzywającym spojrzeniem.

— Zastaję pana Traddlesa? — spytałem.

— W domu, lecz zajęty — odrzekł.

— Chcę się z nim zobaczyć.

Po krótkim namyśle chłopak wpuścił mnie za przepierzenie do małej izdebki, przedpokoju czy poczekalni. Stamtąd uchylił drzwi do bawialnego pokoju, gdzie zastałem mego przyjaciela, także zdyszanego, lecz dla pozorów zapewne pochylonego nad biurkiem.

— Nieba! — zawołał ujrawszy mnie. — Copperfield! — i rzucił mi się w objęcia.

— Jakże się masz, kochany, kochany przyjacielu!

— Doskonale i wszystko idzie mi jak z płatka.

Obaj mieliśmy łzy w oczach.

— Kochany Copperfield! — wołał Traddles, we wzruszeniu burząc włosy na głowie. — Jakże szczęśliwy jestem, że cię wreszcie widzę. Tak dawnośmy się nie widzieli. Witajże mi, witaj! Ależ opalony! Szczęśliwy jestem, że cię wreszcie widzę. Na honor, nie pamiętam bardziej radosnej chwili! Na honor!

I ja nie znajdowałem słów, by wyrazić moje wzruszenie. Milczałem.

— Mój przyjacielu — wołał Traddles — zyskałeś sławę, wielki Copperfieldzie! Lecz kiedy żeś wrócił, skąd jedziesz? Co porabiałeś?

Zarzucał mnie pytaniami, nie czekając odpowiedzi, posadził w fotelu przed kominem i machinalnie rozżarzał ogień albo też znów rzucał mi się na szyję, ścisnął, śmiał się. Obaj mieliśmy pełne łez oczy i długa przeszła chwila, zanim się zdołałem uspokoić.

— Pomyśleć — mówił Traddles — żeś był tuż, tuż, a nie trafiłeś na obrzęd!

— Jaki obrzęd, kochany Traddlesie?

— Co mówisz? — zawołał szeroko, jak dawniej bywało, otwierając oczy. — Czyżbyś nie otrzymał listu?

— Żadnego, który by wspominał o jakim bądź obrzędzie.

— Widzisz — mówił, burząc włosy i kładąc rękę na mych kolanach — jestem żonaty.

— Żonaty?! Już? — zawołałem radośnie.

— Tak mi Boże dopomóż — śmiał się wesoło. — Czcigodny Horacjusz pobłogosławił mój związek z Zofią w Devonshire. Ale oto i ona we własnej osobie, tam za franką.

<sup>593</sup>dependent (daw.) — pomocnik adwokata, notariusza itp. [przypis edytorski]

„Najukochańsza z dziewcząt” wychodziła właśnie z kryjówki, rumieniąc się i uśmiechając. Bardziej zadowolonej, rozweselonej, serdecznej oblubienicy nie zdarzyło mi się nigdy chyba widzieć. Ucałowałem ją serdecznie, winszując i życząc szczęścia.

— Co za szczęście! — wołał Traddles. — Aleś opalony, Copperfieldzie! Jakże się cieszę.

— I ja niemniej — dorzuciłem.

— I ja także — wtrąciła Zofia, rumieniąc się i uśmiechając.

— Wszyscyśmy uradowani — wołał Traddles. — I dziewczęta pewnie cieszyć się będą. O małym o nich nie zapomniał<sup>594</sup>.

— O kim? — spytałem.

— O siostrach Zofii. Bawią właśnie u nas. Przybyły rozerwać się nieco w stolicy. W rzeczy samej, gdyż zadzwonił... Musiałeś coś słyszeć, stojąc u drzwi?

— Słyszałem — odrzekłem, uśmiechając się.

— Otóż, gdyż zadzwonił, bawiliśmy się w kotka i myszkę... Że był to jednak widok trochę nieodpowiedni do mego stanowiska, sądząc, że nadchodzi klient, dziewczęta umknęły, a ja sam udawałem zapracowanego. Teraz pewnie podsłuchują u drzwi — dodał, rzucając w tamtą stronę wymowne spojrzenie.

— Pomieszałem szyki — zaśmiałem się. — Przepraszam, stokrotnie przepraszam!

— Na honor, gdybyś widział, jak na odgłos dzwonka zmykały, zabierając szpilki, co im powypadały w zabawie z warkoczy. Sprowadź je tu, kochanie.

Posłuszna żądaniu męża, Zofia pobiegła po siostry. W sąsiednim pokoju rozległa się gama wesołego śmiechu.

— Co, dźwięczne, prawda? — zauważył Traddles. — Posłuchać miło. Jak to rozwesela te odwieczne zgrzybiałe mury. Temu, kto w kawalerskiej samotności długie strawił lata, aż serce rośnie. Biedaczki! Niemal straciły, tracąc Zofię. To najlepsze pod słońcem dziewczę! Nie uwierzysz, jak wdzięczny im jestem, że nie okazują mi żalu. Mile wśród nich czas schodzi... No, nie tak bardzo poważnie, ale co wesoło, to wesoło.

Traddles zamilkł. Przeląkł się widocznie, czy widok jego domowego szczęścia nie drażni mych starych ran. Pospieszyłem uspokoić go.

— Bo widzisz — ciągnął uspokojony — kancelaria moja wcale nie ma poważnego wyglądu. Nawet obecność Zofii użyć mu go nie zdoła. Ha! Cóż robić, trudno zdobyć się na obszerniejsze mieszkanie. Kancelaria i prywatne mieszkanie, wszystko razem. Wypłynęliśmy na ocean życia w malutkim, jak widzisz, czólnie, ale cóż było robić. Zofia jest gospodarna, oszczędna. Zobaczysz. Jak się one tu mieszczą w tej ciasnocie, trudno doprawdy uwierzyć.

— Wieleż<sup>595</sup> ich tu macie? — spytałem.

— Jest starsza, wiesz, ta piękność, Karolina — począł poufnym szeptem. — Sara... opowiadałem ci przecie, że cierpi na coś w krzyżu? Lepiej jej teraz, znacznie lepiej! Są dwie młodsze, których wychowaniem zajmowała się moja pocziwa Zofia, ano, jest i Luiza.

— Nie może być? — zawałem.

— A tak! Mieszkanie zaś całe składa się z trzech pokoików, jednak, dzięki przemyślności Zofii, każdy ma wygodny kącik. Tu, w tym pokoju, spijają dwie.

Obejrzałem się. Gdzież się podziewał biedny Traddles z żoną?

Zrozumiał moje pytające spojrzenie.

— W zeszłym tygodniu — mówił — trzeba było sypiać na ziemi, lecz obecnie mamy izdebkę na poddaszu, którą Zofia własnoręcznie okleiła papierem. Gniazdko, mówię ci! Z okna widok prześliczny.

— Widzę, żeś szczęśliwy — rzekłem — i cieszę się z całego serca.

— Dziękuję ci, mój drogi!

Uściskaliśmy się ponownie.

— Tak, szczęśliwy jestem — potwierdził Traddles. — Patrz, poznajesz starych znajomych? Wazon pamiętasz? A ten marmurowy stoliczek! Reszta umeblowania skromna, lecz wygodna, tylko srebra nie znajdziesz u nas ani na lekarstwo.

<sup>594</sup>o małym (...) nie zapomniał — inaczej: o małym nie zapomniałem (konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika). [przypis edytorski]

<sup>595</sup>wieleż — konstrukcja z partyculą -że skróconą do -ż i występującą w funkcji wzmacniającej; inaczej: czy wiele, czyż wiele (ile). [przypis edytorski]

— Zdobędziecie się i na to z czasem.

— Na wszystko zdobyć się trzeba. Nie sądź tylko, że nie zaparzamy herbaty. Mamy wprawdzie posrebrzane łyżeczki...

— Tym bardziej połyskiwać wam kiedyś będą srebrne.

— Tak właśnie i my uważamy — ciągnął Traddles, zniżając stopniowo głos i wpadając znowu w poufny ton. — Otóż po sprawie Doe *dem* Jipes *versus* Wigzell, która mi wyrobiła imię, udałem się do Devonshire, by się rozmówić z wielbnym Horacjuszem. Utrzymywałem, o czym cię zresztą mogę zapewnić, że nie ma pod słońcem lepszego od Zofii dziewczęcia.

— Wiem o tym.

— Lepszego już nie ma. Ale wsiadam na mego konika, prawda? Miałem mówić o wielbnym Horacjuszu.

— Właśnie. Utrzymywałeś, że...

— Aha! Utrzymywałem, żeśmy od dawna z Zofią zaręczeni i za zgodą rodziców mogliśmy się pobrać, choć na posrebrzane tylko dopiero stać mnie gospodarstwo — ciągnął Traddles z promiennym uśmiechem prawdziwego zadowolenia. — Staralem się przekonać wielbego Horacjusza, najzacniejszego, upewniam cię, duchownego, któremu należy się niewątpliwie biskupstwo, że jeśli mi się udaje zarobić jakie trzysta funtów na rok i tak dalej, i tak dalej, to nie ma racji odkładać ślubu. Moglibyśmy się wreszcie z Zofią, tym najlepszym pod słońcem dziewczęciem, pobrać, czemu nic nie powinno stawać na przeszkodzie, chyba że Zofia tak jest niezbędnie w domu rodzicom i rodzeństwu potrzebna. Rozumiesz, Copperfieldzie?

— Najzupełniej.

— Tym lepiej. Bo widzisz, rodzice, bracia, siostry bywają czasem w tym względzie nieco samolubni. Upewniłem zatem wielbego Horacjusza o mej gotowości, by stać się użytecznym, w czym będę mógł, rodzinie całej; upewniłem go o tym, że jeśli kiedy, broń Boże, coś się jemu, to jest wielbnemu Horacjuszowi...

— Rozumiem.

— ...albo żonie jego, broń Boże, przytrafić miało, dziewczęta znajdą we mnie opiekuna i przyjaciela. Wielbny Horacjusz udzielił mi najprzychylniejszej i najpochlebniejszej odpowiedzi i wziął na siebie uzyskanie zezwolenia małżonki. Niełatwą miał z nią przeprawę. Przeszło, wiesz, z ramienia w łopatkę, z łopatki uderzyło do głowy.

— Co takiego uderzyło?

— Co? Wiadomo, zmartwienie, zgryzota, wiek, wzruszenie, tak naturalne w podobnych razach. Mówiłem ci już zapewne, co to za kobieta! Niepospolita bezwzględnie, tylko z nader wątłym zdrowiem. Wszystko jej szkodzi, byle co odbija się w łopatkach. Tym razem poszło do głowy, grożąc całemu organizmowi. Bądź co bądź uspokoili ją, wmówili i pobraliśmy się dokładnie sześć tygodni potem. Straszne mnie dręczyły wyrzuty sumienia wobec łez, rozpaczy, wyrzekañ całej rodziny. Pani Crewler znieść nie mogła mojego widoku. Kochana kobiecina wybaczyła mi wreszcie, że ją pozbawiam córki. Dziś właśnie otrzymałem od niej najuprzejmiejszy z listów.

— Słowem, czujesz się, kochany przyjacielu, tak szczęśliwy, jak na to zasługujesz? — rzekłem.

— Poczciwy Copperfieldzie — zawołał — jestem najszczęśliwszy z ludzi! Pracuję co prawda ciężko, grzebię się ustawicznie w ustawach, wstaję co dzień o piątej rano, ale co tam. W dzień trzymam moje dziewczątka w ukryciu, ale wieczory to już mamy dla siebie. Szkoda, że odjeżdżają za parę dni, ale otóż i one: pan Copperfield, panna Karolina, panna Sara, panna Luiza, Margaret, Lucy...

Istny bukiet polnych kwiatków! Wszystkie były świeże i ładne, zaś co do rozślawionej panny Karoliny była istotnie skończoną pięknnością, lecz żadna nie dorównywała wyrazem serdeczności, prostoty poczciwej Zofii i mogłem tylko pochwalić wybór mego przyjaciela. Usiedliśmy dokoła kominka, a wyrostek, zdjąwszy ze stołu akty i papiery, począł przygotowywać do herbaty, po czym wyszedł, zatrzasnąwszy za sobą drzwi. Pani Traddles zaparzyła herbatę i z wesołym uśmiechem zajęła się przygotowaniem grzanek.

Opowiadała mi tymczasem, że widziała Agnieszkę. Traddles odbył z nią poślubną podróż do Kentu, gdzie się spotkała z moją ciotką i panną Wickfield. Obie o mnie tylko mówiły, Traddles też ciągle miał mnie w myśli i pamięci. Zauważyłem, że urósł on na

niczym niedającą się zbić powagę. We wszystkim miał słuszość, spalić by się za niego dała.

Podobało mi się też uszanowanie, jakie oboje, pani Traddles i jej mąż, okazywali „piękności”. Nie wiem, czy to było na miejscu i rozsądnie, ale takie to było miłe, takie do nich obojga podobne. Jeśli Traddles rumienił się za brak srebrnych łyżeczek przy podwieczorku, to chyba wtedy gdy podawał filiżankę z herbatą starszej siostrze żony; jeśli poczciwa Zofia mogła być z czegoś dumna, to chyba z zaszczytu, że była siostrą owej „piękności”. Nawet oznaki grymasów, które dostrzegłem w tej ostatniej, uważane przez nich były za rzecz naturalną, z prawa należną takiemu Feniksowi, jako jeden wdzięk więcej. Matka w ulu nie jest chyba bardziej czczona i pielęgnowana przez skromne i pracowite pszczołki.

To wyrzeczenie się siebie, ta skromność zachwycaly mnie po prostu. W ciągu tego wieczoru Traddles co najmniej kilkanaście razy proszony był przez siostry, by przyniósł tamto, zaniósł to, albo coś postawił, sprzątnął lub podał. Ustawicznie też potrzebowały Zofii. Tej zmierzwiły się włosy i tylko Zofia ułożyć je umiała, tamta zapomniała melodię piosenki, którą Zofia pamiętać musiała. Tu szło o nazwę jakiejś znanej Zofii miejscowości, tam trzeba było napisać do domu, zatem Zofia napisze, Zofia naprawi zepsutą robótkę, słowem Zofia i Traddles byli najniższymi sługami swych gości. Ile też ta poczciwa Zofia wyniańczyła dzieci! Cóż dziwnego, że umiała na pamięć tyle piosenek i posiadała nieprzebrany słownik tych pieśzotliwych nazw i słów, jakimi kobiety przemawiają do dzieci. Nucila piosenki podpowiadane to przez tę, to przez inną siostrę. Wszystkie one zresztą, posługując się nią, okazywały jej nieklamane przywiązanie, którego cząstka hojnie spadała na Traddlesa. Gdy się żegnał i Traddles chciał mnie przeprowadzić do zajazdu, zasypały go całusami, targając go przy tym za uszy i najeżone włosy.

Długo jeszcze po rozstaniu się z Traddlosem myślałem o tym wszystkim, zachowując jak najprzyjemniejsze wspomnienie. Sto róż rozkwitłych nie rozweseliłoby bardziej od tych dziewcząt ponurej izby w Gray's Inn. Dziewczęta ładne i świeże, herbata przy kominku, przez gospozię przyrządzane grzanki, piosenki, kołysanki wśród zakurzonych aktów, rachunków, skarg, poźółkłej bibuły, wszystko to robiło wrażenie, jakby grono dobrych wróżek zbiegło do adwokackiej kancelarii w mrocznym wnętrzu Gray's Inn, przynosząc z sobą czarodziejskie dary. Doszedłem do przekonania, że Traddles się jednak „wybije” pomimo lekceważenia poważnego sługusa z restauracji.

Przysunąwszy krzesło do jednego z kominków w kawiarni, patrząc na gasnące i zapalające się wśród popiołów, z miejsca na miejsce przebiegające iskierki, z rozmyślania nad losem i obecnym szczęściem Traddlesa popadłem w marzenia. Liczyłem zmiany zaszele w mym życiu, poniesione straty. Od wyjazdu z Anglii przez całe trzy lata nie siadywałem przy kominku, chociaż wiele rozpalonych tu i ówdzie przeróżnych widywałem ognisk. Tu gasnące te iskry opowiadały mi historię pogasłych moich nadziei.

Mogłem już spoglądać w przeszłość i ze smutkiem wprawdzie, lecz już bez goryczy, śmiało patrzeć w przyszłość. Rodzinnego nie miałem domu i o rozpaleniu domowego ogniska marzyć nie mogłem. Tę, która mnie może inaczej pokochać zdołała, z dawien dawna siostrzanego wyuczyłem do siebie przywiązania. Lada dzień mogła wyjść za mąż, ktoś inny nabierze praw do jej życia i serca i nie dowie się ona nawet nigdy, czym była dla mnie. Słusznie! Słuszna to kara za mą lekkomyślność. Zbierałem wprawdzie gorzkie owoce, lecz z własnego posiewu.

Myślałem o tym, przygotowany zając u jej ogniska to poślednie, ciche miejsce, które jej u swego niegdyś wyznaczyłem. Machinalnie wzrok podnosząc, ujrzałem przed sobą znaną mi, gdzieś widywaną, z najwcześniejszymi mymi wspomnieniami związaną postać... doktora Chillipa, który się zjawił w pierwszym rozdziale niniejszej opowieści i mego życia. Siedział w kąci, zagłębiając się w czytaniu gazety. Wiele lat upłynęło od ostatniego naszego spotkania, sędziwym cieszyć się musiał wiekiem, lecz — drobny, szczupły, spokojny — wyglądał tak, jak wyglądać musiał w chwili, gdy siedząc naprzeciw mej ciotki, w bawialnym pokoiku w Blunderstone, wyczekiwał mego przyjsia na świat.

Siedział, spokojnie czytając gazetę, z przechyloną na ramię głową, ze szklanką gorącego ponczu pod ręką. Jak zwykle uprzejmy, ugrzeczniiony, zdawał się przepraszać arkusz papieru, z którego sobie czytać pozwalał.

Zbliżyłem się do niego.

— Jak się pan ma, panie Chillip? — rzekłem.

Zdziwił się, spojrzął na mnie jak na nieznanego.

— Dziękuję panu — odrzekł — mam nadzieję, że i panu zdrowie służy.

— Pan mnie nie poznaje?

Uśmiechnął się uprzejmie, przymrużył oko, przechylił głowę, przypatrując mi się bacznie.

— A tak, istotnie — mówił — znane mi są pańskie rysy, tylko nazwiska przypomnieć sobie tak od razu nie mogę.

— A jednak znanym było panu pierwszej niż mnie samemu.

— Doprawdy? Miałbym honor być obecnym...

— Tak właśnie.

— Ależ się pan od tego czasu musiał zmienić — zauważył dobrodusznie.

— Zapewne, zmieniłem się nieco — odrzekłem.

— Niech pan daruje — rzekł po chwili baczno wpatrywania się we mnie — mimo to zmuszony jestem spytać: jak godność pańska?

Słyszając nazwisko moje, zdziwił się i ucieszył. Zamieniliśmy uścisk dłoni, co było z jego strony pewnym wysiłkiem, zwykle bowiem podawał tylko końce palców.

— Dziwne — mówił, mierząc mnie od stóp do głowy wzrokiem. — Być<sup>596</sup> może? Pan Copperfield? Znane mi są pańskie rysy. Podobny pan jesteś, bardzo podobny, do nieboszczyka, swego ojca.

— Nie miałem szczęścia go widzieć, nawet w kolebce będąc — rzekłem.

— A! Prawda — odrzekł ze współczuciem w głosie — prawda! Smutne okoliczności, nader smutne! Nie sądz pan przeto, panie Copperfield — dodał, prostując się — że imię pańskie, że sława nie doszła do zamieszkałego przeze mnie zakątka. Ba! — dodał, dotykając wskazującym palcem czoła — wrze tam, gotuje się, co, prawda? I czy nie odczuwasz pan przy tym znużenia?

— Jakież pan obecnie zamieszkuje okolice? — spytałem, siadając przy nim.

— Mieszkam o parę mil od Bury St. Edmunds — odrzekł. — Żona moja odziedziczyła po ojcu małą własność ziemską i udało mi się wyrobić sobie w okolicy wcale zadowolającą praktykę. Córka moja dorasta. Czy pan uwierzy — ciągnął, kiwając głowę — nie dalej jak w zeszłym tygodniu matka musiała aż dwie zakładki odpuścić w jej sukience. Tak, tak, czas płynie, płynie!

Mówiąc to, dopił szklankę wina, zaproponowałem mu zatem drugą.

— Nie pijam zwykle więcej — mówił — lecz dzisiaj, i w tak miłym towarzystwie... Ha! Zdaje mi się, że nie dalej jak wczoraj leczyłem pana na odrę... pamiętasz pan? Urósł pan od tego czasu.

Ukloniłem się, dziękując za to uznanie i kazałem podać butelkę wina.

— Nie pijam zwykle tyle — upewniał Chillip — lecz przy takim spotkaniu, w takiej kompanii! Pan żonaty?

Potrząsnąłem głową.

— A, prawda, prawda! Słyszałem o pańskiej stracie. Słyszałem od siostry pańskiego ojczyma. Co za charakter, jaka energia!

— Tak — odrzekłem krótko — niepospolita! Gdzież ją pan widuje?

— Więc nie wiadomym było dotąd panu, że ojczym pański został znów mym sąsiadem?

— Nie wiedziałem o tym.

— Tak właśnie — ciągnął z łagodnym uśmiechem mały człowieczek — tak właśnie. Ożenił się z młodą i posaźną dziedziczką w naszej okolicy. Biedaczka!... I ta ciągnęła praca umysłowa — dodał, wpatrując się we mnie z uwielbieniem — nie męczy pana?

Pytanie zbyłem kiwnięciem głowy, wracając do uprzedniego przedmiotu rozmowy.

— Wiedziałem o tym — rzekłem — że pan Murdstone ożenił się powtórnie. Pan jest u nich domowym lekarzem?

— Niezupełnie, wzywają mnie czasem. Stałość jest szczególnie rozwiniętą cechą charakteru pana Murdstone i jego siostry.

<sup>596</sup>być — konstrukcja z partykułą -że nadającą znaczenie pytania retorycznego; inaczej: czy być (może), czy być (może). [przypis edytorski]

Widać dostrzegł cień aprobaty w mym spojrzeniu, gdyż ośmielony nim oraz popijanym winem pokiwał głową i z cicha zawołał:

— Ho! Ho! Pamiętam dobrze stare czasy.

— Zatem i brat, i siostra — spytałem — niewiele się zmienili?

— Lekarz — mówił pan Chillip — z zawodu swego głuchy być musi i ślepy na wszystko, co nie wchodzi w zakres medycyny, lecz w danym wypadku przyznać muszę, że oboje są nader surowi, odnośnie doczesnego i przyszłego życia.

— W przyszłym znajdą zapewne, co im się należy — odparłem — lecz czymże się obecnie, w doczesnym życiu odznaczają?

Pan Chillip wstrząsnął głową i popił wina.

— Śliczna to była kobietka — zauważył ze współczuciem.

— Obecna pani Murdstone? — spytałem.

— Śliczna, mówię panu! Dobra, łagodna, uprzejma. Żona moja utrzymuje, że ją zła-mano. W czarną popadła melancholię. Ho, ho! Nie ma bystrzejszych obserwatorek niż kobiety!

— Znam to — odrzekłem — chcieli ją do własnej nagiąć miary. Nieszczęsna.

— Tak, panie! Zrazu opierała się, wybuchaly gwałtowne sprzeczki, sceny, teraz: cień kobiety. Odkąd bratu, powiem to panu w zaufaniu, siostra przybyła w pomoc, zgięli ją, ogłupili do ostateczności.

Łatwo mi było w to uwierzyć.

— Przyznam się nawet panu — ciągnął, popijając wino — lecz niech to między nami zostanie, że matkę jej wpędzili do grobu, a ją biedaczkę zgięli i do idiotyzmu doprowadzili. Przed wyjściem za mąż była żywa, wesoła, lecz pod ich ponurym despotyzmem musiała się załamać na duchu i ciele. Teraz są dla niej raczej oprawcami niż mężem i szwagierką. Tak przynajmniej utrzymuje moja żona, a kobiety posiadają dar szczególnej spostrzegawczości.

— Czy się bawią jeszcze... nie śmiem w zastosowaniu do nich tego wielkiego użyć słowa: czy się bawią jeszcze w religijność i pobożność? — spytałem.

— Upredzasz mnie pan. Właśnie chciałem powtórzyć najtrafniejszą, jaką kiedy bądź słyszałem uwagę, która wyszła z ust mej żony. Otóż utrzymuje ona, że pan Murdstone stawia siebie za niezrównany, boski wzór do naśladowania. Uderzyła mnie trafność tego spostrzeżenia żony. Ho, ho! Nie ma bystrzejszych nad kobiety obserwatorek!

— Pełne są intuicji.

— Uszczęśliwiasz mnie pan, zgadzając się ze mną w tej mierze! — zawołał, rozpromieniony winem i zaufaniem. — Rzadko, bardzo rzadko wyrażam me zdanie poza obrębem mego zawodu, lecz żona moja utrzymuje, słuchając ustawicznych kazań i publicznych przemówień pana Murdstone, że jest on tak nieubłaganym fanatykiem, jak okrutnym w domu tyranem.

— Przyznaję najzupełniejszą słusność żonie pańskiej.

— Żona moja — ciągnął uszczęśliwiony człowieczek — utrzymuje właśnie, że tacy apostołowie szkodzą dobrej sprawie. Ja sam zresztą przyznam się panu — ciągnął, mrużąc oczy i przechylając głowę na ramię — nie znalazłem nigdzie w Piśmie Świętym poparcia dla zasad pana i panny Murdstone.

— Ani ja — rzekłem.

— Toteż — ciągnął pan Chillip — nie cieszą się oni ogólną sympatią, że zaś każdego, kto im nie wtóruje, skazują na wieczne zatracenie, potępińców nie brak w naszej okolicy. Żona moja utrzymuje właśnie, że czym kto wojuje, od tego ginie. Wszyscy się od nich odwrócili, zostali sami ze swą złością i nieubłaganą srogością. A teraz wróćmy do uprzedniej rozmowy. Jakże tam z tą umysłową pracą? Nuży pana, kochany panie Copperfieldzie? Musisz ciąglej potrzebować podniety?

Sam już był jednak tak dalece podniecony, że z łatwością sprowadziłem go na inny przedmiot rozmowy, na własne jego interesy i sprawy. Niestrudzony udzielał mi przez pół godziny informacji, dając do zrozumienia, że jego niniejsza obecność w Londynie pozostaje w związku z pewnym wypadkiem pomieszania zmysłów jednego z pacjentów wskutek nadużycia gorących napojów.

— Upewniam pana, panie Copperfieldzie — mówił — że w podobnych razach by-wam do głębi wzruszony. Tracę przytomność! Pamiętam jak dziś, ile upłynęło czasu zanim

po pańskim właśnie przyjsciu na świat zdołałem ochłonąć z wrażenia wywartego obcesowym postępowaniem tej starej damy.

Powiedziałem mu, że jadę do tej obcesowej damy, ciotki mej, w gruncie rzeczy najlepszej pod słońcem kobiety. Zapewnienia moje w tym względzie nie uspokoiły go wszelako i nie przekonały. Wyglądał na wystraszonego samą myślą powtórnego spotkania z obcesową damą i powtarzał z uśmiechem:

— Doprawdy? Kto by to przypuszczał!

Jednocześnie kazał zapalić świecę, w łóżku szukając schronienia przed wywołaną zmorą. Nie wiem, czy go rozgrzało wino, lecz skłonny jestem przypuszczać, że miękkie jego serce biło prędzej! Tak prędko zapewne, jak onego pamiętnego wieczoru, w którym ciotka moja uderzyła go kapeluszem.

Zmęczony, poszedłem też spać o północy. Nazajutrz wyjechałem do Dover i zastałem ciotkę przy herbacie. Nosiła teraz okulary, niezmieniona zresztą wcale. Ciotka, pan Dick, stara moja, kochana Peggotty, obecnie bawiąca u ciotki w charakterze gospodyni, z otwartymi przyjęli mnie ramionami, ze łzami radości w oczach. Zabawiła ciotkę opowieścią o mym spotkaniu z doktorem Chillipem i wspomnienie, które o niej przechował. I ciotka, i Peggotty dużo miały do mówienia o mym ojczymie i tej jego „zbójcekiej siostrze”. Sądzę, że żadne względy nie skłoniłyby ciotki do nazwania panny Murdstone inaczej lub do wymówienia jej nienawistnego imienia.

## ROZDZIAŁ LX. AGNIESZKA

Pozostawszy sam na sam z ciotką, do późnej nocy rozmawialiśmy o listach nadeszłych<sup>597</sup> z Australii od naszych emigrantów, o tym, że pan Micawber zwracał drobne kwoty z owych słynnych „pieniężnych zobowiązań”, które go tak bardzo zajmowały, o tym, jak Janet, przyjąwszy znów służbę u ciotki po powrocie jej do Dover, nie wytrzymała i wyszła za mąż za szynkarza, przy czym ciotka; jako znana przeciwniczka stanu małżeńskiego, obdarzyła ją wyprawą i małym posagiem, słowem, o rzeczach wiadomych mi już z otrzymywanych z domu listów. Jak zwykle też była mowa o panu Dicku. Ciotka opowiadała, z jakim zapalem przepisywał wszystko, co się przepisywać dało, tą pozorną pracowitością trzymając na wodzy króla Karola Pierwszego. Ciotka była uszczęśliwiona, widząc, że jest spokojny i zadowolony, tylko ona bowiem wiedziała, „ile wart jest ten człowiek”.

— A kiedyż, Trot — spytała wreszcie, głaszcząc po dawnemu moją rękę, którą trzymała siedząc przed kominkiem — kiedyż pojedziesz do Canterbury?

— Jutro rano postaram się o konie — rzekłem — chyba że ciotka życzy sobie towarzyszyć mi, to w takim razie...

— Bynajmniej — przerwała mi ze zwykłą sobie stanowczością. — Nie myślę wcale ruszać się z domu.

— W takim razie jadę jutro rano — odrzekłem. — Już bym tam był, gdyby mi nie było pilno kogoś innego powitać.

Odpowiedź ta zadowolili ciotkę.

— Trot! Trot! — mówiła, uśmiechając się i gładząc moją rękę. — Ba! Stare moje kości dotrwałyby i do jutra...

Patrzałem zadumany w ogień. Zadumany, gdyż powrót ten, zbliżenie się do Agnieszki budziły stare żale. Czas je złagodził, ale nie zatarł zupełnie. Zdawało mi się, że słyszę jeszcze ciotkę moją powtarzającą:

„Och! Trot, dziecko! Ślepe, biedne dziecko!”

Teraz rozumiałem znaczenie niedocenionych wówczas słów. Chwilę długą milczeliśmy oboje. Podnosząc wzrok, spotkałem się z badawczym spojrzeniem ciotki. Śledziła zapewne bieg moich myśli.

— Zastaniesz — mówiła z wolna, przerywając długie milczenie — zastaniesz ojca jej złamanego wiekiem, białowłosego starca, odrodzonego jednak pod wieloma względami. Nie mierzy on już jak dawniej ludzkich smutków, radości, potrzeb jedną wyłącznie miarą. Wierz mi, dziecko, niemało szarpać się z sobą i życiem potrzeba, zanim się ta ciasna nasza rozszerzy miara.

— Wiem to, ciotko.

<sup>597</sup>nadeszły (daw.) — tu: forma imiesłowowa: ten, który nadszedł. [przypis edytorski]

— Ją zastaniesz piękną, dobrą, rozumną, poświęcającą się jak zawsze. Gdybym знаła silniejsze słowa pochwały, użyłabym ich w zastosowaniu do niej.

Większa nie mogła już istnieć pochwałą, lecz ileż w słowach powyższych było nagany dla mnie. Zbłąkany, zeszedłem z drogi do szczęścia.

— Jeśli dziewczęta, które wychowuje — mówiła ciotka ze łzami w oczach — choć w części podobne będą do swej nauczycielki, życie jej nie przeminie marnie. „Jest użyteczna, a zatem szczęśliwa”. Pamiętasz, Trot, własne to jej słowa. Jakże mogłaby ona nie być użyteczną i szczęśliwą?

— Czy Agnieszka... — począłem, nie pytając, lecz raczej myśląc głośno.

— Co? Co mówisz? — przerwała mi ostro ciotka.

— Kocha kogoś? — skończyłem.

— Wstydz się! — zawołała oburzona panna Betsey. — Wstydz się! Sto razy przecie, od czasu jakeś odjechał, mogła, jeśliby chciała, wyjść za mąż.

— Nie wątpię o tym — odrzekłem. — Pytam, czy się nie znalazł ktoś godny jej ręki i serca, gdyż inaczej, wiem o tym, Agnieszka nie oddałaby ni ręki, ni serca.

Ciotka moja nic mi nie odpowiadała. Siedziała z brodą opartą o rękę i dopiero po chwili podniosła oczy.

— Posądzam ją — rzekła — że kryje przywiązanie w sercu...

— Odwzajemnione? — spytałem.

— Tego ci nie mogę powiedzieć, Trot — odrzekła z powagą. — Może i tak powiedziałam za wiele. Agnieszka nie zwierzała mi się nigdy, są to własne moje domysły...

Patrzała na mnie bacznie, zdawało mi się nawet, że wargi jej tajemnym jakimś drganiem wzruszeniem i czułem, że odgadnąć musiała, co się w mej duszy dzieje. Wezwałem w pomoc wszystkie moje postanowienia.

— Jeśli tak — rzekłem — a mam nadzieję, że...

— Ale ja wcale nie twierdzę — znów ostro przerwała mi ciotka. — Ja się tylko domyślam, a z domysłów moich żadnych ostatecznych nie powinieneś wysnuwać wniosków. Domyśły mylne być mogą i mówić o nich nie mam prawa.

— Sama mi to Agnieszka powie — odrzekłem. — Siostrą mi była zawsze, posiadała całe me zaufanie i zaufaniem wyplaci mi się zapewne.

Ciotka odwróciła powoli wzrok ode mnie i zakryła ręką oczy. Po chwili drugą rękę położyła mi na ramieniu i tak siedzieliśmy długo, milcząc, zapatrzeni w przeszłość. Rozstaliśmy się późno w noc, nie zamieniwszy słowa więcej.

Nazajutrz rano jechałem konno drogą, którą przebywałem tak często za dni szkolnych. Nie, nie czułem się szczęśliwy z odniesionego nad sobą zwycięstwa. Nawet bliska urzeczywistnienia nadzieja ujżenia Agnieszki nie zdołała rozproszyć mego smutku.

Szybko mijałem znane mi pola i ogrody, aż znalazłem się w murach miasta, którego kamień każdy był literą w abecadle dni mych dziecięcych. Zbliżyłem się do starego domostwa. Serce miałem jednak zbyt wzburzone i cofnąłem się od drzwi. Przeszedłem pod oknem izdebki, w której przesiadywał niegdyś Uriah Heep, a potem pan Micawber. Obecnie kancelaria zmieniona została na poczekalnię czy bawialny pokój. Poza tym stare, spokojne, lśniące od czystości domostwo żadnej nie uległo zmianie. Służącą, która mi otworzyła, prosiłem powiedzieć panie Wickfield, że pragnie ją widzieć dzentelmen mający do niej zlecenia od bawiącego za granicą przyjaciela. Wprowadzono mnie po starych, znanych mi schodach do starego, znanego mi salonu. Na półkach leżały jak dawniej książki Agnieszki, biurko, przy którym wieczorami opracowywałem lekcje, również stało na dawnym miejscu. Tylko po zmianach zaprowadzonych w domu za rządów Heepów nie było ani śladu. Wszystko, wszystko było jak dawniej, za lepszych czasów...

Stanąłem w oknie, przypatrując się ulicy i przeciwnym domom i wspominając, że tak samo właśnie przypatrywałem się im w owe pierwsze spędzone tu, deszczowe popołudnie, snując domysły o sąsiadach — goniąc wzrokiem przechodniów, kobiety stąpające po zmokłych od deszczu kamieniach, strumień, co spływał z okapu. Żywo stanęli mi w pamięci wędrowcy, w mroczne, dżdżyste popołudnia zjawiający się na rogu ulicy, z węzłkami u końca zarzuconych na ramię sękatych kijów. Czułem woń rozmokłej ziemi, pożółkłych liści, znużenie długiej podróży, nieokreśloną jakąś tęsknotę.



Skrzypnięcie bocznych drzwi wyrwało mnie z zadumy. Odwróciłem się. Piękne oczy Agnieszki spotkały się z moimi. Stała i podniósłszy rękę do serca, zachwiała się. Pochwyciłem ją w objęcia.

— Agnieszko! Droga, kochana Agnieszko! Przestraszyło cię to nagle moje pojawienie się?

— Nie! Nie! Cieszę się, że cię widzę, Trotwood!

— A ja, Agnieszko, jakże się cieszę!

Przycisnąłem ją do piersi, milczeliśmy długą chwilę. Usiedliśmy obok siebie, anielskie oblicze zwrócone było ku mnie, czytałem na nim to powitanie, o którym we dnie i w nocy od lat wielu marzyłem. Tak szczerą była, serdeczna, dobra, piękna! Tyle jej zawdzięczałem, tak droga mi była, że słów nie znajdowałem do wypowiedzenia tego, co czułem. Próbowałem powtórzyć jej podziękowania, błogosławieństwa, którymi przepelnione bywały listy moje — próżno! Słowa konały mi na ustach, miłość i radość moja była niema.

Spokój jej pogodny, jak zawsze, tak i tym razem, oddziałał na mnie. Zwróciła wspomnienia moje do chwili naszego rozstania, mówiła o Emilce, którą niejednokrotnie przed odpłynięciem jej do Ameryki odwiedzała po kryjomu; mówiła o mogile Dory. Z właściwym szlachetnym sercem taktem poruszyła te struny mych wspomnień, nie targając, lecz kojąc. Zdawało mi się, że słucham cichej jakiejś muzyki i mogło być inaczej; byłem wszak pod skrzydłem anioła-stróża mego życia.

— A ty, Agnieszko — spytałem ją wreszcie — mów mi o sobie, od tak dawna nic mi o sobie nie mówiłaś.

— Cóż mówić miałam — uśmiechnęła się pogodnie. — Ojciec zdrów, życie nam płynie cicho i spokojnie, w tym starym przywróconym nam domu. Pierzchły zgrzyzoty i niepokoje. Wiedziałaś o tym i cóż ci więcej mówić miałam? Oto wszystko.

— Wszystko? — spytałem.

Spojrzała na mnie. Rumieniec oblał jej białe czoło.

— I nic mi już więcej, siostrzyczko, nie masz do powiedzenia?

Zbladła, zarumieniła się powtórnie, znów zbladła. Uśmiechnęła się mętnie i potrząsnęła głową.

Zamierzałem wywołać zwierzenie na temat tego, co było domysłem mej ciotki. Przemogłem własne uczucia, zapanowałem nad sercem, obowiązkiem moim było pozyskać jej zaufanie, służyć wedle możliwości, lecz zauważywszy to jej zmieszanie, nie chciałem nalegać.

— Pracujesz, droga Agnieszko?

— Tak, w szkole — odpowiedziała uspokojona.

— Ciężka to praca.

— Wdzięczna — odrzekła. — Trudem nie mogę jej nazwać.

— Wszystko, co dobre, łatwe ci się zdaje, wiem to.

Znów się zarumieniła, spuściła głowę, zdawało mi się, że po ustach jej przebiegł uprzedni smutny uśmiech.

— Zaraz ojciec nadejdzie — mówiła. — Wszak spędzisz dzień z nami? Przenocujesz może w dawnym swym pokoiku? Wiesz, zawsze się nazywa twoim.

Nocować nie mogłem, obiecałem ciotce wrócić, lecz zamierzałem z nią spędzić dzień cały.

— Muszę cię jednak na chwil kilka opuścić — mówiła. — Wołają mnie moje zajęcia, lecz oto są stare nasze nuty i książki, pamiętasz, jak dawniej.

— Te same nawet co dawniej widzę kwiaty — odrzekłem, rozglądając się po pokoju.

— Chciałam wszystko utrzymać tak, jak bywało za dawnych, dziecinnych naszych lat — mówiła z uśmiechem. — Tak szczęśliwi byliśmy wówczas!

— Niebu to tylko wiadomo! — westchnąłem.

— Każdy szczegół przypominający mego brata — mówiła, patrząc mi prosto w oczy — miły mi był, nawet te klucze dźwięczały na nutę starych wspomnień.

Zadzwoeniła kluczami i uśmiechnęła się, odchodząc.

Tak! Pozostawało mi tylko przechować jak świętość siostrzane te uczucia. Skarbem mi być powinny! Raz zachwianą ufność łącznie mógłbym utracić... Rozumiałem to i sama miłość do Agnieszki nakazywała mi skrywać, zwalczać porywy serca.

Wyszedłem na miasto. Na progu jatkki stał rzeźnik, dawny mój wróg. Poszedłem obejrzeć plac walki. Mignęły mi w pamięci lekkie cienie panny Shepherd i starszej panny Larkins i wielu tym podobnych. Z przeszłości jedno mi pozostało całe, żywe — Agnieszka! Ta mi przyświecała z wysoka, jak niedościgną gwiazda. Wróciwszy zastałem pana Wickfielda: powrócił ze swego ogrodu za miastem, którym zajmował się teraz z zapalem. Zastałem go takim właśnie, jak mnie ciotka uprzedziła. Zasiadliśmy do stołu w towarzystwie pół tuzina dziewczątek. Prawnik zdawał się cieniem pięknego mężczyzny przedstawionego na wiszącym w sali jadalnej portrecie.

Uległem znów kojącemu nastrojowi tego domu. Przy deserze pan Wickfield nie pił jak dawniej wina, ja też pić nie chciałem i niebawem przeszliśmy do salonu, gdzie Agnieszka ze swymi uczennicami zajmowała się muzyką i ręcznymi robótkami. Po herbacie dziewczynki odeszły, pozostaliśmy we troje, jak dawniej — mówiliśmy też o dniach minionych.

— Mój udział we wspomnieniach — mówił pan Wickfield, potrząsając siwą głową — składa się z żalu, głębokiego żalu. Wiesz to dobrze, Trot, nie mam się zresztą z czym skrywać.

Cała jego postać świadczyła o szczerości tych słów.

— Nie zmażę przeszłości — mówił — i zmażać, gdybym nawet mógł, nie chcę, gdyż ani na chwilę nie chcę zapomnieć tego przywiązania, poświęcenia, jakich dowody dała mi Agnieszka.

— Rozumiem pana — odrzekłem cicho — zawsze ją też uwielbiałem!

— Lecz i ty sam, kochany Trotwood, nie wiesz, czym jest i była, ile przeżyć, ile przewalczyć, przeboleć musiała. Kochane dziecko!

Agnieszka powstrzymała go, kładąc mu rękę na ramieniu. Błada była, bardzo blada.

Teraz zauważyłem, że istotnie, jak się domyślała ciotka, miała na sercu niewypowiedziany jakiś ciężar.

— Nigdy ci, Trotwood, nie mówiłem o jej matce? — spytał pan Wickfield.

— Nie, panie, nigdy.

— Niewiele się da powiedzieć, chociaż wiele się przecierpiał. Wyszła za mnie wbrew woli ojca, który się jej wyrzekł. Błagała o przebaczenie przed urodzeniem Agnieszki. Twardy to był człowiek, matka umarła od dawna, odepchnął korzącą się córkę. Zranił ją śmiertelnie.

Agnieszka, stojąc za ojcem, otoczyła ramionami jego szyję.

— Pocziwie, tkliwe miała serce — ciągnął pan Wickfield — i to ją zabiło. Nikt lepiej ode mnie jej nie znał! Kochała mnie, lecz nie była szczęśliwa. Kryjąc się przede mną, cierpiała i płakała, a że słabą była i do zdrowia wrócić nie mogła, srogość ojca dobiła ją. Pozostawiła mnie samego z Agnieszką, dwutygodniowym zaledwie niemowlęciem, i z tymi siwymi włosami, które musiałeś zauważyć, widząc mnie po raz pierwszy.

Ucałował pochylającą się nad nim córkę.

— Pokochałem moją sierotkę — mówił — samolubną, niedobrą miłością, lecz miałem duszę chorą. Nic nadto powiedzieć nie mogę. Nie o sobie zresztą, lecz o niej i o jej przedwcześnie zmarłej matce mówić chciałem. O sobie mówić? Znasz mnie przecie. Wiesz, czym byłem. Czym jest Agnieszka, zbytecznie powiadać. W usposobieniu jej dostrzegam rysy podobieństwa do matki. Tyle zmian zaszło i oto znów we troje jesteśmy tu razem.

Pochylił głowę, a na anielskim obliczu Agnieszki malował się taki smutek, że samo to nadałoby już znaczenie owemu, ze wszech miar pamiętnemu dla mnie wieczorowi.

Agnieszka podeszła do fortepianu i zaczęła grać ulubione przez ojca melodie. Stanąłem za jej krzesłem.

— Czy zamierzasz znów kraj opuścić? — pytała.

— A jakież byłoby, siostrzyczko, twe zdanie w tej mierze?

— Miałam nadzieję, że zostaniesz.

— Zostaję zatem, Agnieszko!

— Tak — mówiła — ponieważ pytasz mnie, sędzę, że istotnie powinieneś zostać. Sława i powodzenie, które zdobyłeś, rozszerzają tu zakres twojej działalności i jeśli ja — dodała, podnosząc na mnie wzrok anielski — mogę oszczędzać mego brata, to czas okaże się bardziej wymagającym.

— Wszystko tobie zawdzięczam, Agnieszko.

— Mnie?

— Tobie, droga, dobra moja przyjaciółko! — mówiłem, pochylając się nad nią. — Tobie samej! Dziś rano chciałem ci powiedzieć coś, o czym ciągle od śmierci Dory myślę. Czy pamiętasz, jakęś mi wówczas wskazała niebo?

— O, Trot — odrzekła ze łzami w oczach — tak młody byłeś, kochający, ufny! O Trot! Czyż mogę zapomnieć?

— Odtąd — ciągnąłem — często w myśli mojej zjawiał się, jak w owej chwili, z podniesioną w górę ręką. Wyżej, zawsze wyżej! Tyś mnie wiodła wyżej.

Potrząsnęła głową, uśmiechała się zza łez.

— Ileż ci winienem wdzięczności! Nie, nie zdołam ci jej nigdy wyrazić. Chciałbym, abys głąb jej zmierzyć mogła, lecz wyrazić nie potrafię, i to powiem chyba, że pragnę, byś mnie przez całe przewodniczyła życie. Jakie bądź zajdą zmiany... jakie bądź wiązać cię będą węzły, zwracać się będę ku tobie z tą samą co dawniej ufnością, z tym samym przywiązaniem. Będziesz mi zawsze światłem i oparciem i do ostatniego tchnienia widzieć cię będę przed sobą, jako ukochaną siostrę, wołającą mnie: „Wyżej! Wyżej!”.

Ujęła moją dłoń, upewniając, że dumna jest ze mnie, dumna z mojej przyjaźni, lecz że ją stokroć przeceniam. Po czym grała, już nie podnosząc oczu.

— Wszystko, com dziś od twego ojca słyszał — mówiłem, siadając obok niej — wydaje mi się czymś znanym. Domyślałem się, czym jesteś od pierwszej chwili, gdy cię tu małą jeszcze poznał dziewczynką.

— Wiedziałeś, że jestem sierotą, i to cię wzruszało.

— Nie to tylko. Wówczas już dostrzegłem coś dziwnie słodkiego i rozważnego w tobie i w całym twym otoczeniu, coś, co gdzie indziej przedzierzgnęłoby się w smutek, tu zaś było słodyczą samą.

Grała, nic nie mówiąc.

— Czy ci się bardzo zabawnym wydaję z tymi starymi wspomnieniami i zwierzeniami?

— O, nie, nie!

— I czy się nie bardzo zdziwisz, gdy powiem, że mi się wówczas już zdawało, że wszelkie raz powzięte przywiązania, wbrew wszystkiemu, do grobowej przechowasz deski? Czy się myliłem, Agnieszko?

— Nie... O, nie!

Na chwilę twarz jej posmutniała, tknęło to mnie. Po chwili jednak grała i patrzyła na mnie jak zawsze spokojnie, pogodnie.

Wracając do domu w wietrzną noc, myślałem o tym i coś mi mówiło, że Agnieszka bądź co bądź nie jest szczęśliwa. I ja szczęśliwy nie byłem, chociaż pieczęć zapomnienia chciałem położyć na przeszłości, i wznosząc oczy w niebo — we wskazanym przez nią kierunku — myślałem o nadziemskiej miłości i o chwili, w której wyznam jej tam wysoko walkę, jaką tu, na ziemi, z własnym stoczyć musiałem sercem.

## ROZDZIAŁ LXI. DWAJ POKUTNICY

Na czas potrzebny mi do wykończenia prowadzonej wówczas pracy — to jest na kilka miesięcy — zamieszkałem przy ciotce w Dover. Pisując przy oknie i spoglądając na wschodzący ponad morzem księżyc, myślałem o latach ubiegłych, o chwili, kiedy raz pierwszy pod starym tym dachem znalazł przytułek.

Wierny postanowieniu mówienia tyle tylko o pisarskim mym rzemiośle, o ile tok opowiadanych wypadków niezbitcie nakazywać to może, nie zastanawiam się nad literackimi mymi dążnościami, nadzieją, lękiem, powodzeniem, i to powiem tylko, że raz obranemu zawodowi całym oddał się sercem, i jeśli utwory moje posiadają jaką wartość, to chyba szczerości przekonań. Bez tej czymże byłby trud cały?

Od czasu do czasu odwiedzałem Londyn, szukając zapomnienia w jego gwarze lub radziłem się Traddlesa w kwestiach prawnych. Prowadził on podczas mej nieobecności moje interesy i na świetnej postawił je stopie. Że zaś wzrastająca sława przynosiła ze sobą ogromną ilość listów od osób często mi nieznanym, w kwestiach najczęściej błahych, na które niełatwo było odpowiadać, kazałem skrzynkę, dla dogodności listonosza, przybić u drzwi kancelarii Traddlesa i tu, od czasu do czasu, niby najęty sekretarz stanu, ogromną załatwiałem korespondencję.

Niekiedy zdarzały się i listy treści prawnej. Przypominano sobie dawny mój zawód. Odmawiałem, nie chcąc nieudolnym zastosowywaniem i bez tego nieudolne psuć prawodawstwo.

Gdy skrzynkę do listów opatrzoną moim nazwiskiem przybijano u drzwi kancelarii Traddlesa, dziewczęta odjechały już, a wyrostek całe dni trawił przewieszony przez okno, przypatrując się pracom Zofii w mikroskopijnym ogródku; pogodna i gospodarna jak zawsze, przy pracy nucila stare piosenki. Dziwiło mnie to tylko, że ją często zastawał z piórem w ręku i w takich razach spiesznie chowała książkę, w którą coś wpisywała. Wkrótce wyjaśniła się tajemnica. Pewnego dnia Traddles wyjął z szuflady biurka arkusz papieru, pytając, co sądzę o tym piśmie.

— O! Nie pokazuj! — zawołała Zofia, grzejąc mu właśnie pantofle przy kominku.

— Czemu nie, kochanie! — mówił rozpromieniony Traddles. — Czemu nie? Co powiesz, Copperfieldzie, o tym piśmie?

— Pyszne! — zawołałem. — Czytelne, równe. Tak pewnej ręki nie zdarzyło mi się spotkać.

— Kobieca ręka, co? — pytał Traddles.

— Kobieca! Żartujesz chyba!

Traddles roześmiał się uszczęśliwiony. Było to pismo Zofii, która się wprawiała w celu zastąpienia mu dependenta i doszła do zadziwiających rezultatów. Rumieniła się, oskarżając męża o stronniczość; on zaś upewniał, że musiałby jej oddać sprawiedliwość, jeśliby nawet nie była jego żoną.

— Śliczną, miłą masz żonę — mówiłem Traddlesowi, gdy odeszła.

— Bez zarzutu, ostatnie słowo doskonałości — twierdził. — Co za porządek, praktyczność, oszczędność, pracowitość. Taka przy tym zawsze wesola!

— Słusznie się nią szcycisz — mówiłem. — Bardzo szczęśliwy chłop z ciebie! Uszczęśliwicie się wzajemnie i doprawdy najszczęśliwszą chyba pod słońcem jesteście parą ludzi.

— Niewątpliwie najszczęśliwszą — mówił. — Tak przynajmniej sądzę. Mogę<sup>598</sup> sądzić inaczej, gdy widzę ją, jak wstaje z brzaskiem, nie zważając na stan pogody, przede dniem udaje się na rynek po zakupy gospodarskie, sama gotuje, a zawsze czysta, świeża, elegancka, wesola. Co dzień, do późnej nocy dotrzymuje mi towarzystwa, zachęca, rozwesela... Tak, istotnie, Copperfieldzie, najszczęśliwszym jestem pod słońcem człowiekiem.

Rozweselały go nawet wygrzane dopiero co przez żonę pantofle, które nałożył.

— Czasem sam nie wierzę we własne szczęście — ciągnął, uśmiechając się. — Tyle przy tym miewamy przyjemności, rozrywek, niekosztownych wprawdzie, lecz nieopłaconych! Dobrze tu nam, przytulnie, wieczorem przy drzwiach zamkniętych i spuszczonej ręką mojej Zochny storach. W pogodne wieczory wychodzimy na przechadzkę, oglądamy wystawy. Pokazuję Zofii w jubilerskich wystawach złote, o brylantowych oczach węże, wijące się po białym atlasie, i rozmyślamy, który z nich kupiłbym jej, jeślibym mógł. Lub też Zofia pokazuje mi złote zegarki, które by dla mnie kupiła, gdyby miała za co. Zawsze wybiera najlepsze, najpiękniejsze, kochana moja Zofia. Rozmyślamy, jakie byśmy sobie wybrali sztucce, serwisy, porcelanę. Czasem idąc ulicą, mówimy sobie: „Ten oto dom przydałby się nam, gdybym na przykład został kiedy sędzią. Byłyby to okna naszego pokoju, a te tam znów pokoje służyłyby siostrom”. Czasem znów kupujemy sobie bilety na galerię do teatru i tanim kosztem bawimy się wybornie. Zofia święcie wierzy we wszystko, co się tam rozgrywa, a i ja także po trosze. Wracając do domu, kupujemy sobie nieco ciastek lub wędzonkę i po powrocie spożywamy wieczerzę, gwarząc o tym, cośmy widzieli i słyszeli. Powiedzże, Copperfieldzie, mógłbym być szczęśliwszy, gdybym nawet był samym Lordem Kanclerzem<sup>599</sup>?

<sup>598</sup> *może* — konstrukcja z partykulą *-że* nadającą znaczenie pytania retorycznego; inaczej: czy mogę, czyż mogę. [przypis edytorski]

<sup>599</sup> *Lord Kanclerz* (ang. *Lord Chancellor, Lord High Chancellor of Great Britain*) — Lord Wielki Kanclerz Wielkiej Brytanii, sprawuje pieczęć nad Wielką Pieczęcią Królestwa i odpowiada za funkcjonowanie i niezależność sądownictwa; obecnie jest to członek gabinetu powoływany przez króla a. królową na wniosek premiera; urząd należący do najstarszych i najbardziej prestiżowych w Wielkiej Brytanii. [przypis edytorski]

„Byłbys taki zawsze i wszędzie, poczciwy mój przyjacielu” — pomyślałem, a głośno rzekłem: — Czy rysujesz jeszcze kiedy szkielety i trupie główki? Pamiętasz?

— Przyznam ci się — odrzekł, rumieniąc się po uszy — że mi się to jeszcze czasem zdarza. Nawet czasem w sądzie... tak, gdy siedzę w ostatnich ławkach i gdy mi ołówek wpadnie w rękę... Boję się, czy nie dalej jak onegdaj nie ozdobiłem szkieletem pulpitu po prawej stronie, wiesz.

Śmieliśmy się z całego serca. Traddles zamyślił się, patrząc na ogień, i westchnął:

— Pamiętasz starego Creakle?

— Tego łotra! — oburzyłem się. — Otrzymałem właśnie list...

— Od starego?! Nie może być! — wykrzyknął Traddles.

— A jednak od niego samego — mówiłem, przerzucając papiery. — Pomiedzy tymi, których jak magnes pociąga gwiazda mego powodzenia, znajduje się i Creakle. Upewnia mnie właśnie o czułych uczuciach, które przechował dla swego byłego ucznia. Uspokój się, nie jest już nauczycielem! Emeryt, został miejskim urzędnikiem w Middlesex.

Wiadomość ta nie zdziwiła bynajmniej<sup>600</sup> Traddlesa.

— Jak ci się zdaje, jakim sposobem doszedł do tego dostojenstwa? — spytałem.

— Niełatwe pytanie — odrzekł Traddles. — Dał może głos za kimś wpływowym, pożyczł komu pieniądze, kupił co od kogo w porę, zyskał poparcie wpływowej jakiejś osobistości i otrzymał urząd...

— W komitecie więziennym. Pisze właśnie, że chciałby mi przedstawić wzór obmyślanego przez się systemu najlepszego celkowego odosobnienia. Co myślisz o tym?

— O systemie?

— Nie, o towarzyszeniu mi w tej bądź co bądź ciekawej wycieczce.

— Nie mam nic przeciw temu.

— Pojedziemy tedy. Pamiętasz, jak łotr ten (że już nie wspomnę nieludzkiego jego pastwienia się nad tobą, poczciwy Tomciu) zmusił własnego syna do ucieczki spod rodzicielskiego dachu? Pamiętasz, jak się obchodził z żoną i córką?

— Pamiętam! Któż by mógł zapomnieć!

— Przeczytaj no list jego! Pełen tkliwości dla czarnych jak piekło zbrodniarzy. Czułość jego dopiero teraz godne sobie znalazła ujście.

Traddles wzruszył ramionami. Nie dziwiło go to bynajmniej. Jak ja przygotowany był do podobnych paradoksów; umówiliśmy się, że pojedziemy razem, o czym też niebawem doniosłem panu Creakle.

W umówiony dzień, nazajutrz, zdaje mi się, mniejsza z tym zresztą, staliśmy z Traddlesem u wrót więzienia, gdzie rządy sprawował stary nasz znajomy. Gmach to był olbrzymi, niemalym wzniesiony kosztem. Dochodząc tam, nie mogłem się powstrzymać od myśli, jakie by zamieszanie powstało w okolicy całej, jeśliby ktoś połowę tych kosztów przeznaczył na wzniesienie wzorowej szkoły lub przytułku dla starców.

W sali, godnej rozmiarami wieży Babel, spotkał nas były nasz nauczyciel w otoczeniu radnych miasta. Powitał mnie jako ukochanego ucznia, nad którego pierwszymi krokami<sup>601</sup> miał ojcowską pieczę. Traddlesa musiałem mu przedstawić. Przypomniał sobie łaskawie, że i jego zaliczał niegdyś w poczet swych uczniów. Szanowny nasz nauczyciel postarzał bardzo, poza tym nie zmienił się wcale, utracił tylko resztki siwych włosów, a pokrywające łysinę żyły nabrzmiały więcej jeszcze.

Rozmowa przeszła od razu na tory, z których wnioskować mogłem, że osiłą całego świata, jedynym i pierwszym zadaniem ludzkości było budowanie jakim bądź kosztem, wznoszenie więzień, samych więzień. Rozpoczęliśmy potem przegląd. Była to właśnie obiadowa pora, a godziny w więzieniu winny być ściśle przestrzegane. Nie mogłem powstrzymać się od szepnięcia na ucho Traddlesowi kilku uwag, jakie mi się nasunęły przy porównaniu tych więziennych — a i poza murami za doskonale mogących uchodzić — obiadów z jadłem, jakie niegdyś otrzymywali wychowañcy szkoły pana Creakle, i z tymi, jakimi zadowalać się muszą zasłużeni inwalidzi, żołnierze, robotnicy, słowem, ogromna większość ubogiej, lecz uczciwej i pracującej ludności. Dowiedziałem się przy tym, że

Więzienie, Więzień,  
Pokuta, Fałsz

<sup>600</sup>bynajmniej — wcale (dosł.: jak najmniej). [przypis edytorski]

<sup>601</sup>kroki (daw.) — dziś popr. forma N.lm: krokami. [przypis edytorski]

„więzienny system” takiego właśnie wymagał pożywienia. Na ogół „system” ów tłumaczył wiele anomalii i nikt zresztą nie przypuszczał, aby obok lub oprócz tego „systemu” istnieć mógł jaki bądź inny.

Przechodząc wspaniale korytarze, pozwoliłem sobie spytać pana Creakle i jego towarzyszy, na czym mianowicie zasadza się doskonałość rzeczzonego „systemu”. Odpowiedziano mi, że na odosobnieniu, zupełnym odosobnieniu, zamknięciu w celi, które wywołać miało skupienie, żal, poprawę, skrucę...

Obchodząc cele, korytarze, słysząc, jak się odbywają nabożeństwa w kaplicy itp., przyszedłem do wniosku, że więźniowie daleko więcej wiedzą jedni o drugich, niżby przypuszczać można było w tak doskonale przeprowadzonym „systemie” odosobnienia. Czas i doświadczenie wykazały zresztą, że się nie myliłem. Chcąc odkupić powątpiewanie, którym zgrzeszyłem przeciw doskonałości „systemu”, całą mą uwagę skupiłem na więźniach.

I tu czekało mnie rozczarowanie. Żal i pokuta objawiały się w stałych formach, na kształt w oknach krawców wywieszonych surdutów. Ludzie byli najrozmaitsi, tylko domniemana ich skrucza jednego trzymała się szablonu, jednymi i tymi samymi wyrażała się słowy<sup>602</sup>. To właśnie pobudziło we mnie wątpliwości. Dostrzegłem wiele szcwanych lisów, oblizujących się z udaną pogardą na niedojrzałe winogrona, nie dostrzegłem ani jednego takiego, któremu podsunąć bym się ośmielił zakazany owoc. Przede wszystkim zauważyłem, że najgłośniejsi zbrodniarze byli właśnie przedmiotem największej pieczołowitości władzy, co rozwijało ich próżność, swadę, zarozumiałość i inne właściwe im cechy.

Tyle mi przy tym, jako o najciekawszym okazie, mówiono o pewnym Dwudziestym Siódmym Numerze, tak wychwalano jego wzorową skrucę i pokutę, że się powstrzymał od ostatecznych wniosków do chwili obejrzenia zjawiska. Numer Dwudziesty Ósmy był też ciekawym objawem, gaśł jednak obok Dwudziestego Siódmego. Tyle mówiono mi o pobożności tego więźnia-pokutnika, o moralnych naukach, których udzielał nawet więziennym dozorcóm, o wzruszających listach, jakie pisywał do matki, uważając, że ta została na złej drodze, że nie bez pewnej niecierpliwości czekałem, aż z kolei dojdziemy do jego celi.

Nie nastąpiło to tak prędko. Chowano ten kąsek na deser. Dotarliśmy wreszcie do celu. Pan Creakle zajrzał przez otwór we drzwiach i oznajmił nam szeptem, że więzień się modli.

Każdy pragnął oglądać ten interesujący obraz. Głowy tłoczyły się dokoła ciasnego otworu we drzwiach. Pan Creakle, ku ogólnemu zadowoleniu, kazał drzwi otworzyć. I któż się zjawił przed mymi i Traddlesa oczyma? Któż? Uriah Heep we własnej osobie!

Poznał nas od razu i powitał ze zwykłą swą pokorną uprzejmością.

— Jak się pan ma, panie Copperfieldzie? Witam pana, panie Traddles!

Wywołało to ogólny podziw. Taki brak pychy, zaciętości, wzorowa taka pokora!

— Jakże tam? — łaskawie spytał go pan Creakle.

— Spokojny jestem, ukorzony — odrzekł Uriah.

— Jak zwykle — zauważył pan Creakle. — Jak zwykle! Dobrze się zatem czujesz?

— Dziękuję, o, dziękuję panu! Lepiej niż kiedy bądź. Poznałem wszystkie błędy i nieprawości moje i lżej mi na duszy.

Panowie ci byli wzruszeni do głębi serca, któryś wysunął się naprzód, pytając:

— A mięso, co?

— Dziękuję panu — odparł więzień. — Co prawda wczoraj za tłuste chyba było na mój słaby żołądek, lecz muszę to ofiarować za grzechy i błędy młodości mojej. Grzeszyłem bowiem, panowie! Błądziłem! Stokroć jestem szczęśliwy, że teraz odpokutować za to mogę.

Wśród zebranych powstał szmer uwielbienia dla czyniącego pokutę grzesznika. Niektórzy z obecnych oburzali się na dostawcę, że zbyt tłustym mięsem naraża go na niepotrzebne przykrości. Pan Creakle zapisał to w notatniku, a Numer Dwudziesty Siódmy stał wśród nas jako przedmiot godny ze wszech miar podziwu i uwielbienia. Przez wzgląd zapewne na olśnionych neofitów, to jest na mnie i na Traddlesa, wywołano sąsiada, Numer Dwudziesty Ósmy, drugą z kolei więzienną znakomitość.

<sup>602</sup>słowy (daw.) — dziś popr. forma N.Im: słowami. [przypis edytorski]

Ku wielkiemu memu zdziwieniu ujrzałem Littimera! I ten miał w ręku książkę do nabożeństwa.

— I cóż? — zagadnął go jegomość w okularach. — Jakże tam z tym kakao? Niezadowolony byłeś z niego, o ile przypominam sobie, w zeszłym tygodniu.

— Dziękuję panu, istotnie lepiej je teraz gotują — odparł zagadniony<sup>603</sup>. — Dałoby się może coś jeszcze zarzucić mleku, gdybym nie wiedział, jak trudno w Londynie o dobre, świeże i niefalszowane mleko.

Zdawało mi się, że jegomość w okularach współzawodniczy z panem Creakle i ulubiony swój Numer Dwudziesty Ósmy pragnie przeciwstawić ulubieńcowi tamtego, Dwudziestemu Siódmemu.

— Jakże się czujesz? — pytał dalej łaskawie Littimera.

— Dziękuję panu! Smutek głęboki ogarnia mnie na wspomnienie własnych grzechów i grzesznego żywota dawnych moich współtowarzyszy. Oby Nieba oświecić ich raczyły.

— Lecz sam, jak się teraz czujesz?

— Dziękuję panu, spokojny jestem.

— Żadnego nie masz życzenia?

— Panie! — odrzekł na to Littimer, nie podnosząc oczu. — Ośmielę się zauważyć, że jest tu ktoś, kogo, jeśli mnie wzrok mój nie myli, znałem dawniej. Otóż przyda się może panu temu wiadomość, że wszystkie błędy i przewinienia moje przypisuję temu zwłaszcza i temu tylko, że służąc młodym paniczom, nie miałem siły oprzeć się im i dałem sobą powodować. Niech słowa moje nie obrażają tu obecnego dżentelmena. Ostrzegam go we własnym jego interesie, sam poznawszy swe grzechy, pragnę, aby się i obecny tu dżentelmen opamiętał i żałował za zło, w którym brał udział.

Niektórzy z obecnych mieli łzy w oczach, przybierali pobożne miny ludzi wchodzących do kościoła.

— Dobrze — chwalił jegomość w okularach — przemawia to na twoją dwudziestą ósmą korzyść. Nie mniej się po tobie spodziewałem! Cóż więcej?

— Panie — mówił Littimer, podnosząc brwi, lecz nie podnosząc oczu — w całej tej smutnej sprawie sprężyną była dziewczyna, którą chciałem wyrwać ze zgorzenia, daremnie, niestety! Otóż pragnąłbym, aby tu obecny dżentelmen dziewczynę tę upewnił, że przebaczam jej wyrządzone mi krzywdy i upominam, aby pokutę czyniła.

— Nie wątpię — upewniał jegomość w okularach — że słowa twoje, które tu wszyscy zresztą wzięliśmy do serca, wywarły pożądane wrażenie na obecnym tu dżentelmenie. Nie zatrzymujemy cię dłużej, Dwudziesty Ósmy.

— Dziękuję panu, z przeproszeniem pańskim. Żegnaj panów, życząc im i ich rodzinom opamiętania i skruchy za grzechy.

Przed odejściem Littimer zamienił z sąsiadem swym, Uriahem, ukradkowe spojrzenie, zdradzające, że się nieraz musieli porozumiewać, a gdy odszedł, panowie z więziennego komitetu zaczęli go wychwalać jako wzór skruszonego więźnia.

— A teraz — zwrócił się znów do Uriaha pan Creakle — czy nam Numer Dwudziesty Siódmy nic już nie ma do powiedzenia?

— Prosiłbym najpokorniej — odrzekł, przekrzywiając się i wijąc Uriah — o pozwolenie napisania do mojej matki.

— Pozwalamy — rzekł pan Creakle.

— Najpokorniej dziękuję! Niespokojny o nią jestem. Źle jest z moją matką, źle...

Ktoś chciał spytać, co się jej przytrafiło. Ktoś inny nakazał milczenie, nie chciano przerywać skruszonemu grzesznikowi.

— Źle jest z jej duszą — mówił, wykrzywiając się, Uriah. — Pragnąłbym, aby się znajdowała w podobnym jak ja usposobieniu. Nie doszedłbym nigdy do obecnej moralnej równowagi, wiem to, jeśli bym na szczęście tu nie popadł, toteż i matce życzę, aby jak najprędzej tu znaleźć się mogła. Każdemu na dobre by wyszło, jeśli by tu popadł!

Wypowiedź ta wywołała powszechne zadowolenie. Panowie z więziennego komitetu triumfowali.

<sup>603</sup>zagadniony — imiesłów przym. bierny, dziś popr. z inną końcówką: zagadnięty. [przypis edytorski]

— Zanim tu popadłem — ciągnął Uriah, szybkim spojrzeniem upewniwszy się o wywołanym wrażeniu — zanim tu popadłem, oddany byłem doczesnym zdrożnościom, których gorycz tu dopiero poczułem. Tam, na świecie, na swobodzie same panują zdrożności! Tu dopiero mieszka skrucza, cnota, a biedna matka moja dotąd na swobodzie, wśród zdrożności wszelkich pozostaje!

— Zmieniłeś się istotnie, kochanie! — potakiwał pan Creakle.

— O tak, tak, panie!

— Nie popadłbyś w recydywę, gdyby cię wypuszczono? — zagadnął ktoś z boku.

— O, nie... nie.

— Jest to nader pocieszający objaw — zauważył pan Creakle. — A teraz, kochanku, mówiłeś z panem Copperfieldem. Czy nic mu więcej nie masz do powiedzenia?

— Panie! — począł Uriah, zwracając się do mnie, a nikczemniejszego spojrzenia, jak to, które zwrócił na mnie, nie spotkam nigdy chyba. — Znałeś mnie pan z dawien dawna i wiesz, że mimo zdrożności moich zawsze byłem pokorny wśród pysznych, cichy i łagodny wśród gwałtownych, a pan, panie Copperfieldzie, gwałtownym względem mnie nieraz, pamiętam, bywałeś. Raz uderzyłeś mnie w twarz... Pamiętasz pan?

Słowa te wywołały ogólne współczucie, niejeden z obecnych spojrzął na mnie z ukosa.

— Ale ja to panu wybaczam, panie Copperfieldzie — ciągnął Uriah, wzruszając wspaniałomyślnością swą obecnych — wybaczam panu, jak i wszystkim wszelkie urazy i krzywdy wybaczam. Nie przystoi mi być mściwym i obraźliwym. Wybaczam tedy panu w nadziei, że opanujesz z czasem swą gwałtowność, pokutę za nią czyniąc. Chcę wierzyć, że pan W. i panna W., i cała ta banda grzeszników opamięta się z czasem. Wiem, że ręka karzącej sprawiedliwości dotknęła nieszczęściem pana, i mam nadzieję, że wyjdzie to panu na dobre. Na lepsze by jeszcze wyszło, gdybyście mogli tu popaść: pan W. i panna W. także. Najlepsze życzenie, jakie dla pana, panie Copperfield, i dla przyjaciół pańskich złożyć mogę, to abyście tu się znaleźli. Doszedłem do takiego przekonania, rozmyślając o tym, czym dawniej byłem, a czym zostałem obecnie i lituję się, tak, z całego serca lituję nad tymi, co tu nie popadli.

Cofnął się w głąb celi, wśród ogólnego pochwalnego szmeru i wydaje mnie się, że Traddlesowi i mnie tylko lżej się na sercu zrobiło, gdy ciężkie wrzeczydże więziennej celi oddzielały tego skruszonego od reszty grzesznej ludzkości.

Skrucza ta miała taki charakter, że musiałem spytać, za co obydwa przykładni pokutnicy, tu — że użyję wyrażenia Uriaha — „popadli”. O tym bowiem żaden z nich nie wspomniał. Z zapytaniem zwróciłem się do jednego z więziennych nadzorców, z którego twarzy wyczytałem pewien sceptycyzm co do onej budującej skruchy.

— Czy nie możesz mi pan powiedzieć — rzekłem, idąc korytarzem — za jakie to ostatecznie przewinienie Numer Dwudziesty Siódmy dostał się do więziennej celi?

Odpowiedziano mi, że za bankowe sprawy.

— Nadużycie? — spytałem.

— Podstęp, fałszerstwo, kradzież. On i inni, lecz ten właśnie pociągnął tamtych. Spisek, mówię panu, formalny spisek. I nie o lada jaką szło sumę. Zapadł wyrok skazujący ich na deportację dożywotnią. Ten ptaszek wszystkim kierował, wszystkich współwinych wydał, a sam o mało się nie wykręcił... Cha, cha! Ale przytrzymało go lisa za ogon!

— A Dwudziesty Ósmy? — pytałem.

— Dwudziesty Ósmy? — nadzorca zniżył głos, zbliżył się do mnie i, bojaźliwie ogładając na Creakle'a i jego towarzyszy, rzekł — Dwudziesty Ósmy okradł młodego lorda, u którego służył, jak raz w wilię<sup>604</sup> dnia, w którym mieli wyjechać za granicę. Ho, ho! Dobrze pamiętam tę sprawę. Przytrzymała go karlica.

— Kto?

— Taka mała kobiecina. Zapomniałem jej nazwiska.

— Czy nie Mowcher?

— A tak, właśnie, Mowcher. Zmykał, zmyliwszy pogon, z fałszywą brodą, w peruce, przebrany i zmieniony do niepoznania, gdy go przypadkiem na ulicy w Southampton spotkała karlica. Spotkała, porwała i, cóż pan powie, uczepiła się poły, na kark mu wsiadła jak śmierć sama!

<sup>604</sup>wilia a. wigilia — dzień poprzedzający. [przypis edytorski]



— Wyborna panna Mowcher!

— Ale, wyborna była, panie, dopiero w sądzie, występując jako świadek. Postawili ją, pamiętam, na krześle. Ten, broniąc się w Southampton, uderzył ją, zranił, nic nie pomagało! Uczepiła się go, mówię panu, jak ćma i nie puściła, dopóki go nie pojmano. Uczepiła się go, wpiła się po prostu w niego, policjanci zaledwie oderwać ją zdołali. A świadczyła! Wszyscy pokładali się od śmiechu! Upewniała, że jeśli byłby nawet Samsonem, jeszcze by go pojmać zdołała. Cha, cha! Nie wątpię o tym.

I ja nie wątpię, a przeświadczenie to wzmogło szacunek mój dla panny Mowcher.

Skończyliśmy oględziny wzorowego więzienia. Traciłby czas, kto by usiłował przekonać pana Creakle, że Dwudziesty Siódmy i Dwudziesty Ósmy, pomimo zachwalonego „systemu”, pozostali takimiż samymi, jak i byli łotrami. Obłudnicy wyzyskiwali obecne swe położenie i, oceniając doskonale „system”, czekali tylko stosownej chwili, by zadrwić z niego. Lecz straciłby czas, kto by przekonać usiłował protektorów „systemu”, toteż, nie wdając się w płonne dyskusje, wróciliśmy z Traddlesem do domu.

— Ha — mówiłem — może i lepiej osadzać w klatkach podobne ptaki, bo gotowe na śmierć zadziobać ludzkość.

— Może i lepiej — odrzekł Traddles.

## ROZDZIAŁ LXII. PRZEBŁYSK SZCZĘŚCIA

Zbliżało się Boże Narodzenie: od dwóch przeszło miesięcy bawiłem w Anglii. Często widywałem Agnieszkę i chociaż pochwały i zachęty spotykały mnie w najszerzych kołach społeczeństwa, jedno małe słówko jej uznania większą dla mnie miało cenę.

Co najmniej raz na tydzień spędzałem wieczór w starym domku. Wracałem zwykle późno, nie chcąc smutku mego powierzać niespokojnym snom. Jadąc konno, przeżywałem myślą wiele minionych, ponurych i samotnych nocy.

Gdym jej odczytywał me utwory, gdym się wpatrywał w jej zasluchaną twarz, pochwyił uśmiech lub łzę wywołaną tym, co chciałem przedstawić, gdym słuchał jej słów zachęty, myślałem o tym, czym byłby mój los, życie... Myślałem, jak niegdyś po ożenieniu się z Dorą, jaką bym chciał mieć żonę.

Obowiązek względem Agnieszki, której uczucia zraniłem egoistycznie, i przekonanie, że sam się przyczyniłem do takiego ułożenia mego życia, powstrzymały mnie i krzepiły. Kochałem ją jednak i jedyną pociechą był mi ten odległy dzień, w którym będę miał prawo powiedzieć jej: „Kochałem cię, Agnieszko, z miłością świadomą w sercu wróciłem do kraju, dziś jestem stary, stoję nad grobem i mogę powiedzieć, że nikogo więcej prócz ciebie nie kochałem”.

Agnieszka była niezmiennie ta sama. Pomiędzy ciotką a mną od owej pierwszej rozmowy w wieczór mego powrotu zaszło coś, co nie było nieufnością ani świadomym i umyślnym unikaniem pewnych tematów, co jednak kładło tamę wymianie wielu myśli. Gdyśmy wedle dawno nabytego zwyczaju siadywali naprzeciw siebie wieczorem, przed kominkiem, pograżaliśmy się w myślach i milczeniu. Sądzę, że ciotka częściowo przynajmniej domyślała się moich uczuć i rozumiała powody milczenia.

Nadeszło Boże Narodzenie, Agnieszka żadnych mi nie czyniła zwierzeń i zdejmował mnie nieraz strach wielki, czy czasem nie wyczytała czegoś w mym sercu i milczy tak, nie chcąc mnie zrazić. W takim razie płonna byłaby moja walka z samym sobą, płonne milczenie, wszystko na nic! Postanowiłem rozjaśnić bolesną tę bądź co bądź niepewność.

Było to — jak dobrze pamiętam! — było to w wietrzny, mroźny dzień zimowy. Rano spadł śnieg i zasał pola. Z morza pędził północny wiatr, kołacząc w moje okna. Myślałem o niebotycznych górach Szwajcarii, niedostępnych ludzkiej stopie, i o tym, co jest bardziej osamotnione: czy te białe tam góry, czy to morskie pustkowia.

— Wyjdziesz dziś, Trot? — spytała ciotka, uchylając drzwi.

— Wyjadę, kochana ciotko, do Canterbury. Wyborny dzień do konnej przejażdżki.

— Życzę, aby i wierzchowiec twój podzielał to zdanie — odrzekła. — Tymczasem spuścił ogon i uszy, czekając u wrót, i wygląda tak, jak gdyby wolał wrócić do stajni.

Tu muszę wspomnieć, że koń mój miał prawo przekraczać bronioną osłom przez ciotkę granicę otaczających jej domek trawników.

— Ożywi się za chwilę — rzekłem.

— W każdym razie przejażdżka wyjdzie na dobre jeźdźcowi — powiedziała ciotka, spoglądając na moje zarzucone papierami biurko. — Ileż tu godzin trawisz, dziecko! Czytając dawniej książki, anim przypuszczała, ile pisanie ich pochłania czasu, ile kosztuje pracy.

— Jak gdyby nie było dosyć czytać je — zaśmiałem się. — Ale pisanie, ciotko, ma też swe uroki.

— Aha! Ambicja, lubowanie się w sławie i tak dalej, i tak dalej! Wiemy, wiemy!

Klepała mnie po ramieniu, uśmiechając się dobrotliwie.

— Kochana ciotko — rzekłem nagle — czy nie dowiedziałaś się nic więcej o tym... przywiązaniu Agnieszki?

Popatrzyła mi bacznie w oczy i dopiero po chwili rozważyła rzekła.

— Owszem, zdaje mi się, że wiem coś więcej.

— I trwasz przy uprzednich domysłach? — pytałem.

— Tak, Trot, trwam.

Wpatrywała się we mnie tak bacznie, z takim współczuciem i serdecznością, że usiłowalem wypogodzić twarz. Chciałem wyglądać spokojnie.

— Otóż sądzę, Trot... — zaczęła.

— Słucham, ciotko?

— Że Agnieszka... wyjdzie za mąż.

— Błogosław jej Boże!

— I jej, i jej wybranemu — dokończyła ciotka.

Staralem się wtórować temu jej życzeniu, po czym pożegnawszy ją, zbiegłem ze schodów.

Jakże pamiętam tę jazdę w mroźny, wietrzny dzień i białą wijącą się drogę: lodowe igielki śniegu były mi w twarz, zmarznięta ziemia dzwoniła pod kopytami koni.

Zastałem Agnieszkę samą. Uczennice jej rozjechały się na przerwę świąteczną i Agnieszka, siedząc przy kominku, czytała. Na widok mój odłożyła książkę, powitała mnie serdecznie i, biorąc robotkę, usiadła w głębokiej framudze okna.

Usiadłem naprzeciw niej i rozmawialiśmy o tym, co robiłem od ostatniej mej tutaj bytności, o postępach mej pracy. Agnieszka śmiała się wesoło i przepowiadała mi, że wkrótce zdobędę taką sławę, że i mówić już z nią o powodzeniu mym chyba nie zechcę.

— Muszę więc korzystać, póki czas — żartowała.

Patrzyłem w jej piękną, nad robotką pochyloną twarz. Spozrzęgała to podnosząc oczy.

— Zdajesz mi się zamyślony, Trotwood — rzekła.

— Czy ci mam powiedzieć, co mnie zajmuje? — odrzekłem. — Z tym właśnie przybyłem.

Odłożyła na bok robotę. Gotowa była mnie słuchać.

— Nie wątpisz o mej szczerości i przywiązaniu do ciebie? — spytałem.

— Nie wątpię — odrzekła nie bez pewnego zdziwienia.

— Czy wierzysz w to, że się nie zmieniłem względem ciebie?

— Wierzę.

— Pamiętasz, com, powróciwszy z zagranicy, mówił<sup>605</sup> o zaciągniętym względem ciebie długu wdzięczności?

— Pamiętam — odrzekła cicho.

— Więc czemuż mi się nie zwierzysz ze swej tajemnicy, Agnieszko, kochana Agnieszko?

Powieki jej opadły, drgnęła.

— Wiem — mówiłem — chociaż nie z twoich ust i to mnie właśnie boli, że jest ktoś, kto posiadał skarb twej miłości. Czemuż ukrywasz przede mną to, co jest tak ściśle ze szczęściem twym związane? Jeśli posiadam istotnie twoje zaufanie, pozwólże mi, niech w tym, jak i innych wypadkach będę ci przyjacielem i bratem.

Z niezwykłą żywością porwała się z miejsca i przebiegła przez pokój, jak gdyby nie wiedziała, co czyni. Nagle zakryła twarz rękoma i wybuchnęła do głębi serca wzruszającym mnie płaczem.

<sup>605</sup>com (...) mówił — inaczej: co mówiłem (konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika). [przypis edytorski]

We łzach tych jednak było dla mnie coś na kształt promyka nadziei. Łzy te związały się nagle z szeregiem zagadkowych, smutnych, nieraz przedtem dojrzanych na jej ustach uśmiechów i nie boleść zbudziły we mnie, o nie!

— Agnieszko! Siostrzyczko! Najdroższa! Co ci zrobiłem?

— Puść mnie, Trot, niedobrze mi, odejdę... Innym razem, tak, innym razem powiem ci... Napiszę... teraz nie mów nic... nic mi nie mów...

Staralem się przypomnieć sobie, co mi odpowiedziała tamtego wieczoru, gdy jej mówiłem, że przywiązanie jej musi być odwzajemnione.

— Agnieszko — rzekłem — nie mogę znieść myśli, że cię zasmuciłem. Droga moja, najdroższa na świecie całym, jeśli cierpisz i czujesz się nieszczęśliwą, podziel się ze mną swym smutkiem, niepokojem! Jeśli potrzebujesz poparcia, rady, we mnie je znajdziesz. Jeśli masz ciężar na sercu, ja ci go dźwigać pomogę. Boć dla kogóż, jeśli nie dla ciebie, Agnieszko, żyję, oddycham!

— Oszczędzaj mnie — wołała — nie jestem w tej chwili panią siebie, innym... innym razem.

Czy mnie szalone jakie zaślepiły nadzieje, czy istotnie...

— Nie, Agnieszko — nalegałem — tak rzeczy pozostać nie mogą. Na Boga! Po tylu, tylu latach nie rozstawajmy się w nieporozumieniu. Mówmy otwarcie. Jeśli ci się zdaje, że szczęście, którym masz kogoś obdarzyć, zaboli mnie... że mi zabraknie odwagi wręczyć cię twemu wybranemu... że nie potrafię być świadkiem twego szczęścia... Jeśli ci się tak zdaje, nie myśl tak, wszak na to nie zasłużyłem! Nie po to cierpiałem, nie po to walczyłem z sobą, nie po to starałem się brać z ciebie przykład, Agnieszko, aby ulec wreszcie podobnie egoistycznym uczuciom!

Uspokajała się. Po chwili zwróciła się do mnie błada, lecz głos jej, choć cichy i urywający się, był spokojny.

— Prawda — mówiła — w imię przyjaźni twej, o której nie wątpiłam nigdy, upewniam cię, że się mylisz. O więcej nie pytaj. Jeśli cierpiałam... to już przeszło. Jeśli miałam dawniej na sercu ciężar, spadł on, a jeśli coś kryję, nie nowa to tajemnica... stara... nie to, nie to wcale, co ci się zdaje. Tajemnicą tą podzielić się z tobą nie mogę... muszę ją zachować dla siebie, dla samej siebie.

— Agnieszko! Stój! Chwilę!

Odchodziła. Zatrzymałem ją, obejmując w pół.

„Dawniej”... „stara tajemnica” — tysiąc nadziei zabłysło mi nagle w sercu, zmieniając barwy całego życia.

— Agnieszko! Droga, kochana Agnieszko! — mówiłem. — Przychodząc tu, dziś jeszcze poprzysiągłem sobie, że nic mnie do wyznań nie skłoni, że aż do późnej starości nienaruszoną zachowam w sercu tajemnicę swej miłości... Myliłbymże się<sup>606</sup>, Agnieszko? Coś mi mówi, że cię droższym, piękniejszym, odmiennym od siostry nazwać mogę imieniem.

Pląkała! Łzy to inne były wszelako jak uprzednie! Rosą nadziei oblewały mi serce.

— Agnieszko! — mówiłem, przyciskając ją do serca. — Gdybyś od dzieciństwa naszego mniej gotowa była do poświęceń, mniej myślała o mnie jak o sobie, o, dawno już przeczytałbym jasno we własnym sercu. Za dobra byłaś, za wspaniałomyślna! Nadto polegałem na tobie, nadto mi byłaś potrzebna, przyjaźń twoja mnie oślepiła.

Agnieszka pląkała w mych ramionach. Pierwszy raz trzymałem ją w objęciach i anim się spodziewałem, że kiedykolwiek trzymać ją będę.

— Gdy kochałem Dorę, szczerze, jak wiesz...

— Wiem — przerwała mi — i cieszę się teraz.

— Nawet gdy ją kochałem, brakowało mi czegoś do szczęścia, nie byłbym szczęśliwy bez dodatku twej przyjaźni! A gdy straciłem Dorę, cóż bym poczuł bez ciebie, Agnieszko?

Tuliła mi się w objęcia, oczy jej, spoza łez podniesione na mnie, nieskończoną błyszczały czułością.

— Odejeżdżając z kraju, kochałem cię już, Agnieszko! Kochałem przez cały czas nieobecności. Wróciłem, kochając cię.

<sup>606</sup>myliłbymże się — konstrukcja z partykułą -że nadającą znaczenie pytania retorycznego; inaczej: czy myliłbym się, czyż myliłbym się. [przypis edytorski]

Usiłowałem opowiedzieć jej walkę, jaką stoczyłem z sobą, wnioski, do jakich doszedłem. Chciałem jej całą otworzyć duszę. Mówiłem, jak mi dopiero teraz błysnęła nadzieja, w jakich zamiarach przybyłem do niej tego dnia. Jeśli tedy kochała mnie i chciała moją zostać, miała mnie całego oddanego sobie. Niewart jej byłem, wiedziałem o tym, tylko moja szczerą, głęboką miłość mieć mogła wartość.

O, Agnieszko, nawet w tej chwili słodkich wyznań jasny duch mojej dziecinnej żony zdawał się stawać nad nami i przez ciebie przypominał mi ów wcześniej zwiędły kwiat...!

— Takam szczęśliwa, Trot! Tak przepełnione mam serce... Jest przecie coś, co powiedzieć ci muszę.

— Co, najdroższa?

Oparła mi na ramionach ręce i, patrząc mi słodko w oczy, spytała:

— Jeszcze nie wiesz co, Trot?

— Nie śmiem się domyślać! Powiedz, kochana.

— Kochałam cię przez życie całe.

\*

Byliśmy szczęśliwi! O, jacy szczęśliwi! Przelewaliśmy lzy nie żalu nad przeszłymi smutkami, lecz szczęścia, niezmarzonego szczęścia.

Długo przechadzaliśmy się tego zimowego wieczora po polu, w mroźnym, spokojnym powietrzu. Zapalały się pierwsze gwiazdy; zapatrzeni w nie dziękowaliśmy Niebu za tę przystań, do którejśmy dobili<sup>607</sup>.

Potem, późno w noc staliśmy razem we framudze okna, w której stawaliśmy tak często przedtem. Księżyc świecił. Agnieszka wzniosła wzrok w górę. Podążyłem za nią... Nieskończone przede mną rozwarły się przestrzenie, długa droga, na początku której gdzieś daleko, daleko w przeszłości ujrzałem ubogie, osierocone, na łaskę i niełaskę losu rzucone dziecię. Zmierzało ono do tego domu i serca, co teraz przy moim biło sercu...

Wieczór się już zbliżał, gdyśmy nazajutrz przybyli do domu mej ciotki. Peggotty oznajmiła nam, że ciotka właśnie porządkuje w moim gabinecie. Zastałem ją w okularach, siedzącą u kominka.

— O, na Boga — zawołała — kogoż to wprowadzasz do domu?

— Agnieszkę — odrzekłem.

Umówiliśmy się nie mówić jej zrazu wszystkiego. Twarz jej rozjaśniła się wprawdzie na imię Agnieszki, lecz zmylona moim spokojem i przybrany chłodem, spochmurnała niebawem. Zdjęła niecierpliwie okulary i zaczęła pocierać nos. Agnieszkę powitała jednak uprzejmie i zesliśmy razem na obiad. Ciotka wkładała, to znów zdejmowała okulary, patrzyła na mnie, wrzuszała ramionami, znowu pocierała nos. Pana Dicka wyraźnie niepokoiły te objawy niezadowolenia.

Po obiedzie odezwałem się:

— Mówiłem właśnie Agnieszce, o czym tu przedtem rozmawialiśmy.

Ciotka zaczerwieniła się.

— Nie dotrzymałeś słowa i tajemnicy, Trot. Źle to, źle bardzo.

— Nie gniewaj się, kochana ciotko! Uspokoi cię może wiadomość, że Agnieszka nie jest nieszczęśliwa w swej miłości i posiada wzajemność tego, którego kocha.

— Głupstwo! — oburzyła się ciotka.

Kładąc koniec jej oburzeniu, objąłem Agnieszkę i podeszliśmy tak do niej. Okulary wypadły z rąk ciotki, rozplakała się... po raz pierwszy, odkąd ją znałem.

Na te łkania nadbiegła Peggotty. Ciotka zrazu napadła na nią, potem wyściskała. Z kolei wyściskała zdziwionego i uszczęśliwionego pana Dicka, wreszcie zwiastowała im szczęśliwą nowinę. Cieszyliśmy się wszyscy razem.

Nie doszedłem, czy ciotka w ostatniej ze mną rozmowie użyła sprytnego fortelu, czy też istotnie nie domyślała się, co się w duszy mej dzieje. Utrzymywała, że powiedziała mi, iż Agnieszka wyjdzie za mąż, i dość tego. Nie myliła się przecie, byłem teraz tego pewny...

<sup>607</sup>do którejśmy dobili — inaczej: do której dobiliśmy (konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika). [przypis edytorski]

Ślub nasz odbył się dwa tygodnie później w obecności jedynie Traddlesa i jego żony, doktora i pani Strong. Wszystkich pozostawiliśmy w wielkim rozradowaniu i odjechaliśmy. W objęciach tuliłem źródło mych pragnień i natchnień, duszę moją, żonę, którą kochałem niezmienną, stałą, dojrzałą miłością.

— Mężu mój — mówiła Agnieszka — teraz cię już tak nazwać mogę! Mam ci coś jeszcze do powiedzenia.

— Słucham cię.

— Leży mi to na sercu od dnia śmierci Dory. Pamiętasz, posłała cię po mnie?

— Pamiętam.

— Chciała, mówiła, coś ci pozostawić. Czy się domyślasz, co?

Domyślałem się i silniej przycisnąłem żonę do piersi.

— Mówiła, że ma prośbę do mnie. Ostatnią prośbę.

— O co?

— Abym zajęła opróżnione przez nią miejsce.

Agnieszka skłoniła na moje ramię głowę. Płakaliśmy oboje, chociaż byliśmy tak szczęśliwi.

## ROZDZIAŁ LXIII. GOŚĆ

Opowieść moja dobiega końca. Pozostaje mi jeszcze jedno wspomnienie, na którym myśl moja zatrzymuje się z radością, jedna nić, bez której węzeł tej historii nie byłby zadziergnięty zupełnie.

Rosłem w sławę i wziętość<sup>608</sup>. Szczęśliwy w domowym pożyciu, przebyłem dziesięć lat małżeństwa. Pewnego wieczoru, wiosną, siedzieliśmy z Agnieszką przy kominku, we własnym domu w Londynie, a troje naszych dzieci bawiło się przy nas. Wtem oznajmiono mi przybycie jakiegoś nieznanego.

Na pytanie służącego, czy przybył w interesie, odpowiedział przecząco. Chciał mnie widzieć i specjalnie po to przybył z daleka. Starzec to, mówił służący; wygląda na dzierżawcę lub rolnika.

Zaciekawilo to dzieci. Podobne było do początku jednej z opowiadanych im przez matkę powiastek o jakiejś złej czy dobrej wróżce. Młodszy nasz synek schował się przestraszony w fałdy matczynej sukni, a mała Agnieszka, pierworodne nasze dziecko, zostawiła lalkę i wysunęła ciekawie zza firanki kędzierzawą główkę.

— Proś go tu — rzekłem służącemu.

We drzwiach zjawił się ogorzwały, siwy starzec. Mała Agnieszka, pociągnięta snadź<sup>609</sup> wyrazem jego twarzy, wybiegła na jego spotkanie. Zanim zdołałem mu się przyjrzeć, żona moja wykrzyknęła nazwisko pana Peggotty.

Tak, on to był. Siwy starzec, ale zdrów, silny, krzepki. Gdy minęło pierwsze wzruszenie, gdy usiadł naprzeciw ognia, a dzieci nasze uczepliły się jego kolan i ramion, uderzył mnie pogodny jego wygląd.

— Paniczu — mówił dawnym tonem i na dawny sposób — paniczu! Szczęśliwa to chwila, w której widzę panicza z żoną, z własnymi dziećmi!

— Szczęśliwe, bardzo szczęśliwe spotkanie — odrzekłem.

— Kwiatki wy moje — mówił pieszczotliwie do dzieci — ot, ojciec wasz nie większy był od tego najmniejszego, gdy go poznałem. Emilka, mój chłopcze, mało co większa od tych starszych.

— Lata zmieniły mnie tedy więcej, niż zmieniły pana — rzekłem — ale niech te pieszczochy już idą spać, a że w całej chyba Anglii mój dach ma pierwszeństwo w przyjęciu tak drogiego gościa, gdzie mam posłać po pańskie rzeczy? — (Przyszło mi na myśl, czy też istnieje jeszcze owa stara waliza!) — A tymczasem, Agnieszko, każ podać wina.

— Sam pan przybył? — spytała Agnieszka.

— Sam, pani — odrzekł, całując jej rękę.

Posadziliśmy go pomiędzy sobą, ciesząc się nim, dawno znaną tą twarzą, dawno znanym głosem... Zdawało mi się, że wrócili czasy, kiedy to poszukiwał ukochanej synowicy.

<sup>608</sup>wziętość (daw.) — powodzenie. [przypis edytorski]

<sup>609</sup>snadź (daw.) — widocznie, prawdopodobnie. [przypis edytorski]

— Tyle mórz przebyć — mówił — aby zabawić tu zaledwie parę tygodni! Ale znam się od dawna ze słonymi tymi wodami, serce rwało się do starych przyjaciół i oto przybyłem.

— Jak to, chce pan nas opuścić tak prędko? — zawołała żona moja.

— Obiecałem Emilce, obiecałem. Lata płyną, człek się starzeje, gdybym się ociągał, nie wybrałbym się może nigdy. A zawsze myślałem, że przecie kiedyś przyjadę i raz jeszcze przed śmiercią zobaczę panicza i panią, i szczęście wasze, i dzieci wasze...

Patrzył na nas, jak gdyby istotnie pragnął wzrok nasycić naszym widokiem; Agnieszka z uśmiechem, pieszczotliwą dłonią odgarnęła opadające mu na oczy kosmyki siwych włosów.

— Niech pan nam opowiada o sobie — mówiła.

— Niewiele mam do opowiadania — odrzekł. — Pracujemy, jak możemy, ot i wszystko. Zrazu ciężko było, ale dobiliśmy się czegoś. Rola, trzoda i to, i owo wymaga ciągłej pracy. Szczęściło się nam zresztą, chwała Bogu! — dodał, pobożnie skłaniając głowę. — Nie dziś, to jutro, pojutrze dopracujemy się czegoś.

— A Emilka? — spytaliśmy jednocześnie.

— Emilka — odrzekł. — Odkąd zostawiłaś ją pani, co wieczór słyszałem twoje imię w pacierzu, który mówiła za przepierzeniem kajuty, jakieśmy już stracili<sup>610</sup> z oczu panicza. Emilka umarłaby pewno z żalu i boleści. Szczęściem, na pokładzie byli ludzie słabi i chorzy. Zajęła się ich pielęgnowaniem. Były dzieci. Zajęła się ich pilnowaniem. To ją zbawiło.

— A kiedyż się dowiedziała o... — spytałem i nie skończyłem.

— Długo, sam dowiedziawszy się, nie mówiłem jej — odrzekł pan Peggotty. — Żyliśmy na odludziu, były tam pyszne drzewa i kwiaty. Róż pełno. Aż na dach się pięły. Raz tedy pracowałem w polu, a tu nadchodzi podróżny, jak raz z naszych stron, z Norfolk czy Suffolk. Zatrzymaliśmy go, zaprosili do siebie, tak, osada cała ugościć go pragnęła. Miał z sobą stare gazety, opisy burz i huraganów, przypadków zaszłych na morzu. Stamtąd musiała się dowiedzieć. Wróciwszy wieczorem do domu, poznałem to od razu.

Głos zniżył przy ostatnich słowach, twarz mu się zachmurzyła.

— Cierpiała bardzo długo? — spytaliśmy.

— O! Srodze. Może i teraz to nie minęło! Bądź co bądź, samotność ukoila ją, tyle zresztą było zajęć. Kury, domowe gospodarstwo...

Umilkł, a po chwili dodał.

— Ciekawym, czyby panicz poznał teraz Emilkę, gdyby ją spotkał?

— Tak zmieniona?

— Nie wiem, nie umiem powiedzieć, patrząc na nią ciągle. Twarz blada — mówił, wpatrując się w ogień — ściągnęła<sup>611</sup> i takie smutne, wielkie błękitne oczy! Ładna główka, ale zawsze pochylona, opuszczona. Głos cichy, nieśmiały... Taka moja Emilka.

Patrzyliśmy na niego, spoglądał zamyślony w ogień.

— Ludzie sądzą — mówił z cicha — jedni, że niestosownie umieściła swe uczucia, inni, że małżeństwo jej zerwała śmierć; nikt nie domyśla się prawdy. Tysiąc razy mogła wyjść za mąż i dobrze wyjść za mąż, ale zawsze: „nie, wuju, nie!”. Ze mną bywa wesoła, ale ludzi unika, tylko z dziećmi lubi przestawać i żadna nie odstrasza ją odległość, gdy trzeba komu usłużyć, dopilnować dziecka czy doglądać chorego, czy usłużyć jakiej pannie młodej. Na ślub to nie pójdzie nigdy. Cicha, łagodna, cierpliwa! Wszyscy ją lubią, a najwięcej ci nieszczęściem czy smutkiem dotknięci. Taka jest Emilka.

Potarł ręką czoło.

— A Marta? — spytałem.

— Marta — odrzekł — zaraz w drugim roku wyszła za mąż za młodego pracowitego rolnika. Poznaliśmy go na targu. Z daleka, wiele mil. O żonę tam trudno, mówił, i poprosił o rękę Marty. Chciała, abym mu o niej wszystko, ale to wszystko opowiedział. Uczyniłem to. Pobrali się i żyją szczęśliwie, ale w takiej puszczy, że tylko własny i ptaków niebieskich głos słyszą.

— A pani Gummidge?

Wesołej dotknąłem struny. Pan Peggotty roześmiał się.

<sup>610</sup>jakeśmy (...) stracili — inaczej: jak straciliśmy (konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika). [przypis edytorski]

<sup>611</sup>ściągnęła twarz — twarz szczypta, wydłużona; dziś: pociągła. [przypis edytorski]

— Ha, ha! Czyżby kto uwierzył? I do tej się zalecali, kucharz z okrętu we własnej osobie. A niech go nie znam!

Agnieszka śmiała się do łez, pobudzona nagłym wybuchem wesołości naszego gościa; wtórowałem im serdecznie. Pan Peggotty pocierał kolana.

— I cóż na to pani Gummidge? — spytałem, przychodząc do słowa.

— A co? — mówił, przedrzeźniając głos starej kobiety. — Zamiast powiedzieć: „Dziękuję panu, bardzo zobowiązana, lecz o zmianie stanu jak na teraz nie myślę”, zamiast mu to powiedzieć, ot tak, wprost, walnęła go wałkiem, który się znalazł pod ręką. Kucharz o mało co się nie przewrócił.

Agnieszka wtórowała powtórnemu wybuchowi śmiechu pana Peggotty.

— Muszę jej oddać sprawiedliwość, pocziwej tej kobiecie — ciągnął, uspokoiwszy się. — Świątce dotrzymuje obietnicy. Nie chlipie, nie wyrzeka i jest bardzo użyteczna i pomocna. Nie chlipała, nie wyrzekała, że jest opuszczona, wówczas nawet, gdy jako nowi przybysze istotnie byliśmy obcymi w osadzie. Nawet odkąd opuściliśmy Anglię, nie wspomina nieboszczyka starego.

— A teraz — mówiłem — powiedz nam pan co o panu Micawberze. Wyplacił co do grosza swe długi i nawet (pamiętasz, Agnieszko?) uiścił się z długu Traddlesowi, musi mu się zatem dobrze powodzić. Cóż porabia?

Pan Peggotty, uśmiechając się, wyciągnął z kieszeni papiery, wybierając wśród nich dziwnie wyglądający numer jakiejś zamorskiej gazety.

— Bo to wiadomo paniczowi — począł — żeśmy już opuścili osadę w Bush i zamieszkali w Port Middlebay Harbor, niby w mieście.

— To i pan Micawber był z wami w Bush?

— A tak, i jak mu się powiodło! Szło mu jak po maśle. Obecnie jest urzędnikiem, dygnitarzem!

— Dygnitarzem? Co znowu!

Pan Peggotty podał mi wyjęty z kieszeni numer gazety. Był to „Port Middlebay Times”. Odczytałem głośno, co następuje:

Obiad wydany onegdaj na cześć szanownego naszego współobywatela, pana Wilkinsa Micawbera, Esq., dygnitarza w Port Middlebay i powiatowego sędziego, powiódł się znakomicie. Sala była przepelniona. Wszystko, co miasto nasze posiada najznakomitszego: najpiękniejsze, najwytworniejsze kobiety pośpieszyły złożyć dowód uznania naszemu znanemu i utalentowanemu sędziemu. W tłumie zauważyliśmy doktora Mell (ze szkoły Salem House), który raczył nawet przewodniczyć bankietowi. Po zdjęciu obrusa ze stołu i odśpiewaniu *Non nobis*<sup>612</sup> (mistrzowsko wykonanym przez utalentowanego Wilkinsa Micawbera, juniora), liczne wznoszono toasty. Doktor Mell po kwiecistej mowie wniósł toast na cześć dostojnego gościa, przynoszącego cześć miastu, z życzeniem, by na zawsze wśród nas mógł pozostać, ciąglem zatrzymany powodzeniem. Trudno opisać zapał, z jakim toast ten został przyjęty. Okrzyki powstawały i ucichały, do przyływu i odpływu morza podobne. Gdy ucichły, głos zabrał Wilkins Micawber, Esq., we własnej osobie. Lecz któż potrafi powtórzyć kwiecistą, wspaniałą mowę znakomitego tego człowieka. Dość powiedzieć, że była wzorem wymowy, podnosiła ducha słuchaczy i ostrzegała młodzież przed niebezpieczeństwami pieniężnych zobowiązań. Znakomity ten ustęp lżą zaproszył oko niejednego z obecnych dojrzałych mężów. Z kolei zwrócił się mówca do doktora Mell. Przypatrując się uroczystości z trybuny w wieńcu dam, pani Micawber raczyła uprzejmie skłonić głowę. Wśród obecnych dam odznaczały się elegancją i pięknnością pani Ridger Begs, z domu Micawber, córka dostojnego gościa, pani Mell i wiele innych. Wilkins Micawber, junior, pobudził ogólną wesołość, oświadczając, że nie będąc z zawodu mówcą woli coś przy kieliszku

<sup>612</sup>*Non nobis* — krótki hymn łac. popularny w średniowieczu, wykonywany m.in. przez templariuszy podczas wypraw krzyżowych, a także przed ogłoszeniem wyroku w sądach; cały jego tekst jest tożsamy z pierwszym wersem Psalmu 115: „*Non nobis, non nobis, Domine / Sed nomini tuo da gloriam*” (nie nam, nie nam, Panie, ale swemu imieniu oddaj chwałę). [przypis edytorski]

zaśpiewać. Po obiedzie nastąpiły tańce, w których odznaczały się szczególnie bliźnięta z rodziny Micawberów i panna Helena, czwarta z rzędu córka dra Mell. Rodzina pani Micawber, znana w Anglii... itd., itd.

Z przyjemnością widziałem nazwisko pana Mell, byłego nieszczęsnego bakalarza w szkole pana Creakle. Pan Peggotty wskazał mi na drugiej kolumnie dziennika własne moje nazwisko. Czytałem:

Do pana Dawida Copperfielda, Esquire,  
Sławnego pisarza i autora!  
Łaskawy panie!

Lata upłynęły, odkąd miałem zaszczyt naocznie oglądać osobę, której rysy na wieki wyryte w pamięci mojej i imię znane dziś całemu cywilizowanemu światu!

Lecz jakkolwiek bądź, siłą nienależnych ode mnie okoliczności, oddalony od towarzysza i przyjaciela młodości mojej, śledziłem przecie za wznoszącą się gwiazdą jego sławy. I chociaż: „Szumią pomiędzy nami dzielących nas mórz fale<sup>613</sup>!” (Burne<sup>614</sup>) — uczestniczę w umysłowych uctach, które talent jego roztacza przed nami.

I z konieczności nie mogę pominąć okazji odpłynięcia ku starym łądom pewnej osoby, aby publicznie nie zaznaczyć tak zaszczytnego dla mnie koleżeństwa i nie złożyć towarzyszowi i przyjacielowi młodości mojej niniejszym dziękczynień moich i wszystkich tu obecnych mieszkańców Port Middlebay za rozkosz, jaką nam przynoszą dzieła jego!

Pisz dalej, panie, i nie trać serca! Znamy cię tu i cenimy. Daleki, nie jesteś obcy. Pisz, panie, i nie ustawaj w orlim polocie. Lot twój śledzą zza oceanu czytelnicy z Port Middlebay.

Pomiędzy wznoszącymi się ku tobie z tych wybrzeży spojrzeniami śmierć tylko zgasi pełne uwielbienia oczy...

oddanego ci duszą i ciałem

*Wilkinsa Micawbera*

*(powiatowego sędziego)*

Przerzucając gazetę, przekonałem się, że pan Micawber był jej niez mordowanym współpracownikiem. Pisał tam coś o morskich, coś o publicznych drogach. W nawiasie znalazłem, że artykuły powyższe i innych wiele w osobnej wyszły odbitce. Ha! I wstępny artykuł był jego pióra!

Dużo rozmawialiśmy o panu Micawberze i o innych rzeczach. Przez miesiąc cały pan Peggotty został u nas, a ciotka i stara moja piastunka przybyły do Londynu, by się z nim zobaczyć. Odprowadziliśmy go i pożegnali na pokładzie statku, którym odpływał. Odtąd nie spotkaliśmy się z nim już na tej ziemi.

Przed odjazdem udał się jeszcze ze mną do Yarmouth na grób Hama, który ozdobić kazałem marmurową tablicą. Przerysowywałem ją właśnie dla niego, stosownie do jego żądania, gdy schylił się po garść trawy i ziemi.

— To dla Emilki — rzekł, chowając w zanadrze. — Obiecałem przywieźć jej to, paniczu.

<sup>613</sup>Szumią pomiędzy nami dzielących nas mórz fale — w oryg. „*Though seas between us braid ha' roared*”, cytat z pieśni Roberta Burnsa *Auld Lang Syne* na motywach tradycyjnych ludowych pieśni szkockich, opiewająca wartość przyjaźni. [przypis edytorski]

<sup>614</sup>Burne, Robert (1759–1796) — narodowy poeta szkocki okresu preromantyzmu; urodził się w rodzinie chłopskiej w Alloway w Ayrshire w Szkocji; pierwszy tomik wierszy, pisanych w rodzimym języku, wydał w 1786; cieszył się sławą lokalną, a po śmierci stał się kultową postacią dla brytyjskich poetów romantycznych, wpisując się swym życiem i typem twórczości w filozofię czasu: pielgrzymowali na jego grób i uwiecznili go piórem William Wordsworth i John Keats; poeta, aby się utrzymać, prowadził gospodarstwo rolne, a pod koniec życia dostał pracę w urzędzie celnym; zmarł, mając zaledwie 37 lat, z powodu choroby serca i nadwężenia pracą; jego wiersze są pochwałą prostoty wiejskiego życia, rodzinnego szczęścia, miłości i przyjaźni, a do najsławniejszych należy pieśń *Auld Lang Syne*, oparta na motywach z dawnych szkockich utworów ludowych, śpiewana do dziś w Szkocji w przeddzień Nowego Roku, tzw. Hogmanay (odpowiednik Sylwestra). [przypis edytorski]



## ROZDZIAŁ LXIV. OSTATNI RZUT OKA NA PRZESZŁOŚĆ

Skończyłem. Raz jeszcze niech wstecz spojrzę.

Widzę, jak wraz z Agnieszką przechodzę drogę życia, otoczony dziećmi i przyjaciółmi, szmerem nieobojętnych mi zresztą głosów.

Któż mi najbliższy w tym tłumie? Ileż się zwraca ku mnie na to pytanie kochanych, iluż! Ciotka w okularach, coraz silniejszych, staruszka w latach podeszła, lecz prosta jeszcze, żwawa, czynna.

Z nią zawsze, zawsze przy niej Peggotty, stara, kochana piastunka moja! Zawsze z robotką wieczorem, pod lampą, zawsze w nieodstępnym towarzystwie pudełka z wymalowaną na wieczku katedrą świętego Pawła, kawałkiem wosku i zwijaną miarą.

Policzki i ręce starej mej piastunki tak jędrne niegdyś, że mi w dziecinnych latach nasuwały na myśl okrągłe, rumiane jabłka, trzęsą się teraz zwiotczałe, a czarne oczy, cień na twarz jej niegdyś rzucające, przygasły i chyba tylko niezmienny pozostał w napastrzek zbrojny palec, który jak dawniej wyciąga do najmłodszego mego dziecięcia biegającego pomiędzy nią a ciotką po małym bawialnym pokoju. Spełniły się stare marzenia ciotki. Została chrześną matką prawdziwej Betsey Trotwood i Dora, druga moja z kolei córka, utrzymuje, że babcia rozpieszcza i psuje małą Betsey.

Widzę coś wystającego z kieszeni fartucha niani. Ni mniej, ni więcej, tylko stara książka z krokodylami! Porwana, zaplamiona, lecz przechowana jak relikwia przez kochaną piastunkę! Dziwne mi się wydaje, gdy własne moje dzieci podnoszą na mnie oczęta, słuchając opowieści o krokodylach i mimo woli przypominam sobie własne dzieciństwo i dawną znajomość z Brooksem z Sheffield.

Z chłopcami mymi w czasie rekreacji staruszek pewien puszcza olbrzymie bąki i balony, bawiąc się nimi nie gorzej od dzieci. Czasem chwyta mnie za ręce, ściska i mówi pośpiesznie!

— Cieszę się, Trotwood! Możesz mi powinszować. Skończę memoriał w wolnej chwili, a tymczasem upewnić pana mogę, że ciotka pańska jest niepospolitą, niepospolitą kobietą.

Któż jest ta pochyłona, o kij wsparta dama? Pozostały ślady dawnej piękności i dumy, ale jakże jest zmieniona, zdziwaczała! Przebywa ciągle w ogrodzie, w towarzystwie czarnowłosej, ponurej, surowej, zwiędłej kobiety ze szramą na twarzy.

Podsłuchajmy, co mówią z sobą.

— Rózo! Jak się ten dżentelmen zowie? Zapomniałam zupełnie.

— Pan Copperfield — mówi Róża, pochylając się nad nią.

— Aha! Miło mi widzieć pana, panie Copperfield. Pan w żałobie! Czas leczy wszelkie rany.

Towarzyszka jej niecierpliwi się, powtarza, że wcale w żałobie nie jestem. Wstrząsa nią. Stara się prostuje.

— Aha! Dawno pan nie widział mego syna? Pogodziliście się z sobą chyba?

Wtem wraca jej pamięć, ręce wznosi z jękiem w górę.

— Rózo — woła w rozpacz — Rózo, on nie żyje!

Róża klęka przy niej, pieści ją, uspokaja, to gniewa się na nią:

— Więcej go od ciebie kochałam — mówi, a potem znów gładzi ją pieszczotliwie, niby chore dziecko, po włosach.

Odchodzi. Tak, nie inaczej, widuję je zawsze, te dwie nieszczęsne! Tak im upływają lata.

Cóż to za okręt nadplywa z Indii i jakaż to na nim magnatka, żona mrukliwego szkockiego Krezusa<sup>615</sup>? Byłaby to Julia Mills?

Ona sama, ładna i elegancka, z Murzynem, co jej na złotej tacy podaje bilety wizytowe, z żółtą, w pstrym na głowie zawoju garderobianą. Przeszły czasy dzienników i sentymentów. Teraz Julia zajęta jest wieczystymi sprzeczkami ze swym Krezusem, podobnym

<sup>615</sup>Krezus — bogacz; żyjący w VI w. p.n.e. Krezus (a. Krojsos) był ostatnim królem Lidii, kraju położonego w zach. cz. Azji Mniejszej i podbitego przez Persów pod wodzą Cyrusa: do legendy przeszły nieprzebrane skarby czerpane z kopalń złota i danin od podbitych państw (m.in. jońskich polis) zgromadzone w stolicy Lidii, Sardes. [przypis edytorski]

istotnie do burego, gburowatego niedźwiedzia. Zanurzona w złocie, o złocie tylko mówi i myśli. Wolałem ją dawniej, na Saharze, na westchnień mostach kruchych.

A może to teraz właśnie przebywa Saharę? Kto wie! Bo chociaż posiada bogaty dom, pełen gości, zasiada za suto zastawionymi stołami, życie dokoła jej nie rozkwita, nowe nie zielenią się pędy. Nie ma tu kwiatów ani owoców, Wśród tych, których Julia Mills zowie „towarzystwem”, spotykam pana Jacka Maldona. Szydzi ze swych chlebobawców i żartobliwie nazywa doktora „chodzącą staroświecczyną”. Czyżby istotnie „towarzystwo” składać się miało z podobnych dżentelmenów i dam? W takim razie wrodzona im i nabyta wzgarda do wszystkiego, obojętność na wszystko, co wstrzymać lub nowe ludzkości dać może rozpędy, wytwarza istotną Saharę, z której obyśmy jak najprędzej wyjść mogli.

A doktor, kochany doktor Strong! Zawsze zajęty wielkim słownikiem, dotarł już pono do litery D. Szczęśliwy teraz w domowym pożyciu. Herod-baba, teściowa, nie używa już dawnych wpływów, straciła też na znaczeniu i humorze.

Zapracowany w kancelarii swej i sądach, ze sterczącymi włosami dokoła szerzącej się łysiny, Traddles króluje wśród stosów papierów.

Pytałem go onegdaj<sup>616</sup>:

— Czy Zofia jest zawsze twym sekretarzem? W takim razie nie wiem, jak może podołać.

— Bywaj zdrów, mój kochany! — odrzekł. — Dobrze to jednak były te stare czasy, pamiętasz, w Holborn Court?

— Aha! Gdy ci żona przepowiedziała, że zostaniesz sędzią. Świat o tym wówczas nic jeszcze nie wiedział.

— Jeśli nim kiedy zostanę...

— Wiesz dobrze, że to kwestia czasu.

— Opowiem wówczas wiele, wiele ciekawych rzeczy.

Szliśmy, wzięwszy się pod ramię. Miałem właśnie obiadować u Traddlesa, był to dzień urodzin Zofii, opowiadał mi o swym szczęściu i powodzeniu.

— Spełniły się wszystkie moje życzenia — mówił. — Oto walebnny Horacjusz dostał dożywotnią pensję. Dwaj moi chłopcy najlepsze otrzymują wychowanie. Są celującymi uczniami. Trzy siostry wyszły bardzo dobrze za mąż. Trzy drugie mieszkają przy nas, a trzy ostatnie prowadzą dom ojca od śmierci biednej pani Crewler. Wszystkie są zatem szczęśliwe i mają los zapewniony.

— Wszystkie oprócz... — wtrąciłem.

— Oprócz piękności. Prawda! Nieszczęśliwe to było wyjście za mąż, za tego włóczęgę. Cóż chcesz, oślepiły ją otaczające go blaski. Ha! Teraz wzięliśmy ją do siebie, staramy się pozbyć lotra i rozweselać biedaczkę.

Dom Traddlesa jest isticie rodzinnym domem. Obszerny, a jednak Traddles dotąd pracuje w bawialnym pokoju i sypia z żoną na poddaszu. Najlepsze komnaty zajęły siostry z pięknoscią na czele, a i dla tych, co przyjeżdżają z Devonshire, i dla mężatek z ich rodzinami winny być zawsze gościnne pokoje. Bawiące w Londynie ciągle lub czasowo siostry trudno zliczyć. Pełno ich spotkało nas na schodach, wszystkie z kolei uściskały Traddlesa. W salonie królowała piękność: opuszczona żona z małą córeczką. Dzień urodzin Zofii zgromadził przy stole oprócz siostr-panien wszystkie trzy mężatki z mężami, dziećmi, mężowskimi kuzynkami i siostrami. U szarego końca nieskończenie długiego stołu królował Traddles, niby patriarcha, a pomiędzy nim i królującą powyżej Zofią polyskiwał bogaty, ale zawsze jeszcze platerowany<sup>617</sup>, nie srebrny serwis.

I na tym skończę, chociaż woła mnie wiele jeszcze ze znanych a zapomnianych postaci. Przy mnie jest jedna, jak słońce promienne gasząca wszystko dokoła. Ta mi pozostanie na zawsze.

Zwracam głowę, widzę ją w blasku niezmaconej pogody, widzę ją tuż obok siebie. Lampka moja gaśnie, późno w noc pracowałem; ta, bez której byłbym niczym, czuwała, dotrzymując mi towarzystwa.

<sup>616</sup> *onegdaj* (daw.) — przedwczoraj. [przypis edytorski]

<sup>617</sup> *platerowany* — (o metalu) pokryty wierzchnią warstwą srebra. [przypis edytorski]

Agnieszko, duszo moja, pozostań tak przy mnie zawsze jasną pociechą i nadziei gwiazdą, aby nawet w ostatnią godzinę mroki śmierci rozświeciło mi twoje wskazujące w górę ramię.

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z [Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur](#).

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na [Licencji Wolnej Sztuki 1.3](#). Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w [Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur](#). Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/dickens-dawid-copperfield>

Tekst opracowany na podstawie: Charles Dickens, Dzieje, przygody, doświadczenia i zapiski Dawida Copperfielda juniora, rodem z Blunderstone (których nigdy ogłaszać drukiem nie zamierzał), tł. Wilhelmina Kościalkowska, T. 1-2, "Czytelnik", Warszawa 1956.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska, Biuro Rzecznika Praw Dziecka

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) we współpracy z Biurem Rzecznika Praw Dziecka. Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopeć, Aleksandra Sekuła, Paulina Choromańska, Wojciech Kotwica.

ISBN 978-83-288-0181-3

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).